

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW
LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

1884.

#69

J. J. KRASZEWSKI.

W Y B Ó R P I S M.

ODDZIAŁ I.

POWIEŚCI SIELSKIE

poprzedzone wstępem krytycznym

Kazimierza Kaszewskiego.

INSTYTUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-730 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-91 w. 42

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

Nowy-Świat Nr. 39.

1884.

<http://rcin.org.pl>



F1770/1.

Дозволено цензурою.
Варшава, 19 Декабря 1883 г.

WSTĘP KRYTYCZNY.

I.

Pomiędzy klasą ukształconą w narodzie a ludem prostym zachodzi niemal różnica taka, jak pomiędzy kamieniem szlifowanym a bryłą rodzimą: badanie jednego i drugiego ma właściwe sobie korzyści i powaby; rzecz nawet można z pewną słusnością, iż to, po co głębiej sięgnąć potrzeba, co prostsze i natury bliższe, nierównie więcej przedstawia interesu, jako rzecz posiadająca liczniejsze a wyrazistsze cechy samodzielne i silniejszą spójność konkretną. Stąd też, w literaturze każdego kraju grupa, mieszcząca obrazy ludowe, największą zwykle obudza ciekawość obcych. Kiedy bowiem w obrazach, mających za przedmiot klasę ukształconą, czytelnik przychodzi do oglądania form, uczuć i pojęć, mniej więcej znanych, bo powszechnych i przez jednolitą a sztuczną cywilizacją wyrobionych, w obrazach czerpanych z masy ludowej napotyka odrębności i znamiona, których rylec cywilizacyjny nie zdołał zatrzeć, aby na ich miejscu wyrycić jakieś znamię wspólne. I im dalej od sfer cywilizacji, tém odmiany i odrębność silniej występują, tak iż gdzieś, w stanie tak zwanym dzikim, dochodzimy do widoków najniespodziwanych, częstokroć wstrętnych; ale tu już ginie nawet ten charakter specjalny, który nazywamy ludowością, a natomiast występuje plemię.

Ludem zwiemy zwykle taką grupę, która łączy pomiędzy cywilizacją a dzikością, w punkcie oddalenia od jednej i drugiej stale nieudeterminowanym. Zostaje ona pod akcją instytucyj państwowych zarówno z grupą cywilizacyjną, a więc pod pewnemi wpływami cywilizacji sztucznej, — przez co usuwa się z jej sfery stan absolutnej dzikości; ale z drugiej strony, grupa ta, skutkiem cięższych warunków życia, nie może

zdążyć szybko za zmianami prądów, nie może sobie assymilować wszystkich interesów postępu, przyzostaje co chwila, tak, że w końcu przed oczyma jej zapada mniej-więcej gęsta zasłona na to, co odbywa się na wielkiej a już dalekiej od niej scenie świata. Wyścig niemożliwy ustaje, a około grupy pozostałej tworzy się nowy światek skryształizowany. W światku tym jeszcze żyje aktualnie to, co dla innych już jest przeszłością, niebytem. W jego pojęciach, miłościach, obyczajach i zajęciach, w pewnej części pozostało to, co było dawniej i czego postęp idei nie zdążył znieść, przeistoczyć lub zastąpić innemi pojęciami, inną miłością, obyczajem i zajęciem. Ta ewolucya zatrzymana na pewnym punkcie przeobrażenia, zarywająca coś z jednej formy i z drugiej, posiadająca już wszelako własną i ustaloną, dopóki jej nowe a potężne wpływy środkowiska do nowój nie poruszą przemiany: — to lud.

I nie tylko w wierzeniach, języku, stroju i obyczaju lud przechowuje zatwardziale formy tradycyjne, żyjąc niejako w przeszłości, amalgamując je lub szczepiąc na nowych idejach; trzyma się on czasami i instytucyj prastarych, wrogich poniekąd nowemu porządkowi rzeczy. Kraszewski przytacza to, co sam z podań ustnych zebrał o pewnej miejscowości na Wołyniu, gdzie lud zachował nie tylko zwyczaje i obrzędy zapomniane gdzieindziej a dla nas już niepojęte, ale po wiekach jeszcze nie rozstał się z pewnym zabytkiem politycznym ustroju gminy słowiańskiej, pokątnie tylko praktykowanym. Zachował poczucie się do spójni braterskiej i solidarnego związku w gromadzie pod przewodnictwem starszych, których wola spełnia się w cichości i ze ślepem posłuszeństwem. Lubo ta spójność gromadzka jest sama przez się zjawiskiem dość powszechném na wszystkich przestrzeniach ludem naszym osiadłych, w miejscowości jednak, o której mowa, wyróżnia się ona tém jeszcze, iż gromada stawia sobie na czoło Starszego, który niby urzędnik z wyboru, prezydent gminy lub kapłan, spełnia potajemnie przed światem urzędowym rodzaj dyktatury, regulującej wszelkie sprawy osobiste i domowe, stosunki z dworem i władzą, ilekroć zachodzi jakaś wątpliwość lub potrzeba ważniejszego postanowienia. (Zob. powieść p. n. *Ładowa Pieczara*).

Dobrze uczyniła literatura nasza, że za sprawą kilku pisarzy, w rzędzie których Kraszewski jedno z miejsc okazalszych zajmuje, zajrzała bliżej w serce ludu, w jego życie domowe i cały ten świat, mający tyle odrębności. Dobrze uczyniła mianowicie dlatego, że od lat kilkunastu zaszła pewna zmiana w środkowisku społeczném, naruszająca porządek organizmu, która wśród ludu dawne jego formy do nowój ewolucyj powołała, i w skutek której to, co w chwili chwytnia rysów współczesnego pisarzom porządku było aktualnością, dziś

już zaczyna przechodzić do dziedziny historii. Kraszewski kreślił, rzecz można, po ostatnie chwile przełomu, a zajmując się obrazowaniem życia ludowego pomiędzy mniej-więcej rokiem 1840 a 1860, od „Latarni Czarnoksiężskiej“ do „Kolka w płocie“, doprowadził tym sposobem dzieje swe prawie aż do nowego zwrotu, wyruszającego dla ludu nowe koleje życia.

Nie powiemy, ażeby Kraszewski, w kilkunastu tomach swoich powieści ludowych, stał się historyografem całości lub systematykiem. Przeciwnie: wybrał on sobie jedną tylko ustron, głównie okolice Polesia i Wołynia, raz tylko zajrzawszy i to przypadkiem na Podole. Nie czynił umyślnych i rozległych studyów; brał to, co napotkał pod ręką. Jako poeta wybierał motywa przeważnie sprzyjające fantazyi, z którą jednak splótł zręcznie poglądy ekonomiczne i socyalne. To zatem, co czytamy u niego o stanie ówczesnym ludu, stosuje się głównie do jednego tylko odłamu kraju; zakątek, któremu malowidło swe poświęcił, ma wprawdzie pewne rysy wspólne z całością, zwłaszcza podchodzącą pod jeden i tenże sam porządek polityczny, — ale zachowuje i pewne różnice względnie do całości, tak co do wyników tegoż porządku, jako i co do odcieni etnograficznych, barwiących jedność a przecież samoistnie wydatnych. Zaznaczamy to dlatego, ażeby wrażenia otrzymanego z przeczytania wszystkich powieści ludowych Kraszewskiego nie rozciągać do całości absolutnej tego, co się nazywa ogólnem mianem ludu polskiego.

Sam to niejako zeznaje Kraszewski w jednym z listów prywatnych, którego oryginał jest w naszym posiadaniu. — „Rzeczywiście — pisze on — myśl do obrazów ludowych podał mi pobyt na wsi i zbliżenie się do ludu w Omelném, w Gródku, w Hubinie i Kisielach, od roku 1837 do 1858... Gospodarowałem, jak-em umiał, i studyowałem razem. Pamiętam, żem wielkiego przyjaciela zyskał w Gródku w chłopaku, którego kazałem ukarać przy sobie za to, że się porwał na swego starego ojca. Tak uczył sprawiedliwość téj kary, że mnie za to pokochał; i gdy sprzedałem Gródek, przychodził do mnie z pozdrowieniem do Hubina. Epizod Sawki w *Latarni* był pono pierwszą, jeśli się nie mylę, próbą. (Tak jest rzeczywiście — dodajemy od siebie). Uderzyło mnie to, że w półświęty, zacny prałat, ks. Ożarowski, był nim do łez przejęty. Wiele faktów wprost z życia pobrałem. Do *Chaty za wsią* służył mi cygan kowal na miejscu u mnie. Przez lat dwadzieścia nosiłem się ciągle, mając do czynienia z ludem, słuchając, patrząc, wywołując opowiadania. Otóż właściwa gienieza tych powieści... Wiem, że z natury jest wiele, ale nic niewolniczo. Sztuka wymaga wyboru razem i prawdy. Fotografia jęj nigdy nie zastąpi ani

realizm bezmyślny... W całej mojej krzątaninie, obok kwestyi sztuki, która była mi może najpierwszą, stała zawsze, niestety! kwestya celu i potrzeb czasu“.

W skromności swój dodaje autor listu: „Dlatego wiele z tych rzeczy zestarzeje, ale, jakkolwiek liche, są-to historyczne kartki“.

Ostatnie zdanie poważamy się zmodyfikować w ten sposób, że kartki te są bez zaprzeczenia historyczne, z powodów, które wyłuszczyliśmy wyżej, ale bynajmniej nie są liche. Przeciwnie, to jedne z najwytworniejszych kart, jakie posiada literatura nasza, a w zakresie ludowym, nie ubliżając innym, może najwytworniejsze. Wszystko to wreszcie, ogólnie wzięwszy, pisane z prawdą a miłością wielką, przetkane złotą nicią fantazyi; słowem małe poematy w prozie, elektryzujące mocą uczucia, typy, siłą i wdziękiem kolorytu tryumfujące nad czasem, a przechowujące tym sposobem wieczną młodość, czyli nie starzejące się nigdy. Nie chodzi nam o to, czy wszystkie wydarzenia, czy wszystkie rysy, przytoczone w powieściach, są prawdziwe; zaleta ich polega na tém, że są prawdopodobne, a temu nie zaprzeczy nikt, ktokolwiek zna lud wogóle, w szczególności zaś, w tym zakątku etnograficznym, który autor obrał sobie za scenę do swoich przedstawień. To pogodzenie prawdy z osobistém zapatrywaniem się i wrażeniem od przedmiotu, ta synteza szczegółów, doprowadzająca do wytworzenia obrazu konkretnego, to wypełnienie zadania sztuki, znajduje, zdaniem naszym, nader szczęśliwe rozwiązanie w powieściach ludowych Kraszewskiego, wziętych ryczałtem. I tak on sam to zadanie pisarza, w przytoczonym liście, niechcący scharakteryzował, powiadając, w przeciwstawieniu do fotografii i bezmyślnego realizmu, że sztuka wymaga prawdy, ale i wyboru: naszym obowiązkiem zaświadczyć, że zadanie, o którym takie ma pojęcie, spełnił z powodzeniem.

II.

Położenie socyalne ludu tej właśnie krainy, która stanowi scenaryusz Kraszewskiego, było przedmiotem ówczasie częstych nawoływań prasy, interesującej się całością: niema, zdaje się, czasopisma z piątego dziesiątka lat i dalej, któreby w jakiejkolwiek formie, poważnej lub ulotnej, książkowej czy dziennikarskiej, etycznej lub belletrystycznej, nie czyniło aluzyi do tegoż położenia, z widoczną tendencją przyniesienia ludowi ulgi. Ale nawoływania te były głosem wołającego na puszczy: rady i przestrogi, pociski i żale odbijały się o żółwią tarczę egoizmu. Rozwiązanie

pozostawiono czasowi, subtelne palce Nemezy uważając za sprawniejsze do rozwikłania rozlicznych węzłów zaciśniętych przez obyczaj, prawo i historią.

Stan, dawno usunięty w reszcie Europy w skutek wstrząśnień z końca zeszłego wieku, tu pozostał był w najlepsze prawidłem obowiązującym. Niewola włościanina nie wyraziła się dostatecznie słowem: *pańszczyzna*, jak w sąsiedniej krainie zachodniej, ale słowem *poddaństwo*.

Słowo to nie oznaczało wprawdzie niewoli osobistej, ale niewolę ziemi. Właściciel majątku nie mógł już frymarzyć włościaninem pojedynczo, wyrwać go z łona rodziny, zamienić za inny przedmiot lub sprzedać, jak to czynili plantatorowie amerykańscy z murzynami; ale miał prawo uczynić to wszystko ryczałtem, z ziemią, na której włościanin posiadał grunt, wydzielony za przymusową robociznę. Włościanin tedy był to tak zwany „glebae adscriptus“, którego ruchów granicę stanowiła granica wioski, gdzie wpisany był w skazki, a wyemancypować się mógł jedynie, czy sam czy z rodziną, za okupem, którego pan samowolnie ustanawiał wysokość. Dopóki był poddanym, nie miał najmniejszego prawa do rozporządzania członkami rodziny własnej, nie mógł, choćby mu starczyło, wychowywać dzieci dowolnie, kształcić ich w szkole, rzemieśle lub kunszcie, bo wszystko to były rozrodzone machiny robocze, których ubytek wyrządzał ujmę pańszczyźnie, gdy przeciwnie, *chata siemieniasta* stanowiła potęgę dworską, jedną z sił inwentarza. Niewolno też było chłopu wybrać sobie żony należącej do cudzego poddaństwa, inaczej, jak za okupem, zwanym *kunica*. Takie przynajmniej dwie sceny wykupu narzeczonych opisuje Kraszewski; przeciwko czemu to tylko moglibyśmy przytoczyć, że byliśmy osobiście świadkami podobnie mieszanych małżeństw, ale bez okupu; a czy to stało się skutkiem prawa, czy skutkiem łaski, trudno nam dziś sprawdzić; to pewna, że nawet propozycja ze strony narzeczonego nie była czynioną, i wszystko kończyło się na formie prośby i przyzwolenia. Jesteśmy pewni, że jeżeli to krzyżące nadużycie leżało w prawie, to oprócz brudnych wyjątków, obyczaj wstydił się z niego korzystać, zarówno jak z prawa przynależnego spadek tylko w czternastej części dziedzictwa ogólnego majątku dla córek. (Por. powieści: *Latarnia Czarnoksiężska* i *Jaryna*).

I cóż włościanin otrzymywał za tyle przymusowej abnegacji z rzeczy człowiekowi najdroższych, które miliony jemu podobnych posiadały dokoła niego, nic sobie z posiadania ich nie czyniąc? Miał kawałek gruntu, zaledwie chroniący od głodowej śmierci i to jeszcze przy pomyślnym urodzaju a nielicznej rodzinie; wolno mu było paść bydło na wspólnym wygonie, czerpać wodę ze wspólnego źródła

dła i drzewo ze wspólnego lasu. Figurowały wprawdzie na papierze jakieś wspólne śpichrze zapaśne na wypadek nieurodzaju, do których i dwór miał się przyczyniać, ale w rzeczywistości była-to fikcja, zręcznie maskowana pozorami.

Prawo chroniło wprawdzie włościanina od nadużyć dworu; co rok z wiosną zjeżdżał do wsi urzędnik powiatowy, by odczytać gromadzie jej przywileje i obowiązki, w języku mało zrozumiałym, w treści niesłuchanej, bo znaniej jako prosta formalność; i na tém ograniczała się opieka, pozostawiająca dolę włościanina na dyskrecyi bezpośredniego stosunku. Dola téż ta zależała głównie i jedynie, rzecz można, od charakteru i uczuć osobistości, stykającej się bezpośrednio z gromadą: od dziedzica, rządcy, ekonomy, pisarza prowentowego; czasami proboszcz nie pozostawał bez wpływu. Jakżeż to można, było na rzecz ludzkości i wszelkich wysokiego rzędu interesów wyzyskiwać tę złotą minę podobnego stosunku, a jak ona bezpłodnie zmarniała! Owszem, wyprodukowano z niej kruszec, ale podobny temu, z którego wybite były srebrniki Iskaryoty.

Nie zadowolęń téż i uniesień nad temi stosunkami pełną jest prasa współczesna, ale przestróg i oburzeń. Jeden tylko „Tygodnik Petersburski“ nie należy do chóru, milczy albo mityguje, i nie podobna mu się myśl wyprowadzająca „Ostapa Bondarczuka“ z kurnej chaty do salonu. Był-to jednak głos odosobniony; inne, ile umiały i mogły, częstokroć bez talentu, czasami bez dostatecznego taktu, ale zawsze w dobrej wierze i z dobrém przeczuciem wskazywały szkodę i niebezpieczeństwo egoizmu, apatyi, braku poczucia się w prawdziwym obowiązku obywatelskim.

Sawka Kraszewskiego, jako epizod luźny, wstawiony prawie bez związku w obrazy szlacheckie „Latarni Czarnoksięskiej“ (1843), był manifestem młodzieńczym, protestacją przeciwko postępowaniu dworów, utworem, w którym werwa uczucia nie umiarkowała się jeszcze dostatecznie karbami artystycznymi. Nie szukaj tam téj pełni charakterów i harmonii estetycznej, która późniejsze utwory ludowe Kraszewskiego stawia w rzędzie niespławiłych obrazów rodzajowych, — ale znaleźć tam możesz niemal całkowity zarys historii włościan jednej prowincyi, ich stanu społecznego. Autor odbywa tam studyum na jednej rodzinie, ale ta jedna rodzina — to wszyscy.

W chwili krytycznej matki, przybywa do chaty znachorka i za jej przybyciem chata z bogaciła się (czy nie zubożała?) jedną duszą więcej. Według obyczaju, trzeba bodajby za ostatni lub pożyczany grosz wyprawić chrzciny, na których zapije się kto żyw, aż do starszyzny gminnej i cerkiewnej... Jakże się wychowa ten no-

woprzybyły? Zaledwie porzuci wyschłą pierś matki, zdany na ręce mało co starszej siostry, wygrzewać się będzie w piasku lub błocie przed chatą; zgłodniały, stacząc będzie walkę z psem lub kotem o spleśniałą kromkę chleba, ale zdrowa i silna natura doda mu sił, i wyrośnie, jak energiczny chwast na wydmie piaszczystej. W miarę wzrostu, a więc w miarę większej potrzeby posiłku, nie może już pozostać bezużytecznym w chacie; ledwie też wstanie na nogi, już go czeka obowiązek i praca; rozpoczyna się praktyczna jego edukacja od pasania gęsi, a ponieważ zakres jej niedługi a ćwiczenie częste, Sawka w kilku leciech uczyni postęp ogromny. W wieku, w którym innych chłopców nianki prowadzą na paskach, on w cerkwi żegna się i bije czołem; gdy prowadzą umarłego, on rzuci garść piasku pod koła; gdy pan przejeżdża, on się pokłoni do ziemi, aż długimi włosami proch przed nim zamiecie; on zna wszystkie drogi i zakątki siola, wszystkich sąsiadów, a bydelko swoje rozróżni choćby w tysiącu podobnych.

Ale kiedyś nareszcie dzieciak wyrasta na człowieka, na istotę odpowiedzialną za siebie. Na ciężką dla wsi chwilę przypada młodość Sawki.

Powiedzieliśmy już — dola włościanina, jako maszyny roboczej, zależała od ręki, która nią władała. Dotąd, ekonom dawny, jakkolwiek ciężki, dawał się przecie ubłagać włóczębnem, kwaterką, czarnemi oczyma dziewcząt i pokłonami gospodarzy. Obecnie nastał inny, który począł od chłost niemiłosiernych, od zaszczepienia grozy i wpojenia posłuszeństwa; było czy nie było za co, on bił i bił od rana do wieczora, a nużby się kto poskarżył przed rządcą, ten poprawił jeszcze po ekonomie. Bo pan rządcą był człowiekiem chciwym, który korzystając ze świeżego właśnie wyjazdu dziedzica w podróż kilkodniową, chciał się czempredziej na chłopie zbogacić, ekonoma przypuściwszy do przymierza i współki. Nie dość więc, że nie było żadnego rachunku pańszczyzny, że dnie kobiece liczyły się za nic, że prządki w dzień szły do rządcy na folwark, że robocizna trwała od świtu do zmroku, ale jeszcze utworzono nowe daniny i osypy, któremi przemyślny plenipotent wraz z ekonomem zwiększali swoje dochody.

Za takim uciskiem nędza wkraczała do wsi pśpiesznie i każda chata odczuwała ją srodze, témbarzeziej chata Sawki, w której nie było młodycy hożej, coby przez uśmiech, wyciśnięty strachem, mogła ulagodzić ekonoma, i nie było zapasiku, którymby można na chwilę męczarnię okupić.

Aż samo przez się ulżyło się chacie. Starszy brat Sawki, wzięty do owiec dworskich, którego jednak chacie żywić kazano, bity codziennie, opuścił głowę i ręce, pobladł, zachorzał i umarł.

Zbito mu cztery deski, zapłakali, zapili żal, i zapomnieli o Parchomie, bo praca bez tchu i końca wałną stanowi dystrakcją. Na jego miejsce wzięto do dworu brata średniego, całe gospodarstwo przynależne chacie pozostawiając na ręku dwojga starych rodziców, zapracowanych na polu pańskim, bez wytchnienia, z pomocą tylko jednego Sawki, który stracił już owę beztroskliwość chłopięcą, ale pracował nad siły z rodzicami, stękając i bolejąc wraz z nimi.

Jednakiej w swych częściach składowych używając doli, cała wieś stanęła w ruinie; a tymczasem rządca, co był zajechał na folwark dwiema ostrokościstemi szkapami, czwanił się teraz w kocobryku piątką koni w krakowskich chomontach. Ekonom, co się przywłókł na mizernej kobylinie, wioząc za sobą na wołowej furmance żonę z bladymi dzieciskami i zielony kuferek lekki, bo pusty, jeździł teraz nejtyczanką trzema gniadoszami i palił tytoń zalibocki z piankowej fajki.

Ale przychodzi i na niego kréska. — Ten „Lach psiawiara bez sumienia“, jak go nazywają we wsi, tak raz kiji uczestował jednego młodego chłopka, że pomimo żalu, gromada z pewnym zadowoleniem wyglądała śmierci ofiary, ażeby sprawę tę ujawnić przed władzą. I rzeczywiście tak się stało. Na wieść o tém, na folwarku zawrzało jak w piekle. Gromada stanęła groźna, chciwa śledztwa, proboszcz odmówił pogrzebu. Daremnie ekonom, rwąc się za włosy, obiecywał podwładnym złote góry, gromada święciła jakieś wesele zemsty, radując się kłopotem ciężyciela, który wiedział, że w najszcześniejszym przypadku usuniętym zostanie, opłaciwszy się dobrze doktorom, asesorom i całemu sądowi. Jakoż za zejściem komisji, obejrzenie okazało, że wprawdzie świeży pobój mógł się do śmierci przyczynić, ale i to także być mogło, że Denis umarł z nagłego napływu krwi do górnych trzewi niekonięcznie z pobojem, — jak twierdził, ni czarno, ni biało, doktor Niemiec, który, zebrawszy krocie na urządzie lekarza powiatowego, jeszcze się nie wahał przedawać za kilka rubli. Ale zeznania gromady inny nadały obrót rzeczy: świadectwa nadużyć i bezprawi tak się nagromadziły, że, pomimo całej łagodności, z jaką uwzględniano sprawę złochnicy, zmuszono go do opuszczenia służby i oddano pod sąd.

Pozbycie się takiego smoka stanowiło wielką wygraną gromady, i ojciec Sawki uczucia jęj skreślił w kilku szlachetnych a gorących słowach: — „Płakać i weselić się... jeden umarł, a wszystkim będzie lepiej! żal tylko starej matki. Sława tobie i dzięki, Denisie, bo ty umarłeś, żeby nas wybawić z ucisku, i będą ludzie w sto lat chodzić na twoje mogiłę, a ciebie wspominać!“

Ale to kwestya jeszcze, czy gromada pod innym względem le-

pięć wyszła na zmianie? Wprawdzie i sam rządca, przerażony wypadkiem, zwolnił i przyjął ekonoma młodzika, wcale nie z narowami chciwości, ale tak erotycznie nastrojonego, że cały dzień uwijał się za młodzycami i pokoju im nie dawał, z czego śmieli się tylko obojętni małżonkowie, ojcowie i bracia.

Okoliczność ta ważną w życiu Sawki odgrywa rolę. Chłopic ten, kiedyś, podczas prawnika wiejskiego, pilnując wieczorem koni w zaroślach przydrożnych, ujrzał napaść ekonoma na uciekającą ze strachem dziewczę, i w chwili dla niej najkrytyczniejszej pośpieszył z tak skuteczną pomocą i tak sękatym kijem, że pomimo prób, płaczu i całowania w ręce, napastnik odszedł do wsi trochę na całym ciele zdemontowany, i oczywiście buchający zemstą, a Sawka odprowadził dziewczę do cudzej wsi, skąd pochodziła. Odprowadzenie to spowodowało bliższe poznanie się i sympatyą.

Sympatya ta wzmogła się jeszcze w skutek zemsty ekonoma, który nauczony świeżym przykładem poprzednika, nie śmiał wymierzyć na skórze Sawki doraźnej sprawiedliwości własnego autoremamentu, ale skorzystał z okazji legalnej.

Według dawnego porządku rzeczy, pobór wojskowy po wsiach odbywał się przy udziale dworów, którym pozostawiano wybór z liczby poddanych wyznaczonego kontyngensu rekrutów. Rozumie się, że Sawka w wyborze tym otrzymał najcelniejszy numer, dzięki troskliwości ekonoma o jego przyszłość rycerską. Ale Sawka mniej dbały o laury wojenne, skrył się do gościnnej chaty Hrehora, któremu córkę uratował od napaści sromotnej, i tam czas grozy bezpiecznie przesiedział, używając go na bliższe zacieśnienie węzłów z tą nową rodziną. Kiedy po przejściu burzy rekruckiej wrócił, zastał szczęściem innego już ekonoma, i, uszczęśliwiony, wysłał swaty o rękę Naści, która, że była obcą, musiał jeszcze za nią zapłacić tamtemu dworowi pięćdziesiąt rubli, ażeby mu ją odstąpiono.

Nie wiedział, że kupuje sobie biedę. Naścia była młodzą uroczą; wszystko też, co mogło korzystać z wyższości położenia, uwijało się koło niej w zalotach, a najczynniejszy okazał się syn rządcy, młodzian świeżo odziany w futerał un'wersytecki. Pominijmy całe stopniowanie wrażeń, przez jakie przeszło serce młodej niewiasty od pierwszego oburzenia aż do zasmakowania w tych grzesznych zalotach, których, niestety, nie pierwszym i nie ostatnim była ona na wsi przedmiotem: zdarzały się nawet i takie, które jej zazdrościły. Sawka domyślając się wszystkiego, posmutniał, zbrzydził sobie dom i pracę; nie poszedł się wprawdzie utopić w stawie, ale co dnia topił się w karczmie. Szlachetny atoli z na-

tury nia mógł być widzem obojętnym sromoty i postanowił zaprotestować. Dybał na schadzkę i zdybał. Pół życia zaledwie został w niewiernej żonie i w jej uczonym gachu, a sam uciekł za kordon, do jednej z nadgranicznych wiosek halickich, które pełne były zbiegów z sąsiednich prowincyj, zagnanych wichrem ucisku i nadużyć.

Powróciwszy z tęsknoty po kilku latach, nie mógł się spodziewać spokoju i zapomnienia, nie zastał już starego ojca, ani żony niewiernej; zmówił pacierz na ich mogiłach i rozpoczął nowe życie, a raczej wrócił do dawnego na zwróconém mu gospodarstwie, wlokąc dalej ten żywot paryasa, sprawdzając niejako na sobie to, co Kraszewski miał we dwadzieścia lat później w ogóle wyrazić: — „Chłop widocznie stworzony został przez Boga z przeznaczeniem tego, co znosi; inaczej, jakżeby wytrzymał to, czego my dziesiątej części znieść-byśmy nie potrafili!” (*Hist. kolka w płocie*, wyd. lw. str. 23).

Jest rzeczą niezawodną, że nie każda wieś, nie każda rodzina i nie każda jednostka stanowiła obraz powyższych przejęć; być może, jest-to obraz pesymistyczny, kreślący maximum niedoli: ale to pewna, że wszystkie pierwiastki, z których się składa, są rzeczywiste, sprawdzalne, a w obrazie tym tylko nieco więcej skoncentrowane. Pierwiastkami temi są: niewola, praca i hańba, — jakoby wydzielone na los chłopu, skutkiem dawniejszych urządzeń państwowych, niemitygowanych inicjatywą obywatelską. — Trzy te pierwiastki koniecznie wchodzić muszą w grę tam, gdzie chodzi o kreślenie żywota włościanina ówczesnego, i umysł pisarza musi o nich objawić swe zdanie. Wysyłając w świat rodzinny tę energiczną przegrawkę do swego koncertu ludowego, Kraszewski uczynił to jeszcze w sposób więcej liryczny; niemniej jednak w boleśnej tej psalmodyi, objawiają się pewne próbki charakterów indywidualnych, ogólne tła usposobień gromadnych. Nie apoteozuje on tu chłopu, jak niektórzy pisarze ludowi bez taktu i smaku, przedstawia go owszem częściowo złym i zepsutym, tak jak jest w istocie, skutkiem edukacji wiekowej; wskazuje tylko na jego naturę, w gruncie uczciwą, lubo zachwaszczoną naleciałościami nieprawości, tak hojną sypać emi ręką. Pozwala sobie nawet z tego powodu wprost refleksyj moralnych, argumentów *ad hominem*, wydających zamiar tendencyjny tego epizodu. Powiada, naprzykład, mówiąc o wieśniacze: — „Któż niema prawa zaczepić jęj, zelżyć słowy, uściskiem, wejrzeniem, śmiechem; kto nie ma prawa sponiewierać małżonka w oczach żony, żonę w oczach męża? Każdy swobodniejszy od nich, każdy się biednej kobiecie wyższém częms od jęj współtowarzysza wydaje; a za krok na drodze występku wszakże płacą względami, ulgą w pracy, pieniędzmi; wszakże jest za-

chęcią do występku pobbłażanie dłań, a razy, a prześladowanie, a przemoc nawet, dla cnoty odpornej... Nie śmieście się z zepsucia w niższych klasach, wy je sami robicie, rzucając ziarno, z którego wyrasta: wy je sami podsycacie“.

Wprawdzie tu nie przedstawia jeszcze autor w postępowym procesie psychologicznym tego przejścia od ciemnoty i naiwności do wyrachowanego zepsucia, w jakie często popada natura włościńska, ale, łącznie z całą prasą współczesną, wytyka powody, leżące we wpływach gorszących przemocy, na nią zwałając całą odpowiedzialność. — „Dziwicie się naszemu wieśniakowi — powiada — że czasem zepsuty, popełni występki; dziwujcie się raczej jego cnocie. Maż on oświecenie, maż czas zastanowienia się nad sobą, maż obmyślany chleb na jutro? Ciężka, ciężka jego dola. A kto jój ulżyć się nie stara, ten wiele winien przed Bogiem i przed ludźmi. Za zbrodnie wielu poddanych karać-by panów potrzeba, i Bóg sprawiedliwy wymierzy każdemu według zasług jego“.

Kraszewski z późniejszej epoki niechętnieby się podejmował tych kaznodziejstw, których tu w biegu akcji nie szczędzi; powiedzieliśmy też, że utwór ten pochodzi z czasów mniejszej dojrzałości kompozytorskiej a większej bezpośredniości wrażeń. I pomimo też wiotkości konstrukcyi, oddziałał wrażeniem: cytowano go sobie często ustnie, zajmowano się nim piśmiennie; epizod ten był niejako tym gazem, który oświecił całą *Latarnię*, przez niego jedynie, rzecz można, znaną i polubioną. Bo był-to rodzaj proklamacyi wydanej przez młodego i sympatycznego pisarza, za wkroczeniem w granice nowej krainy, którą miał eksplorować. Dziwiono się, przyklaskiwano — a ztémwszystkiem był-to groch na ścianę, którego nie byłoby co zbierać dzisiaj, gdy ściana się przewaliła; ale obowiązek historyka podejmuje skrzętnie ten przyczynek do dziejów kamienicy Kukurowieckiej, przedstawiający, jak daleko zajść może zaślepienie przemocy, pozbawionój uczucia ludzkości i podstaw etycznych.

Żywioły nagromadzone w tym utworze rozchodzą się i dalej, powtarzają; — zmienia się forma, ale treść tendencyi, poądzająca klasę wyższą do opamiętania się i reformy, pozostaje tąż samą. Kraszewski ma przez dwadzieścia lat odwoływać się do sumienia narodu, wykazywać wartość podobnego dzieła, przekonywać mocą talentu, że materyał ludowy godnym jest takiej ofiary z egoizmu. I po latach dwudziestu ma znowu wydać manifest ostatni, kreślący zawód swój, rozczarowanie — potępienie.

Z faktem tym pisarskim łączy się fakt obywatelski Kraszewskiego, który, jak wiadomo, po rok 1860, będąc posiadaczem ziemskim i mieszkając na Wołyniu, używał wszelkich prerogatyw stanu.

Pomiędzy rokiem 1856 a 1861 była chwila głębszej refleksji w kraju, refleksji, która wprawdzie nie powinna była dać się sprowadzić na bezdroża, ale która niezaprzeczenie miała i swoje momenta poważne. Do takich należał взгляд ekonomiczny, wychodzący z łona Towarzystwa Rolniczego, implikujący zarazem i urządzenie stosunków włościańskich. Otóż w chwili najgorętszych na Wołyniu rozpraw w kwestyi wyzwolenia i uwłaszczenia, Kraszewski, jako obywatel ziemski, głosem swych powieści ludowych przemawia na zebraniu statystów... Głos jego—o! czcigodny egoizmie!—takie rozniecił oburzenie w gronie obradujących, że czasu wyborów, zpomiedzy trzystu głosujących, miał Kraszewski za sobą dwóch tylko, to jest zięcia swego Łozińskiego i Dunina. Nauka poszła w las, a fakta poszły drogą Nemezy. Kraszewski silnie zaprotestował w „Gazecie Warszawskiej“ przeciw obywatelstwu wołyńskiemu i porzucił towarzystwo, z którym go tak głęboka rozdzieliła przepaść, by myśl swą snuć dalej na tle publicystyki, jako redaktor „Gazety Codzienniej“.

Jak dalece próżnemi były jego usiłowania literackie, podejmowane przez lat dwadzieścia w kwestyi włościan, widać i stąd, że pierwiastki bolesne, wypełniające epizod *Sawki*, przenoszą się i do *Historji kołka w płocie*, koniec wiąże się z początkiem temiż samemi ogniwami, i dwa te obrazy stanowią symetryczną odpowiedniość: różni je tylko ogromna w ostatnim przewaga siły artystycznej tak, iż ten łączy w sobie zarazem zalety broszury socyalnej i malowidła estetycznego stopione w jedność, nad którą nadto wdzięczy się alegorya.

Wśród ruin zniszczonego lasu, wyrasta gdzieś z korzenia starego dębu młody dąbeczak zaniedbany, naturą silną walczy o byt z chwastami i innymi drzewy, chcącemi go zagłuszyć i zniszczyć; już znaczny ponad inne, wystrzeliwa coraz śmielszą koroną i szepce coś miłośnie z sąsiednią sośninką: zostaw mu tylko swobodę wzrostu, a stanie się królem, podziwem gaju. Ale nie! Kiedy dąbeczak ukazał zaledwie swe atletyczne kształty, ludziom właśnie nieopodal zawałił się płot i trzeba go było naprawić, ku czemu wielce przydać się mogły młode łodygi, wyrastające na bezużytecznym zrębie. I tak dąbeczak ów, uznany za wielce dogodny, padł pod siekierą, i z domnianego króla gaju, poszedł gnść, jako kołek w płocie.

I Sachar z chaty Semenowej, rówieśnik owego dąbeczaka, posiadał podobne jemu przymioty i siłę... jako urodzony artysta. Historia jego jest analogią historii kołka w płocie, napisaną nie, jak dzieje Sawki, w tonie lamentu i deprekacyi, ale tak sobie z fantazyą, która łączy pokrywa śmiechem, boleśń żartem, i już nie łączy ani

strofuje, tylko nie wymieniając nikogo po imieniu, uderza niby omackiem, w ciemności, naoslep, ale zawsze jakoś trafi w pierś, w którą wymierzyła, pociskiem wyrzutu, zaostrzonego dowcipem. Cały rozdział czwarty, wysnuwający genealogią chłopstwa, stanowi próbkę takiego dowcipu, urągającego płaskim krótkowidzom, którzy nadużycia swe chcieli maskować różnicą rasy, tak jak równocześnie obywatele Stanów Zjednoczonych głosili nieczłowiecze pochodzenie murzyna. Tu równie jak w rozdziale siódmym i ósmym, a wreszcie i w rozmaitych ustępach książki, dowcip Kraszewskiego dochodzi niejednokrotnie do werwy pamfletu: już autor znużył się daremnym przez lat dwadzieścia zachęcaniem, przedstawianiem poważnym, teraz drwi, ale czuć, że przy tych drwinach serce mu marznie i pęka.

Otóż ten Sachar, ten przyszły kołek w płocie, był synem Charytona, który przyszedł do niego tym sposobem, że się ożenił z Wasylissą, dziewczyną służącą na folwarku. I cóż dobrego zrobił? To prawie, że się powtarza historia Sawki z Naścią. Próżno mu ojciec Semen odradzał; ale co robić! Wieśniacy — powiada autor — także tej nieszczęśliwej chorobie podlegają, która się u nas miłością zowie, a rzadko i z nich który wyjdzie cało: naznacza ona, jak przebyta ospa, na całe życie. Wasylissa, jako dwórka, w cienkich chodziła koszulach i śliczne pieśni śpiewała, a śliczną była, że aż nasuwało się pytanie, skąd w tym rodzie Chama biorą się takie ładne twarze, żywe oczy, zgrabne kibicie, a zwłaszcza ręce i nóżki? Jako żona też, młodyca ta, nawykła do innego trybu życia na folwarku, w chacie po tygodniu posmutniała. Raz-wraz przychodzili nieproszeni goście, na których pies domowy ujadał; młodycy stroić się chciało choćby na pole, w niedzielę tęskniła do tańca i skrzypek, a w domu jakoś z robotą nie szło, i musieli ją zastępować, bo ją białe rączki bolały. Choć to ze dworu dziewczyny różnie wychodzą, nie była to przecież kobieta zła, tylko zanadto chwyciła próżniaczęj natury dzieci Jafetowych, zanadto zasmakowała w atmosferze ich świata, i w nowym środkowisku czuła się niby okradzoną. Tego było dosyć, ażeby zatruć życie rodziny, nie mającej czasu na to, aby folgować marzeniom.

Najpierwszemu dzieckiem jój był Sachar, nic do ojca niepodobny, ale za to istny obraz matki, fizycznie i moralnie. Piękny, zdrowy i silny, przyniósł z sobą w duszy coś Jafetowego: smutek macierzyński, pragnienie rozrywki, marzenie i upodobanie w swobodnym spoczynku, słowem zupełny kontrast z tém, do czego przeznaczało go urodzenie.

Ściele mu się też istne życie Prometeusza przybitego do skały, Pegaza ujarzmnionego przy pługu: odwieczna bajka, która nie prze-

stanie być wiekuiłą prawdą. Niepotrzeba wprawdzie być na to chłopem wołyńskim, ażeby padać ofiarą skłonności, zgwałconych przymusem; i w klasach, zupełnie rozporządzających ruchami własnego ciała, zdarzają się bardzo często takie fatalizmy: ale tu przynajmniej próbować można; i nieraz dziecko nękanie przez rodziców roztropnych za folgowanie jakimś zachceniom powyżej stanu, urwie się, by wbrew nawet okolicznościom nieprzyjaznym powstać autorem „Zbójców“ lub „Ostatnim Minstrelem“. Inaczej wszelako tam być musi, gdzie granica ruchów jest ścięśnioną do minimum.

Sachar wybujał krzepki i barczysty, jak ów dąbczak w lesie, ale i jak ów dąbczak czuł się przyrosłym do ziemi, wówczas gdy chciało mu się dosłuchiwać szmeru dalekich gromad ludzi. Matka śpiewem, las szumem, łąki wonią, wody szmerem tęsknym wychowały go na marzyciela: świtało mu coś w głowie, snuło się w myślach niewyraźnie, chciałby to sobie rozjaśnić, rozświetlić, a tu zewsząd były nań ciemności otoczenia; zdawało mu się, że niepowinien zostać przy roli, chacie i tém życiu, zewsząd zamkn iętém dla nadziei wszelkiej, wybiedz na przestwory szersze, a wszędzie znajdował zapory i przymus.

Nie było z niego pociechy w chacie: artysta gnębił w nim chłopą. Zyskał też miano niezdary (netiamet); ale że dobrym był do rady, do tańca, że zadziwiał wszystkich sprytem, uczynnością w potrzebie, że śpiewał, czego się nigdy nie uczył, folgowali mu wszyscy i lubili go, niby jakiegoś nieszkodliwego cudaka, paniątko w skorę chłopską zaszyte. Wiodło mu się też doskonale i wesoło. Ale to taka bięda z człowiekiem, a nawet z chłopem, że kiedy mu się wiedzie, to nigdy nięma dosyć: chce się więcej, bogdaj gwiazdki z nieba, do której nie dojść, chyba przez otwór w ziemi. I Sacharowi też chciało się zawsze nie tego, co było, ale co być nie mogło. Czekał jutra nie śpiąc, a po wczorajszym dniu płakał. I tak to wyrósł on na podziw ludziom, na utrapienie sobie.

Bo z domem i gromadą, to jeszcze pół biędy: swoi, więc wyrozumiali, o ile chamskie plemię rozumować może. Ale Sachar był oprócz tego jedną ze sztuk dworskiego inwentarza, a tu uważano nieraz, że gdy ekonom dawał mu nauki moralne, to chłopiec ziewał i spoglądał na ptaki uwijające się w powietrzu. A lubo dwór nie był co do kropki podobny do tego, który opiekował się takim „Sawką“, ale nie wiele go to wzruszało, że ma w swojej wsi chłopaka, który ucieka gđzieś w zarośla ustronne ze skrzypką, i nieuczony, gra do zasłuchania, tak że aż panięki idące ze dworu rade nadstawiają ucha. Mnięj estetycznie wrażliwy ekonom, podczas poboru rekruta zauważył, że lepiej oddać do wojska taką naturę

awanturniczą, w gospodarstwie nieprzydatną, a zaoszczędzić zdolniejszego: rozumowanie bardzo logiczne, którego jednak nie podzielała matka, i syna wyprawiła w świat.

Uchodząc z tęsknotą w duszy za swojemi, ze skrzypką i bochenkiem chleba, młody Sachar spotkał na gościńcu starszego brata po duchu, grajka, który utalentowany, ale niefortytowany, jechał na jednokonnej biedce szukać szczęścia w stolicy. Poznali się, zbliżyli, pokochali i razem udali w podróż. Pod kierunkiem nowego przyjaciela, wzmogła się technika gry Sachara, ale duch borów pozostał; i gdy z czasem dorwał się skrzypki, jęczał na niej takimi pieśniami, jakich w murowanym świecie słyhać nie było, i lubiono Sachara więcej za te dzikie śpiewy, niż za jego uczoną muzykę. Nie wpłynęło to jednak pomyślnie na położenie obu muzyków; starszy umarł wkrótce z wycieńczenia, Sachar zaś z tęsknoty powrócił do swoich.

Radość połączona ze strachem towarzyszyła powrotowi jego w rodzinie, ale ta muzyka dziwna zjednała mu nie tylko przebaczenie we dworze, lecz pewną nawet względną zyczliwość. Powiadamy, względną, ale powinniśmy powiedzieć, wysoką; bo dwór, podziwiając niezwykłe zjawisko w tym młodym, bladym i długowłosym włóczędzie, już go nie zdegradował do pług, ale zatrzymał go przy sobie, na szaczytném stanowisku... lokaja. I nie sądzmy, ażeby względność ta nie braną była naseryo. Słyszeliśmy na własne uszy, jak jeden dziedzic, biorąc chłopaka ze wsi na posługi pod rozkazy kredencera, oświadczał z całą świadomością wyświadczonego dobrodziejstwa, że chłopak tym sposobem wyjdzie z czasem na *człowieka*.

Tak dąbczak rówieśnik schylić musiał czoło liśmi szepcące z wiatrami, by w gronie osiczyny stary płot podeprzeć. Tak Sachar stanął wpośród gawiedzi liberyą okrytą, dzięki swemu talentowi, by po wyczyszczeniu butów i zamieceniu pokoju czasem państwu sprawić muzyczną rozrywkę. „Dziwna rzecz — mówił o nim sam pan dziedzic, rozumiejący, że najprzystojniejszemu stanowiskiem dla ucziwego szlachcica jest pantofel żony — dziwna rzecz: gra ci mazura i ochoczo, od ucha, a lichy wieć, jak brzęczy w nim coś, niby skarga i krzyk straszny... mnie po jego granii zawsze, jakbym z pogrzebu wrócił: i uważam, że Dosia chodzi smutna, Adelajdzia także, nawet chłopcy pomywacze nosy spuszczaają... osobliwszy człowiek i gra jakaś dziwna“. — „Żeby tak na mnie — szeptał znowu Matyasz, przywódca służby, chłop już wyjafecony — jabym go puścił w świat, bo to gotowo jakiej biedy we dworze narobić... Nieprzytomny chodzi, nie rozumie, co się do niego gada, nie boi się nikogo, łaj go, ani drgnie, bij, ani się ruszy,

a w dodatku po cichu płacze... i wszystkie dziewczęta chodzą za nim jak za malowanym obrazkiem. Naco we dworze taki sługa? Uczciwy, to prawda; ale co mi z tego, że on z dobrej woli uczciwy, kiedy ja kijem z każdego zrobię wzór cnoty i posłuszeństwa“.

Takich renegatów chłopskiej doli, którym dwór tylko swoje wady zaszczeplił, wyniszczając zalety naiwności i prostoty, często przedstawia Kraszewski jako pomiot i jedną z najsmutniejszych ofiar stosunku niewolnika do pana. Człowiek taki, z istoty dzikiej, posiadającej przynajmniej otwartość natury wolnej a uszlachetnionej piętnem niewoli przymusowej, człowiek taki, we dworze nawykając do służenia na łapkach i zbierając korzyści dobrowolnego zaprzęgnięcia, wyradza się powoli i przyjmuje naturę psa domowego, który łasi się do fraka, a zajadle szczeka na łachmany i z tyłu zachodzi, aby ukąsić.

Ale Sachar tak był już życiem złamany, tak wygięty, że z obojętnością prawie przyjął to upokorzenie swoje, którego doniosłość w duszy, oddanej skłonnościom wyższym, rozumiał, a którym opłacić musiał szczęście przebywania wśród swoich. Szczęście to miała naprawdę szczerzywistnie miłość: ale i tu wdanie się dworu tylko fatalny dało jej obrót. Sachar pokochał Natalkę, sierotę ze wsi, podjętą przez siostrę dziedzica i wychowaną na stopie pół-sługi, pół-rezydentki, a już-to dla wdzięków, już dla wcale przyzwoitego ułożenia, poszukiwaną przez wielu wielbicieli surdutowych. Była ona Sacharowi wzajemną, ale związek ten wszystkim wydał się potwornym, zwłaszcza samej dziedziczce, która, pragnąc lepszego dla dziewczyny losu, póty ją odciągała, aż ta zdradziła słowo dane włóczędze i przyrzekła rękę innemu, po myśli pani. Dowiedziawszy się o tej zdradzie z ust samej kochanki, Sachar odstąpił krok, popatrzył długo, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zadrgały, i nie mówiąc ani sływa, odszedł powoli... Zaśpiewał i zagrał wesoło, i odtąd wesołość do końca życia nie odstąpiła... waryata. Daremnie Natalka, chwilowo tylko obaląmucona czułą opieką dziedziczki, zwróciła ku niemu całe serce: już on jej nie poznawał, tylko wciąż na skrzypce, jedynej wiernej przyjaciółce, stan duszy swojej wygrywał. Nieszczęście jego pociągnęło za sobą i Natalkę, która chorobą a następnie złamaniem życia przyplaciła chwilową niewiarę. A dwór dziwił się tylko, skąd tyle uczucia bierze się u istot wcale do tego niepowołanych i żałował ich obojga, tak jak żałuje się niemego stworzenia, jęczącego pod płotem.

Żałujemy, że z natury niniejszej publikacji zobowiązani do możliwych streszczeń musimy odmówić sobie obszerniejszej analizy tego utworu, któraby pociągnęła za sobą wykazanie artystycznych szczegółów, jakimi on się odznacza, zwłaszcza co do sa-

měj charakterystyki tego chłopa-artysty, rozrywanego mocami wprost sobie przeciwnemi. Ze społecznego punktu przejrzystym on jest dostatecznie i jasno wypowiada myśl, ile to przez wieki zmarniało istot wyższych, nie mogących wydobyć się ze stanu niewoli do swobód stanu średniego, już-to przez surowość instytucyi, już też przez obojętność klasy, nie umiejącój lub nie chcącój ocenić pożytku ogólnego, jakiby powstał z takiego podniesienia poziomu mas. Pomimo radykalnych zmian, czyniących niepodobnym powrót takiego stanu rzeczy, nie sądźmy, ażeby tendencyjność takiego utworu, jaką była przed r. 1861, dziś zupełnie utraciła znaczenie. Stosunki się zmieniły, ale cel pozostał ten sam.

Pomiędzy dwa takie utwory, jak *Sawka* i *Kotek w płocie*, ujęta działalność na polu ludowém Kraszewskiego, dobija się uznania w etyce narodu, dając do domysłu dewizę: „ab uno disce omnes“. Ale nie byłaby ona wierném odbiciem obrazu historycznego wewnątrz narodowych, gdyby, co do cech głównych, nie środkował między niemi utwór trzeci, uzupełniający niejako to, co w tym przedmiocie było do zaznaczenia. Stan zależności, jakkolwiek niemiłym jest, nieprawym i nienaturalnym, może mieć wszelako pewne korzyści, dopóki władza nie staje się przemocą, ale przeciwnie, nakładając na umysł oświecony pewne obowiązki, dba o ich wykonanie. Jakkolwiek reformy liberalne wprowadzilibyśmy w stosunki społeczne, nie sprawimy tego, ażeby dzieci nie były zależne od rodziców, sługi od panów, robotnicy od pracodawców, słowem, ażeby możniejsi, rozumniejsi i bogatsi, nie przewodzili nad uboższemi w duchu i znaczeniu. Równość więc i niezależność zawsze będzie rzeczą prawem i ideałem społecznym, niżeli rzeczywistością, i widzimy to w społeczeństwach najlepiej nawet, jak na dzisiejsze czasy, urządzonych. Zależność zatem, wcale niepożądana, bo świadcząca o małoletności mas, przyjęta wszakże jako fakt dopuszczalny a w pewnych warunkach konieczny, kierowana wyższemi zasadami moralnemi, wytworzyć może pewien stan tak zwany patriarchyalny, rozwijający obustronnie uczucia miłości — stan, którego niejednokrotnie widzieliśmy w dziejach obrazy tchnące błogością i poezją. Stan z przed roku 1861, jeżeli niełatwym był do zmienienia, mógł wszelako wytwarzać podobne obrazy, pod warunkiem tych zasad moralnych, o których mówimy — i wytwarzał je tam, gdzie podobne zasady istniały, a Kraszewski przykład podobnego stosunku przedstawia w *Eadowój Pieczarze*, utworze środkującym w porządku chronologicznym pomiędzy wstępem i zakończeniem jego obrazów ludowych (rok 1852). Miał to być zapewne z jego strony inny rodzaj pobudki reformistycznój: apologia przeciwstawiona krytyce.

Ażeby nas nie posądzono, że szeregując pojedyncze utwory mi-

strza, przypisujemy mu zamiary i konsekwentności, które mogły być czystym przypadkiem, powołujemy się na jego własne słowa wyjęte z przypisku wstępnego do tegoż utworu w edycji powtórnej lwowsko-warszawskiej: — „I to też historia przeszłości—powiada — stosunków patryarchalnych, po których dziś zostało tylko wspomnienie... Sto lat nas od tego świata dworu i wioski, gromady i pana przedziela... Z pewnych względów moje opowiadanie to, jak *Historja kotka w płocie*, nazwać się może materiałem do dziejów przeszłych społeczeństwa naszego.“

Sam więc autor upatruje pewną łączność między temi utworami, do których my nadto zaliczamy i *Sawkę*. A choćby nawet tendencyjności nie towarzyszył tak jasno sformułowany zamiar a priori, niemniej widocznie skleiła się ona a posteriori, iżbyśmy nie mogli jej dostrzedz.

Ważną wskazówką z tego przypisku jest to, że autor nie napotkał nigdzie tego stanu za swego życia, ale materiał do swego opowiadania o *Eadowój Pieczarze*, natchnionej oglądaniem tajemniczych podzamkowych przejęć w Chociniu na Wołyniu, zdobył w rozmowach po drodze, których powieść jest stuletniem już echem, a więc tradycją. Podaje ją zatem autor, jako pewien wzór i postulat chwili społecznej tworzeniu opowieści.

Jużeśmy wyżej przypadkowo napomknęli, że wieś będąca teatrem tej opowieści (Stare) przechowała szczątki urządzeń pierwotnej gminy słowiańskiej, i była też to wieś, w której lud z panem starą jeszcze słowiańską jedność stanowił, trwając z pokolenia w pokolenie w miłości i zgodzie. Dwór stał na czele wioski: był jej rządem i sędzią, ale zarazem opiekunem, śpichlerzem, podskarbinem, obrońcą, przedstawicielem. Jakoby naodwrot temu, cośmy widzieli w streszczonych poprzednio dwóch powieściach, przez usta wprowadzonego tu wieśniaka, ukształconego a jednak zostającego w nieprzerwanym związku z gromadą, autor powiada: — „Szlachcic kierował mniej-więcej rozległą gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha, niż panem z matery; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całym życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonych mu gromadki, puszczał z niej w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiając przy roli takich, co tę pracę kochali, a do innej nie mieli serca lub zdatności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał“.

Że pod względem istnienia niegdyś takiego lub podobnego stanu, autor ma za sobą prawdę historyczną, nie ulega wątpliwości; dowodem, mnóstwo uszlachconego przez starszyzną chłopstwa, z którego później powstała tak licznie reprezentowana u nas szlachta zagonowa, dowodem poeci (Janicki) i wiele szlachty duchownej

wyszlęj z szeregów gminu. Dalecy wszelako jesteśmy od podzielenia zdania autora, jakoby „społeczność owa była czémś idealnie doskonałym“ i nie powiedzielibyśmy razem z nim tych słów: — „niech sobie nowi mistrze nauki społecznej szukają lepszego wzoru społeczności nad owę słowiańską, ja go nigdzie nie widzę“. — Stan taki mógł być dobrym chwilowo; że się jednak opierał na łasce i dyskretycy obyczajowej, nie zaś na prawie, więc nie był zgodnym z pojęciem natury społeczno ludzkiej, i przeto utrzymać się nie mógł. Optymizm Hrycia Soroki, owego ukształconego chłopca, któremu autor powierza swą rolę, zachodzi zadaleko, kiedy na zarzut interlokutora, wyrażający się słowami: — „zależność i poddaństwo!“ odpowiada: — „Są-to czeze słowa: z takimi, jak nasi panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?“.

Prawda: ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ... i dosyć było zepsuć się szlachcie, z jakichbądź powodów, ażeby z tego rajy patryarchalnego uczynić piekło przemocy, które tak malowniczo sam autor opisuje i na którym opis swój w ostatniej powieści zamyka. Jakich-to zatem potrzeba ludzi, ażeby stan bezprawia uczynić stanem błogości i wytrwać! To nad siły natury ludzkiej, ułomnej i kruchej. Wreszcie nie mamy co dalej polemizować z autorem w sprawie, która w tej formie nigdy już nie wróci; témbardziej, że on raczej bronił tu przeszłości naszej od zarzutów okrucieństwa, sypanych zbyt hojną ręką przez ludzi mniej znających historią, a w tej właśnie przeszłości wskazywać chciał wzory postępowania w okolicznościach podobnych a złych, i których zmienić z gruntu nie było można.

Nie sądzę, ażebyśmy potrzebowali przytaczać tu szczegóły tego życia dobrej i kochającej się rodziny, jaką tworzy dwór wspólnie z gromadą w Starém. Artyzm powieści nie wybija się tu w sposób szczególnie odznaczający, lubo akcyja dostatecznie realizuje to, co w pewnych ustępach książki, za długich może, jak na utwór beletrystyczny, stanowi niejako dogmatykę życia patryarchalnego gminy. Dość jeżeli powiemy, że solidarność obustronna, w dobrej i złej doli, wspólność interesów, gotowość do obrony i poświęceń stanowi treść budującą, a w doświadczeniu dziejowem, nawet i z czasów bliższych, nie bezprzykładną.

III.

A teraz, ułatwiwszy się choć pokrótce ze stanowiskiem społecznym autora w kwestyi ludowej, reprezentowanym głównie w tych trzech utworach, zwrócimy uwagę na jego zadanie psy-

chologiczne, uplątane w tę sieć stosunków, oraz na tło artystyczne, na którem cała ta gra, z natury kompozycji, odbywać się musi. Autor, jak to i sam wyznał, unika fotografii, któraby z niewolniczą wiernością aparatu odciskała całą powszedniość życia i duszy wieśniaczej; zadaniem więc jego będzie rozgarniać tę powszedniość i pod jej grubemi osłonami doszukiwać się w głębi ideału, niewidzialnego dla oczu pospolitych, pod warunkiem, ażeby ideał ten był odbiciem prawdy, nie zaś jej surogatem lub złudzeniem psychicznem — tak iżby to byli wieśniacy polescy czy wołyńscy, a nie wieśniacy Kraszewskiego.

Nie mamy się czego obawiać. Zdolny to reżyser: jeżeli kiedy w cyklu ludowym słyszymy głos jego, jako autora, to tylko w prologu, przed odsłonięciem kurtyny, albo zza kulisy; na scenie sam nie występuje nigdy. Chodzi za chłopem wszędzie: do chaty, przeglądając wszystkie jej zakątki, studiując nawet jej architekturę, sprzęty domowe; i wszystkie prawie jego powieści, lubo pochodzące z tych samych albo sąsiednich jedna drugiej okolic, mają swą osobną dla się topografią, osobny krajobraz, osobne domowisko — wskazówka, że autor w twórczości swój ulegał żywym podbudzeniom, czerpanym bezpośrednio od przedmiotów natury, a w całym otoczeniu człowieka widział część całkującą jego samego. I tak też, ponieważ natura i otoczenie nie były dla niego rzeczą abstrakcyjną, którą umysł podług siebie modeluje, ale wzorem konkretnym i żywym, przeto z każdego opisu powstało malowidło żyjące, pejzaż, mający samodzielną wartość sam przez się i w sobie; i wszystkie te opisy, przeniesione na płótno, utworzyły śliczną galerią drobnych lanszaftów polesko-wołyńskich, którymby ani słońca, ani powietrza, ani barw, ani różności, pomimo wspólnego tła, nie brakowało. Kraszewski ma tak żywe poczucie natury, że ilekroć dotknie się jej w powieści, wszędzie ciągnie za sobą atmosferę, a tak nią oddziałuje na współczującego czytelnika, że kiedy opis zmierza ku końcowi, radbyś znów do początku powrócić. W opisach swych trzyma się on przedmiotowości tak pilnie, że nie zaniedba najmniejszej zmiany, czy-to w samem tle krajobrazu, czy w jego szczegółach, ilekroć zachodzi zmiana warunków.

Zmiany to niewielkie, dostateczne jednak do urozmaicenia malowniczości tła. Krajobraz ziemi naszej, w owym zwłaszcza zakątku, nie przedstawia wydatnych różnic geologicznych: jedna płaszczyzna aż po samo Podole: każda wszelako przypadłość gruntu odkrywa jakby nową kartkę w albumie. Wieś na szczerem polu, a wieś nad brzegiem jakiej rzeczulki, albo wpośród lasu położona, dostarcza innego materiału malarskiego, z którego nie zaniedbuje korzystać autor. Tak też czyni i z każdą chatą, tym

nieodzownym prawie pierwiastkiem pejzażowym. Wszystkie one do siebie nibyto podobne, dla widza pospolitego obojętne a nawet wstrętne, ale oko artysty odkrywa znamiona cenne dla sztuki, oprócz tego uroku ogólnego, jaki ten skromny dodatek sztuczny, rzucony niby strój na piersi natury, sprawia w widzu obdarzonym poczuciem estetycznym. Chata wreszcie cechuje miejscowość, stanowi pewien komentarz, objaśniający zamieszkałych w niej ludzi. Powszechnie w miejscowościach tych jest ona niska, nieszczelnie pokryta czarnymi od dymu dranicami zaledwie przymocowanymi do krokwi, pod okapem wystającym widać niewygodną przyzbę, składającą się częstokroć z kłody odartej z kory; przy niej niskie drzwi od dziedzińca, zniżone jeszcze wysokim progiem, strzegącym sieni przed zelewem blisko stojącej kałuży! małe okienka, złożone z okrągłych szyb zielonych, podobnych do dna butelek, rzadko z szybek pospolitych, kupionych z oknem gotowym na jarmarku. Nad okopconym dachem słomianym wznosi się czarny dymnik drewniany, w kształcie trąby lub słupa czworogrannego, który jednak nie odprowadza dymu tyle, iżby go nie było pełno w izbie, zwłaszcza zimową porą (*Ułana*). Wchodziliśmy tam często w tej porze, i trzeba było się zgiąć we dwoje, ażeby w niższej przynajmniej warstwie powietrza coś można zobaczyć, bo w wyższej ciemno zawsze jak w nocy, od dymu, który oczy wygryzał a tamował oddech. W takiej to jednak atmosferze dymu, pary, śwędów rozmaitych, żyje zwyczajnie Poleszuk. Ta malowniczość pejzażowa ciężko się okupuje zdrowiem.

A jednak taka chata poleska, to jeszcze budynek *comfortable* w porównaniu z chatą podolską. Tam przynajmniej są lasy duże, a więc i drzewa dostatek; tu nic z tego: chata w bezlesiu buduje się Bóg wie jak i z czego. Inna też, a osobliwa, więcej jeszcze pejzażowa jej fizyognomia. Kilka zaledwie ją słupów dębowych lub osikowych podpira po bokach; beleczki, którychby Poleszuk nie wziął na krokwie, osikowe lub brzożowe, chude, krzywe, służą za podstawę dachu; o krokwiach niema co i mówić, są to tylko patyki odarte z kory, zawieszzone nieforemnie a tak dalekie od linii prostych, że dach cały, gdy słoma się zleży, wygląda jak tło do pagórków i dolin. Ściany, zawsze wprawdzie bielone, co czyni chaty te więcej malowniczymi, ale powstają z polan drzewa najrozmaitszego i nie troszczą się o żadną foremność; krzywe prosto ułożyć się nieda, więc w górze się wydmie, u dołu wklęśnie, i tak trzyma się to na łasce wiatrów i śniegów, dopóki jest czem podpierać. Taką to już różnicę w siedzibach ludzkich zaprowadza grunt, nie obfitujący w drzewo (*Ostap Bondarczuk*).

Nie są bez wpływu na te zmiany i same położenia a obyczaje

ludzkie. W owej wsi wołyńskiej, gdzie wieki posiadania zadzierzgnęły silny węzeł serdeczny pomiędzy rodziną panów a włościanami, chata nie tracąc swego charakteru lokalnego, odznacza się większą starannością konstrukcyi i względnym wykwintem. Jój okap opiera się na czterech słupach rzeźbionych, kształtu indziej niebywałego, z przepaskami pośrodku, z czołkiem dziwacznie wyrzynaném (kapitel) i wysoką podstawą: nawet końce belek, uszaki okien i inne części składowe odznaczają się rzeźbą: to ślad jakiejś starzej domorosłej sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który tu się razem z obyczajem przechował; co popierać się zdają trzy kamienie przed chatą, przeznaczone do siedzenia dla jakiejś starszyny, a widocznie ręką ludzką obrabiane. Wszystko to przedstawia jedną z cech odrębności wsi, która dziwnym sposobem przeżyła czasy zmian i jeszcze oddycha ostatnim tchem starosłowiańszczyzny. (*Ład. Piecz.*). Coś znowu innego zobaczymy, gdy nas autor zaprowadzi pod domowisko tych najemników pół osiadłych, pół-koczujących, którzy trudnią się węglarstwem i smolarstwem: ludzie rolni, ale dla braku gruntu stałego nieraz ubożsi od poddanych. Chata ich (tóż więcej jeszcze zaniedbana, i sklecona jakby bez myśli o jutrze, (bo w miarę wyzysku materiału drzewnego trzeba posuwać się dalej), przedstawia więcej charakter budy, niżeli domu; wewnątrz odpowiada powierzchowności. Ale wpośród gratów nędznych zobaczysz tam trzy rzeczy charakterystyczne: strzelbę, bo każdy taki smolarz, żyjący wśród puszczy, jest zarazem myśliwym i, rozumie się, skrytółowcem; starą szablę, bo to szlachcic schłopiały; i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który przypomina jego pochodzenie mazurskie. (*Budnik*).

Gdyby, słowem, iść za śladami autora, możnaby razem z nim odbyć studyum architektoniczne z zakresu ludowego, zbliska łączące się z charakterem i obyczajem mieszkańców; ale to dopiero jeden szczegół. Ażeby wieśniaka obserwować tylko z oddali, nim się do wnętrza jego duszy dostaniesz, trzeba podejść nietylko pod jego chatę, ale pójść za nim do karczmy, do kościoła i do dworu. Karczma, to miejsce uciechy codziennej, niby resursa stanu średniego w mieście; kościół, to skarbnica nadziei przyszłego żywota; dwór, to władza i zwierzchność. Wszystkim tym trzem, wkoło siebie ustawionym ogniskom, wieśniak musi dać z siebie coś, musi odpracować, odplacić, część życia ofiarować: za opiekę panu, za nadzieję księdzu, za uciechę arendarzowi; a już to arendarz największy procent tój ofiary zabiera. Bo, lubo rzadko, znajdują się przecież wsie bez dworu, bez kościoła często, bez karczmy nigdy. Karczma, to forum publiczne, sąsiadujące zwykle z kościołem i razem z nim uczestniczące we wszystkich najważniejszych epokach życia czło-

wieka: kiedy się rodzi, żeni i umiera. Dodajmy do tego wszystkiego jarmark, niby doroczną w braku inną uroczystość narodową, dzień swobody, a będziemy mieli całe pole, na którym chłopca pozzukiwać można. O szkole nie mówimy, bo w owe czasy szkoła w tych miejscowościach należała tylko do jakichś wybryków dworskich, do dziwactw, na które uśmiechali się lub krzywili sąsiedzi; traściło to niebezpiecznym socjalizmem.

Na dalszym dystansie także to otoczenie, zbiorowe niejako, ukazuje autor: to dopiero dekoracja i scenarium. Z tych zbiorowości wyłaniają się jednostki, i te wchodzi już w zetknięcie bliższe: to przejście do właściwego dramatu życia. Jednostki te albo wychodzą wprost z ludu, albo z innych klas społecznych, by stanąć jako czynniki w jego życiu.

Z ludowych, najwালniejszą figurą we wsi jest znachor, respective znachorka, a im gdzie większa panuje ciemnota i grubszy zabobon, tém znachorstwo większego tam używa zachowania i powodzenia. Skąd się to bierze, Bóg wie; ale to pewna, że rady znachorskie, względnie do prostej i grubiej organizacyi wieśniaczej, często bywają skuteczne, tak samo jak w wypadkach chorób ważniejszych zabijają. Nie przeszkadza to jednak ludziom mieć w nich największe zaufanie: pomyślnie skutki przypisują oni mądrości lekarki, zły wypadek dopuszczeniu bożemu, i skutkiem takiej komplancyi, tonący zawsze brzytwy się chwytą. Nie bez tego, żeby z charakterem znachorki nie łączył się potrosze charakter czarownicy; więc téż zaufanie z pola medycyny przenosi się i do innych sfer, tak że Czyżycha w epizodzie *Sawki* a Sołoducha w *Chacie za wsią*, spełniają jakieś funkcyje Opatrzności gromadzkiej we wszystkich razach trudnych i wątpliwych. — W *Ładowej Pieczarze*, gdzie ludność, pod sterem rozumnego a pieczołowitego zarządu, poważniej na rzeczy spogląda, już takich istot o umyśle nadprzyrodzonym nie poświęci, i wszelki charakternik źleby tam wyszedł na swoich interesach. Te dwie jedyne znachorki, jakie ukazują się w powieściach Kraszewskiego, oprócz pewnej dobrodusznój chytrności, okrywa jakaś barwa uczciwości i poświęcenia: nędzarki same, bo zwykle taka mądrość nadludzka nawiedza na wsi tylko proletaryat, graniczący z żebractwem, żyją wprawdzie z cudzej biedy, a każda rada, czy to w dolegliwości fizycznej, czy moralnej, okupuje się im jakim datkiem, ale téż, gdzie potrzeba, okazują się one bezinteresownymi, i serca im nigdy nie brak dla swoich.

Inaczej rzecz się ma z proletaryatem, zostającym na służbie u dworu lub na folwarku. Tu przerywa się nie sympatyi między dziećmi jednej doli, i ta nieufność, jaką chłop uczuwa względem zarządu, przenosi się w części na wszystko, co w skład jego wcho-

dzi, tak, iż współbraci, co się oddalili od ziemi a poszli na wystugi domowe, uważa on za apostatów. Tamta znów strona przywdziewając liberyą cywilizacyjną, i ocierając się zbliska o potęgę wiejskie, doznaje głupiego zawrotu głowy i ma siebie za coś wyższego od istoty siermiężnej. Autor nasz tu i ówdzie z trafnością biegłego psychologa wskazuje te przeobrażenia postaci ludowych, zatrzymane w jakimś poczwarznym stanie gaśienicy; ze smutkiem widzi w szeregach dwurusów podszechuwania przeciw swoim, donosicielstwo, i co najbrudniejsza, meklerstwo, a wszystko to praktykowane dla przypochlebiania się, w nadziei zysku. I to są podobno najnędzniejsze „kołki w płocie“, jakie dwór wycina wśród dziczek ludowych. (Panna *Tekla* i zaufany lokaj w pow. *Budnik*).

Z innoplemiennych, cyganie nie wchodzą jako stały żywioł sielski, a jeżeli autor poświęcił mu jedno z najpiękniejszych swych natchnień, stało się to więcej przypadkiem. Jest za to inny żywioł innoplemienny, nieodczepny od chłopa, jak szata Nessusa od kości: to żydzi. Jakąż to rogata trzeba było mieć naturę, żeby mając tyle przeciwko sobie, wytrzymać jeszcze wpływ tej potwory nienasyconej, która, pod osłoną dworu, ekonoma i urzędu, dniem i nocą stojąc na straży chłopskiego dobytku, ciągnęła go ku sobie całym sprytem, podstępem, obchodząc zdaleka, naciskając zbliska, używając wszelkich sposobów, na jakie tylko zdobyć się może sumienie brudne samo przez się a jeszcze rozgrzeszone przesądem wyznaniowym względem goja. Tolerowanie żyda na karczmie, jeślibyśmy pilnie rozważyli wszystkie tego skutki, należy do najcięższych grzechów, obciążających sumienie społeczne, i niema zdaje się ekspiacyi, któraby grzech ten tak prędko starła z czoła narodu. Témbardziej że, ażeby go uniknąć, nie chodziło bynajmniej o jakieś wielkie interesa, dotykające rdzeni majątkowej, ale o różnicę kilkuset rubli więcej lub mniej rocznie, jeżeli w karczmie gospodarować będzie żyd albo nie. Kiedy zaś przed trzydziestu kilku laty władza zabroniła żydom bezpośredniego szynkowania wódką po karczmach wiejskich, jeszcze właściciele starali się obchodzić prawo wszelkiemi sposobami, i zawsze, pomimo zakazu, żyd zza szynkwasu wyglądał. I tym sposobem, ta karczma, w istocie rzeczy poważny zabytek dawnych gromadzkich budowli wiecowych, na rady i obrzędy publiczne przeznaczonych, formą nawet konstrukcyi przypominająca gdzieniegdzie podaniowe ich kształty, i stąd zapewne ratuszem w miasteczkach podolskich nazywana — karczma zamieniła się w jakieś ohydne pandemonium pijaństwa i zelżywości. Jedną z takich karczem i jednego z takich karczmarzy opisuje Kraszewski w scenie nabywania od niego kozy przez chłopa. Obrazek to istnie flamandzki, który pomimo kształtów

grotesque, rozdziera serce, nasuwając wciąż na myśl to nieszczęsne zdanie: „ab uno disce omnes“. A ten *unus* mniej-więcej tak wyglądał, że użyjemy własnych słów autora: „Szmul był człowiekiem niepierwszej młodości... Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela, zdawał się na pierwsze wejrznie pięknym i szlachetnego oblicza... ale kłamał, jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknością swoją. Nie było bowiem pijawki nielitościwszej nad Popielańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od maluczkich: obok tysięcy kładł wyszarzane grosze miedziane, oblane potem wieśniaczym, a dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzej bydła odprawiał, obchodząc się z nim bez litości. Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać, co Szmula do większej jeszcze przeciw nim pobudzało zajadłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali: uważał to za formalny bunt z ich strony“ (*Jermoła*). — I rzeczywiście, żyd na wsi nie poprzestaje na jednej karczmie: to tylko jego główna kwatery, posterunek, z którego całość najwygodniej obejmować może. Stamtąd, w miarę rozrostu pajęczych szponów, rozciąga on sieć coraz dalej, na pacht, na staw, na las, na zboże, aż się czasami i dworowi dostanie, a zawsze drogą pożyczek lichwiarskich, których ofiarą chłop przedewszystkiém pada.

Nieraz pierwotném zajęciem i początkiem fortuny, zamiast karczmy i pachtu, bywa kradzież koni. Okropną scenę, w której wydatniejsze cała niedola nędzarza, w obec zdradzieckości i przekupstwa, opisuje autor, kiedy żyd, ścigany z końmi ukradzionemi, zrzęcznie podstawią je najzacniejszemu człowiekowi z ludu, i ten wbrew najoczywistszej prawdzie, oskarżony o kradzież niespełnioną, dzięki powolności pana *pomoconika* dla interesów żydowskich, całe miesiące gnije w więzieniu, a przez czas jego nieobecności wielkie i niepowrotne nieszczęście uderza nań w domu. (*Budnik*).

Gdyby autor chciał być wyczerpać stosunek żyda do chłopu, mógłby był w jakiej wiosce nadgranicznej potrafić o przemytnictwo, które, pod naczelném przywództwem żyda, zwykle dogodnie ukrytego, całym ciężarem demoralizacyi i odpowiedzialności, nierządki gardłowej, spada na chłopu, stając się na równi z karczmą i innemi wyzyskami przemysłu wiejskiego, podstawą fortun izraelskich.

Nie jakaś jednak niechęć plemienna kieruje ręką autora obrazów ludowych w kreśleniu tego złowrogiego wpływu żydów na ustrój sielski. Znadto są-to rzeczy znane, aby o prawdzie jego spostrzeżeń i opisów powątpiewać można: wszystko to są rysy chwytnie w przejściu, z natury. I za również prawdziwy uważamy szczegół z pięknej strony przedstawiający plemię, kiedy bogaty

kupiec berdyczowski, Hereyk, przychodzi ze znaczną a szlachetną i bezinteresowną ofiarą, przez wdzięczność lekarzowi za uratowanie mu syna. Najlepsza to odpowiedź dla tych, coby w oznaczeniu stosunku żydów do chrześcijan chcieli przypisywać autorowi jakąś stroną tendencyjność. (*Jaryna*).

Rzecz szczególna, że autor prawie wcale nie zajmuje się stosunkiem chłopa z cerkwią, ślad zaledwie jakiś gdzieniegdzie zaznaczając: zato stosunek ze dworem i jego przyległościami najobszerniejsze zajmuje miejsce, co wreszcie jest bardzo naturalnym.

Jakim był ten stosunek wogóle, staraliśmy się określić w poprzedniej części naszego studium, poświęconej stronie, że tak powiem, politycznej i ekonomicznej cyklu powieściowego. Dwór, w postaci pana, występuje tu zwykle ujemnie. Z ręką na sercu jednak oświadczyć możemy, że w tym kierunku nie mieści się żadna doktryna demokratyzująca, żadna tania trybunerya, ani gra na popularność, któraby wreszcie była zgoła fałszywie obliczoną, powstając przeciw większości czytających, wpośród których żył autor. Są-to raczej spostrzeżenia i uwagi obywatela, rozumiejącego stan rzeczy i potrzeby kraju, poglądy myśliciela, znającego życie i wartość jego objawów, pisarza niepodległego, który wszystkie te spostrzeżenia, uwagi i wrażenia, kojarząc w wyobraźni płodnej, wyciska następnie w utworze. I nie możemy lepiej określić jego stanowiska pomiędzy ludem i dworem, jak słowami, które wyraził w jednym ze wstępów później dopisanych, mówiąc: „Miał i zachował wiernie wielką miłość dla ludu i proletaryatu, której się nigdy nie zaprze. Zwano go z tego powodu rozmaitemi imionami, które wolał nosić i znosić, niż wyrzec się tego, co mu się od lat dziecinnych jako prawda przedstawiało... Są ludzie, niestety, którzy utrzymują, że wieśniaka Pan Bóg stworzył z innymi prawami i przeznaczeniem, z inną prawie naturą i do różnych losów; nam się zdawało i zdaje zawsze, iż od przyjścia Chrystusowego na ziemię wszyscyśmy równi i równouprawnieni do światła, dobrobytu, cnoty i szczęścia, o ile go na ziemi się mieści. W *Jermole*... i innych powieściach odmalowana jest walka o byt najuboższej części społeczeństwa naszego, i walka o jej prawa, o neczucia ludzkie. Choćby legalnie rozstrzygniętą została ta sprawa ludu, nierychło społeczność sama się nią zajmie i do serca ją weźmie. Autor we wszystkich powieściach, w których idea ta uwydatnić się mogła, starał się wskazać, jak pojmował zadanie i obowiązek tego stanu, który u nas zwał się szlachtą, a do dziś dnia został przodujący mieniem, oświatą i znaczeniem. Sądził, że na to Bóg wysadził jednych i dał im więcej, ażeby wspomagali, podnosili biedniejszych na siłach”. (Zob. *Jermole*).

Otóż i całe wyznanie wiary, cała doktryna. Jak są wykonywane zadania i obowiązki tego stanu, o którym wspomina autor w przytoczonym wstępie, wykazał on tylko w jednej *Ladowej pieczarze*; jak są zaniedbane i lekceważone, wykazywał we wszystkich innych. I ta też różność stosunku dworu do gromady służy zarazem do wykazania charakteru chłopu. Gromada szczęśliwa w trybie patryarchalnym, ze smutkiem spogląda, iż ostatni z kolei dziedzic, już zachodzący w wiek dojrzały, nie żeni się. Dochodzą przyuczyny i domyślają się jej w tém, iż pan znajduje się w krytycznym położeniu finansowym. Ażeby więc nie utracić szczęścia tradycyjnego i nie przejść pod zarząd innego rodu, gdyby ten ostatni dziedzic zszedł bezpotomnie, zbierają znaczną sumę i w sposób rozrzewniający zmuszają go do przyjęcia pożyczki. Po śmierci jego, sługa chłop, który cały wiek przebył z nim razem, dostaje obłądu. A kiedy wdowie z małym dzieckiem jeszcze synkiem grozi niebezpieczeństwo, cała wieś w ruchu uzbraja się i z narażeniem życia pilnuje, by włos z głowy nie spadł drogim tym istotom. I były w danym razie tajemnice między dworem a gromadą, tajemnice znane wielom, ale prędzejby połamały się wszystkie tortury, nimby ktoś trzeci potrafił coś przez nie wycisnąć ze stron obu.

Prawość zatem, szczerłość i skłonność do poświęceń, występują tu jako wrodzone i gruntowne przymioty charakteru ludu. Jako jedną też z cech jego głównych zamieścić tu musimy miłość dla rodzinnego kąta, wyrażającą się tęsknotą nie-do-pokonania w oddaleniu. I nie jest-to czczy frazes, komunał, którego autor często tu używa za czynnik stanowczy w postanowieniach ważnych. To cecha sprawdzona tysiącem faktów pozytywnych, stanowiąca nawet jedną z przyczyn szkodliwie oddziaływających na stan ekonomiczny naszego ludu, który woli pozbawić się zarobku w przemyśle, niżeli dla zarobku opuszczać zagrodę. A miewaliśmy przykłady, że poddani, po-za granice kraju wysyłani, bez żadnych bliższych związków familijnych w domu, zyskawszy nawet oprócz swobody, sposób utrzymania, wracali jednak do poddaństwa, ażeby wrócić do ukochanych stron rodzinnych z tęsknotą za niemi.

Takim chce mieć grunt ogólny wieśniaczego charakteru Kraśzewski, na skali, rozumie się ideału, który rozprasza się w miarę, jak pod wpływami warunków destrukcyjnych, dostarczanych przez rzeczywistość, grupy i jednostki rozmaicie się wychowują i kształcą, ulegając mniej więcej działaniu środowiska, albo przeciw niemu walcząc. Pan, egoista, wyniosły, pogardliwy, odgrywający rolę olimpijską wśród czerni, mrozący ją swym wzrokiem lodowym; pan nie zły, ale apatyczny, rządzący przez pośrednictwo chełwców i demoralizatorów, jak w większej części obrazów; pan rozpustnik; pan

albo półpanek, za jedyny cel życia mający wyciąganie zysków bez wstydu i miary: są-to pierwiastki, wytwarzające atmosferę moralną zabójczą, a że najsilniejsze ze wszystkich, i z małym wyjątkiem nieprzemienne, przeto ją z pokolenia w pokolenie utrwalają. Na wzór, z inicjatywy niejako, takich panów, modelują się ich namiestnicy, nieludzkością i chciwością potęgujący w szczegółach mniejszych i większych to złe, którego zasada leży w nieopatrzności naczelnego zwierzchnika.

Pierwszym wynikiem takiej atmosfery jest przygnębienie duchowe, bezcelowość życia, apatyczność egoistyczna, jakiej ulega chłop, przekonany nareszcie, iż na wielkim świecie zostaje sierotą, z kulą niewoli u nogi, bez możności wyjścia i zmiany. Uczucie to objawia się wszędzie w grupach ludowych, przedstawianych przez Kraszewskiego, i stanowi niejako ogólne tło malarskie każdego obrazu. Zdaje ci się, że wszędzie tam widzisz ludzi, wprawdzie na podobieństwo innych, ale którzy nie mają gruntu pod nogami.

Z tego uczucia bezwładności wytwarza się rezygnacja, zadziwiająca i niepojęta dla każdego, kto w jakiejś części zachował poczucie samego siebie. Pytasz się daremnie, jakim sposobem ludzie ci wytrzymać mogą tyle zaparcia, a musisz dobrze zrozumieć i ocenić potęgę długoletniości działań przyczyn tych samych, ażeby to sobie wytłómaczyć. Jakto! żadnej protestacji, żadnego oporu, żadnego poruszenia!... Tu lepiej zamilczeć, ażeby nie przypominać kilku przykładów, jakie bezowocnie wynurzyły się z wnętrza dziejów. Wśród tej małej sfery, którą ograniczył obraz sę Kraszewski, spotykamy przecież kilka wypadków, w których nadmiar nadużyte i boleści nadmiar spotkały się tak, by nareszcie jak dwa przeciwne prądy elektryczne sprowadzić wybuch, z inicjatywy pojedynczej lub zbiorowej. Kilka wypadków... żniwo słabe na tak potężny zasiew! Jakże-to dobrze świadczy za wartością gruntu, który zasiew kąkolu odrzucał! Widzieliśmy w epizodzie *Sawki* gromadę przygotowaną na wszystko, by przy danej okazji zgubić ciemięscę ekonomę. Możemy zobaczyć, jak mąż znieważony, zamiast przyjąć zapłatę zniewagi, jak-to, niestety! czyniło bardzo wielu innych, mści się, obracając w perzynę dom i dobytek dworski; jak ojciec, rozdarty i oszalały hańbą córki, ciosem zabójczym godzi w uwodziciela. Mamy przed oczyma scenę, scenę znakomitą, w której gromada odprawionego za nadużycia rządzącą ściga, zięjąca zemstą zwierzęcą, by go żywym ze wsi nie wypuścić, a tylko wdanie się energiczne i taktowne chłopca, wykształconego i sympatycznego wszystkim, zaledwie powstrzymuje ją od szalonego kroku. (Zob. powieści: *Ułana*, *Budnik*, *Ostap Bondarczuk*).

Mściwość nie jest zapewne uczuciem chwalebny, ale jako

wynik poczucia się w godności, jako fakt świadczący o pewnym zwrocie do energii samodzielnej i obrony zdeptanych praw, imponuje grozą, a zniewala bezinteresownością. Lecz chłopstwo owego czasu nie było wolnem od uczucia wprost przeciwnego, to jest od uległości, która falę ucisku miała odpierać zalewem hańby, nędzę odkupywać sromotą najbezpieczniejszą, bo podkopującą zacność i świętość rodziny. Ponad pańszczyzną nieumiarkowaną, ponad darmo-chami, ponad zdzierstwem materyalnem wszelkiego rodzaju, ponad katowaniem cielesnem, górują fawory dworskie, zapuszczające w tę ciemną, ale naiwną masę ludową jad bezwstydu i upodlenia, aż do pożądania nareszcie tego, co na pierwszą myśl wydawało się tak wstrętnem. Na widok takich objawów, już nie występny, ale bohaterem wydaje się nam ojciec, mąż lub brat, który walkę o godność posunął aż do szału, a zwyciężony pomstę aż do zbrodni. A jednak w widoki takich upadków obfitują obrazy Kraszewskiego. Usłyszysz tam takie wyrazy, jak: „Biedna! Nie lepiejzeby było dla niej, jak inne, zostać szczęśliwą, zepsutą, jak jęj siostry, niż biedną i czystą, jak niewielka liczba wybranych męczenników, których między jęj równemi nie znajdzie“; — wyrazy, świadczące, jakich nadludzkich sił było potrzeba kobiecie, posiadającej pewne powaby, ażeby wobec nacisku, zbrojnego wszelkiemi środkami przemocy, nie upaść; zwłaszcza jeżeli podobne krasawice nawykły już uważać zaloty pańskie za pociechę i pożądany wypadek raczej, niż za postrach i nieszczęście. („Ulana“). Na kogo wydasz wyrok potępienia, jeżeli podsłuchasz taką naprzykład rozmowę chłopów w karczmie, wódka zalewających złą dolę:

— „Pokochał się pan z żoną chłopą, a chłop to widział; i co ma zrobić? Wybił żonę. Nazajutrz jego w dyby i do czabanki wsadzili na chleb, na wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedziele. Poczęli prosić pana ludzie.. wypuścili go. On, co tylko żonka jemu na oczy naszła, znowu do niej. Pan jego znów na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Nu, nie wiem, jak tam jego puścili, a puścili potem. W dwa dni, zwieczora, aż tu pali się dwór, a wiatr był na gumna i tok, pali się stodoła, ta i obrora. Oj! pan w płacz i ręce łamie; a nazajutrz jego w dyby. Najechało tam dużo, posadzili chłopą, a pytali, a macali, a prosili, sprowadzili popa, a męczyli go, aż się po dobrej woli sam przyznał. Poszedł chłop w kajdany, a żona do dworu. Nu! jak tobie zdaje się, Okseniu, nie lepiej było cierpieć, a milczéć?“ („Ulana“).

I po przedstawieniu tej paraboli zagrożonemu mężowi, sąsiedzi wręcz mu oświadczają, bez figur retorycznych: „To już taka dola: *skaczy wraże, jak pan każe*. Kiedy się jemu zachciało twojej żonki, ustap-że się z drogi i milcz, jeżeli chcesz spokoju, bo cię tak z robo-

ty w robotę, z posyłki w posyłkę gnać będą, aż gdzie zdechniesz. Lepiej daj jej pokój, bo to nie ty pierwszy i nie ostatni. Tobie głowa z karku nie spadnie, a zobaczysz, jaki w domu będzie dostatek... Aby ty tylko oczy zamykał, ani się spostrzeżesz, jak ci wszystkiego przybędzie“. („Ułana“).

Domyślamy się, ile to kosztować musiało autora, gdy pisał te słowa. Wprawdzie nigdy i w żadnym świecie nie brak tego rodzaju korzyści, jakie rozwiązała zamożność ciągnie z nieoświeconej biedy, przyjmując na swe sumienie odpowiedzialność moralną za skutki deprawacyjne; ale odpowiedzialność ta o tyle przynajmniej podziela się i zmniejsza, o ile ofiara ma więcej środków obrony i wybór łatwiejszy, o ile wreszcie gwałt zadany moralności na wypadki pojedyncze liczyć się może. Tu przeciwnie, gwałt o tyle jest cięższym i haniebniejszym, że mu towarzyszy zupełna bezbronność ofiar, oddanych całkowicie na dyskrety gwałciela, który, jak widzimy, ma tysiąc środków do zaszachowania upornej cnoty; i gwałt ten tym surowiej powinien być napiętnowany, że objawy jego nie mają już charakteru pojedynczych wypadków zdrożności, podbudzonej namiętnością, ale demoralizacją zamienia w system, całą ludność żeńską zamieniając w jasyr panującego. Takiego bowiem charakteru jest ten gwałt i to zepsucie, jakie za sobą pociąga, i to nam objaśniają słowa usłużnego lokaja, który o jednej z dziewczyn, zdaleka dotąd upodobanej panu, sam do siebie powiada: „W istocie, nieszeptny dziewczak się robi, a w nędzy to sparszywieje. Paniczowi raz-wraz na myśl ta dziewczyna, a tu już we dworce same tylko *łupinki*. Nudzi się biedaczysko“. („Budnik“).

I tak, zrazu gwałt, dalej pogodzenie, a w końcu poddanie się. Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość, pragnąca życia, wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody, serce zaczyna bić jakimś taktem nieznanym, zamaszystym; kwiaty wyrastają pod nogami, blask ich ołsniewa oczy, woń ich upaja życie. A ilekroć chmurka ma zaćmić myśl, umysł ołsniony kłamie samemu sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy, co tylko ziemię spragnioną orzeźwi; myśl lęka się utracić chwili drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, a teraz będącej już warunkiem życia. Tym sposobem powstaje dusza nowa, która marzy, uśmiecha się, raduje wpośród tych kwiatów, węża pełzającego pod nimi nie widząc, rdzy prostytutcyjnej, zachodzącej na godność ludzką, nie czując.

Ten rys charakteru grup ludowych, widniejący dość silnie z powieści naszego autora, jest najboleśniejszym, i jemu też samemu najboleśniejsze nastrecza uwagi. Gdzie jednak powód, że czysta, uszlachetniona męką niewinną fizygnomia wieśniaka zeszcpeciła się

tym rysem? Oburzamy się w dziejach naszych przeciw barbarzyńskim hordom Tatarów, którzy zapędzali w jasyr nasze na pograniczach niewiasty. A teraz gdzie oni są?.. Ci nowi hanowie, nierównie dogodniej dla siebie powtarzający sceny z pograniczów... czy mamy do nich zastosować toż samo pytanie? Ha! logika faktów, teoria przyczyn i skutków jest nieubłaganą, a sąd Sprawiedliwości wiekustej nieomylnym.

IV.

Wśród tych wszystkich wpływów, stosunków, obyczajów i tradycyji wyrabiają się charaktery pojedyncze, które przy pewnej energii wewnętrznej, zasilonej okolicznościami, występują po-za sferę powszedniego trybu, a tworząc z pobudek samodzielnych pewne pasmo wydarzeń niezwykłych, stanowią przedmiot zajmujący dla psychologa i artysty. Nie przedsiębiorąc więc rozbioru szczegółowego utworów naszego autora, obowiązani wszelako jesteśmy wskazać charaktery naczelné, które żywiej zarysowały się wśród wszystkich tych żywiołów ludowych, jakie, z całości jego cyklu, nagromadziliśmy poprzednio.

Tylokrotnie wspomniany przez nas „Sawka“ przedstawia raczej pewną ogólnóść dodatnią, wzorową próbkę, że tak powiem, stanu, pozbawioną jeszcze tych cech indywidualnych, poszukiwanych przez badacza duszy. Sachar z „Historji kołka w płócie“ przeciwnie, zawiera już te cechy, w wysokim stopniu uwydatniające się tak w dziecku, jak i w młodzieńcu, — cechy ogólnoludzkie, a przytém szczególnie zwrócone do uwydatnienia walki, staczającej się pomiędzy położeniem socyalnym i usposobieniem duchowym, a której ofiarą pada indywiduum. Ale że już z innego powodu wskazaliśmy: chociaż pobieżnie, te cechy szczególne, przeto do tej postaci wracać już nie będziemy.

Typ najbliższy chłopa, bo najdalszy od zmieszania się z kulturą innozędaną, przedstawia się w „Jermole“, który lubo do starości przepędził życie we dworze w charakterze kozaka, ale że trafił na pana zacnego, którego też sercem ukochał, przeto nie utracił z pierwotnej prostoty i czystości duszy, a do najpóźniejszego wieku nie przestał być dziecięciem wioski, zachowując jęj upodobania, nawyknięcia, obyczaje i przesady.

Urodzony nad brzegiem Horynia (na Polesiu), wczesny sierota, zrazu pastuszek u obcych za łyżkę stawy uczciwie podaną, wpadł w oko dobremu panu, służąc wiernie, pochował go nareszcie i w nagrodę za wierną służbę dostał od spadkobierców na starość kawałek

rudery drewnianej i kawałek gruntu, tyle, żeby, przy ograniczeniu się, do jakiego chłop nasz mógł być zdolnym, zwłaszcza, że wódki nie pijał, nie umrzeć z głodu.

Są rośliny dzikie, na polach i w lasach, bez żadnego udziału sztuki, bożą tylko rozsypane ręką, które wszelako szlachetnych noszą miano, bo mają w łonie swém utajony wdzięk i siłę, tak, iż przy warunkach stosownych rozkwitają przepyszném kwieciami. Są inne, jak pokrzywy i chwasty, z których hodowla nawet nic pięknego nie wyprowadzi, a może je tylko do cłbrzymich doprowadzić rozmiarów. Tak samo i z ludźmi żyjącymi w stanie natury, mniej lub więcej od kultury dalekim. Jermoła tém szczególnie reprezentuje nasz lud i tém się odznacza indywidualnie, że jako roślina dzika, niehodowana, ale szlachetna, posiada jakiś wrodzony instynkt cnoty — ten-to instynkt właśnie, który sprawił to, że lud nasz, bez względu na wpływy, jakim ulegał, na przykłady, jakie miał przed oczyma, na nędzę i brak wychowania moralnego, nie tylko, że wogóle nie został potworem, co byłoby do wytłómaczenia, ale przeciwnie, utrzymał się w pierwszeństwie moralném nad wielu innymi ludami, w mniej nawet niekorzystnych warunkach zostającymi. Starzec ten, i teraz jeszcze zostając w nędzy, nigdy się nie poskarżył na życie stérane, nie rzucił przekleństw na przeszłość; wystarczał sobie w biedzie i osamotnieniu, dźwigając się duchem pobożnym. Sercem przerażając innych współbraci, świadczył im przysługi, co jednało mu współczucie i wzajemną pomoc.

Zastajemy go tu już w starości, nie widzącego nic przed sobą prócz śmierci, kiedy raz wieczorem pięknego lata, wracając do chaty, znalazł pod nią podrzucone dziecko.

Pierwszy płacz téj istoty, zapadając w serce Jermoły, stał się ziarnem uczuć nowych, skomplikowanych — ziarnem, które schwycone przez grunt bujny, wydało stopniowo ten cudownie piękny kwiat, zowiący się miłością rodzicielską. Jest rzeczywiście dziwna rozkosz estetyczna patrzeć, jak pod ręką potężnego malarza dusz prostych odbywa się ten tajemniczy proces natury, mocą którego serce starca, nieświadomego zgoła tych uczuć rodzinnych, w chwili, gdy szukał węzła, coby go jeszcze ze światem połączył, nagle budzi się do czegoś niespodzianego; jak on naraz młodnieje, zapala się, gorączkuje, przeczuwa w zarodku cały gmach szczęścia przyszłego, jakie stąd powstać może, i budowę jego rozpoczyna rękami drżącymi ze wzruszenia, radości i obawy, aby go nie stracić.

Bo istotnie za cały fundusz do wzniesienia téj budowy starzec miał po sobie tylko serce swoje, a przeciwko sobie wszystko. Sam ledwie nie żebrak, znużony życiem, miał stać się podmuchem i podporą nowego życia, uślać je kwiatami, wypromienić nadzieją, uboga-

cić zasobami przyszłości. Sam niedołączony przez wiek, miał kierować istotą niedołączniejszą od siebie i uczynić ją silną. Ażeby zobaczyć, jak się cud ten jawi, potrzeba kartkę za kartką śledzić wszystkie jego fazy, stanowiące historią serca, przejętego zapałem cichym, a postanowieniem silnym, trzebaby niejako przepisywać wszystkie szczegóły, urzeczywistniające plastycznie te drgnięcia ducha, opanowanego wyłącznością, i odciskające się w czynach, równie prostych, naturalnych, jak wzniosłych i zadziwiających. W całej książce niema innego romansu nad romans starca z przybranym synem, ale romans-to tak żywo wydarty z łona natury, tak pełen barw gorących, że pozwala zapomnieć o wszystkich innych kierunkach serca i wyczerpuje całą uwagę.

Zarzucamy nieraz Kraszewskiemu, że świat jego surdutowy za nadto zaludniony jest bohaterami kompleksy słabiej, i to prawda. Tu niejednokrotnie przychodzi nam podziwiać energią bohaterów siermiężnych, nad którymi chyba już prym trzyma Jermola. Niedosyć, że siły jego fizyczne dziesięciokrotnie pod działaniem uczucia, ale i umysł staje się twórczym; wpada on na trop pomysłów, któreby mu w innym razie nigdy do głowy nie przyszły, odkrywa drogi życia, nigdy dotąd nieprzebywane, rozbija zapory mocą nigdy dotąd sobie nieznaną, i staje u celu. Jeżeli dodamy, że wszystko to odbywa się na tle stosunków czysto sielskich, a więc wolnym od wszelkiej wybujałości zdradliwej, na tle stosunków, ujętych w krajobraz, nieustannie nasuwający przed oczy malownicze widoki wsi poleskiej, wszystkie te potężne usiłowania, te zamachy starca zejda naturalnie do rozmiarów bardzo drobnych, a zgoła naiwnych, co tém więcej na zaletę ich prawdy i harmonii przemawia. Natura nie mniejszej użyć musi energii na wyprodukowanie jaskółki, jak orła, ale pamięta o granicach kształtów, iżby obie produkcye, zachowując harmonią, pięknymi były. Pamiętał o tém Kraszewski, i przeto produkcya jego w „Jermole“ jest tak naturalnie śliczną.

Nie powiemy, ażeby to podrzucenie dziecka było należycie i dość naturalnie wymotywowanem, i sam autor, przy bliższem rozpatrzeniu, zapewne zgodzi się na to, ale bądź-co-bądź, ten obraz rozwoju uczuciowego, już sam w sobie piękny, jako całość, ubogaca się jeszcze elementem dramatycznym przez tę tajemnicę, przywiązaną do samego faktu, która nieustannie towarzyszy działaniom Jermoly, niepokojąc go myślą domniemaną potrzeby zwrotu. I właśnie w lat kilkanaście, kiedy Radonek pod niezmordowaną ręką Jermoly, silny i sprytny, wyrósł na dzielnego chłopaka, mogącego już śmiało radzić sobie w życiu; kiedy węzeł miłości zacisnął się nierozzerwanie pomiędzy nim a przybranym ojcem i wsią, wśród której się wychował, wtedy tajemnica ta wybucha z całą siłą dramatyczną. Rodzi-

ce, szlachta dziedziczna z okolicy, nieszczęsnym składem okoliczności zmuszeni dotąd ukrywać się nie tylko z rodzicielstwem, ale nawet z małżeństwem, obecnie uwolnieni zpod tego przymusu, przybywają po odbiór depozytu.

Żlebyśmy opisali wszystko, co zaszło przedtém, gdyby każdemu nie przyszło na myśl, że chwila ta sprowadziła rozstrój serc nie do opisanian. Żywioły zmieszaly się tak, że walka stała się niechybną, a każde zwycięstwo — boleścią; i nie najmniej bojującym jest tutaj Radionek, który był nawet przez starca oswojony z myślą tego, co się teraz stało. Pogódzenia uczuć żadnego być nie może; węzły zaszły zadaleko w duszę i krew, ażeby je bez rozszarpania rozerwać można. Rodzice, wdzięczni i rozumiejący wagę uczucia, szukają sposobu wyjścia tak, ażeby bez obrazy niczyjej odzyskać swe prawo; ale wszystko, co zaproponują, słusznie nie zadawalnia Jermoły, który doskonale rozumie, że jego nabyte prawo ojcowstwa tylko w stosunku, jaki istniał dotąd, w całości zachowaniem być może; rodzice w imię natury i obowiązku odstąpić mu go nie mogą; Radionek patrzy na nich, jak na obcych, i za każdym wyciągnięciem ich ręki, dzikie ptaszę tuli się do starego piastuna.

Po wszystkich jednak daremnych próbach komplancji stało się to, co się musiało stać. Chłopiec musiał wrócić tam, gdzie go powoływało prawo urodzenia, gdzie, według rachuby ludzkiej, zyskać czy odzyskać miał raj chwilowo utracony, dostatek, położenie socyalne, znaczenie. Wszystko to, wracając do przerwanego przez lat kilkanaście porządku, byłoby bardzo dobre; ale szykując się, zostawiało za sobą serce bezpowrotnie rozdarte, którego praw i boleści nikt nie chciał słuchać, zostawiało ruinę gmachu, którego każda cegielka trzymała się, zroszona łzami uniesienia, cementem najzacieńszych tchnień z całością spojona. I ten starzec, ruina własnych marzeń, pozostał znowu osamotniony, by z czarną rozpazą w sercu liczyć godziny, wlokące do śmierci; upiór Jermoły, pokutujący na grobie szczęścia, na progu chaty, z której wydarto mu skarb jedyny.

Ej! nie. Zawiele wlał duszy w swego wychowanka. Noc na progu przedrzemana rozmarzyła go nieco. Nade dniem... cóż to? czy anioł musnął go skrzydłem?.. „To ja, ojeze!” — zawołał Radionek, który z pałacu, kilka wiorst odległego, przyfrunął, ptaszę kochane i wdzięczne, z tęsknoty za gniazdkiem.

Odtąd też Jermoła, w obrazie tym uczuciowym, schodzi niejako na drugi plan, a występuje nowy żywioł uczucia synowskiego w Radionku, który walcząc między dwiema miłościami, staro- i nowo-rodzicielską, ginie z wysiłen tej walki. Oto są uczucia traktowane naseryo, męskie, energiczne, same przez się stanowiące temat tra-

giczny, nawet wśród bohaterów najmniej do tragedyi klasycznej podatnych. Możeby autor mógł nadać inne rozwiązanie swęj treści, mniej rozrzewniające i bolesne; bo czemużby Radionek, stanowczo po roku targania wyszedłszy z domu rodziców, już dla niego zubożniałych, i uciekłszy z Jermołą aż na Pińszczyznę, nie miał żyć, nie zrywając z rodzicami, ale idąc dalej w rozwoju samodzielnym, jak to czyni Gaston w powieści J. Sanda: *Flamarande*? Lecz i rozwiązanie Kraszewskiego nie ma nic, eoby było nienaturalném, a jeżeli z nadto rozrzewnia, to tylko skutkiem głębokiej sympatyi, jaką wzbudził autor do swych dwóch bohaterów, tak silną związanych miłością, a tak dziwnie pięknych. Będziemyż upatrywać upadek czy plamę na charakterze Jermoły, a więc niekonsekwentność z całością, w tém, że ten człowiek odkrada niejako rodzicom naturalnym chłopca, marniejącego w pałacu? O! nie. Byłaby to moralność doktrynerska, teoretyczna, nie wglądająca w życie. Jermoła jest cały wyłącznością uczucia; on zna tylko swojego wychowawca, i nic innego znać nie chce; widzi go nieszczęśliwym, wyciągającym do niego ręce za życiem dawném, za swobodą wsi; widzi rodziców już tylko z obowiązku zajmujących się synem, który nigdy z niemi zrosnąć się nie mógł: jego kodeks etyczny pozwalał na ten nowy czyn miłości, przedstawiający się wprawdzie w formie kradzieży, ale w treści będący tylko aktem wielkiego serca i poświęcenia. Nie tylko w naturze prostaczęj, ale i w ukształconej, jeszcze i ten czyn nie byłby pozbawiony cech usprawiedliwiających.

Ten *romans* Jermoły, na gruncie dwóch swych żywiołów: wyłączności i energii życiowej, spotyka się z innym utworem, a mianowicie z „Ulaną“. Jak oddać się, to oddać całym sercem, bezwarunkowo, z zaparciem i zapomnieniem wszystkiego, przejść w świat całkiem nowy, zerwać z dotychczasowością. Tak czyni Jermoła, stając się ojcem; tak czyni Ułana, stając się kochanką.

Dalej jednak porównanie zachodzić nie może, i zaraz ukazuje się głęboka bródza, rozgraniczająca te dwa charaktery: starca i niewiasty młodej, tak podobne do siebie ekspresją uczucia, a tak różne wartością jego przedmiotu. Uczucie Jermoły jest najmniej egoistycznym, najwięcej ludzkim; uczucie Ułany jest najegoistyczniejszém, bo erotycznym. Jermoła na rzecz własnego szczęścia poświęca tylko siebie, swój trud i zachód, uszlachetnia się. Ułana poświęca obowiązki najbliższe, najświętsze, i ten wylew jej uczucia stałby się kałużą, gdyby siła namiętności potężnej, rwącej za sobą wszystko, co drogie i święte, nie zamieniła tego wylewu w burzliwy potok, pełen grozy, szumu i wiru, który druzgocąc podstawy etyczne, ale razem z sobą porywając działacza, niby ofiarę, by ją roztrącić w powszechném zamieszanu, — staje się estetycznie pięknym,

jak łuna pożaru, bez względu, co swym ognistym całunem pokrywa.

Powieść o Ulanie nie potrzebowałaby ulepszania w treści, gdyby nawet rzecz działa się w sferach kultury wyższej, tak tam już uwydatnione są w postaci głównej znamiona, po których poznaje się ducha niepospolitego siłą i stanowczością, do żadnej niskiej rachuby nieskłonny. Nic to nie przeszkadza Ulanie, że chodzi w grubej świcie i boso, że dźwiga wiadra i zamiata izbę: toż samo mniej więcej czyniły córki patryarchów biblijnych, a wszelako służyła za przedmiot natchnienia poetom i malarzom. Człowiek nadaje wdzięk wszystkiemu, jeżeli go ma w duszy i zharmonizuje się ze środkowiskiem swém. Wrodzona gracia pociągnie w swoje koło wszystkie przedmioty, kształt i ruchy, nad którymi panuje: to tajemnica powabu kobiet w kurnej chacie, zarówno jak w salonie; przemiana ról, wyjście ze środkowiska, w którym kształciła się i rozwijała gracia, uczyniłyby je śmiesznymi. Nie jestże pełnym wdzięku robotnik w kurtce lub bluzie, zawieszony na rusztowaniu, z czapką na bakier, żwawo narzucający wapno na cegły i wesółem pogwizdywaniem dodający sobie ducha? Potrzebuje on tylko pewnej perspektywy, i choć go zaraz malować. Ubierz go we frak i posadź w salonie, będzie karykaturą, równą paniczowi z salonu, zawieszonemu na rusztowaniu z kielnią w rękę i skopkiem.

Niemasz tak poziomej sytuacji (oprócz psychicznie i fizycznie wstrętnej), z którejby nic wyzyskać nie można było na korzyść estetyki. A jeśli nadto zajęciu towarzyszy wrodzony wdzięk zajętego, to harmonia kształtów i ruchów w tej chwili nasunie obraz. Przypnie trzeba, że ubiór kobiet poleskich i wogóle litewsko-ruskich wcale się nie nadaje do uwydatnienia kształtów w sposobie rzeźbiarskim, i bardzo tam trudno o pozy akademickie, tak zwyczajne na południu. Długa, prawie po kostki, sukmana z grubego sukna, zwana świtą, ujmując całą kibić, jakby w nieustępny i ciągnący się do dołu worek, pod którym giną i formy ciała i jego elastyczność. Głowę okrywa (u zamężnych) biała namiotka, na kształt czapki płaskiej, przymocowanej bez wdzięku, a z tyłu tylko mającej spadek na szyję w rodzaju harbajtla. Nogi ujęte w postoly, to jest w łapcie, plecione z kory wierzbowej i łożynowej; miejsce pończoch zastępują płaty płócienne, obwiązane postronkami z jednej strony u łapci, z drugiej pod kolanem umocowanymi. Trzeba mieć dużo piękności i wdzięku, ażeby się w takiej oprawie podobać.

Podobała się jednak Ulana młodemu panu. I my nie dziwimy się temu wcale. W tej czarnej masie kobiet zapracowanych, zarosłych nędzą i brudem, nieraz zdarzało się spotykać oblicza kształtne, delikatne, tryskające życiem, o rysach tak regularnych, o wiel-

kiem oku, otwierającem się tak żywo i głęboko, że przychodziło żałować, iż nie możemy w tej chwili z całym bogactwem kolorytu odcisnąć tego oblicza z jego naiwną ciekawością, z wdziękiem nieswiadomym sobie, z uśmiechem wabiącym różanemi usty, służącemi za zasłonę białym, równiutkim ząbkiem, niewinnie kokietującym.

Ułana podobała się panu fizycznie z pierwszego rzutu oka; za drugim rzutem zajął się i jego umysł, bo Ułana była kobietą nie pierwszą lepszą. Nie w jej guście była rachuba na fawory pańskie. Wyższa od sióstr, zepsutych postępowaniem dworu, z pokorą poddanki, ale i z dumą uczciwej kobiety, dała panu odprawę, po której ten jeszcze goręcej szukał z nią spotkania. W całej postawie jej był smutek, widoczne niezadowolnienie z życia. Coś snadź wpadło do serca Ułanie, co zerwało harmonią pomiędzy pragnieniem jej a stanem. Żona wiejskiego garncarza, miała kilkoro dzieci. Szanowała obowiązki i modliła się do Najświętszej Panny, ażeby ją uwolniła od zalecanek ludzkich, nieodłącznych od każdej twarzyczki świeższej. Ale niewesoło wygląda to szczęście, które tylko w spełnieniu obowiązku przymusowego uczuwamy. Ułana była jakiś czas we dworze. Oświecona kilku płomykami światła, jakie przez portyery salonu przedziera się do izby czeladniej, nabyła poczucia innego świata, w którym duch głośniejszy wyraża potrzeby swoje, niż ten, co zawarty w ciele prostaczki. Dusza delikatniejsza, nie poprzestaje ona na tém kochaniu, jakie ma od męża, gburą i zazdrośnika. We dworze słyszała o inném i widziała, jak się kochano po pańsku. Podobało się jej takie kochanie... i tém więcej może, iż się go nigdy nie spodziewała osiągnąć. Równy z równą — to dobrze; ale widziała ona już niejedno kochanie pańskie, zwrócone do wieśniaczki, i wiedziała, jak się skończyło. Miłą jej była woń tego afektu, jaka buchała od pana Tadeusza, lecz czuła, że jest za-trutą.

— A! moje dzieci!.. — zawołała znieenacka, kiedy pan pierwszy raz, ośmieliwszy się, objął ją w pól i pocałować chciał.

Dlaczego wtedy dzieci przyszły jej najprzód na myśl, chociaż ani mowy o nich nie było? Dlaczego wciąż rozmawiając z panem po polsku, jak nawykła, dzieckiem będąc, we dworze, nagle wykrzyknik ten rzuciła po rusku, językiem, który wyssała z matki i którym modliła się do Boga?

Drobny-to rys, ale jeden z tych mistrzowskich, delikatnych a prawdziwych, które uchodzą przed okiem ogółu. Znamy to silne napięcie ducha, świadomość instynktowną i mimowolną niebezpieczeństwa, oraz punktu głównie zagrożonego.

I wytlómaczyła się obszerniej panu z tego mimowolnego ruchu duszy: „Kiedy kto komu przysiągł w cerkwi, a ksiądz pobłogosła-

wił, koło ołtarza oprowadził i razem krzyż całowali i z jednego kubka pili, o! to niedobrze złać przysięgę — i zły koniec zawsze“.

Słowa te, cechujące duszę uczciwą, były proroczemi.

Im więcej było oporu, tćm napad upartszy. Nie pomogły przymlania, poczęły się groźby, równie bezskuteczne. — „Cóż mi pan zrobisz? Każesz bić? Czyż i tak mnie nie biją! Odbierzesz chleb? I tak go niewiele; a dzieci małe: w rekruty nie oddasz“. — Jeszcze jeden krok zaczepny ze strony pana, a nóż błysnął w ręku Ulany.

I czyż to miłość podbudzała tego kochanka zpod ciemnej gwiazdy do takiego nękania zacnej kobiety? Żarty! Jeżeli miłość, to taka, co się u pogan przedstawia jako *Cupido* (pożądliwość), w postaci małego, a lubieżnego chłopca. Innćm zaś było to kochanie, które sniło się kobiecie, dumało, o którćm w piosnce śpiewają, a na wieczornicach gadają: wiedziała, że nie w chacie go szukać, a jeśli znaleźć, to w końcu śmierć musi być koniecznie.

Było coś jednak z tego kochania w afekcie pana Tadeusza, jeżeli nie treść, to forma, która zjawiając się coraz częściej i nareszcie ustawicznie przed wyobraźnią kobiety, nie pozostała bez wpływu. Następuje oddziaływanie wzajemne i wzajemne ustępstwa. O ile afekt Tadeusza, z prostego podrażnienia fizycznego, pod wpływem szlachetnego oporu, walczącego bronią uczciwości, wstępuje na coraz wyższe szczeble uduchowienia, o tyle jednocześnie nabiera więcej sił do zwalczania skrupułów kobiety, w gruncie uczciwej, ale szukającej ujęcia dla czułości wrodzonej, którćj serce jćj pełne; i straż obowiązku staje się coraz mniej czujną, coraz mniej skuteczną. W tćj atmosferze pożądań, w którćj duch gra zarówno z krwią i ciałem, na tćj arfie prądów magnetycznych, płynących z dwojga natur młodych, a w soki żywotne bogatych, dzieje się z nią coś niepojętego, smutno jćj, miło i straszno zarazem. Ucieka od Tadeusza, ale, dognana, czuje, że już gwałt zadawać musi sobie, ażeby uciec znowu i nie słyszeć tćj piosnki miłosnej pańskiego kochania, tak lubćj, tak upajającej, tak różnej od brutalnych zalecanek gburowatego męza, który postrachem tylko jest dla nićj, odkąd młodzian dorodny i wytworny nazywa ją piękną, odkąd przysięga, że szczęśliwy byłby jćj miłością i nie porzuciłby nigdy. Odwieczna historia erotyczna Fausta i Małgorzaty, którą ukryty za narkotycznymi krzewami roślin cypryjskich szatan układa na tle zmysłowości ludzkiej.

A jakąż rolę mąż odgrywa w tćm wszystkim? Męza, ażeby nie przeszkadzał, łatwo panu oddalić na dnie i tygodnie pod łada pretekstem. Choćby i był, jemuż-to być w takićj walce subtelnej rozjemcą? Jego małżeństwo — to połączenie kruka z gołąbką; co może być między niemi wspólnego, jeśli moc obowiązku przymusowego folguje. Biedny prostak i gbur! Niewiarę żony zwykł był

mierzyć tylko grubością kija i ilością razów; innego argumentu nie znał. To nie lekarz na choroby duszy.

I argumenta jego już wiszą nad ciałem Ulany, która uplątana w tę miłość pańską, już nie ma siły uciekać od niej, ale na zawołanie pana biegnie z nim w las lub do ogrodu dworskiego, zapominając dzieci, chatę, męża, wstyd — bo kocha... Skąd jej to przyszło, nie wiedziała sama. Płakała czasem nad sobą, a szła do kochanka i poświęcała mu wszystko za trochę szału, którego lepszej połowy nie pojmowała, słuchając go, jak dalekiej pieśni, którą wiatr rozrywa, a jeszcze piękną do uszu przynosi.

Były-to ich miodowe dni szału, kiedy rozmawiali, milcząc, lub niewiele słowy, a w tej rozmowie było tyle treści. Byli szczęśliwi, szczęściem jakimś osobliwszym, niepojętym, potwornym, w którym oboje czuli, że je opłacają drogo; Tadeusz więcej niż ona, bo musiał na swoje sumienie przyjąć całą odpowiedzialność za jej wykroczenie przeciw obowiązkowi, za wszystkie następstwa, jakie się zrodzą, kiedy z różanej mgły szału wychyli się rzeczywistość, zwolna, zwolna dochodząca do coraz widoczniejszych kształtów. I Tadeusz, jako znający lepiej dzieje serc ludzkich, widział resztką rozumu, że po dniach dzisiejszych nastąpi jakieś jutro odmienne, któremu on pierwszy da początek. A Ulana, upajając się słowami i myślami tego nowego świata, do którego na skrzydłach szału wznosił ją kochanek, nie myślała o jutrze; ją jeszcze niepokoiło dzisiaj, ale i ten niepokój wkrótce miał ustąpić.

Pomimo częstéj, a umyślnie przez Tadeusza powodowanej nieobecności męża, nieznośnym stał się podział i udawanie. Cała wieś wreszcie wiedziała o niej, i krewni męża nie omieszkali go uwiadomić. Skorzystała więc z jego pierwszego brutalstwa, aby zerwać, i bez podziału, bez pamięci, bez wyrzutów oddać się zakochanemu.

Czyż bez wyrzutów? Tak. — „Ja i dzieci teraz mniej kocham — mówiła sobie. — Dawniej dzieci, to był mój skarb, a dziś widząc je, myślę, jakby one były cudze. Biedne dzieci! już wam i matki nie stało; wy za życia sieroty! Kto was będzie hodował, kto was będzie pieścił, kto będzie kochał? Nie ja, nie ja! Ja już nie wasza; porwali mnie w cudzy kraj, gdzie słodko żyć, a choćby i umierać, porwali od was! Matka-m wasza, a nie matka już, nie matka sercem, — cudza!“ — I wychodząc z chaty, gdzie całą przeszłość czystą zostawiała za sobą, patrzyła na nie obojętnie, zimno; całowała je na pożegnanie, ale myśląc o pocałunkach innych, o innej miłości.

To zerwanie węzłów najdroższych możemyż uważać za rys fałszywy w kompozycji artysty, za prostą nikiemność, co się bę-

dnie zaplątała w duszę, którój on przyznaje instynkta wyższe, myśli, uczucia i pojęcia nad stan roślejsze? Bynajmniej; to jedna zaleta więcej kompozycyi, to konsekwencya energii w naturze prostej, którą Bóg stworzył całą i silną, nie wycieńczoną niczém, nie zestarała zamłodu. Gdy na taką duszę padnie uczucie i schwyci ją w kleszcze uroków swoich, wtedy rodzi się w niej namiętność nieopohamowana, dzika, wyłączna. W Ulanie kodeks moralny był słabo wszczepiony i pod tym względem nie można jój porównywać z kobietą salonów. Wszelkie restrykcyje cywilizacyjne, jakim ta słusznie ulegać-by mogła, tu osłabiałyby tylko twór, ulegający przedewszystkiém pierwszym i bezpośrednim drgnieniom natury, która nie oblicza, ale pędzi, gdzie ją niosą pobudki wewnętrzne.

Raz też oderwana od wszystkiego, co nie było tém uczuciem jój nowém, oddała mu się z całą egzaltacją duszy i zmysłów; dzika kochanka, piła z tój czarownej krynicy, jak zwierz w spiekę, którego nie odpędzisz strzałą od wody, nie odstraszyśz śmiercią. I było jój cudnie z tą namiętnością, z tym wyrazem siły uczuciowój, ognistej, szczerój, prawie bezwstydnój, a samą rzadkością swą zadziwiającej. Sama ofiara, jaką na rzecz tego uczucia uczyniła z uczuć innych, z obowiązku i czci — o ile w kobiecie instynktów prawych — świadczyła, że ono zrosło się z jój życiem na wieki. Była-to miłość w swój formie najelementarniejszój, najczystszej, bezpośredniej, odartej z wszelkich względów pobocznych, światowych. Nie *Fryne* to, ani *Charitas*, nie Tamara kaukaska, ani Beatryks średniowieczna, lecz coś oryginalnego swoją wyłącznością, coś pośredniego, istna *Wenus*, mieszcząca tyle pierwiastku zmysłowego i duchowego, ile go trzeba dla utworzenia harmonii tego uczucia, które rozwijając się na ziemi, koroną sięga eterów.

Taką jest *Ułana Kraszewskiego*, o ile rozrzucone rysy charakteru zdołaliśmy skupić; obraz miłości samodzielnej, pierwotnej, stworzonej jakby według tego typu odgadnionego, który boginią miłości gotową z piany morskiej wyprowadza. I cała zaleta artystyczna tego poematu zależy nie na wypadkach nader interesujących, które tu pomijamy, ale na tém stopniowaniu światła, przez które charakter kobiety przechodzi dla zabłyśnięcia całością. I ten pan *Tadeusz* — Boże mu odpuść! — służy tu tylko za cień do uwydatnienia tych światła, które tém więcej jasnieją, im on, zrazu przez nie opromieniony, w coraz większy mrok zapada. On, wychowanek świata, oplacający zdenerwowaniem powierzchowną ogłędę, nie mógł zerwać z przeszłością, nie zamknął rachunku ze światem, niewykniem i względami przyzwyczajności; on, chwilowo porwany w atmosferę prawdziwego szału, stopniowo zaczął trzeźwieć i stopniowo też ujmował karmi temu uczuciu wyłącznemu *Ułany*, dla

którego był tём, czём słońce dla rośliny. Aż z zupełnego braku słońca ten kwiat agawy, który raz tylko na wiek wykwita, ale kwiatem nad kwiaty, zwiądl, a z nim usechl i krzew, z którego wystrzelił. Rozdzierającą jest ta scena, w której Ulana na ślubny podarek dla ukochanego przynosi swego trupa, zawieszzonego na drzewie.

Dwa te charaktery ludowe, starego Jermoły i młoděj Ulany, przedstawiają, jak powiedzieliśmy, dwa typy miłości, równej siły i wdzięku, tylko natury odmienněj. Ważność ich dla sztuki na tём zależy, że lubo kreślone jakby od-niechcenia, pod piórem niejako rosnąc i męzniejąc, kreślone są na sercach nieużytych, dziewiczych, na kartach białych, które jakby same z siebie wydobywają barwy, służące do ich zobrazowania. A że w sercach tych jest wrodzona siła, polot wyższy, więc i kreacye ich samoistne nabierają těj siły i polotu, co ich wyróżnia nad inne. Też same uczucia i też samę siłę znaleźć-by można i w klasach społeczeństwa wyższego — czemu nie? Ale jest-to inne zadanie sztuki. Tam jednostka występuje już przygotowana i objaśniona z-zewnątrz, gdyż odbyła propedeutykę uczuciową: tu bohaterowie są tём ciekawszemi, że samouczkowie. Ich więc kreacye — to jakby pieśń genialnego lirnika w porównaniu z hymnem Moniuszki.

Gdybyśmy się zapatrywali na sam temat wątku powieściowego, moglibyśmy porównawczo powieść o Ulanie zestawić z „Budnikiem“; są nawet tacy, którzy zestawienie takie czynią. Rzeczywiście, i tu i tam tło intrygi stanowi uwiedzenie kobiety z gminu przez dziedzica, i tu i tam romans rozwiązuje się katastrofą, i tu i tam wybucha zemsta opiekunów: w pierwszym utworze — męża, w drugim — ojca. Ale zestawienie takie, oparte na rzeczach przypadkowych, byłoby banalném, nie objaśniałoby nic, oprócz tego, że Kraszewski w „Budniku“, jako utworze późniejszym, powtórzył sam siebie. I byłoby to istotnie samoplgiatem, gdyby chodziło o temat. Ale cóż to jest temat? To dopiéro szkielet, a na dwóch szkieletach całkiem podobnych powstać mogą dwa ciała estetycznie całkiem różne. I tutaj też, pomimo niemal tożsamości tematu, kompozycya zgoła inną obrała sobie drogę. Szczegółowe nawet studia okazałyby mogły, że w ludowych utworach Kraszewskiego powieść, to jest fabuła sama, ma dla autora nawet znaczenie drugorzędne i stanowi niejako zaprawę dla obrazów i typów, które tu u niego stoją na pierwszym planie. Zaprawa-to po większėj części smaczna i wielce pomocna do wielostronnego rozłożenia się obrazom, ale nie ona nas tu głównie zajmuje.

Z tego powodu uważamy „Budnika“, jako obraz, za rzecz zupełnie inną od „Ulany“, nie tylko w kompozycyi, ale nawet w szczegó-

łach odwrotną. Jakoż, tam charakter kobiecy stanowi główną figurę obrazu, nie tylko z tytułu, ale i z treści, gdyż autor do tego się głównie przyłożył, ażeby ten charakter sam się należycie wytłómaczył mnóstwem ruchów i giestów ekspresyjnych, czyli pewną liczbą scen, częściowo go odsłaniających, a stanowiących niby kartki jego historii psychicznej. Tu charakter kobiecy jest tylko prostą sylwetką, zdjętą z natury; to niby Ofelia, zjawisko eteryczne, nikłe, schwycone w jednej sytuacji, dosyć ogólnie charakteryzującej każde dziewczę młode, zostające w położeniu bohaterki, bez żadnych znamion szczegółowych. Zemsta znowu, wchodząca jako czynnik w oba utwory, ma także charakter odmienny, nie tylko co do objawu powierzchownego i rezultatów, ale właśnie co do pobudek wewnętrznych. Zemsta Oksenia (męża Ulany) — to czyn nieszczęśliwego z położenia, a z charakteru brutalnego ciemiegi, który miłość swą dla żony tłómaczył tylko zazdrością, pożogę zaś, jaką sprawił we dworze, mógłby tak samo sprawić, gdyby dwór go ukrzywdził boleśnie w czem inném, zgoła materyalném; jest w tym czynie nierównie więcej złości, lubo wytłómaczonej, niż uczucia honoru, które nie odgrywa tu widocznej roli. Zemsta Budnika pochodzi z serca ojca, który kocha tkliwie i z zapalem dziecko jedyne, boleje nad upadkiem jej czci, cierpi wespół z nią i czuje głęboko krzywdę uczynioną czci własnej w zniewadze, wyrządzonej córce. Zemstę jego, pobudki i okoliczności nie tylko tłómaczą, ale nawet usprawiedliwić-by mogły nadmiarem uczucia dla dwóch rzeczy drogich mu w życiu: dla czci i córki, oprócz których nie posiadał nic.

I ta też postać stanowi tu figurę naczelną w obrazie, nie tylko jako charakter ludzki, ale więcej jeszcze jako typ lokalny, przez co i łączy się i rozdziela interes powieści. Postać ta jest już połowicznie tylko ludową; amalgamat-to szlachcica i chłopą, wytworzony przez historią kraju. W usposobieniu i animuszu przeważa szlachcic, w wychowaniu i trybie życia — chłop: postać-to w każdym razie gminna, którą wszakże swoboda socyalna, obok nędzy więcej może niż chłopskiej, odznacza wpośród innej czeredy wiejskiej.

Nieoceniona to zasługa Kraszewskiego, że on jedyny jeszcze schwycił ten znikający, a dziś zapewne już całkiem znikły, typ osobistości ludowej, zwanój Budnikiem. Gdyby nie on, po zupełném zniknięciu, możeby już nie miał go kto wskrzesić, a jednak czytaliśmy rozmaite ciekawe rzeczy o Paryżu, o Alpach i Nilu, przez Polaków pisane. A tém łatwiej było mu schwycić tę postać, że na nią spoglądał często. „Budników — pisze w jednym z listów prywatnych — miałem w Hubinie chat kilkanaście u siebie, spotykałem ich ciągle. Pamiętam, że niejaki *Szadurski*, gdy mu przychodziło kilka dni obowiązkowych w dodatku do czynszu odjąć na mojem

polu, stawiał zawsze więcej snopów, niż chłopci. Pytam go raz, dlaczego się tak zмага: Ano, niechaj znają, co szlachcic może! — odpowiedział. Miłość własna była i w nim, a buta szlachecka“.

Klasa ta ludu znaną jest głównie na Polesiu Wołyńskiem; a odrębna obyczajami, narzeczem, wyznaniem i twarzą od miejscowego żywiołu, używa miana Mazurów, częścię Budników od lichych chat i jakby tymczasowych, które im służą za schronienie. Pochodzenie tych osadników wyświeca pierwsza z tych nazw, dochowany nieco akcent i obyczaje; czas przybycia ich oznaczają na kilkaset lat, ale czy ich tu burza jaka zagnała, czy potrzeba zarobku, czy inna jaka przyczyna, nie wiadomo. Prócz nazwisk szlacheckich, rodowych, żadnych piśmiennych dowodów pochodzenia swego nie dochowali: jedynymi oznakami jakiś obrazek pochodzenia koronnego, jakaś szabla zardzewiała po przodku rycerzu, może konfederacie, której potomek już nie przypasze, ażeby nie być śmiesznym, ale ją zawiesi na ścianie i przechowywać będzie, jak skarb rodzinny, którego początku zapomniał.

Nie stanowią oni ludności zbitęj w jakiś osobny zaścianek, ale rozrzucają się po lasach i puszczech, u ruczajów i podłe dróg, a tak w jednej okolicy siedzi ich osobno po kilka lub kilkanaście rodzin. Pomimo jednak rozstrzelenia, nie zmieszali się z ludem miejscowym, mając się za coś wyższego, przez pamięć na pochodzenie i wreszcie na swój stan wolny. Zajęciem ich było trzebieenie lasów, wyrabianie belek, klepek, smoły, dziegciu, potażu; i dopóki lasów starczyło, najem taki mógł im się opłacać. Życie osamotnione, leśne, pół-koczujące i dzikie wpłynęło na wytworzenie odpowiednio dzikiego obyczaju, energii i siły; wyniszczenie lasów stopniowo doprowadziło ich do nędzy.

W jednym z takich lasów, napół już zniszczonych siekierą budników, osadza autor Bartosza z rodziną, złożoną z drugiej żony, odziedziczonej po bracie, oraz z syna i córki z pierwszego małżeństwa. Nie wiem, jak tam długo chodził autor za takim budnikiem, aby go śledzić; ale to pewna, że trudno o coś bardziej żywotnego, jak ten obraz życia, który tu się przedstawia, tak, że nie wiadomo, co bardziej podziwiać: treść czy akcesorya, które sposobem wykończenia dochodzą do znaczenia treści. W całym opisie panuje jakaś atmosfera leśna, śni się wciąż przy czytaniu jakiś daleki krajobraz zielony, pełen drzew, poprzerzynany drożynami, w którym to jezioro błysnie, to gaj zaszumi, to zwierz przemknie rogaty, to łąka wyjrzy słoneczna wśród cienia otaczających gęstw. I po takim-to krajobrazie przechodzisz kilka godzin, zavadzając o chaty, podsłuchując rozmów charakterystycznych, ocierając się o postacie dla siebie nowe, ciekawe, z innego świata, a przecież tak głęboko ludzkie i pol-

skie! I z tych wszystkich posłuchów wywiązuje się zwolna historia straszna, wzruszająca, przy której serce ci bije z natężenia, uwagi i żalu.

Bo biedny to ten twój bohater, ojciec rodziny, ciężko zmuszony pracować bez nadziei lepszego jutra. Żona jego, pospolita kobiecina, przybita nędzą, w oczach zagasłych przedstawia nie rezygnacyjną szlachetną, ale raczej gotowość nawet spodlenia się, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli. Syn — to rodzaj dobrotnego gнома: silny jak zwierz, strzelec nieporównany, ale jak zwierz nieociosany i głupowaty. Jedynym zjawiskiem przyjemnym jest córka, zaledwie wychodząca z lat dziecinnych ku dziewiczości: blada, wysmukła, giętka, o czarném oku, przemawiającym namiętnością, w ubraniu nędznym, ale już tak ułożonym, ażeby stroiło wdzięcznie; ze wzrokiem błędnym, ale głęboką zadumą, świadczącym, że ona myślami i nadziejami pomknęła kędyś daleko za chatę i lasy, a wtedy tylko budzi się z zadumy, kiedy ktoś przypadkiem wymówi przy niej imię panicza ze dworu.

Nad taką-to rodziną trzyma opiekę Bartosz, siwiejący nieco starzec o pięknym czole, obliczu nieidealnym wprawdzie, ale pełnym wyrazu i energii. Oblicze to, wyciosane jakby z kamienia, a namaszczone myślą jakiejś tęsknoty i smutku niepokieszonego, obramowane wdzięcznie krótko przyszczyżoną brodą. Wzrost jego wysoki, ramiona obrzynie. Ubranie składa się z szarą, krótkiej kaptoty, pasem czerwonym ujętej, z szarawarów grubych płóciennych, zakończonych łapciami o skórzanych sznurach. Na głowie czapka mała bez daszka; przez plecy przewieszona strzelba myśliwska i torba borsucza.

Takim jest mniej-więcej portret budnika, zdjęty z powierzchni.

Wewnętrznie Bartosz odpowiadał tym rysom. Nie lekceważąc ludzi swojego stanu, stronił jednak od nich, czując się naturą wyższym. Wyżsi znowu nadeń nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; w karczmie nie bywał, nie cierpiąc żydów, których nazywał pijawkami; jedyną jego rozrywką była przechadzka wśród ciszy lasu, z którym od urodzenia się zrósł. Niepokonany myśliwy, nigdy próżno nie wracał; a w braku zwierzyny, przynosi, stosownie do pory, jagody lub grzyby, zioła lekarskie, korę, sprzęcik jaki wystrugany, sidła na ptaki, i tym sposobem czas zawsze użytecznie przepędzał, pracując. Zdawało się, że praca tylko daje mu zapominać jakąś wielką a utajoną boleść. Wyższość natury i życie niepokalane szanowali w nim bracia budnicy, uważając go za swego patryarchę, doradcę, moralnego zwierzchnika. Znał on ich wszystkich, stosownie do okoliczności pocieszał, ratował lub bawił.

„Myśmy — mawiał — garścią tu obcych wygnanców; powinniśmy być tém poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej i ziemi rodzinnéj, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy: to i Chrystus ubogim był, i Józef cieśla się nie wstywał nazywać; pracujmy; biedniśmy: cierpmy, a nie skarżmy się, jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom śmiech“. — Obejście jego z równemi było ludzkie, uczciwe, ale szło nieco zgóry. Siedział w nim jakimś atawistycznym sposobem szlachcic cnotliwy i butny, zakłęty w chłopa. Cóż to będzie, jeżeli okoliczność jaka stawi go w kolizyi z wyższym od siebie stanowiskiem, choć może mniej wysokim naturą? Okoliczność stawiała go w kolizyi z bydłciem, zakłętém w szlachca.

Studyując tu wyłącznie żywioł ludowy, pomijamy wszystkie charaktery szlacheckie, jakie się przewijają po tych utworach; inaczej, z wielkiém zadowoleniem zajrzelibyśmy do dworu, ażeby przypatrzeć się młodemu paniczowi, którego zaślepiona mateczka (wdowa) ubóstwiała i, przy pomocy swego fraucymeru, przysposabia w nim swemu małemu państewku, na swym małym dworze, maleńkiego Helio-gabala, wszystkie dziewczęta okoliczne jakiegobądź stanu, z różnicą tylko wieku i wdzięku, czyniąc bezwiednie ofiarami jego bardzo kochliwój kompleksyi. Do takich-to ofiar należeć miała Julisia, córka Bartoszowa, którą panicz od czasu do czasu w swych gonitwach leśnych nawiedza, zatrzymując się przed chatą, zawsze pod jakimś ważnym pozorem.

Bartosz przewiduje skutki takich uprzejmości i spogląda na panicza wzrokiem tak wdzięcznym, że ten wolałby mniej uprzejmości. Łatwo odgadnąć wzruszenia biednego starca, zagrożonego we czci swojej i miłości. Wprawdzie siła jego jest twierdzą dostateczną dla całości dziewczęcia; ojciec może panować nad ciałem, ale czyż zapanuje nad duszą? A w razie śmierci, kto czuwać będzie nad dzieckiem? Czy macocha o instynktach niskich, czy brat pół-idyota?... Wydać ją za mąż?... Ej! i to jeszcze nie stanowcza tarcza; a wreszcie któż dziś weźmie taką nędzarękę, bez chaty i posagu? Nieszczęśliwi, którzy wiedzą, czują i przewidują! Już Bartosz raz w życiu miał bolesną przeprawę z powodu zalotów odwzajemnionych dworaka do swéj nieboszczki żony, których skutki były okropne. I oto powód téj tajemnéj jego bolesti. Mąż teraz córka pójsz na podobną dolę?

Tém téż interesującym staje się ten charakter czysty i nieuległy, a szanujący w sobie godność człowieka, że całe jego położenie jest ciąglem polem walki z żywiołami, godzącemi nań w postaci nieczystości, podłości i zaparcia godności ludzkiej.

On czysty, jak kropla rosy porannej, skutkiem umyślnego podstępstwa złodzieja fachowego posądzony o kradzież koni, za „pieniądz tegoż złodzieja“ przez urzędnika sprzedajnego przesładowany w sposób najbrutalniejszy, — przedstawia obraz męczennika, budzącego na każdej stacyi męczeńskiej szczególniejszą sympatyą. Cóż dopiero, kiedy po długiej drodze krzyżowej za domem, oderwany od rodziny, powraca, by się dowiedzieć, że stało się to, czego się względem córki obawiał! Skorzystano z przypadku: podstęp złodzieja względem ojca posłużył podstępowi rozpustnika względem córki; dwaj wyrzutki spotkali się, by jeden zadał ranę w serce, a drugi w nią żelazo obrócił. Bartosz zastał córkę sponiewieraną i obłąkaną napoły. Zato w chacie dostatek, porządek, strojność, — owoce współdziałania łatwej pani Bartoszewej, która nie była rodzoną matką Julisi.

Bartosz, jako człowiek wychowany w dziczy leśnej, w życiu surowem, niepozbawionem poezyi, tém się wyróżnia od ludzi ewangelicznych, z którymi wiele ma rysów wspólnych, że w gwałtowności swęj niepohamowany, podsycany dzikością życia, niepomny innych uraz, obrazy honoru wybaczyć nie może; a tu los drugi raz go już stawia w takiem położeniu. Dotąd boleścią duszy pokutuje za uniesienie młodości, którego następstwem była przedwczesna śmierć pierwszej żony i kalectwo jej współwinowajcy; to jednak nie reflektuje go w położeniu obecnem. I pierwszą myślą jego zrozpaczonej duszy jest zemsta, kiedy woła do obłąkanej córki: „Dziecię moje, nie obawiaj się. To ja, ojciec, z tobą; nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię otoczono beze mnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale tyś niewinna“. I wciąż Boga, w gruncie pobożny ten człowiek, czyniąc swoim współnikiem: — „Boże!... — dodaje — sroga kara twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie przebaczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola twoja!“

W rozpaczony niekonsekwentny sam z sobą: bo jeżeli Bogu przypisuje taki wymiar kary za pierwsze swe uniesienie, powinienby pomyśleć, że i drugie nie ujdzie mu płazem, skoro dobrowolnie wywołuje gniew Jego. Ale on się już i gniewu tego nie boi; nie ma w życiu już nic do stracenia, a rozpacz zasłania mu wzrok na to, co ma nastąpić po śmierci. Wreszcie czyn, jakiego pada ofiarą, wymaga rachunku sprawiedliwości. A do kogoż ten nieszczęśliwy i upośledzony paryas uda się po jej wymiar?.. Sam musi być sędzią i wykonawcą. Ta niekonsekwentność jego, ten obłąd rozumu, zwalczonego uczuciem, ta przysięga zemsty, wykonana na grobie honoru domu i dziecka, czyni go groźnie pięknym, po ludzku wspaniałym

i poetycznym, tak, jak ten krajobraz, wśród atmosfery którego podobne jednostki wyrastają.

Wogóle charakter Bartosza, nie przedstawiający nic szczególnie oryginalnego wśród ludzi jego hartu, tu zdobywa sobie miejsce wydatne, najprzód położeniem bojownika, walczącego wśród okoliczności dziwnych, powtórnie dzielnym kolorytem scen, w których się szczegóły charakteru jego objawiają i na prawdziwego bohatera go wynoszą. Powieść zaś sama, oprócz tej postaci głównej, nadająca znamiona charakterystyczne każdej prawie bez wyjątku figurze, mniej lub więcej czynnej, do najartystyczniejszych kompozycji naszego autora bezwarunkowo należy.

Gdybyśmy czynili ten pobieżny przegląd w porządku szczegółów i scen z życia wiejskiego, to za najbogatszą ich skarbnicę musieliśmy wskazać: „Chatę za wsią“. Tam i liczne zaludnienie i rozmaitość żywiołów i szereg wypadków, nadto rozmiar utworu (trzytomowy), przy zwykłym autorowi wdzięku opowiadania, składają się na to, ażeby bez względu na brak ściślej jedności w kompozycji, dziełu owemu nadać jedno z pierwszych miejsc w zbiorze utworów ludowych. Ze względu jednak na ideał ludowy, jaki koncentruje się w pewnych typach, oraz na tendencyjność społeczną, dzieła poprzednie nad obrazkami z „Chaty za wsią“ górują.

Powieść ta, złożona z szeregu krotek malowniczych, wdzięku niewymownie prostego, posilkuje się żywiołem wyłącznie sielskim: ale mało ma w sobie nieznanego dla czytelnika, który z poprzednio cytowanymi przez nas utworami dobrą zabrał znajomość. Uderzającą jej nowością jest to, że w kombinacji z żywiołami stałymi wprowadza element cygański i na tle tej kombinacji fantazyjuje dramatycznie. Cyganie żywo nas zająć mogą, jako fantazya, zwłaszcza jak tu, opierająca się na gruncie rzeczywistości i w formie nader artystycznej przeprowadzona; ale wrażenie tej fantazyi nie może być tak ściśle związane z interesem, jaki, w oczach naszych, przedstawia lud rodzimy: ma ona dla nas do pewnego stopnia znaczenie symfonii muzycznej, której słuchamy chciwie, bo piękna, a po wysłuchaniu, oczarowani, niełatwo dostrzegamy jej związku z życiem. Czém mogą być same w sobie takie charaktery, jak wprowadzona tu Aza, dziecię burzy i ognia, dziewica demoniczna, którą wszędzie indziej nazwaćby można szaloną, fanatyczka cyganizmu, pałająca mściwą nienawiścią do ludzi osiadłych za swe wyłączenie, nawet wtedy, gdy sobie sama dolę wygnańczę wybiera. Im dokładniej wyrażają się jej rysy, pełne zmysłowości, nastroju chytrego kotki, która chowa pazury pod aksamitem dotknięcia, im więcej ona kocha tę wolność bezmyślną, bogdajby opłacić się mającą zniszczeniem i rozpaczą innych, — i im więcej sztuka wyda z siebie dla uwyda-

tnienia téj natury zmysłowo-uroczej, tém większy budzi ona prozaiczny wstręt moralny. Żywiół cygański, gdziekolwiek ukaże się w sztuce, nic innego sprawić nie może nad wywołanie wrażenia plastycznego form zmysłowych i energii krwi; a pod tym względem niech nas nie łudzi Esmeralda: Aza Kraszewskiego jest nierównie prawdziwsza. Wzgarda cywilizacji, bezcelowość życia dobrowolna, wstręt do wszystkiego, co moralnie pożyteczne, brak wszelkich zasad i egoizm nieuleczony, nie mogą z siebie wydobyć nic, coby wchodziło w sferę piękności pozazmysłowej i subtelnej.

Zjawienie się téż cyganów we wsi i pobyt ich dłuższy wprowadza do niej jakiś element rozkładowy, nieszczęście. I ktoby pomyślał! W rozkładzie tym zjawia się fakt nakształt owego, kiedy zając, istota najpłochliwsza w świecie i obrzydliwa przez to samęj sobie, znajdując niespodziewanie istoty jeszcze od siebie płochliwsze, nabiera ducha i buty. Ktoby pomyślał, że chłop owego czasu, tak nisko położony nędzarz, jeszcze będzie miał sposobność głowę do góry zadzierać i występować ze wzgardą, równą wzgardzie fanatyckiego arystokraty względem gminu! Tak się jednak stało, a to w chwili, gdy jeden z bandy cygańskiej dopomina się o rękę córki, nie już chłopca czystej krwi, ale nawet półcygana, który od dzieciństwa wkorzeniwszy się w wieś i jej stosunki, z zapalem neofity nienawidził dawniej sekty i ród swój przed nią ochraniał. W tém oburzeniu ojca przyjmuje udział rodzina i gromada; wdaniu się dworu na korzyść zakochanej pary stawia opór bierny, ale niengiety,— gotowa przypłacić go najcięższą odpowiedzialnością. A kiedy, pomimo to, nie może przeszkodzić temu, co uważa za zgorzenie, wyłącza dotknięte przekleństwem ojcowskiem stałoś z swego towarzystwa, niby owce zarażone, obojętnie patrzy na jego marnienie, rozpaczliwe zapasy z nędzą, śmierć, i po śmierci nawet, w drugim pokoleniu, prześladuje szyderstwem, niechęcią, odrzuceniem zupełnym.

W takim postępowaniu, zwłaszcza ze strony najbliższej rodziny, jest wiele bezserdeczności, ale tkwi zarazem głęboka prawda. Chłop nasz, jak daleko siedzi, wszędzie odznacza się tém zakuciem w absolutną swojskość i ma to podobieństwo do zwierzęcia, że nie cierpi istot odmiennego gatunku, nigdy się z niemi nie łączy, w najlepszym razie zachowuje względem nich zbrojną neutralność, tolerując je tylko w imię interesu; — ale gdy przychodzi do poufnego stosunku, o! — to rzecz zgoła inna.

Dalekim on jest niezmiernie od idei kosmopolitycznych. To zaś ma wspólnego z resztą ludzi, że pojęcia arystokratyczne względnie do tego mikrokosmu, w którym żyje, wyrabiają się u niego i wszczepiają silniej, niżby kto sądził z jego powierzchowności. Ród gospo-

darski, a komorniczy lub parobczany; ród dawno we wsi osiadły, a świeżo przybyły, — wielka-to różnica w heraldyce wiejskiej. Cóż dopiero porównanie chłopca osiadłego z cyganem, włóczęgą i poganimem!

Ten rys charakteru chłopskiego, tak trafnie tu wprowadzony, przypomni nam wszystkie nasze własne w tym względzie spostrzeżenia; a w powieści niniejszej on-to jest osią obrotu całej maszyny perypetyj i obrazów, z których nareszcie wykluwa się pewien charakter, w swoim rodzaju ciekawy.

To dziewczynka pary przeklętej, znana we wsi pod nazwą *cyganichy*, która odtąd pochłania całą uwagę. Sierota, obca wśród mnóstwa ludzi, wśród wujów i ciotek, sama jedna, jak dusza pokutująca w „chacie za wsią“, zbudowanej pod cmentarzem herkulesowym wysiłkiem jej ojca, który się z nędzy i zgryzot nieopodal w lesie powiesił, a do czego mu zarówno cyganie, jak i chrześcijanie pomogli, — gdzie matka jej odumarała, pozostawiwszy dziecię bez chleba i bez opieki. Nasz świat kamienny nie zna takich wypadków i trzeba dopiero zapuścić się w głąbie puszczy i błot, ażeby na łonie natury nagięj dopatrywać się tajemnic jej dzieci. Po ojcu mała cyganicha odziedziczyła energią i ducha samopomocy, po matce dumę, po obojgu urodę i nędzę. Za całą jej przyjaźń i towarzystwo — stara znachorka, mąż jej, ślepy żebrak, i jakiś podobny jej paryas wiejski, z głupia-frant parobczak.

Ci przyjaciele, z szeregów ostatniej demokracji sielskiej wybrani, namawiają dziewczynkę, ażeby udała się gdzieś za kawałkiem chleba na służbę, przyrzekając pomoc, grożąc, że tu zginie sama jedna. Ale Marysia ani słuchać o tém nie chce: — „Zginąć, to zginę — powiada — a taki stąd nie pójde; to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jej nie porzucę. Myśmy tu z matką żyły, biedowały; ja-m tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie; ja nie porzucę chatynki mojej“.

I na podziw całej wsi, żyje to niebożę, nasamprzód pracą rok swoich, kądziela, przędąc za zapłatę dla bogatych gospodyń, a przytém pomocą tych lichych opiekunów, którzy sercem i radą, groszem uzbieranym lub wiktuałem podebrany, czasami zasilą zgłodniałą. Latem, zwykłą siedzibą jej — cmentarz i grób matki, skąd widać chatę jak na dłoni; zimą — izba, jedyna w chacie zimnej, rzadko opalanej; towarzystwem — nieme stworzenia, które ją pokochały. Opieka przyjaciół czuwa nad nią zdala; zbliżka podtrzymuje ją pogodą duszy, pewność siebie i radość, że nie opuściła świętej dla siebie ojcowizny.

I trudem a ładem, pomysłowością naiwną a praktyczną, wyrasta

to na dziewicę urodziwą, o której energii i wdziękach wieści rochodzą się po wsi. Ciotki, ujęte opowiadaniem o niej cudów przez starego zebra, przybawają pierwsze, aby ją poznać i jałmużną jaką podeprzeć. Zastają tyle imponującej wyższości i wdzięk, że odchodzą zawstyżone, nie śmiejąc się ofiarować ze swemi datkami. Ukazanie się jęj w cerkwi zwraca na nią powszechną uwagę, a kiedy kobiety po nabożeństwie zastanawiają się, jakim sposobem dziewczyna ta w takich warunkach, gdzieby każde inne dziecko w kilka dni zginęło, mogła sobie poradzić i tak na podziw się udać, jeden tylko przyjęty był komentarz, dostarczony przez najstateczniejszą.

„Czekajcie-no! — mówiła ona — nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam. Matka jęj była charakternica: zawsze miała, słyszę, mleko, choć krowy nie było; wetknęła kołek w ścianę, poszeptala i doila, jak krowę. Mąż jęj był charakternik; to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojej doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać i karmić. To nie może być inaczej“.

Słowa te domyslnęj staruszki, wypowiedziane z namaszczeniem, poszły w obieg pomiędzy lud. A że nic się prędzęj nie czepia ludzi, jak myśl najdziksza, śmiało im w oczy rzucona, więc zaraz uwierzyli w upiory. Każdy dorzucił jeszcze coś swojego, tak, że od niedzieli do niedzieli już w drugim końcu cmentarza rozpowiadać zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą widziały na własne oczy matkę jęj Motrunę, występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jęj włosy i razem z nią przędącą w nocy na motki najemne.

I teraz dopięro wydała się nareszcie tajemnica doskonałości jęj przędu, za którym ubiegały się gospodynie, a zarazem tajemnica jęj urody i wdzięcznego przyodziewku. Bo skąd oczywiście te włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona i bucik i pasik i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka? Skądżeby się to wszystko u nięj brało? Z nieba przecież nie spadło. Albo czy to głód i biedę znać na tęp twarzyczce, rozkwitającęj uśmiechem różanego pączka? Niejedna gospodyni mlekiem swoje karmi, a tak jęj nie wygląda... Oczywiście sprawa-to nieczysta.

Tak tedy wytłómaczono sobie tę tajemnicę wrodzonego wdzięku, sprytu i zaradności; komentarz ten o mało nie pozbawił jęj zarobku, bo gdzież-to poczciwym ludziom wdawać się z siłą nieczystą! I trzeba było całej prawdy łez i całego ich uroku w oczach Marysi, ażeby ten argument zachwiać w umyśle sceptyczniejszych gospodyń.

Ale nie tu jeszcze najcięzsza próba dla tego charakteru tak samorodnie wybujałego. Czas tęp próby nadszedł właściwie, kiedy

młody Lowelas wiejski, syn budniczy z okolicy, służący za gajowego, którego niepohamowany donżuanizm poczynił już znaczne spuszczenia po sercach różnych dwórek, a nawet i o ekonomówny zawadzał — teraz, za pierwszym widzeniem Marysi, zwrócił się ku „chacie za wsią“. Zrazu nęcony tylko nadzieją łatwego zwycięstwa młody szłachcisk, ufny w swe skromne leśniczostwo, dumny pochodzeniem szlacheckim, jakby jeszcze pamiętał przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, gniewał się tylko na niespodziewany odpór, jakiego doznał od Marysi, ostrzeżonej instynktem cnoty i uwagami przyjaciół. Ale jak zwykle w człowieku, tak i w Tomku Chońskim wszystko, coby powinno było tamować bieg namiętności, jeszcze go silniej podbudzało, i przedmiot dla niego zakazany tćm stał się pożądanym, droższym, niezbędnym, godnym posiadania za jakąbądź ofiarę. Ta przemiana formy uczucia w Tomku sprowadziła przemianę i w uczuciu Marysi, a to ku jćj największemu nieszczęściu. Toż-to ona stanęła na tćm samćm polu, tylko w odwrotnym stosunku, na którćm zginęła jćj matka, i taką ruiną zasypała całą przyszłość. Uciekać jćj trzeba z tego pola przekleństw. Tomek — to jedyny syn rodziców dumnych, którzyby za ujmc mieli połączyć się z najarystokratyczniejszym rodem chłopskim, a cćz dopićro z cygańskim? I daremnie ojciec, uwiadomiony o zabiegach syna, wyjaśnia to niewinnej sprawczyni jego niepokojćw, — ona wcześnieć przewidziała to sama i wcześnieć skazała się na całopalenie uczucia, w imię obowiazku i dumy osobistćj. Ona nie chce, aby wyświadczone jćj łaskę, przyjmując w dom wyrzutka. Gdyby poszła w dom cudzy, to na prawach rćwnych, pociągnięta miłoscią, a zatrzymana szcunkiem; inaczej, może umrzćć z kochania, ale nie okupi go niezadowoleniem cudzćm, upokorzeniem własnćm. Daremne w tym przedmiocie uwagi przyjaciół praktyczne; nic nie zachwieje w postanowieniu dumnego serca.

Ale co robić? Co robić pomićdzy gwałtownymi zabiegami na śmićć zakochanego Tomka a udrćczeniem na śmićć rozżalonych rodziców?.. Bywają chwile w życiu, w którćch spotćgowuje się człowiek — powiada autor — w którćch wiććć widzi, wiććć może i wiććć czuje, niź zwykle.

Taka chwila przypadła na Marysię, która była pustelnicą, dziećciem mogił, wykołysanćm dumami wśróć samotności, i tćm wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować nawykła. W sercu biednego dziewczćcia zjawiło się przekonanie, że z losem swym dotychczasowym rozstaćć musi. Było-to jakby jasnowidzenie konieczności, i żal cięćki ścisnął jćj serce, nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze, co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić musi. Ale

co robić?.. Jakby z odpowiedzią na to zapytanie, przybywa na ten czas po dłużej nieobecności, takie ślady pobytu swego zostawiwszy, też sama banda cyganów, z której obozu wyszedł jej nieszczęśliwy, ojciec. I też sama Aza w postaci kusiciela, zjawia się przed córką tego, którego pokochała zapóźno, aby ją porwać prawem krwi... Propozycja, zrazu wstrętna, wobec nacisku Azy i serdecznego kłopotu Marysi zaczyna innego w jej umyśle nabierać znaczenia. Jak spełnić dzieło poświęcenia to do dna. Oderwać się, zginąć — to jedyny sposób wyleczenia Tomka i uspokojenia rodziców; to jedyny sposób zerwania z niepodobnym szczęściem marzeniem, które bądź-co bądź przebija się przez sieć rezygnacyi. Marysia zdolną jest do postawienia zapory nieprzełamanej między sobą i ukochanym, do tego kroku bezpowrotnego, do tego bohaterstwa; i po rozrzewniającej scenie pożegnania z chatą i z całą przeszłością, ze wszystkimi drogami zabytkami niedoli rodziców i własnej, ustępuje namowom Azy.

Dosyć nam na tém dla wyobrażenia charakteru, któryśmy skreślili, idąc w ślad za natchnieniem poety. Nie przeczymy, że wszystkie te charaktery pojedyncze i naczelne, jakie się tu przewinęły, począwszy nawet od „Sawki“, — są to charaktery wyjątkowe, ale w tém dla nas znaczeniu, że „*exceptio firmat regulam*“. — Mógłby ktoś nawet zapytać trywialnie: gdzie kto widział takich chłopów i takie chłopianki? Ale na to odpowiada mu sztuka, że ona nie jest fotografią. I Kraszewski nie widział zapewne swych bohaterów takimi od stóp do głów w naturze, jakich opisał w dziele, bo nie kopiował. Widział on jednak, zarówno z drugimi, rysy pojedyncze, tu i owdzie rozrzucone po indywiduach, zasłyszał podania powtarzane ust tysiadcem, jak owo, z którym poddany dla ocalenia pani, gonionej przez wilki, wyskakuje z sani, by sobą zająć żarłoczne bestye i ułatwić jej ucieczkę. Takie pojedyncze rysy imaginacja grupuje, a sztuka wytwarza z nich całości jednokształtne, żyjące obrazy natury, ideały.

Autor nasz nie poprzestał na wzorowaniu chłopą w zakresie jego sfery wieśniaczej. Kreśląc go z rozmaitych stron dobrych i złych, powszednich i wyższych, naiwnych i wstrętnych, — dwakroć zadawał sobie pytanie: coby to było z chłopą, gdyby wyszedł ze stanu wieśniaczego i, stanąwszy ukształceniem na równi z klasą wyższą, wmieszał się w jej stosunki? Pytanie to można wielorako rozwiązać i wogólności nie przedstawia ono samo w sobie głębokich tajemnic. Któż z nas nie kolegował w szkołach z kilku uczniami stanu włościańskiego i kto nie zna późniejszych ich zawodów? Są oni takiemiz dobrimi obywatelami kraju, jak inni, a w miarę

uzdolnień, mniej lub więcej pokaźne zajmują stanowiska w społeczeństwie: stan duchowny mieści ich największą liczbę.

Kraszewski jednak w przedstawieniu takich jednostek miał widać jakiś zamiar szczególny, z kwestyą ludową, która go bardzo zajmowała, połączony: oto chciał w nich wykazać pewne pośrednictwo między ludźmi jednego plemienia, a jednak rozdzielonymi i to nie tylko pozycyą socyalną. Jeżeli tak było, a co śmieie wnosić możemy ze sposobu, w jaki się przedmiot u niego rozwija, to przyznać mu trzeba, że miał natchnienie wielce szczęśliwe, i gdyby nie przemawiał do głuchych, wielce w błogie następstwa płodne. Bogdzież istotnie doskonalsze pośrednictwo, niż to, które jest krwią ze krwi, kością z kości, i kiedyż wzajemna ufność mogłaby lepsze znaleźć zarzewie, niż tam, gdzie z jednej strony stoi na straży wdzięczność, a z drugiej nadzieja. Nieodstępna bowiem była mu i ta myśl, że w takiej masie czerni niepodobna, ażeby nie znalazła się jakaś rodzima wyższość, którą zamiast zakopywać, jak dyament w ziemię, należałoby, odkrywszy, podnieść i blask z niej wydobyć, ażeby świeciła ziemi, która ją wydała.

Negatywnie myśl tę rozwiązuje Kraszewski, jak widzieliśmy, w „Historyi kółka w płocie“. Coście uczynili z wyższością? — zdaje się pytać. Rozwiązanie pozytywne przedstawia się w *Hryciu Soroce* z „Ładowej Pieczary“, oraz w powieściach: „Ostap Bondarczuk“ i „Jaryna“, które właściwie są dwiema tylko częściami jednej powieści, w rozmaitych czasach pisanemi. Jak się autor wywiązał z tej myśli przewodniej w kierunku pozytywnym, zobaczymy zaraz.

Nie możemy dostrzedz tego, ażeby chronologiczność towarzyszyła ściśle rozwijaniu się planu Kraszewskiego co do tendencyi społecznej, jaką w utworach swych przeprowadza; zdaje się przeciwnie, że cały porządek myśli idzie według wrażeń, następczanych przypadkowo, tak, iż rozmaite utwory szykować należy podług myśli przewodniej tej lub owiej raczej, niżeli według porządku czasu, i dlatego dwa charaktery, wyrażające myśl prawie jednaką, jak Hryć Soroka i Ostap Bondarczuk, dzieli od siebie znaczna przestrzeń czasu, wypełniona utworami innego odcienia myśli. Kiedy „Ostap“ ukazuje się bezpośrednio po „Ulanie“ w roku 1847, „Ładowa Pieczara“ ze swym bohaterem Hryciem wychodzi dopiero w r. 1852.

Pomimo jednakiej, a przynajmniej bardzo podobnej treści obu bohaterów, ważna zachodzi pomiędzy nimi różnica indywidualna co do form. I tu porządek niejako się odwrócił. Hryć, późniejszy, stanowi zaledwie sylwetkę, wyraźną, ale bardzo streszczoną. Charakter wreszcie, który wyobraża ta treściwa sylwetka, przedstawia rysy spokojne, refleksyjne, coś niby ze statysty i filozofa, o sercu wielkiem, ale obejściu chłodnem. Ostap, przeciwnie — to obraz roz-

legły, barwny, różnostronnie wypełniony: charakter namiętny, ogniasty, rzucający się na oslep w przepaści za podmuchem serca. Sąto z Hryciem dwaj bracia podobni, tytko jeden o naturze bogatszej, drugi zaś o uboższej w ekspresyą; a że obaj w gruncie zacni i działający, więc działania ich w treści jednakie, różnią się wszakże ekspresyą.

Hryć od dzieciństwa, lubo kochający wieś, wydiera się gwałtem do czegoś nieznanego i w tém dążeniu zyskuje pomoc dziedzica. Kształci się w wielkiem mieście, ale pomimo wykształcenia i zyskania form światowych, kmiotkiem pozostaje w sercu. Bądź-co-bądź, Hryć jest-to spory kawał doktrynera, i nie wiem, jak go tam przyjaciel i niegdyś uczeń z miasta mógł z zimną krwią wysłuchać, kiedy Hryć, sam przez naukę podniosłszy się tak wysoko, a przez życie miejskie nic z czystości duszy nie utraciwszy, powstaje przeciw nauce miejskiej i książkowej, przeciwko miastu, przeciwko Zachodowi, a wywyższa wieś i naukę podaniową, która przekazała nam wiedzę „tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakim Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego“. („Ładowa Pieczara“). — Szanujemy zapal Hrycia dla przeszłości i jego miłość dla form swojskich, połączoną z miłością ziemi, ale ani jego pesymizmu względem całego ruchu nowego, ani optymizmu względem wszystkiego, co było, wziętego ryczałtem, nie możemy podzielać, i przyznam się, że go nawet niezupełnie rozumiemy. Pomimo wszakże tego doktrynerstwa, Hryć z konsekwencyą żelazną dochowuje wiary tradycjom, w imię których, zateksniony za wsią, za chatą, za braćmi, za życiem dawném, zrywa ze światem miejskim, do którego niegdyś z taką się wyrwał gorączką, powraca do domu, by odżyć wspomnieniami młodości, nawiązać przerwana nie zajęć około roli i cały zasób wiedzy pożytkować na korzyść braci rodzonych — pod braterstwem tém rozumiejąc tak dobrze gromadę, jak dwór — a swoją drogą ukochaną naukę dziejów prowadzić dalej, tylko w inny sposób. „Tu jestem u źródła dziejów — powiada swym nieco paradoksalnym tonem — i czerpię je nie z suchych kart, gdzie mi kłótnie o lata nieustannie obraz rozrzynają (nie sądzimy, mówiący nawiasem, ażeby autor *Litwy* takie tylko znaczenie naseryo przypisywał krytyce historycznej), — ale z mogił, z ziemi, ze starych pamiątek dziadowskich, z drgającej powieści, którą kmieć wieki powtarza, z pieśni, którą nawykł śpiewać, z języka, którym mówi“. („Ładowa Pieczara“). — Studya wszelako archeologiczne, w trakcie których widać i sam autor pisał tę powieść z sercem, rozkołysaném ich powodzeniem, nie przeszkadzają Hryciowi, a raczej pomagają mu do utrzymania we wsi patryarchalnego ładu, o którym szerzej mieliśmy sposobność poprzednio powiedzieć. Jego

zabiegliwość i poświęcenie się dla wspólnej sprawy, rola opatrnościowa, jaką odgrywa względem dworu, są to tylko następności tych zasad, które głęboko w duszy jego utkwily.

Takiż sam grunt moralny leży na spodzie charakteru „Ostapa Bondarczuka“, ale bujniej i w sposób nierównie więcej malowniczy rozrastają się jego formy. Ostap jest dziecięciem ludu, wychowanem *po pańsku* nie w skutek wzajemnej pomocy, leżącej w systemacie wsi, jak w „Ładowej Pieczarze“ Hryć, ale w skutek prostego przypadku, który mu, jako dziecku, nastreczył sposobność zobowiązania pana. I panu hrabiemu nie byłaby nawet przysłała do głowy myśl wywdzięczenia się, a tylko pani, kobieta uczuć delikatnych, stała się jej matką niejako i wykonawczynią. Wielka też różnica w powrocie do domu Hrycia i Ostapa. Hryć wraca jak do siebie, do rodziny, z okiem śmiałym, swobodnym. Ostap, wracając pełen światła i nauki z Berlina, jako doktor medycyny, drży ze wzruszenia, nim się ukaże dziedzicowi, którego zna usposobienie dla ludzi skarbowych. Przygotowany na upokorzenie, nie może się jednak powstrzymać w trwodze na myśl, ile ucierpieć będzie musiało jego, dziś tak wydelikatnione, uczucie godności ludzkiej.

Ale dlaczegoż doktorowi medycyny wracać w poddaństwo zarzewiałego w przesadach despoty? — zapyta kto. Ha! w tém też leży cały charakter Ostapa, wzniosłego marzyciela ludowego. Dwa jego rysy najcelniejsze — to miłość dla swoich, dla braci po niedoli, i godność osobista, posunięta po-za granice wszelkiej rachuby. On jest „dumny swém chłopstwem“ i za nic w świecie nie oddałby tego klejnotu pierworodnego. Przez tę dumę nie chce być nie nikomu dłużnym, a wszelką przysługę wypłacić z lichwą; dłużnym zaś czuje się dziedzicowi za pomoc w edukacyi, a braciom czuje się dłużnym przez solidarność krwi.

Synowiec dziedzica, Alfred, razem z nim wychowujący się na uniwersytecie, chłopiec serdeczny i kochający go jak brata, musi mu dobrze nadskakiwać, ażeby, mimo całej wzajemnej przyjaźni, nie urazić jego dumy. I często, kiedy mu Alfred mówi: „tyś mój przyjaciel“, Ostap odpowiada z pewną afektacją: „wasz poddany!“ — Jedynym przeciwieństwem jego utrapień w chwili powrotu do kraju jest ten Alfred, który poradzić sobie nie może z tą naturą, tak dziko wzniosłą i nieugiętą, a stojącą na rozdrożu w wyborze między dwoma udręczeniami.

Serce go ciągnie do kraju, a boi się, drży, ziębnie. Wiele swym panom winien, ale wiele i cierpi przez nich; nacóż go wzięli sierotą i wyrzucili z miejsca właściwego?.. Pomiedzy niemi on paryas. Ani wychowanie, ani talent, ani cnota, ani nic w świecie nie zastąpi dla nich urodzenia. Wie, co go z téj strony czeka. Wrócić między

swoich?.. Świat ducha i myśli rozgranicza ich od siebie: pozostaje więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnioném, wyłączném, bolesném... A nie wracać do kraju nie może. Panom wszędzie jeden jest świat: jego ciągnie ziemia, wioska, stara chata obalona, cmentarz wiejski — wszystko! On tam na obczyźnie żyje, jak igła magnesowa, sercem wciąż zwrócony na północ. I gdyby nawet potrafił zaprzęć się na wieki ziemi rodzinnej, czyż nie ma obowiązku powrócić tam, gdzie go oczekuje dziedzic, dobroczyńca, któremu właśnie ubył felczer ze szpitala wiejskiego, i Ostap przyda się, aby go zastąpić.

W tych-to uwagach, gdzie prawda łączy się nicią namiętności z paradoksem, mniej więcej streszcza się położenie bohatera i zarazem jego charakter, w którym góruje uczucie bezwarunkowe obok prawości i dumy. Trudno opisać upokorzenie — ze względu na wyjątkowo a nikczemnie pyszny charakter hrabiego — jakiego doznaje Ostap za przybyciem do domu, gdzie dusza na dwie połowy rozdzielona mu się z jednej strony widokiem nędzy i zezwierzęcenia braci chłopskiej, z drugiej przecuciem własnego losu. Daremnie jednak zgorszony przyjęciem jego przez stryja Alfred nakłania go, ażeby udał się z nim razem do jego dóbr, leżących w sąsiedztwie, ofiarując się wykupić go razem z całą rodziną. „Cała wieś mi rodziną! — odpowiada mu na to Ostap — wszyscy ci biedni braćmi, jedna w nas krew, a krwi siła potężna. Czuję to w tej chwili. Chybabyś uwolnił wieś całą i pozwolił mi zabrać kości rodziców; inaczej stąd pójść nie potrafię... Nie mów, że się na nic biednym braciom nie przydam: słowo pociechy, grosz posiłku są wielką dla nich rzeczą“.

Bądź-co-bądź, poczciwy Alfred, stojąc między fanatykiem dumy arystokratycznej i fanatykiem dumy chłopskiej, zdołał wydrzeć Ostapę i zabrał go do siebie... ku wielkiemu nieszczęściu wszystkich. Oprócz samej głowy domu, reszta rodziny uparcie chce widzieć w Ostapie człowieka... dotyczy to mianowicie córki hrabiego, przyrzeczonej Alfredowi i przezeń ukochanej. Jak się to stało, mniejsza; dosyć, że Ostap, świadomy nieukrywaną wreszcie dla siebie życzliwości hrabianki i sam głębokim dla niej uczuciem przejęty, tyle przeniosłszy, żeby nie rozłączyć się z miejscem rodzinnem, musi zadać sercu ten gwałt, nateraz podwójny, ażeby się oderwać od wszystkiego, co kocha, a w sobie i poza sobą pozostawić ruinę szczęścia. Wprawdzie po jego odjeździe łączą się Alfred i Michalina węzłem małżeńskim, ale pomiędzy ich duszami stoi nieodżegnany cień Ostapę, któremu serce hrabianki wiernem pozostaje. Dzie sięć lat czasu zaprowadzają wielkie odmiany w stosunkach zewnętrznych. Hrabia ojciec umiera, Michalina, pamiętna pragnień ukochanego, które są dla niej świętością, usamowalnia jego biedną rodzi-

nę, wyposaża; Alfred odkrywa przypadkowo, w głębi jarów podolskich, drogiego wszystkim zbiega, który, niby pustelnik średniowieczny, oderwany od świata, naukę swą poświęca dobru okolicznych nędzarzy, ale do wyjścia z pustelni nakłonić go nie może. „Nie jestem już tym berlińskiego uniwersytetu wychowancem — powiada mu Ostap — którego znałeś dawniej. Suknia inna, myśli inne, — wszystko się we mnie odmieniło. Jedno pozostało dawne: przyjaźń i wdzięczność dla ciebie, i przekonanie, że między wami niema tam miejsca dla mnie“.

Żal było autorowi rozstać się z tą sympatyczną postacią, walczącą z fatalizmem losu i własnego serca. Wraca więc do niej raz jeszcze po dość długiej przerwie, ażeby uzupełnić ten charakter nowymi rysami wzniosłości i poświęcenia. Przerwane natchnienia trudno powiązać tak, ażeby ta przerwa nie zaznaczyła się i w samej artystycznej robocie. Nie wglądamy też bliżej, czy dobrze umotywowanem jest nowe przybycie Alfreda do Ostapa, i czy ten Alfred, tak zacny, mógł przez rozpacz, że nie może dobić się do serca żony, zniszczyć moralnie i materyalnie do tego stopnia, iż nie widzi dla siebie innego ratunku nad jakąś awanturniczą, umyślnym pojedynkiem wywołaną ucieczkę za granicę; tém bardziej, iż niedawno, kiedyśmy go widzieli w podróży z żoną, nawiedzającego pustelnię Ostapa, nie podobnego stanu nie zapowiadało. Teraz, zrozpaczony, gotowy prawie do samobójstwa, a po dziesięciu przeszło latach pożycia z żoną, opowiadający Ostapowi z rozdrażnieniem szaleńca wszystkie tajemnice serca i wybryki gorączkowe, zdumiewa nas straszną niespodzianką. Uchodząc, żąda on od Ostapa wielkiej ofiary: ażeby rzucił swą pustelnię wiejską i udał się do jego domu, jako opiekun żony i dziecka, pełnomocnik wszystkich interesów, które znajdują się w najopłakaniejszym stanie. Błaga, zaklina na przyjaźń, zobowiązuje i, zobowiązawszy, chroni się, pozostawiawszy w rękę Ostapa cały instrument pełnomocniczy.

W takim nastroju uczuć, chwila to rzeczywiście dla Ostapa straszliwa. Powody wewnętrzne, które go skłoniły do opuszczenia tych drogich miejsc rodzinnych, nie ustały bynajmniej. Wie z ust samego Alfreda, że Michalina kocha go po dawnemu, w sobie czuje ranę pogłębioną tylko, ale niewyleczoną. Michalina jest, według opowiadania męża, aniołem poświęcenia i cnoty: maż on zbliżyć się do niej i wystawić dwa serca niepokalane na pokusę wzajemną? A jednak trzeba spełnić prośbę przyjaciela. Tylko jak? W tém leży najwyższy interes sytuacji, dotyczący tego niepospolitego wśród ludzi charakteru. To próba jego najwyższa.

Tém bardziej, że kolizya ta trafia na moment wielkiego zniechęcenia Ostapa, kiedy brak szczęścia mocno mu się dawał uczuwać.

Posiadał on wszystko, czego potrzeba człowiekowi, ażeby używać wszelkiego dobra, jakie daje młodość, wykształcony umysł, zdolność, myśl rozległa, słowem cywilizacya, a zamknął się w swém sieroctwie, odwrócił oczy od uciech właściwych sobie, sercu nakazał milczenie, błogosławiąc i tym, którzy go wyprowadzili ze stanu zwierzęcego, a do godności człowieka podnieśli, i żałując, że wyszedł z tego stanu, kiedy tyłu jego braci bije się w ciemnościach. Ten stan jego serca, w którym zaparcie równa się prawie ubłogosławieniu, nigdzie lepszego podobno nie znajduje komentarza, jak w tych wierszach Schillera :

„Zwei Blumen blühen für den weisen Finder,
 Sie heissen *Hoffnung* und *Genuss*.
 Wer dieser Blumen eine brach, begehre
 Die andre Schwester nicht.
 Geniesse, wer nicht glauben kann. Die Lehre
 Ist ewig, wie die Welt. Wer glauben kann, entbehre!
 Die Weltgeschichte ist das Weltgericht.
 Du hast gehofft, dein Lohn ist abgetragen,
 Dein Glaube war dein zugewognes Glück!”
 (*Resignation*).

W tym wierszu rzeczywiście reasumuje się stan duszy Ostapa i jego smętny monolog, zwłaszcza, kiedy kończy go słowami: „Niema bo innego szczęścia na ziemi nad nadzieję i widzenie szczęścia; potem wspomnienie widzenia, mara wiary i nic więcej. Szczęście wielkie, marzone nie byłoby trwałem, i któż wie? możebyśmy, jak w bajce o Meluzynie, ujrzeli wdzięczną jego postać, przeistaczającą się w potwór ohydny, możebyśmy za życia nawet wspomnienie szczęścia stracili. Więc tak lepiej, tak być musiało; skłonmy głowę przed koniecznością żelazną“.

I właśnie kiedy Ostap urządził sobie względny spokój na tle takiej rezygnacyi, która jest surrogatem szczęścia, nie takim wszakże, aby je doskonale zastępował, ale przeciwnie, świadczy o jego braku — przychodzi ktoś, aby wstrząsnąć tą skorupą sofistyczną i ukazać w dali szczęście prawdziwe... tylko niedostępne, któremu spojrzeć oko w oko potrzeba, dotknąć go nigdy.

Cóż uczyni Ostap? Czy będzie liczył na swoje siły, czy też zdobędzie się przeciwnie na taką siłę, aby się przeciwko możliwej słabości sił swoich obcą siłą zabezpieczyć? W obu razach będzie to bohaterstwem, tylko całkiem odmiennem. Dla bezpieczeństwa więcćj Michaliny, niż swego, Ostap wybiera drugie, okropne... Jakoż przedstawić się jęj, jak dawniej, w postaci wytwornego młodzieńca, dziś zmężniałego tylko wiekiem, odkryć przed nią wszystkie zasoby, równające go z towarzystwem wyborowem, korzystać z praw, jakie

mu nadaje i natura wyższa i uzdolnienie, byłby to środek odnowienia wszystkiego, co k'niemu tak mocno odrazu skłoniło czuły a bezprzesądny nastrój Michaliny. Trzeba się więc obrzydzić, uniemożliwić: bożą część zaparcia i ofiary przyjąć na siebie. I oto, w jaki sposób uskutecznia to Ostap.

Plątała się przy jego chacie dziewczyna urodziwa i hoża, wdzięczna za uratowanie matki i przez wdzięczność wielce rozmiłowana w lekarzu, którego cała okolica wielbiła za jego bezinteresowną pomoc, a uważała zawsze za coś wyższego, pomimo że się formą stroju i sposobem życia mało od reszty gromady odróżniał. Tajemniczość, zawieszona nad jego osobą, jeszcze mu dodawała uroku. Ażeby więc rozdzielił pomiędzy sobą i Michaliną uczynić materialnie i moralnie nieprzebytym, Ostap popełnia na sobie rodzaj samobójstwa i pojmuje Jarynę za żonę; a pojechawszy najprzód sam do domu Alfreda, przedstawia się Michalinie jako chłop z ubioru, z pokory i oddalenia, pełen szacunku, zimny, nic wszelako o swęj ofierze nie mówiąc.

Gorzki ten środek jednak sprawia tylko wrażenie gorczy, ale skutków nie przynosi takich, jakie zamierzył Ostap. Pod tą formą szorstką Michalina widzi tylko jakąś maskaradę, niegodną Ostapa, której mu wybaczyć nie może, i ten dawny Ostap żyje w jęj sercu, upewnionęm, że on się zbudzi z chwilowego letargu.

Wszystkie trudy i zachody, cała energia, jaką rozwija Ostap dla ocalenia majątku Alfredów, błędnie w porównaniu z tą jego wielką, podwójną ofiarą, sięgającą aż do grołu. To odgraniczenie się od Michaliny w sposób, jakiego użył, było podłożeniem własną ręką ognia pod stos, na którym płonął. Bo małżeństwo jego nie mogło ograniczyć się na formie. Jaryna, nie usprawiedliwiająca miejsca, jakie zajmuje na tytule dzieła, jest-to sobie zwierzątko samolubne, kochające po swojemu, gwałtownie i niemiłosiernie. Opuszczona przez męża zaraz po ślubie, trwoży się i tęskni... wbrew zakazowi Ostapa, przybywa z domu rzucić mu się na szyję w obecności Michaliny, przedstawiając w całej potworności swęj tę ofiarę, jaką dla nięj, dla Alfreda i dla siebie uczynił ten dziwny bohater.

Powiadamy dziwny, bo rzeczywiście więcej-to fantazyja, niż człowiek. Nięma co ubolewać nad podobnemi fantazyjami, które wykazują, do czego dusza ludzka szlachetna jest zdolną, ale fantazyje takie o tyle wdzięcznięj i głębszięj przemawiają, o ile są naturalniejszemi; Ostapa zaś szukać trzeba nieco po-za naturą, może aż w granicach przesady. Skala umysłu jego i uczuć obliczona jest na miarę najwyższą, ale w tém nięma nic niepodobnego, — owszem, potrzeba tylko, ażeby wszystkie rzeczywistnienia w czynach odpowiadały tęj skali, a równowaga pomiędzy umysłem i uczuciem wsę-

dzie była zachowaną. W pierwszym okresie życia, lubo Ostap naraża uczucie swe na pociski, przeciwko którym taki umysł, jak jego, mógłby był wynaleźć zabezpieczenie, dobrze poszukawszy, równowaga ta nie jest wszakże widocznie zachwiana. Zato w drugim okresie, ofiara jego z umysłem tak rozległym trudno pogodzić się daje. Jakim sposobem Ostap nie dostrzega tego, że dogadzając pewnym warunkom moralnym, nadweręża drugie, a chcąc uratować hrabiankę, rzuca jej na ofiarę, niby jakieś narzędzie, Jarynę, w której prawa ludzkie zarówno uszanować był powinien? Jego wstręt do tego kroku, pasowanie się z sobą, cierpienie, świadczą o pogardzie, jaką ma dla samego czynu, podciągając mimowolnie pod nią i osobę, która jest tego czynu przedmiotem; a w miarę wielkości ofiary, którą spełnia, rośnie i to lekceważenie przedmiotu reakcyjnego. Wytłómaczywszy to na język czysto prozaiczny, znaczy to: Dla takiej istoty, jak Jaryna, dosyć będzie tego zaszczytu, iż zostanie moją żoną; a wara jej od wszelkich przywilejów małżonki, od uczucia i uniesień, które posiadała inna; niechaj tam ona radzi sobie jak może, byłem ja uratował interesa droższe. I przychodzi chwila, w której Jaryna zrozumiała nareszcie wszystko i wypowiada to ojcemu: „On się ożenił, jak to powiedzieć? żeby ta pani, która go kochała dawniej, myślała sobie, że on o nią zapomniał i dała mu pokój“. A na zapytanie ojca, że musiał jej zapewne nie kochać, dodaje: „Gdzie tam! Kto ich zrozumie! Ojczye rodzony, on ją bardzo kocha, ale kochał i męża, i nie chciał, żeby mu się psuła. Co ja dla niego?“

Ten wyrzut istoty prostej, ale prawej, jest wielkiem potępieniem sercowej dyplomacji Ostapa. Może on po śmierci Alfreda i Michaliny powrócić do swjej ustroini, ażeby uczciwie oddać się obowiązkowi męża, ale niech nikt nie mówi, żeby to było w porządku moralnym i naturalnym. W każdym razie żona jego wie i wiedzieć będzie, że mu za narzędzie tylko posługiwała, że on mężem jej nie jest i nie będzie nigdy; a takie położenie nigdy męża ze strony moralności wyższej nie zaleca.

Z drugiej strony, patrząc na utwór ten jako na tendencją, nie przedstawia się ona bardzo zachęcająco. Dlaczegoż było później ubolewać nad „kołkiem w płocie?“ — zapyta ktoś — jeżeli chłopca, wyprowadzonego na pole światła i swobody, postawiło się wprzód i odrazu w położeniu najniez szczęśliwszem? Jak Hryc Soroka z „Ładowej Pieczary“, tak i Ostap, po wszystkich przejściach cywilizacyjnych, zwracają między swoich i spełniają tam pewną misję społeczną, każdy w swoim rodzaju. Nic piękniejszego. Ale Hryc wykonywa to przynajmniej z weselem duszy, a Ostap przeciwnie, z rozdarciem jej na szmaty. Przypuśćmy wreszcie, że wielkość ja-

kaś okupuje szczęście osobiste; ale piękne, sympatyczne i pożyteczne działania Ostapa ograniczają się do skali nader małej, względnie do sił jego umysłu. Wyprostowywa on kilka zajęć w stosunkach wiejskich, mocno nakrzywionych, udziela pomoc lekarską, — ale wszystko to w granicach jednej parafii. Skutki nie opłacają się wysileniem i ofiarą, położoną dla wprowadzenia jednej istoty z mroku do światła, nie opłacają się zmarnowaniem szczęścia i umysłu tej istoty wyjątkowo wyższej. Gdyby Ostap nadał znaczenie obowiązkom dla swoich tęsknotą, wyrażającą się za wsią, materyalnym pobytym i niejako nowém schłópieniem, z poświęceniem wszystkiego, co mógł być zrobić dla idei obywatelskiej i nauki na inném polu przestronniejszém, gdzie można dać potężne i głośne świadectwo dzielności chłopca uszlachetnionego; — gdyby, powiadamy, zaniedbał tego wszystkiego, do czego jednak miał siły dostateczne, przez jakieś przywiązanie do wspomnień dzieciństwa, — to powiemy, że Ostap jest więcej sentymentalistą, niż uczuciowym, i że dogodzenie czułości swój, jako chłop, przynosi nad wielkość Śniadeckiego, jako uczonego. Takim jest jednak Ostap, jeżeli tendencją społeczną utworu chcielibyśmy w nim krytykować. Rozumiemy doniosłość wpływów z ręki w rękę, z oka do oka, z serca do serca, ale zależy to od skali. Działanie takie jest w sam raz dla Hrycia Soroki, który na tyle się podniósł, że mógł nie tak wiele ustąpić z siebie, przynosząc swą pedagogią z miasta do wioski. Ale chłopska sukmana doktora medycyny, Eustachego Bondara, ucznia uniwersytetu berlińskiego, jest dla nas istotnie, jak dla Michaliny, strojem maskaradowym, zaparciem bez wyższego znaczenia, misją, nie dochodzącą miary misjonarza.

Nie żądamy jednak żadnych poprawek w tém dziele, w którém nie przestaniemy upatrywać albo zbyt wysokiej skali charakteru, albo zbyt obniżonego jego przeznaczenia. Sympatyczność tej postaci, szlachetność ruchów jej tak pociąga, że bez względu na różnice w zapatrywaniu się, jakieśmy tu zanotowali, jest-to jedna z tych postaci, które, raz widziane, nie zapominają się. Nie jest-to wszakże postać, jak widzimy, ludowa, tylko jej przeobrażenie: przekonanie autora niejako, w jaki sposób zrealizować się może grunt ludowy na drodze ewolucji cywilizacyjnej. Pod tym względem, choćby to było widzenie osobiste, umilknąć muszą różnice w zapatrywaniu się, lubo Ostap, w zasadzie, bez względu na objaw plastyczny, stanowi ideał, prawie niedościgły, czystości duszy i poświęcenia. Ewolucya taka, jakiej on jest przedmiotem, wydaje jednostki rozmaite, od warcholów, brózdzących pojęciami demagogicznymi, aż do obywateli wzorowych; zależy to od stopnia, na którym też ewolucya się zatrzymała (niedouczków zwykle bywa najwięcej); czy stanęła tam,

gdzie prostota duszy i naiwność nie zdołały się nadwerężyć i zatrząść, by ustąpić miejsca przymiotom wyższym; czy przeszedłszy granicę, gdzie te przymioty nabywać koniecznie potrzeba, ażeby było czém zastąpić utratę naiwności i w duszy nie pozostawić pustki, mogącej się napełniać złem ziarnem moralném — doszła do tój granicy, w której nauka i wiedza istotnie umacnia sokiem, zamiast kaleczyć lupiną. Oprócz tego, w działaniu tój ewolucyi niemają odgrywać rolę i skłonność indywidualna, wybierająca te raczej, niż inne kierunki moralne. Hryć i Ostap Kraszewskiego pod obu temi warunkami zostają w położeniu najszcześniejszém, nie widzimy zatem powodu, dlaczegoby nie mieli, bez względu, powtarzamy, na formę mniej lub więcej dokładną, być wyrazem artystycznym tój prawdy, która, jak się okazało z rozbioru ogólnego, należy do istoty gruntu, dającego początek obu tym postaciom.

* * *

Pomimo obszerności wykładu poświęconego utworom ludowym Kraszewskiego, nie tylko, że nie wyczerpaliśmy wszystkich postaci charakterystycznych wiejskich, zajmujących w tych szeregach miejsca mniej-więcej drugorzędne, zgoła pomijając postacie nieludowe, z których kilka nawet wcale się zajmująco przedstawia, jak w „Chacie za wsią“, „Budniku“, „Kołku“ i „Bondarczuku“ — ale, co większa, nie odkryliśmy strony w belletrystyce najważniejszej, to jest strony kompozytorskiej. Ażeby ta strona była należycie ujawnioną, trzebaby poświęcić osobny rozbiór każdej powieści i wdać się w szczegóły, nierzadko w drobnostki, małoznaczące dla treści, a ważne dla estetyki. Rozciągnęłoby to pracę nad wszelki możliwy zakres, przeznaczony dla niniejszej publikacji, mającej streścić całość działalności autora. Pozostawiając krytyce dalsze studia nad szczegółami artystycznymi, porzeczając musieliśmy na wskazaniu ogólnego ducha utworów cyklu ludowego i ich żywiołów głównych. Złożyliśmy świadectwo, że Kraszewski pracował dla ludu wprawdzie nie bezpośrednio, ale stawał jako pośrednik pomiędzy nim i inteligencją, przemawiając do tych właśnie najgoręcej tonem zachęty i krytyki, którym powierzone było w znacznej części kierownictwo bezpośrednie. Jaki był owoc jego dwudziestoletniej pracy, stanowczo wyrzec nie można; zdanie powinno być oparte na wyjaśnieniach bliższych i faktycznych, które czas tylko i kierunek umyślny nastreńczyć mogą. To jednak śmieie przypuścić wolno, że tak silne zwracanie uwagi i takie jawne odkrywanie bolesnych stron kwestyi nie mogło pozostać choćby bez częściowego skutku; że

przykładem zachęcało innych do zabierania głosu, do mnożenia uwag i przestroż; że tём samém przyczynić się musiało gdzie-niegdzie do wytrzeźwienia pojęć, i jeśli nie zdołało, jak wiemy, ani na chwilę przyspieszyć pożądanego dobra, mogło jednakże miarę złego umniejszyć. W każdym zaś razie prace Kraszewskiego na tём polu świadczą o jego dobrych dla ludu chęciach, o szczerém zainteresowaniu się masami cierpiącemi i bezbronnemi.

Kazimierz Kaszewski.

U L A N A.

POWIEŚĆ POLESKA.

„Ułana” jest jedną z najdawniejszych powieści; pisana była w roku 1842; tła i treści dostarczyły do niej lata pobytu na Polesiu, dzierżawy w Omelnem i częstych podróży w głąb tego kątku kraju. Wioska opisana leżała na drodze, a historia „Ułany” jest prawdziwą, i ów pasek nawet czerwony, który ją kończy. — Bohaterem był pan B., młody człowiek, podobny do pana Tadeusza, którego historię opowiadało mi głuchą nocą na noclegu wśród lasów poleskich. — Za owych czasów Polesie było bardzo poetycznym krajem legend i powieści, — a tak od niego do świata było daleko! Odbiło się też ono w naówczas pisanych opowiadaniach nie raz jeden i nie w jednej „Ułanie”. — „Ułanę”, tłumaczoną na język francuski, umieściła *L'Espérance*.

Dnia 6 Stycznia 1874 roku.
Drezno.

J. I. Kraszewski.

I.

Jeśli jaki kraj cichy, jeśli jaki spokojny, to Polesie nasze. Kiedy przez którą wieś gościniec pocztowy nie idzie, albo trakt kupiecki, to prócz pospolitego odgłosu wsi, który jest jakby jój oddechem, nic nie słychać obcego, nic nie widać cudzego. Wszystkie świty jednakowo siwe, wszystkie chustki jednakowo białe i sosny jednakowo zielone i chaty jednakowo niskie i nieforemne i ten sam zawsze dym czarny po-nad ich dymnikami się wzbija. Jednakże jak dwóch liści jednakowych na krzaku, tak dwóch wiosek zupełnie jednakowych na Polesiu nie znajdziesz; tam cerkiew wyższa z ciemnymi galeriami dokoła, tam las gęstszy, tam chat więcej, — wszystkie podobne jak siostry rodzone, a dwóch niema jednakowych zupełnie, jak dwóch twarzy ludzkich.

Spojrzyj po-nad to jezioro, co ciche i spokojne położyło się u stóp wzgórza, zajętego przez dwór pański: — jest-to jedna z najpiękniejszych wiosek wołyńskiego Polesia, co go otacza. Gdy zjedziesz z pagórka, po którym droga się wiję, widzisz przed sobą wieś rozsypaną nad brzegiem jeziora; za niem dwór bieleje, a od przyjazdu twego trzykopolna cerkiew stara, na wzgórku stojąc, przegląda na okolice. Droga idzie spadzisto po-nad jeziorkiem aż do karczmy, która wieś rozpoczyna. W oddaleniu naokoło jednaki — las sosnowy, mniej więcej zniszczony, niższy lub wyższy, ogradzający każdy widok na Polesiu — piasek, błoto kępiaste, przez które sączy się rzeczułka okryta trzciniami, a nad tēm niebo pochmurne.

Przez wieś ciągnie się błotnista ulica, gdzieniegdzie przedzielona dróżką od chaty do chłopskiego gumna, paździerzem lub wiórami i trzaskami wysłaną.—Otaczają ulicę naprzemian chaty, chlewy, gumna całe i pozawalane, zwieszane, w węglach rozparte, z słupami pochylonemi, z dachami zapadłemi, lub zaczynające się dopiero klecić; między niemi kawałki *tynu* (plotu z dębowych szczepów) i starego ogrodzenia z kolków i chróstu. Tu i owdzie z zagrody blada

jarzębina wychyla się na ulicę, stara grusza wygląda, lub długi żóraw od studni kołysze się powolnie nad głową przechodnia. Z przodu chat niskich, pokrytych nieszczelnie czarnemi już od dymu dranicami, zaledwie do krokwi przymocowanemi, widzisz tyłko pod okapem wystającym niewygodną przyźbę, często z położonej pod ścianą odartej z kory kłody składającą się; niskie drzwi od dziedzińca, niższe jeszcze wysokim progiem, niedopuszczającym wejścia do sieni blisko stojącej kałuży; małe okienka z umyślnych szyb okrągłych zielonych, do dna butelek podobnych, złożone. Rzadko nieforemne szybki bielsze z cienkiego szkła pospolitego, kupione z gotowem oknem na jarmarku, zastępują pospolite krągło-szybe okienko. Nad okopconym dachem wysokim wznosi się dymnik drewniany, czarny od dymu, w kształcie trąby lub czworogranego słupa. W ziemie, a często i innych pór roku nie dość dymnika na wypuszczenie dymu, zebranego pod dachem chaty: ciśnie się on wszystkimi szczelinami, okny, drzwiami, ścianami i dachem, tak, że się zdaje, jakby chata wewnątrz płonąła i za chwilę płomień się miał ukazać. W takiejto atmosferze smolnego, gęstego dymu sosnowych drewek, pary, swądu żyje Poleszuk zwyczajnie.

Srodek chaty tego samego ubóstwa czy niedbalstwa dowodzi: — siena błotnista zwyczajnie, po której świnie się przechadzają, zarzucana grabiami, przygotowanem na zimę łuczywem, drwami olchowemi, drabinami i ułankami soch i bron popsutych; z nięj wejście do jedynęj izby z piecem i ławami dokoła, ciemnej, małej, dymnej, bez podłogi. W środku stół jeden, dzieża, matka chleobodajna, w rogu izby na ławie pod świętym obrazkiem, czasem jeszcze kołyska dziecięcia i krośna tkackie. Nic zbytkowego, nic nad najpierwsze potrzeby życia, żadnego wspomnienia, żadnego uczucia przywiązanego do przedmiotu nie znajdziesz. Jest-to jeszcze stan pół-dzikiego ludu, nie myślącego o niczem nad zaspokojenie pierwszych swych potrzeb zwierzęcych. Zaledwie dzieciinne młynki na rowach i ogródki pod chatami, w których złości się nogietek, kwitnie czasem malwa i mak czerwony jaśniej, dowodzą, że i tu dzieciom młodym wolno się czasem pobawić. Niedługo jednak i dziecię, zaczynając od pastuszkowania, rzuca już swoje zabawki nazawsze, dziewczyna popadłszy za męża, nie sadi kwiatków, nie stroi się w kwiatki.

O! jak lżej, swobodniej nad jeziorkiem, niż w tej chacie smutnej i brudnej! Na wzgórzu masz dom dziedzica, który wiankiem otoczyły topole, przeglądające się w wodzie, ostawiony śpichlerzami, gumnami, stertami i stogami siana. Wśród drzew widać tam i gołębnik i żóraw studni i próżnujący wiatrak z tyłu na pagórku, któremu wiatr lasy kradną i odpoczywa też większą część roku.

Dalęj na drugim brzegu wyniosłym jeziora cerkiew czarna, mała,

stara, krzyż koło niej i dzwonnica; milcząca cerkiew, której jeszcze życie wraca, kiedy się pieśnią jej ściany rozlegą, dzwony uderzą, lud ją przepelni. Od niedzieli do niedzieli milcząca, głucha, patrzy na wioskę, jak staruszka na dzieci, co się grzebią w piasku. W oddaleniu na żółtym polu, wśród zagonów chłopskich, jest smętarz wiejski, pogarbiony mogiłami, nad którymi stoją czarne krzyże podwójne, dotrójne, od drobnych, które nastąpisz nogą, do wysokich jak sosny; proste i malowane, z męką i bez męki; nad wszystkie wyżej wyniósł się krzyż Semena Bartnika, pokryty zielonym daszkiem. Syn mu go postawił; wziął po nim sto barci. Było z czego!

Teraz pytaj, jak ci ludzie żyją, którzy w tych chatach mieszkają, w tej cerkwi się modlą, na tym leżą smętarzu. Życie to smutne, a jednak nawyknięciem lekkie, byleby Bóg rodził, byleby ich zbyt obfity ryb połów głodem nie straszyl, bo wierzą w przysłowie: kiedy się ryba łowi, żyto się nie rodzi. Łatwo wytłomaczyć tę przypowiastkę: ryby najlepiej się łowią, gdy wiele wody, a niskim gruntem Polesia zalewy grożą nieurodzajem. Zapomnieliśmy jeszcze ważnej jednej we wsi budowy, jednej z najważniejszych. Widzieliśmy już dwór, który dla kmiecia reprezentuje władzę i zwierzchność, cerkiew, skarbnicę niebieskich przyszłego żywota nadziei; zostaje karczma, miejsce uciechy codzienniej. Wszystkim tym trzem wkoło siebie ustawionym ogniskom wieśniak musi dać z siebie życie, musi odpracować, odplacić za opiekę panu, za nadzieję księdzu, za uciechy arędarzowi; wszyscy trzej żyją z niego, ale i on bez nich żyć-by nie potrafił. Pokażcie mi wieś bez dworu, cerkwi i karczmy! Będzie-to chyba biedna jakaś sierota. Jeszcze-ż obejdzie się bez dworu łatwo, jako tako bez cerkwi (bo są miejsca, gdzie o milę chodzą się modlić i grzebać umarłych), — ale gdzież jest wieś bez karczmy? Byłoby-to stworzenie bez głowy. Karczma bowiem jest miejscem schadzki, rady i wesela; w niej się wszystko zawiązuje i rozwiązuje, w niej żal jeden drugiemu wylewa, w niej się kłócą i biją i swarzą i godzą — i kochają! Karczma — to serce wsi, tak jak cerkiew jej głową, a żołądkiem jej dwór; ręce i nogi tego ciała, to chaty wieśniacze. W tej długiej, walącej się budowie, w której razem mieszka żyd z rodziną, bydło, kozy, gęsi i kury — przez ścianę tylko od niego, a czasem nawet w jednej izbie — jest główne miejsce schadzki i rady, dzisiejsze horodyszcze wieśniaków. Nad jej dachem wznosi się arystokratyczny, biały komin; okna ma podobne chłopskim, ale znacznie większe, u okien okiennice, u drzwi czasem żelazne klamki, jeśli nie pierwotne zasuwki drewniane.

Pierwsza izba, prócz łóżka żydowskiego (które w każdej izbie być musi), ma stół szynkowy, szafę szynkową z odmalowaniami na niej kwartami i wieńcami z obwarzanków, piec z przypieckiem i ko-

min szeroki, na którym i w lecie palić się musi dla Poleszuka; wiadro z wodą, bezpłatnym napojem podróżnych bez grosza, trochę bachurów, błota i wiele smrodu.

W drugiej izbie może być zabita koza, baran lub cielę, pełen kąk kartofli, dziesięcioro przykazań w kącie, znowu kilka łóżek z wysoko wysłanemi betami, ławka, stolik. Jeszcze tu gęściejsza ludność, jeszcze dziwniejsze (jeśli być mogą) wyziewy. Otóż karczma poleska — serce wsi.

Tu-to zobaczysz starców wlokących się, żeby zalać w głowie resztę rozumu i pamięci, kobiety obszarpane i brudne, niosące krupy, jaja, kury, często ostatnie berdo z warsztatu, za kwartę wódki; dziewczęta pijące dziesięciu łykami jeden kieliszek, chłopców ziębłych, zasługujących się pani arędarce za kropelkę tego czarownego napoju. O! ileż tu scen, których połowa ludzi, że są nisko, nie widzi, druga połowa nie sądzi godnemi bliższego przypatrzenia się i zajęcia! Ile tu ciekawych rozmów obija się o te brudne ściany, ile kłótni, ile powiastek! I nikt nie patrzy i nikt nie słucha; a przecie — i to są ludzie; tu najszczerzej w nich może odkrywa się niczem nie skrępowana natura ludzka, nagi człowiek, jak wyszedł z rąk bożych, którego tylko trochę udawania nauczyli panowie, a trochę wiary duchowni.

Ale czas zajrzeć do dworu i wyjść z karczmy. Pan tej wioski, sam jeden, nieżonaty, niedawno powrócił z miasta, młody jeszcze — głowa zapalona, serce wrzące. Wszystko złe, jakie kiedy książki, przewracając głowę, zrobić mogły, na nim zrobiły. Tadeusz Mrozczyński, nie skończywszy nauk za życia rodziców, pocziwiej szlachty, odumarły sierotą, — resztę szkół i uniwersytetu odbył sam, swobodny w mieście. Szczęściem, czy nieszczęściem dla niego, nie wpadł on w towarzystwo młodzieży zupełnie zepsutej, lecz obłąkanej; z tego obcowania z nią, z ulubionych ksiąg dostał zawrotu poetycznego i jakiegoś przekonania, że aby być wielkim człowiekiem, dosyć jest prawie być wielkim dziwakiem. Co też za dziwiactwa dokazywał w mieście i czego sobie nie pozwalał, opisać, wypowiedzieć trudno. Nie uznając za obowiązujące żadnych przyjętych prawideł towarzyskiego życia, żadnych względów nie mając na ludzi i opinią, robił to tylko, co mu się podobało, często szlachetnie, a po większej części tylko nierozważnie postępując sobie. Był-to młody chłopiec bez rozwagi, bez uczucia potrzeby hamulca, brnący w pław wszystkiego, za uczuciami, namiętnością, walczący z opierającym mu się światem, niezrażony długo przeciwnościami, śmiesznością własną — niczem. Jątrzyło go wszystko, ale nic nie wstrzymywało.

Nareszcie, w skutek wypadku, z którego wyszedł haniebnie oszu-

kany, gdyż chciano skorzystać z jego prostoty, szlachetności i ślepoty dobrowolnej, a przypadek ledwie go od nieszczęścia ocalił, — Tadeusz zbrzydził sobie świat, zasmakował w myśli samotnego, pustelniczego życia, wyjechał na wieś do swego jeziora i tu przedsięwziął czytać tylko, dumać i tak całe spędzić życie. Łatwo było przewidzieć, że to nagle, namiętne, nierozważne postanowienie jedna chwila zburzyć mogła, a rok ciężarem swym przełamać musiał; lecz jemu się zdawało, że w tém życiu wytrwa, że je poślubi nazawsze. Cieszył się tą myślą pustelniczego życia, powiedziawszy sobie, że nie ma przyjaciół, że nie ma krewnych, że nie ma żadnych związków na świecie, że jest sam jeden, wziął los swój, przesadzając go, i nie chciał już znać i widzieć nikogo, żyć z nikim i nad swym jeziorem, wśród niedostępnych błot i lasów, ze strzelbą, wyżłem i książką, myślał wiek cały przepędzić. Dom jak zastał po rodzicach, tak religijnie zachował, nic w nim nie ruszył, nie zmienił; a choć widział piękniejsze, choć mógł mieć wygodniejszy, cenił w nim ostatnią, żywą pamiątkę tych, co go jedni prawdziwie kochali, a których już na świecie nie było. Wybrał sobie jeden poikoik na rogu, do tamtych tylko jak w gościnę uczęszczając.

Widok opuszczonych mieszkań, z których zda się wczoraj dopiero życie uciekło, mieszkańcy wyszli, był smutny, ale dziwnie przejmujący. W pokoju matki, na kominie, szedł, codziennie nakręcany, zegar, śpiewały stare kanarki, leżała pończocha niedokończona, poduszka pod nogi, książka otwarta na loretąńskiej litanii, założonej wstążeczką. Łóżko nawet pod czerwonym adamaszkowym pawilonem posłane stało i klucze od komódek i kantorku wisiały na ówieczku, wbitym przed ówieré wiekiem.

W pokoju ojca tenże porządek: strzelba na haku, torby i trąbki, kalendarz na sznurku, wyschły kałamarz na stoliku, na którym leżał zegarek kieszonkowy z pieczętką herbową, woreczek zielony od pieniędzy i tabakierka z konchy. Olchowe drzewka niedopalone na kominku i zapas ich w skrzyni.

Na półeczce świeca, siarniczki i fidybusy do fajek, postrzyżone z listów. Dalej szafa z odzieniem, łóżko z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, w głowach gromnica, której już użył ten, co na nié m sypiał. A wszystko jakby wczoraj opuszczone, jakby tylko co porzucone jeszcze. Co chwila spodziewać się było można usłyszeć głos zmarłych, zobaczyć ich wchodzących — żyli tu jeszcze. Nie każdy byłby mógł sam jeden wobec tak rozdzierającej, tak dojmującej pamiątki zmarłych wytrzymać, wyżyć i patrzeć na nią bez strachu lub boleści niespokojnej; — potrafił to Tadeusz, i jemu lubo było wieczorem cieniami rodziców zaludniać te puste pokoje, w któ-

rych tylko matczyne świergotały kanarki i stary zegar zdał się szeptać:

Wieczne odpocznienie.

On nie ruszył z miejsca, nie dozwolił przestawić; szanował nawet węgle w kominku ojca i popiół z ostatniej przez niego wytrzęsionej fajki i próbkę pszenicy rozsypaną na oknie, którą tylko myszom jeść było wolno.

Takie samotne, pustelnicze życie pana Tadeusza trwało już miesiąc czy dwa podobno, — i to wiele, bardzo wiele! Książki, polowanie, przechadzka, dumanie zajmowały czas cały; czuł się spokojniejszym, jeśli nie szczęśliwszym; a choć czasem poziewał, choć codzień sniło mu się wrzące miasto i turkot powozów i łoskot muzyki i gwary ludu, gdy się obudził przy szumie jeziora, przy odgłosie dzwonu cerkiewnego, czuł, że mu tu lepiej było i doznawał jakby słodkiego upojenia dokonaną zemstą, mówiąc:

— Obejdę się bez świata i ludzi.

Jeden tylko sługa, dość niezgrabny, lecz milczący, bo pan Tadeusz ze sługami rozmowy nie lubił, cały dwór jego składał; ekonom, kucharz, szafarka rzadko mu się pokazywali; dawał rozkazy, patrzył, czy je spełniano, lecz się do nich więcej nad konieczną potrzebę nie odzywał. Często Jakób, służący, nosił tylko rozkazy, i Jakób był też ważną figurą we dworze, bo on jeden do pana przystępował; był-to jakby pierwszy minister.

W pokoju Tadeusza było łóżko ciasne i twarde, stolik z książkami, na ścianie strzelby i torby, pies przed zawsze zapalonym kominem grzejący się, szafka zamknięta u drzwi. Oto cały sprzęt jego. Strój składał się z tych fantazyjnych części ubrania, które opierają się modzie i rozkazów jej nie słyszą. Kurta szara, czamarka czarna, lisiurka zielona, czapka z baranem, kapelusz słomiany, twarde rękawice łosiowe.

Niedawno pierwszy strojniś w mieście, na wsi przyjął ten rodzaj stroju powszechnego, który go nie odróżniał od innych, a uwalniał od myślenia o najglupszej ze wszystkich reguł towarzyskiego życia — o modzie.

Całkiem pustelnik, wyrzekłszy się świata, bo nawet do najbliższego nie jeździł miasteczka, chciał żyć sobie tylko, nie zważając na nic i nikogo, i całym dniem rozporządzać, jak chciał, jak zamyslił. Nie miał interesów żadnych, nic mu nie przeszkadzało i rad był swojej swobodzie, przekładając ją nad życie miejskie, a w duchu obiecując sobie, że do niego już nigdy a nigdy nie wróci.

— Czyż jeszcze nie dość znam ludzi? — mówił do siebie. — Czyż

znowu cierpieniem miałbym nowe doświadczenia płacić? Naco! Czyż mi nie dość? Iluż-to ludzi nie ma téj swobody, takiego kąta, takiego życia jak moje, niezawisłości mojej? Na co mi świat, kiedy mam las, wodę, ziemię, powietrze moje, kawałek mojego nieba, kiedy o nic nikogo nie proszę i nie mam natrętów i jestem tak dobrze, tak spokojnie, sam jeden!

To mówiąc, zawsze jednak wzdychał Tadeusz, jakby żałował, że mu się przeszłość nie udała, jakby czegoś więcej wymagał jeszcze od życia, jakby roił nadzieje, do których sam sobie nie chciał się przyznać.

II.

Bardzo rano po wczorajszym polowaniu obudził się pan Tadeusz, ale od dziewiątej wieczorem do trzeciej rano dosyć wypoczął; już się téż na dzień zbierało i przez okno słychać było świergotanie ptasząt koło domu w porzeczkach i leszczynie. Skrzypiał jeszcze żóraw studni, co głosem swym Tadeusza zbudził. On porwał się z łóżka, przetań oczy i, poprawiwszy na kominie wygasły ogień, usiadł do herbaty, przygotowanej już przez Jakóba, sposobiąc się wyjść znowu ze strzelbą, sam jeden, jak zawsze. Zadumany, myślący, chodził po izdebce swojej; bo co ranka tak, nim się przejął nowem swoim życiem, wstawał ze snu, świeżo upojony marzeniami przeszłości, które mu się całą noc roiły, które potem opędzać musiał jak muchę natrętną. O! przeszłość zerwana, niedokończona, kamieniem cięży na sercu.

Wstawszy od herbaty, wdział prędko swój ubiór myśliwski i, nie czekając wschodu słońca i ciepła, wybiegł na brzeg jeziora drożyną do lasu wiodącą.

Był-to piękny, cudowny ranek wiosenny, piękny jak dziecię, co się rumiane budzi w kołysce uśmiechem — pokropiony rosą perlistą, wonny, smętny, a tak spokojny! Nad jeziorem unosiła się mgła lekka, kołysząca się z wiatrem, pachniały kwitnące czeremchy, śpiewały słowiki, a na wschodzie czerwieniało niebo, tam, gdzie za chwilę słońce się miało urodzić. Przed nim widać się piaszczysta drożyna, przez pola do lasu wiodąca. Za nim został dwór, jezioro, wioska, — przed nim rozwijał się czarny, szumiący poważnie bór sosnowy. Tadeusz się zadumał i głowę spuścił i szedł tak dość długo, aż pies, jego wierny towarzysz, zaszczekał, a ktoś krzyknął bojaźliwie.

Tadeusz obejrzał się i zobaczył...

Prostą wsi swojej kobietę — boso, w siwej świtce, w białej chustce na głowie, idącą zapewne do lasu po wiosenne grzyby, bo na plecach niosła króbkę na czerwonym zawieszoną pasie. Spojrzał i mimowolnie zatrzymał na niej oczy, bo było coś tak wdzięcznego na jej twarzy, w jej postawie, a nawet prostym, ale zręcznym ruchu, iż nie mógł pojąć, jakim sposobem tak piękna kobieta była tylko prostą wieśniaczką. Patrzył i patrzył, myśląc, że to był chyba ktoś przebrany. Twarz tak biała, usta tak świeże, włosy tak gładko uczesane pod białą chustką, ruch tak zręczny! Skądże-to na wsi! w Polesiu! — Spojrzał na kosy, chcąc wiedzieć, czy była zamężna, i nie postrzegł ich. Miała więc męża!

Tadeusz zbliżył się do niej i uporczywie na nią spoglądał; ona się rumieniła i szła ciągle z rękoma w kieszeniach świty, z głową spuszczoną, jakby się wstydziła, że była tak piękna. Nie było uśmiechu na jej twarzy, jaki pospolicie u prostych kobiet przybywa na usta, gdy są rade spojrzeniu i pochwałom. — Spuszczała głowę, niespokojna i zarumieniona.

— A z witki ty? (A skąd ty?) — spytał Tadeusz.

— Z seła (z wioski).

— Z Oзера?

— Z Jeziora — odpowiedziała po polsku.

— Umiesz po polsku?

— A cóż? (zwyczajna odpowiedź w Polesiu, zamiast prostego: tak) — umiem.

— Gdzieżeś się nauczyła?

— We dworze.

— Gdzież byłaś we dworze?

— Tu, u państwa.

— Jak się nazywasz?

— Ulana.

— A twój mąż?

— Okseń Hończar.

Wszystko to mówiła Ulana cicho i niezrozumiale, oglądając się wkoło i przyspieszając kroku coraz bardziej. Ale Tadeusz nadto był zdziwiony tą niebieską twarzą anioła w szacie tak lichój, żeby jej się dozwolił przegonić. Spojrzał na nogi — nóżki miała małe, ale zblócone i czarne, wyjęła rękę z kieszeni, poprawując włosy — i ręka była mała, różowa, a jak na prostą kobietę, niepojęta. Twarz czasem się trafia, ale ręka? — ręka, co jest wyłączną ozdobą tych, co nie nie robią i mają ją tylko piękną zdaje się nato, aby nią się chwalić.

Już Tadeuszowi brakło zapytań; jej serce biło i lice się paliło

i tak uciekała, że nakoniec musiał ją porzucić, ale jeszcze szedł zdaleka.

— Dokąd idziesz?

— W las za grzybami...

Tadeusz odwrócił się drożyną w drugą stronę i poszedł zamyślony. W jego głowie to objawienie się tak pięknej kobiety wywołało tysiąc wspomnień, tysiąc bolesnych pamiątek.

— O! — mówił do siebie, oglądając się na bielejącą świtkę Ulany w oddaleniu — jest to zaniedbany piękny kwiat wśród chwastów, kwiat, który od wielu naszych oranżeryjnych byłby piękniejszy, gdyby tylko na grządce ogrodu zeszedł był, a nie w lesie. I nie Okseń Hończar, ale iluż to lepszych od niego, umiejących kochać, kochaliby ją. Jakżeby z nią ktoś mógł być szczęśliwym! Bo te oczy nie kłamią, jest w niej dusza, ale ta dusza śpi — i spać będzie całe życie. O! byłby z nią szczęśliwy! — powtórzył. — I nie jeden — dodał zaraz z szyderskim uśmiechem — nie jeden: dwóch razem, może pięciu, dziesięciu!

Te ostatnie słowa, tak dziwaczne, przywołały na usta jego wspomnienia dawniej miłości, w której dziejach nie on sam, nie on jeden był tylko — podobno aż dwóch naraz szczęśliwych! Wspomnienie jeszcze go gryzło.

Tadeusz spuścił głowę smutnie i poszedł w las, z myślami.

III.

W kilka dni potém wszyscy byli na polu, a Tadeusz, przeciw zwyczajowi swemu, kierował się ulicą, ku wsi wiodącą, do chaty garniarza. — POCO? sam nie wiedział, a kiedy się sam zbadał i uczuł, dlaczego to robi, śmiał się z siebie.

Jak często w jednym człowieku jest wyraźnie dwóch ludzi! Zimny tylko, jednym rozumem i głową rządzący się, nie czuje nigdy tego rozdwojenia w duszy. Dla innych jest ono cierpieniem nieznośnym. Często śmieje się jeden z płaczu drugiego, wyszydza jego czynności, grozi przyszłością i wśród najżywszej rozkoszy wskazuje chmury rodzące się na niebie, rozbija rozkosz, analizując ją, obrażając niedowiarstwem swoim. Zimny-to rozum, co jak strażnik siedzi wysoko, patrzy pod nogi — i ostrzega i szydzi. Rzadko człowiek mu posłuszny i mści się rozum na nim szyderstwem, mści się wyrzutami późniejszymi. Im go mniej słuchają, tém ostrzej dojada, tém boleśniej kąsa, tém więcej szydzi. O! to męczarnia! Serce leci do świata, człowiek wyciąga ręce, czuje się już szczęśliwym, chwyta swoje szczęście, a ten głos okropny Kasandry, który w lo-

nie swém nosi, krzyczy mu nad głową nieustannie: — zobaczysz jutro to twoje szczęście! Albo: — przypatrz się, coś otrzymał! — I naówczas człek patrzy, zaczyna nie wierzyć, przestaje być szczęśliwym.

Ten głos ducha zawsze się przeciwi woli człowieka, zawsze z groźbami staje wpoprzek jego drogi — niestety! — on zawsze prorokiem!

A człowiek opuszcza głowę, zamyka oczy, dogadza namiętności i nie otwiera powiek, aż zbudzony szatańskim śmiechem tryumfalnym rozumu. Rozum-to, czy jak chcesz go nazwiesz, nieznośny, uparty, nieubłagany. Głos jego nieustannie obija ci się o uszy i nie daje spokoju; zagłuszyć go niepodobna, — on z tobą wszędzie, jak twoje sumienie, — on jest częścią ciebie, ale częścią oderwaną, niezależną, co plwa ci w oczy, tarzając się z tobą w błocie, a nie zwala się, co szydzi z twoich rozkoszy, wyśmiewa płocze zamiary, zuchwale plany wskazuje rozbite na ziemi.

Któż z was nie zna tego towarzysza nieodstępnego, tego węża, co opasawszy ciebie, ssie z twój piersi spokojność i czarną przyszłośćią, jeszcze nim przyszła, straszy, ścierając z brzegów osłodzonej czary życia odrobinę miodu, co przepaście gorczyczy nagradza?

Właśnie Tadeusz walczył z tym wrogiem: dwóch ludzi w nim mówiło. Jeden zimny, rozsądny, szyderski, drugi nieopatrzny, namiętny, dziecinny.

I pierwszy nielitościwie wyśmiewał drugiego, męczył go, upokarzał — a drugi? — jakby nie słyszał, jakby nie czuł, jakby nie rozumiał.

— Cóż to? pokochałeś garnarczychę? prostą wieśniaczkę? — mówił szyderca. — Szkarada! zgorzenie! wstyd! Będziesz-że śmiał? potrafiysz-że? odważysz-że się?

Na to wszystko Tadeusz nic nie odpowiadał. Szedł, słuchał, milczał.

W istocie coś się z nim działo. Zaszła jakaś odmiana. W nocy nie miasto ze swym gwarem, nie las z kołyszącymi się sosny i wonnemi brzozy, ale piękne oczy garnarczychy mu się śniły, a temi oczyma patrzyła na niego!

A ta, co go zdradziła! Zawsze ta jeszcze — taż sama! I widział ją i widział inną, dwie w jednej; a gdy się obudził i wyszedł w las, na pole, niespokojny obracał się, szukał oczyma, czy gdzie nie ujrzy znowu Ulany.

Posłuszny gwałtownej żądzy zobaczenia oczu tej kobiety, szedł ku chacie garnarczychy. We wsi cicho było, tylko się dzieci na ulicy bawiły, staruszka niosła, kaszląc, wiadro wody i co chwila

spoczywała; małe dziewczątka w jednych koszulkach tańczyły, śpiewając, po błocie przed chatami.

Wszedłszy w wieś, zbliżywszy się ku chacie, Tadeusz się wstrzymał i zawstydził sam siebie.

— Szalony! — zakrzyczał mu ten drugi *ja*, co nigdy nic nie robi, a nieustannie z wszystkich czynności człowieczych się śmieje. — POCO idziesz? co myślisz?

A pokorne w obliczu skutkiem czynności drugie *ja* mówiło:

— Jój pewnie nawet niema, ona w polu.

I znowu szyderca paplał do ucha:

— A jeśli ona w domu, a ty do niej wejdiesz, wszyscy o tём będą wiedzieli; ją mąż obje, choćby nie było zaco. A tobie? będzież ci z tём lepiej, swobodniej, weselój? Pomoże ci to?

— Wstąpił napić się wody — powiedział drugi *ja* po cichu. — Cóż w tём doprawdy złego? Nawet bardzo mi się pić chce; tak gorąco!

Już stał przy niskich drzwiach chaty, poruszył skoblem — wszedł.

A szyderca zaśmiał się swoim głosem i zawołał:

— O! ślicznie! prześlicznie! wybornie!

Ułana — była w domu; stała w sieni, około drobiu coś robiąc. Postrzegłszy pana, zaczerwieniła się, pobladła — i osłupiała z podziwienia i przestachu.

Trzeba albowiem wiedzieć, że Tadeusz nigdy po wsi nie chodził, nigdy w chatach nie bywał. Biedna kobieta zrozumiała wszystko, zazdrzała i, milcząc, czekała, co jój powie.

— Dajcie mi wody, Ułano — rzekł z cicha, przestępując próg.

Pobiegła prędko garnarczycha do wiadra do pierwszej izby i cała jeszcze zaczerwieniona, drżąca, wyniosła kubek z wodą. Tadeusz, pijąc ją niby, patrzył, ale pił powoli, a patrzył ciągle. Ułana zakrywała się, ocierając fartuchem twarz i nie wiedziała, co począć. Dworscy tak ją przyzwyczaili do grubijzańskich zalotów, od których się bronić było potrzeba pięścią i kułakiem, jak od wilka, że nakoniec, widząc zimne napozór lice pana, nieruchomą jego postawę, zaczynała wątpić o tём, co wprzód jój na myśl przyszło.

— Cóż tu robicie sama? — spytał po chwili.

— A cóż? zwyczajnie w domu znajdzie się robota.

— Wszyscy w polu?

To pytanie znowu nastraszyło kobietę i milczała, ale jakby za odpowiedź dały się słyszeć głosy dziecięce z ulicy.

— Możeś mi nie rada w chacie?

— O! i bardzo! — odpowiedziała z przymusem i zimno, ocierając znowu twarz fartuchem — ale chata uboga.

— Bogata, kiedyś ty gospodynią, moja piękna Ulano — rzekł pomieszany i niewiele wiedząc, co mówi, Tadeusz.

— Alboż to bogactwo! — odpowiedziała garnarczycha, wzdychając.

— Wszyscy kochają.

— Tém gorzej.

— Dlaczego?

— Czyż to pan nie wie? Jak ludzie kochają, to mąż nie kocha, a jak mąż nie kocha, niema zgody w domu, płacz tylko i bięda, gorzej głodu.

— A mąż bardzo cię kocha?

— Nie wiem; musi kochać...

— Stary on, czy młody? Bo wy czasem za młodszych od siebie mężów idziecie!

— O! mój stary!

— Jakto! stary? Któż ci kazał iść za niego?

— Zwyczajnie: ja z ubogiej chaty, on bohater.

— Biedna! — rzekł zcicha Tadeusz. — Taka piękna!

— Czy to na długo! — pogardliwie szepnęła kobieta.

We wszystkich jej odpowiedziach był jakiś smutek, któren, równie jak niepokój, w jej głosie, w postawie się malował. Tadeusz trzymał kubek w rękę jeszcze, jakby na wymówkę swęj przedłużonej w chacie bytności; nie śmiał wychodzić. Siła wzroku téj kobiety — wzroku, który w sobie miał coś niepojęcie uroczonego, wzroku, co od nięj był piękniejszy, trzymała go przykutym u drzwi.

— I nie wiesz nawet, czy cię twój mąż kocha? — powtórzył Tadeusz.

Kobieta spojrzała i milczała.

— Musi mnie kochać — odpowiedziała po chwili — bo bardzo zazdrosny. Wieleż to razy za to, że ze mną dworski który pożartował, wybił!

— Jakto? wybił! — zawołał Tadeusz zdziwiony — śmiał ciebie uderzyć?

— Cóż to dziwnego? alboż to ja nie jego żona?

— Prawda! lecz cóż ty temu winna, żeś piękna i wszyscy to widzą?

— Ja temu nie winna, ale ja za to pokutuję. O! i wieleż-to razy modliłam się do Boga i Matki Boskiej, żeby mię od ludzkich napaści uwolnił!

— I nie lubisz, kiedy cię kto pokocha?

— Naco się to zdało! I jeszcze mąż bije za to! A gdyby i nie bił, co to ich za kochanie!

Na ten wykrzyknik, zcicha, dziwnym, jakimś głosem, z wes-

technieniem wyrzeczony, zadrzał pan Tadeusz i oczy na nią zwrócił.

— Jakto? a jakież inne wiesz kochanie?

— O! wiem! — odpowiedziała, spuszcżając oczy, kobieta. — Słyszałam o nióm, będąc we dworze; nieraz słyszałam, jak mówili, i widziałam, jak kochali po pańsku! O! to, to nie tak, jak dworacy i my! Tamto pańskie kochanie bardzo jakież piękne, trochę smutne; a choć smutne, to miłe. I kończy się, mówią, zawsze niewesoło. Tak ludzie we dworze powiadali.

— Prawda, prawda, to co innego: nie wasze, nie chłopskie, Ulano — odrzekł Tadeusz. — Ale u was, na wsi, kiedy mąż wybije, matka połaje, kobieta zapłacze, a chłopiec się upije, to i po wszystkim. Tam na tém nie koniec: za tém pańskim kochaniem idzie choroba i śmierć często.

Kobieta nic nie powiedziała, ale kryjąc jakieś uczucie widoczne na twarzy, czy westchnienie może, odwróciła się do kur, a Tadeusz wyjść musiał.

Wyszędłszy, uczuł, jak go wstyd ogarniał, razem z blaskiem słonecznym dnia i świeżem powietrzem. Wspomniał, z czém wchodził do chaty, a z czém wychodził z niéj. A serce mu biło, a twarz pałała — i wszystko dla jednéj prostéj kobiety, dla wieśniaczki, dla Hończarychy!

— I ona — mówił do siebie — wie, że jest jakież inne kochanie, że jest jakież lepsze szczęście, warte ofiar, że na tymże świecie bożym, na którym ona pędzi szare godziny między kolebką dziecka, stodołą i chlewem, jest inne życie uczucia, życie serca, obłąkania i szczęścia. Biedna Ulano! na cóz jéj było do dworu zaglądać i bajek słuchać... i bajkom wierzyć? Nie lepiéjże dla niéj byłoby, jak inne, zostać szczęśliwą, zepsutą, jak jéj siostry, niż biedną i czystą, jak niewielka liczba wybranych męczenników, których między jéj równemi nie znajdzie? Teraz pocieszałaby się z jakim dworakiem, nie dbając o męża, nie czując téj tęsknoty za drugiem jakiémś kochaniem; nie byłoby jéj nudno w chacie! Ale to dzieciństwo! dzieciństwo! marzenie! dziwactwo! Chytra-to dworka i nic więcéj zapewne! Cha! cha! I mnie na chwilę podeszła.

Tak myśląc, szedł pan Tadeusz brzegiem jeziora ku domowi ze spuszcżoną głową; niekiedy poglądał na dwór samotny, cichy, jak było jego życie, to znów na wieś i na czarną cerkiew starą, a w głowie jego zwieszonéj, jakby ciężyla, plątały się dumania wieczorne i niespokojne pytanie przyszłości o jutro.

Bo każdy człowiek ma trzy życia w sobie: jedno, po którym płacze, drugie, w którym żyje i stęka, i trzecie, którego się spodziewa. Tego trzeciego brakło w téj chwili Tadeuszowi, i dlatego tak du-

mał smutnie. Jedna kobieta, jedno wejrzenie, słowo, już mu obrzydziły to życie, które przed kilku dniami jeszcze za najspokojniejsze, najszczęśliwsze uważał. Jedna kobieta i jakaż kobieta!

A wieczór zstępował na ziemię cichy, spokojny, wiejski; słońce czerwieniało za lasem sosnowym, bydło wracało z pola i samo szło ze spuszczeniem głowami do swoich obór i chlewów, skakały kozy, których tyle Poleszacy trzymają; niewiele owiec z długą wełną na cienkich nóżkach biegły, becząc, ku chatom, leciały dzikie kaczki nad jeziorem, wiatr podnosił jego fale i rozbiwał je o brzeg nad drogą. W tym widoku, tak pospolitym, tak codziennym, był jakiś urok tęsknoty, było życie, lecz życie, którego widok nie wystarcza cokolwiek szerszemu sercu, może że zbyt ciche, że zbyt bez celu.

Tadeusz patrzył, widział to, co go otaczało, pięknem, a razem coś tak smutnego biło w jego sercu, że się zatrzymał i usiadł, czując potrzebę smutku, potrzebę tęsknoty.

Cały ten ruch wieczorny wsi przeszedł drugim brzegiem jeziora naprzeciw niego i posunął się mimo karczmy do sioła. On siedział i patrzył, a mimowolnie oczy jego zwracały się na chatę Ulany, z której dymnika czarny, smolny dym się unosił. Słychać tam było w tej stronie z rykiem bydła pomieszane głosy wracających z pola i dzieci witające matki i śmiechy.

— Są jednak i szczęśliwi w tém życiu — pomyślał — może prędzej i mniejszym kosztem, niż w inném. Chleb dla nich wszystkiem, a, dzięki Bogu, nie są głodni i nie będa.

Jakis szelest dał się słyszeć za nim, ktoś przeszedł mimo. Jakby naumyślnie na rozdrażnienie go, była-to Ułana. Tadeusz powstał, chciał ją zatrzymać. Ona biegła z wiadrem wody, spojrzała, uśmiechnęła się i uciekła. Nie chciał jęj gonić; z drogi widać ich było; mógłby był kto zobaczyć; a mąż! Wówczas byłoby piekło w chacie.

Wstydząc się i sam sobie różnego rodzaju robiąc wyrzuty, Tadeusz wrócił do dworu. Nikt na niego nie uważał, nikt do niego nie przemówił; poszedł i zamknął się w swoim pokoju.

IV.

— Tak, tak — mówił w parę dni potém — filut dworka; umie ona, jak nasze panie, i wzdychać i gadać i oczy przymruzać. Ich prostota, kiedy się w nią fałsz wda, sto razy niebezpieczniejsza, bo w jęj szczerotę łatwiej się wierzy. Zaczóby ona miała być wyjątkiem? zacząłbym miał tak się zniżyć, żeby się aż przywiązać do tęg kobiety, do prostég Hończarychy?

Wyszedł i trzasnął drzwiami za sobą, a w sieniach zastał... kogoż znowu? — Ulanę. Tym razem śmielsza, podniosła przeciw niemu swoje czarne oczy.

— Co ty tu robisz?

— Że byłam dawniej we dworze i umiem prać, wzięli mnie do pańskiej bielizny.

— A dworscy pewnie temu bardzo radzi?

— O! Ale ja. Mąż aż tu przychodzi śledzić za mną.

Tadeusz ruszył ramionami, a widząc ekonoma na dziedzińcu, zawołał na niego:

— Panie Linowski, każ WPan, niech Oksień Hończar...

Na te słowa kobieta pobladła i uciekła.

— Niech Oksień Hończar — kończył Tadeusz — w ten moment wybiera się w drogę. Ma on konie?

— A ma, panie, i jego najlepsze.

— Pojedzie z WPanem do Berdyczowa... Wszak potrzeba ci jednej furmanki?

— Miałem wziąć dworskie folwarczne konie.

— Właśnie dlatego dysponuję go; konie te będą mi potrzebne. Ich podobno kilkoro tam w chacie?

— Tak, panie.

— Więc on może jechać?

— Może, panie.

— Proszę tak zrobić, jak mówiłem.

Ekonom wziął ten rozkaz za dziwaczną chimereę politowania dla folwarcznych koni i odszedł. Ale i Ułany już nie było. Tadeusz stał we drzwiach i czatował. Wyszedł potem do ogrodu; wiedział, że tam czasem od strony jeziora wieszano chusty i brano wodę. Nigdy w życiu nie zastanawiał się nad tém, gdzie, jak i co w domu jego się robiło; teraz wszystkie szczegóły przychodziły mu na myśl.

Zszedł nad jezioro; tu w istocie stała Ułana, ale zamyślona, ze zwieszonemi rękoma; nie widząc go, ruszała ramionami, potrząsała głową, rozmawiając ze swemi myślami.

— No, już będziesz na czas od niego wolna.

Ułana, odwracając się, krzyknęła.

— Mąż twój dziś wyjedzie — dodał Tadeusz.

— O! da on mnie za to!

— Skądże wiedzieć może?

— Kiedy najmniej wie, najwięcej się domyśla — odpowiedziała dworka.

— O czémżeś tak myślała, kiedym tu przyszedł?

— Czy ja wiem?

— Pewno nie o mnie.

— Czyż to mnie o panu myśleć?

— A czemuż nie, kiedy ja myślę o tobie?

— O mnie? — spoglądając mu w oczy, zapytała kobieta — a toż dlaczego?

— Ja sam nie wiem — odpowiedział naiwnie Tadeusz — ale... ale gdy cię zobaczył, odtąd... ciągle mi się snujesz po myśli.

— Ja?! Krzyż na mnie! Pan-by myślał o mnie?

— Zdaje mi się, że cię kocham, Ulanko, ale nie po waszemu, nie po chłopsku i nie po dworsku, ale tak, jak to kochają po pańsku.

I zbliżył się i wziął ją w pół i chciał ją pocałować, ale ona, przestraszona, wyrwała się i zawołała po rusku żałośnie:

— A! moje dzieci!

— Ty masz dzieci?

— Mam odpowiedziała cicho — dwoje maleńkich niebożąt.

— Lecz dlaczego boisz się o nie — rzekł, zbliżając się znowu. —

Czyż ja im co zrobię? czyż mąż twój im co zrobi?

— O! — odpowiedziała smutnie Ulana — ja słyszałam o tém kochaniu: to zawsze się biedno kończy, a moim dzieciom będzie źle.

— Śmieję się z tego, Ulano — rzekł Tadeusz, rozgarniając włosy na czole, jakby z niemi chciał myśli rozgarnąć. — Nacóż to źle na końcu?

— Kiedy kto komu przysiągł w cerkwi, a ksiądz pobłogosławił, koło ołtarza oprowadził i razem krzyż całowali i z jednego kubka pili, o! to nie dobrze złamać przysięgę! i zły koniec zawsze.

Tadeuszowi wymowy nie stało.

— Słuchaj, Ulano — rzekł, obejmując ją gwałtownie — dzisiaj twój mąż pojedzie. Jest kto u was więcej w chacie?

Ona milczała ponuro.

— Cóż to, nie chcesz mi odpowiedzieć? Więc się spytam ekonomą, żeby się cały dwór domyślił, dlaczego.

— Jest u nas kilkoro w chacie — zawołała szybko Ulana, podnosząc oczy — parobek, dziewczyna, dzieci. Ale nacóż to panu?

— Słuchaj! — rzekł Tadeusz — ja dziś u ciebie będę.

To powiedziawszy i nie chcąc wiedzieć i słuchać odpowiedzi, odwrócił się nagle i poszedł do domu; mimowolnie tylko raz się odwrócił i ujrzał, że Ulana, stojąc na miejscu, końcem fartucha łązy ocierała.

V.

Nadszedł wieczór i noc; Tadeusz, który ludzi do swoich dziwactw przyzwyczał, wyszedł po cichu z domu nad jezioro. Noc była czarna, we wsi światła pogasły; świeciło się tylko w karczmie

i odbite światło okna połyskiwało na wodzie spokojnego jeziora. Czasami słycać było oddalone gdzieniegdzie podwórzowych psów naszczekiwanie, szmer wody, co się do snu kołysała, i pisk żórawia od studni poruszanego wiatrem i pianie kogutów i ryk urywany bydła w oborach. Głosy te na milczącym tle nocy wydawały się jak jaskrawe obrysy na ciemnym obrazie.

Z biciem serca, które zawsze każdej podobnej sprawie towarzyszy, Tadeusz szedł brzegiem jeziora zamysłony; w głowie jego przewracało się, biło, łamało; był to huk niepojęty myśli i krwi przebiegającej żyły ognistą falą, zęby szczękały, ręce drżały, czoło zimnym potem się wilżyło. Nie postrzegł, jak się znalazł blisko karczmy, mimo której przechodzić było potrzeba, ażeby od dworu przejść do wsi. Szczęściem nikogo nie było przed karczmą, już prawie uspioną, w której tylko głos bachura jeszcze się odzywał. Noc tak była czarna!

Nie uważając na błoto, na kałuże i doły, szedł Tadeusz do chaty, którą znał dobrze. Dzieckiem jeszcze z niańką przebiegał nieraz wieś, znał każde drzewo. Każdą kładkę, studnię, po ciemku poznawał każdy przystronek i pewien był, że się nie omyli.

Lecz gdy zbliżył się do chaty, tak był pomieszany, jak złodziej; bo i on, jeśli nim jeszcze nie był, chciał już nim być przynajmniej. Stanął, słuchał: wkoło była cisza; podniósłszy oczy, ujrzał kogoś w bieli stojącego na progu. I ten ktoś i on — zarówno po ciemku — uczuli się, usłyszeli, zobaczyli przeczuciem.

Tadeusz odkasznął; postać w bieli przytuliła się do drzwi, a on milczkiem się ku niej posunął. Ufał w swoje położenie pana i w zepsucie kobiety: rachował na to, że nie była czystą! I cóż to za rodzaj rozkoszy chciał tam znaleźć!.. O! niepojęte serce ludzkie, któż cię kiedy zrozumiał, gdy bijesz żądzom ciała?

Tadeusz, zbliżywszy się, poznał łatwo, że postać w bieli była Ułana.

— To ty?

— Kto tu?

— To ja.

— Pan... pan — niespokojnie powtórzyła kobieta, poruszając się z miejsca — pan przyszedłeś! poco? Na moje nieszczęście, na łzy moje, na biędę? Pan... ach! idź pan sobie, idź!

— Isć, kiedyś ty mnie czekała na progu? — odrzekł z uśmiechem Tadeusz — miałbym tak odejść?

— Czekałam, prawda — odpowiedziała Ułana — czekałam umyślnie, żeby uprzedzić, żeby nikt pana nie widział, żeby uprosić, żebyś pan nie wchodził. Krzyż na mnie nieszczęśliwą! Panie! pa-

nie! ja nie jestem taką, jak myślisz. I to wasze kochanie — dodała — a! to gorzej nienawiści!

Tadeusz, zdziwiony stłumionym, łkającym głosem tej kobiety, w którym się oburzenie wyrażało silnie, stał, nie wiedząc, co począć.

— No, no, Ulano — rzekł pomieszany, zbliżając się — chodźmy do chaty. Czego się boisz?

— Do chaty! poco? żeby nas widzieli, żeby słyszeli, żebym ja była nieszczęśliwą, żeby... — zaczęła płakać. — Pan Bóg-by mnie pokarał na dzieciach, na domu, na dobytku, na chlebie!

— Chodźmy, chodźmy, Ulano — nastawał Tadeusz. — Pan Bóg jeśli ma karać, to mnie tylko ukarze.

— Krzyż na mnie, panie! nie pójde, nie chcę, nie pójde! Krzyżkę i całą wieś zbudzę! zwołam wszystkich! idź pan, idź!

— Chcesz więc — zawołał Tadeusz, zgrzytając zębami — żebym się mścił, żebym cię zmusił...

— A cóż mi pan zrobisz? — spytała — każesz bić? Czyż i tak mnie nie biją? Odbierzesz chleb? i tak go niewiele; a dzieci małe; w rekruty nie oddasz.

Tadeusz posepnie się zamyślił; jeszcze raz chciał przystąpić ku niej, ale kobieta błysnęła w ciemności nożem.

— Ostrożnie — rzekła — ja mam nóż!

On osłupiał.

— Myślałeś pan może — mówiła — że dlatego, żem piękna, to już i wiary i serca nie mam i Boga nie znam? O! — i rozśmiała się drżącym głosem cicho a smutnie. Śmiech-to był gorzkim łzom równy. — Idź pan... gdzieindziej... znajdziesz sobie drugą i trzecią i dziesiątą... ale nie mnie... Idź pan. Gdyby kto nadszedł, musiałabym krzyczeć i wstydby było.

— Więc nie chcesz mnie i mojego kochania? — szepnęła Tadeusz pół-szydersko, pół-gniewnie.

— O! czyż to kochanie? — spytała. — To, o którym mi się śniło, dumało, o jakim w piosnce śpiewają, a na wieczornicach gadają, pańskie kochanie, królewskie, czuję, insze jest wcale. Tamte, tamte! o! nie dla nas biednych, nie w chacie go szukać!

— Osobliwsza kobieta! — rzekł sam do siebie Tadeusz. — Dobra noc, Ulano.

A ona szydersko odpowiedziała mu zcicha:

— Dobra noc.

On stał jeszcze i nie wiedział, co począć z sobą; ona znikła. Pełen wstydu, powolnie powlókł się nazad, powtarzając:

— Osobliwsza kobieta!

VI.

Nazajutrz rano wybiegł w las, rozbierając jeszcze w myśli wczorajszą swoją przygodę; wstydził się sam przed sobą i żałował swęj nocnej przechadzki. Postępowanie téj kobiety siedziało mu w sercu jak niepojęta zagadka. Raz myślał, że to było udaniem zręcznym, to znowu usiłował pojąć cnotę kobiety w stanie, w którym zwykle wyobrażenia jęj nie mają, a pańskie zaloty uważają za pociechę i pożądany wypadek raczję, niż za postrach i nieszczęście.

— Boi się męża i wszystko w tém — myślał sobie. — I znowu przypominając sobie rysy jęj twarzy, jęj wzrok, którego niepojęty wyraz tak źle się godził z szarą jęj świtą, zdawał się przewidywać, że ona nie powinna być sądzona, jak inne téj klasy kobiety, ogólną regułą zepsucia, strachu, obojętności. Była-to może perła zamieszana w błocie; lecz jakim sposobem blask jęj i pozór miała? Jakim sposobem taką twarz, taką duszę dał Bóg takiej kobiecie, w tym stanie? Jakim sposobem otaczające, oblewające ją zepsucie nie tknęło dotąd? jaki anioł strzegł młodości?

Tego ani Tadeusz, ani nikt na jego miejscu wytłómaczyłby sobie nie umiał.

Z fuzyą na ramieniu szedł powoli w las. Był-to dzień świąteczny; wiele ludzi spotykał za grzybami i jagodami chodzących; zdaleka już w borze śpiewy i hukania się rozlegały. Spoglądał niespokojny: — między temi migającymi, jak cienie, postaciami, szukał Ulany! Kto wie, czy nie z tą myślą wyszedł z domu?

I myśląc i idąc, gdzie nogi niosą, zapuścił się w gęstą knieję, za którą było błotko i stara, odwieczna mogiła, na której zwykł był spoczywać. Machinalnie i pan i wyżeł drapali się drożyną, przez nich podobno samych tylko wydeptaną, do mogiły dwóch braci. Tak ją nazwało podanie.

Leżała ona otoczona najgęstsą knieją, podszytą leszczyną, ożynami i gęstemi zarosłami; nikt, prócz strzelca, tam nie chodził, a i ten rzadko zaglądał, bo trzeba było albo duży kawał krażyć, albo brnąć przez kępiaste błoto, żeby dojść do wzgórza, na którym usypana była mogiła. Podanie ludu mówiło, że się tam dwóch braci, ścinając sosnę, zabiło. Miano więc to miejsce za straszne i zakłętę; nikt się tam nie zapuszczał, nikt nie chodził; nawet pobereźnicy je okrażali, żegnając; i choć jest zwyczaj powszechny rzucać galezi na takie mogiły, tu ich prawie nie było, — nie było komu ich rzucać.

Różne bajki prawiono na wieczornicach o tém miejscu, prawie

wszyscy jednak zgadzali się na to, że miejsce było zakłęte, nieszczęśliwe. Niektórzy dodawali, że z dwóch braci jeden kochał i żył z żoną brata, a drugi widział to i pozwalał, bo się lękał i żony wiarołomnej i złego brata. Bóg ich za to pokarał. Inni powiadali, że sosnę ścinałi w niedzielę; inni, że brat zabił brata, a zabójcę przywaliła sosna; ale wszyscy powtarzali, że miejsce straszne i nieszczęśliwe.

Drapiąc się do tej mogiły, Tadeusz z jakimś przestraczem ogładał się, czy nie ujrzy gdzie duchów pobitych braci, o których jeszcze od niańki swęj słyssał. Pies jego wachał, po ścieżce biegnąc, zwracał się w stronę, podnosił głowę, naszczekiwał, warczał i stawał. To zdziwiło Tadeusza, który tłómaczył sobie niespokojność wyżła tēm, że ktoś chodząc za grzybami, aż tu się musiał dostać, może zbłądziwszy.

Nareszcie wydarli się z gęstego lasu i, uszedłszy brzegiem mokręj łąki kilkadziesiąt kroków, zbliżył się do mogiły i podniósł oczy. Na wierzchołku siedziała Ulana; na kolanach sparała rękę, na rękę głowę, plecy o drzewo, oczy patrzyły gdzieś daleko za lasy, na góry.

— Znowu ona! — zawołał, stawając, Tadeusz. — Ty tu? — do dał głośnieję.

Ułana się porwała.

— A! — krzyknęła — przynajmniej tu, myślałam, że mnie pan nie znajdziesz.

Chciała uciekać. Pies się rzucił za nią; przelękała stanęła, a Tadeusz się zbliżył.

— Czegoż uciekasz? — rzekł powolnie, udając obojętną spokojność. — Przynajmniej tu nie boisz się nikogo.

— Was, panie — odpowiedziała prędko.

— Ja-m, Ułano, ani chłop, ani dworak, ani cię bić, ani ci gwałtu robić nie myślę...

— Nie? — spytała usta i oczyma — pewnie nie?

— O! nie! — odpowiedział Tadeusz. — Gdybym cię kochał, to nie tak, jak oni.

Kobieta się ośmieliła.

— I nie tak, jak mąż twój, ale tak, jak cię jeszcze nikt nie kochał; o takim kochaniu tyś nie słyssała nawet...

— A potem cóżby było? — spytała, bawiąc się końcem fartucha.

— Nic... kochałbym cię długo, zawsze, do śmierci.

— O! ja też wiem, że w takim kochaniu śmierć być musi na końcu, śmierć koniecznie.

— Ale któż myśli o śmierci?

— Czyż ja nie wiem? Ile razy słyszałam w piosneczce, w skazce o takim kochaniu, zawsze tam były na końcu mogiły i śmierć.

— I... nie wierz temu, Ulano; można się kochać, a nie umrzeć dlatego.

To mówiąc, Tadeusz, który już stał przy niej, w pół gwałtem posadził ją przy sobie, objął ręką. Ona tak się zamysliła, że się prawie zapomniała bronić, nie nie mówiła, lecz gdy się zbliżył, aby ją pocałować, odsunęła się dopiero i rzuciła wstawać.

— Nie bójże się! — rzekł Tadeusz. — Pozwól mi choć popatrzeć na siebie.

Ze śmieszną skwapliwością dziecka Ulana podniosła na niego cudne swoje oczy i tak na niego patrzyła, że Tadeusz nie wiedział, czyli w istocie mógł to być wzrok prostej kobiety. Ten wzrok zdawał się mówić tyle i tak dziwnych rzeczy, tyle nadziemskich wyjawiać tajemnic, tyle obiecywać szczęścia, tyle zamykać dumań o przyszłości!

Spotkał z was kto kiedy taki wzrok cudowny przy siwój, prostej sukmance, u kobiety, która jednym tylko wzrokiem była aniołem, a resztą ciała i duszy kucharką? Nie jest-że to okropne męczeństwo patrzeć na ten posąg, zwiastujący piękną duszę, a nie mający jój: ten wzrok, powiadający tyle rzeczy, których usta powtórzyć nie potrafią? Taka kobieta — to potwór straszny.

— A, moja Ulano — rzekł do niej zeicha oczarowany jój wejrzeniem — to kochanie, o którym słyszałaś, to słodkie kochanie: jemu dość widzieć kochankę, dość dotknąć ręki, dość do ust się przybliżyć.

Kobieta, czując, jak ją brał za rękę, obłąkana, z uśmiechem spojrzała na niego; — w tém wejrzeniu był przestrah i poddanie się prawie, ale poddanie ze strachu, nie rozmyślnie. Tadeusz poznał przestrah jój; puścił rękę, której tylko dotknął, i wlepił w nią oczy. Dotknięcie szorstkiej, spracowanej ręki, która pod jego dłoń zadrzeć nie umiała, mogło go było odczarować. Patrzył, — ona już spuściła oczy, mimo swój prostoty uczuwszy, co było w jego wzroku namiętnego, straszego, jaka burza wrzała pod uśmiechniętą powieką.

— Chcesz ty mnie tak kochać? — spytał po chwili.

— Ja? O! panie, czyż to być może? Ja biedna, ale...

— Ale cóż?

— Można szczerze powiedzieć?

— Szczerze, najszczerzej. Co chcesz?

— Szczerze... ja nie wiem — odpowiedziała, zasłaniając oczy — pan mnie oczarował, ze mną się coś dzieje, czego nigdy w życiu nie było. Mnie się zdaje, że ja się budzę, że mnie już dawniej, kiedys

ktoś kochał tak samo, że nie jestem Hończaryczą... Hończaryczą! — powtórzyła, wzdychając. — Biedna ja! Krzyż na mnie! z dwójgiem dzieci! z ubogiej chaty! A czyżby pan mógł taką nędzę pokochać? A mąż?

— O! to co innego! — z przymuszonym uśmiechem dodał Tadeusz.

— Co innego? I takie kochanie, to nie grzech? — spytała naiwnie.

— O! nie grzech pewnie! A będziesz-że mnie kochała, Ulano?

— Czy ja wiem? czy ja wiem?.. Mnie się tylko coś niepojętego dzieje, jakoś smutno, miło, straszno: boję się już, żeby pan mnie nie porzucił; strach myśleć na jutro. A i samego pana tak mi czegoś straszno!..

— Czegoż się mnie bać możesz? Ja ciebie tak kocham...

— A! panie, to kochanie to na godzinę tylko: ja wiem, ja slyszalam, ja myślę, że pan prostej, jak ja, kobiety kochać nie możesz. Dziś, jutro porzuciłbyś! Czyż ja to umiem, co pan? jestem-że pięknie ubrana, jak wasze panie, jak ekonomowa, jak popadia i księdzówny? O! one to piękne! a ja...

— Tyś sto razy piękniejsza w tej świecie, Ulano; nie lękaj się o to. Dałyby one wszystkie swoje krasne stroje za jedne twoje oczy. I nacóżbym kłamał, gdybym cię nie kochał?

— Czemuż nie? Panom to wolno: at, pobawić się i porzucić.

— Nie jabym to zrobił, nie jabym cię zwodził, o! nie! — odparł z oburzeniem Tadeusz, którego samotność, wejrzenie tej kobiety i mowa jej nawet egzaltowały coraz bardziej.

— Kiedyś pan mógł myśleć, że ja pana mogła puścić w nocy do chaty, czyż nie możesz pan myśleć, że mnie wolno zwieść i oszukać?

— Ja ciebie wówczas nie znałem, Ulano, nie wiedziałem, ktoś ty była; poznałem dopiero...

Ulana westchnęła.

— A! i do czego to wszystko! naco to nam! naco pan mnie zobaczył i uczeplił się do mnie! To na moje nieszczęście pewno! Krzyż na mnie! A mąż, a ludzie! Któż bo tego nie zobaczy?

— O! bądź o to spokojna, Ulano! — zawołał uradowany Tadeusz, cisnąc się ku niej i przytulając ją ku sobie. — Nie bój się! Ja...

Chciał mówić, ale kobieta nagle, jak błyskawica, porwała się i, nie oglądając się, pobiegła w las; a nim Tadeusz wstał, już nie czas było gonić, bo świta jej znikła w gęstych krzakach, otaczających mogiłę.

On stał na mogile...

— Co to jest? — mówił do siebie, oparty na strzelbie, z oczyma wlepionemi w ziemię. — Co to jest? na czem się to skończy? Miałażby to być miłość... w sukmanie?! Dziwna, niepojęta, bezrozumna, dla *dzikiej* kobiety! To niepojęta! Skąd jęj te oczy, skąd jęj ta twarz? skąd jęj ten uśmiech? Czemuż przynajmniej nie jest wolną, dziewczyną? O! wówczas niechby sobie świat gadał, niechby się śmiał i szydził!

Westchnął i potarł ręką po zmarszczoném czole.

— Co ma być, niech będzie! Ja-m oszalał!

To mówiąc, rzucił gałąź ułamaną na mogiłę, wedle zwyczaju, i powoli pociągnął za psem do domu.

VII.

Tadeusz nie mógł się zrozumieć, nie mógł pojąć, co się z nim stało; a widząc wewnątrz siebie odmianę, kiedy jęj przyczyny na myśl przywodził, prawie nie wierzył sam sobie.

— I cóż jest takiego w tęg kobiecie? — powtarzał sobie, czując się niespokojnym. — Piękna? ależ tyle widziałem pięknych, a żadna mnie nie zajęła. Bo... zresztą jest-to dzikie dziecię Polesia, bez myśli, bez mowy.

A jednak gdy to mówił i przypominał sobie wzrok Ulany, czuł, że jęj wejrzenie zastąpić mogło i mowę i myśli, często pożyczane, innych kobiet, które wychowanie tylko i świat wygładziły na lalki.

Niespokojny terażniejszością dziwną, już prawie nie żałował i nie wspominał życia przeszłego, lecz roił jakieś przyszłe.

Jakież? — sam jeszcze nie wiedział. Jakież bowiem mogło to być życie z prostą kobietą, którą od niego mąż, stan i cały świat oddzielał — świat innych wyobrażeń, niższy o tyle od tego, z którego zszedł Tadeusz? Marzył wszakże o nięj i prawie się spodziewał, że od nięj szczęście dla niego przyjsć miało. Patrząc na niego, można było po setny raz powtórzyć z angielskim poetą: serce — przepaść niezgłębiona.

Przywykły postępować wedle swęj woli, nie pomyślał oprzęd się rodzącemu się uczuciu Tadeusz, przytłumić je wyjazdem, roztargnieniem. Rzucił się w nie przez próżniactwo, przez niedbalstwo, nie usiłując się nawet wyrwać z niego. Jeśli niekiedy samotność młodym bywa użyteczną, jakże to często oderwanie się zupełne od świata jest zgubne i wiedzie do zdziczenia!

Tadeusz, dawnięj zagorzały myśliwiec, bo myślistwo było jego jedyném zatrudnieniem i rozrywką, teraz bał się odejsć od domu, żeby nie stracić z oczu Ulany, która często do dworu zabiegała.

Czasem błdził po wsi, wybierając chwile, kiedy wszyscy byli w polu, szpiegował, chodził. Lecz Ulana unikała go. Któż tam wie i pojmie, co się z nią działo.

Te kobiety tak mało mają swobodnego czasu, tyle im chwil praca zajmuje, tyle kłopotów wisi nad niemi w chacie, tyle cielesnego trudu, że niepodobna im prawie myśleć nad sobą.

Człowiek musi mieć trochę swobody, żeby umyślnie żyć zaczął: praca ręczna powoli zabija w nim duszę. Lecz próżnujący Tadeusz, którego całym zatrudnieniem były myśli tylko, w swojej głowie najdziwniej marzył, a przesładowany wzrokiem Ulany — niepojętym przez niego samego wzrokiem — szukając go wszędzie, pragnąc nieustannie, błdził, aby się z nim spotkać.

I myślał sobie:

— Tylu ją otacza i widzi, tylu ludzi, czemuż nikt tego w niej nie dojrzał, co ja? Prawda, że to są inni, daleko inni ludzie; ale zdaje się, że siła tego wzroku powinna duszę obudzić w umarłym.

Potem żałował Ulany, że była Hończarychą tylko, że musiała pracować razem z bydlęciem i tyle, co bydło; chciał ją wywieść z tej niewoli trudu. Ale jakim sposobem? Cała wieś-by to spostrzegła, a ona sama czy kosztem spokoju domowego chciałyby trochę swobodniejsze życie okupić? O! pewnie nie!

Tymczasem, gdy się to dzieje, Oksień, mąż Ulany, jedzie do Berdyczowa, a Tadeusz codziennie to tu, to tam ją widząc, zbliża się do niej powoli, oswaja ją z sobą i z myślą grzechu. Wstrzymywać siebie i cofać się już nie chciał; a kiedy sobie mówił, że taka miłość dla takiej kobiety była szaleństwem niepojętym, że ona jej uczuć nie potrafi, ani ocenić, co on dla niej zrobi i uczuje, namiętność nieprzekonana, uznając się szaloną, szła dalej, a szła całę odmienną drogą, nie tą, jakąby inna wyznaczyła dla pana, który polubił wieśniaczkę.

Nareszcie obejrżeli się, postrzegli wszyscy. Tadeusz zmienił sposób życia, obyczaj; widziano go rozmawiającego z Ulaną, często przechodzącego przez wieś: pierwszy stary ojciec Ulany kiwnął głową, podpatrzywszy raz, jak pan za nią wiódł wzrokiem upartym.

Stary Lewko poszedł do chaty i usiadł zamyślony, zmarszczony nad stołem. Ubodło go to odkrycie, ale nie śmiał nic mówić nikomu; przyszedł na myśl nagły wybór Hończara w podróż: stąd powstały domysły, a z domysłów smutna rozważa, co z tą biedą pociąć.

Chłop poleski, mimo codziennych przykładów niewiary żon i córek, drażliwy jest na to; nie mogąc mścić się na panu, będzie się mścił na żonie, a bięda nawet i panu, jeśli go do ostateczności przywiedzie. Wówczas, zrozpaczony, podłoży ogień pod tok i dwór, a sam uciecze. Jeszcze jednak stary Lewko nie był tak pewien

swego, aby już dumać o zemście. Czarne tylko myśli uwijały mu się po głowie. Poszedł do karczmy, po drodze spotkał ojca Okse-
nia, starca drżącego, wlokącego się o kiju, co już na łasce syna żył
w chacie; powiódł go z sobą do karczmy.

Tam w kącie, za stołem, nad kwartą posadziwszy starego, Lew-
ko jął go wypytywać.

— Widziałeś ty kiedy pana w swojej chacie?

— Mówili, że raz przychodził się wody napić. Albo co?

— Nic... ot, tak... A często Ulana chodzi do dworu?

— Jak zawsze. Albo co?

— Nic... A nie widziałeś kiedy pana włóczącego się koło wa-
szej chaty?

— Czasem.

Lewko się podparł i zamyslił.

— A nie nocowała Ulana we dworze?

— Nie, nigdy. Cóż to ty myślisz co złego na córkę?

— Nic, stary, ale się boję: pan młody, ona piękna, a dyabeł
nie śpi.

— I, dajcież pokój panu. Czy jemu to w głowie? On z fuzyą
a z psami; aby po lesie włóczyć się, to jemu dosyć!

— O! nie, bat'ku, nie! Coś ja widzę, coś ja myślę; a ja nie
myślę darmo. Nie gadajcie tylko przed nikim, ale mnie się zdaje,
że oni się z sobą znają.

— Tać Ulana dawniej służyła we dworze, a nigdy tego nie by-
ło, a teraz, kiedy sama gospodynią w chacie i z dziećmi, żeby jej
dur na głowę przyszedł?

— A pamiętacie wy Nastkę Prokopową? — rzekł Lewko.

— O! o! a cóż? pamiętam.

— Żyła lat pięć z mężem, a ekonom ją potem zbałamucił. Pro-
kop dał mu w lesie w skórę, złapawszy go z żoną. Ekonom naza-
jutrz oddał we dworze na pańszczyźnie we dwoje, a potem...

— Prokopa oddali w rekruty.

— A Naścia była gospodynią u ekonomy, a dzieci zostały sierotami na wieki.

— A cóż? prawda! Ale Ulana nie taka, o! nie taka! i pan
także.

— Pan! pan! to gorzej ekonomy. Cóż jemu zrobić? co jemu
powiedzieć? Trzeba cierpieć, bo i uciec nie można i na dnie w pie-
kle teraz znajdują, a potem rekruty, albo nędza gotowa.

— Ale kiedy tego niema, a Ulanie to nie w głowie.

— Daj Boże! daj Boże! Do was, kumie!

— Do was. Dobrego zdrowia.

— Dobrego zdrowia.

— Na zdrowie wam.

— Na zdrowie.

A potém, już podchmieleni starzy, zaczęli długo swoją nędzę i utrapienia swego stanu wywodzić, aż na stole posnęli. Ale gdy się Lewko, przedrzymawszy się, obudził, przyszło mu wszystko na myśl; potrząsnął za rękę starego ojca Oksenia, bo już noc była i czas do chaty powracać.

Przebudzony stary, włókł się pocichu błotnistą ulicą, rozmyślając o tém, co mu Lewko nagadał. Ale trzęsąc głową, nie wierzył temu, i oziębły, przywyklejszy, obyty ze wszystkim, nie tak brał wstyd swego syna i hańbę synowej, jak tamten. Owszem, gdyby tak było nawet, nie widział nic bardzo złego. Tak w pół myśląc, w pół jeszcze drzemiąc, doszedł do drzwi. We drzwiach spotkał Ulanę ubraną jak do wyjścia: miała na sobie świtę, trzewiki niedzielne, pończochy, białą chustkę na głowie, przepasana paskiem kolorowym.

Stary ujrzał to, choć pociemku, i zastanowił się w progu.

— Czyżby to prawda była? — pomyślał i spytał: — Dokądże to po nocy, Ułano?

— Do ekonomowej — odpowiedziała śmiało kobieta. — Przyślą po mnie, bo jej dziecko słabe: trzeba popilnować.

— Masz ty swoje w chacie.

— Jest przy nich Pryśka.

— Pryśka nie matka — odpowiedział stary, wchodząc we drzwi.

— Ale idź z Bogiem, kiedy chcesz.

Obejrzał się jeszcze i poszedł, natuliwszy czapkę na uszy. Ułana ruszyła ramionami i pobiegła do dworu.

Ale nie szła do ekonomowej, o! nie! Już nie pierwszy to raz na zawołanie pana biegła z nim w las, lub do ogrodu, i uplątana w tę miłość pańską, o której tyle w piosenkach słyszała, zapomniawszy już dzieci, chatę, męża, wstyd, bo kochała pana. Jak się to stało? skąd to przyszło? sama nie wiedziała; płakała czasem nad sobą, a szła do niego i poświęcała swój spokój, wszystko swoje, za trochę szafu, którego połowy lepszej nie pojmowała, słuchając go, jak dalekiej pieśni, co ją wiatr rozerwaną, a jeszcze piękną, do uszu przynosi.

Z nim razem całe noce, w ogrodzie albo w gęstwinie lasu ukryta, przesiadywała, milcząc, lub rozmawiali niewiele słowy, a w téj rozmowie tyle było rzeczy! Byli szczęśliwi — szczęściem jakimś osobliwszém, niepojętém, potworném, do którego jedno się wysoko spinać, drugie nisko upaść musiało. A jednak było-to szczęście, nie chwilowe nasycenie, nie przemijający szaf; oboje to czuli, i napróžno Tadeuszowi szyderski rozum wskazywał jutro odmienne: — to

jutro było jeszcze dalekie. Szczęście-to było, choć za niem świeciły burze, choć w niem były łyzy i niepokój i poniżenie.

Ułana przy panu zdawała się pojmować sercem gorącym, co do niej mówił Tadeusz, często słowy i myślami z innego wcale świata; choć co tylko dla niej niezrozumiałem być mogło, on zniżał do niej i miłości swęj formy do pojęcia prostęj wieśniaczki stosował.

Było coś dziwnego w ich rozmowach nocnych, w ich zbliżeniu się do siebie, w poufałości; lecz wdzięk wejrzenia, uśmiechu Ułany, żywe jęj pojęcie, miłość codzien wzrastająca tłómaczyły ich położenie.

Tadeusz chętnie przy niej zapominał wszystkich dawnych poezyj i marzeń swęj duszy, wszystkich innego świata przyjemności — wszystkiego, co się w jego terażniejszą nie mieściło sferę; — żył tylko tą osobliwszą sielanką, w ciągłym odurzeniu, nieustannem pijaństwie, bez wytrzeźwienia. Rozum coraz się rzadził z szyderstwęj odzywał; podbity, padł i milczał.

Tak płynęły dnie, noce, wieczory, tygodnie i już wieść o tém coraz się stawała na wsi głośniejszą. Pan o tém nie wiedział, a Ułana? — już o to nie dbała. Ona go kochała!

VIII.

Po kilku tygodniach wrócił nareszcie Okseń z Berdyczowa; przyjęły go dzieci okrzykami, starzy ściśnieniem ręki; wszyscy obstąpili jego wóz dokoła i pytali o nowiny; on nawzajem. Sam arendarz, ciekawy ceny wołów, wyszedł ku niemu, założywszy w tył ręce.

Opodał stali Lewko i Ułan, ojcowie, i patrzyli po sobie, czy mu co powiedzieć, czy nie; stała i Ułana, ale blada, bez pamięci, bez wiedzy, co robiła; trzymała biały fartuch pod brodą w ręku i spoglądała na męża, ale tak, jakby go nie widziała, jakby gdzieindziej zupełnie była myślami i duszą.

Przyjazd Oksenia obudził w niej zgryzoty, przestraszył, przewał słodką już przedzęj kilku dni, kilku nocy, z Tadeuszem spędzonych. Kobieta, myśląc, jak przyjdzie to porzucić i wrócić znowu do swojęj chaty, do męża, do dzieci, a lubego nie widziéć, nie kochać i nie siedziéć z nim swobodnie długich wieczorów, — płakała krwawemi łzami w duszy, bo oczyma nie mogła: wszyscy na nią patrzyli.

Stary Hończar, obaczywszy dzieci, którym dał po jabłku, dowiedziawszy się o dobytku, dawszy żonie chustkę, na gościniec przywiezioną, nie troszczył się już o więcéj i poszedł z dwoma staremi,

z ojcem i teściem, do karczmy. Do nich przyłączył się młody Pawluk, brat Oksenia, który najbaczniej, niejako z tradycyjnego obowiązku, strzegł Ulany i najlepiej wiedział o wszystkim, a najpilniej chciał o tém uwiadomić Oksenia.

Gdy oni wszyscy szli do karczmy, widząc ich twarze ponure, ich milczenie znaczące, Ulana domyśliła się, do czego to zmierzało: uczuła burzę bliską; płacząc ukradkiem, ścierała ławy i stoły, stawała u okienka i patrzyła za odchodzącymi, myśląc, co będzie, jak przyjdą. Wiedziała ona, że Pawluk i Lewko powiedzą mężowi o wszystkim. Spodziewała się jednak z zarzutów wytłómaczyć jakkolwiek, nie mając nadziei, aby się obeszło spokojnie, bez łajania, gniewu, a może i bitwy. A jęj tak było dziwno już pomyśleć, że ją ktoś bić i łajać może, ona się już tak rozpieszcila, tak spaniała, tak przywykła do pocałunków i słów miękkich, że nie pojmowała, co pocznie, jak wytrzyma.

Nasi poszli do karczmy, siedli za stołem, a póki arędarz wypytywał Oksenia o nowiny berdyczowskie, milczeli, lecz gdy wyszedł i zostali sami, Lewko się pierwszy odezwał:

— No, synku, my tu tobie twojój żonki pilnowali; musisz zato taki kwartę postawić.

— Dobrze, niechaj kwartę — rzekł, śmiejąc się, Oksień — ależ pilnowali wy jęj bardzo?

— O! jak mogli — odezwał się Pawluk — ale, bracie, kto kobiety ustrzeże, to na pajęczynie się powiesi!

Oksień spojrział mu w oczy i szare jego źrenice zapałały.

— Albo co? — spytał, ściskając zęby.

— A!t, bięda u nas w domu.

— U mnie?

— A cóż? Wiesz ty, dlaczego jeździłeś do Berdyczowa?

— A no?

— Bo pan z twoją żonką zna się.

— Pan? Co ty gadasz! Nasz pan?

— Tak. A cóż? Ona do niego raz-wraz chodzi.

Oksień uśmiechać się zaczął.

— Coś ty się skrećił, zwaryował, czy co? Nasz pan?

— Ale pan — rzekł Lewko stary — już to my tego zaraz po twoim odjeździe dopatrzyli. Z początku to było ni siak, ni tak, ale teraz już Ulanie kiepsko w chacie, już jęj nudno; raz-wraz wylatuje.

— Mówi, że do ekonomowój — odezwał się stary Ułas.

Oksień milczał.

— Ej! dam-że ja jęj, dam — porwawszy się, zawołał po chwili — jeżeli to prawda, a wszyscy wiedzą!

— Nikt nie wie — odpowiedział Lewko — my nikomu nie gadali.

— A jęj czemuście nic nie mówili, nie zabronili, nie zatrzymali?

— O! a kiedy pan mądry; wszystkich roześle: tego tu, tego tam; trudnoż pilnować.

— Widzieliście ją z panem, pana w chacie?

— Nie.

— A kiedy tak, to łgarstwo i złość tylko ludzka. Ułana nigdy taką nie była.

— Nu, a teraz jest — odpowiedział żywo Pawluk. — Co my widzieli, to i powiemy. Po waszym wyjeździe Ułana chodziła w las za grzybami i widzieli ją, jak szła, a potem w chwilę i pan za nią. Ja sam szpiegowałem ją, gdy szła do ekonomowój: weszła w pański ogród i tam znikła. A do folwarku nie przez dwór droga. Wczoraj w nocy stary Ułaz zachorował, prosił wody; Pryśka wody przyniosła, a w komorze szukali Ułany: nie było. Mówiła znów rano, że po nią w nocy ekonomowa przysyłała.

— A może i ona — rzekł Okseń.

— Oj! nie, nie! — rzekł Pawluk. — To nie to; dziecko ekonomów zdrowe. Oni mają sługę, poco im Ułana? Wszyscy dworacy widzą, jak się pan odmienił. Jakób dworak coś już przewąchał i śmieje się tylko, kiedy Ulanę zobaczy. Nawet na folwarku gadają, i ja sam słyszałem ekonomowę, jak mówiła cyrulikowi, że pan daleko teraz weselszy, a bodaj aby mu tylko nie wpadła w oko któraś kobieta ze wsi, bo gdzieś nocami chodzi, czego dawniej nie było.

Stary Okseń, który, bledniejąc, słuchał opowiadania, szarpał na sobie świętę i oczyma okropnie wywracał, uderzył pięścią o stół, łajając:

— Bodajby przepadła i z wami razem, Lewko, coście jęj dopilnować albo wybić nie mogli, żeby poleżała z pół roku. Czy to nie mogliście rady dać? Czy to niema kijów w płocie, albo różeg w lesie? Czy to wy nie ojciec? Lewko, albo wy, Pawluku, czy to nie rodzony brat? Toście patrzyli, a nic nie gadali i dawaliście jęj broić? A jacy wy teraz mądrzy, mnie to na głowę kłaść, jakbyście wy beze mnie nic nie mogli. Albo i wy także, ojczcie; albo to niema sposobu na takie rzeczy, albo to pierwszyczna z złą kobietą rady sobie dać?

— Nie krzyczcie-no, nie krzyczcie — wyrzekł ponuro ojciec rodzony Oksenia. — Stary ja i siwy i wiem, co robić, a nie miałbym chyba rozumu, żebym ją bił i kaleczył, kiedy ja jęj nie widział i nie złapał. Kobieta wyłże się gładko, a nam trzeba wierzyć, bo i lepiej. Pan, kiedy zły, straszny, gorzjęj wilka, *jak ów powiadał* (przysłowie Litwy

i Poleszuków). A i wy nie bądźcie głupi, synku, choć to i ty nie młokos; ale widział ja więcej na świecie od was i inszych rzeczy; pamiętam, jak to bywało. A chcesz prawdy? Gdyby to i tak było, tobie, synku, milczéć i cierpieć, bo będzie biéda.

— Będzie biéda! mnie! — zawołał Oksień coraz tężej pijany — albo to ja się boję? A co on mnie zrobi? Wybije, niechaj siecze choć w śmierć. W tydzień się skóra zagoi. W rekruty nie odda, bo nie przyjmą; zabić, taki nie zabije. Co on mnie zrobi?

— Oj! oj! jakiś bo ty śmiały! — odpowiedział rodzony ojciec — tak jak żyd do psa na powrozie. A jakby wam przyszło pocierpieć, tobyście powiedzieli, co ja: trzeba znosić i milczéć.

Lewko i Pawluk, dobrze podpiłi, przerwali mu:

— Oj! ty już, bat'ku, krzywo gadasz! Co to ty chcesz, żeby my hodowali cudze, kukułczyne dzieci? Będziemy cierpieli wstyd w domu? Czy to na to rady niéma? Co to, że on pan! A i ja człowiek i ręce mam takie, jak on. Albo to niéma ziela w lesie i ognia w piecu?

— Oj! to to wy źle gadacie — rzekł sobie znowu ojciec. — Kryj Boże, kto usłyszy, pogubicie wy nas. Choćby nas pan ze skóry darł, to na to on pan, a ty za jedno takie słowo pójdiesz, gdzie ciebie więcej twoi nie zobaczą. Milcz-bo, milcz.

Oksień zerwał się od stołu i chwycił do kija.

— Chodźmy do chaty! — rzekł. — Już nie wytrzymam, bo mi ręce świerzbią tak ją obłatać, żeby rok leżała. Ja jój tego nie daruję!

A Pawluk ozwał się:

— Jutro, żeby się pan nie dowiedział, powiemy, że z drabiny spadła, léżąc na dach.

A Lewko mrucał:

— Lepiej ja ją sam oćwiczę, bo ja ojciec, a mnie pan zato nic nie robi. Wam, jeśli, Oksieniu, skóra na grzbiecie nie świerzbi, nie tykajcie jój sam, bo czort baby nie upilnuje; pan się dowie i będzie źle.

Ale Oksień nie słucał i szedł ku drzwiom, a drudzy za nim; tylko stary ojciec jeszcze go ciągnął za rękaw.

— Postój, Oksień, postój, pogadajmy-no jeszcze; nie śpiesz się; kij nie uciecez i żonka doczeka się swego.

— Siadaj-no jeszcze, ot tu, siadaj-bo. Panie arędarzu, dajcie jeszcze kwartę na mnie.

Oksień na wspomnienie kwarty obrócił się i siadł, a reszta także ode drzwi odeszła. Tymczasem z alkierza z zakasanemi po łokieć rękawami wyszła żydówka, ocierając czoło fartuchem, a za nią krzyczący w jarmulce ze złoconemi galonami wyleciał bachur.

— Czego wy chcecie?

— Jeszcze kwartę — odpowiedział stary.

— Nu, a macie pieniądze?

— Wy wiecie — odpowiedział stary — że ja płacę dobrze; a nie zapłacę, to jest miarka żyta jeszcze u Filipa, co mi ją winien za robotę, to oddam.

— Nu, nu!

I żydówka poszła napełnić kwartę, a stary szeptał Okseniowi:

— Nie chwytaj się, synku, postój; trzeba czasem starego posłuchać. Daj ty pokój kijowi i młecz. Lepiej złapać Ulanę na czém inném i za co innego niby ukarać.

A Lewko dodał:

— Taże to moja rodzona córka, a ja jęj nie żałuję; co wy jęj będziecie żalowali. Czy ona warta tego, kiedy sama siebie nie żałuje?

— Ja bo jęj nie żałuję — rzekł stary — ale syna rodzonego. Co on jęj da, to jemu sto razy oddadzą; nie czepiaj się złego psa i nie drażnij pana, kiedy chcesz być zdrów, *jak ten powiadał*. Ty jemu raz, a on tobie sto; ty jemu dwa, a on tobie tysiąc. Będziemy teraz pilnowali Ulany: zje czorta, kiedy nas oszuka.

Tu arędarka podała wódkę i zaczęła się ceremonia częstowania. Nalano kieliszek i spełnił go częstujący z życzeniem:

— Dobrego zdrowia wam.

— I wam, ojcze. Do was.

— Do was.

I kłaniali się sobie i pili małemi haustami, a Lewko mruzczał:

— Chcecie, żebym ja wam powiedział? może wy nie pamiętacie. Toć to i z moją było, póki była młoda. Cały dwór za nią biegał i pokoju nie było, aż ja jednemu furmanowi grzbiet wyłatał, a żonę tak obił, co się potem cienia swojego bała, a tak była poczciwa, że na nikogo nie spojrziała nawet.

— Oj! bo — rzekł stary — co innego z furmanem, a co innego z panem. Co wrona, to nie jastrząb. Słuchajcie mnie; widział ja wiele świata. Ot, niedaleko i stąd...

Przerwał mu Pawluk:

— Oj! bo wy, ojcze, pozwolilibyście na wszystko; a jakby mąż żony nie ukarał, toby one nam włosy z głowy pozdzierały. Zaco-to my cudze dzieci mamy karmić? A co mu pan zrobi, że on swoją żonkę obje?

— No, no, słuchaj-no tylko, słuchaj! Ot, niedaleko stąd, mila, koło Ołyki. Znacie karcznię na trakcie pode wsią Silnem, gdzie to pop się zabił, co mu figurę postawili nad drogą?

— Aha! aha! na trakcie. Byli my tam, jak jechali z żytem.

— Nu, to w tej wsi, dawnego-to czasu, jeszcze za ojca mego, był pan, bo to książecka wieś Radziwiłłowska, ale ją tam puścili komus... a dość, że był pan, i pokochał się on z żoną chłopą, a chłop widział to; i co ma zrobić? Wybił żonę. Nazajutrz jego w dyby i do czabanki wsadzili na chleb, na wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedziele. Poczeli prosić pana ludzie; wypuścili go. On, co tylko jemu żonka na oczy naszła, znowu do niej. Pan jego znowu na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Nu, nie wiem, jak tam jego puścili, a puścili potem. W dni dwa, wieczora, aż tu pali się dwór, a wiatr był na gumna i tok; pali się stodoła, ta i obora. Oj! Pan w płacz i ręce łamie; a nazajutrz jego w dyby. Najechało tam dużo, posadzili chłopą a pytali, a macali, a prosili, sprowadzili popa, a męczyli go, aż się po dobrej woli sam przyznał. Poszedł chłop w kajdany, a żona do dworu. Nu, jak tobie zdaje się, Okseniu, nie lepiej było cierpieć, a milcząć? Nu, a co robić, kiedy taka nasza dola? Albo to ty pierwszy, albo co? albo to tobie jednemu? *jak ten powiadał.*

— Kiedyż bo to głupi chłop. A czemu on, podpaliwszy, nie uciekł?

— Oj! oj! a dokąd ucieczesz teraz? Jutro ciebie złapią — odpowiedział stary. — Co to tobie się zdaje? Teraz nie tak, jak dawniej: ucieczesz za sto mil, to cię złapią i oddadzą. Bięda! A cóż? trzeba milcząć i cierpieć.

— A wy co mówicie, bracie, i wy, Lewko, jak wam się zdaje, stary?

— Taki ty wybij żonę, to nic tobie nie będzie, a dobrze wybij, żeby aż poleżała na piecu ze dwie niedziele. Co tobie pan zrobi? Chodźmy, chodźmy.

I ruszyli się do wyjścia, kiedy drzwi skrzypnęły, otwarły się i pokazała się w nich Ulana.

Oslupieli. Oksień wstał z ławy, trzęsąc się z gniewu.

— Nie bijcie w karczmie — rzekł Lewko — bo zaraz do dworu doniosą.

— Wieczera gotowa; chodźcie do domu — odezwała się Ulana drżącym głosem.

— O! jak to ty mnie czekała! — rzekł jej mąż, wymykając się za nią. — A kto tobie dopomagał mnie czekać? A nie tęskniłaś za mną?

— Jakby nie tęsknić?

Oksień zżymał się ze złości, aż wreszcie oddaliwszy się już od karczmy i widząc, że towarzysze jego zostali za nim daleko, porwał się do niej.

— A dobrze tobie było z panem zabawiać się, he?

— Co? co ty gadasz? zaco mnie bijesz? — zawołała z wrzaskiem Ułana. — Czego ty ode mnie chcesz?

— A poco-to ty do pana chodzisz? a czego-to ty w nocy nie nocujesz! Co-to tobie dworski chleb smaczny i pańskie podarki?

I bił nieszczęśliwą, która głośno krzyczała, wyrwijając się i wołając:

— Ratujcie! ratujcie! On mnie chce zabić!

Nadbiegli Lewko i Pawluk i stary Ułas, porwali Oksenia i odciągnęli.

— Co ty się skręcił, wrzask na ulicy robić i budzić ludzi, żeby wszyscy twój wstyd wiedzieli! Czy to tobie mało tego, że ciebie z chaty posłyszą? Czy to ty chcesz prędzęj, żeby pan posłyszał?

— A chcę — odpowiedział Oksień rozjuszony — i ją zabić i jego.

— Milcz! — wrzasnął Ułas — milcz, na krzyż pański! pogubisz nas wszystkich. Chcesz swojego nieszczęścia?

Ułana tymczasem, widząc, co się dzieje i co ją czeka, wyrwała się im i płacząca, zbita, okrwawiona, wpadła do chaty siostrzynęj z płaczem.

W chacie Maryi była jak na biędę wieczornica: kilka starych bab siedziało u ognia, kilka kobiet, przędąc, śpiewało, a dzieci skakały po izbie. Otworzywszy drzwi i obaczywszy ich, wróciła się Ułana i zawołała tylko na siostrę:

— Maryo, chodź-no tu.

Sama została w sieniach. Porwała się od kądzieli siostra, poznawszy ją po głosie, za nią wybiegły wszystkie ciekawe baby, a za nimi mężczyźni; ale nie posłyszeli, co siostra siostrze szeptała, i próżno pytali jeden drugiego:

— Czego-to ona chce? Czemu nie weszła do izby?

Widząc w tém jakąś tajemnicę, mężczyźni nazad do izby się wrócili pleść postoly i szczepać łuczywo, a jeden się z nich ozwał:

— Czego-to Ułana przybiegła?

— Coś to poradzić się z siostrą.

— Oksień dziś powrócił — rzekł drugi — czy nie pobił jój tylko?

— Aha! — dodał trzeci — i byłoby zaco. Oj! wiem i ja coś, wiem!

— Albo to i my nie wiemy! — powiedzieli inni. — Nie utai się to pańska miłość, jak kot w spiżarni.

— Nie gadajcie, kiedyście nie widzieli.

— Żeby to nie widzieli!

— Albo co?

— Ot, lepiej milczéć i

Tymczasem w sieni Ulana, płacząc, prosiła siostry, żeby ją przed mężem schowała. Spodziewała się ona znaleźć politowanie u niej, ale się omyliła. Siostra Ulany, Marya, była także piękna, a niegdy dworka, daleko jednak inna, choć niemniej piękna. I ona już wiedziała, co się działo, i zazdrościła siostrze, bo męża miała niedołęgę, co patrzył i nie widział nic w chacie, prócz miski na stole; a rada była, żeby się pan ku niej obrócił, bo myślała, że jójby do gospodarstwa dopomógł. Zimno więc przyjęła płacz i uzalenie się siostry.

— Mąż mnie pobił — mówiła Ulana — i jeszcze bić będzie, jak złapie. Upił się w karczmie, przyczepił się.

— Nu, to co? — odpowiedziała siostra. — Albo to ty rąk nie masz, żeby jemu oddać?

— Kiedyż ich kilku.

— A zacóż to oni do ciebie przyczepili się? — spytała Marya, udając, że nic nie wie.

— Ach! czyż ja wiem!

— Nie już to nie wiesz?

— Aha! — dodała jakaś stara, kiwając głową — kiedy my wiemy.

— To pewno zato, że ty raz-wraz do dworu chodziła?

— Alboż ja chodziłam? albo, kiedy każą do ekonomowej, to można nie iść?

— Już to ty zawsze do ekonomowej chodzisz — przerwała stara — a ja ciebie dlatego na folwarku nie widzę... Mało-to ja tam nocy nocowała?

I stare baby zaczęły między sobą gadać, szeptać, a Ulana stała i płakała, tuląc twarz w koniec zmiętego fartucha. Aż we wrotach podwórka posłyszeli głosy Oksenia i Pawluka. Biedna Ulana rzuciła się na drabinę, na strych, a baby obrócili się do drzwi.

— Dobry wieczór — rzekł Oksień, który w tej chwili przestępował próg. — A nie było tu mojej Ulany?

— Była — odpowiedziała szybko jedna stara — ale poszła.

— Kiedy? dawno?

— Ot, tylko co była, czegoś z siostrą pogadała, ta i poszła.

— Pewnie poszła?

— A jużciż pewnie! A cóż? wyszła podwórkiem ono co na ulicę. Krzyż na mnie, że poszła. Albo to czego wy jój szukacie? — do dała stara, stając z ręką założoną pod brodę, do rozmowy.

— At — rzekł Oksień — to nasza domowa sprawa. Niechaj-no pójdę jój poszukam. Ty tu zostań, Pawluk, i pilnuj choćby do białego dnia. Może gdzie przychowała się.

— Nie bój się — odpowiedział Pawluk — już ja nie odejdę.

— To chodźcież z nami do chaty — odezwała się Marya, siostra Ulany.

— Nie, nie; ja tu sobie na przyźbie usiądę i popilnuję.

Kobiety weszły, cicho szeptać, i usiadły do kądzieli porzuconych, ale nie śpiewały; mężczyźni w milczeniu plekli łapcie. Długa chwila upłynęła, nim pierwsza śpiewaczka zaczęła znowu nucić pieśń smutną, do której powoli łączyły się głosy wszystkich, ciche z początku, potem coraz głośniejsze, jakby mimowoli wyrwywające się z uciśnionych piersi:

Bięda nam, bięda, jak kosi ostrzygą.
Szkoda wianka, kosa szkoda.
Z niemi pójdzie wesele, przepadnie swoboda.
Póty tobie życia, póty twojej doli,
Póki z ojcem, matką; a mąż nie pozwoli.

I cała pieśń była tylko przerabianiem téj jednéj myśli.

IX.

Gdy się to dzieje, Tadeusz tymczasem wyjrzał w dziedziniec i, spostrzegłszy berdyczowskie furmanki, których się tak prędko nie spodziewał z powrotem, zagryzł usta i czoło namarszczył.

— Jużeście-to wrócili? — spytał ekonoma.

— A cóż! nie można było wcześniej — odpowiedział pan Linowski, kręcąc zawiesitego wasa.

— No, no, idźcież się rozpakujcie, a potem do mnie.

I drzwi zamknął, bo nie miał dość przytomności, aby się z nim zaraz rozmówić. Upadł na kanapę i mimowolnie głośno spytał siebie:

— Cóż teraz będzie?

Zdało mu się, że coś okropnego spadło na niego. Nigdy jeszcze nie uczuł tak mocno swojego szalonego przywiązania, nigdy żadnego tak silnie nie uczuł nieszczęścia, jak teraz. W oczach mu się mieniło, i powstawał i chodził i myślał. A na podwórzu ściemniało właśnie i chłodny, wiosenny wieczór przez okno zaglądał. Powietrze go w izbie dusiło, oczy mu nabrzmiewały, dreszcz przechodził po plecach i wdrapywał się na czaszkę zimnemi palcami.

Wybiegł do ogrodu; tu ujrzał miejsca swych schadzek wieczornych i wrócił nad jezioro. Tam dymiła się wieś na jaśniejącém jeszcze łuną zachodnią niebie wieczorném.

— Mój rozum! — rzekł do siebie. — Cóż się tak straszne

stało, tak nieprzewidzianego? On nic nie wie; ty będziesz z nią, jak byłeś dawniej, będziesz ciągle.

Ale gdy tak tłumaczył i wmawiał w siebie, czuł wszakże, że coś się stać musiało, bo go okropna niespokojność dręczyła: czuł, że sama przytomność męża czyniła położenie jego nie do zniesienia, czuł, że dzielić się tém, co zwał swoim szczęściem, piekielną było męczarnią; a lepiej sto razy nic nie mieć, niż dzielić się, i — z kimże jeszcze!

On, co swoją Ulanę już był osłonił dziwacznie w tak poetyczne szaty, co ją był oswoił ze swemi marzeniami, co śpiące w jej duszy rozkołysał myśli, jakże cierpiał okropnie, gdy między nich dwoje, w to życie krótkie, ale już swobody pełne, pełne tajemnicy i wdzięku, wpadła czarna ręka gruba Kalibana, odrywająca ich od siebie, rozsuwająca daleko.

Tak myśląc, włókł się brzegiem jeziora nieprzytomny i poglądał to na niebo wieczorne, poczynające się już blademi gwiazdkami ubierać, to na wioskę, przez której czarne, niskie, okopcone chaty widział Ulanę swoją; szedł tak brzegiem jeziora, nie wiedząc, co czyni; czasem się tylko konwulsyjnie wstrząsnął, gdy nagły szelest dumanie mu przerwał. Były-to lecące dzikie kaczki nad głową, to przez trzciny sunący się wąż wodny, to ptaszyna spłoszona z noclegu przez niego, to znów powiew wiatru przelotny, który przelatując ciepły, poruszał suche trzciny i łązy i upadał gdzieś pod lasem.

Tadeusz nic nie widział, nie doznawał; jedna myśl go zajmowała — jedno tylko własne położenie. Oksień powrócił, jej już widzieć nie można codziennie; rozkoszne noce, w których przy blasku księżyca patrzył w jej oczy, tak wyrazu pełne, tak wiele mówiące milczeniem, i te noce już się skończyły, przerwały.

Tego nie umiał przypuścić Tadeusz, nie potrafił wierzyć temu.

— Choćbym miał nie wiem co czynić, ja ją mieć muszę, ja bez niej żyć nie będę! Ten chłop... ja się go pozbyć muszę. Ona warta. A onby jej śmiał teraz dotknąć po mnie! On dziś-by ją ścisnął, ja jutro! Jabym się musiał z nim dzielić! Nigdy! nigdy! Ja go... ja się go pozbędę... dziś, jutro...

I obłąkany, gadając tak do siebie, szedł brzegiem jeziora aż pod karczmę samą. W karczmie słychać było głosy. Mimowolnie nastawił ucha i sparty o płot, dumając, spotkał kilka razy dolatujące jego uszu własne nazwisko, wyrzeczone przez chłopów. Zbliżył się do okna.

Właśnie-to była chwila, w której chlōpi rozprawiali o ukaraniu Ulany; Tadeusz wysłuchał wszystkiego, ale od pierwszych słów krew mu się rzuciła do głowy, włosy najeżyły, ręką uderzył po czołe i o mało nie padł.

— On wie! cni wiedzą! — zawołał w duchu — wszyscy, cała wieś. Nieszczęśliwa! Co tu począć?

W miarę jak słuchał rozmowy i pogroźek, gniew jego wzrastał niesłychanie; już i miłość i tęsknotę zastąpiła w sercu niepohamowana żądza zemsty, odzywająca się z głębi serca ludzkiego, ilekroć ją namiętności za sobą wyciągną. Gdyby był mógł, rzuciłby się był na nich, ale jakby niewidzialna władza przykuła go do miejsca; ruszyć się nie potrafił, i piersi tylko, poruszane ciężkim oddechem, na który brak mu już było powietrza, wznosiły się często, a ręka, drżąc, ścisnęła mocno kij i potniała zimna.

Co przez jego głowę przeszło, co się w niej działo w czasie tej rozmowy, której podsłuchał, niepodobna opowiedzieć. Tysiące się po niej przelało zamysłów zemsty, sposobów uwolnienia się od tych ludzi. I jakkolwiek Tadeusz dotąd cnotliwym prawie nazwać się mógł jeszcze i obłąkanym tylko, w tej chwili szafu połowa jego myśli krwią nabiegła i okropnymi zaczerniła się zbrodniami. Do kogoż czasem nie przemówi szatan, tym sposobem próbując go skusić do złego?

Tadeusz pasował się z miłością, gniewem, zemsty żądzą, rozpaczą, żalem, nie dziw więc, że na wierzch tych fal wypływały okropne myśli, na które sam się wzdrygał, a pozbyć się ich nie mógł.

Okropna była ta półgodzinna męczarnia, pod oknem karczmy, w osłupieniu i gniewie spędzona. Gdy się wreszcie ludzie pierwszy raz ruszać poczęli do wyjścia, Tadeusz skoczył w bliskie zarośla nad jezioro i, nie wiedząc, co czyni, pędzony tą samą niespokojnością, która go tu przygnała, poszedł szybko do dworu, obłąkany, nieprzytomny, nie umiejąc nawet zebrać się na jakąś radę, na stałe postanowienie; nie wiedziéć jak łamiąc się próżno z myślami gorącemi, a próżnemi skutku i zynu.

Już brał za kławkę drzwi, gdy usłyszał głosy w przedpokoju. Stał znowu niespokojny.

Jakób rozmawiał z panem Linowskim ekonomem.

— O! bardzo się odmienił! — mówił Jakób — i to tak prędko, niespodzianie.

— No, ależ teraz nie gorszy?

— O, nie! jeszcze lepszy — odpowiedział Jakób. — Można mu choć kolki ciosać na głowie. Raz-wraz lata, a lata jak postrzelony.

— To polowanie, jak dawniej.

— Na sarneczkę — rzekł Jakób, śmiejąc się, — a wiem nawet, na jaką.

— No?

— Alboż to wy się nie domyślacie, kto tu we wsi najpiękniejszy? Toć-to i wyście ostrzyli zęby, i gdyby nie żona...

— A! a! to o Ulanie mówisz W Pan! No, patrzaj! wypatrzyl sobie pięknie! Ale czyż to pewno?

— Kiedy ja mówię. Proszę pana na tabakę. Dobra?

— Niezła.

— Pińska.

— I to pewno o Ulanie?

— Pewnie, kiedy ja W Panu mówię. Ale co nam do tego; a potem nam nic złego.

— Cały więc świat wie już o tym — rzekł do siebie z gniewem Tadeusz i wpadł nagle do przedpokoju.

Zmieszali się rozmawiający, schowała tabakierka; on na nich le-dwie rzucił okiem.

— W Pan, panie Linowski, jutro mi dasz rachunek. Jakób! światła!

I wyszedł.

— Pan czegoś zły — szepnął Jakób, chowając tabakierkę w kieszeń.

— Nie dziw, mąż powrócił — rzekł ekonom. — Ale ja dam na to radę: zaraz go znowu z lichem wyprawię; humor się poprawi.

Całą noc o jedném tylko myślał Tadeusz, jak się od męża uwolnić, jakim sposobem tę kobietę mieć swoją i na zawsze. Jedne od drugich dziksze i niepodobniejsze do spełnienia pomysły przycho-dziły mu do skołatanéj głowy. Raz chciał się mścić okropnie na chłopach, to znowu myślał ich łagodnością przekupić, zapłatą usta im zamknąć, to jeszcze... porwać ją i uciekać daleko. Ale wszystko-to były myśli latające po głowie i migające tylko, jak jaskółki na niebie.

Kręciły się jednak po mózgu bez ustanku, aż sen gorączkowy zamknął powieki po północy, przedłużając jeszcze te męki, których Tadeusz doznał na jawie. Sen był tylko straszniejszym, dalszym ciągiem marzenia na jawie; ale wyżej od niego, silniej od niego wspinał się, niczém nie krępowany, dziwaczny, splątany, pokazując naraz obok siebie złote obrazki przeszłości i chmurną przyszłość i uczynki spełnione i myśli niespełnione, zaprzeszłe i niebo i piekło i spokój i rozpacz i wczoraj i jutro i wszystko, czém zadrgał najsil-niej mózg w ciągu życia.

Obudził go ranek i świegotanie ptasząt pod oknem: zaledwie uczył się w rzeczywistém życiu i brzask dnia oczy mu uderzył, na-gle przypomniało się wszystko wczorajsze i całe położenie jego wy-jaśniło. Całe jednak inny jest najnamiętniejszy nawet człowiek we-dnie, a w nocy. Jest-to niezaprzeczoną prawda. Wpływ dzien-ne-go światła modyfikuje nawet uczucia i myśli, dorzucając do nich wstyd. Człowiek, sam przed sobą nagość swą chcąc ukryć, szuka

figowego liścia. Tym liściem są myśli, któremi inne, nagie, przykrywa do nocy. Światło uczucia hamuje, myśli krępuje wstydem pierworodnym. Inaczej się rzeczy widzą we dnie i w nocy; oczyma duszy nawet mniej we dnie jest śmiałości, więcej rozumu, namiętności słabną, człowiek stygnie. Śmieszne-to może i upakarzające dla biednego człowieka, który nawet światła dziennego jest niewolnikiem, ale tak jest. Rzadkie zbrodnie popełnione we dnie, po trzeźwemu; rzadki śmiały, zuchwały uczynek przy świetle słońca; — noc zato matka dziwnych przedsięwzięć, olbrzymich zamiarów.

Cale już inaczej i daleko chłodniej widział położenie swoje Tadeusz we dnie. Uczuł się panem, uczuł Ulaną poddanką, swoją siłę — ich słabość. Zaczął rozmawiać.

— Jedno z dwojga — rzekł — albo otwarcie, wbrew wszystkiemu, mężowi ją odebrać, albo obszyć się tajemnicą tak, żeby jej nie docieczone, żeby to, co już wiedzą ludzie, wszystkim się kłamstwem wydało. To jednak niepodobna, więc pierwsze. Pierwsze trudne i niebezpieczne także. Co począć? — myślał.

I głos z głębi mówił mu zcicha:

— Czekać, czekać! Może się co odmienić, może ci co myśl podać...

A rozum nieubłagany dodał raz pierwszy:

— Może ci się naprzykrzy i porzucisz!

W takim stanie umysłu przebudziwszy się Tadeusz, kazał Jakóbowi przygotować wszystko do polowania, mając nadzieję tą z domu wycieczką po dawnemu omamić ludzi, a siebie odurzyć. Ruszył z psami w las, nie myśląc wcale o polowaniu, a mimowolnie, powoli przechodząc znowu, w miarę postępu dnia, do tej gorączkowej i namiętnej burzy, jaka nim miotła wczorajszego wieczora.

X.

Nazajutrz Ulana równo ze świtem wróciła od siostry do chaty. Mąż, ojciec i brat spali. Ona, jakby się już na wszystko odważyła, nie lękała niczego, wzięła się do roboty.

— Nie zabije mnie — powiedziała sobie — a choćby zabił, tém lepiej. Tak się powinna kończyć miłość, której mnie mój sokół nauczył. O! warto umrzeć, skosztowawszy tego życia, bo krótkie, ale wielkie było szczęście!

I lzy jej z oczu pobiegły, gdy przy blasku zgromadzonego łuczywa ujrzała dziecię swoje młodsze, śpiące w kolebce. Spojrzała na nie, założyła ręce i zamysliła się.

— Ja i dzieci teraz mniej kocham. Dawniej dzieci — to był mój

skarbu, a dziś! dziś tylko je widząc, to o nich myślę, jakby one cudze były. Biedne dziatki! już wam i matki nie stało: wy za życia sieroty. Kto was będzie hodował, kto was będzie pieścił, kto was będzie kochał? Nie ja, nie ja! Ja już nie wasza: porwali mnie w cudzy kraj, gdzie słodko żyć, a choćby i umierać, porwali od was! Matka-m wasza, a nie wasza już, nie matka sercem, cudza.

I wstrzęsła się, usłyszawszy w tej chwili mocniejsze sapanie męża, którego światło łuczywa zaczęło rozbudzać. Chwilę to jednak tylko trwało, bo wnet jakoś nieznacznie, z rozpaczyny przyszyła jej odwaga.

— Wróciłam do chaty — powiedziała sobie w duchu — będę mu się broniła. Wszak i Marya swojego bje.

Ale prędko znowu opuściła ręce.

— O! cóż to za życie — pomyślała — bić się i łajać! Czemuż to nie zawsze tak, jak z nim, z sokołem moim, słodko, jak w raju? Kiedy on mówi, to jakby miód z ust płynął, kiedy przy mnie siedzi, zdaje się, że nic już nie braknie, nic więcej nie potrzeba, i jeść i pić się zapomni i chłodu nie czuje i burzy nie zobaczy; śmierćby przyszyła i nie uczuwałabym jej. Wrócisz do chaty, serce się ściska, choć dzieci witają, choć to swoja chata. O! ale nie tu już moje życie! O! piękna miłość pańska, ale czemuż miga ona, jak błyskawica? a po niej tak ciężko żyć!

W tej chwili mąż się przebudził, a Ulana poszła do komina, na którym już gasły zczerniałe łuczywa.

— E! Ulana! — ozwał się Okseń.

— A czego chcesz? — odpowiedziała śmiało kobieta.

— A już ty tu? — rzekł stary — przyszyła taki do chaty. Gdzieś-to ty była, jak my ciebie do północks szukali?

— Uciekłam, boś mnie bił.

— Jeszcze ja i dziś to potrafię.

— Tyś się jeszcze nie wytrzeźwił.

— Będę ja tobie trzeźwy, pokażę ja ci, co umiem.

— To zobaczysz, że ja potrafię toż samo.

— Co ty tam, więdźmo, gadasz?

— Jak ty mnie, tak ja tobie.

Okseń porwał się z kąta i chwycił za kij, stojący przy nim; Ulana cofnęła się i znalazła broń także. To widząc mąż, upamiętał się i rzekł:

— A cóż to ty się myślisz jeszcze bronić? Albo to ty nie wiesz?

— Mogęż wiedzieć, czegoś w drodze oszalał?

— Ty chcesz, żebym ja tobie powiedział, poco do dworu chodzisz?

— A choćbym i chodziła ?

— Jeszcze mi to gadasz ?

— Tak, bo się nie boję ciebie; ty mnie nie tkniesz palcem, kiedy nie chcesz sam zginąć marnie.

Te słowa wymówiła z przekonaniem, z dumą, z gniewem, które zmieszały męża. Postawił kij, padł na ziemię, gdzie spał, i połyślał:

— Ona mnie gotowa zgubić. Lepiej dać pokój, jak mówił stary, a pocicheńku na panu się pomścić. Dachy słomiane... I głośno dodał:

— No, no ! znajdziemy my się na sprawę i zobaczymy, czyja prawda i czyja siła.

Ułana, jakby nic nie słyszała, poszła do komory, krzątała się około gospodarstwa spokojnie, jak codzień. Okseń, zdziwiony jęj śmiałością, milczał, sam nie wiedząc, co począć. Już i dniało i wszyscy w chacie powstali, a on jeszcze leżał w kącie, aż go ojciec stary rozbudził, wołając :

— Okseń! wstawaj! do dzieła! Zakazywał wójt z furmankami do Łucka.

— Ale nie mnie, bom ja wczoraj z drogi.

— I tobie i wszystkim, co konie mają, bo to pod żołnierzy; to nie dworska sprawa, ale skarbowa, cesarska.

— Nie pojedę.

— Pojedziesz, Okseń, pojedziesz; jużem ja wóz naładował i koniom dał obroku.

— To ty sam jedź, ojczce, kiedy już potrzeba. Ja z drogi, niechaj w domu wypocznę.

— Mnie nakazano do ciesielki z siekierą.

— To ja pójdę za ciebie.

— Oj! nie, bo ekonom wyraźnie mnie kazał iść. Ty wiesz, ja taki majster.

Okseń mruzczał i kłął, ale cóż było począć? trzeba było słuchać. Począł się wybierać.

— A na wiele dni chleba wziąć? — spytał ojca.

— Nie wiem — rzekł stary, wzruszając ramionami — mówią, że to i tydzień może zabawi.

— Sto czortów ich!.. — zawołał Okseń, rzucając worek o ziemię. — Tydzień... nie pojedę! A jak ja tu tę wiedzmę znowu samę zostawię?

— A cóż? Tak, jak i wprzód — rzekł powolnie Ułan. — To już taka dola: *skaczy wraże, jak pan każe*. Kiedy się jemu zachciało twojej żonki, ustąp-że się z drogi i milcz, kiedy chcesz spokoju, bo cię tak z roboty w robotę, z posyłki w posyłkę gnać będą, aż gdzie

zdechniesz. Lepiej daj jej pokój, bo to nie ty pierwszy i nie ostatni. Tobie głowa z karku nie spadnie, a zobaczysz, jaki w chacie będzie dostatek.

— Dobrze tobie gadać — odpowiedział Okseń — a jak ja wspomnę na to, to mi się aż krew gotuje.

— Tak-to zawsze z początku, jak ten powiadał — rzekł stary obojętnie. — Chcesz pokoju, to zapomnij o tém. Niechaj ona sobie robi, co chce. Jak się sprzeciwiisz, ja tobie mówię, będzie źle.

W tej chwili dał się słyszeć z ulicy głos wójta, wywołujący do pańszczyzny. Okseń wybiegł przed chatę.

— Dobry dzień, panie wójcie.

— Dobry dzień. Jedźcie do Łucka.

— Ale ja wczoraj powrócił.

— Tak przykazali.

— To niech choć stary w domu zostanie.

— Oj! nie. Okseń stary do ciesielki, Pryska do plewidła, Pawluk do oranki z wołami, a ty z końmi pod żołnierzy.

— Oni nas zamęczą — rzekł Okseń ponuro i wszedł do chaty.

— Albowiem ci ja nie mówił? — mrucał stary. — Ot, milczałbyś, toby lepiej było. A jak ty będziesz strasznym, to tobie dadzą rady; u pana dłuższe palce, niż u ciebie ręce.

— Zobaczym — rzekł Okseń.

— Zobaczysz — mruknął Ułas.

Słońce się już wzniosło ponad czarny pas lasów, kończący zawsze wszelki widok poleski, gdy nabrawszy chleba, ubrawszy się w dwie świty dla zapasu, wzięwszy sakwy, które uwiązał do kołka u wozu, Okseń zapalił fajkę u ognia, mrużąc, i nie żegnając żony, siadł wreszcie na wóz, stojący już u wrót.

— Sto czortów ich m... Niech sobie, co chcą, robią. Zresztą — rzekł do siebie — ja taki kiedyś się zemszczę. Nie ja pierwszy, mówi stary, i nie ja ostatni.

W tej chwili spotkał się w ulicy z Lewkiem i Pawlukiem, którzy z fajkami w gębie i z siekierami na plecach coś pocichu z sobą szepтали.

— Dobry dzień. A gdzie Ulana? — spytał Lewko.

— A w chacie.

— A cóż?

— A nic.

— I ty jej darował?

— Dobrze jeszcze, że ona mnie darowała; wszak się ona do mnie porwała, tak zhardziała. Licho jej teraz da rady. Niechaj sobie robi, co chce. Przyjdzie kolej na mnie. Sto czortów!

Lewko pokiwał głową.

- A ty jedziesz znowu?
 — Cóż robić, kiedy wyganiają.
 — No, to my na nią będziem oko mieli — rzekł Lewko.
 — Ja jój dopilnuję — dodał Pawluk.
 — Sto czortów! — spluwając, zawołał Oksień — niechaj teraz robi, co chce. Dajcie jój pokój!
 — Cóż to, Ułas ciebie ugadał?
 — Nie Ułas, ale ja sam się namyslił. Toć, toć-to nie ja pierwszy, i nie ostatni, a z panem taki nie wojować. Dam ja im rady, kiedy się oni nie spodzieją, i zapłacę za swoje. Teraz lichy z niemi. Darmo nie pilnujcie, bo nie upilnujecie; już na to poszło.
 Tak gadając, kiwał głową, a w głosie jego przebiegała się stłumiona zemsta do czasu i pasowanie się bezsilnego z przemocą.
 — Nu, kiedy wy tak mówicie, to co innego — rzekł Lewko. — Kiedy ty, Oksieniu, tak się namyslił, to co nam do tego. A może tobie i lepiej będzie: pan taki dopomoże, aby ty tylko oczy zamykał; ani się spostrzeżesz, jak ci wszystkiego przybędzie. Tak bo i Ułas powiada. Twoje dobro, twoja wola, niechaj tak.
 — Bywajcie zdrowi! — rzekł Oksień i konie zaciął.

XI.

Gdy mąż wyjechał z domu, uczuła się znowu swobodną Ułana i postrzegła łatwo, że nie trafił prosty zrządził tak nagle z jedną w drugą podróż wyprawę. Ale obłąkana już zupełnie, widząc, że jój tajemnica wszystkim już była wiadomą, czując się szczęśliwą, zapomniała łatwo o wstydzie, o groźbach męża, o przyszłości.

Pierwszy raz ta kobieta, dotąd cudem jakimś wśród zepsutych czysta, owlonięta oddechem nieznannej rozkoszy, myślami jakimiś dziwnymi, a jednak przemawiającemi do niej, obłąkana, — tak silną uczuła w sobie namiętność, że przez nią potrafiła na wszystko patrzeć obojętnie i wszystkiem wzgardzić. Nieznana jój dotąd odwaga, którą raz pierwszy tego rana uczuła, nie opuszczała już jój więcej.

Śpiewała wesoło, krzątając się koło swego gospodarstwa i dzieci, a myślą była całe gdzieindziej. Te dzieci nawet nie obudzały w niej, jak dawniej, macierzyńskiego przywiązania; często płacz ich dochodził uszu, a nie odbijał się już w sercu. Patrzała na nie obojętnie, zimno, całowała je, jak dawniej, ale myślała o innych pocałunkach, o innej miłości. W prostej kobiecie — spyta z was niejeden — skąd tyle uczucia? Albo ono wyłącznie tylko właściwe jest wykształconym? Na prostą duszę, którą Bóg stworzył całą

i silną, niewycieńczoną niczém, niezestarzałą zamłodu, śpiącą w ciele, jak w kolebce, gdy padnie nieznanе uczucie miłości i wkorzeni się w nią, gdy jęj cuda swoje pokaże, dziwny świat swój odsłoni, gdy z życia zwierząt wywiedzie ją gdzieś wyżej — naówczas w tój duszy rodzi się niepohamowana, dzika namiętność, której nic nie przełamie, nie obali. Do uczuć, składających ją, łączy się jeszcze żywa ciekawość dziecienna, której inni ludzie, wytrawieni, oswojeni ze wszystkiém, nie mają. Tak właśnie Ułana przyrosła była do swojego szczęścia terazniejszego, a ileż to jeszcze spodziewała się, wyglądała od przyszłości, ile miała nadziei, co się nawet ziścić nie mogły!

Ona nie była prostą kobietą, bez duszy, bez myśli, piękném bawidelkiem oczu; gdyby ją los postawił na wyższym szczeblu, dziwiliby się jęj może ci, co na nią teraz spojrzeć nie chcieli. Tak nisko stojąc, nad stan swój miała rosłejsze myśli i uczucia, nad stan pojęcie. Nieraz już postrzegł to Tadeusz i to go właśnie namiętniej jeszcze do pięknej przywiązało Ułany. Poetyczną swoją prostotą, jak wszyscy wieśniacy, codzien lepiej pojmowała i rozumiała przemawiającego do nięj językiem namiętności ognistym. Powoli stawała się w oczach jego czémś idealném, a łatwo pojąć, co tak dziwaczny ideał mógł wzbudzać za uczucia w rozmarzonej głowie młodego chłopca, pełnėj wyczytanych z książek przeszłego wieku przygód, niepodobnych do wiary, a tak pięknie wymyślonych. Urok niepojęty padł na niego, przezeń nic już rzeczywistości nie widział, i egzaltował się tylko urzeczywistnieniem tak cudowném jednego ze swych snów — marzeń.

Gniewny i niepewien, co z sobą miał począć, wyszedł na łowy i w tych samych myślach z nich powrócił; znużony tylko bardziej jeszcze, bardziej jeszcze niespokojny. Wcześniej, niż zwykle, kazał zawrócić psy i strzelców do domu, bo choć nie miał nadziei widzenia się z Ułaną, ufał w przypadki i miał jakby przecucie, że ją zobaczy, choć nie pojmował, gdzie i jak; chciał tęż może być przy najmniej bliżej nięj.

Zaledwie zmierzch padać zaczął, otworzył szklane drzwi do ogródka, który po pochyłym wzgórze spuszczał się aż nad jezioro — i zszedł powoli.

Właśnie księżyc zaczerwienił się na niebie i wybijał z chmur. Ryczało bydło we wsi, warczały wozy, jadące drugą stroną jeziora, bocian klekotał na śpichlerzu.

Smutny Tadeusz, spoglądając na wieś, której gwar wieczorny i śmiechy dochodziły go, zszedł aż nad samo jezioro i usiadł na ławce pod topolami, które od spodu okwitły już bez otaczał.

Mimowolnie oczy jego zwróciły się na obraz, rozwijający się przed nim.

Nie był on wielkich wymiarów i wielkich piękności, lecz miał swój wdzięk niepojęty, którego po części położenie, po części wieczorna pora mu nadawała. Ponad nim było niebo, ubrane w tę szatę tak dziwacznie piękną, w którą się tylko stroi na wybrane wieczory. Nad zachodem rubinowe, złożone wyżej, dalej już płowe, potem ciemno-błękitne i już blademi iskrzące gwiazdeczkami, co się zdawały pokazywać i nikać, nieśmiało jeszcze, po niebie pływały chmurki ciemne z jednej strony, purpurowej, coraz ku górze bledniejącej barwy, z drugiej, przed chwilą jaskrawe, a teraz w oczach gasnące. Naprzeciw już czerwony, wyolbrzymiały jak myśl, kiedy się rodzi, wznosił się księżyc ogromny i przerzynał przez szafirowe ciemne chmury. Niebo odcięte było od ziemi czarną przepaską lasów, wycinaną w różnokształtne zęby. Nad łąkami i wodami podnosiła się już lekka, czarowna mgła wieczorów i ranków. Nalewo, na pagórku, wznosiła się stara, zrujnowana kaplica, w której tyle razy matka modliła się za Tadeusza, tyle razy Tadeusz odmawiał z nią wieczorne pacierze, czarna, smutna, posępna, odbijała na kilku potłuczonych szybach okien czerwone blaski zachodu, jak serce odbija wspomnienia; przez dach jej świeciło niebo miejscami, a nad nią śpiewał puszczyk, co w kopule rozdartej założył gniazdo.

Dalej zniżał się pagórek, a wieś za mostkiem się zaczynała, okrążająca półkolem jezioro, z tej strony obrosłe trzcinami, trawami, zieleń i łąką. Ogródki chłopskie z wysoko wysypanemi grzędami schodziły płotami aż prawie w zarośla i kępy. Za niemi dymiły chaty z wysokimi dymnikami, kilku gruszami, wierchołkami żorawi skrzypiących i dachami stodółek. Dalej jeszcze stała czarna, a już w oknach oświetlona karczemka; między nią a cerkwią i księżym dworkiem, opasanym wysokim tynem i ogrodem owocowym, szła samym brzegiem jeziora droga kręta, w tej chwili wieśniakami, z pola powracającymi, zaludniona. Naprawo były łąki i pola, ale te zakrywała mu część ogrodu dworskiego, gęstemi zaroślami na pagórku się wznosząca.

Milczenie było uroczyste: w jego łonie nikły drobne głosy, co się kiedy-niekiedy z drogi lub od wsi zerwały. Milczały nawet żaby błot otaczających; a w jeziorze ich nie było, o czém lud nawet opowiadał podanie, szukając przyczyny.

Ten cichy wieczór działał na Tadeusza, opasał go pamiątkami przeszłości — napędził na pamięć młodość jego, wieczory spędzane w tém miejscu, macierzyńskie pieszczoty, ojcowskie przestrogi, młodzińcze dumania. I westchnął; a drugie westchnienie obok niego słyszeć się dało: Ułana pochwyciła go za rękę, całując ją.

— A! to ty, Ulano!

— A to ja, panie mój i sokole! To ja znowu, ja z tobą?

— I jakżeś tu przyszła?

— Jak? przyleciałam! Czy ja wiem? Wytrzymać dłużej nie mogłam: bez ciebie, jak bez chleba, nie żyć mnie teraz.

I już Tadeusz objął ją gorącym uściskiem, już milczeli i oddech tylko ciężki, zapalone oczy, ściśnięte dłonie świadczyły o uczuciach.

— A — spytał Tadeusz po chwili — gdzieś twój mąż? Wszak wrócił.

— Pojechał znowu — z wyraźną radością odpowiedziała kobieta.

— Dokąd? jak-to?

— Posłali go pod żołnierzy.

— On wie o wszystkim...

— Wie, wie, ale cóż z tego? On wybił mnie nawet wczoraj. Jeszcze mam znaki...

— Śmiał cię uderzyć?

— O! to mnie nie bolało, a dziś jużem ze wszystkim zapomniała. Wszak to dla was bił mnie.

Tadeusz uczuł łyżę na oczach, a gniew w sercu.

— Jakżeś się ośmieliła tu przyjść, kiedy wszyscy na ciebie patrzą?

— Niech patrzają, niech widzą sobie — odpowiedziała kobieta, chwytając go z uniesieniem dziękami i patrząc na niego temi oczyma, któremi tak cudownie do niego przemawiać umiała. — Niech mnie choćby zabiją. Mnie to jedno. Wszak pańska miłość zawsze się tak kończy: śmiercią, smutkiem. Jest za co odpląkać, jest za co umierać. Mój króliku, mój sokole — mówiła dalej — ja do ciebie biegłam, jak dawniej do dzieci; wszyscy widzieli, palcami wytykali, a ja szłam, ja biegłam, ja nic nie uważałam. O! ja ciebie tak kocham!

Gdy to mówiła, pożar był na jej ustach i w oku, pierś się pod grubą switą wznosiła i opadała, jak fala jeziora, ręce zimne drżały, to znów gorące, bezsilne naprzemian, opadały bezwładne, wstrząsała się, jak od uczucia boleści.

— Chodźmy stąd — rzekła po chwili przytłumionym głosem. — Tu nas widzieć mogą. Chodźmy do ogrodniczej chaty.

I poszli w milczeniu, gdzie pod starą gruszą stara chatka pusta stała. Gdy usiedli jedno przy drugim, Tadeusz rzekł do niej:

— Wczoraj będąc przypadkiem pod karcznią, gdy się naradzali z sobą mąż twój, ojciec i teść, słyszałem ich pogroźki na mnie. Nie boję się ich, ale powiedz mi, kto cię przed mężem oskarżył pierwszy?

— Ludzie mają kocie oczy — odpowiedziała kobieta — oni wszystko wiedzą, jak zazula, i wszystko, jak ona, wygadają; nie potrafią ust utrzymać. Stary ojciec i brat Oksenia oznajmili mu zaraz. Wybił mnie, wyszedłszy w ulicę z karczmy; musiałam się aż schować do siostry Maryny, a nad rankiem dopiero wróciłam do chaty. Ale już mnie więcej nie tknął, bom mu się bronić chciała.

— Powiedz mi — przerwał Tadeusz — co poczniesz z sobą? Tak zawsze być nie może.

— O! alboż ja wiem. Niech będzie, co chce; nie moja w tym głowa radzić. Twoja-to, twoja wola. Gdyby pofolgowali trochę mężowi, albo go uwolnili od roboty, możeby milczał. A! ale czyż ja wiem!

— Nie — odpowiedział Tadeusz — zrobiłby się zuchwalszym jeszcze.

— Róbcie, co chcecie — rzekła Ulana. — Ja, póki mnie nie przywiążą, nie zamkną, przyjdę do was; a i tak, tobym się urwała, wybiła, odgryzła. Bez was mnie nie wyżyć, jak rybnie bez wody.

I znowu tuliła mu się do piersi i całowała go po rękę i płakała z radości i ścisła i śmiała się i obejmowała go z niewymownym zapałem. Była prawie szalona. Tadeusza także ogarnął ten ogień, a tak nie postrzegłi się, jak krótka noc wiosenna, coraz chłodniejsza, oblana rosą, odziana mgłami, zbliżała się do końca. Już drugie kury piały i jutrzienka świeciła na niebie, kiedy się wyrwała z uścisków Ulana i brzegiem jeziora pobiegła, a Tadeusz przeziębły, smutny, zamysłony, nazad otwartymi drzwiami wszedł do swego pustego domku. Dzień był już, a on jeszcze nie zasnął; — chodził, myślał o sobie, o niej, o jej namiętnej miłości, o jakiej nawet nie marzył wprzód.

— O! — pomyślał — to chyba sen czarownicy, chyba omamienie! Taka miłość w takiej kobiecie, taka dusza pod świtą, takie oczy u prostej wieśniaczki! A! czemuż ona nie wolna? Niechby cały świat gadał, niechby wyleli wszystkie pomyje swęj wzgardy na moję głowę, ja byłbym z nią szczęśliwy, jabym ją wypieścił na anioła, nauczył ją myśleć, jabym nią świat zadziwił... Ale wówczas — pomyślał znowu — onaby ochłodziła zapewne, onaby mnie zdradziła, jak tamta, onaby już tak kochać nie potrafiła. Nie! lepiej, że jest taką, jaką wyrosła dziko nad brzegiem tego jeziora, pod temi czarnemi bory. Jest szczerą, jest sobą; na tamtym świecie poświęceń i szczerości nie pytaj! Tamte gonią za mężem, za swobodą, za oklaskami; nie nie czują, prócz miłości siebie:—królowe, którym się zdaje, że dla nich cały świat stworzony, z sercami pustemi, a płomienną głową...

Tak myślał Tadeusz, bo ze wspomnieniem Ulany pomieszało się

przypomnienie przygody owęj dawnęj: — zaszło serce jego resztą żółci wzburzonęj, a dotąd nie przetrawionęj jeszcze.

— Trzebaż było — rzekł w końcu — abym trafił tak nieszczęśliwie, na własną poddankę, na niewolną! Niepojęta jakaś ściąg mnie fatalność. Albożem jęj szukał? Ale poco narzekać? Dziękować trafowi raczej... Nie... niech tak będzie, jak ma być... tak jest dobrze. Kto wie, czy nie będzie krwi lub ognia w piątym akcie dramatu! Tém lepiej. Cóż warto życie bez życia, bez wypadków, bez wzruszeń i uczuć?

Te ostatnie słowa malowały najładniej stan duszy biédnego zapaleńca. On pragnął — i chciał się napić, bodaj krwią i łzami!

XII.

Tydzień minął niepostrzeżony, lotem sokoła przeleciał, mignął błyskawicą. O! czas cudotwórca, jakże on szeroki niekiedy, jak znou często ścieśnia się i węży dla biédnego człowieka!

Życie wielkimi hausty, życie chwilą; rzekłbyś, że w szczęściu połyka się czas wielkimi hausty, a w niedoli wypija po kropelce. Dawno o tém ludzie wiedzą, a zawsze im to dziwném się zdaje, zawsze powtarzają zdumieni: Jak ten czas upłynął.

Tadeusz zagrzebał się w swoim dzisiaj i nie myślał o jutrze; ona także, ona bardziej jeszcze, dzika kochanka piła z czarownęj krynicy, jak zwierz w spiekę, którego nie odpędzisz strzałą od wody, nie odstraszyś śmiercią.

W nasyceniu każdęj namiętności jest taka chwila zapamiętałości, zaślepienia, obojętności na wszystko, co nie jest nią i nie ma z nią związku. Nawet to, co dalsze od nięj, choćby się z nią wiązało, odpycha, zapomina rozmyślnie; nie chce swojego nieba czernić chmurami, które zawsze zaprędko przychodzą. Stan duszy tęg kobiety namiętnęj, a raz pierwszy nasycającęj nieznanie nawet dotąd pragnienie, łatwo się pojąć daje; ona nie pojmowała, dlaczegoby nie miała nasycać pragnienia rozkoszy, nie rozumiała zawady, przeszkody, zapory, — ona była prostą, namiętną kobietą, aniołem oczyma, zwierzęciem ciałem i wolą. I tak jęj było cudnie z tą namiętnością ognistą, niepohamowaną, szczerą, bezwstydną prawie! Gdzież dziś miłość taką zobaczyć? Może dla dziwaczności tego przywiązania, tak płomiennego, że ono przechodziło w marzenie i wymysł, Tadeusz trwał także w miłości niepojętęj, szalonej, potwornęj, dla kobiety, co go pojąć nie mogła. Owionęła go i zaraziła łatwo namiętność, zabiło serce, zapaliła się głowa, pękły te myśli, które, jak węzła-

mi ostatniemi, trzymał się świata: wyobrażeń przyzwoitości, godziwości...

On nigdy nie spodziewał się zajść tak daleko; piękne oczy Ulany zachwyciły go swym blaskiem, wyrazem, swą mową niepojętą o czémś tajemniczym, ale nie przewidywał tak gwałtownej namiętności w sobie i nie spodziewał się od niej. Teraz sunęli się już w pędzie z wierzchołka góry i nic ich wstrzymać nie mogło.

Ale on mógłże długo wyżyć taką miłością?

Po tygodniu przyszedł dla niego drugi peryod namiętności. Zaczynał, czując się szczęśliwym, budować swoje jutro, myśleć o przyszłości. Ona zawsze jeszcze trwała w pierwszym zapomnieniu na wszystko, zaślepieniu, obłąkaniu. Dla niego szał się przerzedzał, jak mgła, i przezeń już widać było otaczający świat. Ona nic nie widziała prócz niego. Dla niego Ulana była zawsze piękną, zawsze gorąco pożądaną, choć niepojętą kochanką; ale już rozum wskazywał na sine, wypłakane jęj powieki, nad cudnemi zawieszzone oczami, już twardą i spracowaną odkrywał rękę, już nieraz wyrazy jęj proste, namiętne, śmiesznemi mu czynił.

Dla niej ten peryod był daleki, lub nigdy może przyjść nie mógł, bo namiętność przeszła w życie, zrobiła się normalnym obłąkaniem i szałem; dla niej, dzikięj wieśniaczki, nie było odczarowania, póki trwała miłość; nie było przesyty, póki gorzała namiętność, a w sercu, co nią późno i tak dziwnie zapłonęło, namiętność mogła wygasnąć chyba z życiem.

Prostęj wieśniaczki na taką trzeba było miłość; pojąć-by jęj inna nie potrafiła kobieta, — cóż uczuć dopiero? One zużyte myślami, znające teorią namiętności, grając więćj miłość, niżeli jęj doznając, mogłyby tak kochać? Nigdy! Od młodu palą się w ogniu myśli swoich próżniaczych, próżnych, kochając utwory swęj głowy, szafują dla nich całą siłę serca; potem, gdy przyjdą lata rozkwitnienia, wykwitnie bład, mdły kwiatek, co go ranek zimnem zwarzy, południe spieką wysuszy, a wieczór wiatrem z łodygi otrzęsie. Tak-to miłość pań naszych. Wieśniaczki, proste kobiety, kochają rzadko, bardzo rzadko; ich miłość — to fenomen, to ten kwiat aloesu raz w sto lat, ale kiedy wykwitnie, o! to kwiat nad kwiaty, pełen siły, wdzięku, woni. On zwiędnie, a z nim krzak usycha. Na niez użytém sercu wszczepia się miłość na wieki.

Tydzień minął i pan Tadeusz już rozważał, już myślał, już się oglądał. Ona rosła w namiętności tylko i gwałtowność jęj, jeszcze podsycając nieco słabnącą miłość pana, utrzymywała go kochankiem. Ale już rozum częściej i głośniej przemawiał do niego, już znowu sztydził i za czas milczenia wypłacał się nieprzerwaném gderaniem.

Tymczasem Oksień powrócił, ale to nie zmieniło bynajmniej stosunków. On zdawał się dobrowolnie nic nie widzieć, na nic nie uważać, ponury, chmurny, milczał uparcie, ani okiem rzucił na żonę, ani jęj spytał, gdzie była. Obchodził się z nią, jak z obcą zupełnie, a jednak wszystko widział, wiedział o wszystkiem. Cóż mu się stało? Nieraz i Ulana pytała się siebie, skąd taka nagła zmiana. To wzgardliwe milczenie ubodło ją także, choć zresztą rada mu była. Obojętność jego nie była prawdziwa; ona pokrywała gniew bezsilny, utajony w sercu do czasu, wzmagający się stłumieniem i mający się kiedyś wylać okropniejszym. Tadeusz także się niepokoił, widząc go tak milczącym i na pozór obojętnym; on znał ludzi i wiedział, że w prostym człowieku chęć zemsty niczem się stłumić nie da: przeczuwał zemstę. Ale Oksień, ilekroć spotykał pana, pokornie zdejmował czapkę, zniżał się do kolan i z chytrą uniżonością pozdrowiał go.

Aby rozbroić wieśniaka, pan użył teraz wszelkich łagodności sposobów: — myślał go zwyciężyć nią, przekupić.

Mylił się bardzo; Oksień wszystko przyjmował, nie okazując ani radości, ani wdzięczności najmniejszej, ani podziwienia; niekiedy tylko chytrze się uśmiechnął. Całą zapłatą za wszystko było zupełnie niejako zaparcie się żony.

Była w domu, nie widział jęj prawie, nie była, nie spytał o nią; wychodziła z chaty, nie wstrzymał jęj półsłowem, wracała w nocy, nie dowiadywał się, skąd. Większą część czasu pędził za stołem w karczmie, pijąc sam, częstując drugich; ale trunek nawet nie rozwiązywał mu ust: milczał jak kamień, i niekiedy tylko przekleństwo zwyczajne:

— Sto czortów ich!... — wybiegało, świadcząc, że czuł coś przecie.

Pawluk i Lewko, widząc go umyślnie obojętnym, dali mu pokój i więcej nie wspomnieli o żonie. Ułas mówił, że ma rozum, ale dawał:

— Mić-by już tobie cały rozum i nie rzucać gospodarstwa, nie opuszczać rąk, kiedy przyszedł dobry czas, myśleć o sobie. A to ty tylko w karczmie siedzisz, pijesz i o chacie nie myślisz.

Oksień nic nie odpowiadał, ruszał ramionami, zapalał fajkę i szedł z węzełkiem groszaków do karczmy. Stary sam musiał myśleć o wszystkiem teraz. Synowa szalała, syn pił, i gdyby nie on, chudoba-by wyzdychała i pole zaodłogowało.

Jednego wieczora Oksień powrócił wcześniej do chaty i zaczął się krzątać żywiej, niż zwyczajnie; napełnił chlebem torbę, przyrzadził wóz, zasypał obroku koniom, sam wdziewał świtę i wybierał siekierę.

— A dokąd-to, synku? — spytał Ułas.

— Do lasu, bałku; drew niema. Pojadę na nocleg, a jutro rano z furą powrócę.

— Dobrze, że tobie przecie rozum przyszedł — rzekł Ułas. — Teraz nam gospodarować i pobogacić.

Oksen kiwnął głową i uśmiechnął się szydersko, ale nic już nie odpowiedział. Nasunął czapkę na uszy, wziął batog i siadł na wóz, a siedząc już na nim, z przechodzącymi jeszcze rozmawiał, każdemu powtarzając, że jedzie do lasu. Podjechawszy pod karcznię, zastanowił się znowu i pogadał jeszcze z ludźmi, stojącymi we drzwiach, wypił porcyę, zapalił fajkę, zaciął konie i, jak szalony, popędził drogą w las.

Zmierzchało; w oknach chat zapłonęły ognie, żywy ruch był na ulicy: kobiety rozmawiały, stojąc we wrotach podwórków z założonymi rękoma, mężczyźni siedzieli na przyźbach, dzieci skakały po ulicy. Mołodyce szły z wiadrami po wodę i gwarzyły u studni z jedną ręką wyciągnioną na źoraw, drugą pod brodą.

Stadka czarnych i burych owiec cisnęły się do otwartych chlewów.

Ulany już nie było w domu; pobiegła do dworu; przez otwarte drzwi szklane wcisnęła się do pokoju pana i siedziała z nim razem, patrząc na trzaskający na kominku ogień. Tadeusz czegoś był smutny: spuścił głowę na jej ramię i myślał. Kilka razy kobieta starała się długie przerwać milczenie, ale napróżno; teraz już, patrząc mu tylko w oczy, milczała sama. Ciszę przerywało tylko trzaskanie ognia i wolny szum drzew ogrodowych, nad którymi stado wron na słotę krakało.

Noc się zbliżała, oni siedzieli jeszcze, jak wprzód, a Tadeusz, wdychając niekiedy, to ją objął, to ręce opuszczał, to na jej o czy, to na ogień przygasajacy spoglądał.

Już na wsi pogasły ognie, umilkły śpiewy i kury tylko czujnie piał, a psy naszczekiwały niespokojnie.

Pod gankiem, od otwartych drzwi na ogród, dały się słyszeć kroki ostrożnie przechodzącego człowieka. Tadeusz i Ulana razem je usłyszeli; ona się zerwała, nastawiła ucha; nic widać nie było, ale po trawie stąpanie wolne, złodziejskie ciągle szeleściło. Jakby cień jaki mignął raz przede drzwiami otwartymi. Tadeusz się zerwał, wybiegł, ale nikogo nie zobaczył; kobieta przelekła wcisnęła się, żegnając, w kąt pokoju i na wracającego niespokojnie zwróciła wejrzenie.

On, milcząc, usiadł na swoim miejscu znowu.

— Strach czegoś — szepnęła Ulana.

— Wartownik musiał przejść koło domu... — odpowiedział Tadeusz.

— O! nie — rzekła kobieta — to nie wartownik!

— Pies może...

— Człowiek — powiedziała i przytuliła się do niego.

Chwilę jeszcze, półsłowami prowadzona, trwała rozmowa; zaboronna, jak dziecko, bojaźliwa Ulana zęgnęła się, szepcząc, że może duchy chodziły, bo północ była blisko. Zdziwiła się uśmiechem Tadeusza, co w duchy nie wierzył: jęł się zdało tak niezawodnym wracanie biednych dusz z tamtego świata!

Szepcząc jeszcze, usnęła przy nim. Tadeusz zamknął drzwi ogrodowe, usiadł przy niej i zdrzemał się także. Niespokojny, przerywany sen zmrużył ich powieki na chwilę.

Nagle się zbudzili i porwali. Wielki blask wpadał drzwiami szklanemi do pokoju; chociaż na kominie wygasło, choć dzień daleko był jeszcze, widno było jak we dnie. Ale nie światłem dnia rozjaśnił się pokój: czerwony blask go oświecał.

Tadeusz porwał się z krzykiem:

— Pali się! pali!

I odparł ręce Ulany, zawieszające mu się na szyi; rzucił się ku drzwiom. Drzwi były drągiem od podwórza podparte. Silnym pchnięciem wybił je Tadeusz i wybiegł na ogród.

Obejrzał się: na domu cały dach był w ogniu, za dziedzińcem świeciła druga łuna od toku. Wszyscy spali. Potężnym krzykiem rozległo się podwórze; kilka głów wychyliło się z okien folwarku, kilku ludzi wybiegło. Tadeusz wołał ratunku.

W jednej chwili, co żyło we dworze, zgromadziło się; wysłano na wieś za ludźmi, a dworscy rzucili się dach zapalony rozbijać. Tymczasem tok płonął, bo wszyscy zwrócili się ku dworowi, a ze wsi nikt nie przybywał. Naprózno ekonom przebiegał wioskę, stukał do chat, bił ludzi i pędził; nie doszedłszy do dworu, znikali, rozbiegali się, ukrywali, tak, że nie było komu przynieść wiadra wody i rozrywać zapalonych budowli.

Jedni służy ratowali i kilku tylko wieśniaków; — reszta, powłaziwszy na dachy chat, na płoty, na drzewa, spokojnie, milcząc przypatrywała się pożarowi, który dojeżdżał gumien i toku. Kilka stert razem płonęło wielkim ogniem; stodoła już była runęła, w oborach ryczało zamknięte bydło, beczwały owce; konie w pół opalone, wyrwawszy się ze stajen, biegały i tarzały się w podwórzu. Łuna pożaru świeciła na niebiosach krwawo i odbijała się w jeziorze. Bezsilnych kilka głosów odzywało się tylko, bezsilnych kilka rąk pracowało; reszta patrzyła w milczeniu na to, co nazywała karą bożą, nie śmiejąc ratować i nie chcąc może.

Tadeusz z rozpaczą, z załamaniem rękoma stał niedaleko od domu i patrzył w milczeniu na ogień, niszczący gumna. Dwór bez dachu, z wyciągniętymi okopconymi ku górze kominami, dymiący jeszcze, lecz uratowany, stał, otoczony kupą głowni żarzących i w pół opalonych gontów.

Zdaleka na wzgórkę, pod kaplicą, postać w bieli stała, jak on, z załamaniem rękoma. Poznał Ulaną, która płakała, głośno się zanosząc i nie dbając, że ją ludzie widzieli. Ona pojęła przyczynę pożaru i widziała drzwi podparte: zrozumiała wszystko; przeklinała siebie i jego.

Powolnie pożar gasnąc zaczynał i gęsty dym tylko ponad zgłiszczami się wznosił. Na wschodzie wyjaśniło się pogodne niebo i wyzłoćciło, zwiastując bliskie słońce.

Dla Tadeusza był-to pierwszy może trzeźwy ranek. Szał go ominął w płomieniach, widział swoje położenie, pojmował, że sam podłożył ten ogień.

— Nie czas się cofnąć — rzekł w duchu. — Począłem, dokończę.

Odwrócił się do ekonoma.

— Ogień podłożony widocznie. Idź WPan do chaty Oksenia, zobacz, czy jest w domu; wziąć i związać.

— Niema — odpowiedział pan Linowski. — Wczoraj zwieczora widzieli go wszyscy wyjeżdżającego do lasu na nocleg i po drwa. Dopiero dziś rano ma powrócić.

— Wziąć go, gdy powróci.

To rzekłszy, wszedł Tadeusz do ocalonego domu i rzucił się na kanapę, na której niedawno tak swobodny i spokojny usypiał przy boku Ulany. Znużony, uczuł dreszcz przebiegający po ciele; piekło go wewnątrz, oczy nabrzmiały, w piersiach brakło powietrza: — miał gorączkę.

XIII.

Nazajutrz Tadeusz leżał bez zmysłów w okropnej gorączce, — u drzwi jego pokoju stała we łzach Ulana. Ona zrzuciła już z siebie wstyd, rozważę, myśl na ludzi. Nie opuszczała progu i, jak pies wierny, nie jedząc, nie pijąc, z wyteżonym wzrokiem, zaczerwienionymi oczyma, rozrzuconymi włosy, załamaniem rękoma, stała naprzeciw łoża, zaglądając na nie, ilekroć drzwi otworzono. Wejść nie śmiała, odejść nie mogła. Ludzie ją popychali, odpędzali; usunęła się krokiem tylko i wracała znowu. Kilka razy oczy obłąkanego chorego spotkały łzawy jój wzrok i, przychodząc do przyto-

mności, ją pierwszą zobaczył. Uśmiechnął się, potem rozplakał. Na nią tak było widać boleść okropną, zapomnienie na wszystko, szal rozpaczy! Mógłże ją odepchnąć? Któżby to uczynić potrafił? Też dnia usiadła w głowach jego łoża i więcej od niego nie odeszła.

A Okseń siedział zakuty w dyby; sądowi ciągnęli z niego badanie; milczał z początku na wszystko. Prośby, groźby, nic nie pomagało. Pod węglem domu znaleziono krzesiwo, które do niego należało, wedle zeznania ludzi. Pokazano mu je. Dopiero wówczas dziko się uśmiechnął i powiedział:

— Moje.

— I tyś podpalił?

— A cóż? Ja.

To były pierwsze słowa zeznania i stanowcze. Po ukończeniu śledztwa pozostał ponury, milczący, ale zimny na wszystko. Dwa razy prosił, żeby mu przyprowadzić dzieci, i odepchnął je, gdy przyszły. Na narzekania starego Ułasa nie mówił słowa, na porady tajemne do ucieczki skinieniem ręki tylko odpowiadał i uśmiechał się szydersko. W tydzień znaleziono go na posłaniu zrana nieżywym. Nie było znaku gwałtownej śmierci na nim, ale żadna choroba nie poprzedziła jój. Wezwany lekarz nie potrafił wytłumaczyć nagłego zgonu inaczej, jak silnym przestraczem i zgryzotą. Ale ludzie szepotali, że wieczora zęgnął się ze swemi i nad zwyczaj był mówniejszy; że przed kilku dniami stara Hrypyna jakieś mu ziele przynosiła. Samobójstwo jednak dowiedzioném być nie mogło, choć moralne za nié mówilo przekonanie.

Ułana dowiedziała się o śmierci męża i nie wzruszyła się nią wcale. Dopiero po kilku dniach rozmysłu łzy puściły się z jej oczu i zapragnęła widzieć dzieci. Przyniesiono je, popłakała trochę nad niemi i wróciła do pokoju chorego.

Ona nie pojmowała swego występku: tak głos sumienia zagłuszyła w niej ognista namiętność, ofiarami i cierpieniem wzmagająca się jeszcze. Nawet macierzyńską miłość to nowe życie stłumiło w niej prawie; — ona została za wrotami ze starém, zapomnianém wczoraj. Dziwny szal — szal występny, przykuł jój myśli do łoża chorego; całe jój serce, całą ją oderwał od wszystkiego, co nie było nim. Czas był odezwać się zgryzotom, sumieniu, żalowi, a one milczały jeszcze.

Pięknego letniego wieczora Tadeusz, przychodzący już do zdrowia, wyszedł usiąść na ganku od ogrodu. Błady, wycieńczony, smutny, trawiony zgryzotami, które do niego przystęp w chwili otrzeźwienia znalazły, siedział i spoglądał wzrokiem osłupiałym na błyszczące blaskami zachodu jezioro. U nóg jego leżał wierny pies, siedziała biędna Ułana. Oboje patrzyli mu w oczy — oczy, co gdzie-

indziej, nie na nich, zwrócone były. Oboje niepokoił się, widząc myśli jego daleko od siebie.

Tadeusz milczał i patrzył; przypominał mu ten jeden wieczór tyle wieczorów życia, tyle wypadków, tyle uczuć!

Milczało wszystko dokoła. Nagle odezwał się z wierzchołka dzwonnicy dzwonek cerkiewny, jeden naprzód, powoli, smutnie jęczący, drugi się do niego przyłączył i trzeci najstarszy zaryczał grubym głosem żałoby. Nie była-to godzina nabożeństwa. Tadeusz spojrzął na Ulanę; ona czekała już tego wzroku.

— Czy jutro święto? — spytał.

— O! nie — odpowiedziała.

— A nacóż-to dzwonią?

— Na pogrzeb.

— Czyj?

— Oksenia — wymówiła po cichu.

Tadeusz nie wiedział, że on umarł. Na te słowa porwał się z siedzenia, chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu głosu i upadł na krzesło. Patrzył na Ulanę i bolało go w sercu, że nie spostrzegł w niej żalu, smutku i zgrzyoty. Usta jej były prawie uśmiechnięte, oczy błyszczące namiętnością, wlepione w niego, i tak spokojnym głosem wymówiła to słowo:

— Oksenia!

Pierwszy raz ona go przestraszyła swoją namiętnością, swoim przywiązaniem; pierwszy raz on nie rad był prawie tej niepojętej miłości. I sumienie zawołało na niego głosem okropnym:

— Tyś go zabił!

Wzrokiem potoczył na drugi brzeg jeziora. Dzwony w cerkwi ciągle żałobnie jęczały powoli; zdały się płakać zmarłego, zdały się mówić żyjącym:

— Jutro i po was zadzwonimy.

We wsi dał się słyszeć śpiew księży i płacz niewieści — płacz zanoszony się długo, śpiewny, rozgłosny, płacz słowami, ciągle na jedną powtarzaną nutę. Słowa nie dochodziły uszu, tylko smutny śpiew płaczu, piskliwy, żałosny, mieszając się ze śpiewem księdza, dolatywał do niego. Drugą stroną jeziora ciągnął się pogrzeb Hończara.

Tadeusz ujrzał krzyż czarny, kilka chorągwi i wóz ciągniony parą czarnych wołów, za którym czepiały się płaczące kobiety. Przed nim szedł w czarnej kapie ksiądz, śpiewając modlitwy, za nim garstka ludu ze świecami pogasłymi ciągnęła.

A dzwony w cerkwi ciągle wtórowały płaczowi niewiast, śpiewom księdza i skrzypowi kół śmiertelnego wozu, wlokącego się z białą trumną na mogiłki.

I Ulana patrzyła, a nie zapłakała, tylko wlepiła oczy w Tadeusza, jakby wejrzeniem powiedzieć mu chciała:

— Wszystkiego-m się zapałała dla ciebie.

Tadeuszowi zamgliło się w oczach, zerwał się z krzeselka, chciał biedz do pokoju i upadł na progu.

Bezprzytomnego sładzy zanieśli na łóżko i znowu opanowała go gorączka, straszniejsza jeszcze, niż wprzódy. Słowa lały mu się z ust, malując okropny stan wzburzonej duszy: odpychał nieszczęśliwą we łzach Ulanę, klęczącą u łóżka, zrzucał z siebie nakrycie, chciał biedz, ratować pożar; obwiniał się o zabójstwo, mył ręce od krwi, którą widział wszędzie. To znowu mary jakieś odpychał, zakrywał oczy, drżał i płakał, a potem ze łzami, z pokorą tłómaczył się przed ojcem i matką.

— Ja-m nie winien — mówił — ja-m nie winien, ona nie winna. On się sam zabił, on umarł... on się spalił. Ja-m go nie zabił! Ta krew, to nie jego krew, to moja... skaleczyłem się; boli mnie... w sercu mnie boli... Trzeba uciekać; będą mnie gonili, więzili, podpalą... Trzeba uciekać daleko. I ją wezmę... Nie... nie wezmę... sam pójdę... Patrzajcie! poco on tu przyszedł z żarzącą głownią, z nożem w rękę?... Chce mnie zabić! Ojczel! matko! ratujcie! Ja-m nie winien, ja-m nie winien!

A Ulana klęczała u łóża i płakała: ona dopiero teraz pojęła i swój występek przez jego zgryzoty. Kilka razy zrywała się od łóżka i biegła szalona do jeziora; ale krzyk chorego, dochodzący zdaleka jój uszu, chwycił ją za serce i ciągnął nazad. Nie miała odwagi umrzeć, a przagnęła już śmierci.

Kilka dni okropnych przebyła przy nim. Nareszcie gorączka uspakając się zaczęła, chory osłabł i wpadł z rozdrażnienia niezwyčajnego w bezwładność i nieczułość zupełną. Lekarz obiecywał jednak wyzdrowienie; kilka razy chciał usunąć Ulanę od niego, ale ilekroć spróbował, chory dostawał gorączki i wołał jój po imieniu, szukając niespokojnie, tak, że w końcu znowu płaczącą pode drzwiami do łóża wpuścić musiano.

Nareszcie Tadeusz do sił przychodzić zaczął i postradaną odzyskał przytomność. Wszystko, zdaje się, zatarło się w jego pamięci; nie wspominał już o niczém, a bytność Ulany uważał za zwyczajną i konieczną. Ona mu służyła i nie opuszczała go na chwilę. Biedna niepodobna już była do téj Ulany, którą raz pierwszy spotkał swobodną, wesołą, idącą w las po grzyby. Twarz jój wyschła, oczy przygasty, usta spalone zsiniały i zbladły; bledność chorowita zastąpiła żywy rumieniec.

Tylko w wejrzeniu jeszcze smutném, ale głębokiém, pełném wy-

razu, zachowała się pamiątka dawniej piękności — oczu swych wypłakać nie potrafiła jeszcze.

Tadeusz ani z nią, ani z nikim nic nigdy o przeszłości nie mówił; znać z samego unikania było, że ją pamiętał, ale odpychał rozmyślnie. Dla Ulany był tym samym, co dawniej, ale namiętność przeszła już w nałóg i obowiązek, pokryty tylko szatą namiętności kłamaną. Ona tego nie spostrzegła; pojąć-by tego, postrzegłszy, nie mogła, jak nie pojmowała, ażeby miłość tak gorąca, tak drogo okupiona, mogła się kiedy skończyć, ostygnąć, przerwać. Dla niej zawsze był-to dopiero wstęp do życia; ona skosztowała ledwie rozkoszy, a napiwszy się żołą, pragnęła jej znowu, wyglądała chciwie.

Zimniejsze obejście Tadeusza przypisywała chorobie, osłabieniu, obłąkaniu prawie. Była pewna, że ze zdrowiem powróci miłość, szczęście, któremu już nic na zawadzie, prócz czarnego wspomnienia, nie stawało.

W jej sercu i wspomnienie to już się zacierało, — ona tak kochała!

Inaczej Tadeusz; ten się niemięczył i gryzł w milczeniu, a widok Ulany był teraz dla niego żywym wyrzutem nieustannym. Kochał ją jeszcze, ale miłość tę wyrzucał sobie jak zbrodnię, i nieraz już myśl przebiegła mu przez głowę uwolnić się od niej.

Litość tylko nad sobą i nad nią wstrzymywała go jeszcze. Czuł, że onaby umarła, że bez niej byłby nieszczęśliwy, choć z nią szczęśliwy być nie mógł.

Ulana, nie zrzucając swego wiejskiego stroju, pozostała we dworze, nieustannie przy nim. Dzieci, chata nic ją nie obchodziły i codzień mniej myślała o nich. Tadeusz wstydził się, a odepchnąć jej nie mógł, nie umiał, nie miał odwagi. Dozwolił jej stać się prawie panią w domu samowolną, towarzyszką wszystkich godzin życia, często natrętną, a zawsze przedmiotem szyderstwa dla ludzi. Ją ani szyderstwo, ani wzgarda otaczających nie obchodziły, nie zważała na nie, lub dumą za nie płaciła. Czuła się panią, choć z swego panowania dla siebie tylko korzystała — dla namiętności swojej.

Tak upływał czas i Tadeusz do zdrowia przychodził, ale nie wrócił do dawniej wesołości, swobody. Czarna chmura wisiła nad bladym jego czołem nieustannie; pieśzcoty Ulany już jej odpędzić nie mogły. A ona jeszcze nie pojmowała stygnącej jego miłości, bo sama wrzała nią, nienasycona.

— On chory — myślała — on ozdrowieje i poweseleje. O! my będziemy szczęśliwi!

XIV.

Tadeusz miał krewnych, znajomych i przyjaciół, od których ode-
rwał się, zakopując się na wsi. Nikt u niego, on u nikogo nie by-
wał; dziedziniec porósł chwastami i trawą, a sam gospodarz zapo-
mniał dawnego świata, w którym żył. Z wytwornego, wesołego
młodzieńca stał się smutnym samotnikiem, zwiesznaczał dla Ulany,
zardzewiał.

Z początku nawet nie żał mu było tego życia, które porzucił, bo
się niemi oparzył; w zastępstwie za nie przyjął nową miłość, nowe
życie, teraz już ciężkie, jak kajdany. Wstyd, zgryzota sumienia
czyniły je codzien nieznośniejszym; brakło jednak woli, aby się wy-
rwać z niego. On kochał jeszcze, ale miłość jego nasycona, zaczer-
niona troskami, trwała, podpierana tylko litością, popychana nałogi-
mi.

Już jednak przyszłość zdawała mu się nieraz ciężką i smutną,
już często uciekał od Ulany i błędził brzegami jeziora, sam jeden
z myślami.

Czasem marzył w nocy o dawnym swoim życiu, przyjaciółkach,
niewiernej kochance i wstawał z bijącym sercem z łoża i wzdychał;
ale sam powiadał sobie:

— Cóż tam lepszego, co piękniejszego na tamtym świecie, któ-
ren dla niej opuściłem? Więcej tylko wytworu, więcej kłamstwa.
Którażby z tamtych kobiet tak kochać mnie potrafiła? one, co ko-
chają tylko siebie, sobie i dla siebie?

A jednak codzien częściej myślał o dawnym życiu i coraz głębiej
zapuszczał się w stare wspomnienia; czuł się spodlonym, poniżonym
w oczach własnych, a co najgorzej, srodze występny. Ten wy-
stępek tak mu był przytomny, tak bliski, ślady jego niezatarte jesz-
cze! Dla niego samego żądał się wyrwać ze wsi, od Ulany. Ale,
jak wielu ludziom płomienistych uczuć, brakło mu woli; targał się
w kole, za które wystąpić nie potrafił, wiele siły zużywając na bez-
skuteczne, konwulsyjne szarpanie sobą.

Jednego poranku letniego wstał raniiej, niż zwykle, wyegzalto-
wany marzeniami nocy, co mu rozkołysały serce wspomnieniami da-
wnymi; uciekł od Ulany, która go uśmiechem, wejrzeniem witała,
prosiła o dobre słówko, a choćby tylko o uśmiech i wejrzenie. Ka-
zał gotować psy do łowów, na których dawno już nie był; potrzebo-
wał uciec z domu, być sam jeden i podumać w szumie lasów.

Wyszedł. Kroplistą rosą pokryte jeszcze były trawy, zioła,
krzewy; liście ich połyskiwały, odbijając promienie wschodzącego

słońca, które się unosiło w białawych chmurach. Łąki pokrywała para, unosząca się ku górze; ptaki śpiewały, ludzie wyjeżdżali na pola, płowy łan żytni kołysał się pochylonemi kłosa, a kwitnąca hreczka zaprawiała wonią powietrze czyste, lekkie, którym miło było oddychać.

Tadeusz ciągnął się w las, gdzie na zające psy zapuścić miano. Dawno już nie polował i nie z dawniejszym swoim zapalem, przejęciem wyszedł na łowy; ze spuszczoną głową, założonemi rękoma, nie widząc, dokąd idzie, dał się wieść ludziom i posadzić na przesmyku. Przesmyk ten był na wielkiej drodze. Tadeusz wybrał sobie pień, oparł fuzyą, usiadł i dumał. Psy jeszcze się nie odezwały, las szumiał w górze, cisza była dokoła, tylko gdzieś daleko słychać ciupanie chłopka, rąbiącego sosnę na budowlę.

Wtém zabrzęczały dzwonki, zaturkotał powóz, — ktoś jedzie drogą. Tadeusz podniósł głowę, wlepił oczy i niewiedzieć dlaczego osamotnionemu oddawna uderzyło serce na głos dzwonek i turkot kół. Siedział nad samą prawie drogą. Wkrótce ukazała się lekka bryczka, czterema karemi zaprzężona końmi, w której siedział młody jeszcze mężczyzna. Po korzenistej drodze powoli, podskakując, włókł się powóz. Podróżny wlepił oczy w myśliwego, myśliwiec w podróżnego. Mijając Tadeusza, zwrócił się ku niemu twarzą i zawołał:

— Stój!

Zaczerwieniony, zawstydzony, pomieszany, powstał z puia, na którym siedział, Tadeusz.

— Tadeusz!

— To ty, Auguście?

— Jak się masz... pustelniku, jak się masz! Ledwie cię poznał, tak jesteś zmieniony!

Tadeusz westchnął i nie odpowiedział, ścisnął tylko Augusta za rękę w milczeniu, a ten z ciekawością, z zajęciem patrzył mu w oczy.

— Ty tu niedaleko mieszkasz?

— Bardzo blisko! Jedź do mnie!

— A jakże! najchętniej! Siadaj ze mną! albo czekaj!.. mamże ci przerywać polowanie? Niech konie idą, my posiedzimy na przesmyku, pogawędzimy swobodnie.

— Paweł! — zawołał na furmana — ruszaj do dworu, tu blisko... Jakże się twoja wieś nazywa?

— Jezioro.

— Ruszajże tam do Jeziora, wyprząż konie, zasyp obrok i powiedz, niech robią śniadanie.

Tadeusz podziękował skinieniem, konie ruszyły, oni usiedli i powoli swobodnie rozmawiać zaczęli.

August był towarzyszem szkolnym Tadeusza, kolegą uniwersyteckim, dawnym przyjacielem. Któż nie wie, co to są przyjaźnie młode, nierozzerwane związki, których żadna siła zupełnie rozprządz nie może, bo je utrzymuje czarodziejskie młodości wspomnienie? — W późniejszych latach wiążą się i rozwiązują stosunki, zaciągają się przyjaźnie i porzuca bez żalu; do młodych, dawnych przyjaciół, choćby nie warci najszlachetniejszego tego uczucia, zawsze serce ciągnie.

Dla Tadeusza August był żywem wspomnieniem; on był jednym z najpocziwszych towarzyszy, najlepszych przyjaciół; szlachetnego charakteru, pełen otwartości, rubaszny, śmiały, gwałtem się ciśnął do serca i kazał się kochać.

Wylany dla przyjaciół, służył im i myślał o nich więcej, niż o sobie. Nigdy cudzej nie zażądał pomocy, a zawsze z nią dla każdego był gotów. Od czasu ostatniego swego pobytu w mieście, tak tragicznym wypadkiem dla Tadeusza ukończonego, nie widzieli się z Augustem, którego po powrocie na wieś mieszkał o dwadzieścia kilka mil od niego. Pocziwy August dowiadywał się o Tadeuszu, a stugębna wieść, co tak szybko każdy dziwniejszy roznosi wypadek, przyniosła mu opis miłostek samotnika i wszystkiego, co z nich wynikło. Gdybyż poprostu prawdy się tylko dowiedział! ale ileż to fałszu, przesady przymieszało się do niej w drodze!

Z zajęciem i litością spoglądał August na przyjaciela; zaledwie go mógł poznać, tak się odmienił. Twarz wybladła, powieki zmarszczone obwisły nad oczyma, czoło się zmarszczyło, usta zacięły, smutek królował na zestarzałem i wywiędłym przed czasem obliczu.

— Słuchaj-no — rzekł August — kiedyśmy się spotkali, gadajmyż już z sobą szczerze. Prawda to, co o tobie plotą?

— A cóż plotą? — z bolesnym uśmiechem Tadeusz spytał.

— Żeś się tam zakochał, czy nie wiem, jak nazwać, w jakiejś chłopcze, że cię mąż spalił, że potem...

Tadeusz machnął ręką, prosząc, aby nie kończył.

— Wszystko prawda — odpowiedział żywo. — Zakochałem się i widzisz, do czego mnie to doprowadziło, jak wycieńczyło, wysuszyło. O! bo wiele przecierpiałem! Ale dla takiej miłości, jak jej miłość, warto cierpieć było!

August się rozśmiał.

— No, no, dajże pokój! Przyznam ci się, że nie pojmuje takiej miłości. Jest-to jakiś szal. Chwila — jeszcze, ale tak długo...

Tadeusz się uśmiechnął i ruszył ramionami.

— Nie znasz jój, nie pojmujesz namiętności, przywiązania téj kobiety. Doświadczyłem jój sto razy w czasie mojej słabości: wyszła, nie wstając od nóg moich. Poświęciła mi dzieci, wstyd, wszystko. O! jój serce warte królowej!

August na zapalającego się Tadeusza patrzył z podziwieniem i żalem.

— Do licha! — rzekł w duchu — ze wszystkiém oszalał. Przez miłosierdzie! trzeba na to radzić, bo przepadnie człowiek!

— No, i cóż? — dodał głośno — myślisz tedy pędzić z nią żywot gołębi na wieki wieków?

— Nic nas rozerwać nie może: związały nas łązy, cierpienie, śmierć, ogień, ofiary wspólne!

— Ale bo ty patetyzujesz! — rzekł August — a ja chciałem z tobą pogadać na zimno, mój drogi. O, tak, szczerze, z ręką na sercu, w imię staréj naszéj przyjaźni, nie męczysz-że się ty już tém życiem?

Tadeusz spojrział, spuścił oczy i odwrócił się pomieszany.

— Nie czas się cofać — rzekł ponuro.

— Wybacz, bo zawsze czas przestać głupstwa...

— Auguście, tyś tak ostygł!

— Tadeuszu, tyś oszalał! Cóż myślisz zestarzeć się, zardzewieć, zeschnąć przed czasem u nóg twéj wiejskiéj Omfali? Wartaż ona, abyś jój cały świat, nadzieje, przyszłość poświęcał?

— Ona mi poświęciła wszystko...

— Ale w końcu ty się zabijesz, zamęczysz, ty nie wytrzymasz, ciebie jednostajnością struje to życie bez żadnych rozrywek, bez wypadków, bez środków ożywiających. Póki z nią będziesz, musisz się od całego świata oderwać, bo nasz nielitościwy świat nie przyjmie cię nigdy. Jesteś pod banicyą i infamią.

Tadeusz westchnął.

— Trzeba ciebie ratować... — mówił dalej August.

— Jestem zginiony — odpowiedział Tadeusz. — Daj mi pokój. Cóż komu do tego, kiedym szczęśliwy!

— Szczęśliwy! — zawołał August — ale bo ty się oszukujesz, ty nim nie jesteś. Spójrz na siebie, wnijdź w siebie. Ty się męczysz okropnie w ukutych przez siebie kajdanach.

W téj chwili psy zaśpiewały i myśliwcy porwali się do strzelb. Wkrótce potem kilka strzałów na boku słyszeć się dało, a Tadeusz zniecierpliwiony zarzucił fuzyą na ramię.

— Chodźmy do domu... — rzekł.

— Chodźmy.

Po drodze rozprawiali znowu i Tadeusz opowiedział szczegółowo przyjacielowi dzieje swojego serca. W mowie jego przebijało się tyle smutku, tak znać było, że terażniejszość ciążyła mu kamieniem, iż August, przejęty litością, postanowił w duchu odciągnąć Tadeusza od Ulany, od samotności dla niego zgubnej i szalu, co mu dziwność własnego położenia odkrywał. Często bardzo świeżo ze świata innego, z inném usposobieniem i sposobem widzenia wpadający człowiek, pierwszy otwiera oczy zaślepienemu długim osamotnieniem.

Człowiek z najdziwniejszém położeniem powoli się oswaja, traci miarę i bierze je za konieczne; oko nieprzywykłego do tego widoku uderzającym sposobem widzi jego śmieszność. Tak żyjący w dusznej atmosferze więzienia oswaja się z powietrzem jego; wchodzący doń ze świata czuje tylko ciężar jego i zaduch. Często ciężej potém odychać więźniowi, bo widział drugie piersi, wysilające się na tchnienie; poznaje, że mu tu duszno; chce wyjść i wychyla głowę za żelazne kraty.

Tak właśnie było z Tadeuszem. On się oswoił ze swoim położeniem i nie czuł jego nieprzyzwoitości, ciężaru, sromoty. August dopiero oczy mu otwierać zaczął. Tadeusz uczuł wstyd, niepokój, podwajający się smutek, do którego już był usposobiony.

Ale powróćmy do nich. Oto stają na ganku domu; Ulana oknem niespokojna wygląda. Pierwszy-to gość w Jeziorze za jej czasów; ona nie wie, co począć z sobą. Przywykła wybiegać naprzeciw Tadeusza, nie odstępować go krokiem, służyć mu, teraz wstrzymana wstydem, co się odezwał w sercu, wkleiła twarz w okno i patrzy niespokojna. Chciałaby pobiedz do niego i nie śmie i ciężko jej, niespokojnie i tego gościa przeklina; radaby go się pozbyć, lęka się go, przeczuwając, że obcy nic dla niej dobrego przynieść nie może.

Tadeusz zobaczył ją, odwrócił się, zaczerwienił; August także domyślił się w tej kobiecie, czarnemi, świecącemi, płomienistemi patrzającej oczyma, kochanki przyjaciela, Ulany. Stał na progu i wlepił w nią oczy ciekawe, zdziwione, aż zapłonila się pod niemi Ulana, spuściła głowę i odejść od okna musiała.

— W istocie piękna — rzekł August — ależ tyle po świecie piękniejszych!

Tadeusz, wchodzący w tej chwili we drzwi, wykrzyknika nie posłyszał. Cały dzień bawił August i Ulana pokazać się nie mogła: dwa czy trzy razy podbiegła z dziecinną ciekawością i wieszczą obawą do drzwi i uciekać musiała. Tadeusz na chwilę przyszedł do niej. Ona naiwnie go pytała, niecierpliwiąc się:

— Kiedy on pojedzie?

— Nie wiem — odpowiedział Tadeusz zimno i skłopotany.

A gdy wyszedł, szła za nim oczyma, duszą, żądzą, ciekawością, obawą i siadała smutna płakać. Na sercu jej było czegoś tęskno i ciężko.

Nadszedł wieczór — August nie odjechał; we łzach padła na posłanie w swojej izdebce i przy blasku rozpalonego na kominie ognia, sama jedna pierwszy oddawna wieczór w samotnym spędziła dumanie.

A tam przyjaciele rozmawiali tak wesoło! Ich głosy dochodziły uszu biednej Ulany, ich słowa dolatywały do niej, ale głosy były niepojęte i niezrozumiałe słowa. Lękała się ich, nie pojmując. I nie myliło ją przecucie! August namawiał Tadeusza, aby wyjechał z domu.

— Słuchaj — mówił mu — jeśli twoje przywiązanie oprze się roztargnieniu, rozłączeniu, wrażeń nowym, nie powiem słowa; — wrócisz do domu na dawniejsze życie. Będzie-to dowód, że dla ciebie niema już innej nad tę przyszłości. Ale dlaczegoż lekarstwa nie spróbować, nie zmyć z siebie plamy? Ja jestem w drodze do Warszawy; nie chciałżebyś ty jej także zobaczyć po tylu latach?

Tadeusz w końcu milczał; August naglił, ale tego wieczora jeszcze nic wymódz nie potrafił. Nieproszony, zabawił w Jeziorze dzień drugi i z uporem przyjaciela, przekonanego o zbawiennosci podawanej rady, obstawał przy wyjeździe, namawiał, naglił, zachęcał, prosił.

Tadeusz coraz bardziej milczał, coraz mniej się wymawiał, nareszcie zaczął pokazywać drobnostkowe trudności, które August łatwo usuwał.

— Jedziemy — rzekł, ściskając go, — musisz jechać.

— Ale cóż będzie z Ulaną?

— Niech na ciebie czeka! Zostaw ją tu choćby panią w domu samowładną...

— Ją tu będą prześladowali!

— Znowu ci się marzy! Musisz jechać i mówię ci, że jedziesz ze mną.

— Jakże ja jej to powiem?

— Chcesz, to ja się podejmę...

— A dajże pokój! To być nie może. Ja nie pojedę...

— Dałeś mi słowo, jedziesz! na dwa tygodnie tylko.

Tadeusz wyszedł i wprost pobiegł do izdebki Ulany. Ona siedziała u okna i patrzyła przez nie, podparta na rękę, na błyszczące jezioro. Wzrok-to był, co nie widzi, szklany, nieruchomy, a oczy

łez pełne, co mimowolnie, niepostrzeżone, wylewały się z powiek i płynęły po twarzy.

Gdy wszedł, zadrżała, ale się uśmiechnęła.

— A co? on pojechał? — zawołała.

— Nie — stanowczo odpowiedział Tadeusz — jeszcze nie, ale jedzie i ja z nim.

Oślupiała.

— A ja? — spytała, załamując ręce i podnosząc głowę.

— Ty zostaniesz tutaj. Ja prędko powrócę — bełkotał, zbliżając się do niej, Tadeusz. — Zostawiam cię tu panią w domu; rozkażę, żeby ci wszyscy byli posłuszni.

Ulana zakryła oczy rękoma, spuściła głowę i, płacząc, odezwała się:

— O! jak chcecie! Ja mogę wrócić... wrócić... do chaty!

— Ale ja tego nie chcę. Cóż to ci się stało? — zawołał Tadeusz. — Ja powrócę prędko... za tydzień!

— Za tydzień! i to prędko? — spytała.

Tadeusz strasznie cierpiał: płomienił się i nie wiedział, jak dalej kończyć poczętą rozmowę. Na szczęście wszedł Jakób, i wydawanie rozkazów do drogi, dyspozycyją do domu przerwało niebezpieczną rozmowę. Ulana odwróciła się do okna i nie ruszyła więcej.

Nazajutrz rano konie stały zaprzężone u ganku, a Tadeusz nie mógł się jeszcze wyrwać z uścisków prawie obłąkanój kobiety, która chciała, aby ją wziął z sobą.

— Ja tu oszaleję! — wołała — sama! sama! Mnie tu zabiją! Ja nie wytrzymam!

Napróżno uspakajał ją Tadeusz, obiecując prędki powrót: w ostatnim uścisku, jakby przeczuwała inną przyszłość, uchwyciła go i trzymała tak silnie, że na głos Augusta ręce jej prawie gwałtem rozedrzyć musiał i, splakane całując oczy, wybiegł.

Głośny płacz gonił za nim; Ulana wybiedz jednak nie śmiała — bała się obcego i ludzkich oczu; tylko dopadła okna, wychodzącego w dziedziniec, aby nie stracić z oczu Tadeusza. Serce jej mówiło, że nie wróci takim, jakim odjeżdża.

A on? I on patrzył na nią. W téj chwili droższą mu była, niż kiedy; przy rozstaniu podwaja się choćby gasnące przywiązanie i z nową wzmaga się siłą, na krótko prawda, ale niebezpiecznie. Często to wezbranie uczucia momentalne przeraża człowieka i grozi mu większą, niż ma jej doznać, boleścią. Tadeusz smutny, chmurny usiadł z Augustem, a wzrokiem żegnał biedną Ulaną, a sercem obiecywał sobie powrócić do niej prędko, bardzo prędko, jutro. Nie

wiedział, że uczucie, którego doznawał w tej chwili, rozrzucić miał po drodze, zostawić na brzegu samym podróży, rozsypać po trochu z wpływającymi chwilami, z doznanymi wrażeniami, z nowymi widokami.

A nim przyszedł wieczór, już pół-uśmiech, dawno niewidziany, igrał na ustach Tadeusza. Poczciwy August opowiadaniem żywym rozrywał go, zmuszał do zapomnienia o domu i o sobie: dobierał najweselszych powieści, najdziwniejszych przygód, i gdy pierwszy rozkwitły uśmiech ujrzał na ustach przyjaciela, uczuł się prawie szczęśliwym.

XV.

Ulana została sama ze swoją namiętnością, smutkiem, myślami, sama, okropnie sama. Ona nie miała sposobu oderwania się od nich — musiała płakać. Innego stanu ludzie leczą smutek, boleść, rozpacz, odsuwając się od przyczyn, co je zrodziły, myślą porzucając krąg czarny, tworząc sobie nowe, sztuczne życie w zastępstwie za utracone. Tego uczynić nie mogła Ulana; ona została sama na miejscu, gdzie jej wszystko przypominało Tadeusza, bez zatrudnienia, rozrywki, ciągle patrząc na siebie i na swoją boleść. Tydzień upłynął; siedziała w oknie, spoglądając na drogę naprzorno, siedziała pod topolami nad brzegiem jeziora, wyglądała Tadeusza, podsłuchiwała każdego turkotu; serce jej biło na każdy gwar w dziedzińcu; nieraz w nocy zrywała się i biegła patrzeć, czy nie przyjechał. Jego nie było. Sama, zupełnie sama, rachowała dnie długie, puste, blade, spędzone u kądzieli, w ogrodzie, na smutnych, jednostajnych dumaniach. Nieraz już pożałowała życia dawnego, które opuściła, z którym zerwała nazawsze, bo od wsi zalatywały ją swoboda, wesele, śpiewy, głosy szczęśliwszych od niej ludzi. A ci ludzie patrzyli na nią, jak na straconą; nie ją z niemi nie łączyło, była im obcą; szyderskim uśmiechem, ponurym wejrzeniem witali ją; żaden słówka nie powiedział, ręki nie wyciągnął. Tam, na drugim brzegu jeziora, na płowym łanie śpiewali żeńcy, migając białymi koszulami, i pieśń ich dolatywała uszu Ulany, przypominając dawną swobodę. A ona siedziała ze spuszczonei rękoma, bez pieśni w ustach, bez zajęcia, bez celu, codziennie smutniejsza, bo codziennie naprzorno wyglądała jego powrotu. Jego nie było.

Wieczorami widziała lud gromadzący się przy karczynie i skaczący przy odgłosie skrzypek i bębenka. Ona słuchała wesołego tańca i lży ocierała białym fartuchem.

Minał tydzień drugi — on nie powrócił, nie dał znać o sobie.

Ułana codzien niespokojniejsza, a zawsze sama i sama: nikt jęj nie pocieszy, nikt do niej nie przemówi; słuchają wszyscy, ale nikt o nią nie dba. Czasem rzuci powitanie przechodzącemu, prosi o słowo dobre i zyska tylko wzgardliwe, ponure wejrzenie.

Na drugieję niedzieli wspomniała swoje dzieci i płakała.

— Sieroty — pomyślała — sieroty zawczasie! O! pójśby je zobaczyć, pocałować, popieścić!

I myślała pójść do nich, a bała się, aby Tadeusz w tēj chwili nie nadjechał, bo chciała go spotkać pierwsza, pierwsza przywitać. Prosiła, żeby jęj dzieci przynieśli. Wieczorem Pryśka przyprowadziła je do dworu i zostawiła Ułanie. Dzieci prawie jęj nie poznały, a ona? Jęj serce tak było pełne innego przywiązania, innych uczuć, że się nie wzruszyło na widok dzieci. Załamała ręce, patrzyła.

— Sieroty! — zawołała w duchu. — Cóż ja im? Czy ja matką? O! nie. Jak na cudze patrzę, jak o cudzych myślę. Nie mnie już być im matką! Nie potrafię.

I płakała znowu, że kochać ich już nie mogła, i nad sobą i nad niemi.

Odnieśli nazad dzieci, a wzrokiem, ani sercem tęskném nie poszła za niemi; w jęj uszach ciągle turkotał powóz, co go się spodziewała, w jęj sercu biła myśl powrotu Tadeusza.

A on? on nie powracał.

Każda boleść po ukochanym, po ukochanej ciężka człowiekowi, ale kiedy ją znosić przyjdzie samemu, bez pomocy ludzi, świata, kiedy się ona wyciągnie bez miary, długa, jak cienie wieczorne, — o! wówczas jakże z nią wyżyć! A rzadko boleść taka zabija; ona tylko przyciska, dręczy, drażni, ale nie odejmuje życia. Ułanie codzien ciężej, codzien więkšy dźwigać smutek, ale jeszcze błyska nadzieja i powtarza:

— On powróci!

Gdy w swojej izdebce siedzi, to całe dnie oczy ma zwrócone na okno od drogi i często godziny, zerwawszy nić kądzieli, z wytężonym wzrokiem i słuchem czeka turkotu spodziewanego powozu. Wieczorami chodzi ponad brzegiem jeziora, siada, gdzie z nim siedziała, myśli o nim i pogląda na drogę; a nie odejdzie w głąb, aby nie stracić z oczu gościńca, którym ma powracać. A gościńiec... pyli się od wozów chłopskich, od wiejskiej trzody, od wózka przejeżdżającej szlachty i nic więcej. W niedzielę dzwonią dzwony cerkiewne, wołają lud na modlitwę i drogą śpieszą wszyscy w nowych świtach, w białych chustkach i namiotkach modlić się Bogu i pokłonić się Boga-Rodzicy. Ona pójść nie może do cerkwi: wstyd jęj ludzi...

i strach, żeby on nie nadjechał, gdy ona będzie na służbie. Więc siada i twarzą obraca się ku cerkwi, a oczyma wciąż patrzy na drogę.

Na drodze pusto tydzień, pusto dwa tygodnie i cztery i sześć i osiem i dziesięć. Tyle dni, tyle zawodów! A ileż to razy już się zdaje, że jedzie, już poznaje konie, już leci przywitać! Powóz przesuwa się gościńcem i popędził w lasy dalej. To nie on! Za każdym razem spuszcza głowę smutna, łzy popłyną z czarnych oczu i znowu czeka i znowu napróżno.

Przyszła jesień, wesoła pora dla wieśniaka; dla niej smutniej jeszcze, niż w lecie; jęj dostatek nie cieszy, bo niczego nie braknie! Jęj wszystko jedno, wiele zżęli na polu i co Bóg dał z niwy, — dość że jego niema i niema, niema!

Już wszystkie liście z drzew opadły i żółte leżą popod drzewami, w ogrodzie tylko suche sterczą łodygi i pnie czarne, północny wiatr napędza chmury i chłodno siedzieć nad jeziorem. Ona tam zawsze jeszcze, bo stamtąd widać jęj drogę. Pusta droga.

Jednego poranka wszedł pan Linowski do izdebki.

— Dzień dobry — rzekł poufale.

Ulana porwała się z bijącym sercem.

— Miałem wiadomość od pana.

— Prędko wróci? — zawołała, poskakując ku niemu — prędko wróci?

Linowski się uśmiechnął.

— Otóż to, pisze, że powróci prędko... ale z gośćmi powróci.

— Z gośćmi! — chmurząc brwi, przerwała i powtórzyła: — A byleby już powrócił!

— Z krewnemi! — uśmiechając się znowu, dorzucił pan Linowski. — I w domu im będzie ciasno; pisał pan, żebyście się wynieśli do pańskiego dworku nad jeziro.

Ulana wielkimi oczyma zmierzyła mówiącego; stała, milczała.

— Dobrze — odpowiedziała — zaraz idę.

I zaczęła zbierać, płacząc, swoje rzeczy, aż się Linowskiemu żal zrobiło.

— Nie śpieszcie się — rzekł powoli.

— Byleby pan powrócił prędej — szepnęła cicho i już szła, a idąc, myślała:

— Nie darmo był niepokój! On już wypędził mnie z domu! Ludzie go ogadali! Ludzie nas chcą rozerwać! Ale on wróci i wszystko z nim!

A ciesząc się, była niespokojna jednakże i płakała. Przyszła do pustego dworku i pobiegła do okna zobaczyć naprzód, czy widać

z niego drogę. Ach! i drogi nie widać! Siadła na ławie zapyłonej nieruchoma, podparła się na rękę i przesiedziała godzinę, dwie, do wieczora. We dworku tak strasznie było pusto! Nikt w nim nie mieszkał oddawna, prócz szesurów i myszy: komin rozwalony, piec pęknięty, stół złamany, ława pod ścianą cały sprzęt składały. I nikogo przy niej, nikogo blisko nawet!

Wieczór się zbliżał, chłód dojmował; zlitowali się przecie dworscy i przyszli ogień rozpalic, mały, zimny, jak litość obojętnych. Ona do niczego się nie ruszyła, a w myśli nieustannie powtarzała:

— Wypędził!

Całą noc przesiedziała na ławie; ogień wygasł — nie dołożyła drewek, dzień zaświtał — nie wstała; straciła resztę czucia i przytomności, ostatek nadziei.

I jak fale przychodzą, to odstępują od brzegu, tak do serca przychodziła, to odstępowała nadzieja, rozbijając się o nie.

Tydzień w pustym dworku minął, a jego niema jeszcze, nie powraca. Już dwa razy biały śnieg upadł i stopniał na przymarzłej ziemi, dwa razy szklanemi lodu kawałkami okrywały się brzegi jeziora, a jego nie było.

Ulana codziennie jeszcze siadała na ławce pod topolami, patrzyła, patrzyła, płakała i codziennie mniej się spodziewała, codziennie lękała bardziej.

Już powrót jego nieraz był jej straszny: a nuż powróci innym, powróci i nie spojrzy, odepchnie... Wszak wypędził z domu!

— Niech lepiej nigdy nie wraca — mówiła sobie. — Wolę go tak czekać do śmierci, niż doczekać się, czegobym nie przeżyła.

XVI.

Chmurnym porankiem jesieni toczył się powóz ciężki i ładowny brzegiem jeziora, gościńcem zdaleka; powoli szły zmęczone konie po twardej grudzie. Ulana siedziała, patrzyła i poznała konie i wyciągnęła ręce, a na krzyk, co się chciał wyrwać z jej piersi, głos zabrakło.

W tej chwili odsunęły się franki powozu i ukazała się głowa mężczyzny. Zdaleka, zdaleka, a ona go poznała, przeczuła go. To on był!

A za nim zawieszona na jego ramieniu wychyliła się druga głowa — głowa młodej, pięknej kobiety. Opadły ręce wzniesione, słupem stanęły oczy, zabiło silniej jeszcze serce. Ulana już nie pa-

trzymała na drogę, ale biegła ku dworkowi, biegła, otworzyła drzwi, zasłoniła oczy i padła na ziemię.

A co się działo w jej duszy? To, co w dzień ostateczny dzieć się będzie ze światem naszym, a czego słowa nie opiszą.

Tymczasem toczył się powóz przed dom i z chlebem, z solą witali słuźy panią, a pan Tadeusz wysiadał posepny, chmurny, niespokojny, podając jej rękę. Wzrok jego biegł wokoło; bał się spotkać wzroku Ulany; zastanowił się na oknie jej izdebki. Ono było zaparte, milczące, ciemne. Odetchnął; weszli.

Za pierwszym powozem wtoczył się drugi i trzeci, zawrzało gośćmi, zaszumiało, poweselało, rozruszało się wszystko. Z kominów puściły się dymy, gwar w dziedzińcu, gwar w domu, ruch wszędzie.

I pan Tadeusz, gdy pierwsza chwila strachu minęła, rozweselił się, rozchmurzył, gospodarował, ożywił, żonę przyjmując.

Jaka bo młoda, ładna Tadeuszowa żona! I czarne ma oczy, jak Ulana, ale nie wyplakane, błyszczące, jasne, a nad niemi toczą się brwi półkręgiem, a pod niemi śmieje się nosek zadarty i drobne, różowe usteczka się śmieją, a przy nich dwa dołki różowe, dwa gniazdeczka śmiechu.

I wesoło, wesoło, bo ciągle się trzpiecze, biega, gada, zagłada, to poklaskuje w dłonie, to potrząsa główką, to przymila się do męża. Wyrzała wszystkimi oknami, przebiegła każdymi drzwiami, okręciła się w każdym pokoju, zwiedziła każdy kątek i długo, długo patrzyła na jezioro i za jezioro na gościniec, a potem westchnęła.

Po kim? Dlaczego? Może za matką, za rodziną, za krajem swoim? — może. Nikt nie wie, czego westchnęła. A po westchnieniu zaraz uśmiech wbiegł na usta, swawolił w oczach, igrał w słowach. I pobiegła od okienka.

Tadeusz przyszedł do niej, wziął ją wpół, oprowadził po domu, pokazywał, oddawał klucze i pieścił miękkiemi słowy. Ona się śmiała wesoło, a czasem ukradkiem westchnęła; ale on tego nie słyszał, nie widział.

Tak cały pierwszy dzień upłynął i wieczór jesienny smutnym wiatrem z chłodnym deszczem, z czarnymi chmurami nasunął się na niebo.

We dworze było jasno, wesoło, gwarno; w domku Ulany pusto, ciemno i cicho i smutno.

U wygasłego oddawna, od wczoraj ognia ona siedziała, patrzyła i nie widziała, myślała, a myśli jej biegały bez ładu, to czarne, to błyszczące, to powiklane, to krwawe. Łez w jej oczach nie było; wyschło źródło, z którego płynęły, zamarzło razem z jeziorem.

Ona mówiła głośno sama do siebie:

— Powrócił, ożenił się, wypędził. Naco mnie żyć! Nie mam dzieci i serca dla dzieci, nie mam nikogo. Wszyscy swoi opuścili, on porzucił. Jemu-m nie potrzebna i nikomu. A wytrzymać życia nie potrafię, o! nie. Umrzec i skończyć wszystko! Choć po śmierci pożałuje, zapłacze może i powie, zem go mocno kochała... póki życia stało. U nich i pamięć słaba i miłość krótka. Krzyż na mnie! Panie Boże odpusć!

I szepeąc już niezrozumiałe słowa, odpasywała czerwony pas, co ścisnął jej świętę, nieprzytomnie biegając po izdebce.

— A gdyby go zobaczyć jeszcze! choć raz jeszcze pogadać po dawnemu, posiedzieć chwilę!.. Nie, nie! Ciężej byłoby umierać, smutniej porzucać!

Z rozpuszczonemi włosy, obłąkanym wzrokiem biegła Ulana z dworku po twardej grudzie pod okna pańskiego domu. Z okien błyskały światła, słychać było gwar wesoly; na dworze wiał wiatr chłodny i czarna ciemność smutnie w niebiosach wisiała. Podbiegła do okna, wlepiła oczy, patrzyła.

Na kominie palił się ogień, dokoła stali, siedzieli, chodzili jacyś nieznajomi panowie, kilku za stołem grało, a wszystkich twarze były tak ożywione, wesole, rumiane, że aż zazdrość brała. Wpółśrodku stał Tadeusz z żoną; ręką wpół ją objął, głowa jej pochyliła się na jego ramię, a oczki figlarnie patrzyły na niego. Smieli się do siebie, szepeąc coś pocichu.

Ulanie zrobiło się przykro, boleśnie, śmiertelnie zakłuło w sercu, a patrzyła jednakże długo, długo, od niego nie mogąc wzroku oderwać.

Ona go żegnała nazawsze!

Nareszcie gwałtem oderwała się od okna, odbiegła od dworu i puściła się ku jezioru, ścisnąjąc w rękę swój pas czerwony. Zasypaną liśćmi suchemi ścieżką pędziła ku brzegowi, gdzie stały topole i znajoma ławka. Jeszcze raz obejrzała się na błyszczący ogniami dwór, świecący ze wzgórza, żegnała wzrokiem, potem chwyciła za topolę i, objąwszy ją rękoma, zapłakała. Czerwony pas drżał jej w ręku. Jeszcze chwilę tak stała z oczyma wlepionemi w okno, przez które ostatni raz go widziała, potem żywo rzuciła się na ławkę i pas zarzuciła na gałąź topoli, próbując, czy ją wytrzyma, powolnie, uważnie gotując sobie śmierć, aby jej nie zawiodła.

Wstąpiła na ławkę i spojrzała jeszcze i jeszcze zapłakała, zakładając węzeł na szyję.

Ostatnia chwila życia oblała się łzami.

— A ja go tak kochałam! ja-m dla niego wszystko porzuciła, poświęciła wszystko, a on! a on!

Smutnie potrząsa głową.

— Taka miłość tak się skończyć musiała!

Biedna Ułana przeżegnała się, zwracając się ku cerkwi, i w powietrzu zakreśliła krzyż, w stronę dzieci się zwracając, potem jeszcze spojrzała na dwór.

Za chwilę wiatr szumiał gałęzmi topoli, a na gałęzi zimne ciało Ułany wisało. Dwie łzy zamarły na powiekach.

K O N I E C.

BUDNIK.

O B R A Z E K.

W ciągu lat dwudziestu kilku *Budnik* dożył wydań kilku i tłumaczenia na język niemiecki. Autor we własnej wiosce miał budników i mógł się ich obyczajom przypatrzeć, a malował, jak zwykle, z natury. Leżało wogóle wówczas na sercu wprowadzenie naszego własnego, rzeczywistego świata do powieści w miejsce konwencyjonalnych obrazków, a nawet salonowych historyj, które barwy ani charakteru nie mają nigdy innej nad — kosmopolityczną. Leżało też na sercu równouprawienie wobec sztuki tych klas społeczeństwa, które przedtém nie miały prawa ani do sceny, ani do romansu, ani do obrazu, chyba przedziane w jakąś szatę, skrojoną przez urzędowego krawca... „Budnik” należy do tego szeregu, w którym się mieści „Ułana”, „Ostap Bondarczuk”, „Jermoła” i inne powieści z życia ludu... Dziś i ten lud wcale inaczej wygląda. Co było powieścią, stało się, powtarzamy, historią prawie. Stare dzieje! Cwierć wieku przysypało ich grób, a na nim zielenią się nowe kwiaty.

Dnia 6 Stycznia 1874 roku.
Drezno.

J. I. Kraszewski.

I.

Chociaż od niejakiego czasu nie zbywa nam na pisarzach, w kraju szukających przedmiotów i natchnienia do swoich obrazów, wiele stron naszego życia, wiele okolic kraju, wiele charakterów właściwych nam pozostały piórem nietknięte, myślą jeszcze niedoścignione. Tak giną i zapadają w przeszłość, bezpowrotnie może, liczne obrazy, któreby dopełniły późno przedsięwziętą, pojętą późno historią wewnętrzną, gdyż wkrótce i dziejopis nawet w zamilkłych podaniach nie znajdzie śladu wielu stron przeradzającego się w nowe oblicze życia.

Dawniej wszystko, czego nie zapisały kroniki, krystalizowało się w podaniu, idealizującym na swój sposób historią; dziś wszystko się powoli zapomina, lub dziwacznie, ubogo, sucho, w kilku słowach, jak pogardliwa jałmużna, rzuca się nadchodzącej przyszłości. Lecz kto wie? może na mogiłach podań wyrosną dopiero poetyczne ich kwiaty.

To rzecz pewna, że rozmaite miejscowości zaledwie dziś, nie mówię zbadywane, ale rozpatrywane być poczynają. Ciekawość powierzchownym poglądem chce chwycić obraz, który się wyciska na przelotnej podróźnego karcie martwo i płasko. Trzeba żyć w kraju, w kątku, który się ma opisać żywo; trzeba, by między nim a nami był związek nie tylko przedmiotu obserwacji z ciekawością postrzegacza, ale związek żywotny, serdeczny; inaczej obraz da tylko powierzchwną bez ducha. Wieleż to ciekawych pozostało okolic, nietkniętych dotąd, pominiomych, z którymi oswojeni ci, którzy w nich życie wiedzą, nie śmieją, nie umieją, nie mogą przerzucić na papier, co widzą, bo nie czują znowu ważności przedmiotu, który jest ich chlebem powszednim.

Dosyć już dawno czytając podróz jakiegoś angielskiego turysty, który znał brzegów Gangiesu, przez Persyą i Kaukaz, potem przerynąjąc się częścią Wołynia, śpieszył do Londynu, opisując po dro-

dze Młynów i Tarczyn bardzo powierzchownie i pociesznie, pomyśleliśmy, że opis własnego, dobrze znajomego kraju, okolicy, mógłby przecież być zajmującym. Wydana próba wzbudziła naśladowców, któremi niech się nam wolno będzie poszczycić. Za Wspomnieniami Wołynia poszły w ślad Wspomnienia Podola, Żmudzi i Wielkiej-polski. Lecz wszystkie, a naprzód próbka nasza, jakże są jeszcze dalekimi od tego, czémby podróz po własnym kraju być mogła i powinna! Ile zajmujących tajemnic pozostało za szrankami tych książek, które szukały w miastach, w pańskich dworach i pałacach, na gruzowiskach i ruinach zamczysk, przedmiotów do obrazów jednostronnych i niepełnych! Ile to razy przyszło nam żałować pośpiechu, myśląc, jakby go nową pracą wynagrodzić!

Dziś wszakże nie przychodzimy do was, miłośnicy czytelnicy, ze wspomnieniem podobnym, ale z powieścią, której treścią prostą będzie obrazek żywota klasy ludu najmniej może znanej, zamieszkującej lasy Polesia wołyńskiego.

Ta odrębna obyczajami, językiem, wiarą i twarzą różniąca się wielce od otaczającego ją plemienia garść przychodniów, oddawna tu osiadłych, popolicie zowie się *Budnikami* lub *Mazurami*. Pierwsze z tych nazwań pospolitsze.

Pochodzenie tych osadników nazwisko Mazurów, mowa ich, dochowany nieco akcent i obyczaje dostatecznie wyświecają; lecz ani powód wędrowki, ani czas, kiedy tu przyszli, nie jest nam wiadomy. Wszyscy prawie od bardzo dawna, od lat dwustu i więcej, zamieszkali w tym kraju, lecz niejedna rodzina zmieniała kilkakrotnie chatę i przenosiła się z miejsca na miejsce. Prócz szlacheckich nazwisk rodowych, żadnych pamiątek pochodzenia swego, żadnych piśmiennych jego nie dochowali dowodów.

Osady te Mazurów nie są wsiami; nigdzie prawie kilku chat razem, niewolniczo skupionych nie znajdziesz: wszystkie rozpierzchłe po lasach i puszczech, najczęściej pojedynczo na wzgórzach, u ruczajów, nieopodal dróg, siedzą. Lecz w jednej okolicy, rozległej puszczy, w jednym obrębie lasów zwykle kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin razem się mieści, choć oddzielonych od siebie znaczną niekiedy przestrzenią. To rozstrzelenie ich nie wpłynęło bynajmniej na pomieszanie się z ludem okolicznym, na zatarcie pochodzenia, zapomnienie mowy, a nawet nie zmusiło ich do zawierania związków z Rusią otaczającą. Mazurowie pozostali po największej części sami sobą i wierni pamięci swego rodu, który wysoko, choć bez żadnej przyczyny, wynoszą.

Odosobnienie ich, osamotnienie, rodzaj życia dzikiego, zajęcia, dziś znacznie zmienione po wyniszczeniu lasów, które oni wprzódy wyrabiali na belki, klepki, smołę, dziegieć i potaże, musiały prze-

ważnie wpłynąć na ich obyczaje i stan moralny. Tak się też stało. Ci ubodzy bud leśnych mieszkańcy są dziś może najbiedniejszą i najsmutniejszą, litość wzbudzającą klasą mieszkańców Polesia.

W początkach osadnicy ci, może dla swój zręczności w pędzeniu smoły, wyrabianiu dziegciu i wygotowywaniu z popiołów korytnego i kotłowego potażu, sprowadzani, zapewniony mieli dobry byt samym pracy dostatkami. Później, gdy przenoszącym się z opustoszałej puszczy jednej do drugiej nie stało zajęcia, gdy z robotników dobrze płatnych przeszli na nędznych leśnych tułaczy, odwykli od roli, do której i ochoty im braknie, ledwie mając zaco kilka kóz i chuda kupić krowę, niezawsze szczęśliwi myśliwcy — zubożeli do ostatka. Długi pobyt na tej ziemi, zacierając pamięć okolic, z których wyszli, zabraniał im powrotu, o którym i nie myślą nawet.

Ogromne tutejsze puszcze, których proste jak trzciny, jak trzciny gładkie sosny masztowe wzrastały wieki, których dęby potężne wańczosów i klepki tak długo dostarczały do Gdańska i Królewca, których gęstych zarośli tyle się w popiół popłatny zamieniło, dzisiaj stały się smutną pustynią, gdzie zwierza spotkać, drzewa dorodnego znaleźć trudno. Łosie, dziki, sarny i ptastwo nawet uciekło z gołych borów na nieliczne gęstwiny, które trzęsawiska otaczające lub dziwny przypadek od chciwego wyrobku do szczętu ochronił.

Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach, z sznurkami powiazaną strzelbą na ramieniu, głucha po nim cisza i pnie tylko po nim zostały, a spróchniałe kłody. Gdzie zaś sosnowe lasy wyrobione aż do bałw i murłatów, tam w ostatku dziedzic i pnie nareszcie na łuczywo, z którego się pędzi smoła, powydobywać kazał. Widok lasu, zniszczonego w ten sposób, jest czémś dziwnie smutnym, jest ruiną — gorzej, bo wielkim zdaje się cmentarzem, na którym śmiesznie byłoby zapłakać, a nie można się oprzeć smutnemu wrażeńiu.

Gdzież bowiem dzisiaj te puszcze nasze, szumiące wśród uroczystej ciszy wieczora?!... Teraz odkryte bagniska i trzęsawy, które porasta szorstki wiszar i bobownik, gołe, smutne, obrosłe po brzegach choiną niską i krzywą, zdają się placem potyczek duchów, które zbiegły z przeredzłych puszczy w gęste, wysokie trawy i osoki. Gdziekolwiek kępina, gnidnikiem i mehem porośla, zdaje się wyzywać nogi myśliwca, by je, zdradliwie osuwając się, w niezgruntowane trzęsawiska pograżyć. Owdzie woda, napozór czysta, dłoń twą nęci, by zaczerpnąć, lecz po jej brzegach poznasz, że rudą przesiałką, a barwa i woń do ust donieść nie pozwolą. U zgnitych palów, które starych łąk granice znaczyły, znajdziesz w próchnie wylęgającego się węża, na każdej kałużce żabę z otwartymi oczyma, wpatrującą się w ciebie, na każdym źdźble trawki uwieszonego komara,

który cię nudzi piosnką i otacza chmurą żądał nieodegnaną. Dziwnego kształtu muchy, koniki i jak pył drobne stworzeńka, które na wiosnę, wciągnięte z tchnieniem, zabijają bydło, unoszą się tu gromadami, to pojedynczo, to w słupach ogromnych wirując w górę, kołysane wiatrem wieczornym.

Lecz powróćmy do lasów. Tu niemniej dziś smutno i ciężko spojrzeć dokoła. Żadna sosna wyniosła, żaden dąb stary zielonej głowy nie podnoszą w górę. Na pobojuwisku zostały tylko młode brzezinki, żółta, wypalona i nieżywa sośnina, puszczone dla trawy pożarem zabita łoża, trzmielina, krzak olszyny z pniem czerwonym wpośrodku, białe trzaski osieczyny i sokoru, lub skrzywiona, wychylona, poopalana zewsząd, na nic nieprzydatna już, a na tym cmentarzu sama jedna dogorywająca choina. Poniżej, łoża liści przegniłych przebijają pokorni lasów mieszkańcy, najdłużej pozostali, bo najmniej potrzebni: krzaczkę bagna, wrzosa, czernicy i kruszyny, wyglądające bojaźliwie i tulące się do pogniętych pniów dawnych swoich opiekunów. Natomiast bujne strzeliły roczne kwiaty, które zleciały się na żyzną ziemię, jak na pastwę, ich jasne główki kołyszą się wesoło, jaśniejąc mnóstwem barw, z tą żalobą lasów dziwnie sprzecznych. Lecz gdzież upadek jednych nie jest powstaniem drugich? Na cmentarzu tej arystokracji roślinnej lud wesoło porasta i śmieje się, rozsypując dokoła korzonki swe i nasionka.

Zgniłe łożyska, obsypane trzaskami doły, z których pnie smolne wyjęto, ogniska stare, popiołami użyźnione, już zarasta zieloność nowa, już pokrywa życie młode. Szybko puściły się smukłe, białe brzezinki na wyższych miejscach, gdziegdzie krzaczysto i karłowato próbuje dąb sił swoich, męcząc się, by się wydobyć do żywota. Sosny podeptane, poobjadane i pokoszlawione, skrzywione i skarłate wielkich rodziców potomki, rachityczne, biędne, wygrzebały się także na piaszkowych wydmach, gdzie bydło mniej chodzi. Ale to już nie owa stara, nie wiekowa puszcza, która tu wprzód rośla!

Przechodząc te zgliszcza i rumowiska, nie spłoszysz zwierza, nie zaszelepie ci ptak nad głową, nie posłyszysz głosu dawnych mieszkańców lasu, którzy daleko gdzieś poleciali ślać nowe gniazda; tylko kaczka wędrowna kwaka, ciągnąc na wyżary, z żeru wracając, tylko czarny bocian leśny zaszumi skrzydły lub czajka swą żalobną wyśpiewa piosenkę. Zarosłe jamy wilcze, rozwalone stare szałaszy myśliwych, pozieleniałe wały potażowych pieców, zgliszcza uciekłych chałup spotykasz tylko po drodze.

Gdziegdzie kopiec przeбитý dębowym kołem lub strojny zasadzonym dębczakiem, przypomni, że i tu są granice; choć licha ziemia naga, nieprędko warta będzie procesu i zwady.

Taki często obraz wyniszczonych lasów Polesia, chociaż nie

wszystkie do tego stopnia zgładzone zostały. Miejscami, choć wyrabano sosny i dęby na belki, pozwolono żyć i podrastać młodzieży, zostawiono gąszcze, które bór robią tajemniczym i ciemnym, stare barcie, które napróżno, ale oddawna pszczoł czekają, i brzozy, co je tylko dziegciarz po pas z białych oberwał fartuszków. A choć kłody leżą i gniją wszędzie, bo nikt ich na opał, ani na budowę, choćby były zdatne, nie ruszy, mając sobie zarówno czy zdechłe podjąć zwierzę, czy zwałonego użyć drzewa; choć szramy żółtych trzasek znaczą gęsto miejsca, gdzie żydzi ostrogscy wyrabiali belki, przecież tam jeszcze i zwierz i budnik biędny żyć może. Miejscami nawet niedostępne ostrowy błotami otoczone zostały dotąd prawie nietknięte siekierą; tam bujają jeszcze łosie i stada sarn przelatują pierzchliwie i dzik wylega się w świeżo wyrytej ziemi na miękkim postaniu.

Lecz nie daj tam Boże budnika! Wkrótce przetrzebią się ostępy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, powypalają się gąszcze i zapusty, bo niema dla lasu nic szkodliwszego nad Mazura; nawet pan zrujnowany, co tysiącami beczek smoly sprzedaje, gdzie ich stu wypędzić trudno, nie tak zniszczy, jak budnik.

Od rana z siekierą w lesie; dla gałęzi gotów zwalić najpiękniejsze drzewo, na drwa będzie rąbał najcenniejsze sztuki, a dla swoich chudych krów, których na wiosnę niema czém pożywić, powali, co napadnie, aby się choć młodemi wypustkami najadły.

II.

W jednej z puszczy poleskich, niezupełnie jeszcze wyciętych, daleko od wsi i dworów, a nawet i dróg, w kilku kierunkach bory przecinających, na wytrzebionej, mokrej łące, którą gnily przepływał ruczajek, brzegi mając sitowiem i łotocią zarosłe, stała chata budnika trochę na wyżynie, przyparta do ostępu, mało co jeszcze przetrzebionego. Budnik wybiera zawsze, gdzieby najwięcej zrobić mógł szkody.

Kilka ledwie dojrzanych drożynek ściągało się tutaj z różnych stron; jedne wydeptali ludzie, drugie bydło i kozy, a szersza nieco głęboko wrytą kołami prostego wozu, zarosła, starą oznaczona była koleją. Dokoła szumiał las, niewiele jeszcze i ze szczeniem nigdzie nie wycięty; stare sosny z barciami na barkach, kilka dębów rozłożystych na pagórku, dołem olchy kępami rosnące i gęsta leszczyna umajały to miejsce. Buda z bierwion sosnowych nieobrobionych, na mech zarzucona w zamki, jak chaty poleskie, trochę od nich wyższa, lecz bardzo podobna, wznosiła się na podniesionym

brzegu łąki w cieniu brzoź i sosen. Dach jęj pokrywały w części nieforemne dranice, przybite kolkami, w części ponad szopką i obórką, które z nią jedną całość stanowiły, narzucone kupy wiszaru i miętęj słomy, przyciśnione kluczynami brzozowemi. W sposobie budowania tęg chaty znać było, że się tu ani o trwałość, ani o wdzięk nie starano wcale; krzątano się tylko pośpiesznie, nie rachując na długie jutro — aby było. Okna nieco większe od zwykłych po chatach, drzwi zbite z tarciezek, wrota do obórki z dranic krzywych nieforemnie sklecone, komin z płotu i gliny, czarny teraz i okopcony, dymnik z wyłobionego pniaka olchowego, wcale nie zdobiły budy Mazura. Nigdzie pobiałły, którą chłopek na święta, jak białą koszulą, zdobi swoje mieszkanie, malując w dodatku przyźbę żółto lub brunatno; nigdzie nic dla oka i serca. Za obórką z płotu tuż płot drugi z gałęzi, z pniów wykarczowanych, z kłód poobcinanych, narzucony pośpiesznie, otaczał ogródek, wśród którego zagonów licho uprawnych sterczały resztki niedogorzałe czarnych korzeni drzew i krzewów.

Lecz wnijdźmy wewnątrz chaty, którą składały: sionka niechlujna i ciemna, izba z alkierzem i komora po drugiej stronie. W izbie wszystek sprzęt prawie cechowała pośpieszna domowa robota: stoły i ławy chwiały się na cienkich, zaledwie z kory ostruganych nogach, zbite z deszczek łupanych, nierównych i nieogładzonych. Naczynia gospodarskie, które z konieczności szczelniejsze być musiały i pracowiciej wykonane, zdawały się kupne. Piec chlebowy z kominem i przyźbą, z gliny lepiiony, wytarty plecami ogrzewających się przy nim, zajmował wielką część pierwszęg izby; tuż bondur słomiany, omazany gliną, służył do oświecania łuczywem w długie wieczory i ranki zimowe. Ściel nad izbą ułożona była z dylów sosnowych, potrażśnionych wiszarem i oblepionych gliną, gdzieniegdzie otworami dobywającą się i na cienkich siana niciach wiszącą. Dym i kopeć uczyniły ją czarną, równie jak ściany. U drzwi, jak w chatach, stała rażka, ceber, wiadro, czerpak drewniany, łopata, kociuba tajemnicza, miotła do czyszczenia pieca na długim draęu i napleczki do noszenia wody.

Na kapturze komina i w piecu czarne garnki, na półce kilka flaszek i misek dowodziły wielkiego ubóstwa. W głębi mizerne łózko, zaledwie zbite, narzucone brudną pościelą i staremi szczątkami sukman dziurawych, pokrywało wyglądający bokiem zielony kuty kuferek. Nad niem w ramach czarnych obrazek Najświętszęg Panny Częstochowskieg, Pan Jezus Boremelski, palma, żółta gromnica z wiankami, dosyć już upalona, wisiały przy strzelbie i torbie. Na drugiej stronie stare szablisko w żelaznej pochwie z rapciami skó-

rzanemi, odosobnione, smutne, spoczywało opylone, dawno zapewne, dawno, bo i ściana pod niém była jaśniejszój barwy!

Zewsząd widna była wielka nędza, wypisując się na wszystkiém. Smutno wpadało tu światelko okienkiem od łąki, smutno syczał ogień na kominie, a każdemu usiędzeniu na ławie towarzyszyło dziwne skrzypnienie i suche jakby łamanie się drzewa. Nagie ściany kopeć tylko oczernił, a oprócz Opiekunki Matki Boskiej, starój, nieużywanej szabli i strzelby, prócz prawie pustój półeczki, wiszącej w kąciku, oko, przebiegając je, nie miało się na czém zatrzymać.

III.

W chwili, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, była to młoda jeszcze, ledwie zpod śniegów wychylająca się, wiosna — pora najstraszniejsza dla ubogich, bo stykająca się prawie z tym groźnym przednówkiem, który pocieszając nadzieją nowego, starego już nie ma pokarmu. Bydło i ludzie, dożywszy do końca zapasów zimowych, oglądają się dokoła, prosząc Boga o zieloność i życie świata, które jest dla nich pokarmem.

Nie smutniejszego przytém nad tę w naszym klimacie często przykrą i długą porę roku, poprzedzającą rozbudzenie się ziemi. Drzewa nagie, płachty śniegów czarnych, niedotopionych, zlodowaciałych, leżące po dołach, kryjące się w cieniach, powietrze wilgotne i zimne, na niebie szare chmury dżdżyste i śnieżne, w stodołach i szpizarniach już pusto lub niewiele zostało.

Bydło budnika, przywykłe do pożywiania się nawet wśród zimy gałązkami młodem drzew, ich korą i odgrzebywanymi zpod śniegu trawami, choć wychudłe, życie swe przecież utrzymać potrafi. Koza zwija się i spina ku smacznym pączkom, które ją dostatecznie nakarmią; ale człowiek! Człowiek już w tej porze czasem mrze głodem, mieszając do chleba, co tylko da się wmieszać, na oszukanie żołądka i zyskanie czasu.

W chacie budnika, późnym wieczorem, u bondura, w którym gozała szczapa smolnego łuczywa, siedziała cała rodzina, prócz jednego jej członka. Stary Bartosz jeszcze był w lesie.

Wdowa Salomea, żona niegdy brata Bartoszewego, zwana panią Pawłową; syn Bartosza, Maciej, i córka Julia oglądali się coraz na drzwi, nasłuchując, azali nie wraca ojciec. Ciemny i mokry wieczór szumiał i szalał w puszczy, której głos dla przywykłych uszu głuchym się wydawał milczeniem.

W kominie skwarzyło się coś w garnkach, na które niekiedy dość obojętném okiem spoglądała Pawłowa. Była to kobieta lat

pięćdziesięciu kilku, rysów twarzy pospolitych, cery właściwej budnikom, żółtej i ciemnej, z twarzą pooraną zmarszczkami, w brudnej, dawniej białej, chuście na głowie, odartym kabaciku płócienkowym i grubej, szarej koszuli. W zgasłych oczach, zbladłych ustach malowało się przybicie nędzą, spodlenie cierpieniem; bo cierpienie, które podnosi i uszlachetnia, przybija także słabych i upadła.

Widziałeś, patrząc na nią, że nie wzdrygnęłyby się na nic, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli; uczucia pocziwsze, jeżeli kiedy w niej żyły, zagasły, przywalone ciężarem codziennych trosk bez nadziei podźwignienia. Z podkurczonymi nogami, ręką pod brodę wciśniętą, rozczochranemi włosy bez barwy i kształtu, siedziała zamysłona głęboko, zadumana, nieporuszony wzrok, utkwiony w ścianę, trzymając.

Przy niej, na przypiecku także, przędła Julusia, córka Bartosza.

Dziwne-to było w chacie biédnego budnika zjawisko: biała, blada, wysmukła, z czarnym, kruczym włosem, czarnemi oczyma, oćmionemi długą rzęsą, pokrytymi brwią kształtną, zdawała się ledwie dopiero z dzieciństwa do młodości przechodzić.

Pod grubą, ale czystą koszulą, poczynały się dopiero zarysowywać niewieście jej kształty. W czarném oku, w ust zagięciu mówiła przyszła, a jeszcze nierozwinięta namiętność. Ubogi strój nie był bez starania narzucony, ale ułożony widocznie z myślą, by przystrajał, by zdołał; gładko wyczesane prześliczne i ogromne włosy związywała maleńka chusteczka czarno-niebieska, której węzeł nie był bez uwagi splątany, końce zdawały się spuszczone z rozmysłem. Na szyi trochę paciorek i krzyżyk żółty wyglądał zpod wywiniętego kołnierzyka koszuli.

Julusia (tak ją zwano) przędła, ale nie myśląc o kądzieli i wrzecionie, ze wzrokiem błędnym, który zdradzał zadumanie głębokie. Widać było, że myślami i nadziejami poszła kędyś za chatę i za lasy.

Niedaleko od niej na wywróconym cebrze siedział Maciej, prawdziwy budnik, z temi rysy twarzy bez wyrazu, którym nędza odjęła życie, barwę młodości, połysk żywota. Włos konopiaty, najezony na głowie, zwieszał mu się nad oczy siwe, blade, bezmyślne. W rysach nic nie było szlachetnego, żadnego, najdalszego nawet, podobieństwa do siostry. Na policzku nie pozostał ślad rumieńca, a ogół twarzy, wcześniej zestarzałej, daleko więcej lat okazywał, niż Maciej miał ich w istocie. W tej chwili plół łapcie, milcząc; u nóg jego osmolony, z najeżoną sierścią, ostremi uszami, chudemi, wciągnionemi boki leżał stróż chaty, przyjaciel osobisty Macieja, stary, wierny Burek.

Trzask łuczywa, z którego dobywały się kłęby czarnego dymu, uciekającego bondurem, przerywał tylko milczenie. Nareszcie pani Pawłowa, westchnąwszy i poskrobawszy się w głowę, zawołała ostrym i niemiłym głosem:

— A co to jest, że Bartosza niema?

— Hę? — spytał Maciej głupawo, rzucając łapcie.

— Dziwo, że Bartosz nie powraca.

— Co za dziwo! Musieli gdzie zabłądzić: noc taka czarna! Burek nie trafiłby.

— Gdzieby zaś Bartosz mogli zabłądzić!

— Albo czemu?

— Zna on przecie las, gdyby kieszeń swoją.

— Ba! każdy go z nas zna, a każdemu się trafi zabłądzić, jak *złe* zechce wodzić.

— Nie plótbyś, Maćku! — przerwała Pawłowa.

Maciej ruszył ramionami, potrząsł głową, spojrział na siostrę, która, obudzona rozmową, prząść zaczynała, i wrócił powoli do łapci.

— A mnieby się jeść chciało — rzekł po chwili do pani Pawłowej. — Czy będziecie czekali na tatula?

— Zdaje się, niema o co i pytać!

Maciej wstał, wyciągnął się, poszedł do drzwi napić się wody i rzucił się na ławę, stękając, a poleżawszy chwilę, odezwał się chrapaniem.

Pawłowa, posłyszawszy, że śpi, i upewniwszy się spojrzeniem, obróciła się do Julusi, która powoli przędała.

— Zaśpiewajcie-bo co — rzekła. — Nudno! Wichrzysko się zmaga, a to taka puszcza głucha. A ten bałwan śpi! Ciarki przechodzą pod taką noc o *złém* wspominać!

— Niema-bo ochoty śpiewać.

— Jak-to? w twoim wieku? Mój Boże! Ja, kiedy byłam tak młoda, to mi pani matka, świeć jój Boże, gęby stulić nie mogła.

— Musieliście być w lepszym stanie, to wam i weselój było.

— Toć się rozumie! A bo też-to dawniej daleko inne i lepsze były dla wszystkich czasy. W puszczy roboty huk, aż miło, taki rwetes i życie. Stuk, puk, siekiery brzęczą, w piecach trzeszczy, dziegieć kapie, a Mazurowie śpiewają. Tu belki złote leżą, tu się klepka w stosy sypie, tam łuczywo w *szury* stawiają, tu korę brzozową zwożą, dalej popioły palą, dalej potaż kipi. A trzeba wiedzieć, że nieboszczyk Paweł nie miał sobie równego do potażu, nie tylko korytnego, ale nawet kotłowego. Sprowadzali go o dziesięć i dwadzieścia mil. I u niego zawsze popiół lepiej wydawał się, jak u dru-

gich. Był dostatek, niema co mówić, był grosz, było wszystko, czego dusza chciała. A! a! gdyby nie to nieszczęście!

— Nieszczęście?

— Jużciż, że się pobili w karczmie z Krzywonosym i mój dostał w głowę obuchem, co kwęczał dwa lata w łóżku, zanim umarł. Oj! ta-to przekłete choróbsko mnie zgubiło! Bo kiedy już Pan Bóg tak chciał, żebym była sierotą, niechby był taki, pochorowawszy trochę, skończył; ale to i on się nieboraczysko namęczył okrutnie i my się utracili do ostatniej koszuli, że za co go potem i pochować już nie było. A na starość przyszło cudze kąty wycierać.

— Jak-to cudze? — rzekła Julusia — taśmy przecież swoi, pani Pawłowa.

— Swoi! tak! swoi! — pokręciła głową i zamilkła.

Maciej spał, a Burek, układłszy się przy nim na ławie, patrząc w okno, uszy nastawił i sierść najeżył.

— Ale-bo i wam ciężko! — dodała po chwili Pawłowa, wzdychając. — Ja, co to lepszego kosztowałam i pamiętam dawniejsze czasy, nie wiem już, jak dalej i wytrzymamy. Codzień gorzej, codzień nędza większa; roboty żadnej leśnej niema, krom tej lichyń smoły, co i plunąć nie warto. Chcieliby nas na chłopów przerobić i z wołami do roli zaprządz, ale z tego to nic nie będzie. Podobno rychlój z głodu pomrzemy.

Julusia westchnęła.

— Co życie, to życie! Męka, krótko mówiąc. W śpizarni pustki, jak wymiótł, bydełko pozdychało. Jedna chuda krowina i dwie kozy całego dobytku, a kozłeta wilcy podławili. Na chleb mąki do przyszłej niedzieli nie stanie.

— Ojciec pomyśli i postara się.

— A skąd on się postara? Z palca wylamie? Z fuzyą chodząc, co zabije, to zjemy, ze skórki się nie zbogaci, bo i zwierza nie bogato w lesie, roboty niema, a panicz...

Na wspomnienie panicza Julusia nieznacznie się zaczerwieniła. Stara Pawłowa, niby tego nie widząc, dalej kończyła:

— Panicz nie pomoże? Jak myślicie?

— Alboż ja wiem? albo ja wiem? — żywo odparła dziewczyna. — Ale zdaje się...

— A co ci się zdaje, kochanie?

— Sama nie wiem. Jużciż i on i stara pani bardzo dobrzy dla ludzi biędnych; to tylko rządca i ekonom, coby z nich skórę zdarli, gdyby można.

— Oj! tak, szczerza prawda! Tak, serdenko! Panicz młody, serce dobre, śliczny chłopiec! A ty-bo jemu w oczko wpadłaś.

— Kto? ja? — ruszając ramionami i rzucając się żywo do kądzieni, zawołała dziewczyna. — Ja? Dajcież pokój!

— No! no! Oczy mam nie dla proporceyi. Nie udawaj! Wiem ja wszystko, wiem.

— A co macie wiedzieć?

— Co? ciekawość! Panicz często z polowania pod naszą chatę zbacza, a jak ciebie zastanie na podwórku, to i zagada i zbliży się i pozartuje. A taki się robi słodki, miły, jakby go kto miodem posmarował. Oj! oj! gdybyś ty miała rozum, gdyby to tak ze mną, wiedziałabym ja, co robić.

— Ale dajcież mi pokój! — porwała się Julusia cała w płomieniach. — Ja nawet nie wiem, co wy sobie myślicie. Broń Boże, by ojciec posłyszał!

— No, no! cicho! cicho! niema nic! — szepnęła stara, ukośnym mierzając wejrzeniem Julusią najprzód, potem śpiącego Macieja.

Julusia tymczasem poszła ku piecowi zajrzeć do wieczerzy, na którą gotowały się kartofle i kasza, oboje bez omasty. Kartofle zatrzęć miano trochę sera, wydając na stół, a kaszę tylko osolic i grzybem a cebulą podprawić; słonina była tu bajecznym przysmakiem, dawno niewidzianym, a odrobina masła najczęściej się sprzedawała kwaterkami w miasteczku, dla kupienia soli i pierwszych potrzeb do życia.

IV.

Jeszcze u ognia stała dziewczyna, gdy stuk dał się słyszeć u drzwi. Porwała się Pawłowa i Maciej przebudzony, chcąc poświecić do sieni, myśląc, że Bartosz powraca, ale zarzenie konia zatrzymało ich oboje. O tej porze w głębi głuchego lasu konny podróżny był wypadkiem tak zadziwiającym, tak nadzwyczajnym, że wszyscy spojrzeli po sobie z przestraczem i niemém zapytaniem: co by to być mogło?

— Hej! jest tam kto? Panie Bartłomieju!

— To znajomy — rzekł Maciej ośmielony — ale dyabeł wie, kto i poco?

Pochwycił łuczywo, wychylił się za drzwi nieco i spytał:

— A kto tam?

Burek także, stanąwszy przednimi łapami na wysokim progu, zadarłszy głowę do góry, sywał najrozmaitszemi głosami swoje zapytania przybyłemu.

— Nu! kto? swój! A weźcie sobakę.

— Żyd jakiś — szepnęła pani Pawłowa.

Maciěj zaparł Burka do kąta za wiadro, na które wierne psisko wdrapawszy się, ciągnęło dalej gderanie swoje.

— Nu! kto? swój! — odparł głos z sieni. — A jest pan Bartłomiej?

— Niema.

— A Maciej?

— Patrzcie, i mnie zna! A toć ja jestem.

— Chodźcie-no tu. Jakieś konie koło waszėj chaty się pasły. Połapałem je; pomóżcie mi je powiązać, bo się znowu rozbiegną.

— Konie! konie! czyje?

— Albo ja wiem!

— Ale cóżby tu konie cudze o północku robiły? — kiwając głową, szepnęła Pawłowa. — A wyż tu co tak późno?

— Późno, niepóźno. Nu! to się dowiecie, poco ja tutaj, a wyjdźcie-no i otwórzcie mi oborę.

Maciěj, ośmielony głosem żyda, wyszedł nareszcie zaciekawiony do koni. Żyd Bramko, który się z niemi razem zjawił, dobrze mu był znajomy.

Mieszkał on w pobliskim lichém miasteczku poleskiém, położoném u rzeki spławnej i z niej całe swe życie ciągnącém. Bindiuha drzewa towarne, skład materyałów leśnych, smoły i dziegciu z okolicy, mały handel zbożowy, dawały tu zarobek wieśniakom, a niekiedy i budnikom. Na mil kilka wkoło wszystko żyło tą mięsciną, począcwszy od szlachcica, co w niej potrzebne do życia zapasy na kredyt dostawał, aż do wieśniaka, który tu sól, skóry wyprawne, czapkę na jarmarku i chustkę dla córki mógł kupić, a furę zboża, siana i drew za lichą cenę sprzedać. Wśród żydowstwa, które, jak mrowie pod drzewem z upadłych iglic wznosi mrowisko codzien szersze i większe, Bramko odznaczał się nie bogactwem, ale nadzwyczajną ruchliwością. Nie było targu, nie było roboty, nie było kontraktu bez niego. Gdzie nie czynił sam dla siebie, faktorował; gdzie faktorować nie mógł, przeszkadzał; gdzie przeszkodzić w początku nie potrafił, popsuł podstępnie choć później. Chciwy, niezmordowany, zapalczywy do zysku, najdrobniejszej jego okruszyny na ziemię nie upuścił.

Podejrzewano go — nie bez przyczyny — o zyski tajemne z handłów zakazanych, a nawet o związki z szajką złodziejów końskich; ale tego nikt zręcznemu izraelicie dowieść nie potrafił. To pewna, że coraz inne i bardzo dobre konie pokazywały się w jego rękach, że często oddalał się nie wiedzieć dokąd, że do niego obdarcy żydzi nieznanymi schodzili się nocami; ale prócz podejrzeń, dowodów na niego żadnych nie było.

Bramko był słusznego wzrostu, barczysty, silny, z oznaką zdro-

wia na twarzy, z pejssem czarnym i wejrzeniem zuchwałém, a kolącém. Minę miał hardą, mowę często szyderską, obejście prawie dumne, zwłaszcza z temi, których za niższych od siebie uważał.

— Nu! otwórzcie oborę! — rzekł do Macieja, który wyszedł na podwórze i przypatrywał się z zagapieniem, sobie właściwém, czterem koniom, płaczącym się na postronkach, wiedzionych przez jakiegoś obdartego żydziuka.

— A to naco?

— Konie postawim.

— Jak-to postawim?

— Niechajby spoczęły.

— Myślicie tu nocować?

— Zobaczymy.

— Ale-bo tu u nas niema miejsca.

— Jak-to? a obora, a stajnia?

— Stajni u nas i nie było nigdy, a w oborze drzewo schnie.

— A wasze bydło?

— Jakie bydło?

— Wasze. Alboż-to i bydła nie macie?

— Krowa stoi w sieni, a kozy pod przydaszkiem za oborą.

Żydzi poszwargotali z sobą po swojemu.

— Jakże-to będzie? — spytał Bramko — to nie znajdziemy gdzie tych koni postawić?

— A cóż, chyba na podwórku.

Żyd mruzczał gniewnie i chodził, bijąc się po bokach; zbliżył się ku wrotom obórki, zmierzył je okiem i powrócił do Macieja.

— Mam interes do ojca; muszę się tutaj zatrzymać i konie te do jutra postawić. Uprzątnijcie mi obórkę.

Maciej się rozśmiał.

— Oj! oj! a toby było roboty na dwa dni, tyle tam kłód leży. A jeść-że cobyście dali tym koniom?

— Siano.

— Jakie siano? Chyba je macie z sobą?

— A toć u was jest. A cóż je krowa?

— Krowa? Konie tyle rozumu, co krowa, nie mają. Ona żyje liśmi i gałązkami; zwyczajnie budniczka.

Tu już Bramko kłąć począł w niebogłosy i szarpać niecierpliwie czapkę i jarmułkę.

— Nu! kiedy tak — zawołał — tém gorzej dla was; bylibyście mieli zarobek, byłbym ojcu nastreczył dobry interes, ale kiedy i koni tych niema gdzie postawić i pokarmić, to ruszę dalej.

— A jakbyście poczekali na ojca? On niebawem nadejdzie i da wam może radę. Tymczasem chodźcie i ogrzejcicie się w izbie.

Żyd, poszwargotawszy z odartym towarzyszem, posunął się do chaty i wszedł, nie zdejmując czapki, do izby, czarnemi, bystremi oczyma mierząc panią Pawłową i Julusią, ciekawie mu się też przypatrujące. Milcząc, pogardliwie rzucił się na ławę przeciw pieca i, zakasawszy poły, począł je otrząsać z deszczu.

Jeszcze się był nie rozgospodarzył, gdy drzwi za nim skrzypli i stary Bartosz krokiem, po którym go wszyscy zdaleka poznali, przestąpił próg swojej budy.

Był to podżyły już, siwiejący nieco, wysokiego wzrostu, olbrzymich ramion mężczyzna, ubrany jak zwykle chodzą budnicy. Na nim szara, krótka kapota, pasem czerwonym ujęta, szarawary grube płócienne, łapcie ze skórczanemi sznurami, czapka mała bez daszka, torba borsucza i strzelba na ramieniu. U pasa, w czarnej kaletce krzesiwo, przy niém zawieszony wielki nóż i drut do przetykania zapalu w fuzyi.

Piękne wyłysiałe czoło, odsłonięne, ukazało w pełni twarz, nieidealną zapewne, ale pełną głębokiego wyrazu i energii; zdawała się wyciosana z kamienia i ożywiona myślą jakiejś niepocieszonej tęsknoty, niezwykłego smutku. Smutek ten w uśmiechu ust, w spuszczonej powiekach, w zmarszczkach czoła się malował. Rzadka, ciemna, krótko przycięta broda dobrze odbijała przy nagiej prawie i błyszczącej głowie.

Spojrzał Bartosz na swoich, potem na żyda i mruknął powitanie chrześcijańskie, które się tylko do domu i rodziny stosowało.

— Nu! jak się macie? — rzekł żyd, sam zaczynając. — Dobrze, żeście przyszli; czekałem na was.

— A cóż mi tam powiecie? — trochę dumnie odparł Bartosz. — Ciekawy jestem.

Żyd widać się obraził obojętnością budnika, od którego pokornego i serdecznego spodziewał się przyjęcia, widząc jego byt ubogi. Stary zdejmował tymczasem z siebie torbę i strzelbę.

— Możebym wam naraił dobry interes, gdybyście mnie poprosili.

— A to wy nie wiecie — rzekł Bartosz — że ja nigdy nikogo o nic nie proszę, oprócz Pana Boga?

— Nu! aj, waj! Jaki wać dumny!

— Ale cóż to tam za dobry interes? Dacie mi robotę przy łuczywie u pana podśędka, czy dziegieć u pana Romualda, he?

— Tfu! to niema co gadać! Znalazłoby się co lepszego, nie taka robota.

— Schowajże dla siebie! — rzekł mu Bartosz, kiwając głową.

Żyd wargi zagryzł, plunął, ruszył ramionami.

— Nie gadajmy o tém.

— Nie gadajmy.

— Nie macie gdzie tych koni postawić, com je tu, w lesie, koło waszój budy niedaleko, połapał?

— Koło budy! w lesie! Żartuj zdrów! Kpisz z ludzi! A na-cóż je tu masz stawić?

— Juźciż przenocować; niechby odpoczęły, nim...

Maciěj wplątał się tu w rozmowę, opowiadając ojcu, że już żydowi wytłómaczył, iż koni wcale nie było gdzie postawić. Stary potwierdził słowa syna.

Potém, zbliżywszy się do żyda i uśmiechając się z politowaniem i szyderstwem razem, rzekł do Bramka:

— Czemu nie prowadzisz swojego towaru, jak zawsze, do Jakóba?

Na te słowa żyd poczerwieniał, pobladł, zerwał się z ławy i mru-gnął na starca niespokojny. Ten uśmiechnął się tylko pogardliwie.

— Życzę wam właśnie poprowadzić do Jakóba; miejsca hukiem, bo dziś i Jakóba samego i konie jego zabrali w nocy do miasteczka przysłani dziesiętnicy.

— To nie może być! — zawarczał żyd, rwąc brodę.

— Dowiecie się — odpowiedział obojętnie Bartosz.

Bramko obejrzał się wkoło i żywo podstąpił do starca, poczynając go pocichu prosić, kusić, nalegać nań; dobył nawet skórzanego worka, ale stary Mazur odepchnął go z zimną krwią i głośno tylko odpowiedział:

— Daj mi pokój!

— To wasze ostatnie słowo?

— U mnie niema pierwszego i ostatniego, tylko jedno słowo.

— Nu! dobrze! dobrze! — wściekle odezwał się żyd — pożalujecie!

To mówiąc, rzucił się do drzwi i zniknął. Bartosz spojrział za nim z uśmiechem, ale Bramko już nie zawrócił nawet. Nie słysząc tętentu koni, myślał, że, zwyczajem Izraelitów, zawróci się jeszcze; usiadł spokojnie na ławie i mokre obuwie zdejmować począł, gdy tymczasem Pawłowa przygotowywała wieczerzę. Żyd już się nie ukazał. Wkrótce Maciěj, wracający z podwórza z nieodstępny-m Burkiem, doniósł, że konie zostały przywiązane do płotu, a żydzi znikli.

Stary podumał chwilę i nic nie odpowiedział; czoło mu się tylko zamarszczyło.

Wieczór krótki przeszedł w posepném milczeniu. Bartosz z polowania i zwykłej przechadzki nic nie przyniósł, prócz jednego cię-trzewia na jutrzejszy obiad. Mąki na chleb co chwila mogło za-

braknąć, a Pawłowa nie śmiała na dno bodni, w której zsypana była, zaglądać.

Widziała stara ofiarowane przez żyda pieniądze, domyślała się bardzo, o co mu chodziło, i w duszy niecierpliwiła się na starego Bartosza, ale słowa wybąknąć nie śmiała, bo budnik niczyjjej rady nie przyjmował.

V.

Nazajutrz ranek był zimny, ale niebo wyjaśnione, ptastwo, zbudzone słońcem, świergotało w lasach, skowronek nad czarną jeszcze i obmokłą unosił się rolę. Stary Bartosz, wyszedłszy przed świtem, zobaczył przywiązane jeszcze konie u drzwi chaty, które żydzi porzucili tutaj. Biędne szkapy pokładły się na gołej ziemi, skubały słomę rozsypaną i drzémały, spędzone. Stary, ujrawszy je, wrzucił ramionami i zawołał syna.

— Weź te konie — rzekł — i ruszaj z nimi do miasteczka; oddasz je pomocnikowi na ręce i powiesz, że Bramko był w nocy i zostawił je tutaj.

Maciěj spojrział ojcę w oczy, poskrobał się w głowę i nic nie odpowiedział; widać jednak było, że wątpił o swojej umiejętności znalezienia się wobec straszliwego pomocnika, którego znano w okolicy z opilstwa i złości.

— Albo nie! nie! — mruknął Bartosz sam do siebie. — Pojadę sam z nimi lepiěj.

— I pewnie! i pewnie! — śpiesznie dodał Maciěj — bo ja taki pewniusienskobym tam języka w gębie zapomniał.

— A ty — przerwał ojciec — ruszaj w las ze strzelbą i do dworu za chlebem, co się nam tam należy. Kwitek znajdziesz zatknęty za obrazkiem.

— Do dworu, to choć z biędą, ale rady sobie damy — rzekł Maciěj. — Ale i tam jak mnie poczną odsyłać od kąta do kąta, od jednego do drugiego!

— Jużciż czas, żebyś sobie rady dawać się nauczył! — ofuknął groźnie stary Bartosz. — Wkrótce i mnie nie stanie; przyjdzie ci samemu i siostrą się opiekować i o chacie myśleć.

Maciěj zamilkł; weszli do chaty nazad, gdzie już pani Pawłowa, pochwyciwszy się z tapczana, na którym spała, rozkładała ogień i przygrzewała trochę koziogo mleka, na ranny służyć mającego posiłek.

Słońce już się podnosiło ponad lasy i przeświecało jaskrawo przez nagie jego gałęzie, gdy Maciěj, ubrawszy się w szarą switę,

borsuczą torbę, nowe chodaki i przewiesiwszy strzelbę, ruszył pieszo ku dworowi. Stary tymczasem, podesławszy zgrzebny wór na konia, skoczył i poprowadził żydowskie szkapy do miasteczka. Machinalnie odmawiając ranne pacierze, Pawłowa krzątała się leniwo po izbie, Julusia czesała długie swój warkocz czarny przed rozbi-
tém lusterkiem.

Obie milczały, spozierając na siebie zukosa. Julusia nie śmiała zaczepić staręj, stara nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, której pragnęła. Nareszcie gdy obie siadły pod piecem, gryząc chleb czarny i suchy, zmoczony w troszce mleka, stara instynktowo obejrzawszy się po kątach i nie widząc nikogo, prócz chudego burego kota, poczęła:

— Ot! taki co bięda, to bięda! — A westchnąwszy: — I będzie coraz gorzej a gorzej.

Julusia patrzyła, milcząc.

— Stary Bartosz całe życie goły był i umrze bez koszuli na grzbiecie; bo coby miał ze szczęścia korzystać, to mu hardość, a jakieś tam skrupuły tryndają po głowie. Ot, albo i wczoraj! Żyd chciał tylko jaki dzień, dwa, konie przechować. Co jemu do tego, jakie to konie. Nie! taki potrzeba koniecznie odepchnąć grosz, kiedy groz do kieszeni się sunie. Wy-bo wszyscy poginiecie przez wasze głupstwo.

— Dajcież pokój! Ojciec lepiej wie, czemu się z tym żydem zadawać nie chce.

— Bo tchórz a uparty! Panie Boże odpuść, ale mi taki prawda cięży i muszę ją wyśpiewać, bo co prawda, to prawda. Nie takie-to teraz czasy, żeby pocziwością żyć można. To i chłop głupi, a powiada: „Ne wziawszy na duszu, ne bude w duszy“.

— Ej, pani Pawłowa!

— Co tam! powiem taki prawdę całą! Ojciec stary ma we łbie ćwieka, o Macieju to już i gadać niema co! prosto głupi. Ot, ty żebyś miała więcej od nich rozumu, tobyś wszystkich poratowała.

— Ja! ja! a toż jak?

— Niby ty nie wiesz! Porzuć! porzuć! Co to nie rozumiesz, że tybyś wszystko mogła u panicza?

— Co-bo mówicie! wam się śni!

— A taki co prawda, to prawda!

— Ale-bo to nieprawda.

— Jak-to nie? Już ja tego z palca nie wyssałam. Kiedy mnie za język ciągniesz, no, to ci powiem wszystko, jak było.

— Cóż było? co?

I dziewczyna zarumieniała się, pokraśniała a oglądać się poczęła z przestraczem.

— Wiész, że w przeszłą niedzielę byłam we dworze.

— A tak, byliście — odpowiedziała Julusia głosem drżącym.

— Ho! nie przerywajże, a słuchaj. We dworze, jak zwyczajnie u panów: szumno, wesoło, aż serce rośnie, a ludno, jak w mieście. Ja, com-to dawniej dworsko służywała, przypomniawszy sobie młode latka, małam nie płakała z zazdrości. Nu! mniejsza o to. Gwar, śmiech, dostatek. Na folwarku u klucznicy kielbasy smażą dla gości, u ekonoma w karty grają, miód piją, w czeladnej izbie śmiechy i krzątania się koło tłustych misek, z których słonina po ziemi kapie. Co już mówić o pałacu! Zaszłam najprzód do klucznicy z tą moją raną na nodze, prosząc maści. Klucznica-bo stara moja znajoma, ale odprawiła po lekarstwo do samej jéjmości, która taki kurować i ratować lubi. Wszak starą jéjmość znacie?

— Widziałam-ci ją w kościele zdaleka.

— Święta osoba! dalipan święta! Powiadam wam, prosto ją Pan Bóg do nieba weźmie. Dla ludzi anioł, a pobożna, a dobroczynna; toć ją przezwali w sąsiedztwie, slysze, *Dobroc-sama*, i dali-bóg prawda. Cały pałac ustąpiła synowi, którego kocha, zwyczajnie jak jedynaka; cały majątek swój oddała jemu; sama mieszka w ogrodowej ofieynie i kontentuje się pensją. A zabawia się nieboraczka leczeniem, wychowywaniem dziewcząt i nabożeństwem. Święta pani! Idę ja tedy do niej. Przyjmuje mnie, jak zwyczajnie, cukrowemi słówkami: kochaneczko, serce moje. Kazała zaraz nogę pokazać, opatrzyła sama, dała maści, nakarmiła, napoiła, a potem nuż pytać mnie: co ja za jedna? skąd? jak?

— Pytała was?

— A jakże! Opowiedziałam jéj wszystko, naszą biędę, niedostatek i, licząc, wiele nas jest, jakoś wspomniało się i o tobie. Aż jéjmość pocznie mnie pytać: a wiele to jéj lat? a umie ona co? A potem: możeby na służbę do dworu przystała?

— Nie może być? — porywając się z ławy, zawołała Julusia.

— Jak Boga mego kocham, prawda!

— I cóż?

— A cóż ma być! Mówiłam ja zaraz o tém staremu Bartoszo-wi, ale ten mnie ofuknął: „Ja swego dziecka na dworską służbę nie dam; wiem ja, co to jest“.

— O! pewnie że się na to nigdy nie zgodzi! — z żalem trochę wyjąknęła Julusia.

— Trudno, trudno! bo taki mi i powiedział zaraz: „Albo to nie wiecie, jak dziewczęta u dworu wychodzą? Lepiej z głodu umierać, niż ze wstydu“. At, dziwak stary. Napróžno mu mówiłam, że wiele było dziewcząt u jéjmości, wszystkie za pisarzy, za gumien-

nych, za leśniczych, za ekonomów i z posagami powydawali. Co jemu! On swoje a swoje!

Julusia zamysliła się głęboko i opuściła głowę; Pawłowa szare swe, ale błyszczące w tej chwili oko skierowała na nią i uśmiech szatański przekrzywił jej usta na chwilę. Westchnęła potem i poszła niby obojętna już do ogniska nakładać trzaski mokre na przygasłe węgle.

VI.

My tymczasem dopowiedzmy, czego stara nie chciała i nie mogła wypowiedać przed Julusią.

Dwór pański w Sumaczej (tak się zwała wieś i folwark, w którym młody dziedzic mieszkał) głośny był w istocie w okolicy wesołym życiem, które w nim wiódł świeżo ze szkół wypuszczony chłopiec. Matka jego, pani podkomorzyna, podżyła już wdowa, którą w okolicy zwano *Dobroc-sama*, ukochana od wszystkich, uwielbiana od biednych, święta w sercu niewiasta, była jedną z tych słabych istot, które dziwnym zbiegiem okoliczności najlepszymi chęciami najgorszych dorabiają się skutków. Podkomorzyna była dobrą w istocie, do zbytku dobrą; ale dobroć ta i jej samej i otaczającym szkodliwą była i najniezwyklejsze wiodła za sobą następstwa. Łatwowierna, bo poczciwa, stawiała się łupem oszukańców, którzy ją otaczali. Syn, wychowany w pieczyotach, któremu w niczem sprzeciwiać się nie śmiała, popsuty pobażaniem, stał się marnotrawcą i rozpustnikiem, posuwając się szybko po drodze, która go wiodła do ostatecznej zguby. Matka jednak w postępowaniu jego nic nie widziała, nic widzieć nie chciała zdrożnego; jedno złe poczytując za małe, przypisywała wiekowi, drugim ludziom, nie jemu, w inne nie wierzyła, reszty domyślać się nie mogła.

Dwór, otaczający ją, robił, co sam chciał; ludzie naśmiewali się pokątnie z niedołężnej, a poczciwej staruszki. Sumacza stawiała się jaskinią łotrowską, w której owa święta niewiasta, nie wierząc w grzech i zepsucie, żyła w zupełnej niewiadomości szkarad, jakie ją otaczały. Dziwnym fenomenem najgorsi z dworaków umieli zawsze pozorami pobożności, łagodności przybranej i umiejętnym odegrywaniem komedyi wkraść się w łaski pani podkomorzynnej. Ci, raz uzyskawszy jej łaski, kierowali biedną, jak się im podobało, używając jej, jak narzędzia, często do największych niesprawiedliwości. Trochę słaba dla pochlebców, w ich miódowych słówkach widziała czułość, serdeczne przywiązanie i szczerłość. Nic nie mogło wypro-

wadzić jęj z błędu. Najgrubsze udawanie niezgrabne, na którym poznawali się wszyscy, ona brała za szczerą prawdę.

Syn ukochany, uchodząc za najpocziwszego chłopca, sposobił się na największego łotra. Słudzy bezwstydnie kradli staruszkę, dwór pobożnej pani był serajem młodego panicza i mnogich jego przyjaciół; o trzy kroki od jęj oficyn sceny najrozpasańszėj rozpusty odbywały się bezkarnie. Staruszka, zatopiona w modlitwie, nic a nic nie wiedziała. A gdy ją dochodziły krzyki, śmiechy, szaleni, mówiła sobie, kończąc koronkę:

— Byleby uczciwie, niech się bawi! To się wyszumi. Zwyczajnie młodość. Byleby to zdrowiu Jaśka mego nie zaszkodziło!

I posyłała w wielkich razach na zwiady faworytę swą zaufaną, pannę Teklę, która że była też dobrą przyjaciółką pana Jana oddawna, zawsze wracała z doniesieniem, że zabawa choć głośna, ale niewinna, i pan Jan zdrow, dzięki Bogu.

Tak lata upływały w Sumaczėj, a Jaś szybko tracił piękną ojcowską i macierzystą fortunę, na którą, jak krucy, zlecieli się owi przyjaciele, co to ich wszędzie pełno, gdzie tylko półmiski dymią i butelki strzelają.

Dobroć-sama czasem robiła uwagi Jasiowi, ale łagodnie, głaszcząc go pod brodę i z uśmiechem macierzyńskim, potem zaraz odzywała się do panny Tekli:

— Zwyczajnie młody, ale najpocziwszy chłopiec. Co za serce i jaki charakter!

Najpocziwszy ten chłopiec grał, pił, hulał i, udając tylko jeszcze czasem przed matką resztę jakiegoś niedogasłego wstydu, dla świata wcale się z uczynkami swemi nie taił. *Dobroć-sama* zawsze go umiała wytłómaczyć.

— Karty — mówiła do panny Tekli — to prawda, że to nie-szczęście prawdziwe, ale on ich nie lubi; cóż, kiedy dla towarzystwa na świecie koniecznie potrzeba grać. Nieboszczyk podkomorzy także ich nie lubił, a jednak raz, pamiętam, tysiąc czerwonych złotych na wieczór przegrał. Jaśko nigdy tyle nie stracił.

Staruszka nie wiedziała, że Jaś miał już kilkadziesiąt tysięcy długu, zaciągniętego na karty.

— Że tam czasem sobie pozwolą i nad miarę wina, mój Boże! już to u nas narodowa wada staropolska. A nawet dawniej daleko, daleko straszniej pili. I zdaje mi się, moja Tekluniu, że więcej nikt nic nie zarzuci mojemu drogiemu. A! śmiejesz się? Wiem, co myślisz... Nieprawda, nieprawda! Może tak, żartem coś, kiedyś, ale zaręczam za niego, że to skromne i niedoświadczone, jakby tylko co z pieluch.

Potrzeba było wytrawności panny Tekli, aby nie pęknąć ze śmiechu; ale ona spuszczała oczy i potakiwała.

Najzwawiej strofowała podkomorzyna ulubienca swego za opuszczanie nabożeństwa i obowiązków religijnych; ale chłopak był dość sprytny i umiał się zawsze wytłumaczyć, składając winę niedbalstwa swego to na ludzi, to na okoliczności, to jej się zapierając. Ile razy był na polowaniu w niedzielę, panna Tekla świadczyła, że go widziała w parafialnym kościółku, a podkomorzyna, zmuszona dla zdrowia modlić się tylko w kaplicy, wierzyła.

Pani Pawłowa, opowiadając o swojej bytności we dworze, wiele rzeczy zamilczała, panicz bowiem, który oddawna na Julusie czyhał i myślał nieraz, jakby ją wciągnąć do dworu, był przytomny rozmowie stariej budniczki z panią podkomorzyną, a udając serdeczne politowanie nad biednym stanem tych ludzi, sam matkę nakłaniał, aby Julusie wzięła do siebie i nią się opiekowała.

Matka pocałowała go za to w głowę.

— Co to za anielskie serce! — zawołała ze łzami prawie — jakie to pocziwe to moje Jasisko!

A pocziwe Jasisko myślał tylko, jak nową ofiarę ściągnąć dla siebie, jak sobie wesołe i tak życie nową gałązką leśną umaić! Zaraz w ślad za Pawłową wyszedł od matki i, wetknąwszy jej kilka złotych w rękę, za które go w kolano pocałowała, pocałował ją na swój rachunek rozpytywać. Stara dała mu z wielkim pośpiechem do zrozumienia, że gotowa wszelkimi siłami pomagać, za co przyrzekł jej nagrodę sowitą, a naprzód polecił staranie, żeby Julusia do dworu sprowadzoną być mogła.

Z Pawłową i Julusią może poszłoby jak z płatka; Maciej całe życie mógłby nie wiedzieć o tém, czegoby mu z dziesięć razy razpo-raz nie powtórzono; ale stary, dumny i uczciwy Bartosz stał im wszystkim na zawadzie.

Tego groźba, prośba, datek, podejście sprowadzić z drogi nie mogły. Znali go ludzie z tej strony. Nieulekniony niczém, niezmiękczonej żadną modlitwą, jeśli ta do przekonania mu nie mówiła, gardzący darem, na któryby nie zapracował lub wypłacić się nie mógł, przebiegły, że zdrady domacał się rychło, Bartosz dla bliższych i dalszych nie tylko zdawał się niepokonanym, ale strasznym. Szanowali go też ci nawet, co z innemi, jemu równemi, zgóry się obchodzili.

Ale Pawłowa napróżno ten charakter nieugięty w nędzy i spodleniu usiłowała wytłumaczyć Jasiowi i przedstawić go, czém był. Pan Jan nie pojmował nic podobnego w budniku i znudzony wreszcie, że go jakimś budnikiem, jak wróble straszylem, straszą, rzekł, posadzając o znowę i rachunek starą:

— No, to mu zapłacę, co zechce.
Z tém odszedł.

— A tego nie wie — pomyślała, licząc złotówki, Pawłowa — że gdyby mu dał cały swój dwór i majątek, toby mu Bartosz za podziękowanie w oczy plunął. Taki to stary głupi!

Bardzo się chciało wdowie zyskać obiecaną jej za pośrednictwo ohydne nagrodę; głowę jednak łamała, jakby tego dokazać, nie mogąc ani się domyslić, jak wkrótce okoliczności jej i Janowi w pomoc przyjść miały.

VII.

Zrana więc jedną ze ścieżek leśnych posunął się ze strzelbą na ramieniu Maciej, za którym dążył w tropy Burek głodny, z podkulonym ogonem i jeszcze bardziej wpadłemi boki, ale uszyma najeżonemi i głową do góry. Drugą drożyną puścił się ku miasteczku, rezydencyi urzędowej pana pomocnika, stary Bartosz, wiedąc konie żydowskie.

Pomimo nędznej jego odzieży i zmęczonych rysów twarzy, zastanawiająca-to jeszcze była postać. Niepochylony wiekiem, niezwalczony nędzą, nieupokorzony swym stanem, zdawał się raczej przebranym w sierak dawnych lat wojakiem, nie ubogim puszczy poleskiej mieszkańcem. Męstwo i siła malowały się na obliczu pogodnym, którego czoło tylko przeciał na dwoje fałd poprzeczny, świadczący o długich myślach i głębokich cierpieniach. Fałd ten, prawie zawsze ciemniejszy na czole, jak cięcie szabli malował się wśród łysiej, połyskującej głowy. Ale szabłą tą nie ludzka władała ręka — prawica losu nią raniła...

Ułamaną po drodze w pączkach i kwiecie leszczyny gałęzią popędzane konie, dość zwawe i młode, biegły, ściskając się i wyprzedzając, często zwężającą się bardzo drożyną. On zadumany patrzył, nie widząc, przed siebie, czasem tylko pogładził wusą i westchnął ponuro, jakby w przestankach ugniatającej go myśli.

Dobrze znając wszystkie drożyny leśne, machinalnie kierował się wśród nich, choć mnóstwo porośniętych darnią wykręcało się wśród zarośli: to szersze, to węższe, to prawie nieznaczne, tak zawieszane młodemi przeszlorocznemi wypustkami bujno rosnących krzewów. Przebywszy gąszcze, otaczające chatę, łąkę, co je dzieliła od przereźzonego już lasu i większej drogi, potem świeże trzebieże, borem małym zbliżał się już ku miasteczku, ukazującemu się w oddaleniu za długą, grząską i topielistą groblą.

Wtém drogą ku niemu ujrzał pędzącą bryczkę, ostawioną słomą,

u której dyszła ogromny kołatał dzwonek, znak niechybny jadącego urzędnika. Za bryczką tą konno leciało dwóch ludzi, poprawując w biegu to czapek spadających, to rozwianych pól sukmany.

— Stój! stój! — rozległ się nagle krzyk.

I przed Bartosza skoczył mały, czerwony, jak rydz, trądem, jak muchomar, okryty, z oczkami drobnymi, jak dwie atramentu krople, łysy, jak arbuz, ospowaty, jak czerstwy chleba kawałek, pan pomocnik, racząc swą własną ręką chwycić za cugle konia, na którym siedział budnik.

— Trzymaj! łapaj! — dodał, zapalając się i przywołując ludzi, widząc, że koń zalekniony do rowu się szarpnął.

Konni natychmiast zastąpili Bartoszewi drogę. Stary nie mógł pojąć, co to się z nim działo.

— Czego łapaj? Albo uciekam? — odezwał się spokojnie. — Czego chcecie?

— A udajesz ty mnie tu niewinnego! Nie *nadmiesz* (wyrażenie właściwe), nie! Postoj! Ja ci nauczę, złodzieju jakiś, rakalio! ja cię nauczę! — wrzeszczał pijany pomocnik w paroksyzmie gniewu.

Stary Bartosz zarumienił się, a raczej oblał krwią, tak, że białka oczu w jednej chwili nią zasłyły.

— Słuchaj-no pan — zawołał — czy pan wiesz, co gadasz? zaco mnie łajesz?

— Zaco? ja ci pokażę pytać o przyczynę! Ciekawy! patrzajcie! Wiązać mi zaraz tego złodzieja!

— Mnie! mnie! — I stary gwałtownie rzucił się na worku, na którym siedział. — Mnie?

— Nu! tak, ciebie, złodzieju! Tak! Nie rozprawiaj mi! Wiązać go!

— Ależ powiedz mi pan i wytłómacz, co to ma znaczyć?

— Ja nie na to tu jestem, aby ci tołkować, trutniu! Wytłómaczę ci inaczej w *stanowej kwaterze*. Hej! wiązać go!

— Czegoż pan chcesz ode mnie? — w rozpacz wykrzyknął budnik. — Panu się w oczach dwoi, czy co? Pan nie wiesz, co robisz!

— Ach! ty psie jeden, będziesz mi jeszcze takie rzeczy gadał, ty! — I tupiąc nogami, machając rękoma, jak do uderzenia, począł wrzeszczyć z całej siły pan pomocnik: — Śmiesz mnie, mnie śmiesz mówić! Ty wiesz, ja cię w kajdany okuję!

Stary zamilkł, bo przeczuwał, że w tém wszystkim jest jakaś omyłka. Wzywając wszystkich sił swoich na pohamowanie oburzenia i gniewu, którym wrzał, spytał spokojniej:

— Słowo tylko: zaco mnie więzicie? co to znaczy?

— Co to znaczy? Ja ci powiem, hultaju! Oto ukradłeś konie i kradzione przeprowadzasz.

— Ja ukradł! — zrywając się ze szkapy i podskakując ku pomocnikowi, zaryczał, nie mogąc się pohamować, stary Bartosz. — Ja? Od kiedyż to Bartosz Młyński złodziejem się zrobił?

Pomocnik wskoczył w bryczkę, jak do twierdzy, jednym susem i, tu czując się bezpieczniejszym, krzyknął:

— Wiązać!

— Tak — kończył, zbliżając się, stary ze wzrastającą coraz zapalczewością — tak, konie są kradzione, ale nie przeze mnie!

— Wiązać! — powtarzał pomocnik.

— Żyd je wczoraj przyprowadził i postawił u mnie, żyd Bramko; mam na to świadków.

— Tak! tak! wytłómaczysz się. Ja was znam i wasze świadki cygańskie. Wiązać!

— Prowadziłem te konie, żeby je wam oddać.

— Teraz ci to do głowy przyszło! Widzę, masz ty mnie za gołowąsa, hultaju jakiś! Nu! śledztwo okaże. Wiązać go i prowadzić do miasteczka!

Co się działo ze starcem, na którym przez długie lata nigdy obelżywy wyraz, wzdardliwe nawet spojrzenie nie spoczęło, bo do nich umiał nie dać powodów i nie dopuścić nikomu nad sobą się znęcać — tego opisać nie można. Gniew, wściekłość, rozpacz, boleść niewysłowiona miotaly nim naprzemiany; łzy nawet wytrysnęły mu zpod zakrwawionych powiek, a usta, próżno już wysilając się na słowo, którego znaleźć nie mogły, zamknęły się nareszcie, zdrętwiały; wzrok zatoczył obłąkany, zachwiały się nogi i gdyby nie ludzie, co go już pochwycili i wiązać zaczęli, byłby upadł.

Pomocnik kazał zawrócić bryczkę i prowadzić za sobą Bartosza i konie.

VIII.

Tymczasem Maciej szedł sobie powolnie, gapiąc się po drzewach, poświstując nieforemne piosnki, ziewając szeroko ze znakiem krzyża, szybko szatanowi drogę do żołądka tamującym. Ziewał najwięcej i zegnał się tyleż razy, miał bowiem zwyczaj zawsze być niewyspanym, choćby siedem dni i nocy spał z rzędu.

Pawłowa, szczególnych wiadomości przyczyn i skutków pełna, przypisywała to usposobienie Macieja temu, że się urodził w nocy, a żaden kur nie zapiał, gdy na świat przychodził. Przyczyna dość była wyrozumowana, jak na panią Pawłową.

Szedł tedy Maciej, to zawadzając o korzenie sosen, których nigdy nie widział pod nogami, to łapiąc się po niewczasie za twarz, gdy mu ją już gałąź przecięła, to zmierzając z fuzyi do suchego pnia tak sobie, dla podochożenia i fantazyi. Czasem huknął na całe gardło, żeby innych hukających dalej pobałamucić, to pięścią zduśli wyłazący biały grzyb z ziemi, to zaszczekał psim głosem, to zawył, a wszystko dla niewinnej zabawki. Wcale mu nie było pilno; wiedział, że w Sumaczej go nakarmią i napoją, że czy co zabije, czy nie, ojciec mu słowa nie powie, że do domu wróci wczas zawsze na chudą i krótką wieczerzę pani Pawłowej, z którą już i kłócić się o swój żołądek od niejakiego czasu zaprzestał. Pocięsział się myślą, że:

— Jak da Pan Bóg grzyby, rydze, syroiżki i maślaki, zje licha czarownica, żebym jej jednego przyniósł; wszystkie sam sobie zjem. A będę chorował, to będę chorował, a taki żadnego nie przyniosę.

Maciej tę tylko cnotę wziął po ojcu, że był kozim sposobem uparty.

Ktoby zdaleka patrzył na Macieja, wzięłyby go za pijanego lub ślepego, tak szedł, zataczając się, błakając i napozór nieprzytomny. Wszakże odgłos tokujących cietrzewi obudził go z tego rannego oczmocenia; stanął, posłuchał, czapki poprawił, ze strzelby kłak wyrzucił, podsywał na panewce i, przeżegnawszy się, sunął borem bez ścieżki.

Burek, doskonale wiedząc, jakie są jego obowiązki w takim razie, pozostał w tyle i włókł się noga za nogą.

Tokowisko dobrze znane było: otaczały je stare sosny i młoda choina, pozwalająca przybliżyć się nieznacznie. Podsunął się w to miejsce Maciej, potem, prawie pełzając, przypadł pod nawieszoną gałęzią wysokiej barci. Burek położył mu się w nogach. Cietrzewie tylko co toki rozpoczynały, ale zwiwały się jeszcze dalej, niż na strzał od Macieja. Przyległszy więc na mokrej trawie, wytrzeszczywszy oczy, oczekiwał, palec na cynglu trzymając.

Dobra ćwierć godziny upłynęła, nim strzał nareszcie dał się słyszeć i wielki, stary cietrzew zwalił się na ziemię, trzepocąc skrzydłami. Więcej nie żądał Maciej; wstał, poszedł go zabrać, wpakował do ogromnej torby, w milczeniu strzelbę oczyścił, nabił, na plecy zarzucił i poszedł dalej równie powolnie, równie rozespany jak wprzód, ku dworowi. Cietrzewie tymczasem tokowały dalej.

Pijany, zamyślony czy drzemiący Maciej szedł dalej a dalej; przecież trafił bez ścieżki wprost do małej karczemki, stojącej nad drogą, która już nieopodal była od dworu podkomorzycy. Tu najczęściej służba pańska hulanki sobie, na wzór pańskich, urządzała, pijąc, grając i szalejąc nocę całą.

Rudobrody żyd stał w ganku swojej gospody w pluderkach tyl-

ko i pantoflach, używając świeżego powietrza, bo widocznie tylko co był podniósł się z betów. Pierze miał jeszcze konstelujące włosy, oczy nawpół przymknięte i ziewał co chwila, a skrobał się i bokami poruszał, wyciągając to jedną rękę, to drugą, to obie razem, aż w stawach trzeszczało.

Wieśniak czy budnik, mieszczanin czy szlachcic zagrodowy nigdy karczemki minąć nie mogą; byłoby to przeciwko odwiecznym zwyczajom. Gwałtowne przymknięcie potrzebują odwiedzić każdą. Jeśli gorąco, trzeba się ochłodzić wodą, jeśli zimno, ogrzać u komina, jeśli wietrzno — wytchnąć pod dachem, jeśli błotnisto — osuszyć, jeśli głodno — podjeść, jeśli czczo — wódką pokrzepić lub fajkę zapalić, lub drogi się dowiedzieć, — słowem że zawsze dla czegoś wstąpić nieuchronnie do karczmy potrzeba. W najpilniejszym razie nigdy wieśniak, budnik, szlachcic i mieszczanin, zwłaszcza piesi, nie miną Żyda, choćby tylko nogą na próg i zaraz nazad, a dalej w drogę. Jest-to jakby obowiązkiem podróżnych pokłonić się tej pokusie naddrożnej. Jezdny czasem minie jedną, gdy gęsto stoją; pieszy żadnej. Żyd, któryby zobaczył podróżnego przechodzącego obojętnie koło karczmy, miałby go w podejrzeniu i nie bez przyczyny.

Domyślicie się, że Maciej, ściśle zachowujący zwyczaje starodawne, nie mógł Jankiela, osobiście mu znanego, ominąć. Jakoż brał za kłamkę, gdy gospodarz, wyciągający się jeszcze, zobaczył go dopiero i przywitał:

— He? Maciej, he? a! dzień dobry!

— A! dobry dzień asanu.

— Skąd?

— Już cię z domu.

— Może zwierzyna jest? Słyszałem, że ktoś strzelił niedawno.

— Jaka tam zwierzyna! cietrzewisko i to dla siebie!

— A sprzedać?

— Nie mogę; dla tatula — rzekł lakonicznie Maciej. — Dajcie kieliszek.

— Za wiele?

— Za dwa.

— A macie pieniądze?

— To ja oddam.

— Nie mogę — rzekł równie sucho i krótko Żyd.

— A cóż będzie?

Żyd ramionami ruszył.

— Chodźmy-no do izby; rozmówimy się.

Jankiel dał się nakłonić i weszli.

Po chwilce Maciej wyszedł sam, bez cietrzewia nawet, ale wi-

docznie weselszy, rumiany, czapka zwieszona na bakier, jedna ręka w bok. Gwizdał niesłychanym sposobem fałszywie i przeraźliwie, a coraz-to podbiegłszy ku nieszczęśliwemu Burkowi, kopnął go nogą dla facecyi. Burek, którego nie pierwszy widać raz ten dobry humor prześladował, podtuliwszy ogona, umykał przodem, co miał siły, nie śmiejąc się i obejrząc.

Maciej całkiem szedł inaczej teraz: prosto, żwawo, usta mu się uśmiechały, oczy wesoło grały i tylko kiedy-niekiedy potykał się na leżących po drodze faszynach, podskakując potem kilka razy do góry i klaskając palcami. Śpiewał przytém za każdym razem piosenkę, której jedyne wyrazy powtarzały się w różnych modulacyach: „Hop — sztyk! Fry — dryk! hop — sztyk!“ i t. d.

Kiedy się już dwór ukazał bliżej, Maciej poprawił torby, obciągnął siermięzki, palcami włosy beładnie najeżone przegarnął i starał się poważną minę ułożyć, ale to mu się nie udało. Korciło go niesłychanie Burka kopnąć nogą, czego dokazawszy, zaczynał śmiać się do rozpuku. Potém, jakby przypomniawszy sobie, że śmieje się nie wiedzieć z czego, nagle tupał nogą, stawał, dawał sobie kuksańca w bok, czapkę na oczy napuszczał i szedł, póki się nie potknął.

Potknąwszy się, *iterum* wyskakiwał do góry, śpiewał: „Hop — sztyk!“ dopędzał psa z poczęstowaniem zwykłym i śmiał się. Po śmiechu następował znów kuksaniec w bok. Nie wiem, wiele ich sobie dał, i wieleby ich mógł być dać, bo nie znając rachunku prawdopodobieństwa, nie śmiem zapuszczać się w niebezpieczne obliczanie; ale to wiem, że szczęściem dla boków Macieja mnóstwo przedmiotów odrywało go co chwila od wybryków wesołości.

Tam zagapił się na skowronka, który kołował w powietrzu, i patrzył, patrzył, patrzył, póki mu z oczu nie zniknął; dalej zajęły go dwie zielone muchy, które śledził, aż się gdzieś skryły w rowie; to liczyć zaczynał stado dzikich gołębi, unoszące się na roli, myląc się i poprawiając bez końca, i t. p. Pracowity umysł jego szukał we wszystkim zajęcia; w ostatku na grobelce począł w kałuży, czystej dosyć, robić sobie miny najdziwniejsze i zabierał się do długiej *autoskopii*, gdy przerwały mu zajmujące to badanie nadciągające z hałasem furmanki. Przy nich konno jechał gumieny, niemal tak cięty, jak Maciej, ale w dodatku kurzący sobie w nos fajkę, która dla niego wszystkie tak rozmaite zabawy Macieja zastępowała.

— A pan Kasper! — rzekł z uśmiechem niewysłowionój grzeczności Maciej i, brnąc po kolana przez kałużę, poszedł, zdejmując czapkę, pocałować go w brodę. Przyjaciela poślinili się serdecznie.

— A dokąd-to, panie Kasprze?

— Do miasteczka! Ekonomska hreczka! Cha! cha!

Pan Kasper, który był w parafialnej szkółce, chorował na rymy, tak, że często i przed panem się niemi dławił.

— Cha! cha! — rzekł Maciej — eczka! eczka! Bodaj aspana! Całuję nóżki! — i znowu pocałowali się na obie strony.

— Bywaj mi zdrów! nie wpadnij w rów! — rzekł, żegnając, gumienny.

Maciej odwrócił się i począł, powtarzając to, tak się śmiać, że nareszcie sam sobie zmuszony został, surowo się karząc, dać w bok szturchańca. Ale to nie pomogło: powtarzał pożegnanie i śmiał się, aż mu to przecie powoli odeszło.

Gumienny jechał, oglądał się i śmiał się także, aż padał.

Nareszcie stara cegielnia zakryła przed sobą dwóch przyjaciół, a zbliżanie się ku dworowi upamiętało budnika, który obciągnął poły, poprawił czapkę i nadał policzki.

O kilkadziesiąt kroków od niego stały znowu dwa ogromne wozy żydowskie, ładowne skórą, wełną i Bóg wie jakim towarem, widocznie świeżo i pośpiesznie we dworzec napakowanym. Żydzi, krzątając się przy wozach, silnie o coś się spierali z sobą.

Maciej kwadrans słuchał ich szwargotania, nic nie mogąc zrozumieć, i śmiał się, powtarzając:

— O to gadają! o to!

Na wzgórzu niewielkiem, lecz płaskim, panującym w okolicy, stał dwór pana Jana, dokoła topolami starymi, olszyną i lipami osadzony. Nalewo bieląła oficyna i kaplica w stronie, którą zajmowała z częścią ogrodu matka młodego dziedzica; wprawo wznosiła się porządna murowana gorzelnia i folwark. Między dworem a nim długie żółte stajnie i psiarnie pańskie szeroką zajmowały przestrzeń.

IX.

Wesoło doprawdy było we dworzec, bardzo wesoło! i pani Pawłowa niedarmo tak nad tutejszém unosiła się życiem. Na folwarku hulanka poczynała się od białego dnia, a gospodarstwa doglądał sam gumienny lub wyręczał się polowym, jeśli polowy nie uprosił na swoje miejsce przysiężnego, a przysiężny nie posłał w zastępstwie chłopca od owczarni. Różnie bywało. Tylko przy wysyłkach produktów na sprzedaż znajdowali się wszyscy a wszyscy razem, lub z kolei. Pani ekonomowa, rodem z Warszawy i stamtąd niedawno wywieziona przez podkomorzyca, z ulubienicy pańskiej, dostawszy posag przyzwoity, przeszła na żonę pana Bizunkiewicza. Zaczyna ta niewiasta, nie wdając się wcale w babskie gospodarstwo,

cała była oddana ubraniu, muzyce (grała na hiszpańskiej gitarze) i towarzystwu (niezmiernie lubiła oficerów od piechoty).

Na dole u pisarza prowentowego często i teraz właśnie paroch miejscowy, sekretarz asesora, dwóch szlachty i pisarz z miasteczka grali w elbika, polewając to suche dosyć zatrudnienie wiśniówką i ponczykiem.

U klucznicy było także na śniadaniu mnóstwo dostojnych gości: dwie ekonomowe, jakaś obywatelka tłusta, na kanapie prezydująca, z synem w mundurzyku szkolnym, ale z czarnymi już wąsikami, siostrzenica pana ekonomy i dwie pokojówki podkomorzynj. A śmiech! a gwar! a uciecha! daj go katu!

W gorzelnii pijane dziewczęta tańczyły z parobkami, pisarz prowentowy, wirtuoz wielki, grał na skrzypcach.

W stodole młocki spali, świny żyto jadły. W magazynie gospodarowali żydzi i żydówki.

We dworze czy się jeszcze spać nie kładli, czy już powstawali, ale życie też było wielkie. Przed dom wyprowadzano konie, kłaskano z batów, prezentowano żrebce, próbowano wierzchowców. W ganku stała czereda przyjaciół w kurtkach, surdutach, szlafrokach, w płaszczach, z cygarami w ustach, fajkami w zębach, kartami w rękach i z niedopitym ponczem u gęby.

Wśród nich słuszny, piękny, młody człowiek, barczysty, ogromny, zdrow jak koń, silny jak niedźwiedź, wesół jak ryba, śmiały jak lew, zbudowany jak olbrzym, głośno krzyczał i dowodził wszystkimi. Był to biedny Jaś, poczciwy Jaś, syn pani podkomorzynj.

Nie wiem, czy miał lat dwadzieścia kilka, tak młodo mu z oczu patrzyło, tak życiem pierś buchała, taki w słowach był ogień, — a obok jakie w tychże oczach znużenie, jaka w tej piersi czczość i tęsknota niczém niezagłuszona, jakie w wyrazach ust zgrzybiałe szyderstwo!

Jaś durzył się — nie bawił, szalał — nie żył, upajał — a nie weselił. Z szału w szal, z pijaństwa w pijaństwo wpadając, z odurzenia w odurzenie, biegł szybko drogą życia, nie śmiejąc się ni za siebie obejrzyć, ni przed siebie rzucić okiem. Ludzie mówili: szczęśliwy; on przecież ciężko wdychał przez sen, zasępiał się nawet po pijanemu, chmurzył brwi, skoro sam jeden pozostał. I potrzebna mu była ta szuja, co go otaczała, co mu szumiała w uszy, migiała przed oczyma, co mu śpiewała, brzęczała, pochlebiała, płaszczyła się przed nim i rękę wyciągała bezwstydną; bo sam sobie zostawiony, nie wiedział, co z sobą począć. Sam jeden zostawszy, musiał kłaść się spać, lub wlec się do ekonomowej, słuchać rozbitej gitary i piszczącego jój śmieszku, a w ostatku łajał, bił i pędzał, począwszy od psów pokojowych aż do ludzi.

Była-to właśnie chwila szału i upojenia. Noc zbiegła na kartach, na śpiewaniu, na skokach, przy butelkach i dziewczętach; raneł powitał rozmarzonych, rozkołysanych, szczęśliwych... jeśli się to nawet u nich szczęściem nazywało! Teraz próbowano koni, szachrowano psami, mieniano się na najtyczanki, frymarczono strzelbami i zapijano każdy handel, każdy zakład, każdą wygraną i przegraną.

Jaś rzucił się oklep na konia, ścisnął go silnemi nogami, wywinął nim na dziedzińcu, zakrwawił mu pysk munsztukiem, w chwili okrył go potem i pianą, zasapał; a dowiódłszy odwagi, siły i zręczności, z odkrytą piersią, odkrytą głową i palącemi dłońmi, skoczył na ziemię w biegu, rzucając wierzchowcowi na łeb cugle i wracając z pewną dumą rozkoszną na ganek, między towarzyszy.

— Niechże kto z was tego na nim dokaże!

— Brawo! — rozlegało się w sieniach.

— Wielka sztuka! — zaburczał ktoś na ławce.

— Sztuka! żadna sztuka! Hej! podajcie tu panu wierzchowca! Prosimy spróbować.

— O, wa! no, to cóż? spróbuję!

I mały, błydy, suchy Kazio, który się zgrał w nocy i kwaśny był jak ocet, podbiegł zapalczywie ku karemu. Skoczył raźnie, ale gdy siadł na niego, oczy mu na łeb wyparło, usta się ścięły, dęba się spiął koń pod nim, potem dał szczupaka i — Kazio na murawie.

— Brawo! brawo! majster! — jeszcze głośniej krzyczą panowie — wiwat leżący! zdrowie leżącego!

Podniesiono go z ziemi, oblano dla otrzeźwienia rumem, napojono szampanem i znowu wesoło.

— Teraz już i mama wstała; pójdziemy strzelać do celu.

— Dobrze! dobrze! do celu! — wołają wszyscy.

— Ot i na mszę dzwonią.

W istocie, w ogrodzie nalewo, gdzie oficyna i kapliczka, odezwał się srebrny głosik dzwonka, który cały dwór żeński i faworytów stariej pani zwoływał codzień na nieszczerą może, ale pozornie gorącą modlitwę. Wiedzą dworacy, że okazanie się na mszy zyskuje łaski pani, a pani wiele jeszcze może i ma do dania. Jaki taki więc śpieszy od elbika, od szklanki, od czulej rozmowy z towarzyszeniem gitary do kaplicy, gdzie mu więcej chodzi o to, by go stara pani podkomorzyna widziała, niż żeby mu Bóg modlitwę policzył.

Biegną więc dworacy, oficjaliści, dziewczęta co tchu do kaplicy; nawet ekonom, nawet żona jego, porzuciwszy oficerów, i pisarz prowentowy, choć się zgrał z pańskiego śpichlerza (bo grali na wódkę) i lokaje pana Jana.

Ścieżką od oficyn poważnym krokiem postępuje pani podkomorzyna powoli, oparta na rękę ulubienicy swojej, panny Tekli Trawskiej, pocichu z nią rozmawiając. Twarz jój, pełna łagodności i anielskiego spokoju, oczy niebieskie, lecz zbladłe, postawa szlachetna, uśmiech dobroci niewymownej, ubranie wdowie i skromne. Dość spojrzeć, by ją szanować. Każde jój słowo, każdy ruch objawia serce dziecinniej dobroci, słodycz charakteru nieporównaną i taki spokój na czole, w uśmiechu, w duszy, gdy tuż, tuż obok taka wrzawa, hałas i szaleństwo. Gdyby wiedzieć, gdyby zrozumieć mogła, ile powodów do zgrzyoty i łez! Wszystko, co ją otacza, kłamie, począwszy od syna do ostatniego sługi, wszystko ją oszukuje, wszystko potajemnie, kochając ją nawet, z jój słabości, z jój nieprzerwanej ekstazy, co świat zasłania, naigrawa się i szydzi.

— Jakże, moja Teklusi, powiadasz — pyta, idąc drogą, panny Trawskiej — Jasisko moje zdrowe?

— O! proszę pani, jak rybka, dzięki Bogu, zdrowiuteńki.

— Widziałaś-że go ty dzisiaj?

— A jakże. Biegałam oddać dzień dobry od JW. pani; chciał zaraz pośpieszyć sam, ale to za temi gośćmi...

— O! już to powiem ci szczerze, kochana Tekluniu, że ci goście mnie męczą. Ledwie mogę zobaczyć Jasia. Zbieram mu się nawet kiedyś powiedzieć, że nadto do siebie figur przypuszcza, i Bóg tam wie wreszcie, jakich! Ale to serce złote; przez dobroć to robi. Jakże, moja Teklusi, spał dobrze?

— Dobrze, kochana pani!

— A ten kaszelek?

— Zupełnie ustał po ślazię!

— A nosi-ż na piersiach watowaną załóżkę?

— Nosi, proszę pani.

— Cóż oni tam robią?

— Nie wiem, prawdziwie, ale mają podobno jechać na polowanie.

— O! już to straszny myśliwy, jak nieboszczyk stryj. I to polska natura; aby się tylko nie przeziębił, albo nóg nie zamoczył. Czy mówiłaś, kochanie drogie, żeby włożył lisiurkę?

— A jakże, i przyrzekł.

— Bo to teraz ranki chłodne, moja Tekluniu. Ale, ale, jakże się tam ma ta pocziwa ekonomowa?

— Lepiej, proszę pani. Koniecznie dziś być chciała na mszy świętej na intencją JW. pani z podziękowaniem za łaski, których doznaje.

— Pocziwe serce! nieoszacowana kobieta!

— A jaka przywiązana do męża, to JW. pani nie uwierzył!

— Już-to, moja Tekluniu, ja się tego zawsze spodziewałam, że takie pocziwe kobiecisko musi się prędzej-później do niego przywiązać. On, to także pocziwy z kośćmi.

— Prawda, pani, że to rzadko takiego sługi.

— A pisarz ze swoją fluksją?

— Już zdrów; dziękuje JW. pani za materacyk, ale biédak w wielkim kłopotcie.

— No! cóż to mu takiego?

— Coś mu tam podobno braknie kilkadziesiąt garncy wódki, która podobno wyschła, a że strasznie ma wielki punkt honoru, doprawdy boję się, żeby sobie czego złego nie zrobił.

— A widzisz, Teklusi, jak to źle — zawołała, grożąc, staruszka — że ty mnie tego dawniej nie mówiłaś. Widzisz, to trzeba radzić. Widać, biédaczysko z tego musiał i fluksyi dostać. Bywa to ze zmartwienia. A wieleż mu tam potrzeba?

— Ja myślę, że sto złotych.

— Dajże mu z moich pod sekretem, ale niech nie gada.

— Dziękuję za niego.

Teklusia pocałowała staruszkę w rękę, a ona ją w głowę.

— Pocziwa Tekluniu! zawsze-to tylko o drugim myśli, a nigdy o sobie. Weź-że, kochanie moje, tę czarną atlasową suknię, która mnie, wdowie, na nic się nie zdała, weź ją sobie zato, żeś mi pomogła do dobrego uczynku.

Panna Trawska przyklękła na ścieżce i pocałowała podkomorzynę w kolano, ta ją znowu w głowę.

— Kiedy już pani mi tyle pozwala i taka łaskawa, to i reszty nie utaję — dorzuciła, wstając z westchnieniem.

— No! no! cóż takiego?

— Wszak to i słabość ekonomowej nie bez przyczyny: ona się biédaczka zmartwiła i zlekła o męża.

— A mężowi-ż co?

— Pani wie, że on jednodworzec?

— I cóż?

— Koniecznie go chcą stawić w rekruty.

— Mój ty Boże! i powiadasz, że jego żonatego mogliby wziąć?

— O! czemuż nie? Nawet kolój na niego. Trzeba około stu rubli, a ja nie mam pieniędzy! Co my tu poczniemy? Chybabym gdzie pożyczyla.

— Niech-no się po mszy naradzim, jakoś to załatwim. Biédne człeczysko! Prawda, że i żona w niemałym być musi strachu? Proszę! proszę! Muszę ją pocieszyć zaraz.

— A niech się JW. pani zmiłuje, nic jój o tém nie wspomina; mąż stara się przed nią udawać, że to omyłka, że to fałsz.

— No, to nic jój nie powiem. A odesłałaś, serce, do miasteczka kwartałowe do szpitala?

— Wczoraj.

— I dla żydów?

— Także.

— A moje wdowy?

— Modlą się za swoją dobrodziejkę.

Gdy tych słów domawiały, były już na wschodach kaplicy, gdzie cały dwór, szeregiem stojący, schylał się przed panią, która uśmiechem, słodyczy pełnym, słowy lub skinieniem głowy witała starszych, pieściła dzieci, rozpytywała kobiety.

Że Bóg wysłuchał pobożnej niewiasty, nie wątpię, lecz szatan cieszył się jój dworem.

X.

My wróćmy do Macieja, który powoli i poważnie kroczy do dworu. Zagapił się najprzód przed gorzelnią na tańczących parobków, wybijając takt nogą, potem przed folwarkiem, gdzie stały trzy bryczki oficerów i innych gości, które miał sobie za obowiązek sumiennie obejrzeć; potem w dziedzińcu stanął porachować szczekające psy i wierzgające konie, aż trafił, gdzie panowie do celu strzelali.

Ciekawy a głupi, wparł się, pomimo odpychania, pod sam prawie bok strzelającym. Mina jego zuchowato-głupia wyzywała do żartów i wystawiała go na pośmiewisko niechybne.

Jaś strzelił o czterdzieści kroków kulą z gwintówki i chybił; budnik ramionami ruszył i rozśmiał się głośno, a potem, pomiarkowawszy się, czapkę zdjął i pokłonił się. Panicze to postrzegli.

— A ty czego się śmiesz, niedźwiedziu?

— He? — odezwał się Maciej głupawo — niedźwiedź nie, ale budnik.

— To wszystko jedno. Czego się śmiesz?

— Że kiepsko strzelacie.

— Patrzaj go! o czterdzieści kroków kulą!

— A o sześćdziesiąt? — spytał Maciej.

— O sześćdziesiąt?

— Fanfaron! Spróbujże! — zawołał Jaś.

— Jasny pan żartuje.

— Nie! nie! Ile razy trafisz, dam ci za strzał po dukacie, i to tylko o czterdzieści.

— Jakto dukacie? — spytał budnik.

— Otóż bałwan! Nie znasz dukata?

— Zaczóż do kata? Ja chybię, to do kata, a póki...

Wszyscy się śmiali.

— Ktoś ty taki, nieoszacowany brusie?

— Budnik, JW. panie.

— Skąd?

— Z Osikowego Ługu.

— A! z moich lasów.

— Syn Bartosza, JW. panie, rodzony. JW. pan zna Pawłową? Otóż Pawłowej synowiec, a Julusi, JW. panie, brat, a to Burek, mój pies, proszę JW. pana.

Wszyscy polegli od śmiechu, bo od wyrazów śmieszniejszą daleko była rozradowana i promieniająca twarz Macieja.

— No! strzelajże, kiedyś z nas żartował; a jak chybisz, bez pardonu stęplami.

— O! tego nie, JW. panie!

— Nie chcesz?

— Jak chybię, to wolę w pysk wziąć.

— No! jak to widać, kto ma rozum: pewny jesteś, że ci nie dam. Strzelaj!

Budnik położył czapkę na ziemi, wziął strzelbę pańską, podaną mu, pokiwał głową i oddał ją nazad.

— To śliczne strzelbisko, ale dyabeł jego wie, gdzie u niej co jest; ja z tego instrumentu nie potrafię.

— A może ze swojej? Tém lepiej.

Wśród nieprzerwanych śmiechów wyrwano Maciejowi z rąk jego strzelbę, powiazaną sznurkami, zardzewiałą od wilgoci, a w niektórych miejscach wyslizganą od noszenia, niepozorną, długą, ciężką, jak szyna żelazna, z zamkiem kłapiącym, jak stare pantofle. Panicze dobrze się z niej, przymierzając i celując, naśmiali, gdy budnik tymczasem, nic nie słysząc i nie widząc, szukał w głębokiej torbie kul, bez których nigdy nie chodził, i, nie patrząc na nikogo, zabierał się do nabijania.

— *Place! place!* Komedya będziemy mieli! — zawołał Jaś. — Widzisz cel?

— Nie widzę.

— Jakto? koło, a w kole czarną plamę?

— Plamę to widzę, ale bardzo ogromna.

— Jakto! duża ci jeszcze?

Maciej głową kiwnął. Posłano służącego, który kredą w środku celu białą znak położył.

— A teraz?

— Popróbujem.

— Stoim o czterdzieści kroków; nie zmieniam słowa : za każdy raz dukat. No! śmiało!

Zawczasu zabierano się już szydzić, gdy krótko urwany strzał dał się słyszeć i kula w samym znaku białym uwieźla. Maciej ani zważając na podziwienie i oklaski powszechne, już po raz drugi nabijał, po raz drugi trafił.

— Co chcesz za lufę?

— To nie na sprzedaj.

— Dam ci, co zechcesz! — ozwał się jeden.

— Jakto co zechcesz? A jak zechcę...

Tu myśl nie przyszła, czegoby mógł zażądać, i dodał z uśmiechem:

— A naco lufa?

— Jużciż to wiesz, spodziewam się.

— Bo, z pozwoleniem pana, pan myśli, że to lufa strzela?

— A cóż?

— To najprzód, panie, że ja mam taki sposób na kule, a do tego, panie, że to trzeba umieć.

Znowu śmiechy i budnika poczęto poić, rozgrzewając go wódką i rozmową. Pan Maciej wszystkie zęby miał na wierzchu, w tak doskonałym był humorze. Strzelił raz trzeci i czwarty z równym szczęściem.

Kazio porwał strzelbę budnika i chciał tój samej sztuki spróbować. Maciej spoglądał z flegmą, gdy mierzył, i plunął, gdy chybił.

— Cóż u diabła! mógłżem chybić?

— Najniezawodniej — rzekł Jaś, rzucając dziesięć dukatów. — Kwituję z reszty. Idź, najedz się, do kredensu i bywaj mi zdrów!

Budnik ucałował rękę pańską i pozostał długo w podziwieniu nad złotem, które pierwszy raz w życiu posiadał, nie wiedząc, czy za nie kupić wioskę, miasteczko, czy kilka mil lasu.

Starannie wreszcie skarb ten zawiązawszy w wezełek, w którym już znajdowały się dwa trzygroszniaki poważne, wyczyściwszy strzelbę i nabiwszy ją loftkami na wszelki przypadek, posunął się naprzód do kredensu, potem na folwark.

Tu potrzeba mu było uzyskać za kwitem należną mąkę, którą kum Bartosza, kowal dworski, obiecał odwieźć do Osikowego Ługu. Ale dajże sobie rady w takim dworze, nawet z rozumem Macieja! Najprzód nie było ekonoma, potem nie było pisarza, nareszcie nie było gumienego, który wiedział o przysiężnym; a gdy przysiężny przyszedł, nie miał kluczy; gdy się klucze znalazły, pokazało się w ostatku, że niema mąki. A zatem kowal pożyczył skarbowi, za co skarb z lichwą miał mu oddać; dość że szczęśliwy Maciej, siadłszy na wóz, już miał wyruszyć z workami i kowalem, gdy zaufany

pana Jana sługa, który raczej na podpanka, niż na służącego wyglądał, wstrzymał go, kiwając nań ręką zdaleka.

— Wasan jesteś syn Bartosza? — spytał od-niechcienia, spoglądając razem na Macieja i na wyjęty z kieszeni cylinder.

— Tak, syn rodzony Bartosza, nazwiskiem Młyński.

— Hm, a cóż tam u was, bięda?

— O! sroga biędzisko.

— POCO-bo się tam w tój budzie kwasicie, he? Wszak masz siostrę?

— A jeszcze jaką śliczną!

— Stara pani nasza obiecuje ją wziąć do garderoby, i tybyś może znalazł służbę we dworze, naprzykład na strzelca.

— Zapewne, co ja na strzelca i rodziłem się; a co do Julusi, to się pana ojca patrzy, nie mnie. Albo ja wiem, czemu jęj nie oddaje? Niechajby oddał.

— Powiedz tam ojcu, niech ją przyśle.

— Albo to oni mnie posłuchają? — Ruszył Maciej ramionami.

— A potem też pojechali do miasteczka.

Kamerdyner uśmiechnął się.

— No, to jak powróci.

— A do czegoż to, mówiliście, mieli wziąć Julusię?

— Do garderoby.

Maciej długo milczał, rozważając, coby to miało znaczyć, nareszcie odpowiedział:

— Pewnie tatulo nie zechce.

— Zechce, nie zechce, a ty powiedz swoje — dodał, gładząc bokobrody, służący. — Jeśli rychło jęj nie oddadzą, to potem i miejsca nie będzie.

Zawrócił się, kiwnąwszy głową, i odszedł.

— W istocie — mówił sam do siebie — nieszpetyny dziewczak się robi, a w nędzy to to sparszywieje. Paniczowi raz-wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko łupinki. Nudzi się biędaczysko. Tylko że to sprawa ze starym Bartoszem. Bodaj, żeby nie było ciężko! Ale takiż nas nie pozabija.

Ruszył ramionami i ziewnął.

— Trzeba pospieszyć rozporządzić się wedle śniadania, bo to ta szuja wiecznie głodna, żre, żre, a nigdy się naćkać nie może. A za karty gałgany szachrują i nie płacą. Szerepetki! tfu! Za całą noc wszystkiego piętnaście rubli! Trudno się nie pogniewać. Skapcy! Bodaj-to nasz! A! tylko że go drą na wszystkie strony niemiłosiernie. No! jest-bo co i drzść. Kiedy pan, to pan! Pieniędzy zawsze huk, a kiedy da, to garścią.

Ziewnął znowu.

— Nieszpetny dziewczak i kurczę-to jeszcze młode; możebyśmy przy niej dłużej powisiel; a tu nam nie nastarczyć: coraz co nowego; dalej i na cztery mile wkoło nie dostanie.

I tak pomrukiwał wedle swego zwyczaju, idąc ku dworowi, gdy Maciej tymczasem na furze z kowalem powoli ciągnął się do budy. Nim się naprzód wybrał i jeden i drugi, nim się pod las po grobelce dobili, dobry był już zmierzch, ale mimo ciemnej nocy, na którą się zabierało, nie obawiali się wcale zabłądzić. Znali oba doskonale drogi i drożyny, nawet te, któremi w bór po drwa jeżdżą, nie prowadzące nigdzie, krom porębów dalszych za błotami. Maciej, poczęstowany kilkakrotnie, czuł usposobienie do snu i kiwał się na workach; kowal fajkę palił i dumał. Niekiedy zamruczał coś pod nosem budnik, Burek, jakby dając znać o sobie, że niedaleko ubiegł, zaszczekał, wóz zapiszczwał, gałęzie zaszumiały i jechali dalej.

Smutny las w nocy, zwłaszcza gdy go jeszcze nie okrywały liście. Te sterzące na mglistém niebie kościotrupy drzew suche, ten szum łamliwy i szorstki gałęzi, wcale różny od wesołego liści gadania, krakanie wron, które w najobrzydliwszą porę najbardziej rade się odzywają, i hukanie sów i wycie wichru najweselszego jakimis̄ przepowiedniami zniszczenia zasmucić muszą.

Podróźni nasi zatrzymali się u karczemki Jankiela, przed którą stały dwa wozy i dwa konie wierzchowe; kowalowi bowiem fajka zgasała, a Maciej chciał się napić choćby wody. Zleźli więc oba z wozu i, zarzuciwszy trochę siana koniętom, a bardziej jeszcze kozom żydowskim i krowie, która z powagą wybierała między podróźnych zapasami najświeższą paszę, weszli do oświeconej izby.

Gwar był wielki i ludzi dosyć. Koło komina kupa wieśniaków z fajczkami, przy stole z waszecia coś i z żołnierska się zwijało, w komorze pan gumieny głąskał pod brodę Sórkę, popijając wiszniak. Jankiel stał na przypiecku, rozgarnawszy poły, i nogi, wyjęte z pantofli, z kolei to jedną, to drugą ogrzewał przy piecu. Spojrzał tylko na drzwi, gdy wchodził kowal i Maciej, i splunął.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Dwóch odstawnych żołnierzy, stojących przy stole, obejrżeli się. Jeden z nich natychmiast rzucił się żywo, porwał za ramię Macieja i zawołał:

— Ot, i on!

— Co za on?

— Ot! on jest! ot, jest! — powtórzyli żołnierze oba — nu! to szczęście!

I nim jeszcze Maciej zagłupiony i nie mogący pojąć, co to zna-

czy, przyszedł do siebie, odebrali mu strzelbę, pochwycili od niego torbę i skrępowali w tył ręce.

Budnik osłupiałym wzrokiem toczył wkoło; wszyscy kupili się koło niego.

— Co to? co to? — pytali ludzie — zaco?

— A te gałgany budniki to konie kradli. Dziś pan pomocnik złapał ojca, co prowadził je, a oto synalek, za którym nas posłali; sam w ręce wpadł.

— Nu! ruszajmy do miasteczka! ruszajmy! Noc się robi.

I nie czekając chwili, śpiesząc się tak, że nawet zapomnieli za wódkę zapłacić, wynieśli się co najrychlej z karczmy. Kowal, sam pozostawszy, rozmyślił się z mąką jechać choć po nocy do budy w Osikowym Ługu, dać znać Pawłowej i Julusi, że ojciec i syn pobrani zostali. Było-to poświęceniem z jego strony, ale też-to był pobożny i poczciwy człowiek; panów kochać i służyć im umiał. Panowie, Bogiem a prawdą, tyle się jemu i rodzinie dali we znaki, że porachowawszy ściśle, co doznał i co czuł, nienawiść jego trzeba mu było przebaczyć.

Dwóch dworskich, przytomnych wzięciu Macieja, powróciwszy wieczorem do Sumaczej, opowiedzieli o tym wypadku w oficynie. Dowiedział się i służący pana Jana i panna Tekla, która o wszystkim wiedzieć była zwykła, i pan Jan, bo mu zaraz o tém zauszniczy znać dali.

Wywołany do sypialnego pokoju pan Jan, wysłuchawszy doniesienia służącego, wzgardliwie piękne usta skrzywił i rzekł:

— Jednakże to łajdaki! Patrzcie, konie kradli! A wszyscyście mi mówili o tym starym Bartoszu, że poczciwy, dumny i ciężki człowiek. Widzicie, jak nie znacie ludzi!

— Terazby pora wziąć dziewczynę do dworu?

— Jak uważasz: rób tam sobie, co chcesz, z panną Teklą. Niechaj ona po nią pośle; mnie nie uchodzi; już i tak gadają. A potem zobaczymy.

XI.

Wieczorem już późnym weszła panna Tekla z zafrasowaną minką do pokoju, w którym stara podkomorzyna robiła pończochę i odmawiała koronkę. Po twarzy swój ulubienicy poznała zaraz zacna staruszka, że ma coś, coby powieździć chciała, a raczej czegoby chciała, żeby się od niej dopytano.

— Cóż tam, moja Teklusi?

— Wiatr i śnieżek pruszy.

— A! to bięda! A tu bydełku paszy potrzeba. Ale coś ty, moja droga, masz minkę skłopotaną.

— O! nie! nie! — odpowiedziała panna, siadając do roboty przed świecą.

— Ale kiedy ja-bo już widzę. To znowu sobie jakiś kłopot cudzy za swój twoje dobre serce przyjęło.

— Doprawdy, pani, że nie.

— Ale kiedy ja cię zawsze poznam, moja kochanko.

— Ale nie, droga pani. To nic, to tak, doprawdy.

— Powiedz-że mi, proszę cię. Ja do razu poznałam, że coś ci jest, kiedyś wchodziła. Ty nic ukryć w sobie nie umiesz.

— Ale-bo, droga pani...

— Każę ci, mów, proszę bardzo, mów mi zaraz, panno Teklo, bo się gniewać będę. Słyszałaś, że mówiłam ci, każę?

— Nie chciałam pani mówić, bo doprawdy... To znów o tych nieszczęśliwych budnikach, o których już razy kilka wspominałam pani.

— Cóż im tam?

— Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście. Wszak-to pokazuje się, że ojciec, a podobno i syn, należeli do szajki złodziejskiej.

— Jezu Maryja! czy to być może?

— Teraz pobrali ich do miasteczka, a ta nieszczęśliwa Pawłowa, wdowa, (co to JW. pani dawała jej maść do nogi) i córka Bartosza, Julusia, same jedne i bez kawałka chleba zostały.

— To potrzebaby je zabrać do dworu.

— A doprawdy, toby był prawdziwie miłosierny uczynek. Ta młoda nadewszystko, to bardzo dobre dziecko, a tak opuszczona, zwałać się może.

— Ale, moje serce, nuż jakie nic dobrego?

— Gdzie tam, JW. pani! to ledwie może ma rok piętnasty!

— I jak to wygląda? Bo ty się cudownie znasz na fizyognomii. Nigdy nie zapomnę, jak-eś od razu poznała tego Piotra, który mi potem tak swemi głupimi oskarżeniami na wszystkich dokuczył, i Dorotę, co wiesz.

— Sliczne dziecko i zdaje się, dobrze jęj z oczu patrzy; tylko Bóg to jeden wie, co jeszcze z nięj być może.

— Tak! Bóg to wie i Bóg jeden, moje serce, nawet już zepsutego łaską swoją nawrócić i na drogę dobrą wprowadzić może; nasz obowiązek wyciągnąć rękę potrzebującemu pomocy. Zadysonujże, moja droga, konie po nich jutro. Niech mój Paweł jedzie wielkim wozem i sprowadzi tu to biędaństwo. A zato, żeś mnie doprowadziła do dobrego uczynku (podkomorzyna zdjęła z palca pierścioneł

i oddała go pannie Tekli, która, całując kolana i płacząc niby, przyjęła go).

— Co to za serce! co to za serce złote! — powtarzała staruszka.

Jak świt nazajutrz wysłano karecianami końmi pana Pawła po Pawłową i Julusję.

XII.

My go uprzedźmy do budniczej chaty.

Cały dzień przeszły siedziały kobiety same jedne, oczekując Bartosza, a potem Macieja. Ostatniego wszakże znając z gapiowatej ciekawości, rychlej jak późnym wieczorem nie spodziewały się.

Długie próżne oczekiwanie na starego Bartosza napępiało je niepokojem; nigdy bowiem, wyjechawszy z domu za interesem i bez strzelby, tak długo się nie bawił: owszem, zwykł był rychlej, niż się go spodziewano, powracać.

Z ludźmi swojego stanu Bartosz, nie gardząc niemi, nie unikając od nich, przestawał jednak niebardzo chętnie, zbywał milczeniem, czując się i rozumem i czuciem daleko od nich wyższym. Wyżsi nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; żydów stary cierpieć nie mógł, *pijawkami* ich pospolicie nazywając, wódki prawie nie pił: jedno, co mu mogło czas ubiegający skrócić — to las, samotność w nim i cisza. Zrodzony wśród lasów, od dzieciństwa do nich przywykły, tęsknił po borach i obejść się bez przechadzki codziennej nie potrafił. Nie było dnia szarugi, zawiei, śnieżnicy, deszczu czy burzy, by przynajmniej godzin kilka pod gołym niebem nie strawił. Ze strzelbą na ramieniu, nie miał równego sobie myśliwca, łowcem był niezmordowanym i niepokonanym; bez niej chętnie zadumywał się wśród szumu borów, a nie cierpiąc próżnowania, które śmiercią nazywał, zawsze z czémś użytecznym powracał do domu. W porze grzybów zbierał grzyby, to jagody, to zioła lekarские, to korę, lub naczynko jakie wystrugane, sprzęcik, sidła na ptaki i tym podobnie.

Zdawało się, że przy pracy zapominał jakiś wielkiej boleści, którą starannie taił, chociaż ona mu ciążyła widocznie. Okoliczni budnicy szanowali go jak patryarchę, radzili się go jak ojca, bali jak swojego naczelnika, chociaż słowy tylko był srogi.

Często na pniu przed chatą, na wywróconym ulu w polance usiadłszy, otoczony swoją bracią budnikami, gdy z upartego milczenia, ożywiwszy się, wyszedł i usta otworzył, opowiadał im dawne dzieje, stare podania, które najchętniej pamiętał. Nazywał im po

imionach i przydomkach pradziadów ich i dziadów, dawno pomarłych, z ich życia dotykając tego tylko, czem się wnukowie pochlubić i nauczyć mogli. To znowu sądził sprawy i godził właśnie sąsiedzkie.

— Myśmy — mawiał — garścią tu obcych wygnańców; powinśmy być tém poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej i ziemi rodzonej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy, to i Chrystus był ubogi i Józef cieśla się nie wstydał nazywać; pracujmy; biędniemy, cierpmy, a nie skarżmy się, jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom tylko śmiech.

W krótkich słowach często im wielkie dawał nauki; potem, gdy widział, że między sobą, wzięwszy na rozum, rozbierać poczynali, rzucał ich i smutny a milczący, chwyciwszy strzelbę, szedł w las dumać i wychnąć tam z sobą. Umiejętność leczenia ziołami, zwłaszcza ran i wścieklizny, nie mało do niego ludu sprowadzała dawniej; teraz zabroniono mu tego i ukradkiem chyba kto się przywłókł.

Maciój nie miał biedaczysko serca u ludzi, a śmielsi nawet szedzi z niego, najżyczliwsi zaś kończyli, o nim mówiąc: — nie udał się w ojca.

— Ale co to jest, że Bartosz nie wracają? — mówiła Pawłowa, wyglądając coraz oknem.

— Może w lesie — odpowiedziała Julusia — a wy wiecie, że w lesie gotowi się zapomnieć i do nocy.

— W lesie, ponocku, bez strzelby? A kazałby tam robili! I Maciój-bo głupi jakby nie wiedział, że chleba niema, a mąka nam bardzo potrzebna! Ot! oślisko, i po wszystkiem!

— Kochana pani Pawłowa, albo to my wiemy, czego to on się tak opóźnił? Może...

— Już to taki w tém nie chybi jest jakieś лихо — szeptała stara — niedarmo się zrana sól wywróciła. Pamiętam, kiedy mój nieboszczyk szedł w tę nieszczęśliwą godzinę, co się miał pobić z tym krzywonosym, a potem tak zmarnieć, to i wówczas także sól mi się z drewnianką wywróciła, i także na prawą stronę. A tu mierzchnie, dalibóg-że mierzchnie!

Zapalono łuczywo w bundurze i dwie kobiety zaczęły prząść w milczeniu, przerywanem tylko niekiedy przysłuchiwaniami się zwodliwemu szumowi wiatru, który zdawał się to chodem ludzi, to turkotem wozu. Już się i dobrze ściemniło.

— No, już to taki nie bez kozery — mówiła Pawłowa, pokaszlując. — Gardło dam, że tu dyabelska jakaś sztuczka jest. Stary nigdy się tak bez strzelby nie zabawia; a Maciój, choć taki, Boże od-

puść, głupi, ale też i tchórz po nocy i w lesie włączyć się po zmierzchu nie lubi.

— A jak kował konia nie dał?

— To nie może być, kum. A zresztą kto go wie? może, może! Ja taki zawsze mówiłam, że to chytra sztuka; wiele obiecuje, jak przyjdzie do rzeczy, zwłaszcza taki mnie, to na obwinienie palca nie zrobi nic. Zawsze mówi: „Daj mi asani pokój“. Chłopisko! O! już to z chamelem to i w kumy zadać się nie warto; taki cham chamelem!

— Ej! ciotuniu! a przeszłego roku na przednówku kto nas ratował?

— Wielka mi rzecz! taki bogacz! sam nie wie o swoich skarbach! Kapnął tam, co mu z nosa spadło! Nie warto o tém i gadać.

Julusia nic na to nie odpowiedziała. Słuchały znowu; nikt nie przybywał.

— Dziw to, dziw — odezwała się znowu Pawłowa po chwili, niecierpliwie kręcąc głową. — Od ilu lat tu jestem, nigdy tego nie bywało.

— O! byle tylko nie jaki przypadek! — mówiła ze łzami Julusia. — Te konie cudze, z którymi ojciec pojechał, młode, boję się, żeby go nie uniosły, nie rozbiły.

Stara poskrobała się w głowę i mruzczała:

— Już nie darmo sól się przewróciła, a gdy wychodzili z chaty, to wrony, jak najęte, krakały.

Wtém wóz kowala zdaleka turkotać począł.

— Ot, i Maciej jedzie — zawołała Julusia — a ojca ani słychu! Chwalić Boga, że choć brat jest. Wyślemy go zaraz za ojcem do miasteczka.

Wóz zatrzymał się przed chatą i Julusia boso wybiegła z łuczyną aż na podwórze.

— Macieju! Macieju! — krzyczała — nie wiecie co o ojcu? nie widzieliście go? Wszak do téj pory niema.

— Niech będzie pochwalony! Dobry wieczór.

— A to wy, kumie! Gdzież Maciej?

— Maciej — rzekł skłopotany kowal — Maciej...

— Jakto i Macieja niema! Cóż to się stało? To ojcu jakiś przypadek się zdarzył! A! mój Boże! — I rzucając łuczynę, z krzykiem załamała ręce.

Pawłowa, narzuciwszy kożuszyne, bo kaszlała, wyszła także do sieni.

— Gadajcież, kumie, gadajcież!

Kowal szukał w głowie, co miał powiedzieć, i z trudnością zebrał się na kilka wyrazów.

— Bóg z wami! nie trućcie. Niema nic tak złego. Wy musi-

cie lepiej wiedzieć ode mnie, co to za głupia sprawa zatrzymała i ojca i Macieja w miasteczku. To o jakieś tam konie; dla świadectwa ich obu zatrzymał pomocnik.

Stara Pawłowa pokiwała głową, Julusia zaczęła gorzko płakać i ledwie odpowiedziała ze łzami:

— Ale to nie może być, żeby oni byli co winni; my wam zaraz rozpowiemy, jak to było.

— Niechże-no ja wprzódę mąkę zniosę — odparł kowal i dźwignął jeden worek.

Cały wieczór potem trwało rozprowadanie obszerne wczorajszego przybycia żydów, które Pawłowa dziwnymi pomysłami ozdabiała. Nareszcie dobrze po północy kobiety ustąpiły do alkierza, a kowal układał się w pierwszej izbie na ławie.

Szarzało, kiedy powstawali. Julusia całą noc we łzach spędziła. Nim się kum wybrał napowrót, i konie też przysłane przez podkomorzynę nadeszły. Wielkie było podziwienie naprzód, potem radość niezmierna Pawłowej, która wszakże pokryła ją udanym fraunkiem, starając się przekonać Julusie, że nie gardząc łaską pańską, jechać należało.

Dziewczyna, sama nie wiedząc czego, płakała; kowal pocieszał ją opowiadaniem o dobrej starej pani. Chatę bez obawy szkody, boć tam w niej nic nie było, powierzono na straż sąsiadowi Marciniowi, budnikowi, a krowę i kozy kowal zabrać z sobą przyrzekł. Wyjazd postanowiony został i obie kobiety już się około niedługiego wyboru krzątały.

XIII.

My opuścimy Julusie, odjeżdżającą we łzach do dworu, i Pawłową, która lży udaje, pociąga nosem, oczy wyciera, spluwa, charka, w sercu się radując próżnowaniem i dostatkami przyszłym; powrócmy do miasteczka, gdzie stary Bartosz i Maciej uwięzieni siedzą.

Na starcu, przekonanym o swjej niewinności, nie mogącym pojąć, aby go jakimkolwiek, bodaj najniepocziwszym sposobem, upłatać miało w sidła, stan nowy zupełnie dla niego czynił w początku wrażeń lekkiej rany, któraby, nie będąc śmiertelną, srodze wszakże bolała. Lecz gdy po pierwszym i drugim dniu z początkow śledztwa przekonał się, jak misternie żyd upłatał sieć na jego zgubę, ponura rozpacz opanowała starca, któremu nie tak kara, jak hańba występku była straszną. Jemu, co się nigdy nie zmazał niczém, na starość posądzonym być o złodziejstwo, uwięzionym ze złodziejami! karanym jak złodziej! W pierwszych chwilach omało nie oszalał,

potem, przetrwawszy je, upadł na słomę i począł gorąco się modlić; nareszcie zachorzał. Zwolna i zdrowie staremu potrosze wracało, ale smutek i rozpacz zostały.

Maciej tymczasem przywołany do śledztwa, obwiniony o uczestnictwo, trzęsiony po więzieniu i znaleziony zbyt na budnika bogatym, bo miał dziesięć dukatów, zmieszał się, jak winowajca, usiłował się wytłumaczyć, jękał się, bękał, ale im dłużej mówił, tem mocniej się plątał. W sprawie ojca jął odpowiadać tak, jakby go chciał umyślnie potępić. Było-to tylko głupstwo. Pomocnik poddawał mu odpowiedzi, on je za nim powtarzał, a za jego słowa pisano zeznanie, które Maciej wielkim znakiem krzyża na końcu utwierdzał.

Gdy staremu odczytano zeznanie syna, popatrzył ponuro i zamilkł. Odtąd postanowił nie odpowiadać i słowa na żadne pytania, nie tłumaczyć się i nie uniewinniać wcale. Zdał sprawę swoją na Boga, a w dumie swój i cnocie wziął się na stoickie milczenie i wytrwałość.

Maciej na pierwsze zapytanie: czy widział, kto konie przyprowadził, odpowiedział, że Bramko, który gdy krzyknął mu głośno, że łże, poprawił, że był tam jakiś żyd nieznamy.

Napisano więc nieznamomego tylko żyda. Bramko, że sam pierwszy doniósł, gdzie się konie ukradzione znajdowały, uprzedził, że pewnie na niego przez zemstę potwarz rzucac będą.

Potem spytany, czy konie za pozwoleniem ojca zostawiono u niego, odpowiedział, że nie. I znowu na lepszą drogę naprowadzony argumentem bardzo silnym, poprawił się, że żyd coś szeptał, że on nic nie słyszał, że o niczem nie wie, że może była jaka umowa.

Spytano, dokąd prowadzono konie; zaklął się naprzód, że ojciec jemu kazał je do miasteczka do pomocnika odprowadzić, ale zakrzyuczany znowu, dodał natychmiast, że ojciec sam zaraz siadł je wieść, a on nie wie, dokąd i poco.

W ostatku dobadywany jeszcze, czy żydzi często tam bywali, nagadał, ile razy ich gdzie w lesie widział, i zeznał, że u Jakóba Paciorkiewicza, budnika, często konie podejrzone widywano. Słowem, poplótł Maciej niestworzone rzeczy, prawdę i fałsze i takie półsłowa, które spisujący kancelista mógł powywracać jak chciał, czego nie omieszkiał też uczynić i skierować je na najpewniejsze potępienie budników.

Bramko swoje doniesienie i zeznanie ułożył bardzo zręcznie i to zabójczem było dla starca. Nie było komu ani się za niego ująć, ani posmarować, ani chodzić i prosić. Córka, której kłamano, że ojciec co chwila ma powrócić, nie wiedziała całkiem o położeniu jego i niebezpieczeństwie; bracia budnicy, siedzący w lesie, nim się

rozszluchali, nim naradzili, nim namyślili pójść, nim to uskuteczniłi, wiele a wiele upłynęło czasu nienagrodzonego.

Już i liście na drzewach zapachem napełniały powietrze, a starzec jeszcze siedział w duszném, zamkniętém, tak zwaném miejskiem więzieniu. Lecz jak zmieniony, jak zestarzały, jak znędzniały, jak strapiony i własnym położeniem i niedołężnością syna i niepokojem o córkę, o którą się lękał, i spodleniem, które go spotkało! Ciężko było poznać!

Duma i powaga, które tę piękną twarz niedawno jeszcze tak charakterystyczną czyniły, zmieniły się teraz w rozpacz niemą i głęboką, milczącą boleść; przywalony, zdawał się o kilka lat starszym; na skroni jego ciemny włos nagle począł się srebrzyć i bielć. Do koła oczu zapadła skóra i porysowały się marszczki, a usta zacięte silnie z trudnością nawet na westchnienie otwierały się, tak je wola starca rozkazem milczenia zamknęła potężnie.

Maciej ogłupiony bardziej jeszcze, nie wiedząc, co się z nim dzieje, najspokojniej znosił uwięzienie i godził się ze swym losem. Mawiał tylko czasami, że boi się, jak ich uwolnią, aby go tatulo nie połajali. Nie chcąc czasu tracić, uczył się fajkę palić.

XIV.

Gdy się to dzieje w miasteczku, druga scena tego biédnego dramatu odgrywa się we dworze.

Pawłowa z Julusią, przybywszy do Sumaczój, osadzone zostały jedna w garderobie podkomorzynój, druga na folwarku jako pomocnica klucznicy. Każdy tu niezmiernie pomocnika potrzebował, bo nikt nic nie robił i rad był zwalić ciężar na drugiego, nie czując się wcale do obowiązków. Tak nierozważna dobroć psuje ludzi.

Tymczasem korzystając z uwięzienia starego Bartosza, którego dworacy, znając go lepiej od pana, obawiali się, zastawiono sidła na jego córkę. Podkomorzyna przez litość, pomocnicy pana Jana przez rachubę obdarzyli ją wykwinnym ubiorem i wszystkiém, czego dotąd brakło ubogiemu dziecku lasów, przywykłemu stroić się w kwiatki tylko, — wszystkiém, czego nie znało nawet, a do czego, nie znając, jako kobieta, wdychało. Sukienki, koszulki, fartuszki, bursztyny i korale na szyję, chusteczki kwieciste na głowę, trzewiczki foremne ze świecącej skórki, pończoszki białe i wstążki ponętne, a wabiące oczy — wszystko to zleciało się do kufereczka Julusi, która choć smutna i strwożona, choć tęskniła za ojcem, nie miała siły, żeby te dary niebezpieczne odrzucać od siebie.

W zwierciadelku tak jęj z tēm było pięknie, gdy się w niedzielę przystroiła do kaplicy!

Często, często rozpytywała się o ojca, ale jęj odpowiadano coraz nowemi kłamstwami lub nowemi nadziejami, uspokajając niebogę. Szczególniej Pawłowa, której wierzyła Julusia, a która Boga w sercu nie miała, prawila jęj to to, to owo, od dnia do dnia powrót Bartosza odwlekając, obiecując, oznajmując, donosząc jęj fałszywe słowa, któremi ją niby pozdrawiał. Drżała wprawdzie na myśl jego powrotu, ale zdawało się jęj potem (i tēm się uspokajała), że ciężko obwiniony nigdy już na swobodę nie wyjdzie.

Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość, pragnąca życia, wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody, jakże naówczas zamaszysto a szeroko bije serce, jak myśl ulata potężnie!

A wśród tego żywota nowego, ilekroć chmurka ma go zaćmić, jak sami kłamiemy sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy, co tylko ziemię spragnioną orzeźwi. Lękamy się utracić chwili drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, teraz warunkiem już życia będącej.

Przeszłe życie Julusi wśród głuchego lasu, wśród ciężkich znójów, często w niedostatku, którego wyobrażenia mieć nie możemy, tłómaczyło ten zapał i pragnienie wesołej, słonecznej chwili. Wspomniawszy na te dni długiego milczenia, nieprzebyte, nieskończone, oblane łzami i potem, snem głodnych marzeń zamknięte, i samotność niczēm nieprzerwaną, dziewczyna dostawała dreszczu i w głowie jęj się kręciło.

Tu równiennice, przyjaciółki, piosnki i zabawy wesołe i przechadzki swobodne i tańce niedzielne i słówka pochlebne i jakiś raj w przyśłości świecący, czarną i okropną robiły przeszłość.

Zwykłej do pracy, do milczenia, do połajañ, łagodnie i pieszczono obejście się, wygody życia, stroje zalotne, uśmiechające się twarze, dni spoczynku po dniach zabawy, dni zabawy po dniach spoczynku błogiēm czyniły życie; nie wiedziała, czy można było jeszcze życzyć czego, pragnąć więcej; chyba ojca przy sobie, wolnym i szczęśliwym, jak ona była.

Węża, co pełzał pod tym wieńcem kwiatów, nie widziało dziewczę jeszcze. A pan Jan często i nadto często począł się przechadzać do oficyn i panna Tekla z Julusią, którą w szczególną wzięła opiekę, nierzadko tēż robiła wycieczki ku dworowi, tak, że się prawie zawsze w lipowej ulicy spotykano z paniczem. Julusia, dzika jak leśna koza, krasniała, płonęła, mieszała się, spoglądała zpod oka; podobał jęj się ładny chłopiec, ale zrozumieć jeszcze nie mogła, jaki jęj los gotowano.

Czasem błyskawicą prześliznęła się myśl po głowie :

— A nuż panicz pokocha ?

I westchnęła i dumiała i śmiała się, jak z marzenia.

Julusia nie była już nieświadomym dziecięciem, bo nędza i cierpienie dojrzewają rychło i uczą wszystkiego, złego i dobrego, a nad ich oddech niema straszniej trującego wyziewu; ale nauki ojca i własna myśl nie dozwalały jej pomyśleć nawet, żeby chwili upodobania i szału miała siebie poświęcić; ile razy pan Jan myślami gorącemi zajął jej młodą głowę, śniła, że ją pokocha i, jak w bajce — z nią się ożeni.

Zdawało się jej to naturalnym bardzo, a w zwierciadełku twarzyczka mówiła :

— To być może !

Tymczasem co dnia, co godziny, oswoiwszy ją, powoli ścieśniano zastawione sidła. Ale środki, użyte na biedne leśne dziewczę, złe były właśnie dlatego, że nie dotykały ani jej głowy, ani serca, zamierzając zgubić ją w sposób gwałtowny, zwierzęcy, przemocą i siłą.

Przemocy pojąć, przypuścić nie mogła, a dumnym ciemnych oczu wejrzeniem odtrącała zuchwałych daleko, nie pozwalając się przybliżyć, nawet się dotknąć do siebie. Za serce, za głowę nikt jej ująć nie umiał; panicz, choć ją lubił, kochania grać, ani okazać nie myślał; a gdyby je czuł nawet, kto wie? możeby się wahał prostej dziewczynie objawić. Zdawało mu się, że się wszystko kupuje i za wszystko płaci.

Wreszcie, gdy opór niespodziany a dumny i wzgardliwy niecierpliwi poczynił, a Julusia, zastanowiwszy się nad sobą, tak uparcie zamykała się w garderobie, że z niej krokiem ruszyć nie chciała, gdy wszelka nadzieja dla panicza upadła, a sidła zostały próżne i daleko, potrzeba było o zmianie ich pomyśleć.

Po dłuższej naradzie z pokojowcem ulubionym i panią Pawłową postanowiono, że sto razy lepiej, dogodniej i bezpieczniej będzie odwieźć dziewczynę ze starą ciotką do budy w lesie i tam tylko opatrzyć je we wszystko, by zdaleka od oczu, w głuchej ustroni odwiedzać je, gdy się podoba. Postanowiono wyporządzić i rozszerzyć budę, nie szczędzić podarków, działać przez namowy Pawłowej, która się podejmowała być szatanem kusicielem, nasyłać na Julusie dziewczęta garderobowe podkomorzynę, muzykę, dworaków — słowem, nie oglądając się na nic, szybko i wszelkimi środkami dążyć do celu! We dworze między innymi niedogodnościami lękano się i tego, by wiecznie ślepa pani podkomorzyna nie opatrzyła się, co się dzieje, a dziewczyna nie wygadała się z czem przed nią dziecinie.

Pannie Tekli, wmieszanej do haniebnego spisku, łatwo było wytłómaczyć przed starą panią, że Julusia nadzwyczaj tęskni za swoją chatą i lasami, że do nich przywykła bardzo, a dniem i nocą tajemnie płacze, nie śmiejąc mówić. Ulitowało się dobre serce staruszki i z dodaną Pawłową i stróżem ze dworu wyprawiono obie nazad, obdarzone, zbogaczone nieledwie, postarawszy się wprzód o powiększenie chaty, zaopatrzenie spiżarni, a na miejsce chudej krowy i dzikich kóz piękne bydelko postawiono w obórze.

Lecz godziź się szczegółowo malować tę część naszego obrazka, tak znajomą, tak pospolitą? Godziź się po setny raz rozwijać przed wami historią uwiedzenia, które im łatwiejsze, tém sroźszej może warte jest chłosty? Potrzebaż opisywać i wieczorne odwiedziny w puszczy pana Jana i zdradliwe namowy Pawłowej i upór Julusi i szal, który nareszcie młodą zakreślił głową, i wszystkie sposoby bezecne, jakich namiętność użyć nie wahała się?

O! zwierzę nie może być obrzydliwszem od spodlonego człowieka!

Cienie lasu pokryły zbrodnię, popełnioną bez serca, w imię serca, z zimnym namysłem i rachubą, z lekkomyślnością występłą, z uśmiechem potępieńca. Jedna Pawłowa, a z nią szatan uśmiechnęli się tej chwili, którą wiele łez gorzkich obmyć miało.

Julusia została ulubienicą pana Jana, ale wkrótce wstręt, pogarda, rozpacz zachwiały słabą jej głowę. Przechodziła z szalonego śmiechu do łez nieutulonych, tłukła głową o ściany, rwała piękne czarne włosy, łamała ręce i latała, jak obłąkana, po łące i po lesie, powtarzając:

— Ojcie! ojcie!

Wkrótce, gdy Jan przybył z postawą pewną siebie i zwycięską, odtrąciła go silnie, a nachmurzywszy brwi, przystąpić mu nawet do siebie nie dała. Ten dziki opór rozjątrzył napastnika, i gdyby był rachubą, korzystniejszym dla Julusi byłoby nie mógł. Opór ten i wzgarda przywiązały panicza do biędnej dziewczyny.

Wyrzuty, obojętność, smutek i rozpacz ciągnęły go silniej może do chaty budnika, niżeli miłość, prośby, łzy i zaklęcia.

Pawłowa tymczasem mocno się zadumywała i niepokoiła, pogłędając na Julusie.

— A to szatan dziewczka! — mówiła, na przypiecku siedząc i głaszcząc ulubionego burego kota. — Licho wie, co tam w tej głowie! gdzie i ojcowiska krew! Dumne, głupie, a niepokonane! Co to ubogiemu tak się z sobą drożyć! Oj! gdyby to Pan Bóg dał drugi raz młodość, wiedziałabym ja, co z nią zrobić! A tymczasem żeby tylko lichu starego nie przyniosło, bom gotowa guza oberwać, albo i gorzej.

Jednego ranku nareszcie Julusia, przepłakawszy noc całą, znikła nagle z chaty. Pawłowa sądziła, że ją uprowadzono do dworu, ale Jan nadjechał wedle zwyczaju i przestraszył ją zapewnieniem, że dziewczyny nie było we dworze. Rozbiegli się tedy jęj szukać i wieczorem dopiero znaleziono biedną w głębokim lesie nawpół obnażoną, z rozpuszczonemi włosy, siedzącą na pnju z oczyma osłupiałemi, z usty skrzywionemi uśmiechem, obłąkaną zupełnie.

Wielki był przestrach pani Pawłowej i pierwszy raz Jan uczył dreszcz jakiś, przebiegający od ciała do duszy, ściskające się serce, oczy krwią zabiegające. Niecałkiem jeszcze zepsuty, pojął nareszcie swą zbrodnię. Odtąd codziennie przybywał do obłąkanej i tu dnie całe pod pozorem polowania trawil.

Dziwne było obłąkanie Julusi. Niekiedy, ale rzadko, w szal i wściekłość prawie przechodzące, uspokajało się rychłym strumieniem łez, a potem zlewało się w słodkie jakieś marzenie, jakby senne widzenie, pełne czarownego wdzięku, a przerażające dla świadków, bo za niem stała straszna rzeczywistość.

W szaleństwie rzucała się na Pawłową i innych przytomnych, z czém miała; często nożem krwawiła sobie piersi, chcąc się zabić, leciała do wody, żeby się utopić, szukała sznura, starając się powiesić. W każdym izby kącie widziała czarne oczy ojca, poglądnące na nią z boleścią i wyrzutem. Zakrywała się od nich chustą i widziała wejrzenie ojca przez nią; narzucała na siebie wszystkie suknie swoje, kryła się w najciemniejsze kątki i wszędzie i zawsze wzrok ten starego ojca przeszywał ją wyrzutem zabójczym.

Potem osłabła opadała, osuwała się i poczyniała płakać rzewnie, zdawała się usypiać powolnie, aż znów otwierały się jasne jęj oczy, uśmiechały usta, rozpromieniała twarz, i jeśli Jaś był przy niej, wysnuwała się marzenie, które wyrazy poznać dawały.

— Nieprawdaż — mówiła — chociaż pan jesteś bogaty, ale ty się ze mną ożenisz, tak jak w bajce, którą mi mawiała Pawłowa, książe ożenił się z pastuszką. I poprowadzisz mnie do swojej matki, a ona pobłogosławi nas. Dasz mi sukienki szyte w słońca, księżycy i gwiazdy, włożysz na głowę moję koronę, na szyję perły, na nogi złote obuwie i poprowadzisz mnie do ołtarza. Potem... potem... Mówże mi, co potem będzie?

Jan zachmurzony milczał.

— Wszak prawda, że się ze mną ożenisz? — dopytywała się Julusia, chwytając go za szyję — wszak prawda? Ludzie nie wierzą, śmieją się, ale ja wierzę. Ja jestem biedna dziewczyna, ale szlachcianka. O! nie chłopka, nie! Ty mnie kochasz, matka pozwoli. Wszak mówiłeś mi wczoraj, że mnie kochasz? Pamiętasz?

tam pod drzewami, na zielonój murawie, księżyc kąpał się w strumieniu, ptaszki śpiewały na gałęziach, a mój ojciec patrzył na nas.

Tu na wspomnienie ojca znowu zakrywała sobie oczy, narzucała na siebie suknie, chustki, pościel swoją, usuwała się pod sprząty, aż przestрах, który nią wstrząsał do głębi, przeszedł powolnie, rozplynął się łzami, a po nim rozświtało znów rozkoszne marzenie.

— Patrzcie — mówiła — dokoła panowie, panie, książęta, królowie, a wszyscy kłaniają mi się. Jasienko mnie prowadzi, prowadzi i posadził na bogatym tronie. Matka siwowłosa błogosławi nam. Ot, i dzieciątko maleńkie to nasze! Jakie śliczne! co za włoski złote, jakie usteczka różowe, jakie oczki ma niebieskie!

Często dnie całe ciągnęły się te rozmowy samėj z sobą, z urywanych wyrazów składane, których Pawłowa słuchała z przestachem, Jan pogrążony w głębokiém zadumaniu i smutku.

Jan bowiem od niejakiego czasu odmienił się bardzo. Ludzie własni zrozumieć nie mogli, co mu się stało, bo nikt nie przypuszczał, żeby obłąkanie biédnej dziewczyny przyczyną zmiany téj być mogło. Tak przecież było.

Zerwał nagle zabawy ze zgrają towarzyszków, odepchnął od siebie dawne ulubienice; chmurny, zamyślony, smutny, albo sam jeden siedział zamknięty, albo milczący przebywał przy matce, albo latał, jak szalony, na koniu, lub dnie całe trawił w chacie budnika o chlebie i wodzie.

Nie uszło to oka pani podkomorzynnej, która o zdrowie Jasiénka frasować się poczęła, i wysłała czémprędzej po doktora.

Ale co lekarzom do chorób duszy i zgryzot sumienia? Tego ani hidropatya, ani allopatya nie uleczy.

Pokiwali głowami lekarze, zapisali coś na papierku i odjechali, upewniając, że choroba pochodzi z zamulenia trzewów, lub oni nie rozumieją.

We dworze na wieczorynkach, zabawach, rannych schadzkach dworu o niczém inném nie mówiono, tylko o chorobie panicza i obłąkaniu Julusi; wrózono, wnoszono, domysłano się, jak téż się to skończyć może.

Najpowszechniej zdziwaczenie i przywiązanie się pana Jana przypisywano rzuconym urokom i zadaniu pani Pawłowej, która uchodziła za czarownicę.

XV.

Stary Bartosz siedział dotąd w miasteczku, ale rzeczy powoli zmieniać się w jego sprawie poczynają. Pomocnik niespodzianie poróżnił się z żydem Bramkiem.

Zatém śledztwo, w skutek nowych jakichś zeznań i wziętych poszlaków, tajemnie przerabiać się poczęło. Zwołany znowu Maciej, który gotów był pod groźbą i fukiem powiedzieć, co się komu podobalo, na samego nawet Pana Boga, zeznał, że konie niechybnie przyprowadził Bramko, że ojciec je chciał oddać pomocnikowi, gdy na drodze został schwytany, że żydzisko wreszcie przez zemstę tylko (bo stary Bartosz kradzieży jego [przechować nie chciał] sam pierwszy zrobił fałszywe doniesienie.

Prawda łatwo się bardzo popiera, tysiące więc dowodów na wzmocnienie tego zeznania znajdować poczęto. Jeden stary Bartosz tak się uparł w swoim dumnym i pogardliwym milczeniu, że trudno mu było nawet łagodnością usta otworzyć.

— Dłaczegoż — odezwał się starzec poważnie — wprzódys pan tak nie postąpił, oszczędzając mojej starości, wstydu, cierpienia, które mi życie skróciło, a sobie zgryzoty na duszy?

Pomocnik zaczął się wymawiać, zaczął coś, przewracając papieiry, paplać, gryźć cybuch w gębie, pluć, kręcić się, popijać gorzałkę, zakąsać śledziem i na tém się skończyło.

Bartosz rozpowiedział nareszcie całą historiją. Sprawa więc na tém stanęła, że ojca i syna miano wypuścić na porękę, gdyby się tylko świadectwa ich uczciwości przeszłej znalazły.

Właśnie téż wszystko teraz składać się poczynało jak najlepiej.

Od wzięcia Bartosza w lasach, które zamieszkiwali Mazury, dawał się czuć brak tego naczelnika, który nie mając żadnej władzy nad bracią, największy przecież na nich wpływ wywierał. W początku może wszyscy radzi byli, że surowe oko i usta surowe, co ich nieraz karcily, na czas się od nich oddalają; ale wkrótce poczuli dotkliwie, jak im starego Bartosza brakło: ni kogo się porodzić, ni komu pskarżyć, ni leczyć i pocieszać nie było.

W niedzielę zejść się, jak się schodzono do jego chaty na posłuchanie o starych czasach, nie było gdzie. Kilku młodzieży wybięrało się na flis, a tu umowy z żydami zrobić i kontraktu dopilnować nie było komu; inni chcieli pójść belki w sąsiedni las ciosać, ale zabrakło także Bartosza, coby za wszystkich o warunki się z żydami rozmówił. Jeden i drugi zaczęli mówić:

— O! źle nam bez starego! Taki co źle, to źle.

— I taki nie godzi się, żebyśmy go w biédzie opuścili; wszak on nas każdego i nieraz ratował.

— A jakbyśmy pomysleli?

— Cóż my wymyślim?

— Czyż to już niewinnego poratować nie można?

— A gdybyśmy się złożyli? — dorzucił jeden pocichu.

— Tak! jakby to było z czego!

— Porzućcież! Znajdźcie się, aby wola tylko. Tu skórka lisia, tam kilka zajęczych, gdzieś może i łosia, u tego trochę masła, u drugiego niepotrzebne cielę. Żebyśmy chcieli, znalazłoby się, posprzedawawszy, z czego złożyć jaki grosz.

Wielu wprawdzie niebardzo na to przystać chciało, ale gdy się starsi na to zgodzili, drugim już było wstyd i niejeden odwiązał z brudnego węzła zachowany groszyk, z westchnieniem składając go do kupki.

W chacie pana Marcina, niedaleko Bartoszowej budy położonej, zeszli się wszyscy w sobotę i tam przy kieliszku (bo Marcinowi na to stało, kawał bowiem pola obrabiał, a syna miał, co mu, służąc dworsko, dopomagał potrosze) poczęli się naradzać, komu pójść do pomocnika.

I trzech starszych, a [wymowniejszych i śmielszych, ofiarowało się do téj ciężkiej posługi.

— Wszystko dobrze — rzekł jeden po naradzie — ale jak starego, da Bóg, uwolnią, a do domu wróci, dalibóg nie wiem, co będzie.

— A co ma być? — mruknął inny.

— Albo go nie znacie? O córce nie wie, a jak się dowie, nie zniesie tego lekko.

— Ba! alboż to on pierwszy?

— Nie chciałabym téż być na miejscu Pawłowej! — mruknęła gospodyni.

— O! bieda jej będzie!

— At, wylazłszy z gorszego kłopotu.

— Co to wy gorszém nazywacie? Pan Bóg wie, co gorsze! Niewinnemu nigdzie się nic nie stanie, a tu i sam Bóg nie poradzi na takie nieszczęście.

— Oj! prawda, pani Marcinowa! Ależ taki, gdyby stary powrócił, toby coś pomyślał.

— Córka oszalała; dwór pomaga, ale to nie na długo: potem przyjdzie golizna i nędza. A!

Zamilkli. Marcin pokiwał głową i węża pokręcił.

— Wszystko taki — rzekł — lepiej, żeby gospodarz był w domu.

— Tylko mu na razie nie mówcie o tém.

— Musi już wiedzieć.

— Nie! nie! Któżby się zaś odważył z tém do niego przystąpić!

Długo tak jeszcze gwarzyli budnicy, aż gdy wódki i zakąski nie stało, pobrawszy z kąta strzelby, bez których ruszyć się nie mogą, pocałowawszy się z gospodarzem, a żonę jego z kolei wszyscy w rę-

kę, rozeszli się, umawiając się, kto do miasteczka z Marcinem miał iść, o miejsce i godzinę.

Nazajutrz rankiem, w borsuczych torbach, nowych łapciach i białych koszulach, ale bez strzelb, trzej wysłańcy śpieszyli do pana pomocnika.

Na kraju lasu przyłączył się do nich przypadkowo idący czwarty (była-to niedziela), i tak gwarząc, powoli pociągnęli ku mięscinie, której szary kościółek, białą cerkiew i czarne domostwa zdaleka widać było.

Nielatwo w dzień targowy dostać się do tak wysokiego urzędnika, jakim jest w miasteczku pan pomocnik. Tysiąc interesowanych drzwi jego oblega, — i teraz właśnie tak było. Żydzi, szlachta, obywatele pomniejsi, wieśniacy ze skargami i pobjem, parochowie z pozdrowieniem, wszystko-to napełniało dom, podwórze dworku, na którego czole wisząca tablica oznajmowała mieszkanie pana pomocnika. Na baryerach, na ziemi, pod płotami pełno było czekających ludzi, na ławach w ganku izraelici, u drzwi kupa żołnierzy odstawnych.

Pomocnik tymczasem weselił się w gronie dobrych przyjaciół i szanownej połowicy, jak on równie wesołej w towarzystwie i lubiącej tę wesołość czerpać nie tak w sercu, które często bywa próżne, jak w butelce, która zawsze pełną być może, zwłaszcza gdy tylko o napełnienie jej okowitą chodzi.

Na kanapie odartej, wysiedzianej i kulawych krzeselkach zasiadali dostojni goście, w których gronie pierwsze miejsce zajmował w nowiuteńkiej węgierce, z kapszukiem u pętlicy ekonom pana Jana. Rozmawiano o różnych zajmujących przedmiotach, o umarłym nagle żołdacie, o zabitym żydzie, o skradzionych koniach. Wódeczka krążyła po raz trzeci czy czwarty przed kielbasą, którą nareszcie, zadość czyniąc powszechnemu oczekiwaniu, wniósł na obitym półmisku służący w nowiusieńkich łapciach. Był-to pokojowiec gospodarza. Posiłkowała go w posłudze, rozdając szczupłą ilość krzywych widelców między gości, kucharka dziwnie brudna i utłuszczona, której nogi nie w obuwiu narodowem, ale w podartych trzewiakach pani, naboso włożonych, po podłodze szelepały. Goście rzucili się do kielbasy, której pożarcie poprzedzone było jeszcze raz wódeczką. Gospodarz bez ceremonii pierwszy sobie nabrał na talerz, a potem ręką wskazał półmisek żonie i gościom. W ostatku żywili się sosem z cebulą i chlebem maczanym piarsz i kancelarya, składająca się z kosookiego, kulawego i łysego mieszczańzuka.

Po śniadaniu i rozjechaniu się gości, których prosić na obiad zwyczaju nie było, przystąpił, usiadłszy na ławie w ganku, pomocnik z fajką do posłuchania przybyłych z prośbami, skargami i t. d.

Przyszła wreszcie kolęj na budników, którzy z nieśmiałością przystąpili do ławki, zajętej przez wysokiego urzędnika.

— No! a czego chcecie?

— My tu, panie, przyszłi za Bartoszem Młyńskim.

— Czego?

— Prosić za nim.

— Hm! a gdzież prośba?

I popatrzył na ręce. Marcin wysunął się naprzód i, całując w rękaw pomocnika, wsunął mu *prośbę*. Ten ją z flegmą obejrzał, pokiwał głową i spytał dość łagodnie:

— A czegoż chcecie dla Bartosza?

— A żeby jasny pan uwolniliście go. On nic nie winien; zaświadczą wszyscy, że uczciwszego, chowaj Boże, człowieka u nas niema. Cały wiek nigdy go nawet o nic nie posądzano.

— Hm! hm! Ja to i sam wiem, że on może nie winien, ale co chcecie? Prawo grunt! Był oskarżony. No! co ja temu winien? Ja za wszystko odpowiadam. To niemałe *dzieło*, to *dzieło*! No, ale gadajcież, co byście chcieli?

— Niech jasny pan uwolnią starego.

— Tak! uwolni! Tu prawo grunt! Uwolni! ba! Ja odpowiadam za niego przed gubernatorem! Wam się zdaje, że ja tu pan sam sobą i że mogę, co chcę.

— A tak, JW. panie!

— A właśnie, że choć wiele mogę, bardzo wiele mogę i prawie wszystko mogę, a jednak są takie rzeczy... Bo widzicie, wy tego, ciemni ludzie, nie rozumiecie, że tu *zakon to dzieło*!

Budnicy pokłonili się w milczeniu.

— I mógłbym uwolnić zresztą, jeśli zechcę, ale kto za niego ręczy?

— My wszyscy.

— No! no! poczekajcież! namyślę się, namyślę! Pójdziecie do kancelaryi i pomówicie tam z moim sekretarzem...

Do wieczora przeciągnęły się starania; zmierzchem nareszcie wydany został rozkaz uwolnienia dwóch budników, z tém jednak, żeby się na zapotrzebowanie stawili. Strzelbę Bartosza, zabraną w budzie, na ręce Marcina wydano.

XVI.

Pośpieszyli więc do więzienia budnicy, weseli i swobodni, że przecież raz skończyli to, co się im już nieskończonością wydawać

poczynało. Bartosz, jak zwykle, leżał na słomie, podparty na łokciu, gdy trzej wysłańcy przyszedli mu oznajmić uwolnienie jego.

— No, panie Bartłomieju — rzekł Marcin, wesoło wchodząc — dzięki Bogu, jesteście wolni.

Podniósł głowę.

— Ha? — spytał, nie dowierzając.

— Wstawajcie i chodźmy stąd; jesteście wolni.

— Doprawdy? — Zerwał się na nogi. — A! Bóg wam zapłać!

— I wyciągnął rękę ku pierwszemu z brzegu. — Ha! ależ mi się zdaje, jakbym dziesięć lat tu siedział. A Maciej?

— I Macieja uwolnili.

— Chwała Bogu!

W tej chwili wszedł i syn nieśmiało do izby z krótką fajeczką w rękę, bo ta go już nie opuszczała ani na chwilę. Ojciec popatrzył na niego, łzy mu się zakręciły w oczach i cicho szepnął:

— Ciężka boża kara, ale sprawiedliwa! Dziej się wola jego! — I silniejszym już głosem odezwał się, nakładając torbę: — No! chodźmy.

— A Julusia? a Pawłowa? — spytał na progu. — Co to jest, że żadna z nich nie dowiadywała się o mnie, Julusia zwłaszcza, moje ulubione dziecko? Nigdy się tego strapienia od niej nie spodziewałem.

Budnicy zamilkli; w ich oczach wyczytał już stary łatwo jakiś przestrah i niepokój.

— Co się z nimi dzieje? — spytał znowu.

— A co! poczekajcie! Ot, pójdziemy się ogrzać do Icka nad most, to tam wam wszystko rozpowiemy. Już cię nic tam, nic; nie frasujcie się.

To „nie frasujcie się“ zachmurzyło czoło Bartosza, poszedł milczący i ani słowa nie odezwał się już, idąc przez miasteczko. W ulicy pociągnął całą piersią powietrza, spojrzął na niebo, na którym połyskiwać zaczynały gwiazdy, otrząsnął się i szerokim krokiem doznał wyprzedzających go towarzyszków.

W karczmie, na kraju miasteczka leżącej, w izdebce oddzielnej, bo pierwsza, wspólna wszystkim, zajęta była mnóstwem popitych wieśniaków, przysiedli na ławach budnicy. Kazano przynieść wódki, ale rozmowy nikt począć nie śmiał. Stary Bartosz ust nie otwierał, ci zaczęli go nie śmieli. Milcząc, trącono w kieliszki z żywnością:

— Daj nam Boże dobre zdrowie.

I powoli, powoli, gdy trunek w głowach zaszumiał, usta się otwierać poczęły.

— A co — rzekł Marcin — nie frasujcie-bo się, panie Barto-

szu. Ba! czy to mnie was uczyć i napominać! Wy to lepiej znacie, jak sobie począć, kiedy i jak biędę klepać. A ot, chwała Bogu, że jesteście wolni, to zresztą także rady sobie dacie.

Bartosz milczał, tylko czarne jego oczy spoczęły przez chwilę na Marcinie, jakby z niego prawdę, o którą pytać nie śmiał, dobyć chciały.

— Mów! — odezwał się sucho — no, mów! Nie obwijajcie mi; ja czuję już coś złego.

— Chodzi to po ludziach. Tak, musieliście już co i słyszeć?

— Mów! — silniej powtórzył Bartosz, chwytając go za rękę, którą jak żelazem uściśnął. — Nie męcz mnie! mów! Cóż? umarła Julusia?

— Ale nie! ale nie! Tak tylko... widzicie, chora trochę... chora, ale...

— Chora tylko! a! dzięki Bogu! — rzekł, wolniej oddychając.

— Tylko chora! no, to jeszcze nic! Tylko chora...

Marcin niezmiernie zakłopotany nie wiedział już, co mówić.

— Dawnoż chora? — spytał starzec.

— Ona chora, widzicie, i nie tak-to ona chora, bo...

— Ależ mówcie mi wszystko! Jak dawno?

— A jak ze dworu wróciła, tak potem...

Starzec zerwał się z ławy.

— A więc była i we dworze! poco? poco?

— Albo ja wiem? Widzicie, to ta stara pani nasza zlitowała się i wzięła ją była do garderoby; ale potem, że tęskniła, więc ją znowu z Pawłową do budy odesłali i na budkach już jakoś zachorzała.

Bartosz wpatrywał się ciągle w oczy Marcinowi, który je spuszczał, jak winowajca i dłubał coś około torby, dławił się i krztusił.

— Kłamiesz! — rzekł po chwili stary, znowu go porywając za rękę. — Mów, na rany Chrystusa!

— No! co mam cedić po kropelce przez zęby! No, co? ot, wiesz, to wiesz, a pocóż się pytasz? Ot, bywał panicz, bywał i... i... zwaryowała.

Ale jeszcze tych słów dokończyć nie pośpieszył, gdy Bartosz, rzuciwszy rękę jego, popchnąwszy go tak silnie, że Marcin aż się zatoczył, pochwyił z kąta strzelbę, uderzył całym sobą we drzwi i jak strzała wyrwał się z izby i karczmy.

Wszyscy wybiegli za nim, ale w pomroce nocnej zniknął im zaraz z oczu. Marcin, Maciej i dwaj inni budnicy, co najrychlej nająwszy wóz u wieśniaka, pośpieszyli do chaty Bartosza, chcąc go, jeśli można, uprzedzić, i upatrując, azali go gdzie nie spotkają po drodze.

Mnóstwo wieśniaków powracało z targu, pełen ich był las, droga, grobla, i wśród tłumu ani podobna rozeznąć starca. Najpodobniej téż do prawdy wprost przez lasy, bez drogi pójść musiał. W największej niespokojności dobili się już późno do Osikowego Ługu.

XVII.

Stara chata Bartosza, którą on własnymi niegdyś sklecił rękoma, zmieniała się teraz bardzo, skutkiem częstego w niej pobytu Jana i troskliwości jego i podkomorzynnej, która o niczem nie wiedząc, przez miłosierdzie tylko starała się opisać jej nędzne schronienie podnieść, czyniąc je, o ile można, wygodniejszym i schludniejszym. Przez nią przysłani cieśle dobudowali tu ganeczek do drzwi, drugą izbę z boku, część ścian otynkowano, wewnątrz oporzędzono, pobielono, dano podłogi, przywieziono sprzęty. Chwiejący się stół i ławy usunięto do alkierza, gdyż na ich miejsce dane były wcale porządne, wzięte z oficyn, stoliki i krzesła; u okien nawet czerwone okiennice i białe firanki, zawieszzone przez Pawłową, były podziwem braci budników. Pawłowa dostała także we dworze jakichś doniczek, któremi ubrała okna, starając się może temi dowodami dostatku i dobrego bytu na przypadek powrotu Bartosza trochę go rozbroić.

Ale ona nie знаła go wcale; starzec uczciwą nędzę miał za najpiękniejszy żywot w świecie, którego by za żadną ozłoconą i przybraną misternie podłóść nie mieniał. Dla niego cierpienie było czemś podnoszącem człowieka, bo je nie inaczej pojmował, jak dopustem bożym dla dobra i poprawy ludzkiej. Nieraz dawniej, gdy Pawłowa narzekała nieustannie i kwiliła, odpowiadał jej surowo i spokojnie:

— Dajcie pokój! widać tak nam *sądzono!*

Nie wiem, czy kto zastanowił się nad głębokim znaczeniem tego pospolitego wyrażenia, Słowianom tylko właściwego: *sądzono*. Nie los więc ślepy, nie traf nierozumny, ale sąd sprawiedliwy ludziom wydziela, na co kto zasłużył.

Jest-to dowodem, że my nie wierzym w przeznaczenie, ale w rozumny kierunek rzeczy ludzkich, że nie wierzym w *los*, ale w *Bożę*.

Cicho było w chacie Bartosza, gdy Maciej, Marcin i dwaj inni budnicy podjechali pod nią, nie śmiejąc już nawet wejść do dworku, którego powierzchowność coś nad mieszkanie budnika oznajmowała. Maciej pierwszy wygapił oczy na ganek i przybudówkę nową, wołając:

— A to co? a to nie nasza chata! Zdaje się, ma być nasza, a jakby nie nasza. A ot, i pieniek podle płotu, o którym, bywało, zawsze się zawadzę. A cóż tu ten dworek robi?

— Cyt! cyt! to to panowie wam pobudowali.

— Zaco?

Budnicy zamilkli. We dworku było cicho, a w oknach jasno; tylko głos urywany, srebrzysty, dźwięczny w przestankach milczenia się odzywał, jakby pomieszany z płaczem. U płotu stał koń wierzchowy, kopiąc ziemię nogą.

Budnicy zajrzeli przez szyby, ale tu osłonki nic im dopatrzeć nie dozwoliły. Weszli więc do sieni, zapukawszy wprzód do drzwi. Wewnątrz, na przypiecku siedziała Pawłowa paradnie strojna i drzemała u kądzieli. Dalej, od ogniska oświecona, pustą zdawała się izba, aż w samym dopiero kącie na ziemi leżała Julusia z rozpuszczonymi czarnymi włosami, które dokoła, jak płaszcz, spływały; wśród nich biała, blada, jak marmur, twarz jej i oczy płonące ogniem dzikim świeciły. Ręce miała załamane, a nogi podkurczone. Jak dziecię senne, wahała się na wszystkie strony, milcząca, z chmurnym czołem, zwisłą wargą, rozpiętą suknią i potarzanym włosiem; obok niej siedział Jan, podparty na rękę. Nie był to już żwawy hulaka, jakim-śmy go widzieli niedawno: zbladły, smutny, gniewny, zdawał się bliski tego szaleństwa, które z ust Julusi płynąc, sączyło się w mózg jego i serce. Ona mówiła pocichu przerywanym głosem:

— Jutro wesele, jutro! Wszystko gotowe we dworze, i ja-m gotowa. Tak, nic mi nie brakuje, tylko wianeczka. A bez wianka ksiądz błogosławić nie zechce, pani matka wasza mnie odepchnie i ludzie śmiać się będą. Wianek powinien być koniecznie związany wstążką białą i krasną. Biała wstążka, to niewinność moja, a krwawa, to miłość, a zielone kwiatki, to moje nadzieje. Chodźmy, Jasieńku, wiązać wianuszek na wesele, chodź, chodź! — I schyliła się ku podłodze, jakby kwiaty brała. — O, dziw! dziwowisko! Co tu kwiecica! co tu krasnego kwiecica! a co się po nie schylę, to mi od rąk ucieka. Pomóż-bo mi! Ty stoisz, jak trup! Aleś ty żywy. Daj mi rękę. O! ciepła jeszcze! Nie, nie! ty jeszcze żywy!

Na te słowa weszli budnicy, a Jan zerwał się zawstydzony z ławy. Julusia obróciła oczy ku drzwiom i szepnęła:

— Nic to! to swaty!

Uśmiechnęła się, ale w tej chwili zobaczyła Macieja, który jej rzeczywistość przypomniał. Zerwała się, podbiegła szybko ku niemu i zaczęła krzyczeć w obłąkaniu, usiłując się ukryć:

— Ratujcie! ojciec! ojciec! A! on mnie zabije!

— Dalibóg, wszak ona oszalała! — zawołał Maciej, biorąc się

za włosy. — Aj! aj! ze wszystkiem się skręcił. Otóż tobie masz! Będą się tatulo tego gniewali!

Pawłowa przebudzona, nagle także obaczywszy Macieja, rzuciła się ku niemu niespokojna.

— A co? — zawołała — puścili was?

— A! całuję rączki! puścili.

— A ojciec?

— Ojciec także wolny.

— Gdzież jest? idzie?

— Musić poszli na polowanie czy co, bo ze strzelbą — rzekł Maciej głułowato.

Wtém zbliżyli się i inni budnicy i zaczęli opowiadać, jak się to stało, że ich Bartosz porzucił nagle w miasteczku i uciekł, nie wiedzą dokąd. Pawłowa poblądła, obejrzała się po oknach, zachwiała, potarła ręką po czole i usiąść musiała, a raczej padła na przypiecek. Maciej tymczasem chodził po izbach i wszystko z ciekawością głułowca oglądał, to siostrze obłąkanój, to sprzętom nowym się przypatrując. I coraz-to czego nowego dojrawszy, uśmiechał się, weselił; naostatku wziął w rękę franki i spytał:

— Pani Pawłowa, z pozwoleniem, do czego te spódniczki? suszycie, czy co?

Ale nic mu nie odpowiedziano.

Jan był uciekł w pierwszej chwili tylnymi drzwiami, a Julusia upadła w kącie, nagarniając na siebie włosy, suknie, stoły, ławy i co pochwycić mogła.

Pawłowa słabła ze strachu wielkiego.

— To on tu niechybnie przyjdzie w nocy i ze szczeniem nas po-wybija, jak pszczoły! — rzekła, łamiąc ręce. — A świadczę się wami, co ja temu winna? Ja głupiej dziewczynie ciągle mówiłam: „Ej! dajcie pokój, bo to się źle skończy“. A cóż kiedy mnie nie słuchali. Teraz, ja wiem, wszystko spadnie na mnie. Tak-to, kiedy nieboszczyk mój potłócił się w tej nieszczęsnej karczmie, albo, myślicie, ja tam byłam? A taki zawsze mnie ostatnia bięda. Żeby tu było kogo zostawić, jabym do was poszła, panie Marcinie, póki pierwszy ogień nie minie.

Marcin nic nie odpowiedział.

— Albo do was, panie Ignacy.

Ignacy milczał.

— Albo i do was, panie Piotrze.

Piotr odwrócił się żwawo.

— Oj! żeby nie noc, uciekłabym choć do dworu.

— Ale tu nie o was idzie, moja matko — rzekł Marcin — ale

o córkę, z którą źle być może, jeśli Bartosz bardzo to do serca weźmie.

— A co on waryatce zrobi? — zawołała stara. — Jój-to lichu nie weźmie. A ja, jak Boga kocham, że ja niewinna, pieniędzy nie brałam, zawsze ją przestrzegałam. A co ja mogłam poradzić? Jak sobie posłali, tak niech się wyśpią. Ja ją raz-wraz przestrzegałam: „Ej, ostrożnie! ej, będzie źle!“ Ale to młode, a panicz taki i gwałtownik straszny... i głowa się dziecku zawróciła i zwaryowała to. Ale Bartosz i słuchać nie zechce; ja go znam. Ej! jeśli Boga kochacie, przytulcie mnie który, przytulcie!

Budnicy milczeli.

— Ale bójże się Boga, pani Pawłowa — rzekł jeden nareszcie — a jakże wam to nieszczęśliwe i tego, z pozwoleniem, nie mówiąc złego słowa, głupca Macieja zostawić tak samych? Toć-to nie do kogo należy. Oniż tak zostać sami nie mogą.

— A zmiłujcież się, przynajmniej sami nie odchodźcie pod noc. Jakbyście wy tu byli, nie tylebym się bała i o siebie i o nią. Ot! zostańcie.

— Z témże-to my tu i przyszli.

— A niechże wam Bóg płaci stokrotnie! Siadajcie, a zaraz i wódeczka i przekąska i coś na żąb włożyć się znajdzie.

Julusia leżała znowu w kącie po gwałtownym przestrichu, jakby odrętwiała i uspiona. Głowa jój spadła na podłogę, czarne włosy tylko służyły za wezglowie. Otwarte miała oczy i usta, ale zdawała się nie oddychać, nie widzieć, nie słyszeć. Maciej stał nad nią i patrzył się zdumiony.

— To jakaś kiepska bardzo choroba — mówił do siebie. — Co téż-to za choroba? Święty Walenty, czy co? Musić Walenty! Pani Pawłowa! — zawołał — a możeby Julusią podnieść i na łóżko położyć?

— Nie ruszać jój, nie ruszać! — krzyknęli drudzy, wpatrując się zdaleka — tylko czém czarném nakryć, to się uspokoi.

Pawłowa pobiegła, niewiele na to zważając, do alkierza i zaczęła z niego wnosić, co jój się nawinęło, począwszy od faszki z wódką aż do wędzonej kielbasy; ustawiła to wszystko na stole i zaczęła zapraszać. Sama usiadła znów przy piecu i, litując się nad sobą, płakała.

Budnicy nie dali się długo prosić; lud umie jeść w strapieniu, we łzach, przy pogrzebie i narodzinach, w rozpaczce i radości zarówno. Nigdy uczucie nie odejmuje mu głodu. Maciej jedném okiem na siostrę z politowaniem spoglądając, drugim upatrując co najlepsze kąski, częstował się, jak należało.

Pawłowej wśród szlochów gęba się nie zamykała, bo i w głowie myśli latały, jak czarownice w sabat.

— Licho mnie tu wniosło, jak Pana Boga Kocham! Nie było mnie lepiej pójść na służbę, albo do dworu, gdzie ubogich radzi przytulają! Bartosz to taki stary waryat, gotów i zastrzelić i zabić. Wszak taki mówią, że ze strzelbą poszedł. No! a co ja temu winna? Dziewczyny na pasku nie trzymać. Już kiedy to bięda! Kumie! kumie! — odezwała się do Marcina.

Marcin, pełną mając gębę kielbasy, przybliżył się do niej leńwie.

— Radźcie mnie, co tu począć? A to on mnie zastrzelił!

— I! może taki nie zastrzelił! Kto wie, może nie! Zresztą, co tu radzić? Rada nie pomoże.

— Oj! bo wy tak Bartosza nie znacie, jak ja!

— Hm! calebz my to życie prawie przesiedzieli podle siebie.

— Otóż bo nic nie wiecie; my byliśmy wprzód na innych lasach, jeszcze u nieboszczyka łowczego, kiedy potaż palili. Lat-to już temu garstka. Otóż wówczas...

— Tak, ale rychło się Bartosz stamtąd wyniósł i już tu się osiedził.

— No! ale posłuchajcie! Co było z młodych lat, to ja tylko wiem, i dlatego tak się boję. Choleryk straszny.

— Czegoż się tak boicie?

— Gorący człowiek, powiadam, choleryk! Wy to nic nie wiecie. Jemu jak się co zamarzy, gotów na wszystko.

— Aby nie na złe; temu to nie uwierzę.

— Otóż i nie na dobre. Już ja taki co wiem, to wiem. Dość, że to jemu nie pierwszyna awanturę zrobić. A potem mu i nieraz ciężko było w życiu i wdychał i kawęczał; ale zrobionego nie odrobić. Co się stało, odstać się nie może.

— Ale cóżby się stało? — spytał Marcin trochę ciekawy.

— A nie powiecie nikomu?

— A mnie to naco?

— Otóż, zmiłujcie się, tylko nie powtarzajcie. Ja przed wami, jak ojcem rodzonym. Jeszcześmy wówczas byli w lasach pana łowczego i stary Bartosz i mój nieboszczyk razem. Nie wiecie-bo, co to za człowiek był mój nieboszczyk! Już to prawda, że czasami lubił z ludźmi uczciwymi podhulać, ta i podpić, ale co chcecie, taki człowiek człowiekiem. Ależ zato sprytny, a do wszystkiego, do czego chcesz, a przewąchał bestya, co się gdzie święciło, i przez dziesiątą ścianę. Jakoś Bartosz z moim nieboszczykiem mało nie jednolatki byli, obaj nieżonaci, bo mój taki mnie jeszcze i nie znał. Aż tu matczyisko im stare umiera jakoś w późną jesień, przed

Wszystkimi Świętymi, to i gospodyni w domu nie stało. Nu, już taki jednemu trzeba się koniecznie ożenić. Mój był młodszy, o! i tęgi chłopak, jak Boga mego kocham. Ludzie poczęli im swatać nieboszczkę Bartoszo-wą, młodą i śliczną dziewczkę, krew z mlekiem, jagódkę, ale już była we dworze u nieboszczyka łowczego. Bartosz z początku nie zechciał, kiwał głową i nie smakowało mu coś, że to ze dworu, zwyczajnie. Ano, jak zaczęli go namawiać, że dobra gospodyni, że uczciwa, a liczko taki gładkie było, tak się nareszcie odważył, ta i ożenił.

— Ale cóż to straszego, pani Pawłowa?

— Ano, poczekajcie! to dopiero początek. Już to że Bartoszo-wa była piękna, to prawda; bo i na mnie swego czasu ludzie mówili, że była niczego, ale tamta to jak pani wyglądała. Więc że we dworze bywała, języka w gębie nie zapomniała, a i w głowie się trochę przewróciło i taki, Boże odpuść, nie kochała Bartosza, a tak sobie za mąż poszła, że ludzie namówili. Świętą prawdę mówię, nie dodaję, Bóg świadkiem. Po weselu tedy, aż tu Bartosz coś zmarkotniał, jakby go kosą podciął, a żonie zrobił się przykry okrutnie. Ta także sobie po nosie jeździć nie dała: co on jęj jedno, ona jemu dwoje i taki osą w oczy. Aż i ze wszystkiem popstrykali się, ta i gadać do siebie przestali. Mój już się wówczas o mnie starał, a taki był sprytny, że zaraz dowąchał się, że się to źle skończy. I mówi, bywało, do mnie: „Salusiu (bo taki Salomea mam imię) obaczysz, że tu z tego coś wyrośnie lichego“. A ja na to nic, a on wiedział, co mówił. Posłuchajcież-no tylko. Jeden, drugi poczyna-ją bąkać, że ze dworu jakiś gaszek do Bartoszo-wej udaje się i jak bywało, nasi przy potażu dzień i noc, ona tam gościa przyjmuje, ta i dobrze. Doszło to do uszu Bartosza. Ale on jakby to nic, aż jed-nej nocy znikł. No, niema, niema, myślą sobie, poszedł. A on nocą zakradł się i czyhał. Nadjeżdża przyjaciel Bartoszo-wej, on jemu nic; puszcza go do domu, a sam w sieni zakrada się. Kiedy już sobie we dwójkę na łódeczko siedli, ten wymierzywszy ze strzel- by, a wzięwszy ich na cel, jak rżnie, tak gachowi rękę tylko, chw-ła Bogu, przebił, a łaska Boża, żonie się nic nie dostało. Potem jak skoczy do nich, żona omdlała, ten uciekł, okno wybiwszy. Ja-koś się to potem pogodzili, ale nieboraczka z przestachu zachoro-wała i nędzniała jeszcze długo, aż po Macieju i umarła. On-to sam czuje, że jęj śmierć przyspieszył, choć niedarmo, bo taki dworka by-ła i to jęj téż ponoś nie pierwszyna kochanie. Ale taki wszystko za to głupstwo człowieka ze świata gładzić nie warto. Otóż, wi- dzicie, że ja się niedarmo boję; bo trzeba wam wiedzieć, że on cór-kę strasznie kocha, a nie bez myśli on ze strzelbą od was uciekł.

Marcin się zadumał.

— Jakto — spytał — a za to przebicie ręki dworakowi nie było sprawy?

— Co to chcecie! to insze czasy były! A szlachcie i czuł, że niedarmo dostał, i Panu Bogu dziękował, że się na tém skończyło. Bo taki nie umarł z tego, tylko skaleczał. Chodzi biedaczysko do dziś-dnia za jałmużną, a pewnie go znacie: Jeremiasz.

— Jakże nie!

Przerwał rozmowę śmiech dziki, z którym przebudziła się Julusia z odrętwienia, w jakim leżała, i powoli powstawać zaczęła. Maciej pośpieszył do niej. Pawłowa i Marcin przystąpili także, a podniósłszy ją osłabłą z ziemi, położyli w alkierzu na łożku.

Budnicy, podjadłszy i zapiwszy wodą, pokładli się spać na ziemi, Maciej poszedł na znajome wyżki, prowadząc z sobą nieodstępного Burka swojego; Pawłowa tylko, częstując Marcina, którego prosiła, aby z nią został, trzęsła się ze strachu i krokiem od pieca ruszyć się nie śmiała.

XVIII.

Koguty piałły już po północy, a wszyscy w chacie spali lub drzemali; luczwo, ciemno się dopalając, trzaskało na kominie, gdy szybki chód dał się słyszeć koło drzwi i sieni najprzód, potem izba otwarła się z kolei.

Pawłowa, która się była z płaczu zdrzemnęła, chwyciła się równemi nogami, postrzegła wchodzącego Bartosza i padła jak nieżywa na ziemię, wołając na głos:

— Nie zabijaj! nie zabijaj!

Budnicy rozespani popodnosili głowy z postania, nie wiedząc, co się to stało.

Starzec wszedł, popatrzał i, popychając nogą Pawłową, leżącą na ziemi z niejakiem obłąkaniem, zawołał ponuro:

— Precz, gadzino! precz stąd! niech cię oczy moje nie widzą! niech tu noga twoja nie postanie! Precz! uciekaj! lub...

Oslabły ze strachu Marcin wypchnął natychmiast Pawłową za drzwi, obawiając się, jak mówił później, aby Bartosz nieszczęścia jakiego nie zrobił.

Obejrzał się wkoło budnik, potoczył oczyma krwią zasłemi, westchnął i powolnie poszedł ku alkierzowi, wzięwszy w rękę luczwo z pieca.

Gdy na progu ukazała się postać jego, uszpana jeszcze Julusia wstrzęsła się, krzyknęła przeraźliwie i, tuląc się pod kołdrę, zawołała:

— Ojciec! ojciec!

— Tak, tak! to ja, dziecko moje! — ze łkaniem łagodnie odezwał się starzec — to ja! Nie lękaj się, biedna! Nie przyszedłem cię sądzić, ale pocieszać.

— A! zabijesz mnie! zabijesz!

— Julusiu, opamiętaj się! to ja!

Dziecię krzyczało coraz mocniej, stary płakał wielkimi łzami, które mu grochem spadały na brodę. Rzucił ogień, załamał ręce i usiadł przy jej łóżku. Powolnie przyciągnął ku sobie jej głowę rozpaloną i ręce ostygłe.

— Dziecię moje, Julusiu, nie obawiaj się. Wiem wszystko; tyś nic nie winna. Ludzie Bogu odpowiedzą za ciebie, za mnie.

— O! ja-m niewinna! — powtórzyła dziewczyna.

— To ja, ojciec, z tobą, nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię tu otoczyli beze mnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! o! nie przebacę! Ale ty, tyś niewinna!

— Ojciec, ojciec! — odezwała się cichszym i spokojniejszym głosem — wy mnie nie zabijecie, jak-ście zabili matkę!

Starzec krzyknął boleśnie i ukląkł przy łożu.

— Boże! — zawołał — sroga kara twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie przebaczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola twoja! Julusiu, chodź ze mną, pójdziemy stąd daleko. Ja cię poprowadzę, a jeśli iść nie podołasz, poniosę, ale iść nam stąd potrzeba! To miejsce hańby!

Na te słowa, wyrzeczone prawie z czułością, z błaganiem i prośbą, dziewczyna powstała jakby ze snu, odgarnęła czarne swe włosy i strumieniem dawno nieznanym łez, bo płakała suchemi dotąd oczyma, oblała powrót chwilowy do przytomności. Twarz swoją skryła w załamanych rękach.

— Chodź! chodź! Dach-to nie nasz, ziemia obca, cały dom skalany ich obrzydłemi podarkami! Wszystko zmienione, cudze! Ustroili nas na świadectwo naszej hańby. Nie! ani chwili tu dłużej! chodźmy!

Julusia powstała nagle, i jakby oprzytomniona, powtórzyła:

— Chodźmy!

Wychodząc, chciała wziąć na siebie nowe odzienie, ale stary precz je odrzucił i nogami podeptał, a zdzierając z siebie sukmanę, okrył nią drżące dziecko.

«— To moje — rzekł — i czyste! Nic niema na tém, prócz łez. Nic stąd nie weźmiem, prócz iskry z mojego ogniska, nic!

I wyszedł z nią na próg pierwszej izby, w której rozbudzony Maciej i budnicy stali, przypatrując się, słuchając i niespełna, co się działo, rozumiejąc.

Dziewczyna ledwie się na nogach utrzymać mogąc, chwiała się, słaśniała, a szła za ojcem. Ten wziął głównię z ogniska i wyszedł milczący za próg. Wszyscy za nim na podwórze.

Tu opuścił na chwilę rękę córki i, zatykając żar w słomianą strzechę świeżo poszytej szopki, co obok stała, rzekł do Julusi:

— Czekaj, niech oczy napasę pożarem!

Wiatr wkrótce rozdał płomień na dachu i posunął go na suche dranie domostwa.

W milczeniu zgrozy, podziwienia, przestachu budnicy niezrozumiale coś między sobą szeptali, nie wiedząc, co począć. Maciej tylko głośnawo mówił do siebie:

— Ale jakże się ślicznie pali! Ot! ot! i chata! Taki się spali! dalibóg się spali, a tam i kiełbasy są!

Na wzgórzu stojąc, oświecony ogniem pożaru, z długą brodą, w jednej szarej koszuli, ze strzelbą na ramieniu starzec poglądał na płonące domostwo, ale suchém okiem. Julusia osłabiona zsunęła się na ziemię, a w jej wejrzeniu znać było błysk powracającej przytomności. Niekiedy wlepiała źrenice w ogień, to znów w ziemię wilgotną, na której spoczęła.

Rozdęty wichrem pożar rozległ się na dachu i zaglądał wewnątrz; w oborze ryczało bydło i rwały się, becząc, kozy, do których dym już zachodził. Czerwone blaski oświecały dolinę i las cały, ptastwo na gałęziach budziło się i świergotało.

Tymczasem i wczesny dzień letni blade zarysował się na wschodzie. Starzec, gdy pewien był, że domostwa ludzie uratować nie potrafią, bo całe płomienie objęły, pochwycił rękę córki i, nie oglądając się nawet na syna, poszedł w las wielkim krokiem. Maciej poskrobał się tylko w głowę, ruszył ramionami i machinalnie pociągnął za ojcem. Burek za Maciejem.

Budnicy zostali milczący i osłupieni.

XIX.

We dworze było spokojnie. Jan powrócił nocą i rzucił się na łóżko, odprawując sługi. Ale sen odbiegł od niego daleko; rzucał się, kręcił, pił wodę i wino stojące przy łóżku — napróżno. Coraz to większa trawiła go gorączka, większy nim miotał niepokój. Czego? — nie wiedział. Sto razy powtarzał sobie:

— Cóż mnie ta dziewczyna ma obchodzić? Alboż to pierwsza? alboż to tak wielka zbrodnia? Dam im, co zechcą: nagrodzę, obdarzę, zapłacę.

A w sercu czuł przecie, że zapłacić nie był w stanie, że niena-

groźzonego nagrodzić nie mógł, a na duszy wiecznie mu kamieniem występek ciężyć będzie.

— Głupstwo! — powtarzał — głupstwo!

A przecież ani usnąć, ani uspokoić się nie mógł.

— Oszalała! Małoż szalonych na świecie? Cóżem ja temu winien? Lekarz mówi, że miała usposobienie. Tak jest, ja-m nie winien; usposobienie winno. Albożem chciał tego? A i to nawet przejdzie! to przejdzie! Mogłaż ona myśleć, że ją pokocham tak, że się wreszcie ożenię? Cha! cha! szaleństwo! ja z nią!

I śmiał się sucho, straszliwie błyskając oczyma.

— Co mi tam! co mi tam!

Zaledwie się położył, ktoś do drzwi zapukał; wszedł służący.

— Panie!

— Czego chcesz i poco przychodzisz?

— Jakaś kobieta, Pawłowa...

— Czego chce Pawłowa?

— Nie wiem, panie.

— Zawołaj jęj tutaj.

Stara wpadła drżąca i zapłakana.

— Ach! nieszczęście, paniczu! nieszczęście!

— Cóż się wam stało?

— Bartosz powrócił.

— I cóż z tego?

— A! i mnie wypędził i chatę zapalił, a sam z córką uszedł gdzieś w las.

— Z córką? w las? — powtórzył nieprzytomnie Jan. — No, to cóż? niech idą sobie z Bogiem!

— Gdzie ja się nieszczęśliwa podzieję?

— Dadzą ci ką! — Skinął ręką.

— Paniczu, bój się Boga! — zawołała, wychodząc, Pawłowa — nie żartuj, a strzeż się; on ci gotów co złego zrobić!

— On? mnie? — I Jan rozśmiał się, ruszając ramionami z dumą, pogardą i gniewem.

W tydzień potem znów zgraja była we dworze, znów hulanka u pana Jana i przyjaciół huk, bo ci na zawołanie, tylko świsnąć, jak na psy. Znowu konie skaczą, znów szczekają wyły i gończe, butelki strzelają, panowie się śmieją.

Wśród tych gości wesółych on chmurny, choć się żywo obraca, choć mile mówi, głośno się śmieje, zachęca do hulanki, podsuwa kieliszki i wyzywa opowiadania obnażone a bezwstydne. Często wpoł żartu wyrwie mu się westchnienie, potoczy dokoła oczyma, jakby się czego spodziewał albo lękał: zamilknie, siądzie i zamyśli się.

— Co to u licha Jasiowi? — dopytują się przyjaciele.

— A kat go wie! Niezdrów może.

— On? Daj Boże, aby moje konie takie zdrowe, jak on, były!

— To ta dziewczyna, o której mówią, że z miłości dla niego oszalała, niepokoić go musi. Wszak o niej wiecie? Ja ją widziałem; śliczna!

— Oszalała! patrzcie! Ale-bo to on czasem zadaleko posuwa żarty. Wiecie, mnie raz poszczuł chartami!

— Myślał, żeś lis, i niewiele się omylił.

— Ogona mu tylko braknie.

— No! no! dość tego! Wyż mnie prześladujecie, o! Arystydesy!

— Co za erudycya!

— Patrzcie-no, jak Jan dziko spogląda! To nie jest wzrok jego zwykły.

Jan się zbliżył; umilkli.

— A co? na polowanie? — odezwali się niektórzy.

— Chcecie? Jedźmy!

— Jedźmy! — rzekł Jan — każę wam konie posiadać, psy posmyczyć i z chartami.

— Cóż? po zasiewach?

— Co wam do tego! Znajdę odłogi, a pójdzie zając w żyto, no, to i my za nim.

— Szalony!

— Co wam do tego!

Wydano natychmiast rozkazy, gdy służąca pani podkomorzyniej, która już dowiedziała się o polowaniu, przyszła od swojej pani przypomnieć, że to było święto uroczyste.

— Ale dajże mi pokój, Nastusiu!

— Pani sama prosi pana!

Jan zamyślił się trochę, i gdy przyjaciele przyjmowali Nastusię, otaczając ją kółkiem, on pobiegł do matki.

Naprzeciw nadchodzącego syna, który rzadkim był u niej gościem, podkomorzyna wyszła aż do sieni i, całując go w głowę, rzekła:

— Moje drogie dziecko, czy też to prawda, że macie jechać na polowanie? Wszakci-to uroczyste u nas święto.

— Kochana mamó, już po obiedzie.

— Jeśli chcecie koniecznie, czemużby nie jutro?

— Dla mnie dziś, jutro, to wszystko jedno, ale moi panowie gwałtem się dziś napierają.

— No! to Bóg z niemi, niechaj sobie jadą! Daj im konie i psy, a sam zostań. Przyszedłbyś do matki, posiedzielibyśmy choć godzinkę razem. Ja cię tak rzadko widuję!

— Moja mamó, ale toby było niegrzecznie.

Matka umilkła.

— A przytém — dodała, uśmiechając się, panna Tekla — wszak dziś, wedle łacińskiego kalendarza, nie jest święto.

Podkomorzyna nic nie powiedziała.

— Kiedy tak koniecznie chcecie...

— O! ja nie a nie! Przejadę się tylko; głowa mnie trochę boli.

— A widzisz, moje biedne dziecię! Możeby ci kolońskiej wódki, albo by ogrzanie pomogło?

— Nie! nie! Świeże powietrze, ruch! Dziękuję mamie.

I pocałował ją w rękę, matka go w czoło i, jak była zwykła, pobłogosławiła krzyżykiem. Jemu niewiedzieć czemu łyzy się zakręciły w oczach, uściśnął rękę drżącą staruszki i zniknął.

W dziedzińcu stały już konie, psy się rwały, a panicze ujeżdżali swe wierzchowce, kręcąc w kółko po murawie. Jeden z nich krzyczącą Nastusię galopem obwodził po podwórzu. Podano Jasiowi karego, on skoczył nań, zażył ostro i po przedzie całej bandy wypuścił, co sił stało, gdzie oczy poniosły.

Podkomorzyna stała w oknie, żegnała długo i powtarzała do panny Tekli:

— Byleby się mojemu robaczkowi co nie stało!

Wyprzedzając się, wrzeszcząc, zacinając konie, przeskakując rowy i płoty, młodzież leciała w pola, a polami ku lasom, brzegiem których stanąć miano dla rozpoczęcia polowania, zastępując uciekającej zwierzynie od boru, do którego by się schronić mogła.

Tylko co Jaś i towarzysze rozstawiać się poczęli, gdy Jan, który pozostał sam jeden, oczekując na opóźnionych, usłyszał szelest w pobliskich krzakach.

O trzy kroki od niego, z zaognionemi oczyma stał Bartosz i trzymał go na celu.

— Nie rusz się, bo śmierć przyspieszysz sobie — zawołał szydersko. — No! przeżegnaj się i módl! Daję ci chwilę, póki tamci nie nadjadą.

Jan pobladł, zatrząsł się, dreszcz przebiegł po nim; domyślił się, kto stał przed nim. Nadto był dumny, żeby wobec śmierci nawet bojaźń miał pokazać; machinalnie szukał broni, ale jój nie miał.

— No! polec duszę Bogu, jeśli ją masz, a śpiesz się!

— Czego chcesz?

— Ja? twojej krwi!

— Zaco?

— Nie wiesz! Na zmycie plamy, którą ponoszę, na nasycenie pragnienia, które mnie pali. Tyś mi odebrał córkę, ja tobie życie.

— Córkę? Ja-m ci jój nie odebrał!

— Tak! tylkoś mi ją zostawił zhańbioną.

— Ja nagrodzę.

— Ożeniłbyś się? — Stary się rozśmiał okropnie.

Jan milczał.

— Co chcesz? — spytał.

— Twojej krwi! Módl się! Nie mam czasu! Twój nadjeżdżają!

W tej chwili strzał rozległ się głośny i blisko stojący już panicz zawołał:

— A to co za głupiec strzelił?

Obejrzał się i zdrętwiał.

Obłoczek sinego dymu unosił się o kilkadziesiąt kroków od niego, nad miejscem, gdzie stał Jan. Kary wierzchowiec swobodnie leciał, zadarłszy ogona, wierzgając, po polu skacząc. Na roli leżał Jan z rozdartą wystrzałem piersią, a krew buchała mu otwartymi ustami; obłąkane oczy niebieskie zataczał wkoło, a ręką bezsilną chwycił się coraz ku sercu.

W chwili wszyscy go otaczali.

— Co to jest? co to się stało? — pytali jeden drugiego.

Nikt odpowiedzieć nie umiał.

— Do domu! do matki! — słabym głosem rzekł postrzelony. — Nie szukajcie winnego; ja sam winienem; to przypadek.

— Ależ nie miałeś strzelby z sobą?

— Owszem, miałem. Nieście mnie prędkiej, prędkiej!

Wzięto natychmiast Jana na zielone z gałęzi nosze i powolnie szalony orszak, co dopiero ze śmiechem i swawolą przez wieś leciał, powracał ze spuszczoną głową i chmurnym czołem do domu, wiodąc za sobą śmierć.

Podkomorzyna z panną Teklą nieszczeniściem wyszły były na przechadzkę właśnie w tę stronę, z której Jan omdlały, krew lejąc po drodze, powracał.

Pierwsze oko matki ujrzało niepojęte w początku skupienie młodzieży, wracającej pieszo i tłumnie, a tak rychło do dworu.

Serce matki zabiło. Mimo wieku i osłabienia, podbiegła żywo i bez przygotowania, niespodzianie trafiła na widok, który ją przytomności pozbawił. Padła omdlała, obejmując rękami nawpół tylko żywego syna.

Nikt nie pytał, nikt nie tłumaczył, co się stało. Ludzie, otrzeźwiwszy nieco mdlejącą bezustannie, ponieśli ją na rękach do domu. Wszyscy słudzy pośpieszyli po lekarzy do miasteczka, ale krew, obficie wylewająca się ustami postrzelonego, dla nieświadomych zdawała się niechybną bliskiej śmierci oznaką. Droga, którą niesiono

Jana, dziedziniec, łoże, pokój młodą tą krwią, tak marnie przelaną, zbroczone były. Podkomorzyna leżała w gorączce i spazmach.

Większa część przyjaciół przestraszonych, lękając się odpowiedzialności, zapytań, dochodzeń urzędowych, natychmiast niby po lekarzy powynosiła się cichaczem. Dwóch tylko czy trzech odważniejszych pozostało.

Nocą dopiero nadjechał lekarz i ranę zaledwie wśród powszechnego popłochu obandażowaną opatrzył nanowo. Jan strzelony był o cal wyżej serca, a kula przeszła piersi na wylot i wyszła ponad lewą łopatką.

— Czy będzie żył? czy wyżyje? — pytali słudzy, dworacy, oficyaliści.

Lekarz, choć głową pokręcał, nadziei nie tracił, nie ani tak, ani owak nie mówiąc. Co było koni, rozesłano po innych doktorów. Tymczasem ekonom, rządcą, pisarz i cała zgraja sług, o sobie pamiętając, na wszelki przypadek oczyszczała śpichlerze, magazyny, stodoły i wywoziła ze dworu, co tylko dało się pochwycić wśród zamieszania.

— A co to ja mam być gorszy od drugich? — mówił ulubiony sługa Jana, pakując co lepszego z pańskiej garderoby i przeglądając szkatułki. — Czemu to ja nie mam się pożywić, kiedy wszyscy biorą?

Wśród powszechnego rabunku ledwie kto pozostał, coby przy łożu pani i syna chciał siedzieć. Jak wszędzie, ubożsi tylko i biedniejsi wiernemi byli nieszczęściu.

Oslabiona, przerażona podkomorzyna w nocy znalazła siły, żeby się zwlec z łóżka do syna. Rozpytywała otaczających go, co było przyczyną tak strasznego wypadku; ale nikt odpowiedzi nie chciał i nikt też dokładnie nie wiedział. Jedni utrzymywali, że strzelba, czy pistolet, który Jan zawieszony miał na sznurze, targnięty w peędzie, wystrzelił; drudzy, że jakiś nieznajomy człowiek, z lasu wyszedłszy, stanął naprzeciw Jana, powiedział do niego słów kilka, jakby mu coś wyrzucał, zmierzył w piersi i wystrzelił.

Wyrazy wszakże Jana, który w pierwszej chwili wołał: „To przypadek; nikogo nie szukajcie!“ najmocniej dowodzić się zdawały, że baśń o owym człowieku była skleconą tylko.

— Któżby śmiał, ktoby mógł — mówiła podkomorzyna — strzelić do tego anioła dobroci? Komu on zrobił co złego? Mógłże mieć nieprzyjaciół?

Matka, która ani rodzaju życia, ani nawet najpospolitszych codziennych czynności rozpieszczonego dziecka nie знаła, pojąć takiej zemsty nad niem nie mogła.

Między ludźmi pocichu wieść się rozchodziła, że Bartosz, ojciec

Julusi, strzelił do pana Jana. Dojeżdżacz, który stał nieopodal, zaklinał się, że go widział doskonale, słyszał nawet, że coś wprzód mówił, ale zrozumieć nie mógł. Matce nic o nim nie wspomniano. Rządca tylko natychmiast nakazał obławę w lasach i sam z kilkunastu ludźmi poleciał ścigać budnika.

XX.

Był wieczór późny, a po lesie rozlegały się hukania i rozświecały łuny zapalonych na brzegu ogni. Bór dokoła opasywano strażami, które do dnia białego wartować miały. W dalekim ostępie, na zielonej łące, którą otaczały gęszcze nieprzebyte, wznosiło się wzgórze piaszczyste, porośnię suchą trawą, mchami srebrzystymi, posiane igłami otaczających kilku sosen. Gdzieniedzie żółta, biała lub różowa nieśmiertelniczka podnosiła główkę bez życia na tej darni martwej, jak ona.

U podnóża wzgórka, pod starą sosną palił się pień wyrąbany, w który nagromadzono smolnego łuczywa, kopząc więcej, niż oświetlając i grzejąc.

W zwieszonych ku ziemi gałęziach drzewa upleciony był szałas, przykryty poucinaną świeżo leszczyną, dębina, osiczyną i wonnymi warkoczami brzozy. U samego-to wnijscia szałas blyszczała trocha rozpalonego ognia. Opodal od niego siedział zadumany, z odkrytą głową, ze strzelbą nienabitą, obok na ziemi leżąca, Bartosz, budnik, wpatrując się w ogień temi oczyma, które, skierowane na jeden przedmiot, nie chcą zniżyć z niego, bo już niczego na świecie nie szukają.

Przed nim na gałęziach i rozesłanej świecie bielało martwe ciało umarłej Julusi, której twarz blada w czarnym warkoczu włosów wydawała się jakby chustą pokryta. Przymknięte miała powieki, zawarte usta sine, a ostatnim znakiem niedawno ubiegłego życia było kilka kwiatów ucepionych na skroni. Obląkanie tylko mogło ją tak ustroić w godzinę śmierci.

Z drugiej strony umarłej siedział Maciej, który strugał nożykiem łuczywo i do ognia przyrzucał. Z niejakim strachem poglądał na martwe ciało siostry, to znów na zdrętwiałego ojca, który łyzy nie ronił i słowa nie rzekł.

Choć dosyć daleko stały zwołane obławy, huk ich aż tutaj dochodził, głosy aż tu dolatywały. Lecz prócz Macieja nikt ich nie słyszał.

— Słyszycie, tatu! — zcicha ośmielał się niekiedy wybąknąć syn, a Burek też piszczał lub zaczynał wyć smutnie, ale jedno spoj-

zenie Bartosza zamykało usta synowi i pies, podtuliwszy ogona, uchodził skryć się w kątek za gałęzie.

— Co to będzie! co to będzie! — mruczał Maciej. — Jeśli ja wiem, co to będzie, niech mnie kaduk porwie! Siostra umarła, ojciec gdyby słup nieprzymierzając, chata spalona. Ciekawości! ciekawości!

Wilcy zaczęli wyć w oddaleniu.

— Ot, i to potrzebne — mruczał Maciej, ruszając ramionami. — A ten Burek taki głupi swoim wyciem; gotów ich nam tu naprowadzić. — I syknął na psa.

Stary tymczasem rzucił się na kolana i modlił się, a modląc się, rozplakał się i upadł na ziemię twarzą.

— Ot, i tatulowi coś — rzekł Maciej. — Tylko ja co się podobno zostanę, ta i Burek, jeśli nas wilcy nie pojedzą.

Bartosz nareszcie podniósł łysą głowę, zwałaną piaskiem i ziemią, i zawołał:

— Módl się! Czyż i u grobu siostry ani ci co w sercu zabije, ani łza nie przyjdzie? A Boże!

Maciej posłuszny rzucił nóż, którym strugał łuczywo, i pokłękł, przeżegnał się bez omyłki i głośno, jak dziecko, począł bez zajknięcia pacierze odmawiać, a skończywszy wszystkie, ile ich umiał, przeżegnał się znowu i wstał.

— Już! — rzekł do ojca.

Ten ściągnął się tylko z ziemi, podpierając ręką.

— Do roboty! — rzekł. — Widzisz, że leży bez trumny. Zrobim jej trumnę choć z dranic; niech nie wala się biedne dziecko bez pogrzebu. Do siekiery!

Straszno było patrzeć na tego starca, który podwajając siły z rozpaczą i gorączkowym pośpiechem, ciał drzewo potężnie i odrzucał ogromne trzaski. Sam on miarę wziął na ciało córki, sam kierował robotą trumny, która w kilka godzin mizernie skleconą została. Ukłękł starzec, wyściełając ją mchem i nieśmiertelnikami, a potem, napozór obojętny, postąpił ku ciału córki. Ale tu znowu boleś nim owładła niepokonana, padł na jej ciało i płakał.

— Dziecko moje! dziecko moje! — mówił głosem przerywanym łkaniem — takiz-to ja dzień w mej starej głowie marzyłem dla ciebie! Myślałemże kiedy, że ci zbójca w lesie z kradzionego drzewa trumienkę ciosać będzie i na nieświęconej ziemi, krwią zmazanemi rękoma zwiędłą zawczasu i obłąkaną nawet w godzinę śmierci—pogrzebie! O, mój Boże! jedno chowam, a drugie! drugie! Bóg wie, jak ono skończy! Żegnaj mi, dziecko drogie! Przynajmniej cię teraz ręce cudze nie dotkną; ja sam złożę cię na wieczny spoczy-

nek, jak ty ojca położyć i powieki mu przysypać miałaś. Zadługo żyłem, zadługo!

I na silne wzięwszy ją ręce, podniósł z ziemi. Naówczas czarny jęć warkocz ogromny rozsypał się aż na darń i kwiatki się z niego posypały. Ojciec ukląkł i pozbierał je do jednego. Maciej patrzył z otwartą gębą i trochę się krzywił; zdawało mu się, że zapłacze, ale na to zebrać się nie mógł.

I znowu podniósł ją ojciec, a powolnie stąpając, złożył ostrożnie w ubogiej trumience. Tu, jak matka do snu w kolebce układa dziecię, ułożył jęć na krzyż ręce, głowę na czarnym warkoczku i pokrył, zrywając z siebie, czém tylko mógł, jakby ją od chłodu osłaniał jeszcze. Potém pocałował w czoło i z ojca znów stał się grabarzem. Klęcząc, zabił świekie drewniane trumienki i szpary gęsto, starannie suchym mchem pozaciskał.

Skończywszy, wyszukał drzewo, które obciosał nakształt rydla, i skinał na Macieja.

Domyślił się i on przecie, że dół kopać było potrzeba. Przy słabym promyku dogorywających łuczyw starzec żywo, jakby pośpieszał, oglądając się na wschodnią stronę nieba, odrzucał żółty piasek; obok syn czynił toż samo, ale powoli i niezgrabnie. Burek siedział przy trumience i wył żałośnie.

Na dzień się zabierało, gdy grób był gotowy. I spuścili ją powolnie w nieznaną mogiłę; a ojciec pierwszy posypał sennie oczy biędnęj dziewczyny garścią żółtego piasku.

I sypali mogiłę, sypali, aż rozwidniało i rozedniało, a dzień był jasny na niebie i huk postępującej oblawy zewsząd słyszeć się dawał, gdy Bartosz, wyciosawszy krzyżyk, wkopał go w głowach Julusi.

Maciej upadł na ziemię zmęczony. Starzec pochylił się tylko na grób i nieruchomy pozostał.

A ptaki świergotały na drzewach i wiatr chłodny, orzeźwiający powiewał i słońce podnosiło się jasne, rozpromienione, wesole.

W parę godzin oblawa schwytała starca i syna, leżących jeszcze u mogiły Julusi; Maciej był usnął.

Bartosz dał się związać, zabrać i prowadzić w milczeniu; powiedział tylko kilka słów do rządcy, aby Macieja wypuścił, przyznając się odrazu do całej winy. Jakoż nie wiązano nawet syna, którego znano z tchórzliwego charakteru i ograniczonej głowy. Ojciec odwrócił się parę razy za nim, sądząc, że pozostanie w lesie, ale instynktem jakimś Maciej razem z Burkiem powłókł się krok w krok za prowadzonym Bartoszem.

XXI.

We dworze kilku lekarzy otaczało łoże pana Jana i jego matki; ona także znów w gorączce i bezprzytomna leżała. Syn postrzelony, chociaż kula przeszła mu ponad sercem, nie był raniony śmiertelnie. Pomimo niebezpieczeństwa, mógł wyżyć i znieść ten postrzał, który o cal tylko niżej byłby go trupem położył.

Ale napróżno pocieszano tém matkę, która zrozumieć nawet, co jój mówiono, nie mogła. Musiano wreszcie przenieść ją w lektyce do syna, aby go sama siedzącego zobaczyła i żywego; dopiero tym środkiem zdołano powrócić jój przytomność i zdrowie. Wprzód bowiem wierzyć nie chciała, że żyje.

Ale wzruszenie wielkie wstrzęsło do reszty słabym umysłem i osłabiło ją nadzwyczajnie; zestarzała się nagle i straszliwie, zgrzybiała w dni kilka. Najmniejszy szelest, śmiech, odgłos, uderzenie drzwiami, hałas w domu przerażały ją i nabawiały milczącym strachem. Drżała przed każdą nieznaną twarzą, a choć dotąd nie wiedziała, kto do jój syna strzelił, jakiś instynkt macierzyński kazał się jój wszystkich obcych obawiać.

Jan także innym powstał z tej choroby człowiekiem; z krwią wylaną z młodej piersi, którą opłacił szalał młodości i występki swój, ubiegło zeń wiele złego. Pierwszém staraniem, gdy przyszedł do siebie, było uwolnić od wszelkiego prześladowania Bartosza. Z trudnością to wprawdzie przyszło, ale że Jan żył i sam się o to starał, dowiedziano, że budnik oswobodzony został; wymagano tylko, aby się z tych stron oddalił. Jan hojnie opatrzeć chciał potrzeby starca, ale ten ze wzgardą i gniewem ofiarę odepchnął. Rozsypane pieniądze po izbie zebrali świadkowie, a stary wziął tylko swoją strzelbę z kąta i wyszedł, słowa nie rzekłszy. Maciej i Burek pociągnęli za nim.

Nim liście z drzew opadły na mogiłę Julusi, znaleziono budnika skrzepłego na żółtym usypie, obok krzyżyka, który oznaczał grób córki.

Maciej i Burek siedzieli poniżej: jeden plótł łapcie, drugi kawał suchego chleba gryzał.

We dworze? — spytacie jeszcze.

Wiele się tam, choć powoli, zmieniło. Niema już hucznych, jak przedtém, zabaw, ani szalonej młodzieży, ani rozpasanych przyja-

ciół. Jan podstarzał i siedzi przy matce, której dwór, prócz panny Tekli, zupełnie nowy.

Macieja zrobiono leśniczym, a Burek dotąd się za nim włóczy i często mógłby sprawiedliwie użalać się na niewdzięczność swojego pana, gdyby psy nie były daleko poczciwsze od ludzi, a nadewszystko cierpliwsze!

Prawda, że też-to psy tylko!

K O N I E C.

OSTAP BONDARCZUK I JARYNA.

Poświadczą nam ci, co razem z nami spędzili czas przeżyty na Wołyniu, między Omelnem, Gródkiem, Hubinem a Kisielami, żeśmy od 1837 do 1858 roku — aż do urzędowego podniesienia kwestyi emancypacyi i nadania włościan — przygotowali ją i budzili do rozwiązania tego zadania, ciężącego na sumieniach naszych, rozumowi politycznemu kłam zadającego. Wszystkie środki do przygotowania umysłów były dobre, myśmy innych nie mieli nad stosunki społeczne, niezbyt świetne, i pióro to, które często działało, tylko wywołując burze. Nie zrażając się wszakże trudnościami, szliśmy drogą przekonania i obowiązku, *usque ad finem*. W „Latarni Czarnoksiężskiej“ tryumfem dla nas było, gdy pobożny, zacny ksiądz Wiktor Ożarowski powiedział nam raz: „Wiész, nad twoim Sawką płakałem“.

Po „Sawce“ przyszedł „Ostap“, „Jaryna“, a w końcu stare dzieje znane w Żytomierzu i „Historya kołka w płocie“. Wszystko to świadczy, żeśmy cel mieli i zostali mu wierni, a o ile mogliśmy, staraliśmy się przyłożyć do tego, co było rozumnym i obowiązkowym, szlachetnym zarazem i korzystnym.—, „Ostap Bondarczuk“ był trzy razy drukowany i przełożony na język niemiecki przez profesora Fritza we Wrocławiu, podobno przez kogoś na rosyjski. O tych rosyjskich tłumaczeniach mało co wiemy. Nigdy nas tu nikt nie pytał o pozwolenie i nie zatroszczył się o prawa nasze. *C'était de bonne prise*. Co na placu, to nieprzyjaciel. Więcej o nim i o „Jarynie“ nic powiedzieć nie umiemy.

Dnia 5 Grudnia 1874 roku.
Drezno.

J. I. Kraszewski.

CZEŚĆ PIERWSZA.

OSTAP BONDARCZUK.

I.

Było-to świeżo po owym roku klęsk — roku pamiętnym w dziejach świata — 1812; w naszym kraju także na długo zostawił on ślady po sobie: na ziemi gruzem, popiołem i mogiłami, na duszach niejednym zawodem, niejedną stratą bolesną. Po wielkiem przesileniu była chwilka ciszy, odrętwienia, spoczynku przed nowemi burzami.

Wojska nowego Aleksandra, nowego Cezara przelały się w serce północy i odpłynęły nazad w pół-zmarzłe, w pół na duszy zrozpaczone; a kędy przesunęła się wojna, gdzie przeszli z orężem w rękę ludzie, gnani wolą zdobywcy, pozostały po nich drogi, jak po burzy, lub szarańczy: drogi zgliszcz, szkieletów, mogił i ruin.

Pustkami smutnemi stały wielkie części kraju. Wieśniacy odbiegli swoich sadyb, panowie swych pałaców; każdy się tulił pod mury miejskie lub w głąb' lasów, szukając bezpieczeństwa. Niejedna wieś stała pustką lub zgliszczem, niejednen dom szlachecki świecił wybitemi oknami, niejedno pole, stratowane obozowiskiem, odłogowało niezasiane.

Straszna-to klęska wojna! W lat tysiąc, gdy porozumnieją ludzie i godność swą ocenić potrafią, gdy pojmą nareszcie, jak dziwnie zwierzęcém rozwiązaniem wszelkiego sporu jest uciekanie się do siły pięści, do walki ciał, boje naszych czasów służyć tylko będą poetom za temat do strasznych, a niepojętych już wnukom i prawnukom obrazów. Niejednen, czytając opisy krwawych bojów całych narodów przeciw całym narodom, zawoła w duchu: o! cóż to za dziekie, barbarzyńskie były czasy!

I przez Wołyń nasz ciągnęły części potężnej Napoleona armii, i tu ślady przechodu pozostały po nich.

Spojrzymy na tę wioskę w dolinie, między dwoma pagórkami leżącą.

Jeden ze wzgórzów okryty dębowym laskiem, co się jeszcze nie rozwinął, drugi nagi i pokrajany w zarosłe już trawą skiby, lekko schodzą oba ku zielonej łące, co się pozłociła kwitnącą łotocią. Ponad rozlaną jeszcze na mnogie kałuże rzeczulką przechadzają się poważnie czerwono nogie bociany, polatuje czajka, piskliwym odzywając się głosem, błędzą cyranki, szukając zakrytego trzciniami źródlika. Ponad łąką i rzeczulką spuszcza się z przeciwległego, lekko pochylonego wzgórzka płosy ogrodów wiejskich, poodgradzane płotami od siebie, gdzieniegdzie ocienione białą od kwiatu gruszą, starą lub wypróchniałą wierzbą. Ale ogrody te jeszcze nie skopane, rzadko który okrył się czarną odwróconą darniną, większą część przeszłoroczne zeschłe, pogięte zasłaniają bodiaki, bziki złamane od śniegu i łodygi kukurydzy, lub powywracane kaczany kapusty. Ku górze stoją chaty, każda przeciw swego ogródka. Chata wołyńskiego chłopka warta jest zastanowienia doprawdy. Nie dziwię ja się wcale zasadnej, z okrągłych bierwion na mech pobudowanej chacie Poleszuka, pokrytej dranią, na tęgich podwałach, o silnych krokwiach. Tu niewiele sztuki potrzeba było na zrobienie domku, przy dostatku wszystkiego, co ku temu potrzebne. Z trochę starania, z tegoż drzewa dałoby się coś jeszcze porządniejszego, a przynajmniej kształtniejszego stworzyć. Ale na Wołyniu, gdzie często całe wsie różgi lasu nie mają, gdzie o materiał tak trudno, chata wieśniacza równie jest kunsztowną i ciekawą, jak lepianka w stepie bessarabskim. A i tam to morzem, to Dniestrem przyjdzie czasem kawał drzewa i większa zamożność ludu daje mu środek nabycia i kamień wszędzie prawie zastępuje drzewo. Tu nic z tego. Chata w bezlesiu buduje się Bóg wie jak i z czego.

Osobliwsza też to zaprawdę budowa! Kilka krzywych dębowych lub osikowych słupów podpira ją po bokach. Beleccki, co by ich Poleszuc nie wziął na krokwie, beleccki brzozowe, osikowe chude, krzywe, powyginane, służą za podstawę dachu. O krokwiach niema co i mówić: są-to z kory tylko obrane patyki osiczyzny, zawieszzone nieforemnie, a tak dalekie od linii prostych, że dach cały, gdy słońce się zleży, jeży się pagórkami i dolinami. Łatwo też na nim stać wodzie deszczowej i prędko bardzo mech z początku brunatny, potem żywej zieloności, wieńczy przegniłą lepiankę. Ściany zarzucają się najrozmaitszego drzewa polanami i nie myśląc im wcale o foremności, ciosać niema z czego, ułożyć się krzywe nie da prosto, często też i najczęściej w górze się wydmie, u dołu wkleśnięcie cieniuchna zaporą, całą rodzinę rozdzielająca od zimowych niepogód i dojmujących wichrów. Zewnątrz i wewnątrz grubo wyle-

piona gliną, osmarowywana co roku, ogrodzona przyźbą, ziemią lub gnojem napełnioną; przecięta maleńkiem okienkiem, nad którym wi- si kawał zwiniętej maty, chatka wieśniacza trwa jednak długie la- ta; ale jakże smutna jęj zgrzybiałość!

Nieprędko chłopek pomyśli o nowęj, bo mu o nią wielce trudno. Pleciony kominek pałkami już tylko, odartemi z chróstu i gliny, ster- czy nad nią; dach połamiał się, pozapadał, zazielenił od mchu i po- róśł trawami i zbożem; z jednęj strony pochylił się, aż go drągiem podeprzeć musiano, z drugięj zsunął aż na ściel. Nic to! Ściany wpadły gęęboko w ziemię, tak, że okienko siadło na przyźbie; słupy porozchodziły się na rózne strony, drzwi ukosem się otwierają, prze- cieź chata jeszcze mieszkalna. Nieraz dach runie, ściana się wy- wali, na jedno niby nie patrzą, drugie podeprą i tak, aby dalej, aby dalej. Ciężko-bo też to pobudować chatę w bezlesiu. Cóż dopięro inne budowle, kiedy taka chata? Gumno korzysta z plecionęgo pło- tu i, jednę ścianę oszczędzając, ku niemu się przyparło, — chlewek korzysta z chaty i do nięj się przytulił, szopka korzysta z chlewka, i tak dalej. To też kiedy iskra wyleci na dach, niema już ratunku, wszystko płonie. A gdy spłonie, dopięro z musu trzeba pomyśleć o nowém.

Chata, którąście widzieli zgrzybiałą już i letnią staruszką, wca- le inaczej wygląda, gdy nowa, a zwłaszcza kiedy gospodarz całą gębę gospodarzem, kiedy gospodyni dbała, a semia duża. Wylepiona, wybielona, omieciona, zdaje się ukrywać starannie, z czego się skła- da, i rzekłbyś, że doprawdy pobudowana z drzewa, nie z kijów.

Po 1812 r. wieś nasza i jęj chaty wcale jednak inaczej wyglą- dały. Na wielkim położona trakcie, na wojsk przechodzie, wiedzia- ła, czego się ma spodziewać, i wieśniacy po jednemu, po dwóch, po- tępem kupami wybrali się na sąsiednie Polesie. Pan ze swęgo pałacu daleko wprzódy ustąpił.

Wieś, pałac, zabudowania, pola smutny teraz przedstawiały obraz; kilka chat z brzegów całkiem rozebranych sterczały niewy- rwanemi słupy i rumowiskiem pieców czarnych. Płoty leżały na ziemi, ogrody okrywały chwasty i pokrzywy przeszloroczne. Nie- które budowle niedogorzałe, ze zwiślemi dachy, z wylamanemi ścia- nami, zgasłe tylko zawierały ogniska. Stratowana ziemia świad- czyła o koniach, które w pobliżu stały. Szczałki kości walały się po drodze, krucy obrywali reszty ścierwa ze szkieletów koni.

Głuche milczenie, przerywane krakaniem ich, panowało na wio- sce. Mało jeszcze włóścian powracało i z rzadkięj chaty kurzyło się, rzadka postać ludzka przesuwala się przez szeroką drogę, środ- kiem wsi wiodącą, której część trawą i burzanami zarosła.

W końcu osady był dawnięj pałac pański. Zwał się on pała-

cem, boć ten, co w nim mieszkał, zwał się grafem. Był-to budynek piętrowy żółty, ze czterema kolumnami z frontu, z dwiema oficynami po bokach. Ode drogi oddzielały go sztachety w murowanych słupach i brama murowana wyniosła, z dwoma glinianemi wazonami na wierzchu. Teraz wojna wyłamała sztachety, słupy z tynków opadły i jedna część bramy runęła. I pałac w nielepszym był stanie.

Większej części okien brakło szyb, a nawet ram, niektóre zamykały się okiennicami, inne zabite były dylami, inne stały otworem dla wróbli i jaskółek. Jedna z oficyn widocznie służyć musiała za stajnię, bo kupy przez okna wyrzucanego gnoju dobitnie świadczyły o tém; druga w połowie pusta, w połowie zajęta przez rządcę, nieco w lepszym była stanie.

Na froncie pałacowym, nie wiem jakim trafem, kula armatnia wybiła dziurę ponad samym splekany herbem dziedzica. Jaskółki ulepiły gniazdo w tej pamiętce wojny. Zniszczenie choć im posłużyło na coś.

Wewnątrz smutno wnijsć było. Dach połamany przepuszczał deszcz i tający śnieg, które strugami brudnej wody płynęły na powybijane i powyrywane posadzki, na sztukaterie gipsowe, na malowane i mozaikowane ściany. Pałac sam opowiadał swoją historią. W sieniach postrzelane ściany, ruszona podłoga, zrabane drzwi. W pokojach kupy popiołu i węgla, krzesła walały się bez nóg, stoły leżały na ziemi, kominki czerwonemi nagiemni świeciły ceglami. W jednej sali kilka familijnych obrazów posiekanych, pokiereszowanych, postrzelanych, bez nosów, bez oczu, wisiało nieforemnie, lub leżało na podłodze. Wielki bilard, odarty z sukna, zarzucony był słomą; do zielonego sznura, na którym wisiał pająk, ucepiono postronek, urządzony na stryczek i widocznie używany, bo pod nim kałuża czarna, zaschła dowodziła barbarzyńskiego pastwienia się nad kimś, może niewinnym. Wszędzie pełno kości, zdartych papierów, zgasłych kłaków od nabojów, ułamek mebli i sukien. Na białych ścianach czarnym węglem zapisali żołdacy różnych narodów plugastwa szkaradne.

W gabinecie fortepian pocięty był szablami, a na posadzce walały się białe klawisze, arfa strzaskana wisiała na kołku; puste ramy obrazów zaciągnął już pająk pracowity.

W biblioteczkę stały szafy puste, kilka tylko tomów rozstrzępionych rozplasoło się na ziemi, kilka kart wyrwanych bieleło po kątach, splugawiona rycina przylepiła się na ścianie.

I wszędzie tak, wszędzie.

Nie poszanowano kaplicy, nie oszczędzono świętości. A ludy, co się pastwiły tak nad strzechą nieznanego, nie byli-to barbarzyńcy, o! nie! Przyszli z ucywilizowanego zachodu. Ale wojna roz-

bestwia; wojna, każąc człowiekowi nastawiać życia, pozwala mu wyrzec się też wszelkiego uczucia. Żołnierzowi wolno jest wszystko, bo jutro nie jego, a zapal się podobno podsycą swawolą.

Krucyfiks kapliczny rozplątany był na dwoje i podziurawiony kulami; na ołtarzu zrobiono żłób, w konfesjonale wałała się reszta plewy.

W ogrodzie powycinane największe drzewa, zrąbane mosty, zrzucone altany i gdzieniegdzie tylko twarz bez nosa, rękę bez palców wyciągał z gałęzi i chwastów stary posąg kamienny. Sádzawki zielona pleśń pokryła.

W oficynie pana rządcy, świeżo jako-tako wyporządzonej, parę poikoików zajmował pan Mrzozowski, który, jak skoro się uspokoiło, uci-chło, porzuciwszy żonę i dzieci w Łucku, sam do obowiązków powrócił.

Mógł jednak wybornie odpocząć, bo nie było ani czego pilnować, ani co, ani kim robić. Ludzie wprawdzie powracali, ale musieli iść na zarobki, bo w domu nie było co jeść, nie było czém zasiewać, nie było czém orać i nie było im co dać. Ani chudoby, ani pługą, ani ziarna. Ci, co się zwlekli z końmi i wołami, musieli je sprzedać, aby żyć. Obowiązki więc pana Mrzozowskiego ograniczały się na wzdychaniu, rozpytywaniu, kurzeniu fajki i przechadzkach po wsi. Ozimina nie zasiana, a jarzyny nie było czém i jak zasiać. Jednakże trzeba mu było oddać sprawiedliwość, że o tém myślał.

Codziennie regularnie Mrzozowski, zapaliwszy fajkę na krótkim cybuszku, włożywszy czapkę na głowę, chodził po pałacu.

Zniszczenie, panujące tutaj, nie mogło mu się w głowie pomieścić; ciągnął go ten widok okropnością swoją. Wszedłszy w sień, stawał, patrzył, ramionami ruszał, kręcił głowę i tak postępował dalej, wszędzie się zatrzymując i medytując. Obszedłszy cały pałac najskrupulatniej, powracał do swojej izdebki, siadał na kufierku, a mając podostatkiem połamanych krzesielek, raczył się obfitym ogniem na kominie.

Medytacje rządcy, codziennie jedne, codzien się powtarzające, przedłużały się, modyfikując się nieco, do późnego wieczora.

Po obiedzie, uwarzonym przez starą babę, niegdy dworską gospodynią, u kominka, Mrzozowski wychodził na wioskę, na puste łany, rozprawiał z wieśniakami, których napotykał, wstępował do arędarza Lejby, który już objął w posiadanie austeryą traktowąż, i, wypiwszy kieliszek wódki, nakiwawszy głowę, powracał siedzieć na pustym kufierku. W dniu świąteczne jeździł do żony do Łucka, lecz w poniedziałek po niedzieli i nazajutrz po święcie powracał na stanowisko.

Zwyczajnym wątkiem medytacyj pana Mrzozowskiego było:

— Jak też to oni nic nie poszanowali! — i: — Co to graf powie, gdy powróci?

Wprawdzie pisał pan Mrzozowski do grafa, ale nie otrzymał odpowiedzi, nie był pewien, czy list jego doszedł.

Jednego poranku, gdy właśnie ukończył przegląd pałacowych pustek i już miał z sieni wychodzić, posłyszał rządcę trąbkę pocztarską, klaskanie z bata i turkot powozu, spuszczonego się w jar ku dworowi. Mrowie po nim przebiegło.

— Dalipan, ktoś jedzie! — rzekł sobie.

A gdy się przybliżyło, powtórzył:

— Doprawdy, że jedzie.

Trąbka grała coraz-to głośniej.

— Jak Boga kocham, ktoś jedzie! — zawołał i wyskoczył zaczerwieniony.

A właśnie w gruzy wrót wtaczała się żółta, bombiasta landara, sześciu końmi zaprzężona, za nią koczyk, za koczykiem bryka.

— Jak żonę i dzieci kocham, to graf! Co ja tu nieszczęśliwy pocznę? — łamiąc ręce, przeraźliwie zaskowytał pan rządcę.

Landara zajeżdżała przed ganek.

Z okna wysunęła się ziewająca głowa pana grafa z rumianem obliczem, obwisłą wargą i siwemi, zaspanemi oczyma.

Spojrzał i zakrzyknął.

Mrzozowski stał drżący, czapkę wzięwszy pod pachę, skulony, z miną zbiędnioną.

— Co to jest! — zawołał graf.

Hrabina wychyliła się, spojrzała, zakryła oczy rękami i krzyknęła boleśnie:

— Ach! ach!

— Co to jest? pustka? — powtórzył dziedzic.

— Jak zwyczajnie po wojnie — szepnął, zginając się, rządcę.

— Ale to chyba u nas tylko! Nigdzie nic podobnego nie widziałem!

— Po trakcie, JW. grafie, tak wszędzie.

— Więc wszystko...

— Wszystko zniszczone — rzekł Mrzozowski.

— A wieś?

— Jak wszystko.

— A ludzie?

— Połowy ich niema.

— A pola?

— Nie zasiane.

— To ruina, okropna ruina!

— Ruina, JW. panie.

— Nieszczęście!

— Nieszczęście! — powtórzył z westchnieniem Mrzozowski.

— Cóżes waść robił?

— A cóż-em miał robić przeciw wojsku?

— A przecież prosić, starać się u generałów, u starszyny, skarżyć wreszcie.

— Jeden generał niemiecki kazał mnie, upiwszy się, powiesić w wielkiej sali; ledwie mnie oficerowie przez litość odcięli. Gadać nawet nie dali. Żonę i dzieci musiałem skryć w mieście; sam z niebezpieczeństwem życia dobra JW. pana pilnowałem.

— Cóżes waść upilnował?

— A cóż? jak JW. graf widzi.

— Pustki?

— Kazałem okna pozabijać.

— A gospodarstwo?

— Niema kim orać, czém orać i co siał.

— Nie siano?

— Nie siano, JW. panie, ale Lejba obiecuje.

— Ale cóż tu poczniemy? — przerwała hrabina — pałac w ruinach, pustki, ludzi nawet nie mamy; mieszkać tu niepodobna.

Graf poskrobał się po czole, Mrzozowski stał w milczeniu.

— Gdzież waść mieszkasz? — spytał.

— W oficynie, dwie izdebki.

— Jechać do oficyny!

Powozy ruszyły zprzed ganku i potoczyły się do oficyn. Tu graf i grabinie i mała ich córeczka Misia i nianki i sługi i cały dwór wysiadł. Ale nie było gwaru; na wszystkich zniszczenie to wielkie uczyniło wrażenie; szeptano tylko cicho, poglądano, a niektórzy pobiegli do pałacu.

JW. graf z żoną poszedł także.

Surowo, smutno przeszedł pokoje milczący, z wargą zaciętą. Żona płakała, wieszając się na jego ramieniu; stawała co chwilę i łamała ręce na widok swych ulubionych sprzętów zniszczonych, swych pokoi splugawionych przez hałastrę. Ludzie idący za państwem cicho, jakby przerażeni, wskazywali sobie w milczeniu to strzały, to szczątki ognisk, to zdarte szmat jakichś ostatki. Mrzozowski z tyłu stapał, milczący także.

Przeszedłszy pałac cały, hrabia wystąpił na ganek, ku ogrodowi wiodący. Mrzozowski czegoś się zarumienił, ale nikt tego nie postrzegł.

Po złamanych wschodkach wyszli na trawnik zieleniejący, potem wprawo grabową ulicą. Rządca za nimi, słudzy za nimi milczący. Mrzozowski chrząkał niespokojnie i kręcił się, jak w ukropie.

Uliczką ciemną zbliżyli się ku kamiennej ławce, pod starym dębem, nad sadzawką stojącej. Graf spojrział na rządce.

— Ludzi z rydlami — rzekł lakonicznie.

Ten potarł ręką po czole.

— JW. panie — wyjąknął — niema po co.

— Co? jakto? Skąd waśc wiiesz, dlaczego ich potrzebuję?

— Nie dla czego, panie, tylko dla dobycia kufra... którego niema.

— Jakto niema! — zawołał hrabia. — Skąd wiedziałeś, że był?

— Jak tu przyszedli Austriacy — mówił, mieszając się Mrzozowski — zaraz szukali pieniędzy: bili w ściany, wydzielali podłogi; potem, nie znalazłszy, poszli kopać do ogrodu i... znaleźli.

— Znaleźli! — powtórzyło kilka głosów.

— Znaleźli, podzielili się i zabrali.

Graf z dziwną krwią zimną zawrócił się, cicho coś szepnął płaczącej żonie i poszedł nazad. Mrzozowski czerwony i niespokojny potoczył się za niemi.

Studzy pobiegli sprawdzić na miejscu powieść o dobytym kufrze; jakoż w istocie kufer snadź odkopany został, bo niezasypana jama około ławki, już trochę porosła, czerniała jeszcze.

— Straciliśmy wiele — rzekł graf do żony — ale nie wszystko. Nie płacz, moja Anno. Inni stracili więcej; nam jeszcze pozostało czém zniszczenie to zatrzeć. *A la guerre comme à la guerre.* Mrzozowskiego mam w podejrzeniu. To się jednak odkryć musi. Tymczasem do ofcyn, a jutro zajmujemy się ładem i restauracją. Wystarczy nam to, cośmy w Warszawie pożyczili, a jeśli będzie potrzeba... Nie trap się tylko, moja Anno — dodał. — Ludzie naszej kondycyi powinni być wyżsi nad te drobnostki. *Le désespoir est canaille.*

Byłby mówił dalej, ale w tej chwili odarty dzieciak wyrwał się z gęstwiny i począł uciekać.

Ze łzami spojrzęła na dziecko hrabina. Było-to dziecię wieśniacze, nędzne, żółte, wybladłe, sześć lub siedem lat mieć mogące, a tak odarte, że połowa ciała przez lachmany poczepiane świeciła. Siermiężka jego, zlepiona z najróżniejszych szczytów, ledwie piersi i biodra okrywała; nogi bose, ręce nagie, głowa nie okryta była, a na bladej twarzy, pomimo przestachu, cierpienia, śladów schorowania i wyniszczenia głębokiego, ujmujący wyraz łagodności panował. Siwe oczy we łzach pływały, a ściśnięte usta, kształtne, wąskie, choć sine, choć we wpadłych policzkach, nie śmiejąc wzywać litości, zarysowały przymuszony uśmiech — uśmiech biednych, co za obowiązek sobie mają pokrywać nim cierpienie i prosić miłosierdzia.

Pomimo odarcia i przerażającej nędzy, bladeści, wyschnienia, dziecię jeszcze było piękne, tą smętną pięknością zeschniętych kwiatów, co rozkwitną na gałązce rośliny, zwarzonej jesienią.

Twarz uciekającego dziecięcia uderzyła hrabinę, i tak już roz-
czuloną widokiem zniszczenia, myślą o sobie i swoim dziecięciu.

Chłopiec poskoczył ulicą, obejrzał się i zaszył w pobliskie
krzaki.

— Co to za dziecię? — spytała pani.

— Mości Mrzozowski, co to za dziecię? — powtórzył hrabia.

— To, JW. panie, sierota z tutejszej wsi. Cała chata wymarła
z gorączki; ono się tuliło przy pałacu, żebrząc; syn Bondarczuka;
zowią go Ostapkciem.

— Jakto! nie ma nikogo krewnego bliskiego?

— Nikogo, JW. panie; krewni Bondarczuków najpierwsi się ze
wsi wynieśli i dotąd nie powrócili.

— Jakże żył?

— Jak robaczki i ptaszęta, JW. panie.

— W zimie?

— I w zimie.

— Nie odchodził przez cały czas nigdzie?

— Nie; ciągle był przy pałacu.

— Czémże żył?

— Nie wiem. We dnie nigdy się prawie nie pokazywał; w no-
cy widywano go po pustych chatach, grzejącego się u tlejących gło-
wien. Ja mu czasem kazałem dać łyżkę strawy, boć to pańskie do-
bro. Nawet Niemcy i inne *nacye*, co tu stały, z litości go czasem
podkarmiali i dawali mu (co sam widziałem) swoje kociołki do wyli-
zywania.

— Biedna dziecina! — smętnie odezwała się pani.

Hrabia pod ciężarem jakiegóś uprzykrzonej myśli westchnął tak-
że, ale widocznie z innéj przyczyny.

Potém chwilkę milczeli. Chłopak przypatrywał się z za krzaka
państwu, schylony wpół z oczyma wytrzeszczonemi, widocznie gotów
do odwrotu, nakształt dzikiego zwierzątka.

Zbliżywszy się, hrabina zawołała go do siebie.

— Chodź tu, moje dziecko, chodź!

Chłopiec się zawahał, obejrzał.

— A idźże do JW. pani! — krzyknął Mrzozowski, podnosząc
kija.

Ostap na widok téj groźby już miał pierzchnąć, gdy powtórnie
zawołany przez panią, zebrawszy się na odwagę, wystąpił, rzuciw-
wszy okiem na rządęcę. Tu dopięro w całym swym majestacie obja-
wiła się oczom przytomnych nędza sieroty.

Hrabinie ciągle oczy we łzach pływały.

— O! prawda — zawołała — nie godzi się skarżyć i narzekać
na siebie wobec takiej nędzy!

— To całkiem co innego — odmrunknął mąż, poglądając posepnie. — Oni stworzeni są do tego.

— Mężu! — przerwała Anna.

— Inaczej Bóg-by tego nie ścierpiał — z najzimniejszą krwią dokończył graf.

Hrabina rozpytywać go poczęła; ośmielony sierota odpowiadał coraz wyraźniej.

— Byłeś tu przez cały czas?

— Byłem.

— Cóżś widział?

— A cóż, to, co i wy widzicie teraz. Palili, łamali, popalili, połamali i poszli.

Nagle graf jakby się ocucił.

— Możeś i to widział, jak tam dobywali kufra pod ławką nad wodą.

Mrzozowski straszliwie pobladł.

— A widziałem — odparło chłopię.

— Doprawdy! — zawołał wszyscy — widziałeś, jak Niemcy...

Rządca stał, jak pod pręgierzem: dusił się, bladł, czerwienił, kołysał na nogach.

— Ale nie Niemcy — rzekł chłopiec.

— A któż?

— Pan rządca z jakimiś ludźmi nocką przyszli, wykopali, wzięli na wóz i...

W tej chwili Mrzozowski zniknął, rzucił się w głąb ogrodu, w gąszcze. Słudzy popędzili za nim.

— Możeś widział, gdzie zawieźli? — dodała hrabina.

— A jakże, bo przez ciekawość poszedłem za nimi. Bali się widać wieść daleko, to ono tylko zajechali pod gruszkę na łąn i tam dziurę wykopawszy...

— Prędzej! prędzej! — zakrzyczał, tracąc zimną krew, hrabia — pod gruszkę! pod gruszkę! Chłopcze z nami!

I w oka mgnieniu graf z ludźmi poleciał, zabrawszy z sobą Ostapka na łąn. Pod starą gruszką, pomimo ubitej starannie darni, znać jednak było niedawno poruszoną ziemię po wkłęsłości niewielkiej.

— Tu — rzekł Ostapek.

Ludzie wzięli się do kijów i rydlów i z niewymowną radością postrzegli wkrótce żelazny kufer, którego wierzch zardzewiała dźwięknął pod uderzeniem rydla. Dobrano się do zamka; zamek był nienaruszony. Hrabia, rozkazawszy wieść odzyskane mienie do pałacu, pośpieszył oznajmić o tém żonie. O Ostapku zapomniano zupełnie i sierota poszła powoli ku łące, gdzie kilkoro dzieci pasło chudą trzodkę, siedząc u nanieconego ogniska.

Byłby może hrabia nazawsze o dziecięciu zapomniał, bo radość z odzyskania sreber, klejnotów i ważnych papierów całkiem nim owładnęła; ale żona pobudziła go do wdzięczności.

— A ten chłopiec? — spytała wieczorem.

— Jaki chłopiec?

— Sierota, co ci pokazał gruszę.

— A prawda! Zapomniałem. Trzebaby dać mu przynajmniej jeść.

— Jeść! mężu! — odezwała się dziwnym głosem Anna. — Kto-by cię nie znał, wzięłby cię za niewdzięcznego, lub nieczułego, kamiennego człowieka.

— Mogęz mu co uczynić więcej? — spytał graf.

— Mnie się zdaje — odpowiedziała żona — że możesz go uwolnić, wychować przyzwocie i lepszy mu los zabezpieczyć. Mnie się zdaje, żeśmy nawet obowiązani do tego.

— Doprawdy? może, może to być! Rób, jak chcesz!

Po tej rozmowie hrabina posłała po Ostapka, którego ledwie wynaleziono, ukrytego w ogrodowej budzie. Nazajutrz, odziany, nakarmiony, przyjęty między dworskich, odżył już biedaczek.

W rok potem hrabina odsyłała go do szkół, — i ot, jak opuszczony sierota dziwnym trafem wychodził na człowieka.

Mrzozowski, zabrawszy żonę i dzieci, pojechał na Podole, gdzie wziął majątek spustoszony w dzierzawę. Hrabia nigdy nawet o nim nie wspomniął.

II.

Na berlińskiej publicznej przechadzce, którą *Pod Lipami* zowią, stanowiącej najpiękniejszą może i najbardziej ludną, przynajmniej w pewnych dnia porach, część miasta, gdzie świat *fashionable* zwykł uczęszczać, jak w Wiedniu na Prater, w Medyolanie ku Porta Orientale, we Florencyi na Casciny, na Corso w Rzymie, w Neapolu na wzgórze Pauzylippu, — dniem wiosennym, a raczej wieczorem, wśród tłumu powozów, ludzi i jezdnych, dwóch młodych ludzi szło ustronnie, powoli, jakby nie patrząc na to, co ich otaczało.

Po jasnych włosach, a więcej jeszcze po charakterystycznych łysach, poznać było łatwo, że słowiańska krew płynęła w ich żyłach, że wśród giermańskiego świata byli przybyszami i gośćmi. Lecz należąc do jednego plemienia, dwaj młodzi widocznie nie pochodzili z jednej narodu klasy.

Przypatrzmy się im siedzącym na ławce i wśród gwaru w smutnym poglądającym milczeniu na to, co ich otacza, nie przenikając.

Obojętnemi oczyma wodzą po powozach, po pieszych parach, po jeźdźcach, popisujących się z końmi, i paniach, uśmiechających się z błyszczących świeżością karet i landar.

Starszy, na pierwszy rzut oka, zastanawia tą szlachetnością delikatnych rysów, którą pospolicie przypisują wyłącznie arystokracji. I dlaczegożby kilka pokoleń swobodnego, wesołego, próżnego żywota nie miało wpływać na wyidealizowanie rysów i postawy? Tak nawet jest; ale potomkowie wielkich rodzin, które przypadkiem, rachubą, ukradkiem nie podsyciły się mniej szlachetną, a bujniejszą krwią ludu, przy wielkiej delikatności rysów, mają téż właściwą sobie ich zdrobniałość. Nasz młody chłopiec także miał rysy posągowe, oko wypukłe i kształtnie powieką ociągnięte, nos przesłicznych linii, czoło gładkie i wzniosłe, rączkę maleńką, nogę drobną, jak kobieca. Ale wdziękowi i szlachetności kształtów ujmował brak siły, jakieś wycieńczenie, znużenie, skarłowacenie, które łatwo postrzegłeś.

Zdało się, jakbyś nań patrzył przez szkło zmniejszające, tak wszystko w nim zdrobniało, zmałało. Życie nie płynęło falami po wzdętych jego żyłach, ale toczyło się powolnie, mozolnie, ciężko, a może nudno. Czarny, lśniący włos wcześniej, niż należało, począł uciekać ze skroni i odsłaniać bardziej jeszcze czoło; barwa różowa zeszła z policzków młodych jeszcze, a już bladych i zmatowanych. Oparty na lasce, z założonemi na krzyż rękami, człowiek ten w zadumie pogardliwej poglądał, nie widząc, przed siebie.

Drugi, obok siedzący, barczysty, słuszniejszy, biały, rumiany zbudowany na olbrzymia, rozrosły, jak dąb na dobrej ziemi, z długim włosiem blond i niebieskim okiem, z malinowemi usty, tęskno także, choć wcale inaczej patrzył. Jego milczenie więcej daleko mówiło. Zrzucony kapelusz, rozpierchłe włosy, zdarta rękawiczka, zgięty kij w ręku silnym dowodziły gry namiętnej wewnątrz. Oczy błędziły po przechadzce, a każde odebrane wrażenie pisało się wyraźnie, jasno na niezastyglém jeszcze obliczu. Co uczuł, to wyrażał w téjże chwili całym sobą.

Trudno było na pierwsze spojrzenie powiedzieć, jaki stosunek łączył tych dwóch, tak wielce różnych, tak zdaleka zapewne zbliżonych ludzi. Nierówność stanu nie tylko rysy twarzy, pochodzenie zdradzające, ale ubiór nawet i postawa objawiały. Pierwszy miał w rękach batystową cieniuchną chusteczkę, cienki złoty łańcuszek wenecki trzymał jego lornetkę w złoto oprawną smakownie; laska z gałką, przepysznie wyrzezaną, pochodziła widocznie od sławnego Verdiera z Paryża. Suknie jego musiały być pracowicie u Hamanna stworzone, a koszule szyły wynałazca téj *specyalności* z całym staniem, jakie się téj części stroju należy. Słowem, strój pierw-

szego był smakowny i kosztowny, choć wcale pozornie nie błyszczący.

Drugi przeciwnie zaniedbaném ubraniem przypominał bursza; dość gruba, białości śnieżnej koszula buchasto dobywała się zpod długiej czarnej, niedbale spiętej kamizelki; chustka *à la Colin* ledwie zlekka obwijiała szyję żyłastej i muskularnej struktury. Ręce, z których jedna obnażona była, nie nosiły na sobie śladów tego pieczołowego starania, z jakim ludzie wyższego świata zwykli się z nimi obchodzić. Były-to ręce potężne, kształtne, ale wielkie, pracowitego człowieka: dłoń namulona, palce nie w jedném miejscu odarte.

Gdy pierwszy pochylał się na lasce sparty, drugi w tył do drzewa się przysunął; oczy ich zdawały się unikać siebie. Głębokie, długie milczenie trwało może pół godziny. Nareszcie pierwszy, owa postać arystokratyczna, z uśmiechem obrócił się ku towarzyszowi i rzekł:

— Eustachy, o czém myślisz? Miałżebyś się gniewać?

Tamten się zerwał, bystro rzucił okiem, uśmiechnął się także, ale gorzko, i odparł z westchnieniem:

— A, panie hrabio, godziż się tak żartować? Mógłże ja się gniewać?

— Znowu wpadasz w swoją zwykłą przesadę!

— Być może, panie hrabio.

To *panie hrabio* wymawiane było z takim przyciskiem, że widocznie stanowiło przymówkę, szyderstwo może.

— Mój Eustachy, dajże mi pokój z tém hrabiostwem! — rzekł z flegmą drugi. — Wiem dobrze, co to znaczy w twoich ustach.

— I cóżby innego, nad głęboki mój szacunek, znaczyć mogło?

— Wiész, kochany Eustachy, że mnie niełatwo omamić; podaj mi rękę, i zgoda.

To mówiąc, wyciągnął swoją rękę ku Eustachemu, ale tamten, bojaźliwie, powoli, pochylony dając swoją, odezwał się:

— Mógłżebyś pan dotknąć ręki tak prostego, jak ja, człowieka?

— Znowu przymówki i żarty? Jeszcześ mi nie darował tych kilku słów wyrzeczonych nieuważnie, które cię do głębi ranić musiały. Zaręczam ci, że to raz ostatni; proszę o przebaczenie. Ale wolałżebyś, bym nieustannie mając się na baczności, nigdy ci serca nie wynurzył z bojaźni, żeby jakie poufałe zwierzenie nie ubodło cię w czémkolwiek? Znasz mnie dobrze, wiész sam najlepiej, że nie podzielam zdań tych, co jednej klasie wszystko chcą oddać, drugim odjąć wszystko, a słówko jedno...

— A! słówko bolesne! — westchnął Eustachy.

— No, zapomnij mi go! Wszakciż nie pamiętam i ja, coś mi na

nie odpowiedział, chociaż miałbym równe prawo może dąsać się za twoją odpowiedź. Szczerze, zgoda, kochany Eustachy?

Tamten spojrział, czy mu się pokręciły w oczach, podał rękę.

— Mógłbym się gniewać? — powtórzył. — Ja-m ci winien tyle! Ja! na ciebie! Daruj ty mnie, że twojém obejściem wyprowadzony z szranków, na chwilę zapomniałem o tém, co nas dzieli od siebie! Napróżno, napróżno chcielibyśmy się zbliżyć; jedno słowo rozpycha nas. Przepraszam, zgoda, i koniec.

Tu porwał się Eustachy, ciężko westchnął, spojrział na Alfreda, który zimno, ale łagodnie obejmował go wzrokiem.

— Siadaj — rzekł Alfred — siadaj, uspokój się, nie gniewaj się i nie mówmy już o tém.

— Nie mówić! niepodobna! Jedno słowo przypomniało mi wszystko; a bliski powrót do kraju poczyna dręczyć niepokojem. Ciągłe mi się z głębi duszy odzywa głos, powtarzający, kto jestem.

— Mój przyjaciel!

— Wasz poddany!

— *Mon cher*, dajże temu pokój!

— A, hrabio! Alfredzie! serce mnie tam ciągnie, a boję się, drzę, żiębnę! Wiele wam winienem, ale i wiele cierpię przez was! Nacoscie mnie wzięli sierotę i wyrzucili z właściwego stanowiska?

— Rozumiem, kochany Eustachy, ale nie łatwiejszego, jak zupełnie się zaprzęć tego pochodzenia, które ci tak srogo dojmuje. Tyśiące z twojego stanu wyszło podobnie na porządných ludzi.

— Ja! — zagrzmiał piorunowym głosem Eustachy i odskoczył, tak, że idący flegmatycznie z ręką założoną na frak Niemiec, uderzony, zatoczył się i dyabłem go poczęstował — ja! ja zaprzęć się pochodzenia! ja kłamać! ja chcieć się weprzęć tam, gdzie nie mam miejsca, przywłaszczać sobie, co nie moje! Ale ja jestem dumny mojm chłopstwem! ja nie dałbym za hrabiowską waszę mitrę wspomnienia pracowitych wieśniaków, co mi dali życie!

— Dlaczegoż skarżysz się? — spytał Alfred.

— Bo cierpię.

— Czém cierpisz?

— Bom paryja między wami! Ani wychowanie, ani talent (gdybym go miał), ani cnota, ani nic w świecie nie zastąpi dla was urodzenia. Widzisz moje położenie wśród was i pojdziesz, co mnie czeka. Wrócić między swoich o! jak chciałbym, ale mi niepodobna. Świat ducha i myśli rozgranicza nas od siebie; przesąd, czy jak go tam chcesz nazwij sobie, oddala mnie od was; pozostaję więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnioném, wyłącznym, bolesnym.

— Mógłbyś nie powracać do kraju.

— O! lekko-ż to powiedzieć, mój Alfredzie — rzekł z mokremi oczyma Eustachy. — Wam, panom, wszędzie jest jeden świat, mnie ciągnie ziemia moja, wioska nasza, chata stara obalona, cmentarz wiejski, wszystko! Ja tu żyję, jak igła magnesowa, sercem wciąż zwrócony na północ! A gdybym nawet potrafił zaprzecić się na wielki rodzinną ziemi mojej, nie mamże obowiązku powrócić, gdy mnie stryj twój, a mój dobroczyńca woła?

Alfred milczał zamyślony; wstali z ławki i powolnie ulicą lipową szli dalej a dalej. Rozmowa rozwiązała się dumaniem. Pod starymi dębami Zwierzyńca (Thiergarten) zatrzymali się znowu i spojrzeli sobie w oczy.

— Wiész, Eustachy — rzekł Alfred — stare te dęby przypominają mi moje lasy nadstyrowe, mój kraj. Wkrótce tam będziemy.

— Cieszysz się?

— Cieszę? Nie wiem. Bije mi serce, ale z uczucia sprawy sobie zdać nie umiem. A ty?

— Cieszę się, smucę i lękam, wszystko razem.

— Lękaasz, czego?

— Tobież to mówić potrzeba?

Alfred ścisnął go za rękę z uczuciem.

— Będę z tobą.

— O! gdyby też nie to — rzekł Eustachy — pomimo mego tęsknego przywiązania do kraju, nie wiem, czybym powrócił, nie wiem, jakbym potrafił wymóżyć na sobie odwagę. Moje położenie...

— Zawsze wracasz do tej kwestyi bolesnej.

— Muszę.

Eustachy znowu wpadł w roztargnienie i niespokojne dumanie.

— Wszelkie bolejące nas pytanie — przerwał mu Alfred — powinno się wyczerpnąć do dna i, o ile możliwości, wyjaśnić. Spróbujmy; zdaje mi się, że cię uspokoję.

— Spróbujmy — z łagodnym uśmiechem powtórzył drugi — *quid tentare nocebit?* Pozwól mi naprzód położyć ci zadanie, jakiem ono jest z mojego punktu widzenia. W 1812 roku stryj twój hrabia powraca do swojej wioski, znajduje ją zrujnowaną, zniszczoną i w dodatku kosztowności, które zakopał był, chroniąc je od rabunku spodziewanego, zabrane. Odarte dziecię wiejskie wskazuje mu miejsce, gdzie niewierny rządca ukrył przywłaszczzone dobro pańskie. Tym sierotą ja jestem, sierotą ze wsi, poddanym, chłopem. Przypadkowi winienem, że mnie wydzwignięto z nędzy, do której się urodziłem, oddano na naukę, w ostatku pozwolono z tobą, Alfredzie, jechać do uniwersytetu berlińskiego dla wydoskonalenia się w medycynie. Kilka lat razem przebytych zatarło nieco wspomnienia wielkiego przedziału, jaki między mną a tobą los wyznaczył. Przyjaźń

prawdziwie młodzieńcza, bez względu na stan i położenie, na towarzyskie nasze stanowiska, łączy biednego sierotę ze znakomitym młodzieńcem. Pozwalasz mi zwać się imieniem przyjaciela, wyciągasz mi rękę, jak bratu! Al! Bóg ci to nagrodzi. Tyś dla mnie był wielkim dobroczyńcą, kto wie, nie większym li tylko od pierwszego? Ale wyjątkowo jedno serce, co się ku mnie skłoniło, nie zaślepi mnie na przyszłość. Z powrotem do kraju wracam w poddaństwo do pierwszego stanu, jestem wystawiony na tysiące nieprzewidzianych upokorzeń. Ci, co są mojami braćmi ze krwi, nie mają moich myśli i zbrnąć się ze mną nie mogą nigdy; ci, co są braćmi z myśli i ducha, odepchną, bom dla nich nieledwie coś niższego od człowieka, krewny Eskimosów i małpy.

— Dlaczego?

— Bom się urodził poddanym, chłopem.

— Domysły zawczesne i próżne.

— Nie, kochany Alfredzie, w naszym kraju skutkiem kilkusetletnich, nałogowych już wyobrażeń, szlachcic tylko jest człowiekiem; reszta ludzi rozgranicza go tylko od małpy. Kto nie jest szlachcicem, czyni się nim: podrabia nazwisko, wszywa się do herbu i kłamie sobie krew rycerską.

— Zrób więc i ty tak.

— Na Boga, nie powtarzaj tego! Ja! ja jestem dumny, mówię ci i mówię, z mojego pochodzenia: byłem i jestem chłopem, synem chłopskim, nic więcéj. Zważ teraz, co wyniknąć może z téj nierówności stanu mojego z wyobrazeniami i wychowaniem?

— Co może wyniknąć? — rzekł Alfred, zginając łaskę w rękę niecierpliwie. — Ja nic nie widzę; nie rój sobie mar próżnych. Wychowanie da ci wstęp wszędzie.

— Upokarzający.

— Nie rozumiem, dlaczego?

— Wstęp zresztą, pozwalam, nawet grzeczne przyjęcie, ale nigdzie braterstwa, równości, związku. Zimna grzeczność, może zbyt uczynna i poniżająca.

— Znowu!

Alfred ruszył ramionami.

— Jestem ja, czy nie, arystokratą? — spytał.

— Ty?

— Ja. Przypatrz mi się dobrze i odpowiedz szczerze.

— Z wielu względów, jesteś, z wielu — nie.

— Przyznałeś, że jestem nim z wielu względów — uśmiechając się, dorzucił Alfred — a przecież jestem przyjacielem twoim i bratem.

— O! wyjątek!

— Eustachy, w niebezpieczne wpadasz marzenia! Poczekaj po-

wodów, nim gryść się pocznie. Nie mówmy o tem, widzę, że nie mogę cię uspokoić, gorzej tylko rozdrażnię. Ja nie jestem wcale, jak myślisz, wyjątkiem, owszem należę do mego ogółu całkowicie; ze mnie mógłbyś, składniej biorąc rzeczy, wziąć miarę innych.

— Dajże Boże. Zresztą, mój Alfredzie, szacując najwyżej twoję przyjaźń, wiem, że to pierwszy i zapewne ostatni związek tego rodzaju. Potrafię stanąć na miejscu mojem i wytrwać sam jeden, nie pokuszę się o nic, zamknę się w sobie. Przeznaczeniem mojem: wspomagać, cieszyć, leczyć moich braci, reszta losu u Boga.

To mówiąc wstał, ale wzruszony i zarumieniony, widać było, że nie powiedział głębi swęj myśli, na której dnie coś tajemniczego zostało. Alfred nie pytał go więcej; wieczór nadchodził, razem więc zwrócili się ku miastu i mieszkaniu.

W drodze przyłączyli się do nich dawni uniwersyteccy towarzysze, eks-bursze, ale już przeszli na filistrów, bez atrybutów studenckich, wytwornie ubrani i weseli, upojeni życiem, jak wszyscy, co wchodzi dopiero na próg z nienadłamaną jeszcze nadzieją. Rozmowa stała się powszechną, wesołą i obojętną. Każdy opowiadał swoje zamysły w przyszłości, projekta niecierpliwe, gorące marzenia. Jeden Eustachy szedł z głową spuszczoną milczący; przez uczucie delikatności nikt go nie wyzwał do wtórowania wrzawliwemu chórowi zapaleńców. Alfred także wstrzemięźliwie na zapytania odpowiadał; dowsipnie i grzecznie żartując z otaczających, nie odkrył się ani na chwilę z tem, co sam w sobie o sobie myślał. Zbliżył się do niego, abyśmy powody tej wczesnej niewiary w przyszłość dojrzeli.

Alfred był synem pięknego imienia i dawniej pięknego także mienia rodziców. Ale u nas częściej niż gdzieindziej się trafia, że imię ciężarem swym gniotąc, nareszcie tych, co je noszą, spycha w niedostatek, ubóstwo. Ci, co odziedziczyli piękne imię po sławnych przodkach, nie umieją się w upadku z położeniem swém zgodzić, wyrrywają konwulsyjnie z upośledzenia, którem niemają ubóstwo. Nie umiejąc ani pracować, aby odzyskać straconego, ani się z położeniem nowem pogodzić; stają się ludźmi najniebezpieczniejszymi, bo skazanymi na ciągłe kłamstwo. Ich życie jest najbiedniejszą komedią! komedią tragicznie się często rozwiązującą. Muszą kłamać majątek, tracąc do reszty, kłamać szczęście w cierpieniu; kłamać państwo wśród niedostatku, kłamać spokojność, gdy ich jutro dręczy piekielnie.

Taki właśnie był los rodziców Alfreda. Znacznie nadrujnowany objawszy majątek, omyliwszy się w ożenieniu, które było prostą rachubą, a okazało się mylną, ojciec jego nie miał odwagi powiedzieć sobie, że był ubogi. Skutkiem tego pozostałemu synowi

zostawił imię tylko i ruiny majątku, który należąc do syna pozornie, w istocie ledwieby mógł zaspokoić wierzących.

Ojciec Alfreda i hrabia, na początku tej powieści widziany, byli rodzonemi braćmi, ostatniemi swego imienia potomkami. Bratu umierający polecił syna; a u łoża konającego dane słowo zapewniało Alfredowi jaśniejszą przyszłość. Hrabia miał córkę — łatwo przewidzieć, co sobie wzajemnie przyrzeczono.

Koszttem stryja, który objął w swój zarząd majątności synowca, wychował się Alfred, z całym staraniem, na jakie mógł się zdobyć, jakie mógł wymyślić hrabia. Wychowanie to, wcale nie nowym sposobem pomyślane, ograniczało się wczesnym nauczaniem francuskiego języka, muzyki, tańca, potem wysłaniem do uniwersytetu w Berlinie; dokąd raczej z własnej woli, niż po myśli stryja udał się Alfred. Stryj wziął to sobie za rodzaj *wojażu* i pozwolił na to, tem chętniej, że synowiec z Berlina, w czasie feryj, zwiedził Szwajcaryą, Francją i Anglią. A że tak nazwany *wojaż* był dawniej ludzi wielkiego urodzenia ostatecznym ukształceniem i tradycyjnie uważał się za konieczność, stryj mówił zawsze, że Alfred *wojażuje*; nie przyznawał się do uniwersytetu i nauki.

Shczęściem dla Alfreda nauczyciele, których mu trafił więcej niż kto inny wybierał, dopomogli do rozwinięcia niepospolitych darów, które od natury odebrał. Wczesnie postrzegł położenie swoje, sam dojrzał, jak mu potrzeba nauki, celu do życia, jak niezbędną może będzie dla niego w przyszłości praca. Wyprosił się więc do uniwersytetu i począł pracować naprzód nad sobą. Skutkiem jakiejś myśli, której nie powierzył w całości nikomu, mimo nawyknięcia do wygod życia, do pieśzcotliwych zbytków, co się stają później uciążliwemi nałogami, Alfred uczył się bez nich obchodzić. Tajemnie brał u rzemieślnika lekcye jednego z najpotrzebniejszych, ale najmniej wdzięcznych rękodzieł; razem z Eustachym chodził na medycynę i otrzymał stopień. Stryj o tem nic nie wiedział, a znając go Alfred, ani myślał mu o tem donosić.

Pomimo tej tak głęboko uczutej potrzeby oparcia się tylko na siebie i odwołania do własnej pracy, Alfred powierzchownie został paniczem, w całym wyrazu tego znaczeniu.

Ubiór jego, obejście, zwyczaj, były całkiem pańskie; miał upodobania arystokratyczne, w koniach, myślistwie, wytwornym stroju i otaczaniu się wszystkiem, co piękne. W tym człowieku, tak młodym jeszcze, było dwóch ludzi przygotowanych na dwie drogi, jakie los mógł mu nakreślić. Jeden gotów był pójść starym gościńcem przodków, drugi ciernistą drożyną dorabiających się wszystkiego przez się.

Tak przygotowany Alfred wychodził z uniwersytetu berlińskiego, odważniej zapatrując się w przyszłość.

O ile Eustachy cały był sercem, uczuciem i nazewnątrz wylań, o tyle młody panicz zamknięty w sobie, zimny na oko i rozmyślny w każdej czynności. Z równą obadwa odwagą, używali jęj całkiem odmiennie. Pierwszy rzucał się jak lew, nie mierząc przeciwności, z którą walczył, drugi rachował, myślał, szedł, łamał i wracał cicho. Eustachy serce miał na dłoni, wedle wyrażenia Francuzów, Alfred — wgłowie. Tamtego poznawałeś w pół godziny, tego nie nauczyłeś w pół roku.

Jak wielki wpływ, jak potężną na człowieku przewagę wywiera nauka w pewnym ciągłym kierunku nań działająca, nie potrzeba dowodzić. Alfred był tego żywym dowodem; nowe teorye, nowe pojęcia o świecie, wyczerpane z lekcj sławnych mistrzów, starego w nim człowieka zatarły. Wyobrażenia młodzieńcze spełzły zupełnie pod nowemi pojęciami, głębiej do umysłu i serca trafiającami. Skutkiem ich Alfred nie wierzył w to, co główny, kardynalny punkt wiary dla jego przodków stanowiło — w szlachectwo pojęte ciasno, wyłącznie i niedorzecznie, przywilejem jednej klasy.

Alfred nie mógł nie wierzyć w to, że z dwu roślin, zwierząt, ludzi jednego rodzaju, jedna istota może być od drugiej indywidualnie szlachetniejsza; ale nie wierzył, by cały rodzaj jeden był szlachcicem, a cały drugi nie. Gieniusz, zasługa, stanowiły dla niego szlachectwo; ród był tylko przygotowaniem, pomocniczym do osiągnięcia szlachetności (szlachectwa zasady) warunkiem. Szlachta się rodzi, i szlachta się robi; ale z wieśniaka rodzić się może szlachcic, a z szlachcica i pana niedołączna i nieszlachetna istota. Słowem gieniusz stanowi szlachectwo, a on nie jest wcale dziedziczny. Takie pojęcie szlachectwa odebrało Alfredowi wiarę w siebie dziecinną. Za młodu uważał się częms wybranem, istotą uprzywilejowaną, przygotowaną na losy niechybnie szczęśliwe, wyznaczoną na wyższość, na rozkazywanie, której drugie niższe istoty służyć miały. Teraz postrzegł, że ci tylko, których siłą umysłu swego podbić potrafi, służyć mu mają, że to tylko go czeka, co dla siebie wypracuje, że tęp będzie, częms sam własną pracą stanie.

Jednakże przekonania swego, które smutnie do duszy jego zająrzało, nigdy Alfred całkowicie nie objawił, wstydził się go. Ludźmi jesteśmy, często lepsze w sercu, niż się powierzchownie zdajemy. Starego przekonania pozbyć się trudno, trudniej jeszcze przyznać otwarcie, żeśmy się zmienili. Jeden Eustachy, towarzyszył nieodstępny Alfreda, wiedział, co się w sercu jego działo.

Ciągle z sobą, powierzali sobie wszystkie swe najtajemniejsze

myśli. Ich przyjaźń miała tę rzadko w innych trafiającą się siłę, którą dają jedne w gruncie przekonania, a różnie przecie na pozór objawione, dla różności charakterów.

Dwie strony jednej myśli dopełniły się w nich wzajemnie i całość stanowiły. Może sam los, stawiając ich na dwu przeciwnych szczeblach klasyfikacji towarzyskiej, przyczynił się do tego, modyfikując stanowiskiem różnym pojęcie w gruncie jedno.

Przyjaźń ich była rzadkim związkiem nie obawiającym się przeszłości, a przechodzące chmurki kończyły się zawsze prędką i pożądaną dla obu zgodą.

Alfred zimnej grzeczności dla innych, dla współtowarzysza był poufałym bratem. Eustachy w tym związku całą nadzieję przyszłości lepszej budował; napastowany nieustannie myślą o powrocie do kraju i stosunkach swych z otoczyć go mającym światem, uciekał się do tej przyjaźni, jak do jedynego w przyszłości ratunku.

Nazajutrz po przywiezionej rozmowie, koczyc Alfreda stał na jednej z ulic kolonńskiego przedmieścia, przed mieszkaniem dwóch naszych znajomych, zaprzężony pocztowymi końmi; pocztylion flegmatycznie przechodził się około powozu, oczekując na podróżnych.

W chwili wyjazdu Eustachy ukląkł i łzy potoczyły mu się z oczu. Alfred stał nakładając rękawiczki prawdziwie z uśmiechem nieodgadzionym.

— Módl się — rzekł — jeśli cię to uspokaja, wszelkie lekarstwo dobre, byle skutkowało; ale módl się prędzej, bo czas jechać.

Szybko, gwałtownie, schwycił się młody chłopiec, nacisnął kapełusz na głowę i zbiegł ze schodów wołając:

— Jedźmy! jedźmy!

I w milczeniu potoczył się kocz po ulicach nadsprejskiej stolicy ku północo-wschodowi.

III.

Po wielu upłynionych latach, pałac, któryście widzieli na początku tej powieści, zniszczony, pustką zrabowaną stojący, podnosi się przed nami świeży, znowu biały, odnowiony, uśmiechnięty weselą.

Taż sama wioska stoi prawie jak była po wojnie. Niektóre chaty podparte, inne niżej zapadłe, inne do przypalonych starych przysunięte słupów, stoją, jak stały, w tymże porządku, z jednym pozorem. Płoty tylko calsze, ogrody zasiane i ruchu a luda więcej,

gdzie go wprzód prawie nie było. Austerya traktowa jaskrawą żółtą ścianą się świeci, obok niej powstał wielki dom pocztowy, otoczony stajniami i zabudowany dziedzińcem.

Na grobli szumi przepyszny młyn i krupiarnia. W oddaleniu zielenieją łąki, majaczeją różnemi barwami strojne pola, od białej kwitnącej hreczki począwszy, do żółkniejącego żyta.

Dziedziniec pałacowy z czarnemi sztachety w słupach murowanych, zamyka kształtna brama z ciosowego kamienia. W pośrodku rozciąga się zielona murawa, na niej kosze białe i wazony kwiatów.

W głębi widać z starych drzew złożony ogród, przecięty czystą wodą, która go przepływa.

Cisza w pałacu, na zegarze sali jadalnej wybiła dziesiąta; służący w szafrowym fraku, na srebrnej tacy, niesie śniadanie do wielkiego salonu.

Ogromny stół okrągły okrywa już przygotowane *à l'anglaise* śniadanie. Kawa, herbata, szynka, jaja miękko, chleb i chlebowe ciastka, na przepysznej porcelanie, obok srebrnego stoją samowaru.

Za stołem przecie niema jeszcze nikogo. Kamerdyner w czarnym fraku, białych rękawiczkach, daje rozkazy lokajom, porządkuje talerze i zadowolniony z swego dzieła, wybiera się oznajmić, że wszystko gotowe.

Nagle drzwi z lewój strony sali otwierają się gwałtownie, z stukotem, i otyły, siwy, stary, ale krzepki mężczyzna wchodzi.

Poznałeś pana domu, po wnijsciu, po minie. Z krótko ostrzyżonym włosem, średniego wzrostu, średniej tuszy, hrabia jest typem pewnego rodzaju naszych panów. Twarz jego pięknych rysów szpeci wyraz chmurny i ponury, czoło gładkie przecinają marszczki wyciśnięte wzdłuż i wpoprzek, dziwnie pokrzyżowane nad nosem. Oczy siwe, zbladłe, rzucają wzrokiem śmiałym, pewnym, nieustraszonym, usta milczą zaciśnięte dumnie. Twarz lekko zarumieniona, siwemi już bakembardami, krótko ostrzyżonemi otoczona, całością swą w niczem się nie odznacza, przecież wpatrzywszy się, znajdziesz w niej wyraz jakiegoś zadowolenia, spokoju i siły niepopolity.

Ubranie ranne hrabiego, składa się z tyfytkowego surducika, takichże spodni, żółtych bucików i czapezki pokrywającej łysinę. W rękę trzyma numer *Gazette de France*.

Spojrzał dokoła i, nie przemówiwszy słowa, wskazał kamerdynerowi, który stał w postawie upokorzonej, na drugie drzwi. To miało znaczyć: prosić mojej córki. Lokaje ustąpili pod drzwi same, a hrabia przeszedłszy się w milczeniu po salonie, spojrzawszy przelotnie na ogród, zajął miejsce na kanapie przed stołem.

Znowu drzwi się otwarły, i piękna, młoda panienska, w białym

rannym szlafroczku i ogromnej chustce spuszczonej niedbale, wchodzi z uśmiechem.

Była to Michalina pospolicie zwana Misią, córka hrabiego. Wysoka, wysmukła, zręczna, szlachetnych ruchów, wesołej twarzy; a biała i różowa jak blondynka, z czarnymi wielkimi oczyma, żywa widać i swawolna jak zepsute dziecię; ledwie powitała ojca, który troskliwie począł się o jej zdrowie dopytywać. Zrzuciła chustkę, poprawiła ślicznych włosów i siadła w przygotowanym krześle.

Rozmowa ojca i córki zaczęła się po francusku, co dosyć tłumażyła przytomność służących; ale i bez nich podobno, ten język u nas nałogowy, byłby zapewne użyty. Ojciec schylił się ku niej i, całując ją w rękę, spytał naprzód powolnie:

— Zdrowie twoje, Misiu?

— O! tysiączne dzięki; zdrowiuteńka jestem.

— A wczorajszy ból głowy?

— Przechodzi mi snem zawsze.

— Dobrze spałaś?

— Jak bobak. Wstałam przecie bardzo rano, byłam u moich kwiatów w ogrodzie, jeździłam trochę konno.

— Tak rano?

— A! najmiléj!

— Sama jedna?

— Był tam ktoś za mną! nie uważałam. Co ci mam dać, papo? herbaty naprzód!

— Dzisiaj? kawy, Misiu.

— Po staropolsku?

— Tak! tak! — hrabia westchnął ciężko.

Ze srebrnym imbryczkiem, który stał na fajerce, Misia wzięła kawę i podała ją ojcu.

Sama poczęła powoli ustawiać swoje śniadanie i nalewać herbatę.

Potem, jakby sobie przypomniała dopiero, żywo zwróciła się do kamerdynera i spytała: — Pani des Roches?

— Prosiłem — odpowiedział stary z ukłonem. — Prawie w tej samej chwili, główne drzwi salonu od sieni otwarły się powoli i trzecia osoba weszła.

Wysokiego wzrostu, wychudła, czarno ubrana całkiem, ukazała się wspomniona pani des Roches. Była to towarzyszka teraz, a dawniej Misi nauczycielka; kobieta już nie młoda, ale jeszcze niezatartych śladów wielkiej piękności. Błada jak marmur z oczyma potężnego ognia, ale głęboko wpadłemi, z maleńkimi usty, schudzionymi policzki; poważna, surowa, smutna, miała w sobie coś

dziwnie przejmującego. Drażnił jój widok, jak drażni ciekawy, tajemniczy tytuł książki nieznanomój.

Misia z uśmiechem wskazała jój obok siebie miejsce, a hrabia powstawszy z kanapy na przywitanie bardzo grzeczne, usiadł wymawiając się, że w tak rannym stroju przyszedł na śniadanie.

Prostém skłonieniem głowy pani des Roches odpowiedziała na tę grzeczność, która i niegrzecznością łatwo być mogła. Tak to widać zrozumiała przybyła, bo się wstrzymała i nic nie rzekła, udając, że nie widzi stroju pana hrabiego.

Jakiś czas przerywano milczenie bardzo obojętnymi wykrzyknikami. Misia tylko najwięcej mówiła, trzpiotała się i śmiała.

— A! a! zapomniałam cię się spytać, papo — musiałeś mieć wiadomość od Alfreda, kiedyż powróci?

Hrabia spojrział okiem bez wyrazu i zimno odpowiedział:

— Wczoraj list przyszedł, jest w drodze.

— Dlaczegoż mi tego zaraz nie powiedziałaś, papo?

— Cóż tak pilnego, droga Misiu!

— Spodziewam się! Alfred! brat! tyle lat nie widzieliśmy się, a ty mnie się pytasz, co pilnego! Prawdziwie, papo, zadziwiasz mnie! Przecież to przyszły mój narzeczony, nieprawdaż?

I zaczęła się śmiać, patrząc ojeu w oczy. Hrabia się zachmużył, pani des Roches badający wzrok ukradkiem w nim utopiła.

— Nie odpowiadasz, papo! — powtórzyła Misia śmiejąc się — wstydzisz się?

— Cóż ci mam odpowiedzieć, moja droga! — z przymuszonym uśmiechem rzekł hrabia. — Wkrótce nadjedzie Alfred.

— Ale gdzie ten list jego? czemuś mi go nie pokazał?

— Nie ma tam nic ciekawego — sucho odparł ojciec.

— Dla ciebie! ale dla mnie może! Gdzie on jest? chcę go koniecznie przeczytać! Jestem kobieta, jestem ciekawa. W twoim gabinecie? — spytała podnosząc się.

— Znajdę go później!

— Ale ja bo chcę zaraz, papo, ja chcę!

— O! zepsute dziecko!

— Sameś mnie zepsuł, papo; znoś-że teraz i słuchaj twojej Misi. Ten list?

— Jest w moim pokoju! — rzekł ojciec.

Pędem porwała się Misia i pobiegła. Hrabia uśmiechnął się do pani des Roches i rzekł:

— Co za niepokonane dziewczę!

— To anioł! — odpowiedziała Francuzka.

— Uparty aniołek! Ale tém lepiej, będzie miała charakter (*elle aura du caractère*).

Misia wracała zwycięska, wesoła, z listem w rękę, który już po drodze przebiegała oczyma z wielkiem zajęciem.

— Nie daruję ci nigdy, papeczko! nigdy! żeby mi też nie powieździeć zaraz o liście, nie dać go zaraz! List tak zajmujący! tak ciekawy! od Alfreda!

— Wszak go masz.

— Teraz! kiedym ci go prawie gwałtem wzięła, zamiast mieć go wczoraj jeszcze!

I pogroziła ojcu na nosku.

— Zobaczysz, papo, co ci zrobię!

— Naprzykład?

— Wszystkie twoje projekta zniszczę, Alfreda nie zechcę — i...

Tu schyliła się do ucha hrabiego, szepcząc:

— Pójdę za męża, jak pani D...

Ojciec udawał, że się śmieje, ale poczerwieniał cały.

— Rób sobie duszko, co chcesz! ty wiesz, jak cię kocham, i że w niczem nie umiem ci się sprzeciwić! Wmawiasz mi naprawdę jakieś projekta, których nigdy nie miałem.

— Doskonale! Zapierasz się więc?

— O niczem nie wiem!

— Nie myślałeś o Alfredzie dla mnie?

— Ale nie — z nieukontentowaniem rzekł hrabia.

— Biorę cię za słowo.

— O! jak chcesz! pozwalam.

W czasie tego urywku rozmowy, ojciec był widocznie mocno skłopotany i pomieszany czémś. Misia tymczasem doczytywała ciekawie list Alfreda.

— Jeśli taki zimny pedant i ceremonialny grzecznik, jakim go widzę z listu — zawołała rzucając — zginiony! Po twoich projektach, papo, nic z tego nie będzie.

Porwała list znówu ze stołu z nowém zajęciem.

— A, a! — rzekła — i nic pewnie nie donosi mi o moim protegowanym?

— O kim? — kwaśno spytał hrabia, choć dobrze wiedział, że mówiła o Ostapie sierocie.

— Jakto? o kim! a — o towarzyszu podróży!

— O towarzyszu! — rzekł ojciec — o żadnym towarzyszu nie wiem... prócz... służących — dodał z przyciskiem.

— Rachujesz więc do nich i pana Eustachego?

— Ostapka — dodał hrabia.

— Papo! kochany papo! nie rób mi tój przykrości!

— Nie rozumiem cię!

— Tyle masz starych przesądów!

Hrabia wzruszył ramionami pogardliwie.

— Bez żartu! Alfred — mówiła Misia przebiegając list — nie o nim nie pisze.

— Cóż mógł napisać?

— A! jak ciekawa jestem! jak jestem ciekawa! Będzie to przynajmniej jedna istota niepospolita w naszym towarzystwie, coś oryginalnego, nowego.

— W naszym towarzystwie! — pochwycił hrabia z oburzeniem.

Misia jakby tego nie uważała, kończyła:

— Coś ekscentrycznego, niezwykajnego — sierota, chłop, wychowany inaczej, niż oni biedni zwykle bywają, postawiony w tak dziwnym...

— A! na Boga! — nie mogąc dłużej wytrzymać, wyrwał się ojciec. — Co dziwnego! co ekscentrycznego? Sierota, chłop, z którego zrobię cyrulika w moich włościach i po wszystkim.

— Alfred donosił, że jest doktorem.

— To wszystko jedno! — obojętnie dodał hrabia — doktor, cyrulik, dam mu kilkaset złotych i basta! o czém tu mówić tak szeroko?...

Misia patrzyła na ojca.

— Masz racją — przerwała — ale o tém nie wyrokuj, póki go nie zobaczysz. Może się nie na cyrulika wcale kwalifikować będzie, a w takim razie...

— Będzie, czém mu być każe — rzekł hrabia.

— Zobaczym; co do mnie, papo!... A! jakbym sobie okrutnie życzyła, znaleźć w nim oryginalnego coś, niepospolitego! Wy wszyscy, kochany papo, nie wyjmując ani mnie, ani ciebie, ani tych, co nas otaczają, jesteście tacy pospolici, tacy znajomi ludzie — mnie tak nudzi to nasze towarzystwo jednostajnie sznurowane: zimne, blade i wczorajsze, tylko odgrzewane codzień.

Hrabia uśmiechnął się do milczącej pani des Roches.

— Podziękujmy za komplement — rzekł.

— O! to tylko szczerza prawda! — śpiesznie dodała Misia.

— Znajdujesz nas tak nudnemi?

— To mi nie przeszkadza kochać was; ale prawda przede wszystkim, papo, nasze towarzystwo podobne jest gładkim uliczkom ogrodu. Bardzo wygodne, piękne, a jednostajnością nudne.

— Wolałabyś więc?

— Zieloną murawę, twardey kamień, błotnistą ścieżkę; coś nowego.

— Zapalona głowa! — rzekł hrabia.

Misia pochyliła się ku ojcu i, wdzięcząc mu się, rzekła:

— Cóż robić! nie mogę być inną, bierz mnie, jaką jestem.

— Wielka kwestya.

— Zupełnie rozwiązana; tyleś mnie pieścił, zem się stała tak samowolną, tak swawolną — *si vous voulez*.

— *C'est le mot!* — złośliwie rzekł hrabia.

— Pozwalam, ale jaką jestem, taką będę nazawsze. Nieprawda, pani?

— Lękam się tego — powolnie odezwała się pani des Roches.

— Dlaczegoż się lękasz?

Francuzka zamilkła i zadumała się.

— Prawdziwy sfinks, moja kochana des Roches cała w zagadkach!

— Życzę, żeby ci to nazawsze zagadką zostało!

— Ja się spodziewam, że twoja bojaźń nią będzie.

Mówiąc to uśmiechnęła się białemi zębki Misia i wskazała kamerdynerowi, aby zbierano śniadanie. Hrabia zatopił się w gazetę, którą uważnie na pozór i z wielkiem zdawał się czytać zajęciem, Misia wstała i otworzyła drzwi szklane na ganek.

— Jeszcze nie gorąco — odezwała się wciągając powietrze. *Madame des Roches, voulez-vous faire un tour au jardin?*

— *Volontiers.*

Hrabiemu podano fajkę tureckiego tytoniu na długim jaśminowym cybuchu.

Dwie panie wyszły powoli, a uważny postrzegacz fizyognomii byłby dostrzegł, jak szybko zmienił się wyraz twarzy Michaliny. Zaledwie odeszła od ojca i została sam-na-sam z panią des Roches, spoważniała (nie tracąc swęj żywości jednakże), a gdy nieco dalej odeszły, rzekła:

— Więc niepodobna, kochana Zofio, mego dobrego ojca nawrócić! Codzień toż samo, codzień napróżno! powiedz mi, wszelkie przekonanie tak-li się głęboko w człowieku rozkorzenia i krzewi, że go nic potem wyrwać nie potrafi?

— Wybornego użyłaś porównania — odpowiedziała Francuzka. Jestto roślina, co się zasiewa, co się wkorzenia, że jęj wyplenić niepodobna! Ale nie dziwujmy się, młodość, długie życie, towarzystwo ludzi, jedno zdanie z nim mających, uczyniły ojca twego, czém jest.

— Nawrócić go więc!

— Niepodobna.

— Smutno to sobie powiedzieć! taki szlachetny, tak dobry człowiek, takie złote serce!

— Mogłoz być inaczej? urodził się, wychował, zestarzał w swojem przekonaniu. A wszystko, co widzi, co go otacza, utwierdza w niem.

— Wiesz, moja des Roches, ja się niezmiernie lękam przybycia

Alfreda, żądam go i lękam się. Coś mi mówi, że on nie będzie podzielał myśli papy. Stąd nieporozumienia, nieukontentowania. A w dodatku, ten mój protegowany!

— Jak to protegowany! Wszak go nie znasz?

— Przepraszam cię, doskonale go pamiętam, a moja dobra mama poleciła go mi! Co papa zrobić z nim zechce?

— Mówił ci dzisiaj.

— O! z tego nic nie będzie.

— Wprzód go zobaczysz i osądzisz.

— Jestem pewna, że takim go znajdę, jak sobie wyobrażam.

Pamiętam go chłopięciem, wyrostkiem: słyszałam, że Alfred bardzo go kocha. My we dwoje z nim zasłaniać go będziemy. Bo przewiduję... Ach! kochana moja des Roches! Niechże prędkiej przyjeżdżają, bo przynajmniej będzie życie u nas — będzie o czém mówić, myśleć, kłopotać się, choćby kłócić się trochę. Ja mrę z nudów.

— Z nami, Misiu?

— Choć z wami. Nasza wieś — śmiertelnie nudna, moja Zofio; nie umiemy żyć na wsi.

— To może prawda.

— A nasze wiejskie towarzystwa?

— Prawda, że nudne.

— I wszystko bo prawda, moja droga, co mówię, tylko się w piersi uderzcie, a szczerze przyznajcie. Jestem pewna, że papa, że ty, że wszyscy tak się paradnie nudzicie jak ja. Papa szczególnie; de Genoude dawno go niecierpliwi, a przyznać się nie che! Żyje tylko gazetą swoją, która jest najnieznośniejszym w świecie pokarmem. — *Vous n'êtes pas légitimiste, Madame des Roches?*

Pani des Roches wzruszyła ramionami.

— Wiesz, kto jestem — odpowiedziała.

— A! żebyż już prędkiej przyjechali! — zawołała Misia. Chciałabym ich zobaczyć. Alfreda naprzód, wszakże nie tajno ci, że to mój narzeczony, musimy się pobrać, bośmy ostatni z imienia i majątek przeszedłby w obce ręce. Papa-by tego nie przeżył. — Alfred więc naprzód zajmuje mnie, potem ten biedny. Z góry sobie powtarzam, że protegować go będę.

— Kogo? — spytał nagle odzywający się głos hrabiego za córką. Misia odwróciła się bez pomieszania.

— A! szpiegujesz nas, papo, to nieładnie! wiesz, kogo mam protegować.

Hrabia trzymał list w ręku i twarzą okazywał niewzycyżne wzruszenie.

— Co to za list? — spytała Misia.

— Ze Skały!

— Alfred przyjechał?

— Przyjechał! Bez sensu wprost do siebie, zamiast przybyć naprzód do mnie. Dziś wieczorem tu będzie.

— A! to wybornie, cudownie! nieskończeniem rada, niech-że cię uściskam, kochany papo.

— Powoli, Misiu, słówko, i nie ściskaj mnie wcześniej, bo to, z czém przyszedłem, nie zasłuży pewnie na uścisk.

— A! cóż takiego?

Hrabia przybrał uroczysty i surowy wyraz twarzy.

— *Ma chère* — rzekł — proszę cię o jedną rzecz i wymagam, *si vous voulez*.

— Wymagam! papo! co za słowo!

— Nie odstępuję od niego! — seryo rzekł hrabia.

Misia spojrzała mu w oczy, wstrzymała uśmiech i zmarszczona, niecierpliwa odpowiedziała:

— Słucham.

— Najprzód matka twoja, potem ty, wzięłyście na siebie protegowanie sieroty, którym ja chcę wedle woli mojej jedynie rozrządzac. Upprzedzam cię więc, kochana Misiu, że chcę i będę panem u siebie; że proszę, abys się w niczém do moich rozporządzeń nie mieszała. Moje postępowanie będzie dla otaczających skazówką, jak go uważać i postępować z nim mają.

— Słyszę, ale nie pojmuję cię, papo.

— Zdaje mi się jednak, że dość łatwo.

— Łatwo pojąć, a wytłomaczyć sobie trudno — dodała córka — dlaczego, kochany papo, odebrać mi chcesz przyjemność usłużenia komuś? Będę posłuszną, nie mieszam się do niczego.

To powiedziawszy, odwróciła się Misia i szybko poszła ulicą. Hrabia pozostał sam-na-sam z listem w ręku, zmieszany, bo ile razy córka się z nim w ten sposób rozstawała, męczył się jej złym humorem i, przemęczywszy, ustąpić jej wreszcie musiał. Na ten raz chciał użyć całej swój powagi, ale mu się nie udało.

Przewidywał, że zostanie zwyciężony, jak zwykle. Z drugiej strony, niepojęty jakiś wstręt, niewytłomaczoną czuł odrazę dla przybywającego sieroty. Wychowanie dane mu początkowo drażniło go niewypowiedzianie; sto razy chciał zepchnąć to dziecię w pierwszy jego stan, sprzeciwiał się wreszcie wyjazdowi Eustachego za granicę z Alfredem. Ale naówczas żyjąca jeszcze żona wymogła, że na to pozwolił. Teraz, gdy miał już powrócić sierota, hrabia doznawał jakiejś niespokojności, zbroił się na ten powrót jak na wojnę. Codziennie powtarzał sobie:

— Z tego nic dobrego nie będzie. Zmiję odgrzewam, pewny

jestem! Niema przykładu, żeby kiedy z chłopa co dobrego wyszło. Będzie to zazdrośne, nienawistne, podłe.

Doniesienia o talentach, o nauce, jakiej nabywał Eustachy, gniewały hrabiego.

— Tém gorzej, mówił — tém niebezpieczniejszy będzie. Musi mieć złe serce, a przy dobrej głowie to daleko prowadzi.

Hrabia roił sobie w Eustachym nieprzyjaciela, bo czuł, że go nienawidził, i że nienawiść zawsze się prawie nienawiścią płaci i wstrętem.

Wedle starego zaś aksjomatu, nie spodziewał się nic dobrego, po *chamie*, jak go nazywał. Liczne przykłady wspierały go w tém przekonaniu.

— Krew — mówił w sobie — krew dobra, dobra rasa — to rękojmia! Z podłego rodu nic poczciwego nie wyjdzie.

Przyszło do tego, że hrabia nie widząc oddawna swego wychowawca, obawiał się go wcześniej i postanowił nie dozwalać, ile możności, wychodzić ze stanu wieśniaczego, utrzymywać go w uległości, w rygorze upokarzającym. — Tym sposobem nagnę go, póki czas. Spuścić go z oka nie można; kto wie, co się tam roi w tój głowie! Co się stało, odrobić niepodobna, ale naprawić potrzeba.

Niczęmby nie można usprawiedliwić hrabiego w tych jego strachach dziwacznych, gdyby nie to, że czasem człowiek, dla nieznanego mu prawie człowieka, przecuciem jakimś, czy fatalnością, doznaje wstrętu, bojaźni, upiera się przy nich, rozżarza w sobie uczucie wyrosłe i marę swoją prawie za rzeczywistość poczytuje. Jestto wcale nierzadki fenomen. Tysiąc się on razy trafia; bo oczy duszy dalej daleko sięgają niż oczy ciała, a ten drugi wzrok pewniejszy jest czasem od pierwszego, od wzroku *per excellentiam*, co patrząc jeszcze częstokroć nie widzi.

Ile razy w czasie pobytu Alfreda za granicą przychodziły listy od niego, nie tyle nie spokoił się synowcem, co wychowawcem, szukał o nim wzmianki; chciał koniecznie dowiedzieć się coś złego, aby mieć dostateczny powód dla rozkazania powrotu do kraju. Ale napróżno. Gniewał się, że mu uczyć się Alfred z sobą pozwolił, gniewał, że go brał z sobą do Szwajcaryi, Francyi i Anglii.

— Po co jemu podróże! Alfred głowy nie ma! Zepsuje go i odda mi potem tak, że nie będę wiedział, co z nim począć; do roli to nie pójdzie, nie zda się na nic. A niebezpiecznie! Bóg wie! to może być szpieg domowy!

Musimy wyznać, że strach i niepokój hrabiego nieco usprawiedliwiały liczne przykłady niedouczonej wieśniaków, którzy bijąc się w swém stanowisku jak ptaki w klatce, chcąc a nie mogąc wlecieć, z rozpaczcy dopuścili się przestępstw i skalali niewdzięcz-

nością — ale to byli *niedouczeni*, którym trochę światła dała żądę podniesienia się, nie dając środków do dopięcia celu.

Im bardziej zbliżała się chwila powrotu z zagranicy, tém niepokój hrabiego wzrastał, podwoił się on jeszcze z innej przyczyny. Hrabia przez rząd majątkowy, ład wprowadzony w gospodarstwie i nielitościwą srogość dla poddanych, stanął w interesach lepiej, niż mógł się spodziewać. Pozakładane fabryki, poczynione ulepszenia, w kilkanaście lat, podwoiły już i tak znaczną fortunę. Przy powszechnej ruinie majątków, ten wzrost nagły, postawił hrabiego na stopniu wyższym, niżeli oddawna zajmowali podupadli jego imiennicy w hierarchii arystokratycznej. Córka jedynaczka mogła wyjść za jedno z najstarszych i najpiękniejszych *imion* krajowych. Dano to wyraźnie do zrozumienia hrabiemu, napomykając, że nawet możnaby pozyskać pozwolenie przepięcia imienia hrabiów do nazwy pretendenta, jeśliby tego żądano.

Z drugiej strony, dane słowo bratu wiązało go. Alfred ubogi prawie miał być mężem Misi.

Nie wiedzieć skąd, po uczynionych propozycjach od innych, hrabiemu zaczęły myśli różne przychodzić do głowy, których wprzódy nie miał.

— Małżeństwo między bliskimi krewnymi, między tak bliskimi, są zakazane. Możnaby otrzymać dyspensę, ale zwykle małżeństwa takie są nieszczęśliwe. Są przeciw prawu kościelnemu, zły przykład. A chociaż, co wolno nam, tego sobie *niżsi* pozwalają nie powinni — wszakże przykład! Winniśmy dawać przykład. Powtóre — myślał od niejakiego czasu — niepodobna mi zmuszać Misję. Chodzi tu o jej szczęście! Przywiązanie nakazać się nie może! może mieć wstręt, może się poświęcić dla mojej myśli! Godziż się dziecię poświęcać! przez próżność? Nareszcie imię — imię zostanie; Alfred się może bogato ożenić.

Słowem hrabia głęboko się zamyślał nad podobieństwem niedotrzymania poczciwego słowa, danego bratu; a to od czasu, jak mu zaczęto z różnych stron niespodziewanemi podszeptywać projektami.

Książęca mitra, którą nosił *anticipative* wraz z paludamentem przy herbie, dosyć smakowała hrabiemu. Nowy lustrz rzucałaby taka koligacya; a gdyby jeszcze imię hrabiów połączyć się miało z tém książęcóm i chodzić już nierozdzielnie na przyszłość? — jak by to było pięknie!

Te i tym podobne rozmysły znacznie oziębiły hrabiego względem Alfreda. Począł sobie mówić: — Zobaczmy, zobaczmy, zobaczmy! i przygotowywał się do zerwania zrobionych przyrzeczeń. Wyraźnie sobie nie powiedziawszy sam, że tego żąda, wdychał

hrabia najbardziej nad t \acute{e} m, jak tak bliskich po \acute{z} eni \acute{e} ch, jak zapewni \acute{c} , \acute{z} e si \acute{e} sobie podobaj \acute{a} . S \acute{l} owem gotowa \acute{l} wcze \acute{s} nie wym \acute{o} wki.

Tymczasem zbli \acute{z} al si \acute{e} czas powrotu Alfreda z zagranicy; a w miar \acute{e} dorastania Misi, odwiedziny, zaprosiny, nowe znajomo \acute{s} ci, stare zapomniane zwi \acute{a} zki niezmiernie dumie hrabiego pochlebia \acute{l} y. Ludzie wprz \acute{o} d oboj \acute{e} tni pocz \acute{e} li si \acute{e} ko \acute{l} o niego \acute{l} asi \acute{c} , bra \acute{c} go pod r \acute{e} k \acute{e} , nazywa \acute{c} kochanym hrabi \acute{a} i coraz cz \acute{e} st \acute{e} ji \acute{e} bywa \acute{c} . Kilku pan \acute{o} w przyzna \acute{l} o si \acute{e} do prababek z hrabiowskiego domu; kilku ksi \acute{a} z \acute{a} t wywiod \acute{l} o z koligacyi przez kobiety, oba domy \acute{l} acz \acute{a} ce; hrabia wzdyma \acute{l} si \acute{e} zwyci \acute{e} sko. Ale w miar \acute{e} jak \acute{s} wiat pocz \acute{a} ł przywizywa \acute{c} wag \acute{e} do niego, on niesko \acute{n} czenie mniej cenil \acute{y} dane bratu dawniej przyrzeczenie.

— Koniec ko \acute{n} cem — m \acute{o} wil w duchu — da \acute{l} em s \acute{l} owo warunkowe, je \acute{z} eli — je \acute{z} eli. Nic mnie tak koniecznie nie obowi \acute{a} zuje. Misia wie o t \acute{e} m s \acute{l} owie, ale pewno jestem, \acute{z} e dla ni \acute{e} j to b \acute{e} dzie powodem wst \acute{r} etu dla Alfreda. Ona, tak samowolna! Nie mog \acute{e} j \acute{e} j zmusza \acute{c} , nie chc \acute{e} , obawiam si \acute{e} . Szczę \acute{s} cie dziecka przedewszystki \acute{e} m! Alfred wie tak $\acute{z$ e o tym projekcie, sam mu o nim m \acute{o} wi \acute{l} em, ale \acute{s} miesznyby by \acute{l} , gdyby mi chcia \acute{l} przypomina \acute{c} . To zreszt \acute{a} niepodobna!

Tak uspakajaj \acute{a} c si \acute{e} , hrabia przygotowywa \acute{l} razem c \acute{o} r \acute{k} ę do nast \acute{a} pi \acute{c} maj \acute{a} c \acute{e} j zmiany projekt \acute{o} w. Ale nigdy przed ni \acute{a} nie wa \acute{z} ac si \acute{e} ca \acute{k} iem wypowiedzi \acute{e} sw \acute{e} j my \acute{s} li, nie by \acute{l} od ni \acute{e} j zrozumiany. Misia napomykane cz \acute{e} sto przez ojca my \acute{s} li o t \acute{e} m, \acute{z} e ni \acute{e} ma nic pewnego w zwi \acute{a} zku j \acute{e} j z Alfredem, \acute{z} e wszystko od ni \acute{e} j zale \acute{z} y, \acute{z} e j \acute{e} j zmusza \acute{c} nie chce i t. p. wzi \acute{e} ła za ostro \acute{z} no \acute{s} ć ojcow \acute{s} k \acute{a} , za boja \acute{z} n \acute{y} z jego strony, aby narzucony kuzyn \acute{e} k, jako narzucony, odrzuconym nie by \acute{l} . Nie domy \acute{s} la \acute{l} a si \acute{e} wcale prawdziwego powodu, zobo \acute{e} jt \acute{n} ienia stryja dla Alfreda.

Ona nie przywiz \acute{a} za si \acute{e} jeszcze do nikogo, jak si \acute{e} zdawa \acute{l} o. Cz \acute{e} sto bardzo odwiedzaj \acute{a} cy m \acute{o} ldzi, nie zrobili na ni \acute{e} j \acute{z} adnego wra \acute{z} enia, pomimo dobrego wychowania, wytworno \acute{s} ci talent \acute{o} w, zalecaj \acute{a} cych ich imion, zwi \acute{a} zk \acute{o} w, maj \acute{a} t \acute{k} ow, nie wyr \acute{o} z \acute{n} ia \acute{l} a szczeg \acute{o} lniej \acute{z} adnego. Weso \acute{l} a, \acute{s} mia \acute{l} a i poufa \acute{l} a ze wszystkiemi, dla wszystkich by \acute{l} a oboj \acute{e} tnie grzecz \acute{n} \acute{a} ; a w tych p \acute{o} l wyra \acute{z} nych, wp \acute{o} l os \acute{l} oni \acute{e} tych o \acute{s} wiadczeniach, kt \acute{o} re wolno jest zrozumie \acute{c} , wolno niby nie wiedzi \acute{e} ć, zdawa \acute{l} a si \acute{e} nie domy \acute{s} la \acute{c} znaczenia. Kiedy przed ni \acute{a} ojciec wychwala \acute{l} kt \acute{o} rego, odpowiada \acute{l} a zwykle:

— Mi \acute{e} dzy niemi wszystkiemi nie mog \acute{e} znale \acute{s} ć \acute{z} adnej r \acute{o} z \acute{n} icy. Wszyscy zdaj \acute{a} si \acute{e} by \acute{c} jedn \acute{e} j my $\acute{s$ li, jednego charakteru, tak jak s \acute{a} jednego ubrania, jedn \acute{e} j prawie fizygnomii, podobaj \acute{a} mi si \acute{e} wszyscy zar \acute{o} wno, nikt z nich szczeg \acute{o} lnie. By \acute{l} oby to niesprawiedliwo \acute{s} ci \acute{a} , jednego z tych pan \acute{o} w przenies \acute{c} nad drugiego, tak s \acute{a} do siebie podobni. Pokochawszy jednego, musia \acute{l} abym wszystkich — czekajmy.

IV.

Był wieczór; w salonie, którego drzwi otworem stały na ganek, siedział, nie umiejąc pokryć niespokojności swojej, hrabia, Misia i pani des Roches, jak zawsze smutna i milcząca. Co chwila zrywał się gospodarz domu, przysłuchiwał i znowu siadał przekonawszy się, że nikt nie przybywa; a im dłużej tak czekał, tém srożej się niecierpliwił.

Misia czytała niby, a przynajmniej trzymała książkę w rękę, pani des Roches robiła jakąś robotę. Nie myślano nawet o rozmowie, bo żywołu do niej brakło. Niekiedy tylko wykrzyknik, wrywający się hrabiemu, przerywał ciszę długą.

Zmierzchało coraz, a hrabia wstawał i przechadzał się.

Zadzwoił wreszcie, wszedł kamerdyner.

— Herbata! — zawołał.

— Nie będziemy czekać? — odezwała się Misia.

— Albożemy nie dość jeszcze czekali? — odparł hrabia nieukontentowany. Pan Alfred widać żartował sobie ze mnie, oznajmując swoje przybycie.

To mówiąc usiadł i spuścił głowę na feljeton gazety. Turkot dał się słyszeć w dziedzińcu. Hrabia porwał się.

— Jadą! — rzekł mimowolnie; a Misia z podziwieniem dosłyszała to wyrażenie dowodzące, że ojciec i Eustachego rachował, bo nie powiedział jedzie, ale jadą.

Wkrótce jednak, jakby się opamiętał, hrabia dodał powtarzając:

— Przecież jedzie.

— Jadą — zawołała Misia, rzucając książkę — masz papa słuszną, *jadą*.

— Jedzie — rzekł ojciec z przyciskiem. — Spodziewam się, *sam* Alfred.

— Z towarzyszem!

— Zawsze swoje, *śługa* nie jest towarzyszem! Cóż znowu!

Misia ruszyła ramionami.

Kiedy się to dzieje w salonie, a wrący niepokojem hrabia hamuje się, by nie wyjść naprzeciw, druga scena odbywa się w ganku. Z powozu wysiedli Alfred i Eustachy; ale w chwili, kiedy do sieni wchodzić mieli, Eustachy zadrżał, pobladł i wstrzymując towarzysza, rzekł do niego po niemiecku, aby ich ludzie zrozumieć nie mogli:

— Hrabio, znam nadto twój stryja, a szanuję go nadto jako

dobroczyńcę mego, żebym się ośmielił bez jego pozwolenia wniknąć z tobą. Zostanę tutaj.

To mówiąc, odwrócił się, otarł pot z czoła bladego kroplami występującej, i siadł na ławie ganku.

— Zwaryowałeś! — zawołał Alfred. — Co ci się dzieje?

— Nie mogę wniknąć.

— Byłeś ze mną w salonach niejednego poselstwa w Berlinie, a obawiasz się?

— Bo tam, hrabio, każdy, coby mi mógł uchybić, był dla mnie obcym — rozumiesz? Tu — mam obowiązki, a jestem dumny — dorzucił ciszej. — Wystaw sobie obelgę, gdybym ją wymierzona ku mnie zimno znieść musiał! Nie pójdę, na Boga, idź sam, zostaw mnie i spytaj tylko, czy mi wolno.

Wzruszenie głos mu zatamowało.

— Pozostaniemy więc zapewne oba w ganku, bo ja bez ciebie nie pójdę. Co za szaleństwo! co za myśl! Każdyż nie ma prawa wniknąć? a ty wchodzisz z podzięką.

— Tak, ale wchodzę z tobą, za tobą; wchodzę jako — jako... Ja nie wiem... ja nie mogę. Nie pójdę.

— Opamiętaj się — szepnął Alfred — wystawiasz mnie i siebie na śmiech sług, co tu stoją, zmiłuj się.

— Idź — rzekł Eustachy — idź naprzód. Wniknę potem.

To mówiąc zerwał się z ławki i uskokzył w dziedziniec.

Alfred powstał chwilkę, ale prędko przyszedłszy do siebie, naciągając rękawiczki i poprawując włosów dorzucił:

— Przyłóż chustkę do nosa, powiem, żeś zachorował.

— Mów, co chcesz.

Gdy się to dzieje, a Alfred jeszcze się waha co począć, hrabia niecierpliwie chodzi po salonie; radby wyjrzyć, a nie chce się kompromitować pośpiechem, nawet przeciw synowcowi, tupa, zżyma się i siada znów do gazety.

Wtém drzwi się otworzyły, Alfred wszedł; z otwartymi rękami poskoczył ku niemu stryj, udając więcej jeszcze czułości, niżeli jęć było w istocie w sercu.

— Kochany Alfred!

— Stryj kochany!

Rzucił okiem na drzwi — nikogo więcej.

— Co to jest? — pomyślał. Nikogo? — Gdzież tamten?

Tamten leżał mu kamieniem na sercu, a spytać o niego, przynajmniej w pierwszej chwili, nie wypadało. Przywitanie czule, serdeczne, zawarło się przypomnieniem wzajemnym Misi i Alfreda. Oboje z jedną myślą mierzyli się wzrokiem.

— To on!

— To ona!

Oboje znaleźli się takimi, jakimi widzieć się spodziewali.

— Dobrześ nam, kuzynku, kazał na się czekać, od tak dawna obiecywałeś! I nie przyjechać wprost tutaj, ale do Skaly! Nie bardzo ci widać śpieszno było do nas.

Alfred uśmiechem grzeczności podziękował.

— Darujecie mi: droga, znużenie. Cóżby to było, żebym tu przyjechał chorować? Byłem prawie chory po podróży.

— Właśnie do nas należało jechać — przerwała Misia.—Kto cię tam mógł pilnować w tej ciężkiej chorobie? — dodała żartując, ale nie bez myśli dowiedzenia się także, co zrobił Alfred z towarzyszem podróży.

— Misia *a parfaitement raison* — dorzucił ojciec — trzeba było wprost jechać, mam ci to szczerze za złe.

— *Vous êtes bien bon* — szepnął Alfred—ale co się tyczy towarzystwa i dozoru przy chorym, tych mi nie brakło.

— A! więc znalazłeś kogoś w Skale? — zapytała Misia, wiedząc dobrze, że tam nikogo nie było i że Alfred chce mówić o towarzyszu.

— Nikogo, ale ze mną przyjechał.

— A! dobrze, żeś mi przypomniał — przerwał hrabia (Misia zczerwieniła się i odwróciła) — co się stało z tym chłopcem, z tym, z tym, jakże mu imię? nie przypominam sobie, poddanym moim, który się podobno sposobił na felczera?

— Na felczera? — zadziwiony spytał Alfred — nie, na doktora.

— To prawie wszystko jedno, ale cóżes z nim zrobił?

— Jest tutaj.

Wszyscy się mimowolnie obejrzeni ciekawie.

— Czemuż nie wszedł z tobą? — spytała Misia.

Alfred miał odpowiedzieć, ale hrabia mu przerwał:

— Czemu nie wszedł? Cóżby tu robił? jestto dowód wielkiego sensu z jego strony, to mi się podoba. Poszedł na folwark — *c'est ça*.

— Za pozwoleniem, kochany stryju — z kolei zapłomieniony odezwał się synowiec — my się chyba zupełnie nie rozumiemy. Przywiozłem z sobą — rzekł dobitnie — mojego przyjaciela, doktora Eustachego; nie wszedł ze mną, bo gwałtowne może wzruszenie, czy inny jaki powód, nie dozwoliło mu.

— Chory? — spytała troskliwie Misia idąc ku drzwiom.

Tu scena się rozdwoiła, hrabia czuł potrzebę odpowiedzić razem Alfredowi i zgromić wychodzącą córkę; wściekał się prawie; pochwyciwszy więc Misię za rękę, zawołał żywo:

- Śni ci się, Alfredzie, przyjaciela!
 — Tak jest, przyjaciela, kochany stryju.
 — Człowieka.
 — Bardzo uczciwego i przyzwoitego człowieka, który był ze mną w najpierwszych salonach.
 — *Un manant!*
 — Stryju kochany — odrzucił Alfred — dziś na urodzenie nikt nie zważa.

Niepodobna było, straszniejszej rzeczy, surowiej i otwarciej powiedzieć. Otwarte usta hrabiego zamknęły się gwałtownie, zaczęły, zszniał, zbladł potem i rzuciwszy okiem na Alfreda, rzekł:

— Każdy jest panem swojego przekonania i czynności. Waćpan, panie hrabio, możesz przyjaźnić się, z kim chcesz, żyć z kim się podoba, wierzyć, w co ci wierzyć każą mędrkowie, ja trzymam się starych obyczajów i wiary. *Un manant est un manant, un vilain — s'il n'est pas pis.*

Ostatnich słów domówił z gniewem, odwrócił się i odszedł. Alfred zmilkł.

— Ten człowiek — szepnął do Misi — ma tyle delikatności, że sam wejść nie śmiał, chociażem go o to prosił, ale przeze mnie pyta stryja, czy mu się prezentować i dziękować sobie pozwoli.

— Słyszysz, papo! — zawołała Misia powtarzając słowa Alfreda z oburzeniem prawie. — Prawdziwie, ja nie poznaję papy... z twojém sercem...

— Proś więc go sama, kiedy chcesz — rzekł hrabia — niech wnijdzie, ukłoni się i idzie sobie do licha.

— Jeśli tak, niech lepiej nie wchodzi — zawołał Alfred — nie przywykł do podobnego obejścia.

— Przywyknie! — przerwał hrabia — chcesz-że mi go narzucić za towarzysza?

— Skarżyć-by się na to nie można; jestto człowiek tak dalece wyższy, tak ukształcony...

— Dajże mi pokój z pochwałami.

Misia i Alfred radzili się wejrzeniem, co począć.

— Idę go prosić — odezwała się Michalina

— Jak chcesz — z gniewem mruknął ojciec i postąpił ku gan-kowi, jakby uciekał.

Drzwi się otwarły, chwilka upłynęła, Misia, wiodąc za sobą blado-go jak ściana Eustachego, weszła do salonu. W sieni już poczęła wesołą i ośmielającą go rozmowę. Na widok hrabiego, który brwi namarszczył i nasrożył się umyślnie, przybyły nie wiedział, co począć. Alfred mu dopomógł i sam za niego w kilku słowach podziękował hrabiemu, który stał także niemy, checiwie pożerając

oczyma człowieka, którego przybycie stawało mu się ciężarem. Wszystkich oczy były zwrócone na Bondarczuka, wszyscy się dziwili szlachetnej postawie, pięknej twarzy i temu wyrazowi siły i męstwa, które go odznaczały; niezmierna tylko bladeść pokrywała rysy jego w tej chwili.

Hrabia wyszedł na ganek; z ganku mógł słyszeć rozmowę, a świadkiem jej być nie chciał. Uwolnieni od ciężającej przytomności jego, Misia i Alfred poczęli żywo pytania i odpowiedzi rzucać i chwytac, usiłując wmieszać do nich Bondarczuka, aby mu dodać tak pozbytej na progu odwagi; ale napróżno w początku; uczucie swojego położenia, swego poddaństwa jeszcze nie startego, jakaś boleść w sercu, odejmowały mowę Eustachemu. Słuch hrabiego próżno się wyteżał, aby pochwycić słowo z ust jego. Nareszcie Alfred zadał mu umyślnie, tak wprost go dotykające pytanie, że uniknąć odpowiedzi nie było sposobu. Rozmowa toczyła się po francusku, Eustachy tymże językiem, czysto i pięknie mówić zaczął.

Za drzwiami ganku wielkie było zdumienie hrabiego i gdyby po chińsku, po grecku, językiem najdziwniejszym przemówił, nie byłby go tak zadziwił.

Chłop mówiący po francusku! Było to coś niesłychanego — anormalnego!

— Mówi po francusku! — zawołał w sobie hrabia — mów i dobrze! To nadto! A! rozumiem — i uśmiechnął się w sobie gorzko, smutno, gniewnie.

Łagodny, miły dźwięk głosu sieroty uderzył uszy Misi, bojąnią drżący, stał się słodszy niż zwykle, spojrziała na niego z litością i pomyślała: — Biedny człowiek! biedny człowiek!

Alfred myśl jej podzielał.

Podawano herbatę; hrabia z ganku nie powracał, rozdąsany jak dziecko, nie wiedział już, jak sobie poradzić. Wnijsć było to uznać się zwyciężonym; nie wchodzić — dziwactwo. Dylemma nieuniknione. Stał w progu, ale nie wiedząc sam jeszcze, co począć. Zajmowało go rozwiązanie pytania, jak ma postąpić z Eustachym? widok przybyłego, a nadewszystko ta uroku pełna francuszczyzna, zmieniły wielce dawne myśli hrabiego; wyrazy Alfreda o *przyjacielu* wpłynęły także nie mało. Co począć? co począć?

— *Qu' il aille se faire pendre ailleurs* — rzekł gniewnie — nie chcę go.

To znów mówił:

— Mogłby mi być użytecznym. Zobaczymy. Ale tymczasem... Jeśli on przy mnie *usiąść* zechce? To jednak być nie może — to być

może. Mówi po *francusku* — a więc wszystko być może! niechby sobie szedł do dyabła! *Ah! quelle perplexité!*

Tymczasem rozmowa się toczyła, coraz swobodniejsza, opowiadano o balach, które ambasador austriacki dawał w Berlinie, Eustachy opisywał w pomoc Alfredowi salony. Hrabia zagryzał usta.

— Był więc tam? ci ludzie nie szanują się? z tego wszystko złe! nic już nie ma na ziemi świętego! zaczyna się od zwalenia *nas* a kończy!.. Piekielna rzecz—on tutaj.

Wtém położenie hrabiego i wszystkich osób znajdujących się w salonie skomplikowało się jeszcze nieprzewidzianym, niespodziewanym wypadkiem.

Turkot nowy dał się słyszeć przed gankiem; hrabia zbladł jak trup i schwycił się za głowę, postradał przytomność. Stało mu na pamięci, o czém był zapomniiał zupełnie, że tegoż dnia obiecał go odwiedzić hrabia B. zwany pospolicie brygadyerem, gdyż ten stopień zajmował niegdyś w wojsku, z którego potem wyszedł nie dość zaszczytnie dla siebie.

Co począć z Ostapkiem będącym w salonie? Spodziewany gość należał do niewielu już dziś, najosobliwiej dumnych, niepojęcie w klejnocie szlacheckim zakochanych ludzi. Dziad jego kradł książąt... na plenipotencyi, ojciec kradł na jeneralném komisarstwie, syn ożenił się z wielkiem imieniem, a w miarę tego jak z niska wyszedł, nadał się najoryginalniej. Był to podpanek, z dumą i próżnością swęj klasie właściwą, wyniesioną do najwyższej potęgi. Nie wiem, dlaczego nikt się z niego nie śmiał, a wszyscy lękali; prawda, że tej dumie posługiwała złośliwość i język żmii.

Na samę myśl, że przybyły hrabia brygadyer może zastać w salonie Ostapka, porwał się za włosy gospodarz, zbiegł z progu i miał wymówić przygotowane już: idź precz; gdy drzwi przeciwne, roztwarte szeroko, ukazały w głębi na tle ciemném rumianą o niskiem czole, o błyszczących oczkach, twarz brygadjera, uśmiechającą się wesolo. Za nim szedł z długimi włosy i hiszpańską bródką syn niedawno przybyły z Paryża.

Nie czas już było! Hrabia nasz zakrztusił się i klnąc w duszy nieprzytomność swoją, pośpieszył na przyjęcie gości. Mijając wszakże Alfreda, szepnął mu:

— Prezentuj go, jako przyjaciela, jako Francuza cudzoziemca, dyabła — ale nie... Nie mógł już dokończyć, brygadyer był tuż, rzutem oka policzył osoby znajdujące się w salonie i, zgadując niektóre, domyślając się może reszty, szedł witać.

Eustachy, cały zarumieniony, chwycił za kapelusze i chciał uciekać.

— Zostań — rzekł mu Alfred — jesteś Francuz mój przyjaciel, cudzoziemiec.

— Za nic nie skłamię.

— Hrabia rozkazuje; rozniewasz go śmiertelnie, wyjście twoje z salonu zwróci oczy i podejrzenie.

— Alfredzie, na wszystko cię proszę, puść mnie.

— Mówię ci, zostań.

Walcząc sam z sobą Eustachy, pozostać musiał, spuścił głowę, usunął się, aby być jaknajmniej widzianym i patrzył w ogród.

Po niezmiernie czułym powitaniu Alfreda, brygadyer ciekawy, jak wszyscy podpankowie, szepnął mu w ucho :

— Ten młody człowiek.

— Doktor, Francuz, mój przyjaciel.

— A !

Tymczasem brygadyera syn, Oskar, prawił przesliczne komplementa Misi, która roztargniona udawała, że ich słucha.

— Kto jest ten pan ? — spytał po chwili.

— To Alfred, mój brat, tamten drugi...

Już miała prawda wyjść na jaw, gdy dosłyszawszy zapytania sam Alfred, dorzucił szybko:—Cudzoziemiec, doktor, z którym przyjechałem.

Misia nic nie wiedząc o woli ojca, spojrzała na niego wielkimi oczyma.

— *Un homme très distingué* — dodał nie mieszając się Alfred — *Voulez-vous faire sa connaissance ?*

— *Comment donc ?*

Oba postąpili ku cofnionemu pod ganek Eustachemu, który widząc ich idących ku sobie, zmieszał się niewypowiedzianie. Jemu bowiem jednemu tylko przyszło w tej chwili na myśl, że kłamstwo wydać się musi. Pomimo zmian, jakie strój i włosy robią na twarzy i całym człowieku, pomimo kilku lat przedzielających dzień ten od pobytu Eustachego z Alfredem w Paryżu, hrabia Oskar poznać go musiał w końcu, bo się widzieli i niejednokrotnie nad Sekwaną. Alfredowi na myśl to w początku nie przyszło, i w chwili dopiero prezentacyi, jak piorunem przeleciało przypomnienie. Wcale jednak niez pomieszany zapoznał z sobą Eustachego i Oskara. Ostatni popatrzał chwilę, zdawał się chcieć coś powiedzieć, potem jako człowiek niezmiernie dbający o sławę dobrze wychowanego, przyjął przedstawionego za Francuza i nie dał poznać po sobie, że się fałszu domyśla. Zagryzł tylko usta nieznacznie. Eustachy był na żarzących węglach — on, co się brzydził kłamstwem, złapany na fałszu! on, co czcił prawdę, jako zasadę wszelkiego dobra, jako rękojmię cnoty — uznany i przekonany o kłamstwo! Słowa nie mógł wy-

mówić! Hrabia gospodarz, ani mogąc się domyśleć, że się wyda zmyślenie, odgrywając rolę swą wybornie, pokrył gniew twarzą i jak najgrzeczniej, zaprosił do koła gości mniemanego cudzoziemca.

Eustachy znowu współnikiem fałszu być zmuszony, wmieszany ciągłymi pytaniami w rozmowę (bo go, jak u nas zwykle cudzoziemca, zarzucono tysiącem), męczył się niewypowiedzianie. Napróżno Misia starała się go ośmielać wejrzeniem, uśmiechem, łagodnymi słowy. On i hrabia siedzieli jak dwaj męczennicy, grając swobodę i wesele. Oskar to się przysuwał do Michaliny, to uważnie i niepostrzeżenie śledził ruchy wszystkie doktora.

Nareszcie coraz bardziej dręczony domysłami i wątpliwością, nieznacznie począł rozmowę z Eustachym, wziął go z lekka pod rękę i wywiódł w ganek.

— Przepraszam pana — rzekł — może to być omyłką z mojej strony, ale...

— Żadna cmyłka, panie — gorzko i żywo odparł doktor — jestem tym, którego widziałeś w Paryżu. Ale poddany i włościanin hrabięgo, nie powinienem być znajdować się w tym salonie, wstydzono się mnie i kazano przyjąć to kłamliwe, którym się brzydzę, nazwanie. Nie mnie sądzić pan o to i daruj hrabiemu. Spodziewam się, że tajemnica.

Hrabia Oskar parsknął tak potężnym śmiechem, że wszystkich oczy z salonu ku nim się zwróciły, ale razem ścisnął za rękę Eustachego: — Bądź spokojny!

— Kiedyscie powrócili do kraju?

— Dziś, w tej chwili.

— I przyjął cię?

— Jak pan widzisz!

Oskar znowu śmiać się zaczął.

— Co za szkoda, że się za Ludwika XIV nie urodził! — zawołał po cichu. — Trzeba przyznać wszakże, że ma nie złe koncepta, choć mu się wcale na ten raz nie udało.

Przez cały czas rozmowy w ganku, oko Alfreda, hrabięgo i brygadiera nie zeszło z nich, ale ruchy swobodne obu, powierzchowność nic nie objawiająca nadzwyczajnego, nie dawała się domyśleć treści rozmowy. Wchodząc poczęli mówić o Paryżu i wszyscy się uspokoili.

Najpociesznieszka było widzieć gospodarza, który walczył ze wstrętem, jaki miał dla chłopca, a musiał związany własnym kłamstwem sadzić się dla niego na grzeczności, jako dla gościa i cudzoziemca.

Alfred nie mógł się powstrzymać od śmiechu, który jak umiał tłumaczył i pokrywał. Zbliżająca się wieczerzy godzina byłaby

jeszcze skomplikowała trudności, gdyby umęczony Eustachy nie usunął się z salonu pod pozorem bólu głowy.

Nowy niepokój gospodarza.

Dla upokorzenia przybyльца, i aby, jak powiadał, nie wyprowadzać go z właściwej sfery, hrabia w pierwszej chwili, kazał mu mieszkanie wyznaczyć w najnędzniejszej izdebce folwarcznej. Teraz lękał się, aby wszystko tym sposobem nie wydało się; z przyciskiem więc rzekł, żegnając wychodzącego najgrzeczniej:

— Mieszkanie pańskie z Alfredem.

Kamerdyner przytomny, który wprzód odebrał rozkaz względem mieszkania, stanął słupem.

— JW. graf — począł mówić.

— Doktor stoi z Alfredem — dodał dobitnie hrabia, znacząco spoglądając na kamerdynera.

— Przysłyszano mi się zapewne, że JW. graf.

— Doktor stoi z Alfredem — powtórzył jeszcze dobitniej z gniewem gospodarz.

W potach i płomieniach wyszedł nareszcie z salonu Eustachy, i nieprzytomny dał się wieść kamerdynerowi.

Ale tu się nie kończyły jeszcze męczące dnia tego przygody. Historia Ostapka całej wsi była wiadoma, wyglądano go oddawna, przybycie to wzruszyło wszystkich i zaciękawilo wieś i dwór. Rozmawiano, opowiadano, szydzono, domyślano się.

Ale gdy przybył, nikt go zrazu nie poznał, przez ludzi Alfreda dowiedzieli się. Wyznaczona kwatery w początku potwierdziła wiadomość. Każdy z dworskich inaczéj opowiadając historiją Ostapka, chciał go zobaczyć, czatował na niego, ciekawy był charakteru tego chłopka wyszłego na pana. Kamerdyner, stary Skalski, szlachcic herbu Leliwa, wiedząc o pochodzeniu Ostapka, miał sobie za ujmę przeprowadzać go do kwatery; wskazał więc zaraz w przedpokoju ogromnego draba kozaka Dubynę, polecając mu, aby *tego pana zawiódł na stancyą hr. Alfreda.*

Z spuszczoną głową stanął, potem ruszył się Ostap, gdy Dubyna szydersko zawołał bez ceremonii:

— *Chodym.*

Sto oczu z różnych stron, z pootwieranych drzwi, okien, zza węglów, wymierzono na pochód przez dziedziniec przybyłego Ostapa. Koło folwarku, gdzie mu najprzód wyznaczono kwatery, stał tłum parobków, gospodyni, praczki, kuchty, woźnice, oczekując na niego. Pod oficyną także liczna cisnęła się służba.

— Oto on, to on! — szeptali, zbliżając się wszyscy. — Patrzaj! to on!

— E! to nie może być! to nie on!

— Dalibóg, że on!

— Nie on.

Posłyszał to Ostap, podniósł głowę i oczy łzawe, westchnął i tę ciżbę ciekawą powitał. Serce mu mówiło, że to są biedni bracia i zabiło na widok nędzy, zezwierzęcenia ich. Łzy, grające pod powieką, potoczyły się wolno po twarzy, nikt ich nie widział. W tej chwili Dubyna otworzył drzwi oficy i pokazując mieszkanie Alfreda, rzekł:

— *Ot tu!*

My powrócimy do salonu.

Wiecie zapewne, czém jest zwykła nasza rozmowa na wsi. Dzieli się ona powszechnie na trzy kategorie: gospodarską, literacką i potoczną. Gospodarska nigdy się nie zjawia w salonach pańskich, lub za pańskie uchodzących, krom przy komisarzu z rana; przy gościach nie uchodzi. Literacka trwa krótko i jakkolwiek poczęta, kończy się na francuskim najnowszym romansie. Potoczna składa się z plotek, opowiadań, domysłów, nowinek. Jest to coś w sposobie bigosiku, który po szlacheckich domkach dają na wieczерzę, zebrawszy różne mięsiwa obiadowe ku temu celowi, z octem, rodkami, jabłkami i t. p.

Tego to rodzaju klejona i zbierana rozmowa, swobodniejszém płynąca korytem od czasu wyjścia Eustachego, trwała w salonie. Brygadyer, jakby ciągle miał na sercu wylegitymowanie się ze swoich stosunków z panami, nieustannie przywodził imiona wielkie, hrabiów, książąt, baronów, z któremi żył, do których pisał, których był krewnym.

Poszło to już u niego we zwyczaj.

Młody Oskar mówił ciągle o Paryżu; o niczém inném tak ła-two, pięknie i z takiem nie opowiadał natchnieniem. Misia słuchała go figlarnie, szydersko. Alfred zgryziony, pomieszany, rzadko się wmieszał w rozmowę. Hrabia gospodarz nadzwyczaj mowny, udając niepojętą dla nikogo wesołość, mówił najwięcej, mówił z wszystkimi, do wszystkich, o wszystkim, z gorączkowem zajęciem, z zapalem prawie chorobliwym.

Około dziesiątej wszyscy się rozeszli znużeni; Alfred pośpieszył do swojego mieszkania, aby prędzej przyjść w pomoc przyjacielowi.

— Gdzie pan Eustachy? — spytał na progu, nie widząc go.

— Był tu, kazał przenieść swoje rzeczy.

— To dobrze — gdzież jest?

— Nie wiem, wyszedł.

— Dawno?

— Więcej godziny.

V.

Pokoje przeznaczone dla Alfreda wychodziły jedną stroną na ogród, przez którego topole i olchy stare przeglądał biały mur gotyckiej kaplicy. Noc była cudna, spokojna, cicha, niebo lazurowe, kilka jaśniejszych gwiazd na niem i księżyc w pełni. Gdy Eustachy zbywając się dłuższej męki uciekł do przeznaczonego mu mieszkania, przeszedłszy jak przez różgi pod wzrokiem ciekawych dworskich, upadł na najbliższą kanapę i bezmyślny spoczywał czas jakiś, nie umiejąc własnych myśli rozplątać. Snuły mu się po głowie tłumne, bezładne, z różnych chwil życia powyrywane i w jedną nieforemną zwinięte całość. Dzieciństwo, młodość przesuwwały się cieniami czarnymi, jasnymi, pobrawszy się za ręce, niepodobne sobie, a zbratane z sobą.

Widział się biednym dziecięciem nagiem, wśród chat popalonych przytułku szukającym, potem wychowawcem hrabiny, uczniem w szkołach przesładowanym, przyjacielem Alfreda, nareszcie czem został dziś na chwilę, gościem swojego pana. — Co będzie dalej? — pytał w duszy, pytał i nie umiał nawet domysłem odpowiedzieć. Powoli jaśniej, widoczniej rysować się wszystko zaczęło, ochłodził, powstał i przycisnął się do drzwi wiodących do ogrodu. Naówczas spojrzenie ku wsi rzucone chwyciło za serce — nieznanego ojciec, matka, rodzina wieśniacza, chata, cmentarz wiejski poczęły go wywoływać ku sobie. Nie mogąc się oprzeć uczuciu, pochwycił kapelusz i wyszedł.

Długo błądził po cienistym ogrodzie, póki się opamiętał dokładnie, gdzie był i którędy mógł wyjść na wieś. Furtka z zewnątrz zamykana wywidła go w trakt, który przez wieś przechodził; zwrócił się ku niej.

Księżyc w pełni, unosząc się coraz bardziej ku górze, oświecał ulicę wiejską, szeroko rozbudowaną i daleko się ciągnącą.

Po obu jej bokach czerniały jeszcze w cieniu stojące chatki niskie, ciemne, w których okienkach gdzie-nie-gdzie połyskiwało czerwone światełko łuczywa. Ponad dachami domostw wierzba rozczochrana, brzoza wysmukła, brzoza w białej sukience, osina z drzącymi liśćmi wznosiły się jak cienie strażnicze. Tu i ówdzie w ulicy, w dziedzińczyku zóraw studni szyję długą wyciągał; komin zakopcony wyciągał się wyżej. Dalej jeszcze cerkiew o trzech kopułach, o krągankach mrocznych odbijała się na wyjaśnionem niebie, ciemno dołem, jasno górą, blachą polyskującą obita. Zza płotów misternie skleconych ze słomy, patyków, ziemi, krzewów,

zwieszala się wiśnia, jabłoń, stara grusza osmolona. Cicho było na wsi — cicho, gdzieniegdzie śpiew smutny, głos stłumiony się odzywał, a z dalekiej karczmy tylko wrzawa, skrzypce i cymbały brzęczały. Ten krzyk pijanego wesela jeszcze dobitniejszym czynił smutek wsi jakby pustej, jakby wymarłej. Wszyscy już byli po chatach, niektórzy spali.

Ostap szedł z uczuciem nieopisaną tęsknoty przez wieś, szukając rodzinnej chaty.

Pamięć jego żywo mu przedstawiała miejsce, na którym stała, zgliszcze spalonego domostwa, rozwalony piec, sterczące niedogorzale węgiel. Szedł z bijącym sercem ku niemu, ale inaczej je znalazł.

Podwórko zagrodzone, chata nowa, stara tylko grusza jeszcze się trzymała, jakby na świadectwo, że było zgliszcze. Poznał Ostap rodzinną siedzibę, oparł się na częstokole i zadumał.

Fałszywe było zapewnienie rządcy, który hrabiemu ręczył, że Ostap nie ma krewnych nawet we wsi. Rodzice jego zmarli byli wprawdzie z gorączki, ale krewni, babka stara żyła; po uspokojeniu w r. 1813 wrócili wszyscy. Ostap, póki był w kraju, często ich widywał; ale teraz dawno już wieści nawet nie miał o nich, nie wiedział, czy żyli. Brat ojca zajął chatę po zmarłym i mieszkał w niej z babką. Kiedy Ostap wyjeżdżał z Alfredem za granicę, lepianka tylko pół w ziemi, pół nad nią, tuliła biednych nowo-osadzonych. Teraz znalazł już chatę i ciekawie wpatrzył się w nią, by odkryć z powierzchowności, jaki był stan krewnych.

Ostap jak wszyscy wydziedziczeni z przywiązania, z familijnych związków serdecznych, pożądał ich i pragnął; co było w nim miłości, wylał na krewnych. Z niespokojną więc ciekawością puścił wejrzenie w podwórko. Zawarte płotkiem i bramą niezgrabną, ciasną, błotnistą, z jednej strony ogródkiem, z drugiej chlewkami zamkniętą, zarzucone było w tej chwili wozem niedawno wyprzeżonym, pługiem i kilku kawałami osiczyny.

Ten sprzęt i zapas zajmowały całe prawie; ciasna ścieżka, paździerzem konopi wysłana, wiodła do niskich drzwi chaty. W jej okienku błyskało jeszcze chwilami zadymione światło.

Ostap wszedł wzruszony, pies zerwał się z przyżby i powitał go natarczywem szczekaniem. Skrzyły drzwiczki, głowa się wychyliła i popatrzawszy znikła; po chwili druga głowa ciekawie się wysunęła, pies ujadł jeszcze, ale coraz ciszej, jakby go czujność mieszkańców uwalniała już od obowiązku.

— Dobry wieczór! — rzekł Ostap.

— A kto tam? — rzekł głos z chaty.

— Ostap Bondarczuk.

To mówiąc przystąpił do drzwi.

— Ostap! Ostap! — powtórzyło kilka głosów po cichu. — *Ostap pryjichau.*

Z sionek ciasnych, wysokim od izby przedzielonych progiem, weszli do niej, naprzód dwaj chłopaki, co w sionkach stali, Ostap za nimi. W izbie było prawie ciemno, łuczywo blado paliło się na kominie przed piecem i dogasało, dym osłaniał głąb chaty. Z początku nie można było dojrzeć twarzy blisko nawet siedzących.

Świetlica niczem się nie różniła od zwyczajnych, nie zasługując wcale na nazwisko swoje, bo dwoje ciasnych okienek, mało do niej bardzo wpuszczały światła. Piec niezgrabny, zaraz od drzwi się poczynający, z przypiekiem za łoże i ławę służącym, zalegał część jej znaczną. Pod ścianami z niegładkich opołków, chwiejące ławy stały, w rogu dzieża pod ikonami i stół od siekiery obrobiony, z cienkich drzewa kawałków. Warsztat tkacki kradł jeszcze jedną ścianę, a za nim biedne, niskie łóżeczko, z pościelaniem ubogiem się skryło. Od belki wisiała na sznurze kołyska. U drzwi ceber i wiadra, beczka, rozmaity sprzęt kuchenny, z garnków po większej części złożony, kąć cały zajmował. Ciasnota była nieznośna, powietrze duszące, parne, przesiąkłe wyziewami jada, dymu, tytoniu, odzienia. Niewielki alkierzyk ciemny i ta izba służyły za pomieszkanie całej rodzinie składającej się teraz z dwóch braci, siostry, żony starszego, dziecka małego i starej babki. Za pościelanie służył im piec, przypiecek, wilgotna w tok ubita z gliny podłoga, jedno łóżko, jeden kąć w alkierzu wolny; w lecie wyżki i stodoły. Izba świetlicą zwana była wszystkiem, maleńkie sionki mieściły trochę drobiu, karmionego wieprzaka i graty gospodarskie. Ledwie się było gdzie przecisnąć. Nie pytaj o zdrowie, tam gdzie niema powietrza nawet, a woda na głowę przez dach, do nóg wilgotnym podstępnie tokiem, gdzie w zimie dym ogrzewa powietrze; od pieca bucha, od ściany wieje, a na wiosnę kałuże stoją w sieni i izbie, tak, że często wodę z niej wylewać potrzeba; może tam być zdrowie?

— Ostap! — powtórzyło kilka głosów.

— Jak się macie — a babka?

— Żyje.

— A stryj?

— Na mogiłkach.

— A wy?

— Jak widzicie! żyjem, biedujem.

— U was babka?

— U nas, ale śpi starucha — odpowiedział starszy brat.

Wszyscy otaczali Ostapę ciekawie, dwaj bracia stryjeczni, siostra, bratowa z dzieckiem na ręku obstąpili go, patrzali, dziwili się.

Bracia byli młode chłopaki, różne, silne, wyrosłe; starszy żonaty, wejrzenie i twarz miał wyrazu chmurnego, młodszy kilkunastoletni, chytrą i szyderską fizyognomię. Nie patrzył nigdy w oczy, ale zawsze ukradkiem i uśmiechał się sam do siebie tajemniczo; czoło zasłaniał włosami, jakby się bał, by na nim myśli jego nie wyczytano. Drugi przeciwnie nosił czoło górą, ale czoło poorane wczesną zmarszczką, smutne, z oczyma ponuremi, łzawemi.

Siostra ich, dziewczyna lat dwudziestu, czerstwa, rumiana, z niebieskimi oczyma, uśmiechająca się twarzyczką, szerokimi różowymi ustami, wydatną pierśią i silnymi rękami; cała tchnęła życiem, co to na jutro nie patrzy. Wesola piosenka, taniec niedzielny, zalotne szepty wieczorne, mały jej pracowite życie.

Bratowa, smukła brunetka, cienka w pasie, szykowna, oczy miała czarne błyszczące, usta wąskie, nosek prosty i kształtny, była ładna; ale praca ciężka wszelki wyraz prócz znużenia odjęła rysom dość pięknym. Któż wie, jak ci ludzie pracują? Któż się ośmielił zdziwić ich smutkowi? Dziecię na ręku kobiety, małe, blade, schorowane, drzemało w kołysce, a blask łuczywa podzęgnionego padał na twarzyczkę jego okrągłą ale żółtą.

Taka była rodzina Ostapę, którą on powitał całując twarz, ściskając ręce ze wzruszeniem niewymownym; a w sercu mu głos mówił bolesny: „Co za ciężki los, co za dola! czemuż nie jesteśmy razem! cierpiąc razem, lżejby było“.

Ci ludzie tak dziecinnie ciekawi, tak rzadko mający czem pragnienie nowości zaspokoić, otaczali go, każdy ruch, skinienie, słowo badając, wpatrując się w suknie, w postawę, twarz.

— I ktoby to powiedział, że to nasz brat! — zawołał starszy ściskając go serdecznie — Pan Bóg wam dopomóż powinien, że o swoich nie zapomniacie. Siadajcie.

Biorąc go za rękę, gospodarz chaty Fed'ko posadził na ławie przy sobie; drugi brat za drugą rękę porwawszy, przyparł z innej strony, bratowa i Zoja siostra stanęła naprzeciw nich.

— Powiedzcie mi — rzekł Ostap — jak wam tu było, jak jest; długi, długi czas nie widzieliśmy się, stryj umarł.

— Umarł! — ponuro rzekł Fed'ko — rok temu, nie swoją śmiercią!

— Jakto?

— Ziemia go zasypała, gdy piasek kopał: nim-śmy się dogrzebali, nie żył. Nie pochowali go nawet na świętej ziemi! — i potrząsał głową smętnie. Taki koniec nas wszystkich. Pokój mu na wieki, dość się napracował za życia.

— Lepiej wam teraz, graf sam mieszka.

— Lepiej? — pochwycił Fed'ko. O! dobrze wam, że tego dobra nie znacie. Nie mówmy o tém, wyście Ostapie wychowaniec, ulubieniec.

— Ja! — i gorzko uśmiechnął się Ostap.

— A my — kończył pierwszy — nicby o nim dobrego powiedzieć nie mogli: kat na ludzi, nie pan.

— Co prawda, to prawda — przerwała Zoja żywo — nigdy u nas tego nie bywało, co teraz. Sam o niczém nie wie, nic nie rozumie, ekonom męczy i znęca się. Ja w fabryce.

— W jakiej?

— A! sukiennicę założyli.

— Janka jeszcze chcieli na flis wyprawić.

— Któżby pańszczyznę robił? — spytał Ostap.

— A któż, ja i żonka — rzekł Fed'ko ruszając ramiony.

— A koło domu?

— O! o to się nie pytają.

— Szczęściem — śmiejąc się dorzucił Janko — ja tak tego na nogę zakulał, że na flis nie poszedł. Dopiero gdy flisacy ruszyli, ozdrowiałem. A cóż było robić, kiedy nie można siłą, to chytrą siłą.

Bratowa, układwszy dziecię w kołyskę, przysła do Ostapa i spytała w pół jego, w pół męża:

— Czémby my gościa przyjęli? Wódki pewnie nie pijecie?

— Dziękuję — rzekł Ostap. — Dawno czarnego chleba, naszego chleba, nie jadłem, dajcie mi go kawałek; przyjmiecie mnie najlepiej.

— Suchym chlebem to tylko dziadów przyjmują! — zawołał Janko — wstyd nam chcesz robić, jakby to już u nas nic nie było więcej! Toć jest i słonina i...

— Chleba i wody! — powtórzył przybyły — nic nie chcę więcej; chleba czarnego, którym żyłem w dzieciństwie, i wody z naszej krynicy.

— Ja świeżej przyniosę — wyrwała się Zoja wesoło, i chwyciwszy wiadro w silną rękę, wybiegła szybko, zaśpiewawszy wesoło.

— Albo to tobie tęskno było za czarnym chlebem, na białym żyjąc? — spytał Fed'ko.

— Nie wierzysz? Nieraz za nim i za rodziną tęskniłem — smutnie rzekł Ostap. — Swoja ziemia ciągnie ku sobie, choć gdzie i lepiej! Strach bierze umrzeć na obcej.

— O! to prawda! — powtórzyła bratowa — nie to swoja ziemia, a nawet swój ką. Nie daleko nasza wieś, a mnie i za nią tęskno.

Jak wyjdziemy na pańszczyznę, czy obracam ku drzewom, co to je widać w dali, aż mi słodko tam patrzeć.

Kiedy tak rozmawiają, a Janko podsyca hoinie łuczywo, aby chatę oświecić, zza warsztatu tkackiego podniosła się i zabielała postać dziwna, jakby z ciemnego nagle wyrosła kąta. Była to stara babka Kulina; rozniecony ogień padał na nią z boku i oświecał fantastyczny potwór, który gdzieindziej byłby każdego przeraził.

Wysoka, wychudła, w pół zgięta, z suchą, żółtą piersią, której kości policzyć było można; nakryta płachtą brudną, powstała, wyciągnęła szyję pomarszczoną i rękę chudą, czarną, suchą. Koszula siwa, gruba, spódnica także i fartuch służący za pokrycie, całe jej stanowiły ubranie. Na głowie rozczochrany siwy włos walał się zdawna grzebieniem nie tknięty, z pod niego żółte skronie, na których skóra do czaszki przyległa pomarszczona, sfałdowane występowały. Oczy głęboko wbite, zagasłe, ledwie się ostatkiem życia świeciły jeszcze trochę, nos opadł na wargę dolną, a szczęka spodnia wzniosła się do góry. W tej chwili otwarte miała z podziwienia usta i z czarnego ich otworu sterczał jeden ząb niedojedzony.

Zbudzona ze snu, Kulina wstała i wpatrywała się ciekawie w niezwykłą scenę. Domyślała się, że to Ostap był przed nią, ale mary snów nocnych jeszcze się w jej głowie nie rozeszły, wątpiła, widzi-li lub marzy.

— O tej porze, w nocy, co ty robisz?

Fed'ko trącił ręką brata i wskazał mu staruszkę.

Ostap pośpieszył ku niej.

— A! to ty! to ty! — zakrzyczała płacząc — myślałam, że cię już czy moje nie zobaczę, kochane dziecko. Bóg z tobą! powróciłeś! ale stryja nie zastałeś! Umarł!

I poczęła łązy ocierać schudzoną ręką.

— Jakże się masz? Jak się masz? Lepiej-że tobie na świecie niż nam, moje dziecko! niechaj się choć tym serce poraduje, dusza pocieszy!

Ostap nic nie odpowiedział.

— Milczysz? — rzekła. — I tobie nie lepiej! tak się Bogu podobają, niech tak będzie. Ot, Bóg dał Fed'kowi żonkę, a mnie prawnuka! A ty nie żenił się gdzie czasem za morzem?

— Ja! nigdy! nigdy! — przerwał Ostap — na co mi się żenić! Samemu ciężko na świecie, a we dwoje jeszcze ciężęj.

— Lżej — rzekła stara — wierz mi.

Zoja wpadła do chaty z świeżą wodą kryniczną.

— Będzie wieczernica! — zawołała — cała wieś się wali do nas. Szłam po wodę, spotkałam się z Wasylem, chciał mnie zatrzymać,

powiedziała mu, że nie mam czasu, bo śpieszę do gościa; jak się dowiedział, kto u nas, tak pędem pobiegł do swoich. Ze wszystkich stron się schodzą.

— Nie trzeba było mówić — rzekł Ostap — kto wie, co pan o tém pomyśli.

— Prawda, prawda — przerwał Fed'ko — możemy się i później zobaczyć, a tak na razie, pójdę im powiem.

Jakoż pośpieszył na podwórek, gdzie się już szmer nadchodzących słyszeć dawał.

Tymczasem Kulina narzuciła na siebie wyszarganą siermięgę, bo innych starzy nie noszą, i przyszła sięść na ławie, aby rozpytać lepiej Ostapa.

Postawiono chleb, sól i wodę przed gościem. Wziął w usta dawno niekosztowanego chleba i sparł się smutny na stole. Janko pobiegł już był za wódką do karczmy; żadne przyjęcie bez niej obejść się nie może, a choć Ostap oświadczył, że jęj nie pije, przynajmniej postawić ją na stole należało.

Jeden tylko stary Roman Kroba wszedł uprosiwszy się u Fed'ka do chaty, inni choć nękami ciekawością, dali się nakłonić do rozejścia, stanęli opodal i gwarzyli w ulicy. Roman był najpoważniejszym, najstarszym we wsi gospodarzem. Wysoki, silnej budowy, ogorzały na czarno prawie, z wygoloną po staremu głową, na której wierzchu trochę siwych włosów zostało, z zapuszczoną srebrzystą brodą, w siwej sukmanie, opierając się na kiju, wszedł z pokłonem do chaty i ciekawie zbliżył się do Ostapa.

— Ktoby to powiedział! — zawołał po chwili — że to biedne dziecko na takiego panicza wyjdzie! Pamiętam, jak u nas byli Francuzi, sierota chleba prosił — ot szczęście!

— Szczęściem to nazywasz, Romanie? — rzekł Ostap. — Oj, stary! ja wam zazdroszczę.

— Tak to gadać wolno — odpowiedział starzec kiwając głową — ale prawda — prawdą. Przynajmniej macie czas Panu Bogu się pomodlić, podumać, odpocząć, a choćby popłakać. Człowiek i na to czasu nie ma. Mnie siedemdziesiąt kilka lat, a za pługiem jeszcze chodzę.

— Praca, mój stary, nie jest nieszczęściem.

— A cóż? — spytał naiwnie Roman.

— Niespokój w duszy.

— A jak ma być spokój, kiedy człek pracuje, i rok cały przepociwszy się na zimę i wiosnę, ledwie kawałek ma chleba?

— Wam na to nie narzekać — odezwała się Kulina — bo wy macie dwuletnie żyto.

— Ja, ale drudzy nie mają, wszystko to jedno. Dziś u mnie

jest, jutro nie stanie. I mnie zniszczą, jak tamtych poniszczyli, co z samopłujących na ogrodników przechodzili.

— Cyt! — rzekła stara — a nu kto podsłucha?

— Ja to im w oczy powiem.

Kilka tak razy rozmowa, różnie poczynana, zawsze się na uzależnieniach kończyła; ilekroć zejda się wieśniacy nasi, muszą wypowiedzieć, co im na sercu ciąży. I nie dziw, skarga wzdyma na chwilę żal i podnosi, ale potem lżej po niej.

Poczęły się częstowania wkoło, kieliszek chodzić zaczął i utyskiwania z nim razem. Każdy opowiadał swoje dzieje, swoje utrapienia; przytomni często sami stękając, z cudzych przygód się śmieli.

Jest litość w ich sercach, ale nie znajdziesz jej często na ustach; stąd najfałszywsze wypływają sądy. Łatwiej się jej czynem objawić, niż wysłowić.

Obraz, jaki w tej chwili wewnątrz chaty przedstawiało, wart był pędzla malarza, tak oryginalny i malowniczy. Wpółśród ogorzonych wieśniaków, biała, piękna twarz Ostapa jaśniała smutkiem i powagą obleczona, obok niej siwobrody Roman, zgrzybiała Kulina, rumiana i uśmiechająca się Zoja, smętna Fed'kowa, ponury mąż jej, szyderski Janko — grupowali się w jedną całość, na tle ciemnym, głębokim chaty, żywymi blaski oświeceni. Zoja nie spuszczała z oka Ostapa; wesołe dziewczę pamiętało chłopięciem i kochało dziecięcą będąc jeszcze. Teraz odzywały się uczucia na widok dorodnego mężczyzny; ale bojaźliwie rachując, jak daleko było od niego do niej. Sto razy niebieskie oko kierowało się ku niemu i zwracało ku ziemi, poprawiała włosy, spoglądała po sobie, szukała, czy na nią nie spojrzy. On nie patrzył. Cały zajęty starą i braćmi, nie uważał prawie siostry.

Czas upływał szybko i Ostap nareszcie zabrał się do wyjścia.

— Przeprowadzę cię, — rzekł Fed'ko — wszak we dworze stoisz?

— We dworze, ale mi czas wracać, chodźmyż.

Wszystkich oczy przeprowadziły znowu wychodzącego. Sami z bratem powoli szli ulicą.

— Teraz kiedyśmy sami — rzekł Fed'ko z cicha — możesz mi powiedzieć i ja spytać mogę, co z sobą myślisz, bracie?

— Alboż wiem? — rzekł Ostap — alboż o sobie myśleć i sobą rządzić mogę? Zrobię, co mi każą.

— To ciebie nie uwolnili?

— Nie, i nie spodziewam się tego. Graf mnie nigdy nie lubił.

— Cała nadzieja w panience, to dobre serce, i gdyby mogła...

— Ależ może-ż cokolwiek?

— W małych rzeczach, Bóg z nami; jakoś-to będzie.

Ostap miał zawracać się już do dworu, ale serce wiodło go gdzieindziej. Od pierwszego kroku za wrota, ciągnął się ku cmentarzowi, mogiła matki i ojca wlokła go ku sobie. Ale żądanie to, wśród nocy, tak się musiało dziwném wydać Fed'kowi, że o niém nie śmiał wspomnieć. Aż przemógłszy się, rzekł:

— Fed'ku, byłem u żywych, trzeba pójść pokłonić się umarłym.

— Gdzie? — spytał drugi zdumiony.

— Na mogiłę.

— Po nocy?

— Tém lepij, nikt nas nie zobaczy, a chce mi się uklęknąć i pomodlić za ojca i matkę. Pójdiesz ze mną?

Chwilkę namyślał się wieśniak.

— A duchy?

— Nic nam złego nie zrobią, idziemy z modlitwą.

— Chodźmy. A gdybyś był sam, poszedłbyś? — spytał Fed'ko.

— Poszedłbym.

— Już i ja się nie boję niczego w dzień, ale w nocy! Na cmentarz! Pierwszy to raz tam będę.

Zawrócili się więc uliczką w dół, po-za stodołami idąc ku wzgórz, na którym widać było kilka krzyżów i bramkę na wale otaczającym ostatnie pomieszkanie zmarłych.

Szli w milczeniu; Ostap dumał.

Otworem zastali drzwiczki, a mogiły chwastami zarosłe, wysoką trawą i tarnem.

Na prawo pod kamiennym krzyżem była mogiła Bondarczuków.

Fed'ko wszedł żegnając się i nie bez strachu; przybyły ukląkł i modlił się długo.

Gdy powstał, trzecia ciemna postać ukazała się nagle w drzwiczkach cmentarza. Fed'ko przeraźliwie krzyknął i odskoczył, wołając:

— Duch! duch!

— To ja! — odpowiedział głośno Alfred — chodźmy!

— To ty? tutaj?

— Ja, czas wracać, pożegnaj towarzysza, ruszajmy; od godziny cię szukam, byłem niespokojny; szczęściem postrzegłem dwa cienie ku cmentarzowi się wlokące, domyśliłem się, że to ty.

To mówiąc, wziął Ostapa pod rękę i rzucając Fed'ka, który miał słomiany kapelusz w rękach, nie rozumiejąc, co to znaczyć miało, pociągnął go za sobą.

— Musimy się rozmówić — rzekł Alfred uszedłszy kilka kroków. — Widzę ze wszystkiego, że ty z moim kochanym stryjem

porozumić się nie potrafisz. On w tobie widzi poddanego, chłopą, słowem istotę — nie mówmy o tém.

— Istotę, co nie warta zbliżyć się do niego.

— Pozostać tu nie możesz.

— Nie mógłbym, gdybym nie musiał.

— Właśnie o tém „musie“ mówić mamy.

— Złamać go niepodobna.

— Ja myślę przeciwnie. Hrabia cię uwolni.

— Nie zechce.

— Ja, pozwól i nie obrażaj się, ja z nim o to traktować będę.

— Słuchaj, Alfredzie — rzekł głosem pełnym wzruszenia Eustachy. — Winienem mu moje wychowanie, mam się czém wyplącić, wyplączę się pracą. Mógłbyś wprawdzie złożyć za mnie i zapewne myślisz o tém, ale ja na to nie pozwolę. Dość ludzi kosztowałem, czas samemu myśleć o sobie. Ciężki może, upokarzający los mnie czeka, ale go zniosę mężnie. Czuję w sobie siły. Jeszcze słowo: mam obowiązki, rodzinę, ludzi biednych, braci wieśniaków, których opuszczając samolubnie, byłbym winien na sumieniu. Zostając tu, będę im użytecznym — zostanę. Jakkolwiek wielki nas dzieli od siebie przedział, ja ich kocham.

Alfred w milczeniu uściskał rękę przyjaciela.

— Posłuchaj mnie — rzekł — ślicznie mówisz, ale to są marzenia. Zostając tu, cóż ty potrafisz jeden, bezsilny przeciw wszystkim? Kochasz ich, a patrzeć będziesz zmuszony na męki braci, nie mogąc na to zaradzić. Co się tyczy kosztów położonych na ciebie, dopiero w tej chwili wyznać ci muszę, że większa ich część z innego, niż myślisz, źródła. Jesteś więc wolny. Zaklinam cię, pozwól mi mówić z hrabią. Z dzisiejszego przyjęcia widzę, jak mu ciężysz, zgodzi się na to łatwo. Później stałbyś mu się potrzebnym i byłbyś więźniem na wieki.

Ostap myślał.

— Zostanę tu — rzekł — nie mów, Alfredzie, że się na nic biednym braciom nie przydam; słowo pociechy, grosz posiłku, są wielką dla nich rzeczą.

— Ani słowa twego, ani grosza panem nie będziesz — przewał pierwszy — zostając tutaj; oswobodzony lepiej im użytecznym być potrafisz. Zresztą może być, że się ułożę z hrabią o uwolnienie całej twojej rodziny.

— Familii! — zawołał Ostap — cała wieś mi rodziną, wszyscy ci biedni bracia, jedna w nas krew płynie, Alfredzie, a krwi siła potężna. Czuję to w tej chwili. Chybabyś uwolnił wieś całą i pozwolił mi zabrać kości rodziców, inaczej — inaczej stąd pójść nie potrafię.

- Zimniej bierz rzeczy, Eustachy.
- O! gdybymże potrafił?
- W tej chwili może nie, ale namyśliwszy się...
- Myślałem o tém nieraz.

Alfred zamilkł.

Weszli w topolową ulicę, wiodącą do dworu z boku, i milcząc przebyli dziedziniec. W pokojach Alfreda zastali nieznanomego jegomości z ogromnemi w półksiężycze czarnemi bokobrodami, wytrzeszczonemi oczyma, wąsem zawieszistym, w surducie na wszystkie guziki zapiętym.

Alfred ze zwykłą sobie grzecznością przystąpił do niego, jakby pytał, co tu robi?

- JW. graf pozwoli, mam dyspozycyę JWP.
- Dla mnie? — spytał Alfred śmiejąc się.
- A! uchowaj Boże, JP.! Do Ostapa Bondarczuka — rzekł z przyciskiem głos podnosząc.

Alfred zczzerwieniał.

— Nim WP., co masz mówić, powiesz — rzekł szybko — pozwól sobie oznajmić, że pan Eustachy jest moim przyjacielem i że choć go macie w skazkach, możnaby go grzeczniej nazwać.

— Z przeproszeniem JP. — odparł rządcą żywo — nie zwykłem do chłopów mówić inaczej.

Ostap widząc, na co się zanosi, gdyż Alfred za jedno jeszcze słowo byłby wyrzucił za drzwi gburą, postąpił naprzód i rzekł spokojnie:

- Co mi pan rozkaże?

Rządcą dumnie zmierzwszy go wzrokiem, rzekł:

— Jasny graf chce, abyś wyjechał jutro rano do wsi Białej Góry i zajął się szpitalem; żyd arendarz ma polecenie go zawieźć, kwatera wyznaczona w bliskiej chacie, gdzie i charczować będą. Dozór lazaretu pod jego odpowiedzialnością, gdyż dotąd był Moszko cyrulik, ale ten pójdzie precz. Furmanka przyjdzie jak świt. Bez zawołania i pozwolenia, JW. graf nie pozwala mu się oddalać ani krokiem.

- Dobrze, zrobię, jak mi każą. To cała dyspozycya?

— JW. graf kazał dodać, że ze swej łaski daje mu rocznej pensyi sto złotych i odzienie.

Ostap nic nie odpowiedział; aby pojąć, jak to mu bolesnym być musiało, dodajmy, że słudzy Alfreda byli przytomni.

— Proszę jednak pomimo dyspozycyi — przerwał Alfred — wstrzymać się z wyprawą, bo ja o tém jeszcze z grafem mówić będę.

— Ja spełnić muszę — odrzekł wychodząc rządcą — czekać mi na to nie kazano.

Alfred, w którym krew wrzeć poczyniała, zerwał się i poleciał do pałacu.

W pokoju hrabiego paliła się jeszcze lampa i słudzy powiedzieli, że nie śpi; jak piorun wpadł tam jego brataniec.

Hrabia chodził z rękami w tył założonemi zamyślony.

— A! ty tu! o tój porze?

Zdawał się zmieszany.

— Przyszedłem! — zawołał hamując się Alfred — bo do jutra czekać nie mogłem z prośbą, którą mam do stryja.

— Cóż to jest? coś tak pilnego?

— W istocie, spaćbym nie mógł z myślą, że jutro mi przyjaciela odbiorą. Kazałeś wyjeżdżać Ostapowi.

— Kazałem.

— Do Białej Góry, do szpitala?

— Najstosowniejsze miejsce, zdaje mi się.

— Kochany stryju — rzekł Alfred — o jedną cię łaskę proszę; nigdy może w życiu nie zażądam drugiej.

Jasna myśl jakaś przebiegła po głowie stryja; uśmiechnął się.

— Czegoż chcesz, powiedz mi, abym go uwolnił?

— Właśnie; ale nie żebyś go uwolnił. Wracam za niego kosztą, jakie poniosłeś.

— Panie Alfredzie!

— Kochany stryju, to sprawiedliwa!

— Kochany brataneczko, a gdybym przyjąć nie chciał?

— Daję ci w zamian z moich ludzi.

— A! zapewne! Ciekawym, kto tak utalentowanego zastąpić potrafi człowieka? — rzekł stryj szydersko.

— Pieniądz — krótko odparł Alfred.

— To potrzebuje namyślenia i czasu — marszcząc się rzekł hrabia — a może całkiem go nie ustąpię.

— Stryju! nie wiesz, jak mnie srodze męczysz.

— Ciebie?

— To mój przyjaciel.

— Pozwól się przestrzedz, że szczególniejsze dobierasz sobie przyjaźni.

— Patrzę na serce.

— Ale zdaje mi się, nie dość jest na nie patrzeć, winienes coś imieniowi, które oba nosimy; jako opiekun...

— Stryju kochany, jestem pełnoletni.

— Dziękuję za przypomnienie; jesteś zupełnie wolny. Rób

więc, jak ci się podoba, i pozwól mi powiedzieć sobie, że m pełnoletni także od dawna.

— Nie dasz się więc uprosić?

— Zostawiam do namyślenia.

— Ale takie postępowanie z takim człowiekiem...

— Jestem sędzią moich postępów — sucho odparł hrabia.

Zamilkli.

Alfred wziął za kapelusz.

— Życzę dobrej nocy i żegnam — rzekł.

— Jakto, żegnam?

— Wyjeżdżam jutro rano.

— Cóż to jest?

— Po prostu wyjazd, kochany stryju.

Hrabia udał, że się trochę pogniewał, ale nic nie rzekł, wyciągnął rękę i ukłonił się.

Alfred wyszedł.

Stryj spojrział na drzwi i pocierając ręce, rzekł do siebie:

— Wybornie; dwóch razem się pozbędę; Misia zostanie księżną.

I ukłonił się ku drzwiom szydersko i zatarł ręce śmiejąc się jakimś śmiechem suchym i nielitościwym.

VI.

Alfred wychodził gniewny, pomieszany, niespokojny z pokoju stryja i wracał szybko do swego mieszkania, gdy w korytarzu spotkał idącą naprzeciw siebie Misie.

Z twarzy poznać było można silne wzruszenie i oburzenie jej.

— Słyszałam wszystko — ozwała się do Alfreda prędko.

— Słyszałaś?

— Wróc ze mną.

— Dokąd?

— Pójdziemy do niego raz jeszcze; spodziewam się go przekonać.

— Bardzo ci dziękuję w imieniu mojem i jego — odparł Alfred — ale to mi się zdaje na próżno. Gdyby o życie chodziło, nie zwykłem prosić dwa razy.

— Nadtoś dumny, kochany kuzynku; gdyby o własne życie chodziło, nie mówię, ale gdy chodzi o kogoś innego, o cudzą sprawę? Pozwoliłbyś się znęcać nad nim, nie chcąc spróbować nawet?

— Słyszałaś, próbowałem — rzekł Alfred.

— Pozwól mi przyjść w pomoc; zdaje mi się, że użytecznym będę sprzymierzeńcem.

— Probuj, Misiu, ale uwolnij mnie od kroku.

— Będę śmielszą, jeżeli pójdziesz ze mną, proszę cię, chodź.

Alfred zastanowił się chwilę, pomyślał i zawrócił.

— Służę ci.

— Dziękuję; chodźmy.

Z powagą spokojną otworzyła Misia drzwi pokoju ojca, który jeszcze chodził żywo mówiąc sam do siebie. Widząc ją wchodzącą z Alfredem, zastanowił się, ruszył ramionami, namarszczył.

— Spotkałam Alfreda, który mnie żegnał; chce jechać jutro rano, papo. Co to ma znaczyć? — spytała Misia.

— Nie wiem — odrzekł hrabia pomieszany — nie rozumiem zupełnie.

— Papo drogi, to nie jest naturalne, wytłomacz mi, proszę. Rachowałam wiele na przybycie *tych panów*; a oni uciekają ledwie się pokazawszy. Proszę cię, wytłomacz mi to.

— Nie mogę przytrzymać Alfreda; powiedział mi, że jest pełnoletni.

— Ale o cóż tu poszło? — przerwała Misia niecierpliwie — widzę, że czegoś nie wiem. Jakieś nieporozumienie?

— A! — dorzucił hrabia tupiąc nogą — nie udawaj, wiesz dobrze. Chodzi tu o chłopca, którego chcecie wszyscy na panicza wystrychnąć, żeby nam kiedyś jak Gonta Potockim się wywdzięczył — dodał złośliwie się śmiejąc. — Ale z tego nic nie będzie.

— Prosiłem i najmocniej proszę stryja, aby mi chłopca tego, jak go nazywa, którego ja moim przyjacielem głoszę, odstąpił. Płacę za niego.

— Nie szafuj tak — rzekł hrabia — nie masz czém.

— Zdaje mi się, że na to wystarczy?

— Na to? zapewne, ale jeśli donkiszotować zechcesz, nie długo to potrwa.

— Przygotowany jestem na to.

— Bardzo szczęśliwie! Winszuję.

— Papo kochany — spytała Misia — co myślisz z Ostapem? Mama poleciła go mi umierając, jestem jego protektorką. Mnie to więc najbardziej obchodzi. Chcę wiedzieć, co z nim robisz?

— Ja ci powiem — rzekł Alfred. — Rządca przysłany dyspozycję mu przyniósł, aby jutro rano odjeżdżał na żydowskięj furmance do Białej Góry, gdzie ma Moszka cyrulika zastąpić, z pensją sto złotych i mieszkanie w chacie chłopskięj.

— Skąd wyszedł, wraca — dodał hrabia.

— Ciekawabym — zawołała Misia — czy on winien, że wyszedł ze swego stanu? Myśmy temu winni, mamy więc obowiązek.

— Wrócić go we właściwą sferę — rzekł ojciec. — Proszę cię,

droga Misiu, nie mieszaj się do moich rozporządzeń i nie ucz mnie, co mam czynić.

— To ostatnie słowo twoje, papo? — spytała śmiało Michalina.

— Zdaje mi się, że na ten raz ostatnie.

— Ja z Eustachym jadę do Białej Góry — poparł Alfred — uczyłem się także medycyny, będziemy oba przy lazarecie.

— Waćpan uczyłeś się medycyny! — zakrzyczał głosem zmienionym hrabia — waćpan uczyłeś się medycyny! Ty! to być nie może! — powtarzał coraz bardziej bledniejąc i mieniąc się — medycyny! Ty, hrabio! którego przodkowie...

— Uczyli się zadawać rany, ja leczyć — rzekł zimno Alfred.

— Alfredzie! to być nie może! — rzekł stryj przyskakując bliżej.

— Tak jest, stryju, uczyłem się i więcej czegoś — jestem jeszcze rymarzem.

Hrabia najzupełniej osłupiał.

Misia pomimo niespokojności, jaką ją nabawiała ta scena, na widok przestrachu ojca, śmiechu ukryć nie potrafiła.

Zmienione rysy twarzy, przeciągniona twarz hrabiego świadczyły, jak boleśnie dotknęło go wyznanie Alfreda.

— Na imię nam wspólne zaklinam cię! — zawołał — na wszystko wielkie, szlachetne i święte zaklinam cię, nie mów tego, nie powtarzaj nikomu. To szaleństwo!

Alfred milczał; dziwna myśl mu nadbiegła nagle.

— Jeśli hrabia uwolnisz Ostapa, milczę — rzekł.

Stryj rzucił się w krzesło, otarł pot z czoła, milczał.

— Nie tajno ci — odezwał się po chwili — że umierającemu bratu dałem słowo opiekować się tobą, strzedz ciebie i starać się ostatniego po mieczu z naszego rodu wywieść do dawnej świetności i znaczenia naszej familii. Nie taję także... miałem myśl... sądziłem... że może... że jeśli... — począł się jękać.

Michalina przerwała:

— Żeś mnie Alfredowi przeznaczał...

— Nie przeznaczałem, ale myślałem, spodziewałem się...

— Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności — przerwał Alfred — ale takie szczęście radbym u Michalinki najprzód wyjednać dla siebie. U niej o nią starać się chciałem, nie inaczej.

Misia podziękowała mu wzrokiem.

Hrabia ciągnął dalej.

— Po takim wyznaniu, myśl moja całkowicie upada; związek staje się niepodobieństwem. Nadto daleko rozeszły się nasze sposoby pojmowania przeszłości, ludzi, rzeczy, nadto po swojemu widzisz świat. Nie myślmy więc o tém więcej. Uwalniam twego przyjaciela *cyrulika* i zostawiam ci wolność zajęcia się medycyną

i rymarstwem, ale od tej chwili związku między nami ustają na zawsze.

Alfred zimno się uklonił.

Misia milczała.

Hrabia wysapać się jeszcze nie mógł.

— Godzę się na twoje warunki, stryju, i poddaję im, bylebym miał zupełne, prawne i formalne ustąpienie człowieka tego, jeśli człowieka ustępować i przedawać można! Co się tyczy projektów dawnych, o tych ziszczeniu Misia, zdaje mi się, najlepiej ma sądzić prawo.

— Misia nie ma najmniejszego prawa! — zawołał hrabia.

— Sądźisz, papo, tak?

— Proszę cię, Misiu...

— Oznajmuję papie, że jutro wyjeżdżam do ciotki, tam przynajmniej będę miała prawo widywać kogo mi się podoba. Dobranoc papie i żegnam go.

Nie czekając odpowiedzi, żywo podała Alfredowi rękę, zawróciła się i wyszła.

On uklonił się zdaleka stryjowi i zniknął.

Było już blisko północy; stary pogrążony w dumaniach siedział jeszcze za stołem zamysłony i nie kładł się; co się z nim działo, odmalować nie potrafił. Co chwila wyrwały mu się z ust wyrazy:

— Medyk! rymarz! *c'est distingué! c'est joli ça!* A! rymarz! *parfait!* Ale on chyba kłamie! on kłamie!

Alfred tymczasem wpadł do swego mieszkania pędem i kazał pakować.

— Jesteś wolny—rzekł do Eustachego—jedziemy nie czekając dnia.

— Ja nie mogę jechać.

— Mam słowo stryja, jesteś wolny, musisz jechać ze mną.

— Mówiłem ci, Alfredzie...

— Nic nie słucham; wszystko to, co powiedzieć, co pomyśleć możesz, na później; teraz jedziemy razem do Skały.

— Ale ja — przerwał jeszcze raz Eustachy.

— Na wszystko cię zaklinam, musisz! jedziesz!

Wydane rozkazy z szybkością wykonane zostały, kocz w chwili upakowany, zaprzężony i księżyc jeszcze się nie spuścił ku zachodowi, gdy Alfred, usadziwszy przy sobie prawie gwałtem Enstachego, wyjechał.

Misia z równą niecierpliwością poleciła swoim ludziom gotować się do drogi, postanowiwszy odjechać do ciotki.

Majątki hrabiego, Alfreda i pani Krystyny leżały razem, sąsiadując z sobą. Składały one niegdyś jedną wielką całość, rozbite

na trzy części teraz, zajmowały kawał kraju dość znaczny, największą częścią należąc do hrabiego, w najmniejszej do Alfreda, który miał tylko Skałę z kilkoma folwarkami przyległemi. Ciotka Michaliny, a siostra hrabiego, niegdyś kobieta wielkiej piękności, sławna na Wołyniu z dowcipu, wdzięków i gościnności, owdowiała od lat wielu, sama z córką, wdową także, zamieszkiwała w Surowie.

Musimy tu choć w kilku słowach odmalować ją, gdyż wpływ pani Krystyny na Misie był wielki, i rzec można, ona ją uczyniła, czém była. Zadziwiającej piękności, bogata, spędziwszy część życia we Francyi, część jego w kraju, gdzie przywykła do hołdów, uszanowania, uwielbień, siostra hrabiego nie rozumiała, co to jest stosować się do czyjéjsz woli, być komuś posłuszną. Jéj wyobrażenia o losie, przeznaczeniu i znaczeniu kobiety w towarzystwie były przesadnie *postępowe*, że użyję tego wyrażenia. Naczytawszy się książek XVIII wieku i nowszych, w całym życiu posłuszna tylko własnej woli, pani Krystyna utrzymywała, że kobieta ma prawo do wszystkiego, do czego prawo ma człowiek. Nie rachując ani sił, ani usposobień właściwych kobiecie, mówiła ciągle o zrównaniu jéj w prawach z mężczyzną, o upokarzającej podległości, jaką prawa, pisane przez wąsatą połowę rodzaju ludzkiego, na nią kładły. Takimi zdaniem napoiła córkę naprzód, Michalinę potem, którą łatwo oświadczyła. Zestarzała, nie zmieniła się wcale i pozostała wierna wyrobionemu przekonaniu. Stan jéj wdowi zostawiając panią swéj woli, przyczynił się zapewne do utrzymania w niém.

Dom pani Krystyny zawsze po staremu otwarty dla gości; ona i córka, wdowa także, ale bezdzietna, gospodarowały w nim same. Córka, jednego sposobu myślenia z matką, różniła się przecie od niéj tém, że pierwsza była tylko, co nazywano *esprit fort*, druga zupełną *lwią*. Musimy dodać, że życie obu pań, pomimo ich zasad, nie miało na sobie najmniejszej plamki; a najzjadlejsi nieprzyjaciele napróżno szukali, czémby je oczernić mogli. Hrabia, jak się łatwo domyślić, nie lubił siostry, ale słaby zawsze, nie potrafił zapobiedz wpływowi jéj na córkę, nie miał odwagi zerwać z nią stosunków. Michalina pod przewodnictwem ciotki i pani des Roches, następczonéj i umieszczonéj przez nią, przejęła całkiem sposób myślenia panujący w Surowie.

Surów i Skała sąsiadowały z sobą, jak-éśmy powiedzieli, o małą tylko milkę, a dwie niespełna dzieliły Surów od rezydencyi hrabiego.

Nazajutrz rano Misia i pani des Roches siadały do wiedeńskiego *coupé* i, nim hrabia wstał, były już w Surowie.

Przebudzony, zaledwie miał czas przetrzeć oczy, gdy mu oznaj-

miono, że brygadyer z synem odjechał, że córka wyjechała, że Alfred w nocy z Eustachym do domu powrócił.

— Wiem o tém — rzekł zimno służącemu.

Wstał w najgorszym humorze, gdy rządca pośpieszył oznajmić, że dyspozycya względem Ostapa nie mogła być spełniona z powodu jego wyjazdu. Kazał pójść precz panu rządcy.

— JW. graf każe ścigać?

— Nie mieszaj się waćpan do tego!

Znowu sam pozostał; a wiedzieć potrzeba, że nic go tak nie dręczyło jak samotność. Czytać nie lubił, interesami z obowiązku tylko się zajmował, towarzystwo było mu nieodbitcie potrzebnem; zostawiony sam sobie, z niecierpliwości przechodził w rozdrażnienie, kończące się bezsilnem osłupieniem. Cały dzień próbował najrozmaitszych zajęć, ale napróżno; nic mu nie szło, a co gorsza, nic go prawdziwie zająć nie potrafiło.

Alfred tegoż dnia pojechał do Surowa; namawiał on, ale napróżno Eustachego, aby z nim jechał.

Pierwszém pytaniem Misi, zaledwie postrzegła brata, było:

— A Eustachy?

— Nie chciał jechać.

Pani Krystyna przyjęła Alfreda najczuliej; zarzucono go tysiącem pytań, nie dano mu odetchnąć. Musiał im opowiadać swoje podróże, przygody i opisywać Eustachego, którego byli ciekawi. Jak każda rzecz niezwyčajna, los sieroty zajmował wszystkich. Pani Krystyna w imię swych zasad brała go w protekcyą, Misia zaś tak gorąco, tak żywo mówiła o nim, tak nieustannie naprowadzała rozmowę na ten przedmiot, że w końcu Alfred pierwszy pociął z tego żartować.

Michalina zarumieniła się i zmieszala.

— A! a! — zawołała starsza gospodyni domu pokładając się od śmiechu — a! mój brat! mój brat skonałby, zdrętwiał, rozum postradał, gdyby mu to na myśl przyjść mogło. Wystawcie sobie! *Mais c'est une enormité!*

Obrócono w śmiech przypuszczenie.

Michalina jednak najmniej się z tego śmiała.

Alfred przywykły do badania ludzi, postrzegł łatwo, że olbrzymia hipoteza bliższą była może prawdy, niż się wszystkim zdawało.

W istocie Michalina czuła już ten dziwny, niewytłomaczony pociąg ku jedynej istocie, wyróżniającej się swém położeniem z tłumem, pociąg, co często niedostrzeżonym rodzi się sposobem. Najprzód litość, potem ciekawość, wreszcie może i duch przeciwnieństwa, zbliżyły ją ku pierwszemu człowiekowi, który, jak mówiła: *ne ressemblait pas à tout le monde.*

Nasze cywilizowane towarzystwo, tak jednostajnie gładkie, tak jednakowo nudne, tak umundurowane podobnie cieleśnie i umysłowo, musi nieraz budzić chętkę nowości i spowodować, że jęj dajemy pierwszeństwo.

Misia padała ofiarą znudzenia, jakiego doznawała w najlepszym wprawdzie społeczeństwie, ale nieskończenie jednostajnym.

Są, którym ten stan dogadza i podoba się, ale żywszy umysł przestać na tym nie może. On szukał i gonił za sprzecznościami, za indywidualnościami, częstokroć nie najpiękniejsze nawet, byle wybitne wybierając. Może i wspomnienia dzieciństwa, kiedy małemu chłopięciu kazano bawić panienkę, kiedy byli razem często, długo, przyczyniały się do wzbudzenia uczucia, w którego rozbiór wchodzić nie pora.

Hrabia wytrzymał w osamotnieniu tydzień, spodziewał się córki co chwila; przysyłano tylko po coraz więcej rzeczy, ale Misia ani obiecywała powrotu. Znudzony wreszcie i przywieziony do rozpaczy prawie, puścił się do Surowa z gniewem.

W Surowie nie zastał tego dnia nikogo, wszyscy byli zaproszeni na podwieczorek do Skały. Z początku chciał i on tam jechać, ale rozmyśliwszy się, że zastanie Eustachego, kazał zawrócić do domu.

Eustachy był tam jeszcze; ale był już na wyjeździe. Głęboki smutek, zamiłowanie samotności, unikanie od towarzystwa, w którym się zawsze widział intruzem zawadzającym, rozwiązały się wreszcie gwałtownym przedsięwzięciem. Postanowił wyjechać do Warszawy, skryć się i zniknąć. Kto wie? może nadzieja pozyskania sławy, wzniesienia się kiedyś, pędziła go także, choć się do tego nie przyznawał.

Alfred, którego baczne oko dostrzegło zbytecznego zajęcia Michaliny przybyszem, nie sprzeciwiał się temu, owszem pochwalał myśl wyjazdu.

Misia nie wiedziała o postanowieniu. O ile Eustachy, z uszanowaniem i czcią, unikał jęj przecie, o tyle ona go szukała.

Zmusić go prawie trzeba było, aby się pokazał w Surowie; a podwieczorek w Skale doradziła Michalina.

Pani Krystyna poczynała się zamyślać, widząc to nie tajone, dziwnie popędliwe, miętne prawie zbliżenie się krewnej tak bliskiej do człowieka, który na szczeblu klasyfikacji towarzyskiej stał tak od nięj daleko. I ona mówiła Alfredowi na ucho — niechaj jedzie. Wieczorem był ów podwieczorek w Skale nad brzegiem rzeki, w cieniu starych dębów zastawiony. Ostap musiał się tam znajdować. Michalina wyciągnęła go na rozmowę i nie zwa-

żając na przytomność kilku obcych osób, pozostała z nim na ławce nie puszczając od siebie, ile razy chciał odejść.

Położenie Eustachego było dręczące.

Młody, z całą żywością niepotrzebowanych i nierozwiniętych uczuć, wystawiony na blask oczu, na uroczne uśmiechy i tęskne słowa kobiety, która widocznie mu okazywała, że jej nie był obojętnym; w uczuciu obowiązku, w pojęciu swego położenia, szukać musiał broni przeciw rodzącej się namiętności. Gdy się mieli rozjeżdżać, pożegnał Michalinę, która nic o zamiarze wyjazdu nie wiedziała jeszcze.

— Pozwól pani — rzekł — pożegnać się na długo, może na zawsze.

— Jakto, pan odjeżdżasz? dokąd?

— Muszę, jadę.

— Ale dokądże, bez naszej wiedzy.

— Sam nie wiem, w świat, gdzie oczy poniosą; pozostać tu nie mogę.

— Ja nie widzę przyczyny! — zawołała Misia.

— Alfred sam radzi mi wyjazd, ja widzę jego potrzebę, a jakkolwiek boleśnie rozstać mi się z temi, którym winienem wszystko, których skrzydła anielskie osłaniały mnie dotąd, muszę, i w potrzebie kroku tego czerpię siły do spełnienia go. Przyjm więc pani pożegnanie od tego, który za nią, za ojca jej gotów jest krew swoją przelać, oddać życie.

Michalina spuściła głowę, zamilkła.

— Jedziesz pan — odezwała się po chwilce — nie umiem mu odradzać, choć nie rozumiem nagłych do tego przyczyn; jedź więc, ale nie zapominaj o nas.

— Nigdy! — zawołał z zapalem młodzieńczym Ostap podnosząc ręce. — O! nigdy! A jeżeli w jakimkolwiek razie potrzebnem będzie życie moje, zawołajcie — przybędę i oddam je z rozkoszą.

Dwie łzy zakręciły się w oczach Misi.

Zaczęto się żegnać i wyjeżdżać. Alfred z Eustachym przeprowadzili gości aż pod Surów.

Nazajutrz rano pocztowe konie w prostym wózku uniosły z tułaczami pyłu doktora Eustachego ku Warszawie.

Nie pójdziemy tam za nim; pozostać musimy w Surowie i Skale.

Hrabia coraz bardziej udęczony samotnością, pisał do córki, która mu odpowiedziała, że chce jeszcze pozostać przy ciotce. Dwójako dręczył go pobyt ten w Surowie: raz, że został osamotniony, bo zwyczajni goście, pretendenci do ręki Michaliny, przenieśli się do domu ciotki; powtóre, że bliskość Skali, codzienne odwiedziny Alfreda, niespokojnym go czyniły. Od czasu zaś, jak brataniec

wyznał mu, że się uczył medycyny i rymarstwa, hrabia nie mógł nawet przypuścić, aby jego córka była żoną człowieka, co splamił się rzemiosłem!

Michalina smutna, spoważniała, zadumana od wyjazdu Eustachego, oddała się malarstwu, które była jakiś czas zarzuciła, szukając w niem teraz rozrywki.

Alfred zajął się czynnie gospodarstwem, interesami i z wielką zgrozą hrabiego, począł włościom swoich leczyć, a nawet niektórym krew puszczał! Stryj wzdygał się i przysiągł, że nie tylko zięciem go mieć nie chce, ale go się wyprze jako bratańca. Zrozumiawszy obowiązki pana i obowiązki człowieka, to jest stosunek do siebie i do ludzi, Alfred nie w próżnowaniu i zabawkach, ale w pracy począł nowe życie. Przejazdźki do domu pani Krystyny i kilku sąsiednich stanowiły całą jego rozrywkę; resztę czasu poświęcał czytaniu, rządowi majątku i chorym swoim.

Stryj nie mógł pojąć, jak towarzystwo nie odepchnęło od siebie człowieka, co się skalał lancetem, co przyznawał się do rymarstwa publicznie, pomimo danego przyrzeczenia hrabiemu, gdyż Misia pierwsza wydała tajemnicę, a potem już nie było co ukrywać — jak mogli u niego bywać, żyć z nim ludzie *dobrego rodu*. Przecież, z niewymownem zmartwieniem hrabiego, wszyscy bywali w Skale i Alfreda przyjmowano wszędzie najuprzejmiej.

Pół roku upłynęło bez żadnej zmiany; Michalina zawsze była u ciotki. Hrabia coraz częściej szukał za domem towarzystwa, którego napróżno u siebie wyglądał. Alfred urządziwszy sobie, jak powiadał, życie, nie zmieniał go. Co uspokoiło trochę naszego pana, to że między bratańcem a córką nie dostrzeżono — o co się pilnie dowiadywał — żadnego wzrostu poufałości, ani ściślejszych stosunków.

VII.

Chłodny wiatr jesienny z deszczem kroplistym szaleje po obnazonych, żółtych i czarniejących polach; chwyta dymy z wiejskich polatujące kominów i rozbija w powietrzu. Ostatki liścia sypią się z drzew ponachylanych do ziemi; chmury szare, poszarpane, postrzępione, suną się od północy na południe. Na dworze ciemnieje. Pustką stoi droga przechodząca wieś hrabiego, żywej na niej niema duszy, kilka psów wyje na progach domostw, z których komina nie podnosi się dym, okna wybite i wrota obalone.

W końcu wsi, dwóch ludzi zajęci robotą, mimo spóźnionej pory.

Na rozmokłej od deszczu ziemi, leży z cienkiego dębczaka wyro-

biony krzyż niski, zaledwie z gruba wyciosany. Obok wykopana jama i odrzucona ziemia.

— Chmurzy się i ciemni — szepnął Fed'ko wzdychając — nie damy dzisiaj rady, odłożmy do jutra.

— Oj! nie, bracie, kiedy robić to dziś, kiedy to Panu Bogu miło, stawmyż co prędzej, niechaj nas poratuje!

Fed'ko spojrział w niebo i westchnął.

— Czas bo dobrze, żeby nas Bóg poratował!

— A dobrodziej mówi, że we wszystkich wsiach, gdzie krzyże postawili, pomogło!

— No, znieśmy!

I pochwytili przygotowane drzewo, zapuszczając je powoli w jamę.

— Niech-że będzie Bogu na chwałę, a nam na ratunek!

To mówiąc poczęli obsypywać krzyż i ubijać ziemię.

— Wiele dusz dziś umarło? — spytał Janko.

— Nie wiem, wczoraj dziesięciu wynieśli na mogiłki, dziś powiadają więcej!

— Codzień więcej.

— I we dworze już poczęli mrzeć.

— Nasz pan miał wyjeżdżać do miasta. Jakby w mieście skryć się było można przed mocą bożą!

— Wyjechał-że?

— Podobno nie jeszcze. Ale ludziom zakazano chodzić na wieś, a nawet do oficyn, gdzie żona komisarzka umarła.

Skończywszy obsypywać krzyż i pomodliwszy się, poszli powoli wsią ku chacie. Fed'ko zadumany, Janko we łzach.

— Niema po co do chaty — rzekł zbliżając się. — Stara — na mogiłach, twoja z dzieckiem także, Zoja lada godzina pójdzie za nimi a i nas toż samo czeka. Darmośmy zaorali i zasiali, kto inny zbierać będzie.

Minęli jedną i drugą chatę całkiem pustą i weszli na swoje podwórko. Oba rzucili oczyma smutnemi dokoła — nikogo. W chacie cisza i jęk tylko tłumiony dobywał się z świetlicy.

— Jeszcze żyje! — rzekł Janko.

— Wody! wody! — dał się słyszeć głos z izby.

— Chodźmy! — żywo zawołał Fed'ko — lżej będzie umierać przy nas, nie samój, opuszczonej.

To mówiąc weszli na próg. W pośrodku na wilgotnym toku, i cienkim sienniku leżała skurczona, okryta dziurawą siermiężką Zoja. Trudno było ją poznać, tak straszliwie twarz rumianą i życia pełną wykrzywiła, spoczwarzyła słabość. Zgasłe oczy świeciły jeszcze w sinych i opadłych policzkach; ściśnięte konwulsyjnie ręce trzymały siermiężkę pod szyją, usta

otwarte zdawały się szukać powietrza, wzrok obłąkany chodził kołem po izbie. Niekiedy zeicha odzywała się:

— Wody! wody! zimno! — To znów: — Pali mnie! — I znów: — Zimno! Matuniu, okryj! A! zanieście mnie gdzie w ciepło! Niema nikogo... wszyscy umarli... Jezu Chrystusie, zmiłuj się nade mną!

Bracia stanęli i popatrzali na nią, płacząc.

— Gdyby jęj co ciepłego! — rzekł Janko. — Mówią ludzie, że to pomaga.

— A skąd ognia?

— Będę miał siłę rozkrzesać i rozpalić!

— Ale z czego? DREW NIEMA.

— Prawda, ale płoty są.

I wyszedł, a wkrótce zatrzeszczał częstokół przed chatą i Janko powrócił z oberemkiem na ramionach. Wniosłszy je jednak, usiadł, zrobiło mu się słabo, oczy zaszyły mgłą, zatrząsł się.

— Wiész, Fed'ko — rzekł — mnie coś źle.

— I tobie?

— O! zimno! — odparł Iwan — we środku zimno. Jakby wiatr chodził po mnie, i palce pokostniały. Ale taki ognia rozpale, bo Zoi trzeba czegoś ciepłego. Ona dawno słaba; może pozdrowieje. — Zwlókł się więc i na siłę dobył ognia, począł go rozdmuchiwać, ale przemokły od deszczu kawał płota nie zapalał się. Trzeba było porąbać ławę suchą, aż od niej dopiero ogień się zajął i buchnął żółtym płomieniem. Chora zwróciła oczy na ognisko i nie spuściła ich z niego. Janko nastawił garnek wody, a Fed'ko usiadł naprzeciw siostry, sparłszy się na rękę, i płakał.

Kilka głosów dało się słyszeć w ulicy; spojrzeli wąskiemi okienkiem. Para wołów ciągnęła wóz, na nim kołysały się trzy razem postawione, z lichych desek zbite trumny; stary dziad poganiał, dziecię nagie do połowy, bose, płaczące, czepiało się kół i boleśnie łkało.

— To już reszta z tamtej chaty! — zawołał Fed'ko.

— Troje!

— Troje! Tylko Roman jeszcze żyw i woły pogania, a wnuczę bieży za nim.

Gdy to mówi Fed'ko, zastanowił się wóz nagle i krzyk dał się słyszeć przerażający, a zaraz po nim płacz bolesny dziecka.

— A to co? — spytał Janko, który od ognia nie odstępował.

— Co? stary Roman w ulicy padł i leży, dziecko nad nim, a woły z trumnami stanęły. Porzucim-że tak starego Romana?

— A cóż zrobim z nim?

— Jest u nas miejsca aż nadto — rzekł Fed'ko — znieśmy go tu. Ja odwiozę umarłych i pochowam.

Nic nie odpowiedział Janko, tylko, wstrząsając się od zimna, wstał i zbliżył się do drzwi.

Wtém Zoja poczęła wołać :

— Nie porzucajcie mnie, nie opuszczajcie !

— Zaraz powrócim — rzekł Fed'ko.

Wyszli na ulicę : przed samemi wrotami chaty stary, siwobrody Roman leżał rozciągnięty na ziemi, siny i ledwie żyw ; na jego pierś ostygłej wnuczę ostatnie, objawszy szyję rękami, wołając rzewnie dziada i płacząc, leżało. Dwa czarne woły, ze spuszczonei głowy, rozparte, stały nad nim. Kudłaty pies schudzony wył pod wozem.

Sami, osłabieni chorobą, pracą i niedostatkiem, Fed'ko z Iwanem ledwo udźwignąć potrafili starca i, spoczywając, wnieśli go przecie do świetlicy, położyli na pustém łóżku, okryli.

Fed'ko wziął rydla i rzekł :

— Pilnuj-że chorych, a ja pójdę grzebać umarłych.

Dziecię siadło przy łóżku bezprzytomnego starca i rozpadało się z płaczu. Janko grzał się przed ogniem i wodę gotował.

— Wody! wody! — wołała Zoja.

— Wody! kozucha! — stękał starzec.

— Matko! ojczu! — płakało dziecko.

Wicher wył na podwórzu i deszcz, przebijający zgniły dach, ściekał po ścianach chaty. Obraz-to był straszliwy.

Łedwie sam trzymając się na nogach, Janko napił naprzód siostre, potem starego, pookrywał, dał dziecku ostatek chleba, bo więcéj go upiec komu nie było, rozniecił większy ogień i, skuliwszy się w kącie, chorobliwie drzemać począł. Siły go powoli opuszczały, uchodziły, sen napadał i dreszcz.

Dzwon cerkiewny dawał się powoli słyszeć wśród wiatru, chwilami dźwięczał, to znów ustawał, głosy przerywane przestraczu, boleści dochodziły uszu ; wicher się wzmagał. Janko kilka razy otworzył oczy i zamknął je znowu ; czuł, że nowe jakies grozi niebezpieczeństwo ; ale powstać, ratować się nie było siły. Opadał na przyzbę, tulił się, drżał, kurczył.

Na dworze ciemniało coraz, chmury naciągały czarne, wiatr się rwał do strzech, które obnażał, do drzew łamiących się, powyginanych, rozdartych. W drugim końcu wsi świeciła łuna pożaru i rozszerzała się coraz bardziej. Z dachu na dach przelatywało płomień wzmagające się, wiatr poddymał ; nikogo przy ogniu.

Ze dworu nikt wybiedz nie śmiał na wieś, na wsi nie było komu ratować ; puste już chaty po choleryze żarł rozniecony pożar. Kilka tylko cieniów czarnych ruszało się koło ognia : byli-to chorzy, co się

grzać biegli, przejęci dreszczami, poprzedzającemi zwykle rozwinięciem słabości. Dzwon, poruszony bezsilną ręką, słabo się odzywał.

Wtém zadzwoniło na trakcie; — bryczka, zaprzężona trzema końmi, wstrzymała się naprzeciw pożaru. Silny głos podróżnego zabrzmiał nad uszami nieprzytomnych ludzi, co się przy płonących węglach rozgrzewali. Słusznego wzrostu, silnej budowy mężczyzna począł drapać się na dach najbliższy, jeszcze niespalony, i snopki, pokrywające go, odrzucać. Za jego przykładem poszedł woźnica i kilku ludzi nadbiegłych. Dym czarny i gęsty ustawał, deszcz ulewny pomógł do ugaszenia ognia, który się ograniczył tęp, co już zniszczone było.

Rzucając na dachu ludzi, przybyły Ostap pędem pobiegł ku chatcie, gdzie Janko, Zoja i Roman stękali nieprzytomni i pomocy bożej, nie rachując już na ludzką, wzywali.

Wbiegł, spojrział, załamał ręce; a dostrzegłszy przy ogniu dogasającym uspiętego Janka, wstrząsnął nim.

— Gdzie brat? gdzie żona? gdzie Kulina? — zawołał.

Janko wytrzeszczył oczy, otworzył usta, ale odpowiedzieć nie mógł. Nanieciwszy ognia większego, zrzucił płaszcz i z westchnieniem począł Ostap zajmować się choremi. Wszystko potrzeba było robić samemu: podnosić ich, opatrywać, okrywać i poić. Przygotowane lekarstwo, które miał przy sobie, spłynęło z kolei w usta Zoi, Romana i Janka. Zrobiwszy, co mógł, siadł, podparł się i znużony, pozostał jak przykuty do miejsca, niekiedy jękiem, westchnieniem chorych budzony tylko z odrętwienia.

— To nie wszystko — rzekł w duchu.

Powstał i zabierał się do wyjścia. Wtém wszedł Fed'ko z rydłem w rękę. Bracia uściskali się w milczeniu.

— Babka? — spytał Ostap.

— Umarła.

— Żona twoja?

— Umarła.

— Dziecię twoje?

— Umarło.

— Co się dzieje we dworze?

— Wracając ze cmentarza, spotkałem ludzi dworskich, jadących po doktora. Pan zachorował.

— W sam czas przybyłem! — zawołał Ostap. — Nie mam chwili do stracenia.

I ruszył się ku drzwiom śpiesznie.

— Dokąd, bracie?

— Do dworu.

— A ty tam pogo?

— Ratować go.

— Kogo? — spytał gorzko Fed'ka — pana? pana, co nas ciemiężył? co nam dał wyrzucić w pół z głodu, w pół z choroby? Jego?

— Jego — rzekł Ostap. — Bóg każe dobrém za złe płacić; czynimy, jak każe. Nie do nas należy go sądzić.

Wielkimi, zdumionemi oczyma spojrział Fed'ko na brata, wzruszył ramionami i siadł na ławie.

Ostap wyszedł i szybkim krokiem pobiegł do pałacu. Dziedziniec był dziwnie pusty; nikogo w przedpokoju. Stary kamerdyner siedział w sali na krześle i płakał.

— Hrabia słaby? — spytał, wpadając, Ostap.

— Od kilku godzin.

— Nikogo przy nim?

— Dotąd nikogo, prócz nas. Posłaliśmy uwiadomić pana Alfreda.

— Prowadź mnie do niego; wiész, zem doktor; niema chwili do stracenia.

Posłuszny stary zwlókl się z krzesła i, otwierając drzwi przybyłemu, przeprowadził go przez szereg pustych pokoi do sypialni pańskiej. Na łożu mahoniowém stękał, chorobą złamany, stary, zsiniały już, zziębły, bezprzytomny. Na widok Eustachego zmieniła się twarz, zadrżała ręka, którą usunął, usta się poruszyły, jakby chciał coś powiedzieć. Szybko przygotowano gorącą wannę, a mimo wstrętu i oporu, Eustachy potrafił mu dać lekarstwo.

— O! gdyby wiedział — rzekł w sobie Eustachy — że te same krople dawałem bratu i siostrze, wolały śmierć nad nie!

I bolesny uśmiech przeleciał mu po ustach. Godzina nie upłynęła, a już z pociechą i dumą widoczny był skutek starań lekarza. Hrabia spał głęboko i potniał.

Ostap w oddaleniu czuwał; napróżno stary sługa ze łzami w oczach, wzruszony, wdzięcznością przejęty, chciał go namówić do spoczynku. Pozostał zdaleka, śledząc postęp lekarstwa i przemagając jego siłę.

Po północy dwa powozy zaturkotały przed gankiem. Alfred śpiesząc na ratunek stryjowi, Michalina, pomimo prób i odradzań ciotki, biegła do łoża ojca. Spotkali się milczący i powitali się spojrzeniem w sali; oboje razem biegli do pokoju hrabiego. Nie było czasu i nie było komu oznajmić im, że Ostap wszystkich uprzedził. Z wielkiem zdumieniem postrzegli go uspiętego w krześle u łóżka hrabiego. Michalina cofnęła się, zarumieniła i zbliżyła do ojca. On spał, ale snem spokojnym już przesilonęj słabości. Na szelest wchodzących zbudził się Ostap i pochwycił; postrzegł stojącą nad ojcem Misię i pośpieszył ją uspokoić.

— Hrabia wyzdrowieje; ręczyć za to mogę — rzekł cicho. — Zostawmy go w spokojności. Szczęśliwy jestem, że w czas przybyć mogłem, aby go ratować.

Alfred i Michalina ścisnęły go za ręce.

— Nie wiem, jakie przeczucie mówiło mi — szepnął Alfred — że ty tu być musisz. Tłómaczyłem sobie naprózno, że to być nie może; serce mi mówiło — być musi.

— A teraz — rzekł Eustachy — zostawiam was przy nim; mnie czas do moich chorych, do tych, których-em jeszcze żywych zastał; bo wielu, wielu, wielu umarło.

Nikt go wstrzymywać nie myślał, tak wszyscy zajęci byli rozpytywaniem o słabości hrabiego; wymknął się więc niepostrzeżony i zbiegł na wieś znowu. Dzień już był bliski; wicher ustał, pożar zagaś i ranna gwiazda błyskała na bladém tle jesienném niebios. Dym ciemny ze szczątków pożaru unosił się w górę i daleko rozciągał po wilgotnej ziemi.

W chacie, jedni spali snem spoczynku, drudzy snem wiecznym. Stary Roman nie żył; wnuczę jego, przyjąwszy słabość od dziada, dogorywało w strasznych męczarniach; Zoja i Janko mieli się lepij. Fed'ko czuwał nad niemi. Na twardej ławie, podesałwszy płaszcz, położył się Ostap i usnął na chwilę. Trzecią-to już noc nie zmrużył oka.

VIII.

We dwa dni po opisanych wypadkach hrabia odzyskał przytomność zupełną. Alfred i Misia nie odstępowali od jego łóżka; obaczyli ich i wyciągnął rękę, jakby się z długiego snu budził, z długiej powracał podróży.

— Winienem ci życie — rzekł do Alfreda.

— Stryju kochany, nie mnie je winienes, innemu.

Znak Misi, która lękała się, żeby imię nienawistnego człowieka nie wzruszyło ojca zbytecznie, przerwał Alfredowi.

— Któż tu był? — spytał hrabia.

— Lekarz — odpowiedziała Misia.

— I tyś mi przecie powróciła! — z wymówką zawołał stary. — Gdybym nie zachorował, nie byłabyś sobie przypomniała ojca.

— Papo, kochany papo, winnam! Nie wymawiaj mi; zostaw to na później, gdy będziesz zdrowszym.

Lękając się znużenia, nie dano długo mówić hrabiemu. Szybko przychodzić zaczął do zdrowia, silny w sobie, nie wycieńczony ani myślami (których nie nadużył), ani żadnym zbytkiem, prędzej, niż

drudzy, odzyskiwał dawne siły. Ostap nie pokazał się więcej we dworze u łóżka chorego, ale codziennie wzywany przez Michalinę, z nią i Alfredem spędzał część wieczoru.

Choroba straszliwa, dziesiątkująca w okolicach niektórych wsi i największe osady, powoli ustawać poczyniała; liczba chorych i umierających zmniejszała się, a pobożny lud przypisywał cudowny skutek wystawionym na drogach krzyżom.

Alfred, przenikliwie poglądając na Eustachego i siostrę, lękał się nowego ich zbliżenia; Misia codziennie mniej ukrywała namiętne przywiązanie, utaić się już niczym oczom nie mogące, dla człowieka, który z szanowaniem, bojaźnią, smutkiem tylko zbliżał się do niej. Zdaje się, że udana, czy prawdziwa obojętność Eustachego jątrzyła jeszcze Misię. Nie tając się przed Alfredem, okazywała jawnie, przerażająco, że go kochała. Często odchodziła wieczorem we łzach cała, bo on jej rozumieć nie chciał. Napróżno pani des Roches, przelękniona, jak Alfred, postępowaniem przywiązania tak dziwnego, bez przyszłości i nadziei, starała się wszelkimi sposobami sprzeciwić się, przeszkadzać schadzkom wieczornym. Misia samowolna, rozkazująca, niepokonana, zawsze potrafiła postawić na swoim.

Jednego wieczora, zostawszy sama z Alfredem, tak niespokojnie chodzić poczęła od okna do drzwi, zaglądać, podsłuchiwać obiecanego przybycia i utyskiwać głośno, że brat nareszcie postanowił, nie tając dłużej podchwyconej tajemnicy, oświecić ją o przyszłości.

— Kochana Misiu — rzekł — możesz mi wierzyć, że kocham Eustachego, jednakże, jakkolwiek wiele mu winni jesteśmy, jakkolwiek go szanuję i przywiązany jestem do niego, twój niepokój o niego, twoja wdzięczność przechodzą może granice...

— Granice czego? — spytała Misia urażona.

— Na Boga! nie gniewaj się, siostrzyczko! Mnie się zdaje... ja się może myślę.

— Powiedz-że całą, całą myśl twoją, Alfredzie — dodała spokojnie.

— Ty go kochasz chyba! — zawołał, nie wiedząc, jak inaczej to wyrazić.

Michalina stanęła, spojrzała, podała mu rękę i spytała cicho:

— Bracie, a gdyby tak było?

— *Gdyby tak było*, Misiu... znaczy, że tak jest! Nieszczęśliwa jesteś i boleję nad tobą. Jest to miłość bez jutra i nadziei.

— O! wiem przecie o tém! — odpowiedziała, siadając w krzesło i zakrywając oczy — dawno wiem o tém. Ale możnaż, powiedz mi, rozkazać sercu, żeby nie biło, kiedy się raz poruszy? Wszakże nie wywoływałam tego przywiązania; opierałam mu się; ale mój los i kto wie, Bóg zapewne chciał tego. Stało się, bracie... Możesz

się litować nade mną, ale nadto pojmujesz, czem jest uczucie, żebyś miał dziwną myśl zagaszenia tlejącego we mnie. Kocham, Alfredzie, kocham go; i powiedz mi, jest-że to niczem już nieusprawiedliwionem, tak dziwnem, tak bezprzykładnem?

— Twój ojciec...

— O! wiem o tém; ale pocóż mi go wspominasz? Każde-ż przywiązanie ma się koniecznie zamknąć żelazną kłódką małżeństwa? Moje wiatr rozwieje i godziny długie z sobą gdzieś uniosą. Wiem, że nie mam jutra, dlatego dziś tak mi jest drogie, dlatego tak niespokojnie wyglądam go, oczekuję, pragnę. Śmieję się ze mnie, jeśli ci się podoba.

— Płakaćbym powinien raczej.

— Daj mi pokój! Ty zawsze żartujesz! Wiész moję tajemnicę; niech przy tobie zostanie.

— Twoja tajemnica, droga Misiu, nie jest wcale tajemnicą, jak ci się zdaje.

— Jakto! — zrywając się, zawołała Michalina — on miałby wiedzieć o tém?

— On... nie wiem, ale wszyscy, co cię otaczają, szemrzą; ciotka, pani des Roches domyślają się. Zlituj się, staraj się nie okazywać po sobie.

— Alboż to tak widoczne? — naiwnie spytała Michalina.

Alfred ruszył ramionami i nic nie odpowiedział; ona na chwilę rozmyśliła się smutnie, potem dumnie podniosła czoło i rzekła:

— Niech wiedzą! niech mówią! Co mi to szkodzi?

— A jeśli kto usłużny doniesie twojemu ojcu? Wiész-że ty, możesz-że wyrachować skutki? To śmierć dla niego!

— Ale to być nie może! Któżby śmiał?

— O! — rzekł Alfred — nie rozumiem, jak dotąd ukryć się to przed nim mogło! Później...

— Cóż poradzić? — spytała Misia. — Mów, pomóż mi; ja nie wiem.

— Droga siostrzyczko — z uśmiechem rzekł Alfred — posłuchaj mnie trochę. Z wszelkiem namiętnem przywiązaniem dwojako człowiek postąpić sobie może: poddać mu się, lub walczyć. Dwojaką tę drogę masz przed sobą, a ja, gdybyś mnie posłuchać chciała, wskazałbym ci walkę. Sama wyznajesz, że miłość twoja jest bez nadziei; pocóż ję się poddawać? Niech on odjedzie, ty zapomnisz.

— Zapomnisz! O! łatwa i piękna rada! Widać, Alfredzie, żeś nigdy nie kochał! Zapomnieć! Możnaż zapomnieć? Zapomnienie, to śmierć, to zabiójstwo! I wiész-że, jaką boleścią okupuje się zapomnienie? ilą łez i rozpaczy przykrywa się ten grób?

Na te słowa, żywo wymówione, pobladł i ciężko westchnął Alfred.

— Misiu, jak ty mnie nie znasz!

Spojrzeni na siebie może raz pierwszy oko w oko, długo, aż się zrozumieli. Alfred z kolei upadł w krzesło i zakrył twarz ręką.

Michalina milczała.

— Bracie — odezwała się zicha — radzisz mi lekarstwo, które, jak widać, tobie samemu niewiele pomogło. Ty cierpisz?

— Bom się skazał na ciche milczenie. Nie mogąc być kochanym, litości nawet nie mogąc wyprosić, walczę z sobą, cierpię, czekam.

Michalina jeszcze udała, że nie zrozumiała.

— Niech jedzie — rzekła — niech jedzie. Wszak to chciałeś mi radzić? Prawda, potrzeba tego, ale dlaczegoż nie mam korzystać z chwil ostatnich, być z nim. Jeszcze godzin kilka, a potem wspomnienie tylko, nie to wspomnienie łzawe, co pociesza i łagodzi boleść, ale wspomnienie straszne, jak zgryzota, i dolegające, jak rana.

Pani des Roches weszła, — zamilkli.

Eustachy, smutny i poważny, jak zawsze, przyszedł w pół godziny potem. Rozmowa wieczorna, w której Alfred poświęcił się na towarzysza Francuzce, opowiadając jej szeroko i długo o Paryżu i Francyi, cicha, tajemnicza, toczyła się między Misią i Ostapem nieprzerwanie cały wieczór. Gdy wychodzili, Alfred, pod pozorem pilnej sprawy, wziął przyjaciela pod rękę i uprowadził z sobą do swego mieszkania. Czuł on potrzebę rozmówienia się z nim otwarcie i stanowczo o przeszłości, zamiarach i myślach jego.

Nie wyjawiając przed nim, że widzi coś nadzwyczajnego, grożącego, chciał go pozorem własnego dobra do odjazdu nakłonić.

— Hrabia codziennie ma się lepiej — rzekł po chwili. — Pomimo wdzięczności, jaką ci winien, nie wiem, czy należy ci wyglądać niejako, aż będzie w stanie ją objawić.

— Wdzięczności! Ale nie chcę żadnej! — odrzekł dumnie Ostap.

— Dłuższy twój pobyt mógłby tę myśl nastreścić.

— Więc wyjeżdżam natychmiast!

— Jeśli niespokojny jesteś o swoich, jedź do Skały, ale nie baw tu dłużej.

Ostatnie słowa Alfred wyrzekł tak skłopotany, niepewnym głosem, bez przekonania, że Ostap zastanowił się i spojrzał mu w oczy. Nawykły do czytania na jego twarzy, poznał, że co innego mówił, a myślał co innego; Alfred odkrył znowu wątpliwość, rodzącą się

jawnie w rysach twarzy przyjaciela; oba pomieszani, zarumienieni stanęli.

— Gdybym cię mniej znał — rzekł Eustachy — posądziłbym, że całej swęj myśli mi nie odkrywasz.

— Eustachy! wierzysz w moję przyjaźń?

— O! możesz-że wątpić?

— Uwierz więc, że wszelka moja rada, czy jęj powody całkiem, czy nawpół ci tylko odkrywam, pochodzi z przyjaźnej o ciebie troskliwości.

— Wierzę i słucham. Jedziesz do Skały? Ja z tobą.

— Jutro rano. Hrabia nie potrzebuje już naszej pomocy. Twój krewni?

— Także — odpowiedział Eustachy z westchnieniem.

— Możemy więc jechać.

— Pojedziemy.

Na tém skończyła się rozmowa.

Nazajutrz jednak rano, nim wyruszyć mogli, Michalina wyszła ich prosić do siebie. Całą noc przebyła ona we łzach, walcząc z sobą i nic prócz boleści nie mogąc wywalczyć. Jedno tylko religijne wychowanie, uczące tłumić namiętność wszelką i bojować z nią w samym początku, może dać siły potrzebne na pokonanie jęj. Misia wcale ge nie miała. Przywykła czynić tylko swoje wole, dogadzać wszelkiej przelotnej fantazyi, w pierwszych chwilach oddała się uczuciu powstającemu z całą żywością swego charakteru. Wszystko spikało się na wzrost tęg nieszczęśliwej miłości. Niepodobieństwo samo miało pewien pociąg dla takiej, jak ona, kobiety; wyjątkowe położenie Eustachego, jego głęboki smutek, prześladowanie, którego — krótko wprawdzie — doznał, wzbudziły litość, zajęcie, nareszcie pociąg i przywiązanie.

Szlachetny charakter i cierpliwe męstwo, uporne wreszcie milczenie ust, gdy oczy mimowolnie zdradzały, co się w duszy działo, mówiły za nim. Powolnie rosła i wzmagala się miłość, ale nareszcie doszła do tego stopnia natężenia, kiedy człowiek przytomność od niej traci, gorączki dostaje, sennie i umiera.

Całą noc przepłakała, przedumała Misia. Chciała przed sobą rozjaśnić przyszłość jakakolwiek nadzieją — napróżno. Zewsząd wznosiły się niepokonane trudności, niepodobieństwa; kłamała przed sobą i po chwili, sama w swe kłamstwo nie wierząc, płakała. Zaczęło świtać i powiedziała sobie:

— Widziałam go raz ostatni!

Wiecie może, co za wrażenie robi na człowieku ten wyraz: *ostatni!* Opisać go niepodobna: głowa pęka, serce się rozdziera, życie uchodzić się zdaje. Musimy być przeznaczeni do nieśmiertelności,

gdy nas wszelka zapora w życiu, wszelkie nieodwrotne jego zamknięcie tak silnie wstrząsa i oburza.

Na tę myśl szłał opanowywa, a wtenczas kto nie oszalał — ocalał. Wielu jednak szaleje, wielu na resztę żywota z tej chwili wypija truciznę, od której potem śmierć powolna nadchodzi. Misia płakała z dniem wschodzącym, a nie mogąc przemódz wrażenia, jakie na niej uczyniła myśl: *widziałam go raz ostatni*, posłała prosić Alfreda i Eustachego do siebie.

Alfred przyjął tę prośbę z przykrością widoczną, ale odmówić jej nie śmiał. Mieli siadać do powozu; milczący zwrócił się ku pałacowi.

— Chwilkę tylko zabawim — rzekł, wchodząc na ganek. — Czas nam w drogę.

Eustachy nic nie odpowiedział. Jego twarz, zwykle piętno spokojnej rezygnacji nosząca, była blada, a oczy jaśniały gorączkowo; usta miał sine, wyraz fizjonomii niezwyčajny. Dostrzegł to Alfred; wewnętrzna męka jadła go w duszy i nie wyszła na jaw, aż się wpiła w organa życia, które je zewnątrz zaświadczyły.

— Co ci jest? — spytał, widząc Eustachego chwytającego się za kolumnę.

— Nic... tak, znużenie... — odpowiedział doktor.

Michalina czekała ich w progu swojego pokoju, także do niepoznania zmieniona, blada, pomieszana.

— Chciałam... — odezwała się — zapomniałam... przepraszam... ale nie spytałam panów, jak mam postępować z przychodzącym do zdrowia ojcem. Dlatego-to musiałam prosić go jeszcze.

Pretekst był wynaleziony, ale niezręcznie, bo Eustachy zostawił przepis szczegółowy. Nic jednak nie odpowiedział, bo tak był pomieszany, że zapomniał o tém, co zrobił. Michalina spojrzała mu w twarz i zadrżała, widząc jej zmianę.

— Co to jest? Pan chory? — spytała troskliwie.

— Ja? nie — odparł Eustachy, dobywając zmuszonego uśmiechu. — Nigdy się owszem lepiej nie czułem.

Wchodzący służący wyprosił Alfreda do hrabiego; zostali sam-na-sam.

Eustachy tak był nieprzytomny, że nie wiedział, co mówić; rzucał oczyma po pokoju, chciał się uśmiechać, udawał wesołego, a padał prawie z boleści.

— Kiedy się znowu zobaczymy? — spytała Michalina cicho.

— Pani, możesz wiedzieć? Na twój rozkaz jestem zawsze do śmierci!

— Jak teraz — przerwała Michalina — ocalałeś życie mojemu ojcu. A! nie umiem panu wyrazić, jaką w mém sercu zostawiasz

pamiętkę, pamiętkę, której nic nie wygładzi — dodała z zapalem — wieczną, a przynajmniej trwałą, jak życie.

Eustachy miał łzy w oczach.

— O! mnie to — zawołał — mnie być wdzięcznym, mnie czcić was zawsze, mnie, któregoście wyciągnęli z błota, któremuście dali więcej, niż życie, bo uczucia i myśli, godne człowieka. Nie! na to niema słów w języku!

I pochwycił się za serce.

— Ale kiedy, powiedz mi pan, kiedy się zobaczymy znowu?

— Moje życie nie pewne jutra, ale wszędzie, gdzie będę, modlić się i pamiętać i czcić was nie przestanę. Ty, pani, i Alfred jesteście nazawsze w biédnym sercu, z którego nikt was nie wyruguje, bo któżby więcej z taką anielską dobrocią chciał się zbliżyć do człowieka, odepchniętego przez towarzystwo, skazanego na poniżenie.

— Gorzkie masz pan wyobrażenie o świecie; ale jest-że dziś kto, coby śmiał cenić człowieka z czego innego, jak z niego samego?

— Cóżem ja wart! — łamiąc ręce, rzekł Eustachy. — Czyżem zasłużył sam na co więcej nad litość?

— O! z méj strony — żywo przerwała Misia — daleko więcej, bo na wdzięczność, bo na...

Na ustach już miała straszne i niewyrachowanych skutków wyznanie, gdy Alfred, który, odszedłszy, niepokoił się o tych, których sam-na-sam zostawił, wpadł pośpiesznie do pokoju. Rzutem oka po obu twarzach wyczytał, że rozmowa nie musiała być obojętną, ale poznać nie mógł, na czém się przerwała.

— Jedziemy — zawołał wesoło niby. — Bądź zdrowa, kochana kuzynko. Jedziemy do Skały. Dobry mój Eustachy obiecał mi tam kilka dni, może dłużej, zabawić. Czekają na mnie moi chorzy. Wczoraj odebrałem wiadomość, że w jednej z wiosek pokazała się cholera. Nasz obowiązek śpieszyć na ratunek; to ci tłómaczy mój pośpiech...

Pożegnanie było prawie obojętne, tak wszyscy byli nieprzytomni. Zaledwie drzwi się zamknęły za nimi, Misia wypadła do pokojów, z pokojów w ogród i skryła się w zarosłych ulicach. Pani des Roches, każdy krok jój śledząca, pośpieszyła za nią. Tymczasem dzwonki pocztowe, oddalające się coraz, mierzyły odległość, którą powóz Alfreda na pocztowej drodze ubiegał.

Michalina otworzyła z bijącym sercem furtkę, na trakt wychodzącą. Jeszcze raz chciała go zobaczyć — jeszcze raz. Ale jak cię przemknęły się przed nią rozpuszczone konie i niczyjéj nawet nie dostrzegła twarzy, bo Eustachy, w głębi wozu wcisnięty, udawał snem znużonego. Alfred tylko dojrzał sukni u furtki i rzekł do siebie z westchnieniem:

— Jest-to więc szal niepokonany. Biedna Misia!

Wieczorem Eustachy leżał nieprzytomny na łóżku, a Alfred czuwał nad nim. Gwałtowna gorączka, wzmagająca się z każdą wieczorną godziną, nie dająca się niczém przerwać i wstrzymać w postępie, olbrzymiemi szła kroki, wyrywając siły, zmysły, rozum, pamięć.

IX.

Lat dziesięć upłynęło.

Eustachy, wyjechawszy ze Skały, po długiej rozmowie z Alfredem, która całą noc trwała, nie pokazał się więcej.

Tymczasem wiele się rzeczy zmieniło.

Stary hrabia dowiedział się, kto go uratował, ale pomimo to, nigdy nie wspomniał Eustachego, nigdy o niego nie spytał.

Alfred pozostał w Skale, często bardzo odwiedzając stryja, poufały z Michaliną, ale nie zdając się starać ani o jej serce, ani o rękę. Inni pretendenci, których zwabiał rosnący majątek, przesuwali się jedni po drugich, śladu po sobie nie zostawiając. Wielu z nich życzył sobie hrabia, ale Misia stanowczo powiedziała, że nie wyjdzie za nikogo przymuszona, i w najważniejszym kroku życia chce być swobodną.

Gdy rok za rokiem płynął, a wyboru nie czyniła, ojciec począł się dręczyć. Jednego poranku ośmielił się wreszcie przypomnieć córce, że czas byłoby uczynić wybór.

— Zostawcie to mnie — odpowiedziała.

Nie śmiał nalegać.

Najznakomitsi współubiegacze po niej jakim czasie usunęli się i znikli, nowi pokazywali się chyba zrzadka. Dziwne wieści poczęły krążyć o hrabiance. Ojciec chciałby był już chociażby Alfreda, zwłaszcza, że Alfred od powrotu z zagranicy na dobrym stopniu postawił swoje interesa i, jak mówią, robił majątek.

Nie próbując już przynaglać córki, hrabia wybrał się do Skały i nadmienił Alfredowi, że dane jego ojcu na łożu śmiertelném słowo, dotrzymaném być musi, że czas coś postanowić.

— Ja — rzekł Alfred — z wdzięcznością przyjmę spełnienie jego, ale nie inaczej, aż Michalina na to dobrowolnie zezwoli.

— Staraj się o nią!

— Staralem się — odpowiedział synowiec — ale, zdaje mi się, na próżno.

— Mogę jej powiedzieć, żeś mi się o nią oświadczył?

— Z tém, że miałbym sobie za szczęście ten związek, gdyby nań

chciała z dobrej woli pozwolić. Ale nic jej wiązać nie powinno, ani ciebie, kochany stryju, ani słowo dane, ani żaden inny wzgląd.

Hrabia odjechał, nie mogąc pojąć, dlaczego mu było tak trudno wydać piękną, młodą, miłą, bogatą córkę, dlaczego Alfred tak zimno przyjął jego propozycję.

Nazajutrz oświadczył córce.

— Pomówię o tém z Alfredem — odpowiedziała. — Niech przyjedzie.

Dano mu znać; pośpieszył. Hrabia niecierpliwie wyglądał końca.

Wieczorem Misia została sam-na-sam z bratem.

— Prawda to — spytała go — że oświadczyłeś się ojcu o moję rękę?

— Oświadczyłem, że byłbym szczęśliwym z tego związku, ale z tém, jeśli byś go także żądała i zezwoliła dobrowolnie, na nie a na nic się nie oglądając. Jeśli zasłużył na trochę przywiązania, litości...

— Ty wiesz, Alfredzie, co się w mojem sercu dzieje — przerwała. — Kilka lat ubiegłych nie zmieniło mnie, odebrało tylko, jeśli kiedy jaka być mogła, nadzieję, obrało z marzeń ludzających. Dziś, jak dawniej, kocham go. Jeśli z tą chorobą serca, z tym wiecznym smutkiem i tęsknotą chcesz mnie wziąć jako przyjaciółkę, jako towarzyszkę; jeśli chcesz moim urzędowym zostać obrońcą; będę twoją. Dla ciebie więcej szacunku, więcej mam przywiązania, niż dla innych. Gdyby nie on, czuję to, byłabym cię kochała. Chcesz-że mnie wziąć tak?

Alfred zamilkł.

— Jest-to czas na wyznania, moja droga siostrzyczko. Ja cię kocham dawno.

— Wiedziałam o tém.

— Spodziewałem się, że czas, może oddalenie...

— Nic! nic! nigdy! — żywo przerwała Michalina. — Kto kocha jak ja, ten kocha na wieki.

Alfred smutnie opuścił głowę.

— Każesz mi przestać na ręce, kiedym chciał serca. Powinienbym cofnąć się, a nie mam siły.

Michalina z litością spojrzała na szlachetną twarz brata, którą ciężki, ale utajony, okrywał smutek.

— Pójdziem więc dalej razem — odpowiedziała.

— Pójdziemy!

To przyrzeczenie przedślubne wyrzeczone było smutnie, tęskno, a po niem długi nastąpiło milczenie.

— Widzisz, jak jestem otwartą — dodała — ty jeden z moich ust własnych dowiedziałeś się tajemnicy. Powtarzam ci dziś jesz-

cze, że go kocham. Nie miej mi za złe ani tęsknoty, ani przywiązania, ani smutku mego. Kto wie... Będę walczyła z sobą. Teraz przyjaźń masz moją i przywiązanie siostry.

— I to mi drogiem, gdy nic więcej mieć nie mogę.

— Ślub nasz odbędzie się cicho, skromnie i przy rodzinie tylko. Pojedziemy potem do Skały. Nie robmy ani wielkich przygotowań, ani szumnego wesela, nieprawdaż?

— Rób, jak ci się podoba; ja zezwalam na wszystko.

Na tem się skończyły przedślubne układy. Ale hrabia pojąć nie mógł, dlaczego Misia i Alfred upierali się przy cichem i tajemnym prawie weselu. Największa walka była o to; Misia przecież postawiła na swoim. Kilka osób pokrewnych, pani Krystyna, jej córka zjechali się tylko. Ślub odbył się rano w kaplicy, a po obiedzie państwo młodzi, wedle życzenia, odjechali do Skały.

To było trochę *à l'anglaise*, hrabia więc nic nie miał przeciwko temu; obczyzna zawsze mu smakowała; miał ją za dobry ton.

Pożycie nowych małżonków było ciche, spokojne, powiedziałbym szczęśliwe, gdybyśmy do wyrazu szczęście nie przywiązywali znaczenia ogromnego, znaczenia, co swym ciężarem kruszy noszące je słówko. Nie było-to więc szczęście, ale spokój. Oboje nie zmienili trybu życia, ani humoru, ani myśli. Stary hrabia, pogładając na nich, zwykł był mawiać, że nie widział w życiu tak dystygowanego małżeństwa, tak *przyzwoicie* szczęśliwych ludzi. Tyle się też cieszył i tak głęboko poruszył, że nie mogąc strawić swojego szczęścia i pasztetu strasburskiego z bolońskimi salcesonami, obficie na śniadaniu zjedzonego, zachorował, pobłogosławił, umarł.

Nie czujemy się w obowiązku opisywać ani łez wylanych, ani wspaniałego pogrzebu i kazania pochwalnego, ani sutęj żałoby sprawionej. Michalina wkrótce potem osadziła na kawałku nadanego gruntu krewnych Eustachego, uwalniając ich zupełnie. W ten sposób objawiła, że jeszcze pamięta o nim. Alfred przyłożył się do tego dobrego uczynku, dając sowią zapomogę. Państwo młodzi przenieśli się ze Skały do znajomej nam z tej powieści wioski.

Michalina pozostała spokojnie smutną; Alfred pracował. Tajemnie starał się on dostać wieści o przyjacielu, ale napróżno. Kończył się lat dziesiątek, jak-śmy wyżej powiedzieli, a wiedzieć nie było można, co się z nim stało.

X.

Piękny ranek wiosenny świecił nad uroczym Podolem. Kraina, którą Trembecki nazwał płynącą mlekiem i miodem, jaśniała w tej

chwili więcej, niż bogactwy swemi, bo nieśmiertelną pięknością. Jój wzgórze i góry, skały, jary, strumienie, rzeki, doliny i stare, rozwalone zameczyska i zielone lasy dębowe w całej były krasie i młodocianym wdzięku.

W oddaleniu, na wchodzącej chmurze białe wieże Kamieńca, wysoka dominikańska poważna dzwonnica i smukły minarecik katedralny i tłum domów, co ściśnięte na tej dziwnie wyrosłej skale zdają się tulić do siebie i świadczyć o niebezpieczeństwie od Turka.

Blżej nad ostrokąglami wierzchołkami swych baszt ciemnieje stare zameczysko. Powóz sześcią koni zaprzężony zwolna zbliżał się ku miastu; z ciekawością wygląda z niego piękna głowa męska i piękniejsza główka kobieca. Coraz widoczniej rysują się nagromadzone na skale mury, kościoły i ruiny, coraz wydatniej widać wspaniały zamek.

Wysiedli nakoniec i pieszo ze wzruszeniem, jakiego doznaje każdy na widok niespodzianego cudnego widoku, przechodzą część drogi, dzielącą ich od tak zwanego Dyabelskiego mostu. Jest-to tureckich zapewne czasów dzieło, wiążące miasto z dawną fortecą, — potężny mur niezmiernej wysokości, wąskim przesmykiem wiodący z zamku do Kamieńca właściwego. Spodem szumi obiegająca skałę dokoła rzeka, a chatki rozsypane w dole bieleją, gdzieindziej poprzydzielane w głębi, po bokach gór, jak jaskółcze gniazdko. Widok zachwycający!

Nie dziw, że Alfred i Misia długo tu pozostali w zadumaniu i zachwycie.

Ale to tylko pierwszy widok nieporównanego Kamieńca. Cały dzień potem musieli, posłuszni ciekawości, obchodzić tę relikwią przeszłości, ten drogi zabytek dawnych czasów, który, jak wszystko na świecie, zrzuci powoli starą szatę, aby wdziać nową, ściera z czoła pamiątki, by się inaczej ustroić.

Nie wiem, czy które z miast naszych pochłubić się może tytu pamiątkami sławnymi, co Kamieniec. Na każdej uliczce zastanawiają cię to stare herby, ryte na kamieniu, to napisy, to znaki, to podania. Dokoła rozwaliny przepyszne obronnych murów, baszt, mostu, zwanego Wycieczką, pięknych bram zatrzymują, każą dumać o przeszłości. Zewsząd widoki tak piękne, wielkie, malownicze! Ale niczémby one były bez tych piętn drogich, które spotykasz wyciśnięte wszędzie.

Tam herb, tam napis, ówdzie kształt budowy, znak, data wstrzymują, zadziwiają. W żadnym z naszych miast niema ich tyle i z tak różnych epok. Postrzegasz tu obok Stanisławowskich Jagiellońskie orły i tureckie cyfry, na Bramie Polskiej stare herbowne znaki mówią do ciebie językiem XVI wieku. Gdzieindziej — oto domo-

stwo pobytom Stanisława Augusta nacechowane, biędne, niema się czém chwalić; w kratkach drugiego czytasz herby litewskiej książęcej familii; z rozwalin sądowicznego domu nad oknami mówi ci jeszcze poważny, wspaniałały głos przeszłości:

Nolite judicare!

Ówdzie, jakby dziwaczną igraszkę nad drzwiami gmachu, służącego do obrad szlacheckich, wmurowano kamień szydersko mruczający:

Domine! conserva nos in pace.

Któż to tak dowcipnie tu zastosował i tę prośbę utrapionych od Turka mieszkańców Kamieńca zmienił w wykrzyk satyryczny.

Począwszy od Karwasarów, od Polskich folwarków, gdzie stąpisz, zdumiewasz się pamiątkom i ich liczbie, na tak szczupłej przestrzeni nagromadzonej. W Wietrznej bramie, którą od Polskich folwarków do miasta się dojeżdża, zastanawia napis, a bardziej jeszcze reszty krytego mostu i ślicznych ruin. Stąd cudny widok! Te skały, jakby ręką ludzką obcięte w ściany proste, pokrajane ścieżkami, zdają się wielkiem mrowiskiem, wśród którego snują się małe mrowięta. Co za widok z wałów! A wszędzie kamień każdy prawie potrażony nogą, zarosły mchem może, zamazany, zalepiony, uszkodzony, zniszczony umyślnie, zawiera napis, pamiątkę.

Dwie osobliwsze i jedyne u nas pozostałości tureckie zwracają nadewszystko uwagę. Jest-to naprzód cudnej piękności w swoim rodzaju, z jednej ogromnej bryły granitu wykuta kazalnica w dominikańskim kościele; zdobi ją na wierzchu napis z alkoranu. Oryginalność rysunku, delikatność wykonania opisać się nie dają; potrzeba ją widzieć. Szkoda, wielce szkoda, że ją niefortunnie pobielono, że w środku podostawiano aniołki. Należało ją zachować, jak była, bez najmniejszej odmiany. Kapłan katolicki, każący z tego miejsca, byłby jój najpiękniejszą ozdobą.

W katedrze, jak świeca przyklepiony do jój boku, cieniuchny, smukły, wybiega do góry minarecik prześliczny. Na wierzchołku jego był księżyc i pozostał; ale na księżycu postawiono Matkę Bożą. Co za myśl poetyczna! Wewnątrz kręcone schodki, których jest przeszło półtora sta, wiodą na ganeczek, z którego muezzin na modlitwę wołał. Ciemne, wspaniałe wnętrze katedry, stare jój sklepienia wielkie też czynią wrażenie.

Cały dzień Alfred z Michaliną przechodzili Kamieniec, z końca w koniec, powracając, zastanawiając się, zachwycając. Nareszcie, znużeni, usiedli na wałach. Tu mogli odpocząć, otoczeni widokiem

dziwnej piękności. Myśl urządzenia przechadzki w tém miejscu należy do najszcześniejszych; szkoda tylko, że stare szczęty murów, których nadto strzedz, nadto zachowywać nigdy nie można, zapewne w części poświęcone być musiały. Wiele z nich użyto szczęśliwie. Nie powiemy tego o rzeźbach, mających zdobić to miejsce.

Zamek w całej się stąd swęj starożytnęj maluje krasie. Wspomnienia cisną się tłumnie.

Imiona liczne wywołują pamięć; — najsławniejsze na wieki zgasły, a na ich miejsce mamy imiona tych łącno zubożonych niewiedzięć skąd przybyszów, co zamierzywszy sobie porobić majątki, nie rachują wcale, nie mają za obowiązek być czémkolwiek sławni i użyteczni. Myśleć o dobru nieswojem, powszechnem — stało się śmiesznością. Nie tak, o! nie tak dawnięj bywało! Słynne dawniej imiona zdobyły krwią i ofiarami sławę swoję.

Tak myślał Alfred, przypominając, ile się krwi polskiej pod Kamieńcem, Chocimem, na Wołoszczyźnie, w Bukowinie wylało, — a krew-to była najzacniejszych. Dziśby może od nowych panów i panków kropli jednę nie wyzebrało niebezpieczeństwo. Wiele zła przyczyną dla kraju była duma i samolubna arystokracya, ale obok niego stoją i czyny wielkie i poświęcenia bez liku. A czas pomniejsza winy, podnosi heroizm.

Z imiona sławnemi zeszło poświęcenie dawne.

Wśród tych dumań, natrętnie cisnących się, nagle wstrząsnął się Alfred, odwrócił, poskoczył z ławki, na której siedział z żoną.

Dziwnie ubrany człowiek mimo nich się przemknął; rzut oka na twarz jego zastanowił go, poruszył.

Misia także spojrzała, zbladła, odwróciła się; — przechodzący znikł.

Ubrany bardzo poprostu, w sukni wieśniaczej, z kijem w ręku, w słomianym kapeluszu, człowiek ten, tak przypominający Eustachego, skrył się pomiędzy drzewy.

Z początku chciał za nim gonić Alfred, ale po chwili rozwagi pozostał w miejscu. Oboje go widzieli, ale każde z nich ukryło w sobie niespodzianą radość i niepokój. Długo pozostali na ławie, spodziewając się go zobaczyć; powolnie przechodzili ulice, myśląc, że go trafem spotkają, — napróżno.

Wieczorem puścili się w dalszą drogę.

Znacie zapewne malownicze podolskie okolice? Grzechemby było zwiedzać dalekie kraje, a nie nacieszyć się wprzódę swojęj ziemi pięknością. Możemy nią słusznie być dumni, a artysta, coby tam pojechał szukać natchnienia i zbierać pamiątki, z obfitym wróciłby plonem.

W bliskości stolicy podolskiej Alfred z Misią stanęli u kre-

wnych, gdzie zabawić mieli dni kilka. On, artysta duszą, obiegał, pierwszy raz widząc, tak nowy dla siebie kraj; z kijem w rękę puszczał się w góry, zwiedzał pieczary i ruiny, siadał na skał wierzchołku, obrzucając wzrokiem pełne różnorożności obrazy.

Jednego dnia, ku wieczorowi, przy wypogodzoném niebie, pociągającym od wschodu chłodnym wietrze, dalej, niż zwyczajnie, zapuścił się ciekawy. Każde wzgórze nęciło go, nowy obiecując widok, kształty skalistych pokładów, zpod rozdartej sterzących ziemi, tak rozmaite, tak dziwaczne, wlokły go dalej a dalej szczególnością swoją. Rośliny lasów i jarów, to wonne, to wdzięczne kształtami i barwą, to rzadkością zastanawiające, wyzywały ku sobie. Ze wzgórz na wzgórze, z lasku w lasek, ze skały na skałę wdzierając się, Alfred nareszcie zabłądził. Zachodzące słońce skierować go mogło wprawdzie, ale niedokładnie zdawał sobie sprawę z przebytej drogi. Znużony, usiadł na kamieniu, myśląc, jak to tam o niego niespokojni będą, jeśli się z powrotem przypóźni. Przechodzący wieśniak, widząc go siedzącego na górze, zastanowił się, pokłonił i spytał:

— A czy pan nie zabłądził?

— Prawda, mój kochany, niedobrze wiem, jak się nazad do N. dostanę, a trzebaby mi spocząć.

— Tobycie mogli tu niedaleko u Bondarczuka spocząć.

Na imię tak znane, chociaż tak pospolite, że się w każdej wsi prawie znajdzie, zastanowił się Alfred.

— Gdzież to ten Bondarczuk?

— W jarze, niedaleko, ot, tam widać chuterek.

— Cóż to, poddany czyj?

— A Bóg go wie!

— Gospodarz?

— Nie, panie, tak dobry człowiek, co go nam Pan Bóg nie wiem skąd, jakby z nieba, spuścił. Osiadł w tym jarze, pobudował dominę, zagroził sadek, osadził pszczoły.

Alfred począł się domyślać, że niespodzianie może natrafić na kryjówkę przyjaciela, coraz bardziej utwierdzał się w tej myśli i, zsunąwszy się z siedzenia, zbliżył się do wieśniaka, usiłując go wybadać.

— Stary-to człowiek? — spytał.

— Zdaje się nie stary, choć mu broda wieku dodaje. Ot, może waszych lat. Nikt nie wie, skąd przyszedł, jak mu pozwolono tego kawałka ziemi. Dla nas sąsiadów Pan Bóg go dał, bo czy poradzić się o co, czy w chorobie poratować, czy w biędzie dopomóc, przywykliśmy do niego. Ot, i ja zasiekłem się siekierą w nogę, zatem i idę. Zna on zioła, ma plastry i wielu ludziom pomaga. Moja siostra chorowała bez nadziei, co ją i dwór leczył i cyrulik; nie nie

pomagało, aż on dopiero, jak-em mu powiedział, coś napisał—bo taki i pisać umie — kazał zanieść do Kamieńca. A tam się bardzo, kiwając głowami, dziwowali, dziwowali i dali flaszczykę. Ledwie jój pół wypila, wstała na nogi. I nie nam-to jednym pomocny: wszyscy taki Boga za niego proszą.

Z tego opowiadania utwierdził się Alfred w przekonaniu, że dziwny przypadek szczęśliwym trafem zbliżył go do dawno niewidzianego przyjaciela.

Z bijącym sercem szedł ścieżynką, głębią jaru wydeptaną, ku chutorowi wskazanemu. Słońce się było skryło za wzgórze i ostatnie blaski jego na wierzchołkach drzew świeciły; jar cały ciemniał już w pomroce i zionął chłodnym powietrzem dolin. Rozkwitłe melisy, głogi i inne kwiaty napełniały powietrze wonią. Gęsto poplątane brzozy, dęby, leszczyna osłaniały domek przed okiem; siny tylko dymu paseczek, wlatujący do góry, zwiastował ludzkie mieszkanie. Zbliżyli się wreszcie pod opasujący sadybę wał, oplątany tarnem, i wrota proste, które wieśniak otworzył. Tu dopiero odkryła się oczom Alfreda małeńka biała chatka o dwójgu oknach, jednych drzwiczkach, z kominkiem, nad słomiany dach wystającym. Dwa stare, krzywe dęby osłaniały ją liśćmi swemi, a zarosła gęste opasywały poza wałem. Góra skalista od północy z wystającymi szaremi złomami, które zieloną jój przebijały szatę, zakrywały do reszty tę ustroń tajemniczą. Zpomędzy skał cienki, czysty strumyk wody ściekał na kamienie i rozlewał się w głębi jaru głęboko wrytym korytem. Ciszę cudownego wieczora przerywał tylko szmer kołyszących się od powiewu wiatru drzew. Weszli na podwórko, pies zaszczekał u progu, podniósł głowę i przestał z wytrzeszczonymi oczyma, jakby chciał rozpoznać przychodniów.

Małeńki ten domek, zaledwie porządną mogący się nazwać chatą, przypierał do drugiej, niewielkiej także budowy. Obie otaczał ogródek, zasadzony owocowymi drzewkami, warzywem, lekarskimi roślinami. Ule słomiane stały w nim kilku rzędami. Pod starym dębem wielki kawał skały, rzucony jakby umyślnie, służył za ławkę.

Zbliżyli się do drzwi. Małeńka sionka przedzielała domek na dwie części. Wieśniak wskazał wlewo Alfredowi. On już nie wątpił, że znajdzie po dziesięciu latach rozstania się dawnego towarzysza młodości; serce zabiło mu, gdy ręka sięgnęła za klamkę.

Otworzył. W małeńkiej izdebce, dwoma oknami z dwóch stron oświeconej, białej, czystej, ale wcale nieozdobnej, nad stołem siedział mężczyzna ten sam, którego Alfred przypadkiem spotkał w Kamieńcu. Sparty był nad otwartą książką. Ubrany po wieśniaczemu, z zapuszczoną złotawą brodą, z obnażoną prawie i wy-

pełzłą głową, z zapadłemi, blademi policzkami, dumał. Zestarzał się, odmienił.

W tej izbie nie było nic prócz stołu, ławki, dwóch prostych stołków drewnianych, półki z kilku książkami i małej apteczki. Nad kominem wisiał portret litografowany Alfreda z uniwersyteckich czasów.

Na stuk otwierających się drzwi Ostap odwrócił głowę, poznał Alfreda, zakrzyknął i skoczył ku niemu z otwartemi rękoma.

— Ty tutaj! — zawołał — ty u mnie!

I w długim uścisku przerwało się powitanie.

Przybyły opowiedział, jakim sposobem, jak przypadkowo odkrył mieszkanie Eustachego. Tysiąc pytań z obu stron zadano i wiele razy odpowiedź na nie smutkiem powiała po twarzach.

— Jak dawno tu mieszkasz? — zapytał Alfred.

— Kilka lat — odparł Ostap. — W tamtej stronie, sam wiesz, zostać mi było niepodobna; szukałem ukrycia, znalazłem, kupiłem kawałeczek ziemi, pobudowałem się, jak dla mnie przystało; jestem spokojny i rad memu położeniu. Blisko tych, których zowie braćmi, nauczycielem, pocieszycielem i niewielkim kosztem — dobroczyńcą! Mogłoby mi być lepiej gdzieindziej? Wątpię. Chodź zobaczyć mój ogródek.

Wyszli pod stary dąb, gdzie leżał złom skały i tu dostrzegł Alfred wykutę w górze głębokiej pieczary, ciągnącej się daleko, chmielem u wejścia obrósłej, która tło ogródka stanowiła. Ponad nią był krzyż, z prostych dwu kłoców dębowych złożony, pod krzyżem drugi do siedzenia kamień. Drożyna wążiuchna wiodła ku niemu. Krótko tu pobywwszy, poczuł Alfred, jak szczęśliwe mogło być życie w takim ustroniu dla człowieka, który musiał szukać samotności, bo go świat przyjąłby nie chciał.

— Chcesz wiedzieć, jak życie wiodę? — rzekł Eustachy. — Dzień po dniu płyną jednakowo, powolnie, zdaje się, a jednak niezacznie ku celowi, ku śmierci wiodąc. Sam jeden ze starym sługą, który się skazał na to mniszce wygnanie ze mną, ze psem, co strzeże wrót, mieszkam rok cały. Rzadko potrzeba jaka wywoła mnie do bliskiego miasta. Ludzie z sąsiedztwa codzień przychodzą po rady, po leki; to dla mnie najmiłszem zajęciem. Czasem z kijem ruszam po wioskach i sam szukam chorych; a ile razy uratuję matkę, ojca, dziecię, tylekroć błogosławię cię, żeś mi pozwolił uczyć się z sobą. Resztę godzin pielęgnuję pszczoły, czytam, kopię w ogrodzie. Proste życie! Nie insze być musiało owe dawnych mnichów, z którego się śmieje dzisiejsza cywilizacya! Ileż to razy na myśl mi przychodziła nieodzowna potrzeba klasztorów! Można łatwo

razem z protestantami szydzić z mnichów i cenobiów, ale wielu to ludzi w nich pokój, którego napróżno gdzieindziej szukali, znalazło!

Wysławszy wieśniaka z kartką do żony, Alfred pozostał na noc na Bondarczukowym chutorze — jak go nazywano w okolicy. W późną noc wspomnienia młodości, opowiadania zaszłych wypadków w znajomej okolicy zajęły ich. Nazajutrz rano rozstać się mieli znowu. Bez widocznej boleści spokojnie przyjął Ostap wiadomość o zamęściu Michaliny; nie dał poznać nawet po sobie, że go z nią inne nad wdzięczność węzły łączyły.

Śmierć hrabiego, uwolnienie krewnych przez Michalinę do łez go poruszyły, i nie dziw: samotność podnosi człowieka, miękczy, egzaltuje. Ciągłym ocieraniem się o świat tracim władzę uczucia czegokolwiek głęboko i zużywamy się, twardniejem, serce dostaje nagiotków; w samotności, mniej targani w różne strony, mniej szafując sobą, skupiając się w duszy własnej, zdolniejsi jesteśmy uczuć potem silnie, cokolwiek nas dotknie; wszelkie wrażenie mocniejsze jest i trwalsze. Ostap też płakał, gdy Alfred prawie chłodno dotknął najważniejszych wypadków i lzy nad niczem wylać nie umiał.

Słońce wschodziło za górą, gdy, przeprowadzony przez Ostapę, wyszedł Alfred z gościny ubogiej.

— Znalazłem cię — mówił w drodze — widzieliśmy się znowu. Czemużbyś kiedy ty także do nas, do swoich, do tych, co cię kochają, nie przyszedł?

— Nigdy! nigdy! — odrzekł Ostap. — Przysiągłem pustyni... zostaw mnie w niej. Poco ja tam? Mnie tu lepiej... wierz mi.

— Ale pustelnicy przecie, mnichy wychodzili nieraz na świat. Czemużbyś ty, dobrowolny cenobito, nie miał zeń wyjrzyć?

— Odwykłem od niego; nie jestem już tym berlińskiego uniwersytetu wychowawcem, którego znałeś dawniej. Suknia inna, myśli inne, wszystko się we mnie odmieniło. Jedno pozostało dawne: przyjaźń i wdzięczność dla ciebie i przekonanie, że między wami niema tam miejsca dla mnie.

— Bądź zdrow!

Ścieżka wychodziła z jaru; ścisnęli się za ręce, rozeszli.

Na tém się kończy pierwsza epoka życia Ostapę Bondarczuka.

CZĘŚĆ DRUGA.

JARYNA.

Józefowi Korzeniowskiemu

przypisał autor.

Piękny był wieczór wiosenny! — wiosna u nas zawsze piękna i w żadnym kraju tak miłą i tak wdzięczną być nie może. Gdzieindziej zima nie tak sroga, jesień nie tak smutna i rozbudzenie ziemi do nowego życia przychodzi powolniej, nieznacznie, a ludzie nie widzą go prawie, nie mogą poczuć silnie. U nas cudny widok wiosny odsłania się jakby skinieniem czarodziejskiej laski: dziś płyną z gór strumienie, już trawka zazieleniała nad ciepłymi źródłiskami, jutro ruszyły się ziółka na polach, krzewy wzbierają na pączki, oto już wierzby się złocą, brzozy rozczesują warkocze i dęby poważne okrywają się liśćmi, których barwa, zdaleka widoczna, cechuje pana lasów. Człowiek, choć przywykły do tego widowiska, musi uczuć bicie serca, gdy mu ta młodość świata własną jego młodość przypomni, musi, śpiesząc do pracy, przypatrzeć się zbliska rozwinięciu życia we wszystkim, co go otacza, i w tajemniczym związku z naturą odmłodnieć, orzeźwić na chwilę. Nigdzie, zdaje się, niema takiej wiosny, jak u nas, tak wonnej, tak barwnej, tak dźwięcznej i wesołej, tak do serca przemawiającej. Może też taką się nam wydaje, bo jej często tak długo zza śniegów wyglądamy, oczekujemy... Cóż dopiero ta wiosna, gdy się ujrzym w miejscu pięknym z siebie, w oczach twych z obumarłego szkieletu przeistaczającym się w obrazek życia pełen? Jakżebyś nie uśmiechnął się, nie zadumał, patrząc, jak nagle suche, bezkształtne drzewa oblekają sukienki zielone, jak pod nogami twemi czarna ziemia się mai, z niedostrzeżonych

korzonków wystrzelają kwiatki, z niedojrzanych pyłków wyrastają liście, jak powietrze zaludnia się ptastwem gwarliwem, wody nieme i zastygłe rozplywają się w mrukliwe i błyskotne fale; — jakżebyś nie uradował się tym cudem, który po raz tysięczny powtarza się ciągle, zawsze nowy, zawsze dziwny i niespodziewany! Biada temu, kto nie czuje wiosny! Albo mu już życia zanadto, albo on światu niepotrzebny. Litować się nad nim trzeba, albo go się obawiać. Nie chciałbym ani kraju ciągłej wiosny bez zimy, ani towarzystwa człowieka, na którym powrót tej pory nie czyni już wrażenia.

W pięknym parowie podolskim siedział młody człowiek, otoczony wiosennym wieczorem, zadumany spokojnie, zadumany głęboko. Wiosna, co powoduje do życia drzewa i kwiaty, ma tę szczególną własność dla człowieka, że budzi w nim już tylko wspomnienia, ale tych lat, w których on najsilniej czuł, najmocniej żył. Któż nie doświadczył tego, że rozkwitłych bzów wonie, że śpiew słowików, świergot ptastwa, ryk daleki trzód, wypuszczonych na paszę, najwięcej na wiosnę wspomnień obudza i młodociane w pamięci odtwarza chwile.

Odżyć nie możemy, jak drzewa, nowemi liśćmi i kwiatem; odżywamy pamiętkami.

Okolica stroiła się, jak piękne dziewczę do kościoła; jaśniała świeżością, wiała zapachami, rozlegała się pieśnią ludzi i ptaków. Głęboki jar podolski wszędzie bujna zalegała roślinność, osłoniąca od chłodnych wiatrów, ogrzana słońcem południa; pomykając się ku niebu, zdawała się wyrwać z ciasnych ziem, zamykających ją w sobie. Do boków jaru czepiały się krępe dębczaki, kształtnie powyginane brzozy, wysmukłe brzosty, wyprostowane i strojne; pod nimi tarń zazdrośnik, zmówiwszy się z leszczyną, nie chcieli między siebie dopuścić nikogo; rzadki głóg, rzadka kalina lub dzika wisienka wymknęły się z ich poplątanych gałęzi trochę wyżej, na wolniejsze powietrze. Niżej, na bujnej ziemi, pod cieniem kolczastej tarniny rozkładały się zioła i kwiaty, przez szczupłe tylko między gałęzmi okienka przypatrując się słończku. Tu skromna a wonna melisa, czerwony groszek, chmiel obwijający się przyjacielsko, dopóki uściskiem nie wysuszy drzewa, które objął, małeńki, lecz silną swą wonią dający się czuć daleko, i tysiące nieznanych a pięknych roślin cisnęło się jedna przy drugiej, jak boży lud cisnie się na bożym świecie.

W głębi jaru stał skromny domek, okryty drzewami, osłoniiony ścianą parowu. Dwa krzywe odwieczne dęby z pniami mszystemi, jakby aksamitem powleczone, rozciągały nad nim opiekuńcze swe gałęzie. Od północy szare złomy skał, tu i owdzie wystające, pokrywały się także mchami, a wśród nich strzelały młode drzewek

i krzewów latorośle, których ziarno zaniósł wiatry na urwisko i których podrosły pniaczek wiatry też wyrwać groziły. Strumyk, zmiędzy skał sączący się cieniuchną strugą srebrzystą, spadał w wymyte łożysko, które przed kilku tygodniami znać szersze było, niż teraz, bo jeszcze poobrywane jego gliniaste boki trawami nie miały czasu porosnąć. Naprawo przy domku stał drugi także budynek pod strzechą słomianą; oba otaczał sadek i pasieka obrzucona błotem z pni i gałęzi, odżywających z wiosną naprzód i daremnie zielone puszczejących liście.

W głębi, poza domkiem, u skały, w której głęboką widać było pieczarę, chmielem u wnijścia obrosła, stał dąb rozłożysty samotny; pod nim jakby umyślnie rzucona skała, nakształt ławy szarej, wygodnym była siedzeniem.

Wyżej na górze, z dwóch dębowych prostych kłoców zbity, świecił od promieni zachodzącego słońca krzyż, suchym ustrojony taranem, znamię boże, znamię, zwiastujące na pustyni obejmującego ją w imię społeczeństwa człowieka.

Pod tym krzyżem, poza dębem, na skalistym złomie, niedaleko strumienia siedział ów młody człowiek w zamysleniu, poglądając na ściany zieleniejącego parowu, w którym zamieszkał. Twarz jego, jasną brodą strojna, męska, poważna, piękna, smutną była razem; ale smutek jej, nie przypadkowy, nie chwilowy, nie gwałtowny, zdawał się już życia warunkiem. Niebieskie oczy przywykły już były we łzie pływać, ze łąką się zamykać, otwierać łąką codzienną i usta uśmiechnięte łagodnie mówiły swém milczeniem: nie dla mnie świat, a przecież ja go tak kocham! Na czole wisiała chmura, zasłona dawniej a niezgojonej boleści. Ubranie tego człowieka było proste, a w niem mu przecie było pięknie i do twarzy: miał na sobie letnią siermiężkę, koszulę szarą, pas czerwony, a zpod czapeczki płóciennej wymykały się przerzedłe trochę jasne jego włosy. Piers ogorzała, źle osłonioną koszulą, chłodził wiatr wieczorny; on nie czuł go przecie: zadumany, patrzył, patrzył widać na inny świat, na inny czas, w daleką stronę niedojrzaną, patrzył sercem, a oczy na nic mu nie służyły. I w zamysleniu od godziny nie poruszył się, nie zdrzął, nie zmrzył oka; siedział posągiem; tak gdzieś dusza od ciała odbiegła. Myślał, jak się myśli na wiosnę, wśród samotności pięknego wieczora, o młodszych latach, o niedogonionej ubiegłej przeszłości, której tylko cień migał mu zdaleka, żegnając go — na wieki.

— Te resztki życia — myślał w duchu — nie do mnie już należą, do ludzi; moich było tylko chwilek kilka; naco mi po nich zdała się reszta? Przy tamtych wszystko szare, kamienne, chłodne, jak ten kamień, na którym siedzę! Jestem jak zgłodniały biesiadnik,

co mu podadzą przysmak w początku, a potem omijają go z każdym daniem. On patrzy, czeka, wygląda napróżno; teraz już kolój na drugich. Zwodne-bo też życie człowieka: tyle obiecuje, a te obietnic kwiaty pierwszy mrozek zwarzy i po nich niema zawiązek. Bądźmy więc drzewem, co nie dając owoców, służyć choć może na coś, wyrastając: na budowę dla człowieka, na schronienie gniazdom ptasim. Żyjmy dla drugich, tak, żyjmy dla ludzi! Dziwne są losy, dziwne — mówił dalej — jest w ich płątaniu niedocieczona tajemnica boża; są przecie szczęśliwsi, są drudzy jakby od kolebki napiętnowani i naznaczeni na rzeź nieszczęściu, zawodom. Jednym płynie żywot wstążką różową, drugim strugą krwawą. Dlaczego? tajemnica! tajemnica! Lecz Bóg, co wszystko urządzał swém techniem, musiał mieć w tém cel, musiał uczynić to dobrém. I my może kiedyś, z góry ujrzym to jaśniej, przekonamy się, że tak jest lepiej. A może pobłogosławim męczarni i cieszyć się będziemy boleściom naszym! Któż wie, czy szczęśliwi przelotnie tutaj nie są nieszczęśliwymi w przyszłości, gdy ich to szczęście tutejsze odurzy, zatwardzi, przywiąże do ziemi, a potem w chwili wyzwolenia skrzydeł nie znajdują, by w niebo podlecieć? Moje życie ciężkie, lecz mogę na nie płakać, mogę się uskarżać na nie? Nie wiem... Urodziłem się w nędzy, wyrosłem sierotą, przypadek błogosławioną ręką wyrwał mnie, ze stanu zwierzęcia do godności człowieka podnosząc; otworzyła się dusza moja, ujrzałem światło; mogę się skarżyć, gdy tyłu braci moich walczy w ciemnościach? Nie! nie! Bądźcie błogosławieni i wy, coście mi nie chleb i suknię, ale naukę dali drogą i myśl nieopłaconą! i ty, Alfredzie, coś swą przyjaźnią duszę moję stworzył, i ty... której imienia sam przed sobą powiedzieć nie śmiem, i ty... coś spojrziała na chłopca, jak na człowieka... i ty nawet, coś rownie karząc, odpychając, wywiódł ze mnie uczucie własnej godności, poznanie mojego położenia, i wy wszyscy, których spotkałem w życiu, tak, wszyscy, bo i zazdrość wasza i nienawiść płodne były dla mnie! Błogosławieni bądźcie ludzie życzliwi i nieprzyjaźni i błogosławioną bądź boleści moja! W szczęściu zapomniałbym może o obowiązkach, byłbym zniewieściał i upadł; cierpienie okryło mnie zbroją, dało siły i podźwignęło myśli.

Z zapałem płynęły dumy młodego człowieka, lecz tu się wstrzymał ich potok, westchnął i łza, z którą walczył, potoczyła się po ogoztałej twarzy.

— Dlaczegoż — rzekł — serce mi bije do młodszych lat? do wspomnienia nędzy, do tego życia sierociego, które dla mnie prawdziwsze poprzedziło życie? Dlaczego ryk tój trzody poruszył mi serce do głębi, wywołując pamięć pastuszych moich swawoli? Dlaczego płacę do mojego sieroctwa pierwszego, do złotej nędzy mo-

jój? Nie wiem! A! — zawołał — niema-bo innego szczęścia na ziemi nad nadzieję i widzenie szczęścia; potem wspomnienie widzenia, mara wiary i nic więcej... niema innego. Szczęście wielkie, marzone, nie byłoby trwałe, i któż wie, możebyśmy, jak w bajce o Meluzynie, ujrzeni wdzięczną jego postać, przeistaczającą się w potwór ohydny, możebyśmy za życia nawet wspomnienie stracili. Więc tak lepiej, lepiej, tak być musiało; skłonmy głowę przed koniecznością żelazną.

I to mówiąc, podniósł czoło, a zdrętwiały długiém siedzeniem bez ruchu, otrząsł się, chciał powstać, lecz szelest bliski go zatrzymał.

Ścieżynką od parowu, która stromo biegła w jar, ocieniony drzewami, spuszczała się biała postać dziewczyny, jasne zjawisko na tle ciemnych liści; piosnka, coraz ciszej nucona, towarzyszyła mu. To jedną, to drugą ręką dziewczę chwytało za głogi, za dębczaki, za brzeźniak, żeby się nie ośliznąć i nie upaść, i coraz chyczéj, coraz prędzej rozbiegłszy się, mimowoli skoczyła wreszcie w dolinę, zatrzymując się prawie u dębu, pod którym siedział młody człowiek. Spojrzała, postrzegła go, krzyknęła niby przelekniona, zarumieniła się, roześmiała i, pogładziwszy swe czarne włosy, poczęła się oglądać dokoła, jakby szukała jeszcze kogo, jeszcze czego; przecież nie zgubiła nic w drodze, ale, skłopotana, oglądała się tak, udając, że jój czegoś braknie.

Młody człowiek — był-to Ostap Bondarczuk, którego pierwszych przygód możecie nie zapomnieli jeszcze — zobaczywszy dziewczynę, z litością i zajęciem spojrział na nią i w języku ludu powitał ją dobrym wieczorem.

— A! dobry wieczór wam! — odpowiedziała, ciągle się rumieniając i oglądając. — Wy jeszcze pod swoim dębem?

— Cóż chcecie? wieczór taki piękny; nie można się w chacie zamknąć.

— Tak i mnie — podchwyciła. — Przybiegłam dowiedzieć się do was, czy nie potrzebujecie mnie... do waszych krówek?

— Dziękuję ci, Jaryno (*) — odpowiedział Ostap. — Stara Lepicha już je zapewne podoić musiała.

— To już tak! — zawołała dziewczyna z prostotą, plaskając w ręce — wy już zamówiliście sobie, jak widzę, starą Lepichę! No, to bywajcie zdrowi, kiedy już tak! O! jakież ty niedobry, mój Ostapie! — dodała, mieniając coraz i *wy* i *ty*, a nie mogąc na żadne się odważyć — nawet nie chcecie, żebym wam się wywdzięczyła zato, coście mi matkę wyzdrowili.

(*) Imię przekształcone zapewne z Ireny.

— Dziękuję ci, Jaryno, ale ty sama jedna jesteś przy niej, czasu nie masz; w chacie wszystko na twoich rękach; jakżebym ja mógł pozwolić, żebyś jeszcze mnie posługiwała, biegając tak daleko?

— A co to za daleko? — żywo odpowiedziała Jaryna — czyż to daleko? Zaraz za parowem przez pole, przez łąkę, przez dębniak, kawałek grobelki i wioska.

— A jednego z drugim będzie dobre pół mili.

— Gdzie tam! Wam to się tak zdaje, że daleko, bo nie wiem od czasu, jak matka pozdrowiała, czyście byli trzy razy u nas, ale dla mnie to blisko. No, powiedzcie prawdę — dodała, zbliżając się — czy wasze krowy podojone?

— Nie wiem — rzekł Ostap — ale, moja Jaryno, tobie za tém biegać i niełatwo i — dodał ciszej jeszcze — ludzie na ciebie spleść co gotowi.

Jaryna roześmiała się i poczerwieniła razem i plasnęła znowu w ręce.

— Mój ty Boże! czy nie na mnie i nie na was! Alboż myślicie, że was nie szanują jak potrzeba, żeby kto śmiał co złego o was pomyśleć?.. Porzućcie! ot, lepiej mówcie prawdę... Wam się uprzykrzyło i wolicie Lepichę, bo Lepisz dacie mleka, powiecie: „Dobry wieczór“ i koniec; a ja wam pokoju nie daję: muszę gadać, muszę zaczepić, muszę choć popatrzeć, a to was może i nudzi?

Ostap się zarumienił, ruszył ramionami.

— Co tobie w głowie, Jaryno? — rzekł powoli. — Już cię mnie, co tu tak sam jeden siedzę, jak na puszczy, miło z kim pomówić, miło do kogo się odezwać.

— Tak, ze starym jakim, ze znachorem, albo z takim, co to dawne rzeczy pamięta, ale ze mną? — Ruszyła także ramionami. — No, ale powiedzcie mi, czy krowy wasze podojone? Pójdę ja sama zobaczyć do obórki. Tylko jeśli tam już Lepicha jest? E! to nie! mogę jęj pomódz.

I żwawo pobiegła, mijając Ostapę, ku ogródkowi, który osłaniał obórkę. Ostap pozostał pod dębem, zwolna, zamyślony przechodząc się po murawie i poglądając na piękną Jarynę, która niejedną raz obejrzała się z uśmiechem ku niemu.

Jaryna w istocie była piękna, choć trzeba było niezepsutych oczu, żeby dojrzeć jęj niepospolitęj piękności, bo ją okrywał strój niewdzięczny i zaniedbanie pracowitych ludzi.

Ale pięknemu we wszystkiem pięknie i zawsze do twarzy: Jaryna pomimo obcisłej podolskiej zapaski, która bogate kształty jęj kibici wydatnie czyniła, pomimo grubęj swęj koszuli, pomimo opalenia, była oryginalnie i istotnie piękną. Twarz jęj doskonale owalna, choć smagława, ale cery pełnej krwi i ognia, rumieniła się żywo;

oczy czarne pałały, nosek mały, prosty, kształtny z rozdętymi nozdrzami, jak u konia araba, spuszczał się na usta wąskie, malinowe, maleńkie, których strój, ząbki białe, przy ciemném licu bielszymi się jeszcze wydawały. Gęsty, bujny, jak podolskie zboże, warkocz, okręcony dokoła głowy, strojny w zieloność i kwiatki, koronował ją, nakształt popiersi starych greckich modelów. Szczególnym zapewne, ale nie jednym przykładem, rękę i nogę miała małą i kształtną, choć zaniedbaną, ramiona jak utoczone, a silna i wysoka, w pasie, który czerwony włóczkowy obejmował *pojas*, gibka była i cienka, jak niedorosła dziewczeczka. Wyraz jęj twarzy zapowiadał uczucia gwałtowne, wolę niezłomną i bystre pojęcie.

Jaryna znikła za krzewami, sadząc przez płoty, jak sarna, a Ostap, znowu zamysłony, siadł pod swoim dębem.

— Otóż — myślał — jeden z tych pięknych dzikich kwiatów, które trochę słońca takby wspaniale rozwinęło! Lecz zaledwie od piersi macierzyńskiej, z kolan matki skoczyć musiała do pracy; pełzając jeszcze, już służyć się uczyła. Promyk myśli, jeśli zaświtał w jęj główce, to go tam Pan Bóg chyba zesłał przez anioła-stróża; bo nikt z ludzi nie pomyślał, że nie dość jęj pokarmu, odzieży i snu, że potrzeba myśli, światła, uczucia, coby wewnątrz, jak w lampie, zapłonęły... A dusza wyrывa się ku temu światłu, którego pragnie, jak drzewa tego parowu podnoszą gałęzie i śpieszą rosnać, by się wydobyć ku słońcu. Jak ona słucha, jak chwytą, jak pamięta każde słowo, jak w nięj ziarenko drobne rozrasta się i rozkwita! Ileż to razy zdumiałem się, gdy po dniach kilku powtarzała mi moje własne wyrazy, przez nią przerobione, silniejsze, zdaje się, i ognistsze! Lecz jakież ją los czeka? Szumne wesele, mąż obojętny, dzieci piskliwe, niedostatek, praca nad siły, wczesna starość, smętna, zimna, swarliwa...

Domawiał w głębi piersi tych wyrazów, gdy Jaryna szybko z krzaków wybiegła i zastanowiła się przed nim ze skopkiem w rękę.

— Niéma i nie było Lepichy — zawołała wesoło, patrząc mu w oczy. — Nawet stary Iwan mi się przyznał, bo to taki poczciwy człowiek, że Lepicha tu ani razu nie była. Dajcie pokój i nie zamawiajcie jęj. Co to wam szkodzi, że ja sobie codzień przybiegnę i parę tych krów udoję? Mnie to miło.

— Ale taki kawał drogi iść codzień!

— Co to wam do tego? Toć zato posłucham was, a ja tak lubię słuchać, gdy mówicie.

I zasłoniła się i spuściła oczy.

— A ludzie! — rzekł Ostap.

— No! jeśli wola, niechaj sobie plotą; mnie to wszystko jedno.

— I za mąż nie pójdziesz?

— Dajcie mi pokój! Sto razy poszłabym, gdybym chciała, bo starego Kuźmę ludzie znają, że zapomogi nie potrzebuje, a ja u niego jedynaczka. Ale ja nie chcę.

— Dlaczego?

— O! to... chcecie wiedzieć? No, to powiem... bo drugiego Ostapa we wsi niema! — zawołała prędko i uciekła.

Ostap na to niespodziewane oświadczenie osłupiał i pozostał w miejscu przybity, zasmucony na długo. Kto wie, co się w tej chwili w sercu jego działo! — tak przykro miłość odepchnąć, ten najdroższy dar na ziemi.

Już słońce skryło się za góry i chłód, często ostry w dolinach, dojmować zaczynał, gdy powolnymi krokami przeszedł ku domkowi, ale nie wchodząc do izby, zrzucił tylko czapkę i siadł na progu. Jaryna niepostrzeżona przesunęła się zmrokiem już przez ogródek, wdrapała się na strome wzgórze po ścieżce ledwie znacznej i, spojrzawszy raz jeszcze na Ostapę z góry, szybko pobiegła do wioski.

Nazajutrz znowu pogodny wiosenny wieczór ozłacał parów Bondarczukowego chutoru żywymi blaskami zachodzącego słońca, a Ostap, powróciwszy z wędrowki po wsiach sąsiednich, w których miał chorych, bo febry, zwykle z wiosną najczęstsze, pokazywać się zaczynały, otarłszy pot z czoła, postawiwszy kij w kącie sieni, szedł pod dąb usiąść, spocząć i dumać, wedle zwyczaju. Kilka razy oczy jego zwróciły się na ścieżkę, którą zwykła była przechodzić Jaryna, i zasmucił się, jakby pragnął, żeby więcej nie przyszła, jakby jej wesołość ścisłała mu serce, jakby jej widok go męczył.

Po wczorajszym wyznaniu tak dziwnym, sądził, że przynajmniej kilka dni się nie pokaże, ale nie znał serca kobiety i zapomniał, wychowanie miasta, obyczajów wieśniaczych. Jaryna zjawiła się znowu o swojej godzinie, wesoła, jak była wczoraj, spokojna, i powitała go pierwsza zwykłym: — Dobry wieczór.

Oczy jej nawet śmieliej dzisiaj powtarzały to, co usta powiedziały wczoraj. Ostap smutniejszy był i zafrasowany.

W jego sercu był chłód wspomnień tylko; nie mogło być i nie było namiętnego przywiązania, bo wszystkie, jakie miał, zwrócił ku jednej kobiecie; najognistsze uczucie nie mogło rozplomienić tych ostygniętych popiołów. Pomimo to, czuł jakąś wdzięczność, czuł przyjaźń i życzliwość dla kobiety, która się do niego przywiązała. Widział on oddawna, jak ze drżeniem poszanowania, z uwielbieniem jakimś cichem nieraz przysłuchiwała się jego słowom; dostrzegł nieraz płomyka w jej źrenicy, drżenia w głosie, rumieńca na twarzy, ale tłumaczył to sobie — poszanowaniem, bojaźnią, wdzięcznością. Miłość, zjawiająca się niespodzianie na drodze jego życia, już za-

mkniętej w ciasne szranki, choć ją witał mile, była dla niego frasunkiem i niepotrzebnym ciężarem. Jak się za nią wypłacić? co z nią począć było?

Sumienie kazało odepchnąć, litość broniła. Chwilę walczył, wreszcie pomyślał, jak wielu:

— To tylko upodobanie chwilowe; wielkie namiętności są rzadkie, u ludzi niższego stanu rzadsze jeszcze, niż gdzieindziej; nie mają czasu myśleć, ani poddmuchiwać ognia; praca ciężka broni ich od wielkiego cierpienia. To minie.

I podniósł głowę, odpowiadając na powitanie pięknej Jaryny uśmiechem: — Dobry wieczór!

Jaryna, jak zawsze, ubrana w kwiatki polne, wyświeżona, prawie strojna, spoglądała na niego gorąco, zalotnie i, oparłszy się o pień dębu, pod którym siedział, poczęła rozmowę.

— Widzicie, jak-em się uwinęła: skopałam kawałek ogrodu, wysadziłam i podlałam rozsądę, nastawiłam wiececzkę i, matce ją poleciwszy, pośpieszyłam do waszych krówek. Dowiadywałam się od Lepichy, czy to prawda, żeście ją zamówili, ale jako żywo ani słyszała o tém. Ona już nawet nie zdłuża.

— Dziękuję ci, Jaryno, ale tobie to także za ciężko.

— Ciężko, widzicie, tylko to, co niemiło — odpowiedziała śmiało dziewczyna.

— Tyś taka pocziwa, moja Jaryno, że tobie miło zawsze każdemu zrobić.

— Każdemu, myślicie? O! nie, nie jestem już ja taka dobra. Jednemu się robi, aby zrobić, drugiemu robi się z całego serca.

— Daj Boże zawdzięczyć ci twoje dobre serce..

Dziewczyna westchnęła.

— Albo to ja potrzebuję waszój wdzięczności?

Podniosła głowę, dwie łzy zakręciły się w jej czarnych oczach, ale je wstrzymała, nim upadły, i uśmiechnęła się znowu.

— Jak mi się zechcecie wywdzięczyć, pamiętajcie, zawołajcie Jaryny i pozwólcie jej słuchać, gdy będziecie mówili o czém długo, długo, długo.

— O czém?

— A! o czém sobie zechcecie. Lubię was słuchać nawet, kiedy nie rozumiem; jeśli słów nie pojmem, to wasz głos dźwięczy mi w uszach jak najpiękniejszy śpiew ptaszka.

— Dziękuję ci — rzekł z przymuszonym uśmiechem Ostap — to twoje pocziwe serce tak mi się wywdzięcza za matkę.

— Za matkę! — cicho szepnęła Jaryna — niechaj i za matkę! Ale mnie się zdaje, że i bez tego jabym czuła, co i teraz; to jakoś Bóg wie, skąd przyszło. Wprzódym się bała, bardzo bała; myśla-

łam sobie: taki rozumny człowiek, to musi być bardzo straszny; a jak-em się przekonała, że wasz rozum potulny i cichy i dobry, ciekawam była tego rozumu i ot, tak, powoli, powoli... a teraz jakbym was długo nie widziała, czuję, że byłoby mi bardzo tęskno, a gdyby mi kto powiedział, że nigdy nie zobaczę...

— Cóż wówczas, Jaryno? Wszak to być może; ja-m nie tutejszy i kiedykolwiek oddalić się mogę.

— O! nie mówcie! naco to mówić! — zawołała z zapałem i suchemi już oczyma — to być nie może! No! a gdybyś poszedł gdzie od nas daleko... to ja za tobą.

— Żartujesz, Jaryno — rzekł Ostap z przykrém uczuciem w sercu. — A matka, a ojciec? — dodał łagodniej.

— Matka... ojciec... to prawda! — ciągnęła dalej smutnie. — Matka, ojciec, chata nasza, półko nasze, to ciężko porzucić; a coby oni bez swojej jedynaczki poradzi?. No... to gdybym za tobą pójść nie mogła... tobym... ot... ja nie wiem.

Odkoczyła od drzewa, porwała skopek i, zakrywając oczy, pobiegła ku obórcce. Ostap wstał zamyślony, smutny, zniecierpliwiony prawie i zamknął się w swojej izdebce. W godzinę potem Jaryna go szukała, powracając, pod dębem, w ogródku, na progu, podkradła się pod okienko, zobaczyła siedzącego nad stołem i, widząc zamkniętego w tej porze, którą był zwykł przepędzać na podwórzu, domyśliła się, że jej unika.

— To tak! — szepnęła pocichu do siebie. — Chce? nie zobaczy mnie więcej... ale ja widzieć go będę!

I żywszym krokiem pośpieszyła do wioski.

Ostap przemęczył się w zamknięciu do późna, pewien dopiero, że Jaryna już do wsi odejść musiała, wyszedł, swoim zwyczajem, na próg, bo do późnej nocy zwykł był siadywać na kamieniu u drzwi, w myślach i modlitwie.

On może jeden ze wszystkiej młodzieży, co się pod te czasy w Berlinie uczyła, on może jeden się modlił. Nadto był rozumny, żeby miał stracić wiarę, nadto wierzył, by chciał najwyższe dobro człowieka dumnym a czczym rozumowaniem poświęcić. I zdawało mu się, jak wielu innym, że rozum nie kłóci się z wiarą, a wiara nie może przeklinać rozumu.

Księżyc wszedł na niebo i blade jego światło ubieliło przed chwilą złociste drzewa; ślicznie teraz wydawał się jar, osuty gąszczami, tajemniczy, pełen cienia, wśród którego drżały porozrzucane światła księżycowe. Cienki strumyk błyskotał w ciemnościach, chwytając promyki i bawiąc się niemi. Ostap przedumał długo a długo, modlił się także, ale po prostu, po swojemu, modlitwę, ten wyskok duszy ku niebu, przerywając zamyśleniem nad sobą. Pół-

noc się zbliżała, głęboka cisza nocy wiosennej, tajemnicza, urocza, niepokojąca rozlewała się dokoła, przerażając swą niezbadaną wielkością. Bóg przeznaczył ten czas na sen dla wszelkiego stworzenia, aby mu oszczędzić dum, jakie obudza milczenie głucho, milczenie potężne. Ostap słuchał myśli własnych; wtém zdało mu się, że dochodzą go zdaleka tętent koni i głosy ludzi.

Nie byli-to nocležanie, bo w tej stronie nie zbierali się nigdy parobcy z końmi i wołami; wypasów brakło.

— Może kto jedzie wezwać mnie do chorego — pomyślał sobie i poszedł ku domowi.

Tętent i głosy zbliżały się powolnie. Lekki wietrzyk, wiejący od strony, z której przychodziły głosy, donosi je wyraźnie wśród ciszy; Ostap usłyszał urywane słowa:

— A nie mylicie się, bracie?

— Nie, panie; ot, już jesteśmy pod jarem.

— A jest w domu?

— Zdaje się, że jest.

Resztę tętent koni zagłuszył. Zapytania czynione były po polsku, odpowiedzi w języku ludu.

— To do mnie ktoś jedzie; chwała Bogu, żem gotów.

Stał w progu; otwarły się wrota skrzypiące i jeden konny wjechał, drugi wszedł pieszo, prowadząc za sobą konia. Księżyc oświecił wjeżdżającego mężczyznę, który był okryty płaszczem ciemnym. Zatrzymał się on pod gankiem, zsiadł i milczący wchodził, gdy u drzwi postrzegł Ostapa, popatrzał, poznał go i rzucił mu się na szyję.

— To Alfred!

— Ostapie, to ty! — zawołały razem dwa głosy.

— Co za gość! co za gość niespodziany, kochany! — rzekł gospodarz, wiodąc go do ciemnej jeszcze izby... — Przybyłeś do znajomych, do krewnych i nie zapomniałeś o mnie. Ale dlaczegoż tak późno?

Już byli w izbie — i drzwi zamknęły się za niemi.

— Jakżem ci wdzięczny!

— Nie dziwuj się, ani dziękuj — rzekł przybyły smutnym głosem. — Przyjechałem do ciebie umyślnie i przywiozłem ci nie pozdrowienie przyjaciela, ale ciężar na barki twoje.

— Ciężar, Alfredzie? Ty dla mnie ciężarem? Niewdzięczny jesteś, niewdzięczny!

— O! nie o mnie to mowa!.. ale poczekaj, nie mam siły mówić ci wszystkiego zaraz; niech odetchnę, niech spocznę. Odprawmy człowieka, który mnie tu przyprowadził; nakaż mu milczenie; mogą mnie szukać; niech nikomu nie mówi, że mnie tu przyprowadził.

— Jakto? cóż to jest? chowasz się?

— Uciekam!

— Ty?

— Ja! Zobacz go; ty go znasz; uprosz od siebie. Oto pieniądze. Oni cię wszyscy kochają; dla ciebie milczec będzie. Nie pytaj mnie; uczyn tak!

Ostap stał niemy, nie mogąc zrozumieć, o co chodziło; ale choć dotąd nic prawie nie wiedział, domyślał się głównego, że Alfred chce się ukryć; wyszedł więc i przewodnika, dobrze sobie znajomego, odprawivszy dla spoczynku i posiłku, opłaciwszy go, nakazał mu, żeby nikomu a nikomu nie mówił, iż do chutoru kogoś nieznanego przeprowadzał.

— Mniebys tēm mógł zaszkodzić — dodał, rachując na przywiązanie ludu do siebie.

— Bądźcie spokojni, żywa dusza wiedziéc nie będzie — szepnął przewodnik i odszedł pocichu.

Gdy wniesiono światło, zdumiał się Ostap, spojrzawszy na Alfreda, tak dziwnie znalazł go zmienionym. Przedwczesna starość zmarszczyła i wysuszyła niegdys piękne delikatnością rysy twarzy, które się stały ostre i suchą, zżółkłą skórą były pokryte. Na głowie Alfreda przeredły włos już się posrebrzać zaczynał, policzki wpadły głęboko, oczy zagasty, a schylone ramiona zmniejszały go jeszcze.

— Co to jest? — spytał prędko Ostap, objąwszy go wejrzeniem szybkim i siadając przy nim — mów, proszę cię, co to jest? co ci się stało? Nie mogę znieść tēj niepewności. Cokolwiek cię spotkało, musisz mi powiedzieć; zlituj się, mów prędej. Tobie i mnie, zbywszy się tego ciężaru, lżej będzie.

— Mnie, może, tobie, nie wiem — rzekł Alfred smutno — i nam obu podobno nie rychło lżej będzie, pocziwy mój przyjacielu. Ale powiedzieć muszę, potrzeba... słuchaj więc. Jesteśmy sami; będzie to szczerza spowiedź. Widzisz, mnie trudno poznać, tak-em się odmienił. Spójrzj na mnie: to moje szczęście tak się wypiętnowało na twarzy!

— Alfredzie, nie bluźń! — rzekł cicho Ostap, cisnąc jego rękę — jeśli nie jesteś szczęśliwy, sam temu jesteś winien.

— Ja nie szydę, nie bluźnię — poważnie podchwycił hrabia — nie, nie; mówię ci szczerze, mówię ci prawdę; byłem i jestem szczęśliwy i szczęście moje mnie dręczy. Michalina jest najlepszą w świecie żoną, aniołem dobroci; ale codziēn patrząc na to, co ją moje szczęście kosztuje, widzisz, w co mnie zgryzoty przemieniły! Gryzę się i truję poświęceniem tēj kobiety.

— Ona cię kocha!

— Ona mnie nie kocha, nie kochała, nie mogła kochać — odrzekł surowo hrabia. — Jest to jedna z tych rzadkich kobiet, co kochają w życiu raz tylko i nazawsze.

Ostap spuścił oczy, krwią się oblał, udał, że nie rozumie i milczał. Alfred mówił dalej:

— Ale Misia, jak święta, gdy raz przysięgła u ołtarza podzielić ze mną życie, spełnia swą ofiarę bohatersko, męczeńsko; żyje ze mną i dla mnie tylko, choć sercem jest gdzieindziej. Pan Bóg dał jej pociechę — dziecię; u jego kolebki dopiero trochę sił nabrała. Ukazałem ci zpod zasłony, która dla całego świata życie nasze pokrywa, część jego najważniejszą; nikt z obcych, prócz ciebie, nie przeczuwa, nie domyśla się, posądzić jej nie może o poświęcenie, tak je spełnia z twarzą wesołą, z uśmiechem rezygnacyi i spokoju. Ja tylko jeden, ty drugi wiemy, co się dzieje w jej sercu.

— Alfredzie — przerwał Ostap — pozwól sobie przypomnieć, com ci nieraz mówił dawniej jeszcze w Berlinie. Wy, ludzie złą cywilizacją zepsuci, przywykliście w każdym kwiecie wprzód, niż zapachu i barwy, szukać robaczka, co go toczy; z pyłków kielicha często tworzyć sobie potwory. Schorowana wyobraźnia wasza wyciąga przed was widziadła i mary.

— To nie są mary! to prawda święta! O! jakbym chciał się mylić! Ale dość tego, serce mi się krwawi. Miarkuj życie moje. Nie mogę jej pokazać, że wiem, jak cierpi, ani ją pocieszyć; kocham ją, zawsze spragniony wzajemności, a już się jej przestałem spodziewać. Jestem nieszczęśliwym, jednem słowem. Od lat dwóch straciłem wszelkie złudzenia, wszelkie, choć dalekie urojenie, że się Misia odmienić może dla mnie. Ona mnie szanuje, ceni, ale nigdy kochać nie będzie.

— Biedny Alfredzie, jakże jeszcze chcesz, żeby cię kochała? Mówisz, jakbyś miał lat dwadzieścia.

— Tak! dziecinnie się! Jak? jak chcę, żeby mnie pokochała, to ja wiem! Tak, jak umie kochać i kocha kogo innego. Znam jej serce, bom lata całe śledził jego głębię, i wiem.

— Mów dalej — przerwał Ostap.

— Z wesołą twarzą, udając także szczęście, cierpię i znoszę męczarnie, całując ręce jej z wdzięcznością. Ale tu — dodał, uderzając się w piersi — o! tu mam całe piekło! Nie dziw się, że rozdrażniony, wściekły, ilekroć mogę, mój gniew przeciwko sobie, moje zajadłość wylewam na ludzi.

— Cóż oni winni?

— Ja wiem, że nie winni, ale namiętność nie zna logiki. Ja-m winien sam, to prawda, ale na kimże się mścić będę?

— Dlaczegoż masz się mścić?

— Bo chcę zemsty!

— Mój Boże! Alfredzie, ja cię nie poznaję!

— Ja sam poznać się nie mogę ani w zwierciadle, ani w sercu własnym.

— Biedny Alfredzie!

— Szukałem téj głupiej zemsty i znalazłem ostatnie nieszczęście, które mnie dobija. Co żyło w sąsiedztwie, potrafiłem oburzyć, obrócić na siebie, zniechęcić, podnieść; zrobiłem sobie nieprzyjaciół podostatkim. Od ludzi, co mnie otaczają, począwszy od krewnych, zadrażniłem się ze wszystkimi.

— Zlituj się, Alfredzie, to szal, to obłąkanie!

— Tak! to szal; ja nie jestem panem siebie! Męcę siebie, męcę drugich. Szal! uznaję, ale wyleczcie mnie z niego!

— Kto wie?

— Strułem jój życie i szczęście, strułem swoje. Może, kto wie? byłbym znalazł inną! Ja jój nie kochałem, gdym się z nią żenił; miłość wzrosła niepodobienstwem pozyskania jój. Zresztą nie wiem nic, nie rozumiem nic; jestem nieszczęśliwy, to dosyć.

— Ale dlaczegoż uciekasz? czegoż się masz kryć? Co to jest znowu?

— O! to ostatnie i najwyższe nieszczęście: muszę ją i kraj porzucić.

— Dlaczego?

— Dzieciństwo! — odparł Alfred ponuro. — Byłem zły i pragnąłem na kogoś złość wylać; nawinał mi się jakiś wartogłów, plułem mu w oczy, wyzwiał mnie, strzelaliśmy się i...

— Ty go zabiłeś! — krzyknął Ostap, łamiąc ręce.

— I cóż z tego? zabiłem! — rzekł Alfred, ruszając ramionami.

— To najgorsza, że uciekać muszę.

Ostap się wzdrygnął.

— I ta krew ci nie cięży, krew niewinna, krew bratnia?

Alfred spuścił głowę i westchnął. Dotąd mówił z rodzajem gorączki, teraz rzucił się na posłanie i zawołał:

— Nie mów, dosyć tego!

Po chwili podniósł twarz zbladłą i mówił dalej:

— Zabiłem go! muszę uciekać; gonią za mną. W tych dniach za staraniem przyjaciół dostanę się za granicę. Ale nie pójde stąd, nie usunę się, choćby mi największe groziło niebezpieczeństwo, póki ty mi nie dasz słowa, że moja żona i dziecię pod twoją zostaną opieką aż do powrotu, aż do... nie wiem dopóki, bo czyż powrócę?

— Pod moją opieką! — zawołał Ostap, jakby nie rozumiał. — Jakto?

— Jutro ja odjeżdżam za granicę, ty jedziesz do Skały, jako opiekun Misi i Stasia.

— Ja ich opiekunem! Co ci się dzieje, człowiecze? Spójrz na mnie! Cóż tam pomoże prosty chłop, jak ja?

— Zrobisz wszystko, bo wiem, że zechcesz zrobić, że potrafisz. Majątek mój zostawiam w stanie najgorszym: procesów mnóstwo, ludzie złą administracją panów rządzców zniszczeni i prawie rozpaczą zbuntowani, sąsiedzi nieprzyjaźni, wierzyciele uprzykrzeni, Misi sama jedna. Jeśli mi odmówisz, jesteśmy zgubieni.

— Mów raczej, jeśli ci przyrzeknę. Jakże jabym temu mógł podołać?

— Sercem, wolą, rozumem. Ty możesz, co zechcesz!

— Interesów, rządu majątku, spraw, ja nic nie rozumiem.

— Dla ciebie nic trudnego niema.

— Alfredzie, co za myśl dzika!

— Mógłbym się omylić, rachując na przyjaźń twoją?

Ostap zamilkł; Alfred w oczy mu spojrział i żywo dodał:

— Ja ci ufam, ty mnie rozumiesz, ja ci zupełnie ufam.

— Ale ja nie ufam sobie — odparł smutnie Ostap.

— Tyś silny, ty możesz, co zechcesz, powtarzam; chciój, a uratujesz nas.

— To nad siły moje; zawiódłbym cię, robiąc nadzieję.

— Więc słuchaj, Ostapie — rzekł hrabia, podnosząc się — albo zostanę i, sądzony, pójdę odpokutować ciężkiem, upokarzającym wygnaniem, albo ujdę sromotnie, zostawiając, co mam najdroższego, na zgubę, na nędzę, na zajądlność nieprzyjaciół.

— Chcesz mówić otwarcie? — odezwał się Ostap.

— Mów, lecz nie wyrzekaj się mnie, nas.

— Michalina... — rzekł Bondarczuk, usiłując wymówić więcej — Michalina... — głos zamarł mu w ustach.

— Kochała ciebie i kocha cię jeszcze — przerwał mu Alfred — ja to wiem, lecz wiem razem, że najszlachetniejszemu z ludzi los mój powierzam. Tego ja się nie boję. Któż wie? może nawet ciągle karmiąc się ideałem...

Ostap gorzko się uśmiechnął i dokończył:

— Tak, może zobaczywszy mnie, roześmieje się, ruszy ramionami i uleczoną zostanie. Dobra i piękna myśl! — dodał, wzdychając i śmiejąc się razem. — Stanę przed nią tak, aby mnie kochać nie mogła; zwałam się dla niej umyślnie, pokażę się jój zimnym, obojętnym, zgłupiałym i pogardzi mną.

— Tybys to uczynił dla mnie! — krzyknął Alfred w przystępie egoizmu radosnego.

— Dla ciebie? nie! dla niej tylko! — odparł Ostap — dla niej

bo ją kocham, a ona moja nie mogła być, nie może. Uczynię to, a potem... ucieknę i umrę. Będziesz-że jeszcze śmiało powiedzieć, żeś się na mnie zawiódł?

Alfred rzucił mu się na szyję. Ostap bezsilny upadł na ławę i, chwytając głowę w dłonie, zamilkł.

Dziesięć wiosenny świtał za ledwie na niebie pogodnym, a już nie zmrzywszy nawet oka, Alfred po długiej nocnej rozmowie w dalszą wybierał się drogę, czując, że krewni zabitego, chciwi zemsty, gnać go będą zajadłe i chwycić mogą, jeśli nie pośpieszy się za granicę. Ostap, po nocnych zwierzeniach i przyrzeczeniu, które na nim wymógł przyjaciel, bezsilny, wątpiac o sobie, smutny, patrzył na wyjazd Alfreda z założonemi rękoma i zdawał się cofać z bojaźnią przed wielkością ofiary, jakiej po nim wymagano.

Alfred to widział i nieustannie to prośbą, to zaklęciem, to słowem przyjaźni wymagał zapewnienia i powtórzenia przyrzeczeń.

— Słuchaj — mówił raz jeszcze na wsiadaniu, trzymając go silnie za rękę — dałeś mi słowo, że jedziesz natychmiast objąć opiekę nad Misią i Stasiem; jeśli się cofniesz, zgubisz ich i zgubisz mnie. Nie mam nikogo, prócz ciebie; tyś dla nich i dla mnie krewnym, ojcem, opiekunem, przyjacielem, wszystkiem. Brzemie wielkie, ale i ty, w oczach moich, wielkim jesteś, dźwigniesz je.

— Lub upadnę pod niem.

— Nie upadniesz! — zawołał Alfred — nie upadniesz; tyś silny.

— Bóg to wie — smutnie, całując przyjaciela i cisnąc dłoń jego, odparł Ostap. — Jedź spokojny. Uczynię, co tylko będę mógł, poświęcę się, nie oglądając się na siebie, na jutro, na nic. Jeśli ta ofiara, jak tyle innych na świecie, zostanie daremną, nie mnie mieć za złe. Biorę za świadka tego, który widzi wszystko, że krwi nawet mojej nie pożałuję dla was.

W milczeniu ścisnęli się raz jeszcze i Alfred szybko popędził konia, nie chcąc więcej patrzeć na twarz przyjaciela, tak w tej chwili bladej jęj, zaszepienie srogim dla niego były wyrzutem.

Ostap pozostał w ganku, przykuty do progu, osłupiały, w tym stanie znużenia umysłowego, w którym ciężko jest otrząść myśli i przyjść do siebie. Cały prawie dzień spłynął mu na rozmyślanii o przyszłości, na rozpatrywaniu zostawionych przez Alfreda papierów, na planach i mierzeniu się z ciężarem, jaki mu w spadku pozostał.

Ku wieczorowi, niepodobny do siebie, spracowany wytężeniem

myśli i uczuć, powłókł się biedny pod dębowy krzyż swój, spojrział na ten znak, przypominający nam codziennie wielką ofiarę boską, i lzy, dawno mu nieznanne, jak dziecięciu, puściły się z oczu obficie.

— Mistrzu poświęceń i mistrzu cierpienia! — zawołał z głębi duszy — naucz mnie, co mam czynić. Ty widzisz, że mi nie żal niczego, że drzę tylko przed ogromem powinności, ale się jej spełnić nie wzdragam. Kieruj mną, żebym nie zachwiał się, nie osłabł, nie upadł.

I mówiąc te słowa, rzucił się na kamień, bezsilny, nawpół omdlały.

— Dobry wieczór! — odezwał się wesoły głosik Jaryny, który zabrzmiał dziko i sprzecznie w uszach Ostapa.

Podniósł głowę, spojrział, nie wiedząc z początku, ani kto mówił, ani co powiedziano do niego; potem, powoli wpatrując się w twarz uśmiechniętą wieśniaczki, odpowiedział jej przywitaniem, ale tak cichem, że ledwie dosłyszec go mogła.

Łatwo jej było dostrzedz, że Ostap nie był w zwyczajnym stanie duszy: twarz, oczy, głos zdradzały niezwykle poruszenie, boleść, znużenie; popatrzyła na niego dziewczyna i z uczuciem spytała:

— Co to wam?

— Mnie? nic, jak widzicie.

— O! coś wam jest! Wszakżeście nie chorzy?

— Nie, nie.

— A cóż to się wam stało?

— Co? tak, jak nic. Tylko mi żal tego spokojnego jaru, tój cichej chatki mojej i was wszystkich.

— Dlaczego żal? — żywo podchwyciła Jaryna, przysuwając się ku niemu.

— Bo wszystko to opuścić trzeba.

— Jakto? dlaczego opuścić? Ja was nie rozumiem.

— Jutro, za kilka dni najdalej, pojedę.

— No! i powrócicie.

— Któż wie, jadąc, czy powróci?

— Alboż możecie odjechać daleko, na długo?

— Muszę.

— E! to wy mnie tylko straszycie! To być nie może, to być nie może, nie, nie.

— Tak przecie jest.

Jaryna puściła z rąk skopek, który trzymała, spojrzała obłąkanym wzrokiem i zakrzyknęła:

— Jakto! to wy doprawdy... to ty doprawdy odjeżdżasz?

— I daleko i na długo — rzekł Ostap.

— A ja! — zawołała dziewczyna — a ja!

Słódko to wyrwało się jój z ust mimowolnie, prędkie, jak myśl, niepostrzeżone przez nią samę. Gdy usłyszała własny głos, zawstydzila się, spuściła oczy, zapłakała, spłoniona rumieńcem, nie śmiejąc już ani podnieść wzroku, ani się odezwać; pierś jój tylko silnie się poruszała wstrzymywaném uczuciem. Ostap z litością patrzył na nią i dumał coś, dumał, dumał w sobie, aż zbliżywszy się ku niej i wzięwszy ją za rękę, posadził na kamieniu przy sobie.

Pierwszy-to raz dotknął się jój dłoni, pierwszy raz biedna Jaryna poczuła się tak blisko niego i wielki smutek, który przed chwilą wyrwał jój z ust tyle mówiący wyraz, stopił się w szczęściu bez granic. Rodzaj miłego obłąkania zawrócił jój głowę, oczy, łąz jeszcze zasze, zaćmiły się, usta uśmiechnęły, ręce pod dotknięciem jego zastygły i zadrżały. A Ostap? — on przecie był zimny, jak kamień, na którym siedział, i drzenie Jaryny nie przeszło do jego piersi, w której była tylko smutna litość; on tylko myślał i rachował prawie samolubnie, a dziewczę ani się dorozumiewało, że miało być tylko kółkiem nieznaczącém, potrzebném do obrotu osnutych planów przyszłości.

Wstydzając się i płoniąc, Jaryna podniosła oczy na niego: spodziewała się w nim znaleźć więcej wyrazu i inne uczucie, a chłodne tylko zamyślenie powiało ku niej z wejrzenia Ostapa. Wstyd powtórnie ją ogarnął; ukryła czarne swe oczy, z których łąz gorzka wytrysła. Przed chwilą szczęśliwa, zażądała umrzeć gwałtownie, porwała się; Ostap ją lekko za rękę powstrzymał.

— Jaryno — rzekł tym głosem, któremu była posłuszną, jak dziecię słowom ulubionój matki — widzę, że tobie może choć trochę za mną żal będzie?

— Trochę! — szepnęła dziewczyna z oburzeniem — mówisz trochę! Naco to żartować? poco kłamać? Jabym... jabym... umrzeć chciała, gdyby się to godziło, tak mi żyć będzie ciężko bez ciebie.

— Świat wielki, ludzi wiele; tak ci się dziś zdaje, a jutro zapominisz — rzekł nie bez wzruszenia Bondarczuk.

— Kobieta nie zapomina.

— Póki kocha — smutnie mówił Ostap; ale Jaryna słów jego nie dosłyszała, tak była cała ogarnięta dziwném położeniem swoim i zbliżeniem się do niego.

— Więc trochę potęsknisz za mną? — spytał znowu.

Dziewczę milczało.

— Ale za miesiąc, za dwa, za cztery, z jesienią przyjdą swaty ze wsi sąsiedniej, od wójta, od Tymona, od starosty, z bogatęj chaty, od ładnego parobka i Jaryna pójdzie za mąż.

— Nie! — krótko, ale stanowczo odezwała się, podnosząc oczy — nie!

— A jak rodzice każą?

— Nie każą; a gdyby kazali, to im do nóg upadnę i wyproszę się.

— A jak pan każe?

— Ucieknę, a za męża nie pójdę!

— Dlaczego?

— Naco kłamać? naco dłużej bałamucić? — zawołała gorąco — nie pójdę za nikogo, bo nie pójdę za Ostapą.

— Ale Ostapą nie będzie.

— Będę czekała, aż powróci.

— A gdyby nie wrócił?

— No, alboważ to życie długie? Dni długie, a życie krótkie — mówiła ciszej.

— A gdyby — rzekł z wahaniem i powolnie Ostap — gdyby Ostap na odjeździe poszedł do matki i do ojca i poprosił ich o ciebie i zaprowadził cię do cerkwi...

Dziewczyźnie głosu zabrakło, rzuciła mu się na szyję i krzyk tylko dziwny, dziki, coś nakształt głosu zwierzęcia, wyszedł z jej piersi.

— Słuchaj mnie — rzekł zimno i z pewnym smutkiem Ostap — będziesz moją żoną, ale na długo musisz pozostać sama, bo ja stąd oddalić się muszę; zabrać cię z sobą nie mogę i... nie wiem, czy powrócę nawet.

— Pocóż ten ślub? — smutnie spytała Jaryna. — Zobaczyć tylko słoneczko i na wieki zaślepnąć!

— Któż wie? może i powrócę, a wówczas będziemy tu żyli razem na chutorze... i...

Nie domówił, bo to życie, które dla Jaryny świeciło słoneczkiem, dla niego wydawało się chmurą czarną. Załamał ręce, westchnął, zamilkł.

Jaryna była w stanie bliskim obłąkania; w głowie jej mieszały się czarne i jasne myśli, nadzieje i strachy; nie rozumiała, co się z nią działo, nie mogła sobie wytłómaczyć słów ukochanego, ani jego obietnic, ani groźb, które w nich brzmiały.

Ostap tymczasem bolał, cierpiał i myśl jego była gdzieindziej. Mówił sobie:

— Ani w jej, ani w moim sercu nie zgasło to uczucie, które zwykle młodość rozpala, a lata gaszą powolnie. Przeżyliśmy nadzieję zapomnienia się wzajemnego. Oboje nie jesteśmy jeszcze tak swobodni, tak obojętni, żebyśmy się zbliżyć mogli bez wzdrzgnięcia, bez niebezpieczeństwa... Alfred aż nadto wyraźnie powiedział mi to sto razy. Uciekł, pełen wiary we mnie. Nie chcę się splamić, nie chcę go zawieść. Cóż pocznę? Oto stanę przed nią winowaj-

cą, stanę takim, żeby mnie kochać nie mogła; ukazę się jój zdzi-
cziałym, zardzewiałym samotnością, obojętnym, niepomnym przeszło-
ści, jakbym jój nigdy nie rozumiał; ukazę się jój szczęśliwym, poja-
dę do niej mężem pięknej Jaryny. Ona mną pogardzi, litować się
będzie, kochać nie potrafi; porówna mnie z Alfredem i serce jój
skłoni się ku oddalonemu.

Zimny ten rachunek gwałtownej namiętności, która wrzała do-
tąd w jego sercu, był najwyższego poświęcenia się znamieniem. Pra-
wdziwie, tylko wielka dusza do takiej ofiary była zdolna — do ofi-
ary, która już sobą całe obejmowała życie. Umrzeć dla kogo w chwili
podniesionego wysoko uczucia daleko łatwiej, niż poświęcić mu z roz-
mysłem wszystkie dni swoje do ostatka, dni tęskne, czarne, ciężkie,
nieprzebyte. Potrzeba mu było poniżyć się tém poświęceniem
w oczach jedynie ukochanej, a resztę pozostałych lat spędzić z Ja-
ryną, której nie kochał, dla której czuł tylko chłodną litość, a brał
na siebie obowiązek uszczęśliwić ją. Myślał wprawdzie, że szczę-
ście prostej kobiety niewiele wymagać będzie — niezależności tro-
chę, swobody i dobrego mienia, a czasem pieszczonego słowa.

Na dwie części rozdzieliła się ta wielka ofiara, sięgająca aż do
grobu. Odtąd ani spoczynku, ani wytchnienia, ani lży pożądać mu
nie było wolno: powinien był cierpieć, udawać szczęście i z wesołą
twarzą płonąć na stosie, własną nałożonym ręką.

Po przestanku milczenia odezwał się do Jaryny, która sama nie
wiedząc czego płakała:

— Dopóki ja nie powrócę, ty tu zostaniesz na chutorze moim,
będziesz mi gospodarzyła i czekała tu na mnie.

— Tu? — spytała z trochę weselszym uśmiechem. — O! to
przynajmniej dobrze! Ale nacóż wam jechać?

— Potrzeba, potrzeba koniecznie; o to nie pytaj.

Dziewczyna ruszyła ramionami.

— Jutro — dodał Ostap — przyjdę po ciebie do ojca i matki.

— A! i do pana! — cicho rzekła wieśniaczka. — Wszak bez
pana nic nie będzie; jestem jedynaczką u ojca.

— Prawda! Tu nawet może być trudność.

— O! i ja tak myślę! Kilka już razy chcieli mnie do drugiej
wsi dawniej jeszcze, póki ja was nie zazałam. Rodzice byliby wy-
dali, bo się taki dobrze trafiło, ale pan nie pozwolił.

— Czemu?

— Boby taki robotnika stracił ze wsi — odpowiedziała Jaryna
— a nasz pan wielki gospodarz!

Noc nadchodziła szybko i dziewczę, opatrzwszy się nareszcie,
że jój w chacie niespokojnie oczekiwać będą, porwała się z kamienia
i pożegnała Ostapą, pobiegła, nie dowierzając jeszcze temu, co sły-

szala, co niosła z sobą do chaty. Ostap pozostał w miejscu, korzystając z ostatnich może w życiu, jeśli nie szczęśliwych, to swobodnych godzin, w których mógł być sam z sobą, z myślami i z nierozwaloną jeszcze w gruzy przeszłością.

Nazajutrz rano potrzeba się było wybierać do rodziców Jaryny i do dworu, gdyż wyjazd do Skały, gdzie nań oczekiwała żona Alfreda, naglił, a przed wyborem w tę podróż Ostap musiał i postanowił być żonatym. Powiedział sobie, że stanie przed Michaliną i, odzierając się z wszelkiego, jaki dla niej mógł mieć, uroku dobrowolnie, chciał, żeby nawet podobieństwo nie zostało dawnemu uczuciu odżyć w nowych stosunkach.

Trzeba więc było śpieszyć, bo interesa Alfreda, opuszczona żona i dziecię, otoczone tylko nieprzyjaciołmi, prędkiego prosiły ratunku.

Ze dniem więc wczesnym wsiadł na mierzyna swego Ostap i podolskimi parowy i łanami zielonemi pobiegł do wsi, do rodziców Jaryny.

Zastał ich oboje u wrót chaty, bo stary Kuźma dopióro się na pole wybierał, dłubiąc coś koło wozu; żona dawała mu torbę z chlebem i słoniną i flaszkę z wodą; córka stała we drzwiach chaty.

Kuźma był podżyłym już człowiekiem, lat blisko pięćdziesiąt, barczysty, wzrostu słusznego, opalonej twarzy, czarnego podgolonego włosa; spuścisty wąs nadawał mu poważną minę. Znać było, że życie zeszło mu w pracy, bo i ręce namulone i twarz ogorzała, a zmarszczkami poorana, dowodziły tego. Łagodny, pokorny, niedaleko spoglądający w przyszłość, rad był swojemu życiu, niewiele żądając od losu, byleby mu na polu urodziło, w oborze nie chorowało i na jarmarku się powiodło. Dzień-od-dnia ciągnął sobie życie, nie myśląc o niém, niebardzo łamiąc głowę nad jutrem i szukając zawsze sposobu upatrzenia sobie czegoś dobrego nawet w tém, co dla niego było przykre i gorzkie.

Żonę, dobrą kobiecinę, ale ruchawą, niespokojną i do zbytku kłopotczącą się wszystkiém, zawsze strofował za te frasunki bez powodu, za lamenta nad każdym zabraném przez jastrzębia kurczęciem, za strachy przedwczesne i niepotrzebne. Ile razy Kulina poczęła rozwozдить przed nim żale, odpowiadała swoją zwyczajną piosenką:

— A Pan Bóg?

Kulina była suchą kobieciną, z żywemi bardzo oczyma, roztrzęśnionym wejrzeniem, ale twarz jej nosiła ślady schorowania i skłopotania, cerę miała wyżółkłą, usta zbladłe i często kaszel przerywał jej mowę.

Ostap zbliżył się do nich, a jak tylko go ujrzeli, otoczyli go, ra-

dośnie witając każdy po swojemu. Kuźma uśmiechnął się szeroko, wołając:

— Bóg zapłać! Przecieżeście o nas pamiętali!

A Kulina, bijąc się po głowie, dodała:

— Właśnie nie mamy go czem tak przyjąć, jak potrzeba i jak się chciało. To zawsze nieszcześliwie!

— No, bat'ku — rzekł poważnie, zdejmując czapkę, Bondarczuk — służyłem ja wam, jak mogłem, a teraz do was z prośbą przyszedłem; nie odmówcież mi nawzajem.

Stara uderzyła się po twarzy.

— Nieszczęście! Czego to on zażąda?

Kuźma odkrył także podłysiałą głowę i, trąc w rękę barani kołpak, odezwał się:

— Nie godzi się tak mówić. Co każecie, to zrobimy. Albo to my tacy ludzie, żeby nas potrzeba jeszcze prosić?

— Posłuchajcie, słowo jedno i o wszystkim wiedzieć będziecie. Ja już starych naszych obyczajów zapomniałem i nie mam komu, jak Bóg przykazał, przyjść do was o to prosić, czego od was chcę, przyszedłem więc sam i z gołemi rękoma, darujcie, choć to nie o mało co chodzi. Ja kocham waszą Jarynę i proszę o nią u was za żonę.

Kuźma aż czapkę z rąk wypuścił, a stara plasnęła w dłonie, obracając się ku córce.

— Ej! czyż to prawda! — zawołali oboje, a dziewczyna ukryła się za uszak chaty.

— Jużciż z taką rzeczą żartować się nie godzi — rzekł poważnie przybyły. — Pomiarkujcie, pomyślcie, ludzi się poradźcie, a co wam Bóg natchnie, odpowiedzcie. Powiem wam szczerze, że mi z tych stron odjechać potrzeba na pół roku, może na rok cały, nie wiem. Przed wyjazdem chcę się ożenić; oddam wam mój chutor i będziecie sobie na nim tymczasem gospodarowali.

— I żenicie się i jedziecie zaraz? — spytał Kuźma, coraz bardziej zdziwiony.

— Nieszczęście! — mruzczała stara Kulina — ot, tak zaraz i porzuci nieboraczkę.

— Muszę odjechać. Pomyślcie-no i pomiarkujcie, co mi odpowiecie.

— Jużciż co tu myśleć, albo co tu darmo udawać! — rzekł gospodarz, patrząc na żonę, która w pół z radości, w pół z zakłopotania płakała. — Chybaby szalony mógł wam odmówić. A toć-to szczęście, o jakim się nam i na wielkanoc nie śniło!

I poczęli, zbliżywszy się, ścisnąć go i całować.

— Więc mogę mieć nadzieję, że mi nie odmówicie?

— Chowaj Boże! Jak tylko Jaryna zechce — rzekła matka —

to ją sobie bierzcie w imię boże, i pobłogosławim. Tylko jak ja sobie tu dam radę z weselem? — szeptała cicho.

— Ona i rozumna i posłuszna dziewczyna — przerwał ojciec — ja o niej ani wątpię. Jużciż nikt nie odrzuca dobrego, kiedy mu się samo stręczy.

W téj chwili Jaryna ukazała się na progu.

— Ej! chodź-ino, doniu! — zawołał Kuźma — chodź-no tu a powiedz! Ale co i pytać!

Spojrzał ojciec na córkę i dodał, spluwając:

— Albo to ona już nie wie, o co chodzi? Oj! oj! niedarmo chodziła krówki doić na chutor do was!

I pogroził palcem obojgu.

— Na Boga, nie myślicieź-no nic złego, ojeze — przerwał Bondarczuk surowo — nie myślcie. Wasza córka o niczémby nie wiedziała do dziś-dnia, gdybym ję sam dopiéro wczoraj nie powiedział, a do ołtarza pójdzie z wiankiem i wstążką krasną bez sromu.

— No! to i zato chwalić Pana Boga! — rzekł stary — bo żeby jak się to dobrze kończyło, a taki zawsze markotnoby było, żeby się klopsko zaczynało, a ludzieby palcami pokazywali. Anu, Jaryno, mówże, albo cię...

— A co ja mam mówić?

I obróciła się trochę do ściany, spoglądając zpod oka. A matka dodała:

— Gadaj-bo! Nieszczęście, udaje małe dziecko!

— Ot, wam szczęście się trafia — mówił ojciec — dobrzy ludzie o was proszą, jużciż nie głupia odmówić?

— Jak każecie, tak będzie — szepnęła pocichu.

— Dobrze powiedziała, dobrze — zawołali rodzice oboje.

— Ale my tu radzim i swadzim, a o najpilniejszym nie pomyśleli — rzekł Kuźma, chwytając się za głowę.

— Nieszczęście! — mruzczała Kulina wedle zwyczaju.

— O czémże? — spytał Ostap.

— Ba! a toć pan we dworze o niczém nie wie jeszcze!

— Jużciż nie zabroni?

— Bóg to wie! — smutnie odezwał się Kuźma.

A Kulina dodała:

— Oj! nieszczęście! już ja wiem, że to będzie nieszczęście!

— To moja rzecz — rzekł szybko Ostap. — Kiedy tylko wasze mam słowo, pojedę po resztę do dworu.

I przybierał się już wsiąść na konia, ale to tak śpieszne zaswatanie bez swatów, bez kieliszków, bez zwykłych swadźby obrzędów, jakoś nie w smak poszło staremu Kuźmie, który wszystkie stare

zwyczaje bardzo przywykł szanować i wesela bez tych odwiecznych jego ceremonij nie pojmował.

— E! poczekajcie-no-bo — rzekł, wstrzymując Ostapa. — A cóż-bo tak się śpieszycie? We dworze, zwyczajnie jak we dworze, śpią jeszcze na drugi bok; a i my tak rozejść się nie możemy bez zapoin, bez sąsiadów, bez wszystkiego.

— Obejdziemy się — smutnie odpowiedział, poglądając na Jarynę, Ostap. — Słowo daliśmy sobie i dosyć, a wam, ojczy, coście się do pługa wzięli, toby i na pole nie od rzeczy.

— Wy-bo myślicie, że to ja już tak z pilnej potrzeby myślałem z pługiem na pole; parobek-że jest, poganiacz jest, choć oba najęci, bo mnie Pan Bóg swojego chłopca nie dał. Mogliby oni pójść z pługiem i chudoby nie zamęczą, popasą w porę, to wiem, ale człowiekowi w domu z założonemi rękoma siedzieć markotno. Ot, pomyślałem sobie, jakoś to weselój będzie wyjść w pole i powoli za wolikami pochodzić, a popatrzeć, jak też to się śliczna ziemia kraje i odwraca gładko, jak to się ptaszęta Bóg wie skąd zlatują do skiby porobaczki, jak to tam w polu i na niebie. Mnie nie żaden mus do roboty; jest komu pójść za mnie, ale tak jak drugi, co to woli do góry brzuchem leżeć, nie lubię. Człowiek przy robocie poczciwieje i jakoś mu w sercu spokojnie. Więc na dziś pošlę chłopaków, a zapoiny zrobię. Toćby nam i wstyd było bez ludzi, bez sąsiadów, pokryjomu tak robić. I taki się nie godzi, taki ja wam swatów dobiorę uczciwych i musimy zapić.

— Koniecznie?

— A koniecznie! — rzekł stary z uporem. — Co to my żebraki, czy co, co się pod płótem swatają? E! taki potrzeba po ludzku i nie żalując.

— Ja pewnie nie pożałuję, kochany Kuźmo, ale, widzicie, ja od tych zwyczajów już odrosłem i mnie pilno, bo droga za pasem.

— Alboż to opóźni? — rzekł stary.

I poskrobał się w głowę, nic nie rozumiejąc wyjazdu; lecz powiedziawszy sobie, że widać już i nie powinien był rozumieć tego, ruszył się za swatami, za wódką i za całym obrzędem dziewosłębów. Dzięki miłości, jaką Bondarczuk miał u ludzi, i ciekawości, którą wzbudzało to niespodziane ożenienie jego, zebrali się rychło potrzebni i niepotrzebni i, z wielką pociechą starego Kuźmy, odbyło się wszystko wedle odwiecznego rytuału. Nawet Jaryna, której z oczu radość patrzyła i duma, udawała niezłe i smutek i opór. Tego wymagał po niej zwyczaj — zwyczaj, zbudowany na prawidłach, który przy każdym wyjątku tak dziwnym i uciążliwym się zdaje!

Nareszcie około południa, rzucając wszystkich w chacie Kuźmy, podweselonych i szczęśliwych, a Kulinę mocno zakłopotaną z powo-

du srokatéj kury, którą zabić wypadło, Ostap, ubrany dość wytwornie i już nie po chłopsku, gdyż miał zawsze suknie drugiego swego stanu przygotowane na przypadek potrzeby, niepodobny do siebie i, wedle Kuliny, wyglądający jak JW. graf, skierował się ku dworowi.

W istocie, spojrzawszy na Ostapa, niktby go o pochodzenie z gminu nie posądził, tak długie życie w innej sferze towarzyskiej wykształciło jego powierzchowność, a uprawa umysłowa wybitnie piętnowała się w szlachetnych rysach jego twarzy. Przy męskim obliczu, przy wielkiej sile i odwadze wielka też dobroć serca malowała się na pogodnym jego czole i w oczach niebieskich. Chód, ruch, obejście nie miały w sobie tej niesmiałości, jaką daje zwykle wygórowana miłość własna, obawiająca się upokorzenia na każdym kroku. Śmiały był, bo wszystko przewidywał i wszystko znieść był gotów.

Przenieśmy się teraz do tego dworu, ku któremu zmierzał, i zajrzyjmy we wnętrze jego.

Na pagórku, u stawu, w gęstych zielonych drzewach stał pałac, gdyż dom o piętrze, otoczony podobieństwem ogrodu angielskiego, zwykle się u nas zowie pałacem. Z dwóch stron jego, jak dwa ramiona, wychodziły dwie żółte, ukolumnowane jak sam pałac oficyny. U wejścia w podwórze podnosiła się ogromna monumentalna brama z latarniami, z budką dla odźwiernego i złożonemi główkami żelaznych sztachet. Nad nią zwieszała się z jednej strony brzoza, z drugiej szumiła czarna jodła.

Wpośrodku między oficynami, pałacem a bramą rozścielał się zielony, strzyżony starannie trawnik, a parafiański kompas marmurowy, z iglicą brązową, pokryty kapturkiem blaszanym, nie wiem czemu wygrzewał się na słońcu, czekając napróżno, żeby kto przyszedł do niego z zapytaniem o godzinę. Największy porządek i czystość widać było wszędzie, ale porządek i czystość, otrzymane wielkimi wysiłki i posunięte aż do przesady. Ścieżki, wiodące do pałacu, umiecione były nawet z pyłu, dalsze — pozagrabiane w różne wymyślne desenie; w ganku kilku milczących sług stało jak na straży w granatowych frakach i żółtych kamizelkach.

Panem téj wsi, kilku innych, pałacu, oficyn i ogrodu był jeden z tych licznych dziś u nas dorobkiewiczów, którzy mają wszystkie wady dawnéj arystokracji, przesadzone jeszcze, a nie posiadają żadnego z jéj wielkich przymiotów. Ojciec pana Suzdalskiego był synem ekonoma, sam zajmował się interesami panów i wyszedł na pana, zostawiając synowi dwa klucze, pół miliona kapitału i stosunki. Ożenił się bowiem, chociaż syn ekonoma, z hrabianką P., z którą

familia nie wiedziała co zrobić, z powodu jakiegoś młodocianego przypadku, niepotrzebnie rozgłoszonego.

Urodzony z hrabianki dzisiejszy dziedzic Kalinowiec, Myszko-wiec i Tarnogóry, już się liczył do arystokracji miejscowej, popisywał się z herbami i wzdychał najszczerzej nad upadkiem dzisiejszym tej klasy, do której, jak sądził, miał prawo się rachować. Ożenił się z majątną panienką, równie wysoko o swoim państwie rozumiejącą, chociaż dziad jej był także plenipotentem, i swobodnie pędził żywot błogi, gospodarując zapalczywie, gospodarując *de race*, drobnostkowie, pracowicie, a co więcej, skutecznie. Wszystkie pozory państwa i pańskości zachowywał najściślej i nigdy pewnie nie myślał tyle o katechizmie, co o prawidłach rodzaju życia, jaki prowadził; ale poza tą zasłoną kryło się w nim skąpstwo, chciwość, bojaźń utraty majątku i żądza gorąca powiększenia go jeszcze.

Pan Adolf Suzdalski starzał się powoli w tym ciągłym utrapionym boju, walcząc z chętką pokazania się i nastawienia się a strachem nadwężenia fortuny. Z jednej strony zmuszony tracić, z drugiej usilnie się zaraz sztukował; połowę godzin poświęcał *panowaniu*, puszeniu się i wygrywaniu roli przyjętej, drugą oddawał rachunkom, wierzeniu w drobnostki i spekulacye przemysłowo-gospodarskie.

W czasie naszej powieści pan Adolf miał już czterdzieści lat z górą, żonę trochę od siebie młodszą, syna w Berlinie i córkę z gubernantką w domu. Cztery razy do roku: na imieniny swoje i żony, na zapusty i Nowy Rok przyjmował u siebie pierwsze towarzystwa i występował po pańsku, co się nazywało w jego języku: *od ananasów*; resztę czasu gospodarował, jeździł po folwarkach lub odwiedzał sąsiadów, aby im pokazać wytworny ekwipaż, konie prześliczne i liberyą co roku wymyślniejszą, której najwyższym stopniem były tak zwane fraki, *od akselbantow*.

Jako człowiek, pan Suzdalski złym nie był, nie był dobrym, miał nawet chwile poruszeń szlachetnych i poczciwych, ale wszystko w nim psuły dwa popędy gwałtowne, z sobą sprzeczne: jeden ku pańskości, drugi ku skąpstwu, a więcej może chciwości.

Żona jego była o tyle szczęśliwą, o ile nią zwać się może kobieta, której na niczem nie zbywa (zwłaszcza przy gościach, nawet na czułości męzowskięj, także od wielkiej gali występującej na plac), — która ma troszeczkę swojej woli, a pozornie zupełną swobodę, której mąż rączki całując i pieszcząc, nie kocha przecie, ale też i nie bije.

Dzieci kochał pan Suzdalski bardzo czule, także najwięcej dla oka ludzkiego, bo był przekonany, że serce czule, oznaka wykształcenia, należało do dobrego tonu, jak drażliwe nerwy; wychowywał

je wspaniale, także żeby wszyscy wiedzieli, iż niczego dla nich nie żałuje. W sercu jego nie było wielkiego przywiązania ani do żony, ani do dzieci, ani do nikogo, i nie był temu winien, bo tak go Bóg stworzył, a okoliczności uczyniły zimnym i twardym. Miał przecie, jak-eśmy powiedzieli, czasem poruszenia dobre, choć rzadko, i jak na zimne stworzenie, nie dopuszczał się ostateczności, do których mógłby dojść inny z jego charakterem: — bronilo go przestrzeganie ściśle przyzwoitości. To bóstwo ludzi świata naszego stało przed nim na straży ustawicznie; na ustach miał ciągle pytanie: *Czy to przyzwoicie?* — w myśli rozważał bez ustanku *pryzwoitości* i *niepryzwoitości*, a nigdy głębiej nie zajrzał i nie spytał siebie: *Czy to godziwa rzecz lub niegodziwa?* Z tych kilku słów łatwo zmiarkujecie, jakim był człowiekiem pan Suzdalski.

Dwa czy trzy razy wprzód Ostap miał zrzęcnosć zbliżyć się do niego. Wieść o jego lekach daleko się rozeszła; oryginalny pozór, mieszkanie ustronne, obyczaje pustelnicze obudzały ciekawosć i wystrychnęły go, w oczach tłumu, na jednego z tych lekarzy cudownych, którzy we wszystkich krajach gmin ku sobie pociągają. Często z pańskich domów przysyłano po niego, a raz i pan Suzdalski do chorój córki go wezwał, ale Ostap, który w tej chwili siedział u łoża ubogiej kobiety, matki siedmiorga dzieci, odpowiedział słudze:

— Możecie poczekać, lub po innego posłać doktora; pan znajdzie ich, wielu zażąda, ubogi ma mnie jednego. Jego córka potrzebna zapewne i światu i rodzicom, ale potrzebniejsza matka sierotom.

Odpowiedzi tej zuchwałej nikt nie śmiał powtórzyć panu Suzdalskiemu, który pomimo to, z powodu nieprzybycia, już się oburzył i piorunował na szarlatana, któremu łaskę zrobił, że go wezwał. Tymczasem Ostap, upewniwszy się o swoję chorą, sam pieszo przyszedł do Kalinowiec; to rozbroiło ojca i matkę, a gdy się wyleczenie mało co cierpiącej córki powiodło, po pańsku nagrodzić go chcieli, ale pieniędzy nie przyjął.

— Nie potrzebuję — rzekł panu Suzdalskiemu. — Jeśli mi czego zabraknie w domu, przyślę do pana.

To niezwykle obejście, wszelkim przyzwoitościom przeciwne, nikogo bardziej zdziwić i przejąć nie mogło nad pana Suzdalskiego, czciciela przyzwoitości i formy. Opowiadał o tém szeroko, zdumiewał się i ostatecznie tłómaczył to sobie po swojemu, oryginalnością, przybraną w celu zrobienia sławy. Ale gdy po dwóch latach Ostap pozostął w cichym zakątku, jak był, pan Suzdalski nie wahał się ogłosić go rodzajem waryata. Wezwano go przecie raz drugi do samój pani, potem znowu do pana, który chorował na wątrobę, ile razy nie tak mu się powiodła spekulacya, jak ją sobie osnuł. Ostap

był w Kalinowcach kilka razy, zawsze darmo, zawsze dość sobie hardo postępując i coraz mniej zrozumiany od tych ludzi, którzy mu przecież pewnego stopnia szacunku odmówić nie mogli. Tajemniczość, jaka go osłaniała, różnie o nim domyślać się dawała prawo.

Nie bez nadziei więc szedł Bondarczuk do dworu, chociaż i nie bez obawy zawodu. U wrót zaraz wskazano mu, że JW. pan znajdował się w oficynie na sobotniej sesji ekonomicznej. Tam się więc za nim skierował Ostap i w przedpokoju postanowił czekać końca narady tak ważnej. Znano go w okolicy, mało kto od niego nie doznał jakiego ratunku; wszyscy go kochali, a posądzając o znachorstwo, wszyscy go się też obawiali potrosze. Chciano zaraz dać znać panu, że przyszedł, ale Ostap nie dozwolił na to. Sesja wkrótce się skończyła i jaśnie wielmożny się wytoczył.

Była-to postać dosyć *przyzwoita*: niepiękny, niebrzydki, niemały, niesłuszny, niebijący niczém w oczy, chyba może zamysłoną chmurną miną, która pańską być miała, pan Adolf Suzdalski wogólności podobniejszy był do swego plenipotentą, niż do siebie. Ubrany przyzwoicie, ze ściśmém zachowaniem przepisów mody, pory roku i dnia, trochę podłyśiały, szczupły, ale krzepki, bładz, z fizyognomią zwyczajną, zmęczoną i niesympatyczną, z wargą dolną odętą, przypominał aktora małej tropy, odgrywającego rolę orderowego pana. Zobaczywszy Ostapę, przyjął go dosyć grzecznie, ale z nieukrywaniem podziwieniem, które go ogarnęło na widok tak niespodziewanego gościa. Gdy jeszcze lekarz, witając go, szepnął, że chce się widzieć z panem prezesem (tak go pospolicie tytułowano) na osobności, Suzdalski, zmieszany, chociaż zawsze pan siebie, zaprosił go nie do pałacu, ale do izby, w której przed chwilą odbywała się sesja ekonomiczna.

Zasepione oblicze zdradzało wewnętrzny niepokój Jaśnie Wielmożnego, który poczynął obrachowywać w myśli, ile za wszystkie nieopłacone wizyty lekarz żądać może, i wiele mu dać wypadnie dla utrzymania przyzwoitego tonu i jak to niewygodnie płacić razem wszystko...

Pierwsze wyrazy Ostapę utwierdziły gospodarza w tém fałszywém mniemaniu, Bondarczuk bowiem począł skwapliwie od wyrazów:

— Służyłem panu, gdym mógł, teraz ja mam do pana prośbę.

— Z całego serca, panie, uczynię jej zadość. Cóż pan każe?

Cóż *pan każe* wymówione było z widocznym strachem i niepokojem.

— Z dziwną przyszedłem prośbą.

— Z dziwną, pan powiada? Przyznam się... że sądziłem...

Ostap nie dał domówić i przerwał:

— Proszę mnie nie posądzać, że przyszedł dopominać się o dawniej mi ofiarowane i odrzucone nagrody za kilka chwil, poświęconych państwu... nie, nie, nie o pieniądze tu idzie.

— Nie o pieniądze! chwala Bogu! — pomyślał pan Suzdalski, ośmielając się — ale o coś dziwnego. Cóż to być może?

— Niech pan usiądzie i pozwól mi usiąść również; kawał drogi zrobiłem pieszo i jestem zmordowany. Powiem panu szczerze i otwarcie, kto jestem i czego chcę.

Nowy postrach wyraził się na twarzy siadającego pana; dziwna myśl przepłynęła mu przez głowę, otarł się chustką i, wzdychając, zamilkł przyzwoicie, z pozorem rezygnacji. Ostap krótko opowiedział mu treść swojego życia. Na wiadomość, że mówił z chłopem, z prostym chłopem, że chłop dotykał ręki jego córki, żony, porwał się z krzesła Suzdalski, zaczerwienił, ale, trzymając się w granicach przyzwoitości, nie nie powiedział nieprzyzwoitego.

Ostap, widząc to wrażenie, nie zdawał się na nie uważać i mówił dalej, nie wstając:

— Dla niezależności w społeczeństwie pozyskałem uwolnienie od poddaństwa i dosłużyłem się, będąc lekarzem wojskowym, tego, co panowie nazywacie szlachectwem.

Na wyrazy: „dosłużyłem się szlachectwa“ uśmiechnął się nieznacznie pan, ruszył ramionami, ale śmiech swój starał się schować co najprędzej i, pokrywając go potrzebą wmieszania się w opowiadanie, spytał:

— Ale w czémże ja panu tu pomocnym być mogę?

— Rzecz dla pana mała. Chcę się żenić z jedną z poddańek pańskich; chodzi o uwolnienie jej, o pozwolenie pańskie.

Suzdalski na chwilę ogłupiał, nie pojmując, żeby człowiek, który się dźwignął z wieśniaczego stanu, chciał się znowu do niego zbliżać i nanowo bratać.

— Jakto? doprawdy? — spytał.

— Tak jest — odparł Ostap — a że to panu może, wedle dzisiejszych i zwyczajów i rachunków i wyobrażeń, robić szkodę, gdy mu wezmę jego poddańkę, zatem przyszedłem go prosić, żebyś, jeśli się panu zdawać będzie, obrachowawszy ubytki, przyjął ode mnie wynagrodzenie za nią i za jej rodzinę, którą żądam wykupić.

Dziedzic tak zagadnięty, gdy się spodziewał, że Ostap odezwie się do dawnych swych posług, był w dziwnym zakłopotaniu: z jednej strony państwo szeptało do ucha, z drugiej chciwość, z trzeciej odzywała się duma, a najciszej, ale coś przecie gadało i pokorne sumienie.

— Jakto, panie? — spytał Suzdalski — panby mnie chciał zapłacić za nich?

— Jeśli pan tego zażąda — rzekł Ostap.

— Ale cóż to jest za dziewczyna? — spytał dziedzic z ciekawością.

— Jaryna, córka Kuźmy z Myszkowiec.

— Jaryna Kuźmianka! a! wiem — rzekł pan — a wiem, że to najpiękniejsza podobno we wsi dziewczyna. Niezły wybór, ale tam do téj chaty potrzebaby koniecznie przyrnaka, bo chata upadnie.

— Więc w razie, gdyby upadła, ofiaruję stratę wynagrodzić, bo oczywiście upadnie.

— Ale — zaczął Suzdalski, zapominając o państwie — to są nieporachowane rzeczy. Po trzy dni męskiej pańszczyzny licząc, że inne obowiązki pomnę, już mamy sto kilkadziesiąt dni, rachując gdyby po złotemu tylko najmniej...

— Ziemia panu zostaje.

Pan prezes zawstydził się trochę, zamyślił, zafrasował i już miał odpowiedzieć po pańsku, gdy mu na myśl przyszło, że w Myszkowcach rąk bardzo mało, i zawołał naiwnie:

— Co to? jedna chata w Myszkowcach, to strach!

— Wszystko się da porachować; próbujmy — przerwał Ostap. Pan się znowu powstydził.

— Ale — odezwał się z uśmiechem, wyrobionym pracowicie — czyż to panu tak koniecznie żenić się z włościanką?

— Niech pan będzie łaskaw i o nic nie pyta. Co to szkodzi komu, że sobie kupię żonę? Proszę pana prezesa o warunki.

— Więc pan-byś zapłacił?

— Tak dalece gotów jestem, że mam przy sobie pieniądze.

— Ale toby niemało wypadło — rzekł dziedzic, patrząc Ostapowi w oczy.

— Jestem gotów na niemało.

— Hm! hm! ależ się pan pokochał!

Ostap westchnął boleśnie, a panu się zdało, że zgadł w istocie; ruszył ramionami i pomyślał sobie:

— Ot, tobym go pociągnął, gdybym sumienia nie miał! Ale nie, nie, toby było nieprzyzwoicie! Choć to chłop, ale zawsze nie wypada; nie brał ode mnie nic za recepty.

Zawahał się znowu i chciwość poddała pytanie:

— No, i cóżbyś pan naprzykład gotów dać kunicy i za tych tam ludzi?

— Co pan każesz?

— A tak żeby rubli z tysiąc, he?

I rozśmiał się znów, patrząc w oczy Ostapowi.

— Ja myślałem, że pan powiesz najmniej dwa lub trzy tysiące,

rozumie się uwalniając rodziców mojej Jaryny — rzekł Bondarczuk — i byłem gotów!

— Co? dać trzy tysiące rubli za nich? — krzyknął, łamiąc rękę, pan prezes.

— I nie byłoby drogo — mówił zimno Ostap. — Wszak płacim za konia araba po kilka tysięcy dukatów, czemużby podolska dziewczyna przynajmniej tysiąc nie miała być warta?

— Jakto? — zdumiony coraz bardziej, a chciwy, choć hamujący się, przerwał pan Suzdalski — pan nawet masz z sobą gotowe pieniądze?

— Oto one są — rzekł, dobywając asygnat z paczki, Ostap i poczynając je liczyć. — Widzi pan, płacę natychmiast, a pan prezes, także nie zwlekając, da im wszystkim uwolnienie, nieprawdaż?

Na widok pieniędzy wielki był frasunek dziedzica: wziąć za człowieka opłatę jakoś wstyd okrutny i nieprzyzwoitość straszna; nie wziąć, a stracić ludzi — bolesny uszczerbek w majątku; odepchnąć proszącego nie wypadało, mając dla niego pewne obowiązki. Cóż tu było począć?

Jeszcze gdyby tak, wedle zwyczaju, przedawała się ziemia osiadła, byłoby to wcale co innego; nie sprzedaje on naówczas ludzi, ale raczej zapewniony czynsz z ziemi; tu zaś, jak bydłeta, szacować podanych i kazać sobie za nich płacić?

— Ale w Myszkowcach ludność tak mała! — powtarzał zamyślony prezes.

— Więc tylko droższa!

— Tak, widzi pan, ale ja... sprzedawać ludzi osobno nie mogę, nawet prawo mi nie dozwala.

— Uwolnić ich tylko — prawo tego panu nie broni, owszem, ono ku temu zachęca.

— Za pieniądze?

— To zależy od woli.

— A panby zapłacił? — znów, nie dowierzając jeszcze, dodał dziedzic.

— Nie tyłkobyem zapłacił, ale płacę! Wiele? — spytał Ostap, rachując po raz drugi.

— Ale to być nie może! nie, proszę pana. W istocie — dodał ciszej Suzdalski — strata dla mnie, jakkolwiek mała, ale dotkliwa, chata, choć nie siemienista, ale zawsze pańszczyznę, i to nawet ciąglą, odrobi; grunt mi zostaje, ale cóż ja z nim robić będę? gruntu mam do licha! Sprzedać tak ludzi to śmiech tylko ze mnie będzie.

— Daję panu słowo, że rzecz zostanie tylko między nami. Pan ich uwolnisz, nic więcej.

— A panbyś nikomu nie powiedział nawet, żeś za nich zapłacił?

— Nikomu, nawet im samym! — odparł Bondarczuk — bo powiem panu szczerze, nie chciałbym ludzi zawstydzić w oczach ludzi.

Prezes nie zrozumiał słów lekarza i, cały w myśli wzięcia pieniędzy, oczu z asygnat nie spuszczał.

— Więc jakżeby to zrobić? — dodał cichutko.

— Ja panu płacę w cztery oczy: nikt nie wie, nikt wiedzieć nie będzie. Pan prezes jedziesz ze mną do powiatowego miasteczka i zeznajesz dobrowolnie uwolnienie całej chaty.

— Trzy dusze.

— Podług państwa, tylko jedna: stary Kuźma; dwie kobiece się nie liczą. I tysiąc rubli.

— Mało.

— Półtora? dosyć? nie — dwa? mało? trzy nareszcie. Oddam, co mam, i kończmy.

Prezes nagle coś sobie przypomniał, zadumał się, zawstydził, pomiarkował i rzekł, śmiejąc się, ale ciągle patrząc na asygnaty:

— Żartowałem! żartowałem!

Odszedł od stolika, powrócił ku niemu, szedł jeszcze, zbliżał się znowu, aż wreszcie zebrawszy się na siły, zaw ołał, przybierając poważniejsze oblicze:

— Mam dla pana obowiązki; żądasz koniecznie uwolnienia tych ludzi, pieniędzy wziąć od pana nie mogę. No! uwalniam ich. Cóż pan na to?

Sądził, że Ostap przynajmniej do nóg mu się rzuci, ale on, skłoniwszy głowę, podziękował tylko milczeniem, potem dodał:

— Masz pan mnie obowiązanego sobie na całe życie!

Suzdalski dziwnie usta wykrzywił, jakby mówił: — Tylko! — ale już się nie cofnął.

— Wszystkie koszty — rzekł, śpiesznie podchwytyjąc — papier, prośby, podatki gruntowe i t. p. to pan naturalnie załatwi.

Wnuk ekonomy, syn plenipotenty przebił się przez kruchą pańską powłokę: zrzekał się większego zysku, a drobnostki upuścić nie potrafił.

— Jutro będę w powiatowém miasteczku; skończymy!

Ostap oddalił się z przykrém w sercu uczuciem, wywołaném całą tą sceną; nie mógł potępić, bo nie było zaco, nie mógł przecież nie litować się nad biednym, który więcej robił dla oka ludzi, niż dla własnego sumienia.

Powracając do Kuźmy, który o swoim i swoich uwolnieniu dowiedział się z radością, zmieszana ze smutkiem, bo swoboda dla niego była rozstaniem się ze starą dziadów chatą, z polem, które w polacie czola uprawiał, ze wszystkimi, do których przywykł od dzieciństwa, Ostap spotkał się z bryką żydowską. Na widok Bondarczuka siedzący w niej stary żyd, ubrany po staroświecku w zapinanym na haftki żupanie i kapeluszu z ogromnymi skrzydłami, kazał konie wstrzymać, i z pomocą młodszego wysiadłszy, powitał lekarza z uszanowaniem i łzami prawie.

Ostap nie mógł go sobie nawet przypomnieć.

— Co to pan musisz po świecie robić dobrego — czysto po polsku rzekł starzec — ile to was ludzi błogosławić musi, kiedy zapominacie nawet o tych, co wam najwięcej winni!

— Dziękuję wam za dobre słowo, ale doprawdy...

— No! no! ja się nie gniewam, ja się tylko dziwuję. Wolno wam zapomnieć, ale nie nam.

— Skądże jesteście?

— Skąd? z Berdyczowa. Jaktó, pan nie przypominasz sobie Hercyka? Aj! aj! a pamięta pan, przyjechałeś na jarmark na Petra, a mnie mój Icko jedynak leżał na śmiertelnej pościeli i doktorowie byli go opuścili. Jakaś poczciwa dusza powiedziała mi: „Jest tu wielki lekarz, co leczy ziołami“, i uprosiłem pana, żeś przyszedł, a przyszedłszy, siedziałeś dzień i noc, aż mego Icka wyleczyłeś. Pan myśli, że to my mogli zapomnieć, a dawaliśmy panu tysiąc rubli, tysiąc karbowanych rubli, i pan ich nie wziąłeś od nas! Albo to można zapomnieć?

Ostap się rozśmiał lekko.

— Czego to się pan śmieje? Aj! aj! dalibóg, panowie żydów nie znacie! I żyd ma serce! i żyd ma serce! a że dusi grosze, bo coby on wart był bez nich?

— I cóż tu robisz, panie Hercyk? — spytał Ostap.

— Co robię? umyślnie jechałem do jegomości z pokłonem, będąc niedaleko za interesem. Już z łaski pańskiej Pan Bóg mnie pocieszył i mam od Icka wnuczka dwoje! A i interesa dobrze idą; chciało się z panem zobaczyć, a i podziękować.

— Jedź-że do moich, panie Hercyk; ja cię poprowadzę konno, bo inaczejbyś nie trafił może.

— A ze mną pan nie usiądzie? Konia możemy przywiązać do moich, jeżeli spokojny.

— I tak dobrze! — rzekł Ostap i usiedli razem.

Naprzód Hercyk mówił o swoich wnukach i o interesach, potem o handlu, potem o polityce trochę, nareszcie gdy już wysiedli,

a Ostap znieńacka oznajmił mu, że ma wyjechać z tych stron, żyd się począł troskliwie pytać, dokąd i dlaczego?

Niepodobna było uniknąć tłumaczeń, wreszcie na myśl przyszło Ostapowi, że bogaty Izraelita może mu być pomocnym, i otworzył mu się prawie ze wszystkiemi, prosząc o jego radę.

Hercyk zamknął się na klucz, przepatrzył papiery, rejestra, dokumenta, rachunki długów i w godzin kilka zdał Ostapowi sprawę ze stanu majątkowego Alfreda z taką dokładnością, jak gdyby nad nim przez kilka miesięcy pracował. Ostap się zdziwił.

— Co to osobliwego? — rzekł żyd — ja na tém zęby zjadłem! Pan myśli: handel, handel! U nas z handlu rodzą się i procesa i prawa trzeba się uczyć i niejednego pana obrachować po sądach. To mnie nie pierwszyna. Otóż — mówił dalej — spis długów, to taksa majątku. Żle stoi wasz pan graf, ale można mu dać radę, a pan ma głowę. Będzie tylko brakowało pieniędzy. No! grafowi bym nie dał, jak na wielki procent i na dobrą ewikcyą, ale panu dam oblig Halperyna, który nawet mam przy sobie, a procent taki mi zapłacisz, jak będzie można. Niech się pan nie straszy!

— Ale zmiłuj się! — zawołał Ostap.

— Kiedy ja się nie straszę, czego pan się lęka? Ja panu daję, bo wiem, że byleś pan pieniądze pokazał, to kredytorowie ich nie zechcą, i prosić będą, żebyście zatrzymali. Zyskasz pan czas, a czas to wszystko. Daj mnie pan sto lat jeszcze, a ja Berdyczów kupię na dziedzictwo. No! a jeśli by te pieniądze się rozeszły, czy to już nie znajdziecie czem oddać? Ja będę cierpliwy i nie wezmę od pana, tylko prosty kwitek. Już ja widzę po rachunkach, po tytule tego pana, co on za jeden: u takich panów, nim fortunę stracą, zbierze się gratów dosyć: a to srebro, a to różne terefele, co pieniądze kosztują, i choćby od siebie rzucać coś warto. Sprzedaj pan to wszystko. Jak mają licytować wierzyciele, nie lepiej samemu spieniężyć, co się na nic nie zdało i bez procentu leży?

Bondarczuk się zamyślił, żyd począł nalegać i nim wieczór nadszedł, zostawiwszy prawie gwałtem weksel, notatkę, ukłoniwszy się nisko, umknął z chutoru.

Ta niespodziana pomoc stawiała Ostapą w możności ratowania interesów hrabiego skuteczniej, niżeliby mógł o swych własnych tyłko siłach.

Gdy wszystko przygotowanem było do wesela, uwolnienie Kuzmów podpisane przez pana Suzdalskiego, zapowiedzi ogłoszone, Ostap uprosił księdza, żeby ze ślubem do niedzieli nie czekał; chciał bowiem wyjechać jak najspieszniej i, wcześniej na chutorze osadziwszy rodziców Jaryny, wstrzymywał się tylko, żeby wyjechać... żonaty.

Jaryna w tym pośpiechu widziała chwilami przywiązanie i uśmiechała się szczęśliwa do narzeczonego, to znowu przecuciem jakimś zgadując, że w sercu jego nic dla niej nie biło, zasepiała się rozpaczą, wątpiła. Ale pojąc nie mogąc, jakiby powód skłonił go do ożenienia się bez przywiązania, częściej przypuszczać musiała, że ją kochał. Dręczące było położenie Ostapa, któremu ładne dziewczę podolskie, podobne do krasnego bodiaka, co wykwita na bujnych łąkach, czepiało się z uczuciem na szyi, goniło za nim, wywoływało z ust jego wyznania trudne, niepodobne, wyzywało dowodów przywiązania nieistniejącego. Odepchnąć jęj nie miał siły, odwagi; dobrowolnie skazawszy się położeniem swém na kłamstwo, udawać nie umiał. To téż gdy Jaryna goniła za nim po dziecinnemu, wesoła, chcąc go widzieć wesołym, szczęśliwa — szczęśliwym, mieszał się i stawał jakby obłąkanym.

Przed samym ślubem niepokój Ostapa powiększył się stokrotnie, bo mając stanąć u ołtarza, coraz surowiej rozważał postępowanie swoje, wątpiąc o potrzebie tego, co czynił, — ale już cofać się nie czas było.

Poważny obrzęd ślubowin odbył się w myszkowieckiej cerkwi przy tłumie ciekawych i państwo młodzi na prostym wozie w czwał pojechali na Bondarczukowy chutor. Tu także ciżba się ludu zebrała: ciekawi, przyjaźni, wdzięczni i próżnujący, przyszli wszyscy, przynosząc Ostapowi albo podarek, wedle dawnego zwyczaju, albo dobre i szczerze szczęścia życzenie. Wszystkich potrzeba było przyjąć, ugościć więcej słowem, niż chlebem. Już wieczór nadchodził i wszystko do podróży przygotowaném było, a Ostap wyrwać się nie mógł gościom. Oczy Jaryny chodziły za nim ogniste, pilne, niespokojne, jakby przeczuwały ucieczkę.

Opóźniony swém ożenieniem Bondarczuk musiał pośpieszać do Skały. Wziął starego Kuźmę na stronę i choć ten był już trochę podpiły, poczał, żegnając go, tłómaczyć mu, jak mógł, swój wyjazd. Stary słuchał, słuchał i nie rozumiał, dlaczego tak śpieszno z weselem, kiedy pan młody, nie pożywszy z żoną i dwóch dni, ledwie od stołu wstawszy, jakby go co w szyję pędziło, uciekał. Ani on, ani stara Kulina, powtarzająca pocichu: „Nieszczęście!“ — pojąc tego nie potrafili, ruszali ramionami i gniewali się prawie.

— Ale to być inaczej nie może — rzekł Ostap surowiej. — Mówiłem wam o tém wprzód jeszcze. Ja jechać muszę; wy mieszkajcie tu z Jaryną i pilnujcie mojego i waszego dobra; ja powrócę.

— I cóż, myślicie taki jechać doprawdy, nie doczekawszy jutra, nie...

— Koń gotowy.

— I nie pożegnawszy się z żoną? — spytał stary, potrząsając głową.

— Nieszczęście! — łamiąc ręce, powtarzała stara.

— Wywołajcież Jarynę — rzekł Ostap.

Wśród zgielku, niepostrzeżona, przez alkierz wysunęła się na skinienie męża Jaryna i pobięła z nim, zakładając mu rękę na szyję, aż pod ławę u krzyża.

— No — rzekł, stając tu Ostap — chcę cię pożegnać, Jaryno.

— Pożegnać? — spytała, nie dowierzając.

— Wszakże wiesz, że odjeżdżam.

— Tak, mówiłeś mi to; jutro, czy kiedyś tam.

— Dziś jeszcze.

— Jakto, dziś?

— Zaraz.

— Zaraz?

— Pamiętaj, Jaryno, żeś mi przysięgła, tak jak ja pamiętać będę, że przysięgłem tobie. Czekaj na mnie; ja powrócę.

Nic nie odpowiadając, stała panna młoda z wlepionemi w niego oczyma, niema, smutna, nieprzytomna, w głowie jej się przewracało, kołowało, a w oczach złociste migały bryzgi.

— Ja wkrótce powrócę — mówił Ostap.

Nie dokończył tych słów, gdy Jaryna z krzykiem płaczącym rzuciła mu się na szyję, tak silnie chwytając go rękoma, obejmując tak zapalczywym uściskiem, że nie mogąc się wyrwać, Ostap zachwiał się, przyciśnięty do jej piersi.

— Dziecię, nie płacz — rzekł powoli. — Wiedziałas, że pojedę; przygotowałem cię do tego; czegoż płaczesz? Powrócę i będziemy żyli razem, zawsze i nazawsze razem.

Ale Jaryna, nie słuchając go, uwiesiwszy mu się na szyi, płakała i krzyczała:

— Ja cię nie puszcę! ja cię nie puszcę!

— Uspokój się, proszę cię, uspokój się.

— Jak ja się mam uspokoić? Mnie żal, żal! mnie wstyd i gorzko i sromotnie! ludzie palcami wytykać mnie będą i powiedzą: „Ot, ta, co ją mąż pierwszego dnia porzucił!”

— Niech ludzie mówią, co chcą, Jaryno, mnie jechać potrzeba, ja pojedę. Co ludziom do nas.

— Dobrze tobie mówić — odparła kobieta. — Tobie ni żal, ni wstyd, ni nic; tobie wszystko jedno, ale mnie, doczekawszy szczęścia, pójść z torbami! Nie, nie, ja ciebie nie puszcę.

— Na Boga zaklinam cię, uspokój się, utul, moja Jaryno! Inaczej być nie może. Ja powrócę i nie pojedę więcej z domu; zostań z sobą, ot, tutaj, nazawsze.

Ona nie słyszała już, zachodząc się znowu od srogiego płaczu; ale widząc upór męża, puściła ręce i upadła na ziemię, szlochając. Napróżno starał się Ostap pocieszyć ją, utulić, próżno przybiegli ojciec i matka; nic nie pomogło. Z sercem ściśniętém siadł Bondarczuk na konia, zostawując ją płaczącą jeszcze pod krzyżem w dolinie.

W Skale, majątku hrabiego Alfreda, dom mieszkalny wznosił się na podniosłej górze, u której stóp płynęła rzeka. Brzeg jej urwisty, miejscami powolnie ku wodzie pochylony, ubierał pięknie ogród w sposobie angielskim, ze starego włoskiego przerobiony. Szpale-ry, dawniej obcinane misternie i starannie, które kształtowały świątynie, obeliski i kolumny z zieleni, puszczone swobodnie, rozrastały się teraz w okazałe ciemne ulice. Celną ozdobą tego miejsca były ogromne drzewa i czysta, żywa woda. Sam dom, długi, wąski, nie piękny wcale, ale wygodny i utrzymywany czysto, zdaleka białął przyjeżdżającym. Dokoła ogrodu rozrzucone były zabudowania gospodarskie, a dalej sznurem wyciągała się wioska z cerkiewką drewnianą, z murowaną karczmą, z młynem, stawem i kawałkiem przechodzącego tędy pocztowego gościńca, który po wzgórzach wił się sznurem drzew rozłożystych.

Tu mieszkała Michalina, żona Alfreda, którą świeży wypadek męża zostawił zupełnie osamotnioną, bez pociechy, bez opieki. Dla dalszego ciągu tej powieści musimy z położeniem jej obeznać trochę czytelników.

Hrabia Alfred, jak-eśmy się z jego rozmowy dowiedzieli, skutkiem szczególniejszego stanu duszy, wpadł był ostatniemi czasy w jakieś rozdrażnienie i zniecierpliwienie, rodzaj chorobliwego szału, który się stał przyczyną wszystkich jego i żony nieszczęść. Od lat dwóch przestawszy żyć czynnie, nie zajmował się niczem, nie dotykał niczego; nie bawiło go ani gospodarstwo, ani czytanie, ani towarzysztwo, nie nęciła sztuka. To, co dawniej było najulubieńszém zatrudnieniem, zapomniane zostało i odrzucone. Przy żonie wesół, swobodny, na oko szczęśliwy, pełen dla niej oznak grzeczności i uczucia nawet, skoro sam z sobą lub obcemi pozostał, znużony, wpadał w czarne zadumanie, lub najdziwniejszy stan gorączkowy. Milczał, lub niezdolnie szydził, gniewał się niewiedzieć o co, zadziwiał niewiedzieć dlaczego. Dozwoliwszy podręcznym swoim rządzić majątkiem, jak się im podobało, nie wglądał wcale w stan poddanych, skarg ich słuchać nie chciał, lub zmuszony dać im ucho, roz-targniony, odsyłał ich po radę do tych właśnie, na których się za-

lili. Korzystając z tej słabości hrabiego, rządcy majątku nadużywali wszystkiego, znęcali się nad ludźmi, z bogacali się i uzuchwalali do najdziwniejszych kroków, będąc pewni bezkarności. Stan interesów zaniedbanych, pogorszając się nieznacznie co roku, przyszedł w końcu do kresu, za którym stało już bankructwo widoczne. Spieszyli drapieżcy, żeby pochwycić, co można, nimby się reszta dostała w ręce wierzycieli. I nie tylko własny hrabiego majątek, ale żony jego także zostawał w tym oplakany stanie. Dobra te oddzielnej natury zwały się zaraz w pierwszych po ślubie latach dla wzajemnego podźwignięcia. Cała teraz masa zagrożona była sprzedażą z publicznego targu, którą wywołać naprzód musiały zaległe bankowi wyplaty.

Oprócz pożyczki, umarzającej się corocznie, część wiosek nią nie zajętych obarczona była długami prywatnymi, które i z dawnych czasów pozostały, i gdy hrabia Alfred poczynił się rządzić sam i pilnie wchodzić we wszystko, skutkiem pozyskanego kredytu pomnożyły się jeszcze. Od tych długów nieopłacane przez lat kilka procenta zwiększały ciężar na majątku, i tak już będącym w najgorszym stanie, a wierzyciele, do rozpaczki przyprowadzeni, utworzyli pierwszy zaród nienawiści i niechęci powszechnej, która wkrótce prześladować poczęła hrabiego Alfreda.

On jakby nie dbał o to, co go spotykało, owszem, jakby szukał jakiejś cierpkiej rozrywki w zatargach z ludźmi, w początku zaraz zjawiających się nieprzyjaźni nie tylko nie uczynił dla zmniejszenia ich, ale jeszcze drażnił umyślnie i powiększał, naprzekór czyniąc wszystkim. Łatwo pojąć, jak nieznacznie z wyjątkowych uraz, z niechęci osobistych wyrodził się powszechny wstręt i nienawiść dla hrabiego. Nieprzyjaciele roznosili o nim wieści najdziwniejsze, a każdy chwycił je skwapliwie; hrabia zaś postępowaniem swoim wszystko, co o nim prawiono, usprawiedliwiał.

Są ludzie, względem których opinia publiczna niewiedzieć jak i dlaczego wysila się na potwarze często najniesprawiedliwsze; są inni tak szczęśliwi, że im wszystko przebacza i wszystko dla nich tłómaczy. Skąd ta surowość i to pobażanie?

Nikt jeszcze tajemnicy tej nie doszedł.

Ruchoma, jak chmury, zmienna, jak obłoki, bezprzyczynna, jak burze nagłe, opinia powszechności, którą głosem bożym nazwano dawniej, tam tylko sądem istotnie bożym być może, gdzie lud, co ją ogłasza, składa się z cząstek dobranych. U narodów na wysokim stopniu nie oświaty, ale moralności zostających, władza on wszystkim i działa zbawiennie; u ludzi cierpieniem podrażnionych, schorzałych lub zepsutych, rzuca się codziennie z ostateczności w ostateczność, a wyroki jej są namiętne i najczęściej gwałtownością swą

niesprawiedliwie. Jedno nie przerzuca ją z jednego w drugi kranc; wczorajsze bóstwa wali i depce nogami, a ze szczególną zajądłością potępiając z pozorów, rzadko się schyli do tych, których niewinnie skalała. U ludów silnych opinia więcej podnieca, niż zniechęca, raczej poklaskuje, niż gromi; u nieszczęśliwych, u upadłych — radaby zdaje się wszystko zniszczyć, wszystko pogrzebać, nikomu nie przebaczyć.

U nas, niestety! nikomu ona nie dodała siły, a wielu ją odebrała; tak było i z Alfredem.

Obejście jego z wierzycielami, w początkach zaniedbanemi, potem odepchniętymi pogardliwie, nareszcie doprowadzonymi do ostateczności dumą i nierzetelnością dobrowolną Alfreda, było pierwszym zapewne powodem utraty opinii powszechnej. Wierzyciele stanęli, gwałtownie krzyżąc, na czele nieprzyjaciół hrabiego, a zaniedbanie towarzyskich stosunków, które tłómaczono dumą i napuszeniem arystokratycznym, obejście z ludźmi ostre i niegrzeczne dokonały reszty.

Przyszło do tego, że dziedzic Skały nie mógł się już w większym towarzystwie pokazać, że wszystkie prawie domy były dla niego zamknięte, a na każdym kroku spotykały go odgródki i zaczepki. Ostatnia kosztowała życie Ludwikowi M., młodemu, wielkich nadziei chłopcu, który poległ w pojedynku z ręki hrabiego Alfreda. Najdziecinniejsza okoliczność była powodem sprzeczki. Alfred na bału w powiatowem miasteczku, danym za biletami, przyszedł umyślnie naigrawać się nieprzyjaznym sobie. Rozsiadł się ze swoim złym humorem i dumną miną w krzesło tańczącej panny, która stanęła właśnie do mazura z Ludwikiem. Zająwszy to miejsce przypadkiem, Alfred nie ustąpił z niego, choć tancerka powróciła i stanęła przed nim, oglądając się i szukając krzesła. Ludwik bardzo grzecznie przypomniał hrabiemu, że miejsce to należało oddać, komu było przeznaczone, ale on w najniewinniejszych tych kilku słowach znalazłszy cień szyderstwa, odpowiedział szydersko także:

— Mnie tu dobrze i nie wstanę; panu jeśli się podoba, możesz sobie przynieść inne krzesło.

— Mogę — rzekł, rumieniając się, młody człowiek — ale nie lubię, żeby mi kto w taki sposób, jak pan, przypominał.

— A jeśli pan nie lubi, to co? — spytał hrabia.

— To proszę go powtórnie o ustąpienie z miejsca.

— Ja go nie ustąpię.

— Więc pan chcesz, żebym go zrzucił za kołnierz! — zawołał cały w płomieniach młody człowiek, któremu krew zawrzała.

Na te słowa Alfred parsknął śmiechem i za całą odpowiedź zmierzyszy od stóp do głowy wejrzeniem pogardliwem Ludwika, pra-

wie w twarz mu pluwał. Ten jak piorun rzucił się na hrabiego i by-łoby przyszło do karczemnej walki, gdyby przytomni nie rozjęli ich i nie uspokoili pojedynkiem, wszystkich nierozwikłanych głupstw ludzkich ostatecznym rozwiązaniem.

Nazajutrz Ludwik od dnia szarego czekał na swego przeciwnika na mogiłkach za miejską bramą i, doczekawszy się przybycia Alfreda, padł śmiertelnie ranny od kuli, która mu pierś przeszła. Nim hrabia uciekł, młody chłopiec skonał, przekazując licznę rodzinie i niemniej liczny przyjacielom (bo cała młodzież kochała go po bratersku) zemstę za siebie.

Dano uciec Alfredowi w pierwszej chwili zapomnienia się, rozpaczy, gdy wszyscy jeszcze garnęli się około Ludwika; lecz opamiętawszy się bracia, towarzysze, ojciec zaczęli ścigać zabójcę, który ledwie miał czas przemknąć się przed pogonią za granicę. Alfred był znieawidzony powszechnie, Ludwik kochany od wszystkich; — można miarkować, jak ten wypadek wytłómaczono, jak go oceniono i jakie wzbudził uczucia. Znalaziono najsprawiedliwsze zarzuty przeciwko pojedynkowi i sposobowi, w jaki się on odbył. Gdyby nie szybka ucieczka Alfreda, byłby wydany w ręce władzy i świadectwem wszystkich potępiony u sądu, jako zwyczajny zbójca i napastnik.

Na czele reszty nieprzyjaciół Alfreda stał główny jego wierzyciel, niejaki Hipolit Ciemierka. Człowiek-to był powierzchowności grubijańskiej, w obejściu nieznośny, czasem upadający się do obrzydliwości, to znów nadymający się swemi pieniędzmi niesłychanie. Niewiadomego pochodzenia, spekulant ten żył z pożyczania, chociaż do niego nikt, prócz zdesperowanych, nie udawał się po pieniądze. Po powrocie Alfreda zza granicy Ciemierka, nie mając co zrobić z kapitałem, od roku leżącym bez procentu, podsunął go hrabiemu. Sławny ze swęj trafności w obrotach, Ciemierka, pierwszy raz omyliwszy się w ulokowaniu sumy, dwojako cierpiał: na kieszeni i na dumie.

Nie tyle może bolała go prawdopodobna strata, jak raczej upokorzenie, że się dał uwieść i oszukać. Ciemierka wściekał się na hrabiego: w początku chciał go zmusić do wypłaty zwykłym sobie sposobem, który mu się często powodził, to jest: grubijańskimi najazdy, łajaniem, gniewami i krzykiem. Gdy to wszystko nie tylko że do niczego nie pomogło, ale hrabia kazał go za drzwi wypchnąć i oznajmił mu, że nie zapłaci, aż zmuszony procesem, spekulant począł razem mścić się i procesować. Szerokie mając stosunki, ostry język, a serce żółci pełne, wkrótce do reszty znieślawił swego przeciwnika i, poruszywszy wszystkich, jeszcze dotąd spokojnych wierzycieli, rozżarzywszy niechętnych i zazdrosnych, rozpoczął wojnę.

Wojna ta spotykała Alfreda co krok: u drzwi kościoła parafialnego, gdzie go palcem pokazywano, zowiąc bankrutem, w miasteczku, gdzie najmowano żydków, żeby mu podrzucali paszkwile, we własnym domu nawet. Trwało to więc, niż od roku, i obiecywało się przeciągnąć, gdyż sprawa sama z tysiąca powodów rozwałkować się dała, odkładać, zwracać do dopełnień i przedłużać. Ciemierka, ufny w swój oblig, niewiele starał się po sądach, a sekretarze, wiedząc o stanie jego kieszeni, radzi, że go pochwycili, umyślnie mu psikusy płatali.

Oprócz sprawy z panem Ciemierką, czysto obligowej, lecz zamiatwanej nieformalnościami, Alfred porzucił w domu pięć różnych procesów o granice, o przytrzymanie obcych ludzi, o sumy ewikcyjne, nielegalnie wypłacane, o rachunki z jakiejś administracji, o której nawet nie wiedział! Nieopłacony bank i niepownoszone w zupełności podatki, nieoddany w porze rekrut, niezasypany magazyn, mnożyły niebezpieczeństwa, w jakich majątek zostawał. Wszyscy ludzie byli od lat kilku niepłatni; niektórzy znaczne sumki narachowali na skarbie, w którym służyli, — słowem, stan Skały i reszty majątności Michaliny i Alfreda był zrozpaczony prawie.

W dodatku obejście się z ludźmi srogie doprowadziło ich do takiego rozjątrzenia, że co chwila wybuchnąć mogło nieposłuszeństwo, które już kilka razy, objawiając się częstkowo, siłą tylko i karami poskromiono.

W takich-to okolicznościach przywołany przez Alfreda Ostap śpieszył objąć opiekę nad jego żoną i dziecięciem i rządu zrujnowanego majątku.

Wiedział on po części, co się działo w Skale, ale na miejscu dopiero mógł się o całej rozległości swojej ofiary i trudnościach zobowiązania swego przekonać. Jechał z silnym postanowieniem uczyńnięcia wszystkiego, co było w jego mocy, dla ratunku ukochanych; wiozł z sobą weksel Hercyka, wszystko, co sam miał zapracowanego w ciągu życia, swoje siły, gotowość do pracy, poświęcenie. Lecz gdy zbliżył się do Skały, gdy zabielał dom, w którym ona była, gdy pomyślał, że tam czekała na niego, zadrżał, opuściła go moc nad sobą i przytomność. Napróżno starał się siłę wyrobić, odpędzić uczucie i cierpienie, odepchnąć myśli natrętne; osłabły walką, musiał się zatrzymać i opóźnić swoje przybycie jeszcze do odzyskania tak potrzebnej mu odwagi i krwi chłodnej.

Wieczór był, gdy po modlitwie, po gwałtownych z sobą bojach Ostap, przybrawszy na się zimną i głupowatą powierzchowność, odziany niedbale, napozór obojętny, przyszedł do drzwi dworu w Skale. Pomimo uczucia, które nim w tej chwili miotało, okiem przyjaźni dostrzegł z boleścią oznaki ruiny i upadku. Ludzie cho-

dzili samopas posepni, hardzi, odpychający, niechętni; budowle niepoprawiane i walące się gdzieniegdzie zakrawały na pobielane pustki, ogród zarastał chwastami; ęma żydów czarnych włoczyła się do koła, obsiadając Skalę, jak krucy zlatują się na padło. Grobowe milczenie zimnym swym całunem pokrywało ten obraz konania majątkowego; siekiera tylko stróża, który niedaleko domu rąbał stare olchy ogrodu na opał do kuchni, przerywała je, jak stuk młota, zabijającego wieko trumny.

Ostapowi serce się ścisnęło boleścią; wszedł do sieni; nikogo tu nie zastał; długo czekał w przedpokoju, w saloniku nieomiecionym i zapyłonym, nim się poważał iść dalej; nareszcie oznajmiła o nim pani służąca, a Michalina kazała go prosić do siebie.

Siedziała ona w oddalonym, osamotnionym pokoiku sypialnym u kolebki dziecięcia, lecz jak zmieniona, jak inna! Tylko zręczna, wysmukła i giętka kibić pozostała jęj z dawnych, dziewiczych wdzięków, tylko białość przejrzysta jeszcze twarz jęj zdobiła; lecz rumieniec i uśmiech i spojrzenie i spokój pięknego czoła, wszystko po jednemu zabrało, uniosło z sobą życie. Czarne jęj, pełne ognia oczy, zdawały się jeszcze większe w zapadłych powiekach, ale płomień ich lży zgasiły; usta miała blade, policzki wychudłe, a ogromny kruczy warkocz włosów zdawał się jęj główkę pociągać ciężarem swoim na ramię, na którym przechylona leżała.

Na miejscu rumieńca marmurowa bledość okrywała zarówno twarz całą; w wargach nawet krwi kropli nie było, i jedne tylko oczu oprawy trochę zarumienione, zdawały się mówić, że wszystką krew wypłakała. W czarnej sukni po szyję, w czarnej chustce, z odkrytą głową siedziała schylona u kołyski i patrzyła przez bliiskie okno na wodę.

Przybycie Ostapa, o którym wiedziała, nie wzruszyło jęj, nie zmieniło wyrazu obumarłego oblicza, nie wywołało nawet przelotnego rumieńca. Gdy chód jego dał się słyszeć u drzwi, spojrzała na dziecicę śpiące, potem podniosła oczy ku niemu.

Ostap przybrał postawę gburowatą, strój do nięj stosowny i wszedł z niezgrabnym ukłonem, z niezgrabniejszym uśmiechem. Widać było, że Michalina zdumiała się, widząc go wcale innym, niż się spodziewała, bo po pierwszym ujrzeniu dopiero oblał ją na chwilę rumieniec. Nie rzekła słowa, wskazała mu tylko krzesło, lecz Ostap nie usiadł.

— Jakże to dawno, jakże to dawno — odezwała się przerywanym głosem — nie widzieliśmy się, prawda? Wszak to temu lat kilka! wieki... Nie wiem...

— O! dawno, jużciż bardzo dawno! — powtórzył Ostap, odgrywając włożoną na siebie rolę.

Michalina nie dosłyszała odpowiedzi powszedniej, obojętnej; głos i słowa były dla niej dziwne. Spojrzała i dodała szybko:

— Zastałeś mnie pan tak jak wdową, a to dziecię tak jak sierotą; nieszczęśliwy Alfred musiał nas porzucić; myśmy sami, okrutnie sami i okrutnie biedni! Z obowiązku żony i matki chciałam zaraz po odejździe Alfreda zajrzeć w interesa nasze, poznać się z ich stanem: są okropne!

Ostap milczał, oparł się o ścianę, ręce w tył założył i choć myśli i uczucia burzyły się w nim, jak kipi woda na ogniu, na widok tej kobiety tak zmienionej, tak widocznie upadłej na nadziejach, znużonej, nieszczęśliwej, przecież nie dał znaku ani myśli, ani uczucia.

— Pan będziesz naszym opiekunem i zbawcą — mówiła Michalina — nieprawdaż?

— Zrobię wszystko, co będzie można — lakonicznie szepnęła Ostap — wszystko, co mi pan hrabia kazał.

Michalina nie poznawała w przybyśzu dawnego Ostapa, tak dziwnie on się zmienił, przymuszając do tej ofiary i wyraz twarzy i postawę i mowę. Ten zawód, który nas zawsze prawie spotyka po długim niewidzeniu ukochanych, których zwiększamy w sercu naszym aż do olbrzymich rozmiarów, przechodził pojęcie hrabiny, krwawił jęj serce. Przygotowana do przybycia Ostapa, stawiając między nim a sobą kolebkę dziecięcia, wyobrażała go sobie zawsze nieszczęśliwym, pełnym szlachetnych uczuć, smutnym i znękanym młodzieńcem; zdumiała się, spotykając chłodną posępną zubożonego człowieka, który na nią poglądał zimno, który jęj odpowiadał pół-słowami i zdawał się nic nie czuć, a mało rozumieć.

— Mogłażem się tak omylić? — zawołała w duszy. — Nie, nie! to udanie! na dnie tej spokojnej głębi tai się ogień, kryje uczucie bojaźliwe. Mógłże tak się odmienić, tak zestarzeć, tak zapomnieć?

I rozdrażniona, zapomniała na chwilę o dziecięciu, zwróciła się ku niemu, spojrzała mu w oczy z bijącym sercem, a drżące jęj usta ciszej nieśmiało spytały:

— Pan nas nie opuścisz?

Dźwięk jęj głosu i wyraz twarzy zamąciły udany spokój przybyłego; zabiło jego serce, poruszyły się ręce, załamały, całe uczucie, które tał, dobyło się nazewnątrz, a zmieniony, opromieniony nię Ostap zawołał:

— O! nigdy! nigdy!

W tym wyrazie, powtórzonym namiętnie prawie, Michalina znalazła całą swą przeszłość. Obudziła się miłość, której dotąd zgasić nie mogła; zdawało się jęj, jak gdyby go dopiero zobaczyła. Lecząc dziecię ludu, przywykłe od młodości do ukrywania wszystkich uczuć, potrafiło wnet wybuch poskromić i, rozkazawszy oczom obumrzeć,

postawie złodowacięc, wrócił Bondarczuk do pierwszego stanu, w jakim się, wchodząc, ukazał. Widzenie znikło.

Ale zapóźno! Michalina odgadła tajemnicę i pocieszona, spokojniejsza, już nie zwróciła oczu na niego, już nie próbowała rozbudzić zamarłego. Rozmowa na moment przerwana, znów poszła tokiem zwyczajnym, szerokim gościńcem pospolitych rozmów obojętnych ludzi.

— Nie poznasz pan swojego kraju — mówiła Michalina — tyle się tu zmieniło! I my i wy i ludzie i sam kraj nawet. Otoczyli nas nieprzyjaciele, zawistni, niechętni. Wytlómaczyć sobie nie umiem, jak ich tyle mógł sobie zrobić Alfred. Biędny Staś!

— Wszystko da się przerobić; wszystko się zapomni. Czas, to wielkie lekarstwo.

— Czas! nie! — odparła kobieta. — Są ludzie i uczucia, na których czas nic nie może.

To mówiąc, westchnęła nad sobą mimowolnie.

— Ale pan zostałeś naszym opiekunem — dodała żywo — i ja mam już nadzieję lepszej przyszłości.

— I ja mam trochę nadziei — rzekł Ostap — a jeśli gorące pragnienie coś znaczy i do czego służy, ziści się może choć ta trocha nadziei.

— O! ja też wiele nie żądam — mówiła Michalina, spuszcżając oczy na kolebkę. — Wróc dziecięciu ojca, uspokój niechętnych, opłać wierzycieli, a nam byleby pozostał choć mały jaki kątek, choć spokojny domek szlachecki.

Łzy potoczyły się jęc po twarzy.

— Nie płacz pani, na Boga, nie płacz pani! — zawołał Ostap, który widoku tego bez wzruszenia znieść nie mógł i czuł, że go osłabia. — Łzy nie ratują, łzy gubią. Tu potrzeba męstwa, potrzeba wytrwania.

— Za wiele wymagasz pan po kobiecie — odpowiedziała hrabina, która obudzona zmienionym znowu głosem Ostapa, spojrziała na niego i ujrzała w nim dawne swe marzenie. — Męstwo, wytrwałość, to może nie nasze cnoty. Ale ja się mniej boję, widząc już pana przy nas, mniej daleko, wierz mi. A potem ja wiele nie żądam: dla Stasia jakikolwiek chleba kawałek; nie będzie potrzebował wiele: wychowam go do ubóstwa; tak bezpieczniej. Dla mnie jabym tylko chciała — dodała po zastanowieniu się — gdyby to być mogło, ze szczątkiem majątku wyratować dom moich rodziców, gdzie mi tak błogo upłynęła młodość; resztę, wszystko a wszystko, nawet Skalę, oddam bez żalu.

Ostap całe swe siły przywołać musiał, aby ukryć, co się z nim

działo; drżał, czuł, że słabnie, i dźwięk tylko głosu Michaliny dochodził jego uszu; wyrazy przelatywały niezrozumiane.

— Pani — odpowiedział cicho — zrobię, przysięgam, zrobię, co tylko będzie można, co mi pani każesz.

— O! ja nie rozkazuję, ja i prosić nie śmiem. Rób, co ci wskaże przyjaźń dla Alfreda i — szepnęła prawie niezrozumiale — i pamiętać na jego dziecię.

Zamilkli; łzy ciągle płynęły z oczu hrabiny, dziecię się przebudziło i, wyciągając rączki do niej, poczęło ją wołać do siebie; potem rzuciła się do kolebki i, porywając na ręce śliczne czarnookie pacholátko, podniosła je ku Ostapowi. Nie śmiał go dotknąć Bondarczuk, bo jakieś bolesne, niewytłomaczone uczucie ścisnęło mu serce na widok dziecięcia, które tuląc się do hrabiny, objęło ją rączkami i zdumione poglądało na nieznanego z obawą.

— Ukłoń-że się, Stasiu! — mówiła matka — ukłoń się temu panu; on ci ma ojca zastąpić.

— O! pani — rzekł Ostap z uczuciem — będę tylko najpierwszym i najgorliwszym sługą waszym.

To mówiąc, posunął się ku drzwiom.

— Pan już odchodzisz? — spytała Michalina, widząc go z pokornym ukłonem wymykającego się.

— Chwili nie mamy do stracenia.

— Jabym potrzebowała pomówić z panem.

— Rozkaże mnie pani zawołać.

Znów Ostap przy tém pożegnaniu dziwnie obcym i innym wydał się Michalinie, znów postawa jego i twarz przykro ją uderzyły sprzecznością z tym obrazem, który miała w pamięci, lecz nim sprawdziła swoje wrażenie, jego już nie było.

Staś tylko szeptał coś do matki, ale ona go nie słyszała; cała w sobie, zamysłona, poruszona, niespokojna, oddała dziecię piastunce i pozostała w krześle nieruchoma, przybita, milcząca.

Ona go jeszcze zrozumieć nie mogła, a wyrzec się nie chciała.

Z pokoju Michaliny wybiegł Ostap do ogrodu, potrzebując zebrać przytomność, siłę i myśli, aby natychmiast zająć się pracą ogromną, która na niego czekała, potrzeba było poskromić uczucia, ostrygnąć na zawołanie i pójść zaprzędz się do najtrudniejszego z ludzkich zatrudnień, od którego jednak los matki i dziecięcia zależał. Ma to do siebie wielkie, podniesione uczucie prawdziwe i szlachetne, że człowiek, jeśli nie nazawsze, to na czas pewien zbroi, umacnia i podwyższa. W niem Ostap znalazł braknące mu w téj chwili przymioty i śmielszy z przechadzki swój kierował się ku domowi, a raczej dworowi pana rządcy.

Miał bowiem rządcą dwór z ogrodem i zabudowaniem, któryby

niejednej szlacheckiej przydał się wiosce; miał oddzielne gospodarstwo, usługę i żył na stopie majątnego człowieka, gdy interesa zewsząd groziły ruiną. Korzystając z ostatnich chwil pobytu w Skale, nie tracąc czasu na próżno, czynnie się zajmował własnymi naprzód interesami i gospodarstwem.

W dziedzińcu, porządnie sztchetami ogrodzonym, z klombem wpośrodku, kilku ludzi czekało, leżąc pod wrotami, na posłuchanie, którego im od rana odmawiano, kilku żydów siedziało u ganku, a w pokoju samym rozmawiał rządcą z ekonomem jednego folwarku. Niepozorne ubranie Ostapa zastanowiło siedzącego w ganku chłopaka, który nie wyjmując rąk z kieszeni, spytał tylko przez zęby:

- Czego to asan chcesz?
- Widzieć się z panem rządcą.
- A cóż asan za jeden?

— Mój kochanku — odpowiedział Ostap — powiedz tylko, że mam pilny list od pana hrabiego i muszę go panu Susłowi do rąk oddać.

— List od JW. grafa? — spytał chłopiec. — Albo to nie można i mnie go poruczyć, to ja go oddam, bo pan rządcą teraz nie ma czasu.

- Idźże-no tylko i oznajm — rzekł Ostap powolnie.
- A kiedy ja wiem, że nie ma czasu!
- No, to ja sam pójdę się o tém przekonać — zbliżając się, rzekł Ostap śmiało.

Chłopiec chciał bronić przystępu do drzwi, ale wejrzenie surowe przychodnia zmieszało go i odstąpił, coś bełkocząc.

Rządcą, człek już podstarzały, który nie z jednego pieca chleb jadł, a jak drudzy mówili, i nie w jednym piecu palił, był niegdy u Pijarów pauprem; ze szkół wyszedłszy, długo i mozolnie dobijał się pierwszej swęj plenipotencyi, nareszcie doszedł i kapitalików i stosunków i zaokrąglonego brzucha. Rumiany, okrągły, z wielkim jasnym wąsem, który mu z dawnych czasów pozostał, z małemi oczkami, z ręką zarzuconą za kamizelkę porozpinaną, siedział w krześle wygodném u stolika zarzuconego papierami; w progę stał pokornie ekonom skurczony i zbiedzony. Na widok wchodzącego niepoczesnego przybysza, który bez opowiedzenia się śmiał wtargnąć do kancelaryi, zmarszczyły się jasne brwi pełnomocnika, zasepiło wejrzenie i, trochę się podniósłszy, sapiąc, zapytał:

- A pan czego?
- Mam tu list do pana.
- Ale ja jestem zajęty; poco było...
- To list od pana hrabiego.

— Od hrabiego, a choćby i od księcia — rzekł pan rządca — można było poczekać.

— Niech-no pan przeczyta — rzekł Ostap — a przekonasz się, że nie mogłem czekać, aż pan mieć czas będziesz.

To mówiąc, Ostap oddał list i, nie pytając więcej, usiadł na przeciwległej kanapie, przypatrując się pokojowi.

Pan Michał Suseł, gdyż, jak-eśmy wspomnieli, to było nazwisko pełnomocnego pana rządcy, rozerwał pieczęć, patrząc zpod oka na przybyłego i jego poufałe obejście się, począł czytać, zająknął się, połknął kilka razy ślinę, czegoś zbladł i, odkładając papier na stronę, rzekł do Ostapa:

— Bardzo pana dobrodzieja przepraszam, ale nie wiedziałem.

— Niema zaco przepraszać; ja się wcale nie gniewam.

— Więc to pan przybywa?

— Ja przybywam dla objęcia rządu majątku i interesów; a że oboje wymaga niezwłocznej rady, jak widzę z niektórych papierów, proszę więc pana, żebyś się zajął zaraz zdaniem mi wszystkimiego.

Pan Suseł, zmieszany już, podwójnie się i widocznie skłopotał; potarł czoło i, jękając się, rzekł:

— A dobrze, a bardzo dobrze, chociaż to, widzi pan...

— Dotąd nic nie widzę.

— W istocie, nie jestem przygotowany.

— Będziemy sobie pomagali — rzekł Ostap.

— Bo, widzi pan, miałem u JW. hrabiego zupełne zaufanie.

— I spodziewam się, żeś go pan nie nadużył.

— Bóg widzi, widzi pan... pozwoli pan... za chwilę będę mu służył.

Zakreślił się i wyszedł, jak we wszystkich wielkich razach, po radę i pomoc do żony, która go nieraz już ratowała swojemi wymownemi oczyma i ustami.

Ostap, który już dobrze znał wprzód człowieka, z jakim miał do czynienia, usiadłszy, cierpliwie czekał jego powrotu. Widział z przyjęcia, że szybkie przybycie pomieszało tu szyki; trzeba było, nagląc zdawanie papierów i rachunków, ratować interesa, o ile było można.

Po kwadransie czasu, wśród którego słychać było wielki zamęt w całym domu, fortepian, odzywający się wprzód tęsknemi tony, ustał dźwięczyć, a ludzie poczęli biegać po podwórzu i niezmierne szeptania dochodziły z sieni. Pan Suseł wszedł napowrót do kancelaryi z lepszą trochę miną.

— Bardzo pana przepraszam, ale obowiązek. oj! to, panie, dozna pan sam, obowiązek sekujący.

— Kto go chce gorliwie i sumiennie spełniać...

— Otóż to jest, panie dobrodzieju! Interesa, Bóg widzi, nie

z mojej winy, w stanie okropnym. Dzięki Bogu, że pan sobie ten ciężar przyjmie ode mnie; jużbym rady dalej nie dał; prosiłem się, żeby mnie stąd z duszą puścili. Między nami mówiąc, długów więcej, niż majątku. Ale cóż ja temu winienem? JW. graf przez swoją powolność...

Tu przerwał z uśmiechem i spytał:

— Można pana dobrodzieja prosić na herbatkę do mojej żony?

— Bardzo dziękuję, nie pijam herbaty, a mnie pilno do rzeczy.

— Jakto? zaraz? tak, nie spoczawszy?

— Zaraz, panie, zaraz.

— Ale my tu, panie, nic nieprzygotowani.

— To nic nie szkodzi; u mnie o żadne formy nie chodzi.

— Więc pan każe przywołać ofycjalistów?

— Najprzód prosiłbym o papiery i wyjaśnienie stanu interesów bieżących.

— Papierów, panie dobrodzieju? Co się tyczy papierów, to... co do części prawnej, są w powiatowem mieście, a administracyjne, ekonomiczne, rachunkowe to po rękach ofycjalistów.

— Ale są też i u pana?

— Wszak toby może na jutro? Jabym pozbierać kazał.

— Przyznam się panu, że czasu nie mam i chwili do stracenia; jutro muszę jechać do miasta powiatowego.

Rządca poskrobał się w głowę, spojrział uważnie na Ostapa, chciał coś powiedzieć i umilkł.

— Tu-bo, widzi pan, w tém zawikłaniu, nim pan rozpozna stan rzeczy, cd czegożbyśmy poczęli?

— Od czego się panu podoba, bylebyśmy zaczęli.

— Pan nie wie, co to jest: to gmach.

— Ja to już trochę znam.

— A! to tém-ci lepiej, tém lepiej! O! proszę pana, ja tu zdrowie nad tém straciłem, siły, wiek, ot, i tak, a teraz chętnie, Bóg widzi, chętnie się zbęde i pójdę odpocząć.

Drzwi tylko dzieliły kancelaryą od bawialnych pokojów; rządca chrząknął mocno raz i drugi i z sieni wysunęła się bardzo ładniutka blondynka, dość strojna, która z uśmiechem powolnym i wabiącym spojrzawszy na Ostapa, odezwała się srebrnym głosikiem, sznując usteczka:

— Można pana dobrodzieja prosić na poziomki i herbatkę?

— Bardzo pani dziękuję; herbaty nie pijam, poziomki nie jadam, a my tu mocno jesteśmy zajęci.

— Ale na chwilkę; to nie oderwie na długo.

— Daruje pani, że ję odmówić muszę; interesa, a nadewszystko cudze, muszą iść przedewszystkiem.

— Pan-bo nie łaskaw na nas — dodał pan Suseł.

— Najmocniej przepraszam państwa, ale w istocie godziny mam policzone i natychmiast musimy zająć się papierami.

Piękna blondynka dość chmurno i pogardliwie spojrzawszy na Ostapę, zakreśliła się i szepnęła do męża:

— Ja tu panom przyślę, kiedy pan nie łaskaw do nas.

To mówiąc, wyszła.

— A więc zaczynamy — naglił Ostap.

— Ot, są papiery! niech pan sobie szczęśliwie zaczyna — rzekł, dławiąc się, Suseł i coraz z łagodnego tonu w groźniejszy wpa-dając.

— Bez pana nie chciałbym sam poczynać.

— Ot, co darmo wodę warzyć; powiem panu otwarcie: pan tu przyjechał napróżno, bo tu już rady nie dać.

— Dlaczego?

— Bo tu i człowiek, co na tém zęby zjadł, nie poradzi.

— Cóż więc będzie?

— Co? a co ma być? oczywiście majątek sprzedadzą i z torba-mi pójdą i po wszystkiém.

— Dawno pan tu rządysz? — spytał go Ostap.

— Dlaczego pan się o to pyta? Lat dziesięć, panie, ale to nie moja wina; ja robiłem, co mi robić kazano.

— I dozwoliłeś pan na wszystko, nie starając się ani uwagą, ani radą zyczliwą sprostować hrabiego, widząc ruinę, nie usunąłeś się pan w czas?

— A mnie co do tego? Mnie dysponowano, ja robiłem, a co po-tém, ręce umyвам. Ja tu nic nie winienem.

— To się okaże.

— Co tu się ma okazywać? — zawołał pan Suseł. — Niema nic i nie będzie nic.

— A zatem, jak się panu zdaje, cóż ja mam robić? — spytał ironicznie Ostap.

— Rób pan, co chcesz, a moja rada nie wdawać się w nieswoję rzecz, bo tu pan nie dojdiesz ani początku, ani końca.

— Spróbujmy przecie — rzekł Ostap, siadając za stół i klaska-jąc w ręce. — Każ pan zawołać rachmistrza, pisarzy i oficyalistów.

Pan Suseł zastanowił się, popatrzał trochę, ruszył ramionami i, idąc ku drzwiom, niepewnym głosem począł coś dysponować chłop-cu, który się w progu ukazał z herbatą. Potém, chodząc po kance-laryi, przerywanemi słowy, wpół do siebie, wpół głośno mówił:

— Rób pan, co chcesz! to nie moja wina; ja tu na włos nie chy-biłem; moje sumienie czyste. Straciłem wiek, mniejsza o to; czło-

wiek wyjdzie choć z torbami, ale z okiem niezaprószoném. Ja się nie boję, niech tu kto chce sądzi.

Powoli ustawało to mruczenie coraz niewyraźniejsze i rządca, chodząc głęboko zamyślony, a widząc, że Ostap poczyna papiery rozpatrywać, z przymuszonym uśmiechem odezwał się do niego :

— To pan taki myśli doprawdy ?

— Doprawdy myślę się zająć i to zaraz ; życzę i panu, nie odkładając, wziąć się do zdawania papierów i kasy.

— Kasy ? — powtórzył Suseł — albo to pan myśli, że u nas jest kasa ? Ja tu już nie pamiętam, kiedy grosz widziałem.

— To dziwna — odparł Ostap — jednak tu u pana niedostatku nie postrzegam, bo i powóz widziałem porządny i fortepian słychać i w domu niczego.

— Cóż to pan myśli, że człowiek żyje i żył tylko z łaski pana grafa ! Toć przecie moja żona Terliczówna z domu i wniosła coś po sobie ; a ja także nie z gołemi rękoma tu się dostałem. Jeszcze to łaska Pana Boga, jeśli swoje wyratuję, bo wszystko zahartowałem, pomagając grafowi, a kto wie, czy i zato choć Bóg zapłać powiedzą.

— Dajmy pokój żalom — rzekł Ostap, wracając do rzeczy. — Zaczynajmy robotę.

— Jak to widać, że panu nowina do tego się brać. Czy to jak z płatka wywinął, wszystko zrobić ? Tu to gmach, panie ; tu i miśiac siedzieć mało, żeby A, B, C się nauczyć.

— Tém prędzej poczynać potrzeba.

— I przestrzegam pana, że nie dojdiesz ni ładu, ni składu, bo to chaos ; co darmo, to darmo.

— To już wina pana, jeśli się tak interesa zagmatwały.

— Moja wina ! ha ! tak ! tak ? Pan mi grozi ? No, to zobaczymy, co z tego będzie ! Moja wina ! — powtórzył, burcząc, pan Suseł. — Ja tu wyjdę czysty ; nie wiem tylko, jak kto. Ja, panie, miałem zupełne zaufanie JW. grafa i służyłem mu lat dziesięć, to tak jednej godziny pójść z kwitkiem nie mogę. Ale to łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— To prawda, panie, ale i wierność oficyalistów często także na pstrym koniu ucieka. Do rzeczy, panie, do rzeczy.

— Różne pan sobie, co chcesz — grubijańsko odezwał się Suseł — ja zaraz wyjeżdżam i zobaczymy, co tu pan sobie poradzi !

To mówiąc, zostawiwszy Ostapa samego w kancelaryi, obejrzawszy się parę razy za drzwi, czy go nie zawoła, rządca wyszedł z pokoju, trzaskając za sobą, i wprost udał się do żony, siedzącej, wedle zwyczaju, za kanwową robotą.

— A co, duszko ! kiepsko ! — zawołał, wchodząc do saloniku, przystrojonego w dywany, kwiaty, porcelanę i mahonie.

— No! i cóż tam ten pan?

— A bierze się do króset dyabłów zaraz do obrachunków i chce mnie, jak widzę, pozbyć się kolanem.

— Ależ ty zawsze nie umiesz sobie dać rady, mój Michale.

— A jaka to rada?

— Nie dopuścić go.

— Pięknie! Czémże to?

— Tysiąc sposobów: pozbyć się go z domu, papiery zamknąć, a pojechać do miasteczka. Tam ci poradzą i sposoby znajdą.

— Aha! pozbyć się go, kiedy jak wlaź do kancelaryi, to go i jejmość nie potrafiła wyrwać stamtąd! Cóż ja go za drzwi wypchnę, czy co?

— Z ciebie zawsze niezgrabiasz! — rzekła pani. — Co mnie do tego! Jak sobie pościelesz, tak się wypisz. Ja zaraz wyjeżdżam.

— A to i ja z jejmością.

— Poco?

— Cóż ja tu będę robił?

Pani wspaniale ruszyła ramionami, przeszła się po pokoju, zadzwoniła i zadysponowała lokajowi, który wszedł:

— Konie do mego kocza!

Zwołani ofycjaliści nadeszli tymczasem. Na ich twarzach także widać było pomieszanie, niepokój; niektórzy, pewniejsi siebie i rejterady, uśmiechali się tylko szydersko.

Jeden, stary kasyer, pan Jacek Polakiewicz, ze smutną twarzą za innemi stanawszy, czekał rozkazów bez niepokoju, ale bez wszelkich nadziei, jak to po zwieszonym nosie widać było. Dawny sługa domu, on jeden z ruiny jego nie korzystał; bolał nad nią, a nie miał siły oddalić się od hrabięgo. Nie żonaty, bez rodziny, całym sercem przywiązał się do swoich panów i radby był ich ratować, ale cóż on mógł sam jeden! Figurka ta niepoczesna w łatanym surducie, z okularami w rękę i księgą ogromną, stała, wpatrując się w przybyłego i wybitnie okazując rysami twarzy strapienie, zniechęcenie i odrobinę nieśmiałej jeszcze nadziei. Cały dwór oddawna nie miał za boże stworzenie Polakiewicza: wyśmiewali się z niego wszyscy, nadewszystko z akuratności, z jaką zapisywał w regiestrach pieniądze, których nigdy w oczy nie widział, z pobożności, posuniętej do zagorzaństwa prawie, i z osobliwych trochę obyczajów. Jacek na to nie uważał i swoje robił. Oddawna nie pobierając żadnej pensyi, ze sprzedaży skórek lisich—bo był wielkim myśliwym—utrzymywał się, nie ustępując z izdebki ciasnej, brudnej i niewygodnej, którą przy kuchni od lat dwudziestu zajmował. Mieszkanie to, jak sam pan Jacek, było pośmiewiskiem wytwornych panów pisarzy, rachmistrza i reszty dworu. Z jednem okienkiem na ogród

warzywny, niemytém od niepamiętnych czasów, i zimą i latem zaklejoném, starannie zamykaném pod pozorem kasy, której nigdy nie było, mieściło w sobie stos gratów osobliwszych, w największym rozrzuconych nieładzie. Polakiewicz miał pasyą przesuszania swój garderoby, która z kolei przez rok cały rozkładała się po próżnych kufrach i wygniecionych krzeselkach. Pies wyżeł i pan, jego mieli w tój graciarni dwa posłania, równie wąskie i brudne. Ściany całe pokryte były obrazkami świętych, do których modlił się kasjer. W ogromnej szafie był cały przybór myśliwski. Największy niedostatek sprzeczał się tu z osobliwszą troskliwością o stare fachmany, i zamykał na wymyślne zamki i kłódki.

Do tój izdebki nikt nigdy nie wchodził, prócz zaufanego parobka Mikity, z którym Polakiewicz był w wielkich stosunkach i niekiedy rozmawiał. Do innych otaczających go nie mówił nigdy, na najzjadliwsze szyderstwa ruszając tylko ramionami. Zrana najregularniej latem i zimą wstawał pan kasjer o czwartéj i poczynął dzień od nabożeństwa głośnego, które, jak śpiew koguta, budziło wszystkich sąsiadów. Skończywszy pieśni i litanie, wychodził na polowanie, bo zawsze jakiś rodzaj polowania wymyślił sobie, a w niedostatku innych polował na krety i wiewiórki nawet. Wierne, stare psisko wlokło się z nim do lasu, powracało na suchy często chleba kawałek i zasypiało, nasłuchawszy się pieśni, któremi Polakiewicz dzień kończył. Zapomnieliśmy dodać, że dwie lub trzy godziny poświęcał zawsze rozpatrywaniu się w rachunkach i notatkom. Registra jego były osobliwsze, gdyż nikt oddawna do nich nic mu nie podawał; — kasa była w rękę rządcy; przecież pan Jacek najdokładniej wiedział o wszystkich przychodach i sumę ich perceptował do księgi.

Rozkazawszy wszystkim przygotować się do zdania rachunków i zapowiedziawszy, że pan Suseł od tój chwili majątkiem rządzić przestaje, Ostap odprawił wszystkich, dając znak Polakiewiczowi, żeby pozostał. Alfred, który się śmiał z innemi dawniej ze starego sługi, przypomniał go sobie na odjeźdném i polecił jako najwierniejszego ze wszystkich.

Odchodzący spojrzeli z ukosa na pana Jacka i wysunęli się do sieni, gdzie długie szepty oznajmywały konferencyą ostatnią z panem rządcą. Polakiewicz przy progu stanąwszy, założył ręce i ze spuszczoną głową czekał rozkazów.

— Pan tu najdłużej zostajesz w tym skarbie — odezwał się do niego Ostap — od pana najwięcej nauczyć się mogę. Hrabia polecił mi go jako najwierniejszego swego przyjaciela. Pomożesz mi do obeznania się z interesami i z ludźmi.

— Oj! kochany paneczku — rzekł cicho Polakiewicz, wskazu-

jąc wielkim palcem na drzwi — dużo tu mówić, dużo tu robić i dużo odrabiać.

— Jest co w kasie?

— U mnie oddawna niema kasy — odpowiedział, wkładając okulary, pan Jacek — ale z percepty i rozchodu okazuje się, wedle moich wiadomości, że powinnyby się znajdować dwa złote groszy piętnaście. Oto książki. Od lat pięciu nigdy w kasie razem pięciu złotych nie było — dodał z wyrazem.

— Gdzież się podziały pieniądze?

— Pan rządca wcześniej je asygnował wedle potrzeby.

— Registra przychodów.

— Formalne powinny być u niego; u mnie są moje, dla ciekawości mojej pisane; z nich się pan także cokolwiek nauczy; niechno pan tylko tę książkę przepatrzy. Tu każda rzecz zapisana po szczerości, jak była.

— Dziękuję -- rzekł Ostap, biorąc księgę — zrobię z niej użytek. Spodziewacie się jakich przychodów w tej chwili?

— Na dobry ład, powinnyby być — odpowiedział Polakiewicz. — Sprzedano świeżo z zapaśnych magazynów ostatnie, wynajęto flisaków.

— Pieniądze za flisów nie należą do skarbu.

— O! u nas, panie, należą!

— A więcej?

— Cóż? wszak to kupcy las jeszcze rąbią.

— Może z góry zapłacili?

— Z kontraktu widać, że wypłacać mieli częściami.

Na te słowa wpadł pan rządca zaperzony, czerwony, gniewny.

— Co tu pan słuchasz — zawołał, obracając się do Polakiewicza — tego starego trutnia! To próżniak! to darmożjad! Dawno go chciałem odpędzić, tylko hrabia miał litość nad nim. Będzie panu plótl duby smalone.

Stary spuścił oczy i, przywykły widać do podobnych wybryków, westchnął i zamilkł.

— Niech pan się mnie pyta — dodał Suseł.

— Cóż, kiedy mi pan odpowiadać nie chcesz!

— I owszem i owszem, ale to daremna robota. Tu ja jeden tylko mogę dojść sprawy. Niech pan sobie darmo nie pochlebia, żebyś temu dał radę. Jeśli pan mnie chcesz posłuchać...

— Czas darmo tracim, panie — przerwał Ostap — ja go nie mam nadto. Życzę panu zająć się zdaniem zarządu, bo ja go zaraz obejmuję... Gdzie są papiery?

— To jest moja kancelarya.

Ostap poszedł do drzwi środkowych, zamknął je na klucz, zamocował okna i, dobywszy laku i pieczęć, rzekł do Polakiewicza :

— Każ mi pan podać świecę.

— Do czego? — spytał Suseł.

— Kancelaryą opieczętujemy.

— Tu są moje rzeczy i moje własne papiery.

— Rzeczy może pan zaraz kazać zabrać; papiery pańskie znajdować się tu nie powinny. Po rozpatrzeniu ich zwrócą mu się.

Suseł wytrzeszczył oczy, chwycił się za czuprynę i pobiegł znowu do żony. Nim Polakiewicz przyniósł topniejącą łojówkę, już oboje państwo wbiegli do kancelaryi, ale piękna blondynka zmieniona była gniewem do niepoznania; drżała, trzęsła się, a głos jój podniesiony, groźny, piskliwie drapał uszy.

— Co to pan myśli sobie — krzyczała — zastraszyć nas, czy co? zabierać! arestować! pieczętować! Pan nie wiesz, z kim masz do czynienia! Mój mąż nie jakiś tam ekonomina, któregoby można skrzywdzić bezkarnie. Nam o honor nasz chodzi, nie o nasze kiepskie miejsce! Pan wiesz, kto ja jestem? Ja jestem Terliczówna z domu! Moj brat jest podsędkiem, mój ojciec służy w rządzie gubernskim i chwała Bogu świetnikiem! Co to pan sobie myśli, że trafiłeś na lada hetki pętelki?

— Myślę, szanowna pani — odpowiedział Ostap zimno, zabierając się do pieczętowania — myślę, że pani wdajesz się w nieswoje rzeczy. Życzę pani ustąpić. Potem można mnie będzie skarżyć, jeśli się podoba.

Pani Suślińska, nakrzyczawszy jeszcze z kwadrans dobry, a widząc, że to wszystko pada, jak groch na ścianę, rzuciła drzwiami i wyszła; mąż milczący, sapiący został u progu; Ostap z Polakiewiczem pieczętowali tymczasem drzwi i okna.

— Dasz Waćpan człowieka do pilnowania kancelaryi — rzekł Ostap do Jacka — i to natychmiast, sam zaś pojedziesz ze mną.

Stary, zważo się ruszając, z opromienioną twarzą, zawinął się i powrócił natychmiast.

— Wójt Lebioda zostanie przy kancelaryi; ja za niego rękę.

— A my jedziemy — rzekł Ostap, wychodząc.

W sieniach już zastali starca Lebiodę, który z ciekawości, zasłyszawszy o przybyciu nowego rządcy, przywłókł się do dworku. Przy nim opieczętowano drzwi, zostawiono go na warcie i przykazano wzbронić wywozu ruchomości pana rządcy. Koczyk pani Suślinej już stał zaprzężony; wybierała się widać do brata i do rodziny, szukając u nich pomocy przed grożącym niebezpieczeństwem. Sam pan Suseł chodził niebardzo przytomny, niespokojny od drzwi do drzwi, powtarzając :

— A kiedy tak, to zobaczymy, co z tego będzie!

Był-to pierwszy akt dramatu, który jakkolwiek popolity, jest przecie prawdziwym dramatem, tyle w nim namiętności, tyle ruchu i życia.

Ostap odszedł pieszo z Polakiewiczem do dworu, a w drodze dopiero zostawszy z nim sam-na-sam, mógł się dowiedzieć o wszystkim, bo kasyerowi usta się rozwiązały i pocziwe jego przemówiło serce.

— A, panie! — zawołał — daj Boże, żebyś nas poratował, choć to podobno z tego nic nie będzie. Co się tu u nas dzieje, tego opisać i wypowiedzieć niepodobna. Sodoma, panie, i Gomora! Ale cóż? hrabiemu było czy gadać, czy nie, wszystko jedno; od niejakięgo czasu jakby ogłuchł i odrętwiał. Człek bolał, płakał, a piśnąć nie śmiał; jego wszystko niecierpliwiło. Bywało, przyjdę do niego i pocznę, a on mnie wyprawia do rządcy, a tu rządcą — Boże odpuść, że go sędzę — pierwszy złodziej. Ot, jak go pan widział, on dziś bogatszy od pana hrabiego. Obsadził się swojemi i z rączki w rączkę. Będzie kłopotu wiele i daj Boże, żeby się to na co zdało, bo i w sądzie powiatowym i w gubernii plecy ma, krewnych, przyjaciół, zauszniaków. Jaskinia nieprawości! — dodał, wdychając.

— Na kogo tu z oficyalistów spuścić się można?

— Jest ze dwóch pocziwych starych sług, co bez butów chodzą, jak i ja, a reszta, panie, fircyki — z westchnieniem rzekł Jacek — młodzież, krewniaczki albo Jegomości, albo Jójności, albo krewni krewnych, albo kumy i szwagry! Panu potrzeba co najprędzej pozmienić wszystkich — fora ze dwora; rachunki im kazać poskładać, posłuszeństwo odebrać, a ratować, co jeszcze nie utoneło. I to nie zwlekając, bo aby się mieli czas opatrzeć, to resztę rozchwyć.

Po dłuższej naradzie z pocziwym Jackiem, Ostap rzucił się na bryczkę i pośpieszył do miasteczka.

Tu przekonał się, że w istocie ciężko mu przyjdzie z panem rządcą dojsć do końca, gdyż wszyscy niżsi urzędnicy, od których często najwięcej zależy, oddani mu byli zupełnie. Tysiące drobnych przesładowań spotykał na każdym kroku; wszystka niechęć, jaką miano do hrabiego, na niego się teraz przelewała.

Zaledwie rozgłosiło się, że nowy rządcą, plenipotent Alfreda, przybył do miasteczka, pan Ciemierka z dwoma innemi wierzycielami zebrałi się wpaść na jego kwatery i z odgrózkami domagać się wypłaty swoich należności. Ostap był na wszystko przygotowany; pierwsze spotkanie z rządcą, rozdrażniając go, wyrobiło w nim nowe siły. Miarkując swą niecierpliwość, jak mógł, przyjął w progę łagodnie i z krwią zimną napastników, którzy weszli z hukiem, krzykiem i widoczną chęcią postraszenia go. Pan Ciemierka, barczysty

chłop, z ryżo-siwą czupryną, sterczącą do góry, brudny i rozchlastany, z ogromnym kijem, zdawał się chcieć zarówno gębą i ręką dochodzić swego długu. Dwaj towarzysze jego, nierównie mniej pozorni, nadstawiali się tylko, jak mogli. Ostap na pierwsze pytanie Ciemierki, skłoniwszy się, odpowiedział:

— Kogóż mam honor witać?

— Jestem Ciemierką, Jan Ciemierka i przychodzę tu po moje pieniądze, słyszy pan, uważa pan?

— Słyszę i uważam; ale pan rozpocząłeś z nami proces?

— A jużciż i puszczyć tego tam grafika z torbami — odparł, machając kijem, spekulant. — Nauczę go rozumu, słyszy pan!

— Za pozwoleniem — rzekł Ostap — o panu hrabi proszę przy mnie nie mówić tak lekko, bo ja go szanuję i wiem, że w głębi uczciwym jest, choć pozory mogą być przeciwko niemu.

— Pozory! mości panie!

— Mówmy o interesie, jak się o interesie mówić powinno, ziemno, prosto. Proces rozpoczęty.

— I tak jak wygrany!

— Jeszcze nie — odpowiedział Ostap. — Oblig pański był z siódmym procentem; siódmy procent zakazany prawem. Do czegośmy się zobowiązali, dopełnim; ale nim pan wygrasz, czasu upłynie do syć, a nam tylko tego potrzeba — czas wszystko.

— To tak! — krzyknął Ciemierka ze złością — to tacyście-to poczciwi ludzie!

— Tylko dowód, że swoje interesa znamy! — odrzekł Ostap. — Zaprzeczać ani długu, ani procentów nie myślím. Jeśli pan się zgodnie ułożysz, ja zapłacę.

— Jakto, zapłacisz? — ledwie uszom swoim wierząc, spytał spekulant — a czemuże zapłacisz? skąd weźmiesz pieniędzy? Albo to ja nie znam waszego położenia? Chcesz mnie oczy zamydlić! Zapłacę! słyszysz go! Banku trzy raty zaległo, podatki egzekucją wyciskają, wierzyciele krzyczą, jakby ich darli ze skóry, a on mi mówi — zapłacę! A czemuże to zapłacicie? wiórami! Licytacya za kołnierzem.

— Co to do pana należy, czém zapłacim?

— Kiedy nie możecie zapłacić, słyszy pan!

— Zapłacim dziś, jutro, kiedy pan zechcesz, ale wprzódy zrobim obrachunek.

— Kapitał z procentami?

— Wszystko!

Ciemierka, który miał różne obrachunki i rachuby, spodziewając się przy przyjaznych okolicznościach wziąć wioskę wpół darmo, skrzywił się na to i pokiwał głową.

— To być nie może! — zawołał.

— Jeśli nie zapłacim w terminie umówionym, będziecie panowie licytowali.

— A więc i nam pan płaci? — podchwycił drugi wierzyciel ły-
sy, suchy staruszek w bardzo krótkich spodenkach, a wysoko pod-
ciągniętych kołnierzykach koło głowy, ślepy na jedno oko i mocno
ospowaty.

— I panom! — odezwał się Ostap.

— A bank? — spytał się trzeci jegomość w węgierce z ogro-
mnymi sznurami, kiwając się z krzesłem, na którym rozsiadł się
wspaniale, igrając z parasolem pąsowym.

— Bank będzie pierwszą pocztą zaspokojony.

— A podatki?

— Te dziś wnoszę do kaznaczejstwa.

Spojrzeni po sobie wierzyciele, ruszyli ramionami z niedowierza-
niem, a pan Ciemierka odezwał się po swojemu:

— Dyabeł ich wie! Cóż, miny odkopali, czy co? Wszystko
płacą, słyszy pan! A czy pan, nowotny jeszcze, wiesz, co wynoszą
ciężary wszystkie na majątku hrabiego?

— Co do grosza.

— Dług przeogromny, do miliona.

— Trochę mniej.

— Skądże to weźmiecie? Kredytu nie macie.

— Jak to pan wie?

— Spodziewam się! Komu ja nie dam, temu nikt nie da.

Ostap się roześmiał, a śmiech ten szyderski zmieszał trochę spe-
kulanta.

— Pan się śmieje?

— Muszę, choć nie mam ochoty.

— Cóż tu śmiesznego?

— To, że pan masz się za powiatowego Rotschilda.

Ciemierka miał już grubijaństwem odpowiedzieć, ale się jakoś
wstrzymał.

— No! do interesu — rzekł. — Pokaż mi pan podobieństwo
kończenia z wami, a skończę.

— Układaj się pan, a ja płacę.

— Ja chcę wiedzieć, skąd i jak pan płacisz! Co to próżno ga-
dać: płacę, płacę.

— Mnie się zdaje, że do tłumaczenia, skąd i jak płacę, nie je-
stem obowiązany! Nacóż miałbym się panu spowiadać z naszej kie-
szeni? Jednakże zaspakajając pana, powiem mu, jak stoimy: ma-
my osiemkroć siedemdziesiąt pięć tysięcy długów, licząc w to nie-
doimki, zaległe procenta, pensye niedobrane, sztrafy prawne i koszta.

— Zgoda i na 875 tysięcy; ciekawsza rzecz, jak wybrniecie z nich?

— W tych jest długu bankowego pięćkroć kilkadziesiąt tysięcy na obu majątkach, hrabiego i hrabinój.

— Niech i tak; zostaje trzykroć siedemdziesiąt i pięć; zawsze to ładna rzecz.

— Niezawodnie, zwłaszcza dla nas. Bank płacony już od lat blisko dwudziestu, znacznie więc, bo w połowie, suma pierwiastkowa zmniejszona; robimy nową pożyczkę, opłaciwszy zaległe raty, i na trzykroć długu naszego zyskujemy około dwóchkroć sto tysięcy.

— Patrzaj pan! no! no! Ale jeszcze sto kilkadziesiąt. Tu dopiero ciekawy jestem, którędy wy z nich wyjdziecie?

— Zna pan podpis Halperina w Berdyczowie? — spytał Ostap.

— Jak mój własny — rzekł Ciemierka. — Albo co?

— Bo to właśnie weksel na sto osiemdziesiąt tysięcy złotych, który resztę długów uspokoi — odparł Bondarczuk, dobywając papier z pugilaresu i ukazując go zdumionym.

Wszyscy umilkli i gęste miny przyszłych licytantów majątku znacznie zrzedły; Ciemierka mianowicie pochmurniał, zamyslił się. Ostap tymczasem chowając weksel, zapytał:

— Cóż? a zatém układamy się, czy nie?

— Zapewne, że układamy się.

— I my! — dodali drudzy panowie, kołnierzykowy i parasolowy.

— A ja... płacę.

Na tém skończyła się pierwsza konferencya z wierzycielami, którzy po miasteczku roznieśli zaraz wieść o przybyciu nowego pełnomocnika z ogromnym pugilaresem weksłów i asygnat.

Ostap po ich odejściu rzucił się na krzesło; chciał spocząć; ale wierzyciele drugiej klasy, żydzi, otoczyli jego mieszkanie, wnosząc całe torby kwitów, kwitków i rachunków. Tu stary Polakiewicz wyręczył skutecznie Bondarczuka; on tymczasem szybko powrócił do Skały, gdzie niemniej pilne czekały go zatrudnienia, a przede-wszystkiém Michalinę uspokoić było potrzeba.

Pierwsze z nią krótkie widzenie się nie dozwoliło Ostapowi, aby objaśnić jej stan rzeczy, ani powiedzieć o niespodzianych, które przywiózł, pomocach; nie śmiał nie obiecywać, nie wiedząc, co będzie mógł uczynić. Dziś, spokojniejszy już, śpieszył upewnić Michalinę, że nikt jej nie wygna z rodzinnego kątku, śpieszył poradzić się z nią, jakby zaspokoić Hercyka, którego weksel musiał być użyty na zepchnięcie najpilniejszych wierzycieli.

Po powrocie z miasteczka pobiegł Ostap do pustego, jak zawsze,

dworu, w którym zastał hrabinę w samotnym kątku, jak wprzód, z dziecięcim tylko. Śmielszy teraz i oswojony ze swoim położeniem, odważniej stawiał się przed nią; ona smutniejsza jeszcze była, niż pierwój, i więcéj jeszcze zmieniona.

Mały Staś bawił się u kolan jój, spoglądając ukradkiem na przybyłego, który, jak wprzód, stanął we drzwiach i zdawał się czekać, żeby rozmowę zaczęła sama hrabina.

— Siadaj-że pan, proszę — odezwała się smutnie Michalina. — Plez to wdzięczności winnam panu! Ja tu nic nie wiem, nie słyszę, siedzę spokojna (jeśli w położeniu mojem spokojną być można), a pan dźwigasz za mnie, za nas cały ciężar tych nieszczęśliwych interesów naszych.

— Nie są one tak złe i zrozpaczone, jak pani myśli.

— Pan chcesz mnie tylko uspokoić.

— Nie, mówię prawdę; braknie nam tylko sto kilkadziesiąt tysięcy — śpiesznie wpadając w rachunki, rzekł Ostap. — Sumę tę mam dzisiaj, ale pomyśleć potrzeba, jak ją później opłacić.

— Sto kilkadziesiąt tysięcy — powtórzyła hrabina — i mogłabym powrócić do mojego ukochanego gniazda, mogłabym zostawić je Stasiowi!

— Nie tylko tamten majątek, ale Skatę i wszystko.

— Pan mnie nadto pocieszasz. Być-że to może?

Spojrzała na niego.

— Mów pan szczerze, otwarcie; ja się nie zleknię — odezwała się z wymowniejszém od słów wejrzeniem.

Ostap zdrzął, pohamował się i podał jój papier. Ona go wzięła ręką niepewną, ale nie spojrzawszy nań nawet, odłożyła go na bok.

— Ja tego nie rozumiem — dodała po chwili. — Powiedz mi pan sam lepiej, co mam uczynić: zrobię wszystko.

— To, czego będę zmuszony wymagać od pani, zda się jój może tak dziwném, tak upokarzającym...

— Co to być może? — spytała Michalina trochę zatrwożona.

— Musimy szukać sposobów wydobycia się ze stanu ruiny, w jakim dziś majątek hrabiego zostaje, musimy — mówił z wzrastającą odwagą — zapewnić los pani i Stasia; to się nie obejdzie bez ofiar.

— O! ja-m gotowa, ja-m gotowa!

— Potrzeba zmienić tryb dawny życia i wszelkiego wyrzec się zbytku, wprowadzić największą oszczędność i porządek, pozbyć się wreszcie wszystkiego mniej potrzebnego, leżącego bez użytku, a mogącego mieć wartość pieniężną.

— A, pan masz słusność! — zawołała żywo hrabina, wstając z miejsca. — Mamy nasze rodzinne klejnoty, mamy stos sreber, na których nikogo przyjmować nie będziemy, mamy drogie fraszki

z lepszych czasów, posągi, obrazy; sprzedaj je, proszę, sprzedaj! Jeżeli to może uwolnić nas od wierzycieli, oddam wszystko, aż do ślubnego pierścionka.

— Może to w istocie uwolnić od najzaciętszych, ale ofiara ta nie będzie-ż panią kosztowała za wiele?

— Kosztowała? mnie? Pan mnie nie znasz! Pozbycie się trochę pamiątek i dziecinnych cacek? Więcej w życiu poświęciłam nad to — dodała mimowolnie. — Dziś już mi nie żal niczego, tak! niczego! Oddam wszystko, byle Alfred nie wątpił, że ofiara przyszła łatwo i chętnie.

Ostap zamilkł.

— Lecz interesa — mówiła, ciągle poglądając na niego (on stał nieruchomy jak posąg, zimny napozór i cały w sobie) — interesa są tylko mniejszą połową naszych nieszczęść. Co pocniemy z osobistymi nieprzyjaciołmi Alfreda? z biedną rodziną zabitego, która go przesładuje?

— Na to czas jedynym ratunkiem.

— Czas? czas? — odezwała się Michalina, spuszcżając rękę wzniesioną. — Wszyscy czas ten stawicie jako lekarstwo powszechne, a on... nie, on nikogo nie leczy.

— Może tylko nie rychło i nie wszystkich — odpowiedział Ostap.

Zamilkli. Staś poczynał, kołując, zbliżać się do przybyłego i pozwoli go zacząć; matka patrzyła się na to z uczuciem i chciała widać dojść, jakie wrażenie to dziećę czyniło na Ostapie; ale napróżno poglądała: oczy jego były spuszczone, on sam nieruchomy; nie wabił ku sobie dziećęcia; zdawał się go nie widzićć.

— Stasiu! chodź do mnie — szepnęła po chwili — chodź do mnie!

Jakby obudzony temi słowy i przywołany do przytomności, Ostap uśmiechnął się boleśnie i odezwał:

— Radby się poznać ze mną, a boi się mnie jeszcze. Ja tak dziećci lubię.

— Czemuż się pan nie ożenił? — spytała go Michalina.

— Właśnie ożeniłem się — cicho odpowiedział zwyczajnym głosem, bez wzruszenia Bondarczuk.

Na te słowa, tak zimno wypowiedziane, hrabina, nie umięjąc pokryć swego wzruszenia, wstrzęsła się i zamilkła na długo. Widać było, że cały gmach jęj marzeń runął od tego wyrazu; zebrała jednak całą moc duszy i z uśmiechem przymuszonym, ze spuszcżonemi oczyma mówiła dalej:

— A wszak dotąd nie wiedzieliśmy o tēm; ja nawet nie powinższowała panu. Pan się pozwoli spytać, któż to jest... kto jest ta...

— Moja żona — rzekł Ostap — jest chłopką, jak ja.

Michalina wzięła się za głowę, głosu jej zabrakło, i nagle wstając, rzekła:

— Pozwolisz mi pan odejść; trochę mi słabo, głowa mnie boli.

Ostap znikł.

Trzebaż malować stan duszy Michaliny?

Ona dotąd wierzyła w przywiązanie, w niezachwianą miłość tego człowieka, który żył na pustyni z myślą o niej, z pamiątką kilku godzin przeszłości; ta wiara trzymała ją przy życiu, była podstawą wszystkich jej marzeń, jedynym węzłem, co ją łączył ze straconą, a drogą młodością. Tęj wiary wyrzec się musiała. On się ożenił, a więc ukochał inną; nie był takim, jakim go sobie wyobrażała — wiernym i milczącym w cierpieniu człowiekiem, ale pospolitą stworzeniem, które dziś kocha, zapomina jutro i mieni się, nie umiejąc wytrwać, bo nie umie kochać. Ideał Michaliny nagle, w jej oczach, spadł z tej wysokości, na której go zawiesiła, i kruchym stawał się zlepkiem. Im dłużej karmim w sobie jakie uczucie, przekonanie, pojęcie, tém ciężej się z niem rozstać; i długo człowiek oczywistości nawet się opiera, z prawdą walczy, fałszem żyć woli, niż wyrzec się tego, co już część jego istoty stanowi. Jest to stary pewnik, który tylko przypomnieć chcieliśmy.

Tak właśnie było z Michaliną, która wobec zmiany, jaką jedno jego słowo we wszystkich jej najdroższych robiło marzeniach, słabnąc i nie mając odwagi uwierzyć, puszczała się w najdziwniejsze domysły i przypuszczenia. Jednego tylko prawdziwego powodu ożenienia się Ostapa domyślić się nie potrafiła. Przeczucie mówiło jej, że ożenić się nie mógł z miłości, bo głos jakiś wewnętrzny powtarzał jeszcze, że ją kochał tylko. Jakże, dlaczego, bez przywiązania, zimno, rozmyślnie mógł się tak poświęcić, skrepować, zaprzędać? To przechodziło jej pojęcie; czuła tajemnicę i postanowiła ją rozgmatwać. Dziecię, mąż, dolegające nieszczęścia, wszystko naraz znikło z jej oczu. Ostap tylko, Ostap żonaty, Ostap, mąż innej kobiety, stał przed nią, jak niepojęta zagadka. Dlaczego to uczynił? kto była ta kobieta? jest-li to prawda? jest-li on szczęśliwy? Tysiące zapytań zadawała sobie, a żadnego nie umiała rozwiązać; za tym wyrazem, wyrzeczonym tak zimno, tak obojętnie, tak nielitościwie, dla niej były tylko drażniące ciemności.

A w sercu co za niepokój! Uśpiona namiętność przywykła żyć marzeniem, które się oparło latom rozłąki, czułym męża uściskom, nawet uśmiechom dziecięcia, teraz gorętszą boleścią stała się gwałtowną, niepohamowaną, przeszła prawie w szal i obłąkanie.

To, co ją miało uleczyć, powiększyło tylko cierpienie. Zapo-

niała o wszystkiem, wrzała swym bólem jedynym i, odpychając Stasia, powtarzała nieustannie:

— Więc on mnie nie kochał! i życie moje stracone!

Długie lata pożycia z Alfredem, w ciągu których z anielskiem poświęceniem spełniała obowiązki żony, udając przywiązanie i starając się o nie, choć dotąd z zimnego szacunku i przyjaźni wyjść nie mogła, przywyknienie do ofiary, rezygnacya dawna — wszystko się zapomniało w jednej chwili i uleciało na jednem słowie.

Pragnęła go widzieć, zbliżyć się, zajrzeć w skrytości jego duszy i przekonać się dotykalnie o swoim nieszczęściu; tysiące domysłów niepokoily ją i uspakajały; całą noc przetrwała w niecierpliwem rozmyślaniu. Pomimo dobroci serca i przywiązania do niego, wolała widzieć go cierpiącym, niż szczęśliwym, bo czuła, że miłość, którą dla niego zachowała, nagradzała te boleści.

Dzień wschodzący zastał ją jeszcze w zamysłach, rozognioną dumaniem, zmęczoną, wyglądającą tylko zrzęcnosci, aby się zbliżyć do człowieka, którego zbadać postanowiła. Wdzięczny ranek wiosenny, potrzeba ochłodzenia się i odetchnienia powietrzem świeżem, rosą oblanem, wywiodła ją do ogrodu.

Dawniej było to także miejsce jęj dumań spokojnych; ale jakaż różnica wczorajszych wspomnień w niebieskiej szacie od dzisiejszych płomienistych domysłów i życzeń! Namiętność jęj wzrosła, stała się gwałtowniejszą i trudniejszą do pohamowania, usta drżały, otwierając się na zapytania, oczy zachodziły łzami.

— Tak się zawieść! tak się omylić!

A potem wołała, łamiąc ręce:

— Nic nie zostaje, tylko spuścić głowę i umrzeć.

Weszła w ciemną ulicę grabową i, nie widząc nic przed sobą, poczęła ją przebiegać krokiem żywym. Słońce jeszcze nie było weszło, mgły unosiły się nad rzeką spokojnie płynącą parowem, liście drzew, okryte rosą kroplistą, lśniły się w światłach żywych poranku, głęboka cisza rozścielała się jeszcze dokoła, jak gdyby noc jeszcze swęj stopy nie zdjęła z ziemi. Ogród przedstawiał smutny widok zniszczenia; opuszczony, zaniedbany, był zieloną ruiną, równie przynajmniej smutną, jak czarne i czerwone mury upadłych gmachów. Ścieżki opanowały trawy i chwasty, na drzewach poobcinało gałęzie; niektóre z nich leżały obalone, posiekane, resztą liści skarżąc się na odebrane życie. Tu i owdzie, z głębi łądyg bujnych pokrzywy, ostów, łopuchu, wystrzelał dawniej pielęgnowany kwiatek, wyciskając się, mdły i osłabły, z kryjących go chwastów obsłony. Zamiast wijących się ścieżek wśród zielonych trawników, wydeptane drożyny świadczyły, że ogród stał się własnością wszystkich, że nikt szanować go nie myślał; każdy używał, jak mu było

lepij. Tam trochę pokoszonej trawy, ówdzie zapędzone bydło, da-
lój spętany koń i wiązka drzewek świeżo narąbanych z liśćmi jesz-
cze gdzieniegdzie wystającymi, uderzały w oczy, ale hrabina nie wi-
dzieć nie mogła, nic nie widziała oddawna. Suknia jój czepiała się
po ostach, obrywała na gałęziach, włos rozplątywał śpiesznym po-
chodem, a po twarzy biegly dwie lzy gorące, choć łez tych nie czuła.

Dziwnym trafem (choć w powieściach, równie jak w życiu pospo-
litém, niebezpiecznym) na końcu ogrodu, poza tąż ulicą grabową,
po całonocnej pracy usiadł także Ostap odetchnąć na obalonój kło-
dzie, sparty o mszysty pień dębu. Cierpienie i trud odjęły mu sił
ostatek; przyszedł, a raczej przywłókł się tutaj i sam nie poczuł, jak
sen, któremu tyle nocy był dłużny, objął go skrzydły swojemi, i za-
mrużył powieki.

W biegu, prawie nieprzytomnym, hrabina przysunęła się tak bli-
sko do powału, na którym spoczął Ostap, że suknia jój zaczepiła się
o wystającą od niego gałąź; inaczej możeby go nie postrzegła. Zwro-
ciła dopiero oczy, zobaczyła go. Długo nie mogła sobie wytłóma-
czyć zjawiska niespodziewanego i stanęła nieruchoma, topiąc w nim
niespokojne wejrzenie, błagające, badawcze. Zdawała się go py-
tać: Powiedz, jest-żeś ten sam, co dawniej?

Ostap spał z chmurną twarzą, z wpadłemi oczyma, blady, zmę-
czony, cierpiący; ciężki oddech wyrwał się z jego piersi i znać by-
ło po ruchach konwulsyjnych, że i we śnie dokuczało mu życie; ko-
łatała do niego rzeczywistość.

— Nie, nie — zawołała hrabina, przyciskając ręce do piersi —
nie, on się nie odmienił, on cierpi dla mnie, on mnie kocha. To ta-
jemnica może, to pewnie kłamstwo, tak! to kłamstwo — dodała, ra-
da swj myśli. — On mnie niem chciał odepchnąć, bo się domyślał
mnie.

Na kolanach Ostapa leżał papier; był-to list do Alfreda, który
on odczytywał, mając go wysłać dnia tego. Nie wiedząc, co czyni,
nie zastanawiając się nad niestosownością swego kroku, hrabina po-
rwała go zpod rąk śpiącego i zapłomieniona uciekła w głąb ulicy.
On się nie przebudził.

Zaledwie kilka kroków odszedłszy, Michalina stanęła czytać;
serce jój biło, w oczach przebiegały iskry, chwytala litery i słowa,
a myśli długo pochwyć nie mogła. List poczynał się od zimnego
wykładu stanu interesów, od pociech, od doniesień i trochy wyrzu-
tów na dziwne zaniedbanie, w jakim wszystko zostawił Alfred; po-
tém pisał Ostap:

„Czynię, co mogę, com powinien. Ty jeden znasz tylko może,
jaki ciężar wzięłam na barki; niewidomy dla wszystkich, mnie on

ugniata, tak, że nie wiem, czy żyję, czy wytrwam. Nie myl się, kochany Alfredzie; ciężarem tym nie są poruczone mi sprawy i majątek; inny on wcale, a położenie moje łatwo ci go wytłómaczy. W ostatniej naszej rozmowie przekonałem się, żeś to przeczuwał, żeś się tego domyślał. Nacóż mam tać przed tobą? Ja ją czułem i kochałem, jak nikt nikogo podobno nie kochał na ziemi; czystema jej wspomnieniu poświęciłem życie, wyrzekając się świata, aby żyć marzeniem tylko. Tyś nielitościwie rozdarł moje niezgojone rany—i krew płynie.

„Biada ci, Alfredzie! Tyś nie był jej godnym, boś jej szczęśliwą uczynić nie potrafił. Widzę łzy jej, widzę smutek i czuję, że ta dusza pragnie więcej, niżeli jej dać możesz. Twoja wina. Tyś jej nie otoczył takiem, na jakie zasługiwała, staraniem, miłością, czuwaniem, czcią, — tyś w nią nie wierzył, tyś nie dość pracował dla jej szczęścia. Dziś zostawiona sama sobie i w takiem położeniu, a ja na to patrzę!

„Lecz nie obawiaj się o skarb swój; nigdy przyjaciel, czuję to, godniejszym nie był zaufania nade mnie, choć nigdy może większemu nie zrobił ofiary. Ja-m tu sługą, ja tu jestem Ostapem, twoim poddanym, i nim tu przybyłem, między memi wspomnieniami a rzeczywistością postawiłem nową żelazną zaporę, skalałem się umyślnie—ożeniłem się. Ty nie wiesz, ty nigdy wiedzieć nie będziesz, co-ma ja dla ciebie uczynił“.

Michalina nie czytała więcej, dwie tylko myśli w uszach jej i sercu tętniły: on się ożenił w istocie, on się ożenił umyślnie. Upuściła list, podniosła go, pobiegła ku śpiącemu, rzuciła pod jego nogi i chyżo skryła się w drzewa starego ogrodu.

Uczucie jej któż potrafi odmalować? Nie ja.

W sercu człowieka, jak w świecie cielesnym, uczucia są barwami; kilka ich składa całą gamę światła, ale nieskończone są ich odcienie, kombinacje i przemiany. Wyrazy języka, jak ołówek rysownika, ledwie potrafią zebrać tych uczuć główne kształty; wszystkie się szaro i ciemno malują pod niecierpliwą ręką, która żywego życia odtwarza tylko suche formy.

Ranek był już gorętszy i słońce podniosło się wysoko, gdy Ostap się przebudził, więcej snem znużony, niż wypoczęty, i zobaczył list u nóg swoich; pochwycił go i szybkim krokiem pośpieszył ku dworowi, w którym mieszkał.

Niezwyczajna wrzawa, słysząc się dająca zdaleka na wsi, obudziła jego uwagę; czuł jakiś dziwny wypadek, którego jeszcze zrozumieć nie mógł. Widać było dokoła ludzi gromadnie zbierających się w ulicy i tłumami biejących ku dworowi; dziedziniec już prawie

był ich pełen, a krzyki i wrzaski dzikie dochodziły coraz wyraźniej uszu Ostapa.

Skierował się szybkim krokiem ku miejscu, gdzie wszystek lud zdawał się gromadzić. Cała wieś była już tutaj z oznakami rozgniewania, pałająca jakimś uczuciem nienawistnym, skupiona, dodając sobie odwagi do jakiegoś kroku rozpaczny. Twarze wieśniaków chmurne były, straszne oczy ich zakrwawione, włosy rozrzucone, a w rękę topory, kosy, grabie i cepy wydawały się jak broń, pochwycona na nieprzyjaciela, nie jako narzędzie pracy spokojnej. Nim doszedł do podwórza, spotkał Ostap uciekającą, prawie obłąkaną Michalinę, która oddając mu syna, z wzrokiem nieprzytomnym zaledwie wymówić mogła:

— Ratuj nas! ratuj nas! — i upadła zemdlona.

Kobiety pośpieszyły ją ocucić. Bondarczuk zostawił im dziecię i, nie tracąc chwili, wypadł przeciwko rozjuszonemu już pospólstwu, które, łamiąc drzwi folwarku i grożąc podpaleniem, domagało się wydania w ich ręce ekonoma.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, na stan wzburzonego ludu, Bondarczuk skoczył wprost ku folwarkowi, który ludzie otaczali, i odpychając tych, co drzwi łamali, zawołał głosem potężnym, rozkazującym i silnym:

— Precz stąd!

Chłopi spojrzeli na niego, kilku się zastanowiło i, przywykli do posłuszeństwa, już odsunąć się mieli, gdy dwóch czy trzech więcej rozgnionych i zajadlejszych popchnęło go i z podwojonym krzykiem dobijać się zaczęli, wołając:

— Dawajcie nam tego psa! dawajcie nam tego łotra! a nie—to spalim! spalim! zniszczym!

Pierwszemu, który z siekierą stał u drzwi, Ostap wyrwał ją i pewien siebie, krzyknął raz jeszcze, gromiąc ich:

— Ustąpić stąd natychmiast! Mówcie, czego chcecie! Poco ten rozbój i gwałt? Niech wystąpi, kto ma krzywdę, i niech mówi.

— Precz ty sam! — krzyknęli niektórzy.

— Posłuchajcie-no jego — odezwali się powolniejsi.

— Drzwi wybijać!

— Kto się posunie ku drzwiom, tnę go przez łeb jak rozbójnika, jak mi Bóg miły! — zawołał Bondarczuk. — Stójcie i mówcie mi, czego chcecie.

Kilku obłąkanych jeszcze się siliło, pomimo reszty, dokazać swego, ale tłum opamiętywał się już powoli, popychano się łokciami, odtrącano na bok upartych, jedni drugim poczeli odbierać topory i cepy i wszyscy kołem otoczyli Ostapa.

— Co to jest? — mówił do nich Bondarczuk — czego przyszli-

ście tutaj, jak zbójcy? Wiecie wy, coście zrobili? wiecie wy, co to jest wyrzec się sprawiedliwości i samym ją sobie robić? Cóż to, czy niema sprawiedliwości na świecie, żebyście ją sobie przeciw prawu robili, burząc się, jak dzieci swawolne?

— A niema! niema sprawiedliwości! — odpowiedział stary Jakim, podnosząc pięść groźną. — Myślicie, żeśmy sto razy nie szli na skargę do pana? Odesłał do rządcy, odesłał do ekonomy! Dobra sprawiedliwość! A to nasz ciemniejszy i łupieżca. Póki cierpieć było można, cierpieliśmy; dopóki stało sił, robiliśmy; kiedy Bóg i ludzie o nas zapomnieli, coź robić? trzeba zostać rozbójnikami. Zabijem gadzinę; niech i z nami będzie, co chce.

— I to ty, stary, siwy, co by cię wiek rozumu powinien nauczyć, tak mówisz, Jakimie! — rzekł Ostap. — Wstyd! wstyd! Tobieżto psuć własną sprawę? Alboż to przyczyna wam źle robić, że drudzy źle robią? i że oni niesprawiedliwi są, wy chcecie gwałt czynić nad niemi?

— Chcemy i zrobimy! — zawołali niektórzy. — Niechaj bestya choć pocierpi!

I ruszyli się znowu do drzwi.

— Słuchajcie — rzekł Ostap — a potem zrobicie, nie jak was szatan natchnął i źli ludzie, ale jak wam Pan Bóg przykazał. Ja jestem chłopem, jak wy, cierpiałem, jak wy, i znam, co cierpieć można.

— Ty nie wiesz, co oni nad nami robili, jak przewodzili.

— Dajcie mi mówić; powiecie potem, a ja wam ręczę, że to bezkarnie nie ujdzie. W każdym kraju jest opieka, sąd i prawo dla wszystkich; tam znaleźlibyście sprawiedliwość, gdybyście jej cierpliwie szukali. Kto ją sam sobie wymierza, ten już winien, bo nie wierzy w sprawiedliwość prawa. Jest nad wami opieka; wyście ludzie; dzikie tylko zwierzęta mszczą się, bo nie wiedzą, co porządek, prawo i sprawiedliwość. Kto może być sam sędzią w swojej sprawie? Jeśli Jakim zajdzie z Pawłem w spór o łąkę, czy o ogród, czy o szkodę, albo się sami sądzić będziecie? Nie; prosicie sąsiadów, starszyznę. A tu w ważniejszej daleko sprawie myślicie siłą robić sobie sprawiedliwość! A godził się to tak?

— Albo to my nie chodzili na skargę, albo to nie udawali się do sądu! A coź, u sądu zawsze chłop będzie winien; wybiją go i odpędzą.

— Nieprawda, moi bracia, nieprawda; nikt wam nie broni szukać sprawiedliwości wyżej i wyżej, dopóki jej nie znajdziecie, a znaleźć musicie. Ale wam często w głowie próżniactwo, a narada próżniaków w karczmie licha warta; wódka nic nigdy dobrego nie poradzi. Dziś wam trochę lżej i lepiej; chcielibyście nic nie robić.

To być nie może; człowiek tyle tylko wart, ile pracuje. I zamiast pracować, rzuciliście się do gwałtu, zostaliście zbójcami; myślicie przewodzić i krzywdę, jeśli była, płacić krzywdą! Żle, bardzo źle. Lepiej być krzywdzonym, niż zbójcą i gwałtownikiem. Wiecie, do czego mogło was doprowadzić wasze szaleństwo? Oto do przelania krwi ludzkiej, krwi braterskiej.

— Albo to oni nam bracia?

— Alboż nie?

— A to... Lachy!

— A Lachy i Rusini alboż to nie bracia? — spytał Ostap. — Język prawie jeden, wiara chrześcijańska, i nie oni winni, że ich Pan Bóg uczynił bogatszymi od was i w lepszym stanie postawił. Pracujcie i wy, ucźcie się, a dziś nikomu nie zaparte drogi; możecie i wy, jeśli wam ten stan nie miły, wyniść z niego i dopracować się innego. Alboż to ojcowie tych panów nie wyszli także z pracowitych ludzi? Zresztą, któż to, jeśli nie Chrystus Pan powiedział, że wszyscy ludzie są braćmi?

— Prawdę mówicie — powiedzieli niektórzy; inni potrząśli głowami i rękoma.

— Za skrzywdzonym i Pan Bóg i ludzie; przeciwko zabójcy i gwałtownikowi wszyscy. Zrobiłaż wam kiedy co złego wasza dobra pani, albo niewinne jej dziecię?

— Nie! nie! — krzyknęli ludzie — to dobra pani; co prawda, to prawda. My ją szanujemy, my ją kochamy; to matka. Ale co ona może? nic.

— A jednak o małżeście i jej nie zabili!

— My! my! Kto? Chroń Boże! to być nie może! nie, nie!

— Tak jest! pani wasza przeleżała się tej wrzawy; leży bez ducha; dziecko ze strachu może boleć całe życie. Godziż się to tak czynić?

— Dajcie nam tylko tego szelmę ekonomy, a my pójdziemy.

— Ekonoma wam nie dam, boście wy nie sędziowie, ale do sądu go odstawię — rzekł Ostap. — Wy rozejdźcie mi się natychmiast do domów, a starszyzna tylko niechaj zostanie, żeby mi opowiedziała, z czego to wszystko powstało i jakie macie krzywdy.

— Nie chcemy! nie chcemy! — zawołali dalsi. — Ekonoma z sądu puszczą i nic mu nie będzie; on się opłaci; tam niema sprawiedliwości. Oddajcie jego nam, oddajcie go, a nie, to spalim!

— Kto mówi o spaleniu? — zapytał Ostap.

Wszyscy zmilkli.

— Kto chce ekonomy?

— My! my! — powiedzieli dalsi.

— Któż to chce się nad nim pastwić? — spytał jeszcze.

Chłopi spojrzeli jeden na drugiego i nikt się nie odezwał.

— Widzicie — mówił Ostap — żaden z was w sercu nie jest zabójcą, choć jedni drugich podżegacie i psujecie. Wstyd! wstyd wam! Ekonoma ja sam odwożę do sądu i zaręczam wam, tak jak-em wasz brat, że dopilnuję, aby mu nie pobłażano. Do domów!

— Nie pójdziemy, póki go związanego nie zobaczymy.

— Mówiłem i powtarzam, że go wam ani oddam, ani pokażę. Jeśli winien, będzie ukarany, ale nie przez was; wasza rzecz powiedzieć, co zrobił, sądu — wymierzyć, co mu należy.

— My tak nie chcemy!

— A inaczej nie będzie! Jeśli nie rozejdziecie się natychmiast spokojnie, każdy będzie winien gwałtu, każdy, co tu rękę podniósł, bez względu na to, co cierpiał, srodze zostanie ukarany. Ekonoma sami niewinnicie; powie na was, żeście niespokojni, nieposłuszni ludzie, i sąd mu uwierzyć będzie musiał.

Wieśniacy poczęli się namyślać i szeptać; niektórzy nawet namawiali pocichu do rozejścia się.

— Mówiłem i mówię — rzekł Ostap — jestem, jak wy, chłopenem, znam wasze życie, bo żyłem niem długo; wiem krzywdy wasze i nie dam ani was pognać, ani też bezkarnie przejść występnemu. Ale ja pierwszy wolałbym być zabitym, niż zabójcą.

— Prawdę mówi — odezwali się młodzi. — Niech go tam czy ludzie, czy Pan Bóg ukarze, my rąk nie walajmy.

— Tak! tak! — zawrzał któryś starszy — a nasze krzywdy? a nasze łyzy? a nasze nieszczęście to ma pójść z wiatrem?

— A Pan Bóg? — spytał Ostap. — Czyż to wy i w Pana Boga i w jego sprawiedliwość nie wierzycie?

— Pan Bóg daleko — odparł jeden, poczynając przysłowie.

— Pan Bóg wszędzie — przerwał Bondarczuk. — Idźcie do domów. Ja wam ręczę, że to bezkarnie nie ujdzie ekonomowi. Starsi niech zostaną ze mną.

Lud znacznie już złagodniał i niektórzy już do domów sami wynosić się poczynali; jeszcze tylko zażartsi wahali się trochę, ale i ci, ujrzawszy rozplywający się tłum, obawiając się pozostać sami, wszyscy powoli odeszli. Kilku nawet starszych, którym zostać kazał Bondarczuk, bojąc się, by nie uchodzili za naczelników zawihrzenia tego, wysunęli się za innemi.

— Ale pamiętajcie — rzekł, za innemi odciągając, stary Jakim do Ostapa — wyście krew nasza; nie zdradźcie swoich.

— Nie zdradziłem i nie zdradzę nikogo — odpowiedział Ostap. — Żal i szal zdradziły was najgorzej. Obronię was, jak potrafię, nigdy jednak zupełnie. Kto sam sobie chce robić sprawiedliwość, porywa się i przeciwko prawu, które depce, i przeciwko całemu

światu, co je szanuje: mądrzejszym i lepszym robi się od wszystkich; prawo i ludzie upokorzyć go i upamiętać muszą. Winien ekonom i odpowie, ale winniście i wy, żeście się nad nim znęcać i mścić chcieli.

— To nie ja! — rzekł, skrobiąc się Jakim — ja poszedłem za drugimi.

— Ani ty, ani drugi nie winien sam; winni potrosze wszyscy. Upokorzeź się, siedźcie cicho, a sprawiedliwość przyjdzie dla wszystkich. A pamiętajcie, że gdyby nie ja, bylibyście popełnili kryminal, zabójstwo; mogliście i panią waszę, którą kochacie, i dziecię jej o śmierć przyprawić. Nie tyle ekonom, co was, od was samych broniłem. On byłby uszedł, a wy, rozjuszeni, bylibyście się dopuścili zbrodni.

Stary spuścił głowę i odszedł zamyślony.

Ostap ruszył do dworu: śpieszył uspokoić hrabinę, którą z omdlenia ledwie otrzeźwiono. Z dziecięciem przyciśnionem do piersi, z oczyma wlepionemi w podwórze, na którym odgrywał się ten dramat, coby się był bez Ostapa krwią może i płomieniem skończył, siedziała odrętwiała w bojaźni o Stasia, o siebie i o śmiałego swego obrońcę.

Duch w nią wstąpił, gdy ujrzała, jak lud, cudownie uspokojony jego mową, poprzestał dobijać się do folwarku, a nareszcie powolnie ustąpił z dziedzińca. Niemém tylko wejrzeniem powitała Ostapa i w milczeniu podała mu rękę, której Bondarczuk zaledwie śmiał dotknąć.

— Każ pan zaprzęgać — odezwała się, przemawiając z trudnością. — Nie mogę tu dłużej pozostać; odjadę z dziecięciem do siebie.

— Nie sądziłbym, żeby to było potrzebnem — rzekł Ostap — bo mogę zaręczyć za spokojność ludzi; oni panią kochają.

— To są niewdzięczni! — zawołała Michalina.

— Nie dlatego, że to są bracia moi — odezwał się Bondarczuk — ale ich bronić muszę. Oni nie są niewdzięczni; kochają panią i pamiętają dobrze, coś dla nich uczyniła, żeby ich ciężką dolę osłodzić; ale coś dziwnego, że ich długa niesprawiedliwość i krzywdy do rozpaczki chwilowej przywiodły?

— To są dzikie zwierzęta!

— Tak, pani! każdy w chwili szału jest dzikiem zwierzęciem; ale nie godziź się im wybaczyć!

— Wybaczyć! o, trudno! trudno!

Ostap zamilkł.

— Lękać się nie masz pani czego zupełnie — rzekł po chwili — lecz jeśli rozkażesz...

— Wyjadę! o, wyjadę!

— Dam więc rozkazy do wyjazdu.

Michalina spojrzała na niego oczyma łzawemi, przeprowadziła go wzrokiem i nic już nie rzekła.

— Odjadę — mówiła do siebie — nie z bojaźni o siebie, ale dla niego. Będzie mniej cierpiał, straciwszy mnie z oczu, lżej mu będzie samemu.

Bondarczuk pobiegł po konie, razem i do ekonoma, który w śmiertelnym strachu krył się jeszcze pod strychem na folwarku. Trzeba go było, unikając powodu do nowych zaburzeń, wyprowadzić z majątku, a nie dozwoić mu uciec; Bondarczuk bowiem postanowił dopilnować, aby go osądzono ściśle i, jeśli był winien, ukarano.

Znalazł pana Kminkiewicza wyglądającego z wierzchołka drabiny, na poddasze prowadzącej, dopytującego się wszystkich, nawet tych, których nie było:

— A co? czy już poszli?

— No, proszę, jakie chamy zuchwałę! A co, są oni tam jeszcze?

I tak naprzemiany pan Kminkiewicz to im groził, to się o nich dopytywał.

— Dam ja im bunt! dam ja im zuchwalcom! A nie wracają oni tam?

— Schodź Waćpan — rzekł Ostap prędko — siadaj na przygotowaną bryczkę i jedź do miasteczka; tam czekaj na mnie. Zobaczymy, co z panem zrobim. Dwóch ludzi dodanych pilnować cię będzie.

— Byleby mnie, panie, te chamy na drodze gdzie nie zastąpili.

— Nie zastąpią.

— Choć dalibóg, proszę pana, ja nie wiem, czego oni chcą ode mnie? co ja im winienem? Zwyczajnie chamy, to-bo ma zawsze do buntu ochotę.

Ostap milczał.

— Ej! proszę pana — ciągnął dalej pan ekonom — czy oni tylko poszli? Bo jakby oni mnie złapali, to już wiem, że mnie nie darują.

— Śpiesz się Waćpan.

— Ale jak oni mnie złapią — rzekł, zniżąc po drabinie powoli Kminkiewicz — ja mam żonę i dzieci.

— Nie ci się nie stanie; oto są ludzie i bryczka; ruszaj do miasteczka.

— A dzieci, a żona?

— Oni tu zostaną; ja za nich ręczę.

Ekonom poskrobał się w głowę, obejrzał dokoła i wyszedł z fol-

warku w podwórze, tchórzliwie poglądając; wreszcie, odmieniwszy zwykły swój strój — zieloną bajową kapotę — na czarny surdut, aby go niełatwo poznano, siadł na wózek, i konie ruszyły.

Już téż i hrabina wsiadła do powozu, a Ostap, dla bezpieczeństwa jęj, przeprowadził ją, idąc pieszo przed końmi. Schowana w głąb karety, osłonięta całą, zdrętwiała i smutna, jechała Michalina ze Stasiem na kolanach. Wszystkie jęj było jedno, gdzie będzie: myśl i uczucie zabierała z sobą.

Lud z podwórza rozszedłszy się na wieś, powoli ściągać począł ku karczmie, gdzie gromada ze starszyzną naradzała się nad tém, co zrobiono, i co zrobić wypadało. Wszystkie twarze były chmurne i, jak zwykle po wielkim wysiłku, smutne. Jedni na drugich zwalali winę, czynili sobie wzajemne wymówki i uznawali wszyscy, że się nadto i nieroztropnie unieśli. Potrzeba było myśleć, jak się ze złego kroku ratować. Starsi obwiniali młodszych, młodzi wymawiali się przykładem starszyny; ostre wyrzuty i połażania słyszeć się nawet dawały. Chłopak ze dworu wpadł wśród tego zgielku z oznajmieniem, że pani wyjeżdża ze Skąły.

Na tę wieść powszechne strapienie odmalowało się na twarzach wszystkich. Michalina była opatrnością ubogich, chorych, i nigdy nie odprawiała nikogo bez porady, pociechy lub pomocy. Odjazd jęj zasmucił gromadę i wszyscy jednogłośnie postanowili biedz na przeciwko pani, aby ją błagać, żeby z niemi została.

Powóz był w połowie wioski, gdy gromada spotkała go, idąc na przeciw w milczeniu z głowami odkrytemi. Michalina, instynktową jakąś ciekawością powodowana, zobaczyła ludzi, krzyknęła bojaźliwie i kazała woźnicy pośpieszać. Ale niepodobna było: tłum otoczył konie i powóz, a kilku starszych zbliżyło się do drzwiczek.

— Czego wy chcecie? — zawołała hrabina strwożona — com ja wam winna?

— A! pani! — rzekł pierwszy — co my jasnej pani winni, że chcecie uciekać od nas? Nasi dziadowie służyli dziadom twoim, nasze dzieci dzieciom twoim będą wierne; czegoż wy porzucacie nas z gniewem? Czy my to nieprzyjaciele, czy co?

Michalina nie rozumiała nawet i w ciągłym strachu wołała tylko:

— Ruszaj! ruszaj!

— Pani! kochana pani! zostań z nami! — wołali wszyscy. — Przysięgamy ci, że będziemy spokojni. To łotr ten ekonom przeprowadził nas do rozpaczy, ale my i sami wiemy, żeśmy źle zrobili. Przepraszamy cię; daruj nam i powróć.

Ostap zbliżył się do karety.

— Czy pani się nie dasz uprosić? — spytał.

— Czegoż oni chcą? żebyśmy z niemi została?

To mówiąc, badające spojrzenie rzuciła na Ostap, jakby się także pytała, czy ma pozostać w Skale.

— Uczynisz pani, co się jej podoba; ja mówię za niemi, bo widzę w nich swoich, widzę siebie. Oni proszą szczerze.

— A jednak ja się ich tak boję! — cicho szepnęła Michalina, tuląc i dziecię do siebie i głowę do dziecięcia.

Po chwili namysłu odpowiedziała powolnie:

— Więc wrócę, choćbym nie powinna.

— Tak — rzekł do siebie Ostap, oddalając się — ani ona pozostać, ani ja ją prosić, żeby pozostała, nie byłem powinien. Ale stało się.

Powóz toczył się już ku dworowi nazad; tłum uradowany podrzucił czapki, wołając:

— Daj, Boże, zdrowie naszej pani! daj jej, Boże, długie lata! To matka nasza!

Wieczorem musiał Ostap z powodu rannego zaburzenia sam badać ludzi o nadużycia, rozbrajać ich łagodnymi słowy, jeszcze wrzące namiętności ukołysać, pocieszać, uspokajać i przygotować do sądowego śledztwa, które wywoływało i postępowanie ekonomia i gwałt, na jaki porwali się ludzie. Gdy starsi zwołani zostali, gdy wywołując jedną po drugiej z pamięci wszystko krzywdy, na które przyboleli, znowu rozżarzyli w sobie gniew, oburzenie i rozpacz. Ileż to potrzeba było pobłażania, cierpliwości, wyrozumiałości, rozumu, żeby ich uspokoić i wyrozumieć prawdę, tak łatwo zmieniającą się w ustach cierpiących!

Zajęty lub udający mocno zajętego obowiązkami swemi, Ostap unikał widywania się z hrabiną; ona już nie szukała go także. Raz we dwa dni, we cztery nawet spotykali się, kłamiąc najniezręcniej zobojętnienie, on sługi grając rolę, ona pani. Lecz ileż razy w rozmowie, wejrzeniu, postawie budziło się uczucie ukryte i ukrywane z obu stron! Czasem rozmowa schodziła nieznacznie z pospolitej i oklepanej na poufalszą i serdeczną. Michalina zapominała prędkiej o postanowieniu i z podziwieniem chwytiała się, za daleko zaszedłszy, wracając z przestraczem na pierwsze stanowisko.

Interesa rozwiązywały się powolnie i trudno było rozgmatwać ten kłębek tak długo plątanych nici ręką złych i nieopatrnych. Suseł niewidoczny podzegał wierzących, nasyłał żydów, odmawiał oficyalistów, upraszał sądowych przyjaciół i pracował gorliwie nad

zrażeniem Ostapa. Każdy inny byłby wśród tych prześladowań i głowę i ochotę stracił; on wytrwał. Stary Jacek Polakiewicz, po długim wypoczynku wracając do czynnego życia, jeden pomagał dzielnie nowemu rządcy; dziwne jego rejestra i dziwniejsza pamięć na każde zapytanie dostarczały odpowiedzi. Administracya dawna majątności była najplugawszą ruiną: wszyscy kradli najbezczelniej; oficyaliści byli we wspólnie z arędarzami, arędarze z kupcami, kupcy z rządcą, rządcą z wierzycielami. To wielkie koło szachrajów i złodziei całe trzymało się za ręce. Na każdym kroku Ostap spotykał kradzież lub ślady jej widoczne; wszakże i tu tak smutny stan z pewnych względów przydał mu się; kredytorowie, którzy różnemi tytułami trzymali posesye, nadania, kontrakty smołowe i t. p., tyle ich nadużyli, że groźba szczelnego rachunku zniewalała teraz do kończenia interesów co najrychlej, o ile być mogło najdogodniej dla nowego rządcy. Gdy Suseł i jego przyjaciele postrzegli, że z Ostapem ani groźba, ani prośba nic nie podołają, gdy policyjne przypczepki odepchnął zwycięsko, a, mocny znajomością urzędników wyższych, oparł się czepiającym go niżnikom, powoli pomiarkowano, że trzeba inaczej dawać sobie radę. Suseł, który początkowo miał plan pewny, usiłując wypędzić Ostapę, a powrócić nazad do Skąły, przekonał się, że z tego nic być nie może, i nie tylko sam się zląkł o swoje rachunki, ale i drugich przestraszył.

Ciemierka, niewezwany, przybiegł już sam traktować w imieniu swoim, innych wierzycieli i nawet pana Susła. Powierzono mu wszystko, spodziewając się, że jeśli nie wydrwi, to załaje, jeśli nie postraszy, to oszuka.

Ostap, przeczuwając te odwiedziny, od dni kilku był do nich przygotowany. Wiedząc, iż rachują na to, że nowym był tutaj i mało o czém wiedział jeszcze, starał się wszystkich wyuczyć szczegółów, pamiętać je, zebrać, uprzytomnić sobie, słowem, uzbroił się do boju, stawiając na przypadek w odwodzie Jacka Polakiewicza.

— No! a cóż z nami będzie? — spytał pan Ciemierka, wchodząc i rzucając się na kanapę.

— Jak się panu zdaje? — spytał ze swojej strony Ostap.

— Ha! zlicytujemy!

— Nie. Nacóż to mówić próżno? Panowie zlicytować ani się spodziewacie; w najgorszym razie bank nas zasłania.

— Nieopłacony.

— Zaspokojony co do grosza.

— Tém lepiej. Albo to pan nie wie, że i z bankową sumą zlicytować można?

— Można, zapewne, ale my tymczasem rachunki nasze i pieniądze pańskie składamy w przykazie.

— W przykazie! to już taki projekt! — zakrzyczał pan Ciemierka — w przykazie! Co to ja małoletni, czy co? A poco mnie przykaz? Ja nie chcę przykazu!

— Dlaczegoż pan nam grozisz licytacją?

— To mi płacicie.

— Płacim, tylko nie tyle, ile pan żądasz; chcesz więcej, niżeli się istotnie należy.

— Czyż to ja szelma, czy co? Co to pan mówi? jakto? Czegoż ja żądam?

— Procentów od procentu naprzód.

— To święte! Było mi regularnie płacić procenta.

— Pan je odebrałeś!

— Ja?

— Tak; wszak to są kontrakty na smołę, a oto rachunki z jój wypędu.

— Ja ze smoły i jednorocznego nie wzięłem procentu. Pokażę moje rachunki. W Kremieńczugu spadła, zły był wydatek, ludzi najmowałem drogo, szurki mi popalono. Pokażę czarne na białém.

— I my także wyjaśnimy, że pan przebrałeś nawet procenty; znikną więc i one i marzone procenty od procentów.

— Pan mię masz za szelmę! Ja to widzę! Co to pan myśli! Pan mnie obraża!

— Myślę, że jeżeli się pan obrażasz, toś na to zasłużył. Dajmy pokój téj becze; z innéj zacznijmy; do rzeczy, panie, do rzeczy! Ja się nie zleknię! Chcesz kończyć, kończ; chcesz się strzelać, strzelaj, a nie, no, to upadam do nóg; drzwi otwarte.

Ciemierka, przywykły do tego, że się go bali jak ognia, bo nawet holdujący jego szkatulce książęta traktować go tak nie śmieli, ogłupiał, oczy wytrzeszczył i wielkie: „Aaa!“ wydobyło się ze ściśniętego jego gardła. Chciał łajać i po swojemu bić pięścią w stolik, ale marsowa mina Ostapa i szerokie jego ramiona nie dozwoliły dopuścić się ostateczności; spowolniał więc, jak baranek, siadł, westchnął i rzekł ciszej:

— No, co tu, panie, żartować! Ot, kończmy zgodnie i będzie najlepiej. Szanuję i szanowałem hrabiego i częć tego anioła naszego, panią hrabinę.

Ostap się uśmiechnął.

— Czemuś ich pan tak wprzód nie szanował? — spytał.

— Zawsze! zawsze! Bóg widzi. Dla nich to uczynię, że choć ze stratą, gotów jestem kończyć. Niech ludzie wiedzą, że ja mam przeciw czucie, i nie taki jestem, jak mnie czernią. Ot, od słowa kończę.

— I jam gotów — rzekł Ostap. — Zrobimy rachunek ze smoły, odtrącam odstawione panu żyto i pszenicę, a resztę zapłacę.

— Żyto i pszenicę? — spytał Ciemierka, który postrzegł z podziwieniem, że i to na wierzch wyszło.

— A tak, panie.

— A tak — ciszej rzekł wierzyciel — tak, potrącam, zrobi się rachunek.

Gdy przyszło do obrachowania, które już przygotował Polakiewicz, Ciemierka znów podskakiwać zaczął, rzucać się nawet, łajac; ale widząc, że Ostap tylko się uśmiecha i ramionami rusza, dał pokój. Długo naprawiwszy o swoim szacunku dla hrabiny i hrabiego, podpisał wreszcie ugodę, i koniec końcem, skończył.

— A teraz panu powiem — rzekł, stękając, zbywszy się wszystkiego — bez pochlebstwa, ale jak Boga kocham, takiego człowieka, jak pan, nie widziałem. Tak się w jeden mig wyuczyc interesów, tak wszystko spamiętać, nie dla proporcji głowa, nie dla proporcji, panie! Żebym miał dobra i interesa, dałbym panu, cobyś chciał, żebyś się zajął.

Ostap uśmiechnął się z politowaniem.

— A teraz, panie — rzekł Ciemierka — jeszcze to nie dosyć; mam kilka cudzych interesów. Dosyć nad swoim wypotniałem. Kończmy resztę, jak można.

— Jak sprawiedliwie — dodał Ostap.

Wzięli się natychmiast do obrachunków, i co się tycze innych, poszły układy bardzo łatwo, lecz gdy przyszedł na stół interes pana Susła, który ogromne zakładał pretensje z zaległych pensyj i t. p., Ostap surowszym jeszcze i ściślejszym, niż ze wszystkiego, się okazał. Ciemierka choć chciał ratować dawnego swego znajomego i przyjaciela, ale nie potrafił. Okazało się, że z żądanych pięćdziesięciu tysięcy, nie tylko nic mu się nie należało, ale jeszcze z pięćdziesiąt najmniej innych pozostawało wytłómaczyć.

— A dopóki z tych się nie wyrachuje — dodał Ostap — odpowiadają mi jego remanenta i na wszelkie fundusze nałożony sekwestr.

Nie było sposobu; po naradzie jednej i drugiej, Ciemierka przyjechał w poselstwie od Susła, że się ten zrzeka pretensyj, prosząc tylko o pokwitowanie.

Ostap dał się zmiękczyć i skończył.

Ale to była lżejsza część pracy. Któż policzy wszystkie przykre spotkania z nieprzyjaciółmi Alfreda, otaczającymi go zewsząd, od ludu począwszy, aż do sąsiadów i urzędników. Trzeba go było uniewinniać, tłómaczyć, jednać mu serca, łagodzić urazy. Tu może największy dał dowód przyjaźni Ostap, bo się porwał na rzecz pra-

wie niepodobną. Krewni i przyjaciele zabitego, których żal świeży jeszcze wrzał nienawiścią, podnosili przeciwko niemu wszystkich. Nie można było myśleć o zjednaniu nieprzyjaznych; trzeba było tylko gasić zawziętość, rozbrajać niechęci, a Ostap choć w części rozpoczął to wielkie i trudne dzieło.

Tak ubiegło przeszło pół roku, szybkie jak pół dnia pracy. Alfred coraz rzadziej pisywać zaczął, Michalina, spokojniejsza o przyszły los dziecięcia, mężem się tylko i jego wygnaniem trapić zdawała. Ostap chodził chmurny i dźwigał się sił ostatkiem; a w Bondarczukowym chutorze?

Tam Jaryna dnie i noce wypłakiwała, wyglądała. Próżno rodzice, stary Kuźma, krewni, przyjaciółki starali się ją pocieszyć, że mąż powróci; przeczuła opuszczenie, rwała się za zbiegłym, ale nie wiedziała, gdzie go szukać. Długo tak z myślami swojemi się biła, póki się nie domyśliła, że Ostap najprędzej mógł być u swoich krewnych w rodzinnej wiosce. Krewni ci przyjeżdżali go odwiedzać, opowiadali o sobie; wiedziano, gdzie mieszkali, łatwo więc było tam się dostać, a Jaryna postanowiła choćby na kraju świata, mówiła w duszy, szukać swojego Ostapa. Stary Kuźma uległ nieustannym naleganiom córki; matka wiedzieć o nich nie chciała, opierała się długo, aż zmożona, zapłakana, przyzwolić na podróż musiała. Jaryna wieczorem wymodliwszy od niej pozwolenie, zrana przypędziła tak Kuźmę, że pomimo mnóstwa rzeczy brakujących do drogi, wybierali się koło południa. Kulina, stojąc w progu, płakała, powtarzając:

— Nieszczęście!

Ale to nie pomogło.

Córka siedziała już na wozie, Kuźma biczyskiem krzyż kreślił, koniki się rwały, — ruszyli.

Stary milczał całą drogę i wzdychał, Jaryna płakała. Tak się dobili, nabłądziwszy dosyć, napytawszy dowoli, do majątku hrabiny, do rodziny Ostapa, uwolnionej i osiadłej na nadanych jej gruntach. Tu Ostapa nie było; wiedzieli jednak, że był w Skale. Jaryna, szczęśliwa tą wieścią, nie dawszy koniom i staremu spocząć, chciała tegoż dnia jechać do Skąły, ale krewni zatrzymali ich na nocleg, przyjmując gościnnie i serdecznie.

Nazajutrz Ostap siedział w ganku z Michaliną, a mały Staś bawił się w pieskiem na wschodkach, gdy wóz wieśniaczy zaturkotał w dziedzińcu. Jaryna pędem wpadła przed dom, wprost do męża, chwytając go w objęcia z szaloną radością.

— A przecież ja ciebie mam! — wołała, zachodząc się od namiętnego śmiechu, w którym łzy słyhać było. — Znalazłam wreszcie swojego! To ja, to ja!

W tej chwili spojrzała przypadkiem na Michalinę, która, blada jak mur, schyliła się do dziecka, żeby ukryć, co się z nią działo.

Ostap stracił przytomność i ledwie nie osłabł. Nic nie odpowiedział żonie, skłonił się zmieszany hrabinie, porwał Jarynę za rękę i szybko uprowadził ją z sobą.

Po chmurném czole jego, po milczeniu posepńm odgadła kobieta, że nie w porę przybyła; radość jój, jak przelotne wesele dziecięcia, przemieniła się w strach i boleść. Szła za mężem, jak idzie na śmierć skazany człowiek; Ostap włókł ją za sobą, jak kajdany. Stał u drzwi jego domku w końcu ogrodu. Kuźma przybył za nimi także zafrasowany i na widok Ostapa bojaźnią zdjęty. Weszli do izby.

— Żłście zrobili — rzekł Ostap, nie patrząc nawet na Jarynę — źście przyjechali tu bez mojego pozwolenia. Mówiłem wam: czekajcie; potrzeba było czekać na mnie cierpliwie.

— A cóż złego, jak będziemy razem? — spytała Jaryna, ośmieszona jego powolnością. — Albo to ja nie twoja żona?

— To prawda, Jaryno, ale ja mam moje prace, moje potrzeby, z których chyba później będę się mógł wam wytłómaczyć. Tyś tu nie potrzebna. Tobie tu nie w ład i z tobą nie w ład będzie.

— Ze mną? to prawda — odparła obrażona — bo ta piękna pani bardzo była blada, kiedy mnie zobaczyła.

Ostap zatrzęsł się cały.

— Coś powiedziała! — krzyknął. — Co ci w głowie, Jaryno!

— Co? co? To, co i drugim. Ludzie gadają; ja tego nie zmyślałam sama.

— Ludzie! ludzie głupi! ludzie podli! a ty śmiesz to powtarzać!

— Widzisz, Ostapie, gdyby to była bajka, tybys się śmiał, a nie gniewałbys się tak bardzo.

— Jeśli ci Bóg miły — powtórzył Ostap — milcz. Kto śmie panią moję potwarzać? kto?

Jaryna głosem i postawą przelekła się; opuściła ją odwaga, mowa i zamilkła.

— Kto ci to mówił?

Kuźma, drapiąc się po głowie, pomieszał się zakłopotany.

— Ej, zięciaszku, kochanku, dajcie pokój, dajcie pokój; ludzie ludźmi; im aby gadać; dla nich czarny kij to waż, a zeschły liść to żaba; aby dwoje, to i para. Pluć, pluć i porzuć. Zwyczajnie, babskie plotki. Kobiectcie, aby mara, to i strach. Nie gniewajcie się, proszę ja was. A nie chcecie nas, no, to przeprosiwszy a pocałowawszy, pojedziemy i będziemy czekali na was, gdzie każecie.

— Byłoby najlepiej — rzekł Ostap — żebyście się byli odrazu z miejsca nie ruszali. Mnie tu nie żona w głowie.

Jaryna, bolejąc od każdego słówka, to bladła, to płomieniała; gniew poczynał poruszać jej usta drżące.

— I pocóżes mnie brał? — spytała po chwili — żebyś naśmiał się ze mnie nieszczęśliwej? Wziąłeś mnie, żyjże ze mną.

— Powrócę — rzekł smutnie Ostap.

— Nie, ja tu zostanę — odpowiedziała Jaryna stanowczo. — Cóż to, czym ja jaka przybędę, żebyś się mnie wstydił przed ludźmi?

— Jaryno! Jaryno! to nie wstyd!

— O! alboż ja wiem, co to jest?

Zapłakała biedna i upadła, zachodząc się od płaczu.

Kuźma ruszał ramionami, nie wiedząc, czy córkę ratować, czy zięcia przeproszać. Ostap stał w boju z sobą, walczył i zebrał się na odwagę.

— Chcesz — rzekł — więc zostaniesz ze mną.

— Zostanę? pozwolisz? — spytała weselęj, podnosząc się — pozwolisz? nie wstydzisz się mnie?

— Zostaniesz, ale posłuchaj, będę cię prosił.

— A każ tylko; zrobię, co mi każesz, bylebym została.

— Ciężko tu będzie tobie pomieścić się; całe dnie będziesz sama; ja ciągle jeżdżę; nikogo nie będzie przy tobie. Czy nie lepiej by ci pojechać do moich krewnych, siedzieć u nich? Jabym cię tam odwiedzał. Będziesz blisko.

— Blisko! ale nie razem!

Ostap odwrócił się z uczuciem bolesnym, głowa mu się trzaskała; nie wiedział, co począć. Tylu dowodów przywiązania nie mógł i jednym dobrém słowem zapłacić! Chciał na sobie wymódl, żeby się do niej zbliżyć, uspokoić ją, upieścić. Wzdrygał się na takie kłamstwo. Od niej do niego tak było daleko! Jego wychowanie, życie, myśl tak wysoko uniosły od poziomu, którym szła biedna Jaryna. Oni się zrozumieć nie mogli, a żaden węzeł tajemniczej sympatii, co zbliża najdziwniej ludzi, jego ku niej nie pociągał, jak ją porywał ku niemu.

Kuźma obracał czapkę w rękę, chcąc szczerze przemówić za córką, żeby jej wolno było zostać w Skale, ale się na to nie zdobył. Całując tylko w rękę Ostapa, zbliżył się ku niemu, popatrzył mu w oczy długo, wyraziście i ręką wskazał Jarynę, która, płacząc, zza łez poglądała to na ojca, to na męża.

— Mój stary — odezwał się Bondarczuk powoli — ty to łatwiej zrozumiesz. Ja tu już może niedługo pobędę; gdzież mnie tu z żoną się zagospodarowywać. Ot, jeszcze kilka tygodni i byłbym powrócił do was.

— Ale jój tęskno — rzekł stary cichutko.

— Wszakżem wprzódę wam o tém mówił, wyście się zgodzili.

— Toć prawda, ale sercu nie rozkazać.

— Więc niech Jaryna zostanie — rzekł Ostap — zgadzam się na to; mil dwie, nie za światem; będę się dowiadywał do niej.

— A nacóz o mil dwie? — przerwała kobieta cicho — wszakże ja tu nikomu wody nie zamączę. Czyż to mnie wiele potrzeba? Aby kątek, byle dachu kawałek, byle chleba skrajczyk, wody kubek. Ja nie zawadzę, siedzieć będę cicho, spokojnie, a jak każecie, to i nikt mnie nie zobaczy.

Ostap uczył się zmiękczonej tą prośbą, pełną wyrzutów, lecz nie mógł, czy nie chciał ustąpić.

— Moja Jaryno — rzekł do niej — czyż to dla mnie nie zrobisz pierwszej rzeczy, o którą cię proszę?

— Wszystko — zawołała kobieta z gorącym wejrzeniem — ale nie chcecie za wiele. Chcesz, żebym nie wierzyła, co ludzie mówią, to nie odpędzaj-że mnie.

— Znowu! — zakrzyknął Ostap, porywając się — znowu toż samo! Nie wspominaj tego.

— Cyt-bo, cyt! — szepnął Kuźma przestraszony, dotykając jój łokciem — daj-bo pokój temu.

Jaryna rozplakała się znowu i usiadła na ziemi, zachodząc się od łez; Kuźma patrzył to na nią, to na zięcia; Ostap chodził wielkimi krokami.

— Niechże zostanie — rzekł po chwili namysłu — niech zostanie tutaj, pozwalam. Oto izba twoja, Jaryno — dodał — oto podwórko twoje; dalej ani krokiem.

Powiedział i wybiegł do ogrodu, szalony cierpieniem, zmieniony boleścią, w rozpaczę prawie.

Późno w noc powrócił i siadł do pracy, a dzień wschodzący zastał go nad stołem jeszcze. Jaryna w kątku siedziała skulona, sena a nie śpiąca, z oczyma wlepionymi w niego, przeleżała, zboleła; czekała słówka pociechy, wejrzenia, napróżno. Nareszcie podróż, zmęczenie, samo cierpienie uspiły ją. Ostap rzucił pióro, przymknął sam okiennice, posadził sługę na straży i odjechał.

Michalina, przebywszy pierwsze wstrząśnienie przykre, na widok Jaryny doznane, uspokoiła się, oglądając zimniejszém okiem położenie swoje. Widziała teraz całą wielkość ofiary, którą Ostap uczynił — nadaremnie. Tajemnica, która zaręczała skutek, wydana była trafem, a wprzódę jeszcze przeczuta. Ostap pomimo ożenienia pozostał dla niej, czem był, a czyn ten zamiast go spodlić, podnosił jeszcze w jój oczach.

— Nie mogłażbym nic dla niego? — spytała siebie — gdy on tyle dla nas uczynił?

Powtarzała sobie to pytanie tyle razy, aż wreszcie znalazła na nie w sercu odpowiedź. Postanowiła zbliżyć się do Jaryny i spróbować, czy ją poufałe, serdeczne obejście, zachęta jaka, nie potrafią podnieść, wykształcić, uczynić godniejszą Ostapa. Najtrudniej było przystąpić do lęklivej, dzikiej prawie, a cierpieniem zdziczałej jeszcze kobiety; potem prostemi słowy trafić do jej przekonania i skłonić, żeby podała rękę, otworzyła serce.

Michalina pojęła trudność tego przedsięwzięcia, ale nie zraziła się nią. Wiedząc, kiedy Ostapa nie było w domu, przyszła do niej raz pierwszy z twarzą tak przyjazną, ze słowem tak serdecznym, że płaczące dziecię wioski dało się niemi pociągnąć. I poszły razem, nie jak pani i wieśniaczka, ale jak starsza z młodszą siostrą, w ogród, potem do dworu. Jaryna, szczebiotliwe ptaszę, ze wszystkiego jej się zaraz wypowiadała: z myśli, z uczuć, nawet z wieści, które schwyciła po drodze. Krasnym rumieńcem oblało się czoło Michaliny; westchnęła, nie odpowiedziała nic, uśmiechnęła się tylko żałośnie.

Nazajutrz przyszła znowu do Jaryny i pociągnęła ją z sobą już łatwiej, już chętniej idącą; trzeciego dnia czekała na panią wieśniaczka, czwartego dnia sama pobiegła do dworu. Ostap, ciągle zajęty, ledwie kilku słowami, skinieniem głowy, spojrzeniem witał i żegnał żonę. Nie było dla niej rozrywki, pociechy, tylko z Michaliną. Ta wabiła ją, nęciła, przymilała się do niej; — jakże jej do siebie nie miała przywiązać?

Postępowała z nią, jak z dziećciem, powolnie, łagodnie, naprowadzała na żądanie tego, co dla niej było pożytecznym, i z podziwieniem postrzegła, że Jaryna czuła się niższą, chciała się podnieść, ukształcić, zbliżyć do męża. Z radością ujrzała to uczucie w niej Michalina, wszczepiając je głębiej w serce wieśniaczki. Nie dała jej tego, co pospolicie nauką zowią, nauki suchej, która podobna jest do zasuszonych ziół, co je na lekarstwo zbierają, tak różnych od żywych kwiatów! Przelewała w nią Michalina rozmową samą, żywymi słowami naukę żywą, zdrową, która oczyszczała się jeszcze, przez serce idąc do głowy. Jaryna słuchała jej, jak wprzód Ostapa, z tym zachwytem dusz prostych, które z uniesieniem witają świtające im światło nowego dnia. Całe godziny milcząca, zadumana, sparszy piękną swą głowę na rękę, wpatrując się w hrabinę, cierpliwa, ciekawa, głodna, wyzywała, pragnąc opowiadań bez końca. Badała Michalinę naiwnie, biegła do niej codzień po pokarm dla duszy, którego już czuła potrzebę. Można ją w człowieku przytłumić, ale zgasić niepodobna. Zestarzałemu w wiadomości i opuszcze-

niu okazał promyk światła, pozwól mu się skierować ku niemu, a rzuci się nań chciwie. Ciekawość — ten głód duszy nieśmiertelnej, pragnącej wiedzą związać się ze światem — w kimże zupełnie umarła?

Ostap od przybycia żony rzadko widywał Michalinę, o jej stosunkach z nią nie wiedział wcale z początku, bo Jaryna mówiła o nich nie śmiała, on nie badał, hrabina milczała umyślnie. Tak upływały dni, tygodnie, miesiące. W pracy czas schodzi piorunem, ani się obejrzyć. Ostap szukał pracy, bo czas mu ciężył; rzucał się na nią, a nie brakło przedmiotu. Choć główne trudności były już ułatwione, pozostawało drobnostkowe dokonanie wszystkiego, często mozolniejsze, niż plany i urządzenia ogólne.

Alfred, którego o postępie czynności uwiadamał, coraz to rzadziej odzywał się zza granicy. Pracowano, starając się o przebaczenie mu winy, i choć familia zabitego ogłaszała, że mu bezkarnie powrócić nie da, były wszakże nadzieje jeśli nie darowania kary, to ulżenia jej przynajmniej.

Michalina w nowém życiu swoim niespodziewane znalazła przyjemności, bo niema pracy, niema dobrego uczynku, coby się nie zapłacił wewnętrzną radością. Dwoje dzieci, Staś i Jaryna, zajmowali ją całą. Widziała Ostapę i to jej wystarczało. Oswoiła się z myślą, że dla niej stracony nazawsze... Alfred zajmował ją od dalony jak przyjaciel, jak ojciec dziecięcia; kochać go usiłowała na próżno. W ostatnich czasach boleśnie ścisnęło się jej serce na popelnione przez niego szaleństwa: uczuła jakby litość połączoną ze wstrętem.

I tak biegło życie w Skale.

W jednym domu, w jednej izdebce żyjąc z Ostapem, Jaryna była mu obcą, jak w pierwszych dniach poznania: ledwie przemówił do niej, ledwie na nią spojrzął; obawiał się jej i unikał. Ona znosiła spokojnie, ulegle, cicho ból swój; nie mogąc go wymówić, wyplakiwała.

Czasem tylko z litości Ostap szepnął do niej:

— Zobaczysz, powrócim tam, powrócim; łyzy ustana, będziesz szczęśliwsza.

Ona spoglądała jasnym okiem na niego, serce jej zabiło do tego szczęścia, pokazywanego zdaleka, jak cacko dziecięciu, i zamilkła — nie miała już nadziei. Gdy jej bardzo a bardzo było na sercu ciężko, gdy się łyzy nadto kręciły w powiekach, szła ukradkiem do Michaliny. Dla niej nie miała już tajemnic; powiedziała jej wszystko, jak matce, jak siostrze; ta ją pocieszała, jak dziecię — jutrem, i pocieszając, starała się to jutro uczynić podobnym, a szczęście dla Ostapę bez siebie dostępnym. Przewidywała nawet chwilę, w któ-

rój zdziwi się swęj żonie, przybliży do nięj, pociągniony urokiem nowości może, pokocha ją i zapomni.

Ona nigdy zapomnięć nie chciała.

Dwa miesiące upłynęły od przybycia Jaryny do Skały, gdy w nocy umyślny posłaniec przybiegł z listem do Ostapa znad granicy. Nie znalazł go w domku, w którym, jak zwykle, Jaryna sama siedząc na ziemi u spopielalego komina, patrzyła na gasnące w nim jedna za drugą iskierki. List był pilny. Pospieszono szukać go gdzieindziej i znaleziono aż u brzegu z nocleżanami siedzącego na kłodzie, w tym stanie pół-snu, pół-jawy, co rozkosznęm marzeniem strapionych kołysze.

Często tak Ostap z życia, w które go wepchnęły obowiązki, wyrwał się, uciekając do wiejskiego. Niezapomniane chwile młodości kołatały do jego duszy, wdzięcznym go wabiąc uśmiechem, do tych uciech nędzy, których sierotą doznawał na łąkach, w lasach, u brzegu wód błąkając się swobodny.

Nieraz wiedziony tą niepojętą chętką, biegł za trzodami zdala, wpatrując się w życie pastusze, chwytając wyrazy prostęj piosenki, dźwięki znajomęj przygrywki, dymy znanego ogniska, nieraz podkładał się do wesółych nocleżan, rozmawiał z niemi i, wspominając dawne, najpierwsze lata swoje, tęskno pieścił się ich przypomnięciem. Nieraz błądził samotny po lasach, szukał gospodarzy, co szli z pługami w pole, by z niemi pomówić, zbliżał się do pracujących i chciwie patrzył na ich zatrudnienia. Wszystko, co mu dzieciństwo wieśniacze wracało, było mu drogięm. Czemuż temu smutnemu nawet dzieciństwu zazdrościł? czemu tęj nędzy żałował? — nie wiem. Tak wszyscy po częms płaczem, choćby po łzach własnych i żal nam przeszłości zawsze, a młodszych lat stokroć więcęj, niż innych.

Jemu lżęj było ze swemi i długie godziny spędzał z niemi rozkosznie, a każde tętno życia wiejskiego żywo w nim odzywało się jeszcze. Niewidzialna siła pociągała go ku temu stanowi, z którego jednak wyszedł tak wczesnie. Inny byłby się może wstydził, byłby uczuciu kazał zamilknąć, myśli odwrócił gdzieindziej; on je szanował i cieszył się niemi.

Czuł się niezepsutym: oświecenie, cywilizacya ta tylko dobra, która związku człowieka z prostęm życiem i prostemi uczuciami nie zrywa. Biada tym uczonym, co wszystkę naukę swą czerpią z książki, co świat w nią radziby zamknąć; książka jest, jak beczka wody,

przyniesionej z krynicy; lżej zaczerpnąć z tej beczki, ale u źródła woda lepsza.

Posłaniec, który zachwyił Ostapa w jednym z tych zadumań, któremi dusza ucieka ze świata, tak, że ją niełatwo ku niemu sprowadzić, długo oddawał mu list, nim się opamiętał, gdzie był i czego od niego chciano. Nareszcie wziął pismo w ręce machinalnie, obojętnie, rozłamał pieczętkę, ale ledwie słów kilka przeczytał, krzyknął, zakrył oczy i upadł.

Ludzie skoczyli ku niemu ratować, ale za pierwszém dotknięciem obcej ręki już był na nogach, chwycił papier, łyż mu z powiek pociekły i szybkim krokiem pobiegł, nie wiedząc, dokąd.

List ten zawierał doniesienie o śmierci Alfreda. Michalina była wdową. Testament opiekunem dziecięcia naznaczał Bondarczuka. Wielkie wstrząśnienia straszne są tylko dla słabych, którzy ich w pierwszych chwilach nie czują, a potem upadają pod nimi; silnym one się czuć dają odrazu, ale nie wyczerpując odwagi i mocy, zostawiają ich przytomnymi i gotowemi do walki, do czynu.

Ostap ochłonął, rozpatrzył się w położeniu swoim, boleśnie schwycił za serce i cicho rzekł w duszy:

— Stań się wola Twoja!

Droga przed nim stała szeroka, odkryta, stroma i ciężka, ale nieominiona.

List odebrany zawierał te słowa:

„Wczoraj, dnia 30 lipca, 18... hrabia Alfred S. po krótkiej chorobie, spowodowanej w części zmartwieniem, w części sposobem życia, niestosownym ze stanem zdrowia, umarł tutaj, we Lwowie, w domu pod N... na ulicy Brackiej. Testament jego, sporządzony formalnie na kilka godzin przed śmiercią, naznacza pana opiekunem żony i dziecięcia małoletniego. Spieszę pana zawiadomić o tym smutnym wypadku, prosząc o rychłe rozporządzenie pozostałością, jaka się znalazła przy hrabi, i załatwienie należności, które“ i t. d..

Przy liście przyłączona była historia choroby, wyjaśniająca przyczyny śmierci. Dla Ostapa jedna była najwidoczniejsza: smutek, zwątpienie, zgryzota. List do hrabiny, na łożu śmierci pisany, przysłano także Ostapowi dla oddania jej.

Jak miał teraz postąpić? jak uwiadomić hrabinę o śmierci męża? Dzień upłynął na rozmyślach; wieczorem dopiero Ostap poszedł do dworu. Tu pierwszy raz znalazł żonę swoją przy Michalinie, siedzącą na ziemi i słuchającą z uwagą, z zajęciem łagodnym głosem i macierzyńskimi słowy udzielanej nauki. Na ten widok serce mu się wzruszyło, stanął w progu: dwie łyż zwinęły się na opalonym policzku, błysnęły i znikły. Wesoła prawie twarz Micha-

liny przykre na nim robiła wrażenie. Ta kobieta nie miała już na świecie nikogo prócz dalekich bardzo i całkiem jęj nieznanym krewnym, dokoła zaś nieprzyjaciół, chciwych jęj mienia, zazdrozczących jęj chwili spokoju. Mógłże ją na pastwę losu i ludzi porzucić?.. Wszedł. Na widok jego Jaryna, przełęknioma, krzyknęła i chciała uciekać, ale ją hrabina z uśmiechem zwycięskim za rękę wstrzymała.

— Wszak pan nie zabronisz żonie — odezwała się — kilka godzin dnia przebyć ze mną? Ja jestem tak sama!

— A, pani! mógłżebym się temu przeciwieć? Boję się tylko, by to dziecię nie nadużyło twojęj dobroci.

— Ale ja panu powtarzam, że to dla mnie dobrodziejstwo. Ona tak dobra, łagodna i miła.

— Od nięj do pani tak daleko — rzekł Ostap cicho — jakaż być może przyjemność?

— Także to pan w sposób pospolity świat pojmuje? Myśmy daleko, ale zarówno ja od nięj, jak ona ode mnie możemy skorzystać. A są miejsca, są ścieżki, są uczucia prawdziwe, odwieczne, wspólne wszystkim, na których się spotykamy i rozumiemy doskonale. Pozwól pan się połączyć jeszcze za te słowa! Myśmy cywilizacją daleko od natury i daleko od tego stanu błęgiego, w którym ludzie prości widzą, czują, przeczuwają, czego my mozolnie rozumem dochodzić zmuszeni jesteśmy. My z naszą fałszywą oświatą, przez którą wiarę i instynkta rodzime straciliśmy, jesteśmy w wielu rzeczach jak ślepy, który się uczy poznawać kolory palcami. Naszemi palcami rozum.

— Porównanie — rzekł smutnie Ostap — posunięte za daleko. Zresztą pani wiesz — dodał — że, wedle francuskiego przysłowia: *comparaison n'est pas raison*.

— Ja stoję przy swoim! — przerwała Michalina. — Jeśli to porównanie nie podobało się panu, użyję drugiego. Oni są jak ptaszki, co ziółko, którego im potrzeba, nie znając, czują zdaleka darem bożym; my, ludzie, szukamy go, nie czując, w tysiącach. Myśmy rozumniejsi, lecz oni nieomylni. Ale dość o tém. Nie zechcesz mi odebrać dobrej już mojęj znajomej i przyjaciółki?

— Pani jesteś aniołem! — zawołał Ostap.

— Bez skrzydeł, bez białęj sukni i bez szczęśliwości anioła — cicho dodała Michalina. — Czemuż nie mamy być razem — odezwała się głośnie — zawsze razem?

— Nie umiem odpowiedzieć na to; dziękuję tylko z serca. Czyń pani, co chcesz. Lecz jeśli zbyt wielkie i ciężkie widzielić będą ofiary, ucieknę, uciekniemy z nią razem. Nie chcemy być ciężarem.

— Niewdzięczny, niedobry przyjaciel nasz! — powstając i po-

dając mu rękę z zapalem młodzieńczym, zawołała Michalina. — Godzi się to mówić i mówić to do mnie?

W tej przelotnej chwili zbliżenia, uniesienia, uczucia Ostapa i Michaliny tak były jawne, że Jaryna, której oczy czarne zaiskrzyły się zazdrością, porwała się z miejsca i gotowa była rozerwać spojone ich dłonie. Szczęściem hrabina odstąpiła zimniejsza, a Jaryna uspokoiła się, niespokojnie jednak w nią się wpatrując.

— Więc mi ją pan zostawisz — mówiła powolniej pani, zbliżając się do wieśniaczki, która jeszcze nieufnym spoglądała okiem — nieprawdaż?

Ostap zamilkł; łyzy mu się tylko znowu zakręciły w oczach i powróciły nazad do serca. Przypomniał sobie, z czem przyszedł, i nie wiedział, jak przygotować hrabinę do strasznej wieści, którą niósł z sobą.

— Odebrałem list od hrabiego — rzekł wreszcie przytłumionym głosem.

— A do mnie nie pisał? — spytała Michalina.

— Nie, jeden był list tylko i ten nawet nie jego pisany ręką.

— Cóż to jest?

— Hrabia chory.

— Chory? — podchwyciła z żywym niepokojem, chwytając się za głowę — chory i bardzo? proszę mi mówić prawdę.

— Chory dość mocno.

— Możesz mi pan ten list pokazać?

— W tej chwili zostawiłem go u siebie, ale przyniosę.

— Cóż mu jest? Jakże piszą?

— Nie wiem; zdaje się, rdzaj gorączki. Lekarz zdaje się obawiać nieco.

— Niebezpieczeństwo! Moje miejsce przy nim! Pojadę natychmiast — odezwała się Michalina. — Każ mi pan wszystko przygotować do drogi, jutro, dziś jeszcze, jeśli można.

— Najważniejszym przygotowaniem jest pozwolenie wyjazdu, a tego nie mamy.

— Ale to się uzyska?

— I niełatwo i nieprędko. Są formalności długie; wszakże będą robił starania.

— Dobry nasz, jedyny przyjacielu, ty to pojmujesz — smutnie zawołała Michalina. — Moje miejsce przy nim. Słaby, opuszczony, sam jeden, ja i dziecię tutaj, to się nie godzi! Ja muszę być przy nim.

Ostap skłonił się w milczeniu i, nie wiedząc, co więcej powiedzieć, przyrzekał pośpieszyć się z wyrobieniem pasportu i odszedł.

Odszedł krążyć bez celu i myśli. Ciężar obowiązków, które

z czasowych stawały się wiecznemi, ugniatał go. Rozbierał swoje położenie i truchlał przed niem.

Noc zachwyciła go błakającego się jeszcze, i wieczór z wiejską swą ciszą przypomnieniem lat młodych ukolysał strapienie. Jak zawsze, poruszył go widok zatrudnień wieczornych, wycisnęły westchnienie pieśni i wykrzyki pastusze, obwiało go słodkie powietrze, przesiąkłe wyziewami znanemi, a klekot gderzącego bociana przypomniął mu starą gruszę z gniazdem nad rozwaloną chatą, w której się urodził, gdzie pierwsze lata spędził, bawiąc się na śmiecisku.

— Nacóż — zawołał z głębi duszy — dobroczynna ręka wyrwała mnie temu życiu, do którego byłem stworzony! Lepiej mi było w nędzy, smutku i niewiadomości dobić się do brzegu, niż dziś tak cierpieć, tyle dźwigać i tak jasno widzieć strapienia i obowiązki swoje. Wolałbym chleb czarny i czarne myśli ciemnego chłopka nad mój żywot dzisiejszy i straszne dumy moje. Ale stało się! Nie narzekajmy, pracujmy. Nie czas się cofać, i wola boża nade mną stać się musi. Dalej a dalej do końca! Koniec nie może być daleko.

Nazajutrz Ostap poszedł znów do hrabiny. Taić przed nią dłużej śmierci męża nie było można. Poszedł i nie zdobył się na odwagę oznajmienia jej, że została wdową; oznajmił tylko, że nowe odebrał pismo o pogorszającym się stanie jego zdrowia, i że zrobił przygotowania do wyjazdu. Michalina nie przeczuła nic jeszcze; tylko choroba ojca podwoiła jej czułość dla dziecięcia: chciała jechać, wyjeżdżać co najprędzej.

Na trzeci dzień powrócił Ostap jeszcze. Zmuszony okolicznościami, szedł powiedzieć jej wszystko, ale słowa wędły mu na ustach.

— Cóż mój wyjazd? — spytała Michalina żywo, jak tylko postzegła go we drzwiach.

— Przygotowujemy wszystko, ale zdaje mi się...

— Cóż, byłbyś przeciwny temu?

— Ja? nie, ale zdaje mi się — powtórzył — że choroba hrabiego tak się powiększa...

— Byłoby tak źle! tak źle! niebezpiecznie! Pokaż mi pan te listy, pokaż mi je koniecznie.

— Nie mam ich z sobą.

Michalina spojrzała na niego, a w oczach jej było coś obłąkanego.

— Nie masz ich! nie masz! a Alfred jest tak źle!

— Bardzo źle.

— On umarł chyba! — stając nagle, krzyknęła — on umarł! mów mi prawdę!

— Umarł — cichym głosem powtórzył Ostap.

Michalina obejrzała się, szukając dziecka oczyma, milcząca, na pozór zimna, nie odezwiała się nic; zaciśnięte usta jej drżały. Chwyliła Stasia i przycisnęła go do siebie, rozśmiała się wielkim, serdecznym śmiechem, padła i omdlała.

Przez dni kilka nikt jej nie widział, nikt do niej nie dostąpił; zamknięta z synem, tuliła go, płacząc, nie mówiąc ni słowa. Przyszła Jaryna, po wiejsku poczynając ją pieścić, całować, pocieszać; ona zlekka odtrąciła ją, a w spojrzeniu patrzył gniew prawie i smutek okropny i rozpacz i jakies myśli nieodgadnione.

W takim stanie bez zmian wielkich upłynęło dni kilka. Stan hrabińy zdawał się pogorszać; milczenie, przerywane tylko śmiechem i płaczem serdecznym, trwało ciągle; w nocy bywała nieprzytomna, usta jej otwierały się na dziwne narzekania, na żale nieopjęte, na wykrzyki, bolesne nawet dla obcych.

Jaryna, której widoku znieść nie mogła, siedziała długo niewidocznie; Ostap także czuwał u drzwi. Biedny Staś, nie mogąc pojąć ani swego nieszczęścia, ani matczynych cierpień, płakał, widząc ją płaczącą; szarpał ją, prosząc, żeby wstała i była wesolą.

Po chwilach najwyższego rozdrażnienia, szału i bezprzytomności, następowało opadnienie z sił, sen głęboki i długi, potem znowu krzyki i śmiech i płacz serdeczny. Środki lekarskie, które wskazywał Ostap i wezwany przez niego lekarz, mało lub nic nie działały. Jak we wszystkich chorobach, których przyczyną jest boleść duszy, ciężko było przez ciało oddziaływać na nią. Czém ją było pocieszyć? Ostap jedyną pociechę widząc w dziecięciu, ciągle je przy niej trzymać kazał, ale nawet uspokojona, patrzyła nań obojętnem, osłupiałem okiem.

Noce nadewszystko straszne były do przebycia: ze snu głębokiego budziła się krzykiem gwałtownym i padała, rzucając się we łzach i narzekaniu. Z urywanych słów jej zawsze odtrącana Jaryna ujrzała przeszłość tajemniczą, zrozumiała stan i położenie Michaliny i swoje i męża.

Zaczynała myśleć nad tém, i choć dramatu tego, którego była osobą czynną, całkiem jeszcze objąć nie umiała; jak straszne widziała, przesuwały się sceny jego przed zdumionemi jej oczyma.

Michalina wołała w nieprzytomnych szalach:

— Naco mnie tu trzymacie? Puście mnie! Pójdę i umrę. Stasia ona zabierze, on go wychowa; jam niepotrzebna. On będzie mojem. Wiem, kocha mnie, jak kochał, i dla mnie nie porzuci sieroty. Naco życie? On sobie świat zawiązał, między mną a sobą postawił kobietę, on żonaty, on się ożenił umyślnie.

I poczyniała śmiać się tym okropnym śmiechem, który krew ścina w żyłach zimnym nawet ludziom.

Jaryna z tych urywanych wyrazów schwytała potrosze wszystko, domyśliła się reszty. Czarne jej oko zaszło krwią i łzą, czoło zmarszczyło się, pierś podniosła wstrzymaném łkaniem. Milcząc, poglądała na Ostapa i, zniknąwszy z pokoju Michaliny, zamknęła się w izdebce swojej; siadła na ziemi, okryła głowę fartuchem, siedziała i płakała, — dumiała, co począć z sobą.

Ostap nie opuszczał łoża hrabiny; o Jarynie czasu nie było pomyśleć. Kto wie, czy przypomniał ją sobie, tylu uczuciami targany.

Starego Kuźmy nie było; nikt nie przyszedł, nie dowiedział się, nie pocieszył stroskanęj wieśniaczki. Ujrzała się opuszczoną, uczuła niepotrzebną i zawadną.

— Pójdę ja na nasz chutor — pomyślała sobie — będę go czekała, będę się spodziewała, a jak nie doczekam, przynajmniej życie minie w tej nadziei. Trzeba mi było tam zostać, o! trzeba mi było zostać! Lepiej zdaleka się spodziewać, niż rozpaczać zbliska.

Chciała powracać, sił jej brakło; porzucić znowu Ostapa żal było. Wiedziała, że jej nie kocha; zrozumiała, dlaczego się z nią ożenił, a jednak czasami spodziewała się jeszcze, sama nie wiedząc czego.

A Ostapa jak nie widać, tak nie widać było. Szukała go codzień, wyglądała, żeby przyszedł choć dowiedzieć się do niej, choć słówkiem jej dać sił do wytrwania — napróżno. W ostatku powiedziała sobie:

— Ja tutaj niepotrzebna jestem, nikt o mnie nie myśli, nikt do mnie nie przyjdzie; pójdę!

I ranku jednego wysunęła się ze swojej pustej izdebki, żeby raz jeszcze zobaczyć, pożegnać hrabinę, a potem uciec do swoich. Ale do hrabiny nie dopuścili jej; w przedpokoju tylko zobaczyła Ostapa wyciągniętego w krzesło, znużonego, bez czucia, nieprzytomnego, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, ze spuszczoną głową, bladego, jakby się kładł do trumny. Ostap jej nie zobaczył, choć na nią patrzył. Głucha cisza panowała w pokoju; pani od godzin dwunastu już spała.

Suchém, wypaloném od łez okiem spojrzała na nich Jaryna zdaleka i odeszła. Nie wracając już do swojej izdebki, obróciła się ku słońcu, pomyślała, w której stronie rodzice i wioska rodzinna, i sama jedna, bez grosza, bez przewodnika, śmiało, jak ptak, poszła w swoją stronę.

Nie pojmowała ani niebezpieczeństwa, ani trudności tej podróży; wielkie uczucie wszystko zasłania. Szła, póki sił stawało, a gdy noc zapadła, siadała pod dębem u kraju lasu, okrywała głowę far-

tuchem, nie zasnąć, lecz spocząć znużonym nogom. Czasem zastukała do chaty wieśniaczej i znalazła w niej przytułek; jój młodość, jój smutek wzbudzały litość: kierowano jój drogą, dawano chętnie chleb i radę, i tak powoli, powoli zbliżyła się ku Podolowi swojemu.

Gdy jój pierwszy wiatr wieczorny przyniósł dym ziemi rodzinnej; gdy ujrzała swoje wzgórza i doliny; gdy poczuła żyzne a tęskne Podole: Jaryna zapłakała z radości, i choć znużona drogą, poszła prędkiej, żeby się dostać do swoich. Szła jeszcze dwa dni i przypadkiem, przecuciem raczej, niż wiadomością, trafiła do Bondarczukowego chutoru.

Stary Kuźma naprawiał radlisko, mając wychodzić w pole, matka wybierała się, stękając, do ogrodu, gdy w bramie ujrzeli kobietę, której z początku nie poznali. Ciężka droga, odbyta pieszo, smutek cięższy jeszcze, zmieniły bardzo piękną Jarynę: opalona, okryta pyłem, wychudła, w zabrukanój bieleźnie, miała postać żebraczki. Błada jój twarz z wpadłemi policzkami straszniejszém jeszcze czyniła oczu czarnych wejrzenie. Kuźma podniósł głowę, gdy wrota zaskrzypiały, i krzyknął:

— Boże zmiłuj się! wszak to Jaryna!

— To ja — odpowiedziała cicho — o! to ja.

— Co tobie, dziecko? Sama! Kto cię przywiózł? Cóż to za nieszczęście? — poczęli oboje rodzice, śpiesząc ku niej.

— Przywiózł? nikt. Przyszłam piechotą.

— Sama jedna?

— Jak widzicie.

— A Ostap?

— Ostap i nie wie, żem poszła — mówiła ze łzami. — Co ja jem!

— Jakże, porzucił?

— Porzucił, nie; i nie spojrział nigdy na mnie. Jego pani odebrała wiadomość o śmierci swojego męża, zachorowała. On przy niej dzień i noc. Byłam im niepotrzebna; poszłam sobie.

— W imię Ojca! — zawołał stary Kuźma i matka, ściskając czule córkę — sama! nieboraczka! nieszczęście! tyle mił! pieszo! O, mój Boże! A nic-że ci się w drodze nie stało?

— A cóż mi się stać mogło? Nie umarłam, dowlokłam się.

To mówiąc, usiadła na ziemi, a rodzice, skacząc przy niej, tulili ją i cieszyli. Gdy się nieco uspokoiła, powiedli ją do dworu i osłabłą otoczyli prawdziwie rodzicielskiem staraniem.

Stary Kuźma sam z Kuliną siedział u łóżka, i choć nie było sposobu obronić Ostapa, to go bronił, to na siebie zwał wina, że córce pojechać pozwolił, wreszcie po swojemu upewniał, że Ostap wróci i wszystko będzie dobrze. Ale Jaryna milczała na wszystko;

lżej jój było trochę, że powróciła do swoich, że widziała znówu ulubione miejsca, zresztą nic nawet żądać nie śmiała.

Po kilku dniach znużenie odeszło, a został milczący smutek. Siedząc w progu chaty z oczyma wlepionemi w bramę podwórka, patrzyła na drogę i zdawała się czekać zawsze. Często tak do północy, twarz w dłonie tuląc, uparcie poglądała ciągle w jedną stronę; każdy tętent, każdy szmer, każdy głos zdaleka ją dochodzący podnosił jój oczy, żywiej poruszała sercem. A gdy rodzice wypytywali, czego tak czeka napróżno, odpowiadała:

— Niczego; tak siedzę sobie.

Matka dała jój pokój, łamiąc ręce pocichu i płacząc nad córką pokryjomu, po kątach; ale ojciec nierad był temu tak dziwnemu życiu: jemu się takie próżnowanie pomieścić w głowie nie mogło; obawiał się, żeby nie oszalała, i raz przyszedłszy do niej wieczorkiem, tak mówił:

— Słuchaj-no, Jaryno, albo ty taka chora bardzo, albo ty w sercu Boga nie masz.

— Alboż co?

— No! a juźciż tak człowiekowi z założonemi rękoma życie przesiedzieć nie godzi się.

— A cóż ja robić będę?

— Co? albo to niema co robić? Chwalić Boga, jest pole i robota. Co to, że tobie smutno, mój gołąbku? Ot, ja tobie powiem, że i ja w życiu nabołałem nieraz, a bywało, choć jak płaczę, to do roboty idę. I przy pracy człowiek jakoś wszystko lepiej zniesie, bo i Pan Bóg pracę lubi. A tak siadłszy z żalem, a lubując się w nim, to i zdrowie człowiek straci i rozum, ot, i nie z tego nie przyjdzie.

Jaryna odwróciła się ku niemu.

— Mój ojczy — odezwała się — pozwólcie mi tak zostać. Ja doprawdy nic nie mogę robić, i nie zdłużam i nie spamiętam.

— Ano, pobróbować-by. Jak Bóg Bogiem, robota to lekarstwo, moje dziecko.

— Nacóż mnie lekarstwo? Ja nie chora.

— Co to gadać? — rzekł Kuźma, trzęsąc głową. — Tobieby czas przeszedł lepiej, prędzej, a tamta pani przechoruje i Ostap powróci.

— Choćby i powrócił, ja jemu nie w głowie.

— A pocóżby się żenił?

— Ojczye rodzony, ojczye kochany, choćbym ja tobie i powiedziała, tobyś mnie nie zrozumiał i nie uwierzył. Ja i sama czuję, jak to się zrobiło, a żebym rozumiała, to nie. On się ożenił, jak to po-

wiedzieć?.. żeby ta pani, która go kochała dawniej, myślała sobie, że on o nią zapomniał i dała mu pokój...

— To widać on jej nie kochał, to i dobrze!

— Gdzież tam! Kto ich zrozumie! Ojciez rodzony, on ją bardzo kocha, ale kochał i męża i nie chciał, żeby się psuła. Co ja dla niego!

— Porzuć, Jaryno! Chodzi tobie po głowie sam Pan Bóg wie co: wymysły! ani ładu, ani składu!

Jaryna zamilkła. Poszła nazajutrz do ogrodu, chciała coś robić, nie mogła. Wróciła na próg chaty i siedziała znowu, jak przedtém.

Jesień się kończyła, a o Ostapie ani słyhu. Jaryna na miejscu swoim dnie i wieczory, słucha najmniejszego szelestu, nieraz zerwie się i usiądzie znowu, zapłacze i przestanie.

Aż jednego poranka z dziecięciem, przytuloném do piersi, postrzegła idącego Ostapa. Podniosła się, zarumieniła i, oniemiawszy, stała, nie mogąc słowa przemówić.

Ostap niósł Stasia — sierotę. Michalina nie żyła. Zobaczył biedny przybysz żonę i uczuł litość nad nieszczęśliwą; podał jej rękę drżącą, zaledwie mogąc wymówić:

— Widzisz, wróciłem.

— A i nie porzucisz już nas?

— Nigdy — smutnie rzekł Ostap — nigdy; zostanę z wami.

Kuzma, Kulina, co żyło, zbiegło się z krzykiem radośnym ku niemu, witając go, obejmując, zarzucając pytaniami. Jaryna z dziwnym uśmiechem, smutnym patrzyła po wszystkich, jakby im mówić chciała: widzicie, on do mnie powrócił, on o mnie pamiętał.

Tęj radości jeden nie dzielił, co ją wywołał. Jemu tu było tak pusto! I pusty był dla niego teraz cały boży świat, a bijące przy nim pocziwe serca ożywić nie mogły tej pustyni.

Życie poświęceń nie skończyło się jeszcze: zostawała przed nim biedna Jaryna, której miał zapłacić za łyzy wylane, i sierota, której obiecał być ojcem.

W pocie czoła, z bólem serca trzeba było iść dalej a dalej, nie pożądamy nawet spoczynku, odetchnienia i śmierci.

Szczęściem, Bóg ulubionym swoim daje wielką potęgę nad sobą, nad życiem, nad boleścią samą — tym robakiem, toczącym żywot wszelkiego stworzenia. Ostap znalazł, jeśli nie spokój zupełny (to jedyne szczęście trwalsze na ziemi), przynajmniej znośniejsze stały mu się cierpienia, bo je osładzał uśmiech sieroty i pokorne, wdzięczne, ciche a czułe spojrzenie Jaryny.

Dla Stasia został nauczycielem i ojcem, dla niej przyjacielem, mężem i prostym wieśniakiem, jak ona, dla bratniego ludu doradcą, jak przedtém. Wziął sukmanę porzuconą, kij swój podróżny i po-

czał obiegać siola, a wieczory i ranki poświęcał domowym obowiązkom. Wielki żal, jak iza przemieniona w perłę, błyszczał na męskiej jego piersi. Jak każdy, co umie znosić boleść, stał się nią wyższy, potężniejszy; opromieniła mu ona skroń męczeńską, podniosła myśli, rozszerzyła serce.

A gdy ze wzrokiem zwróconym na siebie pytał losu: — Czemu nie byłem szczęśliwy? — z duszy własnej głos wewnętrzny mu odpowiadał: — Któż był szczęśliwy na ziemi?

Hubin, Czerwiec, 1849.

K O N I E C.

ŁADOWA PIECZARA.

Amplius invenies in silvis,
quam in libris..
S. Bernardus.

Mało mamy do powiedzenia o „Ładowej Pieczarze“, natchnionej oglądaniem tajemniczych podzamkowych chodów w Chociniu, na Wołyniu, o których dziwne krążyły podania. Jeździliśmy tam umyślnie z przyjacielem naszym, ś. p. Kazimierzem Komornickim, i... materyał tylko do opowiadania tego zdobyli w rozinowach po drodze, których powieść jest echem odbitem... I to też historia przeszłości, stosunków patryarchalnych, po których dziś zostało tylko wspomnienie... Sto lat nas od tego świata dworu, wioski i gromady a pana przedziela... Z pewnych względów moje opowiadanie to, jak *Historia kołka w płocie*, nazwać się może materyałem do dziejów przeszłych społeczeństwa naszego. *Et haec olim meminisse juvabit.*

J. I. Kraszewski.

Drezno 1872.

DO
MEGO KOCHANEGO BRATA
KAJETANA
K R A S Z E W S K I E G O
w Romanowie.

W zamian za twoje pieśni posyłam ci, kochany Kajetanie, powiatkę, na jaką mnie stało. Nie wiem, jak się ona ludziom i tobie podoba, ale to pewna, że ten drobny dar ofiaruję ci braterskim sercem, braterską dłonią. Przyjm go, jako dowód szczerego przywiązania do ciebie.

Twój

Józef.

9 października 1851.
Hubin.

Niedaleko Oleska, sławnego urodzeniem Jana III-go, i Podkaminia, niemniej głośnego cudownym obrazem, bliżej jednak granicy, która nas od Galicyi przedziela, leży niewielka wioska, zowiąca się Stare. W istocie jest to może jedna z najdawniejszych osad w téj okolicy, częstemi najazdami Tatarów zniszczonej, bo i dzieje wojenne XVI i XVII wieku wspominają o niej kilka razy i miejscowe ślady dowodzą, że nie od dziś skupili się tu ludzie do życia, pracy i cierpienia wspólnego. Ma ona wszystkie znamiona odwiecznego siola: otoczona mogiłami w różnych kierunkach, rozsypanemi pojedynczo i gromadnie, na których już potężne drzewa porosły; wśród zarośli i błot ma zapadłe, ale jeszcze dobrze widoczne horodyszcze, gdzie i dziś dobywają czasem kamienne siekiery i spisy, a nazwania uroczysk tutejszych wieją wspomnieniami odległej przeszłości. Tak w lasach wyniosłość jedna zowie się Ładowym gajem, inna Lelową kontyną, dolina nieopodal od wioski nosi miano Wiecowego dębu; w gajach téż, które grunta wsi okalają sznurem gęsto zarosłych dębów, klonów, lip i brzeziny, rozrzuconych w części po wzgórzach, w części na równinach, są ślady pieczar ręką ludzką wyżłobionych i niezmiernie daleko rozciągających się, są reszty odarnionych usypów jakichś i omszonymi kamieniami wysłane cmentarze. Sami mieszkańcy osad różnią się wielce nawet od najbliższych swoich sąsiadów, tém zwłaszcza, że się u nich zachowały zapomniane gdzieindziej zwyczaje, podania i obrzędy, dla nas już niepojęte, ze czcią i troskliwością szczególną z pokolenia w pokolenie przekazywane. W twarzach wieśniaków ze Starego maluje się jakaś powaga smętna, którą przyjęta puścizna przeszłości na lice żywych pokoleń przelewa; jakieś uczucie godności własnej, gdzieindziej przytłumione, tu wybitne; rzekłbyś, tajemnicza jakaś wiedza o przebytych losach świetniejszych, o zagasyłych w zamierzchłych już dla wszystkich dziejach dniach blasku, o których złota nie podania przelała coś wnukom na pociechę w niedoli i upadku. Nikt się tu przecie nie pochwali z niczém, owszem, skarb swój cenny ukrywa

w głębi duszy, ale radość posiadania go tryska z oczu, oblewa czoła pocziwą jakąś dumą spokojną.

Strój tutaj ten sam, co na sąsiedniem Wołyniu i Rusi pobliskiej: niczém się wybitném nie różni, krom może użyciem czerwonych obszewek, pasów i ozdób, stałej tu i wyłączniej noszonych, a surowszym krojem, do którego się nic świeższego, nic nowego wymysłu nie domiesza. Mężczyźni nie kupują po miasteczkach nic gotowego i na tandet sporządzonego, nie przywołują wędrownych krawców, by im szyli misterniejsze świty, nakształt kapot mieszczkańskich; w kilku rodzinach od pradziadów utrzymuje się krawiectwo dziedzinne, a szycie i wdziwanie nowój siermięgi dopełnia się z pewnemi tajemniczymi obrzędami. Kobiety nawet na dnie powszednie nie pozwalają sobie chustek i kryją głowę pod starodawną namystką, ściśle twarz opasującą, którój zarzucenie, długość końców, wzorzyste szycia i najmniejsze ozdoby mają jakieś znaczenie i formę odrębną, niezmienną. Słowem, zachowała się tu więcej, niż wszędzie, cześć dla przeszłości, znać ją w obyczajach nawet, znać w spełnianiu najcięższych obowiązków, od których nikt się wyłamać nie może, a komu one za straszne, ten się wynosi i wygania na zawsze, bo inaczej wolnym od nich być nie może. Rzadkie są jednak przykłady dobrowolnego wygnania.

Gdzieindziej duch dawniej gminy słowiańskiej zupełnie już zwiertrał i uleciał; gromada, choć się jeszcze mianuje wielkim człowiekiem, wedle znanego przysłowia Rusi, nie poczuwa się do spójni braterskiej i nierozzerwanego związku; tu z zadziwieniem trwa, jak za starych wieków, i wszędzie się czuć daje, przy każdój pojedynczego człowieka czynności. Znaczenie starców większe jest, niż gdzieindziej; uchwała ich nie znajduje oporu u gromady, a wola spełnia się w cichości ze ślepém posłuszeństwem. Ten, od którego mam następującą powieść, postrzegał także, iż w Starem od niepamiętnych zapewne czasów istniejąca trwała pogańska jeszcze może jakaś instytucya, w skutek którój był zawsze we wsi jeden głową i naczelnikiem gromady. Szanowano go jak urzędnika, niemal jak kapłana, a z kilku, o których się domyślano, że takimi starszemi byli, choć często z najuboższych pochodzili rodzin, żadnemu nie zbywało na osobistych przymiotach, które ten wybór (jeśli jaki był) zupełnie usprawiedliwić mogły. Urząd-to nie był jawny, głowa gminy bowiem niczém się nie odznaczał od braci, spełniał owszem wszystkie obowiązki względem dworu i kraju na równi z innemi, nie okazywano mu widocznie żadnej czci szczególnej, jednakże w każdój ważniejszej sprawie, ogół obchodzącej, biegli tajemniczo do niego i nic się bez niego nie stało. Zapytany, nikt się nie przyznał, żeby miał obowiązek jakiś do starszego się odwoływać, widoczném jednak by-

ło dla pilniejszego oka, iż gmina czekała jego rozkazów. Kiedy go przypadkiem w chacie nie było, zwlekano różnemi sposobami, dopóki nie powrócił, choć nikt nie mówił o téj władzy, którą nad sobą uznawał. Usilniej badani mieszkańcy Starego wypierali się przed obcemi i narad i zwierzchnika swego.

— Ot, zwyczajnie — mówili — poradzimy się czasem siwych, bo to u nich taki przecie z wielu lat przebytych coś pozostać musiało. Wiedzą-ć oni, jak się co poczyna i jak się kończy; przeżyli wiele.

Potém cichaczem o zmroku schodzili się starcy do naczelnika, gdy powrócił, i nazajutrz gromada jednozgodnie już wiedziała, co począć, a nikt ani na żart nie sprzeciwiał się postanowieniu ogólnemu.

Szczególnym trafem wieś, o której mowa, od lat niepamiętnych zostawała w imieniu Stareńskich, którzy widocznie od niej nazwisko swoje wziąć musieli. Gdybyśmy z dawnemi heraldykami naszymi przypuścić mogli, że są charaktery odróżniające całe rodziny szlacheckie — bo to była wiara kilku wieków u nas, że rodem kurki czubate — Stareńscy doskonaleby to założenie poparli. Z ojca w syna byli-to ludzie bardzo do siebie podobni naturą: spokojni, poczciwi, łagodni, nie pragnący wiele, a wszyscy myśliwi namiętni. Dziwnym losów wypadkiem w przeciagu lat trzechset żaden Stareński więcej nie miał nad jednego syna i z kolei tak syn po ojcu spokojnie wioskę dziedziczył. To także dziwne, że żaden z nich, pomimo że się poświęcali, z innemi razem służąc krajowi życiem i mieniem ochotnie, nie stracił ojcowizny, ani jéj nawet nadweryżył, choć się prawda nic téż i dorobić nie mogli. Stare trwało w ich rękach nieodłużone, niepodzielone, w dawnych swoich granicach, zdając się urągać sąsiednim majątnościom, które co lat kilka szły na sprzedaż, kawałkowały się, mieniały panów i przechodziły z rąk do rąk. Stareńscy trochę tém byli dumni, a może ten rodzaj dumy zbawiennie na nich działał, wzbudzając przywiązanie do starego gniazda i wlewając zawczasie przekonanie o potrzebie, o konieczności zachowania spadku całym i nienaruszonym. Nigdy téż żadnemu z nich na myśl nawet nie przyszło, żeby mógł wioskę sprzedać, tak się im zdawało niepodobnym, by ją kto inny posiadał, i gotowi byli do największych ofiar, byle nie ruszać się z siedziby, uświęconej poczciwym żywotem pradziadów, usłanej ich kośćmi, polanej krwawym ich potem. Wieki posiadania zadzierżgnęły silnie węzeł serdeczny między rodziną panów a włościanami. Stareńscy byli łagodni i poczciwi, lud téż ich otaczał poszanowaniem, miłością i uważał za starszych braci tylko. Od niepamiętnych czasów żaden z wieśniaków woli się ich nie sprzeciwiał. Prawda, że i oni nic nigdy nie żądali

nad słuszną należność, ograniczoną jeszcze wyrozumiałości względami na stan, położenie i okoliczności. Często bardzo lata głodu i nieurodzaju na Wołyniu, tu się czuć nie dawały: pan miał sobie za obowiązek ratować wioskę; wioska, byle się obejrzała, że panu nie dostawało, wysyłała zaraz do dworu z ofiarą chętną, serdeczną i tak usilną, że się od niej nie sposób było wymówić.

Ten stosunek, na wzajemném przywiązaniu ugruntowany, dawał się czuć we wszystkiem: robót gospodarskich nikt prawie nie doglądał ze dworu, bo sami starsi gospodarze mieli oko na młodszych i nie pozwalali im się opuszczać; niewiele nawet rozporządzać było potrzeba, bo w gorącej porze, co żyło, roiło się do roboty ochoczo, żywo, gromadnie, nie pilnując dni i godzin, byle co rychlej panu zrobić, co potrzeba, i uspokoić go.

Ciche, jednostajne, spokojne, szczęśliwe, powiem, prawie wiodło się tu życie; nigdy go nie zasmuciła zbrodnia, występki, niechęć, gniew i walki, których tak wszędzie po świecie pełno. Oko wszystkich pilnowało każdego, a każdy też czując na sobie obowiązek przedstawienia ogółu w jak największym blasku, strzegł w sobie cząstki poważanej całości. Bóg dał temu ludowi panów, co go i cenić umieli i sercem przyłgnęli do niego.

W ostatnich czasach, gdy się powieść nasza zaczyna, Stare wyglądało na to, czém w istocie było — na dawną a szczęśliwą osadę; pierwszy rzut oka przekonywał o jej zamożności, o dobrym byciu wszystkich, a widok tej wioski, okrytej zielenią, gajami i sadami, schludnej, zabudowanej porządnie, wzbudzał mimowolnie ciekawość i zajęcie, wyrwał westchnienia niejednego wędrowca, zabłąkanego w ten ustronny kątek.

Wieś leżała po dwu stronach dość głębokiego parowu, którym toczyła się droga; rozsypana była po wzgórzach, a tak osłonięta gęstymi drzewami, że ledwie gdzieś ujrzalesz róg stodołki, białą ścianę chaty, wysoki żóraw studni, lub żółtą czapkę małej stertki w toku wieśniaka.

Ścieżki malownicze, kręte, na tle zieleni migające gliniastymi barwami, wiły się ku górze w różnych kierunkach, gdzieś obwarowane poręczem lub wystane schodkowanymi złomami wapienca. W jednej stronie wsi na pagórku ciemnych lip koło na wyżynie domyślać się kazało dworu, w drugiej błyszczał niewielki kościółek, podparty szkarpami, napół z cegły wpół z kamienia wzniesiony, widocznie bardzo stary. Osłupłe dziś strzelnice, wąskie okna, śpiczasty dach i wieżyca niebielona uderzały fizyognomią czasów odległych. Stał on na wzgórzu oberwanem i przeglądał się w zwierciadle dużego stawu, którego nieregularne kształty i kapryśne wygięcia podobnym czyniły do wielkiej rzeki. Nieopodal zaraz szu-

miał młyn czarny, osiadły na wyjedzonych od wody palach, o jedném kółku, ale niedźwiadek mruczący ciągle, od wylewów wiosennych do późnej jesieni, mruczący przez zimę całą, którego woda ani podtopić nie mogła, ani mu téż ję kiedy zabrakło.

Dwór stał otoczony wałami i choć nie miał już najmniejszego do zamku podobieństwa, lud go nazywał zamczyskiem po staremu, lub horodkiem, jak przed wieki. Stare lipy rozrosłe po zielonych usypach wiankiem okalały domostwo niskie, szerokie, z piętrowym dachem i dwoma gankami. Obok niego była kuchnia, po staroświecku jeszcze sklepiona, z olbrzymim przysadzistym kominem, oficyny i skarbczyk, zapewne pozostałość z owego mitycznego zamku, bo i kształt jego i położenie wydawało, że był dawniej narożnym bastyonem. Pół-okrągły, z małąkimi strzelnicami w wyższej swjej części, ciemnej od dołu, i jednemi tylko opatrzone drzwiami, dzielił się na trzy izby sklepione, z których górna służyła na skład sprzętów, dolna za wnijsćie do lochu i na piętro, a ostatnia była po prostu piwnicą. Spiczasty dach gontowy, mocno już podziurawiony, okrywał jeszcze, jak mógł, silne sklepienie, które niewiele dbało, że mu czasem deszcz dokuczał. Na samym wierzchołku chorągiewka herbowa Stareńskich, choć zardzewiała, powiewała jeszcze czasami, gdy silniejszy wiatr ją obudził.

Naprzeciwno samego dworu, w próżni między dwoma końcami wału, był także ślad grubego muru, zapewne starój bramy zamkowej, lecz zamiast mostu zwodzonego, na fosie już usypana grobla wiodła ku górze. Woda, widać dawniej z niedalekiego przyprowadzona stawu, teraz zupełnie była wyschła i prócz kilku głębszych kałuż, deszczem podsycanych, wszędzie zielona murawa uścielała przekop, tu i owdzie gęstemi krzakami łozy porosły. Stary dworzec był, jak wiele innych naszych domów starych, wpół murowany, napół drewniany, krzepki jeszcze i trzymający się prosto, mimo lat, które pamiętał... były w nim i owe sienie ogromne dla czeladzi przyjezdnej i komnatki niewielkie dla gospodarzy i alkowy i bokówki i zakomórki różne i kapliczka nawet do jednego końca od ogrodu przylepiona za któregoś Stareńskiego, co paraliżem tknięty, do kościoła na mszę świętą dojść, ni dojechać nie mógł.

Na wałach z téj strony ku stawowi rozciągał się obszerny ogród, na kondygnacye założony, i sad wzrosły bujnie, ale cały z drzew już postarzałych. Widoków było mało, ale téż w owe czasy myśmy widoków z domu nie potrzebowali. Napatrzył się dość świata człowiek, wycierając go z szablą w rękę, a gdy do siebie powrócił, to mu miléj było w zieloném zaciszu ukrytemu odpocząć. Dziś wcale inaczej: patrzymy daleko w boży świat, patrzymy, próbując z założonemi rękoma w siną dal, jak gdybyśmy chcieli, żeby

z niej do nas co przyleciało, i lubimy widoki z okna, bo się po nie dalej nie pokwapimy sami... musimy je sobie do izby sprowadzić. W jedną tylko stronę między drzewa oko wybiegnąć mogło... a tu widać było gumna, stodoły, śpichlerze i zabudowania gospodarskie. Dziedziczna izba gospodarska, którą zajmowali jeden po drugim Stareńscy, wychodziła właśnie jedynem oknem swém w ulicę, wiodącą na toki.

Takim był dwór, taką wieś była, ale jej jeszcze nie znacie, boście ją widzieli jakby we mgle i zdala rozwieszoną na pagórkach, okrytą drzewami. Cudneż-to było sioło, jakie Bóg tylko posiał po Wołyniu i to nie wszędzie. Innym braknie lub wody, lub lasu, lub ziemi dostatku, że się u drugich zapożyczać i kłaniać muszą sąsiadom; tu wszystkiego w bród było, bo i paliwa i budulca i wody czystej a zdrowej dla ludzi i chudoby, i urodzajnej, czarnej, poczciwej ziemi szmat taki, że jej obrobić nie było podobna; a jakby na świadectwo żyzności, rodziły się po miedzach i pod płotami bodiaki w chłopca, rzekłbyś owe kaktusy kolczaste, które oglądałeś może na malowanych krajobrazach Algieru i Sycylii. W sadach grusz i śliw jak w lesie, a las miał też owoce swoje, i gdy przyszła boża wiosna, to od czereśni zakwitłych jakby go mąką posypał, a w czerwcu potem jagód było dla ludzi, dla ptaków i dla robaków nieprzejedzonych. A bór też-to ukochany! Czego w nim brakło? Jakby go malarz sadził, jakby Bóg nim stracony raj chciał przypomnieć: dęby odwieczne pogarbione i połamane, jak dziadowie, brzozy powyginane, gdyby dziewczęta w tańcu, i przysadziste, poważne, wonne lipy i graby z gładką korą a gęstym przepysznej zieleni wieńcem, i osiki wysokie a wyprostowane w popielatych sukienkach, miejscami nawet przybłąkana zdaleka, jakby z musu rosła daleko od swych towarzyszek sosna, zimą i latem strojna jak na wesele. Między tą starszyzną leśną co pokaleczonych czereśni, co krzywych jabłoni i grusz, a dołem ile przeslicznej, niepoliconej drobnoty! Królujecie tu głóg, tarnina, orzech, trzmielina, kaliny i jarzęby, a niżej jeszcze kwiecie, jak na ołtarzu na Zielną. I jakie tam kwiaty! Nie mają takich pańskie ogrody, pyszniące się zagranicznymi przybyszami... Lecz któż bogactwo ich i rozmaitość wyliczy! Wszędzsy w gaje, już się nie chce wychodzić, taki tu jakiś szmer do serca przemawiający, taki chłód ożywczy, taka woń rajska, tak oko lubuje się w obrazie bożej ręki nieskończonym rozmaitością, choć na wejście jedną szatą okrytym.

Gdziegdzie zielone pod dębami rozścielające się łąki, wśród których u pni spróchniałych bują młode odrosłe, dopominając się o swoją dawniej ziemię, to znów gąszcz nieprzejrzana, w której ciemniach tajemniczych gubi się ciekawe oko; dalej parów, a na jego

ścianach wieńcami zawieszono chmiele i wonne białe powojki... to góry różnych kształtów piętrzą się nad głową i rozstępują nagle pod nogami, poszarpane przez potoki, odsłaniające rozpadliny. Idziesz zamyślony, zapatrzony, tęskny a szczęśliwy, a gdy rozsuna się przed tobą drzewa i światło słoneczne buchnie ci w twarz, a żar dzienny obleje twe ciało, to się obejrzyś za lasem jak za domem i potęknisz za nim, a pola wydadzą ci się smutne i nagie.

Lasy są jak marzenie i poezja ziemi, role czarne jak rzeczywistość naga i smutna.

Stare było tak piękne jak rzadko wieś która i właśnie taki je gaj prawie ze wszech stron otaczał, ponad granicami rozstawiwszy się na straży.

Jak to u nas najczęściej, nie w pośrodku, ale ku jednemu bokowi, bliżej granicy swój, rozłożona była osada, a wioska łączyła się ogródkami z lasem, co ją opasywał i od sąsiada oddzielał.

W tym spokojnym ustroniu, którego na szczęście jego może nie przerzywał żaden gościniec większy, żadna droga handlowa, wrzawę i żywot miejski niosąca, a z tym żywotem zepsucie... kilka pokoleń wieśniaczych i kilka pokoleń dziedziców przemarzyło i przepracowało długie lata w niezamąconym szczęściu i pokoju, na jednym cmentarzu kładąc się na wieki w spoczynek, przykryci jednym kamieniem, na których siadali za życia obok siebie. I dani równie zielona i bujna wieńczyła mogiły panów i wieśniaków, rzędem sypane przy sobie.

Dom państwa Stareńskich miał naówczas głową swą pana Joachima, już nie pierwszej młodości człowieka, który przeciwko zwyczajowi swych przodków jakoś leniwo brał się do ożenienia. Prapradziad, pradziad, dziad i ojciec, wszyscy w dwudziestym szóstym roku żęcia poczuli wolę bożą i postarali się o poczciwe połowice panu Joachimowi jakoś od dnia do dnia trudniej było o postanowienie.

Wziął on w spadku po ojcu zamiłowanie myślistwa nadzwyczajne, do którego ze od dziecka się wdrażał, tak wreszcie opętał go ten nałóg, że o niczym innym nie myślał, do niczego innego już czasu nie miał, tylko do polowania. Odumarli go młodym bardzo rodzice, kiedy ze szkół zaledwie wychodził; zostawiony sam sobie, bo opiekun, poczciwy człowiek, ale pospolity, o nic się nie troszczył, tylko ażeby jego pupil majątku nie stracił... oddał się pan Joachim namiętnie łowom, do których wszelki przybór, zapasy i ułatwienia znalazł w domu. Gniazdo gończych chartów i wyżłów najslawniejsze było w Starem i najtroskliwiej utrzymywane od niepamiętnych czasów; konie miał w stadzie prześliczne i wyborne, strzelb nie bra-

kło na ścianie, a ludzie dworscy zachęcali do łowów, bo sami lubili je nałogowo, nawykłszy do nich za starego pana.

Tak pan Joachim przepolował dobrych lat kilka, ledwie się rzadko za dom ruszając i to chyba z musu, a gdy mu przyszło tydzień jaki przebyć, nie słysząc gonu swych piesków i nie odetchnąwszy wolnym lasów i łąk powietrzem, to zółkł, nudził się, chorował i ziewał, a tak potem śpieszył do Starego, że nieraz konie pochwacał. Nazajutrz rano odzywała się trąbka w ostępie i cały już boży dzień zszedł ze strzelbą na ramieniu. Tém życiem strzeleckim wyrobił on w sobie siły i zdrowie, ale ogorzał i zdziczał; już go codzien więcej towarzystwo sąsiadów mieszało, a choć gości u siebie rad przyjmował, nieraz ziewnął w rękaw, nim się ich pozbył, jeśli z nimi polować nie mógł. Sama postawa pana Joachima okazywała wieśniaka do zbytku zadomowionego, nie dbał bowiem o strój wcale i niebrzydką twarz opalił na cygańską, a że mu włosy nieraz zawadzily w lesie, strzygił je króciutko, żadnego wykwintu około siebie potrzeby nie czuł, w sposobie życia i ubiorze najprostszym się obchodząc, i wyglądał całkiem na leśnika. Ale pod niepozorną, szorstką powierzchownością biło serce poczciwe, litośne, gorące, w którym głębokie uczucie dojrzewało, nie wylewając się nazewnątrż, i małowówny a skromny, nie był tak ograniczonym, jak się wydawał. Obcowanie z prostym ludem upoetyzowało wyobraźnię jego, napełniło głowę mnóstwem tradycyjnych wiadomości, zdrowemi zasadami świata kmieiego, zasiało rolę żyzną jego umysłu, pracującego w ciszy i skupieniu wewnętrzném. Tak doszedł sobie lat trzydziestu i ani mu się zamarzyło o ożenieniu; gdy jednego poranka jesieni ujrzał w zamku zebraną gromadę swojej wioski, której kilku siwowłosych gospodarzy przewodniczyło. Zdziwiony ich przybyciem, pośpieszył ku nim z niejakim niepokojem nawet, bo szukał po głowie, coby im braknąć mogło, czego by żądali, wyrzucając już sobie, że się tego sam wprzód nie domyslił. Gromada stała w ganuku — niebardzo licznie jakoś zebrana — nie mniej zakłopotana od pana Joachima: wszyscy spoglądali po sobie, jakby radząc się, jeden popychał drugiego łokciem naprzód, skrobali się po głowach; widać było, że to, z czém przyszli, niełatwo im szło wypowiedzieć.

— A cóż mi to powiecie? co chcecie, moi kochani? — spytał żywo dziedzic, przybliżając się do kupki wiesniaków.

Milczeniem i ukłonem odpowiedzieli mu tylko.

— No, mówcie, proszę, bo mi tęskno i tak na sercu, że, ot, czegoś sam się wprzód dla was nie domysliłem, aż mnie prosić musicie.

Znowu pokłonili się starsi, zdawali się zachęcać wzajemnie, by

przemówił który, ale zamilkli; pan Joachim, wielkimi na nich patrząc oczyma, rzekł, coraz bardziej niespokojny:

— Ale cóż u Boga tak straszno, że mi i mówić nie śmiecie? Może krzywda jaka? Zmilujcie się, śmiało, otwarcie mi mówcie.

— A! chowaj Boże! — ozwał się jeden z ludzi i urwał.

Znowu milczenie, szepty tylko i nikt nie śmiał wystąpić.

Stał na przedzie sędziwy Iwan Hołowaty, do niego więc przystąpił pan Joachim.

— Mój Iwanie — rzekł — bądźże śmielszy od innych. Wiecie, że ze mną wszystko mówić i, co chcecie, zrobić możecie. Do czegoż ta nieśmiałość? Mówcie, proszę was.

— Mówcie-bo wy, Iwanie — dodał sąsiad.

— A czemuż to wy nie chcecie? — odparł stary.

Poskrobali się w głowę, czapki dusili w rękach, ani się słowa z nich dopytać. Nareszcie Fed'ko Gruzda, wymowniejszy i śmielszy od innych, widząc, że te ceregiele niecierpliwą pana, wysunął się przed drugich i tak rzecz zagaił, kłaniając mu się do kolan:

— Kochany panie, nie uważajcie... my tu nie przyszli z żadną skargą, ani z żalem; chwalić Boga, mamy zadość wszystkiego, a za ciebie, jak za rodziców twoich, żadnej krzywdy. Ot, przyszedliśmy tak... jakby tu powiedzieć?... — tu się zaciął mówca — do serca pańskiego — dodał po chwili.

— A czegoż to żądacie, moi mili, od tego serca? — zapytał zdziwiony pan Joachim.

— Kiedy nie nad nami, to nad naszymi dziećmi niechajby się ulitowało.

— Fed'ku, ja ciebie nie rozumiem.

— Możem źle powiedział, ale pozwólcie, to ja się jakoś roztłumaczę. Dobrze nam było z twojemi dziadami i rodzicami, paneńku, niech Bóg duszom ich świeci, dobrze nam z tobą, a mamyż my, albo dzieci nasze pójść na poniewierkę w obce ręce, jak drudzy...

— A jakżeby to być mogło! — ofuknął się pan Joachim.

— Jednakże to być musi, jeśli się nad nami nie ulitujecie — rzekł Fed'ko powoli coraz śmieliej. — Czasby wam, powiedziawszy prawdę, ożenić się. Ot, z czém my przyszedliśmy, paneńku.

Fed'ko się uśmiechnął, słodko spojrział po gromadzie, która mu potakiwała jeśli nie słowy, to twarzami i oczyma, i tak dalej ciągnął:

— Tak, tak, z tém-to my przyszedliśmy; niemało razy myślelim o tém i szeptali między sobą, ale do pana przystąpić, a jeszcze z taką prośbą, nierażno; a tu i czas upływa i roczki idą jedne po drugich, a panisko nasze o tém nie duma; potrzeba było nam tę piosnkę zaśpiewać nareszcie. Jak się tak postarzejecie, to się wam pó-

źniej już żenić nie zechce, a któż nam będzie panował? My chcemy wychować sobie nowego pana, jak-śmy ciebie wyhodowali. O! to nic nie pomoże.

Pan Joachim dziwnie jakoś, choć dobrze to przyjął od swoich ludzi, uczuł, że mu przypominano obowiązek; pomyślał, że mu to serce pierwsze powinno było oznajmić, a to dotąd nie zdrzało dla nikogo; zafrasował się nieco i łagodnie tylko na pokrycie swego kłopotu się uśmiechnął.

— Zapewne, zapewne — rzekł po chwilce — macie słuszność, jużby to i czas mnie było.

— A jakże nie; świętej pamięci dziad wasz i ojciec pożenili się zarania, a nie żalowali tego — dorzucił Fed'ko — i wamby się już nie opóźniać; dohodujecie się pociechy z dziatki, ot, i we dworze będzie wam weselój i taki nas zostawicie w poczciwe ręce.

— Dziękuję wam, dziękuję — odrzekł pan Joachim. — Dobra rada, niema co mówić, alem ja jeszcze nic nie napatrzył.

— Boście i nie patrzyli, paneńku — odparł z ukłonem i uśmiechem poufałym Fed'ko. — Jeno tylko zechciejcie poszukać, a znajdziecie.

— Ale — uśmiechając się, rzekł pan Joachim — o ile ja wiem, to tu nawet w okolicy nikogo nie widać.

— O! jakto, kochany panie? znajdzie się, znajdzie! Daleko po żonę jeździć nie warto — sentencyonalnie odezwał się Gruzda — ale i poblizu nie bez tego, żeby nie było.

— Ja nikogo nie znam.

Gospodarze mrugnęli po sobie; widać się już byli i o tém naradzili, a Fed'ko ośmielony znowu przystąpił z ukłonem.

— A panienska z Sasowa! — rzekł, wpatrując się w oczy swemu paniczowi, bo go tak wszyscy dotąd nazywali.

— Ja jej nie znam, nie wiem, czym ją widział nawet.

— Śliczna panienska — podchwycił żywo Fed'ko — niema co mówić, hoża, zdrowa, wesoła i gospodyni, jak matka, a taki-to domowój, wiejskiej hodowli, proszę pana, nie z miasta, a ród poczciwy, pracowity.

— Gwałtem-bo mnie swatacie, widzę! — zaśmiał się pan Joachim zafrasowany.

— Chowaj Boże! chowaj Boże, gwałtu! Z dobrą radą, z dobrem sercem przyszedliśmy, ot, i po wszystkim.

— Ja téż radę przyjmuję do serca i także dziękuję wam za nią od niego — odezwał się pan — ale to trzeba pomyśleć, oporządzić się, a chcąc co zrobić, to i grosza nagotować wcześniej; lata były nieosobliwsze.

— Albo to my tego nie wiemy? — odparło żywo kilku gospo-

darzy razem — myśmy to sami myśleli sobie, ale na to jest rada. Żebyś tylko panisko chciał posłuchać nas, a nie wzgardził dobrem sercem.

— Wierźcie mi, że wam jestem najwdzięczniejszy za przywiązanie wasze.

— No, to i ofiarę przyjmcie — odezwał się ochoczo i wesoło Fed'ko, poza siebie sięgając i w obu rękach podniósł wielką czapkę barankową, pełną różnej monety, którą z pokłonem przed panem położył.

Pan Joachim cofnął się krok i lży mu w oczach stanęły z rozczulenia, z uczucia, ale w twarzy jego widać było, że mu ten dar był ciężki. Poznał to Fed'ko i, nie dając słowa przemówić, sam począł:

— Ot, tak, paneczku, gromada postanowiła, przyniosła i musi-cie to od niej przyjąć.. My, chwała Bogu, a dzięki wam, mamy się dobrze; złożyliśmy, co tam gdzie pleśnić miało, a wcześniej wiemy, że u ciebie, jakby komu zabrakło, to znajdzie, jak w kieszeni. Więc nie sromajcie się przyjąć maleńkiego datku z dobrego serca od swojej gromady i żęńcie się, a my za to na waszém weselisku wypijemy.

Długoby o tém pisać było, jak się pan Joachim wzdragał, jak na niego gromada nalegała, jak go całowali po rękach, póki, rozplakawszy się rzewnie, nie przyjął nareszcie tego daru, z wyraźnym zastrzeżeniem, że w jego rękę zostanie tylko jak depozyt i własność wioski. Wymogli też na nim słowo włościanie, że im przyrzekł o ożenieniu się pomyśleć.

Ale zaprawdę wielki-to frasunek przybył podżytemu już myśliwcowi; w domu tak mu jakoś było dobrze, że choć wieczory zimowe u komina długie się nieraz wydały, swoboda dnia płaciła za nie. A potem, nie miał-że poczciwego Jana, nieodstępного towarzysza w kniei i w izbie, na ochoczą gawędę i usługę? Jan był godnym synem poczciwego tego ludu, sierotą, ze wsi Starego do dworu wziętym z dzieciństwa, niegdyś dojeżdżaczem u ojca jeszcze pana Joachima, dziś pierwszym sługą, szafarzem, klucznicą, rządcą, ekonomem, przyjacielem i doradcą. Ale-bo też na Jana spuścić się było można... Miał on swoje wady to prawda, a najpierwszą z nich podobno, że od kieliszka nie stronił, i cokolwiek podchmielony, potrzebował już ciągle mówić... Za to poczciwe serce, gotowość do poświęceń niewyczerpanym w nim były skarbem. Oszczędnością ani ze swego, ani z pańskiego nie zgrzeszył: tłukł wiele, psuł ogromnie, bo mimo siwego włosa był roztrzepany i gorączka, jak młokos, ale ze szkody, zrobiwszy ją w prostocie ducha, pierwszy się uśmiechał, nie dozwalając się połajać nawet, tak to jakoś brał lekko. Wszystkie jego grzechy powszednie pochodziły z dobrego ser-

ca i nadzwyczajnej żywości, a pan Joachim tak był do niego przywykł, że go, zdaje się, za wady jego więcej jeszcze kochał, niż za cnoty.

Po odejściu gromady, gdy gospodarz zamysłony wszedł do swojej izdebki, na której kominie palił się suty ogień trzaskący, Jan naturalnie zaraz się za nim wsunął i stanął u drzwi, bo częstując panów braci, trochę się już podchmielił i potrzebował gawędzić. Twarz jego połykiwała rumieńcem, a oczy błyszczące jak węgle latały nieustannie, szukając i przedmiotu do rozmowy i powodu do usługi. Nigdy tak usłużnym i tak tłukącym, rozlewającym, wywracającym nie był, jak w chwilach podobnych ożywienia. Ale pan Joachim siedział na krześle ze spuszczoną głową, zamysłony i nie zdawał się wcale skłonny do gawędki. Jan spróbował naprzd odchrząknąć, potem stał stoł i wywrócił tylko jedno krzesło mimochodem, ale przywykły do podobnych burz pan ani się ku niemu odwrócił nawet. To już było nie-do-wytrzymania; sługa ruszył ramionami i uczuł, że potrzeba będzie samemu pierwsze przebić lody, począł więc zcicha bardzo, niby sam do siebie, nieznacznie jednak coraz głos podnosząc:

— Hm! hm! tak! tak! oho! patrzcie, jacy mi rozumni! Nie w ciemnię ich bito! ho! ho! W swaty! słyszał! Napatrz yli już nawet sami żonkę dla pana! tak, mospanie, tak! Pilno im, pilno! Alboż to już panu koniecznie tak się prędko żenić? Cóż to, czy pora minęła, czy co? Zapewne, wprowadzić sobie biędę do domu, coby wszystko musiało być razwraz w porządku i na swoim miejscu, zapewne, jeszcze tego braknie!

Pan Joachim się uśmiechnął.

— A prawda po części, mój stary... Czy to my nie znamy...

— Tak, tak, czy to my nie znamy — podchwycił żywiej coraz sługa, głośno już, bo okrutnie język świerzbiał — czy to my nie znamy, nie wiemy, jak to bywa... Ho! ho! pani w domu, to choć wszystkim z domu. Alboż to już tak bardzo czas? Toć ja panicza na rękę nosilem, a ja se jeszcze myślę, że podstarzawszy, to się będę mógł ożenić; a gdzież panicz ode mnie młodszy!

— Już-bo tobie, Janie — odparł rozweselony myśliwiec — poczekawszy, może być zapóźno.

— A! z przeproszeniem panicza — urażony zawołał Jan — tegom to się ja nie spodziewał; panicz mnie przecie widzi codzien w kniei i w domu, jak tłukę zwierzyne...

— I talerze.

— No, to i talerze, ale zawsze taki i siła i ochota i krew jest. Jak już nie zdłużam, a trzeba mnie będzie pielęgnować, no, to się i ożenię. Gdzież jeszcze paniczowi do mnie!

— Ba! ba! a czwarty krzyżyk poczęty!

— No, to cóż, choćby i czwarty? wielka mi rzecz! a ja siódmy pocichu zacząłem i nikomu nic nie mówię. Czy to się zaraz chwalić? Ja, jak się ogolę, mam czterdzieści kilka, a panicz w niedzielę na dwadzieścia pięć wygląda.

Joachim rozśmiał się serdecznie.

— Wybornys, mój Janie, ale prawdą a Bogiem ja czuję, że oni mają słusność — zcicha dorzucił — tylko mi się dyabło nie chce.

— A nacóż to robić, czego się nie chce? — podchwycił sługa, zrzucając nóż leżący na kominie i chwytając go w powietrzu całą dłonią, tak, że się skaleczył do krwi. — Gromada o sobie myśli, a my o sobie; mogą poczekać.

— Oni mają słusność — z westchnieniem powtórzył Joachim — trzeba taki spróbować i do Sasowa pojechać.

Jan tylko głową pokiwał, załamał ręce i stanął jak wryty; nie takiego spodziewał się on wniosku.

— Ha! zresztą — rzekł desperacko — wola pańska. Co to do mnie należy! Ale zobaczy pan, co z tego będzie. Już taką rzeczą wypadnie z polowaniem się pożegnać.

— Alboż to... — chciał spytać żywo pan Joachim, ale ten mu przerwał z gwałtownością gaduły:

— Tak, tak! z polowaniem się pożegnać; żona nie da jegomości po naszymu hulać z kniei do kniei, z lasu na łąkę, z łąki na pole, z chartami, z gończemi, z wyżełkiem; trzeba będzie i koło swojej przepióreczki posiedzieć! A przyjdą zaraz dzieci, przyjdzie za nimi oszczędność dyabła warta; ja to wiem; wkrótce dla psów osypki zabraknie, charty poczną się nadto do hladyszek umizgać i kurczęta ścisnąć, gończe będą wyły po nocach, wyły w sieni robić nieporządki i skończy się na tém, że nasza dziatwa zmarnieje, a my podurniejem, ot, i po wszystkim.

Jan rozpaczliwie ręką zamachnął w powietrzu... Pan Joachim znowu się tylko rozśmiał.

— Śmieję się pan, śmieję — coraz rozgrzewając się bardziej, wołał Jan — ale to nie śmiechem pachnie, jak Bóg żywy! Wszystko tak będzie, jak ja panu mówię. Obejrzy się pan zapóźno, po harapie, kłamka zapadła i trąb w kułak, nieboże.

— Ale dałbyś pokój, Janie! Czyż to i żonaci nie polują?

— Co to za polowanie, proszę pana! polowanie, na które trzeba pozwolenia u jójmości prosić! Już pan o świcie nie wyjedzie, żeby pani nie budzić, trąbka nie zagra koło dworu, boby przestraszyła; wykradać się będziemy musieli jak złodzieje, a powróciwszy, gdy się zziębnie, zmoknie, jeszcze i burę złapiemy na odegrzanie...

Jan tak się już rozgadał, że chodząc, wywracał wszystko i po-

toku słów jego niczém utamować nie było można; sądził nawet, że przekonał, bo pan Joachim zamilkł, ale w kilka dni potém, oporządziwszy się jako-tako, niespodzianie ruszył do Sasowa, co Jana do desperacji doprowadziło.

W Sasowie mieszkali państwo Drohobyscy, oboje dobrze starzy już ludzie, mający młodziuchną córkę i syna tylko. Byli oni niedgdyś majątni, teraz podupadli, dorabiali się powszedniego chleba starości w pocie czoła. Sam pan Stanisław, zawołany gospodarz staréj daty, wedle prognostyków, kalendarza i notat dziadowskich prowadzący rolnictwo, niczém się prócz niego nie zajmował; sama, równie zabiegła gospodyni, pomagała mu usilnie; dzieci ich, wdrożone do tego życiem rodziców, razem z niemi chodziły od młodu około uczciwego dorobku. Dom był co się nazywa gospodarski. Nie było tam krzywdy ludzkiej, ale niedziela jedna ledwie na spoczynek zostawała, tak się nieustannie krzątano. W niedzielę jechano na mszę świętą i w sąsiedztwo, przyjmowano, kogo Bóg dał, i bawiono się zaharowanym spoczynkiem; w inne dni nikt ich nie zobaczył. Stary, już siwy, krzepki i zawiędły mężczyzna atletycznej postawy cały dzionek był na szkapie, syn w drugiećj stronie, matka w białym zępcu i cycowym przyodziewku pilnowała dziewcząt swoich, córka wyręczała ją w pracy. Wśród takiego życia nie było czasu nawet na złe myśli, a przytém bogobojne staroświeckie wychowanie zaród ich nawet zniszczyło. Jegomość był prosty człowiek, ale serca wielkiego, nie uczony, przecież obowiązki swe znał dobrze, prawa liznał w praktyce, łaciny zaczerpnął w szkole w Przemyślu, polityki wyuczył go rodzinne podania, a gospodarki praca własna. Nie był-to statysta, ani gębacz, ale téż między ludźmi miał się z czém odezwać, i choć niewiele mówił, było czego posłuchać. Jójmość długiem, nierozzerwaném życiem ze swoim poczciwym Stasiem zupełnie się na jego sposób wykształciła; były-to, rzecz można, nie dwa odrębne indywidua, ale jeden na dwoje rozdzielony człowiek. Rozumieli się skinieniem, jedną mieli wolę, jedne myśli, jedne upodobania i charaktery. Ta zgodność ich w innym rodzaju życia próżniaczego mogłaby była sprowadzić za sobą znużenie i obrzydzić ich wzajemnie, ale w pracowitym zawodzie Drohobyskich ściślej tylko łączyła.

Wesołość niczém nie zamącona, spokój niezrównany i słodycz odróżniały nieco panią Kunegundę od surowego, często smutnego i łatwo niepokojącego się męża, który, zbyt czując i biorąc do serca każdy kłopot gospodarski, chmurzył się i gniewał. Naówczas Kunusia, wzięwszy się w boki, przychodziła do niego raźnie z perswazyą tak zręczną a nienatarczywą, że zawsze potrafiła go powoli, potakując mu z początku, mitygując potém, rozweselić i udębruchać.

Takich rodziców dzieci musiały wyrosnąć na ich podobieństwo : syn Paweł trochę się w szkołach poduczywszy, rychło z nich ojcu pomagać powrócił i kula w kulę wyrabiał się na jegomości; córka, która nigdzie nie powstała, tylko w domu, była odmłodzonym obrazem wesołej, poczciwej i pracowitej Kunusi. Ojciec, który ją też szczególniej kochał, spoglądał na nią czasami i mówił :

— Waćpanny wyglądacie przy sobie jak rodzone siostry!

Ale stary pochlebiał, bo jego Kunusia, choć rzeźwa i rumiana, dobrze już była podtuptana, i kiedy go posłyszała mówiącego tak w wesołej chwili, zawsze mu, śmiejąc się, odpowiadała :

— Ale, ale! podobneśmy, podobne jak świeża grusza do suszonej!

I mówiąc to, całowała Maryę w czoło.

Marya była ulubienicą i pieszczotą wszystkich; rzadko-bo kogo Bóg tak jak ją obdarza. Miała tę piękność Polki, której na świecie nie wyrówna żadna, piękność pełną wyrazu, poważną i wesołą razem, w której się rozum z uczuciem do równowagi układa, miała wdzięk niezrównany wejrzenia, ruchu, uśmiechu, głosu i słowa, podnoszący do ideału, miała serce złote i jasne pojęcie o świecie, wyzerpane z poznania obowiązków chrześcijańskich. Ani nadto surowa, ani nazbyt płocha, łączyła dostojność niewiasty z urokiem dziecięcia, a znać było, że z swobodnego swego kątką młodości już poglądała na życie, któremu była przeznaczoną. Modlitwa, praca, trochę niewinnych marzeń, trochę dziecinnę prostotą zabawy składały się na dni jej terażniejsze i nie tęskniła za zmianą losu, bo wszędzie widziała obowiązki przedewszystkiem, które mogą się stać rozkoszą dla poczciwych, ale nigdy gorącej nie obudzą żądz, zwłaszcza w młodem sercu, potrzebującym swobody, by się rozrosnąć i ukrzepić dla przyszłości.

Dom w Sasowie był sobie szlachecki: nie zatrul go pański zbytek i wymysły nowych potrzeb życia, gdy w istocie życie tak małym obejść się może! Nic tu nie było dla oka krom kilku starych pamiątek, nic dla pieszczoty ciała, co wypieszczone, nie nowych władz do szczęścia, ale nowych tylko środków dręczenia się nabywa, nie dla pokazu przed ludźmi i pochwalenia się im fałszywym dostatkim. A była-to wszakże zamożność w pocie czoła zdobyta, owoc życia całego: Sasów z długów się oczyszczał dla syna i piękny posażek zbierał dla córki. Już i rodzice wieczorami, posiadawszy na kuferkach, szeptali nieraz, spoglądając na Maryą, że czas-by ją wydać za męża, ale się nikt jeszcze do ich serca nie trafiał, nikt do serca Maryi, swobodnej, wesołej i nie pragnącej więcej nad to, co miała. Mało też kto bywał u państwa Drohobyskich; sąsiedztwo nie było liczne i wszyscy wiedzieli, że się w Sasowie szumno zaba-

wić nie można. Na maryasza wieczorem przyjeżdżał czasem proboszcz, czasem zakonnik z Podkamienia, na imieniny przywlokło się kilku starych przyjaciół, a we święta większe i ktoś z dalszych krewnych; ale odwiedziny były krótkie i nic ich nie odznaczało od dni powszednich, tylko większy trochę zakręt w domu, dla którego były niezwykłością.

Z panem Joachimem i rodzicami jego znał się pan Drohobyski oddawna, ale nie widywali się też często, bo lata upływały, a ledwie się czasem spotkali w miasteczku lub uściśli we drzwiach kościołka.

Zadziwił się niepomału szlachcic, gdy jednej niedzieli, w nowiu-tenkiem ubraniu jak z igły, czwórka dzielnych domowych szpaków zajechał pan Joachim. Gospodarz, w pierwszej chwili trochę zdumiony, prędko się rozruszał i najgościńniej przyjął sąsiada. Wyszła zaraz i wesoła jęjmość z mnóstwem dykteryjek, któremi zwykła była ożywiać rozmowę, pan Paweł i Marya. Nadjechał jakoś wkrótce i proboszcz, a rozmowa bardzo się ożywiła przy kawie poobiedniej.

Nie uszło to oka matki, że pan Joachim coraz to na Maryą spojrział z intencją; ośmielił się nawet, nie zważając na jej nadzwyczajny rumieniec, przemówić do niej słów kilka.

Odwiedziny poszły składnie i dobrze; wszyscy się rozstali radzi z siebie i z myślą spokojną. O zmierzchu pożegnał gość chętnych swych gospodarzy, wymawiających mu długie zapomnienie i proszących go, by ich częściej odwiedzał; a po odejściu syna i córki pan Stanisław z żoną szepnęli do siebie:

— To niedarmo.

— Jakbyś mnie jęjmość z ust wyjęła: i mnie się to zdaje, że nie bez myśli. Jak uważasz, czy mu się też Marya podobała?

— Raz-wraz na nią spoglądał.

— Tak, tak! i podobno nie bez projektu.

— A cóż, jakby się to jegomości wydawało?

— Ba! czemuż nie! Nubym doprawdy przeciwko temu nie miał: ubcziwych rodziców, ludzie rządni. Stare—wiesz co się zowie: ryby, grzyby i chleb jest; długów nie mają, sióstr, braci, ani krewnych, substancya piękna, on człowiek stateczny, tylko do licha, słyszę, zagorzały myśliwy!

— O! o! albowż to co tak bardzo złego?

— Ale-bo, widzisz asindzka, i to pasya — odrzekł pan Stanisław, gładząc węża — a każda pasya prowadzi daleko dalej, niżeli przewidzieć można, jak koń unoszący, który czy w wodę, czy w przepaść, czy na ścianę zanieśie, nikt nie odgadnie. Widzi mi się, że kiedyś słyszał o takich u nas, co za sforę ogarów gotowi byli dać wioskę. Żonie z takim niewygodnie.

— Ale czyżby się powoli przez przywiązanie żony nie mogło odmienić? — spytała pani Stanisławowa. — Sam jeden cóż ma robić? Żona-by mu nie dała tak raz-wraz po lasach się włóczyć.

— O! moja Kunusiu, ciężkież-bo to zadanie żonie męża przerażać! Lepiej dostać gotowego.

Rozśmiała się żona, wedle swego zwyczaju, ale odparła zaraz, nie pozwalając, by w umyśle męża gnieździło się uprzedzenie przeciwko panu Joachimowi:

— Będzie to jakoś przy pomocy boskiej... jeśli sądzono im, i nie najgorzej, widzi mi się, byłoby, gdyby się to skleiło. Ale dajmy pokój przed czasem głowę łamać.

— I to racya — odezwał się pan Stanisław. — Poczekajmy z turbacją, żeby było czego.

Tymczasem pan Joachim jechał do domu, niesiony czwórką szpaków swoich, które woźnica po stacyi przed gankiem w Sasowie teraz z całych sił trzymać musiał, tak mu się rwały; jechał i nie widział nic, co się wokoło niego działo, bo się zaraz w ulicy od dworu wiodącej tak zadumał, jak mu się przedtém nigdy nie trafiało. Marzył on całą drogę aż do ganku w Starem, a podróż mignęła mu tak szybko, że się niepomału zadziwił, ujrawszy światło i usłyszawszy głos Jana nad uchem. Ocknął się niemal przerażony, spojrzął na konie i, nic nie rzekłszy do ludzi, co było przeciwko zwyczajowi, nie pogłaskawszy nawet Pokaza, wyżyła swego, wszedł zadumany jeszcze do swojej sypialni.

Jan, który zapobiedz nie potrafił tym odwiedzinom, choć się ich lękał, rad był zbadać, jakie wrażenie zrobiły na panu; postrzegł zadumanie niezwykle; nie podobano mu się milczenia uparte; postanowił koniecznie panicza rozruszać i do wynurzenia się skłonić. Że wieczór był chłodny, pobiegł naprzód po wódkę; uderzył się kilka razy o drzwi, na których klamki nie trafiał, zawadził o cztery piece stojące na drodze, kułakując je zato, skrzył dwa zamki z wielkiego pośpiechu i wyklął je, jak był przywykł wyklinać psy i konie, to jest: żeby was wilki pojady! — nareszcie dostał się do apteczki, stłukł jeden butel, a z drugim powrócił.

Myślał, że otwierając flaszę, otworzy rozmowę, ale pan Joachim odezwał się tylko:

— Postaw — i wyciągnął się na łóżku.

Jan dorzucił na kominek polano, poustawiał nieszczęśliwe krzesła, którym kości gruchotał, starł stoły wszystkie, wymiół śmieci po drewnkach, raz-wraz oglądając się na panicza, a widząc, że ten milczy uparcie, spytał sam na ostatek:

— Czy tylko panicz nie chory?

— Nie, mój Janie, nic mi nie jest.

— Ale coś bo pan nie swój.

— Owszem, tyłkom się trochę zmęczył; bryczki nie lubię; wolę konia.

Ani się nie dopytać! Jana rozpacz i niecierpliwość, o którą mu było nietrudno, porywały. Wypadało mu wyjść; szukał powodu do zostania i wściekle porządkował znowu, co tylko mu się nadarzało, wywracając, łamiąc i stukając zaraz najnaiwniej z poruszeniem ramion, które zdawało się winę przypisywać sprzętom, nie obejściu się z niemi. Jan w takich razach nigdy nie był winien: zawsze piec, drzwi, krzesło, stół jedynie pokutowały, bo je łajał jeszcze.

Pan Joachim, nie zważając na ten łomot, poglądał w komin i milczał. Przetrawszy tak długą chwilę, sługa nie myślał więcej czekać i szturmem postanowił zdobyć potrzebną wiadomość.

— A cóż — rzekł — pan znalazł Drohobyskich w Sasowie?

— Znalazłem ich.

— Gdyby też wolno było spytać?

— O co?

— A jużciż — uśmiechnął się Jan figlarnie, oczki żywe mrużąc i trąc z niecierpliwości czuprynę zawsze najeżoną — jużciż, jak się tam spodobało?

— Bardzo! — rzekł lakonicznie Joachim i uciał.

Jan tupnął nogą i palce sobie zagryzł.

— A panna, proszę pana?

— Piękna panna.

— Ta! piękna! piękna! Każda z nich piękna, póki za mąż nie pójdzie, ale to gaśnie pięciuteńko...

Pan Joachim rozśmiał się, a Jan nabrał zaraz większej śmiałości, widząc, że jego opozycya uśmiech tylko wywołała, i począł głośniejszą a żywiej:

— Niechże mnie pan z łaski swojej powie, swojemu staremu słudze... to już taki będziemy mieli sobie panią, czy co?

— Alboż ja wiem! Czyż mogę przewidzieć, czy ja się jój podobam, czy oni mnie zechcą?

Jan podniósł głowę, pokiwał się, uderzył się po bokach i zawołał:

— Ale! ale! nie chcieliby! Podoba im się i panicz, podoba im się i Stare! Zapewne, zapewne! O! co z tej strony, można być spokojnym: oddadzą ten klejnot z pocałowaniem rączek, to jasne, jak słońce, byleś pan mrugnął tylko. Ale posłuchaj-no pan starego swego Jana, ej! dobrze się rozpatrz i namyśl, bo to dalibóg na całe życie... to nie bagatel, nie zabawka; niech się panicz pomiarkuje. Do domu sobie kłopotu naprowadzić bardzo łatwo, pozbyć go się potem nie można. Co ja, to Drohobyskich nie lubię; skąpe-to, gołe

być musi, i żaden z nich nie poluje; podobno pan Paweł, ale to tylko z chartami; i charty gałgany; gnój wozic za naszymi! Z jednym Dolotem wszystkiebym w kamysz zapędził.

Prawił Jan długo, od chartów do panny i od panny do myślistwa przeskakując, macał swego panicza z różnych stron i wyszedł ze spuszczoną głową, wódkę odnosząc, tak tęskny, że w przedpokoju dwa razy się jęł na pokrzepienie musiał napić. Serce jego przeczuwało, że to, czego się najbardziej lękał, spełnić się musi.

Jakoż w kilka miesięcy potem stały beczki smolne wzdłuż drogi i stawu, od lasu do dworu poustawiane z obu stron; dwór w Starem był rześisto oświetlony cały, a we wrotach wioski gromada oczekiwała przybycia państwa młodych. Zdała już słyhać było wesoły, rażny tętent koni, które wiozły nowożeńców, i dzwonki uprząży wołyńskiej i klaskanie z batów i hukanie podchmielonych gości. Starzy wieśniacy poglądali z żywą niecierpliwością ku lasowi, skąd się im miał ukazać powóz weselny, a Fed'ko Gruzda, pierwszy swat, w nowiuteńkiej siwej świcie, podpasany czerwonym pasem, z pięknym kapturem na plecach, wzorzysto wyszywanym, z ogromną czapką baranią w ręku, trzymał świeżuteńki bochenek chleba, owinięty w białe płótno, gotując się powitać swych państwa z darami zwykłymi: chlebem, solą i miodem. Obok, na przykrytym stole, w misie czerwonej widać było plaster przepyszny i na szklanej mniejszej miseczce białej soli kupkę; przy nim siedziała stara kobieta z kądzielą w ręku, nałożoną lnem najpiękniejszym, przy życzeniach, mając, starodawnym obrzędem, wyprząść nić jak najdłuższą, symbol długiego, gładko płynącego żywota.

Zwykle do tego wybierają najwprawniejszą we wsi prądkę, która w oczach nowożeńców z wielką zręcznością wyciągając szybko cienką i równą przędzę i wskazując ją wesoło, kłania się, całe życie zamykając w wymownej nici.

Rzadko się trafia, by kogo przyjeżdżającego z żoną do domu po raz pierwszy przyjmowała gromada; zwyczaj też to już dziś mało komu znany, lecz niemniej istniejący w tych kątkach, gdzie się z wielu innymi podaniami i ten obrządek przechowuje, po Wołyniu i Polesiu.

Cymbalista, skrzypek, basetlista stroili instrumenta tymczasem, chcąc co najpiękniej popisać się z muzyką. Chłopcy powłazili na drzewa ponad drogą stojące, aby przędzję ujrzyć i oznajmić o weselnym orszaku, nieustannie ścigani pytaniami, odpowiadając na nie zwodniczo, lub zbywając dziewczęta dwuznacznymi słówkami.

Piękny był obraz uweseloniej wioski.

Nad stawem, nad gościńcem, wijącym się przez parów, paliły się beczki smolne, odbijające się w wodach, oświecając drzewa i białe

dachy na wzgórzu i żółty gościniec, pokręcony w malownicze pasy, ginące w dalekim zmięczeniu... Wśród ciemnych lip zamczyska sześć okien dworu jaśniały wszystkie równo, drzwi nawet buchały światłem, a na nich czerniała jakaś postać tajemnicza, stojąca nieruchomie.

Na wałach wkoło domu migają mniejsze, przebiegające tu i ówdzie światełka, we wsi gwar, śmiechy i pobrzękiwania muzyki, słychać było wśród szumu sadów, gwarzących z wiatrem wieczora, i warkotu młyńskiego koła, które na nie nie zważając, gderało. Księżyc, bliski pełni, srebrzyste swe promienie mieszał z blaskami ogniów i resztę krajobrazu odkrywał oczom, zdzierając z niego zasłonę nocy.

Ale któż-to tam wśród powszechnego wesela duma na progu dworu, stojąc jak wryty, ze zwisłą głową, z rękoma załamanymi, z ponurą twarzą i nastrożonym wąsem, jakby nie dzielił radości wszystkich, jakby się nią właśnie zatruwał? Stary-to Jan stanął tak, zadumał się i aż łza pociekła mu po zmarszczonej twarzy; usłyszał już zdaleka turkot powozów, serce mu zabiło, jak dziecku, i tak mówił do siebie:

— Czegom się bał, tegom się nie ubał! Ha! musiał się on taki ożenić! ale Bóg-że to wie, co nam wiozą do domu: biędę, czy szczęście? Gdyby to odgadnąć, możebym się z drugimi cieszył. To pewna, że się nasze dobre, spokojne, kawalerskie czasy nie powrócą. Kiedy tak, to i mnie będzie czas poszukać sobie jakiejś fładry... Jednakże kości łamią. Ot, jaka śliczna jesień, jaka perlista rosa, a dyabła tam on się jutro rano da zbudzić do kniei, choć pie-ski-by zagrały, oj! zagrały! A co jemu teraz psy? Już nam teraz nie o tém myśleć; będziemy i my podobno na dwóch łapkach przed jejmością tańcowali! Mówią, że stara Drohobyska męża za nos wodzi, bodaj żeby i u nas tego nie było, bo to idzie rodem, a mój taki miękki, że go na włosku prowadzić można... I jeszcze się kocha; zrobi z niego, co zechce. Byle mu choć raz w tydzień pozwoliła zajrzeć do kniei, bo to niebożątko uschnie z tęsknoty, nie daj Boże!

Kiedy stary Jan tak gaworzy sam z sobą, wesele nadjeżdża do kołowrotu wioski i w nim zatrzymuje się chwilę; Fed'ko podał czerwono zapieczoną bułkę chleba, uwinioną w nowy rańtuch biały, z niskim pokłonem, z przemową od serca gromady, prządka wysnuła nic, ale nikt nie widział, że mimo zręczności Horpyny, najślawniejszej w swój sztuce z całej wioski, mimo jej dobrej woli, prorocze pismo zdradzało i rozerwało się w jej rękach.

Są niepojęte oznajmienia przyszłości. Wolno niedowiarkom, co świata cudów widzieć nie chcą, zaprzeczyć im i złożyć je na przy-

padki; my je uznajemy, bośmy przywykli szanować nawet stare przesady... Może to błąd, ale i ten z innymi wypływa z przywiązania do wszystkiego, co swoje.

Tymczasem państwo młodzi pędzili ku dworowi, a za nimi w tumanach kurzu szły bryczki i wózki panów sąsiadów i gości. Jan wciąż jeszcze stał w ganku, aż gdy się turkot przybliżył, ustąpił nieco w cień i z zaognionem od ciekawości okiem pozostał za słupem ukryty.

Kiedy drżąca od wzruszenia, oblana rumieńcem, ze łąą w oku Marya, modląc się pocichu, stanęła nogą na próg nowego swego domostwa, sługa z przestachem na nią spojrział i mimo uprzedzenia, mimo żalu, nie wydała mu się tak straszna, tak przerażającą, jak ją sobie wyobrażał; wzruszony także, postąpił nieco mimowolnie, a pan Joachim go zobaczył.

— A chodźże-no tu, Janie, niech cię z moją żoną zapoznam — rzekł wesoło. — Marysiu, to nasz poczciwy Jan, wierny sługa moich rodziców i mój piastun i przyjaciel.

Marya odwróciła się z uśmiechem serdecznym i kłaniającemu się do nóg cicho powiedziała:

— Proszę-ż i mnie kochać, panie Janie, jak-eś kochał mego męża; będę się starała na to zasłużyć.

Jan, ni z tego, ni z owego, zawsze do wszystkiego prędko, rozpląkał się rykiem i pocałował aż w nogę młodą panią swoją, tak mu do duszy przemówiła, a z wielkiej, nagle obudzonej ochoty służenia jej wleciał potem zaraz do domu za państwem i nogą przewrócił cały kosz stojących w kącie butelek.

Gwar gości i muzyka, śmiechy i wiwaty zagłuszyły brzęk tłukących się szklanych naczyń, na które pogardliwie tylko spojrział Jan, ruszył ramionami i przez zęby stęknął:

— Oto głupie!

Nie zważając na sączące się wino, poszedł dalej, potrząsając głową, i wciąż mruzczał sobie:

— Ona sama będzie z nami polowała: ja ją nauczę; będzie polowała! mówię, że będzie, i wszystko tak się pociągnie, jak było dawniej... co daj Boże.

Szumne było wesele, choć cicho szeptali między sobą goście i ludzie dworscy, że wiele złych znaków mu towarzyszyło: u ołtarza w czasie ślubu zgasła świeca ze strony pana młodego, we wrotach wioski zerwała się nie witałcej ich prządki, wchodząc na ganek,

potknął się pan Joachim; w kilka chwil po przybyciu do starego dworu zerwała się burza z okropnym wichrem, grzmotami i piorunami, która trwała do dnia, tak, że wszystkie drzwi i okna pozamykać i pozasłaniać musiano. Jan wiedział o tych przepowiedniach, bo go ciekawość wiodła do każdej kupki szepeących, i kiwał znów głową smutnie; odzywało się w nim powoli uprzedzenie przeciwko młodej pani, ilekroć na nią nie patrzył; gdy przy niej był, ustawało.

Maryja umiała ująć sobie i jego i wszystkich, jak ujęła sobie Joachima; uśmiech jej, dobre słówko, dzwięcznym wymówione głósikiem, które mu towarzyszyło, wejrzenie anielskie jednały serca najtwardsze. Mruczał tylko stary myśliwy pod nosem, ale się odezwać nie śmiał i myślał w duchu:

— Zobaczmy też, co będzie z polowaniem; to najlepsza próbka.

Nie przypomniał on panu wcale kniei i piesków, ale bolało go serce, gdy zajrzał do psiarni, gdy wziął w rękę strzelbę.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy się już goście porozejeźdzali i matka tylko Maryi przy niej pozostała, Jan kręcił się wieczorem po pokoju i ze zwykłą sobie gorliwością, czego się dotknął, tłukł i wyracał, nie omieszkując winy składać na biedne sprzęty, które mu pod bok się nawijały. Wewnątrz gryzły go niezmiernie łowy, do których czas był wyśmienity, a pan Joachim jeszcze mu nie wspomniął, żeby się w lasy wybierał. Wtém, z podziwieniem największym pocziwego Jana, sama pani się odezwała:

— Mój Joachimie, ja wiem, żeś ty wielki myśliwy; czemu też nie pomyślisz o swojej ulubionej rozrywce? Ja się tu domem zajmę, a ty każ sobie, proszę, jutro przygotować polowanie... Mama bardzo zwierzyne lubi...

Jan zaledwie uszom swoim mógł uwierzyć; stanął wryty, słuchał, nasłuchać się nie mógł i drżał z radości.

— Słyszysz pan! słyszysz pan! — wykrzyknął niezrozumiale i poskoczył do Maryi, całując ją w rękę.

— A, złota moja pani! śliczna moja pani! — jaskając się, mówił szybko — to prawda, prawda, to święta prawda, że naszemu panu bez polowania nie wytrzymać... Jutro o świcie do kniei! Idę, lecę i zaraz rozporządzę wszystko...

Pan Joachim uśmiechał się, patrząc na niego, a Jan, już hałaśnie trzaskając drzwiami, biegł pędem i po drodze słyhać było, jak wyracał, tłukł, rozbijał, co napotkał, powtarzając ciągle:

— Ona sama polować będzie! To złota pani, jak Boga kocham, złota pani!

Pierwsze polowanie wielce się udało, za pierwszym poszły żywo szeregami nieustannym prawie coraz nowe, coraz inne; jesień i zima nadchodziły właśnie; nie zabrakło zwierza, ani ochoty. Maryja sa-

ma z uśmiechem przypominała Janowi, że polować było można. Tém tak go sobie wreszcie zaskarbiła, że z niedowierzającego dotąd i trochę obawiającego się jój zawsze stał się pierwszym pani wielbicielem; milczący zrazu, teraz się z afektem dla Maryi nie tań i głosił wszędzie jój chwałę, powtarzając pocichu:

— Ona sama polować będzie, zobaczycie! Już to prawda — dodawał — zem się grubo mylił i niepotrzebnie obawiał, bo ona sama i psy lubi i nigdy gończe nie były tak dobrze utrzymane, jak teraz. Co pani, to pani! Gromada miała rozum, kiedy ją panu stręczyła, bo takięj drugiey kobiety na sto mil wkoło nie znaleźć.

Jan zupełną miał w tym względzie słuszność, bo istotnie Maryi podobnej nie łatwo; rozum i dobroć, serce i głowa rzadko tak równie rozwinięte chodzą z sobą, rzadko obok nich znajdzie się wdzięk, słodycz, urok, jakim czarowała wszystkich pani Joachimowa. To też mąż przywiązał się do niej namiętnie, prawie bałwochwalczo, a ona z powagą matki pieściła go jak dziecię, słuchała jak ojca, i jasnych dni pasmo rozwijać się poczęło w starym dworze. Powoli nieład, który się był zakradł pod zarządem szparkiego Jana, ustawać począł i pracą młodey pani stopniowo, nieznacznie zaprowadzone zostały porządek i oszczędność. Joachim swobodnie polował, zdając na żonę nie tylko kobiecą część gospodarstwa, ale cały zarząd domu i kierunek interesów. Jan już jój za złe nie miał, że się do wszystkiego mieszała, bo polowali, ile i jak chcieli, a nigdy słówkiem, ani wejrzeniem nie wstrzymała pani Joachimowa.

Stare dworzysko, dość przedtém opuszczone, wyporządzało się, podniosło, odprostowało i połatało boki; ogród, podkrzesany, zazienieniał inaczej, dostatek wszedł do spiżarni za panią i zamieszkał w niej, a z nim swoboda i wesołość. Marya od brzasku do nocy z kluczami w ręku krzątała się koło swego gospodarstwa i ożywiała każdą robotę zachętą, dobrém słowem, a wreszcie udziałem, jaki w niej miała.

Rok, dwa lata upłynęły bez zmiany żadnej; synek tylko przybył panu Joachimowi, a gromada, wedle odwiecznego w Starem zwyczaju, do chrztu go trzymała. Jan we łzach cały stanął nad kolebką i trzeciego dnia już mu chciał trąbić dla zabawki; szczęściem, potrafiło to jakoś napotém odłożyć. Staś przypomniał mu młodsze lata, gdy jeszcze Joachima piastował i zabawiał, serce mu uderzyło i pierwszy raz w życiu rzekł do siebie:

— Niech dyabli wezmą polowanie! Trzebaby nam domu, jójmości i dziecka pilnować.

Były-to jednak tylko wyskoki czułości, które się wkrótce powszedniejszemi uczuciami zacierały; — myślistwo odzyskiwało nad nim władzę; jesień przychodziła z rosą, psy zawyły zamknięte, mu-

siano polować; jak było wytrzymać! Pan Joachim jednak powracał wcześniej, wyjeżdżał później i siadywał w domu dłużej, a Jan mu tego bynajmniej za złe nie miał, czasami nawet wybrał się sam do kniei pocichu, nie zachęcając panieca, by mu towarzyszył.

Szło tak wszystko szczęśliwie lat kilka i Stasiek podraستاł na pociechę matce i ojcu, a starowina Jan wykręcał mu piszczałki z łoziny, strzelał ptaszki, zbierał lisie i zajęcze ogony, aby go wcześniej do myślistwa zaprawić, gdy, jak uderzenie piorunu, padło na dom nieszczęście.

Jednego jesiennego poranku przybiegli dać znać do dworu, że w lesie pokazał się odyniec, który z sąsiednich ostępów kilka już razy wpadał w bory Starego; widziano go w uroczysku na Hałem. Na tę wieść ruszyło się, co żyło. Jan siadł na koń, porwano psy, pan Joachim, ledwie mając czas żonę w czoło pocałować, pognął na koniu do lasu. Jan oklep go poprzedził. Rozstawiono strzelców, a że odyniec na pelankach, w lesie rozpierchłych, w zbożach włóścian niemałe czynił szkody, ludzie się wiejsey dobrowolnie zebraли obławą przeciwko niemu. Pan Joachim w pośpiechu zapomniał o zwykłych w takim razie ostrożnościach: nie opatrzył dobrze strzelby i stanął na przesmyku, którym dzik, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przechodzić musiał.

Założono psami... chwilę było cicho, las tylko szumiał posepnie, potem zagrały ogary, ucięły i zagrały znowu, już widocznie z oka goniąc... Zadrżały serca myśliwych, zatętniał i zahuczał las cały... Wtém dał się słyszeć wystrzał jeden i krzyk okropny.

Jan, który stał niedaleko od Joachima, przybiegł w miejsce, z którego głos bolesny się rozległ, nieprzytomny, przelękły, przeczuwając już jakieś nieszczęście. Straszliwy widok go uderzył: pan leżał na ziemi, we krwi brocząc, i niespokojne, łzą boleści zasze oczy wodził po głuchym lesie.

Pierwsze wejrzenie tych oczu padło na biednego Jana; ujrzał to i wrzaskiem przerażającym zwołał, co żyło, myśliwych i obławę. Widok był okropny: pan, śmiertelnie ranny, konał prawie. Zajadły odyniec po pierwszym wystrzale, który go ciężko tylko skaleczył, wedle instynktu swego, rzucił się wprost na dym; przypuścił go pan Joachim, pewien będąc, że drugą rurę ma nabitą; tymczasem w pośpiechu zapomniał o niej; odyniec wpadł nań rozjuszony, a żadnego ani pniaka, ani drzewa nie było w bliskości, by się od napadu ratować; cięty w nogę, upadł myśliwiec, a dzik, rozplatawszy go, wściekle rzucił się dalej.

Nie potrafimy odmalować, co się działo z Janem, jaki krzyk wyrwał się z piersi wszystkich poczciwych ludzi, którzy tak serdecznie Joachima kochali. Stracili przytomność i zapomnieli w pierwszėj

chwiii o ratunku, przejęci okropnością wypadku; nikt nic nie robił; łamali ręce, klękali przy nim, płakali.

Joachim słabnącym głosem szeptał powolnie:

— Księdza! księdza! Nieście mnie do dworu; krew upływa, życie uchodzi... Do dworu... niech ich pożegnają... proszę was.

Opamiętali się ludzie wreszcie, zrobiono natychmiast nosze, a dwóch przodem pobiegło do plebana, który przeciwko ranionemu wybiegł z wyrazem najstraszliwszej boleści. Łzę zlane oczy księdza i szklany wzrok dogorywającego myśliwca spotkały się z sobą w milczeniu wymownem, postawiono nosze na ziemi, odstąpili ludzie, kląkł poboszcz u głów konającego i przyjął ostatnie jego, przerywane jękami wyznania, błogosławiąc umierającemu przyjacielowi.

— A teraz — odwrócił się do zgromadzonych ludzi swęj gromady — teraz, bracia moi — rzekł powolnie — sierot dwoje wam polecam; wy im bądźcie opiekunami, wy obrońcą... Nad was nie miałem lepszych przyjaciół; wam ich zostawiam spokojny...

I spojrzął ku bliżej stojącym.

— Podejmujecież się opieki?

Wszyscy płakali, tylko starzec jeden, Hryć Soroka, z powagą przystąpił ku panu swemu.

— W imieniu nas wszystkich — rzekł — przyjmujemy twoję wolę ostatnią i spełnim ją święcie; ale ty żyć będziesz dla nas... dla nich...

Joachim uśmiechnął się boleśnie.

— Pamiętajcie — powtórzył — zostawiam was opiekunami wdowy i sieroty; teraz mogę umrzeć spokojny. Nieście mnie do domu! — z męską rezygnacją zawołał. — Po Bogu pierwsza ona i sierota. Ty, księżo, idź przodem i przygotuj ją do ciosu; mnie powoli poniosą przez wioskę; pożegnają się z moją gromadą... Życie zatrzymam w sobie, bo muszę ją pożegnać... i tego biednego robaczka pobłogosławić na życie.

Łzy puściły się z oczu słabnącego, ścisnął za rękę księdza i wskazał mu na dwór.

— Idź przodem — powtórzył cicho — powoli, ostrożnie, powiedz, co się stało... Tak Bóg chciał.

Jan, oszalały prawie, siadł na konia i popędził do Podkamienia nawprost przez lasy i góry, bez drogi, po lekarza, był tam bowiem zakonnik jakiś, który słynął za doskonałego medyka.

Joachima niesiono powoli, a cała wieś, wstrząśniona wieścią straszną, wybiegła, kupiąc się koło niego i z płaczem żegnała go, całując stygnące już ręce. Hryć Soroka szedł przy noszach i chwycił z ust pana ostatnie wyrazy, któremi mu polecał wioskę, żonę, dziecko, opiekę wszystkich i staranie o wszystkiem. Tymczasem

ze spuszczoną głową i myślą skołataną szedł przodem pleban do dworu, wyprzedzając z ciężką do wypowiedzenia nowiną smutne łozę myśliwca... Jakby naprzekór wypadkowi temu, który miał żałobą okryć wszystkich, nie było nawet przeczucia smutku w wesołym dworze. Na ganku siedziała Joachimowa z nieodstępniemi kluczami u pasa, bawiąc się ze szczebiocącym dziecięciem swoim. Staśka głosik srebrzysty rozlegał się daleko i pierwszy powitał księdza wchodzącego przez wały w dziedziniec. Ujrzała go zdaleka pani domu i, zdziwiona niezwykłemi w porze rannej odwiedzinami, ale rada przyjacielowi, uśmiechnęła się do niego. Cicho i błogo jakoś było w ocienionem podwórku, na którego zieloną murawę wybiegło dziecię, klaskając różnie z batożka.

Księdzu ścisnęło się serce na ten widok, który za chwilę miał się tak straszliwie zmienić; stanął mimowolnie, załamał ręce, nowe łez strumienie puściły mu się z oczu. To zastanowienie się gościa wziął mały Staś za wyzwanie do swawoli i żywo przybiegł do proboszcza; spojrzął mu w oczy figlarnie, i ujrawszy w nich łzy, odwrócił się niespokojny do matki.

Pani Joachimowa uśmiechała się jeszcze, żadna myśl gończa nie przebiegła, zwiastując jej smutek, przez spokojne serce; nie widziała płaczu, nie domyślała się nowiny. Wrytym stał ksiądz przez chwilę; ale potrzeba iść dalej; wymógł na sobie siłę i zbliżył się. Teraz wejrzenia dość było, by poznać, że niesie brzemię, którego złożyć nie śmie, znając ciężar jego. Jak piorun przeczucie straszne uderzyło w serce żony, krzyknęła, podbiegła i wzrok z pytaniem gwałtownem utopiła w jego oczach.

— Księżu proboszczu, mów, mów, co się stało, na Boga?!

Biedny posłaniec wziął w milczeniu na ręce chłopaka i podał go pani Joachimowej.

— Jesteś matką — rzekł głosem stłumionym — pamiętaj o tém, żeś matką!

— Co to jest? — cała drżąc i zbladła zawołała kobieta, coraz więcej przerażona.

— Bóg cię dotknął — dokończył słabnącym głosem duchowny — wielkiem zagrożona jesteś nieszczęściem. Pamiętaj, żeś matką! Twój mąż...

Nim dokończył, krzyk rozpaczy się rozległ, ale kobieta nie padła bezsilna pod ciosem; natchniona boleścią i uczuciem obowiązku, zerwała się, poczęła biedz nieprzytomna, a słaby starzec ani mógł myśleć ją dogonić. Biegła drogą ku wiosce, wiedzona instynktem przywiązania. Dziecię, widząc matkę uciekającą z krzykiem, rozplakało się; proboszcz przy niem pozostać musiał.

Serce jej już było wszystko odgadło, i leciała przeciwko ranne-

mu, widząc obraz jego przed oczyma tak jasno, tak wyraźnie, jakby go już oglądała wprzód; wiedziała o swém nieszczęściu, choć go jęj nikt nie wypowiedział jeszcze... Strumienie krwi lały się przed obłąkanym jęj wzrokiem...

Ujrzała orszak ludzi, idący drogą powolnie... zielone nosze gałęzi... tłum cisnący się ku nim... strugę czerwoną na ścieżce, którą przeszli... Bez jęku, bez głosu, wysiłkiem potężnym przypadła do męża.

On konał już, piersi podnosiły się szybko, żywo, łapiąc ostatek powietrza i nie mogąc go pochwycić; oczy jego gasły i zasuwwały się mglistą powłoką śmierci... zobaczył ją jednak jeszcze, wyciągnął rękę ku niej i coś nakształt uśmiechu przesunęło się przez sine usta. Poruszył niemi, chciał mówić; szept niewyraźny stłumił się w piersi. Ładzie stanęli, ona ukłękła przy nim. Joachim spojrzął na stary dwór, jakby wzywał dziecięcia; zrozumieli to ludzie i z gromady ich dwóch rąco wybiegło po sierotę. Umierający ciągle zdawał się wysilać na kilka słów ostatnich i zebrać się na nie już nie mógł... Krew upływała potokiem, a z nią sączyło się życie.

Przyniesiono zapłakanego i przelekkęgo Stasia, przybiegł ksiądz, otworzył oczy konający raz ostatni, dźwignął rękę i ta opadła skrzepła, zdrętwiała już na jasnowłosą główkę dziecięcia.

Duch wrócił do Boga, który go dał.

Trudno słów znaleźć, by opisać straszną boleść żony, przywiązanych sług i poczciwego ludu wioski, który w początku z nieszczęściem swoim oswoić się nie mógł. W chwili wszystkie roboty przerwane zostały; co żyło, leciało do pana, otaczając nosze jego grobowe, z których jeszcze sączył się krwi krzepnącej ostatek, a życie, co ją wydało, już było uciekło. Łkania rozpaczy, jęki boleści rozległy się po całej wiosce. Z chmurnemi czołami przyszli starzy gospodarze wioski, stanęli milczący nad umarłym i po siwych brodach płynęły im łzy ciche; żal starców głęboki był, poważny i zaniemiały, jak grób.

Wdowa z dzieckiem na ręku klęczała na ziemi i przerywanym głosem niekiedy tylko powtarzała z rodzajem obłąkania:

— Wdowa! sierota! wdowa! sierota!

Siłą prawie oderwać ją musiano od męża; powstała wreszcie, rozkazując zwłoki jego nieść za sobą, a cała wieś poszła za nią. Już wówczas nie żył stary Fed'ko Gruzda, któregośmy widzieli w początku tej powieści, a na czele gromady stał od lat kilku zjawiony w wiosce Hryc Soroka, który gdzieś z dalekiej powrócił wędrówki po długich niebytności latach; — ten teraz zdawał się tajemnym zwierchnikiem gminy.

Hryc Soroka pochodził z zamożnej rodziny wieśniaczej, która od

niepamiętnych czasów jedno uprawiała pole i zamieszkiwała domostwo, a zawsze w wielkiem była poszanowaniu u wszystkich. Było ich trzech braci. Najstarszy długo przodkował w gromadzie i w chacie z młodszymi razem się godząc na jednem gospodarstwie; lecz zmarł w lat dziesiątek po ojcu, i następny z Hryciem razem objął po nim dziedzictwo. Ale niedługo pracowali wspólnie, bo Hryć, najmłodszy, za pozwoleniem pana, niewiadomo dokąd oddalił się z wioski. Nie było go bardzo długo, lecz snadź wiedziano, co się z nim działo, bo o nim nie wspomniano, domysłając się, ani wzdychano tęskno; ale gdy kto o niego pytał, tajemniczo odpowiadano: — Hryć poszedł na inny chleb. — Brat młodszy ożenił się wkrótce, pracował na ojcowiznie z najętym tylko parobkiem we dwojgu i z żoną, i jedną zostawiwszy córkę, przed pięciu laty umarł. Śmierć jego jak zpod ziemi wywołała Hrycia, który zjawił się nagle we wsi i zajął się gospodarstwem przy bratowej. Był to niemłody już człowiek, milczący, poważny, pracowity i na niego po Fed'ku Gruździe musiał paść wybór gromady Starego, bo jej widocznie od tego prawie czasu przewodził. Rodzina Soroków zawsze jakiegoś szczególnego szacunku doznawała od współbraci, nawet gdy inni przewodniczyli gromadzie; dziad, ojciec i bracia Hrycia w wielkiem byli u ludzi zachowaniu i na ich radę, ich słowo miano względ wielki w każdym ważniejszym postanowieniu.

Chata Soroków leżała na samym wierzchołku wzgórza, po którym rozrzucona była wioska, i przytykała do pola, usianego szaremi mogiłami zielonemi, gdzie już od wieków nie było cmentarza, ale ją zwano Starém Zgliszczowiskiem, rozróżniając od drugiego, w lesie teraz położonego, które Nowém Zgliszczem mianowano. Stare to i nieco od zwykłych chat wieśniaczych obszerniejsze domostwo wznosiło się na szczycie pagórka, otoczone gruszami i lipami, w których liczna stała pasieka. Ściany izby, nieco w ziemię zapadłe, ale jeszcze zdrowe i proste, zbudowane były z zawędłego dębowego drzewa, które przybrało tę barwę szarą, jaką się zwykle dąb wystawiony na powietrze po długich latach odziewa.

Budowa jej była misterniejsza od dzisiejszych, naprędce kleconych jako-tako chałup, i widać w niej było, że ją z jakimś przemyśłem i staraniem wznoszono.

Przed ścianką od czoła był okap obszerny wystający, sparty na czterech słupkach rzeźbionych, takiego kształtu, na jakie się już dziś nie trafia. Podpory te, niepodobne wcale do niezgrabnych nadsładowań słupów architektury grecko-rzymskiej, były zupełnie odrębne i oryginalnego kształtu z przepaskami wpośrodku, z czółkiem dziwnie wyrzynanem i wysoką podstawą. Oprócz nich końce belek, wystające nazewnątrz, a nawet krokwie, odrzwi i uszaki

okien okryte były także misterną rzeźbą, zręcznie wykonaną i nie bez pewnego wdzięku. Szczyt chaty kończył się floresami, a okienka, wycięte w nim dla gołębi, ozdabiała różne wygięcia, symetrycznie sobie odpowiadające i zgadzające się z rysunkiem szczytu. Widocznie w tej ornamentacji starej był ślad jakiejś sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który bezpowrotnie znikł, wytopiony napływem obcych wymysłów i naśladownictwem cudzego.

Pod okapem leżały trzy kamienie, na siedzenia przeznaczone, z których średni, największy kawał piaskowca, dziwnymi kształtami zdawał się zdradzać, że nad nim ludzka pracowała ręka; dwa mniejsze, podobne mu, miały z nim niejakie form podobieństwo.

Na podwórko wiodła wysoka brama drewniana, pokryta daszkiem słomianym, związana z belek, kształcących ścięty po rogach prostokąt; przy niej tuż była mniejsza ze wschodkami furтка. Wszedłszy w dziedziniec, nalewo rozciągała się chata i za nią obejście gospodarskie, połączone starym zwyczajem niemal pod jednym dachem, naprawo zieleniał ogródek z ulami, gruszami i loszkiem w ziemi wykopanym, na którego dachu czepiały się, strojąc go przesłicznie, wielkie liście dyni. Wewnątrz chata Soroków nie różniła się niczem od innych zwyczajnych, chyba może większą czystością, wyrzynaniami na belkach i sprzętem, widocznie bardzo starym, ale niez użytym.

Tegoż wieczora przed chatą swoją, na wielkim kamieniu, z posępną twarzą siedział stary Hryć Soroka i dumał, zatopiony w myślach głębokich, a na górę po krętej ścieżynce szło powolnie ku niemu kilku gospodarzy wioski. Z miejsca, na którym spoczywał, widać było daleko okolicę całą, a naprzeciw prawie stał dwór i drzwi jego główne między drzew połyskiwały już pogrzebowem światłem. Hryć właśnie na ten smutny blask zwrócone miał oczy.

Dwóch czy trzech gospodarzy weszło na pagórek, zobaczyli zadumę starca i, jakby mu jęj przerywać nie chcieli, przystali trochę opodal, oparli się o płot dębowy, szepcąc coś pomiędzy sobą. Nadeszło później kilku jeszcze, zebrała się gromadka, ale wszyscy trzymali się w oddaleniu, nie zbliżając się natrętnie ku starcowi. On ciągle jeszcze miał oczy wlepione w drzwi jasne, które coraz widniej błyszcząły wśród cienia drzew, świecami wkoło katafalku pozapalanemi.

Twarz Soroki była na podziw piękna i szlachetna; przypominała spokojnym, głębokim smutkiem bohaterów Ossyana i starych lasów islandzkich; rzekłbyś, wskrzeszone oblicze owej postaci podań ludowych, którą wieki zolbrzymiły. Jasnego i podniesionego czoła, obnażonego z włosów u góry, strojnego dokoła w długie, białe, spadające pukle, nie potrafiło jeszcze słońce, w dziennęj dogrzewające

pracy, opalić; piękne niebieskie oczy, pełne uczucia i zadumy tęsknej, zachowały ogień i żywość młodości; i w ustach był także smutek, ale smutek męski, poważny, usmierzony doświadczeniem długiego życia, co wiele przeboleło i nauczyło się mierzyć z cierpieniem. Piękna, ale niezbyt długa jeszcze broda siwa, okrywała piersi starca. Miał na sobie switę białą, sznurkami pasowemi wyszywaną, z kapturem na plecach, ujętą pasem pięknym, także czerwonym; w rękę trzymał swoją wysoką, baranią czapkę i zakrzywiony kij biały, z którym zawsze chodził. Laska ta, dosyć wysoka, zaگیęta u wierzchu, była jakby godłem jakiegoś dostojenstwa, czy spadkową pamiątką, uważano bowiem, że jej wyłącznie rodzina tylko Soroków używała. Fed'ko i z rodzin innych pochodzący naczelnicy gminy nie nosili takiego kija. Po bracie wziął go Hryć Soroka, a gdy Jan, ciekawy, pytał, co znaczy ta laska w jego rękach, odpowiedział niewtajemniczonemu dworakowi:

— Zachcieliście! A cóż ma znaczyć? Podstarzałem, to się podpieram.

Rodzina starego, bezżennego dotąd Hrycia składała się z bratowej, niemłodej już kobiety, niemal jak on poważnej i szanowanej, do której wszystkie niewiastki wiejskie biegiy w każdym przypadku po radę, z synowicy Kekelii, ślicznego młodzieuchnego dziewczęcia, i dalekiego krewniaka, który z parobkiem najętym całe gospodarstwo obrabiał. Szło ono dobrze, chociaż Sorokom oddawna się nie powodziło: często klęski nawiedzały chatę i dobytek, a dzieci nawet ciężko się hodowały. Teraz na jedynaczkę Kekelią spadało dziedzictwo po ojcu i stryju i zamożny porządek i rola dobrze uprawna; nie dziw też, że śliczne dziewczę, choć młodzieuchne jeszcze, już miało do ręki swój ochoczych i swatów co chata.

Kiedy tak duma Hryć stary, a gromadka poważniejszych gospodarzy już się ściągnęła, jakby się ich przyjscia domyślił czy spodziewał, wstał z kamienia nagle i obejrzał się, witając ich smutnie. Ruszyli się zaraz i przystąpili wszyscy ku niemu.

— Witajcie, ojcowie — odezwał się głosem dźwięcznym powolnie — witajcie, choć niewesoło nam dzisiaj powitać się... Spadło wielkie nieszczęście na sióło nasze, jakiego nie zazналиśmy dawno, ani przeczuwać mogli. Poczciwy pan nasz leży na marach, a my z wdową i sierotą zostaliśmy. Wiecie, że nam ich oddał, myślmż, żebyśmy spokojni byli w sumieniu i nie zawiedli umarłego.

— Uchowaj, Boże! — odezwało się kilku — uchowaj, Boże! Potrzeba pomyśleć — dodał jeden, występując i spierając się na długim kiju — oj! bo prawda, nie było w Starem nigdy ani tak dobrego pana, ani tak wielkiego nieszczęścia! Żyliśmy długo jak

u Pana Boga za piecem; było się komu nami zaopiekować; teraz my sami sieroty.

— I opiekunowie — rzekł Hryć.

— Potrzeba pomyśleć — odezwał się inny — tak, tak! święty obowiązek nasz! Związały nas ostatnie słowa zmarłego; ja je sam słyszałem; ale i bez tego gromada Starego czułaby się do litości i opieki nad poczciwą krwią swoich panów. Nie damy jęj przepadać! Któż bliższy od nas?

— Tak — zawołał Hryć po chwili — trzeba to powiedzieć wszystkim, do najmniejszego dziecka, że teraz dobro ich—dobro nasze i sława nasza, ich mienie i spokój—to nasza poczciwość. Na nikogo teraz się nie spuszczać; wszyscy głowy potracą; my im gospodarze i ekonomowie. Ja sam na dwór i na potrzeby będę naglądał, żeby niczego nie brakło; wy, ojcowie, uważajcie na rolę; jak skoro po pogrzebie, trzeba doorać i podosiewać. Nasienie z gromady wybierzemy.

— Rozumie się. Bądźcie, Hryciu, spokojni; wstydu nie zrobim ani ojcom naszym, ani sobie; będzie, jak być powinno w Starem — z niejaką dumą rzekł jeden ze starszych gospodarzy. — Teraz nam o przystojnym pogrzebie pomyśleć, bo i to na nas.

— Tak, tak! — powtórzyli wszyscy — pójdziemy. Czas jest odprowadzić go, i nikt nie poniesie, tylko my, na mogiłki...

Hryciowi łza spadła z powiek; otarł ją i mówił dalej:

— Trzeba się nam robotą podzielić, bo jęj nie zabraknie, a młodym taką tylko powierzyć, gdzie więcej nóg, niż głowy potrzeba—bo mogą nam sromu narobić, nie ze złej woli, ale z niedoświadczenia. Ja pójdę naradzić się z księdzem; może tam co brakuje; trze, ba wcześniej pomyśleć; wdowie teraz łzy tylko w oczach. Foma niech zaraz zaprzęga i jedzie do Podkamina i zamówi dla nas księży dominikanów z nabożeństwem i przyborem. Nie pożałujemy zachodu i grosza; niech ludzie widzą, żeśmy go kochali, że go i po śmierci szanujemy. Weźmiecie groszy z sobą... są jeszcze składkowe gromadzkie. Dwóch niech pilnuje dworu, dwóch stanie na psyłki, dwóch do toku dla pilności...

Tak rozporządzał stary z dziwną przytomnością, chociaż łzy miał w oczach; gromada słuchała z uszanowaniem, potakując głowami słowom jego. Radzono długo i chmurno rozeszli się gospodarze po chatach, przed których przyzbami stały jeszcze kobiety, spoglądając na dwór i szepcząc coś pomiędzy sobą. Cała wieś była w poruszeniu i nikt prócz drobnych dzieci oka nie zmrużył, bo głęboko wszyscy czuli stratę i szczerze pragnęli wspomódz pozostałe sieroty.

Hryć, pożegnawszy braci pozostałych u chaty, usiadł znowu na

kamieniu i do czarnego zmierzchu z wlepionem okiem w blask świec gorejących u katafalku pozostał; potem wolnym krokiem, spierając się na kiju, pociągnął się ku dworowi.

Jakże tu teraz było smutno, jak jedna chwila kirem oblokła wszystko! Nawet to, co nie cierpi z człowiekiem i boleści jego nie dzieli, zdawało się mieć wyraz smutku: drzewa szeleściły jakby pacierzem mogilnym, wiatr świstał z jękiem płacziwym, mglisto płonęły żółte świece i lampy przy niskim katafalku, a na każdej ludzkiej twarzy przebiegająca śmierć wyryła piętno swoje — piętno zdumienia i strachu.

Wielka sień starego domostwa stała otworem drzwiami i oknami; wpośrodku niej na tapczanie, pokrytym kobiercem, zżółkły już trup z założonemi na piersiach rękoma czekał na ostatnie swe łożo i szczupły domek drewniany, co szczątki jego miał zamknąć na wieki. Jesienny powiew szumiał w bliskich drzewach i liście z nich pożółkłe chwilami wpędzał do izby, smutnym wieńcem zeszlęj zieleni strojąc łożo śmiertelne, rozdymając światło, które, kopiąc, gorzało długimi knotami i świszcząc w przebiegu...

U nóg zmarłego na ziemi siedziała splakana pani Joachimowa i dziecię-sierota usnęło po płaczu... Dla niej łąy tylko wyczynkiem były... Zatopiona w myśli, chwilami zdawała się jak nieprzytomna, to znów budziła się łkaniem i jękami.

Głos pocziwego księdza, przypominający jój Boga i dziecię, sam jeden rozpacz hamował, którą widok zmarłego podbudzał.

Jana nie było jeszcze z powrotem, choć pojechał rano.

Hryć przyszedł powolnie, stanął we drzwiach, przeżegnał się, pomodlił, westchnął i oczekiwał na coś. Obląkany wzrok wdowy padł na niego po chwili i starzec skłonił się przed nią, szanując w niej podwójnie swoją panią i nieszczęście, jakiego doznała. Wzrok, który spotkał jój wejrzenie, tak był współczucia i litości pełen, tak łzami przesiąkły, że choć cierpienie wszelką myśl odganiało od niej, pani Joachimowa powstała i zbliżyła się ku starcowi.

— Patrz! patrz! — zawołała z jękiem przesywającym — o! miżerne ludzkie życie! W co się to ranna moja obróciła radość? Dziś jeszcze o brzasku liczyłam się do szczęśliwych... i dziś ostatnie słońce zaszło doli mojej i doli biednej dzieciny... On umarł! on umarł! i umarł tak okropnie, tak przedwcześnie, nagle, straszliwie, zostawiając nas samych na bożym świecie, samych, sieroty zupełne!

— Nie, nie! — żywo odparł z uszanowaniem, ale z uczuciem Soroka — on konający nam was powierzył, wiernej swojej gromadzie. Niesliśmy go konającego na barkach i przemówił do nas głosem ostatnim, żebyśmy byli opiekunami waszemi i ojcem dla jego dziec-

ka... i będziemy! — dodał Hryć głośniej — przysięgam to wam oto przy tych martwych zwłokach jego!

— On to mówił? on tego chciał po was? — spytała wdowa.

— To były słowa jego, słyszałem je; ale gdybym ich nie słyszał, gromada Starego poczułaby się do obowiązku swego. My z panami naszymi złączeni jesteśmy od wieków jedną dolą i jedną ziemią, jednym kościołem i cmentarzem, jednym chlebem i łożami; nasi ojcowie cierpieli z ojcami waszemi i radowali się z niemi; myśmy pracowali dla nich potem, oni dla nas krwią swoją. Nie było na wsi radości, w którejby dwór nie miał udziału; nie było we dworze wesela, na któreby nas nie wezwano; wszystko nam było wspólne aż do pracy, którą wyście kierowali głową, my spełniali rękoma ochoczo. Tego wiekowego węzła, pani nasza, nie zrywa nic, boby się potrzeba zaprzecć przeszłości i ojców, których chyba zwierzę nie zna. Myśmy twoi opiekunowie, obrońcy, słudzy, a Bóg nad nami wszystkiemi z opieką Opatrzności.

Łzy rzęsiste puściły się z oczu biednej matki i wybiegła cała wzruszona do kolebki syna, wiodąc za sobą starego.

— Oddaję go więc wam, poczciwi bracia nasi — zawołała — oddaję sierotę w ręce wasze; nie chcę innych opiekunów dla niego nad moje serce i wasze.

Hryć pokłonił się u kołyski matce i dziecku śpiącemu, przyłożył rękę do piersi i wzrokiem szczerzej litości pobłogosławił dziecinę; gdy matka, wrażeniami straszliwego dnia złamana, padła i straciła przytomność.

Zwoławszy sługi, wysunął się starzec, a pomodliwszy się chwilę przed zwłokami i obejrzawszy wkoło domostwo, zaspokoiwszy księdza o potrzeby pogrzebowe, rozporządziwszy ludźmi, zwrócił się nazad ku chacie.

Na drodze słychać było zdaleka tętent zziąjanego konia; ktoś prosto leciał do dworu, a co dziwniejsza, z szaloną wesołością, urągającą smutkowi, trąbił w róg myśliwski. Głos téj trąbki, wrzaskliwy, ochoczy, strasznie się jakoś dziko odbijał po wzgórzach i lasach, sprzecząc się dziwnie z żałobą, która okrywała wioskę całą. Hryć zadrżał, wstrząśniony z gniewu i pośpieszył, co miał siły, przeciwko jeźdźcowi, którego schwytał za cugle i wstrzymał krzepką dłońią.

— Kto tu śmie huczeć! — zawołał potężnym głosem. — A, to ty, Janie! — rzekł zdziwiony, poznając sługę nieboszczyka — to ty? Co ci się stało?

Jan z rozczochranym włosem siwym, z błyszczącym dziko okiem, krwią i łzami nabiegłym, z twarzą pałającą, w odzieniu rozwianem i oszarpanem, bez czapki, zdawał się zupełnie nieprzytomny; trzy-

mał w drugiej ręce róg, tylko co od ust odjęty, uśmiechał się i był jakby pijany. Śladu boleści na twarzy jego nie widać, tylko obłąkaniem zmieniona do niepoznania.

— Co ci się stało? oszalałeś? — powtórzył Hryc, chwytając za cugle konia, który robił bokami zasapany i choć zlany od potu, rwał się, bo go jeździec naglił jeszcze. — Pan na marach...

— Jadę do dworu! do dworu! puszczej mnie! Jutro wielkie polowanie!.. Wracam od księży z Podkamienia; prosiłem wszystkich z przeorem na obławę... Ogromny odyniec w lesie!.. trzeba go koniecznie zabić; inaczej nas wszystkich pożre... Krew będzie się lała... wszyscy poginą... śniło mi się dziś rano...

— Ale co ci jest, Janie? w głowie ci się przewraca! Pan na marach!

— Kto to mówi, że pan na marach?! A, to ty, zbójco, złoczyńco, coś go zabił! — zakrzyczał stary, schwytyjąc się z konia i przy-padając do Hrycia. — Bezczelne kłamstwo! odszczekasz mi je!.. Sam wyprowadziłem go dziś na polowanie; był zdrow, uśmiechał się... To fałsz, to zdrada, to zabójstwo!..

Nim Jan miał czas ścisnąć za gardło wieśniaka, bo się do niego zamierzył, już go ten pochwycił silnie za obie ręce i tak skrępowanego zawrócił z sobą ku chacie, obawiając się, żeby krzyk i trąbienie biednego obłąkanego nie było przyczyną nowego niepokoju we dworze.

— Chodźmy — rzekł mu Hryc. — We dworze pusto: państwo wyjechali, ludzie śpią; przenocujesz u mnie.

Jan słuchał i nie słyszał; z wielkiego gniewu, pokonany, przeszedł nagle do wesołości straszniejszej jeszcze.

— Wyobraźcie sobie, Hryciu — rzekł, zanosząc się — wszyscy dominikanie z Podkamienia, nawet nieboszczyki, co to ich Tatarowie pozabijali dawniej, zjadą na jutro do ostępu... Ja nieboszczyków najwięcej prosiłem, bo ich tam ćma jest... Dziki boją się białego odzienia i czarnych płaszczów i krzyża świętego, bo to pewna, że wszystkie bestye leśne przez dyabłów są opętane... Pokropim knieję wodą święconą, a potem dalej na nich z dominikanami!.. Panna postawię na wysokim pnju, a z szałasu będzie patrzyła jéjmość i mój Stasiek... Ale puszczejcież mnie, bo psy nie będą gotowe i ludzie się pośpią...

Hryc jakby nic téj płataniny nie słyszał, prowadził z sobą Jana do chaty, a koń tymczasem, chrapiąc, wyrwawszy się, poleciał ku stajni. Jan wrywał się jak mógł, ale stary wieśniak miał siłę olbrzymią i władał dworakiem jak dzieckiem. Zaprowadził go z pomocą spotkanych dwóch parobków do swojej chaty i tu do czasu zamknął w alkierzu.

— Biedny Jan — rzekł do starej bratowej — oszalał z wielkiego żalu, a na taką chorobę podobno niema innego lekarstwa, jeno śmierć.

Młode listki wiosenne powiewały na drzewach, świat się uśmiechał znowu do życia i na mogile pana Joachima puszczała zielona trawka, we dworze smutek i pustka; przy niej przykrzój jeszcze odbija szczebiotanie dziecięcia i jego wesołość.

Stary Jan już nie odzyskał przytomności straconej, ale obłąkanie jego zmieniło się w łagodny smutek, myśli mu się pomieszały i pokrzyżowały; przeszłość zlaną z teraźniejszością, straszliwy wypadek, którego był świadkiem, zatarł się w pamięci zupełnie. Wyobrażał on sobie, że Staś jest Joachimem, że go piastuje jak dawniej, o śmierci pana nic nie wie i boi się tego wszystkiego, co ma podobieństwo do dzika, utrzymując, że dyabły opętały zwierzęta. Czasem wspomina o polowaniu, jakby na nie czekał, i wygląda tylko zaproszonych dominikanów z Podkamina, zwłaszcza nieboszczyków, by z niemi jechać do kniei; to znów zapomina o łowach i cały oddaje się dziecku, którego na krok odstąpić nie chce. Biedna matka przez litość nie odpycha starego; pocziwe jej serce mimo bólu usiłuje nawet wobec obłąkanego starca dawać dziecięciu to imię, jakim go Jan woła; sama złamana cierpieniem, pociesza i słodzi tego, któremu rozpacz na wieki wydarła przytomność.

Czasem wśród uśmiechu łyzy się jej potoczają po białej twarzy i gorączka je osuszy. Siada na ganku, z którego przez drzewa kazała przeciąć widok na mogiłki i kościółek, pogląda w tamtą stronę i duma.

Nieszczęście rzadko przyjdzie samo jedno; wlecze ono zwykle za sobą długi orszak żałobny: — przed mężem jeszcze straciła Stareńska ojca, po nim już pochowała matkę, jedyną swą i najlepszą przyjaciółkę; pozostał jej brat tylko. Dobry-to był człowiek i przywiązany do siostry po swojemu, ale tak się zawczasu wciągnął do gospodarstwa, że w nim uwiązał cały; ożenienie, dwoje dziątek uczyniły go skrzętniejszym jeszcze; człowiek a brat znikł w nim przed ekonomem; nie miał już serca, tylko do swojego zajęcia. Rzadko nawet — i to chyba wezwany — odwiedził siostrę, która zupełnie została samotną, bo ksiądz tylko staruszek, kilka litościwych sąsiadek, czasem jaki nieproszony urzędnik zawitał do opuszczonego dworu.

Piękna i młoda Marya wędła we łzach i pracy, ustawicznie po-

trzebując sobie powtarzać, że jest matką, by się z życiem pogodzić. Była-to jedna z tych rzadkich dziś niewiast, pojmujących przedewszystkiem świętość i wielkość obowiązków, wierzących, że raz tylko w życiu kochać można i raz się życiem podzielić. Pierścionek ślubny, którego nie zrzuciła z palca, wiązał ją z grobem nazawsze.

Nikt przecie wierzyć nie chciał, by smutek, żal i poświęcenie wspomnieniu wiecznie tak trwać miały, bo nikt nie przypuszczał, żeby umarłego równie, a może więcej nad żywych kochać można. Są przecie serca rzadkie, dla których duch przeżywa ciało i wiecznie trwa przytomny u ich boku. Marya widziała Joachima ciągle przed zapłakanemi oczyma, sama się oszukując; dobrowolnie szukała go wzrokiem, wyglądała duszą, czekała nań, jakby się tylko na chwilę oddalił i za chwilę mógł powrócić. Otaczały ją pamiątki po nim, a najulubieńszym jej pobytom był ganek, z którego widziała mogiłę lub pokój Joachima, gdzie wszystko zostało, jak było za jego życia.

Tymczasem przyjaciółki i przyjaciele starali się ją w swój sposób pocieszyć i rozerwać, dziwując się, że to, co weseliło drugich, ją zasmucało tylko lub męczyło.

— Przejdzie to ta tęsknota — mówili ludzie. — Kobieta młoda nie może tak zwiędnąć; smutek przeboleje, zapomni i... pójdzie za mąż, jak drugie.

Niektóre dodawały dobroduszenie, stawiając za przykład siebie:

— Słowo w słowo tak samo płakałam i rozpaczałam po nieboszczyku mężu, a dlatego musiałam pójść za mąż, i choć co rok daję na nabożeństwo po dawnym, bo go jeszcze kocham, nie przeszkadza mi to kochać i mego terazniejszego...

Właśnie gdy się to działo, w okolicy Starego i w najbliższe sąsiedztwo przybył mężczyzna młody, całkiem nieznanemu w tej stronie, który Zalesie wziął dzierżawę. Wiedzano tylko, że się nazywał Juliusz Zlewa, że trzyletnie z góry zaliczył pieniądze i że z nikim żyć nie chcąc, zamknięty w domu, oddawał się cały gospodarstwu, a wolne chwile trawił z książką lub strzelbą w rękę. Młody, przystojny i, jak się zdawało, nie ubogi przybysz, bo wszystko, co go otaczało, zdradzało dostatek, z powierzchownością świadczącą o wychowaniu, z twarzą zajmującą i smutkiem obłąną, niemało nakłopotał okolicę, od której stosunków usilnie zdawał się stronić. Nadzwyczaj więc zaintrygowało wszystkich, gdy się dowiedziano nagle, że był w Starem. Na pierwszą wieść o tem natychmiast stare panie wykrzyknęły, klaskając w dłonie:

— Zobaczycie, że on się z nią ożeni!

Tymczasem tajemniczy Juliusz prawdziwie przypadkiem zawitał do Starego: potrzebował kupić drzewa na opał i poprostu dla

umówienia się o to przybył do ekonoma; ekonoma nie było; odesłano go do pani. Tak się zrobiła znajomość niespodzianie.

Osamotnionej kobiecie miłym być mogło, że ktoś inny, nowy i nie tak jak starzy znajomi natrętny zawitał do pustego dworu. Juliusz zadziwił się temu widokowi szczerzej żałoby i mimowolnie zajął się piękną wdową. Znać łatwo wrażliwy, odrazu poczuł, że przypadkowa znajomość ważnym będzie w życiu jego wypadkiem. Zatrzymał się dłużej, niż było potrzeba, bawił się ze Stasiem rozczulony, wysłuchał drżący krwawego opowiadania o śmierci pana Joachima i odjechał pijany, rozmarzony, smutny i szczęśliwy. Nietrudno odgadnąć, że wkrótce nowa potrzeba gospodarska powołała go do Starego, gdzie równie gościnnie i mile w prostocie ducha był przyjęty. Staś go poznał i kazał mu bawić się z sobą, — a któżby odmówił co biednej sierotce? Marya pomyślała, że te odwiedziny różnie ludzie tłómaczyć mogą; ścisnęło jej się serce trochę, ale spokojne sumienie odepchnęło bojaźń języków złośliwych. I Juliusz zabawił dłużej, a powrócił do domu gorzej pijany, rozmarzony więcej, smutniejszy i szczęśliwszy.

Po kilku dniach powrócił raz trzeci, przyjechał raz czwarty, a Marya, której synek polubił miłego gościa, powiedziała sobie:

— Cóż mi ludzka mowa, gdy sierotka się moja zabawi? Mogę dla niej pocierpieć trochę, a świat pomówi, uśmiechnie się i zapomni.

Gdy się to dzieje w Starem, sąsiedztwo oblatują powiększane coraz wieści o staraniach przybysza; już ktoś łaskawszy od innych poszedł po rozum do głowy i uplotł baśń o dawniej znajomości Juliusza z Maryą, już ich żenią, już się zapraszają na nowe wesele. Ale nikt tak gorliwie nie pracuje językiem, jak pani Emerykowa.

Rzadka-bo to kobieta pani Emerykowa: umysł niezmordowany, ciało nie mogące się postarzyć, a płochość dziecinna mimo lat pięćdziesięciu. Miała sobie za obowiązek wiedzieć najdokładniej o wszystkiem, co się działo w sąsiedztwie; znała życie każdego z najdrobniejszych szczegółami: zajmowała ją równie kłótnia małżeńska, sprzedaż zboża, odprawienie ekonoma, zmiana pokojówki i sprowadzenie nowego czepka ze Lwowa. Z nadzwyczajną zručnością z drobnych napozór wiadomostek umiała ona skleić i wyrozumować rzeczy nierównie większe, których nawet w zarodzie nie było. I tak kłótnia naprzykład małżonków naprowadzała ją na drogę domysłu o innych przywiązaniach za domem, które zaraz odgadnąć usiłowała i podawała jako nieomylny komentarz sporu; sprzedaż zboża zwiastowała upadek w inwentarzach, spowodowany wydatkami tajemniczemi; odprawa ekonoma tłómaczyła się jakąś potajemną intrygą, odmiana pokojówki — umizgami pańskiem, któ-

re niechybny rozwód zapowiadały, a nowy czepek ze Lwowa także mógł czasem znaczyć bardzo wiele. Pani Emerykowa nieporównanej była zręczności w wyciąganiu wniosków i sianiu wszelkiego rodzaju plotek, niezmordowanej gorliwości o dobro cudze, o moralność powszechną, gdyż zawsze niby w imię ich działała. Dziwna ta kobieta, której ani wiek, ani straty, ani choroby pokonać i złamać nie mogły, doszła pięćdziesięciu lat w niesłychanej pracy, wypłacającej się tylko wewnętrzną satysfakcją i strachem, który siała wkoło siebie. Rzadki dzień przesiedziała w domu, a rzadziej jeszcze trafiało się, żeby gdzie nie wyprawiała posłańca na zwiady. Miała formalnych szpiegów po ważniejszych punktach okolicy i najdoskonalszą policją; nikt też do moralnej statystyki sąsiedztwa tak wybornie zebranych nie posiadał materyałów. Szczepiotliwości niepomowanej, wesołości utrapionej, złośliwości większej, niż dowcipu, pani Emerykowa panowała w domu i na języku trzymała przerażoną okolicę. Ukazanie się jej żółtego koczyka i kasztanowatych koni przestraszało jak piorun mających cokolwiek do utajenia, nie bowiem przed nią utać się nie mogło, nawet to, czego jeszcze nie było i co się nigdy stać nie miało. Ludzie jej, zaledwie odłożywszy konie, szli zaraz na oględy i gawędy, z których potem ściśłą sprawę zdawać musieli. Nieraz nawet po drodze przejeżdżających żydków i posłańców wstrzymywała, żeby się od nich coś niespodzianego dowiedzieć.

Ale nadewszystko pani Emerykowa lubiła swatać, choćby nawet najstarszych — cóż dopiéro młodszych? Nie cierpiała próżnujących: panny, kawalerowie, wdowcy mieli w niej potężnego sprzymierzeńca, a czyję sprawę wzięła do serca, musiał już dobić targu lub wiecznie się z nią poróżnić.

Pana Emeryka zwano pospolicie tylko mężem pani Emerykowej, co go już dostatecznie maluje. Ulubionem jego zajęciem było siedzieć pod piecem i gryźć orzechy lub jeść pierniki. W domu nigdy o nim nie było mowy; wszystko należało i zależało do pani i od pani, ale myliłby się, ktoby z tego wnosił, że pan Emeryk był ubożuchnym, dzwigniętym z nicości człowiekiem. Owszem jejmość żadnego nie wniosła posagu, cały majątek był mążowski, on sam najpierwszym tylko i najlepszym żony sługą. Uwielbienie dla niej tak go ogłupilo, że nic nie robił sam przez się: wszystko z jej rozkazu i dla niej tylko. Miał się za najszczęśliwszego, gdy w dowód zadowolnienia dała mu garść orzechów i paluszek do pocałowania.

Szanowna pani Emerykowa nie miała dotąd przyjemności znać pana Juliusza Zlewy, co ją niesłychanie niepokoiło i bolało; odzywała się już nawet:

— Co to on sobie myśli, że się bez nas obejdzie! Zobaczmy! zobaczymy!

A to *zobaczymy* pełne było najstraszniejszej groźby.

Szczeńciem pan Juliusz rad nie rad dał się do państwa Emeryków ściągnąć choć prawie gwałtem, gdyż po niego wysłano pana Emeryka pod pozorem kupna pszenicy na nasienie, a w istocie dla zaproszenia go do Hodowa.

Rozstawiła nań sieci znakomita instygatorka i poczęła zaraz bardzo zręcznie badać, ale Juliusz z uśmiechem na ustach wykręcał się wprawnie a grzecznie z zapytań, nic na nie nie odpowiadając, potrafił jednak nie rozgniewać milczeniem upartym.

Powierzchnowość przybylca tak jakos przypadła do smaku pani Emerykowej, że zaraz po pierwszych odwiedzinach zawyrokowała:

— Bardzo przyzwoity człowiek; niezmiernie mi się podobał; pełen taktu! Dojdziemy, kto taki. Jużciż nie żyd, ani nie wychrzta; nazywałyby się inaczej, i ma herbowny sygnet na palcu. Ma coś dystyngowanego, francuszczyzna dobra, maniery większego świata... Bywał w lepszych towarzystwach... dużo ludzi zna po świecie...

I kręciła głową znacząco.

Dowiedziała się natychmiast nasza pani o pierwszych, drugich i następnych odwiedzinach Juliusza w Starem, zatarła ręce z radości i pocichu szeptała już:

— Niezawodnie się skojarzy!

Przeczekawszy czas niejaki, nie bez myśli rzucając tu i ówdzie słówko o tém, aby dla nikogo bywanie Juliusza nie mogło być tajemnicą, pani Emerykowa wybrała się nareszcie dla dokończenia sprawy do Starego, obiecując sobie, że oświeci wdowę i przyspieszy požądane wesele, które za swoje dzieło uważać chciała.

Zastała Maryą w zamku z dziecięciem, ubraną, jak zawsze, w grubą żałobę, a przy niej starego Hrycia, który tylko co skończył z nią długą jakąś naradę i powolnie za przybyciem gości się oddalił.

W początku obojętnie zagaiła rozmowę, ale wkrótce, odprawiwszy dziecię, gdy język coraz mocniej świerzbić poczynął, przystąpiła do rzeczy.

— Moja tedy kochana pani — zawołała, przysuwając się z przymleniem do niej — pozwól sobie usłużyć szczerą, dobrą, przyjacielską radą. Do czego to, proszę cię, ta żałoba, te smutki? Jużciż tak całego życia spędzić w Starem sama jedna nie myślisz, bo musisz kiedyś przecie pójść za mąż.

— Ja? za mąż! — porywając się z oburzeniem i uśmiechem politowania razem, zawołała wdowa — ja! pójść za mąż!

— Ale dlaczegoż?

— Dlatego, że kocham zmarłego, jak-em go żywym kochała, i kocham dziecię moje.

— Ale cóż to przeszkadza?

— Może-ż być, żebyś mnie pani o to pytała? — odezwała się Marya z podziwieniem naiwnym, tak, że swacha zmieszana oczy spuścić musiała. — Kochając jednego, być żoną drugiego dobrowolnie... godziż się i jest-li podobna?

— Przyznam ci się, że tój przesadzonej delikatności nie rozumiem — po chwili odpowiedziała Emerykowa. — Prędej-później nie dasz sobie rady, znudzisz się... i...

— Ja? mając dziecię i wspomnienie!

— Tyś tak młoda! Staś pójdzie w świat od ciebie, zostaniesz sama... Pozwól-że mi myśl moję dokończyć — dodała, widząc, że pani Joachimowa zabiera się jój przerwać — nacóż masz marnować życie? Potrzeba ci pójść za mąż, a kiedy już masz iść...

— Ale ja nie pójdę!

— Tak ci się zdaje; o! to imaginacya! Więc kiedy już masz iść, zacóż nie teraz, gdy, jak wiemy — wymówiła z przyciskiem — stręczy ci się tak przywoity młody człowiek.

— Mnie! — krzyknęła cała zapłoniona, łamiąc ręce, pani Stareńska — mnie! Któż to śmiał powiedzieć?

— O, zmiłuj się! do czegoż to udawanie? Alboż nie wiedzą wszyscy, że Juliusz się w tobie kocha? Darmoby się zapierać... Czemu już lepiej nie kończycie?..

Trudno odmalować, z jaką gorączką gniewu i zniecierpliwienia porwała się Marya i pobięła do swachy z zacisniętymi rękoma.

— Masz pani — zawołała żywo — masz pani dla mnie choć cokolwiek przyjaźni?

— Zmiłuj się! alboż o tём wątpisz?

— Daj-że mi pani jój dowód i nie wspominaj mi nigdy o zamęściu. To obelga dla mnie. Pan Juliusz jest, nie zaprzeczam, bardzo miłym człowiekiem, mam dla niego wiele szacunku, lubię jego towarzystwo, bo go Staś mój pokochał, ale od tego do złamania ślubu... o! daleko jeszcze, pani!

— Jakiż to ślub ci w głowie, moja Marysiu? — z podziwieniem odezwała się Emerykowa.

— Ślub, który mnie z mężem łączy.

— Ależ on umarł.

— Tak jest, umarł, dochowawszy swęj przysięgi; ja żyję i pozostaje mi moję spełnić, trwając do śmierci wierną jego pamięci; tego dopełnię.

Po tych wyrazach, wyrzeczonych z zapałem, głosem, który nie dozwalał odpowiedzi, zamilkła uparta sąsiadka, zamysliła się i kwa-

śno pożegnać miała dziwaczną, jak ją w duchu zwała, kobietę, gdy przypadkiem Juliusz nadjechał. Oczy jej zabłysły... została.

Wdowa chmurno przyjęła gościa, domyślając się jakiegoś zмовy tam, gdzie nie było żadnej; niecierpliwość i oburzenie nią miotaly i po chwili, wytrwać nie mogąc, wstała i zbliżyła się poważnie do młodego człowieka.

— Zdziwisz się pan — odezwała się z uczuciem godności i niejaką dumą — że sama pocznę rozmowę niezwyyczajną i przykrą dla mnie, ażeby ją raz nazawsze zakończyć...

Juliusz powstał, nie mogąc sobie zrazu wytłómaczyć, co to znaczyło, wlepił w nią oczy i zadrżał.

— Posadzają już pana, najniewinniej zapewne, że masz czulsze dla biednej wdowy uczucie nad prostą litość. Ja pana tak płochym nie sędzę. Za taki wybór, w który jednak nie wierzę, musiałabym być wdzięczną, według ludzkiego sądu, a w istocie serce mi prawie gniewać się zań każe. Nie łudź się pan, jeśli myślisz o mnie; ta suknia czarna, to dziecię, które nad życie kocham, ta mogiła, na którą codziennie patrzę, dość mówić powinny, że nigdy się nie uczuję rozwiązaną z przysięgi, która mnie wiąże do śmierci. Jestem żoną umarłego, ale zawsze żoną... Nikt o mnie starać się nie może, boby mi tém najboleśniejszą wyrządził krzywdę: posadziłby mnie o brak sumienia, o brak serca, o nędzne udawanie. Ja cierpię, a urągać się boleści nie godzi.

I lzy wytrysły z oczu wdowy. Juliusz stał pomieszany, pani Emerykowa zagryzła wargi i targała woreczek.

— Przebacz mi pani — rzekł nareszcie, ochłonawszy nieco, Juliusz — jeśli był dla niej powodem mimowolnym przykrości. Bolał mnie te lzy, za które chętnie wylałbym krew moję. Jeśli miał myśl jaką, zostanie ona we mnie pogrzebaną na wieki; nikogom jednak, wierzaj mi pani, do odgadywania jej nie ośmielił.

Spojrzał na sąsiadkę.

— Odtąd pozwól mi pani pocieszać się jej szacunkiem i zyczliwością; ja więcj nie żądam.

— Masz pan — podając mu drżącą rękę, rzekła Marya — szacunek, przyjaźń, zyczliwość, boś na nie zasłużył, i z tego nie robię tajemnicy, ale powtarzam to, serce moje w grobie męża, ręka w jego pierścieniu, jestem żoną i matką; nikt nie powinien zbliżać się do tej sukni czarnej, jak sukni kapłana, z myślą płochą, bo go ze wzgardą odepchnę...

To mówiąc, usiadła poruszona i drżąca.

— Nie rozumiem, co mogło być powodem oburzenia pani na mnie — rzekł po chwili Juliusz. — Boli mnie to tém więcj, że wygnanemu ze Starego tęskno będzie jak po raj.

— Ja wcale pana nie wyganiem — uspokajając się nieco, zawołała wdowa. — Mniejsza mi o to, że ludzie różnie sobie nasz stosunek tłumaczyć będą, bo ludzie ludźmi są zawsze; muszą szukać czegoś brudnego, żeby się nieco pokarmić. Proszę pana owszem, żebyś u mnie bywał, ale bez myśli żadnej, bez żadnego zamiaru... Inaczej, mniebyś pan obraził, a siebie zawiódł.

Pani Emerykowej pozostawało wyjechać tylko: nie miała co powiedzieć, burzyła się cała i już myślała, jak w sąsiedztwie całą tę scenę — którą nazywała komedią — opisywać będzie; przeszedłszy się więc parę razy po pokoju i niby przepatrując kwiatki, stojące na oknach, wejrzała na zegarek jakby z przypadku, szybko pożegnała wdowę i, zostawiając ją sam-na-sam z Juliuszem, pośpieszyła do domu.

Zmieszany, smutny gość chwilę jeszcze przystał, pobawił się w kątku ze Stasiem, nie śmiał już słowa powiedzieć, żeby nie dać powodu do nowych tłumaczeń i objaśnień bolesnych; nareszcie wziął za kapelusz i chciał się wysunąć, ale wdowa pbczęła sama.

— Muszę się panu wytłumaczyć z mojej gwałtowności — odezwała się prawie ze łzami.

— Domyślam się, że powodem wszystkiego musiała być usłużna sąsiadka.

— Tak jest; dała mi uczuć boleśnie, jakie świat ma wyobrażenie o mnie, jak ludzie ocenili serce moje...

— Nie sądz pani o wszystkich z tej opłakanęj próbki — żywo odparł Juliusz — to wyjątek...

— Jakkolwiek bądź, słówko jęj niebaczne dotknęło mnie do żywego. Więc mi nie wierzą! więc sądzą, że kłamię łzami, kłamię suknią! samotnością! żalem! wszystkiem!

— Ależ pani! powtarzam, to wyjątek...

— O! biedne my kobiety! — ciszej zapłakała wdowa — biedne my kobiety!

I twarz ukryła w dłoniach, zamyślając się łzawo i długo. Widok ten przeszył młodego człowieka, uczuł jakby zgryzotę sumienia za myśli, które mu przez głowę przebiez mogły, zwilżyły się i jego oczy i niepostrzeżony wysunął się z pokoju.

Smutny włókł się ku pustemu swojemu mieszkaniu, z myślami dziwnie przykremi, z jakiems odretwieniem na wszystko; kochał więc, bolał z odebrania nadziei; ale że kochał poczciwie, myśl, że będzie mógł widywać Maryą i daleką nad nią czuwać opieką, trochę otuchy wlewała do serca zakrwawionego niespodzianie i srodze.

Skąd i jak wzięła się ta miłość, jak niespodzianie na tak gwałtowne uczucie urosła, jak zapełniła w nim próżnię serca i duszy i zagarnęła w siebie życie całe, Juliusz sam o tém nie wiedział.

Niedawno zraniony boleśnie, schronił się na wieś, pragnąc zapomnienia i spokoju, chcąc wypocząć i opamiętać się po szalach burzliwej dosyć młodości; tu znowu spotykał niewyminioną namiętność, udręczenie nowe i rozpacz.

— Nigdzie więc niema dla mnie spoczynku? nigdzie ciszy? — myślał, jadąc lasem i puszczał cugle koniowi. — Zaledwie jedne zamknęły się rany, już drugie-m sobie otworzył! Szalony! nigdyż nie zestarzeję się, nie ochłonę, nie skończę tej walki z sercem własnym, które na oślep się rzuca na każde światelko, jak ćma, przeznaczona na spalenie? Nie! nie! widzieć jej nie chcę! Zamknę się znowu, przeboleję, zapomnę; pozostanie poczciwa, gorąca przyjaźń i nic więcej!

Mówił te słowa żywo, namiętnie i podniósł machinalnie głowę, jakby wyrzekał uroczystą przysięgę; gdy wtém widok jakiś niespodziany, dziwny wyrwał mu z piersi wykrzyk, a ręka wstrzymała konia.

Znajdował się właśnie wpośrodku lasów, należących do Starego, na uroczysku, zwaném Ładowym gajem, ponad którym przebiegała mała uczęszczana drożyna, wiodąca do Zalesia.

Ładowy gaj leżał na wyniosłym wzgórzu i składał się z rzadko rozsianych po zielonej murawie odwiecznych dębów, u których stóp nie rosło, tylko, jak w parku angielskim, szmaragdowa niska trawka. Na samym tego wzgórza wierzchołku był usyp jakiś, jakby krągła wielka mogiła, z rodzaju tych, które u Awarów Ringe zwano, wpośrodku próżny i zakłęsły, a tak obszerny, że się w nim kilkadziesiąt osób łatwo pomieścić mogło. Dołem ponad samą dróżką sączył się strumyk, otoczony sitowiem i ubrany kwiatkami, kręto płątał się pomiędzy drzewami i niknął w oddaleniu wśród gliniastych obrywów.

Miejsce było bardzo piękne i coś poważnie smutnego otaczało tę tajemniczą, starą, milczącą już od wieków mogiłę — pracę ludzi, których kości oddawna ziemia pożarła. Nie piękność jednak miejsca uderzyła tak bardzo Juliusza, ani widok tego nieodgadnionego usypu, ale postać, która w zamyśleniu dziwném stała u mogiły. Był to starzec z siwą brodą, spływającą mu na piersi, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy, tak — można rzec — natchnionej postaci, że u stóp grobowca zdawał się z niego wychodzić jak nie-ziemskie zjawisko. Sparty na białym kiju zgiętym, poglądał pod nogi swoje oczyma smętnie w ziemię wlepionemi i ani postrzegł, ani posłyszał przybycia Juliusza.

W chwili gdy podróżny nasz półgłosem wykrzyknął zdziwiony, wpatrując się w starca, najróżniejsze w rysach twarzy objawiając uczucia... wieśniak, gdyż ubiór miał kmiecy, zoczywszy go nareszcie,

wpatrzywszy się w Juliusza chwilę, szybko chciał usunąć się za mogiłę, ale jakby się rozmyślił zaraz, przystał i śmiało zmierzył okiem stojącego w miejscu młodego człowieka.

Oczy ich spotkały się, a Juliusz, nie pewien, to otwierał usta, chcąc coś przemówić, to je milczące przymykał. Widać było, że się wahał, że poznawał i nie był pewien, że go nie zdradzają oczy, że chciał powitać i nie śmiał... Starzec wciąż obojętnie przypatrywał się jeźdźcowi, który stał w miejscu.

Nareszcie po długiej chwili Juliusz zeskoczył z konia i szybko zbliżał się ku dziwnemu dla siebie zjawisku; o kilka kroków jeszcze raz stanął, wlepił wzrok wyteżony i zawołał:

— Ale to ty! to ty jesteś! Nie mogę cię nie poznać, choć za prawdę z tą brodą, w tym stroju, w tej stronie kto innyby się omylił, ale nie ja!

I rzucił się ku starcowi.

On stał jeszcze nieruchomy, tylko uśmiech jakiś przebiegł mu po ustach.

Juliusz się zastanowił.

— Miałożby mnie tak nadzwyczajne uwodzić podobieństwo? jest-li dwóch ludzi tak dziwnie, bliźnięco do siebie podobnych? Nie! nie! ja się nie myślę.

Postąpił jeszcze, a wtém starzec przemówił łagodnie, zdejmując czapkę i kłaniając mu się do kolan z pewnym rodzajem dobrodusznój ironii.

— Tak, jasny panie, to ja! nie mylisz się!

— Cóż to za dzień nadzwyczajności! — zawołał Juliusz — co to za komedia? powiedz mi; patrzę i oczom nie wierzę... Ty... tutaj, w tym stroju!.. Wytlómacz-że mi, proszę, tę zagadkę, ale na-przód uściśnijmy się po staremu.

To mówiąc, przyskoczył gorąco i ucałował starego, który przejęty jakimś uczuciem, silnie go objął w milczeniu, i gdy ręce opadły, łza mu w oku zabłysła.

— Na Boga! nie jesteś-li w niebezpieczeństwie jakim? Kryjesz się i uciekasz! Mów, co to jest? Szczęściem mogę ci być pomocą.

Hryć Soroka, gdyż to on był, znowu ironicznie się tylko uśmiechnął.

— E! mój panie Julianie — rzekł rubasznie — nie szukajcie darmo po głowie dziwołogów: ani się kryję, anim przebrany, a jeśli grozi komu niebezpieczeństwo, to pewnie nie mnie.

Słów tych nie uważał Juliusz, który począł nalegać gorąco:

— Na Boga! mój zacny i poczciwy nauczycielu, wytłómacz-że mi, co się z tobą stało i co to znaczy?

— Zdaje mi się — odrzekł smutnie Soroka — że gdybym ci się jak najszczerzej wytłómaczył, niebardzobys mnie zrozumiał.

Juliusz zamilkł.

— Ale ta suknia — rzekł po chwili — ta broda, to oddalenie się z miejsca, w którym zdawałeś się osiadłym nazawsze...

— Mój kochany panie Julianie — odparł starzec — nigdy człek nie wie, co los z nim zrobi. Nazawsze spoczniemy tylko w grobie... a na ziemi niema: zawsze...

— Cóż tu robisz? — spytał znowu coraz silniej zajęty młodzieniec. — Jakto, mnie nie chciałbyś powiedzieć, zwierzyć się? mnie nawet?

Stary uśmiechnął się trochę weselęj.

— Lubilem cię bardzo, mój kochany uczniu — rzekł powolnie — byłeś u mnie Benjaminkiem, nie zgubiłem cię z oczu nawet, gdyś się w świat puścił, bom przywiązał się do ciebie; ale nie łudziłem się nigdy; zawsze-m widział w tobie nieszczęśliwego wrażliwego chłopaka, co w zapale gotów był życie dać dla człowieka, dla ludzkości, dla myśli szlachetnej i jutro toż samo życie postawić na kartę dla igraszki, dla zabawki, dla roztargnienia, dla pięknych oczek, w których błysło trochę życia i nadziei. Jakże chcesz, bym tak płochemu, choć najpoczciwшему zwierzał się z tego, co może jest tajemnicą życia mego!

— Na Boga! ale kiedyżem zaufanie zdradził? — zawołał Juliusz.

— Poczekaj-no, poczekaj! nie rozpalaj się i nie krzycz! Widzę, że tu nie miejsce do rozmowy; pójdźmy na ustron trochę.

To mówiąc, ruszył się Hryć z pagórka, a Juliusz, wiodąc konia za sobą, postąpił za nim milczący, lecz jeszcze pod wpływem podziwienia i rozdrażnionej ciekawości; — szli, a oczy młodzieńca nie opuściły na chwilkę tajemniczej postaci, którą miał przed sobą, jakby ją wzrokiem chciał przeszyc do głębi i odgadnąć.

Spuściwszy się ze wzgórza, przeszedłszy strumyk i okrążywszy część wyniosłości, na której rósł Ładowy gaj, znaleźli się w parowie zarosłym krzewami z góry i tak gałęziami ich zasklepionym, że promień słońca nigdy się tu nie mógł przecisnąć. Zpod jednej ściany obrywu, z dębowego ocembrowania sączyło się źródelko, z którego powstawał strumień. Gliniaste, wysokie i strome boki parowu osłaniały z trzech stron tę ustron, w której głębi ciemność była zupełna. Szeroki kamień leżał nieopodal od wnijscia; na nim zasiedli przybyli i Juliusz chwycił starca za rękę niespokojnie, z bolesnym wyrzutem w twarzy.

— A! ciężkość mnie dotknął, mój drogi nauczycielu — rzekł. — Więc-em ja tak płochy, tak nieroztropny, że mi nawet nie śmiesz

powiedzieć nie o sobie, wiedząc, jak cię Kocham? Mógłbym cię zdradzić? powiedz!

Hryć sparł się na swojej lasce, odwrócił twarz ku towarzyszowi i odpowiedział powolnie:

— Wiele-to lat, jak-śmy się nie widzieli?

— Nie wiem; blisko podobno dziesiątka! — odparł Juliusz.

— Dziesięć się kończy teraz — rzekł Hryć Soroka — a wiele też razy od tej pory kochałeś się, Juliuszu, byłeś szczęśliwy i nie-szczęśliwy, zrozpaczony i pełen nadziei? wiele razy traciłeś majątek i wygrywałeś go znowu? wiele razy zmieniałeś sposób życia i z pustelnika przerobiłeś się na miejskiego wytwornisia?

Juliusz się zaczerwienił.

— Nie wiem, wiele to razy w przeciągu tych lat dziesięciu spotkać mnie mogło, ale to pewna — rzekł z zapalem szlachetnym — żem ani razu nie zdradził nikogo!

— Jako? nawet kochanki?

— Zdradzono mnie, alem ja niewinny.

— Tyś na to przeznaczony — smutnie powoli odpowiedział stary — prawda! prawda, mój biedny męczenniku namiętności! No! daruj-że wymówkę, która być mogła gorzką, ale doprawdy gdybyś się zalił, żem ci płochość zarzucił, nie miałbyś do tego prawa!

Juliusz zamilkł.

— Powiedz-że mi na przykład — ciągnął dalej Hryć — ledwie tu przybywszy, jakże było można, świeżo przebolawszy tyle...

— Ale skądże ty to wiesz?

— Ja wiem wszystko — uśmiechnął się stary — i temu się nie dziwuj, bo to tak zawsze bywało. Jakże można, byś, świeżo przebolawszy, przybywszy tu z rozpaczą nieuleczoną, boś tak ją nazywał, z zamiarem zmiany życia i osamotnienia, jak można, byś tak prędko znowu, ledwie zastudziwszy serce z jednego uczucia, rozgorzał zaraz drugim?

Juliusz powstał.

— Ale mój kochany tatku (pozwól się po dawnemu nazywać...) skąd-że ta wszechwiedza? — rzekł, pokrywając żartem wrazenie. — Wiesz, jak tu przybyłem i wiesz już nawet, co myślę w tej chwili!

— Wszak tak zawsze bywało — odpowiedział stary — przypomnij sobie; nie-ście przedemną ukryć nie mogli. Cóż dziwnego, że i teraz po kroku, jaki uczynisz, dopytuję się uczucia, które za nim idzie nieuchronnie?

— Skądże wiesz kroki?

— Bo na nie patrzę...

— Chcesz więc, bym oszalał... Ja tego nie rozumiem.

— Może kiedyś wszystko ci się jasniej wytłómaczy — powolnie mówił Hryć, wstając — teraz czas się nam rozejść...

— I porzucisz mnie tak?

— Nie na długo; zobaczymy się...

Juliusz odchodzić nie chciał, stał wryty, wtém jakby na jego szczęście silny grzmot dał się słyszeć; błysnęło szeroko, grom rozległ się po lesie i górach, wichur zaszumiał i ogromne deszczu krople spadać poczęły na głowy zmiędzy rzadszych u wnijscia gałęzi.

— Burza! burza straszna! — potrząsając głową, rzekł Hryć — a ja, zapomniawszy o niej, wstrzymałem cię za długo, i do wsi i do karczmy daleko; nie wiedzieć, dokąd się schronić.

Staął i podumał chwilę.

— Musimy się wstrzymać — odezwał się po namyśle stary wieśniak. — Burza będzie straszna i długa, do wsi mila, karczmy żadnej; jechałby ci było niebezpiecznie i przykro. Może wreszcie znajdę przyporzysko!

To mówiąc, zawrócił się nazad w wążów ciemny.

— Jeśli w tym parowie — rzekł Juliusz — to na taką burzę wszystko jedno, co pod gołém niebem...

— Znajdziemy coś lepszego — tajemniczo szepnął stary — tylko, panie Julianie, zapomnij, proszę, żeś tam był, dokąd cię prowadzę; jest-to skrytka na wypadek wojny, nieszczęścia jakiego; wydawać się jej nie godzi. Kto wie, pod te czasy bardzo przydać się może...

— Znowu posądzacie mnie!

— Jużciż nie, kiedy ci ją odkrywam. Za mną, za mną, a żywo! Burza się zbliża, niezadługo las zadrży i drzewa polecą nam na głowy! Uciekajmy!

Posunęli się, uwiązawszy wprzód konia u wnijscia, w głąb' jaru ciemnego, który na trzy czy cztery rozdzielał się gałęzie; Hryć po namyśle skierował się wprawo i stanęli przed ścianą gliniastą, zakończającą nagle rozpadlinę. Tu niewielka bryła ziemi, porośla trawami, mchem i drobnymi krzewami, pchnięta silną dłońią starca, odtoczyła się nieco i za nią pokazał się czarny otwór.

— Schyl się i wchodź za mną — rzekł stary, zręcznie wsuwając się przodem.

Szeroko znów rozświecająca świat błyskawica wskazała wyraźniej paszczę pieczary, do której za swym przewodnikiem wszedł Juliusz. Stary schwycił go za rękę, bo zrazu nic rozeznac nie mógł i ciemno mu było jak w grobie; oczy jego olśnione oswoić się nawet nie mogły z przepaścistą nocą tego dziwnego podziemia, w którym powietrze chłodne i orzeźwiający zdawało się dowodzić, że się daleko rozciągało. Czuć było nawet jakby lekki przewiew, po którym

pomiarkował Juliusz, że gdzieś dalej inne wejście lub otwory być muszą.

— Stój-że teraz w miejscu — rzekł Hryć, puszczając jego rękę a ja się o światło postaram.

To mówiąc, postąpił kilka kroków i po niedługim oczekiwaniu zapalił grubą, nieforemnie zlepioną świecę woskową.

Zewnątrz rozlegający się łoskot nadchodzącej burzy, która drzewa wywracała z korzeniami, bijących jeden po drugim piorunów, szum ulewnego strumienia spadającego deszczu, nagłe przejście w ciemność, doznane dnia tego uczucia przyłożyły się do wywarcia na Juliuszu mocnego wrażenia widokiem pieczary, którą przy słabym blasku zażegnionej świecy ciekawie oglądał. Światelko powolnie rozlewające się ukazało mu wyżłobione ręką ludzką podziemie, którego sklepienie nieforemne spierało się tu i ówdzie na zostawionych ogromnych, ciężkich, z gliny słupach. W ścianach oczerniałych od dymu widać było porobione wgłębienia, a pod nimi wciąż idące przyźby szerokie służyły zapewne za siedzenia i miejsca spoczynku. Pod nogami walały się węgle zagasłych ognisk i kości. Juliusz z przerażeniem postrzegł u stóp swoich niedogorzałą czaszkę ludzką. Powiódł wzrokiem milczący, chcąc zbadać głębię podziemia, i nie dopatrzył końca: pieczara, zniżając się i zakręcając w różnych kierunkach, ciągnęła się daleko w górę, na której stał Ładowy gaj. Gdzieniegdzie z pękniętego jej stropu zwieszały się blade korzonki drzew, które przebiwszy go cienkimi niemi, wyciągnięmi w próżnię, zdawały się szukać uciekającej im ziemi.

Juliusz nie mógł się napatrzeć nowego dla siebie i zajmującego widoku; stary Hryć stał przed nim i patrzył w twarz jego, badając wrażenia, jakie na nim to dziwne schronienie, wysłane kośćmi ludzkimi, uczyni.

Młody człowiek chciał się posunąć dalej, ale go towarzysz wstrzymał.

— Zostańmy tu — rzekł — niema tam nic do widzenia. Siadaj na tej ławie gliniastej i spocznij. Puszczaj się dalej i niepotrzebna i niebezpieczna.

— A dalekoż ciągnie się ta pieczara? — spytał Juliusz, gdy stary, zasłaniając światło od przewiewu, przytwierdzał je do jednego z bliższych słupów.

— Nie wiem — odparł Hryć — końca jej nikt nie doszedł.

— Szkoda! To ciekawa starożytność; możeby się co w niej odkryło.

Ta uwaga widocznie zniecierpliwiła starego, który brew zmarszczył i posępniej odpowiedział:

— Cóż się tu znaleźć może? nagie ściany, kości trochę i popio-

lu. Ja byłem daleko w głębi; toż samo, co tutaj; tylko nietoperzów więcej.

— Ale muszą być jakieś podania o téj jaskini? Cóż znaczą te kości? — badał Juliusz, cały zaprzętniony nowém odkryciem, rozglądając się. — To widocznie są czaszki ludzkie.

Starzec zamilkł i zdawał się przysłuchiwać burzy, która wrzała, coraz się jeszcze powiększając, nad ich głowami. Chwilami z wstrząśnionej ziemi sklepienia sypały się na nich drobne obłamy; koń Juliusza rżał niespokojny u wnijscia.

Po chwili z westchnieniem usiadł Hryc przy młodym człowieku i kładąc mu rękę na kolanach, zapytał:

— Julku mój, nie słuchajmy téj burzy; korzystajmy z chwili: powiedz mi swoją historią i poskarż się na to, coś wycierpiał. Znajdziesz i dziś mczę pod tą sukmaną serce, co ci z dobrą radą póspiesz.

— Ale naprzód, stary mój nauczycielu, wytłómacz mi siebie!

— Dziwnieś ciekawy!

— Daruj, ale któzby nim nie był.

— Tymczasem to bardzo prosta historia — dodał smutniej Soroka. — Chciałeś jęj, słuchaj więc, ale bądź cierpliwy, bo żebym ci mógł wytłómaczyć sukmanę, którą na mnie dziś widzisz, wiele wprzód rzeczy powiedzieć muszę, nawet takich, które nie rad mówię. Uzbrój się w cierpliwość, kochany Julku, i daj mi słowo, że to, co powiem, nie powtórzy się nigdy i nikomu.

Juliusz wyciągnął rękę do starca.

— O tém i wspominać nie potrzeba — rzekł uroczyście. — Możecie mi powierzyć, co chcecie; umrze to ze mną pewnie.

— Niech z tobą żyje, to większa sztuka — dodał Soroka — a teraz słuchaj spowiedzi, którą sam wyzwał.

— Trzeba, żebyś wiedział naprzód, że twój stary nauczyciel, ów Grzegorz Soroka, co śmiał karcieć dzieci szlacheckie i nieraz krnąbrnego panicza za ucho pociągnął, jest, był i będzie prostym kmiotkiem.

Juliusz spojrział wielkimi oczyma, a starzec zlekka się uśmiechnął jego podziwieniu.

— Zdziwi cię to może, zem szlachezca udawał i nie chwalił się pochodzeniem swoim, milcząc o mojej przeszłości... ale dziwić nie powinno. Złe znacie przeszłość naszą, jeśli podobne uszlachcenie wieśniaka zdumiewać was może. Przykładów jego tysiące macie

w dawnych dziejach waszych; dopiero w ostatnich nieszczęśliwych czasach, a szczególnie w krajach przez Polskę na Rusi podbitych i przyswojonych, żywił szlachecki z powodu różnic narodowości wyrobił się na zupełnie odrębny i oddzielił całkiem od ludu pospolitego. Dawniej zasłużonych kmieciów panowie do herbów nawet przyjmowali, a Batory pocziwiej swój wieśniaczej piechoty pod Pskowem i Połockiem wyszlachcił nie mało. Jeszcze w odleglejszych wiekach Polski kmieć nie był wcale poniżony, ani spódlony, jak w najbliższych nas czasach wyjątkowo bywał; bo, ogólnie rzeczy biorąc, nigdzie u nas nie było ucisku, nigdzie takiej niewoli, jak na Zachodzie, choć Zachód, nie pojmując instytucyj naszych, wiecznie nam je wyrzucał. Uwierzyliśmy obcym i o tym ucisku, papugi, powtarzaliśmy za nimi! Jak tajemnie sączące się strumyki wielką podsycają rzekę, tak lud niewidocznie wyborem swym zasiliał szlachtę. Wiedzieli nieraz panowie o uszlachcającym się chłopie i milczeli, bo czuli, choć sobie może z tego sprawy nie zdawali, że szlachectwo głównie się zasadza na poświęceniu dla kraju, a kto w jakikolwiek sposób poświęca się dla niego, już przez ten czyn sam zostaje szlachcicem. Dlatego wszelaki talent, zasługa wojenna dawały zawsze szlachectwo, i ile krwawych pól w waszych tarczach, tyle szlachty, co się dobiła poświęceniem miejsca dla potomków swoich, uprzywilejowanego wspomnieniem. Teraz może kupuje się w niektórych krajach szlachectwo i tytuły; dają to za pieniądze, co się krwią tylko zdobyć mogło; ale też-to wiek wcale nie szlachecki; pojęcie nawet szlachectwa zostało sfalszowane lub zniesione. Widziałeś mnie w sukni waszej, na równi stojącego z wami... alem ja i wówczas w sercu był kmieciem, choć dla próżnej młodzieńczej żądzy wyniesienia się, oświecenia i nieokreślonych jakichś nadziei wyrwałem się z tego stanu. Jak? to ci zaraz opowiem. Trzeba, byś wiedział, że panowie Starego nie byli innym podobni... Wiesz-to może w kraju jedyna, w której lud z panem starą, jeszcze słowiańską jednotę stanowił, w której patryarchalnego związku tego nic nie nadwreżyło na chwilę; my i panowie nasi nie staliśmy nigdy w przeciwieństwie i w walce, jak gdzieniegdzie poddani i dziedzice, aleśmy trwali z pokoleń w pokolenia w miłości, zgodzie i połączeniu. Niema w tém nic dziwnego wcale; tak w dawnych wiekach było wszędzie. Złe sobie wyobrażają zagorzalcy dawny w Polsce rzeczy porządek i, zasadzając się na wyjątkowych uciskach, na występkach, które są po dziś głośne, z nich stan włościan przedwiekuisty chcą zrozumieć i odtworzyć. Ani owe wyjątki, ani to, co nam w prawach pozostało, nie objaśnia o stosunkach panów i kmieci... Prawo nie urządzało tej zawisłości, ale zwyczaj; był-to żywy rzeczy porządek, zasadzający się na tradycyi, i dziś dla badaczy, co wszyst-

kiego szukają w papierze, nieodgadniony. Było wcale co innego... była społeczność we właściwy sobie sposób urządzona, związana miłością, wymiarem słusznym pracy i stopniowaniem, koniecznym wszędzie, a nikogo nieponiżającym. Pan był ojcem swęj włości, a on i ludzie jego stanowili zupełną jedność... Była-to więcj może, niż społeczność związana interesem materyalnym: była-to przysposobiona rodzina, był-to węzeł patryarchalny. Nie mówię o wyjątkach, bo gdzież ich niema? To źle tylko, że późnij historia całkiem się na nich oparła, zabywszy, co umarło w ciszy, to jest normalnego bytu. Wogóle przywiązanie człowieka naszego stanu do ziemi było całkiem dobrowolne, jak tego nazwanie wielu osad podziśdzien jeszcze dowodzi; zależność jego od dziedzica raczej dobrodziejstwem mogła się zwać, niż przymusem. Ale też panowie inaczej pojmovali swe obowiązki i duch jeden, duch chrześcijańskięj miłości ożywiał wszystkich. Dwór stał na czele wioski, był jej rządem, jej sądzia, ale zarazem jej opiekunem, śpichlerzem, podskarbigim, obrońcą, przedstawicielem. Dopiero późnij, gdy szlachta się zepsuła pod wpływem zachodniej cudzoziemszczyzny i straciła uczucie obowiązków chrześcijańskich, z utratą ducha wiary, pan mógł się stać niesprawiedliwym względem swęj gromadki. W dawnych czasach, w tych, o których wiedzą najlepiej podania nasze, w słowiańskim bycie patryarchalnym, w pierwszych wiekach gorliwego chrześcijaństwa nie było przykładu nadużyć władzy i gwałtu. Owszem, społeczność owa była częms idealnie doskonałym: szlachcic kierował mniej więcj rozległą gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha, niż panem z materyi; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całym życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonej mu gromadki, puszczał z niej w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiał przy roli takich, co tę pracę kochali i do innej nie mieli serca lub zdatności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał. Niech sobie nowi mistrze nauki społecznej, ci, co z gruntu chcą świat przerobić według formy przez siebie wymarzonej, szukają lepszego wzoru społeczności nad owę słowiańską; ja go nigdzie nie widzę... i dopóki trwa w niej duch ożywiający, duch podań, duch wiary, co chrztem nowym stara Słowiańszczyznę obmyła, przyjmując się na tęg bujnęj roli z siłą cudowną... o! nigdzie może nie było lepiej! Szlachcic tęg się tylko odznaczał od reszty, że większe i cięższe miał obowiązki... Nie żył on w zbytku, przestawał na małym, bronił kraju krwią, odpowiadał za niego głową, radził i rządził, ale za wszystkich cierpieć i poświęcać się musiał. W miarę tego poświęcenia społeczność wydzielała mu cześć, mienie i znaczenie. Lud, stojący pozornie na najniższym szczeblu hierarchii towarzyskiej, był w istocie najszcześliwszy. Pracował

on dla wszystkich na chleb powszedni, ale go bronili wszyscy i otaczali uzbrojoną pierśią, zaszczycając od wszelkiej napaści. Zresztą dziwuj się, jeśli chcesz, Juliuszu, ja ci dziś jeszcze powtórzę, że niema szczęśliwszego nad stan wieśniaczy na naszej pięknej, bujnej ziemi...

— To prawda, kochany nauczycielu — odparł z uśmiechem młody człowiek — dotychczas wcale przeciwnie mówiono i pisano...

— Być bardzo może, i nie dziw. Wreszcie w Europie inaczej było, niż w Słowiańszczyźnie, a żeśmy wielkie mały, z pozwoleniem pańskim, gdy tam zaczęto uważać się na ucisk włościan, musieliśmy i my to echem powtórzyć u siebie. Tymczasem u nas nigdy nie było takiej nędzy, takiego upodlenia, jak gdzieindziej. Nie trzeba po dowody iść daleko... U nas i teraz jeszcze włościanin idzie do pana codzien swobodny w każdej ważniejszej okoliczności, z weselem, ze smutkiem, ze świętem; przyjmują go jak brata, witają dłonią i sercem, dzielają strapienia i zabawę... Po wioskach naszych nieznane były nigdy wielkie klęski głodu, niedostatku, dopóki pan mógł im zarządzać; śpiczlerz zawsze stał otworem, worek otworem dla wieśniaka. Wreszcie nędza jego, o której tyle piszą obcy podróżni, utyskując nad lichą odzieżą, nad zapadłym mieszkaniem wieśniaka, cała po większej części jest powierzchowna. W grubiej chodzący świecie kmieć nasz nie pomieniałby się na cienkie suknie i cienki chleb angielskiego lub francuskiego proletaryusza; łachman ten nie ogrzałby go, a strawa nie nakarmiła. Potrzeba znać kraj i warunki życia w nim, żeby się przekonać, iż w istocie wszystko, aż do chaty chłopca, która jakkolwiek licha, miłą mu jest, bo pradiadowską, wszystko zastosowane do potrzeby, lub wynikłe z konieczności. Że u nas, na przykład co do odzieży, wieśniak daleko wygodniej, przyzwoiciej, lepiej jest odziany, niż francuski i angielski proletaryat, tego dowodzić nawet nie potrzeba. Tamci wyrobniicy i wieśniacy kupują swoje suknie po miastach, stare i śmieszne, my z własnego sukna, odwieczną, poważną, ciepłą i dostatnią pradiadowską mamy świętę. Zdaje mi się też, że poddasza nędzne Londynu i Paryża, nędzne kletki irlandzkie nie są wygodniejsze i zdrowsze od chat naszych. A jednak każdy przejeżdżający cudzoziemiec ma sobie za obowiązek na widok czarnej chałupy wieśniaka, jego prostej siermięgi i razowego chleba krzyknąć na północne barbarzyństwo! My zaś, jak skoro powie co wyrocznia nasza na Zachodzie, pokornie spuszczaemy głowę. Niech cię to nie dziwi, że sam wieśniak, nie idę śladem innych i nie wyrzekam na byt nasz; że widzisz we mnie człowieka tak przywiązanego do swojego stanu, tak go ceniącego, jak kto inny szlachectwo. Czemuż nie mam być dumny z moich dziadów, co karmili, gdy wy się pysznicie swo-

jemi, którzy kraj zasłaniali? Ręczę, że nie pomieniałbym się na żaden stan inny, na żadne pozornie lepsze położenie. Tak dziś, ale w młodości, choć napojonemu wcześniej przekonaniem, że niema na świecie bytu nad wieśniaczy, zaświtała w głowie chęćka czegoś innego: pragnęło się świat zobaczyć, uczyć się, spróbować innego życia. Miałem jeszcze naówczas ojca, który postrzegłszy tę żylkę we mnie — a był to człowiek wielkiego na stan swój rozumu — karcił za nią nieustannie... Może to właśnie przyłożyło się do rozwinięcia jej we mnie. Po śmierci ojca pozostało nas trzech braci i siostra; w chacie ludno było aż do zbytku; nie wytrzymałem i uciekłem z wioski. Ani mi się wówczas zatęskniło za swemi, za tą ziemią, do której teraz tak wielkie czuję przywiązanie, anim się ku niej odwrócił, ani po niej zapłakał... Leciąłem do miasta i szczęśliwie mi się udało dostać do niego bez żadnej przygody. Tu dopiero postrzegłem, jaka była różnica między wioską i wieśniakiem a miastem i jego mieszkańcami; wszedłem jak w las w ten tłum ludzi, gdzie każdy o sobie tylko myślał i o sobie się lękał. Nikt mnie nie spytał, czy czego nie potrzebuję, nikt ręki nie podał; pierwsze dni z kilku groszami w kieszeni włóczyłem się, nie mogąc nasycić oczu, nie śpiąc, nie jedząc, a patrząc i słuchając. Ale się przebrało siły i zapasu; trzeba było coś począć z sobą, postarać się o dach, przytułek, pracę i chleb. Począłem zbliżać się do ludzi, a jedni zbywali mnie śmiechem, drudzy zdziwieniem niedowierzliwem, inni obojętnością zupełną. Niezrażony niepowodzeniem, śmiały jak wieśniak, parłem się wszędzie, szukałem szkoły, bo chciałem się uczyć, i znalazłem ją. Tu naturalnie sromotnie wygnany zostałem i poznałem, że co innego chłop na wsi, a co innego chłop w mieście. Mieszczanin stokroć dumniejszy jest od szlachcica. Wszyscy jak oparzeni uciekali ode mnie, a gdym powiedział, że się chcę uczyć, odskoczyli ze śmiechem. Nareszcie, włóczęc się tak daremnie po Lwowie, dostałem się do urzędu miejskiego, który mnie odesłał na wieś pod strażą, jak zbiega. Ojciec jeszcze nieboszczyka pana Joachima rządził naówczas w Starem... Był to człowiek zacny, łagodny, prawdziwy ojciec dla poddanych. Gdy mnie z tej włóczęgi przyprowadzono i stawiono przed nim, popatrzył, zmarszczył się bardzo, pamiętam, i rzekł z głębokiem wzruszeniem:

— Dobrze ci tak, chłopcze! dobrze! A poco było uciekać? Zacziało ci się w świat, czemużeś nie przyszedł do mnie, ze mną się o tém nie poradził i mnie nie poprosił? Widzisz, coś zarobił.

Odpowiedziałem mu z płaczem, że się chciałem uczyć.

— Trzebaż ci było mieć ufność we mnie — rzekł łagodniej — byłbym na to dał jakąś radę. Któż widział uciekać jak z niewoli!

Alboż to już wam tak źle u mnie, żebyście bez mojej wiedzy opuszczali swego pana?

Ja i bracia przeprosiliśmy go jakoś i nie przyszło to nam trudno, bo serce jego, widząc, com wycierpiał, odrazu mi darowało winę nieufności. Stary pan zamyślił się i odesłał mnie nazad do chaty, zapowiadając, że przyśle później i ułatwi mi tę naukę, której tak pragnę. Tymczasem bracia starali mi się wybić z głowy dziwne zachcenie, w Starem raz pierwszy się zdarzające, bo tu przywiązanie do naszego stanu więcej, niż gdzieindziej, wyrobił dobry byt i tradycja przeszłości.

— Jakiej przeszłości? — zapytał ciekawie Juliusz.

— Może się kiedy i o tym dowiesz — odpowiedział Soroka — dość że i my mamy swą przeszłość i dzieje, które pomnim, z których jesteśmy dumni. Przywiązanie też do swojej ziemi, do swej siedziby, do tego kąta pradziadów, wyrobiło się w nas potężniejsze, niż gdzieindziej. Uczułem i ja zamiłowanie w tym życiu, ciszy, pracy, śpiewów, podań i wpatrywania się w twarz pięknej ziemi-matki, w dzieło boże... ale pomimo to została mi tęsknota za urojeniem. W życiu tak zawsze: nie postrzeże się człowiek, jak w duszę padnie mu drobne żądzy nasionko, jak wyrośnie i obejmie mu piersi i skuje go sobie na hołdownika. I we mnie tak pragnienie czegoś nowego... nauki, świata, zagnieździło się niepojętym sposobem na wieczny niepokój.

— Żałujesz więc, kochany nauczycielu, żeś się oświecił, udoskonalili i podniósł?

— Długoby to o tym było mówić — rzekł stary, zamilknąwszy chwilę — ale doprawdy i wieśniak nie jest bez wiedzy pewnej, bez pojęcia świata, bez rozzarnienia; tylko źródło wiedzy jego jest wcale różne od waszego. Ja coś dziś umiem, bywałem po świecie, widziałem ludzi, znam ich uczoneść, wróciłem teraz na wieś i usiadłem wśród swoich. Patrzą i widzą, że nie są oni tak ciemni, jak wy sobie wyobrażacie. Niema tu nauki, co wszystko rozbiera, układa do jakiegoś wymyślnego porządku, numeruje i dziwnie przeżywa, a ostatecznie, rozpatrzywszy się w tym, co zrobiła, wyrokuję, że istoty rzeczy nie zna; niema nauki, która wie o wszystkim, a nie rozumie niczego; ale natomiast z podań odwiecznych doszła nas wiedza tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakim Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego.

Starzec widocznie zdawał się jakby natchnionym; Juliusz słuchał go z zajęciem, tak pilnie, że ruszyć się nie śmiał, by słowa nie stracił... Hryć mówił mu dalej:

— Porównajcie tylko lud miejski, otoczony brukiem, kamieniami i błotem, żyjący wśród kałuży, z ludem wioski, co pracuje pod

gołóm niebem, patrzy nieustannie na twarz ziemi i odgaduje dzieło boże... a przekonacie się, że on więcej umie i lepiej daleko zna świat od rzemieślnika i mieszczanina. Mądrość kmiecia płynie wprost z ziemi-matki, ssie on ją z jej piersi, wiecznie pełnej, wyciąga z podań nieprzerwanych i ciągłego wpatrywania się w to, co go otacza. Wieśniak niczém się nie zdziwi, bo przywykł do nieustannych cudów, bo żyje otoczony nimi; każde zjawisko zwiąże z czémś słyszalném u kolebki, a choć nie wytłómaczy równie dobrze, jak uczoney, zrozumie je przecie po swojemu, patrząc na nie nie suchém okiem badacza, ale sercem dziecka bożego. Niemal wszelkiej nauki nasionko pierwotne wyrosło z doświadczeń wieśniaczych, skarbnica postrzeżeń tu się zbierała: pasterze i rolnicy policzyli pierwsi gwiazdy na niebie, szukali w ziołach lekarstwa, poznali zwierzę i rozkopali ziemię; dziś jeszcze nieraz poradzi się ich uczoney i zdumieje niespodzianym tajemnicom, które z uśmiechem prostoty słowo wieśniaka mu odkrywa. Nieraz dziwujecie się mimo dumy waszej rozsądkowi prostych ludzi... Cała różnica tego nieoświeconego ludu, że on czerpie z ust do ust podawaną mądrość pierwotną, którą lada zetknięcie ze światem waszym głuży i gasi, a wy ją czerpicie z tego, co zowiecie nauką, z dzieła własnego, rozumem sklejonego, powoli klejąc i rozklejając je co godzina. Mógłbym, choć z pewną przesadą, nazwać naszą naukę objawioną, a waszą zdobytą; obie opierają się na jednej posadzie, ale z niej często zbacza druga, zbyt ufna w siły swoje. Wiele jest rzeczy u was poczytywanych za bajki, które są tajemnicą naszą...

Tu, jakby opamiętawszy się, wstrzymał się nieco stary i tak po chwili mówił dalej:

— Nie żal mi, zem się uczył, ale gdy dziś porównyвам naukę waszą z wiejską, ostatecznie niewiele widzę wypadków więcej nad te, które nam dały tradycye wiekowe. Jeśli co, to uczucie religijne rozwinięte, podniecone we mnie, jest wielką zdobyczą wyprawy... reszta na niewiele się przydała. Musiałem, wróciwszy na wieś, stając się nanowo wieśniakiem, zapomnieć dużo, by się więcej jeszcze nauczyć.

— Ale jakżeście powrócili? — spytał Juliusz.

— O! daleko jeszcze do tego! muszę wam naprzód powiedzieć, jak wyszedłem — odparł Hryć — zawczasu uzbójcie się w cierpliwość. W naszej wiosce więcej, niż gdzieindziej, podań, bo mniej się stykamy z tēm, coby je zaćmić i zagłużyć mogło; sięgają one niepamiętnych czasów, których nie zna historia; są nawet rodziny wybrane, gdzie z pokoleń w pokolenia przelewają się dzieje dawne i niejako kapłaństwo przeszłości. Pobywszy tu czas jakiś po pierwszej mojej wycieczce, jużem był prawie zasmakował i zgodził się

z przeznaczeniem, gdy jednego razu zawołano mnie do dworu. Znalazłem pana Stareńskiego chodzącego z papierami w rękę po wielkiej sali; zobaczył mnie i zbliżył się z uśmiechem.

— No, chłopcze — rzekł — teraz kiedy chcesz, możesz się uczyć; wyrobiłem ci przyjęcie do szkół; daję uwolnienie i grosz na początek. Idź w świat, a pamiętaj użyć dobrze nauki, której pożądasz. Dziś mnie może nie zrozumiesz, ale wraź to sobie dobrze w pamięć, że niema szkodliwszego stworzenia nad niedouczonego... Wielkie w nim tylko podbudzone żądze, a niema środków, by je zaspokoić. Chcesz się uczyć, ucz-że się do ostatka i nie rzucaj już drogi, którą pójdziesz. Daj ci, Boże, byś sobie wypracował szczęście!

Ledwie sobie dziś te słowa przypomnieć mogę, tak wówczas byłem wzruszony i szczęśliwy... Odezwała się we mnie żyłka do świata innego, otrzymałem to, o czém ledwie śmiałem marzyć, byłem jak upojony, jak szalony; upadłem do nóg staremu, a on z jakimś rzewnym smutkiem mnie pobłogosławił.

— Nie zapominaj o Bogu! — rzekł na ostatku — módl się i idź w imię boże!

Nazajutrz, po czułych, wiejskich pożegnaniach z rodziną, podwódka brata odwiozła mnie do Lwowa, gdzie już wszystko zastałem ułatwione do przyjęcia mnie i umieszczenia. Z zapałem rzuciłem się pracować i jakoś mi to poszło łatwo i dobrze. Przeszedłem szkoły i wkrótce, mogąc się sam utrzymywać dawnianiem lekcyj, dobrowolnie podziękowałem za pański zasiłek. Byłem trochę dumny, żem sobie sam mógł zapracować na chleba kawałek. Skończywszy szkoły, zapragnąłem wyższych nauk, bo mi się jeszcze paliła głowa; do tych łatwy teraz miałem przystęp. O pochodzeniu mojem nikt nie wiedział: wszyscy mnie mieli za ubożego szlachetkę i na równi z innymi iść mogłem. Zdało mi się, że jeszcze się do czegoś większego dobiję pracą, ale gdym chwycił, co było można, czytał się do niestrawności i głowę sobie nabił książkami, pokazało się, że z tego wszystkiego nic nowego stworzyć nie potrafię. Męczyłem się długo, by wyjść z tłumu, dać się poznać, błysnąć, przemówić, a głos mój ginął w niezmiernej wrzawie donośniejszych i wymowniejszych. Nie rychło jednak straciłem nadzieję i odrzekłem się wielkiej przyszłości, którą sobie wymarzyłem... Próbowałem, rzuciłem się jeszcze długo, i nadaremnie. Ludzie do zbytku sumienni, a nie obdarzeni talentem zręcznego samochwalstwa, nigdy nie potrafią wybić się ponad tłum; a ogół, choć zna siebie, to, że mu prawie wszystko wmówić można, daje się najłatwiej omamić gadułom i najmniej sumiennym krzykaczom. Nie miałem, ktoby mnie zalecił, sam się zalecać nie potrafiłem i wkrótce trzeba się było rozbratać z nadziejami. Pożegnałem je bez rozpaczki i wykreśliłem sobie życie nowe, stając się

nauczycielem. Takim znalazłeś mnie, Juliuszu, bom cię miał kłopot i szczęście liczyć do uczniów moich — dodał stary z uśmiechem łagodnym — aleś ani się mógł domyślać nigdy, com w tém życiu wycierpiał i przeboleał...

— Z uczniami?

— Niekoniecznie; najwięcej z samym sobą. W młodości tak byłem zajęty, roztargniony, rozmarzony, że mi na pamięć wszystkiego, co człowiekowi najdroższe, nie pozostało czasu... zapomniałem mojego kąta, rodziny, przeszłości, braci i pierwszego życia. Ochłonawszy później, obejrzałem się dokoła i dopiero postrzegłem, jak smutnie byłem sam jeden. Nie chciałem oszukiwać, wiążąc czykolwiek los z moim, a wiedziałem, że za mnie niktby córki, ni siostry nie wydał. Dziwnie też smutny, schorzały, wybladły wydał mi się już wówczas wasz świat, gdym go porównywać zaczął do wspomnień moich, do wioski. Żywe, głębokie, niepohamowane uczucie tęsknoty za moją chatą, za braćmi, za życiem, co niegdyś mojem było, odezwało się w sercu nagle. Z tém uczuciem dręczącym mnie, opanowującym, zasłaniającym wszystko, co otaczało, walczyłem, chodziłem i żyłem nieszczęśliwy lat kilkanaście. Wątpię, by kto zrozumieć mógł i chciał uwierzyć, com doznał! Z dnia na dzień urok ten, jakim mi błyskało wprzód miasto i jego wychowawcy, opadał i znikał, co chwila srożej czułem dojmującą tęsknotę, żal nieopisany i pragnienie powrotu do dawniej pracy, do dawnego stanu. Nie ustraszalo mnie ani jego ubóstwo, ani poddaństwo, ani trud rolniczy. Często kupowałem ukradkiem czarny chleba kawałek, zamykałem się z nim, spożywałem ze łzami, w myślach o tych, którzy na rodzinnym zagonie chlebem się tym karmili. W przechadzkach wieczornych za miasto z zazdrością nieopisaną spoglądałem na wieśniaków, wesoło powracających z targu, i zatrzymywałem ich, żeby się ich prostą rozmową orzeźwić, ich prostemi myślami, wyrosłemi na zagonie, nasycić. Mury miasta, otaczające mnie, dusiły jak więzienie, powietrze ulic zabijało; wdychałem za wsią, za lasem, za śpiewem chłopiąt, za głosem dzwonka mojego kościołka, za chatą bielejącą na pagórku i uliczką, którą przebiegałem dziecięciem. Zamykałem się płakać i śnić o Starem, a choć walczyłem z sobą, by pokonać tę tęsknotę gwałtowną jak namiętność, cała siła moja nic przeciwko niej nie mogła. Uczucie to stało się chorobą, gorączką, szalem. Stawałem czasem wśród rozmowy, wśród wykładu nauki osłupiały, nieprzytomny, puszczając się myślą ku wsi naszej i tonąc w dzieciennych wspomnieniach; łza wytryskała mi z oczu, serce biło gwałtownie i ludzie mogli mnie wziąć za szaleńca. Najmniejsza drobnostka budziła we mnie odpędzane napróżno mary, te powstawały z wyrzutem przeciwko mnie i zgryzotą ugniatały nie-

pokonaną. Widzieliście mnie smutnym nieraz, choć nic napozór nie brakło mi w życiu, bo praca szła łatwo, chleb był dostatni, szacunek zyskałem u ludzi i ufność i przyjaźń nawet, ale ten żal za strzechą rodzinną wszystko mi goryczą tajemną zatruwał. Nie było sposobu wyżyć w męczarniach codzien wzrastających, w tej gorączce, która groziła obłąkaniem; czułem, że człowieka wiąże coś niepojętego z ziemią, z rodziną, z ludźmi, zpośród których wyszedł. Pojmovowałem chorobę Szwajcarów, płaczących na dźwięk pieśni pastuszej, i postanowiłem powrócić na wieś do swoich, do dawnego życia; nie patrzeć na nich z założonemi rękoma, ale z niemi i jak oni pracować. Myśl ta, powzięta już stanowczo, nie była jeszcze rozwinięta zupełnie; lenistwo i gnuśność słały mi jeszcze niekiedy strachy, grożąc pracą i niedostatkiem; jesczczem się czasem zawahał... Wtém dowiedziałem się o śmierci ostatniego brata, który zostawił po sobie wdowę i sierotę... Ta wiadomość uderzająca boleśnie w jedną chwilę ugruntowała mnie w myśli już powziętej powrotu na wieś... Raz to sobie postanowiwszy, szczęśliwy byłem zupełnie, jak student wracający do domu, cieszyłem się dziecinnie. W przeciągu kilku dni sprzedałem, com miał, zawiązałem odrobinę pamiątek i prawie bez żalu, bez łyży pożegnałem miasto, do którego nie mogłem się przywiązać. Ale jakże ci opiszę powrót na wieś, przybycie do domu? Tuby potrzeba poety, a ja nim nigdy nie byłem. Kiedym wyjechał w pola, odetchnął piersią całą, wciągnął to zdrowe powietrze ziemi naszej, którem wykarmlony byłem; kiedym spojrzął po uroczych dolinach, gajach, górach zielonych i wodach błyszczących, usłyszał głos wsi i woń wioski poczuł dokoła: tak mi serce uderzyło, że się głowa zawracała! Witałem każde źdźbło trawy, każdą przelatującą muchę, każdą ziemi bryłkę, każde drzewo nade drogą i rozkwitłe znajomemi barwami kwiaty. Nieustannie zeskakiwałem z wozu, by szaléc, odmłodzony, nasycac się, poic, a ludzie, co tam na mnie patrzyli, musieli pewnie wziac mnie za opętanego lub opoja. Za zbliżeniem się do Starego, kiedym jak przez mgłę dotąd widziane we wspomnieniach tylko ujrzal na jawie i rozpoznawać zaczął miejsca, do reszty rozum straciłem. Biegłem pędem, by prędziej zobaczyć chatę naszą i stare zgliszcze, u którego stoi na straży, i gruze sadu i żóraw studni, z której poczciwa matka nasza wodę dla swych dzieci czerpała. Poszedłem, płacząc, pomodlic się na cmentarzu kościółka, a wszystkich, kogo spotykałem, obejmowałem jak braci; potem, nieprzytomny prawie, upadłem, całując próg, który deptali poczciwi ojcowie moi; łyży ścisakały mi piersi, mrużyły mi wzrok, plątały myśli. Znalazłem chatę naszą tak jak pustą: została w niej tylko wdowa i dziecina. Wszystko, co tu wymarło beze mnie, co beze mnie żyło, wymawiac mi się zdawało ucieczkę. Po-

stanowiłem resztę życia poświęcić pracy dziadów na naszym zagonie i spłacić dług ziemi, ręką moją nietkniętą od młodości.

— Jakto? myślałbyś pozostać tu nazawsze? — z podziwieniem spytał Juliusz.

— Chcę i muszę i zostanę — szybko odpowiedział stary.

— I nie tęsknisz za miastem, za ludźmi?

— To pytanie ci przebaczam, bo nie znasz ani mnie, ani tych, co teraz otaczają Sorokę... Lud-to najpocziwszy, najserdeczniejszy i najmędrszy nawet, dodam, choćbyś się z mego zapału miał rozśmiać.

— Ale ta zależność? poddaństwo?

— Są-to słowa czcze, kochany Juliuszu; z takimi, jak nasi panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece. Zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?.. Powróciwszy na wieś — mówił Hryć dalej po krótkim namyśle — straciłem prędko, co mnie tu odróżniać mogło od moich, przypomniałem sobie, czém byłem w dzieciństwie, a to przywdzianie z nową suknią nowego życia dało mi niejako powtórna młodość. Stałem się tu dobrowolnie dziecięciem i począłem uczyć się wieśniactwa, jak-em się go dawniej oduczał. A! nie wiesz, nie wiesz i nigdy zapewne wiedzieć nie będziesz, co tu za skarby znalazłem, ile nowych dla mnie uczuć, ile myśli, ile pojęć i obrazów olśniło uszczęśliwionego przybyłca! Żadna księga tak nie przemawia, jak żywe słowo podania, w żadnym stanie nie zachowały się one tak żywe, tak całe, jak u nas. W Starem może więcej, niż gdzieindziej, cześć przeszłości jest rodzajem religii dla jego mieszkańców, a przez nią przeszłość staje się prawie terażniejszością, tak ją uobecnia przywiązanie. Tu jestem u źródła dziejów i czerpię je nie z suchych kart, gdzie mi klótnie o lata nieustannie obraz rozrzynają, ale z mogił, z ziemi, ze starych pamiątek dziadowskich, z drgającej powieści, którą kmięć wieki powtarza, z pieśni, którą nawykł śpiewać, z języka, którym mówi... Żyję z ojcami, widzę ich, słucham i idę na cmentarz, by częściej jeszcze być z niemi..

Juliusz słuchał ze wzrastającym podziwieniem tej niezwyčajnej starca powieści, tak nią rozmarzony, tak widocznie ujęty, że i Hryć, czując w nim sympatycznego słuchacza, coraz się głębiej od serca wynurzał.

Nareszcie umilkł i, zasepiony, wlepił oczy w ziemię, przysłuchując się burzy, która wrzała ciągle i zwiększać się jeszcze zdawała co chwila. Ucichał, to znów z szalonym pędem wzrastał wicher, trzaskał drzewa, bił o góry, szamotał się z powietrzem, które przed nim uciekało.

— Będziesz się śmiał ze starego — odezwał się znowu po chwili

— ale dość już tój spowiedzi, dość podziwu dla ciebie; wiesz już przecie wszystko, co się mnie tycze, a teraz z kolei, uczniu mój, powiedz, co robił na świecie?

— Ja? naco pytać? Wszak ty wiesz wszystko — ponuro i z ciężkiem westchnieniem odparł młody człowiek.

— Wiem, ale jak wiedzą ludzie, jak noszą wieści! Wieść tak bywa zawodna, z kolei ludzkiego życia tak łatwo każdemu tworzyć wedle upodobania! Biednes ty dziecko! dajże mi się choć uzalić nad sobą.

— Dziękuję ci z serca za współczucie. O! i o to nawet mi trudno! — smutnie rzekł Juliusz.

— Ale od czasu, jak-eśmy się rozstali, powiedz, coś przecierpiał i przemarzył.

— Chcesz koniecznie — rzekł, przymuszając się prawie, młody człowiek — uczynię zadość woli twojej, ale to dzieje pospolite młodego serca, choć na nich więcej ucierpiałem, niż kto inny. Wiesz, jakim wyszedłem na świat, wyobrażając sobie, że wszelkie uczucie jest głębokie i trwałe, że samo jego zjawienie się już mu niesmiertelność rokować powinno. Marzyłem miłość wielką, gorącą, coby życie mi zabrała, i rozbiłem się o nią.

— Miłość — cicho szepnął starzec — jest-to ów wielki dyament, którego tysiące niewolników szukają na skwarze słonecznym, a ledwie jeden go znajdzie... Dla owych tysięcy dość być powinno drobnych pyłków, co pod nogami ich świecą w piasku!

— Tak! masz słuszność, ja błędzę, że koniecznie chciałem być tym jednym, a ten dyament nie dla mnie! Znałeś położenie moje towarzyskie: było ono jedném z najszcześniejszych, stanowisko moje społeczne dawało mi wstęp wszędzie, majątek stawiał na równi z bogactwami, wychowanie odebrałem takie, jak wszyscy. Wszedłem więc w świat śmiało, nadzieję niosąc na ramionach, z oczyma w niebie, ledwie stopą dotykając się ziemi. Na pierwszym wstępie trafiłem na bóstwo!..

— O, mój Boże! jeszcze po tylu doświadczeniach gorzkich nazywasz ją bóstwem! — przerwał starzec.

— Ty może nie wiesz, o kim mówię. O! cudne-to było zjawisko! Kiedym ją pierwszy raz zobaczył, krew się we mnie ścięła, struchlałem ze strachu; w jej oczach był wyrok całego życia. Dziś jeszcze to powtarzam, choć inną już kocham. Ta pierwsza miłość uwiodła mnie w drugą i napół zabiła. Było-to młode dziewczę, ledwie wyszła zpod skrzydeł matki, córka wysoko położonego urzędnika, który po śmierci żony, sam się nią zająć nie mogąc, powierzył ją ciotce, a siostrze jej matki. Ona i ciotka były niemal rówieśnicami wiekiem, wdziękiem i młodzieńczemi uczuciami. Anna

było jęj imię, ale jakże ci opiszę ten ideał?.. A! nie! to niepodobna! Powiedz, widziałeś kiedy Wenus medycejską? Miałbyś wyobrażenie o nięj z opisu? Wiek cały mówiłbym o nięj i wszystko marnieby poszło... Wystawiłbyś sobie coś anielskiego, niepochwyconego, ale tego życia, co biło z jęj oczu, tęj myśli, co tryskała z czoła, uczucia, co wieńczyło wargi... nie! nigdy wyobrazić sobie nie potrafisz! Świeżo rozkwitły kwiat, na który spadły rosy niebieskie, na którym niema jeszcze pyłku ziemi, spaleniżny słońca, dotknięcia robaczka, muśnienia wiatru, nie da ci pojęcia o jęj anielskiej świeżości. W myśli nawet nie ośmieliłem się dotknąć jęj nigdy; czciłem ją jak świętą. Kształty jęj były tak piękne, że ludzie, gdy przechodziła, stawali dziwować się jak na cudo; wejrzeniem miękczyła najobojętniejszych, upokarżała najdumniejszych... królowa. Blond jęj włosy, twarz biała, oczy niebieskie, profil greckiej czystości składały całość, zerwaną ze złotego greckiego medalu i tchnieniem czarodzieja pchniętą w życie. Przy nięj gasło wszystko, mroczyło się, brzydło; gdzie ona była, nic widać nie było nad nią. Taką była moja Anna. A przy tęj powłoce co za dusza, co za serce! ile uczuć i rozumu, ile świeżości w umyśle, który ze strony dla nas nieznanęj w świat się wpatrywał!

— Juliuszu, na Boga! Iży ci z oczu płyną! Powstrzymaj się— rzekł stary. — Ty ją kochasz jeszcze!

— Nie! nie! ja-m jęj może nie kochał nigdy, ja ją czciłem tylko, a dziś!.. to tylko stare wspomnienie, to uczucie artysty, co się cuduje dziełem bożem. Zobaczyłem Annę i głowa mi się zawróciła; powiedziałem sobie: ja ją kocham! ona będzie moją! Ale nie godzi się kochać aniołów, bo aniołowie nie dla ziemi są stworzeni! Ta miłość moja była świętokradztwem... W pierwszym szale rzuciłem wszystkich i wszystko dla nięj i uwiążłem w tym domu. Ciotka, żona urzędnika także, była równie piękna jak Anna, ale inaczej! inaczej! W jęj piękności było już coś ziemskiego, coś tak uroczonego, jak ziemia, kiedy się odmłodzi i kwitnie. Emma o lat kilka starszą być musiała od Anny, ale tak życia w nią wiele wlał Bóg, że nie znać było, co z niego zużyła... Emmę widziałeś pewnie; była do Anny podobną: ten sam wzrost, postać, taż barwa oka i włosów, ten sam uśmiech i wejrzenie; ale światy je dzieliły. Tamto był ideał niepochwycony, to tylko jego odbicie ziemskie i cielesne. W początku nie widziałem Emmy nawet, anim postrzegł tego podobieństwa, ani wdzięku; modliłem się do Anny tylko. Anna czy nie postrzegła w początku mojęj miłości, czy ją umyślnie wystawiła na próbę wytrwania, obchodziła się ze mną zimno, niczem a niczem nie dała mi poznać, że mnie z tłumu wyróżnia. I wyrok ten nosiłem z pokorą; byłem gotowy na wszystko: na wzgardę, pośmiewisko,

odepchnięcie, zapomnienie, a nie mogłem jęj nie kochać, jak nie mogłem nie oddychać. Byłem cierpliwy jak konieczność, cichy, milczący, ale wzrok mój mówił tak głośno, iż wszyscy słyszeli, zem kochał. I śmiano się ze mnie. A co mnie tam wówczas śmiech obchodził! Mogę powiedzieć, że mi odjęła życie, uczucie jego, przytomność, nawet swobodę rozmysłu. Jutra nie miałem, nie było wczoraj; była jedna ogromna, jasna, wielka terażniejszość.

— Był-to, niestety! rodzaj bałwochwalstwa i szału! — westchnął starzec.

Juliusz mówił dalej:

— Po długich wiekach tej pokuty u progu, poczęły mi się otwierać drzwi świątyni: Anna spojrzała na mnie. Chciałem umrzeć, żeby z sobą zanieść na świat inny to uczucie szczęścia. Zdawało się, jakby mnie dopiero zobaczyła, jakbym się zjawił jęj nagle... przemówiła... pozwoliła się zbliżyć i poczęły się złote dni snów, złote dni, jedyne w życiu, bo czyste, rajskie, niepokalane... godne nieba. Ale powiedz mi, stary przyjacielu, może-ż być szczęście dla tego, kto je raz sam swoją własną zburzył ręką? Dziś darmobym go szukał. Słuchaj dalej! Emma, nie wiem, czy widziała miłość naszą, czy serce jęj zabiło na ten widok, czy pozazdrościła Annie, czy znużona życiem, chciała sobie zrobić igraszkę z dwojga serc młodych... Emma, której mąż, o dwadzieścia lat starszy, wiódł życie najobojetniej od domu oderwane, całe w klubach i miłostkach ponętnych, sama, opuszczona, stanęła między nami dwojgiem. Umyślnie może usunęła Annę na czas, żeby zająć jęj miejsce, wciągnęła mnie w tę nieszczęsną miłość, w początku słuchając moich zwierzeń, dając rady, okazując współczucie. Ona była na wsi, ja w rozpaczy; Emmę widywałem codziennie. Żeby choć miejsce, gdzie Anna żyła, zobaczyć!.. O! dziwne jest serce ludzkie! po dwu latach bywania w jęj domu pierwszy raz zobaczyłem Emmę. Wzrok jęj pierwszy mi ją raz objawił, bo był ognia pełny. Postrzegłem, że do Anny podobna, że to są siostry twarzą i sercem, myślałem. I powiedziałem jęj raz cicho, o szarej godzinie, wpatrując się w błyszczące jęj wejrzenie, że mi Annę przypomina. Emma zadrżała i ja-m zadrżał. A! straszne-to dzieje! a gdy je z serca przyjdzie dobywać, to jak gdy ranę starą lekarz przewija... cierpię i cierpię... Emma ścisnęła mnie za rękę, jakiś szal namiętny owładnął mną... nie wiem, co się stało ze mną! zamiast czci i miłości, wstąpiła w serce niepohamowana namiętność. Już nie dla Anny biegłem do tego domu, jużem jęj wspomnienie oddalał i obawiał się powrotu i wstydział się ją zobaczyć. O! bo w szare wieczory samotne wilem doświadczył i przeżył! Ona ciągle była sama, nas w domu najczęściej dwoje i miłość nowa miała czas w cieniu urosnąć. Ale ta tak była różną od pierwszej! Z tą dla

mnie nie było chwili spokoju; dręczyłem się nią jak występkiem, obawiałem się jak szczęścia, które co chwila stracić mogłem; czułem w niej zniszczenie, nim przyszło, i rozbiła się o pierwszą plotkę, o pierwszy swar domowy. Zamknięto mi jej drzwi, zabroniono wstępu, ale się wówczas śmiał tylko... Tysiące wynajdowałem sposobów zbliżenia się do niej i spotkałem się z nią. Ale jakże się zmieniła! jak ostygła! jak zimną dłonią popchnęła od siebie! Wszystko jak sen minęło... Wróciła Anna i ja-m chciałem, niegodzien jej, do niej powrócić, ale dumna dziewica jednym spojrzeniem powiedziała mi, że mnie nie zna. W tym wzroku był ból, litość, wzgarda i wieczny rozbrat. Anim mógł żebrać przebaczenia, bom się go wobec niej nie czułem godnym. Odtąd żyłem męczennikiem, a kto zna serca męczarnie, młodego uczucia tortury, miłość bez nadziei, miłość ukaraną obojętnością, ten pojmie, com znosił. Błądziłem, jak cień chodząc, schorzały, zbladły, lub całe dni na jednym miejscu siedząc kamieniem, zatopiony we wspomnieniach. Widywałem ją, ale mnie nie znała... od ostatniego spojrzenia oczu nie zwróciła na mnie; dla niej jużem nie żył. Czemuż doprawdy nie umarłem! Emma także unikała mnie z wyraźną przesadą, obawiając się spotkania nawet przypadkowego. O! i nie pragnąłem się z nią widzieć, bom jej nienawidziłem... była przyczyną wszystkiego, com znosił! W jej twarzy tylko odbicie Anny kochałem; ale duszy Anny nie miała. To pierwsze w życiu moje zetknięcie z kobietą zatruło je i zwichnęło nazawsze... Odtąd chodziłem umarły, nie wiedząc, dlaczego-gobym miał żyć, a nie mogąc skończyć... Całą pociechą było, że czasem widział ją zdaleka, czasem w Emmie przypatrywał się jej anielskiemu obliczu... Anna gasła widocznie...

— I umarła? — przerwał starzec ponuro.

— I przebaczyła mi — dodał Juliusz ciszej.

— Po tak gorącej miłości, po tak gorzkim zawodzie potrafiłżeś kochać jeszcze?

— A! kochałem — odezwał się młody człowiek niemal ze wstydem. — Czuję, że to wina moja. Emma owdowiała; było-to po śmierci Anny, a w jej rysach ja-m zawsze moją pierwszą miłość przypominał; wróciłem ku niej. Przyjęła mnie zimno; na pierwsze słówko o miłości uśmiechnęła się szydersko. — Nie chcę umierać jak Anusia — powiedziała mi — chcę żyć... boję się pana! — Odszedłem gniewny; chciałem jej dowieść, że nie kocham, że nie kochałem nigdy. Rzuciłem się w świat i przywiązałem.

Hryć westchnął z politowaniem.

— Wiem — rzekł — to było ze wszystkiego najgorsze...

— Najgorsze, nie wiem, bo nad pierwszy mój zawód, którym ukarany zostałem, już nic straszniejszego być nie może. Trafiłem

na kobietę, która nie miała serca, która kochać mogła trzech razem i tęsknić za czwartym. W tej kobiecie widziałem poczwarną istotę, jakie się trafiają na ziemi, a których pojąć niepodobna. Czy winna była? nie wiem; ale tak słabiej, tak nieszcześliwie płochiej nie widziałem. Było-to wdzięczne stworzenie, uśmiechnięte, wesołe, chwylami melancholijne, tęskne, rzewne, pragnące czegoś zawsze, zawsze niezaspokojone. Ujęła mnie cudowną władzą zastosowania się do każdego, do myśli jego, do tonu serca, do uczucia, do natury, rzekł-byś... Był-to kameleon, co tysiączne barwy przybierał, a nie miał sam żadnej. Z tęsknym była tęskną do łez, z wesołym śmiała się cała, szalała z szalonym, cierpiała z bolejącym. Więcej współczucia mieć niepodobna... a żadne jej słowo, uśmiech i łza nie była udaną; nic w niej nie było fałszem. Taką Bóg ją stworzył, biedną, wahającą się, niestałą, powiewną trzcina, którą lada wietrzyk pochylał. Chciałbym ją przekląć i nie mogę! Więcej tam było nie-szczęścia, niż winy. Stworzona na ludzką i swoją męczarnią, potokami łez oblewała każde przewinienie, i jutro szalony pęd ją znowu na przapaści unosił. Ten rok, którym przy niej przepędził, był dla mnie wiekiem piekieł! Nieustannie spadałem z wyżyny na dno, z nadziei w wątpienia, uciekałem i powracałem, bo żal mnie chwycił, a ona u nóg o przebaczenie prosiła. Tyś widział ją, powiedz mi, możeż-li być szaleńsza i szalenięj przywiązująca istota! Nie była piękna tak, żeby powiedzieć można, co w niej było wdziękiem uroczym, nie odznaczała się niczém napozór, ale dość było dwóch słów tej dziwnie sympatycznej istoty, by człowieka opętać. Dźwięk jej mowy i śpiew miały coś w sobie tak potężnie pociągającego, że gdyby mi piosnkę Ofelii nad mogiłą zaśpiewała, kto wie, wstałbym z grobu może. Maleńka, żywa, zwinna i zręczna, miała oczy jakież wshodnie, brwi czarne, usta małe i wąskie, nos krogulca, rączkę idealną, kibić polnego konika... Łzy, rumieniec, śmiech na zawołanie z niej płynęły; w godzinie żyła wieki, to się samém opowiadaniem tak wzruszała, jak gdyby cudze życie było jej własnym. Przeżyłem z nią zdradę tyle, że ich policzyć nie mogę... Każde jej na bok spojrzenie było zdradą, krok, uśmiech, wzdrygnięcie, a cóż myśli dopięro? Nieraz płakaliśmy oboje, a jutro drugi kochanek śmiał się z nią z łez wczorajszych. Śmiech-to był przecie szczery i lzy nieklamane. Czasem przychodziły chwile, że wejrzała na siebie, że ją wstręt jakiś i żal porywał, zamykała się pokutować, ale śpiew z ulicy, śmiech z podwórza, słówko lecące powietrzem, co się o jej uszy obilo... zmieniały włosienicę na suknię balu lub przechadzki. Com wycierpiał, nie wypowiem, bom ją kochał, bom się porwał na niepodobieństwo i chciałem wodę zmienić w brylant, a woda kropla-

mi drobnemi rozbiegała mi się po rękę. Nareszcie, zrozpaczony, wyrwałem się, uciekłem...

Starzec wstał z powagą i zbliżył się do młodego człowieka.

— Jeśli cierpisz — rzekł łagodnie — wina-to twoja, Juliuszu; nadto łatwo ci się przywiązać; puszczając wodze sercu, zbyt ludziom i uczuciu pochwyć się i ujarzmić dajesz. Ot, i teraz przyznaj się, bijąc się w piersi, nie twojaż to wina, że ze Starego powracasz znechęty, zrozpaczony, odepchnięty?

— Jakto? więc i to ci już wiadomo?

— Wszystko! wszystko! Nieszczęściem trafiłeś znowu na kobietę wyjątkową, na anioła, do którego każdy, kto się zbliży, kto nań spojrzy, przywiązać się musi. Trzeba było zawczasem uciekać, bo boleścią opłacisz chwilę nadziei daremnej i nic tu nie zyskasz! Marya nie jest pospolitą kobietą; serce, rozum, pocziwą duszę, uczucie obowiązku, wszystko jej dał Bóg, a nic z drogi, którą sobie wytknęła, sprowadzić jej nie może, nawet miłość druga, gdyby drugi raz kochać mogła.

— O! wiem już o tém — zawołał, tłumiąc westchnienie, Juliusz — wiem to, a jednak ją kocham!

— Miłość kobiety! miłość kobiety! to jedyne słowo życia waszego — rzekł stary wieśniak z politowaniem i powagą — ale czyż w niej zamyka się całe życie? To tylko radość żywota, to kwiat jego, to pozłota, to nie cel przecie jedyny. Wyście jak dzieci, co zjadacie miód z chleba, a chleb rzucacie, by go potem w chwili głodu podjąć z piaskiem i błotem... kochacie wreszcie, a nie umiecie się kochać. Juliuszu, wieleś się razy kochał?

Smutnie, z uśmiechem wymówki, zwywającej liłości, podniósł głowę na to zapytanie młody człowiek, ale nic nie odpowiedział.

— Ja, przyznam się, pojmuję miłość — mówił dalej stary — ale całkiem inną, ale wieczną i jedyną, pojmuję ją taką, jak Maryi, sięgającą aż za mogiłę, walczącą ze światem, z sobą, z ułomnością i słabością ludzką... wielką, potężną, a nie mogącą powtórzyć się nigdy. Ale to kochanie wasze, co po chwili zrzuca się jak stara suknia i mienia na nową, to coś dla mnie niepojętego, to słabość pieśczochoń, którym próżne serce dokucza, bo nie mają czém go zapełnić, bo nikogo prócz siebie samych kochać nie umieją.

— Surowa nauka! — rzekł Juliusz smutnie.

— Ale zasłużona — odparł Hryć szybko. — Może dla ciebie być lekarstwem i tego ci życzę z serca. Tymczasem, ponieważ mój gościu, burza warczy wciąż, noc nadchodzi, co z sobą pocznjemy? Jabym i tu się przespał, ale ty?

— Pojechałbym i w burzę, bo nie jestem ani pieśczochem, ani tchórzem — odezwał się Zlewa.

— Ani myśl o tém; musimy się zatrzymać jeszcze, póki księżyc nie zejdzie i burza cokolwiek nie minie. Zdawna to uważałem, że wschód księżyc rozpedzi burze nocne, choć powodu sobie wytłómaczyć nie umiem. Naówczas wstrzymywać cię nie będę; ale gdy nas tu przypadek spędził, przypominałmy sobie czasy dawne: powiedz mi, co się tam stało z twojemi towarzyszami a uczniami mojemi? co się stało z Tomaszem, Karolem, Stanisławem?

To zapytanie nie rozpędziło chmur z czoła Juliusza, który więcej daleko swoim cierpieniem i dziwną kryjówką, otaczającą go, był zajęty, niżeli losem dawnych znajomych, i mało co przebąknawszy o nich starcowi, który, jak się zdawało, dlatego tylko pytał, by rozchmurzyć gościa, począł przechadzać się zamyślony po podziemiu, spoglądając to na jego sklepienie, widocznie ślady dzieła ludzkiego noszące, to na kości rozsypane po potoku, wyścielającym dno pieczary.

Jakby wreszcie chciał odpędzić przykre wrażenie, sprawione ostatniemi słowami starca, oglądał, szukając roztargnienia, podziemie stare, zdając się niém najmocniej zajęty, i po chwili przerwał milczenie pytaniem:

— Być-że to może, żebyście wy nie o téj pieczarze nie słyszeli? Wszak muszą być o niej jakieś podania?

— Podania! — powtórzył Hryć, uśmiechając się smętnie — a gdzież ich niema? a kto z was je zrozumiął? To owoc tak naturalny każdego zamieszkałego kąta ziemi, że niema skały najtwardszej, na którejby go nie posiało życie ludzkie! szumią niém stare dęby, płyną rzeki stare i wiatr je opowiada w gruzach zamczysk wyludnionych, rosną na grzędach naszych ogrodów, kryją się po lasów głębi. Gdzież ich niema! Wiem, że dziś, późno, szukacie ich skrzętnie, spisujecie troskliwie, ale kto wam da klucz do nich, gdy wszystkie chcecie otwierać niedowiarstwem i sceptyzmem, symbolem lub parabolą? Nie umiecie odagdnąć ani myśli, jaka w nich tkwi, ani czasu, do którego się odnoszą, ani dziejów, które opowiadają. Tymczasem tłumaczenie przychodzi, skąd się go wcale nie spodziewaliście. Ktoby posądził naprzykład prace Cuviera, że one odtworzą smoki i potwory, z których się śmiał, za boki trzymając, rozumni wiek XVIII? O! nierychło, nierychło na znaczenie podań otworzą się wam oczy!

— Wam-by najłatwiej przyszło może nas objaśnić; w was tkwi żywe słowo podań.

— We mnie! w nas! — z dziwnym wyrazem dumy jakiejś powtórzył starzec, stając wyprostowany i podnosząc czoło, z którego srebrzyste otrząś włosy — ale wiecież, ciekawi, że podania nasze są świętością naszą i skarbem? że tak je rzucić, na zimną dłoń mą-

drych ludzi, ciepłe łzami boleścią, jest rodzajem świętokradztwa! Wy je będziecie spoczwarzać, rozbierać, przyrównywać, sromocić wykładem i niszczyć anatomią waszą! Byłoby-to ostatnią pamiątkę, najdroższy zabytek uczynić próżniaków zabawką. Wycie i pieśni wieśniaka schwycili już z pijanych ust jego ukradkiem, prawie podstępem, mimo że ich bronił jak własności i spuścizny po dziadach; dziwicie się ich poetycznym wdziękom, ale i tu co chwila bijecie się o nierozwikłanie zagadki. Są w pieśni wyrazy, są myśli, które dla was zawsze tak będą niepojęte, jak słowa obcej mowy i innego świata. Bo też świat ten, którego zabytkiem jest pieśń nasza, z którego wieją podania rzeźwiące, dla was szczególniej umarły, zniknął oddawna, bezpowrotnie! Nam on jeszcze tylko przytomny, dla nas tylko pojętny, myśmy niedaleko odeń odbiegli. Myśmy jak człowiek, co żył spokojnem życiem jednostajnem, którego chwile podobne były do siebie jak krople wody bliźniące; dzisiaj tłómaczy nam jeszcze dzień wczorajszy; u was przepaść rozdziela dwie godziny...

— Dlaczegoż mielibyście z tego świata waszego robić tajemnicę? — spytał Juliusz.

— Dlaczego? taim się jak skąpiec ze skarbem. Wszakże pieśń i podanie to było zarówno własnością wszystkich, waszą i naszą; wycie ją uronili, myśmy zachowali; mamy prawo być dumni z tego poszanowania przeszłości i nieprzerwanego z nią związku.

— No, więc nie chcę być natrętnym — z uśmiechem odparł młody człowiek — ale nie mogę przynajmniej zapytać — dodał, schylając się i podnosząc niedogorzałą czaszkę, w której białe jeszcze i drobne świeciły ząbki — co znaczą te zgliszcza, popioły i tak rzucone kości człowieka?

— To bardzo łatwo wytłómaczyć wam mogę — odparł starzec. — Wszak wiecie może, że ta okolica, którą Bóg częstemi nawiedzał klęskami, jakich nie znały inne: mór, Tatar, kozak, z Tatarem śmierć, pożoga i najstraszniejszy jasyr, pustoszyły te ziemię ojców moich niezliczone razy. Każda taka plaga miała inne swoje dzieje, swą powieść, swój obraz, w którym się cała maluje. Jedną śpiewa pieśń, drugą szepce legenda, inną opowiadają mogiły pod wioskami, lub kości w pieczarach. Domyślisz się łatwo, co one tu znaczą. Trzy razy w płomieniach rozsypał się gruzem klasztor i kościół podkamieński, zapalony przez niewiernych, co w nim szukali złota. W Pomorzanach raz tylko mężny Świnka obronił lud chrześcijański od niewoli pohańca; wiecie zapewne o nim i o Zahorowskim. Bywało, jak się na górach ukazą dymy i ognie dalekie, a łuny odbijają na chmurach, gdy wiatry powieją spalenizną i krwią, co żywe, z sióół ucieka i chroni się po lasach i pieczarach... i stoją wioski pustkami

straszniemi i drżą milczące strzechy, jakby przeczuwały pozołę, co ich czeka. Raz, dawno temu, o, dawno!.. zbiła się tu, gnana trwożą, gromadka ludu ze Starego, uciekająca przed Tatarem, bo ponad lasami trzy wielkie łuny gorzały... Uszli wszyscy, krom jednego chłopięcia, które obłąkało się w drodze, może za kwiatkiem, może za jasnym motylem, może przysłuchując się śpiewom ptaszka, nie obawiającego się strzał tatarskich... Dziecko pobiegło potem w ślad za matką; przyszli i pohańce za niemi, a nie mogąc dostać żywcem naszych, bo się zaparli tutaj, dymem wydusili nieszczęśliwych. Wołeli zginąć, niż pójść w jasyr tatarski, i spłonęli w boleściach.

Hryć westchnęła, a Juliusz powiódł wzrokiem po okopconych ścianach, niemych dojrzał świadkach tyłu jęków i mąk straszliwych. Zdawało mu się, że dojrzał na miękkiej glinie ślady rąk i palców, które się za nią rozpaczliwie chwytały, że w ciemnościach blade mignęły twarze pogorzalców.

— Szczęściem — kończył starzec — garść jakaś wybranych głębiej się schroniła i tam przeżyła, zatajona, dni kilka obok trupów, rannych i konających, którzy dla zatajenia reszty jęknąć nie śmieli, by na nią śmierci nie sprowadzić. Wywlekli się potem jak upiory na światło dzienne i z nich wieś odżyła znowu. Ale nie mówmy o tych klęskach starych... dla was są one ciekawą powieścią, dla mnie — historią rodzinną, żywą dziś jeszcze. Tu się walają niepogrzebione kości męczenników-dziadów moich, a każdy ich szczałek dla mnie relikwią!

Oddalony świst, potrzykróć powtórzony zdaleka, przerwał w tej chwili mowę starcowi; schwycił się nagle na nogi, nastawił ucho, począł przysłuchiwać się pilniej coraz i jakiś wyraz przestachu pokrył mu twarz zbladłą, i szybko przeraźliwem świsnięciem odpowiedział na dany znak.

Juliusz, niemniej zdziwiony i zlekły nawet zbliżającym się coraz głosem, a więcej jeszcze postawą, strach jakiś malującą, starca, obejrzał się, jakby szukając bronii, i poskoczył do Hrycia. Świst powtórzył się raz jeszcze u wnijścia, a stary nań odpowiedział.

— Skryj się — popychając go — rzekł Hryć szybko — nie powinien cię tu nikt widzieć; jesteś w kryjówce wsi naszej, której wydawo nie należało... Niepotrzebniem cię tu wprowadził... Idź żywo w głąb' prosto i śmiało, nie dawaj znaku o sobie...

Posłuszny starcowi, Juliusz cofnął się w ciemną głąb' pieczary, rozdzielającej się na kilka gałęzi, i wpadłszy w zakryty kątek, przytulony do słupa, stanął, gdyż dalej zupełna noc i nieświadomość miejsca iść mu nie dozwalały.

Zaledwie miał się czas ukryć, gdy u wnijścia ujrzał zjawiającą się postać młodego chłopaka, który, otrząsłszy włos długi, okrywa-

jący mu czoło, stanął przed Hryciem cały drżący, z pokłonem zbliżył się, pocałował go w rękę i żywo mówić począł.

Był-to piękny typ urody wieśniaczej, budowy muskularnej, krzepki, niewielki, z wyrazem siły w postawie, przebiegłości i rozumu w oczach. Płeć jego, ogorzała złocisto, zdawała się lśnić jak piękny brąz stary, a rumieniec pałał na niej gorąco. Przy ciemnej skórze białka oczu i zęby świeciły blaskiem czystym i stanowiły sprzeczność barwy malarską. Dodajmy włos długi ciemno-blond, oczy niebieskie małe, ale żywe i wydatne, nos kształtny i rozdęty jak u Araba, usta snycersko zarysowane, a będziemy mieli niedokładne wyobrażenie oblicza pięknego chłopaka, stojącego przed Hryciem.

Trudno bowiem, by słowa odmalowały wyraz postaci i twarzy... wyraz siły, odwagi, pewności siebie młodzieńczej, jaką promieniały. Spojrzawszy nań, widziałeś, że ani go oszukać łatwo, ani łatwo pokonać; instynkt mu wydawał kłamstwo, przebiegłość dało położenie, siły — Bóg.

Przystąpił do starca zadyszany, spotniały, widocznie niespokojny.

— Czegożeś aż tu mnie szukał? — zcicha rzekł Hryc w języku ludu.

— Ej! ojczy, nie bez powodu ja ciebie gonię! Tu bez was się nie obejdzie; licho mamy.

— Co za licho?

— Nic-ście nie słyszeli o Jednookim?

— Słyszałem-ci, ale co nam do niego...

— A jeszcze daleko do północkska? — spytał chłopak jakby sam siebie... — O! jeszcze czasu dosyć — dodał po chwili, uspokajając się — mogę wam opowiedzieć, jak to było. Już tu u nas od tygodnia gadają, że Jednooki ze swoją bandą w okolicy się pokazał, ale my temu nie dawaliśmy wiary. To zbój gorszy Karmeluka (*).

— Jużciż Jednookiego wiem, ale cóż się stało? — niespokojnie spytał starzec.

— Posłuchajcież-no, a to on u nas — żywo dodał chłopak. — Widać go żydzi czy nie wiem kto naprowadzili, naślanie boże, na naszą spokojną okolicę. Ja dziś byłem stąd o mil trzy na zarobku w Malowicach; stamtąd wracając nad wieczorem, wiecie karczemkę złodziejską pod lasem na Zabyłowszczyźnie? wszedłem nogi trochę wyciągnąć i fajkę zapalić. A to mnie tam Pan Bóg zaniósł. Wchodzi; tylko stara baba i to śpi nad kądzielą. Drzwi były przetwarte;

(*) Karmeluk, sławny rozbójnik na Podolu.

tak-em wszedł, że się ani obudziła. Dobrze ją sen zmorzył, bom i kaszlał i tupał, a nic nie pomogło. A że mi tylko ognia do fajki było potrzeba, poszedłem do pieca, wygarnąłem węgliczkę z popiołu i usiadłem sobie w kącie. Było już dobrze ciemno. Anim się opatrzył, jak-em się zdrzemał... Oczywiście otwieram, patrzę, coś mającże przede mną i słyszę dwa głosy:

— A co? wszystko tam gotowe?

— Gotowe, ojcze: ludzie poszli w las na Turowszczyznę i czekają jeno znaku u parowu za kopcem.

— Wielu ich tam jest? — spytał drugi.

— Jak się wszyscy zbiorą, będzie ze dwudziestu, ale dobrze zbrojnych.

— Nam ich tylu niepotrzeba! Albo to dwór w Starem tak obsadzony?

— Aj! nie zawadzi!

— A o której godzinie pójdziemy na dwór?

— Z północks. Niech się dobrze pośpią. Mówią, że grosz jest...

— Musi być...

— Ano cicho, żeby się wioska nie zbudziła! W ostatku kościół i plebanią obedrzemy i jak świt potém lasami stąd przeprzemy się nad Dniestr, bo pójdą oblawy pewnie...

Ledwem ja tego dosłuchał z wielkiej niecierpliwości i, pomiar-kowawszy, że źle być może, jak mnie zobaczą, przyłgnąłem pod łąwą. Zaczęli wołać światła i wódki, poszedł jeden za drugim do alkierza, a ja widząc, że drzwi niezamknięte, nim się dokrzesali ognia, wysunąłem się i jednym tchem tutaj. Co będziemy robić?

Stary zadumał się...

— Dobry z ciebie chłopak — rzekł do przybyłego — leć-że mi na wieś i pocichuteńku ludzi pobudzić; niech się tylko zbiorą w lipach i zaczają. Ja tam zaraz będę; połapiemy złodziejów. Ale, Jaśku, sprawże mi się zręcznie, cicho, i kiedy ich tam ma być dwudziestu, nas trzeba żeby było pięćdziesięciu, bo to zbóje i im życie tanie, a my od pługa... Niech zabrają siekiery, pałki, na co kogo stać; a tak się zgromadźcie, by żywa dusza we dworze nie wiedziała o niczym... Ja idę do pani zaraz i sprowadzę ją tutaj, bo i jej i dziecku strach ten niepotrzebny; a my dopiero ze zbójcami zagramy!.. Anu, Jaśku, żywo do wsi! ja zaraz za tobą!

Jasiek jak mysz wymknął się otworem pieczary. Gdy starzec zamysłony się odwrócił, już Juliusz stał przy nim.

— Co to jest? — spytał — dworowi grozi jakieś niebezpieczeństwo? zbójcy! Jednooki!

— Nie obawiaj się — odparł Hryc — damy na to rady! Do-

brze, że nam Pan Bóg wczas dał o tém wiedzieć. Mnie pilno do dworu, a wy do domu.

— Co? rozumiesz, że wiedząc o tém, pojedę sobie!

— A cóż myślicie?

— Bronić jój razem z wami!

— Wprawdzie nie zaszkodzi ni głowa, ni ręka, ale...

— Tu niema ale! chcesz czy nie chcesz, idę z tobą! — zawołał Juliusz. — Dwudziestu z bandy tego sławnego Jednookiego to nie są małe rzeczy! Nie możesz ich lekceważyć sobie, i ja ci się przydam.

— Ale śpieszmy — przerwał stary. — Pozwalam, pójdiesz ze mną. Teraz nie pora rozprawiać z upartym... Waruję sobie tylko, że się zastosujesz do moich rozporządzeń.

— Zrobię, co chcesz, ale mnie nie odpychaj! — nalegając, dodał młody człowiek.

Wychodili z pieczary właśnie i Hryć niespokojnie obejrzał się po niebie, którego małą tylko cząstkę przez gęste sploty gałęzi widać było po nad ich głowami... Burza jeszcze się była całkiem nie przewaliła, gromy słychać było zdaleka, deszcz lał ulewny, a blade błyski rozświecały niekiedy okolice fantastycznym swém światłem. Wicher wył po zakatkach lasu i w szyjach głębokich parowów. Juliusz pobiegł do swego konia, ale go nie znalazł na miejscu; biedne zwierzę, znać wystraszone burzą, zerwało trzębę, na której je przywiązał, i zbiegło gdzieś w las, ku domowi. Nim młody człowiek powrócił ku starcowi, już ten odszedł był kilkadziesiąt kroków, lecąc śpiesznie do dworu, a idąc, myślał, co pocznie, by nie przestraszyć Maryi, a bezpiecznie ją umieścić. Chciał ją uprowadzić na pewne miejsce i wahał się w wyborze między skarbecem a pieczarą, do której, w ulewę, dobry kawał isć było potrzeba.

Juliusz napędził zamysłonego i chwycił go pod rękę.

— Coś uradził? — spytał niespokojny.

— Co? jeszcze nic — rzekł starzec — wahać się i nie wiem, co począć. We dworze nie możemy jój zostawić, a do pieczary mojej daleko i deszcz leje jak na złość. Zbóje isć będą od Turowszczyzny, a zatem z przeciwnej strony; moglibyśmy bezpiecznie przeprowadzić ją do Ładowego gaju!

— Ale pocóż tak daleko? — spytał Juliusz.

— A dokądże?

— Nie pomyślałeś o skarbcu — rzekł młody człowiek.

— Owszem przychodził mi na pamięć, ale to znowu zbyt blisko dla kociety; krzyki, strzelanie, bój, których uniknąć nie można, bo muszę Jednookiego schwytać i jego łotrów... to rzecz niemiła... mogą się przestraszyć, pochorować.

— Masz słusność... Cóż więc będzie?

— Nie wiem; wprost idę do niej, a tam zobaczymy, co zechce; trzeba jęj trochę woli zostawić...

Tak rozmawiając, szybkim krokiem posuwali się do dworu ścieżką, która, mijając młynek, wioskę i plebanią, wiodła ponad stawem przez ogród do Starego dworu. Juliusz i starzec śpieszyli zarówno i wkrótce ujrzeni się pod zarosłemi wałami horodyszcza, które w wielu miejscach ręka ludzka połamała. Świeciły im błyskawice, jeszcze przebiegające niebo, przygrywał grom daleki, to bliższy a nieustający, ulewa zmieniła się już w deszcz rześisty, drobny a gęsty, który zdawał się na długo zabierać. Przez gęstwinię drzew ujrzeni światło w oknach; Hryć odwrócił się do towarzysza, chcąc mu powiedzieć, by przystał, ale on już sam domyślał się tego i pod oknem Maryi, sparty o ścianę, na straży się wstrzymał.

Obszedłszy dom dokoła, Hryć pocichu wszedł do sieni. Przywykli byli ludzie do częstych jego i nieraz późnych odwiedzin; nie zdziwiło ich, gdy zażądał być wpuszczonym do pani.

— Co robi? — spytał.

— Mówi pacierz z dziecięciem — odpowiedziała służąca.

— Powiedz, żem przyszedł i że się chcę widzieć, bo mam pilną potrzebę.

Służąca pobiegła i w chwilę potém Marya ukazała się z uśmiechem na progu.

— A co, mój opiekunie? — spytała słodko, witając go skinieniem głowy — masz, słyszę, jakąś potrzebę do mnie?

Hryć się obejrzał i wszedł do salki.

— Będziemy mieli polowanie — rzekł, usiłując w żart obrócić niebezpieczeństwo.

— Jakie? — smutnie spytała Marya, której ten wyraz śmierć męża przypomniał.

— Trafem jeden z naszych ludzi podsłuchał łotrów z bandy Jednookiego, co się na dwór dziś w nocy napaść zważali.

Marya lekko krzyknęła i rzuciła się, jakby do łóżeczka dziecięcia zbliżyć się chciała.

— Niech się pani nie lęka — pośpieszył stary — niema żadnego niebezpieczeństwa; na wsi już o tём wiedzą; ludzie się zaraz zbiorą. Wiemy, że Jednooki będzie miał ze sobą dwudziestu, a nasi się zlecą wszyscy... jednakże...

— Każesz mi zostać we dworze? — spytała śmielęj Marya.

— O! nie! — przerwał Hryć — nie rozkazuję nic; owszem radbym pani oszczędzić niemiłego widoku i wrzawy; dziecko to może przerazić...

— Prawda! prawda, mój dobry przyjacielu, ale coż każesz? —

spytała, nalegając, Marya — dokąd nas schronisz? Ja lecę po Stasia zaraz...

— Gdyby nie deszcz i nie ostatek burzy a błoto, znalazłbym pewne, choć trochę dalekie miejsce, gdzieby pani mogła być zupełnie bezpieczną...

— Z wami ja-m bezpieczna wszędzie! — z uczuciem odezwała się wdowa — ja się nie lękam... Chciałabym tylko oszczędzić Stasiowi strachu, który czasem na dzieciach nadługo robi wrażenie.

— Moznaby zamknąć się w skarbcu, bo to miejsce obronne, ale tam wszystko słychać będzie. Nie lękasz się pani deszczu i błota?

— Ty wiesz — uśmiechnęła się Marya — ja-m córka szlachcica, przywykłam do wszystkiego, Stasia nie pieszczę... pójdziemy, gdzie nas poprowadzisz...

— Ale — dodał pocichu stary, mierząc ciekawém wejrzeniem swą panią i badając wrażenie, jakie robi — dziwnym przypadkiem jest tu Juliusz Zlewa, który, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, przyleciał...

Twarz Maryi nie zmieniła się wcale, trochę tylko pokazała radości.

— To dobrze — odparła żywo — będzie was więcej; zapewne zostanie przy dworze.

— Tak jest, myślę mu powierzyć tu wyprawę, a sam zostanę z panią, chociaż — dodał ciszej — byłoby lepiej, żebym sam mógł się tu znajdować, a jemu straż waszą powierzyć.

— Zrób więc jak lepiej — odpowiedziała Marya, szybko kierując się ku pokojowi dziecka. — Za pięć minut będziemy gotowi, ja, Staś i Maryanna.

Hryć wybiegł tymczasem rozporządzić ludźmi i chwycić broń potrzebną z pozostałej po nieboszczyku. Ludzie dworscy zebrani w początku przerazili się tą nowiną, bo napady na dwory Jednokiego, które powiększał jeszcze strach, co o nich wieści roznosił, sławne były okrucieństwami i wściekłością tego rozbójnika. Wprędce jednak, dowiedziawszy się, że cała wieś już na nogach, że Hryć sam kieruje obroną, żwawo i ochoczo wzięli się do przygotowań. W chwili wyniesiono wszystkę broń i ładunki, rozdzielono ją pocichu, pogaszono światła i stary wybiegł do ludzi wiejskich, już się ściągających pod stare lipy, by im oznaczyć stanowisko. Zbójcy, od Turowszczyzny idąc, musieli wchodzić przez wał wysoki, na który wiodły powyrąbywane w nim ścieżynki; w tém miejscu po krzakach i za drzewami rozstawił kołem swoich Hryć, a za wałem ukrył część także, by odwrotu zbójcom nie dopuścić. Nakazał wpuścić ich wszystkich, nie dać ujsć nikomu. Ludzie z palkami, siekierami, powrozami, hakami od pożaru i czém kto miał, już się tłumnie scho-

dziec poczynali. Jakkolwiek obawiali się oni bandy Jednookiego, która na szerokiej kraju przestrzeni wślawiła się mordem i grabieżami nocnymi, napadami na dwory i kościoły, zagrzewała ich ochota obronienia swęj pani i jęj wdowiego mienia.

Jeszcze szeptał ze starszemi i Juliuszem stary, gdy Marya w płaszczyku ze służącą, która drzemiącego Stasia niosła na ręku, ukazała się w ganku.

— Za mną! — zawołał Hryc pocichu — ja tylko pójdę z panią na pół drogi; dalej pan Juliusz poprowadzi. Ale trafiż-że pan? — spytał po chwili zastanowienia.

— Za to nie ręczę — odparł, wachając się, młody człowiek.

— O! to przyjdzie mi pójść z wami i powrócić — rzekł Hryc. — Czekajcie chwilę; każę sobie podać konia, żebym się przedżęj uwinął.

Marya milcząco powitała Juliusza, któremu serce biło tak, że ust otworzyć nie śmiał. Zbrojny już w dubeltówkę i parę pistoletów, Zlewa wrzał chęcią okazania czynem, że gotów był życie dać za Maryą. Niekiedy błyskawica biała oświeciła rysy spokojne męźnej niewiasty i pełną wyrazu energii twarz męźczyzny. Naowczas Juliusz śledził wzroku Maryi i z podziwieniem widział w nim tylko bohaterską odwagę, zimne męstwo i jakąś dumę, oblaną starremi smutkami.

Hryc powrócił, wiodąc konia za uzdę, a nasi podróżni pod jego przewodnictwem spuścili się z wałów, weszli na ścieżkę nad stawem kołującą i posunęli się ku zdala czerniejącym lasom; w cichości postępowwała Marya, przestraszona dziewczyna niosąca dziec, a za nią Juliusz, którego dziwny ten przypadek dziwnie też egzaltował. Ta nocna wędrownka, ta straż, którą miał spełniać, wszystkie wypadki nocy, spotkanie starca, pieczara, rozmowa, podnosiły go do tego stanu niezwyčajnego dumy, w którym człowiek czuje się silniejszy i jakby podwójny.

Coraz zbliżał się las, w który weszli nareszcie, a że Maryanna obawiała się co chwila bardziej i ciemności drzew i wszystkiego, co ją otaczało, Juliusz, bojąc się o dziec, wziął je na ręce. Milczącém wejrzeniem podziękowała mu wdowa. Parowami rozmokłemi od deszczu, w których głębi ciekły jeszcze nawałnicy potoki, przejście było trudne i miejscami niebezpieczne, ale Marya, córka łowca i gospodarza, żona myśliwca, śmiałą stawała stopą i ledwie że się uśmiechała z obawy swęj towarzyszki, którą strach kilka razy obalił.

Hryc poprzedził ich do podziemia, rozpałił zabrane z sobą światło, a gdy weszli do pieczary, Marya zdziwiona nie mogła powstrzymać okrzyku. Ta głębia ciemna, czarna, posepna, w której walały

się kości ludzkie, wydała jej się straszliwym wielkim grobem i pierwszy-to raz wzrok jej obłąkany zwrócił się ku Juliuszowi.

— Stary przyjacielu, gdzieżeś to nas zawiódl? — zawołała niespokojnie.

— W najbezpieczniejszą ustron — odparł starzec, dodając jej otuchy — nikt tu was nie znajdzie, bo nikt, prócz dwóch lub trzech ludzi naszej wioski, nie zna tej pieczary i trafić do niej nie może. Pan Juliusz pozostanie u wnijscia, trzech ludzi zostawiam na górze, na wypadek potrzeby jakiej, a sam, jak tylko się tam uwiniemy z Jednookim, przylecę.

— Ot, i siedzenie — dodał, troskliwie zmiatając połą wyskok, nakształt przyżby dokoła zostawiony — a dla Stasia jest tu pościółka nawet, kupa liści, paproci, które-m na swoją potrzebę ususzył... To mu nie zaszkodzi. Podścielimy moję świtę...

— O! z tego nic nie będzie! — wstrzymując Hrycia, który już ją zdejmował, rozczulona odezwała się kobieta. — Weź mój płaszcz, ja ci zrzucić nie dam odzieży, kiedy masz wracać po słońcu.

Kiedy się jeszcze spierali, Juliusz swoją pelerynę zarzucił na kupę i liści i już na niej śpiące dziecię ułożył, Maryanna, żegnając się i modląc i płacząc, siadła u nóg Stasia.

Z twarzy wdowy znikł już pierwszy przestрах mimowolny, odzyskała przytomność i spokój, usiadła na ławie niedaleko Stasia i ciekawie rozglądała się po pieczarze. Juliusz, oparty na strzelbie, usunął się do wnijscia.

Hryć już miał odchodzić.

— Jednę tylko — rzekł na ostatku — mam państwu zostawić przestroję: pieczary ciągną się bardzo daleko, rozgałęziając tak dziwacznie, że tylko dobrze znającym je bezpiecznie jest posuwać się dalej. Proszę pozostać tutaj.

To mówiąc, ścisnął rękę Juliusza i zniknął.

Marya z głową zwieszoną poczęła dumać, a wzrok młodzieńca, upojony jej widokiem, skierował się i zatrzymał na cudnej twarzy, którą uroczeni blaskami stroiła miłość macierzyńska, wdowi smutek i chrześcijańska duszy pogoda.

My tymczasem zwróćmy się za Hryciem ku dworowi. Koń szybko go unosi przez wioskę w podwórze, puścił go u bramy, a sam posunął się cicho i skrycie ku skarbcowi. Ludzie w oczekiwaniu niemem leżeli na ziemi, stali, klęczeli, pozaczajani. Nie przywykli do takich wypraw, drżeli wszyscy prawie, gdyż w oczach ich zbójcy stawali się jeszcze olbrzymami jak w bajce. Ujrawszy Hrycia, zmężniał z nich każdy, poczuwszy siłę, jaką wódz zaufany daje. Hryć miał strzelbę gwintówkę, pistolety i stare szablisko, chwycione ze

ściany. Strzelcy i dworscy zbrojni byli także w fuzye i broń znalezioną, wieśniacy mieli tylko siekiery, topory i kije.

Słychać już było rozlegające się po wsi pierwsze kogutów pianie, a nie się jeszcze nie pokazywało; oczekiwanie niecierpliwiło ludzi i odejmowało im siły, głucha cisza, szumem tylko wiatru przerywana i odgłosami uszłej już burzy, złowrogo wisiała nad ich głowami. Oczy wszystkich zwrócone były na wał, przez który, drapiąc się, zbójcy powinni się byli pokazać... Największe milczenie nakazywane było przez Hrycia.

Wtém na tle szarém nieba, ponad wałem ukazała się wysoka jakaś postać, która powolnie wzniosła się nadeń, wyprostowała i w dół spuszczać zaczęła ku podwórzowi, za nią jeden, drugi, trzeci, kupa łotrów zaszarzała, mignęła i znikła. Nie można ich było policzyć, tak szybko wdarli się po pierwszym... Wszyscy już być musieli między wałem a gromadą ludzi, co ich czekała. Oddzielało ich od zacząjonych może sto kroków tylko, a te szybko przelecieli zbójcy i oparli się właśnie o linię, na której stał Hryć! Jednooki, idący przodem, podstąpił tak blisko starca, że ten poczuł oddech jego ciepły trunkiem; zerwał się na nogi i przyłożył mu lufę do piersi, wołając:

— Bacznosc od wału!

Wśród ciemności kilka strzałów ognistemi pasami przerznęło się w różnych kierunkach, ludzie na rozkaz Hrycia ścisnęli się kołem, kilku jęknęło, ale niepodobna było swoich rozróżnić od napastników; zamieszanie stało się niewysłowione.

Głos Hrycia kilkakroć dał się słyszeć, górując nad wrzawą, i umilkł nagle, przzerwany jękiem. Trudno opisać, co się tam działo, tak noc niepodobną czyniła i obronę i napaść. Zbójcy, wprawniejsi, kupą się jęli i, widząc ogrom ludu, poczęli cofać się ku wałom, ale tu szereg nowy zaskoczył im drogę. Chcieli strzelać, zabrakło im nabożów i czasu do przygotowania strzelb na wiatr wypróżnionych. Ludzie ze Starego, jakkolwiek gorliwi, nie umieli sobie dać rady, cofając się przed wściekłą obroną bandy Jednookiego. Sam on dowodził teraz odwrotem, w zębach trzymając nóż, w rękę strzelbę i kolbę jęj roztrzaskując głowy...

Kupa zbójców nie dawała się ująć, ale i uciec nie mogła; dworscy tylko strzelali do nięj i coraz-to przekleństwo z krzykiem dało się słyszeć zpośrodku napastników.

Nareszcie Jednooki rzucił się na wał pierwszy, chcąc się koniecznie przebić... i strzał kucharza, który się na niego zaczął, położył go trupem. Widząc upadającego naczelnika, łotry zaczęli wołać przebaczenia.

— Rzućcie broń! — dał się słyszeć głos Hrycia osłabły — na kolana! wiązać ich! Światła!

Posłuszni, bo znękani, napastnicy popadali na ziemię, szcęknięty ich strzelby, krzyki rannych słyszeć się dały.

— Wszyscy na miejscach! ani się ruszyć! — dodał starzec znowu. — Jeden po światło!

Milczenia chwila, która nastąpiła, była tylko przerywaną jękami, z rozmaitych stron słyszeć się dającymi, i przekleństwami zbójów. Latarnie wreszcie pokazały się ode dworu i dwóch ludzi naniósł słomy i gałęzi, by stos z nich przed drzewami naprędce rozpaścić.

Pobojowisko, oświecone pierwszemi blaskami płonącego ognia, okropny widok przedstawiało. Z jednej strony jęczeli ranni wieśniacy, których kilku ciężko było pokaleczonych, i Hryć sam z przestrzeloną ręką leżał na ziemi; w pośrodku banda zbójców cisnęła się dokoła trupa, leżącego nawznak z nożem w zaciśniętych zębach, ze straszliwie wytrzeszczonemi oczyma, ze strzelbą potrzaskaną w rękę. Było ich piętnastu tylko, gdyż reszta w zamieszaniu umknąć potrafiła niepojętym sposobem; z tych ośmiu rannych leżało, krwią się brocząc, reszta jak wilcy spoglądali ciekawie złości pełnym wzrokiem na to, co ich otaczało. Ujrzeni ogromne koło ludzi i jękli.

Wtém jeden z nich zdał się coś szeptać do swoich, poruszyli się nieco... Chłopi, którym już głos Hrycia, zemdłałego od utraty krwi, nie przewodniczył, poczęli się rozsypywać powoli... garstka zbójców w mgnieniu oka, porwawszy ciało Jednookiego, chwyciła się z ziemi i rzuciła na wał.

Krzyk i wołanie i strzały znowu... ognisko niepodsycone zagaśło od deszczu, a banda już na drugą stronę wału się dobywa... Rzucili się za nią ludzie, zapalczywie chwytając zbiegów, ale trzech tylko, co niesli Jednookiego, dostało się w ręce gromady; reszta, rozpierchając się po gąszczy, która okrywała tamtą stronę wału, rozrzucając baczność niewprawnych do ścigania ludzi, uszła.

Wszakże zwycięstwo zostało przy mężnych wieśniakach, ale drogo okupione: Hryć leżał ranny mocno, oprócz niego kilku było postrzelonych i pokaleczonych. Ci jednak nie jęczeli nawet, zobaczywszy starca omdłałego, i wszyscy z wyrazem troskliwości nieopisanéj otoczyli go kołem, narzekając w ten sposób poetyczny i śpiewny, co z każdego lamentu wiejskiego czyni liryczną pieśń boleści. U nich każde żywsze uczucie tak jakoś naturalnie, mimowolnie z jęku w śpiew przechodzi, że widzisz zdumiony, jak pieśń i poezya na ziemi powstały. A zrodziła ją naprzód boleść i pierwsza musiała być krwawym płaczem, bo nic tak duszy nie podnosi, jak cierpie-

nie. Hryć otworzył oczy, pokropiony wodą, podniósł się na zdrową rękę i zawołał niespokojnie :

— A zbójcy!

— Ojcie — odparł Hruzda młody — trzech-eśmy wzięli; a Jednooki zabity.

— A reszta?

— Uszła... — smutnie i cicho dodał któryś.

— Ha! dobrze i to, moje dzieci — rzekł Hryć. — Niechże mi który rękę opatrzy... Zawołajcie bab, bo one do tego najwprawniej-sze, ale dowleczcie mnie do chaty; tam ja sobie lek znajduję. Ale nim co będzie, pokażcie mi tych zbójów.

Otworzyło się koło otaczające Hrycia; ujrzał leżący na ziemi trup ogromnego mężczyzny, ubranego i uzbrojonego, jak zwykli chodzić opryszki. Na srogiej jego, ogorzałej i ogromnym czarnym włosom okrytej twarzy widać było jeszcze zastygły wyraz złości i siły. Oczu miał dwoje mimo nazwiska swego, ale z nich jedno bielmem okryte było i tém straszniej z trupa patrzyło. U nóg jego siedziało trzech zbójców, z zaciętymi ustami i ponurą twarzą. Jeden z nich zwrócił się do Hrycia, zmarszczył brwi i srogo spojrzął.

— Cośmy wam przewinili — zawołał stary — żeście nasz dwór zniszczyć chcieli? Mało jeszcze narozlewaliście krwi i napalili siół?!

— Milczałbyś, brodaczu! — warknął zbój. — Nasze-to życie, a co ci do tego! Zrobicie z nami co zechcecie, a z wami zrobi brat Jednookiego i pozostałe dzieci, czego się nie spodziewacie... Popadliśmy, ale to nie koniec.

— Zobaczymy! — z udaną odwagą rzekł Hryć.

— A zobaczymy! — powtórzył rozbójnik szydersko. — Jednookiego śmierć nie pójdzie wam płazem! Jest nas dosyć bez trzech, co ich macie w rękę, i czwartego, co leży na ziemi...

Ludzie słuchali i nikt więcéj nie odpowiedział; więzién spuścił głowę i począł płakać. Łzy to były tak dziwne, że Hryć uczuł je w sercu; wszyscy zdumieli się, skąd wypłynąć mogły... A któż wy-tómaczy człowieka?

Rozstawiwszy strażę dokoła dworu, co pogróżki czyniły koniecznym, Hryć, sparty na ramieniu Janka, powłókł się do swojej chaty, aby tam rękę przestrzeloną opatrzeć; zasiadł na ławie wśród lamentujących bab, kazał sobie podać z komory masę, którą sam na podobne razy przygotował, gdyż był i lekarzem wioski, i rozpoczął z wesołą twarzą bolesne pierwsze obmycie; stary ani syknął, gdy mu fletuch i sukno kulą wbite niegłęboko wyciągano; sam wskazał, jak przemyć i pomógł obwiązać. Zaledwie to dokończonym było,

gdy w okna chaty uderzył blask krwawy. Hryć porwał się przerażony. Dwór się palił!

— Do dworu! — zakrzyczał, biegnąc ku drzwiom — do dworu wszyscy ratować! to zemsta zbójców! Uderzyć we dzwony kościółka!

Ale już drogą ku zamkowi szła śpieszno gromada cała, kobiety, dzieci, kto żył, z krzykiem i plaskaniem w dłonie. Ponad lipami wioski płomień wznoszący się chwilami oznajmował, że się dach pali... Przybiegli, gdy go już całkiem obejmowały płomienie. Ratować dworu nie było podobna; trzeba było ocalić tylko mienie i resztę budowli. Hryć z wielką przytomnością zajął się znowu rozporządzeniami, a wieśniacy z gorliwością podwójną spełniali każde jego skinienie. Wynoszono wszystko, co się wychwycić dało, sprzęt nawet, okna, drzwi i ze składów rzeczy mniej cenne co chwili wyrzucano na podwórzec. Sufity zawałać się zaczynały, gdy resztki wyrwano jeszcze... Nic nie zgorzało prócz starego dworu, ale sam dwór był drogą pamiątką dla Maryi, a żaden pałac zastąpić go nie mógł. Każdy tam kątek przypominał chwilę jakąś, do każdej izby przywiązywało się dawne podanie dziadowskie, a w pokoju Joachima ostatni ślad znikł jego życia. Wiedział Hryć jak strata starego domostwa dotknie Maryą, i ze łzą w oku spojrzął na zgłiszczadogorywające; ale płakać nie było czasu: deszcz wilżył wyratowany sprzęt; trzeba go było unieść i zachować do pustego skarbcza, który się teraz bardzo przydał.

Cokolwiek wolniejszy, nie dbając już, że i bliska oficyna płonęła zajęta, gdy dwór ratowano, Hryć pomyślał o potrzebie uspokojenia swej pani; pomimo dolegającej rany, kazał sobie podać konia i pośpieszył do Ładowego gaju.

Kilka razy jeszcze w drodze siwą głowę odwrócił ku dworcowi, który dymił zdaleka; jakaś myśl ciężka ucisnęła mu serce, tęskno spuścił głowę na piersi.

— Gdzie ją teraz poprowadzić? — rzekł do siebie. — Do Starego nierychło będzie mogła powrócić; niema tam gdzie głowy położyć; a dwór nowy chyba za rok stanie... Tak! pojedziemy do miasta. Stasiowi to nie zaszkodzi i od Juliusza nas uwolni.

Pocichu wszedł do pieczary, w której głuche panowało milczenie, świeca dopalała się, gdzie ją postawiono, Staś spał na paprociowym pośłaniu. Marya się modliła, spoglądając na niego, a Juliusz, oparty na strzelbie jak posąg skamieniały, wlepił w nią oczy i zesłupiał uwielbieniem.

Jedno wejrzenie na niego przekonała starca, że nieuchronna konieczność, co go zbliżyła do Maryi, rozplómiła nanowo milczącą

namiętność. Wszyscy rzucili się ku niemu i wdowa pierwsza zobaczyła rękę na czerwonym pasie zwieszoną.

— A! tyś ranny, mój opiekunie! — zawołała. — Mów, mów, co się stało? Tyś ranny dla nas! Jakże ci to zawdzięczyć!

— Rana ta nieznacząca — uśmiechając się, odpowiedział wieśniak. — Dzięki Bogu, wszystko dobrze. Jednooki padł zabity, trzech z jego bandy złapaliśmy, kilku ranionych, reszta uciekła.

— A z ludzi naszych nie zabity kto, uchowaj Boże? — troskliwie spytała kobieta.

— Nikt, kochana pani, nikt, choć przeprawa była ciężka — dodał po chwili. — Złapani bronili się wściekle i pomścili się niegodni śmierci swojego herszta.

— A cóż się stało? dwór! dwór! — z przestachem, łamiąc rękę, spytała wdowa.

Hryć smutnie spuścił głowę.

— Tak jest, pani — rzekł — zgadło serce twoje, dwór się spalił... ale co było w nim, wszystkosmy uratowali; szpilka ci nie zginęła.

Pomiarkowała Marya, że zbytńia żalność wobec takich poświęceń ludu byłaby dla niego bolesną jakby wymówką, i choć ją strata ciężko dotykała, zamilkła.

— Wola boża — odpowiedziała zcicha — ale gdzież się podziemy teraz...

— Namyślim, postanowim — rzekł stary — nie strachaj się pani. Tymczasem pogróżki reszty zbójców nakazują nam ostrożność; trzeba tu jeszcze pozostać na dni kilka.

Juliusz stał milczący w ciągu téj rozmowy; zdawało się, że uczucie wezbrane mowę mu odjęło.

— Chodź pan — rzekł stary do niego — możesz do domu powrócić; niema już potrzeby straży, bo tu niema niebezpieczeństwa.

— O! jabym tu został wieki! — szepnął, oddalając się niechętnie. — Pozwól mi pilnować jój jeszcze...

— Nie! nie! jedź pan do domu; ja zostanę na straży sam, ludzie są dworscy, a panu dłużej tu bawić niebezpiecznie. Jeśli zechcesz powrócić... dowiedzieć się... znajdziesz nas tu za dni parę. Ale ci nie radzę — dodał poważnie i smutnie — pomnażać sobie cierpienia widokiem kobiety, która cię kochać nie powinna i nie może! Jedź i nie powracaj, to rada przyjaciela.

— Przyjaciela? — z gorzkim uśmiechem spytał Juliusz, boleśnie zrażony.

— Przyjaciela, lekarza, co ci gorzki podaje napój, by może wybawić od najstraszniejszój choroby, od rozpaczyl

— Myślisz, zem przez tę jedną noc kontemplacyi, milczenia, nie nabrał już tyle, ile potrzeba na całe życie męki ?

— Szaleńcze! szaleńcze! — odpowiedział Hryć — idź, jeśli ją istotnie kochasz! Chcesz-li i jej zatruć życie, jak zatrułeś sobie ?

I podał mu dłoń drżącą, żegnając; Juliusz ją pochwycił w milczeniu, uściśnął i, żywo zarzuciwszy strzelbę na ramię, w las uszedł.

Stary popatrzał za nim tym wzrokiem litości, który zdaje się w sobie zawierać modlitwę; dotąd trzymała go na nogach powinność, teraz uczuł nagłe osłabienie i osunął się powoli na trawę. Sen skiełł mu powieki znużone, gdy słońce wschodzić poczynąło nad porozeliskiem Starego.

Nazajutrz Juliusz wyblady, zdyszany, jak gdyby na chwilę nie spoczął i błakał się tylko po lesie, zjawił się u wniścia pieczary, u której siedział Hryć, pogładając na las, oświecony blaskami, cudnie rozwieszonymi wśród zieleni i wdzierającymi się w gęszcze, od płonącego zachodu nieba.

Spojrzał na niego stary, przeczytał, co przecierpiał młody człowiek i wywiódł go milczący do pieczary.

Juliusz spodziewał się tu znaleźć Maryą i niespokojnym okiem polecał aż w głąb' czarną podziemia, ale się zawiódł: Maryi nie było; brat przyjechał po nią i wywiódł z sobą do Sasowa.

Nie rzekł i słowa młody człowiek; usiadł tylko na bliższej ławie i zdawał się gwałtownie walczyć z sobą. Hryć udawał, że téj walki nie postrzega; począł mówić o rzeczach obojętnych i nie dopuścił mu nawet wspomnieć o Maryi. Wczorajsze wypadki obfitego rozmowie dostarczały wątku, ale Juliusz rozgadać się nie dał. Po półgodzinnem milczeniu wstał, ścisnął rękę starca i odszedł.

Kilka dni upłynęło, gdy dwaj przyjaciele znowu się spotkali w parowie, do pieczary wiodącym; Hryć często tu przebywał, Juliusza ciągnęło wspomnienie, do którego potęgi przyznać się nie chciał. Udawał prostą ciekawość.

Ale na ten raz, jakby jej rozumieć nie chcąc, Hryć go nawet nie wprowadził do wnętrza; usiedli na obrywie gliniastym.

Młody człowiek spokojniejszy zdawał się nieco, a więcéj jeszcze grał spokój, by się mniej niebezpiecznym pokazać. Poczéł mówić o rzeczach obojętnych; Juliusz wskazał pieczarę.

— Tyś mi wszystkiego nie powierzył, przyjacielu — rzekł powoli. — Przebyłem pamiętną dla mnie noc, pełną widzeń niebie-

skich, w tém podziemiu, a pewien jestem, że go nie znam wcale. Nie odkryjesz-że mi jego tajemnic? Pieczara ta widocznie ciągnie się dalej; widziałem cię chodzącym w głąb i wynoszącym różne sprzęty, które zdradziły, że tam coś więcej nad puste lochy być musi. Powiedz mi, czy jeszcze nie zasłużyłem na wiarę u ciebie?

Juliusz to mówiąc, miał na celu do Maryi się zbliżyć; nie wiedział o jęj odjeździe do Sasowa i sądził, że starzec ukrył ją w gębinach niedostępnych podziemia.

— A gdyby — odparł, uśmiechając się, Hryc — tajemnica, jeśli jest jaka, nie była moją? Chcesz-że uczynić mnie zdrajcą?

— Dlaczego nazywasz to zdradą? — odparł Juliusz. — Czyż dawne i nowe stosunki nie połączyły nas z sobą na wieki? Jestem-że ci obcym? mogąć tobie lub twoim być nieprzyjacielem?

Starzec popatrzał długo na Juliusza ze smutkiem niewymownym, zdając się czytać w twarzy jego, i odrzekł po chwili namysłu:

— Prawda... myśmy zdawna połączeni z sobą; winienem ci zaufanie, boś na nie zasłużył umiarkowaniem, zwycięstwem nad sobą... Będziesz wiedział, co chcesz wiedzieć. Ale niech ci się nie wyobraża, żeby to, co ci się może marzyć ciekawém jakimś odkryciem, zaspokoilo rozbudzoną wyobraźnię twoję. Stare-to tylko pamiątki przeszłości, z czcią dochowane do dziś-dnia. Chcesz wiedzieć i widzieć wszystko? posłuchaj więc naprzód: Stare, wieś nasza, w tych wiekach, o których nie mówią dzieje wasze, których zaledwie się domyślacie, tak dla was nic podania zerwana, było znaczną bardzo lechicko-słowiańską osadą. Dawały jęj znaczenie szczególniej dwie większe świątynie, dwa źródła za święte uważane, dwa bugaje... i kapłani, pilnujący przy nich grobów i ołtarzy. Zaczysko było naówczas mieszkaniem możnych książąt, panujących nad obszerną krajem przestrzenią. W miejscu, które się dziś jeszcze zowie Lelową Kontyną, stała jedna świątynia, druga na tym okopie w Lelowym gaju. Przy tym strumieniu, co płynie u stóp pagórka, odbywały się zapomniane dziś obrzędy pogańskie praocjów naszych. Może te dwie świątynie, zbiegowisko ludu do nich, może inne, nieznanne nam przyczyny wyrobiły w osadzie Starego takie zamiłowanie wiary i przeszłości, jakiegoby już próżno szukać gdzieindziej. Nie wiem, wiele wieków upłynęło od owych czasów, a one nam są jeszcze tak przytomne, a myśmy jeszcze tak z nimi związani, jakby się to wczoraj działo, jak gdyby jeszcze nie zarosły mogiły tych, co nam przekazali drogie i wielkie wspomnienie po sobie. W rodzinie naszej było dziedzictwem pierworodnych kapłaństwo świątyni Ładowej... Mój praocięć, ostatni stróż jęj, zginął sam, nożem ofiarnym bóstwu swemu zabiwszy się na obiatę, gdy ujrzał, że krzyż Chrystusowy starą wiarę zniszczyć musi. Wielu z braci jego dało się

umęczyć za fałszywe bogi swoje, w których czcili ojców wiarę. Wspomnienie chwil walki trwa jeszcze do dziś-dnia u nas przytomne. Syn ostatniego kapłana, po wywróceniu Ładowej Kontyny w gaju, uważany był przez gromadę Starego za jego następcę i tajemnie dzieci po rodzicach dziedziczyły pamiątkę dostojęstwa, a z nią pewną władzę nad ludem. Wieków potrzeba było, żeby się tu prawdziwa wiara zaszczeplić mogła, i do dziś-dnia obok niej trwa poszanowanie dawniej, trwa cześć jej wspomnienia. Z ojca na syna spada dotąd w mojej chacie niejako kapłaństwo przeszłości, i ja-m dziś ostatni może, bo bezdzietny wieków spadkobierca. Smutne-to zwierzchnictwo, smutna władza nad mogiłami, nad tajemnymi obrzędami, nad łzami, które ukrywać potrzeba, bo się do nich przyznać nie godzi! Ta chata, którą widziałeś może na wzgórzu, stoi na straży najstarszego słowiańskiego cmentarzyska, gdzie jeszcze na stosach palono trupy, gdzie na każdym prawie kroku rozgniatasz gliniane popielnice, kości niedogorzałych, łez zaschłych i smutnych zabawek dziecięcych pełne. Drugie, późniejsze zgliszcze leży w dolinie, przy dawniej Kontynie Lelowej. Ja znam każdy ich kamień, każdą mogiłę widoczną i niedojrzałą, każdy dół grobowy i powiedzieć mogę jeszcze, czyjjej rodziny spoczęły w nim kości. Uczyłem się tego od ojca w dzieciństwie, przypominałem po powrocie. Chrześcijański teraz lud wioski naszej tęskno nosi żalobę po dziś-dzień za swojemi bogami; nie czci ich już, ale się jeszcze nie umiał rozbrać z niemi. W dzień wspomnienia zmarłych, na Dziady, przypomina on i zmarłych swoich i zniszczone bogi, wywołując je żalem jednym. Nawet mogliły praocjów postroił krzyżami, żeby je uświęcić, a Ładowy Gaj i Lelową Kontynę krzyżami także ostawił, by się mógł tam modlić, gdzie się modlili dziadowie. O! piękna i wielka jest ta cześć podań przeszłości, ten pośmiertny związek z duchem ojców, który świat rozszerza, otwierając wrota do bezdennych, zamierzchłych wieków, co nas poprzedziły i usłały nam drogę trupami swemi! Ja nie pojmuję nawet, jak bez tego związku ze światem duchów żyć można.

To mówiąc, starzec wprowadził Juliusza do pieczary, zapalił świecę w milczeniu i poprowadził go z sobą jednem z przejść podziemia, węższem i więcej bryłami gliny i gałęziami zawałonem od innych. Długa a wąska szyja kilka razy skręcała się przed niemi i rozdzielała na kilka lochów, w różne idących strony, rzucili wprawo i wlewo szersze i węższe izby, wykute w ziemi, nareszcie, przedarłszy się przez nawał suchego chróstu tarnowego, stanęli u drzwi dębowych, które prosta, drewniana, ale misterna zamykała kłódka.

Siekierą chyba mógł ją nieznający sposobu otworzyć.

Z podnieconą do najwyższego stopnia ciekawością i trochę na-

dziei widzenia Maryi wszedł Juliusz za starcem do wynioślejszej sklepionej pieczary, pod samą dawną znajdującą się świątynią. Była to jaskinia kulista prawie, dwadzieścia kroków może obwodu mająca, sparta wpośrodku na jednym ogromnym słupie, od którego łukami rozrastało się dosyć kształtnie wyprowadzone sklepienie. Widok jej, przy słabym, migającym blasku świecy, wyrwał mimowolny okrzyk podziwu z piersi młodego człowieka, tak to, co ujrzał, niepodobnym było do niczego widzianego w życiu.

W słupie olbrzymim, wydrążonym głęboko, na pniu ogromnego dębu wznosił się bałwan kamienny, nieforemny, ale z dziką, wyrazistości pełną fantazyą wyciosany. Nie było w nim sztuki, ale to, co sztukę tworzy, uczucie... ręka, co go wyrobiła, czuła potężnie myśl, którą wyrazić chciała, i przelała w ledwie ociosany głaz piętno siły, która tworzy Ład i trzyma świata porządek.

Takie było pogańskie Ładu pojęcie, a ład ten zapomniany wszystko *ładne* czynił boskiem niejako, wnosząc piękność do przymiotów bóstwa i łącząc ją z porządkiem, bez którego niema wdzięku.. Ład więc był dla nich źródłem piękna i zasadzał się na pewnym prawie; brak jego stwarzał, co *nieładnym* i *beładnym* było. W tych wyrazach, dziś machinalnie powtarzanych, ile jeszcze myśli się kryje! Nieładne już się poprawić nie mogło, w beładzie były pierwiastki ładu! Lecz wróćmy do bóstwa i świątyni.

Prostemi rysy natchniony wieśniak wykuł swojego boga, ale ta bryła dziś jeszcze mogła zdziwić i przerazić. U nóg bóstwa był ołtarz kamienny, wsparty na kościach zwierząt, foremnie ułożonych przy podstawie... naczynia ofiarne stały dokoła. Sprzęt ten odwieczny, z miedzi i srebra wykuty, uderzał kształtami dziwaczными, które jakieś znaczenie wotalne mieć musiały: były to głowy baranów, paszcze dzików, dzbany w postaciach węzów, żmij, smoków i potworów; znać ręka pieczołowita o zachowanie ocierała je z rdzy i pyłu, bo błyszczały, jakby ich wczoraj używano, i polewa wieków osiaść na nich nie miała czasu.

Na wierzchołku ołtarza dwa noże ofiarne miedziane, grubym pyłem przysute, nietknięte widać, rdzą zjedzone, spoczywały nieporuszone od lat kilkuset; rękojeści ich oprawne były w róg i drzewo.

Dokoła po ścianach wily się nieprzeliczone rogi zwierząt, popłatanie i tworzące rodzaj sieci misternej, sięgającej sklepienia. Z nich także wyrobiony świecznik zwieszał się na żelaznym łańcuchu przed bożyszczem. Ale co najwięcej uderzało, to we wgłębieniach, dokoła pieczary wyrobionych, stojące na podstawach kamiennych szkielety.

Niektóre z nich jeszcze się trzymały, oparte o ścianę; na tych szmatami zbutwiałymi wisiały sukien reszty zezerniałe; inne, rozsy-

pując się, opadły, zsunęły się i leżały kupą białą kości. U kilku głowy tylko stoczyły się pod nogi; na skroni ich jeszcze znać było zeschnięte wieńce z liści dębowych, które ręka późniejsza odnawiać musiała. Dziwne postacie tych kościotrupów, krąg ich otaczający bożyszczę, przejęły trwogą chwilową Juliusza; podniósł głowę i z podziwieniem ujrzał dopiero nad kamiennym bałwanem u słupa zaknięty w górze, błyszczący złocisty krzyż.

Tym krzyżem zwycięskim biedni czciciele pamiątek chcieli uświęcić westchnienie za przeszłością.

— Ty tu wchodzisz ciekawy i trwożny — rzekł w tej chwili Hryć — ja ze lżą i uszanowaniem; to są dziadowie moi. Patrz! oto ostatni kapłan naprzeciw ołtarza, jeszcze białym uwiniony rąctuchem; u nóg jego leży dębowy wieniec, który składamy w każdą rocznicę jego śmierci, na każde Zielone święta. Maimy i ten grób wówczas żywotem przypomnień! Za nim szeregiem dziadowie, pradziadowie, praojcowie nasi zajęli miejsca dokoła i, oniemieli, stoją wierni swemu ołtarzowi, nad którym dziś błyszczą zwycięski krzyż... Macie wy w swoim dzisiejszem społeczeństwie wyższe i silniejsze uczucie wiary i cześć przeszłości? możecie się pochlubić, jak ten lud ciemny, równą potęgą i wytrwałością charakteru? Myśmy zrozumieli instynktowo, że doskonalenie się każde spoczywać musi na tle własnej przeszłości; wyście tę przeszłość częścią sponiewierali, częścią się ję zaparli.

— Niestety! tak jest! — smutnie odpowiedział Juliusz — olbrzymy spoczęły już w mogiłach.

— A dziś-że olbrzymy już byby nie mogły? — rzekł Hryć, siadając na szerokiej ławie kamienną naprzeciw bożyszczu i wskazując miejsce obok siebie Juliuszowi.

Ze wzrokiem ciekawością zapalonym, na chwilę zapomniawszy nawet o Maryi, oglądał się młody człowiek... Hryć milczał.

— Pamiętasz — odezwał się po przestanku — ten wieczór niedawny, gdyśmy się tu przed burzą schronili? Mówiliśmy naówczas o oświeceniu ludu i o jego podaniach.

— Pamiętam coś jak przez sen — rzekł Juliusz — dla mnie tyle wypadków i myśli i uczuć nagromadziło się w tych dniach kilku, tyle w nich przeżyłem, przecierpiałem, przemarzyłem zwłaszcza, że mi się to zdaje wiekiem!

— Przecierpiałeś — podchwycił stary — nie chwał-że się cierpieniem, bo stracisz całą jego zasługę; już nie cierpi, kto usta otworzył i jęczy; na to jest wyraz inny... boleje on! Cierpienie powinno być milczącym, jak cierpliwość. Pamiętasz może ten wieczór i rozmowę naszą, kochany Juliuszu?

— Jak przez mgłę, jak przez sen coś mi się przypomina.

— Mówiłem ci naówczas, że i lud ma starą oświatę swoją, pozostałość wieków niepoliczonych; nie mogłem ci jeszcze powiedzieć, że z kapłaństwem niejedna tajemnica, dla was i dla waszej nauki niepojęta i niezbadana, podaniem przelała się na mnie. Dlatego, że ją posiadam, śmiało wierzę, że nauka ludu prostego jest pozostałością drogą wieków pierwotnych i wiedzy objawionej w nich ludziom przez Boga.

— Nie żartuj-że ze mnie — rzekł Juliusz z uśmiechem smutnym — wiesz, że w cuda i tajemnice oddawna wierzyć mię odczono.

— Was może — przerwał Hryć — i wam wolno im zaprzeczać, boście się oddarli od Boga i od ziemi, od podań wiekowych i mądrości wlanej — dla wiedzy, którą zdobywacie mozolnie o własnych siłach; ale lud, ale my wieśniacy wierzymy jeszcze w cuda i tajemnice; nie rozstaliśmy się z tym światem dziwów dlatego, że go pojąć nie zdołamy. Ognisty miecz anioła nie wygnał nas z tego raj. Nie wszystkie ludu bajki, których słuchacie jak wyrojeń czczych fantazyj, są dziecinny wymysłem; to, co w nich dziś śmiech uczonych obudza, jest często zabytą tylko i zakrytą prawdą. Owo ziele kruszące żelazo, owa woda ożywiająca i złote jabłka czarownego bajek kraju, to dla was bajdy, a to może tajemnice nasze! Nie wszyscy znają je wieśniacy, ale są między nimi, na których przelała się mądrość pradziadów, i czego badacze dochodzą mozolnie, zdobywają po prószynce, to my hurtem odziedziczyliśmy w daremnej spuściznie. Śmiejesz się? śmiech-to niewiedomości i pychy!

— Czarodzieju mój — tęskno odezwał się Juliusz — dajże mi ziółko zapomnienia, daj mi napój, coby serce uspokoił.

— Dziecko! — rzekł starzec zcicha — wiesz-że ty, czy zapomnienie da ci szczęście? czy zobojętnienie uleczy cię z wiekuistych niepokojów? Myślisz, że ziemia matka, co ma lekarstwo na wszystkie rany i boleści ciała, nie ma środków cudownych na uleczenie duszy? Myślisz, że nie kwitnie cudowny kwiat paproci dla mężczyzn w wigilię Kupały? Tym kwiatem jest potężna wola... I kwiat lubczyku, co przyciąga... ofiarą i poświęceniem, i kwiat zimnej niepamięci...

— A dajże mi go, starcze!

— Nie! — surowo odpowiedział Soroka, brew marszcząc siwą — nie... te kwiaty, co może kwitną dla innych, nie są dla ciebie; tyś nie ten człowiek prosty a namiętny, którego leczyć potrzeba ziołami na serca chorobę; tyś sztucznie stworzona istota, we własne wierząca siły; lecz się męstwem i pracą i zwycięstwem nad sobą. Dla nas, co rozpaczać umiemy, których ból zabija jak żelazo, są zioła cudowne; dla was ich niema; wyście przestali wierzyć w cuda.

— A ty nie wierzysz cierpieniu memu? — z dziwnym wyrazem rozpacz, porywając się, zawołał młody człowiek, wybuchając.

— Wierzę! wierzę! ale to nie pierwsze tego rodzaju cierpienie, nie pierwsza miłość, a cóż ręczy, że ostatnia? Świat cię z niej uleczy szalem lub nasyceniem... idź do niego po ratunek.

To mówiąc, uśmiechnął się Hryć i wskazał drzwi, które Juliusz przestąpił, i znowu poszli ciemnymi przejściami do pieczary. U jęj progu ścisnęły się w milczeniu dłonie dawnych znajomych; czuć było w tym uścisku pożegnanie, i choć słowa nie rzekli, starzec poznał, że Juliusz nie wróci więcej do Starego.

We dwa lata po opisanych wypadkach, jednego poranka jesieni przechodził koło teatru hrabiego Skarbka pięknie, ale dosyć niedbale ubrany, smutnej twarzy młody człowiek, ze spuszczoną głową, z laską założoną na plecy, ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Krok jego był powolny i zdawał się pochodem bez celu, bez myśli przewodniczej... dumanie bezładne, urywane odwodziło go kędyś daleko od miejsc, które przebiegał nieprzytomny. Na jego twarzy widać było ślady jakiegoś głębokiego cierpienia, z którym się już zżył człowiek, brzemienia, do którego ciężaru przywykł. Wpadłe oczy, zgasły z policzków rumieniec, zacięte usta, chmurne i poorane czoło świadczyły o zadawnionej, nieuleczonej boleści.

Z drugiej strony placu przechodził w tójże chwili z kilkoletnim chłopczykiem, którego wiódł za sobą, starzec z siwą brodą, w prostej, chłopskiej czapce, w butach z czarnej grubej skóry, z nieociosanym kijem w rękę. Dziecię, które prowadził, troskliwie na nie co chwila się oglądając, to mu coś tłómacząc, niewytwornie było ubrane, ale z pańska, a sprzeczność stroju przewodnika i chłopięcia tak była uderzającą, że wszystkich oczy zwracały się na tę dziwnie dobraną parę, która nigdy nad obecną chwilę mocniej zastanawiać nie mogła. Niejeden z przechodzących już chciał, przerażony, krzyknąć, widząc dziecię szlacheckie w rękę wieśniaka, niejeden stanął i zapatrzył się na to fenomenalne widowisko w kraju, podzielonym na nieszczęśliwe stronnictwa; gdy starzec, podniósłszy oczy przypadkiem, postrzegł naprzeciw idącego powoli młodego człowieka, zmierzył go wzrokiem ciekawym, badawczym i żywo podszedł ku niemu.

— Juliuszu! — wykrzyknął z uczuciem, zbliżając się.

— A! to ty, stary mój nauczycielu — zawołał, podnosząc głowę,

młody człowiek z radością jakąś smętną i trwożną — to ty... Ale cóż porabiasz w mieście?

— Co robię? Widzisz, znowum dobrowolny ze wsi wygnaniec, znowu tęskny więzień murów miasta... Czyż nie poznałeś Stasia?

Dopiero teraz postrzegł Juliusz chłopczynę uśmiechniętego i zaczajonego za szeroką połą świty Hrycia, który wyskoczywszy nagle, rzucił się ochoczo w objęcia młodego człowieka, ściskającego sierotę z niewymowném uczuciem.

— A mama? jak się ma mama? co u was słyhać w Starem? A nie zapomniałeś ty o mnie?

— My z mamą razem tutaj we Lwowie, a ja go niebardzo lubię — odpowiedział Staś żywo. — Pierwszych dni tom się trochę ciekawił oknem, a teraz to już wszystko jedno a jedno i nudno... Ot! chodź-no pan do nas... my mieszkamy stąd o dwa kroki... Mama tak będzie rada zobaczyć pana Juliusza!

Juliusz spojrział na Hrycia; ten milczał, oczy spuściwszy, jakby zafRASowany.

— Chodź pan do nas! chodź-bo, proszę! — powtarzało dziecię, czepiając się sukni młodego człowieka. — Ja ciebie nie puszcze; musisz pojsć...

Juliusz wahał się jeszcze.

— A więc chodźmy — odezwał się nareszcie wieśniak — *ten raz* wszak nas pan odwiedzić możesz — dodał, biorąc go za rękę — pokazemy ci nowe mieszkanie nasze i pogadamy chwilę, swobodniej niż na ulicy.

Zwrócili się razem wszyscy, Staś poleciał przodem do matki, żeby jej gościa oznajmić. Weszli do pięknego domu, którego całe jedno piętro zajmowała wdowa z synem i nauczycielem. Na progu przyjęła dziecię swoje i z zadziwieniem postrzegła towarzyszącego mu Juliusza, któremu z okrzykiem szczerój, wesołej radości podała rękę.

— A! towarzyszu zlej chwili i pilny strózu pieczary — zawołała żywo — cóż ty tu porabiasz? Nic-śmy oddawna o tobie nie wiedzieli; znikłeś bez pożegnania i podziękowań naszych. Bawisz więc w mieście, jak my?

— Ja od wyjazdu ze Starego ciągle jestem we Lwowie — odpowiedział nieco pomieszany Juliusz — na wsi nie mogłem bawić dłużej... Żyję tu, a raczej patrzę na życie dzisiejsze smutne, dzwone, z założonemi rękoma jak posąg... A pani?

— Ja! — zawołała wdowa, wprowadzając go do saloniku — ja, jak pan widzisz, musiałam się tu wynieść za radą Hrycia mojego poczciwego, bo w Starem, póki dom stanie, niema gdzie mieszkać, i zbrojcy nam ciągle grozą! O! gdybym panu opowiedzieć mogła roz-

czulającą opiekę, troskliwość tych ludzi poczciwych, tych braci serdecznych, którzy jak widoma opatrność czuwają nade mną! Odbudowują już dwór i Hryc z uczuciem, na które on się tylko mógł zdobyć, robi go tak do starego podobnym, bym pomyliła się, wchodząc, i wzięła go za dawne poczciwe domostwo nasze! To piękna myśl jego. Pokój Joachima ustawimy, urządzimy, jak był za niego. Chciałam gdziekolwiek przytulić się w Starem i pozostać, ale dla Stasia musiałam pożegnać wreszcie mogiłę moją zieloną, miejsce tak dla mnie drogie, i wszystko, co mnie do niego wiąże, i przyjechać w gwar miasta, w ognisko nieznośnej, dzięki w walce... Stasia wychowanie tylko sprowadzić mnie tu mogło; poczciwy mój opiekun podjął się nim kierować i... widzisz pan mnie tutaj!

To mówiąc, westchnęła cicho.

— Tak! tutaj!—dodała — ale serce moje zawsze tam i w pierwszej chwili wolnej powrócę do zielonych lip Starego, do ciszy naszej wioski, by resztę życia tam spędzić! O! tak mi już pilno do końca!

Juliusz spojrział na nią: była w całym blasku młodzieńczej jeszcze piękności — piękności, którą opromieniał spokój cnoty i cisza serca, przejętego cierpieniem, co już było do niego przyrosło; łzawej jej oczy nie straciły nic blasku, kibić giętkości, włos połysku, usta różowej swęj barwy; wydała mu się tylko trochę bledszą, bielszą trochę, jakby ją czas powoli z róży na lilią przekształcał. W jego oczach była idealniejszą jeszcze, zaświeciła mu promienistszą. Spojrział i zadrżał, spuścił wzrok, zamilkł i obłok łez mignął mu przed zasłoniętą zrenicą.

— A pan? — spytała wdowa.

— Ja? czyż warto pytać o mnie? — cicho poszepnął Juliusz. — Ja żyję, męczę się, patrzę i nie wiem, czy co widzę. Życie mi zbrzydło, czerniało; nie mam co z nim zrobić.

Hryc stojący z boku widocznie się oburzył.

— Jeśli człowiek nie wie, co ma z życiem zrobić, jego to wina, nie losu — przerwał żywo. — Zawsze jest co począć, byleby wola i siła była. Nie mówcie tego, Juliuszu, to bluźnierstwo. Bóg nas nie stworzył na jęki bezsilne, ale na pracę w pocie czoła i serca: cierpieć i pracować.

— A kiedy sił braknie?

— Pracować na siły; one się zdobywają, jak wszystko na świecie.

— A kiedy ludzie odepchną?

— Znieść i pracować na ich miłość!

— Miłość? — rzekł Juliusz — alboż się na nią pracuje?

— Wy-bo mnie rozumić nie chcecie — smutnie podchwycił Soroka — niema co mówić z wami; et, lepij chodźcie, dla rozweselenia.

zobaczcie pokoik Stasia i moję przy nim izdebkę; to was rozerwie, a ja się pochwalę. Chodźmy.

Dosyć niechętnie przystał na to Juliusz, a wdowa rzuciła za odchodzącym okiem ciekawej litości, uderzyła ją bowiem zmiana wyrazu zbolatłej twarzy i smutek, który ją oblekał.

Zaraz przez sięn był wesoły Stasia pokoik, cały ubrany w zabawki i książki, w sprzęt studenta i dziecka, we wspomnienia wsi i lasów, w kwiaty, narzędzia gospodarskie, w mnóstwo fraszek prostych, które do nabycia jakiegoś wiadomości, do jakiegoś wiodły zajęcia. Znać tu było, że dziecię nie próżnowało i nie zamęczało się, że mu nauka, nie będąc lekką, nie obarczała go jednakże, mieszana z mnóstwem zajęć, sposobujących zawczasu do czynnego życia. Tak obok książek i globusów, obok papierów i kałamarzy wisało też siodełko, leżał rydelek i motyka, stały ogrodnicze, myśliwskie, rybaccie i rolnicze narzędzia. Ogromny wyżeł powitał na progu wchodzących i, polizawszy po rękę starca i dziecię, poszedł znów położyć się w swoim kątku. Drzwi nawpół otwarte wiodły stąd do chaty Hrycia.

Tak, była-to chata zrobiona z izdeбки umyślnie przebranją. Wszystko w niej przypominało wieśniaka: proste ławy, stół dębowy, cebrzyk z wodą w kątku, na policach garnuszki i kubiaki, tapczan zamiast łóżka, świty wiszące na kołkach. Tylko wielki obraz na ścianie dziwnie odbijał przy tém, co go okrężało, choć prosta, dębowa otaczała go rama. Był on jakby oknem, przez które mógł Hryć spojrzeć, gdy mu się zrobiło tęskno, na Stare. Malarz utworzył precudny widok téj wioski, z chatą Hrycia na przodzie, z kościołkiem, zamczyskiem i sinemi w dali lasami.

— To pamięć o mnie dobrej mojej pani, to jej pieczyoty — rzekł stary ze łzą w oku, wskazując na to, co ich otaczało.

Dziecię pozostało ze psem i chłopakiem, swoim towarzyszem, w pierwszej izdebce. Juliusz usiadł na ławie obok Hrycia.

— A! srodze-bo mi tęskno w tém mieścisku! — mówił Soroka. — Nie mój-to świat, a przypomina mi długie lata cierpienia. Trzeba było takich obowiązków, jak moje, względem tego dziecka, bym tu mógł pozostać i wytrwać; ale też gdy Stasia w świat puszcze, a potrzebować mnie nie będzie, o! jakże żwawo, pieszko, o kiju do mojej chaty ucieknę!

Juliusz smętnie się uśmiechał.

— Widzisz, mój poczciwy nauczycielu — rzekł — że są na świecie nieuleczone przywiązania, jak twoje, i cierpienie, na które niema ratunku.

— Przypomnij sobie, kochany uczniu, że kto świat inaczej odgadł jak cierpieniem, ten go nigdy nie pozna i nie zrozumie. Wła-

śnie w tém głównie bije w oczy boskość nauki Zbawiciela, że ona jedna cierpienie uświęca, dając mu cel i wskazując je jako przeznaczenie człowieka. Nowa filozofia, która mu obiecuje postęp nieograniczony, aż do edeńskiego bytu, ludzi tylko i męczy, bo mu nie daje nic rzeczywiście, a przyrzeka zbyt wiele. Cierpienie jest złem dla zwierzęcia... dla człowieka, jako ducha, jest stanem normalnym.

— A jakże w niém i z niém wyżyć?

— I tu Chrystus wielkim przewodnikiem naszym: cudze cierpienia słodzić, a swoje znosić, oto żywota całego zadanie. Gdyby świat był prawdziwie chrześcijańskim, gdyby był jedną owiec bożych owczarnią, ciężar żywota nie byłby takim brzemieniem, wszyscyby się starali ulżyć bratu, a niktby nie myślał o sobie. Ludzie sami się dręczą i życie swe czynią nieznośnem.

— Ale cóż możemy przeciwko ludziom?

— Myśmy także cząstką tej ludzkości. Niech każdy myśli napród o swojej poprawie, więcej niż o sprostowaniu drugich i o przeobrażeniu świata; ten rodzaj egoizmu jest mu pozwolony. Niech każdy poprawia siebie, a więcej jednym chrześcijaninem będzie na świecie.

To mówiąc, wziął za rękę Juliusza.

— Tyś — rzekł mu ciszej — bardzo się coś odmienił, wychudłeś, wybladł, posmutniał. Co ci jest? przyznaj mi się szczerze, czy znowu miłość?

— Miłość, nie znowu, ale zawsze jedna!

— Jakto? — udając żart, ozwał się stary — po dwóch latach też sama jeszcze?

Juliusz się oburzył.

— Raz tylko w życiu kochałem — zawołał — widzę to teraz... i kocham...

— Bo raz tylko kochać można! — odparł starzec — ale tutaj milczmy o tém; nie wymawiaj tego słowa; napróżnobyś zniespokoił kobietę, która także raz tylko w życiu kochała, ale nie ciebie. Umiej znieść swoje, byś drugim nie przyczynił cierpienia. Nie życzyłbym nawet, żebyś nas odwiedzał; i dla ciebie i dla nas źleby to wyjść mogło.

To rzekłszy, wziął stary za czapkę.

— Pożegnaj Stasia; pójdziemy na przechadzkę na Zamek; tam się rozmówimy swobodniej... Ja cię przed nią wytłomaczę z nagłego zniknięcia.

Ze łąką w oku przygasła Juliusz, jak dziecko, dając sobą powodować staremu, pocałował Stasia i wyszedł szybko, z sercem ściśniętym. Już byli na progu, gdy ich głos znany, ostatni raz brzmiący w uchu młodzieńca, zatrzymał.

— Jakto? panowie wychodzicie? Dokądże-to?

— Ja go przeprowadzę — odpowiedział szybko, uprzedzając, Soroka. — Trochę się czuje niezdrów; potrzebuje powietrza i ruchu; przejdziemy się razem.

— Więc do widzenia — szepnęła Marya — do widzenia!

Hryć ścisnął silnie rękę młodzieńca, który głosu w piersi na odpowiedź nie znalazł.

Wyszli, a Juliusz oczu już nawet podnieść nie śmiał na okna, z których może patrzała za nim Marya, bo przewodnik szybko go wiódł ku Zamkowi. Tu, stanąwszy, usiedli w cieniu drzew kilku na ławce ustronnej i obaj odetchnęli dopiero.

— Teraz pomówmy otwarciej, obszerniej — odezwał się Hryć. — Kochany Juliuszu, widzę, jak cierpisz, ale wolę, byś od razu cierpiał silniej chwilę, niżbyś się daremnie uwodził próżną nadzieją, spokój sobie i jej zakłócając. Ty ją kochasz...

— Dziś dopiero wiem znaczenie wielkiego wyrazu... miłość... Tak! kocham ją i na wieki!

— Nie myśl, byś, zbliżając się do niej, zyskał co prócz podwójnego cierpienia. Znam ją i wiem, że nie złamie przysięgi, bo kocha swego umarłego i dziecię swoje, a w sercu jej niemasz próżni, którąbyś mógł zająć. Bóg, wspomnienia, dziecię zapełniły je całkiem. Chcesz-że resztę życia spędzić, trawiony tą namiętnością bez nadziei, bez przyszłości?

— Naucz-że mnie, co mam począć z sobą?

— Niestety! najmędrszy, w prostém, codzienném życiu ludzkim nie znajdzie innej rady na cierpienie nad wiekuistą i jedyną! Gdy Bóg z raju wygnał człowieka na srogą boleść téj chwili straszliwej, przechodzącą wszystko, co kiedykolwiek ludzkość cierpieć może, dał mu przy karze lekarstwo. To odwieczne lekarstwo służy i dziś na wszystkie bolesti, a niem jest — praca! Juliuszu, nie poddawaj się, otrząśnij się i pracuj!

— Jak? — spytał naiwnie młody człowiek.

— Jak chcesz, bylebyś pracował. Myślisz, że i ja nie mam do dzwigania brzemienia mego i że go pracą nie słodzę? A oddalenie od wsi, w mojem krótkim już życiu, mnie tak do niej przywiązane-mu, za nic-że to masz? Myślisz, że ja nie kocham tego ziemi kąska, jak ty swój ideał? O! obrachowawszy się, nie wiem, czyjaby miłość potężniejszą się pokazała, bo niema poranku, żeby mi tu dzwony nie zatętniły w duszy dźwiękiem mojego dzwonka, żeby mi wiatr, co przynosi zapachy pola, nie ścisnął serca wspomnieniem wioski, z której ta woń wlatuje; niema ranka, żeby mi zieloność, zlana rosą, nie wyrwała ciężkiego westchnienia za lasami memi, co się tam stroją nie dla mnie; ale cierpię i pracuję i żyję.

— A! to co innego: ty masz przybrane dziecię, które ci staje za przyszłość, masz wdowę, masz nad nią opiekę, masz cel jakiś; a ja?

— Ty masz daleko więcej, bo cały szeroki boży świat przed sobą i młodość w dodatku...

Juliusz spuścił głowę na piersi, uśmiechnął się, ale znać było, że słowa te nie zasiały się w jego duszy; odbite od niej, upadły marnie. Postrzegł to starzec i westchnął.

— Dopóki tu będziesz we Lwowie — rzekł, przerywając milczenie — przychodź codziennie wieczorem na tę ławkę samotną, spotkamy się tu z sobą; przyprowadzę ci czasem Stasia; będziesz w nim miał pociechę i rozrywkę, we mnie powiernika i doradcę...

— Dziękuję ci, dziękuję — obojętnie rzekł Juliusz, ściskając podaną rękę dłonią bez czucia. — Ja z sercem własnym walczyć nie umiem; czuję, że ono mnie wkrótce pokona... Którego dnia nie znajdziesz mnie tutaj, nie pytaj się już o Juliusza, ale poszukaj świeżej mogiły na cmentarzu i pomódl się z niemi razem za moją duszę.

To mówiąc, powstał nagle i szybko, nie oglądając się, oddalił się, niknąc w tłumie przechodzących.

Nazajutrz śpieszył Hryć wieczorem na umówione miejsce, nie bez wewnętrznego jakiegoś niepokoju, wyrzucał sobie nawet surowe, zbyt może ciężkie rady swoje...

Na ławce nie było nikogo; siedział i czekał do północy; Juliusz nie przyszedł.

Napróżno potem szukał go w mieście i dowiadywał się o niego, gdzie tylko miał nadzieję wieść jakąś pochwyć; nikt nie wiedział, co się z nim stało. Tegoż dnia rano wyszedł ze swego mieszkania i już do niego nie wrócił. Rozesłali przyjaciele po okolicy, śledzono w mieście, ale nadaremnie.

Maryi powiedziano tylko, że do swój rodziny odjechał.

Hubin — Wrzesień, 1851.

Luty, 1852.

K O N I E C .

JERMOŁA.

„Jermoła“ urodził się w roku 1855, ale ze wspomnień, wyniesionych z Polesia Wołyńskiego, wśród którego autor mieszkał dosyć długo i gdzie najpierwsze rozpoczął gospodarstwo. — Cały ten obrazek, barwą przynajmniej, prawdziwym jest, a maluje Polesie takiem, jakiem ono było w latach 1838 i 1840, bo później znacznie się tu życie, stosunki, rolnictwo i obywatelstwo i lud nawet odmienił. Krajobraz i akcesorya rysowane są z tych wzorów, których pamięć dostarcza obficie, gdy się z niemi długo i poufale obeowało. Nie będąc zapalonym myśliwcem, ani zapamiętałym gospodarzem, autor miał zawsze zamiłowanie nadzwyczajne w lasach, puszczech i borach, — odbiło się ono tutaj i w innych powieściach poleskich; miał też i zachował wiernie wielką miłość dla ludu i proletaryatu, której się nigdy nie zaprze. Zwano go z tego powodu rozmaitemi imionami, które wolał nosić i znosić, niż wyrzec się tego, co mu się od lat dziecinnych jako prawda przedstawiało. Są ludzie, niestety, którzy utrzymują, że wieśniaka Pan Bóg stworzył z innymi prawami i przeznaczeniem, z inną prawie naturą i do różnych losów, — nam się zdawało i zdaje zawsze, iż od przyjsia Chrystusowego na ziemię wszyscyśmy równi i równouprawnieni do światła, do dobrobytu, do cnoty i do szczęścia — o ile go na ziemi się mieści.

W „Jermole“, „Ułanie“, „Ostapie Bondarczuku“, „Jarynie“ i innych powieściach odmalowana jest i walka o byt najuboższej części społeczeństwa naszego i walka jej o prawa, o uczucia ludzkie. Choćby legalnie rozstrzygniętą została ta sprawa ludu, nierychło społeczność sama się nią zajmie i do serca ją weźmie.

Autor starał się też we wszystkich powieściach, w których idea ta uwydatnić się mogła, wskazać, jak pojmował zadanie i obowiązki tego stanu, który u nas zwał się szlachtą, a do dziś-dnia został przodującym mieniem, oświatą i znaczeniem. Sądził, że nato Bóg wysadził jednych i dał im więcej, ażeby wspomagali, dźwigali, podnosili biedniejszych na siłach.

Dzisiaj panują inne maksymy; społeczne więzy, łączące wszystkich, stargane zostały, miłość bliźniego zeszała prawie na szkodliwy ludzkości sentymentalizm; — aksjomatem wieku ma być: każdy sobie i każdy dla siebie. — Czasy przejścia i bezkrólewia.

Jedno pojęcie obowiązków i równa miłość dla ludu łączyła nas z zacnym Wł. Syrokomlą, któremu ta powieść ludowa przypisaną została — po jego bytności na wsi u mnie (w Hubinie).

Stosunków przyjaznych z nim, do ostatniej chwili zgonu trwających, świadectwem jest wydane o nim wspomnienie, drukowane w Warszawie. Dobrze, iż serdeczny poeta nie dożył dni, któreby go napoiły trucizną.

„Jermoła“ miał dosyć szczęścia; Francuzi, którzy niewiele tłómacza, przełożyli go i wydali w roku 1868 (*Jermola. Histoire polonoise, traduite par Etienne Marcel. Paris. Bibl. S. Germain*). Z francuskiego przełożoną została ta powieść na język holenderski (*Jermola. Een poolsch Verhaal. Arnhem. 1869*).

ŻYTIOMIERSKI

WŁADYSŁAWOWI SYROKOMLI

TEJ PRZYJACIELSKĄ PAMIĄTKĘ

PRZESYŁA

AUTOR.

Żytomierz, 1855.

Było-to na *Polesiu* wołyńskiem, w jednej z tych szczęśliwie zapomnianych okolic, przez które dotąd ani trakt pocztowy, ani żaden większy nie przeznął się gościniec; w zapadłym kątku, gdzie życie jest niemal średniowieczne i średniowieczna panuje prostota i poczciwość, rubasznosc i ubóstwo. Proszę mnie nie posądzać, jakobym przez to chciał dać do zrozumienia, że wielkimi traktami z cywilizacją razem maszerują wszystkie występki z mantelzakami grzechów na plecach; ale, ale, jest podobno chwila między jednem a drugim życiem, przejście, w którym nim się nowe wyrobi, a stare umrze, pozostaje dość nieciekawe ni to, ni owo. Ta chwila, już gdzieindziej wybijająca na zegarze, nie przyszła jeszcze dla okolicy naszej; żyło się tam, zwłaszcza po małych dworach, na wzór XVI i XVII wieku, ich obyczajami, ich wiarą i trybem. Wprawdzie żółto pomalowane bogatsze dwory pół-panków już zaczynały przodować jakiejs reformie, ale ta drobnej szlachcie wydawała się jeszcze niczém więcej, jeno monstrualném dziwactwem. I mogłoz być inaczej w poczciwej téj dziurze, do której gazety dochodziły miesięcznemi paczkami? Poczte stanowili żydzi, jadący na szabas do miasteczek, a handlowy ruch ograniczał się targami na bydło i łapcie (wyjmując drzewo, o którym niżej). Są ludzie, którzy uwierzyć pewno nie zechcą, że kątk taki znajdować się może na świecie; ale najprawdziwsza prawda, że na Pińszczyźnie, w Zarzeczu, są lub niedawno jeszcze były dwory, gdzie się dopytywano o zdrowie króla Stanisława Augusta, zostając w zupełnej niewiadomości wypadków, które od Kościuszkowskich czasów ubiegły. Nikt tam nie widział żołnierza, nikt nie znał urzędnika; a ci, co jeżdżą płacić podatki do Pińska, niebardzo pytają, komu je składają, i, obwijając w chustkę kwit, nie wdają się w czytanie, które niebardzoby się im zapewne powiodło.

To tylko między nawiasami, bo w okolicy, o której mowa, nie tak już było dziko. Kalendarze berdyczowskie dochodziły tu regu-

larnie ostatnich dni grudnia, niosąc z sobą promyk cywilizacji i zasób najpotrzebniejszych wiadomości dla tutejszych obywateli, a nacjele ich planetę mającą panować, ciekawą nowinę o Wielkiéjnocy, wschody i zachody słońca i sposób wygubiania pluskiew, wynaleziony w Anglii! Poczta była nie dalej jak o mil dziesięć, ale po nią bogatsi posyłali raz w miesiąc, lub co najdalej w sześć tygodni; niektórzy nawet tą drogą odbierali listy.

Większość jednak, powiedzmy prawdę, uważała za daleko pewniejsze w razie interesu choćby o mil pięćdziesiąt wyprawiać umyślnego posłańca. Niema na świecie całym posłańców jak Poleszcy: nikt tak szybko nie chodzi, tak się nie dopyta, nie dotrze, o odpowiedź nie dokuczy i cało ze wszystkich niebezpieczeństw nie wyjdzie. Na oko, wziąłbyś owego w szarém świecie, obwieszzonego sakwami i prowizją łapciów odartusa za włóczęgę lub żebraka, gdy tymczasem za okładzinami jego czapki lub cholewą buta, w świstku papieru krociowa często sprawa i najważniejszy interes spoczywa. Pan Bóg stworzył Poleszuka na posłańca: przewącha zawsze drogę najbliższą, trafi wszędzie i przesliznie się z nieporównaną szybkością. To też w nałogach szlacheckich jest dotąd posłaniec, i poczta najlepsza nie potrafi go zastąpić. W każdej wiosce jest takich kilku kwalifikowanych pieszaków, którzy *per pedes apostolorum* o kilkadziesiąt mil chodzą, a byle im kilka złotych czystego zarobku, gotowi pójść z listem do Kalkuty. Dotąd trwa podanie o takim Poleszuku, którego jakiś pan Ogiński wyprawił do kuzyna swojego w Paryżu, a ten mu w kilka miesięcy odpowiedź z *ukłonem* dostawił.

Posłaniec Poleszuk, choćby miał konia, to go nie użyje, uważając szkapę raczej za niepotrzebny ciężar, aniżeli za siłę pomocniczą.

Aléśmy się znowu rozgadali nie do rzeczy z tą charakterystyką poleskich posłańców: wróćmy się więc do przedmiotu. Okolica nasza, której położenia geograficznego bliżej oznaczać nie widzimy potrzeby, nie tak zapadła jak pińskie Zarzecze; między niém a Wołyniem usadowiona, stanowiła coś pośredniego. Był to wielki szmat kraju, jeszcze po większej części zarosłego lasami sosnowemi i dębowemi, wśród których na roztrzebionych polach tu i owdzie siedziały zakopczone smolnemi dymami wioski. Horyń spławny przetrzymał bory, dając im wysoką cenę handlową, i główny dochód dóbr na nich też polegał. Przy prostocie obyczajów i życia tutejszego, które wykwiłtném być ani potrzebowało, ani chciało, wszyscy niemal robili majątki i tyli na starość. Mięso najdroższe sprzedawało się funt po trzy grosze, a żydzi je od wrót do wrót rozwozili; baran ze skórą płacił się około trzech złotych; chleba nie brakło, zarobku

także, i na pozór nędzny, kołtunowaty Poleszuk nie mieniałby się na swój byt z pokażniejszym Wołyniakiem. Wieśniak tutejszy nie spuszczaając się na rolę, ma różne sposoby zarobkowania, które mu nie dopuszczają obawiać się zbytnio nieurodzaju, będącego klęską ostateczną gdzieindziej, zwłaszcza gdy jakich nie siedem, ale bodaj dwa lub trzy lata po sobie głodnych wypadnie. Las i rzeka, od których go nie odpychają dziedzice, stanowią dlań nieprzebrane źródło drobnych dochodów i przemysłów. Las naprzód, mało co lub nawet, po wycięciu towaru, nic nie robiący stosunkowo dziedzicowi, wszystkiem jest dla chłopka, gdyż zarobkowanie z takich rzeczy, jak kora dębowa, lipowe łyka, obody, płozy, wyrób naczyń gospodarskich, obręcze, łapcie, łoża do wyplatania, skałki na podpał i t. p. nie zajmuje dworu, a wieśniak wszędzie prawie dotąd jeszcze swobodnie wyrabia, co zechce, psując nawet młodzież i najlepsze drzewa. Suszone grzyby, jagody, dziki owoc jabłoni i grusz, tarnina dają także choć niewielki grosz w potrzebie. Na brzegach rzeki zarobkują rękami: najmują się na flisów, stawiają wężcierze i saki, jeżdżą z poświatem i ościami: dość, że tu z głodu umrzeć nie można; a choć biada dokuczy (bo gdzież ta dobrodziejka nie zajrzy?), byle przednowek przekolatać, wlecze się dalej a dalej. Trafają się i tu ciężkie, *czarne*, jak je u nas nazywają, godziny, trafia się chleb pieczony z plewą, z korą, z owsem, z hreczką, ale świat nie byłby światem, żeby na nim wciąż było jak w niebie.

Po dworach to także pątryarchalny żywot, do którego utrzymania handel i zamorskie kraje niewiele się przykładają, tak, że niemalby się bez nich obejść tu można, trochę ścisnąwszy. Wszystkiego dostarcza wioska, wszystko się robi na wsi, a z kupnych rzeczy to tylko cukier, kawa, butelczyna wina frankońskiego, zwanego tu francuskiem, jaka ćwierć funta herbaty, trocha pieprzu — ot i po wszystkiem. W bardzo też wielu razach cukier zastępuje się miodem, który tak jak nic nie kosztuje; kawa — cykoryą, herbata — rumiankiem i daleko zdrowszym lipowym kwiatem lub melisą, wino — miodem i wódką, a pieprz — chrzanem. Mięso bije się w domu lub żydek je przywozi *oko* po dziewięć, po siedem i po sześć groszy, w dodatku ofiarując ozory i flaki; drób hoduje się na folwarku, świece leją się u siebie, sukno tka na starożytnym warsztacie, rozczulającym prostotę, płótna snują się na wsi, i niema rodzaju majsterstwa, którego byś w znacniejszych wioskach nie znalazł. Kowal, stelmach, cieśla, bednarz, mularz, choć nie tędzy, aleć przecie są. W razie gwałtownej potrzeby, gdy przypili, a majstra niema, wyrwie się Poleszuk, który widział kiedyś, jak coś gdzieś robiono, podejmuje się spróbować i najczęściej tym sposobem, zepsuwszy kilka razy, wychodzi na profesjonistę.

Nie powiem, żeby tu bardzo kwitły przemysł i sztuki... ale też w Polesiu niewiele się wymaga od artysty. Szewc, kiedy ci but uszyje, prawda, że zdaje się napozór nie na ludzką nogę stworzony, taki czegoś okrągły, niezgrabny, twardy i jakby z żelaza wykuty. Ale popróbuj chodzić, we dwa lata po wodzie i błocie ani dratwa nie puści, ani ci skóra pęknie, takie-to sumienne i gruntowne, tylko — nóg do tego potrzeba także żelaznych, któreby opiekę takiego obuwia znieść mogły bezkarnie.

Ale nogi się nie pytają, jak im tam będzie: niech Pana Boga chwała, że je skóra pokrywa, a podszwa zastępuje żywą; nagniotki uważane są za naturalne następstwo lat i pracy, za nie winę obuwia...

I tak we wszystkim, co się tu robi: mocno, bezpiecznie, grubo, a choć dla oka niepokaznie, choć rozpieszczonym niewygodnie, tём gorzej oku, co się popsuło, i skórze, która się wydelikacila. Dodam, że każdy rzemieślnik w tym szczęśliwym kraju, w którym z profesyi ich niewielu, a najwięcej amatorowie, bo wszyscy potrosze są wszystkim, uważa się sam za artystę, istotę wyższą, po części niezrozumianą i nieocenioną przez współobywateli, mającą prawo dźwigać do karczmy swą wyższość zapoznaną z dumą, godną szacunku, ale wartą razem śmiechu. Stosunki z dworem, wysiłek ducha na odgadnienie niewyuczonych tajemnic rzemiosła, pojęcie siebie jako niezbędnego w społeczeństwie członka i jednej z osi koła towarzyskiego, budzą to uczucie, które i w innych kręgach i pod innymi strefami znajdzie się tak, jak na naszym Polesiu. W tym względzie niejeden artysta paryski stoi na równi z tutejszym szewcem. Znałem szczególnie jednego latacza. Ale to znowu byłby niepotrzebny epizod: — idźmy dalej i nie zbaczajmy z drogi.

Rozległe lasy stanowią tu wszędzie tło i opasanie każdego widoku. Wśród nich gdzieindziej spotkasz polanki, błyszczą stawki i rzeczulki, kisaną odwieczne, nieosuszone błota, zielenieją sianożęcie, nawpół łozami zarosłe, szarzeją i czernieją chaty, odwiecznym okopcone dymem. Jak błyszczący pas, srebrny Horyń majestatycznie przerywa się środkiem drzemiacją okolicy, którą ożywia i wzbogaca; maleńkie miasteczka tutejsze prawie wszystkie leżą nad jego brzegami. Gdzieindziej nie dałoby się to nazwać imieniem tak wiele obiecującym, ale w Polesiu, gdzie targowica i niedzielny zjazd, cerkiew i kościół, rynek, a nadewszystko więcej, niż jeden żyd — to już miasteczko.

Ilość Izraelitów stanowi wartość miesciny: im więcej ich tam jest, tём się bogatsze nazywa. W każdej takiej malenkiej stolicy jest królujący w niej Boruch, Zelman lub Majoroko, który handluje wszystkim, dostarcza, czego się podoba, od kozucha do zegarka,

kupuje zboże i plewy, ma dom zajezdny, arak, tytuń i cukier, a zna na wylot sąsiedztwo całe, pełen mając pugilares listów i kwitków. Kramnica w rynku po większej części zastosowuje się do potrzeb biednego wieśniaka, począwszy od garnka, pasa, czapki, do żelaza, soli, dziegciu i t. p. Dwa lub trzy sklepiki bławatne, kilka korzennych — ot i wszystko. Na łasce żydków żyje całkiem takie miasteczko: oni są jego duszą. Zresztą mieszczanie zarazem zajmują się rolą, bo u nas mało jest takich osad, gdzieby gospodarstwo rolne nie wchodziło po słowiańsku do zajęć mieszkańców! Trochę ubogiej szlachty, jakiś tam biedny urzędnik, ksiądz proboszcz, oficyjaliści dworscy — ot, i reszta ludności. W ciągu tygodnia pusto; dzieci żydowskie po ulicach grają w kręgle i kamyki, kury, kozy i krowy chodzą po rynku swobodnie; zato w niedzielę ani się przecisnąć, tyle drow, tyle fur, taki gwar i żwawy targ na wszelkiego rodzaju produktu, a raz w rok w dzień odpustu lub prazniku to jarmark całą gębą. Wówczas i markietani we trzy lub cztery powózki przyjeżdżają i budy stawiają na placu i żyd czapnik na wysokich żerdziach rozwiesza przy ścianie swe ponętne wyroby i cygan-konowal i szejne-katarynka i towarzystwo ogromne. Zjeżdżają łącznie wszyscy dobrodzieje z żonami z sąsiednich parafij, wszyscy ekonomowie i pisarze, szlachta czynszowa i wieśniacy, co jakiś towar niezwyčajny, jak np. skóry, wełnę, sukno, płótno i t. p., mają do zbycia. Aż pociecha patrzeć, aż miło słuchać, co to tam za gwar, rwetes, jakie wre życie potężne! W rynku co chwila ktoś dobija targu i idą do karczmy zapijać mohorycz; a tu baby z cebulą, czosnkiem i tytuniem, z krasnemi pasami i zapaskami strach, co zbierają groszaków. Nazajutrz po jarmarku, ba! nawet do pierwszego ulewne go deszczu, który te ślady spłucze, poznasz jednem wejrzeniem na placyk, co się na nim działo; niekiedy nawet krwawe zarzniętych kóz i baranów pobojobowiska straszniejszych się rzeczy pozwalają domyślać, niż w istocie były.

Za ten dzień jeden szafu okolica rok cały najczęściej spoczywa w tej błogiej odrętwiałości, w tej smutnej ciszy, która tu stanowi tło powszedniego bytu. Człowiek choćby mimowoli, ale musi zastosować się do tego, co go okrąża: nie jesteśmy nigdy zupełnie wyzwoleni zpod tych wpływów, jakim ulega gąsieniczka zielona na liściu zielonym, czerwona w krasnym owocu. W krajach drzemiących, jak Polesie, gdzie szum drzew odwiecznych, błoto do snu kołysze, a spokojem oddycha się w ciężkiem, wilgotném i smolnemi dymami przesyconém powietrzu, mieszkaniac zamknięty powoli uczuwa coraz tępiej płynącą krew, coraz wolniej krążące myśli: zachciewa mu się spoczynku, wzdryga się na burzliwe losy i przyrasta jak grzyb do ziemi. Wieśniacy w czterdziestu kilku leciech zapuszczają

brody, a panowie w tymże wieku wkładają szlafroki, zrzekają się fraków, pozwalają wąsom rosnać, jak im się podoba, i jeśli żonaci, nie wyjeżdżają z domu, a kawalerowie poczynają się domyślać, że ożenienie do niczego nie prowadzi, prócz niepotrzebnej subiekty.

Odwiedziny są tu bardzo rzadkie, choć stosunki przyjazne: w lecie gorąco, w zimie mroźno, w jesieni błoto i grzęzawica, na wiosnę bywają komary. Przewycięża się lenistwo tylko na imieniny kochanego sąsiada lub w gwałtownej potrzebie. A że bez posiłku jakiegoś wyżyć niepodobna, żyd arendarz pospolicie go dostarcza. Przychodzi on zawołany lub w porze zwyczajnej, staje w progu i poczyna zdawać sprawę z tego, co pochwycił w ciągu tygodnia w swych wycieczkach, czy też co od przyjeżdżających do młyna, do kowala, do folusza posłyszał. Tu się zwykle nie więcej dowiaduje nad to, kto ile posiał, kto co zżał, czy gdzie nie wyjechał, czy sprzedał i po czemu, kto do kogo i poco jeździł i t. p.; ale ta odrobina karmi na jakiś czas dostatecznie kieruje gospodarstwem, zachęca, niecierpliwi, odpycha, a niekiedy z domu dla sprawdzenia wypędza.

Nie szukajmy tu naturalnie żadnych nowostek, ani zbytecznego do nich popędu: niedowiarstwo raczej i wstręt idą przed niemi. Wszystko się robi po staremu; ale zato chciecie-li tradycyi żywej, czynnej, pamiątek i śladów zgasłego gdzieindziej życia przeszłości: nigdzie jak tutaj. Pan dzieli z czeladzią głęboki dla nich szacunek, a jeśli go Bóg pokarał ziarnem filozofii, nawet w takim razie niby się śmieje z przesądów, w kątku im hołduje, bo z krwią i mlekiem, z powietrzem i słowem weszły weń od dzieciństwa.

Będzie tak, że we wsi od lat pięciuset zamczyska niema, a takie miejsce, gdzie dwór stoi, *podzamczem* się nazywa; drwa wioząc dla dziedzica, powiedzą: na zamek. Gdzie była stara cerkiew, dziś może ogród dobrodzieja i kartofle, ale zagony te mianują *monasterzy-skiem* i t. p. Na rozdrożu mogiła od wieku wpadła w ziemię bez śladu, krzyż się z niej obalił i spróchniał, tylko po gęstszym chwacie poznasz, gdzie ziemię użyźnił; a nie przejdzie ci chłop, żeby, obyczajem pogańskim, gałęzi lub kamyka na to miejsce nie rzucił. Żyje tu wszystko, co niegdyś żyło: i powieść o założeniu osady obranej parą czarnych byków, co ją ma bronić od zarazy i pomorku na bydło, i historia jakiegoś kniazia, który się w stawku utopił, i napad tatarski i bajka o dwóch braciach, co się w jednej kochając dziewczynie, zabili, a ona z żalu po nich na mogile ich się obwiesiła.

Pieśń jedna powtarza się od lat tysiąca, obyczaj jeden rządzi zawsze niemi i są mu wierni, jak obowiązkowi, zaciągniętemu względem ojców.

Przenieśmy się teraz w opisaną okolicę nad brzegi Horynia.

Przyznam się, że pomimo przywiązania mego do naszej ziemi, są lata, w których wiosny u nas, pięknej owój, świeżej, zielonej, wesołej, zefirów pełnej, poetycznej wiosny dopatrzeć się trudno; wygląda ona na bajkę wierutną i niepotrzebnie na zaoskonomie pożyczony grecki mythus. Zaczyna się tu od wichru i deszczu nawpół ze śniegiem, od błota nawpół z mrozami, od skąpój zieleni, przyprószonej szronem, i przykrzejszego nad zimowy mróz chłodu, przejmujących nocy i dni w cieniu, nabawiających dreszczem, zbytkiem jakiejś surowizny w powietrzu; potem nagle, po syberyjsku, przechodzimy do nieznośnych upałów, a zima, podawszy rękę latu, wiosnie całkiem broni przystępu na ziemię. Nie wiem, gdzie się wówczas podziewa zachwalona owa i opiewana wiosna sielankowa, którą tak regularnie zapowiada na dziewiąty marca berdyczowski kalendarz, tak jak nie wiem, co się dzieje ze starami księżycami, gdyż wielkiój podpada wątpliwości owa dawniej przyjęta teoria nianiek, wedle której Pan Bóg miał nowe z nich wykrawywać gwiazdy, a okrawki zrzucał i otrząsał deszczem aerolitów. Wiosna zapewne musi wówczas biedna wędrować gdzieś sobie do innych krajów, jeżeli to prawda wedle Kämtza i innych meteorologów, że pewna suma ciepła i chłodu zawsze się w roku bez niedoimki wyszafować musi tu czy gdzie indziej; może więc pociesza chłodniejsze strefy, lub dodaje ciepła gdzie go aż nadto. Bądź-co-bądź, jest pewna, że u nas często jejmość swego obowiązku nie pełni; nie zawadziłoby jej więc przypomnieć, że może w końcu stracić miejsce, jak urzędnik nie pełniący służby, lub obywatel, po kilkakroć nie stawający na wybory, który się sam *ipso facto* od wotowania odsądza.

Niezuonośmy się rozgadali, nieprawdaż? A wiecie, kochani czytelnicy (jeśli kochani!), czego to jest skutkiem? — Nie starości jeszcze, nie chęci powiększenia tomu, ale posłuszeństwa krytyce, która poprawiać każe i poprawiać bez końca. Ile razy przepisuje się rękopism nanowo, zawsze się coś doda; a że oto raz trzeci, chwiała Bogu, tę powiastkę przechodzę, narosło w niej przypisków bez końca. Już teraz powracam do wiosny, a od niej, da Bóg doczekać, jakoś się powoli dobijemy do celu téj fantastycznej podróży.

Są tedy szczęśliwe i u nas lata, kiedy wiosna zbierze się przyjsć, w porze, jeśli nie na zawołanie kalendarza berdyczowskiego, to na przepowiednie chłopskie i spełnia święcie, co do niej należy.

W tym roku, o którym mowa (chronologia na nicby się nie przydała, a czasy niezbyt są dawne), właśnie się upamiętała bałamutka i, dawszy ziemie wytrzymać z mrozami i śniegiem do drugiej połowy marca, jakby jej na świecie nie było, niespodzianie potem wionęła

od południa wiatrem ciepłym i deszczem kroplistym: spłókała paskudną i poczerniałą skorupę, przejęła do gruntu stężalą ziemię, zaświeciła słoneczkiem wesołym, tak, że w chwili nastąpiła czarodziejska zmiana dekoracyi.

Wszystko tylko zdawało się oczekiwać znaku, będąc w gotowości do odegrania swojej roli: bociany oddawna już przechadzały się wychudzone nad ciepłymi źródłiskami, długimi dzioby naprzóżno macając ich głębie, wśród których tylko kawałki lodu pływały; skowronek marzył, ale śpiewał biedak, zaglądając ku słońku; na drzewach pączki były nabrzmiałe i pełne, wilcze łyko i leszczyna promyka tylko czekały, by zakwitnąć; trawy niecierpliwiły się pod kilkomiesięczną pleśnią. Jak tylko wionął wietrzyk, spadł deszcz i wiosnę posłyszano nadjeżdżającą, zapachniała ziemia i piorunem ruszyło się wszystko. Dzień jeden ogromne zrobił zmiany: bocian podleciał i na oschłym zaklekotał gnieździe, skowronek puścił się śmielej w górę, wilcze-łyko całe się ustroiło w różowe kwiaty, leszczyna swe purpurowe rozwinęła lilijki, trawa powyskakiwała z ziemi, anemony pootwierały się, pijąc chciwie pierwszą kroplę rosy i pierwszy promyk światła; powysychały kałuże niezgłębione, poweselało, rozjaśniło się, świat stał się innym i odmłodniał.

Wiosna tego rodzaju, przychodząca w porze i taka, jaką być powinna, wszędzie jest piękną, ale nigdzie może wdzięczniejszą, jak nad brzegami rzek wielkich, gdzie ruch i życie budzi potężne. Nad Horyniem, rozlanym ogromnie, szeroko zatapiającym ługi i gdzie-niegdzie wykradającym się aż na pola, w lasach zalegających brzegi jego, szczególniej pięknie było i wesoło. Wprawdzie bór czarny nie pozieleniał jeszcze, ale czuć już w nim było budzące się życie; zdala nabierał barwy jaśniejszej; powietrze miało tę woń wiosenną wilgotnej ziemi, pączków, trawy, wody, tak miłą i upajającą, która tajemniczą ma własność przypominania nam lat młodych; wody szmerzały zwycięsko, połamawszy nie tylko lody, ale groble i zasieki, niosąc, co gdzie na drodze pochwytały, i rozrzucając na brzegi; las choć szumiał suchemi jeszcze gałęziami, ale już inaczej, innym językiem, niż w zimie.

Nad rzeką ludzie ruszali się także po zimowym spoczynku, biorąc się do handlu i pracy: wiązano drzewo w gąski, przyrządzano pasy, gromadzono rozpierzchłe bale, gotowano się do żeglugi, a świeżo zbudowana *skarbowka* oporządzała się właśnie, aby za chwilę wypłynąć z komendantem tej wyprawy. Tak zwana *skarbowka* jest to na mocno związanej tratwie, często zgrabnie i schludnie zbudowany domeczek z tarcic, w którym na czas żeglugi mieści się gospodarz i wódz, kasa, policya, rachunki, spiżarnia, wódka w kufach i piekarnia, dostarczająca chleba dla czeladzi. Nie wiem, jak tam

skarbowka do Gdańska przechodzi, może okopcona, brudna, zszarżana i niepozorna; ale na odjezdnem wygląda jak cacko: chciałoby się w niej trochę pobujać po wodach, taka czegoś miła i ładna. Na nieszczęście najpospolitszym jej mieszkańcem bywa gruby, tłusty, sapiący, czosnkiem przejęty, cebulą faszzerowany żyd, faktor kupiecki.

Właśnie w tém miejscu, gdzieśmy się u brzegu Horynia zastanowili, zółciła się nieopodal od niego mała, ale ładniuchna skarbowka; dokoła niej gęsto stojące pasy tak pokrywały wodę, że po nich nie tylko do domku, ale na kilkanaście sążni dalej w rzekę przechadzać się było można. Wszystko to, wstrzymane, oczekiwało znaku do wyjścia; ale ludzi brakło jeszcze: zbierano flisów, skupowano zapasy, zwlekano od dnia do dnia i jeszcze téż żadna się na Horyniu nie pokazała partya, któraby ostrogską uprzedziła.

Otoczający kraj, choć nagi jeszcze, nie był bez pewnego smutnego wdzięku. Z téj strony szeroko rozlanéj wody, nieco odsunięta od ługów, rozsiadła się wielka wieś poleska ze swemi chatami szaremi i z mnóstwem drzew, które ją umajały latem, z cerkwią starożytną, otoczoną krążgankami i oryginalną dzwonnica, z cmentarzem w sosnowym borku, wśród którego gdzieniegdzie białe wytykały się brzozy. Za rzeką rozciągała się ściana borów wprawo i wlewo jak zajrzyć okiem, a na płaszczynie, zajętej wodami, podtopione łoża wskazywały, dopóki wody opaść miały. Wieś długa była, wielka i stara, jak z rozrosłych drzew, panujących nad nią, wnosić było można.

Okno, szukając w niej dopełniającego całości dworu, domyślało się go na pagórku nad Horyniem, ale zbliżywszy się, w sadzie i drzewach porąbanych, okrywających zaroślami i pniakami to miejsce, dojrzałeś tylko ruin drewnianych budowli i smutnéj jakiegóś pustki. Dom mieszkalny stał napół rozwalony, z kominem jednym już obnażonym, a obok niego z zamieszkałego jeszcze, ale odrapanego dymiło się folwarku. Dziedzica znać tu oddawna nie było; krzyż nawet, stojący u wrót dziedzińca, wywalił się podgniły i butwiał na ziemi, a płot obłamany przepuszczał idących i jadących, gdy obok wrosłe w piasek wisznice, jakby na szyderstwo, stały zamknięte, choć w nich już i jednego szczebla nie było.

Między wsią i dworem zamiast dawniejsz szerokiej drogi, dziś bujnie trawą porośléj, wiły się ścieżki, powydeptywane przez bydło, które się tu zwykle paść chodziło.

Toż samo opuszczenie widać było i we wsi na tych budowlach, których utrzymanie od dziedzica zależy; ale mimo to *binduga*, drzewo, zarobek wlewały tu trochę zamożności i życia.

W chwili, gdy się nasza powieść poczyna, na tratwach, przygo-

towanych do wypłynięcia, ludzi już było niewiele; mrok powoli padał, chłód od wody zawiewał. Na kłocu porzuconym siedział z falczka drewnianą w ustach stary już i przygarbiony człowiek, a obok niego przechadzał się coś z chłopska, coś z szlachecka i dworska odziany młody parobek. Trudno było poznać po starcu, ile lat mógł liczyć sobie, są bowiem fizyognomie, które, doszedłszy pewnego wieku, zmieniają się tak nagle i starzeją odrazu, że lata późniejsze już na nich nie zostawiają śladu. I tu powiedzieć było ciężko, czy pięćdziesiąt, czy o dwadzieścia więcej miał mały, złamany człowiek. Niewielkiego bardzo wzrostu, trochę zgięty w krzyżach, z głową łąsą i osiwiałą, z zapuszczoną od niedawna, bo jeszcze niezarośłą brodą i wąsami, cały pomarszczony jak zwiedłe jabłko zimowe, wyglądał dość jeszcze świeżo i czerstwo: cera jego miała krwi trochę, oko blasku, a rysy, dawniej regularne, dawały się jeszcze rozpoznać zpod pofałdowanej skóry. Wyraz ich spokojnie i łagodnie smutny miał niezwyčajną cechę swobody ducha, którą rzadko na twarzy biedniejszych ludzi spotykamy; rzekłbyś, że rachunek jego ze światem całkiem był skończony i że zań czekał tylko cierpliwie obiecanej zapłaty. Po ubiorze trudno go było zaliczyć do jakiegoś określonego stanu: nie był to prosty wieśniak, choć strojem niewiele się różnił od niego. Śwítka, jaką miał na sobie, była nieco krótszą od sukman poleskich, podpasywał ją skórzany pas z kłamrą, spodnie były z cieńszego ciemnego sukna, na szyi chusteczka jakaś starszka, na głowie czapka z daszkiem, wychodzona i wytarta. W tej odzieży ubogiej, mimo jej zużycia, przeglądało jakieś staranie o siebie: koszula, wystająca zza chustki, była świeża, sukmana czysta, łąpnie na nogach lipowe, parcianemi pooplatane sznurkami, wyglądały schludnie.

Stojący naprzeciw starszka młody chłopak, flisak, ni-to dworak, ni wieśniak także, z długim, ciemnym włosiem, opadającym na szyję obnażoną, z oczyma małemi, piwnemi, biegającemi żywo, rysów był właściwych ludowi poleskiemu, z którego pochodzić musiał: twarz prawie kwadratowej, ust dość szerokich, nieco zadartego, choć kształtnego nosa, czoła niskiego, ale roztopnego. Ogół jego fizygnomii oznaczał dość dowcipu, opromienionego jeszcze młodością i właściwem jej weselem, a nieogłędnością na jutro.

— Nas jest w chacie trzech — mówił do starego — pan mi pozwolił nająć się na flisaka, a przyznam się wam, że to życie taki lepiej mi smakuje, aniżeli pańszczyzna i gnicie w chacie pod piecem...

Starszszek ruszył ramionami.

— Ja widzę — rzekł — że ty mnie nie posłuchasz, bo ci się już na flis zachciało, a młodemu jak co w głowie zaświta, nie przekona go nikt, chyba bięda... No, Bóg z tobą, a ja taki powiem swoje...

Rozśmiał się młody.

— A niechże-no ja powiem wam wprzód, co myślę — prze-rwał — to potem nastawię ucha na to, co mi mówić chcecie. Na-przód-bo taki młodemu świata zobaczyć nie zawadzi: nie tyle go, co w oknie; powtóre, już ciż mnie tu swobodniej z żydem, który zawsze potrochu się boi, choć sam nie wie czego, niż tam z panem i ekono-mem; a naostatek i grosz się na podatek zarobi.

— Wszystko to prawda — zawołał stary — i jeszczeby się co dać znalazło, ale starym oczom inaczej się widzi: człowiek w tej wędrowce i od chaty i od regularnej roboty odwyknie, mandrowa-nie (*), taj włóczęga zasmakują, a niema gorszej rzeczy, jak swoje gniazdo sobie obrzydzić. Do domu powróciwszy, wszystko się wy-daje nicpotem: chleb gorzki, strawa postna, ludzie nudni, pańszczy-zna ciężka. Zacznie się do żyda i karczmy zaglądać na pociechę, to się do wódki przywyknie, ot, i człowiek przepadł. Gdybym ja miał syna, tobym go nie puścił z domu na żydowskie ręce. Komu Bóg w chacie siedzieć przeznaczył, niech daleko od progu się nie odbija.

Młody chłopak zamyslił się, słuchając.

— Alboż to — rzekł po chwili — zaraz już człowiek ma zapo-mnieć, w czém wyrósł i do czego się urodził? Oj! nie, ojcze, nie! Albo to co złego świata zobaczyć i umieć co na starość dzieciom opowiadać? Prędzej się zatęskni za swemi, niż swojego zapomni, a potem smaczniejszy chleb domowy.

— Wszystko to prawda potrosze; aby nie do zbytku, aby z Bo-giem, i flisaczki-by się może przydały — odpowiedział stary. — Ale jak to łatwo się rozhulać, jak to łatwo nawyknać codzien co no-wego mieć i coraz czego innego żądać, a potem rozleniwieć i ręce opuścić! Na drzewie codzien jakaś okazyja do kieliszka: żyd psia-wiara na każdej mieliźnie, przy każdej służie wódczyskiem zalewa, a ludzi poczciwych dyabli biorą... Byłe jego drzewo do Niemców doszło i talary się posypały, co jemu flisy! Mnie, ot, jak widzicie, wiek minął i nie zachciało się nawet zobaczyć, co tam dalej po świe-cie się święci; małom kiedy za wrota wyruszył, a niczego u Pana Boga nie proszę, tylko żebym tu moje kości położył.

— Kiedy wam z tём dobrze...

— Dobrze? he? już ciż teraz musi być dobrze, bo świat nie dla mnie, a byle kąt i łyżka strawy, więcej człeku nie potrzeba; ale bywało różnie, a wszystko na swoim śmietniku jakoś i złą dolę przeżyć łatwiej przyszło.

(*) W języku ludu — wędrowka.

— A wyście tutejsi? — spytał flisak.

— Tu się urodziłem, wiek przestękałem i życia dokończę — odparł starszek trochę smutnie. — Grzybowi nie tańcować!

— To ciekawa być musi historia?

— Czyja?

— A wasza.

— Moja? albo to historia! Bięda się urodziła i biędą zdechła...

— Ot, niema co robić z wieczorem, do karczmy się boję: gdybyście, ojczy, powiedzieli mi o sobie. Samemu tak siedziéć na gąskach nie wesoło; godzinaby przeszła, a jaby się co od was nauczył...

Stary rozśmiał się jakoś łagodnie.

— A co ja tobie powiem? Moja dola nieciekawa: podobnych wiele na świecie! Sam jeden jak palec zostałem się na starość, żywego ducha, coby mi powiedział, żeśmy swoi... Ale staremu, widzisz, bratku, w to graj, żeby gadać, aby go kto słuchał: nie wyzywaj wilka z lasu, bo się nie odczepisz od gaduły.

— E! mówcie-no tylko, mówcie; mnie to nie dokuczy: ja słuchać lubię.

— Jak zapamiętam — zaczął stary — oto tu, nad brzegiem Horynia latałem z chłopakami wiejskimi, a choć w podartej koszulince i ze łbem gołym, jak mi się ta bięda przypomni, żadnejbym w świecie rozkoszy nie pomieniał na nią.

— A rodzice wasi?

— Obojga nie pamiętam, odumarli mnie sześciolatniego z jakiejś gorączki; a że byli przybysze kędyś z Wołynia, nikogom nawet krewnego tu nie miał i nikt się do mnie nie przypytał. Jak przez mgłę widzę, że mnie nakażny do sąsiedniej chaty zapędził z cmentarza po pogrzebie, a stara kobieta, którą nazywałem kumą, dała mi wielką misę strawy, bom od dwóch dni nic, oprócz chleba suchego, schowanego zanadrę, nie jadł. Nazajutrz posłali mnie paść gęsi, potem wzięli do świń, gdy zobaczyli, że sobie radę dać umiem, w ostatku kazali mi iść do bydła gromadzkiego. Oj! nie było rozkoszy, jak w tém życiu pastuszém! Prawda, że dodnia na rosę musieliśmy pędzać krowy, ale się zato we dnie smaczno pod krzakiem zdrzemnęło, gdy bydło było daleko od szkody, a w lesie albo na ługu nasza gromadka swobodnie się dobrze nahulała. Z byłem niewiele kłopotu, bo to stworzenie roztropne, jak się raz przyzwyczai do wygonu, to go z miejsca i kijem nie spędzisz. Raz, drugi od szkody popilnowawszy, dalej już i samo nie pójdzie; człowiek tyle tylko, że popatrzy zdaleka, huknie, a przez resztę czasu może się swobodnie bawić, jak mu się zechce.

— E! co mi to za rozkosz — przerwał młody chłopak — kiedy ludzi niema!..

— Toż nas tam bywała gromada, a jak nałożymy gdzie ognia w łożach na hrudku, albo w lesie przy starym pniu spróchniałym, napieczemy kartofli, napieczemy grzybów i syrojeżek, przysmażymy przyniesionej słoninki, co to bywała za uczta! A jak poczniemy śpiewać, a lasy nam wtórować, aż się serce raduje, tak pieśń nasza daleko rozlega się i leci. To też kiedy mnie raz pan nasz, dawniejszy dziedzic, świeć Panie duszy jego, napotkał w lesie, idąc ze strzelbą na polowanie, zagadał do mnie, a coś mu się widać z oczu podobałem, i zażądał mnie zaraz do dworu na kozaczka. Samemu Panu Bogu wiadomo, jak mi się tam iść nie chciało!

— Aha! toście dworsko służyli!

— Całe życie, mój synku, całe życie!

— I cożeście sobie na starość wysłużyli? torbę?

— Oto poczekaj: nie narzekam ja, choć mi się praca moja może tak nie poszczęściła jak innym; ale nacoby mi się to dziś przydało, gdybym miał i więcej? Anibym jadł smaczniej, ani spał spokojniej. Posłuchaj-no, a potem powiesz, czegom się dosłużył. Przyprowadzili mnie tedy nazajutrz gwałtem do dworu, odziali, umyli, postrzygli, i nie było rady: choć się płakać chciało, musiałem zostać, gdzie kazano. Ano trzeciego, czwartego dnia jużem się był wciągnął do roboty, bo to nie było nic tak ciężkiego: otargiwano mnie w kredensie, dopóki nie puszczono do pokoju. Pan nasz był wówczas jeszcze nie stary człowiek, piękny mężczyzna, a co lepiej, najpoczciwszego serca. Ledwie zagadał, jużes czuł, że go pokochać musisz i poszanować, bo z wejrzenia i postawy pan był całą gębą: choćbyś go w sukmanę przebrał, i po nocy poznałeś, że go Pan Bóg stworzył na panowanie. Aleć to panowanie nikomu ciężkie nie było: do człowieka srogo nie przemówił, rozgniewawszy się nawet; milczał tylko, i to była największa kara dla ludzi, gdy do kogo mówić nie chciał, a twarz odwracał. Jaki pan, taki kram; i stary kozak, co mnie miał w rękę, i inni dworscy nie byli źli: prędkom się oswoił z niemi. Popędzali mną trochę, wyręczali się, ale najwięcej nogi cierpiały na posyłkach; a nie pamiętam nawet, żeby mnie kto trącił lub połajał. Kozak bywało mówi zawsze: to sierota, biedactwo, nie godzi się nad nim znęcać. I zapomniało się życie pastusze, a w kilka tygodni potem, spotykając na grobli starego Hryndę i moich dawnych wiejskich towarzyszków pasterstwa, tyłkom się do nich zdaleka uśmiechał, pokazując szarawary z czerwoną wypustką, ale do lasu już nie miałem ochoty. Służba nie była ciężka: pan chciał mnie mieć przy pokoju i do tego tylko wprawiali. Koło niego niebardzo się kto strudził; najwięcej sam sobie usługiwał; rzad-

ko zapotrzebował człowieka, a obchodził się po ojcowsku. Ze starym kozakiem tak byli jak bracia, tylko kozak często gderał na niego, on na kozaka nigdy.

— Dobre jakieś widać było panisko.

— Karaj, Boże, do wieku — odparł, łyzy ocierając, stary — niema już na świecie takich ludzi: to mi był brat i ojciec!.. Mieszkał ot, tam, widzicie, gdzie sterczy komin starego dworu, ale za jego czasów to inaczej wyglądało... Ho! ho! taki był u niego ład i porządek w najmniejszym kątku, że na szerokim dziedzińcu słominkibys niepotrzebnej nie znalazł, a dziś to chlewy i rozwaliny!

Stary westchnął ciężko i tak mówił dalej:

— Z domu bardzo rzadko wyjeżdżał, do niego też nieczęsto ludzie przybywali; wszakże gość się czasem trafił, a choć jak w klasztorze, nie było u nas smutno we dworze, bośmy się zawsze i on i my koło czegoś krzątali: gospodarzył, polował, ogródek swój porządkował i czyścił, a chwili nie spróżnował. Lubił konie, psy, polowanie, drzewa, czasem nawet na ryby chadzał i ot, tak czas płynął, żeś się nie obejrzał, jak drugi koniec roku zobaczył. Nieżonaty był i sam jeden jak palec. Gdzieś, mówili, zdaleka przyjechał i majątek ten kupił, a już do niego ludzie tak przystali, jakby z pradziadów żyli pod nim, i kochali go we wsi jak ojca. Łatwoż-bo się było do niego przywiązać, takie to było serdeczne i pocziwe, a względne na biedę ludzką i człowieka najmniejszego, że nikt do niego nie przyszedł darmo i nie odszedł z żalem. Ja tom się taki zaraz przywiązał i w pół roku jużem starego kozaka, który nie zdążał, zastępował przy nim. Tamtemu się chciało wypocząć, bo miał sobie nadane grunt i dożywocie; to też mnie wyczywszy i wpuściwszy do pokoju, sam się prędko do chaty wyprosił. Ale co to nałóg stary: zdawało mu się, że już będzie odpoczywał na swoim, a po trzech tygodniach jak począł z nudy zaglądać do dworu, tak często chatę kołkiem podparłszy, z nami lulkę kurzył, siedząc w ganku od rana do nocy. Którego tylko dnia pana nie zobaczył, to jakby nie jadł, tak mu koło serca było głodno. I mnieby też był już biczem nie wypędził od niego, bo panisko było jakich niema, powiadam wam. Dość powiedzieć, choć to głupstwo, tak każdego uważał, że kiedy co smaczniejszego jadł, czy to owoc z ogrodu, czy potrawę jaką, nigdy się nie trafiło, żeby choć kaska ludziom do skosztowania nie zostawił. W kilka lat, kiedym go lepiej poznał, stał mi się ojcem, i jak każdy z nas, życiebym chętnie dał za niego. Ze wszystkich dworskich najbliższy niego byłem: chodziliśmy razem na polowanie, które niezmiernie lubił, jeździliśmy na rybę, pracowali w ogrodzie. Bywało, pamiętam, dodnia wstajemy ochoczo, a stary Bekas, wyżeł jegomości, czując, co się święci, podskakuje, wykręca się i szczeka;

my torby na plecy i w chrusty lub na błoto, a czasem i dzień tak cały o kieliszku wódki, chlebie i sэрze przechodzimy. Dziwiłem się, że taki pocziwy człowiek mało żył z ludźmi; ale kiedyś go bliżej poznał, dopatrzyłem się, że choć pocziwie dźwigał się i krzepił i uśmiechał, coś tam było w jego życiu takiego, o czém nikt nie wiedział, a co mu je truło. Bywało najweselszy, zamysli się nagle, westchnie, łzy mu po twarzy jak groch pociekną, ale ledwie je poczuł, oho! już albo strzelba na ramię i w las, albo na ogród, albo do jakiej tam roboty, i nie poznasz, że płakał. Takiegom-to ja miał pana, a było mi tak dobrze, że człowiek o sobie ani myślał. Dorosłem lat, on sam mi się naprzykrzał, czybym się ożenić nie chciał i osiąść na gruncie: ale jakże się było od niego oddalić? Przytém, że u nas we dworze tak-ésmy byli od kobiet odwykli, jakby ich na świecie nie było, i zdawało się, że bez nich całe życie obejść się można, a kozak stary utrzymywał, że to tylko śmiecie robi. A przecie potem sam się ożenił! Pan nie zagadał do żadnej, nie spojrział nigdy; my téż, choć się czasem poswawoliło za dworem, ale nam w głowie nie powstało, żeby się ożenić! I tak pan sobie postarzał i my sobie: jedni pomarli, drudzy, jak ja, powoli starzec się poczęli, a ja rychléj niż kto, bo mi w trzydziestu latach niewiedziéc z czego głowa poszpakowaciała. Życie się we dworze nie zmieniło, jegomość wciąż krzepko się trzymał, na polowanie chodził, wszakże coraz mniej zapalczywie, więcéj około ogródka się krzątając, bo na nogi szwankować powoli zaczął. Myślę, że je, chodząc po błocie, zerwał, bo chodził bardzo wiele i niezmiernie szybko. Kiedy się począł pochylać i trochę niedomagać, jeszcze jakoś smutniejszy się zrobił: pracy już mu było dobrać ciężko, do książek się wziął więcéj, a stękał i w nocy wzdychał czasem, wywołując imię boże, aż mnie śpiącemu w drugiej izbie łzy się do oczu cisnęły. Cośmy go chcieli zabawić to tém, to owém, coraz nam przychodziło ciężéj. Ja-m mu ptastwo hodował: rozrywało go to trochę, ale z dnia na dzień zaczął gorzéj zapadać i obojętniéc na wszystko. Jak się tylko położył, zaczęli powoli zaglądać do nas zdaleka jacyś dotąd nieznanymi panowie. Przyjechała jakaś jójmość; mówiono, że jego bratowa; potem mąż jój, jakby brat pański, różnych krewniaków siła, co go dawniész ani znali, a teraz nie wiem, jak i skąd zpod ziemi powychodzili. Ale takie-to wszystko było do niego niepodobne, jakby mu zupełnie obce: grzeczni, potulni, cicho gadający; tylko od ich własnych ludzi wiedzieliśmy, że się to poprzebierało dla jegomości, bo doma byli całkiem inni. Nie wiem, jakto pan hurtem wszystko odprowiał, że za jednym zamachem pojechali z gniewem, a myśmy znowu sami, chwala Bogu, zostali. I ot, tak wlokło się życie coraz smutniejsze; anim się opatrzył, jak lat trzydziész z okładem prze-

służyłem przy nim, a ostatek prawie ciągle przy łożku. Bywało tyle jego zabawy i rozkoszy, co ze mną, ze starym Bekasem i hodowanym ptastwem dzikiem, albo jak mu jaka książka do smaku przypadła, to ją dzień i noc czytał i zdawał się być spokojniejszy. Widać już było, że meta niedaleka, aleśmy go tak kochali, że żaden z nas o sobie nie pomyślał, a śmierć jego ani się nam nawinęła na pamięć, ani co tam potem będzie. Miałem około lat czterdziestu, kiedy poczciwe panisko umarło. Spędziłem życie przy nim, przywykłem jak pies do niego, i kiedyśmy go położyli na katafalku, myślałem, że i ja się na nim wyciągnę, tak nie wiedziałem, co począć z sobą. Siadłem w nogach i płakałem. Przyjechali sądowi, popieczętowali, spisali, ktoś tam się zajął pogrzebem; ja ani wiem, co się ze mną działo. Nazajutrz wróciłem do pokoju, pozamiatałem, poskładałem wszystko, jakby żył jeszcze, i, osłupiały, czekałem, nie wiedząc czego. Chwilami zdawało mi się, że to tylko sen jakiś przykry. Nierychło dopiero przypędzili pocztą krewni: owa pani bratowa, brat, bratanki i cała czereda i nuż się dopiero ujadać, szukać testamentu. Zburzyli dom cały, a gdy nic się nie znalazło, podobno odepchnawszy resztę rodziny, wzięli wszystko pan brat i bratowa. Nuż tedy robić porządek, sprzedawać, wypuszczać arędy, pieniądze ciągnąć i swój rząd stanowić. Ja tylko prosiłem, żeby mnie przy dworze zostawili; ale naco im był dwór, kiedy tu mieszkać nie mieli! Kazali mi iść na wieś do chaty; nie było dokąd; a że pan nieboszczyk nie rozporządził niczém, niewiele brakło, że bym znów pastuchem nie został na miejscu starego Hryndy. Tyle mieli łaski nade mną, że gdy się przekonali, jak im wszystko oddałem w całości, pozwolili mi resztę życia swobodnie tu przepędzić. Chaty żadnej nie było wolnej, krewnych nie miałem. Widzicie tam starą, rozwaloną karczmę nad bindugą, podle dębów, za mogiłą? Otóż-to tam dali mi kąć i ogródek za roczny czynsz trzyrublowy. Tu już lat dwadzieścia i kilka mieszkam i Pana Boga chwałę: codzień pójdę do dworu, pomyślę, popłaczę i nazad do mojej dziury.

— Tak, sam jeden?

— Jak widzicie. Moja-to już dola nie mieć nikogo i umierać samemu! Od czasu jak pan umarł, anim się ja do żadnego człowieka, ani się do mnie człowiek żaden nie potrafił przywiązać. Nie skarżę się, bo mi na wsi krzywdy nikt nie robi, prędkiej pomoże; alem taki sam jeden... a! jak palec...

— Na starość to tęskno — odparł parobczak.

— A tęskno — westchnął stary — niema co mówić, ale cóż na to poradzić? Z siwym włosem i o kiju żenić się nie pora; a kto by tam za mnie poszedł, chyba taka, którejbym ja nie chciał. Brata,

swata, rodzonych nie dał mi Pan Bóg. Co robić? trzeba samemu zdychać, jak się samemu żyło.

— I nie narzekacie? — spytał zdziwiony flisak.

— Albo by to co pomogło? — rzekł powoli, uśmiechając się, starszek — albo bym, Pana Boga obraziwszy, sobie ulżył, czy losu odmienił? Czy to zresztą człowiek choćby i do takiego życia się nie przyzwyczai?.. Aby dzień do wieczora!

To mówiąc, westchnął, fajkę wytrząsł i, za kij swój wzięwszy, gotował się odchodzić.

— Dobra noc wam, synku!.. A wy tu myślicie nocować?

— Żyd prosił, żebym tu przespał w skarbowce, bo tam worki z mąką i fasy ze słoniną, to się boi szkody.

— U nasby to szkody być nie powinno, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże — odpowiedział stary — i dobra noc wam...

— Dobra noc, ba! ku! dobra noc!

I rozstali się tak ci ludzie, których traf zbliżył, a godzina rozmowy poprzyjaźniła, wiedząc, że już się może w życiu nigdy więcej nie zobaczą. Dziwna rzecz, im prostsze obyczaje, im pierwotniejszy stan społeczności, tém — uważaliśmy to zawsze — stosunki przyjazne między ludźmi są łatwiejsze, bardziej braterskie i prędsze. Cywilizowani naprzykład im więcej chcą za ucywilizowanych uchościć, tém grzeczniej i przywoiciiej unikają zbliżenia się do siebie, omijają się. Przemówić do nieprezentowanego i nieznanego człowieka jest prawie grzechem towarzyskim; przypytać się do kogo przy pierwszym spotkaniu — niedarowaną nieprzywoitością. U ludu wcale inaczej, nie powiem że gorzej; godzina jedna spaja i brata, słowo pocziwe lub twarz obiecująca wywołują zaraz wywnętrzenia, przyjaźń jedna się łatwo i bywa gorącą jak nienawiść. Ludzie tu są jeszcze ludźmi, później przerabiają się na jakieś lalki, pewnym pociągnięciem sznurka posłuszne.

Stary Jermoła, z głową przypomnieniami życia swojego nabita, powracał do domu powoli, a parobek, świszcząc piosnkę i myśląc o biednym dziadku-sierocie, przygotowywał garść słomy, na której miał się położyć we drzwiach skarbowki, rad będąc odpocząć, bo po zachodzie słońca wieśniak gotów usnąć w każdej godzinie, byleby mu było wolno.

Jermoła tymczasem powłókł się do domu, do którego niedaleką miał drogę. Pomędzy wioską a brzegiem rzeki, na piaszczystym wygonie, zarosłym rzadką wyniosłymi starami sosnami i wieknieste-

mi dębami, gdzieniegdzie poobcinanemi przez leniwych gospodarzy, którzy po drwa do lasu jeździć nie chcieli, widać było budowę dziwną, służącą starem u schronienie. Nie chata, nie dwór, raczej pustka i ruina, stara karczma opuszczona, niegdyś na zbyt wielką pobudowana skalę, zrujnowana jakimś przypadkiem, bez dachu, ze sterzącemi krokwiemi gołemi i częścią słomianego poszycia, zawieszzonego nad kawałkiem ścian, jeszcze cało stojących. Jeden róg w zrab zbudowanego karczmisska, choć wychylony i skantowany, trzymał się jeszcze; widać w nim było okno nawpół zalepione gliną, z kilku szybami u góry, drzwi połatane nanowo i ściany, które od dawniej pobiałe i nalepy dziś szary tylko i wątpliwy kolor zachowały.

Reszta gospody cała była stosem przegniłych belek i brusów, poczerńiałego drzewa, kupą gnoju, porosłego chwastem, i bezkształtnem rumowiskiem. Jakim cudem trzymał się tam ten dachuszątek nad izbą mieszkalną i sama budowa, może podpierana nawalonymi obok gruzami? — odgadnąć trudno.

Obok niej płot z żerdeł ogradał małeńki, kilkogrzędowy ogródek, opasany kilku wyniosłemi dębami i sosnami.

Nad dachem stary komin obnażony, czarny, popękany znać służył na coś jeszcze mieszkańcowi tego kąta. Ruina ta, jak większa część naszych zwalisk drewnianych, nie miała wspaniałości i powagi rumowisk kamiennych: nieszlachetną była i brudną; mogłes policzyć, ile jeszcze lat żyć będzie, dopóki się nie zmieni w mogiłę chwastów bujnych i zielsk nieużytecznych. Zgnilizna od drzewa na ziemi przechodziła do ścian trzymających się jeszcze; widać ją było poczynającą dzieło zniszczenia, gdzie tylko upadły tynk i glina. Smutno było spojrzeć na te zwaliska i pomyśleć, że człowiek jakiś został zmuszony w nich zamieszkać. A jednak przywykły do swego śmietniska Jermoła bez wstępu zbliżył się do téj kłétki, otworzył drzwi i wszedł do swojej izby; a że w niej już panowała ciemność, naprzód skrzesał ognia i podpalił trzaski, przygotowane w piecyku.

Powoli rozjaśniały kątki alkierza i już go można było obejrzyć przy blasku suchego łuczywa. Była-to niewielka izdebka narożna, nad którą ściel i dach trzymały się jeszcze; dawniej musiała-to być sypialnia i skład pana arędarza. Drzwi, wiodące od niej do drugiej izby szynkowej, dziś zrujnowanej i niemieszkalnej, zabite były deskami i oblepione słomą z gliną; stary piec, corok poprawiany i lepiony, straciwszy już dawny kształt prostokątny, wyglądał garbato, koszlawo, nieforemnie i guzowato, zamiast blaszki zamykał się kilku ceglami. Obok komin całkiem był zamurowany, wierzchni gzyms jego służył za rodzaj pułki, a wewnątrz zastępowało szafę.

Sprzęt, jak się domyślać łatwo, nie był wykwintny: nawpół wiejskiego pochodzenia, od siekiery obrobiony, wpół z resztek i ło-
mu dworskiego się składał. Gdy Jermołę odprawiono z próżnemi
rękami po trzydziestokilkoletniej służbie, za całą nagrodę steranego
życia dano mu jakieś resztki potłuczone i niepotrzebne, które miano
na śmietnisko wyrzucić. Z tych szczątków skrzętne ubóstwo zło-
żyło sobie sprzęt prawie wygodny; przemyślny Jermoła umiał sko-
rzystać z najlichszej drobnostki i izdebka jego ubrała się w pamiątki
po dziadku i latach młodości. Spał na stariej kanapie z powy-
ginanemi nogami, niegdyś białe ze złotem lakierowane, w głowach
miał stoliczek z szachownicą, jeszcze kolbuszowskiej roboty; para
krzesel deskami zamiast poduszek pozabijanych, widocznie pocho-
dziła z Gdańska, ale już sznurki tylko i ćwieczki wstrzymywały je
od rozsypania. Obok nich skrzynka zielono malowana i kuta w do-
mu, wiejskiej była fabryki; ława ledwie ociosana stała przy drzwiach,
drugi stolik, niezheblowany nawet, pośledniejszą zastawiony był po-
teruchą garnuszków i misecek. Ale zato na kominie, zlepiiony ka-
rukiem, świetnie się wydawał dzbanuszek z sewrskiej porcelany bez
ucha, jaśniały musztardniczka, imbryczek saski na nóżkach, z któ-
rych jedną przed pięćdziesięciu laty odbito, filiżanka *wydzwudowa*
i prosta ruska masielniczka w kształcie baranka. W ten sposób
cała przedstawiała się izdebka: uboga, chędoga, a smutna tём, że
ją składały same resztki dawno zapomnianego dostatku, na pokry-
cie dzisiejszej nędzy służące. Kilimek przy ścianie był turecki, ale
dziurawy i połatany, a spotykał się z prostym krajczakiem u łóżka;
obok garnków świeciły resztki szkła, porcelany i fajansów, przy ma-
honiu — sośnina. Na ścianie, obok nieforemnego obrazka Bogarod-
zicy Poczajowskiej wisiał przepyszny, ale szkaradnie zamokły
sztych Rafaela Morghena, przedstawiający wieczerę Leonarda,
której całego rogu brakowało; dalej Dwunastu Apostołów, pocho-
dzących od Hoffmana z Pragi, i niemieckiej szkoły, na drzewie,
uskodzone malowidełko, Narodzenie Pańskie.

Całą rzeczywistą ozdobą tego kąta była jego czystość i panu-
jący w nim porządek: nie dostrzegłeś nigdzie pyłu, nigdzie śmieci;
każda rzecz stała w miejscu; a choć w tej biednej izdebce mieściły
się i zapasy i jadło i kuchnia ubogiego i spiżarnia i odzież i wszelki
dostatek jego, nie znać było ani nagromadzenia, ani bezładu. W ścia-
nach porobione były szafy i pułki, pod stołami stojące skrzynie, ko-
mórka zapieckowa, komin zapuszczony sukmem, służyły za składy.
Nawet drewna i trzaski z pewną symetrią w wyznaczonym sobie
miejscu nałożone były. Miał wprawdzie Jermoła obok w opusto-
szonej szynkowni zagrodzony kąt, w którym część grubszych swych
zapasów zwykł składać; ale tam bez zamku niewiele mógł rzucić,

bo nęcza z nęczą, nie rozbiegając praw własności, chętnie się dzielą.

Wszedłszy i rozpaliwszy skałki w piecyku, bo świeca była dlań rzeczą zbyt kosztowną, stary obejrzał się wprzód, czy wszystko w porządku zastał; poszedł do garnka, aby sobie przygrzać wieczrę, którą mu przynoszono ze wsi od kozaczychy, lub ją czasem w części sam sobie przyskwarzał, a potem usiadł na zydlu przeciw ognia i rozpoczął pacierze.

Wiatr chwilami przebiegał po gałęziach sosen i dębów bliskich zagrody, cisza głęboka panowała dokoła i Jermoła zamyslił się, modląc, gdy wpośród milczenia, zrazu niewyraźny, potem coraz głośniejszy i dobitniejszy dał mu się słyszeć płacz dziecięcia.

Było-to kwilenie niemowlątka... a tak bliskie, że niemal zdało się gdzieś spod drzwi wychodzić.

— Cóż to być może? — rzekł w sobie stary, przerywając pacierze i powstając z ławy. — Późna godzina, czyby która głupia baba miała się wybrać nad rzekę z dziecięciem, albo do mnie po lekarstwo?

Nastawił ucha, ale kwilenie ani się zbliżało, ani oddalało; widocznie dziecię gdzieś leżało w miejscu. Pora nie była po temu, żeby je z przenośną kolebką postawić tam miano; chłód, wieczór, położenie wygonu nie dozwalało tego przypuszczać. A głos dziecięcia kwilił smutnie.

— E! to sowa! — rzekł sobie, siadając, stary — usiadła gdzieś na dębie i piszczy; ale przysiągłbyś, że dziecko... Jakto one udawać umieją!..

Posłuchał; płacz stawał się coraz wyraźniejszy i boleśniejszy.

— Nie! to nie sowa, to coś niepojętego. Trzebaby pójść zobaczyć. Może jakie nieszczęście... Ale coby to być mogło?

To mówiąc, chyżo się porwał, czapkę na uszy wcisnął, kij wziął do ręki i, nawet o ulubionej zapomniawszy fajeczce, za drzwi wyskoczył. Na progu już przekonał się, że najmniejszej wątpliwości nie było, a krzyk nie sowa pewnie, ale biedne jakieś wydawało dziecię. Przeraziło to prawie starca, i kierowany głosem, począł szukać, skądby pochodził; zwrócił się zaraz ku ogródkowi i ujrzał coś bielejącego pod najbliższym dębem. Czy go stare nie zwodziły: na grobie mchem zielonym okrytym, obwinięte w bieliznę, kwiliło niemowlę.

Dziecię! dziecię porzucone, opuszczone od rodziców! — to się

w głowie staruszka pomieścić nie mogło. Struchlał z przerażenia, z podziwu, z litości i smutku, podbiegł i, nie myśląc, co robi, pochwycił na ręce dzieciaka, który, uczuwszy może ruch około siebie, natychmiast kwilić przestał.

Jak złodziej z kradzieżą biegł, kija nawet zapomniawszy, stary Jermoła do swojej izdebki, powtarzając sobie ciągle :

— Dziecię! dziecię! Co to być może?

Nagle przyszło mu na myśl, że przypadkiem zapewne porzucono na chwilę niemowlętko i że niepokojem matkę nabawić może, gdy go w miejscu nie znajdzie ; począł więc wołać głośno i hukać po polsku, aż mu się lata pastusze echem przypomniały ; ale nikt nie odpowiadał.

— Jużciż tak biednego dziecka na chłodzie zostawić niepodobna — rzekł ze wzruszeniem. — Pójdę do chaty ; domyślą się, gdzie się podziało.

Otworzył drzwi ; w piecu było przygasło, ciemności okrywały izdebkę ; żywo złożył swój ciężar na łóżku, a sam jał się rozpalać trzaski i wiwo, których nie oszczędzał tym razem.

Gdy światło znów zabłysło, a stary przybiegł do kwilącego znowu dziecięcia, podziwienie jego i przestрах wzrosły do najwyższego stopnia. Dziecię to widocznie nie było wiejskie ; samo spowicie dowodziło tego. Jermoła w głowie się pomieścić nie mogło, jakim sposobem, z jakichkolwiekby powodów, matka czy ojciec potrafiliby wyrzec się tej maluczkiej istoty niewinnej, na którą patrząc, płakał z litości i wzruszenia.

W istocie, od usłyszenia pierwszego płaczu do tej chwili nieznanie jakieś uczucie owładowało starcem dotąd spokojnym ; czuł się poruszonym, przeleklým, ale zarazem ożywionym, jakby o lat dwadzieścia odmłodniał. Z ciekawością zbliżał się do zagadkowej istoty, którą los, jakby ulitowawszy się nad jego osamotnieniem, rzucił mu na pociechę właśnie, gdy myśl szukała jakiegoś węzła, coby go jeszcze ze światem połączył.

Dziecię, starannie obwiniete, było widać przysłonięte umyślnie w ten sposób, aby z pieluch nawet pochodzenie jego wydać się nie mogło. Matka wyrodna czy ojciec obojętny, z resztką jakiejś troskliwości o nie, obmotali całe sztuką grubego, białego perkalu, która tylko część twarzyczki rozpląkaną zostawiła odkrytą.

Jermoła wpatrywał się w nią z uczuciem osłupienia i z załamaniem rękoma.

Nieręchło mu przyszło na myśl, że tu coś radzić potrzeba, że dziecię płacze, może głodne, że na niego spada ciężar niespodziany, któremu podołać będzie trudno i nad siły. Błyskawicą przesunęły mu się przed oczyma : mamki, kolebka, nianczenie, macierzyńskie

starania i niedostatek, który mu nie pozwalał nikogo najać do dziecienia.

Najemne też ręce zdały mu się niegodnymi dotknąć tego bożego daru, za jaki podrzutka uważał, już się rachując niejako za przybranego ojca, przez Opatrzność wyznaczonego sierocie. Błysło mu w oczach, że mu to dziecko odebrać mogą, i nim się zastanowił, co z niem uczyni, przeląkł się tej ostateczności.

— Nie! ja go nie oddam nikomu! to moje dziecko, moje! Sam Bóg mi je zesłał; nie porzucę sieroty!

Ale radzić było pilno; dziecko kwiliło i płakało znowu. Jermoła wziął je na ręce... Co tu począć? do kogo pójść po radę? co najpiękniej zrobić?

Gdy je tak nosi po izdebce, niemal oszalonego swą dziwną przygodą, z powiniecia wysunął się zwitek ciężki i upadł na ziemię. Jermoła zdziwił się bardziej jeszcze, podniósł się i spostrzegł w biały papier zakreconych kilkadziesiąt sztuk złota.

O mało dziecienia nie upuścił...

— A więc to ktoś dostatni wyrzekł się swój krwi, płacąc, by mu ją ktoś odebrał!

Zamyślił się starzec, usiłując odgadnąć świat, który do tej pory tak mało rozumiał, a może intuicyjną siłą serca pojął chwilowo całą czarność, nędzę i cierpienia żywota...

— Mój Boże! — zawołał — znaleźliby się może i tacy, co by ten grosz odebrali sierocie... Nie! nikt o nim wiedzieć nie będzie; schowam go dla wychowańca, gdy dorośnie, a wyżywić go i sam potrafię.

I rzucił złoto w szkatułkę starą, stojącą przy łóżku, w której swój grosz, jaki miał, zwykł był chować, a sam, porwawszy opończę, postanowił z dzieckiem pójść na wieś, popytać rady u ludzi.

Biędny starzec, otulając swój ciężar, skłopotany, przerażony i szczęśliwy zarazem, do najbliższej wbiegł chaty.

Siedziała w niej wdowa po kozaku owym Harasymie, którą też od służby mężowskiej pospolicie kozaczyką zwano, z córką jedynaczką ukochaną, której od lat kilku szukając męża, wyszukać nie mogła, choć dziewczę warte było zalotów.

Chata, którą jeszcze nieboszczyk dziedzic nadał Harasymowi na koniec wsi, ku brzegowi Horynia posunięta, mogła starego dworaka upoważniać do odpowiedzi: „Moja chata z kraju, niczego ne znaju!“ bo za nią był tylko wygon i pustka, w której mieszkał Jermoła. Z dawnych stosunków dworskich między temi dwiema lepiankami pozostał węzeł przyjazny: kozaczyka opierała Jermołę, brał u niej jedzenie, a czasem w złej godzinie przychodził szukać pociechy, części jej jeszcze gawędy i dobrego słowa. Ale tam lepiej się działo,

niż u biédaka Jermoły; dostatek był większy, a że babka skąpa i rżądna, nigdy na przednówku nie brakło niczego i grosz jeszcze lub miarka zboża po ludziach się znalazła.

Chata, dziś postarzała i czarna, choć ją kozak budował z pomocą pana i z wielkiem staraniem, podobna była wszystkim innym, które zaraz za nią długim się ciągnęły sznurem: drzewo tylko użyte na ściany grubsze było, a wewnątrz trochę lepiej, bo piec i komin porządny, a izba nie-kurna.

Do niej należał ogródek tuż wydzielony w połowie na ługu i drugi obszerniejszy, na którym siano żyto lub jarzynę, nieco opodał z polami wiejskimi w łanie. Kozaczycha miała krów cztery, z których zbierała sér i masło i przedawała je okolicznym dworom lub w mieście; cały pług najczęściej wynajmowany lub wysyłany do obrabiania pola nawspół z uboższymi; dziesięć owiec, troje ozimków, a nawet konia do brony kupiła była, choć się jej nie powiódł i znosić z zapuszczonej zołzy. Oprócz niej i córki, był w chacie stary Chwedor, parobek, już poszpakowaciały na cudzym chlebie, nieco głuchy i wielki pijak; chłopak wyrostek, sierotka i dziewczka najmłodsza. Słowem, gospodarstwo to wcale zamożne, kierowane przez starą wdowę, tém dziwniejszem czyniło, że po rękę Horpyna nikt się dotąd nie zgłaszał, zwłaszcza, że sama dziewczyna, już dochodząca dwudziestki, była bardzo piękna i za najcelniejszą krasawicę na wsi uchodziła.

Słusznego wzrostu, co widać wzięła po ojcu, zręcznej kibici, czarnobrewa, kiedy się na niedzielę wystroiła w krocie wstążek, w granatową bekieszę i żółte, po wołyńsku, buty na wysokich obcasach, wyglądała jak przebrana pani. Chłopcy oczy nią paśli zdaleka, wdychali, czapkami kręcili, w głowy się skrobali, ale zbliżyć się do niej żaden nie śmiał, naprzód, że istotnie Horpyna dumna była jak wielka pani, powtóre, że pocichu powtarzano, jakoby od lat już dwóch dojeżdżał do niej szlachcic, który wprzód we wsi pisarzem służył, i ona go kochała i on do niej przylgnał zapamiętane. Od téj pory każdy parobczak unikał kozaczki i dziwy prawili o tych miłostkach pokątnych.

Stara jakby nic nie widziała, swatała się z córką po wsi jak mogła i umiała, jeździła z nią na odpusty, zapraszała na wieczorynki i doświtki. Spijano, zajadano, bawiono się, ale Horpyna nie doczekała dotąd od nikogo fiaszy z ręcznikiem.

Trafił tak Jermoła, że nie zastał żywej duszy przed chatą kozaczychy, gdy się do niej zdyszany zbliżył z kwilącym znowu dziećciem; światło tylko buchające przez okienko zwiastowało, że gospodyni doma. Wszedł więc wprost ze swoim zawinięciem do świetlicy staruszek.

Kozaczycha siedziała na ławie przy stole, podparta na rękę i zadumana, a Horpyna przy piecu, obie milczące i smutne; podniosły oczy razem i, ujrawszy Jermołę z dzieckiem, zerwały się z krzykiem podziwienia.

— Co tobie, stary? co to jest? — zagadnęła matka.

— Co? co? — zawołał przybyły, padając na ławę i na kolanach składając dziecko, z którego oka nie spuszczał — ot, co, widzicie... mnie... dziecko Pan Bóg dał!

— Tobiel jak?

— Dziw! cud! Sam nie wiem, co robić. Tylko-m co powrócił znad rzeki od drzewa, gdzie byłem na balach, zapaliłem ognia i pocałem się modlić, gdy słyszę, coś piszczy pod dębami: ni to sowa, ni to dziecko... Myślę sobie, puhacz, bo tam są dziuple w starych dębach; modłę się dalej, a tu znowu płacze. Skorciało mnie, ano, wyjrzę... Pobieglem, przychodzę, patrzę i ot, co znajduję... dziecko... Co tu teraz robić?.. co tu robić?

Stara i młoda, obie niewiasty stanęły ciekawie nad Jermołą opowiadającym, kiwając głowami w milczeniu.

— Ktoś podrzucił — zawołała stara — ale kto?

— A któżby tak mógł dziecinę porzucić? — z oburzeniem podchwycił stary — czy to może być?

— Oj! oj! znamy my takich ludzi — odezwała się kozaczycha, trzęsąc głową na wszystkie strony. — Nie takie-to historie opowiadają o złości ludzkiej. Alboście nie słyszeli o niemowlątku, co to je wyrodna matka na pastwę wieprzom wrzuciła w koryto, żeby śladu jej sromoty nie zostało?

Stary Jermoła, nie zrozumiałwszy, prawie spojrzął wielkimi oczyma na kozaczychę i ruszył ramionami; tymczasem dwie niewiasty aż poprzyklekały przy dziecięciu, żeby mu się przypatrzeć.

— A w jakież to białe poobwijane rańtuchy!

— A jakie delikatne!

— Pewnie pańskie, bo u nas ktoby co podobnego odważył się zrobić; *zawodu* na to niema.

— I wybrali miejsce pod waszą chatą!

— Ale radźcie-no, co ja z nié m będę robił?

— Jak zechcecie — odpowiedziała kozaczycha — możecie odwieźć do ekonoma, a on odstawi do *pomocnika* i zabiorą sobie gdzie do jakiego szpitala...

— Zabiorą! — krzyknął Jermoła z płaczem w głosie — a to mi ślicznie radzicie! A będą-ż doglądać, pilnować? Gotowi umorzyć niemowlątko!

Stara ruszyła ramionami.

— A wy jak sobie z nié m radę dacie?

— Radźcież na to, kumo!

— A jakże myślicie?

— Czy ja wiem, co myślcć? — przerwał stary. — Mnie się w głowie zawraca, co tu począć. Za nic porzuciłbym nie rad dziecka, które sam Bóg oddał mojej opiece; wyhodować go nie wiem, czy potrafię... Tylko mi się zda, czemużby nie!

— Będziecie je musieli oddać na mamki, to najprędzej do Jurkowej niewiastki.

— A! za nic! — zawołał Jermoła — ot, to! taka zła baba, to by mi je przemęczyła, a zażądałaby ode mnie niewiedzieć czego, kiedy u mnie grosz grosza goni... Gdybyście mu dali mleka: patrzcie, no, jak się maże i płacze! możeby piło... Jabym u was najął mleko dla niego.

Kozaczycha rozśmiała się.

— Cóż? i sami nianńczyć będziecie? sami bawić? huścić, kołysać! A! to chyba nic już więcej robić nie będziecie mogli! Dziecko, to wiekuisty kłopot; pamiętam, com ja miała ze starszym, z tym nieborakiem Tymoszkim, który roku nie dożył, a i z Horpyną: ani dnia, ani nocy spokojnej.

— Albo to ja i tak bardzo śpię, czy tak bardzo co robię wiele? — rzekł uparty Jermoła, który się do swojego znajdy przywiązywał coraz bardziej. — Mnie aby się tylko parę godzin przespać, a dziecko to ciągle prawie śpi a śpi, byleby nie było głodne... Znajdę czas i przedrzemać się i do ogródka zabiedz i kartofli sobie upiec.

— Ale czemuże je karmić będziecie?

— Ano mlekiem.

— Kiedy ono może i pić jeszcze nie potrafi, takie małe...

Jermoła westchnął.

— Nie potrafi... to się nauczy! Ale co tu poradzić?

Kozaczycha powoli wzięła mu z rąk niemowlę i poczęła się w nie wpatrywać; ono kwiliło. Córka jej pobiegła po świeżo udojone mleko, a przywabieni ciekawością i słowem, rzuconém przez Horpynę, sąsiedzi, schodząc się poczęli po jednemu, po dwóch, dalej całemi gromadami i obstąpili kołem starego.

Jak wieś wsią, za pamięci najstarszych ludzi nigdy się tu nic podobnego nie trafiło, słyhać o tém nie było. Gadano, nie mogąc się nagadać.

Radził wójt, radziła gromada i starzy i młodzi i kobiety i parobcy, ale nic uradzić nie mogli, bo wciąż powtarzali jedno, jednakowo się zbijając i znów powracając do pierwszego, a zawsze swatając na mamkę Jurkową niewiastkę.

A co było domysłów, co przypuszczeń dziwaczných, co żartów i co narzekań na niepocziwych ludzi!

Nikt jednak poszlaki nie miał o sprawcy: we wsi nikogo obcego nie widziano pod wieczór, ani w pobliżu nawet; drogi były puste, w karczmie, na przewozie nie pokazał się żaden podróżny. Gdy się dosyć nagadali, narozprawiali i powoli rozchodzić się już zaczęli, niosąc po wsi owę osobliwszą nowinę, stary Chwed'ko, znany bardzo posiadacz dereszowatej klaczy, oparty na kij, zebrawszy myśli, tak się odezwał do Jermoły:

— Ot, co mi teraz na pamięć przyszło: słyszałem, to już temu lat będzie ze dwadzieścia, w Małyczkach owdowiał był gospodarz znajomy mi; żona mu w słabości zmarła i zostawiła sierotkę, tylko że na świat przyszła. Biédaczysko jednooki, ubogi, nawet mamki znaleźć nie mógł; chodził od chaty do chaty, a nie wyprosił nigdzie, żeby mu córeczkę przyjęto, a nie miał nawet i krowy, żeby ją mlekiem karmić. Wiecie, co poradził sobie? kozę, słyszę, kupił za ostatniego pół rubla, co mu został od pogrzebu, i ta wykarmiła córkę, taką śliczną córkę, jakiej na okolicę niema.

Jermoła aż się porwał.

— Dawaj-że tu kozę! — zawołał z żywością. — Jest gdzie koza?.. Kupię kozę...

— Koza u arędarza.

— Niema rady! idę i kupuję...

I już ruszył się do drzwi, kiedy go zarazem i kozaczycha i Chwed'ko wstrzymali.

— Bój się Boga! — zawołał chłop — a to cię żyd zedrze ze skóry, jak się dowie, że koza potrzebna.

— A niech weźmie, co chce, aby kozę dał!

— Ostatnią koszulę oddasz za nią — przerwała zapalonemu kozaczycha. — Czy to nie znasz Szmula? toż to okrutnik, że i między żydami poszukać podobnego... Powoli, na miłość Boga! choć już kłamcie, że dla chowu potrzebujecie, bo ci za nią drożej krowy każe zapłacić.

— Pójdę-no ja z tobą — rzekł Chwed'ko. — Zobaczycie, zdurzym żyda.

— Ale cóż robić z dzieckiem?

— Nie turbujcie się, zostawcie u nas; nic mu się nie stanie.

— Jeno zmiłuj się, matko — rzekł Jermoła troskliwie — ostrożnie koło niego!

— A! on mnie będzie uczył! patrzcie! Co to pierwsze u mnie czy co! Ja je ukołyszę, mlekiem napoję, choćby na palcu po kropki dawać przyszło... Tylko się już nie frasujcie.

— Ja się duchem zwinę — odparł Jermoła — ale proszę was, żeby się co dziecku nie zrobiło.

Stara się aż z niego rozśmiała, taki był skłopotany. Dopiero na

wychodnym przypomniał sobie, jak dawno fajki nie palił, dobył luleczki, która go nigdy nie opuszczała, z zanadrza, nałożył szparko, zapalił i razem z Chwed'ką puścili się pomimo ciemnej nocy ku nowej karczynie, w środku wsi położonej.

W wiosce, w której, dla bindugi i brzegu, napływ ludzi jest ciągle, handel drzewny żywy, flisy, kupcy i ich faktorowie kręcą się nieustannie: lada żydek obszarpaniec siedzieć w karczynie nie może. To też w Popieleńskiej gospodzie ów Szmul, królujący nie tylko włości, ale okolicy, wcale nie był pospolitym szynkarzem, jeżdżącym z bezułka po wódkę o trzy mile.

Był-to żyd zbogacony udziałem, jaki miał w kupnie towaru leśnego, handlem smołą, luczyną, popiołami i dziegciem, brakiem klepki i belek, obodami i wszelkiego rodzaju poleskim produktem, aż do grzybów i suszonych jagód. Szynk także dawał mu, zwłaszcza na wiosnę, zyski nie-do-pogardzenia; a pan Szmul, czując już trzos nabity i ważność swego położenia, powoli chorować zaczynał na *morej-ne*. Nowa karczyna, w której się mieścił, nie miała już pozoru starych gospód, których kształty zachowały dawne, podaniowe formy słowiańskich gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych. Brakło jój zajazdu wspartego na słupach, bo na podróznym nie oglądała się wcale, a dla kupca żyda miała szafasik, dla zatoczenia budy wystarczający; wyglądała więc raczej na dosyć porządną dworek szlachecki. Z jednej strony wielką izbę poświęcono w niej na szynkownią, otoczywszy ją ławami do ścian przymocowanymi i ogromnym opatrzyszy stołem, a w przepierzeniu od alkierza urządzono szynkwias, zamykany na noc rodzajem podnoszonej okiennicy, na której we dnie wydawano wódkę, podpierając ją starym kołem brzożowym. W drugiej domu połowie, nie bez pewnego wykwintu urządzonej, mieścił się Szmul Popieleński z całą swą rodziną, zostawiając w tyle izdebkę osobną dla kupców przejezdnych.

Pierwsza izba zakrawała na coś bawialnego, bo miała kanapę politurowaną, cystem w gwiazdy żółte pociągniętą, dwa krzesła także z czarnymi strzałami w poręczu, lusterko zamuszone na ścianie, portrety za szkłem dwóch izraelskich znakomitości: rabina hamburskiego i wileńskiego, szafę z porcelaną, rumem, filiżankami i kosztowniejszym sprzętem i stół kiwający się, z lirą, zawsze pokryty kolorową w czerwone wzory serwetą.

Gdybym miał czas i humor po temu, o! jakże ważne mógłbym tu filozoficzne wyciągnąć wnioski z tych strzał i liry, dwojga symbolów starożytnego świata, sponiewieranych do tego stopnia, że o pierwsze plecami się opierają, a drugie depcą nogami! Strzały! strzały w poręczu krzeselka! lira zeszepecona, z drewnianymi strunami, lira

Amfiona, lira Orfeusza i Apollina, podpierająca stolik u żyda! Niestety! *sic transit gloria mundi!*... Strzały nie kaleczą, lira oniemiała — a my wracamy do żyda.

Podłoga w tej izbie była nawet zrazu malowana, ale to ją tylko dziś czyniło pstrokatą; piec zamykał się drzwiczkami żelaznymi z gałką mosiężną, co wszystko Szmul *proprio sumptu et cura fieri fecit*, dla dogodzenia swęj fantazyi, z czego zresztą tak się chlubić umiał, jak niejedyn u nas, gdy dwa kolki wbije koło domu lub ścianę wyklei. W drugiej izbie, większej nieco, żydowskie brudy rozpościerały się swobodnie, ale przy nich były ochotki wystawności i pragnienia wygódek. Łoże stało pod sufit wysłane bebeczami kolorowemi, z firankami w kwiaty; była szafa czarna z księgami i papierami, biurko kulawe, a obok kupa kartofli; niecułki, łoszyn schnący na serwecie, kadka z pomyjami i przyjacielsko między bachurami chodzący biały indyk, *pater familias*.

Szmul był człowiekiem niepięrszj młodoci, lat pod pięćdziesiąt mającym, żonatym powtórnie, gdyż z nieboszczki miał tylko jednego syna, który już w miasteczku handlował, a jednym potomkiem tym nie mógł się kontentować: wziął więc młodziutką ubogą żydóweczkę wielkiej piękności, a ta już mu troje Szmuląt w przeciągu lat niespełna trzech przyprowadziła. Siwe włosy jego ubłogosławiała ta niespodziana jej płodność. Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela zdawał się na pierwsze wejrzeńie pięknym i szlachetnego oblicza; chciało się patrzeć nań, w poczciwość jego wierzyć, ale kłamał, jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknocią swojā.

Nie było bowiem pijawki nielitościwszj nad Popielańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od małuczki: obok tysięcy kładł wyszarzane grosze miedziane, oblane potem wieśniaczym, i dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzej była odprawiał, obchodząc się z nim bez litości.

Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać, co Szmula do większj jeszcze przeciw nim pobudzało zajadłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali. Uważał to za formalny bunt z ich strony, a że podanie jakieś, gdzieniegdzie dochowujące się, dawało mu niejaka władzę dopominania się o ubytki, gdy kto z ludzi pojechał do cudzego młyna, zdawało mu się, że toż prawo upoważniało go do hałasowania, gdy kto na targ krowę prowadził lub sprzedał korzec zboża bez jego wiadomości. Niesłychanie czynny, Szmul nic nie opuszczał: wszystko mu było dobre, a czas miał na rzecz każdā. Zimna krew i spryt nie opuszczały go nigdy.

Do tego-to wszechmogącego władcy szedł nieopatrzny Jermoła w nadziei kupienia białej kozy. Szczęściem daleko przebieglejszy towarzyszył mu stary Chwed'ko, bywalec, wyuczony ludzkim oszukaństwem, ostrożny i nie żałujący ani gęby, ani nóg, ani czasu, byle grosza oszczędzić. Po drodze dawał Chwed'ko nauki Jermole, ale ten ich nie słuchał, cały zaprzątniony myślą, jakimby sposobem kozy dostać. Staruszka ta, na nieszczęście faworyta Sury i starszego jej synka, który ją czasem za brodę ciągnął, choć go kilka razy potłukła, w najszcześniejszym razie warta była około dwunastu złotych; ale Jermoła już był przygotowany dać za nią dwadzieścia, czemu się Chwed'ko nie tak bardzo przeciwił, zważając okoliczności, bo koza była dojna i niezbyt stara. Ale jak tu było do Szmula z propozycją przystąpić? Dość, żeby się dowiedział o potrzebie, zdarłby za nią niechybnie; chodziło więc o to, by jakoś żyda obejść i trochę oszukać, zapobiegając, żeby on nie oszukał nieboraka Jermoly.

Już się zbliżali do karczmy, gdy Chwed'ko, namyśliwszy się głęboko, kazał się Jermole zatrzymać.

— Posiedźcie tu, przed chatą — rzekł, wskazując na miejsce — poczekajcie; pójdę ja przodem i żyda wymacam. Nie bójcie się; jakoś to będzie... ja go uchodzę. Przyjść tak prosto z mostu i kozy zażądać, to on ci ją jak krowę zaceni; trzeba, żeby żyd sam ją zalecał... Dajcie-no mi spróbować.

— A cóż zrobisz?

— No! zobaczysz — żywo rzekł Chwed'ko, biorąc do serca sprawę Jermoly — tylko mnie słuchaj.

Jermoła, nabrawszy otuchy, usiadł pod chatą, potrzebując prócz tego namyslenia i spoczynku; sparł się na rękę i zadumał głęboko, pierwszy raz oddawna zaglądając w przyszłość.

Chwed'ko pośpieszył do szynkowni naprzód, ale tu Szmula nie było: chodziła tylko koza. Uchyliwszy więc drzwi paradnej jego izby, dobrze otarłszy nogi i poprosiwszy wprzód o pozwolenie wniknięcia, z czapką pod pachą wtoczył się, kłaniając się po kilkakroć na progu. Miał i to na uwadze, żeby stanąć na słomiance, bo żyd się gniewał, gdy mu jego izbę zanoszono błotem, a dobrze upewniwszy się w pozycyi, ręką do kolan pokłonił się raz jeszcze Szulowi.

Potrzeba było, chcąc być łaskawie przyjętym, dobrze pamiętać o wszystkich warunkach, tak właśnie jak baczny Chwed'ko; do nich należało otarcie nóg, trzymanie się u progu i nie nazywanie starego żyda arędarzem, tylko kupcem, morejne bowiem utrzymywał, że szynk dla niego jest małą rzeczą i że dla przyjemności tylko na wsi mieszka.

— Nu, a co to powiesz, Chwed'ku? — zapytał z krzesła żyd,

który się kiwał nad książką nabożną, ale nabożeństwo przerywał, ilekroć była potrzeba dla interesu, wiedząc, że Pan Bóg cierpliwszy jest od ludzi.

— To, proszę pana kupca, jest tu jedna *okazyja*.

Okazyja nazywa się u ludu wszelka niespodziana przygoda, każdy wypadek, mogący być powodem do kieliszka.

— Okazyja? no, co? chrzciny, zapowiedzi? wesele, czy pogrzeb? Umarł kto, broń Boże? Pewnie wódki na kredyt chcecie?

— Ale nie; ja tu przypadkiem dowiedziałem się jednej rzeczy i chciałem panu kupcowi powiedzieć; może być zarobek...

— Nu! jaki zarobek? — wstając, założywszy ręce za pas i zbliżając się, spytał Szmul.

— Jegomość (tytuł ten wielce żydowi smakował), jegomość zna Jermołę, tego starego, co siedzi w obalonój karczynie?

— Jakże nie znam? gołysz! gołysz!

— Ta-to prawda, ale gdzieś kilka rubli sobie dostał.

— No, to co? chce przepić?

— At! on wódki nie pije, ale jemu do głowy przyszło koniecznie sobie krowę kupić: pół na kredyt, pół za pieniądze.

— Krowę! Naco jemu krowa?

— Chciał już iść do miasteczka; ja go wstrzymałem, bo mi coś do głowy przyszło.

— Do miasteczka! zaraz u nich do miasteczka! — podchwycił żyd, ruszając ramionami. — Ano mów dalej, Chwed'ko, coś tam obmyślił?...

— Ja jemu chcę perswadować, że naco jemu krowa z długiem; lepiej za czysty grosz dojną kozę kupić, i mleko i przychówek mieć będzie. Możebyście wy jemu swoją białą starą sprzedali?

Szmul bacznie popatrzył w oczy Chwed'kowi, który się szczęściem nie zmieszał; zresztą trudno się było domyślić podstępu w narajeniu do sprzedaży białej kozy. Arędarz spróbował go tylko zapytaniem, rzuconém jak sonda w głębinę:

— Jermoła tu? w karczynie?

— Nie, siedzi od południa u sąsiadów, ale gdybyście chcieli, to go potrafię tu namówić i przyprowadzić, choć nie rad do karczmy zagląda. Ale może wy tej starej kozy sprzedawać nie myślicie? Ja to tak z dobrego serca dla was pomyślałem; naco pieniądze mają ze wsi wychodzić. A jak wam to nie w ład, to mu dam pokój; niech idzie do miasteczka.

— Czekaj-no, czekaj — rzekł żyd po namyśle do Chwed'ka, biorącego już za klamkę — poco jemu do miasteczka...

I zawołał Sury, która weszła z minką kwaśną pieszczoszki Abizail; poszwargotali coś z sobą, żyd bardzo łągodnie, żona dosyć

ostro. Chwed'ko chciał z ruchów i głosu odgadnąć, jak sprawa stała, ale nie potrafił; żydówka wreszcie odeszła, a Szmul odwrócił się do Chwed'ka.

— Tyś dobry człowiek — rzekł, klepiąc go po ramieniu — jak tobie będzie potrzeba na kredyt, każę dać na rubla, słyszysz? Przyrowadź-no Jermołę do szynkowni; koza tam jest; niechaj kupuje... To dobra koza... on na nią wyjdzie... Bardzo dobra koza... A wiele ma pieniędzy?

— Tego ja nie wiem — odparł Chwed'ko. — Kilkanaście złotych swoich mieć musi, a kozacycha mu jeszcze miała dokończyć.

Żyd w milczeniu pokiwał głową i, odprawivszy chłopaka, który do towarzysza pośpieszył, sam coś cieplejszego na siebie wzięwszy, gdyż drogie swe i szacowne zdrowie umiał pielegnować, pociągnął powoli do szynkowni, pod pozorem jakiegoś obrachunku ze starą rekrutką, zwaną Marysią, która w szabas i nie-szabas szynkowała Szmulowi, dzieci nianczyła, krowy doila, słowem, służyła im od dawna.

Wielka owa izba ciemna, bez podłogi, obrukana, smutna, oświetlona jednem łuczywem, kopcącym w kącie, zajęta była w tej chwili przez ową Marysię szynkarke, kobietę tak małą a grubą, że ją chłopci pospolicie do kadłuba kwaszeniny porównywali; ową kożą białą, spacerującą i szukającą posiłku po kątach, i jakiegoś podróżnego Poleszuka, który sakwę i łapcie podłożywszy pod głowę, sam po kieliszku wódki i cebuli, twardym snym ujęty, spał jak kamień a chrapał jak wóz nienasmarowany.

Szmul przeszedł się kilka razy, spoglądając to na kożę, to na Marysię, zdziwioną jego przybyciem; ziewnął, westchnął i, posłyszawszy szelest w sieni, poszedł coś na okiennicy rachować, udając niezmiernie zajętego.

Właśnie też wchodzili Chwed'ko ze starym Jermołą, który drżał jak liść i wstydził się komedyi, którą dla kozy odegrywać musiał. Pierwsze jego wejrzenie padło na białą, poważną jej postać, i byłby się nieochybnie zdradził, gdyby Szmul to spostrzegł; ale żyd, także odgrywając swoją rolę, bardzo zaprzętnionego rachunkiem miał mięk i tyłem był odwrócony.

— Dobry wieczór, panie kupiec — powitał Chwed'ko.

— Dobry wieczór.

Szmul odwrócił się i pod nosem coś mruknął.

— A co? napijemy się po kieliszku? — rzekł Chwed'ko.

— Ja to rzadko piję, ale dla waszjej kompanii... Należcie, Marysiu...

— Macie isć, słyszę, na jarmark — dodał pierwszy — trzeba-ć się na drogę posilić.

— Nu! a to czego na jarmark? — zapytał Szmul. — Może chcecie co sprzedać, to i jabym kupił.

— Nie; inną mam potrzebę.

— A jak inną — dodał żyd — to zaraz do miasteczka! u was wszystkie interesa w miasteczku... Myślicie co kupować?

— Widzicie, panie kupiec — wtrącił Chwed'ko — kumowi zachciało się krowy; nudzi się i kłopotu szuka.

— A naco wam krowa? — zagadnął żyd.

— At... byłaby wygoda, a może i zarobek.

— Gwałt! — machnął ręką Szmul — wy jeszcze, widać, nigdyście krowy nie mieli i nie wiecie, co to krowę hodować... Daj na pastucha (a co te pastuchy kosztują!), i zawsze głodne bydłę powraca; kup siana, a co teraz siano? jak szafran; kup plewy, i plewa po dziesięć groszy worek; kup grysu, a ja nie sprzedam od czterdziestówki; mnie wszyscy tak płacą... Potrzeba ziela, kartofli, a nie, to wychudnie; a choroby, a zajałowienie... Choć i tak przez pół roku mleka nie da...

— Ale przychówek i trochę nabiału.

— A kto wam będzie koło tego chodził? — zapytał żyd, ruszając ramionami.

Jermoła, jakby przekonany, w głowę się poskrobał.

— A co ja wam mówił? — dodał Chwed'ko — dla ubogiego bydłę, to kłopot, czysta bięda.

— Jużcięby cielę i choć kapla mleka była — rzekł Jermoła.

— Tak-że gadajcie! Jeśli dla mleka, to ja wam powiem, że nięma jak koza — dorzucił pośrednik. — Naprzód mało kosztuje, a żyje byle częm: gałązkami, ogryzkami, badyłami. Starania nie potrzebuje żadnego i jak się koziego mleka napijesz, to przynajmniej wiesz, żeś pił, taki pachnie i zdrowe.

— Już to prawdę powiedziawszy — dodał arędarz powoli — i ja mówię, że nięma chyba jak koza... Już my to najlepiej porachowali, a patrzajcie, że najwięcej kóz trzymamy; ale ludzie patrzą, a rozumu nie mają; koza to skarb!...

— Kto to wie, może i ja, jak pomyślę, to sobie kozę kupię — rzekł powoli Jermoła.

— I najlepiej zrobicie — zawołał Chwed'ko — mówię wam, najlepiej zrobicie. Ot, gdyby pan Szmul swoją białą sprzedał.

— Co ty gadasz? — podchwycił żyd żywo, jakby dosłyszawszy przypadkiem — ja tęg białęj kozy za żadne pieniądze nie sprzedam... Moja żona, moje dzieci, wszyscy ją lubią; to stworzenie nieopłacone; ona więcej warta, niż krowa.

— Szkoda — rzekł Jermoła, przypatrując się chodzącej — bo

może, co się mam włóczyć do miasteczka, a stare nogi bolą, namyśliłbym się na tę waszą kozę...

— To jest taka koza! taka koza! — zawołał żyd. — Widzieli wy kiedy taką kozę? Ona jest taka rozumna, że do niej gadać można, a mleko nie poznać, co to jest! Na mil dwadzieścia nie znajdziecie drugiej podobnej: to jest skarb nie koza, to jest osobliwość!

— Ale stara? — spytał Jermoła.

— Stara? jakto stara! koza jak stara, to najlepsza! Jaka ona stara? ona dopiero żyć zaczyna... ona będzie żyła dwadzieścia lat! — zawołał Szmul, coraz się ożywiając.

— A cóż ona was kosztuje? — zapytał Jermoła.

— Co ona kosztuje, to niema co gadać: ona koźlęciem mnie dwa ruble kosztuje... Bo trzeba wiedzieć, to nie jest prosta koza, to jest wysoki gatunek! Jabym jęj za sześć rubli nie oddał; ona prawie nie je, a zawsze tłusta, i co roku po dwoje koźląt przyprawadza.

Na chwilę zamilkli wszyscy. Jermoła kręcił się, nie wiedząc, co począć, i przypatrywał się kozie, która wciąż chodziła po izbie, stukając kopytami, głowę kładąc, gdzie tylko ją zaszedł jaki zapach jadła. Zbierała resztki liści, ogryzki kory, skórki chleba i trzeba jęj oddać tę sprawiedliwość, że troskliwie myślała sama o swoim utrzymaniu, nie spuszczać się na nikogo.

— Toby to było dla was w sam raz — począł po chwili, fakturując, Chwed'ko. — Już przywykła do wsi, toby nie uciekła; zna, gdzie spać; stara, pewna, dojna, doświadczona.

— I nie prosta koza — dodał żyd pocichu — wysoki gatunek!

— Ale gdzież tyle za nią dać pieniędzy! — przerwał Jermoła.

— Nu! wiesz co — podchwycił nagle żyd, zbliżając się — wy jesteście uczciwi; ja was lubię; na jarmarku to was ludzie oszukać mogą; ja dla was to zrobię, że wam kozę za trzy ruble odstąpię... Ot, tak! jak sobie chcecie.

Chwed'ko, który się obawiał gorszego, znalazłszy tak łatwym Szmula, sam pośpieszył:

— Przybijcie rękę i podziękujcie kupcowi... Tanięj grzyba... Płaćcie i bierzcie, ja wam życzę.

— Anu, to cóż robić? — odparł dworak — zgoda, niech i tak będzie, tylko mi sznurka dacie, żebym ją miał na czém do domu zaprowadzić...

Najniespodzianiej więc targ się skończył: Jermoła dobył z węzełka trzy ruble i wyliczył je Szmulowi. Żyd obejrzał, plunął na nie, wedle obyczaju, i schował do kieszeni.

— Ale sznurek mi jutro oddacie — bąknął powoli, zawracając się ku swojej izbie.

— A mohorycz? — pocichu rzekł Chwed'ko.

— To do Jermoły należy — zawołał Szmul — ale kiedy nie targował, nie płacicie już za wódkę; niechaj mohorycz będzie ode mnie.

Marysia rzuciła sznurek z *użewką*, którego używano do noszenia drewek, i Chwed'ko, zamknąwszy drzwi, począł chodzić za kozą, która, domyślając się jakiejś zdrady, wymykała się łapiącym. Żyd znikł już za drzwiami.

— A toście się we dwóch popisali! — zawołała szynkarka, widząc, że gospodarz wyszedł — tfu! mieliście co kupować! starą kozę za dwadzieścia złotych... Na jarmarku byłoby ich trzy młode za te pieniądze.

Zmilczeli starzy i, uwiązawszy sznurek do rogów, wyprowadzili zdobycz swoją. Jermoła aż drżał z radości, łzy mu płynęły z oczu, a kuma całował.

— Otóżes mi dogodził... niech ci Bóg płaci! — wołał zcicha.

— Ale teraz już się Szmulowi ani na oczy nie pokazywać — westchnął Chwed'ko, mierząc niebezpieczeństwo, na jakie się naraził. — Byleby mu o dziecięciu powiedziano, domyśli się niewiara i nie daruje mi figła. Byłby cię dobrze pociągnął za kozę, gdyby wiedział, że tak potrzebna.

Tak gwarząc pocichu, pociągnęli nazad do chaty kozaczychy, różnemi sposoby kozę do posłuszeństwa przynaglając, a ta od karczmy odchodzić nie chciała w żaden sposób.

Tymczasem za niemi już wrzała burza, bo w chwilę potém wpadła Sura z wiadomością od Marysi szynkarki o podrzuconém Jermole dziecięciu.

Szmul się zaraz domyślił — nie w ciemę go bito — naco tak nagle koza była potrzebna, i aż się za palec ukąsił.

— Anu, pilnuj-że się, Chwed'ku, złodzieju! — rzekł, kiwając głową. — Chyba ja żyć nie będę, żebym ci zato nie zapłacił!

W życiu osamotnionego człowieka, który wszystkę siłę serca nieużytyą na starość zachował, taki wypadek, jakim było dla Jermoły znalezienie podrzuconego dziecięcia, spowodował nagłą i niesłychaną zmianę. Człowiek się odrodził, spoiły się znowu węzły, które go łączyły ze światem, miał cel życia, miał nadzieję, miał przywiązanie; znalazła się ochota do pracy, otwarło się uczucie, a biędna sierota, przez rodziców odrzucona, stała się dlań skarbem na starość. Nieznana od lat wielu gorączka zatrzęsa całym Jermołą:

śpieszył się, marzył, obawiał się, niepokoił i roił już o jutrze. Łzy wytryskały mu z oczu, czuł się innym, czuł się ubłogosławionym i szczęśliwym, ani myśląc, ile trosk, ile pracy, ile sobie gotuje ciężkich chwil w przyszłości! I był jak to ptaszę, w którego gniazdko kukulka rzuca jaja, zdziwiony, uradowany, przestraszony. Pierwszy raz przyszła mu na pamięć z tej obawy śmierć, starość, potrzeba i przywiązanie do życia. Chwed'ko go nie poznawał, tak się z owego milczącego i obojętnego staruszka przedzierzgnął w inną istotę, tak mówił żywo i gorączkowo, tak się śpieszył i co chwila młodniał.

Nie mogąc wreszcie wytrzymać powolnej nazbyt z kozą podróży do chaty kozaczychy, bo stara towarzyszka używała wszelkich możliwych sposobów, żeby się im wyrwać i do karczmy zawrócić, powierzył kożę Chwed'kowi, a sam pośpieszył przodem.

Wpadł pędem i wprost przybiegł do ławy, na której leżało rozpowite nieco dziecię, uspokojone mlekiem, drzemiące, a nad niem stara kozaczycha, Horpyna, wyrostek, dziewczynka i Chwedor, — wszystko to stało milczące, zagapione, ciekawe, wpatrując się w niespodzianego gościa. Jermoła przebił się przez nich i przysiadł na ziemię, żeby się dziecku lepij przypatrzeć.

— Drzemie, zdaje się — rzekł, zniżając głos, do kozaczychy.

— Usypia niebożatko — kiwając głową, odpowiedziała baba.

— A pił mleko?

— O! pił dobrze!... i zaraz płakać przestał. A koza?

— Kupiliśmy. Chwed'ko ją prowadzi.

Jermoła oka z dziecka nie spuszczał.

— Jakie śliczne! — zawołał po chwili. — To musi być pańskie dziecko!

— Chłopiec zdrow i silny — przerwała stara kozaczycha — ale wszystkie dzieci jednakie, póki małe... Dopiero potem, mój stary, znać na nich, które pod płótem rosło jak pokrzywa, a które na słonku i powietrzu... Dzieciak jak ryba, to dobrze; mniej będzie z nim kłopotu.

Jermoła śmiał się, a oczy mu płakały perłowemi łzami.

— Matko — rzekł — jak żyję, tak pięknego dziecka nie widziałem.

Uśmiechnęła się kozaczycha.

— Wy-bo oszaleli, Jermoło! — zawołała, ruszając ramionami — ale czyż taki sami hodować je myślicie?...

— A cóż? — zdziwiony odparł stary — a cóż? albobym to ja je na cudze dał ręce...

— Ale wy sobie rady z niem nie dacie. To się wam śni; sam jeden, bez baby, na starość niańczyć niemowlę! A toż trzeba kar-

mić, kąpać, huścić, bawić, tulić, pilnować! Nie sposób, żebyście temu wydołali!

Jermoła ręką machnął.

— Dajcie mi pokój! nie święci garnki lepia, to i ja to potrafię. Wy mi poradzicie zresztą, a jak Bóg Bogiem, dziecka tego nikomu nie oddam.

— Skręcił się stary — zawołała baba, ruszając ramionami. — Jemu się zdaje, że to szczenię ułożyć; a toć-to parę lat będzie koło niego *zamoroki*...

— Co dłużej, to lepiej! Nie gadajcie, matko, nie gadajcie, nie chcę słuchać... Ja go sam wychowam, zobaczycie jak!

Wszyscy się śmiali ze starego Jermoły. Postrzegł wreszcie to sztyderstwo i jakoś na chwilę zawahał się, zwątpił o sobie.

— Moja matko — rzekł zicha smutnie — wszak-ci wy mi pomożecie, nauczycie, poradzicie; ja wam to odslużę. Przyjdzie żniwo albo robota w ogrodzie. Słowo was wiele kosztować nie będzie...

— To nic — odpowiedziała kozaczycha — ja i darmo gęby nie pożałuję; pomódz, pomogę i wam i sierocie, ale jak to się wam śni, żebyście na starość, nie znając, co to chodzić koło dzieci, mieli zostać mu matką?

Jermoła już nie nie odpowiedział. Uczuciem swoim mierząc drugich serca, uląkł się, czy mu dzieciny pod tym pozorem nie chcą odebrać; powoli przysunął się do ławy, ogarnął pieluchy, wziął delikatnie na ręce dziecinę i, milcząc, skierował się ku progowi. Wtém i Chwed'ko z kozą pokazał się we drzwiach. Na ciemnym tle otwartych drzwi, oświecona blaskiem łuczywa, rogata głowa białej staruchy poczęła się szamotać, a Horpyna aż krzyknęła z przestachu.

— Otóż i mamka! — zawołała kozaczycha.

— Chodźmy do domu — cichym głosem przerwał Jermoła. — Dobra noc, kumo! a przyjdźcie jutro, jeśli łaska.

— Przez samą ciekawość — odpowiedziała gospodyni.

W obawie, żeby mu dziecka nie odebrano, Jermoła przeszedł co żywo próg i lżej odetchnął, z nalazłszy się w ulicy. Chwed'ko prowadził za nim kozę i tak oba w milczeniu skierowali się ku obalonj karczmie.

W drodze tylko Jermoła wciąż mruczał do siebie:

— Dlaczego nie mam sobie dać rady? Ja to rozumiem, starj kozaczysze zachciało się dziecka, ale ja go nie dam; oniby o niem starania nie mieli... Nie święci garnki lepia: ja je sam wyhoduję; będę miał syna, będę miał syna! — powtarzał z dumą i radością.

— Chwed'ku, kochanie! pilnuj kozy. Dam ci złotówkę, boś mi poczciwie pomagał. Bóg ci zapłać!

Tak z ostrożnością postępując pociemku, doszli nareszcie do gospody, drzwi otworzyli powoli. Dziecko drzemiące na własnym łóżku położył Jermoła i ognia rozpalił, a że Chwed'kowi pilno było do dereszowatej klaczy, która cały jego składała majątek, dał mu zaraz złotówkę, uściskał go i odprawił, pozostając sam jeden w swój ciupie z kozą i dziecięciem.

Spać ani myślał, ani mu się chciało, tyle miał do roboty, tyle do przygotowania. Usiadł pod piecem, nie wiedząc, do czego się brać naprzód; ale na dziecko patrzył jak w tęczę, a tu i stara koza go niepokoiła, robiąc przegląd izby, bijąc rogami we drzwi, pładrując po kątach i chwytając, cò do jedzenia napadła. Stukanie jej przebudzało dziecięcę; leciał ją tulić Jermoła, aż wreszcie domyślił się Żydówkę (tak bowiem Chwed'ko odrazu nazwał kupioną mamkę) w kąciku uwiązać krótko. Podrzucił jej trochę słomy i koza się uspokoiła, zgadzając się z przeznaczeniem. Dziecko spało już także snem cichym i głębokim; Jermoła nie miał na czem i nie zapragnął się położyć; pozostał tak na pieńku, służącym za stołeczek przed piecem. Łóżko jego było zajęte, a do jutra tyle rzeczy do obmyślenia i do roboty!

Już go ludzie przestrzegli, że o dziecku trzeba będzie dać znać do dworu ekonomowi Hudnemu i oznajmić mu, że je na siebie przyjmuje Jermoła. Oprócz tego niemiłego pochodu, od którego się był wykupił, miał jeszcze do wyciosania kołyskę i tysiąc do przygotowania lub postarania się drobnostek. Dziecię przebudzało się i kwiliło; musiał zaraz biedz do niego, aby mu się nie dać rozbeczyć. Ale na wszystko starczył, taka w nim znalazła się siła, pochodząca z serca.

Krótką noc wiosenna zbiegła w tych troskach Jermoła i dzień szaro zagląający przez okna zastał go skłopotanego, choć nie czującego jeszcze potrzeby spoczynku. Chciał odejść, żeby wyciosać bieguny do kołyski ze starych polan w drugiej izbie za ścianą, ale obawiał się odejść dziecięcia; koza go także przestraszała, skrzypienie drzwi mogło przebudzić, a nużby, stukając, nie posłyszał płaczu!

Chwilami same tylko widział trudności i niepodobieństwa, to znowu malował sobie, że łatwo da wszystkiemu radę, i krzepił się nadzieją, zapominając o głodzie, bezsenności i pracy. Już dobrze bielał ranek, gdy się wziął do dojenia kozy, żeby mleko na przebudzenie wychowanka miał gotowe; ale ze starą Żydówką nie tak było łatwo, jak sądził. Uparta była jak koza, miała przytém nawyknienie do osób i niechętnie ulegała przemocy nowego pana. Zrazu łagodnie z nią postępował Jermoła: głaskał, gadał, starał się przekonać o konieczności poddania się, aż wreszcie do środków gwałtowniejszych uciec się musiał. Koza podniosła bunt formalny,

zerwała się ze sznurkiem i poczęła, bijąc rogami, latać po izbie ode drzwi do drzwi; dziecko się obudziło; stary schwyił się za głowę.

Szczęściem na tę scenę nadeszła kozaczycha, którą, ledwie przebudzoną, ciekawość do chaty Jermoły sprowadziła. Zobaczywszy go w tém utrapieniu, w śmiech baba; ale zaraz tóż do roboty się wzięła i z kozą dała sobie naprzód radę w sposób czarodziejski. Żydówka, czy to że do kobiet była przywykła, czy widząc przeciw sobie dwoje, a zwątpiwszy o dobrych skutkach podniesionego buntu, upokorzyła się dobrowolnie przed kozaczychą. Jermoła lulał już dziecię na rękę.

— A co? — zapytała stara — jakżeście noc przebyli?

— Ja się nie kładłem — odparł gospodarz — ale dziecko wymśnienie spało. Ta przeklęta koza tylko...

— E! z nią najmniej będzie kłopotu: we dwa dni się oswoi, bylebyś karmił. A chłopiec spał?

— Jak anioł! — zawołał Jermoła. — Żadne dziecko tak nie śpił Strach, jaki on rozumny; zdaje się nawet, że mnie już poznał!

Zdziwił się mocno przybrany ojciec sieroty, gdy na te słowa kozaczycha znów mu się w oczy rozśmiała, i, zmieszany, zamilkł.

— Ja nie wiem, czemu wam Pan Bóg żony nie dał i dzieci — rzekła po chwili — albo was był powinien kobietą stworzyć.

Nie dokończyła tych słów, gdy pod drzwiami silny głos dał się słyszeć:

— Hej! Jermoła, trutniu jakiś! wychodź-że! Nie widzisz, że stoję!

Było-to wołanie Hudnego ekonoma, który jadąc w pole, uwiadomiony już o wczorajszym wypadku, sam osobiście chciał się o prawdzie przekonać, żeby żonie opowiedzieć, jak to było.

Zadrzał stary przed władcą, którego się obawiał i jak mógł unikał, ale, dziecię zostawiwszy kozaczysze, co najprędzej wyszedł.

Ekonom siedział na tłustym koniku, w szaraczkowym surducie, podbitym barankami, w długich butach, z harapnikiem w rękę, w czapeczce nabakier; znać było z miny, że bez kieliszka wódki z domu na chłód nie wyjechał. Był-to jeden z tych młodego pokolenia rządców włości, którzy zastąpili nam starych, wiernych, poczciwych sług zeszłego wieku. Wszystkie wady swych poprzedników przejąwszy, nowemi świeżego pomysłu zubożony, pan Hudny zwał chamami po dawnemu chłopów, bił ich, trzymał ostro, kradł potężnie, a miał się za upośledzonego, że ekonomował, rozkazując nazywać się panem rządcą i oznajmując wszystkim, że wkrótce wyjdzie na dzierżawę. Żona jego i on samowładnie w opuszczonym majątku zarządzili się jak szare gęsi: chwyłali szparko i oglądali się tylko, jakby wyjść z położenia, które im nie smakowało. Serca w nich

oobjgu nie było za grosz, duma niesłychana, zepsucie, jakie tylko na dnie rozprzężonej społeczności znaleźć się może. Na twarzy, sumiastemi, ogromnemi wąsami pokrytej, czerwonej, okrągłej, dwoje tylko oczu piwnych, nieco skoszonych, dawały poznać charakter człowieka w niepewnym, lęklwym a chmurnym spojrzeniu; resztę zarastały włosy, szpetne rysy przysłaniając gęstemi, ciemnymi kępami kręcących się faworytów i podbródka.

Jermola pokłonił mu się ręką do samej ziemi.

— Co wielmożny pan rozkaże?

— Co tam u ciebie się święci? Słyszę, jakieś dziecko podrzucone?

— A tak, proszę jaśnie pana — dodając jasności dla bezpieczeństwa — rzekł Jermola — wczoraj wieczorem posłyszałem kwilenie pod dębami; myślałem, że puhacz... a to było dziecko, proszę pana.

— Chłopiec?

— Śliczny chłopiec!

— Nie było tam co przy nim? — zapytał ekonom, bacznie wpatrując się w Jermolę — znaku jakiego? papieru, medalika? Bo to trzeba odnieść do sądu, albo i dziecko odesłać do szpitala...

Jermola pobrał i ręce załamał.

— Znaku? żadnego nie było znaku, dziecko tylko zamiast w pieluchy, zawinięte było w sztukę mory grubiej... proszę jaśnie pana... Ale ja dziecka, kiedy mi je Bóg dał, nikomubym oddać nie chciał.

Ekonom się rozśmiał.

— Ho! ho! coś to kuso wygląda! Podrzucone pod próg, a ty chcesz zatrzymać. Może być śledztwo... kłopot, koszt dla skarbu! Nieś je sobie do pomocnika lub do skarbu, niech postanowią, a tę sztukę perkalu odesłać mojej żonie. Słyszysz! zaraz!

Ekonom zszedł z konia i, namyśliwszy się, dawszy go potrzymać Jermole, sam wpadł do izby. Staremu serce biło, obawiał się wejścia tego człowieka, a konia puścić nie mógł; chciał tam być przytomny, a nie mógł; uchem chwycił rozmowę kozaczychy z ekonomem, a ten wysiłek i niepokój tak go zmógł, że gdy Hundy nazad powrócił, Jermole pot kroplami ze zbladłego ściekał czoła, jakby w łaźni.

Szczęściem kozaczycha, którą ekonom trochę szanował nie wiem z jakich powodów, bo o tym różnie mówiono, najpewniej dla pieniędzy i masła, któremi mu się okupywała dla spokoju, potrafiła wmówić mu tak, że Jermolę już nie niepokoił i nie pędził go z dzieckiem do stanowego.

— Tfu! — zawołał, na koń siadając, Hundy — kłopotuś sobie, stary, napytał. No! no! Ja pomocnikowi sam dam znać, ale ci je-

dnak życzę zbyć się tego znajdy. Po kiego ci licha ten przybytek? Ha! chyba się do czego poczuwasz, stary? — dodał, śmiejąc się głośno.

Jermoła z wielkiego strachu aż w łokieć go pocałował, prosząc za dziecięciem z wyrazem tak pocziwego rozczulenia, że kto inny, nie ekonom, byłby nim rozrzewniony do głębi.

W ten sposób uwolnił się stary od chodzenia do dworu, co go zawsze podwójnie kosztowało, bo miejsce samo naprowadzało do smutnych wspomnień, a ekonomstwo oboje, polityczni ze swemi, gburowaci byli z prostym ludem nieznośnie. Cały więc dzień miał przed sobą do przygotowań wszelkich dla dziecka.

Słońce wstało jasne, promieniejące, wesole, jakby niosąc nadzieję i otuchę. Na brzegu Horynia ruch się i gwar rozpoczął; a że po wsi poszła już wieść o dziecku, ktokolwiek więc przechodził mimo gospody, wstępował do Jermoły zobaczyć sierotę i podziwić się, a posłuchać opowiadania, jak to było. Kozacycha wyręczała z ochotą kuma, coraz-to ubarwiając opowiadanie swoje, z najdrobniejszymi szczegółami powtarzając je, nieznużona. Tymczasem stary wyciopywał kołyskę, na którą szczęściem znalazła się kłomla, z łoziny pleciona, wyborna. Ta, postawiona na dwóch jako-tako obrobionych biegunach, zasłana świeżem sianem i różnemi rupieciami Jermoły, około południa już była gotową. Łatwiej wprawdzie daleko było, wedle zwyczaju wieśniaczego, na sznurach u banta koszyk zawiesić i huścić go nogą; ale się Jermoła sznurów, banta, kruka i wszystkiego obawiał dla dzieciny, woląc podjąć pracę, niżeli je, jak sądził, na niebezpieczeństwo narażać.

Kozacycha śmiała się z tych strachów, ale przekonać go nie mogła. Oprócz téj roboty około kołyski, całą izdebkę, owę tak porządną i od lat wielu nietkniętą, potrzeba było teraz wcale inaczej usposobić, żeby dziecku blask nie bił w oczy, żeby na nie ze drzwi nie wiało, z pieca nie piekło. Żydówce musiano w kącie zrobić z drabiny zagródkę z furtką, gdyż się jeszcze przyswoić nie dawała; jadła wprawdzie, co jej rzucono, ale ani myślała słuchać; została więc na sznurku do jakiegos czasu.

Zasiadłszy z kozacychą, Jermoła wziął od niej dokładną naukę o sposobie, w jaki się należało z dzieckiem obchodzić; rozpytał ją z największemi szczegółami, ile razy miał je kąpać, w jakiej wodzie, czem karmić, jak usypiać i tulić. Przywiązanie do malca wyrównywało w téj chwili prawie nienawiści, jaką miał ku kozie nieposłusznej i czuć nieumiejącej szczęścia, które ją spotykało. Jermoła groźnie spoglądał na nią, nie mogąc się zarówno nagadać o przymiotach dziecka i o niegodziwości Żydówki, jęj nierozumie,

uporze i szkaradnych nałogach, jakich w obcowaniu karczemném nabrała.

Tak upłynął pierwszy ranek ojcowstwa biednego Jermoły.

Dziwne są czasem przeznaczenia człowieka! Lata mu płyną nadaremnie w oczekiwaniu jakiejś jednej chwili, która wszystkie jego siły w czyn i działanie wprowadza; zdaje się, że przespał wiek, by się dopiero w danej przebudzić godzinie. Położenie nowe wywołuje zeń uczucia mu nieznane, otwiera serce, rozjaśnia głowę i z bezczynnego przetwarza na niezmordowanego w pracy.

Tak właśnie stało się z Jermołą, który ożył dziecięciem, i z podziwieniem kozaczychy, całej wioski, wszystkich, co go znali wprzód, nie tylko wybornie sobie rady dawał z wychowaniem niemowlęcia, ale przerobił się na innego wcale człowieka. Znano go jako jedną z najobojętniejszych na wszystko istot na świecie, cichą, pokorną, milczącą, powolną; widywano go zawsze o jednej godzinie około starój karczmy, słyszano od niego niemal jedne powtarzane słowa. Ze spuszczoną głową, zgarbiony, o kiju, chodził ku dworowi, ku rzece, nosił sobie chrust i drewna, uprawiał trochę tytoniu i warzywa w ogródku, czasem na progu w piękne wieczory odmawiał pacierze, a po kilka miesięcy niekiedy na wsi nie bywał, gdy go siedzenie uparte napadło. W karczmie samą nogą nie postął; na wesela, chrzciny i pogrzeby nie uczęszczał, proszony zaś, przyszedłszy, co najprędzej uciekał do swojej nory, w której życie tulił, okryte jakąś tajemnicą.

Prócz chaty kozaczychy, z którą go dawne stosunki i potrzeba pomocy łączyła, bo tam po części go karmiono, opierano i oszywano, nigdzie zresztą w gościnę nie poszedł. Mawiano też o nim, że mruk i dziki, choć, poznawszy go bliżej, mało kto nie miał dlań przyjemnego słowa. Pod tą bowiem pokrywą niepoczesną serce było złote — serce, jakie się częściej, niż sądzą uprzedzeni, wyradza u prostego ludu.

Zagadnienie to, namiętnie rozwiązywane zdaleka od tych, o których tu idzie, dziś wszyscy zwykli rozstrzygać najkrzywiej, więcej złego niż dobrego dopatrując w wieśniaku. Tymczasem rozrachowując wpływy, jakim lud ulega, okoliczności, w jakich zostaje, przykłady, które ma przed oczyma, nędzę, która często go gniecie, zupełny brak wychowania moralnego, zadziwić się potrzeba skarbom poczciwości, jakimi go Bóg obdarzył. Największe występki w takim położeniu byłyby wytlómaczone, bo myślimże o środkach

wszczepienia w jego duszę jakichkolwiek zasad? Cóż dopiero powiedzieć o cnotach, które tu są prawdziwym cudem! Zbliżyć się potrzeba, przypatrzeć, a na karb jakichś uprzedzeń lub pobłażania urojeniom czasowym nie kłaść tego, co z przekonania o ludzkiej naturze mówią. Poszanujmy w nim cnotę tępą droższą, że jest zło-to-samorodną. W nas ją szczepią, wpajają, uczą nas jej od młodu. Mamy łatwość być pocziwami: interes, miłość własną, pomoc ku temu, bodźce różne, wreszcie pojęcie jasne obowiązku, a jednak niezawsześmy i nie wszyscy, jakimi być powinni. Nie dziw, że wzięwszy ściśle w rachubę, co przeciw nam, a co za ludem mówią, zawsze bezstronny sędzia przyzna tej klasie więcej pocziwości, niż innym, boć dla pięknych oczu możnych i szczęśliwych ani im darować błota, którym się walają, ani zapoznać ich nie zawadzi, co tak cudnie przykładem świeci nam od dołu.

Nie waham się, w ciągłych i żywych będąc stosunkach z wieśniakiem naszym, lepszym go uznać rodowo, instynktowo, niżeli ludzi innych klas społeczeństwa, niżeli lud w innych plemionach Europy, szczególnie na Zachodzie. Spójrzmy, porównajmy, policzmy występki, a zdziwimy się moralności ludu zupełnie opuszczonego i z powietrza, ze krwi własnej czerpiącego siły do cnoty. Maluczkie plamy o! jakże łatwo wytlómaczyć się dają, byleśmy sprawiedliwymi być chcieli; lecz dziś, przez nieuchronną reakcją idącą w ślad za Zachodem, i my plujemy na wieśniaka, przenosząc wszystkie cnoty do salonu. Nie przeczę, jest ich wiele i tam, ale nas wszystkich uczy katechizmu i wiemy, którą drogą, lud zaś sercem jej szuka i znajduje ją, zaco winniśmy mu choć uznanie tego i wydział sprawiedliwości.

Jermoła był właśnie z tych ludzi obdarzonych cudownym instynktem cnoty, w których dwór nie zabił szlachetnych popędów wrodzonych, co się często zdarza, cząstkowa ogląda nie wyziębiła serca, a wiek nie zastudził uczucia. Nie mogą też inaczej nazwać tego, tylko instynktem, i chętniebym w psychologii przypuścił obok zwierzęcego instynktu poziomego, egoistycznego, niszczącego, ten drugi, szlachetniejszy, wyższy, wbrew pierwszemu przeciwny, który często najbardziej upośledzonych dźwiga na wyżyny objawienia cnoty. Obdarzeni cudownym jakimś popędem, idą wbrew interesowi własnemu, posłuszni sercu, w którym nie krew i namiętność, ale przecucie udoskonalenia i potrzeba poświęceń żywie i bije. Starzec ten nigdy się nie poskarżył na sterane życie, nie rzucił przekleństw na przeszłość, nie odezwał się przeciwko ludziom, wystarczał sobie, milczał, cierpiał i nie poddawał się, dźwigając się duchem pobożnym. Zawsze gotów z pomocą, choć niewiele mógł, nie skąpił sobie. Wiedziano o tem we wsi, i znajomi i nieznajomi uciekali się

do niego, gdy dwojga rąk i serca potrzebowali, tyle bowiem tylko mógł dać stary Jermoła. Przy chorym posiedzieć, ubogiej wdowie zżąć pokładzone już żyto, przypilnować dzieci, gdy wszyscy na łan powychodzili, poradzić na niezdrowie i przypadkowe skaleczenie najlepšíj umiał Jermoła. Używano go tém chętniej, że nigdy zapłaty nie wymagał, a wódki nie lubił i nie pijał. U ludu jest w zwyczaju zawsze w takich razach za najmniejszą przysługę wedle możności się wywdzięczać; uważają to sobie za obrazę, gdy się od nich podarku nie przyjmie. Wtykano i Jermole cośkolwiek; brał on, żeby nie upokarzać; ale kilka jaj, bułka chleba, wystarczyły mu aż nadto.

Nie miał nawet za złe swoim starym znajomym i obowiązany, gdy w chorobie, w potrzebie, w smutku doświadczywszy jego pomocy, zapominali potem o nim. Nie nazywał tego niewdzięcznością, nie skarżył się na nich, wiedział bowiem, że wieśniak mało ma godzin, z którychby sercu mógł zrobić ofiarę, że nie chęci mu braknie, ale czasu i możności, a obojętność jego pozorna najczęściej bywa dziełem przypadku. Trzeba znać to życie, widzieć znużenie, porachować, ile tam zostaje na spoczynek i myśli, by się niczemu nie dziwić. Jedném tylko sercem wyższy był Jermoła od swoich współbraci, zresztą nie przestał być dziecięciem wioski, zachowując jej upodobania, nawyknięcia, obyczaje i przesady.

Nazajutrz po opisanym wypadku w całej Popielni o niczém nie było mowy, tylko o znalezioném pod dębami dziecięciu, o Jermole i o kozie kupionej u Szmula, bo się Chwed'ko nią chwalił, równie jak swoją historyczną dereszowatą kobyłą. Tysiącznemi domysłami usiłowano sobie wytłómaczyć zjawienie się podrzutka, niesłychane w dziejach wioski zdarzenie, składając ten występek nie na wieśniaków naturalnie, którzyby go popelnić nie mogli, bo to nie jest w ich obyczajach, ale na tajemniczą jakąś istotę wyższego stanu. Podejrzenia padały na różnych dalszych i bliższych sąsiadów, na oficyalistów, na innych stanów ludzi, ale na niczém oprzecz się nie dawały i jedne obalały drugie. Usiłowano sobie przypomnieć dzień i wieczór wczorajszy; na nieszczęście ślady tych, co przywieźli dziecię i porzucili je pod dębami, doskonale były zatarte. We wsi ktoś tylko widział wózek szybko pędzący pod wieczór ku Małyczkom, ale się pokazało, że to był pisarz, zakochany w Horpynie kozaczance; inny przypomniał sobie konnego nad brzegiem Horynia z czémś białém pod pachą, ale zaręczono, że to był ekonom z ręcznikiem, którym od chłodu szyję miał obwiązaną. Marysia szynkarka przypomniała Poleszuka, co to spał na ławie w szynkowni i około pierwszych kogutów wyszedł niewiadomo dokąd; ale byłżeby spał tak spokojnie?

W karczmie, w polu, na drzewie, u bindugi wszyscy rozprawiali o podrzutku; nikt jednak więcej od drugich nie wiedział: dziwiono się Jermole, śmiano się ze starego i ruszano ramionami. Tymczasem w chacie kąpiel przygotowująca kozaczycha, gdy owe perkale rozwinęła dla odesłania ich ekonomowej i przypatrzyła się lepij dziecięciu, podzielać zaczęła przekonanie przybranego ojca, że podrzutek musiał być istotnie pańskiego pochodzenia, takie-to było delikatne, świeżuchne i śliczne. Na pieluchach żadnego nie dopatrzono się znaku, ale na szyi, na sznurku jedwabnym był brązowy medalik, który, za złoty wzięwszy, Jermola jak najstaranniej chował. Z tego powodu spór się wszczął, czy dziecię ochrzcić, czy nie, i przemogło zdanie kobiety, że na przypadek zawsze chrztem obmyć bezpieczniej. Tegoż samego więc wieczora miał już imię Irodyona, które sobie sam w dniu tym przyniósł. Imię to na wsi lud popolicie na Radyona lub Radiwona zesławiańszcza, malec więc nazwał się Radyonkiem. Jermola płakał z radości, nosząc go na rękach, po stokroć powtarzając, że ma syna; a tak był z niego szczęśliwy!

Pierwszy raz w życiu podchmielił sobie na tych chrzcinach starsuszek, spoił Chwed'ka i kozaczychę, którą serdecznie uściskał, żartował, podskakiwał, a nieszczęśliwej kozie, która chmurno jakoś poglądała na całą tę historią, pięścią pogroził.

— Słuchaj, bezeczna Żydowico — odezwał się, stając naprzeciw z groźnie podniesioną ręką — plemię rogate i brodate, słuchaj i pamiętaj, jeśli mi uczciwą i posłuszną mamką dla mojego malca nie będziesz, znajdę drugą... Ale ciebie, jak mi Bóg miły, zarznę tę-pym nożem!

Koza tupnęła nogą, pokręciła głową, a przytomni szerokim parsknęli śmiechem. Bądź-co-bądź nauka w las nie poszła.

Takie były początki, a w kilka miesięcy później Jermola, już doskonale obywwszy się z położeniem swoim, tak sobie wybornie radę dawał we wszystkiém, że mu się oddziwić nie mogli. Pocięchabo to była całej wioski, kiedy stary z dzieckiem na ręku wyszedł na brzeg rzeki, albo na pole; otaczano go kołem, śmiejąc się i pieszcząc niemowlę i staruszka.

I czego-to cierpliwość nie dokaże! Owa stara, uparta koza, która tyle charakteru okazała w pierwszych dniach po rozstaniu się ze Szmulowstwem, powoli tak się obyla i przywiązała do Jermoly, że od niego i od dziecka na krok nie odstępowała. Kilka razy w początku uciekła do karczmy; Szmul nawet dał był wyrok zarznięcia

jój pocichu, ale Jermoła, który odgadł wszystko, dziecko zostawiający u kazaczychy, sam przyjaciół zebrał, napadł na karczmę, kozę swoją za słomą w chlewku odkrył i takiego strachu Szmulowi napędził, że żyd go już więcej zaczepić ani myślał, a przypłacił chciwość swoją, będąc zmuszonym częstować całą gromadę, żeby się hałasu i krzyku pozbyć, jakiego narobił Jermoła.

Koza, żywiona dobrze, zmiarkowała też, że do Szmula niema po-co uciekać; zobojętniała na dawne z nim stosunki i, wiernie służąc nowemu panu, gdy się trafiło przechodzić koło karczmy, głowy nawet ku niej nie zwracała. Stała się też z nieprzyjaciółki ulubienicą Jermoły i pierwszą u niego po dziecięciu; a że ciągle do niej gadał, że zawsze z nim była, do małego też Radyonka tak przylgnęła, że nawpół nianką jego się stała. Dziecię znało jój czarne oczy i długą brodę, z którą się małemi rączkami bawiło; Żydówka szła sama na zawołanie, zaglądała do kołyski z roztropnością i zmyślnością niezwykłą, słowem wcieliła się w rodzinę. Jermoła oddawał jój sprawiedliwość, że się zrazu na nią nie poznał, tak właśnie jak ona na nim.

Ale fraszka ta pociecha, jaką miał ze stariej kozy, którejby teraz za żadne nie oddał pieniądze; gasło to przy radości, jaką mu sprawiało rosnące i codzien roztropniejące dziecko. Chłopak był duży, silny, wcale ładny i tak szybko dojrzewający, jak zwykle sieroty. Bóg tym, których pozbawił matki, wcześniej też zsyła siły do życia potrzebne. Jakkolwiek zadziwiającym był Radyonek, Jermoła jeszcze w nim widział daleko więcej, niżeli było w istocie. Śmiała się kozaczycha, ale to go nie poprawiło, gniewało tylko; nazywał ją ślepą i uchodził ze swym skarbem nadąsany. Zresztą starucha kochała także wychowanka, który i jój wiele był winien: stary ojciec przybrany bez niej nie tak łatwo dałby sobie rady, a cała wioska pomagała mu potrosze, bo był jój ulubieńcem i dziwotą.

Przez tych kilka miesięcy mamczenia i starań około utrzymania życia, Jermoła miał czas namyślać się, co dalej pocnie, i rozpowiadał nieraz na głos projekta swoje dziecięciu i kozie. A było tego tyle! tyle! Naprzód, nie chciał go mieć prostym wieśniakiem, lepszego zeń coś zrobić myślał. Wybór stanu zdawał mu się trudny: wszystko dla kochanego Radyonka było za małe. Byłby mu kupił wioskę i posadził go na nią gospodarować, ale tego nie mógł nieborak; potrzeba było szukać czegoś innego. Myślą przebiegał zajęcia różne, rzemiosła wszelkie, a każdemu miał coś do zarzucenia: szewc musiał siedzieć na miejscu schylony i zgarbiony, stolarz cały dzień być na nogach, kowal — palić się w ogniu, mularz — dźwigać cegłę, po drabinach łązić, słońce i wiatr znosić, — wszystko to nie podobało się Jermołowi.

Obstawał przy tém, żeby wychowanca czytać i pisać nauczyć; ale że nierychło do tego przyjść miało, a dyak, jedyny we wsi mędrzec, który mógł przewodniczyć jego wychowaniu, stary był bardzo, z następcą zaś jego niepewnym nie wiadomo, czyby się można ułożyć; stary postanowił sam się u dyaka wyuczyć czytania, żeby malca w porze mózgu zacząć oswajać z abecadłem bez cudzej pomocy. W tym celu kupił u żydka, z kramikiem chodzącego, *azbukę* i na drugi koniec wioski wyruszał staruszek z dzieckiem na rękę i kozą nieodstępną na codzienne lekcye u starego Andrzeja Prosforowicza. Trzeba go było widzieć, jak ślęczał nieborak, jak się męczył, jak pracował, dziecię tuląc jedną, a skazówkę wodząc drugą ręką. Pocieszało go to, że dosyć niecierpliw dyak Andrzej Radyonka w obroty nie weźmie, bo z doświadczenia wiedział, że byłby się nad nim znęcał i męczył go po swojemu, a tak siebie był pewien, że naukę przeleje mu bez trudności.

W sześćdziesięciu latach zgórą pierwszy raz spotkać się z abecadłem nie jest rzeczą łatwą, a wysiedzieć nad niem godzin kilka i oczy przywykłe chodzić swobodnie zmuszać do rozpoznawania kształtów małych — męka-to wielka, na której cierpliwe wytrwanie serce się chyba zdobyć może. Stękał Jermoła, ale raz sobie postanowiwszy, dokonał nauki czytania. Szczęściem wzrok jeszcze miał dobry i głądziej to poszło, niżeli się spodziewał dyak, który za tę sztukę wziął półsetek płótna, dawno w kufrze chowany (i to piętnastkę), a w dodatku rubla karbowanego.

Z nianczeniem chłopca tak się już znał stary, jakby kilkoro dzieci wychował. Kołyska stała przy łóżku jego, obok, tuż w kątku, sypiała koza; byle się odezwała dziecina, ojciec był na nogach i zaraz poradził coś małemu niebożątku. Sypiał też niewiele, ale snu nie tak bardzo potrzebował; we dnie wzięwszy na ręce Radyonka, to nad rzekę chodził, to pod dęby, to w las lub na pole, albo na progu z nim zasiadał. Widok ten, zrazu śmieszny dla wielu, póki był niezwykły, stał się potem dla całej wioski miłym i zajmującym, uśmiechano się sierocie, dziwiono wytrwałości przybranego ojca; czasem w niedzielę jak na zabawę przychodzili ludzie do starej karczmy napatrzeć się na podrzutka i pogawędzić z wysłużonym dworakiem. Jermoła, jak się miał przed kim pochlubić wychowankiem, rad był niezmiernie i tyle prawił o nim, że cała nareszcie wioska miała przekonanie, iż to dziecię obiecywało coś niepospolitego.

Najdziwniejszém ze wszystkiego było, że Jermoła wyraźnie odmłodził, rozprostował się, twarz mu się rozjaśniła, wypełniła, uśmiechnęła. Niewygody, bezsenności, praca nie tyle go wycieńczyły, ile pokrzepiła nadzieja; życie jego wypełniło się, rzecz można, rozpoczęło się nanowo.

A nie szło mu ono lekko i nie wplatało się w wieniec przyjemności samych, jakby z tego sądzić można; dziecina, przynosząc z sobą wydatki codzien znaczniejsze, zmuszała go do pracy, przemysłu i zapatrywania się w chleb powszedni nie na dzień jeden, ale i na jutro. Tego rodzaju ubodzy niezmiernie mało potrzebują na żywot codzienny. Jermoła wystarczał sobie, choć bardzo miał niewiele: obywał się to tém, to owém bez wielkich wysiłków, nie doświadczać przynajmniej głodu, dopóki mu na ręce nie spadła sierota. Właściwie rzekłszy, nie miał żadnego stałego funduszu, ale nie żebrał; płacił jeszcze za przytułek i ogród czynsz dwudziestozłotowy bardzo regularnie i wyżywał się jako-tako. Nam, przywykłym do innego trybu życia, niełatwo pojąć, jak się to ubodzy maluczkiem utrzymać mogą. Stary Jermoła nie prawie nie wyniósł ze swęj długiej służby dworskiej; może zacszczędzonych kilka tylko kawałków płótna, kilkanaście rubli i trochę rupieci małej ceny. Było czém zrazu czynsz zgóry zapłacić i chleb kupić powszedni, ale bez nowego starania zapas ten byłby się wkrótce wyczerpał. Wprawdzie Jermoła na siebie wydawał bardzo mało, bo go po wsi karmiono, a koczącycha nie żalowała strawy, nie upominając się o odrobek: trocha kartofli, kawał chleba i słoniny wystarczały; odzienie się nie darło i nie wymagało odnawiania, ale czynsz zawsze potrzeba było opłacać i wyciągnąć go z tego jednego ogródka, który cały dochód stanowił. Pólko, ogrodzone żerdziami przy karczmi, miało mniej-więcej rozległość zwykłego ogródka włóściańskiego, mniej morga ziemi, niezłej bliżej karczmy, a ku dębom i sosnom wycieńczonej przez drzewa, spiijające żywotne soki dokoła. Siał na niem Jermoła tytoń pod budowlą, gdzie żyzniejsze były zagony, dalej sadił kartofle, trochę kapusty ku dołowi, buraków i ogrodowiny. Niekiedy udawało się tak szczęśliwie, że odjąwszy, co było potrzeba na własny użytek, odbierał jeszcze swoje dwadzieścia złotych czynszu z samego ogródka; innych lat musiał ich szukać inaczej. Las i rzeka w takich razach są dla wieśniaka wielką pomocą, a tych nie broniono w Popielni, — wszyscy z nich użytkowali. Jermoła póki był sam, jeździł czasem na rybę i udawały mu się nocne łówki z ościami, zastawiał więcierze i saki, a rybę we dworach lub w miasteczku sprzedawał. Oprócz tego zbierał i suszył grzyby, które są lepszym jeszcze towarem, i od niejakiego czasu zwłaszcza poczęły iść w cenę. Ale oba te zajęcia z małym Radyonkiem na rękach stały się niepodobiestwem; dziecko nie dozwalało ani nocy spędzać na czołnie, ani się włóczyć. Tymczasem wydatki rosły, zapaśny grosz zaraz w początku wyszedł na kupno kozy i inne drobne potrzeby. Jermoła musiał sobie inaczej radzić. Dawniej rabiwał w polu prawie darmo swoim znajomym i ubogim, dziś czas mu stał się droższym: namy-

ślił się najmować. Widywano go, jak te baby z dziećmi i kolebką, chodzącego w dniu pilniejszej pracy w pole na sznury włościańskie ze swoim malcem, kozą, z trzema drążkami, koszykiem i namiotem. Stawiał koszyk z Radyonkiem na miedzy w przenośnej budce, osłoniętej rantuchem, pod opieką starej Żydówki, a sam żął, kosił lub wiązał. Dawało mu to czasem jadlo i oprócz tego około dwudziestu groszy dziennie, gdyż w Polesiu rzadko robotnik pieszy wart jest więcej. Trzy dni potrzeba było pracować na dwa złote, które gdzieindziej za jedną kopę płacą i to pracować naprawdę, nażać kopę rzadkiego żyta, naschyłać się, napocić i snopów nadźwigać; a snopy w Polesiu wydadne i ciężkie, choć je po kłosie zbierać muszą.

Często wróciwszy do swej pustki, niosąc z dalekiego pola koszyk i dziecko, brzemień lat i ciężar dnia, starzec czuł się osłabionym, sennym, wycieńczonym, ale spojrzenie na Radyonka uśmiechającego mu się, krzepiło go nanowo, a nocny wypoczynek dodawał sił na jutro. Nigdy zaprawdę tak się stary nie krzątał, jak teraz, nie był tak czynnym i niezmożonym; ludzie z mimowolnym patrzyli nań poszanowaniem, wzbudzonem wytrwałością i milczeniem szlachetnem. Nie śmiejąc dotknąć złota, znalezionego przy dziecięciu, choćby z głodu umierał, gdyż uważał to za własność sieroty, musiał przysparzać sam, bo codzień szło trudniej, a wystarczyć na wszystko nie mógł jednym przy karczmie ogródkiem. Tu rankami tylko i wieczorami robił urywkowo, a na resztę dnia się zajmował.

Ale serce wszędzie i zawsze dokazuje cudów, gdziekolwiek pośle promyk uczucia. Wielki-to talizman; bez niego każda rzecz trudna, a z niem niema niebezpieczeństwa.

Jakos ta praca około roli po upływie kilku miesięcy nie zaspokoila starego Jermoły: chłopak rósł, a zarobek był nieskończenie mały, prócz tego dyak rubla wziął za naukę, a co czasu na nią stracić było potrzeba! Smutny jakoś powłókł się jednego wieczora staruch do chaty kozaczychy, z którą zwykł się być naradzać. Przyjęto go jak zwykle: Horpyna z uśmiechem i wykrzykiem, bo dziecięnę lubiła bardzo i zaraz ją zabierała od Jermoły, bawiąc, karmiąc, uśmiechając się jej, póki tylko stary był w chacie, kozaczycha kwaśno, gderliwie, ale serdecznie. Jermoła im tam nie zawadzała, nie uprzykrzała się, a często posłużyła, bo jakkolwiek znudzony, gdy go kozaczycha czém potraktowała lub zato, że się pogrzał przy jej ognisku, czuł się w obowiązku pójść po wodę do studni, szczepać skałki, urąbać drewek, zastępując pijanego Chwedora, który wieczorami najczęściej w karczmie siedział i stamtąd trudno go już było wywabić i kijem.

Miała się baba ciężko z tym Chwedorem, ale parobków najmiotów mało było we wsi, bo co silniejszego, szło z toporem do wyrobu

belek i wańczoszków, do klepki i łuczywa, musiała więc znosić trutnia, który, gdyby nie wyrostek, co mu pomagał, nawetby chudo by nie napasł i nie dopatrzył. A był takiej natury ów Chwedor, że w nim jakby dwóch siedziało ludzi: zrana, póki trzeźwy, choć do rany przyłoż: pokorny, cichy, zapobiegliwy, przemyślny, często coś przypominał, o czemby i sama gospodyni nie pomyślała; ale powróciwszy z pola, jeno woły na podwórko odprowadził, choć się zaklinał, że do karczmy nie pójdzie, znikał i zasiadał za stołem u Marysi szynkarki, pił, a pijąc, niestworzone dziwolągi wyprawiał. Czapka nabakier, w boki się wzięwszy, gadał a gadał, szumiał, odgrażał się gospodyni, łajał, karczma trząsał, wrzeszczał, śpiewał, tańcował i taka go opanowywała buta, jakby tam w nim wojewoda siedział. Powróciwszy do chaty, regularnie szedł kozaczysze za służbę dziękować, z piosnką jeszcze kładł się spać; legł, przedzierał się, a im więcej krzyczał wczoraj, tém nazajutrz był pokorniejszy i pewnie zrana, naprzeklinawszy wdowie wieczorem, przyhołubiał się różnemi ślicznemi pomysłami gospodarskimi. Odprawiał się on sam i ona jego kilka razy, ale że innego dostać było trudno, a i on przyrósł już do téj kleci, zawsze po wieczornych kłótniach i awanturze kończyło się pokorą i zgodą.

Wieczorami więc, przy takich nałogach Chwedora, przybywający Jermoła wielce był dla wdowy pożądanym, pomagał jej trochę i było przed kim narzekać lub przeklinać niezdare. Horpyna także dla dziecka, które się jej uśmiechało, lubiła starego dworaka.

Jednego tedy dnia, dość już późno wróciwszy z łanu, gdzie się upocił i kopy nawet rzadkiego żyta nie mógł nażąć Jermoła, bardzo jakoś uciśniony na duszy, zesłały od schylania się, powłókił się do kozaczychy. Zaraz w progu Horpyna odebrała mu chłopca, z którym, śpiewając, zaczęła biegać po izbie, a stary zasiadł na ławie przeciw ognia i zadumał się. Bolała go głowa od słońca, krzyże od nachylania, ręce namulane od sierpa, choć starannie drewnianą rekojęsę płachtą był obwiązał.

Chwilowa bezsilność przeraziła go, nie dla siebie, ale dla przyszłości dziecięcia; począł wzdychać ciężko, aż się baba opatrzyła, chodząc około garnków, że jej gość potrzebować musi rady i pociechy.

— A widzisz, stary — odezwała się — co ja tobie mówiłam, kiedyś brał to sieroctwo, że ty temu nie podolasz. Nieprawda, że ci ciężko, bo coś bardzo wzdychasz?

— Oj! ciężko, kumo kochana, ciężko! Jużem-to ja, widzę, nie dwudziestoletni, bo z pola wróciwszy, choć prosto leż do trumny, tak się człowiek czuje biedny i zmęczony, ale cóż? pracować potrzeba, bo się z głodu zdechnie. Czynsz muszę zapłacić; Hudny

i z tej nory wypędziłby, gdybym go na św. Michał nie złożył; jeść potrzeba i o dziecku jeszcze myśleć. Za cały dzień, jak dziś, i dwudziestu groszy się nie zarobi, a krzyże jak połamane.

— Bo ja wam zawsze powiadałam i powiadam, że inaczej powinniście myśleć o zarobku. Całe życie spędziliście na stołku w kredensie, przy lekkiej pracy, a tu wam się zachciało z sierpem i kosą chodzić w pole, jak temu, co do nich przywykł od młodu... Czemużście nie przydumali sobie co innego?

— Kiedy nic nie umiem...

— Wszak-ci to i czytać nie umieliście, a mówicie, żeście się nauczyli. Możebyście tak i czego innego potrafili od ludzi nabyć.

— Myślicie?

— A cóż? — odpowiedziała baba zwykłą pytającą formułą, która zastępuje potwierdzenie.

— Naprzykład czego? — zapytał Jermoła.

— Czy ja tam wiem! jakiegokolwiek rzemiosła moglibyście się wyuczyć. Roztropni jesteście, widzieliście i nasłuchali się dużo po świecie, takiby to wam nie ciężiej przyszło, niż młokosowi.

Jermoła głową pokiwał.

— Szewiectwa, choć sobie czasem buty łatam, nie lubię — rzekł powoli stary — krawców dosyć u nas z Kołków przychodzi z łokciami na ramieniu, byle było co szyć, a mnieby nikt nie dał sukna ze strachu, żebym nie popsuł; kożuszników u nas aż trzech...

— A tkacza i jednego pocziwego niema! — zawołała baba. — Który weźmie osnowę, pewnie ukradnie, u drugiego sztuki się nie doczekasz do trzech lat, pozostawiają w karczmie, na szlichtę daj im, co zażądają, poniosą do żyda. Płótna niema komu zrobić, choć się nieźle płaci. Wybyście się łatwo tkactwa nauczyli.

— A warsztat? krosna? gdzie to postawić u mnie? Izba mała, kołyska sobie, koza sobie zabierają miejsce; wszystko na kupie; ani sposobu. Macie radzić, radźcie co innego.

— Mnieby to najlepiej smakowało, żebyście wy zostali tkaczem, bo nie mam komu dać przędzy; butwieje, leżąc.

Jermoła rozśmiał się weselęj, ale i westchnął zaraz.

— E! radźcie sobie, nie mnie; poradźcie lepiej, kumo.

— Wiecie co? — zawołała Horpyna — ja wam powiem, co robić będziecie. Wszakże-to mawialiście sami, że we dworze bywało, jak niema co robić, toście sobie na skrzypcach grywali...

— Prawda, całemi wieczorami.

— Ano! zostańcie muzyką!

— Tfu! — splunął Jermoła — co wam, Horpyno, takiego? A tożby się człek rozpił! Gdzież mnie z dzieckiem po karczmach i weselach się włóczyć?

— A to, widzicie, ja tak radzę jak matka... Musielibycie dziecko u nas zostawić...

Jermoła rozśmiał się znowu.

W tej chwili garnki, które kozaczycha przystawiała do ognia, stuknęły się, jeden z nich, snadź już pęknięty pokryjomu, nagle rozpadł się na części, ukrop bryznął po kominie na węgle i wylał się pod nogi uciekającej kozaczysze.

Wielka z tego powstała wrzawa: Horpyna oddała dziecko Jer-mole i pobiegła matkę ratować, wdowa kląć poczęła, służąca naj-mitka łamała ręce, kartofle nawpół ugotowane rozbiegły się po podłodze, a pies leżący w progu, przełknięty, gwałtownie szczekać zaczął.

Ledwie się to w kilka minut uspokoiło, gdy szczęściem nikt prócz garnka poszkodowanym nie został, bo ukrop zbiegł wprost na ziemię, kartofle pozbierały dziewczęta, a gospodyni, nałajawszy złą godzinę, siadła na ławie, żeby się wysapać.

Ale gdy przyszło znowu owe ziemniaki nastawiać, a do alkierza po garnki pobiegli, pokazało się, iż tak wielkiego drugiego nie było w zapasie i nieboszczyka musiano zastąpić aż dwoma — zdawkową monetą.

— To był garnek jak mało! — poczęła mowę pogrzebową gospodyni. — Pamiętam, żem go kupiła w Janówce na jarmarku; biały był jak mleko, a mocny, choć orzech nim tłuc! Wracaliśmy po nocy z pijanym Chwedorem. Około Małycezek kołem z drogi zjechał i wywrócił; ja i co było na wozie, wszystko w rów, a było pięć garnków i rzeszoto. A! żeby cię pioruny i z twoją wódką! myślę sobie, i nuż zbierać omackiem. Rzeszoto licho wzięło, bo je koło od wozu przebiło w samym środku; już to ono służy, ale niekoniecznie; garnków dwa poszło w łupinki, a mój grubas potoczył się tylko o staje... Ja do niego, cały! Oczom nie chciałam wierzyć. Służył mi lat dwa; teraz już takiego drugiego nie dostanę. Ot, z czem u nas bięda, z garncarzami! Trzeba czekać, aż się który zlituje i zajędzie, a że to drogi zły, a towar kruchy, rzadko zajężdżają i drą-ż bez miłosierdzia! A ten w Małycezkach Prokop, pozał się Boże, czarne robi i kruche, na nic... chyba na popiół... Musi je daleko kędyś wywozić, bo tu je znamy i nikt ich nie kupuje... Ot co! — zawołała baba nagle — a gdybyście zostali garncarzem! To i poczciwe i spokojne rzemiosło i taki robota nietrudna.

— Myślicie! — pokiwał głową Jermoła — a gdzież go się nauczyć? a glina? Czy to u nas jest dobra? A kto potrafi piec postawić? Wreszcie gdyby się już co i zrobiło, jeszcze wozu i konia potrzeba, żeby się z tym wyrobem po świecie prosić... A broń Boże wywrotu, nieszczęście!..

— Cóż to tobie dziś — zawołała znów stara — wszystko złe i trudne, a ja ci mówię, nie święci garnki lepią.

Poczęli się wszyscy śmiać; Jermoła się zamyślił.

Tak zszedł ten wieczór u kozaczychy, nie bezowocnie jednak, bo choć nic nie postanowił jeszcze Jermoła, powróciwszy do domu, jął niespokojnie rozważać, co robić, i nabrał otuchy.

— Jużciż kiedym się czytać nauczył — rzekł w sobie — a to taki najtrudniejsza rzecz na świecie, to i rzemiosła jakiego mógłbym nabyć. Stary jestem, prawda, ale czy to tylko młodzi wszystko mogą? Ot, zobaczymy.

Nazajutrz Radyonka zostawił Horpynie, a sam poszedł pod jakimś pozorem do Małycezek. W głowie mu się coś snuło.

Wioska-to była o miedzę niewielką, ze znacznym lasów i błot obszarem, w gruntach dosyć jałowych, sapach, tarfowinie i piaskach, ale bogata, bo przemyślna i z samych niemal rzemieślników złożona. Włościanie tutejsi, prawie co roku chleb kupować zmuszeni, bo tak jak w Opoczyńskim, jeśli nie gorzej, korzec posiawszy, kopę zbierali i ze zmłóconej ledwie się dopytali korca ziarna, słomę za pracę mając w zysku, nawykli byli już inaczej sobie zarabiać na życie. Palili węgle, przedawali korę, wyginali obody, strugali niecki i naczynia gospodarskie, stelmachowali, bednarzowali, bawili się cieśielką, tkactwem, wyrobem sukien i pasów czerwonych, a jeden nawet był garncarzem. Ale mu to rzemiosło niebardzo poszło: zysk miał; wyrobu nie chwalili ludzie. Wogólności garncarze rzadko tam biorą się do roboty, gdzie ich z dawnych czasów nie bywało, a piece po największej części utrzymują się od niepamiętnych wieków, z ojca przechodząc na syna. Znać w przedhistorycznej epoce, gdy zdunowie potrzebniejsi byli, dostarczając naczyń poświęconych, znali się też lepić na gatunku ziemi, na wypalaniu, trafniej wybierali sobie miejsca i lepszą mieli tradycją rzemiosła; dziś ledwie się kto ośmieli założyć piec nowy, a garnki terażniejsze wyrabiają się tam jeszcze, gdzie się przed wieki toczyły i lepiły drogie starożytnikom popielnice z tężej gliny, która dostarczała grobowego sprzętu pradziadom.

Ostatni potomek małyckowskiego garncarstwa bardzo zszedł był nisko w swęj sztuce: napijał się, rozwłóczył, o glinę nie dbał, ladajako lepił. Garnki jego nie miały dźwięku, czarne były i pękały tak łatwo, że ich we wsi już nie kupowano, chyba w ostatniej potrzebie. Ale i ta lichota przecież odbył miała, a stary Prokop i za

majętnego uchodził i niczego sobie nie żałował: słoninę jadł, wódkę popijał, kozuch nosił wyszywany z siwym kołnierzem, opończę z kapturem, czapkę czarną baranią, wysoką jak u dobrodzieja... Syna nie miał, córkę tylko jedynaczkę, wydaną za najlepszego we wsi gospodarza, której taki dał posag, że ludzie wierzyć nie chcieli: bydło, konie, trzy bodnie odzieży i rubli całą czapkę. Wiedział o tém wszystkiém Jermoła, bo i dawniej i teraz dwór popielnicki z małyczkowskim, a wieś z wioską często miewały stosunki; myśl stariej koczachy zajechała mu furą w głowę. Nie chciał się z nią jednak wydać zrazu, żeby nie narobić śmiechu, i jak zwykle wieśniacy, udał inną potrzebę, zawróciwszy się do dworu.

We dworze tym od bardzo dawna mieszkał niegdy przyjaciół popiełańskiego pana, starzec już niemal zgrzybiały, rotmistrz jeszcze kawaleryi narodowej, Felicyan Drużyna. Dawniej bogaty, ale w zamieszkach krajowych straciwszy tak majątność, że przy jednej małej został wiosce, wałęsał się długo po świecie na zachód i północ; potem powrócił na Polesie i, ledwie z fortuny znacznej ocaliwszy ten okruch mały, ożenił się, owdowiał, ośleplł i, zaniemógłszy tak, że nie chodził, umrzeć już chciał tylko, bo się straszliwie męczył, a śmierć codziennie wywoływana nie przychodziła.

Dom w Małyczkach, dawniej fundum dóbr znacznych, obszerny, stary, ciemny, z ogrodem strzyżonym, sadzawkami, kaplicą, skarbcem, tak pozostał, jak go byli rodzice jeszcze rotmistrza zbudowali; ale się to wszystko chyliło do upadku: na jednej wiosce nie było sposobu utrzymać tych splendorów. Życie starca było najosobliwszego rodzaju. Czy się z tém urodził, czy ludzie go tak zagryźli, czy choroba skwasiła, stał się najnieznośniejszym pod starość. Nie odstępował go nigdy syn już blisko trzydziestoletni i uboga krewna, wychowanka jego żony, skazani na nieustanne męczeństwo i najdespotyczniejsze kaprysy rotmistrza.

Pomimo ślepoty i niedołężności taki się duch krzepki trzymał w tym człowieku, że dotąd nic z rąk nie chciał puścić; z synem się obchodził jak z dwunastoletnim dzieckiem, z wychowanką jak ze sługą, czeladź trzymał w najostrzejszym rygorze. Klucze mu przynoszono codziennie pod poduszkę, a jeśli komu kazał za karę wsypać, nigdy mniej nad pięćdziesiąt, starszym po sto. Wszystko w domu ulegać i służyć musiało na jego skinienie, z każdej, najmniejszej rzeczy zdawano przed nim rachunek.

Ślepy, znudzony ciemnościami, w których był pogrążony, a co gorzej bezczynnością, w zarządzie domem i gospodarstwem szukał roztargnienia, a w męczeństwie najbliższych sobie istot — żywiołu i zającia. Jemu służyło tylko to, co go otaczało; nikt dla siebie prawa żyć nie miał. Szpiegostwo, uregulowane na wielką stopę,

weszło w obyczaj, wieczną wrzawą i niepokojem napełniając dom ten nieszczęsny, w którym nikt od niego wolnym nie był, syn nawet, poddany ojcu, przybity, Jan Drużyna siedział u łóżka chorego, straciwszy nawet ochotę do życia.

Rotmistrz znowu, srogi władca dla swoich, obcym wydawał się najmilszym w świecie człowiekiem, w istocie innym był całkiem dla świata, innym dla domowników i rodziny. Dla gości uprzejmy nad wyraz, uczynny dla sąsiadów, wylany dla biednych, przemawiał słodko, żartował, uśmiechał się, przysługi robił i kto go nie znał, zdaleka zaledwie mógł wierzyć, żeby stary wojak takim był tyranem. Zapewne choroba nieznośna, męczarnia ślepoty, bólesci i nocce bezsenne tak zgryźliwym i przykrym uczyniły jego charakter; serce widać zostało nienadwerężone, choć się niemi ze swemi nie dzielił przez jakiś dziwny system surowości. Przesadzone pojęcie karności wojskowej i potrzeby silnej ręki w rządzeniu domem i gospodarstwem przyczyniały się do utrwalenia tego despotyzmu. U łóżka starca dwie istoty, syn Jan i kuzynka uboga Marya, wiodły dni, któreby żółcią samą były zaprawne, gdyby ich nie osładzało wzajemne przywiązanie. Domyślił się go starzec, wyprowadził sam nawet na wyznanie, ale otrzymawszy je podstępnie, obojgu pod przekleństwem myśleć o połączeniu się zakazał. Zostawił ich tak osamotnionych, jednego z drugim nie rozłączając, a rozkazem absolutnym sercom ich pozamykać się kazał, sądząc, że słowo jego będzie wszechmocnym, że nic sprzeciwić się mu nie ma prawa. Młodzi zamilkli i we łzach spełniali dalej ciężką powinność, tając się z przywiązaniem przed starcem.

Dzień i noc potrzeba było zostawać przy rotmistrzu, który ze spuchniętymi nogami w łóżku leżąc lub z krzesłem wytaczany na kilka godzin do pokoju, zawsze przy sobie kogoś, najczęściej Maryą lub Jana mieć musiał. Sen mając przerywany i krótki, zadrzemował o dziesiątej, budził się z północy, po kawie nade dniem trochę zasypiał i potem do obiadu ciągle się czemś zajmował, zwołując do łóżka z kolei sługi i oficjalistów; ledwie oczy przymrużywszy po jedzeniu, budził się znowu, by rozkazywać i pędzić do nocy. Z kalectwem podwójnym, przy męczarniach swych, rotmistrz wcale się nie szanował, pił wódkę kilka razy, jadł za czterech, a żadna rada lekarska, ani perswazyja powstrzymać go od tego nie mogły.

U krzesła jego lub łóżka wytaczały się sprawy o najdrobniejsze gospodarskie i zarządu domowego szczegóły, konfrontowano ludzi, inkwirowano, sądzono, a Drużyna tak dobrze wiedział i pamiętał, co raz mu powiedziano, że mimo braku oczu nic się przed nim utaić nie mogło.

Zdrowszy jeszcze nieco i nim oczy stracił, za życia popielańskie-

go pana rotmistrz był jednym z największych jego przyjaciół i najczęstszych gości; widywał go tam Jermoła, a starzec przez pamięć dla przyjaciela czasem mu w jego osieroceniu czémś pomagał. Poszedł więc i teraz naprzód do niego do dworu poradzić się Jermoła, ufając wielkiemu rozumowi i dobremu dla siebie sercu pana Drużyny.

Radzi tam byli każdemu nowemu przybyszowi we dworze, bo albo od rotmistrza odrywał na chwilę jego niewolników, dając im cokolwiek odetchnąć, lub rozweselał go potrzebą przybrania tego tonu, jaki miał zawsze w pogotowiu dla obcych schorowany starzec.

Gdy znać dano panu Drużynie, że Jermoła widzieć się z nim żąda, zaraz ją wszystkich pędzać, żeby go przyprowadzili, przynieśli wódkę i przekąskę dla gościa i z uprzejmości dla niego znalazł sposób wyłajac połowę swego dworu. Usłysawszy kaszelek w proggu, powitał go swoim najśledszym humorem:

— Jak się masz, stary? Co tam słyhać w Popielni?

— A cóż? nic, jaśnie panie, pustka tylko i biéda...

— No, a ty co tam porabiasz? Co tam nowego?

— O! i bardzo nowego! — westchnął Jermoła. — Pan nic nie wie?

— A skądże u kroć sto tysięcy kaduków miałbym wiedzieć! — zawołał rotmistrz. — Widzisz, że jak Łazarz leżę w ciemnościach, a ci, co mnie otaczają, nie powiedzą pewnie, coby mnie rozweselić lub zająć mogło; wołają milczeć lub stękać i wzdychać. Cóż to się tam stało?

— To taka przygoda, żem ja myślał, iż o niej już i o sto mil wiedzą.

— No, ale cóż, cóż przecie, mój bracie, gadaj-no?

— Pan Bóg mi dał dziecko.

— Co u dyabła, czyś się, oszalawszy, ożenił?

— Ale nie, proszę jaśnie pana.

— A, to coś gorszego jeszcze...

— Jaśnie pan nie rozumie...

— Mówże jaśniej, mój Jermoło, co u licha?

— Trafiło mi się to jeszcze w kwietniu, że ktoś mi chłopaczka podrzucił.

— Jak? co? kiedy? — niespokojnie podchwycił rotmistrz.

— W kwietniu.

— Ano, powiedz że mi, jak się to stało?

Jermoła ze szczegółami opowiedział przygodę swoją, pociechy, kłopoty, historią całąkozy i dziecięcia; dalej trudność zarobkowania, naukę czytania, chęć wyuczenia się jakiegoś rzemiosła. Starzec słuchał bacznie, a co dziwniejsza pan Jan u drzwi stojący, choć

miał już wyjść na świeże powietrze odetchnąć, tak się uczuł pochwycony opowiadaniem Jermoły, że do końca tej historii pozostał.

— To dalipan coś ciekawego! — zawołał rotmistrz, wysłuchawszy. — Jakaś wyrodna natura rzuca pod drzewem sierotę, a Pan Bóg mu stręczy takiego ojca, jakiegoby krew nie dała! Tylko, stary mój przyjacielu, za późno ci przyszło to błogosławieństwo, widzi mi się; jak świat światem nie słyszałem, żeby się kto w twoim wieku uczyć czegokolwiek poczynił, o rzemiośle nowém zamyślał i tak dalekie snuł projekta. Wiele ty masz lat?

Jermoła w istocie wiedział bardzo dobrze, że ich liczył sześćdziesiąt kilka, ale się obawiał przyznać, żeby go rotmistrz nie zbił i nie straszyl; odparł więc poprostu:

— Albo się to u nas liczy? Ja siwy, to i stary; jak niezdara, to grzyb. Zresztą Pan Bóg tam najlepiej wie tę liczbę.

— Pan Bóg! ba! ba! wiedzą i ludzie! Ja ci sam powiem, wiele ty lat mieć możesz — przerwał rotmistrz, obrachowując na palcach. — Mogłeś mieć sześć, siedem, gdy cię z pastuszka wzięto do dworu. Mnie tu jeszcze nie było, ale lat czterdzieści, jak-em powrócił, już wówczas nieboszczyk mi mówił, żeś u niego był około lat siedemnastu; obliczywszy się szczerlnie, sześćdziesiąt z czubem, mój bracie...

— Może to być, ale kiedy człek zdrów i silny.

— A! to wielkie szczęście! — zawołał rotmistrz — nie tak jak ja kaleka, od Boga nawiedzony i ludziom ciężarem będący, którego ziemia nawet nie chce, choć się jęj dawno należą.

— Co tam jaśnie pan mówi!

— No, no, praw swoje, człek stęknąć musi, gdy go boli.

— Ot — rzekł Jermoła powoli — malca mojego wychowuję, pracować muszę na niego i na siebie, a w polu niebardzo zdążam; chciałbym sobie inny zarobek wymyślić, rzemiosła się jakiego wyuczyć.

— Toś ty trochę podszalał, mój pocziwce — zaśmiał się Druzyna. — A toć-to ci sama nauka dużo czasu zabierze. Gdzież będziesz terminował? Ani ręce, ani oczy, ani siła po temu...

— Jużciż zebrać pójsć nie mogę...

— Nie zechcesz...

— I dla siebie i dla dzieciny... wstyd jakoś z torbami się walać... Nie... nie...

— No! ale jakże potrafisz na starość wyuczyć się rzemiosła?

— Mnieby się zdawało, że to łatwiej przyjdzie, niż młodemu: człek uważniejszy i wie, naco się to przyda; nic go nie odrywa, siedzieć na miejscu lubi, a ręce toć takie same.

— A! a! kochanku, jeszcześ ty bardzo młody, kiedy tak mówić

możesz... Cóż wspólnego staremu z młodym? nie, nie; inne serce, inna głowa, inne ciało, inny człowiek, i gorszy i biedniejszy. Szczęśliwys, że jeszcze tak odważnie brać się możesz do dzieła.

— Bo mnie się zdaje, że kiedyś się dla tego dziecka czytać nauczył, to i rzemiosła potrafię...

Rotmistrz westchnął.

— Wybierz-że sobie co łatwego przynajmniej — rzekł, kiwając głową.

— Radzili mi krosna, ale nie mam ani za co kupić, ani gdzie postawić; u mnie ciasnota...

— A ty co myślisz?

— Ja, prawdę powiedziawszy, przywlokłem się tu do Prokopa...

— A! garnki lepić! — począł śmiać się rotmistrz. — Jeśli takie, jak on, to niedaleko zajedziesz...

— Byle mi cokolwiek pokazał, to i lepsze potrafię; ale Prokop zazdrosny podobno, uczyć mnie nie zechce.

— Na to byłaby rada — rzekł rotmistrz — kazałbym go zawołać i rzekłbym tylko słówko; niema tajemnicy, żeby ci jój nie wydał, jak mu nakiwam.

Jermoła głową potrząsał.

— E! z musu jakoś to nie idzie...

— Popróbuj-że dobrą wolą, a jak ci się nie uda, już ja na to poradzę.

I nakarmionego odprawiwszy Jermołę, rotmistrz kazał mu jeszcze przyjść do siebie wieczorem z doniesieniem.

Zmierzając do chaty garncarza, położonej na wzgóreczku, gdzie pod wspaniałą starą gruszą widniał zasklepiiony świeżemi garnkami piecyk garncarski, Jermoła począł się bardzo namyślać i zdało mu się wreszcie, jakoby wpadł na niewinny a szczęśliwy podstęp, rozjaśniła mu się twarz stara i pomarszczona, zatarł ręce, raźniej i ochotniej przestępując próg Prokopa.

Po wydaniu za mąż córki, stary zdun małyczkowski mieszkał z parobczakiem i gospodynią, młodą jeszcze rekrutką, uchodzącą za jego ulubienicę, w opustoszonej chacie, wiodąc życie wiejskiego hulaki i wygodnisa. Pracował mało, wierząc już w stare ruble; rzadko się brał do toczenia i wypalania, częściej w karczmie zasiadywał lub w domu z gospodynią wywczasu zażywał.

I teraz właśnie zastał ich we dwoje Jermoła nad kwartą wódki i misą kwaśnego mleka ze śmietaną. Prokop, poszpakowawszy już starzec, krzepki był jeszcze: ogromne chłopisko, barczysty, silny jak dąb, z brodą po pas. Spojrzawszy nań, znać było, że się jeszcze mógł poborykać z niedźwiedziem. W karczmie, gdy sobie podpił, obawiali go się wszyscy, bo chłopami jak gruszkami rzucał, pod oś plecy podłożywszy, wóz ładowny dźwigał, a korcem zboża zamiatał jak plewą.

W butach juchtowych po kolana, w szarawarach białych, skrojonych z kozacka, w szarej koszuli z guzem ogromnym i w sutym, czerwonym pasie, Prokop siedział z łyżką nad misą naprzeciw rekrutki, która do niego białe wyszczerzała zęby i śmiała się, zasłaniając się ręką. Znać jej niedorzeczności prawil, gdy Jermoła pokazał się z pobożnym pozdrowieniem w progę:

— Sława Bohu!

Trochę się znali i wprzód, ale Prokop dla każdego był gościnnie, póki nie podpił i nie zadarł się a nie począł być strasznym; wstał więc z ławy, rekrutka uciekła, a starzy się przywitali.

— A z czém Pan Bóg prowadzi? — zapytał gospodarz. — Napijemy się na dobry czas?

— Napijemy — odparł Jermoła — choć to ja niezwykle.

— E! jeden nie zaszkodzi... i zaraz do dzieła, jeśli jakie macie...

— A jest tam coś trochę — rzekł przybyły — ale to długo gadać.

— No, to wcześniej zaczynać trzeba...

— Poczekajcie, niech trochę odetchnę...

— Jak sobie chcecie.

Powoli i rekrutka pokazała się z alkierza. Sprzątnięto misę, zostawiając wódkę; poczęli stękać na czasy, na drożynę, Prokop jął kląć rzemiosło i rozgadali się jakoś serdecznie.

— Otóż-to trzeba wam wiedzieć — rzekł Jermoła nie bez obawy — że i ja jestem także syn garncarski, a dziadowie moi zdawiedawna byli zdunami.

— Oho! — z niejakiem podziwieniem odezwał się Prokop — doprawdy?

— Tak jest w istocie, ale ojciec i matka odumarli mnie w małeństwie; ledwie troszynkę mogłem się przypatrzeć rzemiosłu. Jeszcze do dziś-dnia na dawnym naszym ogrodzie jest stare piecysko, ziemię zarosło, ale ta ojcowizna poszła w obce ręce...

— Jak świat światem w Popielni o garncarzu słyhać nie było.

— Bo ojciec był z Wołynia, a tu krótko bawił.

— A, to co innego — wódkę popijając, rzekł Prokop.

— Otóż, widzicie, na starość zachciało mi się powrócić do rzemiosła — wybąknął Jermoła.

Prokop spojrział mu w oczy i poskrobał się w głowę, coś mrużąc.

— To ty mi kawałek chleba chcesz odebrać? — ofuknął się groźnie.

— E! posłuchajcież no! — rzekł Jermoła — jeszcze go może i wam dam! Nie strachajcie-no się zawczasu!

— Gadajże, gadaj!

— Syna nie macie, córkę wydalicie za gospodarza, sami dosyć nachowaliście grosza; jużby wam i czas odpocząć. Tu glina nie do rzeczy; musicie jeździć z garnkami daleko, bo koło siebie ich nie sprzedacie, takie-to nicpotém...

— O! o! a ostrożnie-no, bracie! co gadasz! — ofuknął się, pięścią w stół stukając, gospodarz.

— Nie gniewajcie się! toć się bez was nic nie robi...

— Ty mnie chcesz obedrzeć!

— Nie, nie! jeszcze się wam z tego darmo kawał chleba okroi.

— Anu! to gadaj, czortby miał twoją duszę!...

— Ot, jak: ja sobie łatwo przypomnę rzemiosło, byle mi cokolwiek pokazać, bo ono we krwi jest... Założycie wy ze mną piec w Popielni, dopilnujemy razem wypalenia, a zato póki waszego życia, połowa zarobku mego do was należeć będzie, choćbyście sobie do góry brzuchem leżeli...

Prokop bardzo zaczął trząść głową.

— Dobreby to było. A kto za was zaręczy?

— Wasz pan...

— Rotmister! stary rotmister! — krzyknął Prokop.

— Ano, on! Bo też to on, widząc gorzką moją dolę na starość, tę radę mi podał.

Prokop zafrasowany aż się za brodę targnął.

— *Hde Rym, hde Krym!* Rotmister! on tobie to poradził! Albo to wy wiecie, co nasze rzemiosło? Wam się zdaje, że garnek zlepić — jak grzędę skopać, albo piec wypalić — i to mała sztuka. A toć ja całe życie robię garnki i nie zawsze mi się udaje.

— Bo wam już się niebardzo chce tém zajmować; macie grosz, chatę, chleb; a naco wam to?

— Nu! to prawda... ale ty, mój stary, także niełatwo się naucyzsz; tu potrzeba młodej głowy...

— Popróbujcie, i rotmister wam będzie wdzięczen.

— Kroćsetby dyabłów zjadł ze swoim rotmistrem! — mruczał Prokop. — Jemu człowieka obedrzeć to nic!

— A jeśli w Popielni lepsza się glina znajdzie na białe garnki? Wy to tylko palicie czarne, a to lichota...

Prokop aż się zerwał z gniewem; oczy mu krwią zachodziły.

— Lichota! — krzyknął — ej, stary! jak cię pochwycę, to cię i twój rotmister z moich łap nie wyrwie!

— A co wam z tego przyjdzie, jak biednego człowieka i sierotę zgubicie — rzekł potulnie Jermoła.

To rozbroiło starego Prokopa. Uśmiechnął się.

— Jaką sierotę? — zapytał.

— A to nic nie wiecie?

— Nic; jeździło się po świecie. Gadajże, co to za sierota?

Rad z uspokojenia gospodarza, który choć gwałtowny i popędliwy, niezłe w istocie miał serce, dworak rozpoczął swoje dzieje z tą szczegółowością, z jaką zwykle wieśniacy każdą rzecz opowiadają, nie pomijając najdrobniejszej okoliczności. A potrafił je tak rozpowiedzieć, że Prokopa i zajął i poruszył; zawołał gospodarz rekrutki, żeby słuchała także, i ani się opatrzyli, jak godzina upłynęła wśród gawędy z Jermołą. Uczucie wywołało uczucie, zbudziła się w sercach litość; Prokop kłął, ale już nie gościa, tylko te gadziny, które śmiały biedne dziecko porzucić tak na drodze na los szczęścia, na sierocą dolę. Położenie Jermoły usposobiło go do przyścia mu w pomoc, a może też i wspomnienie rotmistrza, którego się wszyscy obawiali, pomogło nieco do tego; dosyć, że gdy wstali od stołu po kilkogodzinnej gawędzie, stary garncarz obiecał nazajutrz przyjechać do Popielni dla zobaczenia razem i dziecka i gliny.

Wziąwszy odeń słowo, które zapieć potrzeba było dla mocy kieliszkiem wódki, Jermoła wstąpił jeszcze do dworu opowiedzieć się rotmistrzowi i pośpiesznie, naprost, ścieżyną przez lasy, mało komu znaną, pobiegł do Popielni, co chwila już niespokojniejszy będąc o swego wychowanka, że mu Horpyna spać nie da pieścotami, lub przysmakami zakarmi.

Spocony, umęczony, z zaschłemi usty, padając ze znużenia, miotany niepewnością, co jutro będzie z garncarzem i czy się uda lub nie próba, w obawie, żeby darmo czasu nie stracić, wrócił Jermoła do chaty kozaczychy, a pochwywszy Radyonka, którego jak po półrocznym niewidzeniu wyściskał, niebardzo chcąc się spowiadać z tego, co zrobił, pośpieszył do swojej chaty.

Nazajutrz raniuchno był już na nogach. Dziecko znów musiał oddać Horpynie, bo nosić się z nim nie było podobna; sam począł

zamiatać i biegać, przyspasabiając wódkę i obiad mięsny w piecyku dla spodziewanego Prokopa, którego lada czem zbyć nie wypadalo, bo gębę miał popsutą.

Nie chybił zdun stary i około ósmej zajechał wózkiem jednokonnym przed karczmę. Umieszczono jakkolwiek konia pod ścianą obwaloną w zakątku, a że Prokop, wódki się napiwszy, naprzód zażądał widzieć sierotę, poszli, po kilku kieliszkach, do kozaczychy. Tu się ich widać spodziewano, a starucha, sprzyjając Jermole, trochę też przez próżność chcąc się pokazać i wystąpić przed obcym, nagotowała krupniku z miodem, przyrządziła kiełbasę, największy przysmak, na jaki zdobyć się mogła, a w dodatku i jajecznicę, co przyjęcie to podniosło do najwyższego stopnia przepychu, niepospolite dając Prokopowi wyobrażenie o zamożności domu.

Stary zdun, wprawiony w doskonały humor, nie mógł się odchwalić sierotki. Prawda, że Jermoła popisać się z nim umiał. Dalej tedy, gdy nasz dworak wrzał z niecierpliwości, wyszli jakoś narazie szukać gliny we dwóch, choć Prokopowi od misy i flaszki niebardzo się chciało i rad był odłożyć to na kiedyindziej.

Jermoła gorąco Pana Boga prosił, żeby się dobra glina znalazła, ale prawdę rzekłszy, ani pojęcia nie miał, gdzie jęj szukać, ani nadziei znalezienia, ufał jednak, że się to powiedzie, więcej w Opatrzność i los, niż w ludzi. Słyszac zawsze, że dęby rosną na pokładzie glinianym, wiedzac, że glinę do obmazywania chat brano zawsze nieopodal od drzew, koło jego ogródka, w miejscu właśnie, gdzie sierotkę znalazł, które się nawet glinkami nazywało; instynktem poprowadził tam zduna.

Wzięli z izby rydel, czyli, jak go tam zowią, zastup i z milczącym Prokopem, który dla nadania sobie powagi obie ręce za pas pokładał, poszli oba za pustkę na wzgórze.

— Ale to tu szczerze piaszczysko — rzekł stary — glina musi być bardzo głęboko i kto wie, czy się zda na co. Niżejby szukać jęj potrzeba.

Postąpili kilka kroków i jakoś niedaleko dębu, który Jermoła Radyonowym nazwał, dworakowi kopać się koniecznie zachciało.

Prokop, że to był rozkosznie i fatygi nie lubił, zaraz sobie usiadł na ziemi, a Jermoła, plunawszy w dłoń, zamaszysto wziął się do kopania. Zrazu co odrzucił, licha było warto, piasek szary, piasek biały, piasek żółty i żwir, aż zastup coś twardszego napotkał i pokazała się glina... Ale i ta niepotemu, prosto żółta i kamyczkowata; jeszcze w nięj nadto było piasku.

Pokazał na rydlu próbkę Prokopowi, ale ten na nią wzgardliwie spojrzawszy, ruszył tylko ramionami.

— Kopcie-no dalej — rzekł, sapiąc po kielbasie i jajecznicy — a dajcie mi swoją fajkę.

Oddałby był nie lulkę, ale ostatnią koszulę Jermoła, byle załagodzić Prokopa, żywo więc pozbywszy się cybuszka, jał się dalszej roboty w milczeniu.

Po tej glinie, coraz zsiadlejsza i gęstsza pokazała się druga, ale i z tej Prokop jeszcze nie był rad: nie była-to prawdziwa garncarska. Nareszcie w trzeciej szychcie zazieleniało i pokazało się coś niewiedzieć do czego podobnego, płowego, gęstego, zsiadłego jak kamień. Jermołe aż w sercu zastygło, odrzucił precz dobytą ziemię, sparł się na zastupie i westchnął. Wtém oko Prokopa padło na odrobinę tej ziemi wyrzuconej pod nogi, twarz mu pojaśniała, porwał ją w palce, roztarł, posmakował.

— O! o! o! toście to wy wiedzieli o tej glinie na pewniaka! — zawołał — wiecie wy, co to za glina! takiej tu niema nigdzie naokoło aż we Włodzimiercu!... Ot, filut z ciebie stary! — zakrzyknął Prokop, rzucając fajkę.

Jermoła zaniemiał, ale mu wypadło udać, że istotnie szedł z wiadomością rzeczy tam, gdzie w rzeczywistości Opatrzność go tylko prowadziła. Uśmiechnął się.

— A głęboko to tego? popróbnujcie-no! — zapytał garncarz. — O! o! będą garnki! i jakie! Na dwanaście mil niema takich prócz Włodzimierca... Śliczna glina; choć ją łyżką jeść jak masło.

Jęli już oba kopać i rozgrzebywać, a warstwa tego drogiego pokładu pokazała się obfita. Przerzynały ją wprawdzie wąskie żyły bielszej, z piaskiem jeszcze i żwirem pomieszanej, ale te zaledwie okazywały się i znikwały, a zielonawa, śliczna glina zdawała się niewyczerpaną... Zawiazali jej w płachtę dobrą kupę dla spróbowania i, zapiwszy tę sprawę, Prokop siadł na wóz, strasznie głową kiwając a spiesząc do Małyczek.

Takim sposobem odkryto w Popielni glinę, o której wprzód nikt nie wiedział, i pierwszy garncarz z radością w sercu niewysłowioną pokłąkł się pomodlić w swęj izdebce po odjeździe Prokopa.

— Dziecię chleb będzie miało! — wołał, odchodząc od siebie z radości. — Dzieki ci, Panie Boże, żeś mnie wysłuchał! Dziecię chleb będzie miało!

Pan Bóg radzi o swojej czeladzi, powiada przysłowie, a czeladź boża to wszyscy ludzie dobrej woli, w których życiu tak znać widoczną rękę i pomoc bożą, jak często w losach dzieci ciemności i zła

widome są skutki grzechu. Świat ten, zbudowany tak przemądrze, kierowany tak cudownie, że na nim samo dobro spełnione owocuje naturą swoją, a złe niesie karę i zgniliznę, jak chorobliwy pierwiastek. Często dla oczu ludzkich niewidocznymi zrazu są te działania wielkich czynników, ale w końcu wychodzi na jaw głośno, co się wśród ciszy, fermentując, przygotowywało. Często znowu ostateczne skutki dobra i zła, spełnionego na świecie, poza granicami jego dopiero się rozwijają; tam już sprawiedliwość boża każe ich się tylko domyślać. To pewna, że w żywocie ludzkim, gdziekolwiek znajdziesz miłość i poświęcenie, za nimi idą w ślad spokój wewnętrzny, ubłogosławienie ducha, siły nadspodziewane, potęga, sięgająca cudu. Nic dzielniej nie kieruje wolą i nie nadaje jej większego znaczenia. Miłość ma jasnowidzenia nieziemskie, ma wiedzę wlaną, instynktową, niechybność zdumiewającą.

Gdziekolwiek się ona i w jakiejkolwiek objawia formie, poznasz królową; w zwierzęciu nawet wydziedziczonym, ilekroć je instynkt podnosi chwilowo do przecucia miłości wyższej, macierzyńskie przywiązanie, związek dwóch istot uszlachetnia je i niemal przybliża do człowieka. Niema smutniejszego bytu nad żywot anormalnie nacechowany samolubstwem, nienawiścią, wydzieleniem się z ogółu. Świat stoi tą wielką więzią miłości, która go czyni całym i jedynym, a w czym sercu jej niema, odpadł od wielkiej bożej rodziny.

Miłość bezsilnego starca, jakim był Jermoła, przetworzyła go cudownie, nad grobem tchnęła weń życie nowe i dała mu siły, jakich nie miał w młodości. Spytacie może: czemu tak maluczką istotę wybrał na przedstawiciela skutków tak wielkiego i wzniosłego uczucia? Ale jest-że co małym i lichym z miłością w sercu? Zresztą powtórzę zawsze: *natura maxime miranda in minimis*. Prawda ta nie do jednego mikroskopowego świata naturalistów zastosować się daje; w świecie moralnym czasby ją też przystosować.

Po znalezieniu garncarskiej gliny w Popielni, wielkim w życiu Jermoły wypadku, poszło już wszystko staremu jak z płatka, choć nie do wiary zdawało się prawie ludziom, żeby zgrzybiały niemal staruszek jał się skutecznie zupełnie nieznanego sobie rzemiosła. Ale wola wszystkim jest w człowieku, a kiedy nią skieruje uczucie silne, czegoż we dwoje nie dokażą?

Na próbie w Małyckach, gdzie się piec właśnie zasklepiął do wypalania, gdy parę garnków wytoczył Prokop z nowej gliny i, poznaczywszy, umieścił je między swojemi, kiedy następnie ostudzono je i rozebrano, wyszły potem dwa białe, śliczne, dzwoniące, lekkie, a tak różne od wyrabianych z małyckowskiej ziemi, że i Prokop i wszyscy przytomni osłupieli.

Żaden z nich nie pękł przy wypale i kiedy je przywieziono do

Popielni, do chaty kozaczychy, zesła się gromada podziwiać tę osobliwość, a Jermoła całował je i płakał.

Z Prokopem umowa o naukę, o postawienie pieca, urządzenie garncarskiego warsztatu stanęła bardzo łatwo; szło już tylko o ekonomu Hudnego, od którego też pozwolenia było potrzeba na kopanie gliny i wystawienie pieca w ogródku. Szczęściem pani ekonomowa obiecywała sobie z tego wygodę; подарowano jej jeden z garnków na próbę wyrobionych, i pan Hudny nie mógł być bardzo przeciwny. Nie chcąc jednak wyjątkowo odstąpić od prawa przyjętego, dał do zrozumienia, że Jermoła powinien mu się będzie opłacić. Tymczasem nowemu garncarzowi, nim został rzemieślnikiem, tyle razem wypadków spadło na głowę, że nie miał im czem podolać; Prokop darmo się nie ofiarował, a warsztat i kopanie i cegła i przyrządy kosztowały także. Izba okazała się zamałą, drugą więc obok potrzeba było wyłatać i oporządzić; czasu straciło się dużo, grosz za pasny wprędce się wyszastał.

Nim cokolwiek przyszło z tego korzyści, trzeba się było zadłużyć po uszy. Przychodziło wprawdzie na myśl staremu ruszyć owo złoto Radyonka, schowane skrzętnie, ale miał wstręt do tego, a obawiał się nie bez przyczyny, żeby pokazanie dukata nie obudziło niepotrzebnych domysłów i nie spowodowało jakiego prześladowania.

Stara kozaczycha, choć skrobiąc się i kiwając głową, ale że lubiła malca i Jermołę, potrosze rozwiązywała węzłki i podsycala go ciągle; im większy jednak był wydatek, tém więcej obawiała się, żeby całej tej garncarki lichu nie wzięło, i wyrzucała sobie, że do niej namawiała w początku.

Prokop, którego rotmistrz zawołał do dworu i surowe dał mu napomnienie, żeby się zajął nauką Jermoły, potrosze w tém i swego pilnując zysku, wziął się zaraz do roboty.

Hudny dostał dwadzieścia złotych za pozwolenie kopania gliny i wystawienie pieca, najęto dwóch ludzi do wyporządzenia izby i w kilka tygodni stary Jermoła już miesił, gnoił, toczył, suszył, zabierając się do wypalania pierwszych garnków popieleńskich. Sam Prokop pilnował ognia i tak ślicznie wyszły, że ich w stratę nadzwyczaj mało odpadło; a kiedy je rozstawiono w izbie, aż się oczy radowały, tak wyglądały schludnie i pięknie, tak dzwoniły, obiecując być trwałemi. Probę gotowania i drugiego ognia wytrzymały zwycięsko, a że nowość i na wsi popłaca, w kilka dni nie było jednej misy i jednego garnka na składzie, tak się doskonale sprzedawały. Nie popłaciło to długów, ale kozaczycha odebrała część jakąś, grosz się staremu został, Prokop się pożywił swoją częścią, ekonomowa uprowidowała, a nadzieje na przyszłość jak najpiękniejsze się były zdawały.

W czasie całego tego zamętu małego Radyonka Jermoła nie spuścił z oka, ani z rąk, o ile tylko mógł. Chłopak się też stawał coraz mniej zawadny, rósł, roztropniał i już można było przewidzieć, jakie śliczne zeń będzie pachole. W najkłopotliwszych chwilach Jermoła porzucał go u Horpyny, która temu gościowi zawsze była bardzo rada, ale nocy nigdy mu nie dał przebyć pod obcym dachem, bo smutno już było na dłużej pozostać bez dziecięcia. Nawet biedna koza w takich razach nie wiedziała, co począć; zostawszy przy dziecku, beczała za starym; pobiegłszy za Jermołą, tęskniła do Radyonka.

Szczęściem najtrudniejsze do przebycia pierwsze chwile nauki i wprawy przeszły wprędce. Jermoła przekonał się o prawdzie przyszłości, że nie święci garnki lepia, i uczeń pojętny pochwycił żwawo pierwsze zasady swęj sztuki, ale toczenie i lepienie, przysposobienie gliny daleko było łatwiejsze od układania garnków w piecu i wypalania ich. Tu umiarkowanie ognia, dopilnowanie go, zagaszenie w porę, poznanie dojrzałości, żeby wpeł surowe i przepalone nie wyszły, stanowiły dość trudne zadanie, potrzebujące i wprawy i doświadczenia i wiadomości pewnych.

Prokop, który chciał zawsze być staremu potrzebny, tajemnice owe półgębkiem tylko wyjawiał; musiał je odgadywać Jermoła, sam niejako domacując się prawdy. Silna wola, skupiająca wszystkie władze umysłowe na ten jeden przedmiot, i to mu wielce ułatwiała.

Pierwsze lody były przełamane, a gdy zima przeszła i druga wiosna zalała brzegi Horynia; gdy znowu flisacy pokazali się nad rzeką, Jermoła już naprawdę został garnkarzem i cały swój zapas garnków sprzedał cieślom i robotnikom przy drzewie. Rozerwano je w okamgnieniu, ekonomowa się pogniwała; stary swoje nawet garnuszki musiał poddawać.

Mały Radyonek rósł tymczasem szczęśliwie i tak się bujnie rozwijał, że w sercu było błogo nań patrzeć. Belkotał już to słodkie imię ojca, które lzy z oczu wywoływało Jermole, próbował chodzić, nie potrzebował staręj kozy, bo i ze skórką chleba dał sobie rady, a Żydówka pocziwa służyła mu tylko do zabawy.

Przybyło i koźlę do tego gospodarstwa, zaco się Jermoła nie gniewał, choć więcej nięm zajęta Żydówka, przeniosła często naprzykrzone dowody swojego przywiązania na rodzonego syna. Radyonek też zabawiał się z tym braciszkiem jeszcze wcale niestrasznym w sposób tak śmieszny, że stary często, patrząc na nich dwoje, brał się za boki, a że później miał zawsze powód do tego wyściśkać dziecię, i koźlęciu był wdzięczny.

Do tęg smutnej i osamotnionej przed rokiem pustki dziś z podrutkiem razem wstąpiły: nadzieja, wesele i życie. Trudno było

poznać Jermołę, tak wymłodniał, tak się stał czynnym i żwawym. Część karczmy, którą zajmował, wylatano, nanowo pokryto, wyprzedzono drugą izdebkę, ogród, gdzie teraz był piec, miał już płoty i wrota porządne; widać było choć powolny wzrost zamożności. Do kozy i jój synka przybył służka nowy, którego do pomocy wziął Jermoła, chłopak lat około dziesiątka, sierota także, zwany Huluk. Samemu trudno już było podolać na wszystko, a wyrostka miał czém zapłacić. Kobiety tylko brakowało w chacie, ale stara kozaczycha zastępowała im gospodynią; u niej się chleb wypiekał, bieliznę szyła i prała, a po części warzyła strawę i przygotowywała zapasy spiżarniane.

Ile razy Jermoła chwalił się swoim garncarstwem, wdowa zawsze przypominała mu ów pęknięty garnek, który do niego pierwszą myśl podał, a jak często zdarzenie to opowiadała, wyliczyć trudno. I jój téż jakoś Bóg szczęścił w tém, czego najmocniej pragnęła, bo Horpyna nareszcie wyszła za mąż bardzo świetnie. Pisarz ów, który oddawna do niej dojeżdżał, umizgał się, kręcił, rozpatrzywszy lepiej, a serca widać pohamować nie mogąc, naostatku oświadczył się starszuce. Nie było jój to może po myśli, bo choć córka szła za jednodworca i niby los robiła, ale wdowa wolałaby gospodarza, wieśniaka, któryby przy niej został przyjakiem. Chłopcu zaś o tém ani gadać było, na gospodarstwo wiejskie przechodzić nie myślał, wybierał się ekonomować i robił Bóg wie co, kozaczycha więc traciła córkę i sama jak palec zostawała w Popielni na dożywociu. Po szumném weselu, kiedy żonę nazajutrz wzięwszy, pisarz odjechał z nią do domu, wdowa w swój pustej chacie wytrwać nie potrafiła, tak jój te kąty, przypominające córkę, osmutniały i poszła na cały dzień do Jermoły. Odtąd rzadko doba upłynęła, żeby go nie odwiedziła, mogąc się z nim przynajmniej wygadać o Horpynie, o swém sieroctwie, a taki i Radyonek ją trochę obchodził, bawił i rozrywał, starucha przywiązała się doń powoli.

Przeskoczmy teraz lat więcej dziesiątka i spojrzymy znowu na tych, których porzuciliśmy dziećmi i starcami, pracujących z nadzieją na przyszłość.

Wiele się tu odmieniło, a naprzód niktby Radyonka nie poznał, tak wyrósł i dojrzał zawczasie.

Ludzie wiejscy, których dzieci, pracą przybite, powolniej odrastają od ziemi, patrzyli nań z podziwieniem i potrząsali głowami,

szepecząc pocichu, że w nim krew musiała być szczęśliwa i silna, która taki wzrost, wejrzenie i raźność mu dawała. W istocie ani go było porównać do rówieśników ulicznych, ale też żaden z nich takiego jak Jermoła nie miał ojca i nie wyrósł na kolanach ukochanym jedynakiem. Wśród tłumu zaraz na siebie ściągał oko: rysy twarzy miał bardzo regularne, owal nieco przedłużony, oczy piwne, pełne życia, nos prosty, usta małe i nieco wystające, co im nadawało wyraz szczególny, niby z odrobiną dumy, niby z uczuciem siły. Ten charakter fizyognomii powiększało jeszcze podgolenie głowy wysokie, będące we zwyczaju na Polesiu, istotnie twarz uszlachetniające uwydatnieniem czoła; na wierzchu tylko głowy pozostawiony włos długi, piękny spadał na tył z fantazyą w puklach złocistych. W budowie jego ciała nie znać było, że mu brakło macierzyńskiego pokarmu, tak była silną i krzepką. Barczysty w ramionach, obiecywał wzrost więcej niż mierny, a wychowanie proste i nawyknie nie wczesne do pracy, powietrza i niewygód, dało mu gibkość, sprężystość i zręczność niemal dzikiego zwierzątka.

W wejrzeniu Radyonka malował się rozum bystry, śmiało było i pewne, jakby o walce życia i ciężarach jego nie miało pojęcia, lub całkiem się ich nie obawiało. Gorących uczuć, ciekawy, żywy młody chłopak, wychowaniu starca troskliwemu i pieściotliwemu winien był rozwinięcie swoje, ciepłym sercem i miłością ojcowską przyspieszone. Miłość przelewa się w otaczające istoty, uzacnia, podnosi, nadaje rozum i władzę, jakimi nic w świecie obdarzyć nie może. Otoczony opieką, czuwaniem i staraniem Jermoły, wszystko, co go okalało od dzieciństwa, widząc łagodnym i przyjaznym, przywykł do tych uczuć Radyonek i upodobał w nich sobie, kochał wszystkich i czuł, że mu z tym było dobrze. Cała też wieś uważała go, rzecz można, za swojego wychowanka, i, wyjąwszy ekonoma Hudnego, zawsze jeszcze mieszkającego w Popielni, chociaż wybierającego się co roku na dzierżawę, który chłopca nie lubił, reszta go kochała i pieściła.

Wioskowa młodzież, chłopaki i dziewczęta, szli na jego skinienie w każdej sprawie, a on, choć trochę lepiej od nich wyglądał, choć więcej umiał, nigdy nie pomyślał nadużyć swęj siły, albo się nią przechwalać. Usługiwał drugim, ale nie szkodził nikomu. Żaden też ojciec ze krwi nie wychucha tak swego dziecięcia, jak Jermoła Radyonka. W pierwszych latach hodował ciało; później, gdy się oczy i usta otwarły, począł wypieszczać duszę i zbroić ją w siły na życie.

Instykt przywiązania wskazał mu wybornie drogę, jaką miał postępować.

I stał się tu cud, który często niepostrzeżony przechodzi po świe-

cie — nauczyciel wykształcił się razem z uczniem, wola wyrobiła serce, uczucie rozjaśniło rozum. Szukając dobra dla dziecka, Jermoła znalazł je dla siebie, z zamaryłych nasion wyrosły owoce późne, ale piękne.

Chcąc nauczyć dziecię, musiał sam wprzód szukać nauki starzec, ślezczał, zgadywał, badał, modlił się, trafiał na to sercem, na co rzadko rozumem wpaść można.

Maluczko tam było tej nauki, ale wielkiej. Dziecię umiało czytać, a innej książki nie znało nad ewangelią... Ta je odrazu wykarmiła zdrowym słowem życia.

Oprócz tego starzec zawsze w obawie, by sieroty zawczasie nie odumarł, jak tylko rękami władać począł Radyonek i siłę miał po temu, wprawiał go do rzemiosła, oswajał z potrzebniejszymi w powszednim życiu tajemnicami, które oswobodzają człowieka, czyniąc go mniej zależnym od drugich. Wieśniacy nasi wszyscy są jeszcze na tym stopniu pół-dzikich ludów, które wyższość ich nad ucywilizowanymi stanowią, mogąc bez cudzej pomocy prawie wszystkie swe zaspokoić potrzeby. Chłopek umie mnóstwo rzeczy; codzień co innego robić będąc zmuszony, jest zarazem rolnikiem, cieślą, stolarzem, budowniczym, mularzem, farbiarzem, tkaczem, a w gwałtownej potrzebie wynajduje łatwo środki poradzenia sobie.

Inaczej się ma z ludami w stanie wyższej cywilizacji żyjącymi i spojonemi w solidarniejszą całość. Nie powiem, żeby to stanowiło ich wyższość; przemienieni na osadników w krajach nowych angielscy wysłańcy po większej części upadają pod ciężarem życia, któremu podołać nie mogą. Nie tylko w wielkich miastach, ale po wsiach nawet każdą rzecz kupuje się gotową, a zatem jedno się tylko umie i zamianą zdobywa resztę. To prawda, że to jedno fabrykuje się dobrze, tanio i zyskuje na zamianie, ale takie wyłączenie człowieka i uczynienie prostym kółkiem maszyny, które tylko na swoim miejscu na coś się przydało, a wyrzucone z osi, nie przyda się nigdzie, nie może być zdrowej cywilizacji wynikiłością. Nieopatrzny-to i niespodziewany skutek zbytecznego podziału pracy, który ma wielkie korzyści, ale posunięty do ostateczności, jest także wielkim niebezpieczeństwem. Myśmy w tym względzie nie podpadli jeszcze przesadzie, na jaką już Zachód chorować poczyna.

Jak każdy chłopiec wiejski tego wieku, Jermoła umiał wiele rzeczy, które nabył w codziennych wypadkach pospolitego życia, a nie liczył ich nawet za umiejętność; — przecież były-to zapoznane skarby.

Z rzemiosła garncarz i garncarz wyborny, oprócz tego potrosze był rybakiem, nauczywszy się za zabawkę stawiania wężycy i użycia ości; siekierą robił zręcznie, nie obca mu była ciesiołka, znał się

z wozem, a w powszedniem gospodarstwie potrafił mnóstwu drobnych zajęć dać radę, które gdzieindziej są rzemiosłem wyłącznem.

Gdy dziecię to tak szczęśliwie podrasowało i stawało na nogi, Jermoła przez ten lat dziesiątek niewiele na oko postarzał. Powierzchnie zmieniał się mało: trochę nagiął się tylko, skurczył, posuwał nogami czasem, ale wespół z przybranym synem garncarzował, krzątał się i ciągle czynność utrzymywała w nim siły. W nauce życia, której, niestety! nie uczą nigdzie z katedry, wielka-to także tajemnica czynność nieprzerywana; wielu starców zawczesnych sami się wyrzekli życia, któreby przedłużyć mogli, nie dając ognisku wygasać. W pracowitej doli wieśniaka do ostatniej godziny, do choroby ostatniej dni są zawsze zajęte, ciało nie twardnieje w gnuśnym spoczynku, ruch je podsyca, krzepi, zastala. U nas często dobrowolnie pieścizota i niemoc umysłowa zabija ciało, nieużyte organa ulegają rodzajowi atrofii, władze moralne nawet niszczeją, nie wprowadzone w czynność; kładziemy się spać i już później nie wstajemy. Jermoła żył w ruchu i pracy i, nie starzejąc widocznie, zawiadł tylko.

Wprawdzie robota około garnków, dość lekka, i krzątanie się domowe całém były jego zajęciem, bo go w cięższych rzeczach wyręczał Radyonek i Huluk; ale życie było niepróżne, a pod pozorem starości ani godziny więcej nie dawał sobie spoczynku. Spokój umysłu i serca wpływał na utrzymanie go w tym stanie błęgiego bytu i zdrowia. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, żeby kto kiedy o dziecię jego mógł się upomnieć i śmiał mu je odebrać. Jeszcze lat kilka, a spodziewał się je widzieć usadowione bezpiecznie, ożenione, nie potrzebujące pomocy, idące o własnych siłach. Garncarstwo szło im coraz a coraz pomyślniej, stary Prokop zmarł coś w lat kilka po przelaniu swojej umiejętności na Jermołę; piec jego, utrzymywany zrazu przez parobka, później coraz gorszych dostarczając wyrobów, upadł w ostatku całkowicie. Nie potrzebował tego Jermoła dla odbytu swoich garnków, które i tak rozprzedawały się wybornie; ale nie szkodziło mu i to, że Małyczki zasposabiały się teraz w Popielni. Zresztą garnki tutejsze tak były lekkie, mocne, tyle miały przymiotów, że się z niemi napraszać nie mieli potrzeby, a nawet rzadko wozic je musieli i to nie dalej, jak na targ do miasteczka, gdzie żydzi i przyjezdni natychmiast je rozchwytywali. Sąsiedni zdunowie robili tylko czarne i kruche; ukazanie się białych na targu zabiło całkiem odbyt ostatnich.

Jermoła robił wedle form i zwyczajów, tylko różnych miar garnki gospodarskie, misy i hładysze, nie myśląc o czém inném; ale gdy podrosł Radyonek, chłopak przebiegły a żywy, znudziło go wkrótce jedno toczyć a jedno. Najprzód owe czerwone pasy, pręgi i legotki,

zawsze jednostajne na wszystkich garnkach, począł coraz przemieniać i bawić się figlami, które na nich rysował; potem przysłała mu ochota dziwaczna wyrabiać niebываłych kształtów garnuszek, dzbanuszek, dwojaczki, aż do tego przyszedł, że i koniki ze świstałkami (zabytek indyjski pono, bo tam koniki takie gliniane są talizmanem, strzegącym pól i ogrodów) i różne dla dzieci małe zabawki wyrabiać spróbował. Wszystko źle się wypalało, nie udawało zrazu, ale stary na te trzpiotowate próby pozwalał, boć chłopak musiał się czémś zabawić.

Kiedy to pierwszy raz na targ wywieziono i rozstawiono na rynku, zleciały się baby i, spostrzegłszy różne rzeczy nowe, bardzo potrzęsały głowami, garnki niezwyčajnych rozmiarów przerażały je; przywykłe były już do swoich znajomych, krytykowały więc tę formę niepotrzebną. Ale młodszym i dzieciakom te drobnostki tanie a pocieszne podobały się, bogatsze gospodynie zamiast obwarzanków powiozły dzieciom koniki i dwojaczki maciupęńkie, a koniec końcem rozkupiło się to bardzo dobrze. Jermoła śmiał się i rad był, w głowę Radyonka całował; chłopiec, klaszcząc w ręce, wieształ mu się na szyi.

Ale na tymże targu wpadły mu w oko gdzieś misy polewane, tygielki w środku zielone i różne wyroby ze szklistą powłoką, której dawać nie umieli; chłopiec począł się już tём niepokoić.

Wrócili do domu; Radyonek posmutniał.

— A toż się cieszyć powiniens — rzekł mu Jermoła. — Powiodło ci się nad moje spodziewanie. Czego się znów chmurzysz, moje dziecko?

Chłopak uściskał go w milczeniu.

— Ot, co, ojcie — rzekł — polewa ta spać mi nie da.

— Polewa! znowu co nowego! A nam to naco? Garnki nasze i tak się dobrze, dzięki Bogu, sprzedają! Na polewane roboty innėj podobno gliny potrzeba, robota insza koło tego, zachód nowy. Do czego sobie tём głowę suszyć?

— Ale-bo to nie widziałeś, ojcie, jaką cenę brał garncarz za polewane misy... A jakie to harnel... malowane w liście różne i taki czysciejsze i mocniejsze... Ludzie mówią, że strawa się w to nie wjada i nie przechodzi, wymyć łatwiej. Czemu byśmy, baćku, i my nie mieli się nauczyć polewy?

— Ot! co ci się zachciewa! — westchnął Jermoła ciężko, obawiając się zmiany, bo z dotychczasowej doli był kontent. — Nie wiesz, dziecko, jak to rzecz trudna! Mnie już do nowego ciężko, tobie jeszcze zawczasu; gdy zechcesz, to się i później nauczysz.

Radyonek nie już nie odpowiedział, ukrył w sobie gorące pra-

gnienie, ale polewy nie zapomniał, tylko, dla spokoju starego, już o niej nie mówił.

Ale ojciec, który pragnął nad wszystko dziecku swojemu dogodzić, choć nie był pewien, czy się uda, i dlatego nie łudził go nadzieją zawczasie, aby na zawodzie nie cierpiał, nie omieszkął starania i począł przemyślać o owej nieszczęsnej i kłopotliwej polewie. A że u niego nic się nie działo bez kozaczychy, więc poszedł wieczorem do niej na radę.

Tu także lat dziesiątek wielkie, choć powolne zrobił zmiany: wdowa podupadła na siłach, choć zawsze jeszcze trzymała się na czele swojego gospodarstwa; Horpyna już gdzieś we wsi była ekonomową o mil parę i, zacząwszy nosić szlafroczy i chustki na głowie, a nareszcie czepeczki i kapelusze, niebardzo się do matki przyznawała, chcąc trochę za szlachciankę uchodzić. Rzadko już przyjeżdżała do Popielni i to zawsze tylko z jakąś potrzebą; ale stara Harasymicha błogosławiła chwile ciężkie, gotową będąc do datku, byle się przez dni kilka córką i wnuczętami pocieszyć. Gdy się przyszło rozstawać, a nigdy jej nawet dziecka zostawić nie chciano, kozaczycha upłakała się, siedziała potem dni kilka milcząca u pieca, łązy łykając, ale i w tém dogadzając córce, wstydu jej sobą robić nie chciała i nie jeździła do niej. Ten stan ciągłego pragnienia i samotności zrobił kozaczychę smutniejszą, niż dawniej była: jedyną dla niej pociechą stał się Jermoła, z którym o Horpynie mówić mogła, poskarżyć się i poboleć; on nawzajem naradzał się z nią o Radyonku i bez niej nie wziął się do niczego ważniejszego. Teraz też, gdy się począł polewą zajmować, zaraz z nią do starej przyjaciółki pospieszył, zostawiwszy Huluka i Radyonka uprzątających coś koło warsztatu.

— No! a coście tam nowego przywieźli z jarmarku? — zapytała wdowa. — Nie było tam mojej Horpyny?

— A była — rzekł Jermoła. — O! ani jej poznać, taka teraz pani. Przyjechali parą końmi w półszorkach rzemiennych, wózkim malowanym: *kudy мене wedesz!* Stanęli w karczmie i kupowali coś po sklepach.

— A nie pytała się ona o mnie? — westchnęła stara.

— Owszem, owszem, jakże nie; kazała się kłaniać — podchwycił dworak. — Wołała mnie umyślnie do siebie i pogładziła pod brodę mego Radyonka.

— A miała z sobą które z dzieci?

— Nie, żadnego...

To rozpytywanie nie miałoby końca, gdyby smutny wyraz twarzy przyjaciela nie uderzył kozaczychy.

— A co ty nie słaby? — zapytała. — Coś tobie jest?

— Oj! odgadliście, matko! — zawołał, siadając na ławie, starsuszek — mam znowu bięde...

— Ano, to mi ją powiedzcie, poradzimy.

— Trudno! Mój chłopak, jak to gorączka a młode, najrzał na targu polewane naczynia; teraz mu ich z głowy nie wybić: zachciało się polewy!

— A co, nie mówiłam?

— Mówiliście?

— Jakże nie! Przypomnijcie-no sobie, jak zaczął koniki lepić i te garnuszki nie do rzeczy, w które zaledwie półkwaterek wiazi, zaraz-em prorokowała, że mu się, poczekawszy, polewy zachce.

— Otóż się tak i stało — rzekł Jermoła. — Ani teraz wyper-swadować. Ja go trochę pomiarkowałem, ale chciałoby się dziecku dogodzić, a nie wiem, jak.

— No! to pójdziesz się polewie przypatrzeć.

— Moja matko, jabym to zrobił, ale czy potrafię? Garnek zlepić, to inna rzecz; polewa trudniejsza daleko, bo to tam, słyszę, do niej różne kramne rzeczy wchodzą: trzeba wiedzieć, jak to smażyć... Oczy mi nie służą, pamięć nie po temu... — westchnął stary. — A takby się chciało dziecku dogodzić!

— Cóż zrobicie? — spytała kozaczycha.

— Sam nie wiem jeszcze; kupić nie kupić, potargować można — rzekł Jermoła — jużciżby choć spróbować potrzeba.

— Byłam tego pewna — odpowiedziała stara z uśmiechem. — Jakbyście to wy potrafili oprzeć się w czém swojemu dziecku? Znam ja to, znam; to tak właśnie, jak ja z moją Horpyną: człowiek stęknie, ale musi robić, co oni zechcą... Pójdziesz gdzieś nieboraku za polewą.

— Jużciż pójde — westchnął Jermoła — alebym chciał, żeby dziecko o tém nie wiedziało. A nuż się tam nie uda? będzie go już korciało. Zato jak się robi, o! to będzie radość!

— Zupełnie tak jak ze mną — zawołała kozaczycha — słowo w słowo. O, mój Boże! ja to znam! Ale dokądże pójdziecie?

— A cóż? wezmę trochę grosza i pociągnę do tych garnarzy, co na targ polewę wywożą; za pieniądze mnie nauczą. Bylebym ja cokolwiek rzecz pokosztował, byleby się zresztą zgodzili! Jak ja nie potrafię, zaprowadzę malca; on to odrazu pojmie! Boję się tylko, żeby mnie nie przegnali... A jak się tu do tego brać? przyjsć z tém do nich, żeby im chleb odbierać?

— Już to prawda, że nie z każdym tak pójdzie jak z Prokopem, ale *nad syrotaju Boh z kabitoju* — dodała — jakoś to będzie.

— Tak-to i ja myślę — rzekł, wstając, Jermoła. — Ja jutro ni-by za inną sprawą pociągnę do miasteczka. Moja kumo, miejcie

oko na Radyonka, żeby z Hulukiem razem nie zmałowali czego, bo gotowi popłynąć dziurawem czółnem, albo co!

— E! to chłopcy stateczne.

— Niczego, chwala Bogu, ale pałki szalone; jak im co do głowy zaświta, gotowi polecieć w las, pójść nad rzekę... Uchowaj, Boże, jakiego nieszczęścia!

— Trudnoż mnie ich dopilnować.

— Ale najrzyjcie i przestrzeźcie, a choćbyście i połajali... byle niebardzo ostro... niebardzo.

Kozaczycha się rozśmiała i tak się starzy rozstali, a Jermoła, powróciwszy do domu, zaraz chłopcu zapowiedział, że mu żydzi w miasteczku za garnki zawinili i kazali po jarmarku przyjść po pieniądze; że musi pójść długi odbierać, więc może kilka dni zabawi, przestrzegając, żeby pod jego niebytność domu pilnowali i wzięli się do roboty, a rzece i lasom dali pokój.

— A to wy piezkiem iść myślicie? — zapytał Radyonek.

— A cóż? wszak-ci konno nie pojedą! — żartując, odparł stary.

— Alebyście sobie wóz nając mogli.

— E! pożał się Boże! Koni u nas we wsi niema prócz Chwed'kowej kobyły, której się nie doprosić; a wołami jechać, to lepiej już iść piechotą. Przymem nogi zaklękają, ustawicznie siedząc; trochę się człek rozprostuje.

Stary nie liczył lat swoich, a siedzeniu tylko przypisywał osłabienie nóg, które było skutkiem wieku. Żał mu było grosza wydać, bo od czasu, jak się im cokolwiek lepiej wiodło, składał dla Radyonka, co mógł, żeby na czarną godzinę nie zostawić go bez zapasu. Wolałby być z Chwed'kiem pojechać, ale na to trzeba było wydatku, a dla siebie Jermoła był oszczędny.

Nie mógł go chłopak namówić, żeby furę najął, ale z wieczora cichaczem posłał Huluka na zwiady, czy kto nie jedzie do miasteczka, i za swój grosz tak najął wóz, żeby Chwed'ko nie powiadał, iż jedzie najęty, ale darmo podwozi Jermołę, mając inną sprawę do miasteczka. Trafili szczęśliwie do Chwed'ka, że nie był zamówiony; stary, wzięwszy dwa złote, podjął się udawać i kłamać. Z wieczora już wszystko Radyonek ułożył, a po powrocie Huluka ze wsi przyszedł i, starego w rękę całując, rzekł:

— Mój bat'ku, tylko cośmy się spotkali z Chwed'kiem; on jutro jedzie swoją kobyliną do miasteczka; nudno mu samemu, więc prosi, żebyście z nim jechali; grosza nie dacie.

— Chwed'ko? gdzie? jak? — niedowierzająco spytał Jermoła, ściskając Radyonka. — Ej! czy tylko nie bałamucisz, moje dziecko?

— Ale nie! Poświadczcież, Huluk! — zawołał Radyonek, któ-

ry nad parobczakiem taką miał władzę, jaką zawsze daje wyższość umysłowa, połączona z sercem poczciwem.

— A jakże nie! — podchwycił chłopak gorąco. — Sam słyszałem, jak prosił, żebyście się bez niego nie wyrwali, bo on tu jutro dodnia przed chatę zajędzie.

Jermoła pokiwał głową, myśląc już tylko, jak się dalej dostanie, ale rad był, że Chwed'ka mu złapali i nóg nie namęczy; ucałował Radyonka raz jeszcze i położył się spać, przemyślując o polewie.

Radyonek milczący dumiał o tém samém, a choć się nie odzywał, żeby starego nie męczyć, wciąż mu chodziło po głowie, jakieby to on dzbanki i misy robił, jakby je ślicznie malował zielono, czerwono, czarno, biało i żółto, gdyby tylko umiał. Usiłował odgadnąć, jaka w tém tajemnica być mogła, ale biednemu dziecku bez żadnej wskazówki niepodobieństwem było wpaść na tor jakiś; wzdychał tylko i biedził się ten wiejski Bernard Palissy.

Nazajutrz raniuchno na dzień się zbierało gorący i od świtu straszliwie wypogodzone było niebo, co zawsze zapowiada niepogodę; nad lasami nawet białe, maluczkie obłoczki polatując, zwiastowały zebrać się na wieczór mającą burzę, słońce piekło, wiatru ani powiewu. Chwed'ko słownie przystawił się ze swoim wozem i szkapą, i co lepiej, umiał Radyonkowi dochować tajemnicy. Wszedł do chaty oznajmić się i fajkę zapalić, powołując Jermołę, jakby z łaski zajechał, i narzekając na tę podróż.

— No, kumie, a prędko? Wybierajcie-no się; we dwóch nam będzie weselój. Licho mi nadało interesa do miasteczka, a tu skwar, a tu ogniem pali... Co to będzie o południu! Trzeba pośpieszać! Siadajcie-no, siadajcie, nie marudźcie!

Jermoła pokryjomu tylko wziął z groszem węzełek zanadrę, zapalił lulkę i już był gotów.

— Jedźmy, kumie.

Starzy przyjaciele umieścili się oba w półkoszku na wiązce siana i dereszowata, odwieczna Chwed'kowa kobyła, zaprzężona w chomąto i duhę prostą, obejrzawszy się na swojego pana, wolno ruszyła drogą przez wioskę.

W tém życiu naszego ludu stworzenia, które są mu pomocą, składają razem niejako towarzystwo jego: owieczka, koza, krówka, byczek, koń, nawet gęś i kura są-to wszystkie przyjaciele serdeczni, druhowie; ile to po każdym z nich płaczu, choć z niemi tyle kłopotul

Po przyjacielsku gniewają się na siebie, biją, kłocą, przeklinają, ale niechże bydłatko zachoruje, lub, broń Boże, zdechnie, ile łez, jakie tam żale! Chwed'kowa dereszowata, o której tu nareszcie wspomnieć muszę, bo na to ze wszech miar zasługuje, należała do tych istot wybranych, z którymi życie jest ciężkie, ale bez których obejść się nie można. Wielkich przymiotów i wad ogromnych, stanowiła bogactwo swego pana, jego utrapienie i pociechę, a w życiu jego niezmiernie ważną odgrywała rolę. Naprzód w tej wsi poleskiej, jak inne tego rodzaju, prawie całkiem obrabiającej rolę wołami, była niemal jedynaczką; znano ją, szanowano powszechnie i na nią opierały się wszystkie przyspieszone posyłki, do których najmowano Chwed'ka nieustannie. Zarabiał nią stary w rok najmniej jakie trzysta złotych, to jest trzykroć więcej, niż dereszowata warta była, jeżdżąc do miasteczka z posyłkami, zajmując się z żydkami i t. p. Woły wozily belki z lasu i odrabiały z chaty pańszczyznę, a sam Chwed'ko utrzymywał się całkiem z tej klaczy. Wyżywienie jęj niewiele go kosztowało, w lecie bowiem nie znała nic prócz zielonej paszy podnożnej, a zimą zgoniny, sieczka, plewy, garść siana, rzadki garniec owsa wystarczały wstrzemięźliwej z musu chudzinie. Niezbyt rosła, stara jak świat, bezdietna zawsze, zdrowa i niezmiernie wytrwała, do pociągu silna, dereszowata miała moc charakteru i grzbietu nadzwyczajną. Małym kłusikiem, w miarę obładowana, ciągnęła, byle jęj nie pokazywać batoga; uderzona, stawała i nawćwczas żadna siła ludzka ruszyć jęj z miejsca nie mogła. Chwed'ko tóż dla proporcji, jako insygnia, nosił batog, bo znów żaden wieśniak bez niego z domu nie wyjedzie, ale go nigdy kobyłe nie pokazywał; a jeśli, podpiwszy, ćwiknął nieostroźnie, pewnie zato pół godziny w miejscu pokutować musiał. Instynkt dereszowatej, długim nabyty doświadczeniem, był nieomylny: wiedziała, dokąd pan jechał, wiozła go, kierowała, omijała kałuże, wybierała drogę, zatrzymywała się, gdzie było potrzeba, z trafnością podziwienia godną, choć lejce, jak batog, były tylko dla oka i całkiem się stawały bezużyteczne. Chwed'ko rozmawiał z nią jak z człowiekiem, przybierając tylko pewien głos donośniejszy, który klacz zaraz brała do siebie; swarzył się z nią, chwalił, pochlebiał, zachęcał, obiecywał, a o niej tak rozprawać lubił, dzieje jęj i czyny opowiadać, że w przysłowie poszła po wsi Chwed'kowa kobyła. Gdy kto co nazbyt często powtarzał, śmiano się z niego, mówiąc: *O! o! Chwed'kowa kobyła!*

Wywdzięczając mu się, dereszowata nikogo tóż znać nie chciała prócz niego i obcy człowiek nie miał do niej przystępu, tak była złośliwa i uparta; jeden Chwed'ko mógł sobie z nią dać rady. We wsi znali ją tak wszyscy, jak kozę Jermoły dawniej, póki nie zdechła, jak gniadosza Hudnego i srokatą krowę Szmulowej. Typ na-

szego konia wiejskiego, niepozorna, mała, grubo-płaska, koścista, z nogami grubawemi, ale dobrze zbudowanemi, na zębach, z przywileju *wrześniaków*, zawsze siódmy rok pokazująca, dereszowata z początku każdej podróży nalegała na jedną nogę, ale ta *ułoga* ją mijała, gdy się nieco rozeszła i rozgrzała. Żeb miała dosyć duży, jedno oko nieco przybolałe, sierć miejscami powydrapyaną, bo się tarła w stajence o chróścianą ścianę, grzywę i ogon potrosze straciła; — trzechby groszy za nią nie dał, spojrzawszy, ale niejeden dobrze pasiony szkapa, z pozoru piękny, nie sprostałby jej w wytrwałości. Cały dzień mogła nic nie jeść i żyć tylko napojem, bo żydzi i chłopci po sześć razy konie poją, pewni, że to po części zastąpi owies, którego szczędzą. Głód był dla niej pospolitą rzeczą: na noc zaspakajała się trochę siana i garścią zgonin, nie przebierała w jadle, nie potrzebowała podściółu, trawę gryzła, gdzie już tak było czarno, że zdaje się, iżby i gęś nie pożywiła się; skrzywdzić się jednak nie dała.

Zwąchawszy worek z owsem, pewnie go odwiązała i wyjadła, odgryzła się z oboroti potrafiła, czując w tém korzyść lub wygodkę; cudzemu koniowi odebrała zawsze obrok, choćby się o niego pokąsać przyszło, a obronić się czy psu, czy ludziom umiała nie tylko kopytami, ale i zębami. Obcy musiał bardzo do niej przystępować ostrożnie, gdyż na wszelki wypadek, nie znając intencji, a posądzając o niedobre, zawsze nieznanego częstowała wierzgnięciem. Nieoszacowane to stworzenie, wedle najumiarkowańszej rachuby, służyło Chwed'kowi lat już ze dwadzieścia, a pewnie nie później piątego roku było do zaprzęgu wzięte; dotąd jednak, prócz trochy początkowej astmy, nie miała innego defektu.

Usiadłszy na wozie, pozapalałwszy fajki, Chwed'ko i Jermoła, nie zważając już wcale na dereszowatą, która wzięła na siebie pokierowanie podróżą, poczęli gawędzić swobodnie.

— A pamiętacie, kumie, jak to ja wam kożę kupowałam? — rzekł stary, śmiejąc się. — He! Szmul jeszcze mi to do dziś dnia pamięta.

— Bóg ci zapłać, Chwed'ku; ślicznie się nam udało. Choć koza zdechła, ale mi dziecko wyżywiła.

— Niech Bóg szczęści, śliczny chłopak.

— Aż pociecha patrzeć, gdyby jagoda! A! a! co to za chłopiec! — dodał Jermoła. — Rok-by o nim potrzeba gadać, żeby wypowiedzieć, jakie to poczciwe, rozumne i śliczne i roztropne...

— Jak moja kobyła — dorzucił Chwed'ko — nie porównywając, co to za skarb dereszowata! Anu! wiu, staruszek! wiu, gołąbko! wiu! het!... A wy się na starość wyprowadzili na garncarza?...

— Ha! potrzebać było dać chleb dziecku.

— Zapewne... Ale czy to myślicie, że się o niego rodzice nie upomną dó końca?

— A któżby się miał upomnieć? — zawołał niespokojnie Jermoła. — A nacóżby go rzucał, żeby się potem dopominać?

— Ta! to się różnie trafia — odparł Chwed'ko — bywa i tak, że rodzice się wyrzekną nazawsze, ale bywa, że potem przyjdą i powiedzą: oddaj nam nasze.

Jermoła aż się wzdrygnął.

— A jakie ono ich? — krzyknął — a co to? przecież go rzucili nieboraka precz! A kto go hodował, harował, pracował i chuchał? Więcej on dziś mój, niż ich...

— Myślicie? Ja to tam nie wiem — rzekł Chwed'ko — ale tak sobie kmetuję różnie... A powiedzieliście malcowi, jak do was przyszedł?

— Nie robiłem z tego tajemnicy — odparł Jermoła — zresztą i ludzie i cała wieś wie o tём; byliby beze mnie dziecku wyspieli; naco było taić? Zaraz-em mu całą rzecz, jak była, wypowiedział, skoro do rozumu przyszedł, ale chłopak mówi, że gdyby się teraz i opatrzyli rodzice, on już mnie nie porzuci.

— Dobre dziecko.

— Złoty chłopiec, sokół, mój Radyonek.

— Et! powiedzcie-no mi, poco wy do miasteczka jedzicie? — zagadnął po chwili Chwed'ko.

— A prawdę wam powieźć? — rzekł Jermoła.

— Jużciż; a cobyście mieli zmyślać?

— No, to ja nie do miasteczka jadę, a dalej...

— Ot, to! a chłopiec wasz mówił, że jedzicie długi u żydów odbierać?

— Tak-em-to ja przed nim pobałamucił... ale to co innego.

I tu Jermoła z westchnieniem opowiedział staremu historyą polewy, a Chwed'ko splunął, ruszając ramionami.

— At! zachciało się dziecku kafli z pieca! Kiedy wam dobrze, trzymalibyście się tego, co jest, a nie szukali lepić; czasem, kumie, zbyteczna mądrość — to także głupstwo. Robicie proste garnki, na to macie kupców codzień, lada żebrak bez was sobie jadła nie uwarzy; najuboższy potrzebuje garnka. Z polewą to już inna rzecz: we wsi niewiele jój kto weźmie; musicie do miasteczka. Żydzi od was będą szachrować, na targu sprzedaż licha; to całkiem co innego.

— Ale się chłopcu zachciało...

— Zobaczycie, że to nicpotem.

— Ano, a cóż robić?

— Jeszczeż mniejsza o to; dla próby nie zginiecie, ale czy my-

ślicie, że ci garnarze od polewy tak się rublem skuszają, że wam swój sekret wydadzą?

— A ja i dobrze zapłacę.

— Zawsze oni nie głupi za szeląg sprzedać złotówkę, wiedząc, że im chleb z gęby odbierzecie, boć dla zabawki tego nie będziecie robili.

Jermoła posmutniał i opuścił głowę.

— Wiem-ci to ja — rzekł — ale kiedy Pan Bóg raz pomógł, nie opuści i do końca. Źle było z Prokopem, gliny tej anim wiedział, gdzie szukać, a ot, znalazło się i pokleilo i poszło, to i tu *jakoś będzie*.

Jakoś to będzie jest ostatecznym ludu argumentem, gdzie innych braknie; wszystko się na tém kończy; w tém *jakoś* jest wiara w Opatrzność i pośrednictwo boże.

Wtém dereszowata, która była przywykła trochę siana przegryzać zawsze przed karczemką na trzeciej części drogi do miasteczka, położoną w lesie u granicy dwóch posiadłości, stanęła sama. Chwed'ko regularnie wypijał tu kieliszek wódki i fajkę sobie zapalał.

Zawstydziło go to jednak nieco, że bez jego pozwolenia zatrzymała się dereszowata; nie śmiał tak bez racyi pójść na porcyą, ale zsiadł z wozu i siana kobyłe podrzucił.

— Ale parzy! — rzekł, wytrząsając lulkę powoli.

— Jak ukropem...

— Możebyście poszli pod dach, a ja się wódki napiję, bo czegoś po żołądku kręci.

— A skwar?

— E! nic! wódka ochłodzi.

— No, to pij zdrow, ja zapłacę — rzekł Jermoła, złażąc z wozu.

Karczemka, o której mowa, była jedną z tych jamek żydowskich, w których oni czatują na biedną chłopką duszę. Nie kryła się nawet z tém, że wódką żyła. Zajazdu przy niej nie było; mała, odrapana z tynków, krzywa, w ziemię wsiadła, placykiem tylko obszernym, który przed nią był wydeptany, świadczyła, jak była uczęszczaną.

Miejsce to u krzyżujących się trzech dróg, wśród zarośli dębowych i krzaków olszyny, szeroko wyjeżdżone wozami, dla oka badacza mieściło w sobie całą historią Dubówki (tak się nazywała owa gospoda w gąszczach postawiona). Słomy, siana, łupin, ziarenek, resztek biesiady, skorup od jaj i czerepów pełno było dokoła, nie licząc śladów pobytu licznych furmanek, które się zatrzymywały przed Ickiem często dłużej, niżeli chciały. Temi resztkami siana, słomy, plewy i czasem ziarna tuczyla się krowa i kilka kóz żydowskich, wyuczonych doskonale złodziejstwa, bo ledwie się pokazał

wóz, już pewno jedno z tych stworzeń z tyłu cichaczem przykradło się do niego wyciągnąć pożywienie; a próżno je odpędzano batogiem, bo na stuknięcie drzwi odbiegały, ale w chwilę powracały z uporem głodu i łakomstwa. Starzy gospodarze, dobrze znający miejscowość, nigdy wozu nie zostawiali przed karczemką, żeby na nim żony lub dziecku z biczem nie posadzili, dla odpędzenia napastników. A takie-to było przebiegłe, że byleby się dzieciak zapatrzył lub baba zdrzemnęła, pewnie koza, z tyłu się spiąwszy, szkodę zrobiła.

Icek, miejscowy gospodarz, był żydek najlichszego rodzaju, rudy, kulawy, głupi, ale po głupiemu chytry, a zły najobrzydliwszym sposobem. Oszukiwał bezwstydnie, niekiedy aż do bójk przychodząc z chłopami, a zawsze guzy potem swoje umiejąc zamienić na gotowy grosz, pobity, czy bijący, kierował tak, że mu się fatyga musiała opłacić.

Jak on tam żył w tej ciągłej wrzawie dnia i nocy, w boju i pracy nieustanniej, nigdy prawie drzwi nie mogąc zamknąć i spać się nie kładąc, chyba nade dniem na ławie, to należy do niezbadanych tajemnic, których rozwikłanie zbyt szczegółowego psycho- i fizyologicznego wymagałoby rozbioru.

Icek znał cały świat i wiedział naturę nie tylko pojedynczych ludzi, a częstych swych gości, ale nawet gromad sąsiednich. Zgóry, gdy zajeżdżały furmanki, umiał się na ich przyjęcie przygotować uśmiechem, kulakiem, pokorą lub miną nadętą.

— Popielańscy — mówił — to wszystko wielkie panowie; bez cebuli lub czosnku nie zakąsają, każdy prawie kugła kupi. Z Małycezek to majstry i pijaki, z Wierzbna to cyganie, a z Jurków złodzieje...

Głowę tylko Chwed'kowej kobyły zobaczywszy przez okno, poznał zaraz żyd, kto jedzie, a że pusto było w karczemce, wyszedł na próg.

— Aj! gwałt! — rzekł, wyciągając się — Chwed'ko znowu do miasteczka! Co ty tak bardzo je polubił? A! i stary garncarz! a to dziś nie targ, pewnie jaka *okazyja*.

— Aha! *okazyja*!

— A tymczasem daj no dobrą wódki.

— Co to jest dobrą? — ofuknął się Icek — albo to kiedy u mnie zła była? A waj! albo u waszego Morejne Szmula jest kiedy taka, jak moja? On połowę wody leje.

— Już to prawda, że u Icka sprawiedliwa szumówka — rzekł Chwed'ko, spluwając.

— Teraz taka, że na *okolicość* niema podobnej! Proszę-no

pokosztować! tylko panowie taką piją! Starka dwuletnia, kupiona w Bębnowie. Drogo kosztuje, ale ja lubię *recht...* u mnie tak.

Tak rozprawiając, weszli do izby, do której wpadało się z progu jak do lochu, bo budynek był osiadł znacznie, sufit wisiał nad głowami, a tok, zastępujący podłogę, wrył się tak głęboko, że okna leżały na przyźbie. To położenie starego karczmyska, wzgórek przed nią, na którym fury stawały, brak ganku i spływ wody ku niej sprawiały, że u wnijscia wewnątrz stała wiekuista kałuza, przez którą przechodziło się po ceglach. Kaczki i gęsi żydowskie swobodnie się w niej pluskały, a znajomi goście, zgiąwszy się dla niskich drzwi, z uwagą przebierali się przez to morze czarne, aby się po kostki nie zamoczyć. Żyd nigdy nie pomyślał o zaradzeniu tej niedogodności. W czasie wielkiej posuchy trafiło się wszakże, że kałuza gęśniała i przerabiała się na zsiadłe błoto, ale świeżo po deszczu zajmowała połowę izby. Icek nie znajdował, żeby to do życia przeszkadzało.

W izbie oprócz Ickowej samej, strasznej baby, rozmamanej i brudnej, sześciorga dzieci różnego kalibru, sługi, kilku kóz, kur i gęsi, nie było przybylców; jakiś tylko kapotowy, na ławie siadłszy, głowę na stole położył i drzemał. Wchodząc, Chwed'ko opsnął się z cegły wśród kałuży, pośliznął, plesnął w wodę i krzyknął przekleństwem, a ów obcy się przebudził.

Zakrawał on nieco na mieszczanina, miarkując po kapocie wyszywanej z klapami, zielonym pasie, wysokiej czapce i kiju kutym, który przy nim wraz z węzełkiem leżał. Młody, najwięcej trzydziestoletni mężczyzna, twarzy rumianej, wzrostu wysokiego, znać nie zaznał biedy, bo mu z oczu patrzyła hulanka; nawet i teraz Ickową wódką z Bębnowa podpił widać sobie, bo, ledwie głowę podniósłszy, zaśpiewał:

„Oj! będziesz ty moja...“

A gdy Chwed'ko topić się począł w kałuży, dodał:

— Gwałt! ratujcie! Popielancy się topią!

Rozśmiał się Icek i drudzy, a rezolutny chłopak, podparłszy się w boki, wpatrywać się począł w przybyłych.

— A skądże to nas znacie, żeśmy Popielancy? — zapytał Jermoła.

— O! wa! wielka sztuka! wszyscy Popielancy poznaczeni!

— Czémże? krzyżami na plecach?

— A to nie wiecie — odparł parobek — że wam krawcy wasi inaczej kaptury szyją, jak gdzieindziej na świecie?

W istocie tak było, że z dawien-dawna we wsi téj inny był krój sukmany na plecach, o czém zapomnieli Jermoła i Chwed'ko, ale

i oni, jak inni, pilnowali w tém święcie zwyczaju, i żadenby innój siermięgi nie kupił i nie nosił krom tak uszytej, jak dziadowie używali.

— A wy to skąd? — spytał Chwed'ko parobka.

— Zza siódmego morza, zza siódmój rzeki, z siódmój ziemi! — odparł wesoly hulaka.

— No, no! to i tam widać Popielianców znają!... Bez żartu, panie bracie, skąd Pan Bóg prowadzi?

— Z Mrozowicy.

Była-to wielka osada szlachty czynszowej, w której właśnie owi mieszkali garncarze, do których wybrał się Jermoła. Tego aż tknęło coś, gdy nazwisko miejsca usłyszał.

— Z Mrozowicy? A dokąd, jeśli spytać wolno?

— W świat, gdzie oczy poniosą.

— O! to daleko!

— A cóż? już mi się unudziło, nogi podkuliwszy, na miejscu siedzieć; idę dalej biedy szukać...

— Naco jęć szukać? — rzekł Chwed'ko — ona i sama przychodzi.

— Albo to się jęć zlekne! poborykamy się! — rzekł parobek.

— Czy nie krawiec — spytał Jermoła — kiedyście się tak na naszych świtach poznali?

— A czemu nie? może i krawiec — wesolo odparł, rozpierając się, Mrozowiczanie. — Zapytajcie, czém ja nie byłem: byłem gospodarzem, byłem kowalem, byłem cieślą, byłem krawcem, byłem tkaczem, muzykusem i szewcem... Tfu! wszystko to kiepstwo! Ot! będę sobie panem!

— Tak myślicie? to najlepiej podobno — rzekł, śmiejąc się, Chwed'ko. — A! bodaj cię, kołtunie! bodaj cię! Kłaniam się jasnie panu!

I czapką do ziemi się pokłonił.

— Coś mi się widzi — przerwał Jermoła — że wy, coście już wszystkim byli, to niedługo i panem pobjedziecie i to się wam na przykrzy.

— Ano! to zostaną dziadem, i to dobry stan; mnie wszystko jedno — rzekł chłopak i począł śpiewać:

„Kij u meni bratom,
Torba meni żinka...”

— To jakiś wesoly chłopiec — mruknął Jermoła — ale dobrze mi się trafia w sam czas: nim dereszowata zje siano, a Chwed'ko wódkę przekąsi cebulą z chlebem, dowiem się od niego cokolwiek

o Mrozowicy. Ej, bracie! — rzekł, zbliżając się do parobka — nie napijesz się wódki?

— Aby za cudze pieniądze, czemu nie! Cygan dla przyjaźni dał się powiesić!

— Dajcie-no, Icku, tylko tej, co z Bębnowa...

— Dawaj, Icku, niewiaro! słyszysz! — wtórował Mrozowiczanie.

— Bo to ja do Mrozowicy jadę umyślnie — rzekł, zbliżając się i na ławie siadając, Jermoła.

— A! a! weźcież ze dwa kije i pozaszywajcie kieszenie, bo tam rozbójnicy i złodzieje...

— A! co gadacie?

— Zapytajcie tych, co tam byli. Żywěj duszy pocziwěj.

— A garncarze?

— A, to najgorsze paskudztwo!

— Patrzcie, a tom się dobrze wybrał!

— A poco?

— Długoby gadać, a mało słuchać.

— I niema poco jechać — rzekł chłopak. — Chcecie co kupić popekanego, to ruszajcie.

— Ale gdzie tam! mnie nie o to chodzi...

— Powiedźcież, o co?

— Ale-bo to... — skrobiąc się po głowie, wybąknął Jermoła.

Chwed'ko, który się wódką dobrze pokrzepił, przerwał mowę i postanowił służyć za tłumacza. Trzeźwy z podpiłym ciężko się rozumieją, ale podchmielony z pijanym — doskonale i łatwo.

— Bo to, widzicie — szepnął na ucho parobkowi — Jermoła oto... niby garncarz... widzicie! O! ale nie od polewy! O! a jemu się zachciało nauczyć polewy! o!

— Tfu! a pocóż jemu z tém do Mrozowicy?...

— A gdzież jój będzie szukał?

— Ja go nauczę... Co da?

Jermoła i Chwed'ko posłupieli i popatrzyli na siebie.

— Bałamucicie! albo to wy i garncarzem byli?

— Otóż-te że i syn garncarza jestem i polewę umiem, bo koło tego robiłem lat sześć; ale to głupie rzemiosło; mnie się go nie chciało — odparł Mrozowiczanie. — Smaruj się w glinie, paskudź się w tych zacierkach, piecz się w ogniu! Plunąłem i porzuciłem, ale choć i teraz dlatego pomagałem panu Marcinowi i znam się dobrze na polewie choćby jakiej, choćby jakiego koloru... A u mnie taka wychodzi czysta jak szkło.

— Pewnie?

— Ano, to próbę wam dam.

Jermoła aż się rozśmiał.

— Co chcesz?

— Co dasz?

Icko, słysząc targ, a nie zrozumiałwszy, o co chodzi, wpadł nagle między nich, myśląc, że się co sprzedaje, wścibił nosa i stanął, osłupiawszy, bojąc się, żeby mu okazała jaka zysku nie uciekła.

— Co to wy targujecie? — szepnął.

— Kota w worku... — odparł chłopak.

— Nu! co to kota gadać! co to kota gadać! — obruszył się gospodarz. — Co to jest? Ja kupię!

— O polewę się targują — dodał Chwed'ko.

Żyd nie zrozumiał jeszcze, ruszył ramionami i odszedł na kilka kroków, pilnując dalej zpod pieca i targu i mohoryczu, bardzo niepokojny, że może go zarobek minie.

Targ w targ, stanęło na pięciu rublach gotówką. Przybito ręce, zapito wódką bębnowską i Jermoła już począł się nazad wybierać do wsi z Mrozowiczaniem.

— No! to i ja już do miasteczka dziś nie pojedę! — wybąknął, namyślając się, Chwed'ko — i tak pewnieby mnie deszcz schlustał.

Siedli tedy na wóz z Siepakiem (tak się nazywał) we trojgu i zawrócili nazad do Popielni z wielkim gniewem Icka, który całego interesu zrozumieć nie mógł, a czuł pod nim jakieś niedostępne dla siebie pieniądze.

Tak tedy i polewa przyjechała do Popielni, a Jermoła znowu za nią Bogu jak za cud dziękował. Dzieją-ć się cuda — ale rzadko.

Było już około południa, bo się i w karczmie i po drodze, nie śpiesząc, zamarudziło, gdy nasi podróżni, namówiwszy dereszowatą do zawrotu, czemu dosyć była rada, nazad do wsi ściągnęli i stanęli z Siepakiem przed drzwiami starej karczmy. W progu zastali Radyonka nad kołem toczącego olbrzymią hładyszę i Huluka, który mu pomagał, wesoło z nim rozmawiającego.

Zobaczywszy ojca, dzieciak zdziwiony i przestraszony zarazem, porwał się mu pomagać.

— A co to, ojcze? czy się wam co w drodze nie zrobiło, że tak prędko powracacie?

— Nic, moje dziecko, nie; owszem zdybaliśmy tego oto poczciwego chłopaka, który był przy garnarczach w Mrozowicy, i ofiaruje się nas polewy nauczyć.

Radyonek z krzykiem podskoczył.

— Czyż to być może?

— Ot, tak! jak mnie żywego widzicie! — zawołał Siepak — i rad jestem, że moim kochanym Mrozowiczanom figla wypłatał, bo mi lotry kością w gardle siedli...

„Ja tobi ne brat... ty meni ne swat,
Ne wertajsia wże nazad...”

Począł śpiewać, wzięwszy się w boki, i, wyskoczywszy z wozu, nuż się przyglądać z miną znawcy przyrządom garncarskim; ale znać w nim było wiejskiego próżniaka, który na wszystko rad z góry patrzeć i śmiać się z każdej rzeczy. Przybór prostego zduna wydał mu się taką lichotą, tak ramionami ruszał, a brał się za boki, oglądając go, że Jermoła i Radyonek niezmiernie posmutnieli. Siepak gorzko się odzywał o ich wyrobach, nie miał ich za śmieci, podrzucił, tłukł i, rozparłszy się zaraz na ławie, począł zgóry wychwalać, co sam robił i mógł dokazać.

Nie podobało się to Jermole, który znał się na ludziach, ale ścierpiął próżniackie wychwałki Siepaka w nadziei, że coś od niego skorzysta, choć z mowy coraz mniej miał w nim ufnosci.

Tymczasem Mrozowiczani kazał sobie wódki postawić, słoninę przypiekać, położył się spać, a na wieczór poszedł do karczmy.

Nazajutrz trzeba było do miasteczka po glejtę, po inne farby i ingredyencye, do polewy potrzebne, gdy Radyonek pod kierunkiem wciąż wyśpiewującego Siepaka robił, według jego wskazówki, potrzebne pod polewę naczynia. Gdy przyszło w ostatku do roboty, Siepak nad wszelkie spodziewanie okazał się zręczny i tém nie mniej zadziwił jak samochwalstwem swoim; ale ledwie pół godziny wytrwał w chacie, do karczmy uciekł, gdzie muzykę najął, pół wsi sprowadził i, wódki wiadro postawiwszy, hulankę nadobre rozpoczął.

Wieczorem późnym pijaniuteńskiego Siepaka dwóch, niemniej od niego napitych parobków przyprowadziło, śpiewając, i położyło pode drzwiami Jermoły. Huluk i Radyonek z politowaniem poglądali na niego.

Nierychło jakos przyszło nareszcie do próby stanowczej, ale nim się na to zebrało, pojętny wychowaniec Jermoły z kilku wskazówek, ze słów, z roboty czeladnika tyle skorzystał, a raczej domyślił się, że przygotowane czynności już mu nie były obce. Tak samo poszło i z resztą; dość dla niego było kilku wiadomości, opowiedzenia sposobu, wprowadzenia na drogę, a młode pojęcie dopełniało, czego brakło w nauczycielu. Rad był go się pozbyć Jermoła z do-

mu, bo się lękał wpływu szkodliwego na Radyonka, który z ciekawością dziecięcą poglądał na szaleńca, ale on dlań był przez los wyznaczoną istotą dla obrzydzenia rodzaju życia, którego całą czczość widać było przez samo nieustanne powtarzanie i nagromadzenie przyjemności. Siepak zaprawdę ciekawy typ stanowił — typ, jaki w całej naiwności często powtarza się u ludu, zdatny, pojętny, zręczny, roztropny, przerzucał pracą i zabawą, zrażając się pierwszą, a nie mogąc się drugą nasycić.

Czasem znowu dnie całe, złamany hulanką wrzącą, spędzał, leżąc do góry brzuchem na sianie, śpiewając na całe gardło i wzdychając pierściami całemi, jakby za chwilę miał skonać. Przez godzinę jakąś gotów był pracować zajadle i ręka, która mu z początku drżała, nie słuchając go, w krótkim czasie nabywała wprawy zdumiewającej, ale zaledwie ją uzyskał, lekceważąc, zniechęcał się, rzucał wszystko, czepiał się pierwszego przechodzącego, poczynął żartobliwą rozmowę i szedł najczęściej do karczmy, gdzie połowa życia jego za stołem schodziła.

Ledwie Radyonek począł pod jego kierunkiem polewaną robotę, która się dosyć udawała, po kilku próbkach, Siepak, którego już znudził pobyt w Popielni, Jermoła, karczma i spokojność, jaka tu panowała, nie znajdując sobie towarzyszków do zabawy, upomniawszy się o resztę należnej zapłaty, z nią razem przeniósł się do Szmulę, gdzie trzy dni trwała pijatyka i muzyka szalona, a na czwartym, wzięwszy tłomoczek z kijem na plecy, nie pożegnawszy się z nikim i nie dawszy dobrego słowa, powlókł się dalej z wielkim żalem szynkarki i kilku towarzyszków hulanki, którzy kosztem jego codziennego miłego spędzili wieczory, bo miał naturę taką, że sam nigdy nie pił.

Tyle go i widziano w Popielni.

Spokój, na chwilę zmacony, wrócił do stariej gospody Jermoły, Radyonek wziął się gorąco do roboty i zrazu chciał już wszystko tylko polewane robić, ale go stary opamiętał.

— Pamiętaj — rzekł — że to nie dosyć zrobić: trzeba jeszcze sprzedać, żebyśmy mieli co jeść. Nie wiadomo, jak nam pójdzie targ; jeśli nie zechcą naszych mis i dzbanów, lub zmuszą nas do sprzedawania ich po lichym cenie, to choć cokolwiek kosztu powróci się z prostych garnków, które dotąd doskonale nam kupują. Kto to wie, jak się uda z polewą, a porzuciwszy nasze garnki, nauczymy ludzi szukać ich gdzieindziej.

Tym sposobem namówił jakoś Jermoła gorącego chłopca, że napół rozdzielili robotę. Dotąd szło im bardzo dobrze, obawiał się więc, by ta zmiana nie pogorszyła położenia, a Radyonek tak pragnął nowości i rachować nie umiał, że dla niego bojaźń ojca zdawała się urojonym postrachem. Tymczasem u ludu naszego nic się

w istocie odrazu nie przyjmuje; powoli i ostrożnie potrzeba z najmniejszą nowostką, bo silnie się on trzyma instynktem konserwacyjnym przy zwyczajach starych, nawet w najmniejszych rzeczach.

Pokazało się to zaraz po wypaleniu pierwszych pieców z prostym naczyniem i polewą. Nadchodził wielki praznik i targ w miasteczku; zapas został przygotowany. Chwed'kowa kobyła najęta, wóz naładowano starannie i, wyjechawszy z północy z Popielni, nade dniami stanęli w miasteczku Radyonek z Jermołą. Mieli oni zwyczaj rozkładać się z towarem zawsze w jednym miejscu pod okapem głównego żydowskiego zajazdu, gdzie już do nich jak w dym szli kupujący po garnki, i cały dzień do nocy szła sprzedaż ogromnie, tak, że na nią ledwie we dwóch można było wystarczyć. Rozpakowali się i teraz w zwykłym kącie garncarze nasi, dzieląc swój sklep na kupujących z nadzieją, Jermoła z obawą. Radyonek oczekiwał na kupujących z nadzieją, Jermoła z obawą. Jak dzień poczęli się schodzić, ale kto tylko przyszedł, zawracał się do garnków. Naprawdę poddawano mu polewę, zniżając jej cenę; gospodynie kiwały głowami, nic nie mówiąc, inni otwarcie przyznawali się, że woła się zasposobić u mrozowickich garncarzy. Nałóg przemagał i ani piękność wyrobów, ani przystępne ich ceny nie pociągały; pokazywano przymioty, przekonywano o dobroci; niedowierzająco przyjmowali to ludzie i szli, gdzie chodzić przywykli. Radyonek płakał pocichu, a stary sam go teraz pocieszał, wmawiając, że tak być musi z początku, że trzeba zrazu przecierpieć i umieć czekać.

Nad wieczór trochę się polewy sprzedawało nieznanym, a garnków zabrakło. Zostało dużo niezbytego; żyd za pół ceny kupił to do klatki, bo się już Jermoła nazad wozić nie chciał z towarem.

Obrachowawszy, pokazała się strata... Posmutniało dziecko; przez całą drogę stary pocieszał je jak umiał, przysposabiając tem małym niepowodzeniem do większych życia zawodów, które ani odwagi, ani nadziei łamać w człowieku nie powinny.

Odmalowaliśmy już troskliwie to życie biednych ludzi i najważniejsze w niem wypadki, jakimi były zmiany w pracy, ukazanie się nowych postaci, maluczkie polepszenie bytu. Dni ich płynęły tak jednostajnie, ale szczęśliwie; przynajmniej Radyonek nie pojmował nic lepszego nad to, co miał. Ojciec go kochał i dogadzał mu, wiodło się im, było się czem zabawić, a przyszłość się uśmiechała.

Niekiedy tylko zamysłone chłopię siadało w proggu i osmutniało

patrzało kędyś na wody Horynia, na lasy i pola, płacąc chwilą tęsknoty dług nieodgadnionym pragnieniom, palącym człowieka całe życie. Naówczas przychodziły mu na pamięć szczegóły, opowiadane przez ojca tylokrotnie, o znalezieniu go pod dębami, o tajemniczym jego pochodzeniu i dziwnym przeznaczeniu, które go niewiedzieć skąd rzuciło w objęcia poczciwego starca. Nie pojmował, dlaczego się go wyrzeczono, czemu o nim zapomniano; coś mu mówiło, że się ktoś o niego upomni; niekiedy przysłuchiwał się ciszy, jakby w niej tętniło już przybycie oczekiwanych, strasznych, nieznajomych gości.

Różnie mu malowała wyobraźnia nieznanych rodziców, ale wspomniawszy poczciwego starego Jermołę, rozstanie się z nim, osamotnienie, któreby go zabiło, Radyonek, płacząc, postanawiał nigdy go nie porzucić. Jak w każdym, budziła się i w nim chęćka nowych losów, ale czuł, że powierzchownie zyskując na nich, musiałby coś ze szczęścia prawdziwego utracić. Gdzieżby mu lepiej być mogło? gdzie swobodniej? Pracował, ile chciał, zmieniał zajęcie, a nigdy stary nie ofuknął się nawet na niego. Prawda, że zrazu tak go wychował, by dobrą słowem prowadzić, i groza była dlań środkiem niepotrzebnym. Starzec trochę się dziecił dla Radyonka, dziecię usiłowało dźwignąć się do jego dojrzałości: dzielili się latami jak wszystkiem.

Wśród tego błogiego spokoju, w którym powoli zapomniano o mogącej zagrażać zmianie, dni sobie płynęły niezmaczone niczym, gdy jednego wieczora Chwed'ko, powracający z Małycezek mimo starej karczmy, bo na drodze, którą zwykle jeżdżono, mostek się był popsuł i musiano go tędy objeżdżać, wstąpił fajkę zapalić do Jermoły. Dereszowata, nieprzywykła do tej objażdżki, niechętnie wprawdzie stanęła, czując już chatę blisko, ale się jakoś dała zatrzymać.

Stary garncarz i Radyonek siedzieli na progu, ten paląc lulkę, ów rozповідаjąc o swoich na przyszłość zamiarach i głośno sobie rojąc, gdy Chwed'ko zlął z wozu i pozdrowił ich zwykłem:

— Sława Bohu!

— Na wieki! A skądże-to jedziecie?

— Z Małycezek.

— Samiście byli?

— Wozilem kartofle, sprzedane Mikicie.

— Co tam słyhać?

— O! o! bardzo słyhać — odparł Chwed'ko, przysiadając na kłódce — jest nowego dużo... Rotmister umarł.

— Umarł stary! — podchwycił Jermoła — o, ba! wieczne od-pocznienie nieborakowi, bo też się namęczył...

— Ale i drugim z nim nie było słodko.

— Umarł! ha! — począł rozprawiać Jermoła — patrzajcie! czas! czas! na starych wołają!... Żeby się i o nas nie upomnieli rychło!

— Chory był — dodał Chwed'ko — i tak nie wiem, jak się to tyle lat trzymało... We dworze teraz sądny dzień.

— A syn?

— Wszyscy i syn i ludzie, co ich namęczył stary rotmister, jak bobry po nim płaczą... Gromada cała w dziedzińcu, lament taki aż strach...

— A! każdemu skończyć potrzeba! — westchnął Jermoła.

— Tać zapewne — ciągnął dalej Chwed'ko — ale Bogiem a prawdą rotmister ciężki był dla swoich. Taki był chory, niedołęga, kaleka, a kluczów i gospodarstwa do śmierci nie puścił, ani synowi, ani tej krewniacze nie wierząc. Syn postarzał na służbie, własnej doli nie skosztowawszy, żenić mu się nie dał, odstąpić nie pozwalał. Sieroty tej także nie uwolnił i, wiedząc, że oni się z sobą kochali, na kupie ich trzymał, a żenić się pod karą zabronił!

— No! to się teraz pobiorą! — rzekł Jermoła.

— A! to wy nic nie wiecie? Oni się już kiedyś dawno bardzo pobrali, tylko staremu to było tajno i wszystkim we dworze, wyjąwszy jedną klucznicę... Sam ksiądz zbrojszcz im ślub dawał, byli i świadkowie, ale cóż z tego, kiedy żyć z sobą nie mogli, bo ich dzień i noc rotmister tak trzymał z kolei przy sobie, że albo jedno, albo drugie wciąż przy nim być musiało. Jeszcze takie tam było zaprowadzenie we dworze, że i ekonomowie i słudzy musieli na panicza donosić, jakby co zobaczyli, bo inaczej wszystkich bizunował i rozpędzał, a synowi za to małżeństwo, że śmiał o niem pomyśleć, aż przekleństwem był pogroził.

— Ciężki był stary, to prawda — odezwał się Jermoła — ale miał i on swoje dobre... A zresztą też ciężko i on cierpiał, że czasem po całych nocach krzyczał jednym głosem: „Miłościwy Boże! weź mnie z tego świata!“ Dla cudzych znowu taki był słodki jak baranek; ja sam mu winienem, że Prokopowi nakazał mnie garnearki wyczyć; a co, bywało, nagada się ze mną, co naśmieje... A! bo to był stary przyjaciel mojego pana!

Starzy długo tak jeszcze rozprawiali o rotmistrzu, najdrobniejsze szczegóły jego życia opowiadając sobie z kolei, a w ogólności, jak zawsze, żałując zmarłego, bo każdy odchodzący z tego świata choć trochę żalu po sobie zostawić musi. Jeszcze tak rozprawiali, gdy tętent dał się słyszeć od strony Małycezek, a po turkocie poznali wszyscy, że to nie prosty wóz jechał.

— Pewnie Hudny skąd powraca; schowajmy się do chaty! — rzekł Jermoła — lepiej się mu na oczy nie nawijać.

— Oj, nie! — odpowiedział Chwed'ko — to coś obcego jedzie; turkot jakby krytej bryczki. Ktoś widać zablądził.

Z ciekawością poczęli zaglądać w stronę poza dębami, którądy wiodła drożyna, i wkrótce ukazała się w istocie parokonna bryczka, żywym klusem posuwająca się ku wsi.

-- Ktoby to być mógł? — szeptał Jermoła.

— Konie rotmistrza... To z Małyczek pan i jego żona; ja ich znam. Ale co oni tu robią?

Radyonek wyjrzał także ciekawie.

Powóz zbliżał się prędko i zamiast minąć starą karcznię, pod którą wszyscy stali, przypatrując mu się, zatrzymał się nagle.

Trzydziestokilkoletni mężczyzna i młoda jeszcze kobieta razem prawie wyskoczyli z powozu i pobiegli ku Jermołowi, ale o krok od niego stanawszy, mowy im zabrakło, tchu nawet; krzyk jakiś tylko, płacz i łkanie dały się słyszeć. Kobieta rzuciła się na Radyonka, mężczyzna także za nią posunął się ku chłopcu, który cofał się przestraszony.

Jermoła już się był domyślił wszystkiego, pobladł, posłonił i przysiąść musiał, tak uczuł się osłabionym i przelęknym; wybiła dlań straszna godzina, której samę myśl odpychał.

— Mój syn! dziecko moje! — wołała pani.

— Maryo, na Boga!... mówmy wprzód z niemi.

Radyonek błyszczącymi oczyma spojrzął na matkę i przytulił się do Jermoły, jakby w nim szukał wsparcia i opieki.

— A! on mnie nie zna! — z boleścią zawołała kobieta — nie zna i znać mnie nie może, odpycha, ucieka... Inaczej być nie mogło! Lepiej się było wyrzec wszystkiego, przekleństwo sprowadzić na głowę, a nie opuścić dziecięcia! Straciliśmy je, stracili!

I łamała biędne ręce.

— Maryo! uspokój się, na Boga! — prosił młody człowiek.

Jermoła wśród tego zamętu miał czas oprzytomnieć trochę, twarz jego przybrała wyraz poważny i smutny.

— To dziecię — odezwał się do niego ojciec wzruszonym i przezywającym głosem — dziecię, które znalazłeś pod dębami przed dwunastu laty... jest synem naszym. Unikając przekleństwa, którym nam groził ojciec, szpiegostwa ludzi, którzyby nas przed nim oskarżyli, gdyby się mogli domyślić potajemnego małżeństwa, musieliśmy się wyrzec go i porzucić na czas... zapomnieć o niem... Książd, który nam ślub dawał i chrzczył to dziecię, poświadczy; człowiek, który je tu przywiózł...

— Mógł to być syn wasz — odparł powoli starzec, któremu sił przybywało w chwili stanowczej — ale dziś to jest tylko dziecię moje. Widzicie, że nie zna matki, że przed ojcem tuli się do mnie;

ja-m go wychował, chleb sobie od ust odejmując, pracą mojej starości... Nikt mi go odebrać nie może... Radyonek mnie nie opuści.

Kobieta, słuchając, zachodziła się od płaczu; Jan podtrzymywał ją, płonąc na twarzy najrozmaitszemi uczuciami.

— Na Boga! — zawołał — dobrą wolą czy nie, musisz nam oddać to dziecko, na którego uścisk czekaliśmy lat tyle.

— Gdybym je oddał, dziecko to nie poszłoby za wami; ono was nie zna — odparł Jermoła — ono nie opuści starca, który je przysposobił.

Radyonek stał zbladły i pomieszany. Matka wyciągała ku niemu ręce, oczy jej mówiły do niego, usta go wołały, tajemna siła przywiązania macierzyńskiego ciągnęła, łyzy poczęły mu zwilżać żrenice.

— Wszystko, co chcesz, za naszego syna! — zawołał Jan.

— A czegoż ja od was chcieć mogę? — oburzył się stary Jermoła — cóż możecie mi dać, coby zapłaciło za moje ukochane dziecko? Nic od was nie potrzebuję, tylko mi umrzeć przy niem dozwólcie spokojnie.

To mówiąc, stary się rozplakał, nogi się pod nim zatrzęsły, szukał ściany, aby się o nią oprzeć. Radyonek go podtrzymywał i posadził na progu, a Jermoła uściaskał dziecko i pocałował w głowę. Kobieta łamała ręce, rozpaczając, uczucie jej wzmagalo się, poskoczyła wreszcie jak lwica do chłopca i objęła go nagle w macierzyńskie ramiona.

— Tyś mój! — zawołała, zanosząc się od płaczu — tyś mój!

A i Radyonek już się z jej objęć nie wyrwał; pierwszy-to w życiu był dla niego uścisk matki, tak upragniony, tak słodki i uspakaający. Drżący ojciec przystąpił za nią i przytulił się także do dziecka i począł je całować ze łzami.

Jermoła patrzył na to okiem rozplakanem, to błyszczącym od zażdrości. Jedna chwila, jedno słowo wyrwać mu miało skarb jego.

— Dość było szczęścia — rzekł — Bóg mi je odbiera... Trzeba je oddać; los mi go tylko pożyczył... Al niedługo też życia może... Panie! — odezwał się głosem pełnym wzruszenia i jęku — widzicie, ja was teraz proszę. Ja-m stary, mnie żyć już niedługo, zostawcie mi dziecko moje... do śmierci tylko! Ja umrę prędko! sam bardzo stary; weźmiecie je potem od trumny... Jakże ja żyć bez niego potrafię! Nie róbcie mnie nieszczęśliwego sierotą na ostatek dni moich, nie trujcie mi ich zato, żem dziecko wasze przytulił i wychował!..

— My cię weźmiemy razem z dziećciem — zawołał Jan. — Jedź z niem; my dla ciebie mamy wyższe nad wyraz wszelki obowiązki wdzięczności...

Stary począł płakać, a na głos jego Radyonek powrócił do Jermoły, przykląkł przed nim i głowę złożył na kolanach.

— Ojcie! ojcie! — zawołał — nie płaczcie, proszę; ja nigdzie i nigdy od was nie pójdę. Nie ruszymy się ze starłej chaty naszej; zostaniemy tutaj; mnie z tobą było tak dobrze!... Ja nic nie chcę więcej.

Na widok tego odstępstwa matka znowu płakać i słabnąć zaczęła; ludzie, którzy się zbiegli przypatrywać tej scenie, kozaczycha, Chwed'ko, Huluk, płakali także łzami niewytlómaczonymi, które lud ma nawet dla cierpień i niedoli, jakich nie pojmuje; dosyć mu widzieć płaczących, by się rozrzewnił.

Nareszcie ojciec się otrząsł z chwilowego osłupienia, westchnął i począł coś na ucho szeptać żonie.

— Chcecie czy nie chcecie — odezwał się surowiej — dziecko to oddać nam będziecie musieli; mamy świadków i dowody, że jest nasze. Możecie żądać za nie, co się wam podoba...

Jermoła dzwignął się nagle na nogi.

— Dziecko was nie zna — rzekł. — Odbierzcie mi je siłą; ja go dobrowolnie nie oddam; to nie jest dziecko wasze. Na świadków postawię świadków! to nie pański syn, to wieśniak, rzemieślnik... sierota... Zawołajcie go, choć nie wiecie nawet, jakim pozwać go imieniem, a głosu waszego nie usłucha...

— Ale ten stary szaleje! — zawołał pan Jan, w którym kipiało. — No! to udamy się do innych środków; użyjemy, jakie są w naszej mocy... Chcesz-że pozbawić dziecko lepszego losu i swobodniejszej doli, jaka u nas je czeka?

— Jakiej doli? — odparł śmiało dworak — jakiego losu? Spytajcie go, czy mu tu u mnie źle było, czy mu czego brakło, czy pragnie więcej? Znam ci ja życie wasze i szczęście, które mieszka po dworach, bom się ich napatrzył... Nie kłóćcie mi spokoju, nie trujcie mi starości, nie odbierajcie mi dziecka!

Matka zbliżyła się drżąca i ujęła go za rękę.

— Bracie, ojcie! — zawołała — ja pojmuję boleść twoją, ja wiem, co tracisz z dziećciem, ale ja-m po niem lat dwanaście gorzkie łzy polykała! ale masz-że ty serce nieszcześliwej matce odbierać skarb jej jedyny!... Byłżebyś tak okrutny, żebyś nas do niewdzięczności zmuszał? Nie! ty pójdziesz z nami, będziesz patrzył na swoje dziecię i podzielisz szczęście nasze.

Mowa matki lepiej trafiła do serca Jermoły, który się powoli opamiętał, otarł łzy i odpowiedział pocichu:

— Al spełniła się ta chwila, której dożyć nie chciałem; widziałem ją codzien we snach przez lat kilkanaście, bałem się każdego obcego, sądząc, że przychodzi dziecię moje odbierać ode mnie... Drża-

łem, prosiłem Boga, żeby mi wprzódy dał umrzeć, przedłużył wieku, niech przyjmie tę godzinę jako ofiarę za grzechy...

W czasie tej rozmowy Radyonek stał pomieszany, nie wiedząc, co począć, i poglądał to na starego, to na nowych swoich rodziców. Na twarzy ojca jego widać było niecierpliwość, rozczulenie i jakby urazę; w oczach matki tylko niepokój i litość. Jermoła opadł na siłach i ze spuszczoną głową siedział przybity.

Rozmowa, przzerwana, ostygła i powoli weszła na ton powszedni, spokojny. Znać było, że Drużyna chciał zaraz zabrać syna i z nim odjechać, i nie wiedział, jak sobie począć. Noc stawała się coraz ciemniejszą. Jermoła już się nie sprzeciwiał niczemu, milczał, a niekiedy wzrokiem tylko badał swe dziecko.

— Jedźmy — rzekł nareszcie pan Jan pocichu do żony. — Jutro po niego powrócimy.

— A dziecię?...

Radyonek dosłyszał tych słów i, przełknięty, przytulił się do starego piastuna. Jermoła z wdzięcznością przycisnął go do piersi.

— Tyś dobre dziecko — rzekł — ty mnie nie opuścisz, nie porzucisz, nie zapomnisz o starym ojcu. Wiesz, że jabym umarł bez ciebie; oczy mi zamknąwszy, rób, co zechcesz, a błogosławieństwo boże niech z tobą będzie na wieki.

W milczeniu patrząc na ten obraz, Drużyna pociągnął, a raczój oderwał gwałtem żonę od niego i przemocą niemal uwiózł ją nazad do domu. Chwed'ko pojechał na wieś, niosąc z sobą ciekawą nowinę.

W starój karczmie nic się na oko nie zmieniło po odjeździe Drużynów, ale już szczęście i spokój wczorajszy nie powróciły pod zlaną strzechę. Jermoła, nieruchomy, przybity, siedział w progu; Radyonek płakał, to zamyślał się gorączkowo. Szeptali do siebie i ranek ich zastał na progu uspionych, przytulonych, jakby się obawiali, aby ich nie rozerwano.

Biały dzień, otwierając im oczy swą siłą, powołującą do życia i usmierającą boleści, przypominał wypadki wczorajsze, ale zimniej im je przedstawił, inne obudził w nich uczucia. Przyszła rozważa, obawy, nadzieje i cały szereg uczuć różnych, które idą za każdym wypadkiem i myślą, jak najemni słudzy za pogrzebem, wszystko się to stręczyło, narzucało, popychało i cisnęło znowu, odepchnięte.

Ani stary, ani Radyonek nie miał już do niczego ochoty; bieg zwykły ich życia był przzerwany; nie wiedzieli, co począć z sobą.

Dziecku przewijały się po głowie to obrazy jakiegóś nieznanomój a świecącej przyszłości, to żal po dniach wczorajszych, niepowrotnych, a tak szczęśliwych!

Przypomniał sobie rysy matki, widziane przez mrok wieczora, drugiego ojca swego i serce to go ku nim pociągało, to odpychało uczuciem obawy. Będzie mu tam lepiej, czy gorzej? A w każdym razie inne zupełnie życie rozpocząć potrzeba, opuścić kątek cichy, wniósć między nieznanomych ludzi, zaprzecć się wczorajszego i rozbratać z tém, co się kochało.

Jermoła dumał także, a dzień przyniósł mu myśli nowe; poszedł wedle zwyczaju do kozaczychy, bo nie miał się przed kim wygadać.

— Coście wy oszaleli? — zawołała baba, widząc go. — A to dnia wczorajszego tak-ście się upierali przy dziecku, jakbyście mu mieli Bóg wie jaki los do dania! To przecież panowie, to dola! A cóż wam z tego pójsć do dworu z Radyonkiem i żyć sobie spokojnie, patrząc na jego szczęście?

— Tak! albo to ja tam dla niego tém będę, czém tu byłem? Ojcem nie będę! sługą zostanę! Powoli odbiorą mi jego serce, zbałamucą chłopca, popsują. Znam-ci ja to ich życie! Trochę lepsza strawa, trochę cieńsze odzienie, trochę delikatniejsza mowa; ale czy im z tém lepiej? Panu Bogu wiedziéć, nam nie sądzić. Spytaj się ich, czy nie płaczą pocichu? czy czarne godziny pod ich dach nie zachodzą? czy takie tam złote szczęście, jak nam się zdaje zdaleka?

— Taki-bo wy bałamucicie z tego wielkiego żalu! — zawołała kozaczycha, coraz niecierpliwiej ruszając ramionami. — Jużciż co ich życie, to nie nasze... Jakby to nasze lepsze było, wszyscyby się do niego cisnęli, a taki z panów po dobrej woli niebardzo kto się do nas przebierze, a z nas każdyby chciał ich chleba skosztować. Co prawda, to prawda!

Jermoła się zamyslił.

— Moja kumo — rzekł — jak przyjdzie umierać, podobnoć to wszystko jedno, czy po razowym, czy po sitnym chlebie; wszystko-to jedno, jak człowiek przeżył dolę swoję, byle z czystém sumieniem i rękoma poszedł do Boga. A czy mojemu chłopcu, bo taki on mój, lepiej będzie tam, czyby lepiej było w staréj karczmie garnarczern, o! to wielkie pytanie!

— Aleć go taki oddać musicie; na to niéma sposobu!

— Jużciż mu isć nie zabronię, ale niech sobie między nami wybiera, bo ja, to gdzienm żył, chcę i umierać, kości położę na naszym cmentarzu... Kosztowałem dworskiego chleba; nie pójdę już na ostatki lat wyciągać ręki i kłaniać się młokosom, coby ze mnie szydzili... Zostanę w Popielni, a Radyonek, jak sobie chce, niech idzie panować w Małyckach.

— A jakże się bez niego obejdziecie, stary biedaku?

— A wy-to jak się obchodzicie bez waszój Horpyny, bez wnu-
cząt? Chyba je czasem widujecie pokryjomu.

— A! to prawda! — westchnęła kozaczycha — ciężka dola na-
sza dzieci hodować, żeby potem... fru! wyleciały z gniazda, a samym
siedzieć z połamanymi skrzydłami i tylko patrzeć za nimi!

— Czy to długo? — dodał smutnie Jermoła. — Dni-to policzo-
ne: jeszcze jeden i drugi, zastuka śmierć do okienka, zamkną się
oczy i — po wszystkiém... Tylko rachunek z Panem Bogiem.

— A! smutno, kumie, gadacie!

— Bo i w duszy nie wesoło!

Gdy tu taka narada w domu kozaczychy, Radyonek, już się do
niczego wziąć nie mogąc, siadł na progu i duma sobie: to go za ser-
ce nieznamy świat ciągnie, to stary Jermoła przytrzyma.

Rodzice! matka rodzona! wielkie-to słowa i potęga ich wielka
nad sercem sierocém, bo nie nie zastąpi matki, nikt nie zastąpi
ojca.

Uśmiecha mu się państwo, dwór, ale nie mając pojęcia życia in-
nego nad to, które prowadził, wcale nie wie, co go tam czekać mo-
że; ciekawość tylko gorąca uroczo maluje przyszłość nieznaną. To
znowu gdy wspomni, jak staruszkowi samemu ciężko będzie zostać,
ile on uczynił dla niego, jak go kochał, nie wie, czy nawet miłość
macierzyńska téj, od Boga danéj, wyrówna. Kiedy tak myśli, wczor-
ajsza bryczka zaturkotała znowu. Radyonek chciał się schować
i nie miał siły: matka go ujrzała zdaleka, skinęła ręką i został. Ro-
dzice pieszczą go i płaczą.

— Wszak prawda, że pojedziesz z nami? — zawołała Marya,
wpatrując się w dorodnego chłopca, na którym, przykro jój, że do-
tąd cięży siermięga, proste odzienie wieśniacze. — Zobaczysz —
szeptem — jak ci tam z nami będzie dobrze! Przecierpiałeś, ale to
się zapomni.

— Alem ja nie cierpiał — odparł Radyonek ośmielony — ja ni-
gdy zapomnieć nie chcę starego bat'ka! Jego mi tak żal, tak żal!

— Ojciec twój, to ja — rzekł z żalem i wymówką pan Jan —
nazywaj go jak chcesz, ale nie kradnij mi mojego imienia...

— O! on mi był długo ojcem i będzie nim do śmierci... On mnie
tak kochał!

— A my! To nie wiesz, ile nas uez kosztujesz?

— Ja-m ich nie widział... Wierzę, ale stary płakał także i nie-
raz, a ja na uez jego patrzałem.

— Starego weźmiemy z sobą.

— On nie pójdzie! — szepnął Radyonek.

Jakby przeczuciem wiedziony, nadszedł Jermoła, który ujrzał-

szy bryczkę, pośpieszył, co mu tchu stało, i przybiegł zadyszany przelekle o dziecko. Drużynowie przywitali go uprzejmie, ale chłodo, on ich obojętnie.

— Dziś już — rzekł stanowczo pan Jan — puścisz z nami chłopca. Tęskno nam bez niego; potrzeba, żeby był na pogrzebie dziada.

— Niech robi, co chce — odparł stary — niech jedzie; ja mu nie bronię, ja go już nie wstrzymuję.

— Pojedziesz! pojedziesz! — zawołała matka, rzucając się ku niemu.

Chłopiec zawahał się i rozplakał.

— Nie, nie mogę, od was, ojcze, pójść nie mogę!

— Powrócisz, gdy zechcesz — dodał pan Jan, usiłując przybrać ton łagodny — my ci bronąć nie będziemy.

Nastąpiła chwila milczenia, a dziecko zwracało się niespokojnie to do starca zamyszonego i smutnego, to do matki, która oczyma błagać go się zdawała, żeby nie odmawiał.

— Róbcież ze mną, co chcecie — rzekł wreszcie Radyonek — ja sam nie wiem, co począć; tracę głowę... ciężko mi i smutno... A! i tubym chciał zostać i was nie rzucać... Zostańcie lepiej z nami.

Pół dnia prawie trwały przerywane namowy, targi, obietnice, pokusy i bryczka wreszcie, odjeżdżając zprzed starej gospody, uwiozła z sobą płaczącego i ręce do Jermoły wyciągającego Radyonka, który nazajutrz obiecał powrócić.

Kto na sercu ludzkim buduje, głęboko się w nie wkopać musi, by dom jego nie osiadł i nie rozpadł się, pozbawiony podstawy. Głęb' serca — to mielizna i trzęsawisko, które tężeje chwilami, ale je tysiąc strumieni utajonych nurtuje i rozmywa. Są jednak serca wybrane, ukute z innego jakiegoś materiału, na których raz wyciśnione piętno pozostaje nazawsze. Stary Jermoła, raz w życiu kochając tylko, jedną tylko mając istotę, na którą zlał wszystkę siłę miłości, do której ostatniem przywiązał się ogniwnem, czuł, że mu jęj nie zastąpić nie potrafi, że nigdy brak jęj nagrodzić mu się nie może!

Bolesć, z jaką patrzył na njeżdżający powóz, który pochwycił mu Radyonka, opisać się nie daje: nie była-to wściekła i gwałtowna rozpacz, ani burzliwy i namiętny gniew, ale coś powoli zabijającego, jak trucizna, usypiającego, jak mróz w górach. Oczy zapłakane osychały natychmiast, ale słupem zwrócone stały, nieruchomie skie-

rowane w jedno miejsce. Nie słyszał nic, nie myślał o niczym; w głowie mu się wiło coś nieopisanego — czarny kłębek nici porozrywanych i brudnych. Stracił władzę, wolę, ochotę czynności, stęzał i sposzął na progę z otwartymi ustami, z wyciągnioną ręką i pozostał tak niepoliczony godziny pochłaniając bez uczucia przemijającego czasu.

Huluk, dobry chłopiec, widząc, że go ani słowem, ani targaniem nie obudzi, że mu nic nie odpowiada i nie rozumie, pobiegł do Harasymychy po ratunek, a kuma pośpieszyła z gniewem na starego za jego bezrozum, jak go nazywała.

— Czyste dziecko! — zawołała — a taki stary, a taki głupi! Tożby się losem Radyonka cieszyć przeciwie powinien...

I poczęła, jak tylko go spostrzegła, łajać zdaleka, ale z przestрахem przekonała się, że choć powinien ją być usłyszeć, głowy nie odwrócił, nie dał znaku życia... Oczy miał zwrócone ku dębom, wargę obwisłą, głowę opadłą, a bezsilne ręce wyciągnięte i skostniałe.

Zbliżywszy się, musiała go targnąć kozaczychą i bużowała po swojemu, nie szczędząc wyrazów, bo innego nie obmyśliła sposobu.

— Oszalałeś, stary, durny Jermoło! A toż ci go nie na zarznięcie wzięli!... toż go zobaczysz... Przeżegnaj się... to grzech...

Nierychło potrafiła go ocucić; rozbeczał się stary, począł szlochać, niewyraźnymi narzekać wyrazami, wreszcie jakoś przyszedł do siebie.

— To darmo — rzekł — wszystko się skończyło; niema już mojego Radyonka. Jest panicz w Małyckach, ale dziecka u mnie niema i nie będzie.

I począł tłuc naczynia garncarskie, wyrzucając je za drzwi.

— Do czego to! — zawołał — naco mi to! wróć do dawnego życia; chcę zapomnieć, że on był tutaj, że miałem syna. Wiem ja, co oni z nim zrobią: oni mi go obalamują, zepsują. Nie potrafi, jak dawniej, słodka dziecina mówić ze mną i śmiać się serdecznie, będzie mu tęskno za ich murowanym dworem, zimno w chacie, chleb mu nasz i woda smakować nie będą... Jermoła wyda się uprzykrzonym gderą. Nie! głupim, głupim!! trzeba było uciekać, wynieść się z nim daleko, gdzieby mnie nie znaleźli i wydrżać mi go nie mogli.

Kozaczychą słuchała, ruszając ramionami, rzucała po słówku, ale widząc, że wielkiej boleści trzeba się dać wypłakać i wynarzekać, nie przeszkadzała Jermole. Co krok stary potęrał o nowe jakieś wspomnienie dziecka w tej izdebce, która pełną ich była jeszcze: tam rzucona siermiężka stara, ówdzie garnuszek malowany jego roboty, pierwsza polewa kwiecista, którą się tak cieszył, ówdzie

czapeczka rogata poleska, którą kładł na zimę, wyszywana pasowemi sznurkami, ulubiona dziecinie, ławeczka, na której w kątku siał dać lubił, miska, z której jadał, koźlą, co becząc, za nim tęskniło...

— O! tu choć sobie o ścianę głowę rozbić! — zawołał Jermoła — ja tu żyć bez niego nie potrafię! Zdaje mi się, że umarł mój chłopak...

Kozaczycha, napróżno wyglądając, żeby mu to przeszło, widząc, że się to na długo zabiera, posłała Huluka po Chwed'ka, który zaraz starego znajomego przyprowadził do karczmyska. Chwed'ko, wiedząc, o co chodzi, i rachując na wódkę, jako dzielny środek pomocniczy, przyniósł z sobą butel gorzałki, począł od żarcików i powinszowań, potem przeszedł do porównań przywiązania swego do dereszowatej klaczy, wreszcie, nie wiedząc już, co robić, dobył flaszę i na stole postawił.

Jermoła na widok jej oczy zabłysły, pochwyił ją i caluteńką duszkiem wychylił; ale są tak silne wstrząśnienia w człowieku, że w nim zwykłe skutki wszystkiego, co go otacza, nie objawiają się wedle praw pospolitych; stan ten duszy, z chłodem, głodem, mógłby, zdaje się, zwycięsko walczyć i z trucizną. Nieraz w boju, na placu bitwy człowiek wychyla ogromną ilość napoju, która w zwykłym usposobieniu powaliłaby go o ziemię, i nie czuje po niej wrażenia. Tak się stało z Jermołą, który chciał się upić, a nie mógł: zdawało mu się, że wodę przełknął i nie poczuł jej w sobie.

— Ależ głowę ma! ta-to kwarta szumówki! — rzekł pocichu Chwed'ko z rodzajem uszanowania.

— Nie głowę on ma taką, ale żal wielki — szepnęła kozaczycha.—Daj mu teraz wiadro, to go nie spoisz; boleść go wytrzeźwi...

Chcieli go nareszcie pod wieczór wyciągnąć z chaty do wdowy, ale nie potrafili: zasiadł znów na progu, zadumał się, zapatrzył pod dęby i tak pozostał, a że Chwed'ko miał pilną sprawę, bo dereszowatą poić przyszła godzina, a kozaczysze o tej godzinie udój mleka przynoszono właśnie i wieczórę potrzeba było przystawiać do ognia, musieli go oboje z Chwed'kiem porzucić.

Biédny parobczak płakał, zostając sam-na-sam ze starym.

Już się zmierzchoło dobrze, a Jermoła nie wstał ze swego miejsca; zadrzemał trochę, bo go boleść złamała. Obudził się przestraszony i siedział nieruchomy; Huluk rozespany pilnował go, stękając.

Już pierwsze kury piały, kiedy się coś mignęło przed chatą, i Huluk, który miał kocie oczy, zaraz poznał Radyonka, przybiegającego od strony Małycezek. Starzec, nie widząc go, przeczuł, pochwyił się, obejrzał i krzyknął:

— Radyonek!

— To ja, ojczel!

— Ty! pocziwe dziecko moje... A! niech ci Bóg płaci! Byłbym umarł! Dałeś mi życie... Ale jakżeś ty przyszedł? piechotą?

— Piechotą, ojczel... Albo to ja drogi nie znam? Czy to ja się boję chodzić po nocy?

— Sam...

— Z kijem...

— I dali ci tak pójść?

— A! ja się nie pytałem. Położyli mnie spać, ale mi tak było tęskno, że oka zmrużyć nie mogłem: czegoś mnie brał niepokój; musiałem przyjść do was. Zresztą rano, gdy mnie nie znajdują, domyślą się, gdzie szukać.

Jermoła, ściskając go, ożył, oprzytomniał odrazu.

— Huluk! — zawołał głosem silnym — on przeziął może, on nie jadł; pewnie go zgłodzili. Ognia do pieca! Masz co jeść? I mnie coś czczo. Chodźmy do izby.

— Dziw — szepnął chłopiec — kiedy cały dzień nic nie jedli.

— A prawda!

— Ja wam sam i ognia rozpalę i jeść ugotuję — pochwycił Radyonek — pozwólcie po staremu sobie usłużyć.

— A! dziecko moje, nie, nie; usiądź przy mnie. Jutro mi cię odbiorą znowu; nie odstępuj mnie, proszę... Ale tobie tu od rosy chłodno będzie; chodźmy lepiej do chaty.

Gdy Huluk ognia rozpałił, a izba się rozjaśniła, postrzegł stary, zwróciwszy oczy na Radyonka, że choć mu tak rychło sukni przerobić nie mogli, już go potrosze przebrali rodzice. Matka wynalazła mu białą koszulkę, związała jasną chusteczkę na szyi, zmyła i utrefiła złote jego włosy, podpasowała paskiem jedwabnym, dała mu czapkę ojcowską i oblała go jakimś paniczukowskim zapachem. Na wychowawcu Jermoły wydały mu się te przystrojenia jako znaki odstępstwa, niewoli, jako cechy nowo przybranego stanu; westchnął, patrząc na nie, choć Radyonkowi ładnie z niemi było. Chłopiec słicznie się wydawał tak nawpół przebrany i odświeżony.

Nie mówili do siebie, bo starzec znowu posmutniał na chwilę; popatrzał na dziecko i gryzł się przyszłością swoją.

— Jutro przyjadą po niego i zabiorą go znowu; pocziwe dziecko już do mnie uciec nie będzie mogło, bo mu straż postawią. Kto wie, może i to za grzech mu wezmą, że przybiegł do ojca. Lepiejże ci tam było? — począł stary po chwili. — Pociesz-że mnie choć tém, że ci u nich dobrze.

— Dobrze, ale smutno — rzekł chłopiec. — Trup leży na marach, księża śpiewają w wielkiej sali, ale matka siedziała ze mną i cały dzień gadała i rozpytywała o wszystko. Musiałem jęć opo-

wiać całe życie nasze. Składała ręce i co chwila wam i Bogu dziękowała... Karmili mnie, całowali, chcieli zaraz przebierać; le-dwiem się wyprosił; ale po krawców posłali, żeby mi inne sprawić odzienie... Ojciec mówił — to imię, dane pannu Janowi Drużynie przez Radyonka, smutnie odbiło się w uszach Jermoły — ojciec mówił — dokończył chłopiec — że mi przyjmie nauczyciela. Darował mi ładnego konika.

— Daj Boże, żeby ci tam było jak najlepiej — zawołał stary — i nie wątpię, że kochać cię będą. Ale, o! nieraz zatęsknisz za cha-tą naszą, za spokojnymi dniami, które tu przeżyłeś.

Noc prawieby cała bez snu ubiegła, gdyby się Jermoła o Ra-dyonka nie obawiał, i położył go znużonego, a sam zasiadł pil-nować.

Nade dniem niespokojny nadjechał ojciec, a choć nie łajał dziec-ka, wymawiał mu jednak nieostrożność jego i śmiertelną obawę, ja-kięj matka doznała z jego powodu. Chłopiec zmilczał smutny.

— Ażeby tego na przyszłość nie było — rzekł pan Jan — we-źmiemy Jermołę do Małycezek. Jest izba porządna we dworze; bę-dzie mieszkał z nami i jak on ciebie, tak my jego pielęgnować bę-dziemy.

— Nie! nie! — potrząsł głową stary — ja do was nie pójdę; kocham dziecię moje, ale stąd wywlec się nie potrafię. Ciężko mi już na starość cudzym żyć chlebem: przywykłem panem być w do-mu. Tambym się rychło naprzykrzył, ktośby mi słowem bryznał, dzieckoby to zabolalo, mnie za niego. Nie poszanowaliby słu-dzy wasi przybysza; zdawałoby się wam, że mi łaskę robicie... Nie! nie! ja tu pozostanę.

Napróżno prosił i namawiał pan Jan: nie było sposobu starca przekonać. Uściskał Radyonka, opłakał, wstrzymywał go, w koń-cu pobłogosławił i usiadł w proggu, czekając śmierci.

Dziwne są często losy ludzkie i przeznaczenia boże: jednym nic tego życia urywa się, gdy złotem szczerem przetyka ją dola, drugim cierpienie i boleść, szarpiąc czarną przędzę, odciąć nie mogą... Jer-moła przeżył rozstanie i umrzeć nie potrafił. Przechorował, posta-rzał po raz drugi, pochylił się, stał się milczącym i ponurym, poczał nową epokę żywota; ale siły zaoszczędzone wiodły go dalej jeszcze: kazano mu patrzeć na dziecię zdaleka i gryźć się i pocieszać wspo-mnieniami.

Równy z oddaleniem się Radyonka porzucił sam garncarstwo, oddając je Hulukowi, który mu się był nieco przypatrzył; sobie, jak dawniej, zostawił ogródek i kątek zajmowany przedtém, dzieląc czas na ciche rozmyślanie w tój izbie, w której swe dziecię wychował, i odwiedziny a długie rozmowy z kozaczyką.

Ta jedna rozumić go i cierpliwie słuchać mogła. Położenie ich zbliżało: on się litował nad nią, pozbawioną Horpyny, która całkiem na panią wyszła i prawie nigdy już u matki nie bywała; ona tęskniła z nim razem za Radyonkiem. Długie godziny u ognia tak pędzili na opowiadaniach o starych szczęśliwych czasach, a choć po sto razy każdą rzecz sobie wypowiadali, umieli cierpliwie wysłuchać jej nanowo, gdy prąd pamiętek przyniósł ją znowu na usta.

— Pamiętasz moję Horpynę, jaka ona była śliczna, kiedy się bywało do cerkwi ubierze. Teraz już jej ani poznać, tak wymizerniała po pięciorgu dzieciach, na tym swoim pańskim chlebie... Oj! niezdrowy-to chleb!.

— A Radyonek? — rozповідаł stary — czy nie ładniejszy był w sukmanie z podgoloną głową?

Zrazu tak było, że codzien prawie Radyonek to sam, to ze służką, to z ojcem lub matką dojeżdżał do dawnego piastuna; potem przywozili go tylko w niedzielę, potem co kilka tygodni, wreszcie, gdy zatęsknił staruszek, włókł się o kiju do wychowawca, żeby go choć na chwilę, choć zdaleka zobaczyć.

I zrazu biegł też do starca Radyonek, jak go tylko zobaczył, wrywał się wszystkim; nie było go sposobu utrzymać. Potem czasem nań chwilkę musiał czekać Jermoła, aż przyszło do godziny; a było i tak, że stojąc dzień cały u drzwi napróżno, już go nawet zobaczyć nie mógł i odchodził splakany. Odprawiano go na folwark, karmiono; ale staremu nie tak potrzeba było pokarmu, tylko syna zobaczyć, wzrok nim napaść: to jedno nasycić go mogło.

Jermoła nie uskarżał się na to; wiedział on dobrze, że dziecię jego nie było temu winno, że rodzice i nauczyciele powoli starali się w ten sposób odciągać Radyonka od przybranego ojca, a dziecię szeptało, płacząc zawsze, że radeby było pójść nazad do Popielni.

Prędko się wychowanek do niepoznania odmienił: z chłopaka wiejskiego, gdy mu suknie wdziali pańskie, gdy go poczęli karmić swoją strawą i zamykać między czterema ścianami, kwiatek ten uwiadł, zbladł, a choć wzrost szybko go pędził w górę, znać było wiotką roślinkę, którą lada wietrzyk miał zwarzyć.

Skarżyła się biedna matka, obawiał się ojciec; rozweselali go, bawili, chuchali; ale im bardziej zamykali i strzegli, tém dziwniej chłopak począł blednąć i słabnąć. Czasami wśród nauki, pieszczoty zamyślał się, iza błyskała mu w oku, i gdy go pytali, co mu jest, uśmiechał się, tając się z bólem.

Dawne życie, pierwsze lata młodości, spędzone w swobodzie wiejskiej, w pracy i weselu nieopatrzniem, dziś ciążyły nad dzieciną kamieniem; zmiana trybu, gwałtowne przejście, jak przesadzenie rośliny, zmęczyło tę biedną istotę. W nocy, we snach przypominała mu się chata, wesołe ranki nad garncarską robotą, wycieczka nad rzekę i do lasów i to wolne bujanie po świecie, w którym czuł się sobą, czéms oddzielném i samoistném. Tu słodkie wprawdzie, ale krępowały go więzy, uczyniono go napowrót dziecieniem, otoczono staraniem zbyteczném, obawiano się o niego, obwarowano tysiącem ostrożności, nie dając rozwinąć się woli.

Pozbawiony natury, powietrza, słońca, do których przywykł, tęsknił za niemi jak za Jermołą.

Dobrze mu było przy matce i ojcu, ale wzdychał za wczorajszém sieroctwem; w ostatku ta walka i przerabianie się zmogły go i chorzyć zaczął.

Rodzice, nie zgadując stanu dziecięcia, zamiast goić ranę, rozdrażniali ją: wpływom starego przypisywali upadek ducha w synu i usiłowali go oddalić od Radyonka, popełniając zarazem niesprawiedliwość i niezręczność.

Dziecię, im troskliwiej starano się oddalać, tém bardziej garnęło się do Jermoły; oprócz przywiązania, litość, uczucie wyrządzonej krzywdy i niewdzięczności dręczyło je potajemnie. Przed ojcem surowszym, który coś zachwyił charakteru dziadowskiego, nie powiedzieć, do niczego się przyznać nie było można; matkę bolało to przywiązanie tak stałe, tak wielkie, za które czuła jakąś zazdrość, srodze, jak grzech, wyrzucając je dziecięciu.

Nowy wypadek zmienił wkrótce położenie Radyonka: powiększyła się rodzina braciszkiem jego, Władziem, a ojciec i matka przelali nań prawie całe swe przywiązanie, jakie mieli do pierworodnego, dając mu powoli poznać zobojętnienie, a nawet wymówkami za Jermołę go dręcząc. Chłopiec znosił je milcząco, łyż polykał, ale dręczył się boleścią potajemną.

Wszystko to razem wzięte złamać musiało tak wprzód swobodnie rozwijające się, tak dziś wielu sprzecznemi uczuciami skrępowane i onieśmiałone swém położeniem dziecię. Z wesołego stał się ponurym Radyonek, zamyślonym, z otwartego — skrytym i bojaźliwym, a nocami płakał po dniach minionych przy kochanym staruszku. Serce jego krajało się na widok Jermoły, który pieszko, o kiju

przywlekał się z Popielni do Małycezek, stawał w ganku i jak na jałmużnę czekał, dopraszając się widzenia, tylko widzenia dziecka. Jeśli mu je puszczone, stali stróżowie, którzy pilnowali, aby Radyonek zbyt się nie rozczulał, nie mówił za wiele, nie skarżył się i nie bawił długo, a często, bardzo często z okna tylko najrzało go dziecicę, jak smutno godziny długie stał w ganku, jak popychali go słudzy, jak go odprawiano nietościwie, jak w końcu o mroku biedny staruch ze spuszczoną głową, powoli, oglądając się za siebie, powracał próżno do domu. Naówczas Radyonek płakał, cierpiał, a chorobę i cierpienie przypisywano nie obejściu się z nim niestosownemu, ale samęj już tylko przytomności, natręctwu Jermoły.

Zejsć tak z ojca i z opiekuna na głodnego żebraka, u drzwi ganku czekającego litości, ciężko to i boleśnie; nie poskarżył się jednak stary, nie wyrzucał im tego gorzko, milczał, taił w sobie boleść, aby go całkiem nie odpędzono. Tylko gdy tak raz i drugi odprawiono go, nie dawszy zobaczyć chłopca, powracał częściej, stał uparciej, aż go gdzieś taki pochwycił na przesmyku. A gdy coraz bardziej omdlałe oczy, głos słyszał cichszy i mowę zmienioną, niekiedy aż się w nim na burzę zbierało, ale starość bezsilna, niemoc podcinająca nogi, ubóstwo, sponiewieranie nie dozwalały myśleć o jakimkolwiek ratunku.

I szło tak coraz gorzej a gorzej.

Matka, zajęta Władziem, utyskiwała na starszego, ojciec się srożył i burzył, ale to nie pomagało; podwojono pieśczęt, sprowadzono lekarzy. Któryś z nich wpadł na myśl zbawienną, radząc powietrze, słońce i ruch swobodny; inny, smutku się dobadawszy, wskazywał środki moralne: — spadała zawsze wina wszystka na Jermołę.

Pan Jan, zniechęcony i zgryziony, długo walcząc z sobą, w końcu postanowił starego piastuna pozbyć się raz nazawsze.

Jednego poranku, wedle zwyczaju swego, Jermoła, który przez trzy już tygodnie ledwo przez okno widywał dziecię swoje i codziennie przywlekał się do Małycezek, przeszedłszy bramę, opędziwszy się psom, któremi go szczuli psiarczyki, stanął we drzwiach i stał, czekając, słowa nie mówiąc, jak Łazarz u drzwi bogacza. Słudzy, już dobrze nauczeni, potrącając go i pozbywając się, chcieli go odpędzić, ale się stary nie dał. Trwało to tak do południa, aż pan Jan, znużony tą naprzykrzoną postacią, która mu stała w oczach, jak wyrzut sumienia, wyszedł sam przeciwko Jermole.

— Mój kochany — rzekł, siadając na ławie w ganku, sucho i ostro — widzę cię tu już od dni kilku. Czegoż tak uparcie stoisz? Naco nam koniecznie chcesz bałamucić dziecko? Powiedz, czego chcesz? Damy ci, co możemy, a nie zakłócaj spokojsności naszój.

Mówisz, że kochasz dziecię, nie dręcz-że go. Widok twój go burzy, nie daje mu się do nas przywiązać; powinienes mieć rozum. Jeśli w ten sposób chcesz co u nas utargować, zapowiadam ci, że się to nie uda. Mów, czego ci potrzeba?

— Ale, panie, ja nic nie chcę, tylko zobaczyć moje dziecko i pobłogosławić — rzekł Jermoła powoli jeszcze i łagodnie.

— Właśnie czas, żebyś to już sobie wybił z głowy. Hodowałeś je; chcieliśmy ci za to nagrodzić; dziś to skończone; dziecko powróciło do nas; daj mu spokojnie żyć z nami. Kochasz je, a zamęczasz.

— Ja? panie!

— Ty! Patrz, co się z niem dzieje: zwiędło, zeszło!

— Ja, panie! ja! to ja! — powtórzył boleśnie Jermoła.

— Już ciż nie my...

— Wy! wy go zamęczacie! — wybuchnął w ostatku stary. — Oddałem go wam wesółym, zdrowym i swobodnym, zamknęliście go i zamorzyli tęsknotą. Dziecię mnie kocha, bo inaczej nie miałyby serca, wy uczycie je niewdzięczności.

— Czy ty, stary, oszalałeś? — oburzył się pan Jan. — Co to jest? Śmiesz mi to mówić? Wynos mi się stąd natychmiast i żeby tu twoja noga nie pozostała!

Jermoła osłupiał, zadrżał, wstrząsł się, chciał mówić coś, ale słowa nie znalazł.

— Wypędzacie mnie — rzekł wreszcie — pójdę, pójdę i noga tu moja nie wróci, ale pamiętaj, człowiecze, że tak, jak-ście wy mnie odebrali to dziecię, tak Bóg sprawiedliwy wam je odbierze.

Rzuciwszy to straszne przekleństwo, które nadbiegająca matka, by wstrzymać męża, usłyszała i krzyknęła boleśnie, Jermoła prawie nieprzytomny, ostatkiem sił zbiegł z ganku i przeszedł dziedziniec, nie oglądając się za siebie.

Pan Jan zapóźno opamiętał się, poczuł popełnioną krzywdę; słowo prorocze serce mu przebiło. Odchodzący starzec był dlań wyrzutem; sam nie wiedział, co począć; rzucił się w głąb domu, gdy na ręce prawie omdlała padła mu żona. Chcieli zaraz posłać po Radyonka, żeby dogonił staruszka i z nim ich pojednał, ale gdy do przyległej weszli izdebki, znalazł dziecię omdlałe, zbladłe jak marmur, zimne, i nim się go dotrzeźwili, Jermoła już był daleko.

Wieczorem przywłókł się biedny do starej kozaczychy, żeby się poskarżyć i poradzić, bo tydzień już nie był u niej, chodząc nieustannie do Małycezek; ale nie wiedział, że wdowa od trzech dni zachorowała, i wszedłszy dopiero na próg, uderzyło go, że okienka w chacie były wyjęte, trumna stała wśród świetlicy, a przed izbą bractwo

z chorągwiami, krzyżem i ksiądz z księgą, mający towarzyszyć pogrzebowi.

Jakby przebudzony ze snu, popatrzał Jermoła długo, długo, przykląkł i począł się modlić.

— Niema i jéj! niema! czas umierać — rzekł, czując po ciele przebiegający jakiś dreszcz złowrogi — trzeba ją odprowadzić na mogilnik i rzucić garść piasku na jéj domowinę...

Milczący postął przy drzwiach, na kiju oparty, powlókł się za orszakiem pogrzebowym, w którym zięcia, ani córki nie było, — sami obcy i domownicy, czeladź i dalecy krewni.

Cmentarz był między dworem a chatą Jermoły; w tę stronę poszli z pogrzebem, a wśród mroku szereg świateł, z którymi bractwo towarzyszyło trumnie, rozwijał się długim sznurem, oświecając roz-wite chorągwie. Mogiła już była wykopaną przez Chwedora; żółta glina kupą leżała nad nią, poświęcił ją ksiądz i spuścił do dołu staruchę, a kto żyw, rzucił jéj garść piasku z pożegnaniem na oczy.

Jermoła, dopełniwszy obowiązku, powoli, nieprzytomny, powlókł się machinalnie do staréj chaty; niepilno mu tam było.

Huluka, który się już tutaj niemal za pana uważał, i choć dobre chłopię, trochę miał staremu za złe, że mu zawadzał, zastał w progu na pełnych nadziei rozmyślaniach. Chłopcu zdawało się, że gdyby nie Jermoła, mógłby ogródek i piec wziąć na siebie, ożenić się z Pryską i wyjść na poważnego rzemieślnika. Dawny opiekun już mu dziś zawadzał.

— Co tu słyhać? Nie przysyłali od kozaczychy, jak zachorowała? — zapytał przybyły.

— Jakże nie! stara ze trzy razy pędzała po was Chwedora, chcąc się widzieć i coś wam powiedzieć, ale was nie było...

— Ha! ha! powiedziała już ostatnie słowo! — obojętnie jakoś wyrzekł Jermoła, wchodząc do izby. — Niema co mówić dalej; skończyło się, wszystko się skończyło.

Powtarzał te wyrazy, z kąta w kąt kręcąc się po izdebce, potem usiadł na ławie i zadrzemał staruszek, a Huluk wyszedł, ruszając ramionami.

— Niewiedzieć, co temu staremu — mrucał do siebie. — Poszedłby z torbami i po wszystkiém. Jabym się z Pryską ożenił i wszystko byłoby dobrze, a dopóki on tu siedzi, jak o tém pomyśleć? Ot, bięda!

W téj izdebce, przed laty tak czystéj i porządnéj, teraz nieład i opuszczenie panowało; znać było, że nikt się o nią nie troszczy. Sprzętu część zabrał Huluk do drugiéj izby, część stary sam porozdawał, reszta pyłem i śmieciami przyrzucona leżała. W piecu ognia oddawna nie było, ani zapasu drewek, ani tych wkoło porządków gospo-

darskich ; resztki niedotłuczone leżały tu i owdzie po podłodze. Stary już i na to patrzeć nie mógł. Rano, gdy się obudził, zdawało się, że miał ochotę wziąć się do czegoś, ale tak mu się wszystko wydało smutném, przykrém, zatrutém, samo miejsce tak nienawistném, że pierwszy raz pomyślał opuścić je na wieki.

Nie mógł wyjść za próg, żeby się oko jego nie spotkało z dębami, pod któremi dziecię, pociechę lat swych starych, znalazł w białych pieluchach, z okolicą, wśród której zabawiał się Radyonek, wesoło igrając. Wspomnienia te zbyt były żywe jeszcze, nadto gorzkie, żeby je przenieść mógł starzec, ustawicznie obcując z niemi.

— Pójdę powoli w świat, z modlitwą, niech im Bóg przebaczył — powiedział sobie — od kościoła do kościoła modlić się za dziecię moje. A cobym tu teraz robił? Niema miejsca dla mnie, niema ludzi moich. Torby na plecy, kij w rękę i w świat. Nie przydadem się na nic więcej.

I wyjął trochę grosza zachowanego z kryjówki, żeby, gdy śmierć go gdzie zaskoczy u obcych, choć pogrzeb i nabożeństwo zrobić było za co ; trochę odzieży narzucił na plecy, chust w sakwy, worki na sznurze przewiesił przez plecy, i tak już gotów będąc do drogi, zawołał Huluka.

Ten, wyszedłszy z drugiej izby, ujrzawszy go w ubraniu żebraczém, aż się przeląkł odgadnionej myśli swojej, serce mu zabiło, pożałował starego : odechciało mu się i żony i gospodarstwa.

— No! ja idę w świat, chłopcze — rzekł stary powoli. — Com miał, to ci tu zostawiam. Żyj z Bogiem, daj ci, Boże, szczęście na tém miejscu, a dłuższe jak moje. Wszystko, co tu jest, twoje. Jeśli kiedy tu zajdę, nie odmówisz miejsca i wypoczynku. Niedługo mi się tułać i ludziom narzucać.

Huluk, rozplakawszy się, upadł mu do nóg, bo sierocie i ta trocha sprzętu była wielkim datkiem i żal się zrobiło Jermoły.

— A czyż już idziecie? — zawołał.

— A cobym tu robił? — westchnął stary. — Kozaczychę ponieśli na mogiłki, Chwed'ko chory, może nie wstanie; nikogo już nie mam we wsi znajomego i przyjaciela... Dziecka mojego niema! niema!

To mówiąc, otarł łzy cisnące się do oka i ruszył, a zdawało mu się, jakby się wkoło niego cały świat okręcał. Huluk widział go przechodzącego przez wieś, naszczekujące już nań psy, które go dawniej znały, potem wlokącego się ku lasowi i niknącego na drodze do miasteczka.

W trzy dni potém, gdy dziecię coraz bardziej chorzało, a lekarz, świadomszy przeszłości, bez ogródki oświadczył rodzicom, że je dać potrzeba staremu Jermole, by wróciło do pierwszego życia, strawy i pracy, do której przywykło, oboje rodzice przybiegli z nim razem do Popielni. Jakież było ich podziwienie, jaki płacz Radyonka, gdy starego już tam nie znaleźli, gdy dowiedzieli się, że poszedł w świat żebrać nie chleba, ale zapomnienia przeszłości!

Ta wielka i poczciwa boleść piastuna trafiła wreszcie do serca rodziców, poznających się zapóźno na swoim błędzie, a nadewszystko przerażonych żalem i płaczem dziecka, rozpaczającego po przybranym ojcu. Rozesłano zrazu na wszystkie strony szukać Jermoły, ale gdy go nie znaleziono, rodzice powracając do pierwszego, radzi już byli, że ich stary niepokoić nie będzie, sądząc, że dziecię zapomnieć o nim musi.

Tymczasem Radyonek, który u rodziny miał imię Julka, wśród pieśczot usychał: nic go nie bawiło, nie zajmowało; nie skarżył się, ale był smutny; starał się uśmiechać, ale widocznie tęsknił; choroba nieokreślona, niezbadana wycieńczała go powoli. Na chwilę czasem rozbawił się, gdy go puszczono w ogród, w las, samego jednego, lub pozwolono puścić się konno, choć rodzice obawiali się tych rozrywek i samotności dla dziecka i rzadko mu ich dozwolali.

Jermoła błdził w początku ze swoją tęsknotą od wsi do wsi, od kościoła do kościoła, modlił się, chodził, zmieniał miejsca, usiłował przywyknąć do tego życia błędnego, zmiennego codzień, wystawionego na tysiące niespodzianych wypadków i niewygód, które ma swoje przyjemności dla człowieka-sieroty, gdy mu kąt rodzimy obrzydł. Ale z nim szła wszędzie nieodstępna boleść, wspomnienie spokoju, pogruchotanych nadziei i ukochanego dziecka.

Jeszczeż gdyby choć ono było szczęśliwe, ale w krótkich chwilach, gdy mu się z niem widywać pozwalano, nie tylko z twarzy odgadł stary smutek wychowawca: — widział go w słowach, łapał w przypomnieniach młodości. Radyonek ze łzami mówił o Popielni i o szczęśliwych godzinach, spędzonych w starej karczmie, nad prostym garncarskim warsztatem; nieraz wyrwało mu się słowo znaczące: „O! gdyby się to wrócić mogło!”

Niepokój coraz przykrzejszy owładał starcem, gdy myśląc o Radyonku, począł przewidywać, że rodzice, sposobiąc go do nowego

życia, umorzą dziecię zbytkiem troskliwości lub obojętności zimną i surową. Kochali go ojciec i matka, ale ich miłość wielce się różniła od przywiązania Jermoły: — przywykli sami do surowości rotmistrza, byli dla dziecka czuli w sercu, choć powierzchownie zimni; nie wiedzieli zresztą, jak się z nim obchodzić, nie umieli doń przemówić, bo go od dzieciństwa nie wykołysali. Radyonek mniej ich rozumiał, obawiał się więcej. Słowem, przybrany ojciec był dlań prawdziwym, prawdziwy — przybrany tylko.

Im dalej od Popielni i Małyczek odchodził staruszek, tem znowu więcej go korciło powracać, i tak dnia jednego skręcił powoli z drogi, zawracając się ku wychowawcowi, postanowiwszy jeszcze choć zdaleka go zobaczyć, lub przynajmniej o nim się dowiedzieć. Nogi dziwnie mu służyły w tej drodze, nigdy się nie czuł tak lekkim, a choć miał trzy mile przed sobą, zrobił je w dniu jednym i w nocy stanął w Małyczkach. Trzeba mu było całą wieś przechodzić, żeby się dostać do karczmy, w której choć się obawiał być poznany, musiał noclegu szukać. Po drodze naturalnie wpadła mu w oko chata Prokopa garncarza, ale jakże się zdziwił, zobaczywszy ją pustą, ogród napół rozgrodzony, gruszę, pod którą był piec, prawie uschłą, a piecysko samo zarosłe chwastami nakształt starego pogorzelska! W chacie nikt już, zdaje się, nie mieszkał, bo okien w niej nie było, części odartego dachu brakowało, zrąb jej zapadał w ziemię, drzwi tylko, kołkiem jeszcze podparte, nie wpuszczały do środka.

Łatwo się było domyślić, jak do tego przyszło: córka Prokopa wyszła do drugiej chaty, zięć, choć oba grunta trzymał, tej nie potrzebował, najemnik się nie trafił i po półrocznym zajmowaniu jej przez rekrutkę, stara sadyba opustoszała.

Dziwną to myśl zrodziło w głowie Jermoły.

— A gdybym ja — rzekł — zaco-zato najął sobie tę chatynę i w niej osiadł, możebym czasem mógł dziecko moje zobaczyć? Kto-by tam wiedział o mnie! Możeby i nie poznali, możeby nie postrzeegli; choć nocką podkładałbym się pod okienko mojego Radyonka.

Łzy zakreśliły mu się w oczach, stanął i począł żałować starego Prokopa, gdy z ogródka, gdzie wybierano właśnie konopie, kobiecy głos dał się słyszeć:

— A co tak, dziadku, stoicie na drodze? Jeszcze was kto przejedzie; furmanki idą z góry.

Spojrzał Jermoła i poznał mówiącą. Była-to córka Prokopa, Naścia, która sama z dziewczyną parała się w ogródku. Znać go nie poznała. Zdało mu się z mowy, że powinna być dobrą kobietą, i podumawszy, zbliżył się ku niej do plotu.

Hoża-to była, w sile lat i zdrowia niewiasta, słuszna, zbudowa-

na mocno, barczysta, pięknej twarzy, nieco zaotyła, ale taka właśnie służyć mogła za typ pięknej naszej wieśniaczki. Twarz jej z żywym rumieńcem zdrowia, z oczyma czarnemi, z wiśniowemi ustami, tchnęta wesołością, swobodą i siłą, a białe zęby, okazujące się w każdym uśmiechu, odbijały swym blaskiem od nieco ogorzałego lica. Była to w istocie dobra, litościwa, trochę zalotna, ale i bardzo gospodarna kobieta, nie od tego, żeby się nie pośmiać i nie pozartować, ale matka troskliwa i żona wierna. Mąż jej, syn najbogatszego we wsi kolesznika, mały, bladej, chuderlawy, słabowity, tak jej słuchał jak matki i ojca, a obawiał się jak ognia, kochał ją, że i bić się i zabić dałby gotów za Naścię.

— Nie poznaliście mnie, Naściu Kolesznikowa — rzekł pocichu, przybliżając się, stary — a toć to ja Jermoła, stary wasz znajomy, com to się garncarki uczył u Prokopa, ojca waszego.

— Jakto? wy? z torbami? na żebraczcze? A cóż się to z wami stało? Mielicie chleb w rękę, nie już starość!

— Oj! długoby gadać! Wicie zapewne, wychowałem waszemu panu syna.

— Toć to o tém cały świat gada...

— Odebrali mi go.

— Zachcieliście! toż to było ich dziecko, nie wasze!

— Ależ, moja Naściu, potrosze i moje; teraz mi na nie już parzyć nie dają, jakbym ja, broń Boże, urok miał rzucić na mojego chłopca. Skwaśniało mi życie: tu nie puszczają, w Popielni same-mu tęskno, bo nawet kuma kozaczycha umarła, więc puściłem się w świat.

— Biedny stary, to wam tak było żal tego dziecka?

— Było moje jedyne, rodzone, a tu mi je tak wzięli... Poczęło schnąć, słabnąć; Bóg wie, co z niego będzie. Mnie nawet dostąpić do niego nie dają. Powiedźcie, mająż oni Boga w sercu? Sam pan mnie przepędził, żeby tam noga moja nie powstała.

— A! czyż to może być!

— Klnę ci się na Chrystusa Pana, że tak było!

— Aj! krew rotmistra! będzie z niego drugi bał'ko! — zawołała ciszej nieco Naściu, oglądając się. — Patrzenie! dobrodzieja swojego tak wygnali!

— Otóż... com ja wam mówił?.. musiałem pójść w świat, a jak-em wyszedł, tak mi się znów za dzieckiem tęskno zrobiło i powróciłem, żeby je choć zobaczyć.

— A widzieliścież?

— Nie; tylko co idę... a sam nie wiem, dokąd.

— To wstąpcie do nas.

— Bóg zapłać, Naściu; niech ci na dzieciach to wróci; nie mo-

gę; zobaczyliby mnie, rozgadali. Ja nie chcę, żeby już o mnie we dworze wiedzieli; abym dziecko choć zdaleka zobaczył, pójdę dalej. Ale powiedz-no mi, co to Prokopowa chata pusteje?

— A cóż, popsuła się; nie było komu po tej rekrutce mieszkać, nie naprawiliśmy. Jak upadnie, ogródek się powiększy.

— A nim upadnie?

— Ot! będzie sobie stała, jak jest.

— Żebyście mi w niej jaki tydzień pozwolili przemieszkać, ja-bym zapłacił.

Naścia się rozśmiała.

— Za co? za przemieszkanie w pustce? A to mojemu Sydorowi łaskę zrobicie jeszcze, bo onby chciał chatę utrzymać. Jakby był kto, coby ją podpierał i pilnował, powstałaby dłużej. Jeżeli myślicie tu posiedzieć, przysłałabym wam okienko, któreśmy wyjęli, żeby go kto nie ukradł... Ot! i zgoda!

— Doprawdy? — spytał uradowany Jermoła.

— A cóż, i owszem.

— A niechże wam Bóg płaci i szczęści! — zawołał staruszek. — Będę wam pilnował kąta, oczyszcze sam i wylepię i jeszcze taki siud-tud posłuże za to. Lżej mi tu będzie, bo bliżej mojego chłopaka; dowiem się co czasem o nim.

— Ano, zgoda, Sydor będzie kontent, wy radzi, czegoż chcieć? Mnie to wszystko jedno. Jeszcze mi ogródka dojrzycie?

— Nie tylko dojrzę, ale go wam porządniej choć kozikiem ogrodzę, byle chróst.

— Ot, i dobrze! — zaśmiała się Naścia. — Chodźcie do nas na wieczere; pogadacie z moim, zabierzecie okno, weźmiecie trochę trzasek przepalić, bo tam musi być wilgotno, przenocujecie już w swojej chacie.

To mówiąc, Naścia poczęła zabierać konopie, huknęła na dziewczynę i, zaśpiewawszy piosenkę czystym a donośnym głosem, poważnie skierowała się ku chacie, nie bliższą ścieżką i przełazem, przez który można było dostać się na ogród, ale drugą, bo jej konopie ciążyły. Chata Sydora Koleśnika stała obok, ale w drugiej uliczce, tak, że dwa ogródki grzbietami się stykały, a była wcale nowa i porządna.

Na pierwszy rzut oka widać było, że gospodarz miał się dobrze: izba wielka, piękne złociste obrazy w kącie nad dzieżą, stół czysty, ręcznikiem białym zasłany, chleb na nim ogromny, wypieczony aż miło, pokryty płachtą świeżą; cebry, wiadra i czerpaki jakby tylko co z targu; ciepło, skrzętnie, zasobno. Tylko sam gospodarz ani do żony, ani do chaty nie był podobny, taki chudzienki, blade, zwiędły, zachryply, biedny, skulony, płachtą miał zawiniętą

bolącą szczękę, oko jedno zaczerwienione, brodę dawno nie goloną, a choć lat trzydziestu nie doszedł, na czterdzieści kilka wygładał.

— Oto macie starego Jermołę z Popielni — odezwała się, wchodząc, Naścia do męża, który pod piecem siedząc, fajkę się na ból zębów kurował. — Ofiaruje się na komorne do Prokopowej chaty i jeszcze chce dozierać ogrodu, byleście go przyjęli.

— Jermoła! a! pamiętam! Jak się macie, ojcze! — powitał go, spluwając po bakunie, Sydor. — Co wy tu robicie?

Nie dała mu odpowiedzi Naścia, która do innych swych przymiotów łączyła wymowę nadzwyczaj łatwą i obfitą, i poczęła zaraz obszernie historią Jermoły; a że Sydor był serca miękkiego i łatwo ulegał wrażeniom żony, zaraz się przejął położeniem staruszka i, posadziwszy go przy sobie na ławie, począł gawędzić.

— A co to was boli? — podchwycił Jermoła, przypominając sobie dawne swe po wsi leki. — Możebym ja co poradził? Powiedźcie.

— Nie wiem, szczeka, czy ząb. Poczęło się od jednego próchniawego zęba, a teraz poszło po twarzy i głowie, że cała rwie i swędzi.

— A nie próbowaliście choć przykrego, ale skutecznego lekarstwa. Wykurzyć lulkę mchu dębowego?

— Ot, nie.

— Tylko ten mech potrzeba umieć wybierać — rzekł Jermoła.

— A jest u was dębina?

— Pełne podwórko.

Jermoła zaraz się ruszył szukać; znalazł łatwo przygarść porostu, osuszył, oczyścił z wiórek i kory i lulkę nałożył biędnemu Sydorowi. Zapalono ją, smród przykry rozszedł się po izbie, aż Naścia kichać zaczęła, ale czy skutkiem tego lekarstwa, czy innego usposobienia, ulżyło zaraz mężowi i nie mogli się staremu oddziokować. Gęba tylko mu puchnąć zaczęła, ale choroba się przesiliła.

— Już niech sobie puchnie — rzekł Sydor — aby nie bolało, bom myślał się na ścianę drapać.

Tym mchem zyskał sobie przyjaciela Jermoła, dano mu okienko, przygarść trzasek do pieca, łuczynkę na podpał. Naścia nakarmiła go jeszcze i wetknęła garnuszek stawy na jutro, a szczęśliwy Jermoła poszedł przez przełaz na nową sadybę.

Nie niema smutniejszego nad pustkę po człowieku: każda wieje śmiercią i trupem. Chata Prokopa, już opuszczona od kilku miesięcy, wszędzie pleśnią i grzybami porastać zaczynała, w szczelinach jej ziarna traw i zboża zablakane puszczały żółte, blade, pozbawione światła, wyciekłe porostki, wilgoć sączyła się ze ścian, tok okrywały mchy siwe, a niezliczone robactwo królowało już w ruinie. Ale dla Jermoły wszystko się wydało dobrém i radę dać sobie umiał,

ożywiony zbliżeniem się do swego dziecięcia, pokrzepiony nadzieją widzenia go.

Założył okno, rozpalil ognia, wymiotti, wytarł, drzwi otworzył i dwie ławy jako-tako zestawilwszy do kupy, podestawilwszy worki, położył się na nich spocząć po dniu długiej i ciężkiej, lasowej a piaszczystej drogi.

Nazajutrz cały dzień spędził w chacie, krzątając się około oporządzenia izby, trochę Naści dopomógł w ogródku, a pod wieczór, dobrze znając dwór i ogród, na wszelki wypadek pociągnął drogą ku niemu. Wybrał się już o późnym zmierzchu, ażeby go nie poznano, i nie zawrócił do ganku, gdzie tyle razy niegościnnie był przyjęty, ale poza sadami ścieżką włókł się powoli w odzieniu żebraczym. Drożyna ta wiodła, okrążając zabudowania, na drugą stronę ogródka, z której widać było ulicę wyprostowaną, dwór i naprzestrzał miejsce, gdzie się najczęściej Radyonek przechadzał. Puszczano go tu samego, bo sad był częstokolony, niewielki, a dziecko wyjść dalej z niego nie mogło. Ale dnia tego pusto było w ogrodzie i Jermoła, patrząc przez szczeliny częstokołu, nikogo nie zobaczył prócz ogrodniczka. Świeciło się w okienku Radyonka; na to światło popatrzał stary, westchnął i nazad powrócił.

Jakoś mu przecie lżej się zrobiło na sercu, gdy się uczuł bliżej dziecka i gotowym przyjść mu w pomoc, zakrzętnął się koło gospodarstwa, przekąsił i spać się położył prawie wesoło. Naścia nie zapomniala o jego wieczery: znalazł na piecu garnuszek starannie przykryty, pełen kaszy, którejby i na dwa dni stać mogło.

Nazajutrz tak samo dzień przepędził i bez przerwy codzien chodził Jermoła do dworu, aż wreszcie udało mu się Radyonka spotkać przechodzącego uliczką pod częstokołem. Nie wytrzymał, syknął na niego, a chłopak jak wryty się zatrzymał.

— Radyonku — zawołał Jermoła — na miłosierdzie boże, przyjdź do mnie i powiedz choć słowo.

Na ten głos, tak znajomy, choć stłumiony i cichy, chłopak wzdrygnął się, poskoczył i jednym rzutem był już na płocie.

— A! ojcze! to ty! co tu robicie?!

— Cicho! cicho! nie wydaj mnie... Przyszedłem dla ciebie.

— Dawno?

— Dni kilka.

— Gdzie siedzisz?

— W pustce po starym Prokopie... O! nie wydawaj mnie, będziemy widywali się co wieczora... ale bądź ostrożny, synku.

Radyonek pokraśniał, zawrzał, ale wtém ktoś nadszedł, głos dał się słyszeć w ogródku, stary znikł zaraz, a Julek udał, że po gniazdo wdrapał się na ogrodzenie.

Zganiono mu niebezpieczne wdzieranie się na wyżynę i odprowadzono do domu, obawiając się padającej już rosy, nikt jednak nie postrzegł zmiany, jaka zaszła w dziecięciu; Radyonek nie spał noc całą.

Nazajutrz nie było zabawy, tylko w ogródku. Wieczorem znowu przydybał Jermołę; znaleźli miejsce, gdzie się częstokół rozszedł i wygodniej pomówić z sobą mogli. Ale krótką chwilę trwała ta rozmowa, stary odszedł z niej pomieszany i niespokojny. Serce jego było szczęśliwe, ale walczyło z sumieniem. Radyonek prosił i zaklinał, aby go zabrał z sobą i z nim razem daleko od Małycezek uciekał, tak mu tu życie nieznośnem się stało.

Codzień więcej na przybyłego brata przelewała się wszystka miłość rodzicielska. Julek przestał być dla nich ulubieńcem, stał się prawie zawadą i natrętem; wyrzucano mu jego smutek, milczenie, chorobę, nazywano szydersko chłopskim dzieckiem.

Nie brakło mu wprawdzie nic prócz serca, ale przywykły do staro go ojca swego, najmniej umiał znieść ten niedostatek.

— Jakże ja ciebie zabrać mogę? — mówił mu stary. — Wszak to są rodzice twoi; powiedzą, żem cię ukradł. Tyś przywykł u nich do wygod, jak ja ci wystarczę? Gdzie się skryjemy oba? Dogonią nas i znajdą, a wówczas twoja i moja pogorszy się dola.

Ale dziecię miało odpowiedź na wszystko, a Jermoła słabnął. Rodzice nie kochali, jak ojciec przybrany: on tu żyć nie mógł; wygod nie potrzebował, bo za przysmak odkradał sługom chleb razowy, żeby sobie młode lata przypomnieć, za co go karano i nagania-no niemal codziennie.

— Skryć się — odpierał Radyonek — było łatwo, idąc gdzieś daleko, w strony nieznanne... Byłe siermiężka i jakie takie okrycie, któżby go poznał?

Na pierwszą tę myśl rzuconą otworzyła się, uśmiechnęła dusza Jermoły, ale wkrótce zasmucił się niepodobieństwem wykonania jej, niepokojem sumienia. A nużby go w drodze tej śmierć gdzie zaskoczyła i dziecię samo zostało bez opieki? Godziłoż się je wyrwać lepszemu losowi? Stary wyrzucał już sam sobie, że przyszedł, podrażnił Radyonka i namyślał się uciekać ze wsi, aby dłużej na tę próbę nie być wystawionym.

Chciał to wykonać prędko, czuł bowiem, że Radyonek coraz silniejszy wpływ wywiera na niego, ale wieczorem, gdy przyszedł pod ogródek, musiał go wydać czy głos drżący i łez pełny, czy nieostrożne jakieś słowo; chłopiec bowiem milcząco się z nim rozstał, ale jakby ze stałym jakimś postanowieniem.

Ledwie wróciwszy do chaty, począł się zaraz nocą wybierać biędny włóczęga i przy świetle łuczywa sakwy swoje pakował, gdy

drzwi powoli się otworzyły i wyrostek w siermiędze wpadł do izby. Nie poznał go zrazu stary po tej odzieży, ale czegoś mu serce zabiło. Był to Radyonek przebrany w suknię, odkradzioną parobczakowi z folwarku. Piastun na widok jego, przelekniony, załamał ręce i drżąc począł cały.

— Nie bójcie się, to ja! idę z wami! — krzyknął, rzucając mu się na szyję. — Prędkiej! prędkiej! dopóki się nie postrzegą, żem uciekł. W torby nabierzcie chleba; pójdziemy głęboko w lasy, a jutro już nas nie dogonią! Gdzieś daleko znajdziemy chatę, dobrych ludzi, brzeg rzeki, dołek gliny i znów zaśpiewamy, lepiąc garnki, ojcze drogi!

Staremu mowy i tchu brakło.

— A, dziecię! dziecię! coś zrobił!

— Com ja zrobił? Wczoraj jeszcze ojciec, dawniej matka wyrzucali mi, żem ich miłości i starań nie był godny; mówili mi sto razy: idź i szukaj sobie swego przybranego ojca, powróć do dawnego życia, które ci tak miłym było, że i przy nas tęsknisz za niem jeszcze; — nam Władzio wystarczy. Oni mi sami to radzili...

Noc była choć oczy wykół ciemna, szczęściem pogodna i dość ciepła, wiatru najmniejszego. Wieś oddawna już spała, gdzieś tylko obudzony na przyźbie pies naszczekiwał, kur młody zapiał niedoświadczonym, ochrypłym głosem, a w dali zwierzęta nocne, sowy i puhacze, odzywały się głucho naprzemiany, jak strażnicy rozstawieni na czatach. W milczeniu przeszli Małyczki, znaleźli się za kołowrotem i, przeżegnawszy się u figury na rozdrozu, ośle puścili się drogą, wiodącą w moczary i zarośla, a niemi w głąb lasów, któremi dostać się było można aż ku Litwie. Dla ostrożności potrzeba było iść choć bez żadnej ścieżki, w jednym pewnym kierunku. Stary Jermoła, który wiele dawniej polował, umiał błędzić po puszczech, sterując sobie to światłem nieba, to drzew mchami. We dnie spodziewał się dać łatwo rady, ale nocą nie sądził, by podobieństwem było zbić się z jakiejś drogi, a utrzymać w jednym kierunku. Obrął więc ścieżynkę małą, leśną, wiodącą do pieca smołowego, o milę położonego, w ostępie Smolna zwanym, i postanowił nią iść do brzasku, a o pierwszym dnia świcie puścić się dalej bez drogi ku północy.

Starzec i chłopię ruszyli w milczeniu, modląc się pocichu. Radyonek zdawał się odżywać i dotrzymywał kroku Jermole; aż gdy ich las dokoła ogarnął i pokrył, swobodniej odetchnęli oba.

— Al ojcze — rzekł zbieg — dwa, trzy, pięć dni cierpliwości, wysiłku, a znajdziemy się gdzieś na czużynie i będziemy spokojni; nikt nas tam nie dopędzi, nikt nie pozna... Chleba nam na tyle wystarczy; widziałem w torbie. Nie potrzebujemy do żadnej wsi wstępo-

wać: woda jest w źródłach po lesie, a choćby i z liści drzew pic przyszło, nie pomrzemy z pragnienia. Dniem będziemy po gęstych odpoczywać ostępach, a nocą i rankami iść dalej a dalej.

Stary westchnął, widząc, jak się to młodemu wszystko łatwem wydawało, nie chciał dziecka przestraszać, ale czuł, że obu im sił wkrótce może zabraknąć, że w lesie tysiąc zawał i niebezpieczeństw spotkać ich może.

Lada kto też uciekających bez drogi ujrzawszy, mógł zatrzymać, a schwytanych wydać w ręce sądu.

Wszystko to i daleko więcej myśli przechodziło do głowy staremu, ale uśmiechał się w milczeniu i słuchał szczebiotania dziecka, którego tak długo był pozbawiony, nie mogąc się niemi nasycić; nie chciał go zbijać, nie miał siły.

Może strach sam ich tak pędził, że na długo przede dniem stanęli u pieca w Smolnej, gdzie się ich drożyna kończyła; dalej nieznaczne już tylko, drobne smugi kołami porobione krzyżowały się, wskazując, któredy po szurki łuczywa jeżdżono. Noc była jeszcze szara, dalej już iść trudno; stary postanowił wypocząć, pewien, że ich tu szukać nie będą. Rozpalili ogień, dostawszy węgla i trzasek, a Radyonek wesoło przypadł do nóg starego.

— Nie! — rzekł — nie, ani mnie gonić, ani żałować długo nie będą. Naco ja im potrzebny? Oni mnie, ja ich zrozumieć nigdy nie mogłem. Matka ma Władzia, ojciec ma Władzia; beze mnie lżej i lepiej w domu będzie.

Westchnął jednak.

— Kiedyś — rzekł — później, później! powrócę tam, do matki, ale teraz tak mi tam żyć było ciężko! Byłbym umarł z tęsknicy; byłem zamknięty; nikt się do mnie takim jak wy nie odezwał głosem... Com tylko zrobił, zawsze mi powtarzali, że to chłopska nauka, że chłopci tylko tak robią. Ja chłop jestem, oni panowie!.. Żał mi Władzia, który tylko się do mnie uśmiechał i wyciągał ręce...

— Dziecko kochane — rzekł Jermoła — nie mów już o tém; oni tam płaczą może i mnie przeklinają. Serce mi zakrwawiasz; ja-m ich zdradził.

— No! to mówmy o Popielni! Pamiętasz, ojczy, nasze garnuszeczki, nasze z Chwed'kiem wyprawy na jarmarki i jak-śmy to radowali byli, kiedy się nam pierwsza polewa udała!

— A! nie wrócą te czasy! — przerwał stary.

— Dlaczego wrócić nie mają? — zawołał Radyonek. — Ja nie zapomniałem, o! nie. Choć mi zabraniali, lepiłem sobie garnki z gliny, którą mi przynosił Iwanek, i polewę pamiętam. Założymy znowu piec; zobaczycie, jak to pójdzie!

Tak gwarząc, usnęli, znużeni obadwa, a gdy się ocknęli, obudze-

ni przez wilgę, która im kuła nad głową, przyspiewując, dzień już szarzał dobrze, mgła się była rozpostarła gęsta. Stary porwał się żywo i poczęli iść dalej ku północy, kierując się mchami na drzewach.

Wnętrze puszczy naszych, jakkolwiek wytrzebionych i wyciętych, zniszczonych i powypalanych, jeszcze przypomina stare dzieje świata, są w nich miejsca dzikie, samotne, ledwie stopą ludzką dotknięte, zagęszczone, splecione, przez które człowiekowi przedrzeć się trudno. Tam zwierz dziki zakłada gniazdo swoje i odpoczywa z szumem tylko drzew nad głową. Wałace się tu od wichrów kłody spadają jedne na drugie i próchnieją stosami, porastając mchami i krzewami; oplata je chmiel dziki, opasują bujne chwasty. Tu i owdzie sączy się przez warstwy niedognitych liści strumyk czarny, wiodąc za sobą odrębną roślinność, trzymającą się jego brzegów; gdzieś gdzie rozlewa się szerzej w trzęsawice i błotko, rokiciną i trzcina zarosłe; to znów opada, ścieka i przerzyna się ciasno wymytemi rozpadlinami. Naprzemian to gąszcze ciemne, polanki i łąki, to bory wypalone i przezroczyście, to zapusty młode a ściśnięte, to znowu błota, niziny, zarosła. Najsmutniejsze ze wszystkiego są przestrzenie, przez które przeszła puszcza nieostrożnie pożoga, z wysokiem, okopconemi pniami, żółtymi sosen gałęziami, zniszczonemi trawami, ciężko, choć później bujnie porastającemi na pogorzelskich. Czasem wśród majestatycznej ciszy zaszumi ptak, zaszaleści swawolna wiewiórka, przeciągnie kruk, krakając, głodny, lub czarny bocian, mieszkaniec niedostępnych lasu głębin, skoczy koza pierzchliwa i znowu milczy pustynia poważna, drzemiąca staruszka. Im dalej idziesz, tém mniej śladów ludzkiej stopy, zrazu to droga, to ścieżka, to wydeptane przejście, to pień ścięty, to na ziemi struga trzasek żółtych, gdzie ciosano belkę, to buda myśliwców, którzy siedzieli na tokach lub czatowali na słomki, chata strażnika, dół węglarza, wypalona sosna pastusza, przy której ogień nieca; potem tylko bydlęce ślady, potem żadnych, bo zwierz ich po sobie nie zostawia prawie, wprawne ledwie je wyśledzi oko.

Drugiego dnia, gdy się zapuścili w głąb puszczy, ciągnącej się pasmem długim, już rzadko spotykali te puścizny po człowieku: ciska była głucha, a rzadkie ciupanie siekiery w oddaleniu zmuszało ich do okrążania miejsca, w którym się słyszeć dawało. Stary kierował się światłem i mchami, zawsze idąc ku północy; nie spotkali i nie widzieli nikogo, a na noc rozłożyli się na suchym pagórku, tak obrosłym sośniną starą, podszytą leszczynami, że śmiało mogli tu ognia rozpalić i nie obawiać się, by ich miał zdradzić. Jermoła miarkował, że dosyć już byli od Małyczek daleko, a gonić ich tak, jak oni szli, nikt nie mógł. Na śliskiej powierzchni leśnej ziemi, pod

borami sosnowemi ludzka noga nie zostawia żadnego śladu: przypadek chyba mógł ich wskazać pogoni.

Oba podróżni uczyli się zmęczeni i, z rozkoszą zjadłszy suchego chleba, napiwszy się z bańki wody, której im strumień leśny dostarczył, spać się pokładli przy nanieconém wysoko ognisku. Jermoła upiekł trochę kartofli, których nabrał z sobą, i te stanowiły przyśmak wieczerzy. Radyonek wesół był, ale milczący, piersi jego często brakło siły do oddechu, tak się był przyzwyczał do innego powietrza i powolniejszego chodu. Na dobranoc zaśpiewał im kos zabłąkany, którego obudziło światło, zaszumiał las wiatrem przelotnym, ślizgającym się po jego wierzchołkach, i znowu cisza uroczysta rozciągnęła się nad niemi i puszcza.

Trzeciego dnia lasy poczęły się przeredzać, drzewa maléć, zarośla miejscami zajmowały ich miejsce, ziemia stawała się coraz wilgotniejszą. Czuli, że schodzili w jakąś nizinę: moczary szerokie musieli okrążyć, tu i owdzie pokazały się niezmierzone okiem błota, okryte szuwarem, i czyste jeziora.

Iść dalej w obranym kierunku było niepodobna, ale że chleba starczyło jeszcze i sił nie zdawało się braknąć, postanowił Jermoła rzucić się nieco wlewo, aby ominąć niziny. Śmielszy Radyonek chciał już szukać drogi, wniść na nią i do pierwszej dostawszy się wioski, dalej już otwarcie i jawnie w głąb kraju wędrować, ale Jermoła jeszcze się tego obawiał. Suchszemi więc pagórkami, rzadkaym lasem posuwali się kilka dni jeszcze, gdy na odpoczynek ostatniego usiadłszy stary, postrzegł w dziecku tak straszną zmianę, że nią przerażony, sam już postanowił drogi szukać.

Dziecię ledwie się już wlokło: duch je tylko trzymał na nogach, nie siły. Odwykłe od pracy, nagle wysilone, zdawało się, że co chwila paść może i nie powstanie. Błąd był, zdyszany, skarżył się na zawrót głowy, a gdy padł, snem zmorzony, Jermoła ledwie się go mógł dobudzić. Potrzeba więc było szukać ratunku, ludzi, drogi i wioski, a tymczasem trafiwszy na opuszczoną budę w lesie, choć dnia jeszcze dosyć zostawało do wieczora, Jermoła w niej sam, udając znużonego, zatrzymał się.

Okolica, w której się to działo, już nie tak była pustą jak te, które podróżni przebywali przez dni kilka, przedzierając się przez gęstwiny. Tu i owdzie półko stare, trzebież, świeżo pościnane pnie świadczyły, że wieś musiała być blisko; samo powietrze, przesycone wyziewami dymów i oddechem pól, dawało poznać sąsiedztwo zamieszkanego kąta.

To uspokoiło nieco starego, ale widząc osłabłe dziecko, nie wiedział, jak sobie radzić, jak odejść, gdzie i jak szukać ratunku dla Radyonka. Groźne to położenie ich obu dopiero tu w całej sile

czuć się dało. Polecając się opiece bożej, ostatkiem własnych sił nadwątlonych Jermoła jał się dla wychowanka przysposabiać pościółkę z liści suchych w kątku budy, a przemyślał, jakby się na wieś na zwiady dostać, gdy zaśnie. Dziecko osłabłe, napiwszy się tylko wody, upadło na posłanie i zasnęło snem kamiennym; starcowi także nogi drżały, w głowie się kręciło; czuł potrzebę odpoczynku, ale użyć go nie śmiał. O kiju powłókł się rozpatrzeć w lesie i szukał wsi, którą już czuł niedaleko.

W istocie widać było za gęstemi zaroślami wprawo czarne sioło, dosyć długim sznurem nad jeziorem rozsiadłe, najężone starymi gruszami, żórawiami studzien, z dwiema kopułkami starych cerkwi po dwóch końcach i małym dworkiem na dawnym ogródku wśród wałów wysokich, zapowiadającym, że nie sam dziedzic, ale ekonom mieszkać tu musiał. Stary, wpatrzywszy się w nie, poznał, że to nie było polesko-wołyńskie sioło, ale kraj jakiś inny, różny od niego, choć podobny, błotnisty, płaszczysty i poseępniejszy. Przekonywały go o tём i budowa chat inna i wydmy piaszczyste i szerokie wody jeziora i świerki przy cerkwiach rosnące: to mu się kazało domyślać kobryńskiej Dusi lub okolic Pińska. Zadaleko jednak iść było na wieś po ratunek, dziecko tak samo zostawiając w tój budce pod noc zbliżającą się i za chwilę przyjść mającą. Powrócił stary po chwili, siadł w progu, głowę sparł na uszaku i tak, niespokojny, zasnął, oglądając się na Rađyonka, którego twarz blada wydawała się w cieniu marmurową. Sledził chwilami jego oddechu, przysłuchiwał się snowi, to znów, złamany, powracał, przysiadł i sam, nie mogąc się oprzeć gwałtownej potrzebie odpoczynku, zamykał oczy znużone.

Trochę rozpalonego ognia, podsycanego to liśmi, to gałązkami suchemi, świeciło się, pilnując ich do dnia, a gdy na brzask się wzięło, już uspokojony nieco staruszek zdrzemał się na dobre.

Gdy się przebudził, ujrzał, zdziwiony, pogodne nad głową słońce, ranek wkoło ciepły i pogodny, a przy sobie stojącą kobietę lat średnich, piękną, choć bladą, przypatrującą mu się z uczuciem jakiegoś niewysłowionego podziwienia, zadumy i prawie smutku.

Kobieta ta słusznego wzrostu, hoża, czarnooka, ubrana była w szlafroczek perkalowy, chustkę miała na głowie i strój szlachcianek, kosz do grzybów na ręku, nóż prosty i jakieś w płachcie białej zawinięte zapasy. Podniósłszy oczy na nią, Jermoła równie jak ona zdziwił się i opamiętać nie mógł, otworzył usta, chciał jakieś imię wywołać i wahał się, obawiał, nie śmiał, zwątpiwszy, gdzie się znajduje.

Aż na krok cofnąwszy się, zjawisko owo zawołało:

— Wszak to stary Jermoła?

— A! to Horpyna! to wy jejmościuniu... — poprawił się starszek.

— Co ty tu robisz?

Zmieszał się biedny zbieg i co miał odpowiedzieć, nie wiedział, przelękł.

— Sam jeden jesteś?

— Nie, jejmościuniu, z Radyonkiem.

— Uciekliście z Popielni? Mów, co się stało?

Przed znajomą i życzliwą nie było co taić; wypowiedział się Jermoła. Słuchała go z podziwieniem, oburzeniem, zamysłona, może niebardzo rada ze swojej strony, że się ktoś znalazł, co o jej pochodzeniu mógł tu rozpowiadać, gdzie ona je taiła, chcąc za szlacciankę uchodzić, ale z litości i przywiązania do dziecka nie odmówiła pomocy i rady.

— Darmo tu dziś myśleć o grzybach — zawołała, składając nożyk. — Pójdziemy do wsi; mój mąż tu rządzi; jest chata pusta po kowalu pode dworem; tymczasem was tu przytulimy.

Jermoła rzucił się i za nogi ją uściśnął, a potem zaczął budzić dziecko... Ale noc całą Radyonek przepędził w gorączce, gadał przez sen, czego stary nie słyszał, rzucał się; a teraz, gdy go przyszło ocucić, nie dawał się obudzić: ruszał się, podnosił, nie poznając nawet Jermoły, i padał na posłanie, skarżąc się to na żar, to na zimno.

Przypatrzwszy się bliżej, niepodobna było nie poznać straszliwej jakiegś rozwijającej się choroby. Jermoła ręce załamał przelękł.

— Zmarzył, zmęczył się, może się źle wody spotniały napił — zawołała Horpyna. — Nic to, nic, ale przechoruje biedactwo.

— Ale jak go przenieść do wioski? Może lepiej dać mu już tu wypocząć?

— Zapewne, nie budźcie go, to snem przejdzie — odpowiedziała ekonomowa. — Ja idę do domu i przysyłę tu jakie jedzenie, bo i głód może być także chorobą... Napal ognia na kominie, drzwi przytknij czém, okryj dziecko i nie ruszaj. Ja mu ziółek przysyłę...

Jermoła zwłókł z siebie do ostatniej siermięzki, by otulić swe dziecko, i płaczący siadł u łóżka; Horpyna powróciła do domu śpiesznie, bo Radyonek, którego dzieckiem na ręku nosiła, wzbudzał w niej serdeczną litość.

Nieruchło przyszła ze dworu przysłana strawa, chleb świeży, woda, ziółka, wódka dla Jermoły i chłopiec, który miał zostać dla usługi przy starym, ale Radyonka i teraz zbudzić nie było można do lekarstwa. Twarz jego ogniem pałała, oczy, otwierając się, świeciły jakimś blaskiem nieprzytomnym, gorączka wzmogła się widocznie.

W głuchym lesie, wśród szumu starych sosen odegrała się ostatnia scena tego cichego dramatu wiejskiego, nieprawdopodobnego może, gdyby nie był prawdziwy...

Drugiego dnia po zatrzymaniu się w budzie strażniczój Radynek otworzył oczy, trochę oprzytomniał, uśmiechnął się do starego i promykiem nadziei go pocieszył, ale to był błysk ostatni dogorywającej lampy.

Zaczął mówić pocichu, co będą robili, gdy wyzdrowieje i odpocznie; obiecywał sobie zaraz wziąć się do roboty. Przypominał Popielnię, Huluka, kozaczychę, dawne czasy, Małyeczki i smutne dni tam spędzone, usiłując rozweselić starego, który płakał, choć łyż tail.

Słabnął tak, mówiąc, usypiał, to znów wpadał w gorączkę, w której majaczył, płakał, z obawą jakąś porywał się z posłania i tak skonał na rękach Jermoły, uściskawszy go za szyję.

Zastygłe białe ciało jego długo trzymał przytulone do piersi starzec, nie chcąc go oddać mogile; słowa nie rzekł, płakał tylko łzami cichemi, wielkimi. Wreszcie wyrwał mu się wykrzyk bolesny:

— Dziecię moje! moje dziecię!

Pochwycił się za głowę i uciekł nieprzytomny.

Na cmentarzu w Horodyszczu wznosi się teraz mogiła Radyonka, o której lud, przemieniwszy nieco tę historią, dziwy opowiada. Niema na niej krzyżyka nawet, ale darn ją bujno porasta i zielonością świeżą pokrywa. Pod bliskim kościółkiem długo siadywał staruszek zgrzybiały, maleńki, zwany dziadkiem kościanym, bo téż zdawało się, że w nim tylko kości same zostały.

Lud zbiegał się w niedzielę, żartując sobie potrosze z niego, bo go śmieszyło to, że na rękach trzymał zawsze w płachty zakreconą lalkę, spowitą jak niemowlę, tuląc ją do piersi i do snu jój śpiewając *luli* różnemi głosami, a czasem płacząc nad nią... Tym dziadkiem kościanym był poczciwy Jermoła.

K O N I E C .



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Wstęp krytyczny przez Kazimierza Kaszewskiego	V—LXVII
1. Ułana, powieść poleska	1— 73
2. Budnik, obrazek	75—151
3. Ostap Bondarczuk i Jaryna	153—330
4. Ładowa Pieczara	331—426
5. Jermoła	427—547



INSTYTUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-69-66, 26-52-31 w. 42

F:1770 / 1.

45 ✓

145706 / 151269

alc. 167 / 70K

<http://rcin.org.pl>

F

1770

1.